

# Tecza

# THOMAS PYNCHON



Prószyński i S-ka

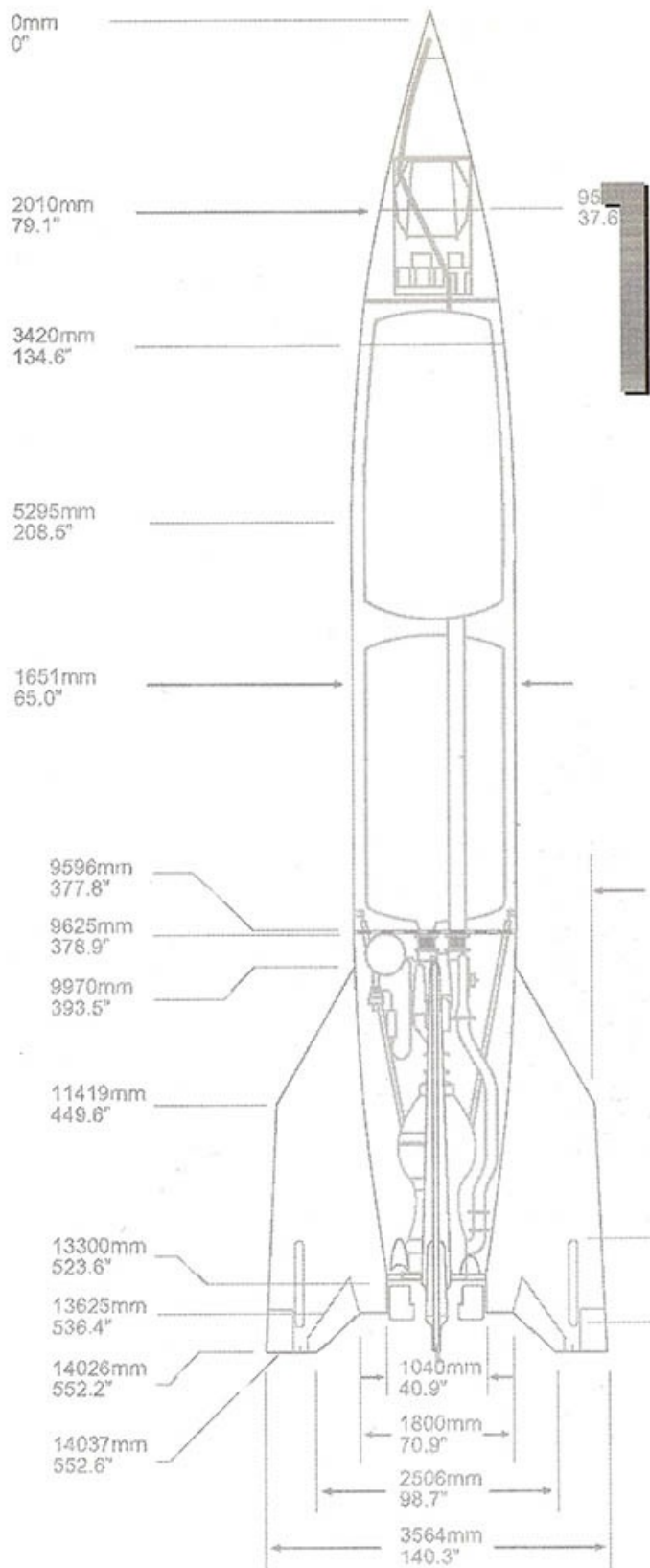
# Grawitacji





*Richardowi Farinie*





# Poza zero

Natura nie zna unicestwienia,  
 lecz jedynie przemianę.  
 Wszystko, co wyniosłem  
 i nadal wynoszę z nauki,  
 utwierdza mnie w przekonaniu  
 o ciągłości naszego duchowego  
 istnienia po śmierci.

WERNHER VON BRAUN





Wycie przesywa niebo na wskroś. Zdarzało się to już przedtem, ale teraz nie można tego z niczym porównać.

Za późno. Ewakuacja wprawdzie trwa, lecz to tylko spektakl. W wagonach nie ma światła. Nigdzie nie ma. Nad głową dźwigary windy, stare jak narzędzia tortur, gdzieś wysoko szyby, które wpuszczają dzienne światło. Ale jest noc. Boi się chwili, gdy spadnie szkło – niebawem; to będzie widowisko: runie kryształowy pałac. Lecz stanie się to przy całkowitym zaciemnieniu, bez jednego błysku; rozlegnie się tylko wielki huk niewidzialnego unicestwienia.

Siedzi w wagonie o kilku poziomach, w aksamitnej ciemności, bez papierosów, czując, jak tu i ówdzie metal ociera się o metal i zgrzyta, jak umykają kłęby pary, czując drzenie podwozia, stan zawieszenia i niepewności, napór innych ludzi, stłoczonych dokoła, czarnych owiec, miernot niemających szczęścia ani czasu: pijusy, starzy weterani w szoku po ostrzale artyleryjskim sprzed dwudziestu lat, ubrane po miejsku prostytutki, wraki ludzkie, skonane kobiety z tyłoma dziećmi, aż trudno uwierzyć, że można urodzić taką rzeszę, wszyscy ścieśnieni pośród rzeczy, które chciano uchronić od zagłady. Widać tylko bliżej siedzących współpasażerów i to jedynie jako na wpół posrebrzone oblicza oglądane w celowniku aparatu fotograficznego, jako zabarwione na zielono twarze VIP-ów, zapamiętane, kiedy przemykały za kuloodpornymi szybami przez miasto...

Właśnie ruszyli. Wyjeżdżają z dworca głównego, ze śródmieścia, prą do starszych i wyludnionych części miasta. Czy to jest droga ucieczki? Twarze obracają się do okien, ale nikt nie śmie pytać, przynajmniej nie na głos. Pada deszcz. Nie wyplątują się, lecz *wikłają* coraz bardziej – jadą pod łukami, przez sekretne tunele ze spękanego betonu, które tylko wyglądają jak zapętlone przejazdy... nad głową przesuwają się z wolna podpory mostowe z poczerńiałego drewna, roztacza się woń węgla z odległych dni, naftowa woń

zim, niedziel, kiedy nie kursowały żadne pociągi, pełnego tajemniczej żywiołowości, koralowego rozrostu ślepych odnóg i samotnych bocznic, cierpki zapach nieobecności taboru, dojrzewającej rdzy, pleniącej się cudownie, bez ograniczeń, w dniach rozmnażanej pustki, zwłaszcza o świcie, kiedy niebieskie cienie pieczętują drogę, usiłując doprowadzić bieg spraw do Zera Absolutnego... i im dalej się zagłębiają, tym nędzniej się robi, zdewastowane tajemne grody biedoty, miejsca, których nazw nigdy dotąd nie słyszał... mury się rozpadają, ubywa dachów, tak samo sposobności ujrzenia światła. Torowisko powinno się rozszerzać, tymczasem zwęża się, staje się coraz bardziej kręte, ścieśnia się i ścieśnia, aż naraz, o wiele za wcześnie, znajdują się pod ostatnim łukiem i wtedy hamulce zaciskają się i sprężynują gwałtownie. To wyrok, od którego nie ma apelacji.

Skład się zatrzymał. Koniec torów. Wszyscy wysiedleńcy muszą wysiąść z wagonów. Ruszają powoli, ale ulegle. Ci, którzy nimi kierują, noszą kokardy w kolorze ołowiu i milczą. To olbrzymi, bardzo stary i zaciemniony hotel, żelazne przedłużenie zwrotnicy i linii kolejowej, która ich tu doprowadziła... Z fantazyjnych metalowych okapów zwisają kuliste lampy, pomalowane ciemnozieloną farbą, niezapalane od stuleci... tłum posuwa się bez szemrania i kaszlu korytarzami prostymi i funkcjonalnymi jak przejścia w magazynach... aksamitne czarne powierzchnie pochłaniają ruch: roztacza się woń starego drewna, zapach z odległych pustych skrzydeł w tej właśnie chwili otwieranych, by pomieścić napływ ludzi, odór zimnego tynku, wśród którego wyzdychały wszystkie szczury, i tylko ich widma, nieruchome jak malowidła jaskiniowe, trwają nieustępliwe i świetliste na ścianach... wysiedleńców zabiera partiami winda – ruchome drewniane rusztowanie, otwarte ze wszystkich stron, wciągane przez stare smołowane liny i żeliwne krążki o szprychach w kształcie litery „S”. Na każdym brunatnym piętrze wsiadają i wysiadają pasażerowie... tysiące wyciszonych pokojów bez światła.

Jedni czekają w samotności, drudzy dzielą niewidzialne pokoje z innymi.

Owszem, niewidzialne, bo co znaczy umeblowanie w tym stanie rzeczy? Pod stopą chrzęści najdawniejszy gruz miasta, ostatnie krystalizacje tego wszystkiego, czego miasto wzbraniało swym dzieciom, czym im groziło i je okłamywało. Wszyscy słyszą ten głos, który, jak sądził, zwracał się tylko do niego, mówiąc: „Przecież tak naprawdę nie wierzyłeś, że zostaniesz uratowany. Chodź, teraz już wiemy, kim jesteśmy. Nikt nie zadałby sobie trudu, żeby uratować akurat ciebie, chłopie...”.

Nie ma wyjścia. Pozostało tylko leżeć i czekać, leżeć nieruchomo i cicho. Wycie zawładnęło niebem. Kiedy nadejdzie, to czy nadejdzie w ciemności, czy też zrobi się od tego jasno? Czy zrobi się jasno przed czy po?

Przecież już jest jasno. Od jak dawna? Przez cały ten czas światło przesączało się wraz z chłodnym porannym powietrzem, smagającym teraz jego brodawki: ukazuje się z wolna zbiorowisko pijanych darmozjadów, w mundurach i bez, ściskających puste albo prawie puste butelki, ten przewieszony przez krzesło, tamten zwalony w zimnym kominku albo rozciągnięty na jednym z dywanów, nieodkurzonych dywanów lub szeslongów na różnych poziomach ogromnej sali; chrapią i postępują w rozmaitych rytmach jako samonapędzający się chór, gdy tymczasem londyńskie światło, zima i elastyczne światło natężają się w obliczach triforiów, wśród warstw blednącego dymu po minionej nocy, wciąż uwieszonego nawoskowanych sufitowych belek. Wszystkie te poziome sylwetki, towarzysze broni, wyglądają czerstwo jak gromadka holenderskich chłopów, śniących o swym niewątpliwym zmartwychwstaniu w ciągu kilku następnych minut.

Nazywa się kapitan Geoffrey („Pirat”) Prentice. Leży okutany grubym kocem w pomarańczową, rdzawą i szkarłatną kratę. Czuje się, jakby miał czaszkę z metalu.

Dokładnie nad nim, dwanaście stóp nad jego głową, Teddy Bloat jest o krok od wypadnięcia z galerii, wybrawszy na utratę równowagi akurat to miejsce, gdzie przed paroma tygodniami ktoś w imponującym napadzie szau



kopniakiem utracił dwa słupki z hebanowej balustrady. Otępiały od alkoholu, wysuwa się cal po calu spomiędzy wyłomu, głowa, ręce, tułów, aż na balkonie utrzymuje go tylko pusta buteleczka po szampanie, zaplątana w kieszeni na biodrze...

Pirat siada na wąskiej połówce na kółkach i mruga oczyma. Okropne. Cholernie okropne... Nad głową słyszy trzask prującego się materiału. Zarząd Operacji Specjalnych nauczył go szybkiego reagowania. Zrywa się z wyrka i kopniakiem posyła je w stronę Bloata. Nurkujący Bloat trafia prosto w śródkręcie przy donośnym brzdęknięciu sprężyn. Jedna z nóżek się łamie.

– Dzień dobry – odzywa się Pirat.

Teddy uśmiecha się przelotnie i zapada z powrotem w sen, zagnieżdżając się w jego koc.

Bloat jest jednym ze współlokatorów tego przybytku, domu wzniesionego w ubiegłym stuleciu niedaleko Chelsea Embankment przez Corydona Throspa, znajomego Rossettich, który nosił włosienice i z upodobaniem hodował rośliny lecznicze na dachu (tradycja wskrzeszona ostatnio przez młodego Osbiego Feela). Kilka z nich okazało dostateczną odporność, by przetrzymać mgły i przymrozki, większość jednak powróciła do ziemi jako cząstki osobliwych alkaloidów wraz z nawozem od tria cenionych macior rasy wessekska siodłata, ulokowanych tu przez bezpośredniego sukcesora Throspa, suchymi liśćmi z licznych drzew ozdobnych, zasadzonych na dachu przez późniejszych lokatorów oraz okazjonalnym niestrawnym posiłkiem, wyrzuconym lub zwymiotowanym przez tego lub owego wrażliwego epikurejczyka – całość utarta, koniec końców, przez mieszadła pór roku na ciasto niewiarygodnej czarnej gleby grubości stopy, w którym rośnie wszystko, nie najgorzej banany. Doprowadzony do rozpacz przez wojenny niedobór tych owoców, Pirat postanowił zbudować na dachu szklarnię i namówił kolegę, który latał na trasie Rio-Wyspa Wniebowstąpienia-Fort Lamy, by zwędził dla niego ze dwa drzewka bananowe w zamian za niemiecki aparat fotograficzny, gdyby Pirat zdobył takowy w trakcie swej

następnej misji spadochronowej.

To właśnie Bananowe Śniadanie rozsławiło jego imię. Kasynowe żarłoki – nawet te, które mają uczulenie na banany albo są wręcz wrogo do nich usposobione – ciągną tłumnie z całej Anglii, żeby choć popatrzeć, bo polityka bakterii – nawlekanie oczek w sieciach, w których jeden Bóg potrafi dopatrzeć się porządku – doprowadza owoce do rozrostu na długość półtorej stopy, a tak, owszem, zdumiewające, ale prawdziwe.

Pirat stoi w ubikacji i sika, z pustką w głowie. Potem wciska się w wełniany szlafrok, noszony na lewą stronę, żeby ukryć kieszeń z papierosami, choć to niewiele pomaga, i obchodząc ciepłe ciała kolegów, kieruje się ku oszklonym drzwiom, prześlizguje na zewnątrz i aż jęczy, gdy chłód mrozi plomby w jego zębach, dalej wspina się po krętej drabince na dachowy ogród i przystaje na chwilę, by poobserwować rzekę. Słońce wciąż kryje się za widnokrzem. Dzień zapowiada się deszczowo, lecz jak na razie powietrze jest nadzwyczaj czyste. Hen, daleko ukazują się wyraźnie elektrownia i gazownia: kryształki skroplone w zlewce poranka, kominy, wywietrzniki, wieże, kanalizacja, sękate kłęby pary i dymu...

– Hhhhe! – ryczy Pirat bezgłośnie, patrząc, jak jego oddech umyka po parapetach. – Hhheee! – Dachy tańczą o brzasku. Jego olbrzymie banany rosną w gronach, promiennie żółte, wilgotno zielone. Koledzy ślinią się na dole, śniąc o Bananowym Śniadaniu. Ten wyszorowany dzień nie powinien być gorszy niż inne...

Nie będzie? Daleko na wschodzie, u dołu różowego nieba, coś właśnie błysnęło, bardzo silnie. Nowa gwiazda, w każdym razie coś równie jasnego. Pirat pochyla się nad parapetem, żeby popatrzeć. Jaskrawy punkt stał się teraz krótką pionową kreską bieli. To pewnie gdzieś nad Morzem Północnym... a przynajmniej w tej samej odległości... pola lodowe w dole i zimna plama słońca...

Co to jest? Nic podobnego nigdy się nie zdarza. Ale Pirat wie mimo wszystko. Widział to na filmie, nie dalej jak przed dwoma tygodniami... to

smuga kondensacyjna. Już jest wyżej o grubość palca. To nie samolot. Samoloty nie startują pionowo. To jest najnowsza i jak dotąd najtajniejsza niemiecka broń raketowa.

– Przesyłka. – Szepnął to czy tylko pomyślał? Zaciska postrzępiony pasek od szlafroka. Podobno zasięg tych bomb wynosi dwieście mil z okładem. A przecież nie można zobaczyć smugi kondensacyjnej z odległości dwustu mil, co?

Och. No tak: za krzywą kuli ziemskiej, dalej na wschód, tam jest słońce, dopiero co wstało nad Holandią, oświetla gazy wydychane przez raketę, krople i kryształki, sprawiając, że świecą nad morzem...

Biała kreska raptem kończy wspinaczkę. To chyba odcięcie dopływu paliwa, koniec spalania, jak to się nazywa... *Brennschluss*. Nie ma dobrego odpowiednika. A jeżeli jest, to utajniony. Dolny koniec kreski, ta początkowa gwiazda, zaczyna niknąć w czerwonym brzasku. Rakietę będzie tu, zanim Pirat zdąży obejrzeć wschód słońca. Na niebie wisi smuga, rozmazana, rozdarta lekko na dwie czy trzy strony. Rakietę, wszedłszy w czystą krzywą balistyczną, wlatuje jeszcze wyżej. Teraz niewidoczna.

Czy nie powinien zareagować... dotrzeć do centrum operacyjnego w Stanmore, na pewno mają to na radarach ustawionych nad Kanałem – nie: tak naprawdę nie ma czasu. Z Hagi mniej niż pięć minut (tyle czasu zabiera zejście do herbaciarni na rogu... tyle czasu zabiera światłu dotarcie ze Słońca na planetę miłości... to jest tyle co nic). Wybiec na ulicę? Ostrzec innych?

Zerwać banany. Człapie po czarnym kompoście do szklarni. Czuje, że chce mu się srać. Pocisk, na wysokości sześćdziesięciu mil, pewnie osiąga teraz szczyt swej trajektorii... zaczyna spadać... teraz...

Kratownicą przenika światło dnia, mleczne szyby promieniują dobroczynnie. Jak to możliwe, że jest zima – nawet taka – dostatecznie szara, by postarzyć to żelazo, które potrafi zawodzić na wietrze, i zasnuć te okna, które otwierają się na inną porę roku, wprowadzie sztucznie zachowaną?

Pirat spogląda na zegarek. Nic do niego nie dociera. Szczypią go pory w

twarży. Wyzbywszy się wszystkich myśli – sztuczka komandosów – wkracza do parnej krainy swej bananowni i zabiera się do zrywania najdojrzałych i najlepszych owoców, które wrzuca w odciągniętą połę szlafroka. Skupia się na liczeniu bananów, chodząc z obnażonymi nogami pośród kołyszących się gałęzi, między żółtymi żyrandolami, o tropikalnym brzasku...

Z powrotem do zimy. Smuga całkiem znikła z nieba. Ciało Pirata pokrywa pot zimny prawie jak lód.

Pirat nieśpiesznie zapala papierosa. Nie usłyszy, gdy nadleci. Zasuwa szybciej, niż wynosi prędkość dźwięku. Pierwszy sygnał to wybuch. Dopiero potem, jeżeli nadal się żyje, słychać narastający hałas.

A co, jeśli pocisk trafiłby dokładnie... ech, nie... gdyby przez ułamek sekundy poczuł sam szpic z tą straszliwą masą powyżej, gdyby uderzyła go w sam czubek głowy...

Pirat kuli ramiona, znosząc banany po serpentynowej drabince.





Wyłożonym niebieskimi kafelkami patio przez drzwi do kuchni. To nie pierwszyna: podłączyć do gniazdka amerykański mikser, wygrany zeszłego lata od jankesów: poker, licytacja, kwatery oficerów bez żon, gdzieś na północy, nigdy nie pamięta nazwy tego miejsca... Pokroić kilka bananów na kawałki. Zaparzyć kawę w dzbanku. Wyjąć puszkę mleka z lodówki. Purée bananowe, zalane mlekiem. Pycha. Wymościliby nim przeżarte wódą żołądki całej Anglii... Odrobina margaryny, ciągle pachnie świeżo, podgrzać w rondelku. Obrąć więcej bananów, przekroić wzdłuż. Margaryna już skwierczy, hop, wrzucamy kawałki. Zapalić piekarnik, buch!, o, kurczaki, któregoś dnia wysadzimy się w powietrze, cha, cha, no tak. Obrane banany w całości idą na ruszt, jak tylko się rozgrzeje. Znaleźć piankę owocową...

Wtacza się Teddy Bloat w kocu Pirata naciągniętym na głowę, przewraca się na skórcie banana, ląduje na dupie.

- Zabiję się – mruczy.
- Niemcy cię wyreczą. Zgadnij, co widziałem z dachu.
- Lecącą V-2?
- Tak. A-4.
- Ja widziałem z okna. Z dziesięć minut temu. Dziwnie wyglądało, nie? Ale wybuchu nie słyszałem, a ty? Pewnikiem nie doleciała. Trafiała w morze albo coś.

- Dziesięć minut? – Prentice próbuje odczytać czas na zegarku.
- Najmniej. – Bloat siedzi na podłodze i z mozołem wciska skórę z banana do dziurki w szlafroku jak do butonierki.

Pirat podchodzi do telefonu i, koniec końców, dzwoni do Stanmore. Musi przebrnąć przez utartą, bardzo długą, naprawdę długą procedurę i w tym czasie zdaje sobie sprawę, że przestał wierzyć w widzianą raketę. To Bóg zerwał ją dla niego ze swego bezpowietrznego nieba jak stalowego banana.

- Mówi Prentice. Piknęło wam coś przed chwilą od strony Holandii? Aha.

Aha. Myśmy widzieli. – To mogłoby zniweczyć ludzkie zamiłowanie do wschodów słońca. Rozłącza się. – Stracili ją z oczu na wybrzeżu. Twierdzą, że to przedwczesny *Brennschluss*.

– Głowa do góry. – Teddy czołga się z powrotem do kulawego wyrka. – Będą inne.

Dobry, kochany Bloat, zawsze doda człowiekowi otuchy. W ciągu kilku sekund, czekając na połączenie ze Stanmore, Pirat pomyślał: niebezpieczeństwo minęło, Bananowe Śniadanie uratowane. Ale to tylko odroczenie wyroku. Nie tak? Faktycznie, będą inne, a każda może wylądować mu na głowie. Nikt po obu stronach frontu nie wie dokładnie, ile ich będzie. Chyba trzeba skończyć z obserwacją nieba.

Na galerii stoi Osbie Feel, trzymając jeden z największych bananów Pirata w taki sposób, że owoc sterczy z rozporoka jego pasiastych spodni od piżamy, i głaszcząc prawą dłońią w takcie na trzy czwarte wycelowaną w sufit wielką żółtą krzywizną, wita świt następującymi słowami:

Pora dźwignąć dupsko z podłogi,  
(chapnij ba-na-na),  
Pożegnać ojczyznę zmorzoną snem błogim.  
Zęby umyć i przetrzeć oczy,  
Na wojnę, lewa marsz!  
Powiedz Betty, że nie masz czasu, niestety,  
Póki laur zwycięstwa nie będzie nasz – och.  
W cywilu wszystko ułoży się pysznie,  
(chapnij ba-na-na),  
Wino perliste, usta dziewczyn jak wiśnie.  
Lecz zostało paru fryców do ukatrupienia,  
Na gębie więc uśmiech, co świat opromienia,  
I, jak słyszałeś, pora dźwignąć na nogi  
To twoje rozlazłe dupsko z podłogi!

Jest druga zwrotka, ale nim nadęty Osbie zdąży ją zaintonować, zostaje

zaatakowany i gruntownie obity, także swym krzepkim bananem, między innymi przez Bartleya Gobbitcha, DeCoverleya Poxa i Maurice'a („Saksofona”) Reeda. W kuchni czarnorynkowa pianka owocowa zsuwa się leniwie do syropu na dwupalnikowej kuchence Pirata i natychmiast zaczyna tubalnie bulgotać. Kawa zaparzona. Na drewnianym szyldzie pubu – bezczelnie zwędzonym w czasie jednego z dziennych nalotów przez pijanego Bartleya Gobbitcha – na którym nadal widnieje wyryta nazwa: „Pod Kiszonym Ogórkiem”, Teddy Bloat miele banany w maszynie o wielkim równoramiennej nożu, a spod nerwowego ostrza Pirat jedną ręką wygarnia jasną papkę wprost do ciasta na wafle, jędrnego od świeżych kurzych jaj, pozyskanych przez Osbiego Feela za identyczną liczbę piłek golfowych, które tej zimy są jeszcze większym rarytasem niż prawdziwe jaja, drugą zaś niezbyt energicznie miesza owoce drucianą trzepaczką, gdy tymczasem nabzdyczony Osbie, pociągając co chwilę vat 69 z wodą z ćwierćlitrowej butelki po mleku, pilnuje bananów w rondlu i piekarniku. Obok wyjścia na niebieskie patio piętrzy się betonowy model Jungfrau w zmniejszonej skali, który w latach dwudziestych pewien zapaleniec odlewał i fasonowa! mozolnie przez rok, aż wreszcie się zorientował, że dzieło jest za duże, by wynieść je drzwiami, i przy którym stoi teraz DeCoverley Pox i Joaquin Stick, okładając zbocza słynnej góry termoforami z czerwonej gumy, wypełnionymi kostkami lodu, bo chodzi o to, by skruszyć lód z myślą o mrożonych bananach Pirata. Z całonocnym zarostem, zmatowiałymi włosami, nabiegłymi krwią oczyma i smrodliwymi wyziewami z ust DeCoverley i Joaquin są umordowanymi bogami, poganiającymi opieszale lodowiec.

Po całym domu inni kumple od kieliszka wyplątują się z koców (jeden traci wiatr, śniąc ciągle o skoku na spadochronie), szczają do umywalek, patrzą ze zgrozą na swoje odbicia we wklęsłych lusterkach do golenia, bez żadnego jasnego planu w głowie spryskują wodą czerepy z rzednącymi włosami, oplatają się pasami i koalicijkami, rękoma o zmęczonych już tą czynnością

mięśniach pastują buty na wypadek deszczu, śpiewają urywki popularnych piosenek, których melodii często nie znają, wierząc, że się rozgrzeją, kładą się w smugach słońca wpadających przez triforia, zaczynają głądzić niezobowiązująco o służbowych sprawach celem wdrożenia się w to, co czeka ich za niespełną godzinę, namydlają szyje i twarze, ziewają, dłubią w nosach, wyglądając jak zbite psy, węższą po szafkach i biblioteczkach w poszukiwaniu alkoholu, by klinem zabić kaca, który nie bez racji męczy ich po minionej nocy.

Teraz rozchodzi się po wszystkich salach, przeganiając zastałą woń dymu, alkoholu i potu po nocy, delikatny, mdławy aromat Śniadania: kwiatowy, przenikliwy, zaskakujący bardziej niż barwa zimowego słońca, przejmuje przestrzeń we władanie nie tyle za sprawą swej zwierzęcej ostrości czy napięcia, ile wskutek nader zawiłego wiązania molekuł, współuczestnicząc w sekretnej magii, dzięki której – choć nieczęsto się zdarza, że Śmierci tak wyraźnie daje się do zrozumienia, by się odpiardoliła – łańcuchy żywych genów okazują się dostatecznie powikłane, by zachować ludzką twarz sprzed dziesięciu albo nawet dwudziestu pokoleń... właśnie to samo zapewnienie-przez-strukturę pozwala w ten wojenny poranek zapachowi bananów snuć się, odzyskiwać teren, tryumfować. Czy są jakiegokolwiek przeciwwskazania, żeby pootwierać okna i żeby miły aromat spowił całą dzielnicę Chelsea? Jako zaklęcie przeciw spadającemu z nieba żelastwu...

Szurając krzesłami, ustawionymi na sztorc skrzyniami po pociskach, ławą i otomaną, zgraja Pirata zbiera się w jadalni u brzegów wielkiego stołu, tropikalnej wyspy, przeciętej przez jeden ze zwrotników albo nawet przez dwa, daleko od zimnych średniowiecznych fantazji Corydona Throspa, stłoczona nad wirującym ciemnym usłojeniem orzechowego płaskowyzu, zastawionego teraz przez bananowe omlety, kanapki z bananem, bananowe potrawy, tłuczone banany, uformowane w stojącego lwa z brytyjskiego godła, banany zmieszane z jajami na ciasto do francuskich grzanek... przez drżącą gładź bananowej galaretki ze słowami *C'est magnifique, mais ce n'est*



*pas la guerre* (przypisywanymi pewnemu francuskiemu obserwatorowi szarży Lekkiej Brygady), które Pirat przywłaszczył sobie jako dewizę, wypisanymi kremem bananowym za pomocą cukierniczej szprycy... przez wysokie flaszki syropu bananowego do obfitego polewania bananowych wafli, gigantyczny emaliowany garniec, w którym od lata fermentowały pocięte w kostkę banany, zalane dzikim miodem i doprawione rodzynkami muszkatelowymi, i z którego teraz, tego zimowego ranka, biesiadnicy nabierają kubki pełne pianistego bananowego miodu... przez bananowe rogaliki i bananowe *kreplech*, bananową owsiankę i dżem bananowy, bananowy chleb i płonące banany, podlane starym winiakiem, przywiezionym zeszłego roku przez Pirata z pewnej piwnicy w Pirenejach, gdzie zamelinowano tajną radiostację...

Terkot telefonu, rozlegający się niczym podwójne metaliczne pierdnięcie, bez trudu przedziera się przez przestrzeń jadalni, kace, wygłupy, szczęk naczyń, służbowe pogaduszki, cierpkie rechoty. Pirat jest pewien, że to do niego. Bloat, który znajduje się najbliżej, odbiera z elegancko wzniesioną łyżką lodów bananowych w dłoni. Pirat doi miód z warząchwii, czuje, jak napój kituje mu gardło, wymarzona pora, pora letniej ciszy, i przełyka.

– Twój szef.

– To nie w porządku – jęczy Pirat. – Jeszcze żem nie zrobił porannych pompek.

Głos, słyszany dotąd tylko raz – w zeszłym roku na odprawie, twarz i ręce zaciemnione, anonimowa postać wśród kilkunastu słuchaczy – mówi mu, że czeka na niego wiadomość w Greenwich.

– Nadeszła w zachwycający sposób. – Wysokie i zarazem markotne tony. – Moi przyjaciele nie są tacy sprytni. Do mnie korespondencja przychodzi zawsze pocztą. Przyjedźcie odebrać, dobrze, Prentice? – Słuchawka spada z trzaskiem na widełki, połączenie zostaje przerwane i teraz już Pirat wie, gdzie wylądowała rakietka i dlaczego nie było wybuchu. Faktycznie, przesyłka. Przez słupy światła patrzy w głąb jadalni na pozostałych,

pławiących się w bananowej obfitości, a dźwięczne głoski żarłocznych podniebień gubią się gdzieś w początku dnia rozpiętym między nim a kolegami. Znienacka dzieli go od nich sto mil. Samotność, gdy tylko przyjdzie jej ochota, potrafi chwycić go za pysk nawet wśród trybów tej wojny i posiąść zaborczo, jak w tej chwili. Pirat znajduje się teraz za oknem i patrzy, jak obcy ludzie jedzą śniadanie.

Jego ordynans, niejaki kapral Wayne, wiezie go sfatygowaną zieloną lagondą w miasto, na wschód, przez Vauxhall Bridge. Wydaje się, że im wyżej wznosi się słońce, tym chłodniej się robi. Wreszcie zaczynają napływać chmury. Na ulicę wysypuje się oddział amerykańskich saperów w drodze do oczyszczenia pobliskich gruzów, śpiewając:

Jest...

Zimniej niż w cipie Królowej Śniegu!  
Zimniej niż gołemu śpiącemu od brzegu!  
Zimniej niż dupie w fińskiej wygodce!  
Zimniej niż Ruskiemu po mrożonej wódce!

Udają narodników, ale ja wiem, są z Jass, od Corneliu Codreanu, to jego ludzie, ludzie Legionu, oni... zabijają z jego rozkazu – związani są przysięgą! Chcą mnie zgładzić... Madziarzy z Transylwanii, znają zaklęcia... szepczą nocami... Oho, hrump, he, he, oto znowu popada w ten stan. Stan Pirata, kiedy akurat jak zwykle najmniej się tego spodziewa – trzeba zatem wspomnieć, że fenomen określony w teczce personalnej mianem „Pirat Prentice” sprowadza się w gruncie rzeczy do osobliwego daru... hm... wnikania w fantazje innych ludzi, a właściwie do brania na siebie obowiązku ich okiełznania, w tym wypadku urojeń rojalistycznego uchodźcy z Rumunii, który może się okazać przydatny w niedalekiej przyszłości. Dar ten Firma uznała za niebywale użyteczny; w obecnym czasie zdrowie umysłowe przywódców i polityków jest na wagę złota. Czy istnieje lepszy sposób stawiania im baniek i utaczania nadmiaru lęków niż kazać komuś, by zapanował nad galopadą ich wyczerpujących małych zwidów, żył w mdłym

zielonym świetle ich azylów w tropikach, w bryzie wiejącej przez kosze plażowe, pił duże drinki, zmieniał co chwila publiczne lokale i siadał twarzą do drzwi, słowem, nie pozwalał, żeby ich niewinność jeszcze cokolwiek wycierpiała... dostawał za nich erekcji w przystępie myśli uważanych przez lekarzy za niestosowne... przeżywał te wszyściuteńkie lęki, na które oni nie mogą sobie pozwolić... bo zapamiętano przecież słowa P.M.S. Blacketta: „Nie da się prowadzić wojny w przyływach emocji”. Pozostaje tylko zanucić tę wyuczoną kretyńską piosenkę i postarać się nie skrewić:

Jestem tym facetem, co się nie nudzi,

Bo miewa fantazje innych ludzi

I za nich cierpi.

Nawet z panienką na kolanie,

Gdy na prozone śniadanie

Spóźnia się Kruppingham-John,

Nie zdążę spytać, komu bije...

(Teraz fanfary tub i puzonów).

Nie ma znaczenia, czy coś mi gro-o-o-o-o-zi,

Bo groźba to dach, z którego dawno rymnąłem.

Kiedyś przepadnę i już nie wrócę w te strony,

Daruj sobie kielicha, coś mi go winien, Johnny,

Obsikaj mój grób i dalej jazda z tym showem!

Następnie zaczyna pląsać tu i tam, podnosząc wysoko nogi i kręcąc młynka laską zakończoną gałką w kształcie głowy W. C. Fieldsa, nos, cylinder, wszystko jak trzeba, wyraźnie obeznany z czarami, tymczasem zespół odgrywa drugi refren. Towarzyszy temu fantasmagoria, prawdziwa fantasmagoria rozpędzona w kierunku ekranu, ponad głowami widzów, torem eleganckiego wiktoriańskiego przekroju, przypominającego profil konika szachowego, obmyślonego z brawurą, ale bez przesady – zaraz mknie z powrotem na zewnątrz, potem znowu do środka, na zewnątrz, do środka, na zewnątrz, a skala obrazów zmienia się tak szybko, tak niespodziewanie, że w

tej beczce miodu jest łyżka dziegiu, jak to się mówi. Scenami są najciekawsze chwile kariery Pirata jako zastępczego fantasty, sięgające czasów, kiedy gdziekolwiek zaszedł, z samego środka jego głowy wyrastało w formie ewidentnie mongoloidalnego ostrza znamię Młodzieńczej Niewiedzy. Zdawał już sobie sprawę, że pewne historie, które mu się śnią, są cudze. Nie dlatego, że po przebudzeniu analizował pieczołowicie ich treść, po prostu *wiedział*. Potem nadszedł dzień, kiedy po raz pierwszy spotkał właściciela snu, który mu się przyśnił: park, sztuczne źródło z wodą pitną, bardzo długi i równy szereg ławek, świadomość bliskości morza tuż za rzeźbionym wieńcem niskich cyprysów, deptaki z szarych tłuczonych kamieni, z pozoru miękkich jak rondo filcowego kapelusza, aż chciałoby się złożyć na nich senną głowę, i oto nadchodzi śliniący się łązega w koszuli bez guzików, taki, którego człowiek boi się spotkać, no i przystaje, by przyjrzeć się dwóm harcerkom próbującym wyregulować ciśnienie w wodotrysku. Pochylają się, apetyczne ślicznotki, nieświadome, że spod spódniczek wygląda zgubna biel bawełnianych majteczek – łuki pośladek tłuściutkich niczym u niemowlaka są ciosem dla Genitalnego Mózgu bez względu na stan zbzikowania. Włóczęga rechocze i pokazuje dziewczęta palcem, po czym zerka przez ramię na Pirata i mówi coś niebywałego:

– He, he. Harcerki pompują wodę... *Twoim odgłosem będzie skwiercząca noc...* he, he – patrząc na niego, nie ma najmniejszej wątpliwości...

Rzecz w tym, że te same słowa przyśniły się Piratowi poprzedniej nocy, tuż przed rannym przebudzeniem, i pochodziły z tradycyjnej listy nagród we współzawodnictwie, w którym zrobiło się tłoczno i niebezpiecznie za sprawą domowej interwencji spopielonych ulic... nie bardzo pamiętał... teraz, nieprzytomny ze strachu, odpowiada:

– Jazda stąd, bo zawołam policjanta.

Załatwił doraźnie problem. Lecz w końcu nadeszła chwila, gdy ktoś inny odkrył jego dar, ktoś, dla kogo miał on znaczenie – jakby tego było mało, Pirata męczył jego własny koszmar – melodramat w stylu Eugene Sue – w



którym zostaje on porwany przez bractwo asasynów albo Sycylijszyków i wykorzystany do celów nienadających się do opisanania.

W 1935 roku pierwszy raz przeżył taką historię poza wszelkim znanym stanem snu – zdarzyło się to w jego kiplingowskim okresie: jak okiem sięgnąć, nieludscy Sudańczycy z poboru, wśród wojska szerzy się leiszmanioza skórna i skażenie przez nicienie, od miesiąca brak piwa, radio zagłuszone przez inne mocarstwa, które, Bóg raczy wiedzieć, z jakiej racji chciałyby panować nad tymi wstrętnymi Murzynami, wszelkie imperialne obyczaje diabli wzięli, żadnego rozbrykanego Cary'ego Granta, wlewającego przez nieuwagę ogłupiające lekarstwo do waz na poncz... ani nawet szansy odegrania Araba z Utyłanym Kinolem, to rzewna klasyka, o której słyszał każdy szeregowiec armii brytyjskiej... nic dziwnego zatem, że pewnego popstrzonego przez muchy dnia o czwartej po południu, w smrodzie gnijących skórek po melonach, przy akompaniamencie jedynej płyty gramofonowej na tym przyczółku, Sandy'ego MacPhersona, po raz tysięczny rzepolącego „Zmianę warty”, co się tu rozgrywa na oczach przytomnego Pirata, jeśli nie wspaniała orientalna przygoda: przeskoczywszy ogrodzenie leniwie, ale z zapasem, wślizguje się do miasta, do Zakazanej Dzielnicy. Tam natyka się na orgię zorganizowaną przez Mesjasza, w którym nikt jeszcze Mesjasza nie rozpoznał, i orientuje się, gdy tylko krzyżują się ich spojrzenia, że jest jego Janem Chrzcicielem, jego Natanem z Gazy, że to on właśnie musi przekonać go o jego własnej boskości, obwieścić innym o jego istnieniu, miłować go bluźnierczo i w Imię Tego, kim jest... to fantazja niczyja inna, tylko H.A. Loafa. W każdej kompanii jest przynajmniej jeden Loaf, to właśnie Loaf ciągle zapomina, że muzułmanie nie lubią, gdy pstryka im się zdjęcia na ulicy... to Loaf pożycza od innych koszule, to jemu kończą się fajki, to on zaraz znajduje skręta z trawki w cudzej kieszeni i zapala go w kasynie w samo południe, gdzie teraz kręci się ze swobodnym uśmiechem na twarzy, zwracając się po imieniu do sierżanta dowodzącego plutonem czerwonych doniczek. Kiedy Pirat, popełniając fatalny błąd, sprawdza swój

sen u Loafa, niebawem o wszystkim wiedzą wyższe czynniki. Informacja ląduje w teczce personalnej i w końcu Firma, niestrudzenie poszukując umiejętności przeliczalnych na pieniądź, wzywa go pod Whitehall i poddaje obserwacji podczas transów pośród teł z niebieskiego rypsu i okropnych plansz, on zaś wywraca źrenice w głąb czaszki i czyta stare graffiti, wyróżnione we własnych oczodołach...

Podczas pierwszych kilku prób nic się nie kleiło. Marzenia senne były bez zarzutu, tyle że nie należały do nikogo ważnego. Lecz Firma jest cierpliwa, ukierunkowana bez reszty na Dłuższą Metę, oto jak się sprawy mają. Wreszcie pewnego przepisowego londyńskiego wieczoru, jak u Conan Doyle'a, ze zgaszonej latarni ulicznej doszedł Pirata wyraźny smród gazu i nieopodal we mgle zmaterializował się gigantyczny kształt, podobny do ludzkiego gruczołu. Ostrożnie, krok po kroku stawianym w czarnych butach, Pirat się zbliżał. To coś zaczęło sunąć ku niemu po kocich łbach, powoli jak ślimak, wychodząc mu na spotkanie i zostawiając za sobą szlak śluzowatej bieli, która w żadnym razie nie brała się z mgły. Dzielił ich rozjazd kolejowy, do którego Pirat, poruszając się szybciej, dotarł pierwszy. I wtedy aż go rzuciło do tyłu ze zgrozy, z powrotem za tory – ale takie objawienia są nieodwracalne. Był to przeogromny Migdałek Trzeci. Wielki przynajmniej jak katedra Świętego Pawła, rozrastał się z godziny na godzinę. Londyn, a może cała Anglia znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie!

Ten limfatyczny potwór zablokował niegdyś szacowne gardło lorda Blatherarda Osmo, który w swoim czasie zajmował się w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Novim Pazarem – sroga pokuta za poprzednie stulecie brytyjskiej polityki w sprawie wschodniej, bo to od tego enigmatycznego sandzaku zależał wówczas los całej Europy:

Czy ktokolwiek wie, gdzie to jest na mapie?

Diabeł się nawet nie połapie!

I Serb z Kuli, i Czarnogórzec z Vlebu

Czekają na grom z jasnego nieba – och, miła.

Spakuj mą walizkę, otrzep mój garnitur,  
W kieszenie mi włóż po grubym cygarze.  
Jeśli będziesz mnie szukać,  
To w Orient Expressie,  
Ostatnia stacja w Novim Pazarze!

Chór ponętnych młodych kobiet, wystrojonych nieskromnie w bermyce i welingtony tańczy przez chwilę, podczas gdy w innej dzielnicy Migdałek wchłania po trochu Blatherarda Osmo, trwa przerażająca przemiana plazmy komórkowej, czego wyjaśnienie przekracza możliwości edwardiańskiej medycyny... nie mija dużo czasu, gdy cylindry zaśmiecają skwery Mayfair, bezpieczni zapach tanich perfum unosi się w poświacie pubów na East Endzie, Migdał – bo już nie Migdałek – miota się w szale, lecz nie połyka swych ofiar na oślep, o nie, bo szatański Migdał ma mistrzowski plan, reflektuje tylko na osoby dla niego użyteczne – jak Anglia długa i szeroka dokonuje się nowa selekcja, są wybrani i pominięci, a to wtrąca tutejsze Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w historyczny i bolesny stan niezdecydowania... nikt nie wie, co robić... podejmuje się bez przekonania próbę ewakuowania mieszkańców Londynu, czarne faetony klekoczą w masowej, mrówczej procesji po rusztach mostów, pod niebem tkwią na posterunku balony obserwacyjne, „Mamy go, siedzi w Hampstead Heath i dyszy jak... Pojawia się i znika”. „Jakieś odgłosy?”. „O tak, to okropne... jakby przeogromny nos wciągał gluta... chwileczkę, teraz zaczyna... och, nie... o Boże, nie potrafię tego opisać, to nieludz...”. Linia zerwana, koniec połączenia, balon unosi się w świt niebieski jak lusterka na skrzydłach cyraneczki. Z laboratorium Cavendisha zjeżdżają ekipy, by uzbroić Hampstead Heath w ogromne magnesy, lampy łukowe, czarne żelazne pulpity z pokrętłami i wskaźnikami, wojsko przybywa w pełnym rynsztunku bojowym, z granatami napełnionymi najnowszym śmiertelnościm gazem bojowym – Migdał zostaje ostrzelany, porażony prądem, zagazowany, tu i ówdzie zmienia ubarwienie i kształt, wysoko nad drzewami pojawiają się

żółte zwały tłuszczu... przed obiektywami aparatów fotograficznych ze spaleniowymi lampami błyskowymi pełnie w kierunku kordonu żołnierzy przerażający zielony strąk i nagle ślurp! – obsada całego punktu obserwacyjnego zmieciona z powierzchni ziemi przez wyciek obrzydliwego pomarańczowego śluzu, w którym nieszczęśnicy zostają strawieni – ale nie krzyczą, mało tego, śmieją się, bo jest im rozkosznie...

Misja Pirata/Osmo polega na nawiązaniu kontaktu z Migdałem. Sytuacja się ustabilizowała, potwór zajął cały kwartał St. James, nie ma już zabytkowych budynków, biura rządowe przeniesiono, ale są tak rozproszone, że łączność między nimi stoi pod dużym znakiem zapytania – listonoszy w trakcie doręczania poczty porywają pokryte twardymi krostami macki Migdała w kolorze fluorescencyjnego beżu, druty telegraficzne rwą się, gdy tylko przyjdzie mu na to ochota. Każdego ranka lord Osmo zmuszony jest włożyć melonik i udać się z neseserem do Migdała, by odbębnić swe codzienne demarche. Zabiera mu to tyle czasu, że zaniedbuje Novi Pazar, i Ministerstwo Spraw Zagranicznych zaczyna się martwić. W latach trzydziestych wciąż przeważało myślenie w kategoriach równowagi sił, wszyscy dyplomaci chorowali na balkanozę, szpiedzy o cudzoziemskich, hybrydowych nazwiskach czaili się na każdym dworcu kolejowym okrojonego Imperium Osmańskiego, agenci operacyjni tatuowali sobie pod nosem zaszyfrowane informacje w kilkunastu słowiańskich językach, następnie zapuszczali wąsy, które mogli im zgolić tylko upoważnieni do tego zakonspirowani oficerowie, a gdy już to się stało, chirurdzy plastyczni Firmy przeszczepiali kawałki skóry, by wszystko zakryć... Górne wargi były palimpsestami z tajnym pismem, pokiereszowane i nienaturalnie białe, dzięki czemu nawzajem się rozpoznawali.

Tak czy owak, Novi Pazar stanowił *croix mystique* na dłoni Europy i Ministerstwo Spraw Zagranicznych postanowiło w końcu poprosić Firmę o pomoc. Firma знаła odpowiedniego człowieka.

Codziennie przez dwa i pół roku Pirat odwiedzał Migdała w St. James.



Omal nie doprowadziło go to do obłądu. Choć zdołał opracować łamaną angielszczyznę, za pomocą której się porozumiewali, źle artykułował głoski nosowe, toteż okropnie się męczyli. Gdy tak fukali jak zakatarzeni, psychiatrzy w czarnych garniturach, zapinanych na siedem guzików, wielbiciele doktora Freuda, którego Migdał najwyraźniej miał gdzieś, stali na rozkładanych drabinach, opartych o jego obrzydliwy szarawy bok i karmili go szuflami nowego cud narkotyku, czyli kokainy – pod drabiny podstawiano szeregiem całe wiadra białej substancji, którą wcierano w pulsujący Narząd i wsypywano w pełne zarazków toksyny bulgoczące wstrętnie w rozstępach jego ciała, jednak bez żadnych widocznych rezultatów (choć kto wie, co wtedy czuł Migdał, hę?).

Lord Blatherard Osmo mógł wreszcie oddać się bez reszty sprawom Nowego Pazaru. Na początku 1939 roku znaleziono go zaczadzonego w tajemniczych okolicznościach w wannie napełnionej puddingiem z tapioki, w domu pewnej wicehrabiny. Niektórzy widzieli w tym rękę Firmy. Upływały miesiące, wybuchła druga wojna światowa, mijały lata, nic nie słyszano o Nowim Pazarze. Pirat Prentice uratował Europę od bałkańskiego Armagedonu, o którym marzyli starcy, odczuwający zawroty głowy w swych łóżkach na myśl o walnym charakterze tej batalii – ale nie od kolejnej wojny światowej. W tym czasie Firma wydzielała mu już tylko homeopatyczne dawki spokoju, dostatecznie duże, by utrzymał wysoką formę, nie dość jednak, by się od nich uzależnił.



Dla Teddy'ego Bloata nastąpiła pora lunchu, lecz dziś na lunch będzie, fuj, rozmiękła kanapka z bananem, zawinięta w pergamin, którą pakuje teraz do swego stylowego chlebaka z kangurzej skóry, wpychając rękę między niecodzienne artykuły pierwszej potrzeby: miniaturowy szpiegowski aparat fotograficzny, słoik wosku do wąsów, puszkę lukrecji, mentolowe i pieprzowe dropsy „Pełny Głos”, przepisane przez lekarza okulary przeciwsłoneczne w złotych oprawkach w stylu generała MacArthura, dwie bliźniacze szczotki do włosów oprawne w srebro, każda w kształcie płomienno miecza, symbolizującego SHAEF – czyli Dowództwo Najwyższe Sprzymierzonych Sił Ekspedycyjnych – których obstalowanie matka zleciła firmie Garrarda i które on uważa za wyśmienitą robotę.

Jego celem w to deszczowe zimowe południe jest miejski dom z szarego kamienia, ani duży, ani zabytkowy na tyle, by figurował w jakimkolwiek przewodniku turystycznym, niewidoczny z Grosvenor Square, usytuowany nieco na uboczu oficjalnych stołecznych tras i ścieżek. Kiedy maszyny do pisania przestają klekotać (o 8.20 i innych mistycznych porach) i niebo jest wolne od amerykańskich bombowców, a ruch uliczny na Oxford Street słabnie, słychać, jak na dworze świergołą zimowe ptaki, krzątające się przy karmnikach wystawionych przez dziewczyny.

Kamienie brukowe są śliskie od mgły. Nastąpił mroczny, bezlitosny środek dnia, zsyłający głód tytoniowy, ból głowy i nadkwasotę, milion biurokratów szafuje śmiercią, a niektórzy nawet się z nią zaznajomili, niejedni jest już po drugim albo trzecim kuflu piwa lub po szklaneczce whisky z wodą sodową, co tworzy desperacką aurę. Lecz Bloat, wchodząc przez obłożone workami z piasku wejście (prowizoryczne piramidy, wzniesione ku czci osobliwego potomstwa bogów) nie czuje tej atmosfery: zbyt jest zajęty odmawianiem w myśli litanii wszystkich możliwych wymówek na wypadek, gdyby go tu przyłapali, no, ale wiadomo, że nie przyłapią...

Dziewczyna w recepcji, żująca balonówkę sympatyczna okularnica z Terytorialnej Służby Pomocniczej, machnięciem ręki kieruje go na górę. Spoceni wełniani adiutanci w drodze na narady sztabowe i do ubikacji, po godzinie lub dwóch sumiennego picia, kiwają głowami na powitanie, ale właściwie go nie widzą, bo to dobrze znana gęba, jak on się nazywa, kolego, to jeden z oksfordczyków, co nie, porucznik, pracuje tam, na końcu korytarza, w ACHTUNG-u...

Stary budynek został podzielony przez wojennych wandalów na odrębne biura. ACHTUNG to Alianckie Centrum Humanistyczno-Techniczne. Ukierunkowanie: Niemiecka Gospodarka. Jest to wypełniona nieświeżym dymem nora, w obecnej chwili prawie opustoszała, a czarne maszyny do pisania prężą się niemal jak kamienne nagrobki. Na podłodze leży brudne linoleum, nie ma okien: światło elektryczne jest żółte, tanie, bezduszne. Bloat zagląda do pomieszczenia przydzielonego jego dawnemu koledze z Kolegium Jezusowego, porucznikowi Oliverowi („Chyżemu”) Mucker-Maffickowi. Żywej duszy. Chyży i jankes są na lunchu. Dobrze. Cap stary aparat z chlebaka, pstryk, lampa na biurku włączona, teraz ustawić odbłyśnik, o tak...

Takie klitki są pewnie w całym europejskim teatrze wojennym: tylko trzy ścianki z obskurnej, odrapanej płyty pilśniowej w kremowym kolorze, nieprzykryte nawet sufitem. Chyży dzieli to pomieszczenie ze swym amerykańskim kolegą, porucznikiem Tyrone’em Slothropem. Ich biurka ustawione są do siebie pod kątem prostym, toteż utrzymanie kontaktu wzrokowego możliwe jest tylko przy skręceniu szyi o blisko pięćdziesiąt stopni. Na biurku Chyżego panuje porządek, na biurku Slothropa jest okropny bałagan. Ostatni raz politura drewnianego blatu oglądała świat w 1942 roku. Śmieci poukładały się z grubsza w warstwy, spajane biurokratyczną maską, sięgającą niezawodnie samego podłoża, która składa się z milionów maleńkich czerwonych i brązowych paproszków po gumce do wycierania, spiralnych wiórków po temperowanych ołówkach, wyschniętych

plam po kawie i herbacie, śladów cukru i pasteryzowanego mleka, mnóstwa popiołu z papierosów, pstrykniętych palcami mikroskopijnych drobinek zaschniętego tuszu, wybranych z taśm do maszyny do pisania, rozkładającego się kleju introligatorskiego i rozkruszonych na miazgę tabletek aspiryny. Dalej idą porozsypywane spinacze do papieru, kamyczki do zapalniczek marki Zippo, elastyczne gumki, zszywki, niedopałki i zgniecione paczki po papierosach, zbłąkane zapałki, szpilki, stalówki piór, ogryzki kredki we wszystkich kolorach, nie wyłączając trudnego do zdobycia jasnego fioletu i umbry naturalnej, drewniane łyżeczki do kawy, pastylki na gardło z kory wiązu, przysłane mu przez mamę, Nalline, aż z Massachusetts, kawałki taśmy, sznurka, kredy... a na tym wszystkim warstwa zapomnianych notatek, pływających okładek po kartkach żywnościowych, numery telefonów, listy bez odpowiedzi, postrzępione kalki, nagryzmolone akordy na ukulele do kilkunastu piosenek, między innymi „Johnny Doughboy znalazł różę w Irlandii” („Obcykał parę żwawych aranżacji – donosi Chyży – bo to swego rodzaju amerykański George Formby, jeśli można sobie wyobrazić kogoś takiego”, lecz Bloat dochodzi do wniosku, że raczej nie można), pusta buteleczka po odżywce do włosów, zagubione fragmenty różnych układanek, ukazujące część bursztynowego oka wyżła weimarskiego, fałdy zielonej sukni z aksamitu, szaroniebieską żyłę w dalekiej chmurze, pomarańczową aureolę eksplozji (może to zachód słońca?), nity w powłoce latającej fortecy, różowe udo odymającej wargi seksbomby.... kilka starych cotygodniowych sprawozdań wywiadowczych z G-2, pęknięta i skrzyta struna od ukulele, pudełeczka z powleczonymi klejem różnokolorowymi gwiazdkami z papieru, elementy latarki, pokrywka od puszek po paście do butów, w której co jakiś czas Slothrop przygląda się swemu niewyraźnemu mosiężnemu odbiciu, niezliczona liczba informatorów z usytuowanej w głębi korytarza biblioteki ACHTUNG-u: słownik technicznej niemieczyzny, wydany przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych „Specjalny podręcznik”, plan miasta, no i na ogół, chyba że ktoś podkradnie

albo wyrzuci, numer „News of the World” gdzieś w środku tego wszystkiego, bo Slothrop jest wiernym czytelnikiem tej gazety.

Na ścianie obok biurka Slothrop'a wisi mapa, konkretnie plan Londynu, który Bloat teraz starannie obfotografuje niewielkim aparatem. Chlebak jest otwarty i po klitce rozchodzi się zapach dojrzałych bananów. Czy powinien zapalić szluga, żeby to zamaskować? Tu nie ma żadnego przewiewu, zorientują się, że ktoś był. Cztery zdjęcia, klik, zzzzyt, klik, rany, ale nabrał w tym wprawy – gdyby ktoś zajrzał, natychmiast rzuca aparat do chlebaka, gdzie kanapka z bananem amortyzuje lądowanie, podobnie jak rozprasza demaskujący odgłos i groźną siłę grawitacyjną.

Szkoda, że ci, którzy finansują te podchody, nie wybulą na kolorowy film. Bloat zastanawia się, czy to na pewno nie robi różnicy, lecz nie zna nikogo, kogo mógłby spytać. Gwiazdki naklejone na mapę Slothrop'a ukazują bowiem całe spektrum barw, od srebrnej (oznaczonej imieniem Darlene), współtworzącej konstelację z Gladys, to ta zielona, i Katherine, to złota, i gdy tak oko wędruje, mamy Alice, Delores, Shirley, dwie Sally – tutaj większość to czerwień i błękit – i gromadkę niedaleko Tower Hill, zagęszczenie fioleto w okolicy Covent Garden, mgławicę sunącą do Mayfair, Soho i dalej aż do Wembley i ku Hampstead Heath – ten odklejający się tu i ówdzie, połyskliwy, wielobarwny firmament rozciąga się we wszystkich kierunkach: Karoliny, Marie, Anny, Zuzanny, Elżbiety.

Lecz być może kolory są sprawą przypadku, a nie szyfrem. Być może dziewczyny nawet nie istnieją naprawdę. Za pośrednictwem Chyżego, po tygodniach niby mimochodem rzucanych zdań („Wiemy, że jest twoim kolegą ze szkolnej ławy, ale włączenie go byłoby zbyt ryzykowne”), Bloat może donieść tylko tyle, że Slothrop powiesił plan Londynu na ścianie jesienią, mniej więcej wtedy, gdy z polecenia ACHTUNG-u zaczął krążyć po mieście, żeby oglądać zniszczenia spowodowane przez pociski rakietowe – mając najwyraźniej dość czasu na podryw w trakcie kursowania między miejscami śmierci. Jeśli istnieje konkretny powód, dla którego co kilka dni na



mapie rozkwitają nowe gwiazdki, to Amerykanin go nie zdradził – wszystko wskazuje na to, że nie nalepia ich dla rozgłosu, bo tylko Chyży zerka na plan, i to raczej w duchu przyjaznej antropologii – „nieszkodliwy jankeski sport”, tłumaczy swemu koledze Bloatowi. „Może to po to, żeby się w nich wszystkich nie pogubił. Prowadzi dość bogate życie towarzyskie”. Po czym wdaje się w historie o Lorraine i Judy, o konstablu homoseksualiście imieniem Charles i fortepianie w składzie antykwarycznym, o dziwacznej maskaradzie, w której brała udział pewna Gloria i jej ponętna matka, o zakładzie w wysokości funta szterlinga, kto wygra w meczu Blackpool kontra Preston North End, o niecenzuralnej wersji „Cichej nocy” i opatrnościowej mgle. Ale żaden z tych wątków nie wyjaśnia za wiele, przynajmniej jeśli chodzi o cele tych, którym Bloat składa raporty...

Hak im w smak. Skończył. Chlebak zasunięty, lampa zgaszona i przesunięta na swoje miejsce. Być może zdąży jeszcze złapać Chyżego „Pod Kiszonym Ogórkiem”, bo najwyższa pora na piwo z towarzyszem broni. Wraca labiryntem z płyt pilśniowych, rozświetlonym nikłym żółtym światłem, pod prąd strumienia nadchodzących dziewcząt, obutych w kalosze, zachowując rezerwę, ani jednego uśmiechu, nie ma czasu na klapsy i podszczypywanko, rozumie się, musi się jeszcze wywiązać z dzisiejszej dostawy...



Wiatr zmienił kierunek na południowo-zachodni, opada słupek barometru. Pod zwałami deszczowych chmur wczesnym popołudniem jest ciemno jak wieczorem. Zmoknie i Tyrone Slothrop. Ma za sobą długą idiotyczną pogoń do zerowego południka w Greenwich – i jak zwykle niewiele zobaczył. Wygląda na to, że rakietą znowu przedwcześnie wybuchła, bo deszcz płonących odłamków spadł na obszarze wielu mil, większość do rzeki, została się tylko jedna część jakiej takiej wielkości, otoczona teraz, kiedy Slothrop się zjawił na miejscu, najciaśniejszym i najbardziej nieprzyjaznym kordonem funkcjonariuszy służb bezpieczeństwa, jaki kiedykolwiek widział. Miękkie, wypłowiałe berety na tle ciemnoszarych chmur, steny typu mark III nastawione na prucie seria, sumiaste wąsy, zakrywające całe usta, nie ma żartów – żadnej szansy, by amerykański porucznik mógł zerknąć, nie dziś.

ACHTUNG to ubogi krewny alianckich wywiadów. Przynajmniej tym razem Slothrop nie jest jedynym poszukiwaczem; odczuwa kiepską satysfakcję na widok swego konkurenta z Wywiadu Technicznego, a zaraz potem z wielkim szumem przybywa wolseyem wasp rocznik '37 szef całej sekcji, i obaj odchodzą z kwitkiem. Ha! Żaden z nich nie odpowiada na przyjazne skinienie Slothropu. Życie nie pieści, co, koledzy? Cwany Tyrone kręci się jednak w pobliżu, częstując papierosami dopóty, dopóki nie zorientuje się przynajmniej, czym konkretnie niebo poczęstowało Londyn.

To grafitowy cylinder, długość około sześciu cali, średnica dwa, z wierzchu wszystko zwęglone oprócz paru płatów zgniłozielonej farby. Jedyna część, która zachowała się po wybuchu. Najwyraźniej tak miało być. Bo do środka napchano jakichś papierów, zdaje się. Starszy sierżant oparzył sobie rękę, kiedy to podnosił, i wrzasnął: „Kurwa mać!”, co wzbudziło śmiech wśród jego podwładnych. Wszyscy wokół czekają na niejakiego kapitana Prentice'a z Zarządu Operacji Specjalnych (tym drażliwym skurwysynom nigdy się nie śpieszy), który właśnie się zjawia. Slothrop widzi go przelotnie – ogorzała

twarz, niezły kawał sukinkota. Prentice bierze cylinder, odjeżdża i tyle.

W takim razie, kombinuje Slothrop, nieco znużone już ACHTUNG może po raz n-ty złożyć do Zarządu Operacji Specjalnych międzywydziałowe podanie z prośbą o informacje na temat zawartości cylindra, które jak zwykle pozostanie bez odpowiedzi. Dobra, w porządku, nie ma pretensji. ZOS ignoruje wszystkich, a wszyscy ignorują ACHTUNG. A w ogóle, jakie to ma znaczenie? Na razie to jego ostatnia rakietka. Oby na zawsze.

Tego ranka w swym koszyku z pocztą znalazł rozkazy oddelegowujące go służbowo do jakiegoś szpitala na East Endzie. Żadnych wyjaśnień poza dołączoną kopią wniosku pod adresem ACHTUNG-u, w którym domagano się odkomenderowania go „w ramach programu doświadczalnego ZWP”. Doświadczalnego? ZWP to Zarząd Walki Politycznej, sprawdził to. Pewnie szykuje się więcej tego Minnesockiego Wielowymiarowego Gówna. Ale przynajmniej czeka go odmiana, bo ma już trochę dosyć uganiania się za raketami.

Dawniej Slothropowi zależało. Słowo harcerza. Przynajmniej tak mu się wydaje. Niejedno z tego, co zdarzyło się przed 1944 rokiem, zaciera się w pamięci. Pierwsze naloty jawią się teraz jako długie pasmo szczęśliwych przypadków. Nic, co zrzuciło Luftwaffe, nie spadło blisko niego. Ale latem zaczęli wystrzeliwać bomby latające. Szedł sobie ulicą albo kimał w łóżku i nagle nad dachami rozchodził się ten dziwny dźwięk, przypominający pierdnięcie – jeśli odgłos się nasilał, osiągał coraz wyższe tony i zaraz oddalał, no, to wtedy można było odetchnąć, bo to już zmartwienie kogoś innego... Gorzej, gdy silnik gasł, no, to wówczas ratuj się, kto może – bomba zaczynała nurkować, paliwo tryskało tyłem z komory spalania, i miałeś dziesięć sekund, żeby się gdzieś schronić. No, może, z ręką na sercu, nie było aż tak źle, bo po pewnym czasie człowiek się przyzwyczajał – Slothrop zakładał się nawet o szylinga lub dwa z Chyżym Mucker-Maffickiem przy sąsiednim biurku o to, gdzie trafi następna zabawka...

Ale potem, we wrześniu, zaczęły nadlatywać rakietki. Pierdolone rakietki.

Do tych kurew nie można się przyzwyczaić. W żaden sposób. Za pierwszym razem ze zdziwieniem się zorientował, że naprawdę się boi. Zaczął więcej popijać, mniej spać, palił jednego za drugim, mając poczucie, że zachowuje się jak frajer. Chryste, to przecież nie może tak trwać...

- Rany boskie, Slothrop, przecież memłasz już jednego w gębie...
- To nerwy – odpowiada i mimo wszystko zapala.
- To kopć przynajmniej swoje – prosi Chyży.
- Dwa naraz, widzisz? – kieruje papierosy do dołu, aż wyglądają jak kły jakiejś bestii z komiksu.

Porucznicy patrzą na siebie w piwnym półmroku, tymczasem za wysokimi zimnymi oknami pubu „Pod Kiszonym Ogórkiem” powoli przemija dzień, a Chyży zaraz roześmieje się albo prychnie „O Boże!” nad dzielącym ich drewnianym Atlantykiem stołu.

W ciągu ostatnich trzech lat był niejeden taki Atlantyck, nierzadko bardziej wzburzony niż ten, który William, pierwszy transoceaniczny Slothrop, przepłynął wiele pokoleń temu. Barbarzyński ubiór i język, skandaliczne zachowanie – pewnego okropnego wieczoru pijany Slothrop, gość Chyżego na zebraniu Klubu Naukowo-Literackiego Młodych, dał taki popis, że obu wyrzucono na zbity pysk, bo dziobem wypchanej sowy próbował przebić szyję DeCoverleya Poxa, a osaczony na stole bilardowym Pox chciał mu wtłoczyć bilę do gardła. Tego rodzaju historie zdarzają się przeraźliwie często, lecz dobroć to dostatecznie krzepki statek nawet na takie oceany, bo Chyży zawsze jest obok, czerwieni się albo uśmiecha, i Slothrop dziwi się, jak to możliwe, że jeśli się nad tym zastanowić, to nigdy się na nim nie zawiódł.

Wie, że może zwierzyć się z tego, co leży mu na wątrobie. Ma to niewiele wspólnego z dzisiejszym intymnym raportem w sprawie Normy (nogi smarkatej baletnicy w pończochach), Marjorie (wysoka, szykowna, zgrabna tancerka rewiowa z „Wiatraka”) i osobliwych wydarzeń sobotniej nocy w klubie „Frick Frack” w Soho, lokalu o nie najlepszej renomie, gdzie są

ruchome pastelowe światła i wywieszki MUNDUROWYM WSTĘP WZBRONIONY oraz ZABRANIA SIĘ TAŃCZYĆ JITTERBURGA, co ma rozwiać podejrzenia funkcjonariuszy policji, wojska i służb cywilnych wszelkiego autoramentu, cokolwiek w tych czasach znaczy „cywilny”, którzy zagląдают tam od czasu do czasu, i gdzie wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, za sprawą jakiejś strasznej zмовy, Slothrop, który miał spotkać się z jedną z nich, wchodzi i widzi *obie*, tuż obok siebie, w odślonie akurat dla jego oczu, nad ramieniem młodszego mechanika w mundurze z niebieskiej wełny i pod śliczną nagą pachą rozbrykanej w tańcu dziewczyny o skórze pobarwionej na fioletowo przez zmieniające się światło, paranoja się rozkręca, dziewczyny zaczynają się obracać w jego stronę...

Tak się składa, że na mapie Slothropa *obie* laleczki są srebrnymi gwiazdkami. Pewnie w obu wypadkach czuł się srebrzyście – promienny wzrok, iskrzący się humor. Kolory gwiazdek odzwierciedlają jego samopoczucie danego dnia, od szarości po złoty. Nie układa jednak rankingu, jak mógłby? I tak mapy nie ogląda nikt oprócz Chyżego, a poza tym, Boże, one wszystkie są tak samo piękne... pąki i rozkwitłe kwiaty, rozproszone po całym zimowym mieście, w herbaciarniach, w kolejkach, opatulone, chustki na głowach, wzdychające, kichające, nogi w fildekosowych pończochach na krawężnikach, bo łapią okazję, albo siedzą przy maszynach do pisania, albo w archiwach, z żółtymi ołówkami wetkniętymi w upięte włosy, Slothrop napotyka je wszystkie – damy, podfruwajki, piersiaste lale – tak, być może to lekka obsesja, lecz... „Wiadomo mi, że jest na świecie dość miłowania i radości – głosił kaznodzieja Thomas Hooker – jak dość jest dzikiego tymianku i innego ziela, lecz my dostąpimy miłości i radości w rajskim ogrodzie doglądanym przez Boga samego”. Ogród Slothropa też rośnie bujnie. Roi się w nim od powojnika i niezapominajki, od ruty, a wszędzie pleni się bratek fioletowy i żółty jak dwudniowy siniak.

Lubi opowiadać im o robaczkach świętojańskich. Angielki figę wiedzą o robaczkach, a to chyba wszystko, co z kolei Slothrop wie o Angielkach.



Mapa intryguje Chyżego. Nie sposób złożyć jej istnienia na karb zwykłego samochwalstwa lubiących podryw Amerykanów, co najwyżej można ją uznać za funkcjonujący w próżni odruch z lat studenckich, nad którym Slothrop nie może zapanować – jak pies szczekający w pustym laboratorium, w ciasnocie odbijających echo korytarzy – funkcjonujący, gdy już dawno nie ma ku temu powodu, bo przecież koledzy pojechali na wojnę światową, żeby znaleźć śmierć. Slothrop tak naprawdę nie lubi rozmawiać o swoich dziewczynach; Chyży musi go podpytywać dyplomatycznie, nawet teraz. Z początku, okazując osobliwą rycerskość, Slothrop w ogóle nie chciał nic powiedzieć, aż wreszcie zorientował się, jak bardzo nieśmiały jest Chyży. Wtedy zaświtało mu, że Chyży chce, by go z którąś umówić. Mniej więcej w tym samym czasie Anglik zaczął dostrzegać rozmiary izolacji Slothropa. Wydawało się, że poza mrowiem dziewczyn, które rzadko widuje drugi raz, nie ma on w Londynie nikogo, z kim mógłby o czymkolwiek porozmawiać.

Z sumiennością maniaka Slothrop codziennie uzupełnia swą mapę. W najlepszym wypadku celebrytuje w ten sposób zmianę, przemijanie, od którego – pośród nagłych zniszczeń zsyłanych z nieba, tajemniczych rozkazów biorących się z mrocznego ślęczenia po nocach, które dla niego są czasem bezczynności – potrafi niekiedy ocalić chwilę, wspomnienie coraz chłodniejszych dni, porannego szronu, piersi Jennifer pod zimnym wełnianym swetrem, dotykanych, by ogrzać sobie dłonie w zacadzonym korytarzu, wypełnionym za dnia przygnębieniem, jakiego nie zazna, filiżanki gorącego jak ukrop bulionu, parzącej jego nagie kolano, kiedy Irene, naga tak jak on w słupie okiennego światła, sprawdza po kolei drogocenne nylonowe pończochy, żeby znaleźć parę takich, w których nie puściło oczko, a każda błyska słońcem przedostającym się z zewnątrz przez okowy zimy, nosowych głosów rozśpiewanych Amerykanek z płyty na adapterze matki Allison i przytulania się w chłodzie, zasłon zaciemniających wszystkie okna, braku światła prócz żaru ostatniego papierosa, tego angielskiego robaczka świętojańskiego, według jej widzimisię piszącego zamasyście wyrazy, które

trochę się ciągną, słowa, których on nie potrafi odczytać...

– No i co się stało? – Ale Slothrop milczy. – Co zrobiły te dwie dziewczuchy... gdy cię zobaczyły? – Wtedy spostrzega, że Slothrop, zamiast opowiadać dalej, siedzi roztrzęsiony. Już od dłuższej chwili. Fakt, zimno tutaj, ale nie aż tak. – Ej?

– Jezusie, nie wiem, co mi jest. – A jednak to ciekawe. Uczucie najosobliwsze z osobliwych. Nie potrafi powstrzymać się od dygotu. Stawia kołnierz kurtki, dłonie wciąga w rękawy i siedzi tak przez chwilę.

Potem, po krótkiej przerwie, gest papierosem.

– Nie słyszać, jak nadlatują.

Chyży wie, o czym mowa. Ucieka oczami w bok. Chwilowe milczenie.

– Jasne, że nie, przecież lecą szybciej niż dźwięk.

– Nie, nie o to chodzi – słowa wrywają się z ust między napadami trzęsionki – bo te pierwsze, V-1, je przecież słyszać, co nie? I człowiek ma szansę zejść im z drogi. A te najpierw wybuchają, a-a-a dopiero potem słyszać, że nadlatują. Tylko że jak już nie żyjesz, to nie słyszysz.

– Tak samo jest w piechocie. Wiesz przecież. Nigdy nie słyszysz kuli, która cię trafia.

– E tam, gadanie...

– Wyobraź to sobie jako wielki nabój, Slothrop. Nabój z brzechwami.

– Jezusie – szczęka zębami Amerykanin – ty potrafisz pocieszyć człowieka.

Nachylając się z troską w oparach chmielu i brązowym półmroku, bardziej przejęty dygotem Slothrop niż jakimkolwiek własnym zwidem, Chyży dysponuje tylko oklepanymi metodami odczyniania podobnych stanów.

– Spróbujmy może pojechać tam, gdzie parę spadło...

– Po co? Daj spokój, Chyży, są kompletnie zniszczone, nie?

– Nie wiem. Wątpię, czy nawet Niemcy wiedzą. Ale to najlepszy sposób, żeby zakasować tę bandę z Wywiadu Technicznego. Nie?

W taki właśnie sposób Slothrop zaczął badać „incydenty” z raketami V. Musztarda po obiedzie. Na początku ktoś z obrony cywilnej podszywał co rano

ACHTUNG-owi listę trafień z poprzedniego dnia. Slothrop dostawał ją ostatni i wtedy brał dyspozycje, wyciągał wysłużonego humbera z bazy i ruszał ponieważ na poszukiwania, święty Jerzy w pościgu za smokiem, po którym zostały tylko odchody, na tropie unicestwionych już fragmentów niemieckiej techniki, następnie pisał pozbawione treści sprawozdania w notatniku – terapia przez pracę. W miarę jak sygnały o nalotach coraz szybciej docierały do ACHTUNG-u, nierzadko zjawiał się na tyle wcześniej, że pomagał ekipom ratunkowym – wchodził śladem niezmordowanych RAF-owskich psów w chmury tynku, w opary ulatniającego się gazu, między przechylone słupy i pogieęte zbrojenie, przewrócone na twarz, beznose kariatydy, w miejsca, gdzie rdza pokrywała już gwoździe i obnażone nity, gdzie pylista ręka Nicości odsłoniła tapetę szeleszczącą ogonami pawi, rozpostartymi na miękkich trawnikach przed domami z georgiańskich czasów, w bezpiecznych dąbrowach... słyszał wołania o ciszę, gdy wśród gruzowiska dostrzegano wystającą rękę albo bielącą się skórę szczęśliwca, który przeżył, lub ofiary. Jeżeli nie był w stanie pomóc, trzymał się z boku, na początku modląc się konwencjonalnie do Boga – po raz pierwszy od tamtych dawniejszych nalotów – żeby zwyciężyło życie. Lecz zbyt wielu ludzi ginęło i teraz przestał się modlić, bo nie widział w tym sensu.

Wczoraj był dobry dzień. Odnaleźli żywe dziecko, dziewczynkę, na wpół uduszoną pod zwalonym schronem typu Morrison. W oczekiwaniu na nosze Slothrop wziął ją za zsiniałą z zimna drobną rączkę. Po ulicy ujadały psy. Kiedy otworzyła oczy i zobaczyła go, jej pierwsze słowa brzmiały: „Ma pan gumę, proszę pana?”. Była uwięziona pod gruzami przez dwa dni, bez gumy do żucia, a on miał w kieszeni tylko pastylki na gardło z kory wiązu. Poczuli się jak dureń. Gdy ją zabierali, pocałowała go w rękę, a w świetle reflektorów jej usta i policzki były zimne jak lód, miasto wokół nich przeobrażone błyskawicznie w wielką zużytą lodówkę, w której panuje stęchły zapach i która nie kryje już w swym wnętrzu żadnych niespodzianek. I wtedy uśmiechnęła się blado i od razu zorientował się, że na to właśnie czekał, rany

koguta, na ten uśmiech Shirley Temple, jak gdyby miał on przekreślić wszystko, co ją spotkało. Co za idiotyczna myśl. Czuje się przytłoczony lawiną pokoleń, trzystoma latami jankesów z bagien, i nie stać go na nic więcej prócz zawarcia nerwowego rozejmu z ich opatrnością. Detente. Ruiny, które codziennie jeździ oglądać, są kazaniem o marności. To, że mimo upływu tygodni nie znalazł najmniejszego odłamka rakiety, dowodzi, jak niepodzielna jest śmierć... Wędrówka Slothrop: świeckie miasto Londyn udziela mu nauki. Wystarczy skrócić za byle róg, żeby znaleźć się w zasięgu paraboli.

Dręczy go obsesyjnie myśl o rakiecie z jego nazwiskiem wypisanym na boku – jeśli oni naprawdę uwzięli się na niego („oni” obejmuje w tym wypadku znacznie więcej możliwości niż samych hitlerowców), to taka rakietka na pewno istnieje, bo przecież nic ich nie kosztuje malowanie jego nazwiska na *każdej*, prawda?

– Sprytnie, bardzo sprytnie. – Chyży przypatruje mu się wymownie. – To się przydaje, zwłaszcza na froncie. Wiesz, o czym mówię. O symulowaniu. Diabelnie przydatne. Nazywa się to „paranoja frontowa” czy coś takiego. Ale...

– Kto tu symuluje, co? – Slothrop zapala papierosa i potrząsa grzywką w kłębach dymu. – Kurczę blade, Chyży, posłuchaj, nie chcę cię straszyć, ale... Powinni mnie byli odwołać cztery lata temu. A teraz to się może zdarzyć w każdej chwili, w następnej sekundzie, zniemacka... kurwa mać... kompletne zero, po prostu nic... i...

To jest coś, czego nie można zobaczyć ani wziąć do rąk – nagły wybuch gazów, przemoc w powietrzu, po której nie zostaje ślad... Słowo wypowiedziane bez uprzedzenia wprost do jego ucha, a potem cisza na wieki wieków. Poza niewidzialnością, poza uderzeniem młota, trąbą Sądu Ostatecznego, tam właśnie kryje się prawdziwa zgroza, drwiąca, obiecująca mu śmierć z niemiecką precyzją i pewnością siebie, wyśmiewająca wszystkie zwykłe odruchy przyzwoitości Chyżego... nie, mistrzu, to nie żaden nabój z

brzechwami, nie Słowo, lecz jedno jedyne Słowo, które rozrywa dzień na strzępy...

Było piątkowe popołudnie, wrzesień, szedł tuż po pracy do stacji metra przy Bond Street, myślami błądząc wokół czekającego go weekendu i dwóch dziewczyn ze służby pomocniczej, Normie i Marjorie, które nie mogły się o sobie dowiedzieć, no i gdy akurat podniósł rękę, żeby podłubać w nosie, z tyłu, milę w górę rzeki, rozległ się ostry trzask i wielki wybuch – *memento mori* – który przetoczył się po niebie. Jak huk piorunu. Ale nie całkiem. Parę sekund później to samo, tym razem z przodu: donośnie i wyraźnie, nad całym miastem. Wzięty w dwa ognie. Żadna tam bomba latająca, żadna Luftwaffe.

– Grzmot chyba też nie – powiedział na głos, zaintrygowany.

– Pewnie gazociąg diabli wzięli. – Kobieta z pudełkiem po lunchu i oczyma podpuchniętymi po całym dniu trąciła go łokciem w plecy.

– Nie, to Niemcy chcą dopaść *jego* – odparła jej koleżanka z zakręconymi jasnymi lokami pod kraciastą chustką, odbębniając jakiś potworny rytuał, bo wskazała palcem Slothrop. – Najbardziej lubią grubych, pyzatyh Amerykanów. – Za chwilę pewnie potarłomi go za policzek.

– Cześć, laleczko – rzekł. Na imię miała Cynthia. Zdołał wyciągnąć od niej numer telefonu, zanim pomachała mu na pożegnanie, pa-pa, poniesiona naporem tłumów w godzinie szczytu.

Było to jeszcze jedno wielkie żelazne popołudnie w Londynie: żółte słońce darł na kawałki tysiąc sapiących kominów, łaszących się bezwstydnie do nieba. Ich dym to coś więcej niż tchnienie dnia, niż mroczna moc – to majestatyczna postać, która żyje i porusza się. Ludzie przechodzili przez ulice i place, kierując się we wszystkie strony. Setki zgrzytających autobusów toczyło się długimi betonowymi wiaduktami, pobrudzonymi wskutek wielu lat bezlitosnego, posępnego użytkowania, między omglony szarością i osmolony tłustą czernią czerwony ołów i blade aluminium, między góry śmieci strzeliste jak wieżowce, sierpami zakrętów, w ulice zakorkowane przez konwoje wojska, kolejne autobusy, ciężarówki, rowery i samochody

osobowe, a każdy pojazd zmierzał w inne miejsce i z innego przybył, choć wszystkie były w ruchu, sunęły rwanym rytmem, wyżej zaś królowały wielkie gazowe zgliszcza słońca pośród kominów, balonów zaporowych, linii wysokiego napięcia i dymników brązowych jak starzejące się meble, coraz ciemniejszych, czerniejących w okamgnieniu – być może to jest prawdziwe oblicze zachodzącego słońca – oto macie wino, wino i pociechę.

Zegarek wskazywał godzinę 6 minut 43 i 16 sekund podwójnego czasu letniego: niebo, wygrzmoczone jak werbel Śmierci, wciąż dudniło echem, a kutas Slothrop – że co? Faktycznie, zagłębia do przydziałowych gaci, a tam czai się wzwód, gotów wyskoczyć na świat. Dobry Boże, skąd też się wziął?

Historia jego rodu, a najprawdopodobniej także – Boże, miej go w swojej opiece – jego teczka personalna, opowiada o pewnym osobliwym uwrażliwieniu na to, co pojawia się na niebie. (No dobrze, ale żeby aż wzwód?!).

Na starym łupkowym nagrobku na przykościelnym cmentarzu independentów w rodzinnym Mingeborough w stanie Massachusetts z obłoku wyłania się boża ręka, a kontury rytu tu i ówdzie zatarło dwieście lat nieustannego trudu to ognistego, to lodowego dłuta kolejnych pór roku, inskrypcja zaś głosi:

Pamięci

Konstantego Slothrop

zmarłego 4 marca roku Pańskiego 1766

w wieku lat 29

Jam spłacił naturze należny dług śmierci,  
Od którego i żaden z was się nie wykręci.

Konstanty widział, i to nie tylko duszą, tę rękę z kamienia, wskazującą z odwiecznych chmur prosto na niego, obrysowaną oślepiającą światłością, zawisłą ponad jego szemrzącą rzeką i długimi stokami niebieskich gór Berkshire, widział ją potem jego syn, Zmienny Slothrop, widział każdy, w



którego żyłach płynęła krew Slothropów, dziewięć czy dziesięć pokoleń wstecz, wrastających w pień, widzieli wszyscy oprócz pierwszego Williama, ułożeni do snu pod suchymi liśćmi, pod miętą i krwawnicą, rozkładający się, jednoczący z ziemią w długim wektorze gnicia, w mogiłach na skraju bagien, ocienionych przez wiązy i wierzby, a ich kamienie nagrobne ukazują pucołowate anioły o psich pyskach, trupie główki z wyszczerzonymi zębami i czeluściami oczodołów, symbole masońskie, urny z kwiatami, pierzaste wierzby, wyprężone i złamane, puste klepsydry, tarcze wschodzącego lub zachodzącego słońca z oczyma łypiącymi zza widnokręgu, oraz strofy, od prostych i szczerych jak w wypadku Konstantego Slothropa, przez skoczne, utrzymane w rytmie „Gwiazdzistego Sztandaru”, upamiętniające Elżbietę, żonę porucznika Izajasza Slothropa (zm. 1812):

Bliscy moi, *adieu*, mą kwaterą ten grób,  
Gdzie Okrutna Zła Śmierć wyznaczyła mi łożę.  
Póki zbawienia dusz nie dopełni się ślub,  
Spać będę, bo tak każe Słowo nam Boże,  
Zważ, przechodniu, na płacz mój, zwróć myśl swą w niebiosą.  
I w godzinie tryumfu ścina śmierci nas kosa,  
Gdy Bóg krosnem obraca w mroku powietrznych włości  
Nasze ziemskie wysiłki nićmi Jego miłości,

aż po epitafium na grobie dziadka obecnego Slothropa, Fryderyka (zm. 1933), który z charakterystycznym dla siebie sarkazmem i przebiegłością zerznął słowa z wiersza Emily Dickinson, nie przyznając się do tego:

Jako że nie szukałem Śmierci,  
Ona łaskawie odszukała mnie.

Każdy po kolei płacił dług należny naturze, a nadwyżkę zostawiał następnemu ogniwu w rodowym łańcuchu. Zaczęli jako futrzarze i szewcy, solili i wędzili mięso, trudnili się wyrobem szkła, stali się rajcami, budowali garbarnie, wydobywali marmur w kamieniołomach. Okolica w promieniu

paru mil przeobraziła się w nekropolię, poszarzała od pyłu łupanych złóż, pyłu, który był oddechem, widmem wszystkich pseudoantycznych budowli, wznoszonych jak republika długa i szeroka. Zawsze wszędzie indziej. Pieniądze topiono w pakietach akcji, w grze skomplikowanej bardziej niż genealogia największego rodu, a resztki pozostałe w rodzinnych stronach, w Berkshire, inwestowano w wyrąb lasów, których kurczące się zielone obszary przemieniono błyskawicznie w papier – toaletowy, banknotowy, gazetowy – czyli w pożywkę dla Gówna, Pieniądza i Słowa. Nie byli arystokratami; żaden Slothrop nigdy nie dochrapał się miejsca w rejestrze szlacheckim ani członkostwa w Klubie Somerset – prowadzili swoje interesy w cichości, za życia sprzęgnięci z otaczającą ich szczerze dynamiką, tak samo jak po śmierci z ziemią cmentarną. Gówno, Pieniądz i Słowo, trzy amerykańskie prawdy, napędzające tryby narodu, przywłaszczyły sobie Slothropów, złączyły ich na dobre z losem całego kraju.

Lecz nie wiodło im się najlepiej... w zasadzie walczyli o przetrwanie, a sprawy przybrały zdecydowanie zły obrót mniej więcej w czasie, kiedy Emily Dickinson, właściwie po sąsiedzku, pisała:

Rujnować to urzędowa diabelska robota,  
Powolna i nieprzerwana,  
Upadek nie zamyka się w chwili,  
Osuwasz się na kolana.

Mimo to nie ustawiali w wysiłkach. Inni wyznawali prostą zasadę: wydój, ile tylko się da, wyeksploatuj, wyżyłuj do cna, a kiedy już nic nie zostanie, ruszaj na Zachód, bo tam wszystkiego jest w bród. Ale prawem jakiejś wyrozumowanej inercji, z przekory, Slothropowie zostali na Wschodzie, w Berkshire – nieopodal zalanych wodą wyrobisk i ogołoconych z drzew wzgórz, które niczym dowód tożsamości świadczyły o nich w tej niszczejacej żółtobrazowej krainie czarów. Zyski malały, a rodzina jak zawsze się rozrastała. Ilekroć nadchodził termin obrachunkowy, dochody z rozmaitych określonych inwestycji, lokowane co drugie lub trzecie pokolenie przez banki

rodzinne z Bostonu w kolejne przedsięwzięcia, topniały wyraźnie w długim korowodzie, w niekończącym się ciągu porażek... lecz nigdy do zera...

Depresja, kiedy już nadeszła, przypieczętowała to, co i tak się dokonywało. Slothrop wychował się na górzystym odludziu pośród upadających interesów, gdzie żywopłoty wokół majątków przebogatych, na wpół mitycznych letników z Nowego Jorku padły ofiarą dzikiej przyrody lub śmierci z pragnienia, gdzie powybijano wszystkie kryształowe szyby i skąd wynieśli się Harrimanowie i Whitneyowie; trawniki zarosły zielskiem, a jesień nie była już sezonem odległych dźwięków fokstrota, limuzyn i latarni, tylko porą ponownego cykania świerszczy, jabłek, pierwszych przymrozków, które przepędzały kolibry, wiatru ze wschodu i październikowego deszczu – pozostały wyłącznie zimowe pewniki...

W 1931 roku, kiedy to spłonął hotel Aspinwall, młody Tyrone przyjechał z wizytą do wujostwa w Lenox. Był kwiecień, ale przez sekundę lub dwie, wyrwany ze snu w obcym pokoju przez tupot nóg małych i dużych kuzynów, zbiegających schodami, myślał, że jest zima, bo w podobny sposób, o tej godzinie, budzony bywał przez tatę albo Hogana i wyciągany na dwór, gdzie mruganiem oczyma przepędzał w chłodzie sen z powiek, żeby zobaczyć zorzę północną.

Omiał nie srał ze strachu po nogach. Czy promienna kurtyna zaraz się rozsunie? Co mają mu do pokazania strojne duchy Północy?

W 1931 była wiosna i nocne niebo buchało czerwienią, gorącym oranżem, a syreny wyły po dolinach między Pittsfield, Lenox i Lee – sąsiedzi powychodzili na werandy, by popatrzeć na snopy iskier spadających na górskie stoki... „Jak deszcz meteorów – mówili – albo jak fajerwerki w Święto Niepodległości”. Był rok 1931 i takie właśnie nasuwały się wtedy porównania. Ogniki strzelały i strzelały, przez pięć godzin, dzieci przysypiały, dorośli zaś popijali kawę i opowiadali sobie historie o pożarach z innych lat.

Co to były za Światła? Jakie duchy nimi władały? A gdyby tak w następnej

chwili wszystko to, cała noc, wyrwało się spod kontroli i rozchyliło kurtynę, żeby ukazać nam zimę, której nikt sobie nie wyobrażał w najśmielszych marzeniach?...

Godzina 6 minut 43 i 16 sekund podwójnego czasu letniego – teraz na niebie dokonuje się taka sama odsłona, przedziera się światło, od którego twarz mu ciemnieje, wszystko dokoła poumyka zaraz na boki, a on sam zginie, jak przepowiedziały mu rodzinne strony... strzeliste wieże kościołów, rozsiane po zboczach jesiennych wzgórz, białe rakiety tuż przed odpaleniem, kilkusekundowe odliczanie, okna rozetowe, nasycone niedzielnym blaskiem, który wlewa się i skłania do uniesienia głowy nad kazalniami, głoszące łaskę, zarzekające się, że tak się to właśnie dzieje – tak, z chmur wynurza się wielka jasna ręka...

Na ścianie, osadzony w ozdobnym uchwycie z pociemniałego brązu, płonie palnik gazowy, sycząc cicho, wyregulowany, by palić się smukłym „sensytywnym płomieniem”, jak nazywali to naukowcy w ubiegłym stuleciu: niewidoczny u podstawy, gdzie wydobywa się z wylotu, łagodny niebieski ognik blednie u góry, unosząc się kilka cali nad palnikiem, migotliwa szyszka, która reaguje na najdelikatniejsze drgnięcie powietrza w pokoju. Rejestruje wchodzących i wychodzących gości, kulturalnych i zaciekawionych, jak gdyby przy okrągłym stoliku toczyła się gra hazardowa. Ruch nie przeszkadza w skupieniu osobom siedzącym kręgiem. Nie ma tu oszustwa: żadnych białych dłoni ani świetlistych trąbek.

Napływają oficerowie z pułku szkockiego w kraciastych spodniach, niebieskich owijaczach, galowych spódniczkach, zajęci rozmową z amerykańskimi szeregowcami... są duchowni, żołnierze obrony cywilnej i funkcjonariusze straży pożarnej po służbie, fałdy wełnianej odzieży przesycone dymem, wszyscy odmawiający sobie snu, co widać gołym okiem... leciwe edwardiańskie damy, odziane w krepdeszyn, Karaibowie przeplatający miękkimi samogłoskami mniej elastyczne ciągi rosyjsko-żydowskich spółgłosek... Większość ociera się o święty krąg, inni się ociągają, jeszcze inni ruszają do sąsiednich pomieszczeń, a wszyscy pilnują

się, by nie przeszkadzać chudemu medium, które siedzi najbliżej sensytywnego płomienia, zwrócone plecami do ściany – rudobrazowe kędziory oblepiają gęsto czaszkę, wysokiego czoła nie żłobi ani jedna zmarszczka, ciemne usta poruszają się to z łatwością, to z bólem:

– Wyekspediowany do świata Dominusa Blicero, Roland zorientował się, że wszystkie znaki przemawiają przeciwko niemu... Światła, które tak dogłębnie badał jako jeden z was, położenie i ruch zgromadziły się na przeciwnym biegunie, w tańcu... w nieistotnym tańcu. To nie był żaden tradycyjny Blicero, nie, lecz coś nowego... coś obcego... Roland też uświadomił sobie, że jest wiatr, na co wcześniej nie pozwalała mu jego własna śmiertelność. Przekonał się, że jest tak... tak radosny, że strzała musi skręcić w jego kierunku. Wiatr dał przez okrągły rok, rok po roku, lecz Roland czuł tylko świecki powiew... to znaczy: swój osobisty powiew. A jednak... Seleno, wiatr, wiatr jest wszędzie...

W tym miejscu medium przerywa, milczy przez moment... jęk... chwila rozpaczliwej ciszy.

– Seleno, Seleno! Jesteś tam?

– Jestem, mój drogi. – Policzki poznaczone wyschłymi łzami. – Słucham cię.

– Chodzi o sterowanie. Wszystko wynika z jednej trudności: kontrolowania. Po raz pierwszy czynnik kontrolujący tkwił wewnątrz, rozumiesz? Tkwi teraz wewnątrz. Nie trzeba już cierpieć biernie za sprawą „sił zewnętrznych” – ustawiać się pod byle wiatr. Jak gdyby...

– Rynkiem nie musiała już kierować niewidzialna ręka, bo teraz sam się stwarzał, od wewnątrz, stwarzał własną logikę, rozpęd, styl. Usytuowanie czynnika kontrolującego wewnątrz było *de facto* przypieczeniem tego, co się stało – tego, że obywatcie się bez Boga. Ale życie nowym i jeszcze szkodliwszym złudzeniem. Złudzeniem posiadania kontroli. Że A może zrobić B. Ale to nieprawda. Całkowita nieprawda. Nikt nie może nic zrobić. Rzeczy po prostu się stają, A i B są nierzeczywiste, są nazwami części, które

powinny być nierozdzielne...

– Kolejne brednie Uspienskiego – szepcze kobieta idąca pod rękę z robotnikiem portowym.

Kiedy ocierają się o krąg, zapach oleju napędowego miesza się z *sous le vent*. Przedwojenne perfumy zwracają uwagę Jessiki Swanlake, rumianej dziewczyny w mundurze Terytorialnej Służby Pomocniczej; podnosi wzrok, mmm, ocenia, że suknia warta jest z piętnaście gwinei i Bóg raczy wiedzieć, ile kartek żywnościowych, pewnie od Harroda, ja bym tam lepiej w niej wyglądała, tego jest pewna. Kobieta zerka nagle przez ramię, uśmiecha się i pyta: „Czyżby?”. O Boże, czyta w moich myślach? W takim miejscu to właściwie nic dziwnego.

Jessica stoi blisko kręgu, trzymając w garści strzałki powyjmowane od niechcienia z tarczy zawieszanej na ścianie, ze spuszczoną głową, z bladym karkiem i szczytem kręgosłupa obnażonymi nad brunatnym wełnianym kołnierzem, między jasnobrązowymi włosami, które opadły z obu stron na policzki. Ogrzewane przez jej krew mosiężne tulejki i brzuszki drżą w zagłębieniu dłoni. Wydaje się, że pieszcząc pierzaste lotki, głaszcząc je opuszkami palców, sama wprowadza się w trans...

Z dworu, przetaczając się od wschodu, dobiega stłumiona eksplozja kolejnej rakiety. Szyby okienne grzechoczą, podłoga drży. Sensytywny płomień robi unik, cienie na stoliku skaczą do tańca, rzucają się w stronę drugiego pomieszczenia, zaraz potem ognik pręży się w górę, na pełne dwie stopy, i wtedy cienie kurczą się, a on w tej samej chwili znika bez śladu. W spowitym mrokiem pokoju rozlega się syk palnika gazowego. Milton Gloaming, który przed dziesięciu laty zdał celująco bakalaureat w Cambridge, przerywa stenografowanie i wstaje, żeby zakręcić kurek.

Jessica uznaje, że to odpowiednia chwila, by rzucić strzałką: jedną. Włosy rozwiane, pierś falująca cudownie pod grubymi wełnianymi klapami. Świsł, puk! – prosto w lepkie włókna, w sam środek. Milton Gloaming unosi brew. Jego umysł, bez przerwy wypatrujący analogii, dochodzi do wniosku, że



znalazł kolejną.

Poirytowane medium zaczyna budzić się z transu. Nikt nie ma pojęcia, co się teraz dzieje po drugiej stronie. Powodzenie tego seansu, jak każdego zresztą, zależy nie tylko od dobrania odpowiedniego kręgu osób fizycznych, ale też od zasadniczego, czterocłonowego porozumienia, którego ogniów pod żadnym pozorem nie wolno zerwać: w tym wypadku tworzą je Roland Feldspath (duch), Peter Sachsa (duch kontrolny), Carroll Eventyr (medium), Selena (żyjąca żona Rolanda). W którymś punkcie, wskutek zmęczenia, złego ukierunkowania, a może wybuchów białego hałasu w eterze, ten łańcuch zaczyna się rwać. Odprężenie, skrzypienie krzeseł, westchnienia, chrząkanie... Milton Gloaming wertuje notatnik i zamyka go z trzaskiem.

Podchodzi Jessica. Ani śladu Rogera, a ona wcale nie ma pewności, czy on chce, by go odszukała. Gloaming jest wprawdzie nieśmiały, lecz nie aż tak odpychający, jak niektórzy koledzy Rogera...

– Podobno potem liczy pan te wszystkie zapisane słowa i robi z nich wykres czy coś takiego? – odzywa się Jessica różnym tonem, by powstrzymać wszelkie komentarze na temat rzutu strzałką, których woli uniknąć. – Spisuje pan to tylko na seansach?

– Interesuje mnie pismo automatyczne. – Speszony Gloaming marszczy czoło, kiwa głową. – Zrobiliśmy też jedną czy dwie próby z tabliczkami Ouija, tak tak... U-u – usiłujemy opracować słownik krzywych, pewnych patologii, pewnych charakterystycznych kształtów, rozumie pani...

– Nie jestem pewna...

– No więc weźmy prawo Zipfa, czyli zasadę najmniejszego wysiłku: jeśli na osie naniesiemy częstość występowania słowa P przy podstawie n i jego pozycję n – papie przy akompaniamencie jej milczenia, ech, ona ma dużo wdzięku nawet wtedy, gdy jest kompletnie zdezorientowana – to oczywiście wyjdzie nam coś w rodzaju linii prostej... choć mamy dane, które wskazują, że dla pewnych odmiennych warunków obowiązują krzywe, bo w wypadku schizofreników, na przykład, u góry linia jest bardziej płaska, dalej się zagina

i tworzy się coś w rodzaju łuku... Uważam, że ten facet, ten Roland, to klasyczny przypadek paranoi...

– Aha. – To słowo Jessica akurat zna. – Wydawało mi się, że pan się rozpromienił, kiedy on powiedział, że znaki przemawiają przeciwko niemu.

– „Przeciwko”, „przeciwny”, zdziwiłaby się pani, jak często występują te słowa.

– A które występuje najczęściej? Które jest pańskim ulubionym?

– To, które występowało zawsze – odpowiada statystyk, jakby to była sprawa powszechnie znana. – „Śmierć”.

Posunięty w latach funkcjonariusz obrony przeciwlotniczej, wykrochmalony i delikatny jak organdyna, wypręży się na palcach, żeby zapalić ponownie palnik.

– A przy okazji, gdzie podział się pani szalony młody towarzysz?

– Jest z kapitanem Prentice’em, jak zwykle. – Nieokreślony gest ręki. – Odbiór Tajemniczego Mikrofilmu.

Przekazywanego w sąsiednim pokoju, przy grze w kości, z którą przypadek niewiele ma wspólnego, i stonowanej muzyce Falkmana and His Apache Band na falach BBC, w kłębach dymu i rozgwarze, wśród klockowatych kufli piwa i smukłych szklanek sherry, obok okna pocętkowanego zimowym deszczem. Pora poufnych rozmów, zapalania kominków na gaz, owijania się szalem w odruchu obrony przed wieczornym chłodem, wytchnienia w ramionach młodej kochanki albo starej żony lub, jak tutaj, u Snoxalla, w dobrym towarzystwie. To miejsce jest schronieniem – być może prawdziwą oazą spokoju spośród paru, rozsianych w czasie tej długiej wojny – gdzie ludzie zbierają się w celu nie całkiem odpowiadającym walce zbrojnej z wrogiem.

Pirat Prentice też czuje coś z tego, ale mgliście wskutek klasowej nerwowości: wśród tych osób uśmiech na twarzy nosi jak tarczę. Nauczył się tego z filmów – to ta sama psotna mina, którą Dennis Morgan żegna każdego zestrzelonego przez siebie kopącego się żółtka.

Uśmiech ten jest dla niego użyteczny, podobnie jak on jest użyteczny dla Firmy – która, rzecz to powszechnie wiadoma, wykorzysta każdego: zdrajcę, mordercę, zbrodniarza, Murzyna, nawet kobietę, żeby osiągnąć swój cel. Z początku nie byli przekonani o jego przydatności, ale potem, jak się okazało, nabrali przekonania.

– I pan się pod tym podpisuje, panie generale?

– Pilnujemy go dwadzieścia cztery godziny na dobę. Z całą pewnością fizycznie nie opuszcza terenu.

– W takim razie ma współnika. Jakimś sposobem, no, nie wiem, za pomocą hipnozy albo leków, dobierają się do waszego klienta i uspokajają go. Chryste Panie, ani się obejrzymy, jak będziecie się kierować horoskopami.

– Hitler tak robi.

– Hitler to człowiek natchniony. A pan i ja jesteśmy zwykłymi funkcjonariuszami, proszę nie zapominać...

Po pierwszym przypiływie zainteresowania liczba klientów przydzielonych Piratowi nieco zmalała. W obecnej chwili prowadzi kilka całkiem znośnych przypadków. Ale nie tego chce. Nie rozumieją, ci wykarmieni białym chlebem maniacy z ZOS-u, och, doskonale, kapitanie, szelest papierów, szuranie nogami, wtórowanie rządowym monoklom, znakomicie, może by pan to samo zrobił kiedyś u nas w klubie...

Pirat pragnie ich zaufania, ich szorstkiej miłości o zapachu dobrej whisky i tureckiego tytoniu. Pragnie zrozumienia ze strony *swoich*, a nie ze strony tych pedałów od książek i legitymizowanych dziwaków zwoływanych do Snoxalla, oddanych bez reszty Nauce, tak okropnie tolerancyjnych, że być może (ubolewa nad tym całym sercem) jest to jedyne miejsce w zasięgu wszechobecnej wojny, gdzie nie czuje się do końca obco...

– Wcale nie jest jasne – ciągnie Roger Mexico – o co im chodzi, wcale, od wprowadzenia ustaw znoszących karanie za czary minęło ponad dwieście lat, to relikw z całkiem innej epoki, zupełnie odmienne myślenie. Teraz, w 1944 roku, walą nas w łeb z prawa i lewa różnymi teoriami. Nasz pan Eventyr –

wskazuje w stronę medium, które w przeciwległym kącie pokoju rozmawia z młodym Gavinem Trefoilem – może zostać aresztowany w każdej chwili. Wpadną przez okna i zawloką niebezpiecznego, zatwardziałego Eventyra do więzienia pod zarzutem udawania-że-stosuje-lub-praktykuje-czary-by-doprowadzić-do-rzeczywistego-ukazania-się-duchów-osób-zmarłych-w-miejscu-w-którym-on-sam-przebywa-oraz-że-duchy-te-porozumiewają się-z-żywymimi-osobami-obecnymi-w-tymże-miejscu-i-o-tym-czasie, mój Boże, co za faszystowskie brednie...

– Wolnego, Mexico, znowu zatracasz obiektywizm. A przecież naukowcowi tego nie wolno. To nieprofesjonalne, prawda?

– Osioł. Jesteś po ich stronie. Nie czułeś tego dzisiaj, już w progę? To wielka wylęgarnia paranoi.

– Do wczuwania się to ja akurat mam dar. – Już w trakcie wypowiedzania tych słów Pirat zdaje sobie sprawę, że palnął głupstwo, toteż próbuje złagodzić wrażenie, dodając: – Nie wiem, czy się nadaję do takich wielokrotnych...

– Och, Prentice. – Kamienna twarz. Tolerancja. Rany gościa. – Tym razem powinieneś przyjechać i poprosić doktora Groasta, żeby to sprawdził elektroencefalografem.

– Jeżeli będę akurat w pobliżu – pada wymijająca odpowiedź. W grę wchodzi kwestia tajności. Wskutek nieostrożnej paplaniny toną okręty, a on nie ufa nikomu, nawet Rogerowi Mexico. Obecną operację zaczęło prowadzić nazbyt wiele kręgów, wewnętrznych i zewnętrznych. Rozdzielniki kurczą się i kurczą w miarę zbliżania się krok po kroku do celu. Instrukcje nakazujące zniszczenie obejmują stopniowo każdy skrawek papieru, wszystkie niezobowiązujące notatki, taśmy z maszyn do pisania.

Pirat domyśla się, że najnowszą manię Firmy, nazwaną Operacja „Czarne Skrzydło”, Mexico wspiera swą statystyczną wiedzą tylko od czasu do czasu – analizując, na przykład, dane o morale cudzoziemców – usytuowany gdzieś na obrzeżach całego przedsięwzięcia, tak jak na obrzeżach innego znalazł się

tego wieczora sam Pirat, służąc za kuriera między nim a swym współlokatorem, Teddym Bloatem.

Wie, że Bloat chodzi dokądś i coś fotografuje, a potem za jego pośrednictwem przekazuje zdjęcia młodemu Rogerowi Mexico. Który, rozumuje dalej, zanosí je do „Białego Nawiedzenia”, gdzie mieści się hurtowa agencja, zwana PISCES: Psychologiczno-Intelektualne Strategie Celem Ewentualnego Sukcesu. Czyjego sukcesu, tego nie wyjaśniono.

Pirat zastanawia się, czy Mexico nie uczestniczy aby w kolejnej z tysięcy pokątnych międzyalianckich akcji wywiadowczych, które szerzą się po Londynie jak zaraza, odkąd przybyli tu Amerykanie i kilkanaście rządów na uchodźstwie. I w wyniku których walka z Niemcami zesłała, o dziwo, na dalszy plan. Wszyscy oglądają się za siebie: patrioci Wolnej Francji knują zemstę na zdrajcach z Vichy, komuniści z Lublina czają się na ministrów legalnego rządu polskiego, Grecy z Armii Narodowowyzwoleńczej szpiegują rojalistów, wieczni emigranci-marzyciele, mówiący wszelkimi językami, mający nadzieję, że żelazną wolą, siłą albo modlitwą ponownie zaprowadzą w ojczyźnie rządy królów, pretendentów, republiki, letnie anarchie, które sczezęły, nim zwieziono pierwsze plony... Niektórzy giną nędznie, bezimienni, pod lodem i śniegiem pokrywającym leje po bombach na East Endzie, odnajdywani dopiero wiosną, inni są chronicznie pijani lub naszpikowani opiatami, żeby przetrwać codzienne przeciwności losu, większość podupada na duchu, coraz mniej gotowa ufać innym, usidlona przez niekończące się partie tej gry, przez nieustanny samokrytycyzm i wymóg całkowitego poświęcenia... A o którym cudzoziemcu myśli Pirat, jeśli nie o tym bezpaństwowym łachudrze po drugiej stronie lustra, o tym najnędzniejszym ze wszystkich uchodźców?...

Cóż, domyśla się, że Oni wciągnęli Mexico w jeden z takich właśnie bizantyńskich spisków, prawdopodobnie mających coś wspólnego z Amerykanami. Albo Rosjanami. „Białe Nawiedzenie”, oddane walce psychologicznej, przygarnęło paru jednych, paru drugich, tego behaviorystę,

tamtego zwolennika dokonań Pawłowa. Piratowi nic do tego. Zauważa jednak, że z przekazaniem każdego kolejnego filmu entuzjazm Mexico wzrasta. Niezdrowe, niezdrowe: odnosi wrażenie, jak gdyby był świadkiem popadania w nałóg. Czuje, że jego przyjaciel, jego tymczasowy przyjaciel na przeciąg wojny, wykorzystywany jest do nie całkiem czystej gry.

Ale co może zrobić? Gdyby Mexico chciał o tym pogadać, znalazłby sposób, pał sześc wymogi tajności. Jego małomówność nie przypomina małomówności Pirata w sprawie trybów Operacji „Czarne Skrzydło”. To wygląda bardziej na wstyd. Czy Mexico nie odwrócił twarzy, kiedy odbierał dzisiaj kopertę? Oczy błyskawicznie zlustrowały kąty pokoju, odruch amatora pornografii.... hm. Znając Bloata, pewnie właśnie o to chodzi, młoda kobieta z wizytą u przystojnego mężczyzny, kilka póż – to przynajmniej zdrowsze od wszystkiego, co umieściła na fotografiach ta wojna... to przynajmniej jest życie...

Oho, jest jego dziewczyna, właśnie weszła. Spozstrzega ją od razu, spozstrzega otaczającą ją przejrzystość, brak dymu i hałasu wokół... aureola, czy dobrze widzi? Ona zauważa Rogera i uśmiecha się, olbrzymie oczy... ciemne rzęsy, żadnego makijażu, przynajmniej Pirat żadnego nie wypatrzył, włosy opadające luźno na ramiona – co ona, u licha, robi w mieszanej baterii przeciwlotniczej? Powinna pracować w kasynie Instytutu Marynarki, Wojsk Lądowych i Lotnictwa, nalewać kawę do filiżanek. Nagle Pirat, trzęsidupa i osioł, odczuwa ból w skórze, zwyczajną miłość do nich dwojga, która nakazuje mu pragnąć wyłącznie ich dobra i którą zawsze będzie mógł określić innym mianem – wiadomo, „troska”, „sympatia”...

W 1936 roku zakochał się w żonie pewnego inżyniera (Eliotowski kwiecień, mawiała, choć w rzeczywistości była zimniejsza pora roku). W szczupłej, tykowatej, żwawej kobiecie nazwiskiem Scorpia Mossmoon. Jej mąż, Clive, był specem od tworzyw sztucznych, pracował w Cambridge dla Imperial Chemicals. Pirat, zawodowy żołnierz, zafundował sobie wtedy powrót – a właściwie ponadroczny wypad, jak się potem okazało – do



cywila.

Naszło go to uczucie, kiedy stacjonował na wschód od Suez, w miejscach takich, jak Bahrajn, gdzie w ustawicznym smrodzie ropy naftowej aż z Muharraku pił piwo rozcieńczone spadającymi do kufla kroplami własnego potu, zobowiązany nie wychylać nosa poza kwaterę po zachodzie słońca, a mimo to wskaźnik chorób wenerycznych i tak wynosił 98% w jednostce ogorzałych od słońca darmozjadów, broniących szejka i jego petropieniędzy przed każdym zagrożeniem zza kanału La Manche, napalonych, odchodzących od zmysłów z powodu potówki i swędzenia zawszonych ciał (onанизm w takich warunkach jest wymyślną torturą), zalanych na smutno przez cały czas – a jednak to wtedy w jego głowie zaświtało niejasne podejrzenie, że życie mu umyka.

Niewiarygodna czarno-biała Scorpia urzeczywistniła niejedną Piracką fantazję o realnym świecie zachwycających Angielek w jedwabnych pończochach, z którego czuł się wygnany. Spiknęli się, gdy Imperial Chemicals wysłało Clive'a z misją pomocy akurat do... Bahrajnu. Wskutek symetrii całego układu Pirat nieco się rozluźnił. Chodzili na przyjęcia jako obcy sobie ludzie i zawsze reagowała zdumieniem na jego widok po przeciwległej stronie sali (usiłował czuć się swojsko w towarzystwie, jak gdyby nie był z dołów społecznych). Wzruszał ją swą ogólną ignorancją – nie wiedział nic o jublach, miłości, pieniądzach – ona zaś czuła się kobietą światową i rozpaczliwie hołubiła ulotne chłopiństwo, obecne w jego utartych, okrzepłych nawykach (miał trzydzieści trzy lata), tę chwilę przed Skostnieniem, w której figurowała jako jego Ostatni Wybryk – choć sama była zbyt młoda, by zdawać sobie sprawę, by rozumieć, jak rozumiał Pirat, o czym tak naprawdę śpiewa zespół Artiego Shaw w piosence „Tańcząc w mroku”...

Pilnował się, by jej tego nie powiedzieć. Ale zdarzały się chwile, kiedy cierpiał katusze, bo nie mógł paść jej do nóg – wiedział, że nie opuści Clive'a – i zakrzyknąć, że jest jego ostatnią szansą... że jeśli to nie będzie ona, to dla

niego wszystko się skończy... Czy nie pragnął, mimo braku wszelkiej nadziei, wypiąć się na ten nieszczęsny harmonogram Europejczyka... lecz jak mężczyzna... gdzie miałyby zacząć w wieku trzydziestu trzech lat... „O to właśnie chodzi” – roześmiałyby się (owszem, roześmiałyby się), nie tyle poirytowana, ile połechtana mile nierealnością tego problemu – za bardzo zdezorientowana jego maniactwem, maniactwem Pirata, który był zawsze tak przejęty i uroczy, rozpoławiając ją (teraz korona cierniowa miłości doskwierała mu, a właściwie jego kutasowi, bardziej niż wtedy, gdy się onanizował w jakąś wojskową ścierkę nad Zatoką Perską), zbyt nieutulony, by nie poddała się temu szaleństwu, sama z kolei nazbyt szalona, by widzieć w tym jakąkolwiek zdradę wobec męża.

Tak czy owak, było to dla niej cholernie wygodne. Roger Mexico przeżywa teraz mniej więcej to samo z Jessicą, a tym Drugim jest niejaki Bóbr. Pirat przygląda się temu, ale nie nagabuje Rogera. Czeka, żeby przekonać się, czy skończy się to tak samo, właściwie czeka jego jedna połowa, która odczuwa niekłamana radość, gdy widzi czyjeś nieszczęście, i która kibicuje Bobrowi oraz temu wszystkiemu, co on sobą reprezentuje, podobnie jak niegdyś reprezentował Clive. Lecz druga połowa – alternatywne „ja”? – którą trudno byłoby bez wahania nazwać „porządną”, najwyraźniej pragnie, by Roger dostał to, co on sam, Pirat, utracił...

– Jesteś piratem – szepnęła mu do ucha ostatniego dnia (nie wiedzieli, że to ich ostatni dzień). – Przypląnąłeś i porwałeś mnie na swój okręt. Dziewczę z dobrej rodziny o tradycyjnej moralności. Zgwałciłeś mnie. Jestem Rudą Ladacznicą z Mórz...

– Wspaniała zabawa. Pirat żałował, że nie wymyśliła tego wcześniej. Przepieprzając w łóżku ostatnie (już ostatnie) chwile dnia, właściwie przepieprzywszy całe godziny od popołudnia do wieczora, zbyt w tym rozsmakowani, by się rozczepić, spostrzegli, że wynajęty pokój się kołysze, że sufit potulnie obniża się odrobinę, lampy bujają się w miejscach przytwierdzenia, a Tamiza niesie odpryski nadrzecznego zgiełku

samochodowego w formie słonych wołań i pobrząkiwanie dzwonków okrętowych...

Lecz za linią widnokregu czały się już ogary rządowe, zdążające jego śladem – zbliżały się ścigacze, ścigacze i gładkie hermafrodyty, stróże prawa, którzy – będąc starymi wygami – nie domagali się niczego ponad jej bezpieczny powrót, nie obstawali wcale przy jego egzekucji ani schwytaniu. Kierowali się żelazną logiką: należy mu zadać odpowiednio bolesną ranę, a wówczas oprzytomnieje, ocknie się i powróci do tego ugotowanego na twardo jaja, zwanego światem, oraz do jego harmonogramów, do uległego krążenia od nocy do nocy...

Rozstali się na dworcu Waterloo. Zebrał się tam uroczysty tłum, odprowadzający Trupę Cudaczných Karłów Freda Ropera, która wyjeżdżała na występy do Johannesburga w południowej Afryce. Karły, ubrane w ciemną zimową odzież – sztywne surduty i dopasowane w talii palta – ustawiały się do fotografii albo biegały po całym dworcu, opychając się czekoladkami ofiarowanymi im na odjeździe. Widok bladej jak prześcieradło Scorpii, widocznej w ostatnim oknie, u końca peronu, rozdarł mu serce. Od strony karłów i ich wielbicieli dobiegł gwar chichotów i pożegnalnych słów. No cóż, pomyślał Pirat, chyba pora wracać do woja...

Jadą na wschód, Roger, spoglądając przed siebie znad kierownicy, zgarbiony, podobny w swym eleganckim palcie do Draculi, Jessica wciąż uwięziona w delikatnej sieci milionów błyszczących kropelek, przyklejonych do ramion i rękawów brunatnej wełnianej kurtki. Pragną być razem, pragną zagnieździć się w łóżku, w miłości, lecz zamiast tego prują na wschód, przez prawobrzeżny Londyn, żeby spotkać się z pewnym doświadczonym wiwisektorem, zanim zegar na wieży u Świętego Feliksa wybije pierwszą w nocy. W nocy wszystkie koty są czarne. A psy?

Jej głowa przy zamglonej od oddechu szybie jest kolejnym zamazanym kształtem, kolejną grą zimowych świateł. W tle migają białe rysy deszczu.

– Dlaczego on łązi i sam łapie te swoje psy? Przecież jest kierownikiem, prawda? Nie może nająć jakiegoś hycła albo chłopca na posyłki?

– My nazywamy takich ludzi „personalem” – odpowiada Roger. – Nie wiem, dlaczego Pointsman robi to, co robi, to pawłowista, kochanie. Jest członkiem Królewskiego Kolegium Chirurgów. Co ja mogę wiedzieć o takich typach? Bywają niezdolni tak samo jak ta zgraja u Snoxalla.

Oboje są dziś wieczorem nieco rozdrażnieni. Napięci niczym niefachowo wyżarzane tafle szkła, gotowi pęknąć, dźwięcząc jękliwie, wzdłuż wektorów naprężeń za pierwszym, najlżejszym dotknięciem.

– Biedny Roger, jagniątko, musi brać udział w okropnej wojnie.

– Tak, a ty – on kręci głową i oboje są o krok od eksplozji wybuchowego „p” albo „b” na jego wargach – ech, ty to niby jesteś taka sprytna, co? – Oto wściekły Mexico, ręce zdjęte z kierownicy wspomagają gestami słowa, wycieraczki bez przerwy szurają po szybie. – Bo raz czy dwa udało ci się trafić bombę latającą, tobie i temu twojemu Borsukowi...

– Bobrowi.

– A tak, Bobrowi. Ach, ten wspaniały duch bojowy, z którego słyniecie, tyle tylko, że ostatnio to jakoś niewiele rakiet udało się wam zestrzelić, cha, cha – zmarszczony nos, zwężone oczy, najbardziej złośliwy, jadowity uśmiech – chyba nie więcej, niż zestrzeliłem ja albo Pointsman, więc kto to tu jest teraz lepszy od kogo, co, serdeńko? – Podskakuje na skórzanym siedzeniu.

Ona wyciąga dłoń, żeby go dotknąć. Z rozsypanymi włosami przytula się policzkiem do jego ramienia, senna, wpatrzona w niego. Przekonujące argumenty w ogóle nie robią na niej wrażenia. On jest u kresu wytrzymałości. Jessica wykorzystuje swe milczenie jak pieśczośliwą dłoń, rozbija go, wycisza kąty pokoiów, pościel, blaty stołów – przypadkowe przestrzenie... Nawet w kinie, na projekcji tego okropnego „Moją drogą”, w dniu, kiedy się poznali, widział najmniejsze białe zbłądzenie jej gołych dłoni, czuł na skórze każde ukłucie oliwkowych, bursztynowych, kawowych oczu. Zmarnował dobrych kilka galonów rozcieńczalnika, pocierając wierną zapalniczkę ze zwęglonym, startym na wiór knotem – męskość przeistoczona

w mizerność – strzelającym błękitnym płomykiem, roziskrzonym w wielopostaciowym mroku, żeby zobaczyć, co się odmalowuje na jej twarzy. Z każdym kolejnym ognikiem widział nową twarz...

Zdarzały się też chwile, zwłaszcza ostatnio, kiedy patrzyli na siebie i nie sposób było odróżnić jedno od drugiego. Oboje równocześnie odczuwali ten sam straszliwy zamęt... coś jak spojrzenie znienacka w lustro, ale... mało tego, właściwie było to uczucie rzeczywistego zespolenia... a po... kto wie, po dwóch minutach albo po tygodniu uzmysławiali sobie, znowu dwa osobne byty, co tak naprawdę się stało, a mianowicie, że Roger i Jessica złączyli się w jedną istotę nieświadomą samej sobie... Oto jest najpierwsza, najprawdziwsza magia w tym życiu, które Mexico przeklął niejeden raz za przymuszanie go do wiary w transcendencję; oto dane, których nie potrafił zbić żadnymi argumentami.

Poznali się w banalnych okolicznościach, jakie lubi kino, w schludnym osiemnastowiecznym sercu miasteczka Tunbridge Wells: Roger pędził jaguarem model retro do Londynu, a urocza Jessica walczyła na poboczu z zepsutym rowerem, w ciemnej wełnianej spódnicy funkcjonariuszki TSP, zahaczonej o kierownicę, odsłaniającej powyżej pończoch w kolorze khaki ze wszech miar nieprzepisową czarną halkę i jasne, perłowe uda, hmmm...

– Ej, złotko – ostry pisk hamulców – nie jesteś w kabarecie, wiesz?

Wiedziała.

– Co ty powiesz? To do kabaretu wpuszczają takich smarkaczy? – sili się na zjadliwą ripostę, łaskotana po nosie przez opadły z czoła lok.

– A ja pierwszy raz widzę, żeby zmobilizowano harcerki – odpowiada Roger, nauczywszy się żyć z komentarzami na temat swego wyglądu.

– Mam dwadzieścia lat.

– Hura, to daje ci prawo do jazdy tym jaguarem aż do samego Londynu.

– Ale ja w przeciwną stronę. Aż pod Battle.

– A co, bierzesz udział w wyścigu kolarskim? – Strząsa włosy z twarzy. – A czy twoja mama wie, że tak się rozbijasz autem po świecie?

– Moją matką jest wojna – obwieszcza Roger Mexico i nachyla się, żeby otworzyć drzwi.

– Coś podobnego! – Ubłocony but robi zwiad na stopniu nadwozia.

– No, wskakuj, mała, opóźniasz misję. Zostaw ten bocykl, tylko zabierz spódnice, bo nie chciałbym doprowadzić do obrazy moralności na ulicach tego bogobojnego miasteczka...

W tej chwili spada rakietka. Ale miło. Huk, głucho tremolo. Na tyle daleko, w mieście, że nic im nie grozi, lecz dostatecznie blisko i głośno, by Jessica w okamgnieniu pokonała sto mil dzielących ją od nieznanego młodego mężczyzny: okrągły tyłeczek ląduje na wolnym siedzeniu, faluje wachlarz rozwianych włosów, ręka zgrabnym ruchem ptasiego skrzydła zagarnia kraj mundurowej spódnicy, a wszystko to w nadal pobrzmiwającym huku.

Rogerowi wydaje się, że na północy wznosi się ku niebu coś namaszczonego i zdeformowanego, ciemniejszego lub szybciej zmieniającego barwę niż chmury. Czy ona teraz wtuli się w niego milutko, poprosi, by ją obronił? Nie wierzył nawet, rakietka nie rakietka, że wsiądzie do samochodu Pointsmana, no, ale skoro wsiadła, to on wrzuca wsteczny i przejeżdża z chrzęstem po rowerze, zamieniając go w bezużyteczną kupę żelastwa.

– No to teraz jestem zdana całkowicie na twoją łaskę! – krzyczy Jessica.

– Mhm. – Roger znajduje wreszcie odpowiedni bieg, stopy tańczą po pedałach, wrrrrn, kierunek: Londyn. Sęk jednak w tym, że Jessica wcale nie jest zdana całkowicie na jego łaskę.

Co się tyczy wojny, no cóż, ona naprawdę jest jego matką; z warstw oślepiającej miki, z mineralnych pokładów nagrobnej jaźni Rogera wymyła wszystkie rozproszone nieodporne wrostki nadziei i chwały i poniosła je hen, nieodżałowane, na swej szarej fali. Trwa już sześć lat, zawsze na widoku, zawsze tam, gdzie może ją dostrzec. Zdążył zapomnieć swego pierwszego trupa, nie pamięta już, jak po raz pierwszy zobaczył śmierć człowieka. Tak długo się to ciągnie. Wydaje się, że przez większą część jego życia. Miasto,



do którego teraz przyjeżdża, jest przedsiönkiem Śmierci, gdzie dokonuje się cała biurokratyczna praca, gdzie podpisuje się umowy, liczy dni. Nie przypomina wspaniałego, pełnego przygód i ogrodów Londynu, poznanego w dzieciñstwie. Roger stał się Srogim Młodzieñcem z „Białego Nawiedzenia”, pajakiem tkającym swą sieć danych. Tajemnicą poliszynela jest, że nie najlepiej mu się współpracuje z resztą sekcji. A co w tym dziwnego? To banda odmieñców: jasnowidze i nawiedzeni magicy, media telekinetyczne, astralni podróżnicy, zbieracze światła. A Roger jest tylko statystykiem. Nigdy nie miał profetycznego snu, nie porozumiewał się z nikim za pomocą telepatii, nie nawiązał bezpośredniego kontaktu z zaświatami. Uważa, że jeśli gdzieś kryje się jakakolwiek zagadka, odpowiedź wyniknie z danych eksperymentalnych, z liczb... bliżej i wyraźniej prawda nie może się ukazać. Nietrudno pojąć, dlaczego jest na bakier z Sekcją Psi, z całą tą zgrają trzech sigm, łączącą po jego suterenie. Jezu Chryste, każdy byłby na jego miejscu!

Wkurza go ta ich wyraźna, oczywista potrzeba... Kłopot w tym, że jest to także jego potrzeba. Ale jak, nieustannie poganiany przez własną śmiertelność, ma przenieść parapsychologiczne zjawiska na płaszczyznę naukową, poza obliczenia chi – kwadrat, w ciszę między szelestami kart Zenera i napiętymi, gardłowymi wypowiedziami medium? W chwilach dobrego nastroju dochodzi do wniosku, że uparte kontynuowanie prób dowodzi siły jego charakteru. Ale na ogół przeklina samego siebie za to, że nie służy w artylerii albo że nie kreśli dla eskadr bombowców wykresów przedstawiających średnią liczbę ofiar na tonę zrzuconych bomb... że nie robi czegokolwiek, byleby z dala od tego niewdzięcznego mieszania się w sprawę niewrażliwej Śmierci...

Nadjeżdżają w pobliże łuny nad dachami. Wyprzedzają ich z warkotem wozy straży pożarnej, zmierzające w tym samym kierunku. To przygnębiająca okolica kostki brukowej i milczących murów.

Roger hamuje, by przepuścić gromadę saperów, strażaków i lokatorów w

ciemnych paltach, narzuconych na białe pidżamy; stare kobiety, które w swych nocnych rozmyślaniach szczególną uwagę poświęcają właśnie strażakom: nie, proszę, przecież chyba nie odkręcicie u mnie takiego wielkiego węża... och nie... zdejmijcie chociaż buciory... tak, tak...

Co kilka jardów stoją żołnierze luźnym kordonem, bez ruchu, tchnący lekko nadprzyrodzonością. W czasie bitwy o Anglię nie było aż tak służbiście. Lecz nowe bomby latające niosą ze sobą groźbę społecznej psychozy, której rozmiarów nikt nie potrafi przewidzieć. Jessica dostrzega w bocznej uliczce czarnego jak węgiel packarda, zapełnionego ubranymi na ciemno cywilami. Sztywne białe kołnierzyki w cieniu.

– Kto to?

Roger wzrusza ramionami: „oni” to wystarczająca odpowiedź.

– Niezbyt przyjazne typy.

– I kto to mówi? – Zgrane, nawykowe uśmiechy. Był czas, kiedy jego praca doprowadzała ją do lekkiego obłędu: śliczne małe zeszyty z wycinkami na temat bomb latających, takie urocze...

Poirytowane westchnienie: Jess, nie rób ze mnie pozbawionego uczuć, fanatycznego naukowca...

Żar bucha im w twarz, żółć osmala oczy, strumienie wody bombardują ogień. Wskutek gwałtownego uderzenia strug chybotrze się drabina zahaczona o dach budynku. Na górze, na tle nieba, wymachują rękoma, natężają się i roją postacie w deszczowcach, przekazując sobie rozkazy. Reflektory nieopodal oświetlają pracę ekip ratunkowych, uwijających się na mokrym zwęglonym gruzowisku. Z pomp na przyczepach, z wozów strażackich ciągną się płócienne węże, opuchłe od naporu wody, pośpiesznie skręcone ciągi strzelają gwiazdami zimnego, lodowatego pyłu, który błyska żółcią i płoszy płomienie. Z odbiornika dobiega głos dyspozytora, spokojnej dziewczyny z Yorkshire, która śle kolejne jednostki do innych dzielnic miasta.

Dawniej być może Roger i Jessica zatrzymaliby się. Ale są alumniami bitwy

o Anglię, oboje zostali wtedy odkomenderowani do czarnych świtów i wołań o litość, do tępej inercji kocich łbów i belek, zaznali głębokiego niedoboru miłosierdzia, cechy tak charakterystycznej dla obecnych czasów... Człowiek wyciąga n-tą ofiarę albo jej kończynę z n-tej kupy gruzów, powiedział jej pewnego razu rozwścieczony i skonany, więc już przestaje się tym przejmować... Wartość n może być różna dla każdego z nas, ale przykro mi, prędzej czy później...

Ich wyczerpaniu towarzyszy jeszcze jedno: jeśli nie dokonali secesji z państwa Wojny, to przynajmniej zaczęli się stopniowo od niego odłączać... nigdy nie było dość miejsca ani czasu, by o tym porozmawiać, być może nie było też takiej potrzeby, niemniej oboje zdają sobie sprawę, widzą jasno, że wolą być razem, wtuleni w siebie, niż tam, pośród papierów, pożarów, odcieni khaki i stali wojennego zaplecza. Otóż to, bo zaplecze jest czymś w rodzaju fikcji i kłamstwa, obliczone niezbyt subtelnie na to, by ich rozdzielić, zdetronizować miłość na rzecz pracy, abstrakcji, obowiązkowego bólu, gorzkiej śmierci.

Znaleźli dla siebie dom w oczyszczonej strefie na południe od Londynu, pod balonami zaporowymi, w miasteczku ewakuowanym w 1940 roku, nadal objętym „zakazem wstępu” – wciąż figurującym na liście ministerstwa. Zajmują go nielegalnie, odnosząc się do przepisów z lekceważeniem, którego rozmiary uświadomiliby sobie dopiero wtedy, gdyby zostali przyłapani. Jessica przywiozła starą maskotkę, muszle morskie i ciotczyną walizeczkę, pełną koronkowych pończoch i jedwabnych majtek. Roger wytrzasnął skądś parę kur, które gnieźdzą się teraz w pobliskim pustym garażu. Ilekroć się tutaj spotykają, jedno lub drugie przynosi świeży kwiatek albo dwa. Noc wypełniają wybuchy i warkot silników, no i wiatr, który ponad wyżynami niesie śladowy posmak morza. Dzień rozpoczyna się od filiżanki gorącej herbaty i papierosa przy małym stoliku z utraconą nóżką, którą Roger przywiązał prowizorycznie brązowym sznurkiem. Nigdy nie mówią za wiele, tylko dotykają się i patrzą na siebie, uśmiechają się i przeklinają rozstania.

Życie na marginesie, o głodzie i w zimnie – na ogół zbyt się boją, żeby ryzykować rozpalenie ognia, niemniej chcą zachować to miejsce, chcą tak bardzo, że gotowi są znieść o wiele więcej, niż kiedykolwiek wymagała od nich wojenna propaganda. Są zakochani. Pierdolić wojnę.



Dzisiejsza zdobycz, która będzie się wabić Władimir (albo Ilja, albo Siergiej, albo Nikołaj – w zależności od kaprysu doktora) podkrada się ostrożnie w kierunku wejścia do piwnicy. Ten poszarpany otwór powinien prowadzić do niżej położonego i bezpieczniejszego pomieszczenia. Pamięć – lub odruch – przywołuje wspomnienia ucieczek w podobne ciemności przed irlandzkim seterem, który pachniał sadzą i atakował bez dania racji... przed dzieciarnią, ostatnio przed nagłym wybuchem świetlistego hałasu, przed walącym się murem, który trafił go w zad z lewej strony (gdzie wciąż jest otwarta rana, wymagająca lizania). Lecz tego wieczoru zaistniała nowa groźba: dość powolne, ale systematyczne podchody, do których nie nawykł. Tutaj życie się z nikim nie patyczkuje.

Pada deszcz. Wiatr ledwie wieje. Przynosi woń, która jest mu obca, bo nigdy nie zaszedł w pobliże żadnego laboratorium.

Wonią tą jest eter, a roztacza ją Edward W. A. Pointsman, członek Królewskiego Kolegium Chirurgów. W chwili, kiedy pies znika za resztkami zwalonej ściany, gdy czubek ogona wślizguje się za cegły, doktor wchodzi nogą w rozwartą białą gardziel przyczajonej muszli klozetowej, której nie dostrzegł wskutek zaabsorbowania potencjalną ofiarą. Nachyla się nieporadnie i wyciąga muszlę z potrzasku otaczających ją gruzów, przeklinając pod nosem gapiostwo, nie swoje oczywiście, lecz mieszkańców zburzonego domu (o ile nie zginęli od nalotu) albo tego, kto nie ocalił sedesu od zagłady, sedesu, który najwyraźniej cholernie mocno się trzyma...

Doktor Pointsman dociera na zbombardowaną klatkę schodową, powłócząc nogą, zahaczając ją – delikatnie, żeby nie strwożyć psa – o słupek poręczy z przydymionego dębu. Muszla pobrzękuje, drewniana konstrukcja się kiwa. Obie naigrawają się z niego. Pointsman siada na stopniach wznoszących się ku otwartemu niebu i próbuje zdjąć cholerstwo z nogi, ale ono nijak nie schodzi. Doktor słyszy niewidocznego psa, stukające cicho pazury docierają

do sanktuarium piwnicy. Nie może nawet wepchnąć ręki w muszlę, żeby rozsznurować ten kurewski but...

Czując łaskotanie pod nosem, poprawia opadłą na oczy kominiarkę i zdecydowany nie poddać się panice w tę dżdżystą noc, wstaje, żeby ochłonać, odczekuje, aby wzburzona krew się uspokoiła i ruszyła w płynny obieg milionem odnóg, rozlała się po ciele w stan równowagi; następnie kuśtykając i pobrzękując, kieruje się z powrotem do auta, by poprosić o pomoc młodego Rogera Mexico. Ma nadzieję, że statystyk nie zapomniął przywieźć latarki...

Roger i Jessica dostrzegli go nieco wcześniej, przyczajeni w samochodzie u krańca uliczki domów szeregowych. Rakieta V, której dzieło zniszczenia doktor wybrał na teren swego polowania, starła z powierzchni ziemi cztery budynki, dokładnie cztery, elegancko, jakby ktoś ciął chirurgicznym skalpelem. Roztacza się łagodna woń przedwcześnie zniszczonej stolarki i popiołu pogaszonego przez deszcz. Odgradzające liny są napięte, a przed ocalałym domem, za którym ciągnie się gruzowisko, przechadza się wartownik. Jeśli rozmawiał z doktorem, to teraz żaden z nich dwóch nie daje tego po sobie poznać. Jessica widzi parę dość bezbarwnych oczu, patrzących na nią z otworów kominiarki, co przywodzi jej na myśl średniowiecznych rycerzy w hełmach. Z jakimi smokami on chce dzisiejszej nocy stoczyć walkę dla swego króla? Rumowisko czeka, wznosząc się w formie toru przeszkód aż po rozbite tylne ściany – odsłonięta płatanina listew tworzy bezsensowne szewrony – parkiety, meble, szkło, kawałki tynku, długie strzępy tapety, rozłupane i strzaskane belki: to uwite kobiece gniazdko, rozplecione teraz na pojedyncze gałązki, rzucone na wiatr i w mrok. W gruzowisku puszcza oko mosiężny słupek od łóżka, ugrzązł też pognieciony biustonosz, sztuka przedwojennej białej bielizny z koronek i atłasu, zaplątana i pozostawiona na pastwę losu... Przez chwilę, w przystępie wzruszenia, Jessica nie potrafi nad sobą zapanować; jej litościwe serce rwie się do stanika, jakby to było zapomniane i opuszczone przez wszystkich kociątko.



Roger otwiera bagażnik samochodu. Obaj mężczyźni szperają w środku, wydobywają duży płócienny wór, butelkę eteru, sieć i gwizdek. Jessica zdaje sobie sprawę, że nie wolno jej płakać, że z powodu jej łez te nieprzytomne oczy, obramowane wełną, nie będą gorliwiej tropić Smoka. Ale biedny, odtrącony staniczek... czekający w deszczu, nocą, na powrót swej właścicielki, na to, by znajomy pokój powstał na nowo z gruzów...

Noc, wypełniona drobnym deszczem, pachnie jak mokra psia sierść. Wydaje się, że Pointsman ostatnio gdzieś wyjeżdżał.

– Chyba postradałam zmysły. Mogłabym się teraz migdalić z Bobrem, patrzeć, jak zapala fajkę, a ja tu łączę z tym dozorcą zwierząt, z tym spirytystą i statystykiem czy kim wy obaj jesteście...

– Migdalić?! – grzmi Roger. – *Migdalić?!*

– Mexico – upomina go doktor westchnieniem, w przekrzywionej kominiarce i z muszlą klozetową na nodze.

– A w ogóle nie przeszkadza ci to w chodzeniu? Mnie by przeszkadzało... Dawaj, wsadź tutaj, do środka, o tak, dobrze. – Roger zamyka drzwi auta, wiążąc stopę Pointsmana, muszla na siedzeniu, sam Roger prawie na kolanach Jessiki. – No i teraz ciągnij, ile masz sił.

Cholerny gówniarz, dowcipny osioł, myśli doktor i odchyła się do tyłu na wolnej nodze, postępując, a muszla ślizga się tam i z powrotem. Mexico mocno trzyma drzwiczki i patrzy skupionym wzrokiem w czeluść, w której nikt nie stopa.

– Gdybyśmy mieli trochę wazeliny, moglibyśmy... no, żeby posmarować... Czekaj! Stój tam, Pointsman, nie ruszaj się, zaraz sobie z tym poradzimy... – Myk pod samochód, krewki młodzian, w poszukiwaniu miski olejowej, zanim doktor zdąży powiedzieć:

– Nie mamy czasu, Mexico, on ucieknie, ucieknie!

– Racja. – Z powrotem na nogach, wyszarpuje latarkę z kieszeni palta. – Wypłoszę go światłem, a ty zacznij się z siecią. Dasz sobie radę? Uważaj, żebyś nie upadł albo coś, kiedy będzie zmykał na dwór.

– Na miłość boską, tylko go nie przestrasz. – Pointsman pobrzękuje muszlą w drodze powrotnej na rumowisko. – To nie safari w Kenii, chcemy, żeby był jak najbliższy normatywu, wiesz przecież.

Normatywu? Normatywu?

– Roger! – odpowiada Roger wołaniem, błyskając latarką: kreska-kropka-kreska.

– Jessica – mruczy Jessica pod nosem, skradając się za nimi.

– Cześć, kolego – wita Mexico przymilnie psa. – Mam tu dla ciebie śliczną flaszeczkę z eterem. – Otwiera butelkę, wymachuje nią w wejściu do piwnicy, po czym zapala latarkę. Pies, skulony w zardzewiałym dziecięcym wózku, podnosi łeb – po ścianach skaczą czarne cienie – i wywiesza jęzor, z wyrazem najwyższego niedowierzania w ślepiach. – Rany, toż to wuj Makary! – wykrzykuje Mexico tak samo, jak słyszał w audycjach BBC.

– A ty się spodziewałeś Lessie? – odwarkuje pies.

Schodząc ostrożnie do piwnicy, Mexico czuje silną woń eteru.

– No chodź, kolego, zanim się obejrzysz, będzie po wszystkim. Pointsman chce tylko policzyć krople śliny ściekające ci z pyska, nic więcej. Zrobi ci małe nacięcie na kufie, przytrzyma probóweczkę, nie musisz się niczego bać. Zadzwoń dzwoneczkiem raz na jakiś czas. Czeka na ciebie podniecający świat laboratorium, zobaczysz, że nie będziesz mógł bez niego żyć. – Eter najwyraźniej zaczyna na niego działać. Mexico usiłuje zatkać butelkę, robi krok do przodu i zapada się stopą w dziurze. Zerkając na boki, próbuje uchwycić się czegoś dla równowagi. Korek wyskakuje z butelki i niknie na zawsze pośród gruzów zburzonego domu.

Z góry dobiega krzyk Pointsmana:

– Gąbka, Mexico, zapomniałeś gąbki! – Z nieba spada okrągłe blade skupisko dziurek, które koziołkuje w ciemności i blasku latarki.

– Ale diabelstwo bryka. – Roger rzuca się na gąbkę z wyciągniętymi rękoma, hojnie rozlewając eter dokoła. Wreszcie wyławia ją z mroku snopem światła, obserwowany przez zdeorientowanego psa, przyczajonego w starym

wózku. – Ha! – obficie polewa gąbkę eterem, aż butelka jest pusta, i wyciera zimno z dłoni. Z gąbką trzymaną w dwóch palcach rusza niepewnym krokiem w kierunku psa, podświetlając od spodu swą twarz, by uwydatnić upiorną minę, którą zrobił. – Nadeszła chwila prawdy! – Robi wypad. Pies odskakuje na bok i przemyka w stronę wyjścia, a Roger frunie z gąbką, głową do przodu, i ląduje prosto na wózku, który załamuje się pod jego ciężarem. Z dworu dochodzą go niewyraźnie lamenty doktora.

– Szybciej, Mexico, on ucieka.

– Szybciej. – Ściskając gąbkę, Roger wyplątuje się z dziecięcego wózka, z iście akrobatyczną zręcznością zdejmując go z siebie jak koszulę.

Z góry błagalne:

– Mexico-o-o!

– Jestem. – Po gruzach wydobywa się z piwnicy na dwór, gdzie widzi doktora, który z siecią rozpostartą nad głową podkrada się do psa. Na tę scenę pada z uporem deszcz. Roger obchodzi ich bokiem, żeby wraz z Pointsmanem zamknąć w kleszczach szczyzące kły zwierzę, przyczajone na rozstawionych szeroko łapach blisko tylnej ściany, ocalałej ze zbombardowanego budynku. Jessica czeka nieopodal z rękami w kieszeniach, popalając i obserwując scenę.

– Ej! – ryczy wartownik. – Wy dwaj! Idioci, jazda mi od tego kawałka muru, bo jego nic nie trzyma!

– Ma pan papierosy? – pyta Jessica.

– Zaraz czmychnie! – krzyczy Roger.

– Na miłość boską, tylko powoli, Mexico. – Krok za krokiem, ostrożnie jak na polu minowym, posuwają się po gruzach wprost pod ostatnią ścianę, zachowując kruchą równowagę. Niewidzialna dźwignia w każdej chwili może zwalić im na głowy śmiertcionośną lawinę gruzu. Zbliżają się do ściganego psa, szybkimi ruchami łba przenosząc spojrzenie z doktora na Rogera i z powrotem. Warczy na próbę, miarowo chłuszcząc wzniesionym ogonem ściany tworzące kąt, do którego go zapędzono.

Gdy świecący latarką Roger przysuwa się o kolejny krok, pies albo raczej jakiś obwód scalony w jego pamięci odgrzebuje wspomnienie innego światła, które nadleciało z tyłu nie tak dawno temu – jasności, która nastąpiła po wielkim wybuchu z czasem zagłuszonym przez ból i zimno. Światło z tyłu sygnalizuje śmierć, przed myśliwymi przyczajonymi z siecią łatwo uciec...

– Gąbka! – krzyczy Pointsman.

Roger rzuca się na psa, który umyka w kierunku doktora i dalej na ulicę, tymczasem stękający Pointsman wykonuje rozpaczliwy zamach muszlą, noga mija jednak cel, a impet obraca nim o pełnych trzysta sześćdziesiąt stopni, z siecią sterczącą wysoko jak antena radaru. Roger, z oparami eteru w nosie, nie kontroluje swego wypadu i gdy doktor kończy obrót, słania się w jego stronę i otrzymuje głucho, bolesne uderzenie muszlą klozetową w goleń. Padają, zaplątani w sieć. Pęknięte belki trzeszczą, sypią się kawałki tynku mokrego od deszczu. Nad nimi balansuje osamotniona ściana.

– Wynocha stamtąd! – ryczy wartownik.

Wskutek szarpaniny w sieci mur kiwa się coraz gwałtowniej.

– Już po nas. – Doktor dygocze.

Roger szuka spojrzeniem jego oczu, by przekonać się, czy mówi poważnie, ale w otworach kominiarki widać teraz tylko kosmyk włosów i sterczące ucho.

– Poturlajmy się – proponuje.

Turlają się więc kilka jardów w kierunku ulicy, a w tym czasie spada kawał muru. Na szczęście po przeciwnej stronie. Udaje im się dotrzeć do Jessiki bez dalszego dewastowania Londynu.

– Uciekł ulicą – wyjaśnia dziewczyna, pomagając im się wyplątać z sieci.

– Trudno – wzdycha doktor. – To bez znaczenia.

Roger:

– Ależ noc jest jeszcze młoda.

– Nie, nie, dajmy spokój.

– No to co zrobisz bez psa?

Znowu są w drodze, Roger za kierownicą, Jessica między mężczyznami, muszla klozetowa wystawiona na zewnątrz przez niedomknięte drzwi. Dopiero wtedy pada odpowiedź.

– Może to znak. Może powinienem rozszerzyć pole działania.

Roger rzuca mu szybkie spojrzenie. Ani słowa, Mexico. Nie próbuj się domyślać, co to znaczy. W końcu on nie jest twoim przełożonym, obaj przecież na równi podlegacie starymu brygadierowi z „Białego Nawiedzenia”. Jednak czasem – Roger znowu zerka ponad okrytym ciemną wełną biustem Jessiki na zamaskowaną głowę, widoczny nos i oczy – można odnieść wrażenie, że doktor oczekuje od niego czegoś więcej niż tylko dobrej woli i współpracy. Że chce jego samego. Jak ktoś pragnący mieć wspaniały okaz zwierzęcia....

Co więc Roger tu robi, dlaczego pomaga w kolejnym polowaniu na psa? Co za obca istota w nim siedzi, szalona na tyle, że...

– Będziesz jeszcze dzisiaj wracał do miasta, doktorze? Trzeba odwieźć tę panią.

– Nie, zostaję. Muszę porozmawiać ze Spectro. Ale możesz wziąć samochód.

Zbliżają się do rozległej improwizacji z cegieł, wiktoriańskiej parafrazy dążeń, które niegdyś, dawno temu, zaowocowały katedrami gotyckimi, powstałej jednak już nie z potrzeby pięcia się ku niebiańskiemu Bogu poprzez porządkowanie odpowiednich chaosów, lecz wskutek zagubienia celu, wskutek zwątpienia w rzeczywiste lokum Boga (lub, w paru wypadkach, w jego istnienie), narodzonej z okrutnej sieci chwil odczuwanych zmysłami, z której nie sposób było się wyrwać, wobec czego ukierunkowała wysiłki budowniczych nie ku niebu, lecz z powrotem na lęk, na najzwyklejszą ucieczkę dokądkolwiek, byle najdalej od tego, co kopcące kominy, ekskrementy ulicy, rudery bez okien, skórzane kłębowiska pasów napędowych, szcurze i musze królestwa-widma, płynne i cierpliwe, mówiły o szansach na miłosierdzie w tamtym roku. Zabrudzony kompleks z cegieł

znany jest jako Szpital Chorób Tropikalnych i Schorzeń Układu Oddechowego pod wezwaniem Świętej Weroniki od Prawdziwego Wizerunku, a do jego etatowych lekarzy zalicza się doktor Kevin Spectro, neurolog i niedzielny pawłowista.

Spectro jest jednym z właścicieli Księgi, których na początku było siedmiu, a gdyby ktokolwiek spytał Pointsmana, co to za tajemnicza Księga, doktor odpowiedziałby uśmiechem. Krąży ona co tydzień między swymi właścicielami, a teraz, rozmyśla Roger, skoro wypadła kolej Spectro, można go odwiedzać o każdej porze. W tygodniu Pointsmana pozostali tak samo przyjeżdżali nocą do „Białego Nawiedzenia”. Roger słyszał na korytarzach ich przejęte, konspiracyjne szepty i żwawy stukot butów jak pantofli roztańczonych na marmurowych płytach sali balowej, psujące innym wypoczynek, niecichnące mimo oddalania się głos i krok Pointsmana, zawsze inne od reszty. Teraz będzie się chyba wyróżniał jeszcze bardziej, z muszlą klozetową na nodze.

Roger i Jessica rozstają się z doktorem przy bocznym wejściu, w którym on zaraz niknie, pozostawiając po sobie tylko deszcz skapujący z pochyłości i szeryfów nieczytelnego motta wyrytego w nadprożu.

Kierują się na południe. Zegary na tablicy rozdzielczej jarzą się ciepłym światłem. Reflektory przeciwlotnicze przeczesują dżdżyste niebo. Smukłe auto podskakuje na drodze. Jessica zapada z wolna w drzemkę, wtulając się w skrzypiące skórzane siedzenie. Wycieraczki zgarniają krople deszczu dziarskimi, rytmicznymi zamachami. Minęła druga w nocy i pora wracać do domu.

Są w szpitalu Świętej Weroniki, tuż obok oddziału neuropatologii wojennych, w trakcie jednej ze swoich tradycyjnych wieczornych nasiadówek. W wypełnionym po brzegi autoklawie wygotowują się cienkie stalowe kości. Para ulatuje w snop światła rzucanego przez lampę o wygiętej nóżce, jaśniejąc raz po raz, przepuszczając na wskroś siebie chyże cienie o ostrych konturach, rzucone przez dwóch gestykulujących mężczyzn. Obie twarze są jak zwykle powściągliwe, głowy wycofane w obręb nocy.



Z mroku panującego na oddziale – z nieodkrytej kartoteki, w której każde łóżko jest osobnym zbiorem akt – dobiegają co jakiś czas krzyki jak tony wybijane pałeczką na zimnym metalu. Wtedy Kevin Spectro bierze do ręki strzykawkę i uzbrojony wkracza, teraz już kilkunastokrotny raz tej nocy, w ciemność, by uspokoić „lisa” (ogólne określenie, oznaczające pacjenta – gdy człowiek przebiegnie trzykrotnie dokoła budynku, nie myśląc o lisie, może wyleczyć wszystko). Pointsman siedzi cierpliwie w oczekiwaniu na jego powrót i podjęcie przerwanej rozmowy, zadowolony z tych chwil wytchnienia w półmroku, gdzie na grzbietach wyświechtanych książek świecą litery ze złotej folii, karaluchy oblegają wonną maszynkę do kawy, a za oknami leje zimowy deszcz...

– Wyglądasz tak samo źle jak ostatnio.

– Och, to ten stary skurwiol, znowu daje mi się we znaki. Te bitwy, Spectro, co dzień, nie mam... – Odyma wargi do swych okularów, wycieranych o koszulę. – Nie potrafię rozgryźć tego cholernego Puddinga, stary grzyb bez przerwy wyskakuje z tymi... swoimi niespodziankami...

– Matuzalem, co chcesz.

– Och, z jego wiekiem bym sobie poradził. Ale on jest cholernie... to okropny skurwiol, w ogóle nie sypia, knuje... Nie, nie, nie chodzi mi o to, że jest stary, tylko o szczebel, na którym działa. Pointsman? Ty nie masz tych wszystkich priorytetów, które on ma, co? Nie możesz ryzykować aż tak jak on. Leczyłeś ludzi w takim wieku, przecież widziałeś to dziwne... filisterstwo...

Daleko stąd, w mieście, na Pointsmana czeka jego własny lis – nagroda wojenna. Tutaj przestrzeń małego gabinetu jest pieczarą wyroczeni: kłębi się para, z ciemności dobiegają sybilińskie krzyki... Odreagowywanie Władcy Nocy...

– Nie podoba mi się to, Pointsman. Mówię szczerze, skoro spytałeś.

– Dlaczego? – Cisza. – Nieetyczne?

– A czy to jest etyczne, na miłość boską? – Niemal w faszystowskim

pozdrowieniu Spectro wyciąga rękę ku drzwiom, w stronę oddziału. – Skąd, próbuję tylko usprawiedliwić to jako eksperyment. Nie potrafię. To przecież jeden człowiek.

– Ale tym człowiekiem jest Slothrop. Wiesz, co to za okaz. Nawet Mexico uważa.... no, wiadomo. Prekognicja. Psychokineza. Oni mają własne problemy, ta zgraja... Ale przypuśćmy, że to ty miałbyś okazję przebadać naprawdę klasyczny przypadek... jakiejś patologii, mechanizm doskonałej nienormalności...

Pewnej nocy Spectro zapytał:

– Gdyby nie był od Laszlo Jamfa, czy też byś tak przy nim obstawał?

– Oczywiście.

– Hm.

– Wyobraźmy sobie pocisk, którego lot słyszemy dopiero po jego wybuchu. Odwrotność! Wykrojony zgrabnie ułamek czasu... kilka klatek filmowych, puszczonej wspaniałości... eksplozja rakiety, która nadleciała szybciej niż dźwięk – dopiero potem narasta ryk obwieszczający jej spadanie, doganiający to, co już jest śmiercią i zniszczeniem... widmo na niebie...

Pawłowa fascynowała zasada przeciwieństwa. Weźmy wiązkę komórek gdzieś w korze mózgowej, dzięki którym odróżniamy przyjemność od bólu, światło od mroku, dominację od podporządkowania... Lecz gdy jakimś sposobem zagłodziemy je, uszkodzimy, otępiemy szokiem, wytniemy, przerzucimy w fazę przejściową, poza obręb ich przytomnych jaźni, poza fazę wyrównawczą i paradoksalną, wówczas osłabimy zasadę przeciwieństwa, i oto proszę, mamy paranoika, który jest panem, a czuje się niewolnikiem... który wprawdzie jest kochany, lecz doskwiera mu obojętność świata, i „uważam – pisał Pawłow do Janeta – że to właśnie faza ultraparadoksalna jest podstawową przyczyną osłabienia zasady przeciwieństwa u naszych pacjentów”. Naszych szaleńców, paranoików, maniaków, schizofreników, moralnych imbecyli...

Spectro kręci głową.

- Stawiasz reakcję przed bodźcem.
- Wcale nie. Pomyśl. On łązi po mieście i parę dni wcześniej czuje, jak nadlatują. To odruch. Odruch w reakcji na coś, co znajduje się w powietrzu już w chwili jego odczuwania. My jesteśmy zbyt prymitywnie skonstruowani, by to wychwycić, ale Slothrop wychwytuje.
- W takim razie to zjawisko pozazmysłowe.
- A może raczej sygnał zmysłowy, na który my nie zwracamy uwagi? Może to coś, co jest tu obecne cały czas, coś, co my też moglibyśmy rejestrować, ale nie zaprzątamy sobie tym głowy? W naszych eksperymentach często... Zdaje się, że M.K. Petrowa zauważyła to pierwsza... jedna z jego współpracowniczek, już na wczesnym etapie badań... samo wprowadzenie psa do laboratorium, zwłaszcza w naszej pracy eksperymentalnej w zakresie neurozy... widok stanowiska laboratoryjnego, technik, zbłąkany cień, powiew powietrza, jakaś wskazówka, której my być może nigdy nie wychwycimy, ale w jego wypadku to wystarczy, by dokonało się przesunięcie, by dokonał się skok w fazę przejściową.
- Takie buty. Niewykluczone. Sam w środku miasta. A gdybyśmy tak wojnę postrzegali jako laboratorium? Kiedy V-2 uderza, to najpierw mamy huk wybuchu, a potem dopiero jazgot spadającej rakiety... naturalny porządek bodźców zostaje odwrócony... On wyłania się z za konkretnego węgła, wchodzi w uliczkę i bez żadnego wyraźnego powodu czuje raptem...  
Napływa cisza, rzeźbiona przez wyartykułowane sny, przez boleściwe okrzyki ofiar rakiet, dochodzące z sąsiedniej sali – dzieci Władcy Nocy – głosy zawieszony w stęchłym szpitalnym powietrzu. Modlitwy do Mistrza: prędzej czy później wszystkie odreagowania zasnują ten mróz i umęczone miasto...
- ...podłoga znowu jest ogromną windą katapultującą cię bez żadnego ostrzeżenia ku sufitowi – odtworzenie: mury rozpadają się od wewnątrz, na głowę sypią się cegły i zaprawa murarska, jak śmierć nadchodzi nagły paraliż, by ośwładnąć i ogłuszyć nie wiem chyba straciłem przytomność jak

doszedłem do siebie jej nie było wszystko dokoła płonęło w głowie miałem pełno dymu... i widok własnej krwi tryskającej ze sflaczałego odcinka przeciętej tętnicy, ośnieżone dachówki zasypują połowę łóżka, niedokończony kinowy pocałunek, jesteś przygwożdżony i przez dwie godziny patrzysz w bolesnych męczarniach na pogniecioną paczkę papierosów, słyszysz krzyki dochodzące z rzędów po obu stronach, ale nie możesz się poruszyć... okropna cisza, nagle światło wypełnia salę, jaśniejsze niż jakikolwiek poranek, widziane przez koce przemienione w gazę, żadnych cieni, tylko niewysłowiony świt o drugiej w nocy... i...

...ten skok w fazę przejściową, ta kapitulacja. Gdy przeciwieństwa schodzą się i zatracają antonimie. (Czy Slothrop naprawdę wyczulony jest na wybuch rakiet, czy też właśnie na tę depolaryzację, na ten neurotyczny zamęt, który wypełnia dziś oddział szpitala?). Ileż to razy – nim zerwie się ostatecznie łańcuch tych powtórek, które wciąż się zazębiają – przeżyje wciąż na nowo wybuch, trzymając się go kurczowo, bo uwolnienie się jest takie ostateczne, skąd mam wiedzieć, panie doktorze, że kiedykolwiek wrócę? a odpowiedź: proszę nam zaufać, po nalocie rakiety jest tak płytka, to tylko maskarada – zaufać? – i obaj zdają sobie z tego sprawę... Spectro czuje się jak hochsztapler, ale brnie... tylko dlatego, że ból wciąż jest rzeczywisty...

No i są ci, którzy wreszcie się uwalniają: z każdego katarsis rodzą się nowe dzieci, bez bólu, pozbawione ego na jedno uderzenie tętna Styku... tabliczka wytarta do czysta, zaczyna się nowe zapisywanie, w zimowym mroku ręka z kredą wzniesiona nad nędznymi ludzkimi palimpsestami, które otępiałe od leków dygoczą pod państwowymi kocami, dławione łzami i smarkami jakże rzeczywistej żalości, wyrwane z takiej głębi, że aż dziw bierze, aż wydaje się, że to więcej niż ich własna...

Jakże Pointsman ich pożąda, tych ślicznych dzieci. Jego bezbarwne gatki trzeszczą w szwach wskutek pragnienia poważnego, naukowego wykorzystania ich niewinności, spisania na nich jego nowych słów, brązowych realpolitycznych marzeń sennych, pękają od rozrostu swoistej

psychicznej prostaty, bez wytchnienia cierpiącej z miłości, którą przyobiecano, o której napomknięto, ale jak dotąd... jakże kusząco leżą szeregami w żelaznych łózkach, w dziewiczej pościeli, te maleństwa tak jawnie zmysłowe...

Śródmiejski Dworzec Autobusowy Świętej Weroniki, skrzyżowanie dróg (dopiero co stanąłeś na tej imitacji parkietu, zdeptana guma do żucia czarna jak węgiel, kałuże nocnych rzygowin, bladeżółtych i czystych jak wydzieliny bogów, nieprzeczytane przez nikogo stare gazety i ulotki propagandowe, porwane na kawałki w kształcie sierpa, wyschnięte kozy z nosa, czarny brud, który ożywa słabowicie, ilekroć drzwi się otwierają...).

Wysiadywałeś w takich miejscach aż do wczesnego ranka, zsynchronizowany z jaśniejącym wnętrzem, przyjazdy masz w głowie, w pustej głowie. Wiesz, skąd pouciekały te maleństwa, wiesz, że w tym mieście nie wyjdzie po nie nikt. Twoja łagodność wywiera na nich wrażenie. Właściwie nigdy nie jesteś pewien, czy potrafią przejrzeć na wylot twoją pustkę. Za mało się znacie, by popatrzyły ci prosto w oczy, ich chude nogi nigdy nie zastygają w bezruchu, pończochy z dzianiny zsuwają się (wszystkie nylony pojechały na wojnę), acz uroczo, obcasiki bez przerwy kopią brezentowe torby i wyświechtane walizki, wetknięte pod drewniane ławki. Głośniki pod sufitem obwieszczają o odjazdach i przyjazdach, najpierw po angielsku, a potem w językach uchodźców. Ta mała ma za sobą długą podróż, nie spała. Zaczerwienione oczy, pognieciona sukienka. Płaszcz posłużył za poduszkę. Wyczuwasz jej zmęczenie, wyczuwasz niewyobrażalny bezmiar uśpionej wiejskiej okolicy, przygniatający jej ramiona, i przez chwilę naprawdę jesteś bezinteresowną, bezpłciową istotą... myślisz tylko o tym, jak zapewnić jej schronienie, stałeś się Zestawem Ratunkowym Podróżnego.

Za twoimi plecami, ku dwuskrzydłowym drzwiom pomalowanym na beżowo, powalany na środku przez całe pokolenia rąk brunatnymi smugami pożegnań, odchodzą z wolna długie, całonocne szeregi mężczyzn w

mundurach, mężczyźni na ogół milkiwych, ciągnących ze sobą żołnierskie torby podróżne. Drzwi otwierają się raz po raz, wpuszczają chłodne powietrze, zabierają oddział żołnierzy i zamykają się powtórnie. Kierowca albo kontroler stoi obok i sprawdza bilety, przepustki, karty urlopowe. Jeden za drugim mężczyźni wkraczają w idealnie czarny prostokąt nocy i giną z oczu. Zniknął, wojna go zabrała, a następny już pokazuje bilet. Na dworze ryczą silniki, niemniej ich głos bardziej przypomina stacjonarne maszyny niż pojazdy, wraz z chłodem napływają bardzo niskie częstotliwości, jakby trzęsła się ziemia – dając do zrozumienia, że tam, na zewnątrz, ślepotą po opuszczeniu rozświetlonego wnętrza będzie jak nagły cios... Żołnierze, marynarze, piechota morska, lotnicy. Nikną jeden za drugim. Ci, którzy akurat palą papierosy, ociągają się chwilę dłużej, nikły ogień zakreśla jeden, drugi pomarańczowy łuk – nie więcej. Siedzisz, na wpół ku nim obrócony, i obserwujesz, twoje umorusane senne maleństwo zaczyna utyskiwać, ale nic z tego – bo jak pomieścisz wszystkie swoje żądze w tej białej ramie, przez którą tak wielu odeszło? Przez te drzwi wychodzi dziś, powłócząc nogami, tysiąc takich maleństw, niewiele zaś zdarza się nocy, kiedy choć jedno wejdzie, znajdzie się w domu, w twoim sprężystym, pachnącym spermą łóżku, nad gazownią hula wiatr, bliższe wonie pleśni na wilgotnych fusach od kawy, kocie gówno, obleśne swetry w bladych kolorach, rzucone w kąt, znieruchomiałe w przypadkowym geście konspiracji albo serdecznego powitania. Ta milkiwa, zazębająca się kolejka... tysiące odjeżdżają... i tylko jakaś zbłąkana cudaczna cząsteczka przypadkiem sunie pod prąd...

Jednak mimo swych zabiegów Pointsman zaliczy jedynie ośmiornicę – a tak, gigantycznego głowonoga rodem jak z filmu grozy, zwanego Grigorij: szare, śliskie monstrum zawsze w ruchu, dygoczące w zwolnionym tempie w prowizorycznym akwariu przy moło Ick Regis... straszliwy wiatr dął wtedy znad kanału, Pointsman w kominiarce, oczy zmarznięte, doktor Porkyevitch z postawionym kołnierzem palta i w futrzanej czapce nasuniętej na uszy, ich oddechy cuchnące rybą zjedzoną przed kilkoma godzinami, i co, do cholery,



Pointsman ma zrobić z tym zwierzęciem?

Odpowiedź nasuwa się sama, w jednej chwili pozbawiona cech blastula, w następnej coraz wyraźniejszy, materializujący się kształt...

Tamtej nocy – z całą pewnością było to właśnie tamtej nocy – Spectro powiedział między innymi:

– Zastanawiam się, czy myślałbyś tak samo, gdybyś nie był otoczony tymi wszystkimi psami. Gdybyś w swoich badaniach od początku wykorzystywał ludzi.

– Mówisz poważnie? Skoro tak, powinieneś mi zaproponować któregoś ze swoich pacjentów zamiast wielkiej ośmiornicy.

Naukowcy przypatrują się sobie nawzajem.

– Ciekaw jestem, co zrobisz.

– Ja też.

– Bierz ośmiornicę. – Czy to znaczy „zapomnij o Slothropie”?

Chwila napięcia.

Pointsman wybucha dobrze znanym śmiechem, bo w przeszłości tym sposobem niejedną raz uratował skórę w profesji, w której wychylający się dostają po łapach.

– Zawsze wciskają mi zwierzęta. – Ma na myśli to, że przed wielu laty pewien kolega – zmarły już – powiedział mu, iż stanie się lepszym i sympatyczniejszym człowiekiem, jeżeli będzie hodował psa, ale w domu, poza laboratorium. Pointsman spróbował – Bóg mu świadkiem – a był to springer spaniel, który wabił się Gloucester, sympatyczne zwierzę, jak mu się zdawało. Eksperyment trwał niespełna miesiąc. Rozsierdziło go do reszty, że pies nie potrafił naprawić swych błędów. Umiał otworzyć drzwi, żeby wpuścić krople deszczu i wiosenne owady, ale zamknięcie ich go przerastało... wywracał śmieci, rzygał na podłogę, lecz o sprzątnięciu nie było mowy – jak ktokolwiek wytrzymałby życie z takim stworzeniem?

– Ośmiornice – wdzięczy się Spectro – są bardzo uległe w trakcie zabiegów chirurgicznych. Wytrzymują usunięcie nawet ogromnej części tkanki

mózgowej. Ich bezwarunkowa reakcja na żer jest niezawodna, pokażesz im kraba i chaps, wystrzela macka, zdobycz sparaliżowana i spałaszowana. No i, Pointsman, one nie *szczekają*.

– No tak, ale... Nie, nie... baseny, pompy, filtrowanie wody, specjalne pożywienie... może z tym nie ma kłopotu w Cambridge, u tej zgrai, ale tutaj wszyscy niemożliwie sknerzą, to pewnie przez tę cholerną kontrofensywę Rundstedta... Zarząd Walki Politycznej nie wyłoży teraz grosza na nic, co nie przynosi korzyści strategicznych, i to od razu, a najlepiej tydzień wstecz, no wiesz, albo jeszcze wcześniej. Nie, ośmiornica to zbyt wydumane, nawet Pudding tego nie łyknie, nawet on, z tymi jego snami o wielkości.

– Możliwości nauczania są nieograniczone.

– Spectro, ty chyba nie jesteś diabłem, co? – Pointsman przypatruje się bacznie doktorowi. – A może jesteś? Wiesz, że szukamy bodźców dźwiękowych, realizacja tej hecy ze Slothropem musi mieć charakter słuchowy, odwrócenie jest słuchowe... Widziałem w swoim czasie jeden czy dwa mózgi ośmiornicy, kolego, i wydaje mi się, że zauważyłem wielkie rozrosłe płaty oczne. He? Próbujesz mi wlepić wzrokowca. A co tu oglądać, kiedy to cholera leci nam na głowy?

– Łunę.

– Że co?

– Ognistą czerwoną kulę. Spadającą jak meteor.

– Bzdura.

– Gwenhidwy widział taką którejś nocy nad Deptford.

– Mnie nie potrzeba – nachyliwszy się w krąg światła, Pointsman szepcze nad ognistą igłą strzykawki ustawionej pionowo na biurku, a jego blada twarz jest bardziej bezbronna niż głos – ani psa, ani ośmiornicy, tylko jednego z twoich wspaniałych lisów. Cholera jasna, żebym miał jednego liska!



Coś grasuje po Zadymionym Mieście – zbiera garściami szczupłe dziewczęta, ładne i gładkie jak lalki. Ich żalosne krzyki... żalosne, płaczliwe krzyki... twarz jednej jest bardzo blisko i nagle ryms, na patrzące oczy opadają kremowe powieki ze sztywnymi rzęsami, zatraskują się donośnie, przeciągłe pobrzmiwanie ołowianych ciężarków przeciwwagi rozchodzi się po głowie Jessiki, gdy ona sama otwiera raptem oczy. Powraca do rzeczywistości w porę, by usłyszeć dudniące echo wybuchu, surowy i ostry, zimowy odgłos... Roger też budzi się na moment, mruży: „Kurwa, to obłąd”, i zapada z powrotem w sen.

Wyciąga rękę, niewidoma dłoń muska cykający budzik, wytarty brzuch pluszowej pandy imieniem Michaś, butelkę po mleku, do której wstawili szkarłatne kwiatki poinsecji z ogrodu położonego około mili od domu, sięga wreszcie tam, gdzie powinny leżeć papierosy, ale ich nie ma. Wysunięta do połowy z pościeli, Jessica trwa w zawieszeniu między dwoma światami: gimnastyczne białe napięcie w wyziębionym pokoju. No i dobra... zostawia go zagrzebanego w pośłaniu i stąpa rozdygotana w ziarnistej ciemności, brrrrr, po zimoodpornej podłodze, gładkiej pod bosymi stopami jak lód.

Papierosy leżą na podłodze w salonie, pozostawione wśród poduszek przed kominkiem. Dokoła wala się ubranie Rogera. Zaciągając się papierosem i mrużąc oczy z powodu dymu, Jessica sprząta, składa jego spodnie, wiesza koszulę. Potem podchodzi do okna, odgarnia zaciemniającą zasłonkę, przez warstwę szronu na szybie usiłuje dojrzeć śnieg podeptany przez lisy, króliki, bezpańskie od dawna psy i zimowe ptaki, ale nie przez ludzi. Puste rowy, pełne bieli, biegną między drzewa, w miasteczko, którego nazwy dotąd nie poznali. Osłania starannie papierosa dłonią, żeby nie widać było ognika, choć wymóg zaciemnienia, zniesiony przed wieloma tygodniami, należy już do innego czasu i świata. Spóźnione ciężarówki pędzą nocą na północ i południe, a niebo wypełniają samoloty, które po chwili ciągną ku ciszy na

wschodzie.

Czy mogli wybrać hotele i formularze meldunkowe, rewizje osobiste, wypytywanie o aparaty fotograficzne i lornetki? Ten dom, całe miasteczko i skrzyżowane łuki Rogera i Jessiki wydane są na pastwę niemieckiej broni i brytyjskich przepisów... niby nie czuje tutaj zagrożenia, niemniej chciałyby, żeby wokół byli inni ludzie, żeby to było prawdziwe miasteczko, jej miasteczko. Reflektory mogłyby zostać, rozświetlałyby noc, grube balony zaporowe też, żeby zaludniać świt swymi przyjaznymi sylwetkami – wszystko mogłoby zostać, nawet odległe wybuchy, byleby nie powodowały zniszczeń... byleby nikt nie musiał umierać... dlaczego tak nie może być? tylko ekscytacja, dźwięk i światło, burza w letni dzień (ach, żyć w świecie, w którym to właśnie byłoby powodem przyśpieszonego bicia serca...), niosąca wyłącznie miły grzmot.

Jessica rozszczepia się na dwoje i z góry patrzy na siebie zapatrzoną w noc, unosi się w bieli o szerokich nogawkach i wywatowanych ramionach, gładkiej jak atlas na powierzchniach zwróconych ku nocy. Dopóki coś tu nie spadnie dostatecznie blisko, by się zaniepokoiła, dopóty będą cieszyć się bezpieczeństwem: mają swoje zarośla srebrnoniebieskich łądyg, które prężą się po nocy, żeby sięgnąć, dotknąć chmur, a pod wieczór zielonobłękitne skupiska mundurów, pagórki, oczy wlepione w dal, połączone w konwoje sunące na front, ku wielkiemu przeznaczeniu, które, rzecz osobliwa, niewiele ma wspólnego z nimi dwojgiem tutaj... nie wiesz, że jest wojna, kretynie? owszem, ale tu stoi Jessica w piżamie odziedziczonej po siostrze, a Roger śpi bez niczego, więc gdzie jest ta wojna?

Nie ma jej, dopóki ich nie dotknie. Dopóki coś nie spadnie. Bomba latająca daje czas, by się ukryć w bezpiecznym miejscu, rakieta V-2 uderza natomiast, zanim ją usłyszą. Jak w Biblii, co nie? To straszne jak stara baśń z północy, ale przecież to nie jest Wojna, to nie jest ta wielka batalia pomiędzy dobrem a złem, o której codziennie donosi radio. Nie ma powodu, no cóż, nie korzystać dalej...

Roger próbował wyłuszczyć jej statystykę bombardowań V-2 – różnicę między rozkładem trafień w całej Anglii, oglądanej oczyma frunącego anioła, a ich szansami postrzeganyymi stąd, z dołu. Niemal do niej dotarło: prawie rozumie rozkład Poissona, a jednak nie może połączyć tych dwóch rzeczy – nie potrafi dzień po dniu zestawiać własnego wymuszonego spokoju z ciągiem suchych liczb i utrzymać tego wszystkiego w polu widzenia. Fragmenty się wymykają.

– Roger, dlaczego twoje równanie jest tylko dla aniołów? Dlaczego my tutaj, na ziemi, nie możemy czegoś zrobić? Czy nie ma jakiegoś równania dla nas, żebyśmy mogli znaleźć sobie bezpieczniejsze miejsce?

– Dlaczego – daje o sobie znać jego typowa wyrozumiałość – otaczają mnie statystyczni analfabeci? Nie ma takiej możliwości, skarbie, dopóki średnia gęstość trafień jest wartością stałą. Pointsman nawet tego nie rozumie.

Rakiety spadają na Londyn zgodnie z podręcznikowym rozkładem Poissona. W miarę napływu danych Roger coraz bardziej przypomina proroka. Ludzie z Sekcji Psi popatrują za nim na korytarzach. To nie żadna prekognicja. Chciałby wydać oświadczenie w bufecie albo coś... Czy kiedykolwiek udawałem kogoś, kim nie jestem? Ja przecież tylko podstawiam liczby do znanego wszystkim równania, możecie zajrzeć do książek i zrobić to sami...

W jego małym gabinecie króluje teraz połyskliwa mapa, okno na świat zupełnie inny niż zimowy Sussex – wypisane nazwy i płatanina ulic, atramentowe widmo Londynu, podzielone na pięćset siedemdziesiąt sześć kwadratów, każdy obejmujący ćwierć kilometra kwadratowego miasta. Miejsca bombardowań zaznaczono czerwonymi kółkami. Przy dowolnie wybranym ogóle trafień rozkład Poissona określa, ile kwadratów pozostanie nietkniętych, na ile spadnie jedna rakietka, na ile dwie, trzy i tak dalej.

Na palniku kuchenki bulgocze kolba stożkowa. Niebieski ogień pyrkocze i supła się pod ruchliwą substancją w naczyniu. Na biurku i podłodze porozrzucano stare wyświechtane podręczniki i prace matematyczne. Spod

aparatu fotograficznego wygląda fotka Jessiki. Każdego ranka w drodze do laboratorium, gdzie czekają psy z odwiniętymi wargami, a w kubkach zabezpieczonych woskiem i probówkach z podziałką gromadzą się srebrzystobiałe krople skapujące z czystych przewodów ślinowych, siwiejący, chudy jak szczapa pawłowista wstrzymuje sprężysty krok przy drzwiach do pokoju Mexico. Powietrze w głębi jest niebieskie od dymu po dwakroć wypalonych papierosów, za drugim razem jako niedopałki o lodowatym czarnym poranku, na pierwszej zmianie – stęchła, ohydna atmosfera. Ale musi wejść, musi stawić czoło tradycyjnej porannej filiżance herbaty.

Obaj zdają sobie sprawę, jak osobliwie wygląda ich związek. Jeśli kiedykolwiek istniał Anty-Pointsman, to jest nim Roger Mexico. I to wcale nie z racji zainteresowań parapsychologią, przyznaje doktor. Młody statystyk oddany jest liczbom i metodzie, nie seansom spirytystycznym i pobożnym życzeniom. Sęk w tym, że w dziedzinie zera i jedynki, czyli niczegoś i czegoś, Pointsman może osiąść tylko zero i jedynkę. Nie potrafi, w odróżnieniu od Mexico, przetrwać gdzieś pomiędzy. Podobnie jak wcześniej jego mistrz I. P. Pawłow, wyobraża sobie korę mózgową jako mozaikę drobnych przełączników. Niektóre pozostają w stanie roziskrzanej aktywności, inne – mrocznego zahamowania. Zarysy, jasne i ciemne, bez przerwy się zmieniają. Niemniej każdy element może znajdować się wyłącznie w jednym z dwóch stanów: pobudzenia lub uśpienia. Jedynka albo zero. „Sumacja”, „przejście”, „promieniowanie”, „koncentracja”, „wzajemna indukcja”, cała ta Pawłowowska mechanika mózgu zakłada obecność takich dwustabilnych elementów. Do Mexico natomiast należy królestwo między zerem a jedynką – środek, który Pointsman wyrugował ze swego credo – a więc prawdopodobieństwo. Prawdopodobieństwo wynoszące 0,37, że do czasu zakończenia obliczeń dany kwadrat na mapie otrzyma jedno trafienie, 0,17, że dwa...

– Czy na podstawie swojej mapy nie możesz... *przewidzieć* – Pointsman



częstuje Rogera jednym ze swych cypryjskich papierosów, noszonych w sekretnych kieszonkach, wszytych w laboratoryjne fartuchy – gdzie najbezpieczniej przebywać, które miejsca będą wolne od trafień?

– Nie.

– Ale przecież...

– Każdy kwadrat może zostać znowu trafiony z równym prawdopodobieństwem. Trafienia się nie koncentrują. Średnia gęstość jest stała.

Mapa ewidentnie to potwierdza. Widać tylko klasyczny rozkład Poissona, spokojnie, zgrabnie rozprzestrzeniający się na kwadraty, tak jak należy... przyjmujący przewidywany kształt...

– No, ale sektory, które trafiono już kilkakrotnie, one przecież...

– Przykro mi. To tak zwany błąd Monte Carlo. Nie ma znaczenia, ile rakiet trafiło w konkretny kwadrat, bo prawdopodobieństwo pozostaje takie samo, jakie było. Każde trafienie jest niezależne od innych. Bomby to nie psy. Nie mają powiązań. Nie mają pamięci. Nie mają wyuczonych odruchów.

Miło jest pouczać pawłowistę. Czy to zwykła kołtuńska niewrażliwość Rogera Mexico, czy też naprawdę wie, co mówi? Jeśli nic nie wiąże trafień – żadnego łuku odruchowego, żadnego Prawa Indukcji Ujemnej... wówczas... Każdego ranka Pointsman idzie do pokoju Mexico jak na stracenie. Coraz mocniej wystraszony jego ministranckim wyglądem, jego studenckimi dowcipami. Ale musi składać te wizyty. Jak to możliwe, że Mexico jest tak rozluźniony i bawi się tymi symbolami przypadkowości i lęku? Niewinny jak dziecko, być może – zapewne – nieświadomy, że w swej zabawie demontuje elegancki gmach historii, zagraża samej zasadzie przyczynowości. A co, jeśli z całym jego pokoleniem się tak porobiło? Czy po wojnie będą tylko „wydarzenia”, zaistniałe na chwilę? Żadnych powiązań? Czy to koniec historii?

– Rzymianie – pewnego wieczoru Mexico i wielbny doktor Paul de la Nuit urznęli się, a przynajmniej urznął się pastor – no wiesz, kapłani w

starożytnym Rzymie kładli sito na drodze, a potem czekali, którymi dziurkami wyjdzie na wierzch rosnąca trawa.

Roger natychmiast dostrzega związek.

– Zastanawiam się – przeszukuje po kolei kieszenie, dlaczego nigdy nie ma tych cholernych... aha, tutaj – czy przebiegałoby to zgodnie z rozkładem... Zobaczmy...

– Mexico – de la Nuit pochyła się do przodu, wyraźnie wrogo usposobiony.  
– Żdźbeł rosnących przez dziurki używali do leczenia chorych. Sito było dla nich świętym przedmiotem. A co ty zrobisz z sitem, które położyłeś na Londynie? Jak wykorzystasz to, co wyrosło z twojej siatki śmierci?

– Nie rozumiem. – Przecież to tylko równanie...

Rogeroi naprawdę zależy, by inni wiedzieli, o czym mówi. Jessica to dostrzega. Gdy nie wiedzą, często blednie i chmurzy się, jakby się ukazał w brudnym oknie wagonu kolejowego – opadają mgliście posrebrzone szlabany, wślizgują się odstępy, by jeszcze bardziej go odseparować, spotęgować jego samotność. Zdała sobie z tego wszystkiego sprawę już pierwszego dnia, kiedy nachylił się przez siedzenie, żeby otworzyć drzwi jaguara, pewien, że ona nie wsiądzie za żadne skarby świata. Ujrzała jego samotność: w twarzy, między czerwonymi dłońmi z poogryzаными paznokciami...

– To nie w porządku.

– Ależ to jak najbardziej w porządku. – Oto Mexico cynik, wyglądający bardzo młodo, zdaniem Jessiki. – Wszyscy są równi. Wszystkim grozi takie samo niebezpieczeństwo od V-2. W oczach rakiety wszyscy są równi.

Na to ona robi minę Fay Wray, oczy okrągłe jak spodki, czerwone usta rozwarłe szeroko do krzyku, a on nie może się powstrzymać od parsknięcia śmiechem.

– Przestańże.

– Czasami... – Co ona chce powiedzieć? Że zawsze musi być sympatyczny, że musi jej potrzebować, że nie wolno mu być – tak jak teraz –

tym fruującym cherubinem-statystykiem, którego noga nigdy nie postąpiła w piekło, a który wymądrza się, jakby był jednym z największych grzeszników...

– Tani nihilizm – oto jak kapitan Prentice nazywa taką postawę – rzekł Pirat.

Było to pewnego dnia przy zamrożonej sadzawce pod „Białym Nawiedzeniem”, Roger w nastroju do żartów leżał z boku w śniegu i ssąc sopel, robił orła.

– Chcesz powiedzieć, że nie daje z siebie wszystkiego... – Ona zerka w górę, w górę, wydaje się, że ogorzała twarz Pirata kończy się dopiero w niebie, jej włosy wreszcie na linii jego powściągliwych szarych oczu. To przyjaciel Rogera, on się nie zgrywa ani nie bruździ, nie ma zielonego pojęcia, domyśla się Jessica, o takich salonowych wojnach – a poza tym nie musi, bo ona, to okropne, flirtuje... hm, to nic poważnego, ale ach, te oczy, w które właściwie nie potrafi wejrzeć, są rozczulające, tak absolutnie cudne, naprawdę...

– Oczywiście im więcej V-2 czeka tam na odpalenie – rzekł wtedy kapitan Prentice – tym większa szansa, że któraś go dopadnie. Naturalnie nie można powiedzieć, że nie daje z siebie wymaganego minimum. Ale czyż nie dajemy wszyscy?

– No cóż. – Roger pokiwał głową, zastanawiając się z zamglonymi oczyma, gdy Jessica mu potem to powtórzyła. – To znowu ten cholerny kalwinistyczny obłąd. Zapłata. Dlaczego oni zawsze muszą to przedstawiać w kategoriach interesu? Czego chce Prentice, kolejnej propozycji Beveridge’a? Każdemu obliczyć Iloraz Cierpienia! Ślicznie, stajemy przed komisją weryfikacyjną, tyle a tyle punktów za żydowskie pochodzenie, za pobyt w obozie koncentracyjnym, kalectwo, stratę żony, kochanki, bliskiego przyjaciela...

– Wiedziałaś, że się wściekniesz – mruknęła.

– Wcale się nie wściekam. Skąd. On ma rację. To rzeczywiście tanie,

zgoda, ale w takim razie czego chce? – Roger kroczy teraz po dusznym, przyćmionym saloniku, obwieszonym drętymi obrazami, przedstawiającymi legawce wystawiające zwierzynę na łąkach, które nigdy nie istniały, chyba tylko w czyichś fantazjach o śmierci, polany coraz złocistsze w miarę starzenia się werniksu, bardziej jesienne, cmentarne bardziej nawet od przedwojennych nadziei – na kres wszelkich zmian, na długie statyczne popołudnie i niewyraźną kuropatwę w wiecznym wzlocie, pejzaż w ukośnej perspektywie, ciągnący się od fioletowych wzgórz po blade niebo, z wiernym psem wyczulonym na ponadczasową woń, nad jego łbem broń gotowa do strzału – obecność tych nadziei jest tu tak oczywista i bezbronna, że nawet będąc w nastroju najtańszego nihilizmu, Roger nie potrafi się zmusić do zdjęcia obrazów albo choćby obrócenia ich przodem do ściany. – Czego wy wszyscy po mnie oczekujecie, skoro pracuję dzień w dzień pośród tych rozszalałych maniaków – Jessica wzdycha: „o Boże”, i podkurcza zgrabne nogi w fotelu – oni przecież wierzą w życie pozagrobowe, telepatię, przepowiednie, jasnowidztwo, teleportację, oni w to wierzą, Jess, i... i! – Coś dławi mu gardło. Ona zapomina o swoim rozdrażnieniu, wstaje z opasłego zakardowego fotela i przytula się, skąd wie, u licha, ciepłe pod spódnicą uda i wzgórek napierają, ogrzewając i podniecając jego fiuta, rozmazuje resztki szminki na jego koszuli, napięte mięśnie, dotyki, skóra się miesza, emocje, krew krąży szybciej – skąd wie tak dokładnie, co chciał powiedzieć?

*Telepatia*, dziś w nocy przy oknie, gdy on śpi, ona od żaru niedopałka zapala kolejnego drogocennego papierosa i zbiera się jej na płacz, bo widzi wyraźnie swoje ograniczenia, zdaje sobie sprawę, że nie potrafi go chronić tak, jak powinna – przed tym, co może spaść z nieba, przed tym, czego nie mógł wyznać tamtego dnia (śnieg skrzypiący w alejach, arkady zarośniętych soplami, kłaniających się drzew... wiatr strząsający kryształki lodu: fioletowe i pomarańczowe stworzenia rozkwitające na jej długich rzęsach) i przed panem Pointsmanem, przed Pointsmanem... przed jego... robi się

posępnie, ilekroć go spotyka. Naukowiec-bezstronność. Dłonie, które... Wzdryga się. No, może teraz ze śniegu i martwoty wyłoni się wreszcie postać wroga. Jessica opuszcza zasłonę. Dłonie, które mogłyby torturować ludzi tak samo, jak torturują psy, i nigdy nie poczują ich bólu...

Przemykające lisy, tchórzliwe kundle, tylko one dzisiejszej nocy mącą ciszę na podwórkach i w zaułkach. Motocykl na szosie, warczący butnie jak myśliwiec, omija łukiem miasteczko i kieruje się na Londyn. Wielkie balony dryfują po niebie, rozrosłe jak perły, a powietrze jest tak nieruchome, że śnieg spadły błyskawicznie tego ranka wciąż trzyma się stalowych kabli, biel ciągnie się jak guma miętowa setkami kilometrów nocy. No i ci ludzie, którzy może sypiali w tutejszych pustych teraz domach, zdmuchnięci przez falę uderzeniową, niejedni na zawsze... czy śnią o miastach, które jarzą się w nocy całe rozświetlone, o Bożym Narodzeniu widzianym znowu oczyma dziecka, a nie o bezbronnych owcach, stłoczonych na nagich wzgórzach, wybielonych przez straszliwą świetlistość Gwiazdy? O piosenkach tak zabawnych, tak ślicznych i prawdziwych, że nie można ich sobie przypomnieć po przebudzeniu... to sny o życiu w pokoju...

– Jak to było? Przed wojną? – Zdaje sobie sprawę, że przecież żyła wtedy, że była dzieckiem, ale nie o to jej chodzi. Radio, trzeszczące „Wariacje Franka Bridge’a” na falach serwisu krajowego BBC grzebieniem dla zmierzwionego umysłu, na oknie w kuchni chłodząca się butelka Montrachet, prezent od Pirata.

– Zależy, siusiumajtko – odpowiada skrzekliwym głosem starego zrzędy i wyciąga niewładną rękę, żeby po chamsku uszczypnąć ją w cycek – którą wojnę masz na myśli – no i proszę, o rany, łee, co za ohyda, ślina zbiera mu się w kąciuku ust i ścieka srebrną nitką, on jest bardzo zabawny, wyćwiczył te wszystkie obrzydliwe małe...

– Nie zgrywaj się, Roger, pytam poważnie. Bo ja nie pamiętam. – Patrzy, jak w jego policzkach robią się dołeczki, gdy się zastanawia, uśmiechając się do niej osobiwie. Jak to będzie, kiedy stuknie mi trzydziestka... Gromadka

dzieci, ogródek, okno, paplanina, mamusiu, a dlaczego... ogórki i brązowa cebula na desce do krojenia, soczysta zieleń trawnika, nakrapiana jaskrawą żółcią kwiatów dzikiej marchwi, no i jego głos:

– Pamiętam tylko, że było idiotycznie. Porażająco idiotycznie. Nic się nie działo. Aha, Edward VIII abdykował. Zakochał się w...

– Wiem o tym, potrafię czytać gazety. Ale jak było?

– No, po prostu... cholernie idiotycznie, to wszystko. Zamartwialiśmy się o sprawy, które... Jess, naprawdę nie pamiętasz?

Zabawy, fartuszek z kieszonką, koleżanki, w sąsiedniej uliczce kotek o białych łapkach, wakacje z całą rodziną nad morzem, słona woda, smażone ryby, przejażdżki na ośle, brzoskwiniowa tafta, chłopczyk imieniem Robin...

– Wszystko to, co utraciliśmy, można odzyskać.

– Och, a moje wspomnienia...

– Tak?

Oboje się uśmiechają.

– Człowiek obzerał się aspiryną. Na ogół pił albo już był pijany. Martwił się, żeby mu krawiec dopasował garnitur na spacer. Pogardzał klasą wyższą i z całych sił starał się ją naśladować.

– I kwilił jak ta świnka z rymowanki... – Jessica urywa z chichotem, bo on dotyka ją przez sweter w bok, w miejsce, gdzie ma nieznośne łaskotki. Garbi się, wiję, wyślizguje, Roger turla się obok, odbija od oparcia kanapy i z gracją odzyskuje równowagę, ale teraz ona już wszędzie czuje łaskotki, wystarczy, że chwyci ją za kostkę, łokieć...

Nagle spada rakieta. Przerazająca eksplozja tuż pod miasteczkiem zmienia całkowicie strukturę powietrza i czasu: okno rozwiera się do środka, skrzydła na skrzypiących zawiasach odbijają się od ściany i zatrząskują, dom dygocze.

Serca biją im jak oszalałe. Dzwonią boleśnie bębunki uszne, porażone nadciśnieniem. Niewidzialny pociąg przetacza się nad dachami...

Siedzą nieruchomo jak namalowane psy, cisi, niezdolni, o dziwo, nawet się dotknąć. Śmierć stoi w drzwiach od spiżarni i przygląda im się, żelazna i cierpliwa, z miną, która mówi: mnie spróbujcie połaskotać.



(1)

Odkomenderowanie:

Oddział Odreagowania  
Terapeutycznego  
Szpital Świętej Weroniki  
Bonechapel Gate 1  
Londyn  
Anglia  
zima roku 1944

Adresat:

Szczeniak z Kenoshy  
Poste restante Kenosha,  
Wisconsin Stany Zjednoczone

Szanowny Panie,

Czy kiedykolwiek w życiu niepokoiłem Pana w jakiegokolwiek sprawie?

Z poważaniem  
Porucznik Tyrone Slothrop

Kilka dni później:

Poste restante  
Kenosha, Wisconsin  
Stany Zjednoczone

Adresat:

Sz. P. Tyrone Slothrop  
Oddział Odreagowania Terapeutycznego  
Szpital Świętej Weroniki  
Bonechapel Gate 1  
Londyn  
Anglia

Drogi Panie Slothrop,

Ale skąd.

Szczeniak z Kenoshy

(2)

Zarozumiały gówniarz: – E, ja tam zaliczyłem wszystkie te staromodne tańce, umiem fikać charlestona, no i big apple też! I tango argentyńskie. Umiem wszystkie.

Tancerz-weteran (machając ręką): – Ale! Skąd! Szczeniak! Z Kenoshy taniec znasz?

(Wariant 2.1)

Z.G.: – E tam, gadanie, ja znam wszystkie nasze tańce. Umiem „castle walk” i „lindy” też! Umiem wszystkie tańce stąd.

T. – W: – Ale skąd? „Szczeniak z Kenoshy”, mówi ci to coś?

(3)

Podwładny: – No więc on mnie unika od pewnego czasu i pomyślałem sobie, że to może z powodu sprawy Slothrop. Jeśli jakimś cudem usłyszał, że to ja jestem odpowiedzialny...

Przełożony (ze strachem): – Usłyszał? Ale skąd Szczeniak z Kenoshy miałby usłyszeć, że ty...

(Wariant 3.1)

Przełożony (z niedowierzaniem): – Że ty?! Ale skąd! Szczeniak z Kenoshy miałby choć przez chwilę myśleć, że ty...

(4)

A pod koniec pamiętnego dnia, kiedy za pomocą ognistych liter, wypisanych na nieboskłonie, podał wszystkie słowa, które kiedykolwiek będą nam potrzebne, słowa, którymi dziś się cieszymy i zapełniamy nasze słowniki, nieśmiały głos małego Tyrone’a Slothrop, czczonego odtąd w tradycji i pieśniach, odważnie przeniknął w górę, do uszu Szczeniaka:

– Ale skąd? Szczeniak? Z Kenoshy?

Wersje listowej odpowiedzi pochłaniają świadomość Slothrop, gdy tymczasem z otaczającej bieli wyłania się pochylony doktor, by go obudzić i rozpocząć sesję. Igła bez bólu zagłębia się w żyłę tuż pod zgięciem w łokciu: dziesięcioprocentowy roztwór amytału sodu, centymetr sześcienny, tak jak

trzeba.

(5)

Przyjechały pędraki z Filadelfii, nawaliło się dzieciarni z Rochester, jest jeden z Joliet, ale... Skąd? Szczeniak z Kenoshy? Mało nam jeszcze?

(6)

(Dzień wniebowstąpienia i składania ofiar. Celebracja jak kraj długi i szeroki. Tłuszcz skwierczy, krew skapuje i spala się na słony brąz...). Prosiak z Charlottesville, zaliczony, stawiamy ptaszka, jest żreback z Forest Hills, odfajkować... (głos cichnie...) – Jagnię z Laredo. Ptaszek. Szcze... Ale, ale... Skąd szczeniak? Z Kenoshy? Miał być z Roanoke. Rusz się, Slothrop!

W łapie trzymam piękny wzwód.

Trzymaj broń i marsz na wschód,

Jesteś *good*.

Rusz się, Slothrop!

Za mnie walczą dziś jelenie,

Ja chcę tylko odznaczenie!

Rusz się, Slothrop!

Znikąd miłości, zrozumienia, szacunku,

Chcą mnie wysłać na front w zgrabnym mundurku...

Opukać głowę, zważyć mózgownicę,

Wbić mi igłę prosto w tętnicę.

Slothrop, rusz się!

PISCES: Zamierzamy dziś pomówić nieco dokładniej o Bostonie, Slothrop. Przypominacie sobie, że ostatnim razem rozmawialiśmy o Murzynach z Roxbury. Wiemy, że to dla was trochę krępujące, ale spróbujcie, dobrze? No więc – gdzie jesteście, Slothrop? Widzicie coś?

Slothrop: – Nie żebym od razu widział...

Łoskot naziemnego metra – tylko w Bostonie – stal i węglowy całun spowijający stare cegły.

Rytm mnie chwycił,  
Fikam, płąsam!  
Rytm mnie chwycił, ej, to fakt,  
Cały świat wiruje w takt!  
Wszyscy tańczą, swing to prąd,  
Nawet dwa przystanki stąd!  
Jestem w transie, swing, och, swing,  
Dalej, ludzie, swing, swing, swing!

Czarne gęby, biały obrus, *bardzo ostre noże* błyszczą na warcie obok talerzyków... dym z maryśki i papierosów miesza się pysznie, szczypie w oczy, cierpki jak wino, ja piórkuję wdechowe skręty, sypnij trochę tego towaru, aż się kudły same prostują!

PISCES: Powiedzieliście „kudły prostują”, Slothrop?

Slothrop: Rany, panowie... nie przeciągajcie tego...

Biali chłopcy z college'u wykrzykują życzenia do bandzia na estradzie. Uczniackie głosy ze Wschodniego Wybrzeża, wymawiające słowo „kurwa” z pewnym bojaźliwym zwiotczeniem języka, wskutek czego wychodzi im „kulwa”... Szaleją, bawią się na całego. Aspidistra, ogromne filodendrony, zielone liście wielkości słoniowych uszu i tropikalne palmy zwieszają się w półmroku... dwaj barmani, jasnoskóry gość z Indii Zachodnich, drobnej postury, pod wąsem, i jego pomocnik, czarny jak dłoń w rękawiczce wieczorowej, uwijają się bez przerwy na tle głębokiego, oceanicznego lustra, które wikła większość sali w stalowe cienie... butelki ustawione w szeregu tylko na mgnienie oka wiążą światło, bo zaraz wsysa je zwierciadlana tafla... jeśli ktoś pochyła się, by zapalić papierosa, płomyk odbija się jedynie jako ciemny oranż zachodzącego słońca. Slothrop nie widzi nawet swej własnej, białej przecież twarzy. Od jednego ze stolików odwraca się kobieta i patrzy na niego. Jej oczy w jednej chwili mówią mu z dystansu, kim jest Tyrone

Slothrop. Organki schowane w kieszeni popadają w mosiężną beczynność. Ciężarek. Akcesorium do jive'a. Niemniej zabiera je wszędzie ze sobą.

W ubikacji na piętrze tancbudy Roselanda omdlały Slothrop słania się nad klozetem, rzygając piwem, hamburgerami, frytkami, sałatką przyprawioną po francusku, połową napoju Moxie, deserowymi miętusami, batonem czekoladowym, funtem solonych orzeszków i wisienką z koktajlu pewnej dziewczyny ze szkoły Radcliffe'a. Kiedy tak łyż płyną mu z oczu, PLUSK! – uuuugh!, bez żadnego ostrzeżenia do tego wstrętnego kibla wpada jego harmonijka! Pęcherzyki powietrza natychmiast pną się w górę po jej jasnych boczках, po brązowych drewnianych powierzchniach, polakierowanych i wytartych przez usta, drobne srebrne nasionka wyrrywają się na wolność z organków, opadających ku sinobiałej gardzieli i dalej, głębiej, ku czarnej czeluści... Pewnego dnia armia amerykańska wyposaży go w koszule z kieszeniami zapinanymi na guziki. Ale w tamtych przedwojennych czasach mógł jedynie liczyć na to, że krochmal we włóknach śnieżnych koszul sklepi kieszenie i powstrzyma przedmioty od wypadania... Ale nie, kretynie, przecież harmonijka właśnie ci wypadła, pamiętasz? Uderzając o porcelanę, wydobywa z siebie niski ton (deszcz bije gdzieś o szybę i w dachowy wywietrznik z cienkiej blachy: zimny bostoński deszcz), ale jej wołanie zaraz dusi woda pocętkowana ostatnimi smugami żółtobrązowych rzygowin. Nie wróci. Albo Slothrop pożegna się z organkami, ze swą srebrzystą szansą na pieśń, albo musi nurkować ich śladem.

Nurkować? Murzyn Rudzielec, tutejszy czyścibut, czeka przy swoim zakurczonym skórzanym krzeselku. Czekają wszyscy Murzyni w całej wysłużonej tancbudzie. Nurkować? Z parkietu na parterze dobiegają tęskne dźwięki piosenki o Czirokezce, czynele, kontrabas, tysiące stóp szura tam, gdzie ruchome różowe światła ukazują już nie bladych chłopców z Harvardu i ich dziewczyny, ale plemię wystrojonych czerwonoskórych. Grany kawałek jest jeszcze jednym kłamstwem, ukrywającym zbrodnię białej rasy. Lecz więcej muzyków zakałapućkało się, niż dobrnęło do końca. Wszystkie te

długie, przedłużone nuty... Co oni knują, cały czas coś kombinują w środku. Czy to spisek indiańskich duchów? W Nowym Jorku dziś wieczorem, gaz do dechy, to może zdążysz na ostatni występ – na Siódmej Alei, między Sto Trzydziestą Dziewiątą a Sto Czterdziestą, Charlie Parker pokazuje, jak można wykorzystać najwyższe dźwięki akordów do rozbicia linii melodycznej na... litości co to kurwa jest karabin maszynowy czy co człowieku on chyba ma bzika trzydziestodwójki powiedz to (trzydziestodwójki) bardzo szybko głosem Manczkiina jeśli potrafisz lubię jak to się rozchodzi po ulicy z Chili House Dana Walla – cholera, po wszystkich ulicach (w trzydziestym dziewiątym zaczął się już staczać po równi pochyłej: w jak najbardziej pozytywnych solówkach skrzeczało ubawione pam-param-pam-pam beczynnej, jebanej starej Śmierci) na falach radiowych, po salach koncertowych, pewnego dnia aż po głośniki ukryte w windach, z których sączy się muzyka, po wszystkich targowiskach, jego ptasie trele, żeby zakwestionować kołysanki Człowieka, wykorzenić odurzający kicz nieskończenie, bez charakteru retuszowanych instrumentów strunowych... Zatem prorocstwo to przenika nawet tutaj, na zalaną deszczem Massachusetts Avenue, do „Czirokezki”, saksofony na parterze przygrywiają teraz trochę dziwnie, o rany, cholernie dziwnie...

Jeśli Slothrop ma gonić organki, to musi dać nura głową w dół, a to niedobrze, bo wtedy wystawi bezbronną dupę na świat, a przy tyłu Murzynach w pobliżu żaden porządny facet by tego nie chciał, gęba w nieznanym cuchnącym mroku, a tu czarne palce, mocne i zręczne, rozpinają mu pasek i rozporek, silne ręce rozsuwają nogi, no i już czuje na udach powiew zdezynfekowanego powietrza, bo teraz opadły też bokserki, razem z barwnymi zanętami i muszkami na okonia i pstrąga, którymi są zadrukowane. Próbuje się wcisnąć głębiej w wąskie gardło klozetu, gdy tymczasem przez śmierdzącą wodę docierają do niego stłumione odgłosy całej zgrai wstrętnych Murzynów, którzy wchodzą do toalety dla białych, wrzeszczą z radości, gromadzą się nad biednym, wijącym się Slothropem,



podrygują w sposób, w jaki to robią, gdy śpiewają: „Kopsnij talku, Malcolm!”. I do kogo należy głos, który im odpowiada, jeżeli nie do Rudzielca, czyścibuta, który niejedyn już raz wypucował na kolanach czarne lakierki Slothrop, wywijając szmatką do rytmu naszego bandzia, psze pana... więc teraz Rudzielec, bardzo wysoki, chudy Murzyn o ekstrawaganckich rudych włosach, na którego wszyscy kołesie z Harvardu wołają Rudzielec („Ej, Rudzielec, masz w szufladzie gumki do sprzedania?”), więc ten Murzyn, którego prawdziwe imię dociera wreszcie rurami do uszu Slothrop akurat w chwili, gdy gruby paluch z kupką bardzo maziowatej galaretki albo kremu sunie w dół między jego pośladkami prosto do odbytu, po drodze układając pojedyncze włosy w jodełkę – naprawdę ma na imię Malcolm, i wszystkie czarne fiuty są z nim za pan brat, z tym Malcolmem, znają się z nim jak łyse konie – Rudy Malcolm, niebywały nihilista mówi: „Piórkuje, ten to się składa tylko z dupy, nie?”. Rany boskie, Slothrop, znaleźć się w takiej sytuacji?! Zdołał jednak wcisnąć się głębiej, tak że wystają mu same nogi, a pośladki wiercą się i taplają tuż pod powierzchnią wody jak szczyty gór lodowych. Woda pluszcze o brzegi białej muszli, zimna jak deszcz na dworze. „Trzymajcie go, bo ucieka, ja piórkuje!”. Odległe dłonie chwytają go za łydki, za kostki, łapią za szelki i ciągną za kraciaste skarpetki, zrobione na drutach przez mamę, żeby w nich chodził na Harvard, ale te tak dobrze izolują albo tak bardzo posunął się w głąb klozetu, że prawie już nie czuje dotyku tych rąk...

Wreszcie strząsnął ich z siebie, wyrwał się z ostatniego murzyńskiego uchwytu i jest wolny, zwinny jak ryba, z nietkniętym, dziewiczym odbytem. No cóż, niejedyn odsapnąłby z ulgą, dzięki Bogu za wybawienie, inny pewnie by stęknął, też coś!, ale Slothrop niewiele ma do powiedzenia, bo niewiele czuł. Ciągle ani śladu utraconej harmonijki. W głąb dochodzi nikłe ciemnoszare światło. Od pewnego czasu jest świadom obecności gówna, zaskorupiałego kunsztownie na ściankach ceramicznego (a teraz może już metalowego) tunelu, gówna, którego nic już nie zmyje, celowo zmieszanego

z minerałami twardej wody w okrutne jak hacamore i gęste od znaczeń wzory, drogowskazy i przydrożne reklamy świata kanalizacji, kleiste i zawiesziste, plastyczne i artystyczne, a kształty te mającą i przesuwają się płynnie do tyłu, gdy on kontynuuje podróż długą, mętną drogą, zduszone tony „Czirokezki” wciąż docierają z góry, odprowadzając go ku morzu. Orientuje się, że potrafi zidentyfikować niektóre gówna jako odchody tego czy owego znajomego z Harvardu. Oczywiście może tu być też murzyńskie gówno, ale wszystko i tak wygląda podobnie. Ej, jest ten żarłok Biddle, to musiało być tamtego wieczoru, gdy wszyscy jedliśmy chińszczyznę w Pałacu Doktora Fu Manchu w Cambridge, bo gdzieś tu pływają kielki fasoli i jest nawet posmak tego sosu ze śliwek... rany, niektóre zmysły rzeczywiście się wyostrzają... kurza dupa... żarcie od Doktora Fu Manchu, trudno uwierzyć, to było parę miesięcy temu. Oho, jest i Dumpster Villard, miał wtedy zatwardzenie, co nie? – czarne gówno, liche jak żywica, która pewnego dnia uformuje się na zawsze w ciemny bursztyn. W niechętnych grubych maźnięciach na ściankach (zadających kłam jego spoistości) niesamowicie uwrażliwiony na kał Slothrop potrafi odczytać katusze przeżywane wtedy przez Dumpstera, który w ostatnim semestrze próbował popełnić samobójstwo: równania różniczkowe, które za nic nie chciały się dla niego ułożyć w jakikolwiek sens, facetka o jedwabnych kolanach i w kapeluszu nasuniętym głęboko na oczy, która pochylała się nad stolikiem Slothrop'a w smażalni Sidneya, żeby dokończyć za niego butelkę kanadyjskiego piwa, dziewczyny od Radcliffe'a, które go unikały, czarni zawodowcy, z którymi spiknął go Malcolm i którzy za dolara wydzielali mu porcje erotycznego okrucieństwa, dokładnie tyle, ile mógł strawić. Albo na ile było go stać, jeżeli spóźniał się przekaz pieniężny od matki. Odpłynął, reliefowy Dumpster zniknął w szarym świetle i teraz Slothrop mija wizytówkę Willa Stonybloke'a, J. Petera Pitta i Jacka Kennedy'ego, syna tego ambasadora – a w ogóle, gdzie, cholera, dziś podziewa się Jack? Jeśli ktokolwiek mógłby uratować moją harmonijkę, to założę się, że właśnie Jack Kennedy. Slothrop

podziwia go skrycie – atleta, a do tego sympatyczny, jeden z najbardziej lubianych kolegów na roku. Owszem, ma szmergla na punkcie historii. Jack... Czy Jackowi nie wypadłyby organki z kieszeni, czy zatryumfowałyby jakimś sposobem nad grawitacją? Teraz, w tej wędrówce do Atlantyku, dochodzi do niego mgliście woń soli, wodorostów, zgnilizny, a do tego szum fal, a właśnie że tak, Jack by sobie poradził. Przez wzgląd na kawałki do zagrania, na miliony ewentualnych melodii bluesowych, tonów wydobytych z przepisowych dźwięków, przedęc, na których odegranie Slothropowi nie starcza oddechu... jeszcze nie teraz, ale pewnego dnia... cóż, jeśli (kiedy) odnajdzie harmonijkę, to przynajmniej będzie dobrze namoczona, łatwiej się na niej zagra. To pocieszająca myśl, której należy się trzymać w trakcie spływu kanalizacją.

Hop, do sracza, jak brąz z dupy

I w dół – myk!

Oby nikt nie zrobił kupy,

Tra-la-la-la-bum-cyk-cyk.

W tej chwili z góry nadchodzi odrażająca fala, szum narasta jak wezbrana rzeka, stłoczona masa gówna, wymiocin, papieru toaletowego i borówek przemieszanych w porażającą mózg mozaikę pędzi w dół na spanikowanego Slothropa jak metro na bezbronną ofiarę. Nie ma dokąd uciec. Sparaliżowany, patrzy przez ramię. Spiętrzona ściana ciągnie za sobą długie wąsy srajtaśmy, lawina dopada go – BLEEEE! – w ostatniej chwili Slothrop wykonuje słabowite żabie kopnięcie, ale walec już się po nim przetoczył, odczuwany ze wstrętem w górnej partii kręgosłupa jako zimna mięsna galareta, papier go omotuje, owija mu się wokół ust, nosa, wszystko niknie i zostaje tylko smród gówna, gdy on strząsa mikroskopijne balasy z rzęs, Boże, to gorsze niż być storpedowanym przez Japończyków! Brązowa zawiesina toczy się w dół, porywa go, bezradnego, ze sobą... jakby rymnął dupą na czajnik – choć trudno cokolwiek powiedzieć w tym mrocznym huraganie gówna, bo brak wizualnych odniesień... od czasu do czasu ociera się o

zarośla albo może małe pierzaste drzewa. Uprzytomnia sobie, że nie dotknął twardej ściany, odkąd się wykopyrtnął, jeśli rzeczywiście się wykopyrtnął.

W pewnej chwili otaczający go brązowy zmierzch rzednie. To jak świt. Po trochu opuszcza go zawrót głowy. Znikają ostatnie wstęgi papieru, utarte w połowie na papkę i smętne... rozpuszczają się. Pada na niego wzmagające się niesamowite światło, wodniste i marmurowe, które oby zgasło jak najszybciej, bo, nie daj Boże, ukáže to, co zdaje się zapowiadać... Szczęściem w tych kloacznych regionach Slothrop ma „kontakty”. Mieszkają tu ludzie, których zna. W muszlach z... jakby ze starannie złożonych starych gruzów – zmurszała cela za celą, niejedna bez dachu. W czarnych paleniskach płonie ogień, woda pyrka w pordzewiałych pełnowymiarowych puszkach po fasoli, a przez dziurawe kominy ucieka para. Siedzą na wytartych płytach kamiennych, wymieniając między sobą jakieś... nie potrafi dokładnie określić... coś niewyraźnie religijnego... Sypialnie są w pełni umeblowane, wyposażone w oświetlenie, które się obraca i jarzy, ze ścian i sufitów zwiesza się aksamit. Zdumiewa go dziwaczność tych domostw, aż do ostatniego niebieskiego koralika, zawieruszonego w kurzu pod radiem, aż do ostatniego zasuszonego pająka i zawilej płataniny nitek dywanu. To miejsce stanowi schronienie przed nieszczęściem. Niekoniecznie przed spuszczeniem wody w toalecie – jej skorodowany jednostajny ton jest tutaj, pod osłoną tego antycznego nieba, tylko wkalkulowanym zakłóceniem porządku – ale coś innego nęka straszliwie tę krainę, coś, czego biedny przemoczony Slothrop nie potrafi dojrzeć ani usłyszeć... jakby codziennie rozgrywał się tutaj atak na Pearl Harbor, spadał z nieba niewidzialny druzgocący cios... We włosach ma kawałki papieru toaletowego, a w prawej dziurce od nosa spęczniałą borówkę. Fuj. Schyłek i upadek trawią w cichości ten krajobraz. Nie ma słońca ani księżyca, tylko długa i gładka sinusoidalna smuga światła. To murzyńska borówka, jest pewien – zapuszcza sondujący palec, lecz diabelstwo siedzi w środku uparcie jak wyschnięty glut zimą. Rozdrapuje paznokciem nos do krwi. Stoi na dworze, na zewnątrz wszystkich wspólnych

sal i pokojów, o swym własnym pustynnym poranku, a czerwono-brązowy jastrząb, a właściwie dwa szybują niesione prądem powietrza, obserwując widnokrąg. Jest zimno. Dmie wiatr. Slothrop czuje tylko swoje osamotnienie. Chcą go w środku, ale nie może do nich dołączyć, coś mu przeszkadza: przekroczenie progu byłoby tożsame z zawarciem braterstwa krwi. Nigdy już by go nie puścili. Nie ma gwarancji, że nie poproszą, by zrobił coś... coś...

Teraz w górę i w dół porusza się każdy luźny kamień, każdy skrawek cynfolii, szczapa drzewa, drzazga i strzęp ubrania: wznoszą się na wysokość dziesięciu stóp, po czym spadają, lądują z głośnym pacnięciem. Światło jest gęste i niebieskozielone. Po ulicach gruzy wlatują i sypią się w unisonie, jak gdyby na łasce podziemnej regularnej fali. Trudno dostrzec jakąkolwiek głębię przestrzeni na wskroś tego pionowego tańca. Bębnienie na chodniku trwa przez jedenaście uderzeń, pomija dwunaste i cały cykl zaczyna się od nowa... to rytm jakiejś tradycyjnej amerykańskiej piosenki... Ulice są całkowicie wyludnione. Albo świt, albo zmierzch. Metal wśród rumowiska uparcie błyska zimnym, prawie niebieskim światłem.

Nie pamiętasz Rudego Malcolma na piętrze?

Farbowane czerwone włosy i prawdziwe czarne wnętrze.

Teraz pojawia się Crutchfield albo Crouchfield, człowiek z Dzikiego Zachodu. Nie „archetyp”, lecz *jedyny* człowiek z Dzikiego Zachodu. Był tylko jeden, rozumiemy się? Był też tylko jeden Indianin, który kiedykolwiek z nim walczył. Tylko jedna walka, jedno zwycięstwo, jedna przegrana. I tylko jeden prezydent, jeden zamachowiec, jedne wybory. To prawda. Po jednym przedstawicielu każdej kategorii. Przyszedł ci na myśl solipsyzm i wyobraziłeś sobie strukturę, która jest zamieszкана – na twoim poziomie – tylko, och, to okropne, przez jeden podmiot. Na innych poziomach też nie ma nic do liczenia. Ale okazuje się, że nie jest wcale tak pusto. Luźno, owszem, ale to o wiele lepiej niż pusto. Po jednym z każdej kategorii, w końcu to nie tak źle. Pól arki jest lepsze niż nic. Ten Crutchfield zbrązowił od słońca, wiatru i kurzu, na tle ciemnobrunatnych desek stodoły albo stajni jest

drewnem o innym usłojeniu i powierzchni. Dobroduszny – teraz krzepka sylwetka na tle fioletowego górskiego stoku – patrzy jednym okiem w słońce. Jego wydłużony cień ciągnie się obcesowo przez plataninę drzew z powrotem do stajni – belki, tyczki, żerdzie zagród, podpory koryt, krokwie, deski dachowe, przez które przedziera się światło słoneczne: oślepiająco empirejskie nawet o tej godzinie mijającego dnia – oho, jakaś muzyczna uczta, cmoktający gigantyczny pięcionutowy akord w tle melodii pod tytułem



## DOLINA CZERWONEJ RZEKI

W dół tej spłuczki ruszam na wędrówkę,  
Zakurzymy, siądźmy raz na parę mil,  
Bo ta rura prowadzi donikąd,  
Wszędobyłskie gównno napiera co sił.

Och, jasne, to ballada o Czerwonej Rzece, jeśli nie wierzysz, zapytaj tego Rudzielca, gdziekolwiek jest (powie ci, co znaczy czerwony, dupki od Franklina Delano Roosevelta, chcą nam to wszystko odebrać, babsztyle z owłosionymi nogami, daj im wszystko, daj, inaczej wysadzą kopalnię w powietrze, użalają się, biedne Polaczki w szarych leninówkach, wyrobnicy, czarnuchy, tak, zwłaszcza czarnuchy...).

Z powrotem na Dziki Zachód, mały przydupas Crutchfielda właśnie wychodzi ze stodoły. Przynajmniej w tej chwili jest jego małym przydupasem. Bo na bezmiarze alkalicznej prerii Crutchfield zostawił po sobie całą rzeszę małych przydupasów ze złamanymi sercami. Był jeden mały frajer w Dakocie Południowej,

Jeden z San Bernardino, złodziej zegarków,  
Jeden złotek, co uciekł z kolei,  
Z dupą żółtą jak para kanarków!  
Jeden chory na trypra, a drugi na wole,  
Jeden trędowaty, co miał gromki śmiech.  
Jeden, co kulał na lewą, drugi, co na prawą nogę,  
Jeden na obie, no, a to już trzech!  
Jeden mały pedrył, jedna ostra ciota,  
Jeden mikry Murzyn, żydowski idiota,  
Jeden Indianin oraz jeden bizon,  
I łowca bizonów, ot, jakiś *mestizo*...

I tak dalej, i tak dalej, po jednym przedstawicielu każdej kategorii, on jest

Białym Fiutoludem tej *terre mauvaise*, nasz Crouchfield, robi to z obiema płciami i ze wszystkimi zwierzętami oprócz grzechotników (precyzyjnie mówiąc: „grzechotnika”, bo przecież istnieje tylko jeden), niemniej ostatnio miewa fantazje także na temat tego węża! Zęby jadowe łaskoczą go w napletek... blada paszcza rozwiera się szeroko, z sierpowatych ślepi wyziera dzika radość... Jego małym przydupasem jest obecnie Whappo, dziarski Mulat z Norwegii, który przejawia fetyszystyczne uwielbienie dla akcesoriów jeździeckich, lubi być chłostany na szlaku batem w składzikach przesyconych wonią potu i uprzęży. Na służbie wytrwał już całe trzy tygodnie, a to długi staż jak na małego przydupasa. Whappo ma na sobie czapsy z importowanej skóry gazeli, odkupione dla niego przez Crutchfielda w Eagle Pass od hazardzisty zażywającego nałogowo laudanum, który przekroczył nieodwołalnie wielkie Rio Grande prosto w ślepy piec dzikiego Meksyku. Szyję owinął przepisową karmazynowo-zieloną chustą (podobno Crutchfield zebrał całą szafę takich jedwabnych szmatek w swoim domu na Rancho Peligroso i ilekroć wyjeżdża w skaliste okolice albo na nadrzeczne szlaki, zawsze wiezie ich kilkanaście w torbie u siodła. To niechybnie oznacza, że reguła mówiąca o jednym elemencie z każdej kategorii obowiązuje tylko żywe organizmy, takie jak małe przydupasy, a nie przedmioty w rodzaju chust). Swój strój Whappo wieńczy połyskliwym cylindrem z japońskiego jedwabiu. Właściwie jest niezgorzej wyelegantowany tego popołudnia, kiedy wychodzi nieśpiesznie ze stodoły.

– O, Crutchfield – machnięcie ręki – miło, że jesteś.

– Wiedziałeś, że przyjdę, ty mały łotrze – psiakrew, z tego Whappo to niezły numer. Zawsze podpuszcza swego pana w nadziei na siarczyste chłaśnięcie albo dwa paskiem po przydymionych afroskandynawskich pośladkach, które łączą w sobie krągłość Pięknotylej, zaobserwowaną wśród ras Czarnego Kontynentu, z napiętą, szlachetną muskulaturą Olafa, naszego jasnowłosego brata z Północy. Ale tym razem Crutchfield obraca się plecami, by popatrzeć na odległe góry. Whappo jest nabzdyczony. Jego cylinder

zapowiada nadchodzącą jatkę. Biały człowiek nie musi – nawet mimochodem – wypowiedzieć zdania: „Toro Rojo nadjedzie dziś wieczorem”. Oba przydupasy wiedzą o tym. Wiatr, niosący im surową indiańską woń, wystarczyłby każdemu. O Boże, szykuje się strzelanina jak jasna cholera, krwawa miazga. Wicher będzie dął tak mocno, że krew oszklę drzewa od północy. Czerwonoskóry przybędzie z psem, jedynym indiańskim psem na tej spopielonej prerii – kundel weźmie się za bary z małym Whappo i skończy na rzeźniczym haku na straganie z mięsem pośrodku obskurnego rynku w Las Madres, z otwartymi ślepiami, z nietkniętą parszywą sierścią, a czarne wszy będą skakać po zaprawie murarskiej i kamieniach w nasłonecznionym murze kościoła po drugiej stronie placu, na poharatanej szyi ciemna, zakrzepła krew, w miejscu, gdzie zęby Whappo przecięły żyłę (a może i niektóre ścięgną, bo łeb zwisa bezwładnie na bok). Hak wbito w grzbiet, między dwa kręgi. Meksykanki dźgają psa, a on buja się niechętnie wśród przedpołudniowych zapachów: banany na smażenie, słodka marchew z doliny Czerwonej Rzeki, podeptane warzywa najrozmaitszego rodzaju, cilantro pachnące jak zwierzęce piżmo, pikantna biała cebula, ananasy fermentujące w słońcu, gotowe eksplodować, i górskie grzyby wyłożone na wielkich upstrzonych półkach. Slothrop włóczy się niewidzialny między koszami i wywieszonym ubraniem, pośród koni i psów, świń, milicjantów w brązowych mundurach, Indianek z dziećmi noszonymi w chustach, służby z pastelowych domów stojących wyżej na górskim stoku – plac tętni życiem, toteż on jest zbity z tropu. Czy nie powinno być po jednym z każdej kategorii?

Odpowiedź: Tak.

Pytanie: No to jedna młoda Indianka...

Odpowiedź: Czystej krwi Indianka. Jedna Metyska. Jedna Kreolka. Jedna Yaqui. Jedna Nawaho. Jedna Apaczka...

Pytanie: Chwila, moment. Przecież na początku był tylko jeden Indianin. Ten, którego zabił Crutchfield.

Odpowiedź: Owszem.

Potraktuj to jako kwestię optymalizacji. Ta kraina najlepiej wyżywi tylko jednego przedstawiciela każdej kategorii.

Pytanie: No a co z innymi? Boston, Londyn. Z tymi, którzy mieszkają w miastach? Czy ci ludzie istnieją naprawdę, czy nie?

Odpowiedź: Niektórzy naprawdę, inni nie.

Pytanie: A ci, którzy istnieją naprawdę, czy są niezbędni? Czy zbędni?

Odpowiedź: Zależy, co masz na myśli.

Pytanie: Cholera, ja nic nie mam na myśli.

Odpowiedź: My owszem.

Na moment dziesięć tysięcy sztywnych przysypanych śniegiem w Ardenach przybiera promienną, rozanieloną po disneyowsku minę ponumerowanych dzieci, okrytych białymi kocykami z wełny, czekających na spedycję do przeszczęśliwych rodziców w miejscach takich, jak Newton Upper Falls na przedmieściach Bostonu. Trwa to tylko chwilę. Bo w następnej wydaje się, że wszystkie bożonarodzeniowe dzwony na całym świecie odezwą się zaraz chórem – że całe to ich przypadkowe dudnienie będzie tym razem skoordynowane, zharmonizowane, wypełnione wieściami o jednoznacznej pociesze, osiągalnej radości.

Przeskok do Roxbury. Śnieg usypuje się w sklepienia, czarne gumowe podeszwy odciskają krzyżowy wzór. Sprzączki botów pobrzękują w marszu. W tej mulistej ciemności śnieg wygląda jak odwrotność sadzy... frunie z nocy i w noc.... W dziennym świetle ceglane powierzchnie (widuje je tylko o brzasku, cierpiąc katusze w buciorach, wypatrując taksówek kursujących po wzgórzu) są płonąca korozją, gęstą i głęboką, przykrywaną raz po raz przez szron: postarzałe w sposób, jakiego nie zauważył na Beacon Street...

W cieniu, gdy czerń i biel chwytają jego twarz w desień pandy – każdy fragment wzoru narosła albo nawarstwieniem tkanki bliznowatej – czeka kontakt, dla którego przebył całą tę drogę. Twarz jest wątpa jak morda psa podwórzowego, a jej właściciel bez przerwy wzrusza ramionami.

Slothrop: Gdzie on jest? Dlaczego go nie ma? Kim ty jesteś?

Głos: Szczeniak został załatwiony. A mnie przecież znasz. Slothrop, pamiętasz? Jestem Ale.

Slothrop (spozierając): Załatwiony? Ty jesteś Ale? Ale skąd? (Pauza.) Bo Szczeniak był z Kenoshy.

„Kryptosam” jest prawnie zastrzeżoną postacią tyrozyny stabilizowanej, opracowaną przez przedsiębiorstwo IG Farben w ramach projektu badawczego dla OKW. Zawiera środek aktywujący, który w obecności pewnego składnika płynów nasiennych, jak dotąd (1934) niezidentyfikowanego, prowadzi do przemiany tyrozyny w melaninę, czyli w pigment skórny. Przy braku płynu nasiennego kryptosam pozostaje niewidoczny. Żaden inny odczynnik spośród dostępnych laborantom nie prowadzi do przemiany kryptosamu w widoczną melaninę. Sugeruje się, że w wypadku zastosowań kryptograficznych należy włączyć do informacji właściwą pobudkę, która niezawodnie wywoła erekcję i ejakulację. Nieoceniona wydaje się wobec tego znajomość charakterystyki psychoseksualnej adresata.

prof. dr Laszlo Jamf  
„Kryptosam” (broszura reklamowa),  
Agfa, Berlin 1934

Rysunek na grubym kremowym papierze pod czarnym nagłówkiem GEHEIME KOMMANDOSACHE wykonano ołówkiem i atramentem, nadzwyczaj sugestywnie, nieco w stylu von Barosa albo Beardsleya. Kobieta to wypisz, wymaluj Scorpią Mossmoon. Umieszczona w pokoju, o którym zwykli rozmawiać, ale którego nigdy nie widzieli, w którym chcieli kiedyś zamieszkać, basen wpuszczony w podłogę, jedwabny namiot zwieszony z sufitu – właściwie scenografia od De Mille’a – do posług zgrabne dziewczyny o połyskliwych od oliwy ciałach, smuga światła napomykająca o południowym słońcu, Scorpią wyciągniętą na opasłych poduszkach, ubrana ni mniej, nie więcej, tylko dokładnie w ten gorsecik z belgijskiej koronki, czarne pończochy i buty, w których tak często ją sobie wyobrażał, ale...

Nie, oczywiście, że nigdy jej nie powiedział. Nikomu nie powiedział. Urobiono go – jak każdego chłopca, dorastającego w Anglii – żeby doznawał wzwołu w reakcji na określone fetysze, a następnie żeby odczuwał wyrzuty sumienia z powodu swych odruchów. Czy możliwe, że gdzieś leży jego

teczka personalna, że Oni (Oni?) śledzą jakimś sposobem wszystko, co czytał i widział od czasu pokwitania... No bo skąd inaczej by wiedzieli?

– Ćśśś – szepcze Scorpia. Palcami gładzi delikatnie swoje długie oliwkowe uda, nagie piersi sterczą spod gorsetu. Twarz ma skierowaną ku sufitowi, niemniej wpatruje się w Pirata wąskimi, zmrużonymi z pożądania oczyma, dwoma ognikami migoczącymi spod grubych rzęs... – Zostawię go. Przyjedziemy i zamieszkamy tutaj. Bez przerwy będziemy się kochać. Należę do ciebie, wiem to już od dawna... – Oblizuje językiem swe małe ostre ząbki. Jej włochata cipa znajduje się w samym centrum światła, a on czuje w ustach smak, który poczułby znowu...

Jasny gwint, Pirat o mało nie pokpiwa sprawy, bo ledwo wyjmuje fiuta z rozporka, tryska na wszystkie strony. Ratuje jednak od zmarnowania dość spermy, by wetrzeć ją w czystą kartę, załączoną do rysunku. Z wolna spod opalizującej błony jego nasienia zaczyna wyzierać objawienie w postaci wiadomości napisanej brązowoczarным tuszem, ułożonej w formie prostej nihilistycznej metatezy, której kluczowych słów niemal się domyśla. Większość porządkuje w głowie. Podany jest czas, miejsce i rozkaz udzielenia pomocy. Pali wiadomość, zesłaną mu znad atmosfery ziemskiej i uratowaną z południka zerowego, rysunek natomiast zachowuje, mhm, i myje ręce. Boli go gruczoł krokowy. W tym kryje się coś więcej niż widać na pierwszy rzut oka. Nie ma od tego ucieczki, nie ma apelacji: musi przejść na drugą stronę i wyprowadzić agentkę. Wiadomość jest równoznaczna z poleceniem od najwyższych czynników.

Z oddali, w deszczu, dobiega głuchy wybuch kolejnej niemieckiej rakiety. Dziś trzecia. Polują po niebie jak Wodan i jego wściekłe wojsko.

Mechaniczne dłonie Pirata przetrząsają szuflady i teczki w poszukiwaniu stosownych załączników i formularzy. Dziś nie pości. Pewnie nie będzie też okazji na filiżankę kawy ani papierosa po drodze. Dlaczego?

W Niemczech, gdy z wolna zbliża się koniec, nieprzerwane ciągi murów zabazgrane są hasłami: WAS TUST DU FUR DIE FRONT, FUR DEN



SIEG? WAS HAST DU HEUTE FUR DEUTSCHLAND GETAN? Mury „Białego Nawiedzenia” bazgrze zaś lód. Graffiti z lodu w bezsłoneczny dzień, szklące pociemniałą krwistoczerwoną cegłę i terakotę, jak gdyby budynek miał się zachować w sterylnej powłoce z przezroczystego muzealnego plastiku, pozostać architektonicznym dokumentem, staroświeckim aparatem, o którego funkcji dawno już zapomniano. To lód rozmaitej grubości, karbowany, zamglony, legenda, którą powinni rozszyfrować i omówić w swych periodykach władcy zimy, glaciologowie tego regionu. U szczytu wzgórza, w stronę morza, śnieg zbiera się jak światło w wystawionych na wiatr krawędziach opactwa, którego dach rozebrano dawno temu wskutek maniakalnego kaprysu Henryka VIII, ściany zaś pozostawiono, by mitygowały bezbożnymi oczodołami okien słony wiatr, dmący, gdy pory roku farbują posadzkę zamaszystymi maźnięciami to na zielono, to na żółto, to na biało. Waśnie opactwo – i ewentualnie te grubo żyłkowane delikatne nawisy skarpy – to jedyny widok z klasycystycznego domu zagnieżdżonego w naburmuszonej niecce oblanej szarzejącym światłem. Poskąpiono panoramy morza, choć niektóre dni i przyływy przynoszą jego zapach – cały ten nikczemny rodowód. W 1925 roku uciekł z „Białego Nawiedzenia” pacjent Reg Le Froyd – popędził przez górne miasto i stanął, balansując na krawędzi klifu, z rozwianym włosom, w trzepoczącym na wietrze szpitalnym ubraniu, poniżej rozkołysane mile południowego wybrzeża, blada kreda, falochrony i promenady niknące na prawo i lewo w słonej mgiełce. W pościgu za nim przydrałował konstabl Stuggles na czele tłumu ciekawskich.

- Nie skacz!
- Nawet mi to do głowy nie przyszło. – Le Froyd wciąż wlepia gały w dal.
- To co tu robisz, hę?
- Chciałem zobaczyć morze. Nigdy go nie widziałem, a jestem, no wie pan, spokrewniony z morzem.
- Aha – cwany Stuggles przysuwa się niepostrzeżenie – odwiedzasz więc

krewnych, co? Ale miło.

– Słyszę Władcę Mórz! – woła zadziwiony Le Froyd.

– Naprawdę? A jak on się nazywa? – Obaj mają mokre twarze, przekrzykują wiatr.

– No, nie wiem! – ryczy Le Froyd. – A jak byłoby dobrze?

– Bert – podsuwa konstabl, usiłując sobie przypomnieć, czy to prawą ręką chwyta się za lewe przedramię, czy lewą za prawe...

Le Froyd obraca się i po raz pierwszy patrzy na Stugglesa i zbiegowisko. Jego oczy stają się okrągłe i łagodnieją.

– Bert, to mi odpowiada – mówi i robi krok do tyłu, prosto w otchłań.

Była to jedyna ulga, którą „Białe Nawiedzenie” przyniosło mieszkańcom lek Regis – w monotonii sezonów wypełnionych gapieniem się na rzesze różowych, piegowatych od słońca letników z Brighton, słuchowiskami wykuwającymi piosenkę z każdego dnia epoki radia, zachodami słońca na promenadzie, niekończącym się ustawianiem przesłon do zmiennego nadmorskiego światła, to ożywionego wiatrem, to uspokozonego pod niebem, oraz aspirynami zażywany na sen – tylko skok Le Froyda, pojedyncza atrakcja, aż do wybuchu wojny.

Po klęsce Polski zaobserwowano sznury ministerialnych samochodów, zawijające o różnych porach nocy do „Białego Nawiedzenia”, ciche jak konwoje okrętów, z wytłumionymi rurami wydechowymi – wolna od chromu czarna maszyna, która połyskiwała, jeśli niebo było rozgwieżdżone, kiedy indziej korzystała z zamaskowania, jak twarz, którą się za chwilę zapamięta, ale która właśnie poprzez ten akt pamięci nazbyt się zatrze... Następnie po upadku Paryża na klifie ustawiono silnie strzeżoną stację przekaźnikową z antenami wycelowanymi w kontynent, z liniami naziemnymi pociągniętymi skrycie przez wzgórza do pewnego domu, patrolowanego w dzień i w nocy przez specjalnie wyszkolone psy, umyślnie bite i głodzone, żeby z chęcią mordy skakały do gardła każdemu, kto by się zbliżył. Czy ktoś z wyżej postawionych poszedł jeszcze wyżej? (Czytaj: dostał szmergla?). Czy Nasza

Strona zamierzała zdemoralizować Germańską Bestię przekazywaniem płochych myśli wariatów, nazywając dla niej po imieniu – w zgodzie z tradycją konstabla Stugglesa z owego pamiętnego dnia – to, co leży głęboko i jest mało widoczne? Odpowiedź na powyższe pytania, a nawet na o wiele więcej, brzmi twierdząco.

Należałoby zapytać tych z „Białego Nawiedzenia” o mistrzowski plan elokwentnego Myrona Gruntona z BBC, którego aksamitny głos od lat przenika z przetartych rdzawych siatek głośników radiowych do angielskich snów, przytępionych starych łepetyń, dzieci słuchających jednym uchem... Musiał odłożyć ten plan na później, z początku samotny głos, pozbawiony potrzebnych danych i wsparcia, usiłujący dotrzeć do niemieckiej duszy, posiłkując się wszystkim, co tylko znajdowało się pod ręką: przesłuchania jeńców wojennych, poradniki Ministerstwa Spraw Zagranicznych, baśnie braci Grimm, własne wspomnienia z wojaży (młodzieńcze przebłyski z bezsennej epoki Dawesa, winnice rozjaśnione na zielono, porastające południowe stoki w dolinie Renu, noce w kłębach dymu i zgrzebnych stołecznych kabaretach, długie ażurowe podwiązki jak rząd różowych odcieni, jedwabne pończochy, wyłuskane po kolei przez wspaniałe przeciągłe rozbłyski skrzyżowanego światła reflektorów...). Lecz wreszcie pojawili się Amerykanie i układ znany jako SHAEF, no i zdumiewająca kupa pieniędzy.

Plan nosi nazwę Operacja „Czarne Skrzydło”. Boże, co za koronkowa robota, trwająca już pięć lat. Nikt nie może twierdzić, że jest wyłącznie jego dziełem, nawet Grunton. To generał Eisenhower był autorem ramowych wytycznych, idei „strategii prawdy”. Ike upierał się przy konkretach: trzeba wbić hak w pokiereszowany kulami mur wojny i zawiesić na nim sprawdzone dane. Pirat Prentice z Zarządu Operacji Specjalnych wrócił z linii frontu z pierwszymi wiarygodnymi informacjami, że w Niemczech istotnie mieszkają prawdziwi Afrykanie, z ludu Herero, z dawnych kolonii niemieckich w Afryce Południowo-Zachodniej, którzy uczestniczą czynnie w programie produkcji tajnej broni. Pewnej nocy natchniony Myron Grunton

wypowiedział na antenie zupełnie *ad lib* słowa, które zamieszczono potem w pierwszych dyrektywach Operacji „Czarne Skrzydło”: „Niemcy traktowali niegdyś swych Afrykanów jak surowy, acz kochający ojczym, karząc ich nawet śmiercią, ilekroć zachodziła konieczność. Pamiętamy. Ale to było daleko stąd, w Südwest, a od tamtego czasu przeminęło kolejne pokolenie. Teraz Herero mieszka w domu swego ojczyma. Być może wy, którzy mnie słuchacie, widzieliście go. On nie udaje się na spoczynek wraz z wybiciem godziny policyjnej, lecz czuwa nad śpiącym ojczymem, niewidzialny, sam ochraniający przez noc, która ma jego barwę. Co oni wszyscy myślą? Gdzie są Hererowie tej nocy? Co robią w tej chwili, te wasze ciemnoskóre, tajne dzieci?”. „Czarne Skrzydło” znalazło nawet pewnego Amerykanina, niejakiego porucznika Tyrone’a Slothrop, który gotów był poddać się lekkiej narkozie, by przyczynić się do naświetlenia problemów rasowych w swojej ojczyźnie. Nieoceniony dodatkowy wymiar. Pod koniec, gdy napływało coraz więcej danych o morale wroga – jankescy ankieterzy, z formularzami, w skrzypiących botkach albo kaloszach, włóczyli się po zmiękczonej śniegiem, wyzwolonych gruzowiskach, by wykopać trufle prawdy, wyrosłe, jak wierzyli starożytni, podczas burzy, w chwili uderzenia piorunu – pewien kontakt w amerykańskim Pionie Walki Psychologicznej zdołał skopiować cichcem informacje i przekazał je Operacji „Czarne Skrzydło”. Nikt właściwie nie wie, kto podsunął nazwę Schwarzkommando. Myron Grunton opowiadał się za „Wütende Heer”, w nawiązaniu do tej gromady polujących duchów, wiedzionych przez Wodana, które wściekle najeżdżają wrzosowiska nieba – ale przyznał, że ten mit pochodzi z głębszej Północy. Być może w Bawarii skuteczność nie sięga optymalnego poziomu.

Bo w „Białym Nawiedzeniu” wszyscy rozprawiają o skuteczności, o tej amerykańskiej herezji, i to chyba rozprawiają za dużo. Na ogół najgłośniejszemu gardłuje Pointsman, nierzadko wykorzystując jako swą broń dane statystyczne, przekazywane mu przez Rogera Mexico. W czasie lądowania w Normandii Pointsman wkroczył w fazę rozpacz. Dotarło wreszcie do niego,

że wielkie kleszcze, zaciskające się na kontynencie, przyniosą zwycięstwo. Że ta wojna – to Państwo, którego obywatelem się poczuł – zostanie przeobrażona, przekształcona w pokój, i że w kategoriach zawodowych nie przyniosła mu żadnych korzyści. Jest tyle funduszy finansujących najprzeróżniejsze radary, czarodziejskie torpedy, samoloty i pociski, a na co może liczyć doktor Pointsman? Przeżył chwilę chwały jako kierownik placówki naukowej, to wszystko: Zakład Badań nad Odreagowywaniem (ZBO), gdzie już na wczesnym etapie miał pod sobą paru podwładnych, tresera psów z variétés, jednego czy dwóch studentów weterynarii, no i rodzinka, uchodzący z Rosji, doktora Porkeyevitcha, który pracował z samym Pawłowem w podleningradzkim instytucie, jeszcze przed czystkami i procesami. Zespół ZBO przyjmuje, liczy, waży, klasyfikuje wedle Hipokratesowej typologii temperamentów, więzi i poddaje badaniom eksperymentalnym aż dwanaście nowych psów tygodniowo. No i są jeszcze koledzy po fachu, współwłaściciele Księgi, obecnie wszyscy – to znaczy ci, którzy pozostali z początkowej siódemki – zatrudnieni w szpitalach, gdzie zajmują się nieszczęśnikami zza Kanału, wyniszczonymi wojną i nerwicą frontową oraz miłośnikami bomb i rakiet z tej strony wody. W dniach częstych nalotów rakiet V-2 mają szansę obejrzeć więcej odreagowań, niż dawniej widziało kilka pokoleń lekarzy, toteż potrafią wskazać nowe tory, którymi winno się poprowadzić badania. Zarząd Walki Politycznej wydziela im skąpą stróżkę funduszy, mizerny papier, szeleszczący po krętych ścieżkach instytucji, dość, by trwać, dość, by ZBO pozostał kolonią wojny, za mało jednak, by stał się częścią macierzy... Statystycy Mexico sporządzają wykresy przedstawiające krople śliny, wagę ciał, różnice potencjałów, poziomy dźwięku, częstotliwości metronomu, wielkość dawek bromu, liczbę przeciętych nerwów ośrodkowych, procent wyciętej tkanki mózgowej, daty i godziny zdrętwienia, ogłuszenia, oślepienia, kastracji. Wsparcie przychodzi nawet od Sekcji Psi, uległej i beztroskiej kolonii, pozbawionej wszelkich świeckich aspiracji.

Stary brygadier Pudding bez trudu wytrzymuje z tą bandą spirytystów, bo sam ma ciągoty w tym kierunku. Co innego z Nedom Pointsmanem, bez przerwy polującym na więcej pieniędzy – Pudding potrafi jedynie odpowiadać mu upartym spojrzeniem, usiłując zachować uprzejmość. Nie tak wysoki jak jego ojciec, z całą pewnością nie wygląda też równie zdrowo. Ojciec był oficerem medycznym w pułku Thundera Prodda, dostał w udo odłamkiem szrapnela na Polygon Wood, leżał w milczeniu przez siedem godzin, póki oni nie... leżał bez słowa, w tym błocku, w tym okropnym smrodzie, tak, na Polygon Wood... czy może to – kim był ten ryży facet, który sypiał w czapce? Aha, wracając do sprawy. A więc na Polygon Wood... ale to wszystko się zaciera. Obalone, martwe drzewa, gładka szarość, wirująceusłojeniedrzewjakzamarzniętydym... ryży... piorun... nic z tego nie będzie, i to umyka, i to, o Boże...

Trudno określić wiek starego brygadiera, ale niewątpliwie ma co najmniej osiemdziesiątkę na karku. Przywrócono go do służby w 1940 roku i usadowiono w nowej przestrzeni nie tylko pola bitewnego – gdzie każdego dnia i godziny front zmienia się jak matnia, jak pozłoczone światłem obrzeża świadomości (być może, choć bez przesady z tą złowieszczą, bo to tak jak oni... więc chyba lepiej „jak matnia”) – ale też Państwa-Wojny, samej jego struktury. Pudding łapie się na tym, że czasem się zastanawia, niekiedy na głos, w obecności podwładnych, który z jego wrogów tak go znienawidził, że przydzielił go do Walki Politycznej. Człowiek powinien funkcjonować w porozumieniu, a jednak często działa w zaskakującej kolizji z innymi ośrodkami Wojny, z koloniami Macierzy, położonymi wszędzie, gdzie przedsięwzięciem jest systematyczna śmierć: kompetencje Zarządu Walki Politycznej nakładają się na kompetencje Ministerstwa Informacji, Europejskiej Sekcji BBC, Zarządu Operacji Specjalnych, Ministerstwa Walki Gospodarczej i Wydziału Wywiadu Politycznego Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Fitzmaurice House. Między innymi. Kiedy pojawili się Amerykanie, należało dodatkowo skoordynować swe działania z ich Biurem



Służb Specjalnych, Biurem Informacji Wojennej i Wojskowym Wydziałem Walki Psychologicznej. Obecnie powstało spoiwo, Pion Walki Psychologicznej SHAEF-u, nad którym bezpośredni nadzór sprawuje Eisenhower i które reprezentuje te wszystkie instytucje w londyńskiej Radzie Koordynowania Propagandy, kompletnie pozbawionej rzeczywistej władzy.

Kto potrafiłby się połapać w tym pogmatwanym labiryncie skrótowców, ciągłych i przerywanych strzałek, małych i dużych przegród, nazwisk wydrukowanych i wrytych w pamięci? Na pewno nie Ernest Pudding – to sprawa dla Nowych Typków z tymi małymi zielonymi antenkami, którymi emanuje użyteczna władza, obeznanych z amerykańską polityką (świadomych różnicy między zwolennikami Nowego Ładu z Biura Informacji Wojennej a krezusowymi republikanami ze Wschodu, ukrytymi za Biurem Służb Specjalnych), prowadzących w głowie teczki personalne, mówiące o przebiegu dorastania, słabościach, nawykach picia herbaty, strefach erogennych tych wszystkich, którzy w przyszłości mogą okazać się przydatni.

Ernesta Puddinga wychowano w bezwzględnej wierze w hierarchię komendy, podobnie jak duchowni we wcześniejszych wiekach wierzyli w hierarchię stworzeń bożych. Nowa geometria zbija go z tropu. Swój największy tryumf na polu bitwy przeżył w 1917 roku, w armagedonowym brudzie zagazowanego posterunku pod Ypres, gdzie opanował skrawek ziemi niczyjej, mający w najszerszym miejscu czterdzieści jardów, tracąc przy tym tylko siedemdziesiąt procent liczebności swej jednostki. W stan spoczynku przeniesiono go mniej więcej w początkach wielkiego kryzysu – wyjechał do pustego domu w Devon, gdzie przesiadywał w gabinecie, otoczony zdjęciami dawnych kolegów, z których żaden nie śmiał spojrzeć mu prosto w oczy, i tam właśnie z wielkim samozaparciem i w skupieniu oddawał się próbom kombinatorycznej analizy, ulubionej rozrywce emerytowanych oficerów.

Przyszło mu do głowy, by w swych zainteresowaniach skoncentrować się na równowadze sił w Europie, bo to właśnie z powodu jej długotrwałych

zaburzeń męczył się niegdyś, bardzo ciężko, bez nadziei na przebudzenie, w szponach flandryjskiego koszmaru. Zaczął od płodzenia mamuciego dzieła pod tytułem „Co może się wydarzyć w polityce europejskiej”. Na pierwszy ogień poszła, oczywiście, Anglia. „*Bereshith* jak gdyby: Ramsay MacDonald może umrzeć”. Zanim przebrnął przez wszystkie wynikające z powyższego założenia przetasowania partyjne i możliwe permutacje stanowisk rządowych; Ramsay MacDonald rzeczywiście zmarł. „Nigdy nie dopnę swego – mrucał Pudding, siadając każdego ranka za biurkiem – bo wszystko zmienia się, nim zdążę postawić kropkę w zdaniu. Och, co za pasztet, co za pasztet”.

Kiedy pozmieniało się aż tak, że na Anglię zaczęły spadać niemieckie bomby, brygadier Pudding wyzwolił się ze swej obsesji i znów zgłosił się, by służyć ojczyźnie. Gdyby wtedy wiedział, że to oznacza „Białe Nawiedzenie”... nie żeby spodziewał się odkomenderowania na front, skąd, ale czy nie napomknięto mu o pracy wywiadowczej? Zamiast tego dostał opustoszały szpital dla umysłowo chorych, paru wariatów tylko z nazwy, ogromną sforę skradzionych psów, krąg spirytystów, estradowców wodewilowych, techników radiowych, zwolenników Couégo, Uspienskiego, Skinnera i lobotomii, entuzjastów myśli Dale’a Carnegiego, wypłoszonych przez wybuch wojny z zakamarków ulubionych projektów badawczych i manii skazanych, gdyby pokój przetrwał, na różnej miary fiasko. Teraz jednak nadzieje tych ludzi skupiły się na brygadierze Puddingu i perspektywach finansowania ich obsesji, nadzieje silniejsze, niż dawało międzywojnie, to słabo rozwinięte państewko. Jediną reakcją, na jaką mógł zdobyć się Pudding, była starotestamentowa postawa wobec wszystkich, nie wyłączając psów, oraz skrycie odczuwane zmieszanie i ból z powodu tego, co uważał za zdradę na wysokim szczeblu sztabu.

Przez smukłe okna o kilku szybach wpada poblask śniegu i ciemny dzień, a w brązowych biurach tylko tu i ówdzie pali się światło. Młodszy oficerowie szyfrują, badani z opaskami na oczach odgadują karty Zenera, wołając do

ukrytych mikrofonów: „Fale... fale... krzyż... gwiazda...”. Ktoś z Sekcji Psi nagrywa ich z głośnika w wychłodzonej suterenie. Sekretarki w wełnianych szalach i kaloszach dygoczą z zimna nawiewanego przez liczne szczeliny, a klawisze maszyn do pisania dzwonią po całym domu wariatów jak ich ząbki. Maud Chilkes, która z tyłu przypomina Margot Asquith na zdjęciu Cecila Beatona, siedzi i śni o bułeczce i filiżance herbaty.

W skrzydle Zakładu Badań nad Odreagowywaniem psy śpią albo drapią się i przywołują cieniste wonie ludzi, którzy być może obdarzali je miłością, słuchają bez toczenia śliny oscylatorów i metronomów Neda Pointsmana. Zaciągnięte zasłony wpuszczają z dworu wyłącznie przygaszone smugi światła. Technicy uwijają się za grubą szybą, ale ich fartuchy, zielonkawe i podmorskie za taflą szkła, poruszają się wolniej, mniej żwawo... Zapanowało odrętwienie albo przecucie zmierzchu. Metronom ustawiony na osiemdziesiąt uderzeń na sekundę odzywa się drewnianym echem, a pies Wania, uwiązany do stojaka laboratoryjnego, zaczyna się ślinić. Wszystkie inne odgłosy są wyciszone: wytłumione belki, podpierające laboratorium w wypełnionych piaskiem pokojach, worki z piaskiem, słoma, mundury zmarłych mężczyzn, zajmujące przestrzeń między ścianami bez okien... tam, gdzie siadali kręgiem wiejscy szaleńcy, nachmurzeni, wietrzący nosami tlenek azotu, chichoczący, płaczący na brzmienie akordu E-dur, modulowanego do gis-moll, są teraz sześcienne pustynie, pomieszczenia z piaskiem, zapewniające metronomowi królowanie w laboratorium, za hermetycznie zamkniętymi żelaznymi drzwiami.

Kanalikiem gruczołu żuchwowego, dawno temu wyprowadzonym na zewnątrz przez nacięcie w szczęce i unieruchomionym nitką, ślina Wani skapuje do zbiorczego lejka, umocowanego za pomocą tradycyjnego pomarańczowego kitu Pawłowa z kalafonii, tlenku żelaza i pszczelego wosku. Wydzielina wiedziona próżnią przez połyskliwe rurki wypiera kolumnienkę jasnoczerwonego oleju, posuwając się w górę skali odmierzającej „krople” – to arbitralna jednostka, prawdopodobnie inna od

faktycznie utoczonych kropel w Sankt Petersburgu w roku 1905. Liczba kropel – w wypadku tego laboratorium, psa Wani i metronomu ustawionego na osiemdziesiąt uderzeń na sekundę – jest za każdym razem zgodna z prognozą.

Teraz, kiedy wkroczył w fazę wyrównawczą, pierwszą z faz przejściowych, między nim a otoczeniem rozciąga się ledwo zauważalna membrana. Na zewnątrz i wewnątrz sprawy pozostały bez zmian, ale strefa styku – kora mózgowa psa Wani – przeobraża się pod paroma względami, i to jest właśnie osobliwe w zdarzeniach faz przejściowych. Teraz nie ma znaczenia, jak głośno tyka metronom. Silniejszy bodziec nie wywołuje już silniejszej reakcji. Wypływa lub skapuje identyczna ilość śliny. Wchodzi laborant i przestawia metronom w najdalszy kąt wygłuszonego pomieszczenia. Wkłada go do pudełka i chowa pod poduszkę z wyszytym maszynowo napisem „Pamiętka z Brighton”, ale krople nie przestają skapywać... następnie dźwięk zostaje przekazany do mikrofonu i wzmacniacza, aż każde tyknięcie jak strzał wypełnia pokój, niemniej toczenie śliny się nie wzmaga. Za każdym razem przezroczysta wydzielina podnosi czerwony słupek skali o tę samą jednostkę...

Webley Silvernail i Rollo Groast skradają się po korytarzach, zaglądając do cudzych biur, by sprawdzić, czy są jakieś pety do wypalenia, które można podkosić. Większość pomieszczeń jest teraz pusta: wszyscy pracownicy, którzy mają anielską cierpliwość albo są w dostatecznym stopniu masochistami, przechodzą rytuał u rozdygotanego brygadiera.

– Ten stary pierdziel nie ma, nie ma wstydu. – Géza Rózsavölgyi, kolejny uchodźca (usposobiony bardzo wrogo do Sowietów, co powoduje pewne napięcie między nim a ZBO), wymachuje rękoma w kierunku Puddinga w żywym geście rozpacz, a śpiewny węgiersko-cygański szept szemrze w sali jak tamburyn, wywołując rozmaite reakcje u wszystkich oprócz leciwego brygadiera, gładzącego z ambony, niegdyś – na maniakalnym półmetku XVIII wieku – części prywatnej kaplicy, obecnie platformy cotygodniowych

odpraw, wyrzutni najbardziej zdumiewających ładunków starczych spostrzeżeń, biurowej paranoi, plotek o wojnie, które czasem obejmują przykłady złamania zasad tajności i wspomnienia z Flandrii, czasem nie... grad pocisków z rykiem spadających z nieba prosto na łeb... ogień huraganowy, mleczny i świetlisty w noc jego urodzin... jak okiem sięgnąć, mokre powierzchnie w lejach odbijające ponure jesienne niebo... co Haig, któremu nie zbywało na dowcipie, powiedział kiedyś w kasynie o pacyfizmie porucznika Sassoon... artylerzyści wiosną w powłóczystych zielonych szatach... pobocza pełne biednych, gnijących koni tuż przed morelowym wschodem słońca... dwanaście szprych w kole grzęznącego działa – błotny zegar, błotny zodiak, oblepiony i zaskorupiły, wystawiający na słońce swe niezliczone brązowe odcienie. Flandryjskie błocko zastygało w twarogowy, lekko zgęstniały miękisz ludzkiego gówna, w nagromadzone, przełożone deskami, okopane i podziurawione pociskami kilometry kału, ciągnącego się we wszystkich kierunkach, i ani jednego, choćby lichego, poczerńiałego kikuta drzewa – niepoprawny stary gawędziarz próbuje potrząsnąć amboną z czereśni, jak gdyby to właśnie było najgorsze w koszmarze Passchendaele: brak pionowych elementów... Gada i gada, jak najęty, pora na przepisy, jak przygotować smacznie brukiew na sto sposobów albo takie warzywne niepodobieństwa jak Jarzynowa Niespodzianka Ernesta Puddinga – fakt, w tych przepisach ze słowem „niespodzianka” w tytule uderza coś sadystycznego, no bo człowiek, który jest głodny, chciałby po prostu napęścić brzuch, wiadomo, a nie być zaskakiwanym, chciałby po prostu wgryźć się (westchnienie) w ten kartofel i mieć stosunkowo dużą pewność, że jego zęby napotkają w środku tylko miąższ kartofla, a nie sprytną gałkę muszkatołową, która zakrzyknie: „A kuku!”, albo fioletową papkę ze startych *granatów* lub czegoś podobnego... lecz niestety, to jest właśnie ten kiepski żart, który brygadier Pudding uwielbia przygotowywać: chichotał jak obłąkany, kiedy nieświadomi niczego goście gmerali na obiedzie nożami w jego głośnych zapiekankach z mięsem, przebijając się przez uczciwe ciasto

do... uuuch! a cóż to jest, u Boga Ojca? Sznycel z buraka? Sznycel z buraka? Z nadzieniem? Być może tego dnia był to akurat wspaniały tarty koper morski, pachnący oceanem (brygadier dostaje go raz w tygodniu od grubego syna handlarza ryb, który zdyszany pedałuje na kredowy klif) – żaden z tych dziwnych, przedziwnych sznycli warzywnych nie przypomina mięsa, lecz raczej zwyrodniałe, na wpół czujące stwory, z którymi romansują w limerykach Młode Typki z Kings Road – Pudding ma dosłownie tysiące podobnych przepisów, nie ma zaś zahamowań, bo dzieli się nimi ze zgrają z PISGES, okraszając je jeszcze, to w późniejszej części cotygodniowych solilokwiów, linijką lub dwiema, wszystkiego osiem taktów, z piosenki „Lepiej być szeregowcem z wróblem w garści niż pułkownikiem z orłem na pagonach”, a potem następuje przydługa litania jego kłopotów z finansami, sięgających czasów na długo przed pojawieniem się grupy radiowców z Electra House... no i relacja z wojen listownych, toczonych na łamach „Timesa” z krytykami Haiga...

A oni siedzą pod wysokimi, poczerniałymi, pokratkowanymi ołowiem oknami, znosząc cierpliwie jego szaleństwo, ci od psów naburmuszeni w jednym kącie, przekazując sobie notatki i szepcząc do ucha (knują i knują, na jawie i we śnie, ani na moment nie odpuszczają), grupa z Sekcji Psi osobno po drugiej stronie sali – jakby tu zasiadł jakiś parlament – wszyscy od lat w tych samych, własnych ławach, obróceniu ku strumieniowi bredni poczerwieniałego, pocętkowanego wątrobianymi plamami brygadiera Puddinga. Inne sekty na uchodźstwie spoczęły między tymi dwoma biegunami: równowaga sił, jeśli coś takiego jak siła w ogóle istnieje w „Białym Nawiedzeniu”.

Może by zaistniała, uważa doktor Rózsavölgyi, gdyby koledzy „należycie rozegrali tę partię”. Jedyłą kwestią jest teraz przetrwanie – przetrwanie z ocalałymi zmysłami i pamięcią poza okropną cezurę Dnia Zwycięstwa, do nowej wspaniałej ery powojennej. Nie wolno pozwolić, by PISCES poszły pod młotek wraz z resztą tej rozwrzeszczanej zgrai. Musi pojawić się, i to



diabło szybko, zdolny do scementowania ich w falangę skupiony promień światła, jakiś przywódca albo plan, solidny na tyle, by przeprowadzić ich na drugą stronę, w Bóg raczy wiedzieć iluletni czas pokoju. Doktor Rózsavölgyi przedkłada solidny plan nad solidnego przywódcę. Może dlatego, że jest rok 1945. Panuje powszechna opinia, że wojna – całe to morze przelanej krwi, niezliczone potworności i zniszczenia – miała swoje źródło w idei Führera. A gdyby osobowości zastąpiono abstrakcyjnymi pojęciami władzy, gdyby techniki wypracowane przez korporacje zaczęły przynosić owoce, to czy narody nie mogłyby wreszcie żyć racjonalnie? Oto jedna z drogocennych nadziei ery powojennej: nie ma miejsca na straszliwą chorobę, określaną mianem charyzmy... jej racjonalizacja winna postępować, póki starczy czasu i środków...

Dla doktora Rózsavölgyiego – Róży – to właśnie jest stawką w nowej grze, dotyczącej osoby porucznika Slothrop. Wszystkie testy psychologiczne z dossier tego osobnika, niektóre z jego lat studenckich, dowodzą chorej osobowości. Róża poklepuje ostentacyjnie teczkę dłonią. Stół drży.

– Na ten przykład: z Minnesockiego Wielowymiarowego Inwentarza wynika okropne skrzywienie, nie-ustanne ciśnienie ku psycho-patologii, ku nie-normalności.

Wielebny doktor Paul de la Nuit patrzy kosym okiem na MWIO.

– Róża, czy istnieje skala, którą można zmierzyć cechy interpersonalne? – Orli nos sonduje, sonduje, oczy spuszczone w wyrazie taktownej skromności.

– Ludzkie wartości, takie jak zaufanie, uczciwość, miłość? Czy jest przypadkiem, proszę mi wybaczyć to szczególne orędownictwo, jakakolwiek skala religijna?

Nie ma mowy, padre: MWIO opracowano około 1943 roku. W samym środku wojny. Studium wartości Allporta i Vernona, inwentarz Bernreutera zrewidowany przez Flanagana w 1935 – testy sprzed wojny – wydają się Paulowi de la Nuit bardziej ludzkie. MWIO bada właściwie tylko to, czy dany osobnik będzie dobrym, czy złym żołnierzem.

– Dziś jest duży popyt na żołnierzy, wielebny doktorze – mruczy Pointsman.

– Mam tylko nadzieję, że nie skupimy się za bardzo na wynikach jego WMIO. Bo wydaje mi się to zawężeniem problemu. Ten test pomija duże sfery ludzkiej osobowości.

– Właśnie dlatego – wtrąca Rózsavölgyi – proponuj e-my teraz, żeby poddać Sloth-ropa całkiem in-nemu, innemu testowi. Opracowujemy dla niego tak zwany test projekcyjny. Naj-bardziej zna-nym, znanym z tego typu jest metoda Rorschacha z plamami atramentowymi. Sprowadza się to do tego, że osobnik, otrzymując nieustrukturuwany bodziec, jakąś bez-kształtną por-cję, porcję doświadczenia, będzie usiłował narzucić mu struk-turę. To, jak za-bierze się do, do narzucania *struk-tury*, będzie odzwierciedlało jego potrzeby, nadzieje, da nam, da nam wgląd w jego marzenia sen-ne, w naj-głębsze *zaka-marki* jego umysłu. – Wspinaczka brwi na kolejne piętra czoła, nadzwyczaj płynne i pełne wdzięku gesty rąk, przypominające – to najprawdopodobniej świadome zachowanie, no, ale kto może winić Różę za próby wywarcia wrażenia – jego naj słynniejszego rodaka, choć nieuchronnie przynoszą one niezamierzone efekty uboczne: są na przykład pracownicy, którzy zarzekają się, że widzieli go, jak pełzał głową w dół po frontowej ścianie „Białego Nawiedzenia”. – *Za-tem* tak na-prawdę jest między nami zgoda, wielebny doktorze. Test w ro-dzaju MWIO nie jest pod tym względem adekwatnym spra-wdzianem. Bo *posługuje* się bodźcami ustrukturuwanymi. Osobnik może świadomie fałszować lub nie-świadomie tłumić reakcję. A w wypadku techniki pro-jekcyjnej bez względu na to, co zrobi, świadomie czy nie-świadomie, dowiemy się tego, czego chcemy się dowiedzieć. To my, my kontrolujemy sytuację. On nic nie poradzi, nie poradzi sam.

– Muszę przyznać, że to nie wygląda jak twoja działka, Pointsman – uśmiecha się doktor Aaron Throwster. – Bodźce, którymi ty jesteś zainteresowany, to raczej te ustrukturuwane, co?

- Przyjmijmy, że odczuwam wstydliwą fascynację nimi.
- Lepiej tak nie przyjmujemy. Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że zamierzasz całkiem umyć od tego swoje pawłowowskie ręce.
- Nie całkiem, Throwster, nie całkiem. Ale skoro podniosłeś tę kwestię, to mamy również w planach pewne bardzo ustruktrowane bodźce. W istocie te same, które od samego początku nas interesowały. Chcemy wystawić Slothrop na niemiecką rakietę...

Nad ich głowami, na stiukowym suficie, wirują metodystyczne wizje Królestwa Chrystusowego: lwy tulą się do owieczek, owoce sypią się obfitą, nieprzerwaną strugą u stóp i do rąk dam i szlachciców, wieśniaków i dojarek. Miny pasują do miejsca jak pięść do nosa. Drobne stworzonka łypią lubieżnie, dziksz zwierzęta patrzą mętными albo wręcz otępiałymi ślepiami, ludzie nie mają ze sobą kontaktu wzrokowego. Nie tylko sufity są dziwnym elementem w „Białym Nawiedzeniu”, wszystko zrobiono z klasyczną „fantazją”. Z powodów, których obecnie można się tylko domyślać, pełną jedwabi, wzorów geometrycznych i dziurek do podglądania spiżarnię zaprojektowano jako miniaturowy arabski harem. Jedna z bibliotek służyła przez pewien czas za zwierzęcą łaźnię; podłogę opuszczono o trzy stopy i przykryto warstwą mokrego błota, sięgającą progu, by w letni skwar olbrzymie gloucesterszajry cętkowane mogły figlować, chrumkać, zażywać chłodu i gapić się na półki z książkami w płóciennych oprawach, zastanawiając się, czy nadawałyby się do zjedzenia. W tym domu wigowska ekstrawagancja sięgnęła chorobliwego zenitu. Sale mają kształt trójkątny i kolisty, poprzedzielane ścianami, tworzą labirynty. Portrety – studia osobliwości genetycznych – gapią się i uśmiechają głupio z każdej strony. W ubikacjach są freski, które upamiętniają słonie barona Clive’a, tratujące Francuzów pod Plassey, fontanny w kształcie posągów Salome trzymającej głowę Jana (z uszu, nosa i ust tryska woda), mozaiki podłogowe, ułożone w rozmaite postacie *homo Monstrosus* – interesujące zajęcie w swoim czasie – cyklopy, człowiekowata żyrafa, centaur powielony we wszystkich

kierunkach. Wszędzie sklezione przejścia, grotty, kwietne stiuki, ściany obwieszane wyświechtanym aksamitem i brokatem. W najmniej spodziewanych miejscach wyrastają balkony, opanowane przez gargulce, których kły skaleczyły boleśnie głowę niejednego mało ostrożnego gościa. Nawet w najgorszą ulewę stwory co najwyżej poplują deszczówką – karmiące je rynny zatkane są od stuleci, choć biegną jak oszalałe po dachówkach i pod okapami, obok spękanych pilastrów, wiszących kupidynów, terakoty, którą wyłożono każde piętro, przy belwederach, rustykalnych spoinach, pseudowłoskich kolumnach, mających minaretach, pochyłych, krzywych kominach – z dystansu dwaj obserwatorzy, nieważne, jak blisko siebie stoją, w tej orgii samorealizacji, spotęgowanej przez każdego kolejnego właściciela aż do momentu wojennej rekwizycji, widzą dwa różne budynki. Artystycznie strzyżone drzewa ciągną się szeregiem wzdłuż podjazdu, po czym ustępują zwykłym modrzewiom i wiązom: malejące kaczki, butelki, ślimaki, anioły i jeźdźcy nikną po obu stronach szutrowanej drogi w ugorową ciszę, w cieniu pod tunelem wzdychających drzew. Wartownik, ciemna sylwetka w białym pasie, stoi w pozycji „prezentuj broń”, oświetlany przyćmionymi reflektorami aut, które zmuszone są zatrzymać się do kontroli. Przybyłych obserwują spośród drzew wyszkolone i śmiertelnie niebezpieczne psy. Teraz, z nadejściem wieczoru, pada kilka gorzkich płatków śniegu.

Lepiej się zachowuj, bo pošlemy cię do doktora Jamfa!

Po wyuczeniu go odruchów warunkowych Jamf zrezygnował z bodźców.

Wygląda na to, że doktor Jamf tu był, żeby obejrzeć twój mały skarb, co?

Neil Nosepicker,  
„Księga pięćdziesięciu tysięcy obelg”.  
Rozdz. 6.72, „Okropne potomstwo”.  
Nayland Smith Press, Cambridge, Mass., 1933

Pudding: Ale czy to nie...

Pointsman: Tak, panie brygadierze?

Pudding: Czy to nie jest odrobinę podłe, Pointsman? Włazić tak drugiemu

człowiekowi do głowy?

Pointsman: Panie brygadierze, my tylko podążamy śladem długiej serii eksperymentów i badań. Uniwersytet Harvarda. Armia amerykańska. Czy to są podłe instytucje?

Pudding: Nie wolno nam, Pointsman. To nieludzkie.

Pointsman: Ale przecież Amerykanie już dawno się do niego dobrali, nie rozumie pan?! Pan się zachowuje, jakbyśmy sprowadzali dziewicę na złą drogę, a przecież...

Pudding: Czy musimy to robić tylko dlatego, że Amerykanie to robili? Czy musimy pozwalać, by oni nas sprowadzali na złą drogę?

Już około 1920 roku doktor Laszlo Jamf zaryzykował twierdzenie, że jeśli Watson i Rayner zdołają wyuczyć swoje niemowlę imieniem Albert odruchowego przerażenia w reakcji na wszystko, co jest pokryte futerkiem, nawet na jego własną matkę w pierzastym boa, on zrobi to samo ze swoim niemowlęciem imieniem Tyrone i jego odruchem seksualnym. Jamf był tamtego roku w Harvardzie jako akademik goszczący z Darmstadt. To się działo na wczesnym etapie jego kariery, zanim przeniósł się na chemię organiczną (co było równie przełomową zmianą dyscypliny, jak słynna zdrada architektury przez Kekulégo na rzecz chemii sto lat wcześniej). Na przeprowadzenie eksperymentu otrzymał niewielkie stypendium Krajowej Rady Badań Naukowych (w ramach kontynuowanego przez nią programu badań psychologicznych, które rozpoczęto w trakcie pierwszej wojny światowej, kiedy to wynikła potrzeba opracowania metod doboru oficerów i klasyfikowania poborowych). Być może właśnie z powodu szczupłości funduszy Jamf jako swój docelowy odruch wybrał wzwód u niemowlęcia. Mierzenie wydzielin, jak to czynił Pawłow, wymagałoby zabiegów chirurgicznych. Mierzenie „strachu”, czym z kolei zajmował się Watson, pozostawiałoby zbyt wiele miejsca dla subiektywności. (Czym jest strach? „Dużo” to ile? Kto decyduje, kiedy to się dzieje na-miejscu-w-terenie i nie ma czasu, by przebrnąć przez długą i powolną procedurę odnoszenia się do

Tabeli Strachu?). W tamtych dniach oprzyrządowanie nie było dostępne. Najlepszym rozwiązaniem dla niego byłby „wykrywacz kłamstw” z trzema zmiennymi Larsona i Keelera, ale w owym okresie wynalazek wciąż pozostawał w fazie eksperymentalnej.

Ze wzwoдем to co innego. Albo jest, albo go nie ma. Dwuczłonowość, elegancja. Obserwację może prowadzić byle student.

Bodziec bezwarunkowy = głaskanie penisa wacikiem nasączonym środkiem antyseptycznym.

Reakcja bezwarunkowa = wzwód.

Bodziec warunkowy = x.

Reakcja warunkowa = wzwód, ilekroć obecny jest x. Głaskanie przestało być konieczne, potrzebne jest wyłącznie x.

Ze co? X? A cóż to jest? No jak to, przecież to słynny „tajemniczy bodziec”, który fascynował całe pokolenia studentów psychologii behawioralnej, ot co. Studenckie gazety poświęcają dowcipom na ten temat przeciętnie jedną szpaltę długości 1,05 cala w roku, co – jak na ironię – według sprawozdań Jamfa, odpowiada dokładnie średniej długości wzwodu niemowlęcia Tyrone’a.

Następnie zwykłą koleją rzeczy, zgodnie z tradycją w tych sprawach, mały frajer zostałby poddany procesowi oduczenia odruchów warunkowych. Posługując się terminologią Pawłowa, przed oddaniem dziecka Jamf powinien był „ugasić” wyrobiony w nim odruch. Najprawdopodobniej tak się stało. Lecz jak to przestrzegał sam Iwan Pietrowicz: „Mówiłem dotychczas o różnych stopniach wygasania. Temat ten wymaga pewnego uzupełnienia. Stopień ugaszenia mierzy się nie tylko zmniejszeniem odruchu warunkowego i nie tylko końcowym zerowym efektem. Po osiągnięciu zera wygasanie narasta w dalszym ciągu w sposób, że tak powiem, *niewidoczny*” (kursywa doktora Pointsmana).

Czy utajony odruch warunkowy może przetrwać w człowieku aż dwadzieścia albo trzydzieści lat? Czy doktor Jamf stłumił tylko do zera –



odczekał, póki w obecności bodźca x liczba wzwodów u niemowlęcia wyniosła zero – po czym zakończył eksperyment? Zapomniał o niewidocznym stłumieniu poza zero czy też je zlekceważył? Jeśli zlekceważył, to dlaczego? Czy Krajowa Rada Badań Naukowych miała coś do powiedzenia w tym względzie?

Kiedy pod koniec 1944 roku „Białe Nawiedzenie” odkryło Slothrop niczym Kolumb Nowy Świat – choć wielu od dawna słyszało o „słynnym niemowlęciu Tyronie” – różni ludzie myśleli, że odkryli różne rzeczy.

Roger Mexico uważa, że to statystyczna osobliwość. Niemniej odczuwa lekkie drżenie swej dyscypliny w posadach, silniejsze niż powinna powodować byle osobliwość. Osobliwość, osobliwość, osobliwość – zastanówmy się nad tym słowem: w końcowej zbitce spółgłosek kryje się biała teleologia, która nasuwa myśl o ruchu poza ten zwarto-szczelinowy próg – poza zero – w inną sferę. Oczywiście nie dochodzi do tego. Ale człowiek uświadamia sobie intelektualnie, że w tym kierunku powinien dążyć.

Rollo Groast uważa, że to prekognicja.

– Slothrop potrafi przewidzieć, kiedy w konkretnym miejscu spadnie rakietka. To, że dotąd żyje, wskazuje, iż zawczasu kieruje się tą wiedzą i unika obszarów, gdzie o określonej porze ma trafić V-2.

Doktor Groast nie wie, jak – i czy w ogóle – seks łączy się z tą sprawą.

Natomiast Edwin Treacle, najbardziej profreudowski ze wszystkich psychologów, jest zdania, że dar Slothrop sprowadza się do psychokinezy. Siłą swego umysłu Slothrop *sprawia*, że rakiety spadają tam, gdzie spadają. Oczywiście nie miota nimi fizycznie po niebie, lecz przypuszczalnie majstruje sygnałami w systemie naprowadzania. Bez względu na to, jak tego dokonuje, w hipotezie doktora Treacle’a seks zdecydowanie ma z tym wiele wspólnego.

– On podświadomie chce zatrzeć wszystkie ślady innej osoby seksualnej, którą odzwierciedla graficznie na swojej mapie w postaci, uwaga, to

znamienne, *gwiazdy*, a więc tego analno-sadystycznego symbolu powodzenia w klasie szkolnej, którym tak przesiąkło szkolnictwo podstawowe w Ameryce...

To właśnie mapa napędza im stracha, mapa, na której Slothrop upamiętnia swoje dziewczyny. Gwiazdki rozrzucone są według rozkładu Poissona, podobnie jak trafienia rakiet na mapie nalotów opracowywanej przez Rogera Mexico.

Hm, ale tu chodzi o coś więcej niż tylko rozkład trafień. Rzecz w tym, że oba zbiory są identyczne. Kwadrat w kwadrat. Zdjęcia mapy Slothrop'a wykonane przez Terry'ego Bloata naniesiono na mapę Rogera i obydwa rzuty, dziewczęta-gwiazdki i rakiety-kółka, dokładnie się na siebie nałożyły.

Szczerściem Slothrop oznaczył datami większość gwiazdek. Stąd wynika jasno, że gwiazdka pojawia się zawsze *przed* trafieniem rakiety. Uderzenie następuje z opóźnieniem od dwóch do dziesięciu dni. Średnia zwłoka wynosi cztery i pół dnia.

Przypuśćmy, dowodzi Pointsman, że tajemniczym bodźcem Jamfa, oznaczonym x, był jakiś donośny odgłos, podobnie jak w eksperymencie Watsona i Rayner. Przypuśćmy dalej, że odruch erekcji u Slothrop'a nie został całkowicie wygaszony. W takim razie powinien on doznawać wzwodu w reakcji na każdy złowieszczo narastający hałas – taki, jaki słyszał w laboratorium Jamfa i jaki do dziś dnia słyszą psy w laboratorium Pointsmana. To wskazywałoby na V-1: każda bomba przelatująca na tyle blisko, że Slothrop podskakuje ze strachu, powinna doprowadzić go do erekcji: dźwięk rżącego coraz głośniejszego silnika, potem odcięcie paliwa i cisza, napięcie rośnie... no i wreszcie wybuch. Łoskot, wzwód. Ale nie. Szkopuł w tym, że Slothrop doznaje wzwodu tylko wtedy, kiedy ta sekwencja następuje w *odwrotnej* kolejności. Najpierw wybuch, potem huk nadlatującej śmierci: V-2.

Niemniej oczywiste jest, że bodźcem musi być rakietka, zwiastujące ją widmo, jej sobowtór, dostrzegany przez Slothrop'a w odsetkach uśmiechów w

autobusie, cyklach menstruacyjnych, manipulowanych w jakiś tajemniczy sposób – co sprawia, że te dziwki robią to za friko? Czy są jakieś wahania na rynku seksu, pornografii albo prostytutek, być może powiązane z cenami na giełdzie, o których porządni ludzie nie mają bladego pojęcia? Czy wieści z frontu potęgują uczucie swędzenia między ślicznymi udami, czy pożądanie wzmagają się wprost, czy odwrotnie proporcjonalnie do narastania groźby nagłej śmierci? – jasna cholera, co to za wskazówka, wprost przed naszymi oczyma, której toporność naszych umysłów nie pozwala nam dostrzec?

Lecz jeśli to kryje się w powietrzu, bezpośrednio tutaj i teraz, wówczas rakiety są tego wynikiem, wszystkie i przez cały czas. Żadnych wyjątków. Kiedy to znajdziemy, znów ukażemy twardy determinizm wszechrzeczy, każdego człowieka. Nie będzie zbyt wiele miejsca na jakąkolwiek nadzieję. Już dziś widać, jak ważne będzie to odkrycie.

Przechodzą obok ciągu zawianych śniegiem kojców, Pointsman w zimowych butach i płowej budrysówce, Mexico owinięty szalikiem zrobionym dla niego niedawno na drutach przez Jessicę, łopoczącym smoczym jęzorem w stronę Londynu – jak dotąd najchłodniejszy dzień tej zimy, blisko zera. Na klify – twarze zmarznięte – na wyludnioną plażę. Fale podpływają i odskakują, zostawiając po sobie wielkie sierpy lodu misternego jak skóra, jaśniejącego oślepiającym blaskiem w bladym słońcu. Pod nogami chrzęszczą kamyki i piach. Rok sięgnął dna. Słysząc działa we Flandrii, huk niesiony wiatrem przez Kanał. Na szczycie klifu stoją szare i kryształowe ruiny opactwa.

Poprzedniej nocy, w domu na obrzeżach ewakuowanego miasteczka, gdy już zapadali w sen, półprzytomna Jessica, tuląc się, wyszeptała: „Roger... a co z tymi dziewczynami?”. Tylko tyle, ale wystarczyło, by Mexico otrzeźwiał. Choć był ledwo żywy ze zmęczenia, przeleżał z otwartymi oczyma następną godzinę, rozmyślając o dziewczynach.

Teraz, świadom, że powinien poruszyć tę kwestię, pyta:

– Pointsman, a jeśli Edwin Treacle ma rację? Że to psychokineza? Może

jednak Slothrop, nawet nieświadomie, powoduje, że one spadają w tych miejscach?

– No to wtedy ci od was mieliby coś konkretnego, nie?

– Ale... dlaczego to robi? Jeśli one spadają tam, gdzie on bywał...

– Może nienawidzi kobiet.

– Ja mówię poważnie.

– Mexico, czy ty się martwisz?

– Nie wiem. Być może zastanawiam się tylko, czy to się jakoś wiąże z twoją fazą ultraparadoksalną. Może... może po prostu chcę się dowiedzieć, czego ty naprawdę szukasz?

Nad ich głowami dudni eskadra B-17 w drodze do nietypowego celu, poza utartymi korytarzami powietrznymi. Za fortecami widać błękitne zwały zimnych chmur, a gładkie brzuchy samolotów poznaczone są przez niebieskie żyłki – wszędzie indziej maszyny pomazał zszarzały róż i fiolet... skrzydła i stateczniki podcieniowane ciemnoszarym kolorem. Rozjaśnione cienie kłębią się wokół obłości kadłubów i gondoli. Kołpaki śmigieł sterczą z zakapturzonych mroków okapotowania, wirujące śmigła pozostają niewidoczne, a światło z góry łowi wszystkie bezbronne powierzchnie w jednorodną posępną szarość. Samoloty wznoszą się z warkotem, statecznie, w zerowe niebo, zrzucając z siebie lód w trakcie nabierania wysokości, pozostawiając w tyle błękit zaorany w białe lodowe bruzdy, a ich własna barwa harmonizuje z niektórymi rejonami chmur, wszystkie małe okienka i otwory spowite miękką ciemnością, nos z pleksiglasu odbijający blask, na zawsze skrzywiony, ociekający chmurami i słońcem. Wewnątrz jest czarny obsydian.

Pointsman rozprawia o paranoi i zasadzie przeciwieństwa. Zabazgrał Księgę wykrzyknikami i „racjami” na marginesach stron otwartego listu Pawłowa do Janeta o *sentiments d'emprise* oraz rozdziału LV, „Próby fizjologicznej interpretacji obsesji i paranoi” – nie mógł się powstrzymać od tego barbarzyństwa, choć właściciele Księgi umówili się, że nie będą w niej

niczego dopisywać, zbyt bowiem jest cenna, musieli się przecież na nią złożyć po gwinei na głowę. Kupili ją pokątnie, w nocy, w trakcie nalotu Luftwaffe (większość istniejących egzemplarzy spłonęła w magazynie na początku bitwy o Anglię). Pointsman nie widział twarzy sprzedającego; facet zniknął o świcie niosącym ochryple odwołanie alarmu, pozostawiając doktora z Księgą, niemy plik zszytych kartek coraz cieplejszy w zwilgotniałej, zaciśniętej dłoni... równie dobrze mógłby to być biały kruk z dziedziny erotyki, ten toporny wygląd jakby ręcznie składanej czcionki... drętwy styl, jak gdyby osobliwy przekład doktora Horsleya Gantta był szyfrem, a rozwikłany tekst wyliczał wstydlive rozkosze, przestępcze słabości... Jak wiele ze ślicznej ofiary, mocującej się z więzami, widzi Ned Pointsman w każdym psie, który trafia do jego laboratorium... i czyż skalpel i sonda nie są równie ozdobnymi i eleganckimi przedłużeniami penisa, jak bicz i laska?

Tom poprzedzający Księgę – pierwszych czterdzieści jeden wykładów – trafił do jego rąk, gdy miał dwadzieścia osiem lat, jako mandat od podgórskiej Wenus, której nie mógł się oprzeć, pozwalający porzucić gabinet na prestiżowej Harley Street dla wędrowni coraz większymi bezdrożami, wiodącej zachwycająco w labirynt badań nad odruchami warunkowymi, w którym teraz, po trzynastu latach podążania z nicią w dłoni, zaczyna kroczyć wstecz, napotyka dawne ślady swych stóp, tu i ówdzie musi stawić czoło konsekwencjom swego całkowitego oddania sprawie w latach młodości... A przecież go uprzedzała – nieprawda? czy słuchał? – o odroczonej płatności w pełnej kwocie. Wenus i Ariadna! Wydawała się godna każdej ceny, ponadto w tamtych czasach wyglądało na to, że labirynt jest zbyt gęsty, zbyt zawiły – tak właśnie wtedy uważał – by *oni* mogli go w nim odnaleźć: przedwieczorni alfonsi, którzy dobijali targu między wersją jego samego – krypto-Pointsmanem – a jego losem. Ale dziś już wie. Zabrnął za daleko, choć na razie woli nie spoglądać prawdzie w oczy, wie, że oni tylko czekają, twardzi i niezłomni – ci agenci Syndykatu, którym bogini też musi się opłacać –

czekają w środkowej komnacie, gdy tymczasem on się zbliża... Posiedli wszystko: Ariadnę, Minotaura, a nawet, lęka się Pointsman, jego samego. W obecnych dniach ukazują mu się w przebłyskach jako nadzy atleci, dyszący i porozstawiani po całej komnacie, straszne wyprężone penisy mineralne jak ich oczy, które błyszczą szronem albo płatkami miki, ale nie żądzą, nie do niego. Taki ich zawód...

– Pierre Janet. Ten facet czasem przemawiał jak mistyk ze Wschodu. Nie rozumiał właściwie przeciwieństw. „Akt krzywdy i akt bycia skrzywdzonym są zespolone w zaistnieniu całej krzywdy”. Mówiący i ten, o którym mowa, pan i niewolnik, dziewica i uwodziciel, każda para skojarzona jest w najdogodniejszy sposób i nierozłączna. Ostatnim szańcem niepoprawnych leni, Mexico, są właśnie tego rodzaju brednie o jin i jang. W ten sposób człowiek unika wszelkiej niemiłej pracy laboratoryjnej, ale co tak naprawdę powiedział?

– Nie chcę się z tobą wdawać w dyskusję o religii – z powodu braku snu Mexico zachowuje się nieznośniej niż zwykle – zastanawiam się tylko, czy analiza nie jest waszą... hm, nadmierną zaletą. To znaczy, kiedy już to rozłożycie na czynniki, to w porządku, będę pierwszy, który przykłaśnie waszym wysiłkom. Ale oprócz tych paru ciągle powtarzających się słów, to co wyście tak naprawdę powiedzieli?

Nie jest to też spór, w którym celowałby Pointsman. Niemniej rzuca ostre spojrzenie na młodego anarchistę w czerwonym szaliku.

– Pawłow wierzył, że ideałem, celem, do którego wszyscy dążymy w nauce, jest ze wszech miar mechaniczne wyjaśnienie. Był w dostatecznym stopniu realistą, by nie oczekiwać tego za swojego życia. Ani za życia najbliższych pokoleń. Niemniej miał nadzieję na łańcuch coraz dokładniejszych aproksymacji. Wierzył w istnienie czysto fizjologicznej podstawy życia psychicznego. Nie ma skutku bez przyczyny, a do tego dochodzi wyraźny łańcuch powiązań.

– Oczywiście to nie jest moja silna strona – Mexico naprawdę nie chce



urazić doktora, no ale kurczę, bez przesady – trudno jednak nie dostrzec, że panuje ogólne odczucie, iż przyczynę i skutek wyeksploatowano już do końca. Że aby nauka w ogóle mogła iść do przodu, trzeba szukać mniej wąskiego, mniej... sterylne go zestawu założeń. Następny wielki przełom nastąpi, gdy będziemy mieć dość odwagi, by całkowicie odrzucić przyczynowość i odbić w inną stronę.

– Nie, nie „odbić”. Ruszyć wstecz. Człowieku, masz trzydzieści lat. Nie istnieją inne strony. Można iść tylko do przodu – coraz dalej – albo wstecz.

Mexico patrzy, jak wiatr targa połami budrysówki Pointsmana. Przy zmarzniętej ławce przelatuje rozkrzyczana mewa. Kredowe klify piętrzą się, zimne i pogodne jak śmierć. Pierwsi europejscy barbarzyńcy, którzy zapuścili się w poblizze wyspy, widzieli te zapory przez kłęby mgły i wtedy uświadamiali sobie, dokąd udają się ich zmarli.

Raptem Pointsman zawraca i... o Boże. Uśmiecha się. Ten uśmiech. W wyzierającej z niego zarozumiałej wierze w braterstwo jest coś tak odwiecznego, że – nie, nie zaraz, ale za parę miesięcy, kiedy na dobre rozgości się wiosna i zakończy wojna w Europie – Roger przypomni go sobie – będzie przezeń nawiedzany – jako najbardziej diaboliczną minę, widzianą kiedykolwiek na ludzkiej twarzy.

Przystanąli. Mexico patrzy na Pointsmana. Na Anty-Mexico. Istne przeciwieństwa, ale na jakiej korze mózgowej, na jakiej zimowej półkuli? Na jakiej zniszczonej mozaice, przodem do Pustkowia... poza osłoną miasta... odczytywane tylko przez tych, którzy wędrują na zewnątrz... oczy w oddali... barbarzyńcy... jeźdźcy...

– Obaj mamy Slothrop – powiedział przed chwilą Pointsman.

– Czego ty się po tym spodziewasz? Poza sławą oczywiście?

– Tego samego co Pawłow. Chcę znaleźć fizjologiczną podstawę tego, co wydaje się nam bardzo osobliwym zachowaniem. Nie obchodzi mnie, pod którą z kategorii tego waszego Towarzystwa Badań Parapsychicznych to podpadnie, a co ciekawe, żaden z was nie zasugerował dotąd telepatii. Może

on się dostroił do kogoś po drugiej stronie, do kogoś, kto zna harmonogram odpaleń. He? Mam gdzieś, czy to straszna freudowska zemsta na matce za to, że próbowała go wykastrować, czy coś podobnego. Nie lubię takich patetycznych pomysłów. Jestem skromny, działam metodycznie...

– Pokorny.

– Postawiłem sobie ograniczenia w tej sprawie. Opieram się tylko na odwróceniu kolejności odgłosów rakiety... na wynikach jego dawnych badań, dotyczących odruchów warunkowych w *prawdopodobnej reakcji* na bodźce słuchowe, i na tym, co *wydaje się* pogwałceniem zasady przyczynowości. Nie jestem, jak ty, skłonny do odrzucenia przyczyny i skutku, jeśli jednak rzecz wymaga korekty, to trudno.

– Ale czego ty chcesz?

– Widziałeś jego MWIO. Jego skalę E Przekłamania, wypaczone procesy myślowe... Wyniki jasno to pokazują: psychopatia, dewiacja, obsesje, uśpiona paranoja. No cóż, Pawłow wierzył, że obsesje i złudzenia paranoiczne to owoc pewnych... nazwijmy to, komórek, neuronów w mozaice korowej, pobudzonych do poziomu, na którym, poprzez wzajemną indukcję obszary wokół ulegają zahamowaniu. Jeden jasny, płonący punkt w otoczeniu ciemności. Ciemności, którą w pewien sposób sam wywołał. Odcięty jest ten punkt, być może do końca życia pacjenta, od wszelkich innych idei, doznań, samokrytyki, która mogłaby poskromić jego płomień, przywrócić go do stanu normalności. On nazwał to „punktem patologicznego bezwładu”. Pracujemy teraz nad psem... przeszedł już przez fazę wyrównawczą, gdzie w reakcji na każdy bodziec, obojętne, słaby czy silny, toczył identyczną ilość śliny... potem wkroczyliśmy w fazę paradoksalną: silne bodźce wywołują słabe reakcje i vice versa. Wczoraj wprowadziliśmy go w fazę ultraparadoksalną. Poza próg. Kiedy włączamy metronom, który dotąd oznaczał dla niego pożywienie, który w przeszłości sprawiał, że Wania tryskał śliną jak fontanna, to teraz odwraca łeb. Ale gdy wyłączamy metronom, on się obraca ku niemu, obwąchuje go, próbuje lizać i Chapman

zębami, czyli szuka w ciszy bodźca, którego nie ma. Pawłow uważał, że wszystkie choroby umysłu można ostatecznie wyjaśnić za pomocą fazy ultraparadoksalnej, odwołując się do patologicznie bezwładnych punktów w korze mózgowej, do pomieszania zasady przeciwieństw. Zmarł tuż przed sprawdzeniem tych założeń w eksperymentach. Ale ja żyję. Mam potrzebne fundusze, czas i wolę. Slothrop to niewzruszoność. Niełatwo będzie wprowadzić go w którąkolwiek z trzech faz. Może będziemy zmuszeni go głodzić, sterroryzować, nie wiem... ale nie musi do tego dojść. Tak czy owak, znajdę jego punkty bezwładu, nawet jeśli będę musiał otworzyć tę jego cholerną czaszkę, dowiem się, czym są, jak są odizolowane, i prawdopodobnie rozwiążę zagadkę, dlaczego rakiety spadają właśnie tak, jak spadają, choć przyznaję, że nieźle się namęczyłem, żeby pozyskać twoje poparcie.

– Dlaczego się męczyłeś? – Czujemy się odrobinę nieswojo, Mexico? – Po co ci jestem potrzebny?

– Nie wiem. Ale jesteś.

– Ty masz obsesję.

– Mexico. – Pointsman stoi zupełnie nieruchomo, zwrócona ku morzu połowa twarzy starsza w jednej chwili o pięćdziesiąt lat, i patrzy, jak kolejne trzy fale pozostawiają po sobie sterylną błonę lodu. – Pomóż mi.

Ja nikomu nie mogę pomóc, myśli Mexico. Dlaczego jednak tak go korci? To niebezpieczne i perwersyjne. Chce pomóc, odczuwa taki sam nienaturalny lęk przed Slothropem jak Jessica. „A co z tymi dziewczynami?”. Być może to rezultat osamotnienia w Sekcji Psi, w gronie sekciarzy, których wiary w głębi serca nie podziela i zarazem nie potrafi się wyprzeć... nie potrafi się wyprzeć nawet wiary nieuśmiechniętego Gloaminga w to, że istnieje coś więcej, coś poza zmysłami, poza śmiercią, poza prawdopodobieństwem, które jest wszystkim, w co on sam może tak naprawdę uwierzyć... „Och, Jessie – przytulony twarzą do jej nagich, śpiących pleców utkanych z misternych kości i ścięgien – czuję się jak ryba wyjęta z wody...”.

W połowie drogi między falami a szorstką morską trawą podzwania na wietrze długi odcinek przewodów i drutu kolczastego. Czarny wzór osadzony jest na ukośnych podporach, lancach najeżonych w kierunku morza. Geometryczny obraz pustki: odarcie do samych wektorów sił podtrzymujących konstrukcję, zgiętych miejscami, rząd za rzędem, poruszających się, gdy Pointsman i Mexico też ruszają znowu, w drogę powrotną na tle gęstej mory, paralaksa między powielonymi pionami a ukosami przy akompaniamencie powarkujących u spodu drutów. W oddali, gdzie krzywizna niknie we mgle, szarzeje ażurowy mur. Po nocnych opadach wszystkie linie i zakrętasy czarnego szlaku wytrawione były w bieli. Lecz dmący później wiatr i piasek posolił i ponownie ogołocił ciemne żelazo, odsłaniając tu i ówdzie smużki rdzy... gdzie indziej lód i słońce przemieniają elementy w białe zygzaki energii elektrycznej.

Nieco dalej, za pasem zakopanych w ziemi min lądowych i posterunkami przeciwpancernymi z popękanego betonu, w bunkrze pokrytym siatką i darnią, usytuowanym w połowie klifu, młody doktor Bleagh i pielęgniarka Ivy zażywają wytchnienia po trudnym zabiegu lobotomii. Jego wymyte i doświadczone dłonie wślizgują się pod podwiązki, odciągają je, odpinają nagle z donośnym pstryk! i ho, ho, ho, wyrzywa się Bleaghowi z ust, gdy ona podskakuje i też parska śmiechem, usiłując bez przekonania wyśliznąć się z jego objęć. Leżą na posłaniu ze starych wyblakłych map morskich, instrukcji obsługi, rozpruty worków i rozsypanego piasku, wypalonych zapalek i pokruszonych filtrów po dawno zdematerializowanych papierosach, które dodawały otuchy nocami roku 1941, kiedy to każdy błysk światła na morzu powodował przyśpieszone bicie serca.

– Jesteś szalony – szepcze ona.

– Raczej napalony – prostuje z uśmiechem doktor i znowu strzela z podwiązki jak urwis z procy.

Na szczycie skarpy, wśród płaskich plastrów śniegu i białych odkrywek wapna, ciągnie się w dal jak rząd białych bułek na ciemnobrązowym

pastwisku szereg walcowatych brył, przeznaczonych do powstrzymania cichych tygrysów, czołgów, których gąsienice już nigdy tu nie zachrzeszczą. Nieopodal po malej sadzawce ślizga się Kabyl przybyły z Londynu – nieprawdopodobny Żwawa sunie na łyżwach wyprostowany i dostojny, jak gdyby się w nich urodził, jak gdyby przyszedł na świat pośród śniegów, a nie na pustyni. Działwa z miasteczka pierzcha na boki, trzymając się jednak na tyle blisko, że ilekroć łyżwiarz wykonuje zwrot, szable startego lodu tną buzie. Dzieci boją się odezwać do obcego, lecz nie odstępują go, szturchają, dają prztyczka, dopraszając się i zarazem lękając zachęcającego uśmiechu... Ma magiczną, znajomą twarz. Z brzegu sadzawki magicznego Kabyla, swój pierwowzór, obserwują Myron Grunton i Edwin Treacle, paląc jednego papierosa za drugim, rozmyślając o Operacji „Czarne Skrzydło” i wiarygodności doniesień na temat Schwarzkommando, nie zamierzając na oczach dzieciarni ryzykować wejścia na lód – w grę nie wchodzi ani piruet, ani żadna inna figura.

Zima znalazła się w stanie zawieszenia – całe niebo jest ponurym, świetlistym żelem. W dole, na plaży, Pointsman dobywa z kieszeni rolkę papieru toaletowego – każdy odcinek oznaczony stemplem: „Własność Rządu Jej Królewskiej Mości” – żeby wydmuchać nos. Roger raz po raz wpycha sobie włosy pod czapkę. Milczą. Oto nasza para: ciężki chód, ręce to w kieszeniach, to wyjęte, niknące sylwetki, płowa i szara, i jeszcze kleks szkarłatu o ostrych konturach, za ich plecami odciski stóp w długiej, marznącej procesji wyczerpanych gwiazd, nawis chmur odbity w szklistej, niemalże białej plaży... Znikli nam z oczu. Nikt nie przysłuchiwał się tym wczesnym rozmowom, nie zachowała się nawet błaha fotka. Szli, póki nie wchłonęła ich zima, i wydawało się, że lód skuje okrutny Kanał i nikt, żaden z nas, już nigdy ich nie odnajdzie. Ślady stóp wypełnił szron, a nieco później zabrało morze.



Ukryta przed jej wzrokiem kamera śledzi w ciszy każdy jej ruch, gdy tak snuje się, długonoga, bez celu po pokojach, młodzieńczo wąskie biodra i ściągnięte ramiona, włosy na pierwszy rzut oka mało holenderskie, upięte modnie do góry pod starym wianuszkiem ze zmatowiałego srebra, wskutek wczorajszej trwałej bardzo jasne kosmyki zamrożone na szczycie głowy w formie setek wirów przeświecających przez ciemne filigranowe druciki. Najmniejsza przesłona tego popołudnia, dodatkowa lampa wolframowa w tym najbardziej dżdżystym z niedawnych dni. W oddali, na południu i wschodzie, odległe wybuchy rakiet, po chwili już tutaj, szarpiąc nie za splakane okna, lecz za drzwi serią powolnych potrójnych i poczwórnych dygotów, jakby rozpaczliwie dobijały się nieszczęsne duchy, pragnące choć chwili towarzystwa, choć jednego dotyku...

W domu jest tylko ona, ukryty kamerzysta i Osbie Feel, który krząta się w kuchni, wyczyniając jakieś tajemnicze sztuki z grzybami zerwanymi na dachu. Grzyby mają połyskliwe pomarańczowoczerwone kapelusze z grubymi łatami szarobiałej pleśni. Raz po raz wektor jej zniecierpliwienia prowadzi ją do drzwi, zza których zerka na jego chłopiące zabiegi z muchomorem czerwonym (bo to właśnie ten krewniak trującego muchomora sromotnikowego pochłania uwagę Osbiego – jeśli w jego wypadku można mówić o uwadze) i błyska przyjaznym w swym przekonaniu uśmiechem, ale Osbie widzi w nim tylko okropną światowość, przemądrzałość, niegodziwość. To pierwsza Holenderka, z którą kiedykolwiek miał styczność, toteż jest zdziwiony, że widzi buty na wysokim obcasie zamiast chodaków, kompletnie zbity z tropu jej starannym i (jak sobie wyobraża) kontynentalnym wyglądem, inteligencją wyzierającą z przysłoniętych jasnymi brwiami oczu i zza ciemnych okularów wkładanych na ulicy, ze śladów dziecięcego tłuszczu, z dołeczków osadzonych naprzeciw siebie po obu stronach ust. (W zbliżeniach widać, że jej skóra, choć bliska ideału,



została lekko przypudrowana i poróżowiona, rzęsy przyciemnione o ton, kształt brwi skorygowany tuszem o dwa czy trzy włoski...).

Co ten Osbie kombinuje? Starannie wybiera środek każdego ceglatego kapelusza, a resztę szatkuje. Eksmitowane chochliki biegają po dachu i szwargoczą. Rośnie góra posiekanych pomarańczowoszarych kapeluszy, z której Osbie podbiera coraz to garść i wrzuca do wrzątku w rondlu. Poprzednia porcja już się dusi na wolnym ogniu, przemieniona w gęsty kleik, pokryty żółtą pianą, wygarniany teraz i mielony w mikserze Pirata. Następnie Osbie wylewa grzybową papkę na blachę. Otwiera piekarnik, za pomocą azbestowych uchwytów wyjmuje pierwszą blachę, pokrytą spieczonym ciemnym kurzem, i wkłada dopiero co przygotowaną. Tłuczkiem uciera w moździerz gotową już substancję i wrzuca ją do starej puszek po herbatnikach, zostawiając sobie odrobinę, którą zawija z ręcznie w bibułkę lukrecjową firmy Rizla. Ogień, sztachnięcie się dymem.

Ona zagląda akurat w chwili, gdy Osbie otwiera rozbrzmiewający echem piekarnik. Kamera nie rejestruje żadnej zmiany w jej twarzy, dlaczego jednak dziewczyna stoi teraz tak nieruchomo w drzwiach? Jak gdyby miano zatrzymać klatkę i przedłużyć jej trwanie w pełnometrażową chwilę świeżego i zaśnieżonego złota, mikroskopijnie zamaskowanej niewinności, lekko zgięta w łokciu ręka oparta o ścianę, palce rozczapierzone na wyblakłej pomarańczowej tapecie, jakby dotykała własnej skóry, bo to melancholijny dotyk... Na dworze deszcz w silikonie i mroźnych odgórnych chłaśnięciach, samotny, powoli korodujący średniowieczne okna, przesłaniający drugi brzeg rzeki niczym dym. To miasto, te wszystkie podziurawione bombami mile: bezgranicznie zasupłana ofiara... skóra z połyskujących dachówek, pokryte sadzą mury, spiętrzone wysoko ponad każdym oknem, ciemnym lub rozświetlonym, każdy z milionów rozstępów wydany na pastwę posępności tego zimowego dnia. Deszcz myje, moczy, ze śpiewem wypełnia rynsztoki, miasto go wita, dźwiga w wiecznym wzruszeniu ramion... Piekarnik zatrząskuje się z metalicznym skrzypnięciem, ale dla Katje już nigdy się nie

zamknie. Nazbyt dużo pozowała dzisiaj przed lustrami, toteż wie, że jej włosy i makijaż są bez zarzutu, zachwyca się suknią przyniesioną dla niej od Harveya Nichollsa, prawdziwa krepa, która z wywatowanych ramion spływa dwoma strumieniami do zlewiska nisko między piersiami, soczysty odcień kakao, znany w tym kraju jako „czekolada”, jardy, jardy wspaniałego jedwabnego splotu i skręcone, zebrane luźno w talii miękkie fałdy, sięgające kolan. Kamerzysta jest zadowolony z nieoczekiwanego efektu, wywołanego przez mnóstwo powłóczystej krepy, zwłaszcza gdy Katje przechodzi obok okna i przenikająca do środka deszczowa poświata zmienia materiał na kilka krótkich odsłoneń migawki – na wstrzymaną celuloidową chwilę – w mętne szkło, nasycone popiołem, wielowiekowe i zwietrzałe, suknia, twarz, włosy, ręce, szczupłe łydki, wszystko przeobrażone w szkło i emalię – a deszcz, półprzezroczysty strażnik, wstrząsany przez cały dzień pobliskimi i odległymi wybuchami rakiet, wciąż pada, z tyłu ciemna i zniszczona ziemia, która na przeciąg klatek filmowych stanowi tło dla dziewczyny.

Na widok w lustrze Katje odczuwa przyjemność nie mniejszą niż kamerzysta, ale w przeciwieństwie do niego wie jedno: że w głębi serca, pod powłoką z kosztownej tkaniny i martwych komórek, jest uosobieniem zepsucia i wypalenia, że okrutnym wyrokiem, w sposób, którego nikt się nie domyśla, należy do Pieca... do *Kinderofen*... przypomina sobie teraz jego zęby, kiedy wypowiadał te słowa, długie, okropne zęby, żyłkowane jasnym brązem próchnicy, pożółkłe zęby kapitana Blicero, marmurek pociemniałych pęknięć, a w nocnym oddechu, w mrocznym wyziewie z pieca jego ciała, wszechobecne poskręcane poszepty rozkładu... Zęby odtwarza w pamięci przed wszystkimi innymi szczegółami, bo to one miały bezpośrednio skorzystać z Pieca: z tego, co dla niej zaplanowano, dla niej i dla Gottfrieda. Nigdy nie wypowiedział tego wyraźnie tonem groźby, nie zwrócił się wprost do nich, tylko z za jej wyszkolonych atłasowych ud mówił do wieczornych gości albo szeptał szlakiem kręgosłupa uległego Gottfrieda (oś Rzym-Berlin, jak to nazwał tej nocy, kiedy przyszedł Włoch, no i wszyscy leżeli w

okrągłym łóżku, kapitan Blicero podłączony do wypiętego tyłka Gottfrieda, Włoch w tym samym czasie do jego ślicznych ust, Katje bierna, spętana i zakneblowana, z dolepionymi sztucznymi rzęsami, służąc tej nocy za poduszkę dla siwiejących, uperfumowanych loków makaroniarza, woda różana i tłuszcz tuż przed zjełczeniem)... każda wypowiedź zamkniętym kwiatem, zdolnym do rozwarcia płatków i nieskończonej odsłony (ona myśli o funkcji matematycznej, która rozwinie się dla niej jak pęk w szereg potęgowy bez stałego współczynnika, bez kresu, mrocznie, choć nigdy zaskakująco)... jego słowa „Padre Ignacio” krystalizujące się w postaci hiszpańskiego inkwizytora, czarna szata, brązowy orli nos, dusząca woń kadzidła + spowiednik/kat + Katje i Gottfried, oboje na klęczkach, obok siebie przed ciemnym konfesjonałem + dzieci ze starej baśni też na klęczkach, tyle że przed Piecem – kolana zimne i obolałe – szepczą do jego paszczy tajemnice, których nie mogą zdradzić nikomu + obsesja kapitana Blicero na punkcie czarownic, oboje są podejrzani, Katje mimo listów uwierzytelniających z Nationalsozialistische Bewegung + Piec jako słuchacz/mściciel + Katje na kolanach przed Blicero w najwymyślniejszym przebraniu, czarny aksamit i buty na półsłupku. Niewidoczny penis zgnieciony pod skórzanym suspensorium w cielistym kolorze, na tym sztuczna cipa i zagajnik z sobolowego futra, wykonane ręcznie w Berlinie przez sławną Madame Ophir – madame była przybita, usprawiedliwiała się brakami w dostawach – podrabiane wargi sromowe i łechtaczka z gumy syntetycznej i nowego polimeru, polichlorku winylu... na wilgotnym, jak żywym różu jeżą się setki drobniutkich ostrz z nierdzewnej stali, o które klęcząca i zniewolona Katje kaleczy swe usta i język, po czym odciska wargami krwawe bohomy na złocistych, niegipsowanych plecach swego „brata” Gottfrieda. Brata w zabawie, w niewoli... nigdy wcześniej nie widziała, żeby przyszedł do zarekwirowanego domu w pobliżu stanowisk ogniowych, ukrytego w lasku pośród zakorzenionej enklawy małych gospodarstw i zagród, która ciągnie się na wschód z królewskiego miasta,

między dwoma połaciami polderu, ku Wassenaar – ale jego twarz, tego pierwszego razu, widziana w jesiennym słońcu przez wielkie okno salonu, kiedy klęczał nago, ubrany tylko w nabijaną ćwiekami psią obrozę, i onanizował się miarowo na komendy wykrzykiwane przez kapitana Blicero, biała skóra zabarwiona przez popołudnie syntetycznym świetlistym oranżem, którego nigdy wcześniej nie kojarzyła ze skórą, penis krwawym monolitem, ciężkie dyszenie różowej paszczy, słyszalne w wygłuszonej dywanami ciszy, twarz skierowana ku górze, nie ku nim, tylko jakby do czegoś widocznego na suficie albo na niebie, które być może w jego wizji symbolizują sufity, oczy jednak spuszczone, jak to zazwyczaj – no więc ta jego twarz, wzniesiona do góry, napięta, szczytująca, jest tak podobna do tego, co widywała przez całe życie w lustrach, tak podobna do jej wystudiowanego, lalkowatego oblicza, że aż wstrzymuje oddech, czuje przez chwilę przyśpieszoną pulsację swego serca i dopiero wtedy rzuca takie samo spojrzenie na Blicero. Jest zachwycony. „Może – odzywa się kapitan – obetnę ci włosy”. Uśmiecha się do Gottfrieda. „A jemu każę zapuścić”. Chłopakowi wyszłoby na zdrowie takie upokorzenie, przeżywane co rano na kwaterze obsługi baterii, dwa kroki od Schufstelle 3, gdzie niegdyś, w zamierzchłych czasach pokoju, galopowały konie na oczach opętanych, tracących pieniądze hazardzistów – raz za razem naraża się oficerom inspekcyjnym, ale Blicero chroni go przed konsekwencjami dyscyplinarnymi. W rewanżu, między odpaleniami, za dnia i w nocy, półprzytomny z braku snu, o najróżniejszych porach znosi Hexeszüchtigung z rąk swego kapitana. Ale czy Blicero ściał jej włosy? Teraz już nie pamięta. Wie, że raz czy dwa wkładała mundur Gottfrieda (wpychając długie kosmyki pod jego furazerkę), bez specjalnych zabiegów wyglądała jak jego sobowtór, spędzając te noce „w klatce”, wedle reguł ustalonych przez Blicero, tymczasem Gottfried musiał nosić jej jedwabne pończochy, obszyty koronką fartuszek i czepek, wszystkie jej atłasy i całą przystrojoną wstążkami organdyne. Lecz potem zawsze wchodził do klatki. Tak to było. Kapitan nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do tego, które,

brat czy siostra, ma wykonywać posługi, a które jest tuczoną gęsią.

Jak poważnie traktuje ona tę zabawę? Uważa, że w okupowanym kraju, we własnym kraju najechanym przez wroga, lepiej uchwycić się jakiejś formalnej, zrjonalizowanej wersji tego, co rozgrywa się dokoła dzień i noc w sposób chaotyczny i nieograniczony: pośpieszne egzekucje, wypędzenia, bicia, podstępny, paranoja, wstyd... choć nigdy nie omówili tego otwarcie między sobą, wydaje się, że Katje, Gottfried i kapitan Blicero są zgodni, iż ta północna i pradawna forma, znana im i swojska – zabłąkane dzieci, wiedźma w smacznym domu, niewola, tuczenie, Piec – będzie ich wspólną utartą ścieżką, schronieniem przed tym, co ich otacza i czego żadne nie potrafi znieść – przed Wojną, absolutnymi rządami przypadku, własnym żalosnym położeniem tutaj, w samym epicentrum...

Nie jest jednak bezpiecznie, nawet pod dachem, nawet w domu... niemal codziennie dochodzi do awarii odpalanych rakiet. Pod koniec października jedna, wystrzelona w pobliżu ich domu, spadła z powrotem i eksplodowała, zabijając dwunastu żołnierzy obsługi naziemnej i tłukąc szyby w promieniu kilkuset metrów, również w oknie salonu od zachodniej strony, przez które Katje po raz pierwszy widziała swego przyszywanego złocistego brata. Oficjalna wersja głosiła, że wybuchło paliwo i utleniacz. Ale kapitan Blicero, z nihilistycznym – musiała przyznać Katje – drzeniem rozkoszy, powiedział, że eksplodował też ładunek amatu w głowicy, przez co byli równie zagrożeni, jak ludzie na stanowisku wyrzutni... I że wszyscy są potępieni. Dom stoi na zachód od torów wyścigowych w Duindigt, w przeciwnym kierunku niż Londyn, ale żaden kierunek nie jest bezpieczny – nierzadko zdarza się, że oszalała rakietka skręca na oślep, wyjąc straszliwie po niebie, zawraca i spada, wiedziona własnym nieprzeniknionym i – krążą obawy – nieuleczalnym obłędem. Jeśli zostaje dość czasu, obsługa niszczy ją w powietrzu, szarpaną konwulsjami, za pomocą fal radiowych. Tymczasem między odpaleniami rakiet Brytyjczycy dokonują nalotów. W porze kolacji znad ciemnego morza nadlatują z jazgotem spitfire'y, reflektory w mieście

słaniają się, pogłos syren wisi wysoko na niebie, nad mokrymi żelaznymi ławkami w parkach, działka przeciwlotnicze krztuszą się i szukają celu, a bomby sypią się na drzewa, polder, wśród domy będące domniemanymi kwaterami wojska.

Rola Katje przydaje całej zabawie nowy podtekst, który zmienia nieco sens wszystkiego. Bo to właśnie ona powinna w nieokreślonej przyszłości wepchnąć wiedźmę do Pieca, przeznaczonego dla Gottfrieda. Zatem kapitan musi się liczyć z realną ewentualnością, że Katje jest agentką brytyjską albo członkinią holenderskiego podziemia. Mimo wysiłków Niemców do Dowództwa Sił Bombardujących RAF-u wciąż napływa z Holandii jednostajny strumień sygnałów wywiadowczych, informujących o rozlokowaniu wojsk, liniach zaopatrzenia, o tym, który z ciemnozielonych zagajników prawdopodobnie kryje stanowisko A-4 – dane zmieniają się z godziny na godzinę, bo rakiety i wspierające je wyposażenie są bardzo ruchliwe. Tyle że spitfire'y biorą na cel elektrownię, transport ciekłego tlenu, kwaterę dowódcy baterii... oto intrygująca kwestia. Czy któregoś dnia Katje uzna, że jej zobowiązania zostały unieważnione, i sprowadzi angielskie bombowce, nurkujące na ten dom, choć będzie to oznaczać śmierć? Kapitan Blicero nie wie. Do pewnego stopnia ta dręcząca niepewność jest dla niego źródłem rozkoszy. Jej akta personalne u ludzi Musserta są bez zarzutu, przypisuje się jej zdemaskowanie przynajmniej trzech kryptożydowskich rodzin, chodzi obowiązkowo na spotkania partyjne, zatrudniła się w ośrodku wypoczynkowym Luftwaffe pod Scheveningen, gdzie w opinii swych szefów jest wydajną, pilną i pogodną pracownicą. W przeciwieństwie do wielu innych, nie wykorzystuje fanatycznej wiary w partię do krycia swej niekompetencji. Jest może tylko jedno niepokojące „ale”: jej poświęcenie nie przejawia charakteru emocjonalnego. Wydaje się, że są konkretne powody, żeby była w partii. Kobieta mająca wykształcenie matematyczne i powody... „Pragnij metamorfozy – pisał Rilke. – O, zachwyć się płomieniem”. Do wawrzynu, do słowika, do wiatru... chcieć go, zająć się ogniem, skoczyć ku



rosnącemu płomieniowi, żeby wypełnił wszystkie zmysły i... nie dlatego kochać, że nie ma już możliwości działania... lecz być beznadziejnie pogrążonym w stanie miłości...

Ale nie Katje: ona nie poleci na oślepienie jak ćma. Blicero dochodzi do wniosku, że dziewczyna skrycie lęka się metamorfozy, i decyduje się tylko na błahe korekty tego, co ma najmniejsze znaczenie: biżuterii i garderoby, nie posuwając się dalej niż ostrożny transwestytyzm w poprawianiu stroju Gottfrieda i swego tradycyjnego masochistycznego uniformu, czyli ubioru francuskiej pokojówki, tak niepasującego do kroku długich, smukłych nóg, jasnych włosów, poszukujących ramion, przypominających skrzydła – ona tylko się tym bawi... bawi się zabawą.

Blicero jest bezradny. W obliczu konającej Rzeszy, wśród rozkazów popadających w papierową impotencję potrzebuje Katje, Gottfrieda, skórzanych pasów i biczów, jakże rzeczywistych w jego dłoniach, potrzebuje ust obojga, jej krzyków, czerwonych pręg na pośladkach chłopca, jego członka, dłoni i stóp – są to jedyne pewniki z całej zimy, na których można polegać – i nie potrafi podać powodu, ale w głębi serca wierzy, być może już tylko w to, w tę formę, jedną jedyną formę z baśni i legend, w to, że zaczarowany dom w lesie przetrwa, że nigdy nie spadną na niego żadne bomby, a jeśli już, to tylko wskutek zdrady, tylko jeżeli Katje naprawdę pracuje dla Anglików i ich tutaj sprowadzi – lecz wie, że to niepodobna, że za sprawą jakichś czarów, poza rezonansem wszelkich słów, brytyjski nalot jest jedyną zakazaną postacią pchnięcia w plecy, prosto w żelazne, ostateczne lato Pieca. Nadejdzie, nadejdzie jego przeznaczenie... w innej formie, ale nadejdzie... *Und nicht einmal sein Schritt klingt aus dem tonlosen Los...* Z całej poezji Rilkego najbardziej ukochał dziesiątą elegię, czuje już, jak gorzkie piwo Tęsknoty kłuje go w oczy i zatoki na wspomnienie byle ustępu... dopiero co zmarły młodzieniec bierze w objęcia swą Skargę, ostatnią więź, ale zaraz wyrzeka się na zawsze jej szczątkowo ludzkiego dotyku i wspina się w samotności, w śmiertelnej samotności, na góry

prastarego Cierpienia, nad głową niesamowicie obce gwiazdozbiory... „I jego krok nie oddzwoni ni razu z głuchego losu...”. To on, Blicero, wspina się na szczyt, robi to już prawie dwadzieścia lat, zaczął na długo, zanim wziął w objęcia płomień Rzeszy, w Afryce Południowo-Zachodniej... zawsze sam. Bez względu na to, jakie ciało znajdowało się na podporządku, by ugłaskać wiedźmę, ludożercę i czarownika – kwitnące narzędzia cierpienia – zawsze był sam, sam. Nawet nie zna wiedźmy, nie rozumie głodu, który stanowi jej wyróżnik, w chwilach słabości jest tylko zbity z tropu, że ona żyje w takiej samej cielesnej powłoce jak on. Sportowiec i jego sprawność, dwie oddzielne świadomości... Przynajmniej młody Rauhandel tak twierdził... ileż to lat pokoju wstecz... Blicero obserwował młodego kolegę (już wtedy tak wyraźnie, tak żałośnie skazanego na front wschodni) w barze, na ulicy, w byle jakim ciasnym, niewygodnym garniturze, w byle jakich cienkich półbutach, jak reaguje z wdziękiem na piłkę rzucaną znikąd przez dowcipnisiów, którzy go rozpoznali – nieśmiertelne popisy! Zaskoczony but tak niewiarygodnie wysoko, tak idealnie paraboliczny, futbolówka żonglowana przez kilometry, by w końcu wylądować dokładnie między dwoma rozjaśnionymi elektrycznym światłem fallicznymi filarami w wejściu do kina „Ufa” na Friedrichstrasse... kontrolowanie głową utrzymywane przez całe przecznice miasta, przez bite godziny, nogi elokwentne jak poezja... Ale sam wzruszał tylko ramionami i chcąc być równym gościem, kiedy go pytano, dukał niepewnie: „To... to się dzieje... no, mięśnie to robią – po czym przypominał sobie słowa starego trenera – bo to sprawa mięśni – uśmiechał się pięknie i już przez to tylko był powołany, skazany na bycie mięsem armatnim, błada poświata baru na ściernisku jego ostrzyżonej głowy – to odruchy, rozumiecie... To nie ja... to same odruchy...”. Kiedy dokładnie w tych dniach zaczęło to u Blicero przechodzić z pożądania w zwykły smutek, tępy jak zdumienie Rauhandela z powodu własnego talentu? Widział już tylu Rauhandlów, zwłaszcza po trzydziestym dziewiątym, noszących w sobie takie same tajemnicze pasożyty, obcych lokatorów, często

nie bardziej dziwacznych niż dar bycia zawsze tam, gdzie nie latają pociski... czy którykolwiek z nich, z tych surowców, „pragnął metamorfozy”? Czy oni w ogóle wiedzą? Powątpiewa... Ich odruchy są po prostu wykorzystywane, setki tysięcy naraz, przez innych – przez królewskie ćmy, które natchnął Płomień. Blicero już lata temu stracił wszelkie złudzenia w tej sprawie. A zatem jego przeznaczeniem jest Piec: tymczasem zabłąkane dzieci, które nigdy nie miały pojęcia, które nie zmieniają niczego oprócz mundurów i dowodów tożsamości, przeżyją i będą się rozwijać jeszcze długo po wyparowaniu jego gazów i popiołów, po jego odejściu kominem. Tak, tak. Wandervogel na górach Cierpienia. To już trwa za długo, wybrał tę zabawę tylko ze względu na koniec, który jest mu w niej pisany, *nicht wahr?* Zestarzał się, grypa już nie mija w niespełna tydzień, żołądek daje popalić całymi dniami, po każdym kolejnym badaniu wzrok gorszy o następny rząd liter; jest zbyt wielkim „realistą”, żeby zdecydować się na bohaterską albo choćby żołnierską śmierć. Pragnie wyłącznie znaleźć się poza zasięgiem zimy, w ciepłe Pieca, w ciemności, w schronie ze stali, żegnany coraz węższym prostokątem kuchennego światła i trzaskiem zamykanej na zawsze klapy. Reszta jest tylko przygrywką.

A jednak obchodzą go, i to bardziej niż powinny, co zresztą jest przyczyną jego konsternacji – obchodzą go dzieci i motywy ich działania. Wysnuwa wniosek, że kieruje nimi pragnienie wolności, której szukają z takim samym wy tęsknieniem, z jakim on szuka Pieca, a ta perwersja nurtuje go i przybija... raz po raz powraca myślą do zagłady i bezrozumnego obrazu tego, co niedawno jeszcze było domkiem w lesie, do okruszków i smug po czekoladzie, i pozostał tylko niepokromiony czarny Piec, no i dwoje dzieci, przyływ słodkiej energii minął, znów odzywa się głód, i ich dwoje, niktą w zielonej ścianie drzew... Dokąd pójdą, gdzie przenocują? Ach, ten dziecięcy brak zapobiegliwości... i obywatelski paradoks ich Małego Państwa, którego fundamentem i zarazem zagładą jest ten Piec...

Każdy prawdziwy bóg musi być jednocześnie budowniczym i

niszczycielem. Wychowany w chrześcijańskim otoczeniu, z trudem to pojmował, póki nie wyjechał do Afryki, póki nie dokonał własnego kolonialnego podboju. Pośród wyniszczającego skwaru Kalahari, pod bezmiernym prześcieradłem nadmorskiego nieba – ognia i wody – zrozumiał. Chłopak od Hererów, wtrącony przez misjonarzy w udrękę chrześcijańskiego lęku przed grzechem, przed duchami-szakalami, potężnymi europejskimi nabrzeżnymi wilkami, które go ścigały, chcąc żywić się jego duszą, drogocennym robaczkiem, mieszkającym wzdłuż kręgosłupa, próbował zagnać do klatki swych starych bogów, złowić ich w sidła słów, oddać, okrutnych i sparaliżowanych, temu uczonemu białemu człowiekowi, który zdawał się tak zakochany w mowie. Który nosił w swym ekwipunku tomik „Elegii duinejskich”, ledwo wyjęty spod prasy, gdy wyruszał do Afryki, podarunek od mamy w porcie, woń świeżej farby drukarskiej odurzająca noce, kiedy stary frachtowiec przecinał jeden zwrotnik za drugim... aż wreszcie rozbłysły nieznane konstelacje, jak nowe gwiazdy Krainy Cierpienia, i ziemskie pory roku odwróciły swój porządek... i w końcu dobił do brzegu w drewnianej łodzi o wysokim dziobie, która przed dwudziestu laty przywiozła z redy wojsko w niebieskich spodniach, żeby stłumiło wielkie powstanie Hererów. Dobił, by znaleźć w głębi kraju, pośród łańcuchów urwistych gór między Namibem a Kalahari, swego własnego wiernego tubylca, swój nocny kwiat.

Niezdobyte bezludzie skał, wypalone przez słońce... kilometry kanionów skręcających donikąd, zawianych na dnie przez biały piasek, który wraz z upływem popołudnia barwi zimny, królewski błękit... „Zrobimy teraz Ndiambi Karunga, omuhona...” – dobiega szept zza płonącego ogniska z ciernistych krzewów, przy którym za pomocą swej niewielkiej książeczki Niemiec odpędza duchy obecne w ciemności. Podnosi głowę zatrwożony. Chłopiec chce się pieprzyć i wypowiada imię boga Hererów. Białego człowieka przechodzi zimny dreszcz grozy. Wierzy w bluźnierstwo podobnie jak Reńskie Towarzystwo Misyjne, które zepsuło tego Murzyna. Wierzy

zwłaszcza tutaj, na pustyni, gdzie gromadzą się niebezpieczeństwa, których nazw nie śmiałyby wymówić nawet w mieście, nawet za dnia, skrzydła podkurczone, pośladki na zimnym piasku, wyczekiwanie... Tego wieczoru czuje moc każdego słowa: słowa znajdują się jedynie o mgnienie oka od rzeczy, które opisują. Na myśl o wyruchaniu chłopca pogłos świętego Imienia przepełnia go szaleńczą żądzą w obliczu. – niewidzialnym obliczu – groźby błyskawicznego odwetu z rozłupanej ogniskiem ciemności... lecz dla Murzyna Ndzambi Karunga jest tym, co się dzieje w trakcie spółkowania, ot i tyle: Bóg to stwórca i burzyciel, słońce i mrok, wszelkie pary przeciwieństw, razem wzięte, nie wyłączając bieli i czerni, pierwiastka żeńskiego i męskiego... i staje się, w swej niewinności, dzieckiem Ndzambi Karungi (tak jak staje się nimi cały jego potępiony ród, nieustępliwie, poza swymi dziejami) tutaj, pod brzemieniem europejskiego potu, żeber, brzucha, fiuta (wydaje się, że mięśnie chłopca pozostają w stanie wściekłego napięcia przez całe godziny, jak gdyby pałał chęcią mordy, ale nie, ani słowa, tylko długie, drgawkowe, grube plastry nocy, które przepływają nad ich ciałami).

Co z niego zrobiłem? Kapitan Blicero wie, że Afrykanin jest teraz w samym środku Niemiec, głęboko w Górach Harcu, i że gdyby tej zimy Piec zamknął się za nim, to cóż, trudno, powiedzieli sobie po raz ostatni *Auf Wiedersehen*. Kapitan siedzi – mrowienie w żołądku, gruczoły zatkane dolegliwościami – pochylony nad pulpitemi sterowniczymi w wozie pomalowanym maskującą farbą. Sierzanci z obsługi poszli na papierosa – jest sam przy urządzeniach kontrolnych. Na dworze, widzianym przez brudny peryskop, sękata mgła wyzwała się z jaskrawej strefy szronu opasującej zacienioną, ustawioną na sztorc raketę, przy której opróżniana jest cysterna z ciekłym tlenem. Drzewa napierają ciasnym kręgiem – w górze widać ledwie skrawek nieba, którym A-4 może ulecieć. Bodenplatte – betonowa płyta na stalowym podłożu – usytuowana jest w przestrzeni ograniczonej trzema drzewami, naciętymi w taki sposób, że wytyczają dokładnie kurs, 260 stopni, na Londyn. Nacięcia ukazują prymitywne mandale, czerwone kręgi z

wpisanym grubym czarnym krzyżem, uznawane za starożytne koło słoneczne, z którego, wedle tradycji, pierwsi chrześcijanie wywiedli swastykę o złamanych ramionach, by w ten sposób zamaskować swój zdelegalizowany symbol. Przez sam środek krzyży wbito w drzewa dwa gwoździe. Obok jednego z pomalowanych nacięć, wysuniętego najbardziej w kierunku zachodnim, ktoś wydrapał w korze bagnetem słowa: IN HOC SIGNO VINCES. Nikt z baterii nie chce się do nich przyznać; być może to robota podziemia. Nie kazano ich jednak usunąć. Bładożółte szczyty drzew kiwają się wokół Bodenplatte, świeże strużyny i wióry mieszają się ze starymi, strąconymi liśćmi. Mocny dziecięcy zapach zmącony przez woń benzyny i alkoholu. Znosi się na deszcz, może nawet na śnieg. Krzątające się załogi migają na szarozielono. Połyskliwe czarne przewody z elastycznej gumy wiją się w las, gdzie łączą sprzęt naziemny z holenderską siecią wysokiego napięcia: 380 woltów. *Erwartung...*

Nie wiedzieć czemu teraz trudniej mu sobie wszystko przypomnieć. To, co tkwi zamazane jakby przez brud w obramowaniu pryzmatów – rytuał, codzienne powtórki w trójkątach po świeżo ściętych drzewach – przejęło cechy dawnej nieskrępowanej wędrówki pamięci, niewinnego kolekcjonowania widoków. Jego czas wolny, spędzany z Katje i Gottfriedem, kurczy się i staje coraz cenniejszy, w miarę jak tempo odpaleń się zwiększa. Gdy są na służbie, kapitan Blicero rzadko widuje chłopaka, choć ten należy do jego oddziału – złocisty błysk, pomagający mierniczym policzyć kilometry do stacji nadawczej, iskrząca się jasność włosów na wietrze, niknąca wśród drzew... Co za osobliwe przeciwieństwo Afrykanina – negatyw barw, żółć i błękit. W przemożnym przystępie sentymentalizmu lub aktem jakiejś prekognicji kapitan nadał swemu Afrykaninowi imię Enzian, od górskiej gencjany Rilkego w nordyckich kolorach, zniesionej ze stoków jak czyste słowo do dolin:

Przecież wędrowiec ze stoku góry znosi w dolinę  
nie garść ziemi, niewysłowionej dla wszystkich,



lecz tylko jedno zdobyte słowo, czyste, żółtą i błękitną gencjanę.

– *Omuhona...* Popatrz na mnie. Jestem czerwony i brązowy... czarny, *omuhona...*

– *Liebchen*, to jest druga połowa kuli ziemskiej. W Niemczech byłbyś niebieski i żółty. – Metafizyka zwierciadła. Zaczarowany przez własne wyobrażenia elegancji, książkowej symetrii... A jednak po co mówić tak nadaremnie do wypalonej góry, do skwaru dnia, dzikiego kwiatu, z którego się napił... po co marnotrawić te słowa na miraż, na żółte słońce i zamrożone niebieskie cienie w parowach, jeśli to nie są przepowiednie poza wszelkim syndromem prakłęski, poza grozą choćby najbardziej pobieżnego kontemplowania własnej nadchodzącej starości, jakkolwiek niemożliwa jest szansa „przewidzenia” – poza tymi nawiasami coś falowało, poruszało się, zawsze pod powierzchnią, zawsze przed jego słowami, coś, co dostrzegało nadejście okropnego czasu, okropnego przynajmniej tak jak ta zima i forma, którą przybrała Wojna i która sprawia, że nieuchronnie krystalizuje się kształt ostatniego fragmentu układanki: zabawy w Piec z młodzieńcem o żółtych włosach i niebieskich oczach oraz milczącym widmem Katje (kto był jej przeciwieństwem w Afryce? która nigdy niespotkana Murzynka, skryta na zawsze w oślepiającym słońcu, nocne kursowanie skrzypiących, zwęglonych pociągów, konstelacje ciemnych gwiazd, których nikt, żaden anty-Rilke nie nazwał...) – ale w roku 1944 było już grubo za późno, by coś z tego miało znaczenie. Owe symetrie stanowiły luksus przedwojennych czasów. Nic mu nie zostało, by mógł przewidzieć przyszłość.

A zwłaszcza by przewidzieć jej nagłe wycofanie się z zabawy. Jedyny wariant, na wypadek którego się nie zabezpieczył, być może dlatego, że nigdy nie spotkał tej Murzynki. Być może Murzynka jest geniuszem metarozwiązań – przewraca figury na szachownicy, strzela do arbitra. Co stanie się z Państwem Pieca, gdy już rana zostanie zadana, porządek zaburzony? Czy da się je naprawić? Może obmyślić nową formę, stosowniejszą... kusznik i jego syn, zestrzelone jabłko... tak, a sama Wojna

jako król tyran... wciąż można rzecz uratować, czyż nie? Połatać, pozamieniać się rolami, nie ma potrzeby uciekać na zewnątrz, gdzie...

Zamknięty w klatce Gottfried patrzy, jak ona ściąga więzy i wychodzi. Szczupły blondyn, włosy na jego nogach widoczne tylko w słońcu jako drobniutka, misterna siatka złota, powieki już pomarszczone w formie osobliwych młodych/starych podpisów, zakrętasów, oczy o nieczęsto spotykanym błękicie, który w pewne dni, zsynchronizowany z pogodą, stanowi nazbyt wielki żywioł dla migdałowych otoczek, toteż przesącza się, wylewa z brzegów i iluminuje całą twarz, dziewiczy błękit, błękit topielca, wsysany chciwie przez kredowe ściany śródziemnomorskich miasteczek, któreśmy w czasach pokoju objeżdżali cicho na rowerach popołudniową porą... Nie może jej zatrzymać. Jeśli kapitan zapyta, Gottfried powie, co widział. Bo już kilkakrotnie widział, że się wymykała, i krążą plotki, że należy do podziemia, że kocha się w pilocie sztukasa, z którym spotyka się w Scheveningen... Ale najwyraźniej kocha też kapitana Blicero. Gottfried wyznacza sobie rolę biernego obserwatora. Na swe obecne lata i powołanie do wojska czekał ze śmiałym lękiem, z jakim patrzy się na napór ostrego wirażu, który zamierza się pokonać w kontrolowanym poślizgu, „weź mnie”, nabierając szybkości aż do ostatniej chwili, „weź mnie”, oto jego jedyna modlitwa przed snem. Niebezpieczeństwo, którego w swym przekonaniu potrzebuje, wciąż jest fikcją: flirtuje i igra z ogniem, ale śmierć nie jest realnym wynikiem, bohater zawsze wychodzi zdrów i cały z samego środka katastrofy, umorusany sadzą i uśmiechnięty od ucha do ucha – wybuch jest tylko hałasem i nagłą zmianą, i skokiem za jakąś osłonę. Gottfried nie widział jeszcze trupa, przynajmniej nie z bliska. Choć raz po raz dostaje wieści z domu o poległych kolegach i od dawna widuje z dystansu długie bezwładne worki z płótna, podawane w zatrutą szarość ciężarówek, oraz snopy reflektorów tnące mgłę... a kiedy rakietą wariuje i próbuje spaść na dwunastu ludzi, którzy ją wystrzelili, ci wcierają się w ziemię, ciała ścieśnione w szczelinie okopu, przeżarta potem wełna, napięcie wskutek wstrzymywanego

śmiechu i myślą tylko, co za historia, fajnie byłoby opowiedzieć ją w kantynie, napisać do *Mutti*... Te rakiety są jego pupilami, zwierzętami, które nie do końca udomowiono, które bywają krnąbrne, skore do buntu. Kocha je w sposób, w jaki kochałby konie albo czołgi, gdyby służył w kawalerii albo w pancerniakach.

Tutaj czuje się wprzęgnięty, czuje się naprawdę swojsko. Na co mógłby liczyć, gdyby nie Wojna? Dzięki niej uczestniczy w tej przygodzie... „Jeśli nie potrafisz śpiewać partii Zygfyryda, możesz przynajmniej być halabardnikiem”. Na którym górskim stoku, z ust której zbrązowiałej i adorowanej twarzy to słyszał? Pamięta tylko białe spiętrzenie ku górze, wyściełane łąki zatłoczone chmurami... Teraz wyuczył się fachu, dogląda rakiet, a po Wojnie będzie się kształcił na inżyniera. Rozumie, że Blicero polegnie albo odejdzie i że on samodzielnie wyjdzie z klatki. Ale wiąże to z końcem Wojny, a nie z Piecem. Wie, podobnie jak wiedzą wszyscy, że uwięzione dzieci zawsze wydostają się na wolność w chwili największego zagrożenia. Ruchanie, słona szpryca znużonego, czasem niewydolnego kapitańskiego penisa, wpychająca się do jego potulnych ust, piekące chłosty, własna twarz, odbita w wypolerowanych butach Blicero podczas ich całowania, lakier pocętkowany, wyżarty przez plamy tłuszczu, oleju i alkoholu rozlanego w trakcie pompowania paliwa, pociemniała do postaci, której nie rozpoznaje – to są niezbędne elementy, one nadają konkretny rys jego niewoli, która w przeciwnym razie nie różniłaby się zbyt od wojskowego reżimu, wojskowego drylu. Wstydzi się, że tak bardzo je lubi – słowo „dziwka” wypowiedziane szczególnym tonem wywołuje u niego natychmiastową erekcję, nad którą nie potrafi zapanować – i lęka się, że jeśli nie jest osądzony i potępiony, to przynajmniej obłąkany. Cała bateria wie o tym związku: choć nadal słuchają rozkazów kapitana, ta świadomość wyziera z ich twarzy, z drżenia stalowych taśm mierniczych, z potąceń, wskutek których rozchlapuje jedzenie w kantynie, z przypadkowych szturchańców przy każdym ubieraniu się oddziału. W tych dniach śni mu się często blada

kobieta, która go pragnie i która milczy – ta absolutna ufność w jej oczach... straszliwa pewność, że ona, sława bez trudu rozpoznawana przez każdego, zna go doskonale i nie musi nawet otwierać ust, bo wystarczy przyzywanie widoczne w jej twarzy, ta pewność wyrywa go rozdygotanego ze snu, kilka cali od kapitana, głowa na jedwabiu z pomarszczonego srebra, niedomagające oczy jako jego własne i bokobrody, o które ociera się teraz policzkiem, szlochając, usiłując opowiedzieć, jaka ona jest, jak patrzyła na niego...

Kapitan widział ją, rzecz jasna. Któż by nie widział? Chce dodać chłopcu otuchy słowami:

– Ona istnieje naprawdę. Nie masz tu nic do powiedzenia. Musisz zrozumieć, że ona chce cię osiąść. Nie ma sensu budzić się z krzykiem i przeszkadzać mi w ten sposób.

– Ale jeżeli wróci...

– Nie opieraj się, Gottfriedzie. Poddaj się całkowicie. Przekonaj się, dokąd cię zaprowadzi. Przypomnij sobie, gdy pierwszy raz cię wyruchałem. Jaki byłeś spięty. Do chwili, gdy się zorientowałeś, że chcę się spuścić w środku. Wtedy twój różowy pączek rozkwitł. Nie miałeś już nic do stracenia, nawet niewinności swych ust...

Ale chłopak wciąż płacze. Katje nie przyjdzie mu z pomocą. Może śpi? Nigdy nie wie. Chce być jej przyjacielem, lecz rzadko ze sobą rozmawiają. Jest chłodna, tajemnicza, bywa o nią zazdrosny, a kiedy indziej – zwykle gdy ma ochotę ją przelecieć i wskutek przemyślności kapitana nie może – czuje, że kocha ją rozpaczliwą miłością. W odróżnieniu od Blicero nigdy nie postrzegał jej jako lojalnej siostry, która uwolni go z klatki. Marzy o tym uwolnieniu, ale jako o mrocznym zewnętrznym procesie, który dokona się bez względu na pragnienia ich obojga. Bez względu na to, czy ona odejdzie, czy zostanie. Zatem kiedy Katje na dobre wycofuje się z zabawy, on milczy.

Blicero ją przeklina. Ciska prawidłem w cennego Terborcha. Na zachód od Haagsche Bosch spadają bomby. Na dworze wieje wiatr, marszcząc

powierzchnie ogrodowych stawów. Samochody sztabowe odjeżdżają z warkotem długą aleją wysadzaną bukami. Pośród mglistych chmur jaśniej półksiężyc, jego ciemna połowa w kolorze zaszuszonego mięsa. Blicero nakazuje wszystkim zejść do schronu, do piwnicy pełnej brązowych garnców z dżinem i półotwartych skrzynek z cebulkami anemonów. Ta wywłoka naprowadziła celowniki Brytyjczyków na jego baterię i nalot może się rozpętać w każdej chwili! Wszyscy siedzą dokoła, piją odue genever i obierają sery. Opowiadają sobie historie, przeważnie zabawne, sprzed Wojny. Do świtu upiją się i posną. Drobiny wosku zaśmiecają podłogę jak liście. Nie nadlatują żadne spitfire'y. Ale jeszcze tego samego ranka Schufstelle 3 przemieszcza się i zarekwirowany dom pustoszeje. A ona znika. Przekracza linię frontu, w miejscu klina, gdzie wielka powietrznodesantowa przygoda ugrzęzła na całą zimę, w butach Gottfrieda i starej sukience z czarnej mory, sięgającej do łydek, o numer za dużej i wyświechtanej. Jej ostatnie przebranie. Odtąd będzie już tylko Katje. Jedyne dług do spłacenia ma wobec kapitana Prentice'a. Wszyscy inni – Piet, Wim, Dobosz, Hindus – opuścili ją. Zostawili jako bezużyteczną. Albo jest to jej ostrzeżenie, że...

– Przykro mi, ale nie, potrzebujemy kul – twarz Wima w cieniu, do którego jej oczy nie mogą się dostroić, zawzięty szept pod drewnianym mołem w Scheveningen, a nad głową tupot tłumu – potrzebujemy wszystkich kurewskich kul. I ciszy. Nie mielibyśmy nikogo do pozbycia się ciała. Już zmarnowałem na ciebie pięć minut... – i tak oto ich ostatnie spotkanie wypełnił sprawami technicznymi, które przestały ją interesować. Kiedy się rozglądała dokoła, skorzystał z okazji i zniknął, cicho jak partyzant, nie dawszy jej sposobności, by powołała się na to, co czuł w zeszłym roku przez chwilę, przenikając pod chłodny kordonek, w dniach, zanim przybyło mu muskułów oraz blizn na ramieniu i udzie – późno rozkwitł, bezpłciowy mężczyzna wypchnięty wreszcie poza swój pułap, niemniej kochała go wtedy... nie ma wątpliwości...

Dla nich nie jest już nic warta. Chcieli dobrać się do Schufstelle 3.

Owszem, przekazała im dużo informacji, ale wciąż wynajdywała powody, które uniemożliwiały umiejscowienie wyrzutni kapitana Blicero, i obecnie pojawiły się wątpliwości, czy powody te były prawdziwe. Fakt, bateria rzeczywiście często się przemieszczała. Ale przecież Katje była bardzo blisko decydentów: to ona, z pozbawioną wyrazu twarzą służącej, pochylała się nad niskimi stolikami, zawalonymi sznapsami, paczkami cygar i planami powalnymi kólkami po kawie – fiolet odciśnięty na żółtawych papierach jak siniaki na skórze. Wim i inni poświęcili temu zadaniu dużo czasu i niejedno ludzkie życie – trzy żydowskie rodziny wysłane na Wschód – chociaż chwila, moment, czy nie wynagrodziła tego z nawiązką w miesiącach spędzonych w Scheveningen? Osamotnione dzieci, nerwicowcy, piloci i członkowie załóg uwielbiali gadać, toteż przesyłała przez Morze Północne najtajniejsze informacje, którymi zapełniono Bóg raczy wiedzieć ile ryz papieru: numery eskadr, miejsca tankowania, techniki wychodzenia z korkociągu, promienie skrętu, kanały radiowe, sektory, terminarze lotów – było tak, czy nie było? Czego więcej chcą? Katje zadaje to pytanie ze śmiertelną powagą, jak gdyby istniał przelicznik informacji na ludzkie życie. No cóż, może to zabrzmie dziwnie, ale istnieje. Czarno na białym w „Podręczniku”, patrz: dokumenty Ministerstwa Wojny. Nie należy zapominać, że prawdziwym zajęciem Wojny jest sprzedaż i kupno. Mord i przemoc pilnują się same, toteż można je powierzyć amatorom. Masowy charakter śmierci jest użyteczny pod wieloma względami. Służy za spektakl, odwraca uwagę od rzeczywistych poczynań Wojny. Podsuwa surowy materiał, który zostaje obrobiony i upamiętniony w postaci Historii, by dzieci mogły uczyć się dziejów, postrzeganych jako pasmo przemocy, jako łańcuch bitew, i tym sposobem lepiej przygotowały się do wkroczenia w świat dorosłych. A najlepsze, że masowa śmierć jest bodźcem dla szarych ludzi, dla maluczkich, żeby zakosztowali kawałka tego tortu, póki jeszcze żyją i mogą go drapać. Prawdziwa Wojna jest celebracją rynków. Jak grzyby po deszczu wyrastają organiczne rynki, starannie wystylizowane przez profesjonalistów na „czarne”. Kwity, funty szterlingi,



marki niemieckie krążą i krążą w antyseptycznych marmurowych salach, poważne jak tancerze baletu klasycznego. Lecz tutaj, na zewnątrz, wśród zwykłych śmiertelników, rodzą się prawdziwsze waluty. Na przykład Żydzi. Mają wartość obiegową tak samo jak paczka papierosów, kurwa i baton czekoladowy. Żydzi niosą ze sobą także element winy, przyszłego szantażu, a to naturalnie funkcjonuje na korzyść profesjonalistów. No więc Katje krzyczy w ciszę, w Morze Północne swych nadziei i Pirat Prentice, który zna ją z pośpiesznych spotkań – na klaustrofobicznych miejskich placach o wyglądzie wymizerowanej twarzy, pod stromymi jak drabiny stopniami na klatkach schodowych, przesyconych słodką, drzewną wonią, na żagłowie przy osmarowanym nabrzeżu pod nadzorem bursztynowookiego kota, w starej kamienicy, na podwórzu deszcz, w zakurzonej pokoju przeguby nożycowe i pompa olejowa od przestarzałego opasłego *schwarzlose* rozłożonego na części – no więc Pirat, który za każdym razem widział ją w towarzystwie innych, lepiej znanych mu osób, usytuowaną na obrzeżach wykonywanych zadań, teraz, oglądając znowu tę samą twarz, lecz wyłuskaną z wszelkiego otoczenia, za nią bezmierne niebo w postaci pochodzących morskich chmur, wysokich i śliwkowych, dostrzega niebezpieczeństwo w jej osamotnieniu, uświadamia sobie, że nigdy nie usłyszał jej imienia, aż do tego spotkania przy wiatraku zwanym Aniołem.

Mówi mu – mniej więcej – dlaczego jest sama, dlaczego nie może wrócić, i jej twarz znajduje się już gdzieś indziej, namalowana na płótnie, wisi wraz z innymi ocalałymi obrazami w domu niedaleko Duindigt, będąc jedynie świadkiem zabawy w Piec – stulecia mijają niby spurpurowiałe obłoki, zaciemniając nieskończenie cienką warstwę werniksu oddzielającą ją od Pirata, uzbrajając ją w potrzebną tarczę spokoju, klasycznej niestosowności...

– To dokąd teraz pójdziesz?

Oboje z rękami w kieszeniach, obwiązani szczelnie szalikami, pozostawione przez wodę kamyki błyszczą czernią i czekają jak pismo ukazane we śnie, teraz wydrukowane na plaży, o krok od ułożenia się w sens,

każdy fragment zdumiewająco zrozumiąły, a jednak...

– No nie wiem. A dokąd byłoby dobrze?

– Do „Białego Nawiedzenia” – podsuwa Pirat.

– „Białe Nawiedzenie”, to mi odpowiada – mówi ona i robi krok prosto w otchłań.

– Osbie, czy ja zwariowałem? – śnieżna noc, już pięć raket od południa, Pirat rozdygotany w kuchni, późna pora i pozapalane świece, Osbie Feel, domowy mędrzec – idiota, tak pochłonięty tego wieczoru spotkaniem z gałką muszkatołową, że pytanie wydaje się ze wszech miar na miejscu, w ciemnym kącie blada cementowa Jungfrau, przycupnięta, flegmatyczna i najwyraźniej dotknięta czymś do żywego.

– Jasne, jasne – odpowiada Osbie z płynnym skrętem dłoni, wzorowanym na geście Beli Lugosiego wręczającego kieliszek z zatrutym winem pewnemu głupiemu młodzieńcowi w „Białym zombie”, pierwszym filmie, który kiedykolwiek widział, i w pewnym sensie ostatnim, wpisanym na jego Kinową Listę Wszechczasów obok „Syna Frankensteina”, „Dziwolągów”, „Lotu do Rio”, no i może „Dumbo”, którego Osbie poszedł zobaczyć zeszłego wieczoru na Oxford Street, ale w połowie projekcji zamiast czarodziejskiego pióra ujrzał śmiertelnie poważną i siną twarz ministra Ernesta Bevina, owiniętą pulchną trąbą słonika o długich rzęsach, i uznał, że rozsądnie będzie się pożegnać. – Nie, nie – dodaje, bo Pirat opacznie zrozumiał jego słowa. – Nie „jasne, że zwariowałeś, Prentice”, nie to miałem na myśli...

– A co? – pyta Pirat po upływie minuty.

– Że co?

Pirata dręczą spóźnione wątpliwości, ot co. Dręczy go świadomość, że Katje unika wszelkich rozmów o domu w lasu. Zajrzała do środka i na zewnątrz, lecz kryształowe powierzchnie prawdy spowodowały dyfrakcję jej słyszalnych słów – nierzadko do postaci płaczu – i on często nie może się połapać, o czym mowa, nie wspominając już o wniknięciu w sam promienny

kryształ. No bo właściwie dlaczego odeszła z Schufelstelle 3? Nie wiemy i nijak nie możemy się dowiedzieć. Bywa, że zawodnicy biorący udział w grze – nieważne, czy jest zastój, czy podbramkowa sytuacja – uświadamiają sobie na nowo, co naprawdę znaczy gra, i wówczas nie są już zdolni do kontynuowania meczu w tym samym duchu... Nie musi się to stać w sposób nagły ani spektakularny – może przebiegać łagodnie – niemniej bez względu na wynik rozgrywki, liczbę widzów, ich zbiorowe pragnienia, kary, które oni sami lub liga mogą nałożyć, zawodnik, oprzytomniawszy nieśpiesznie, powie – być może z zawziętym, młodzieńczym wzruszeniem ramion samotnej Katje – „pierdolę to” i – jej krokiem – opuści boisko, opuści je nieodwołalnie...

– No dobrze – rozmawia dalej sam ze sobą, bo nieobecny duchem Osbie, z lunatycznym uśmiechem narkomana na twarzy, przeciera szlak na dojrzałej kobiecej skórze śnieżnej góry w kącie sali, nad nim zamrożony alpejski szczyt, no i niebieska noc... – więc niech będzie, że to słabość charakteru, dziwactwo. Jak tachanie tego cholernego mendozy. – Wszyscy inni w Firmie noszą steny, wiadomo. Mendoza waży trzy razy więcej i nikt ostatnio nie widział siedmiomilimetrowych nabożów do meksykańskiego mauzera, nawet na szemranym targu przy Portobello Road: tej broni nie cechuje genialna mechaniczna prostota ani wyjątkowa szybkostrzelność, a jednak on ją kocha (tak, owszem, najprawdopodobniej to przerodziło się w miłość). – Bo widzisz, coś za coś, nie jest tak? – Sentymentalność szybkiego spustu jak w lewisie, możliwość zdjęcia lufy w ciągu sekundy (próbowaliście kiedy zdjąć lufę ze stena?), no i iglica o dwóch końcach na wypadek, gdyby któryś się złamał... – Dlaczego większy ciężar miałyby przesądzać sprawę? Ot, takie moje dziwactwo, owszem, po prostu dodatkowe kilogramy nie grają dla mnie roli, inaczej nie wyniósłbym stamtąd dziewczyny, prawda?

– Nie jesteś za mnie odpowiedzialny. – Posąg w fasonowanej sukni z aksamitu, kolor wina od karku do przegubów rąk i podbić stóp, ejże, panowie, jak długo ona filuje na was z cienia?

– Och – Pirat potulnieje – a jednak jestem, wiesz?

– Szczęśliwa para! – wrzeszczy znieńacka Osbie, racząc się kolejną szczyptą gałki muszkatołowej jak tabaką, białka wywróconych oczu podobne do miniaturowych gór. Kiedy tak kicha po całej kuchni, łapie się na tym, że to przecież niewiarygodne, bo ma ich dwoje jednocześnie w polu widzenia. Speszony Pirat czerwienieje, twarz Katje pozostaje niezmienną, na wpół skąpana w świetle z sąsiedniej sali, na wpół spowita w łupkowym mroku.

– Uważasz, że nie powinienem być cię zabierać? – A kiedy ona tylko zaciska usta, zniecierpliwiony Pirat dodaje: – Może ktoś po tej stronie był ci winien tę przysługę?

– Nie.

To ją dotknęło. Pirat zapytał dlatego, że zaczął mrocznie podejrzewać, iż żyje więcej takich ktosiów po tej stronie. Ale dla Katje dług jest po to, by go spłacić. To jej stara, nieuleczalna wada – pragnie przepływać morza, łączyć kraje, między którymi nie ma żadnego kursu wymiany. Jej przodkowie śpiewali po średnioniderlandzku:

ic heb u liever dan én everswin  
al waert van finen goude ghewracht,

miłość bez żadnej relacji do złota, złotego cielca, a w tym wypadku nawet do złotego dzika. Lecz w połowie XVII wieku skończyły się świnię ze złota, pozostały jedynie z krwi i kości, śmiertelne jak Frans Van der Groov, inny przodek Katje, który wyruszył na Mauritius z całym statkiem świń i zmarnotrawił trzynaście lat na taszczeniu swej hakownicy po hebanowych lasach, włącząc się po bagniskach i wylewach magmy, systematycznie wybijając rdzenne dodo z powodów niezrozumiałych nawet dla niego samego. Holenderskie świnię zajęły się jajami i młodszymi sztukami, Frans natomiast z odległości od dziesięciu do dwudziestu kroków brał starannie na muszkę ich rodziców, broń zaczepiona hakiem o forkiet, i powoli naciskał cyngiel, oko skupione na wyliniałym szkaradztwie, podczas gdy znacznie bliżej, po wolnotłącym loncie namoczonym w winie, unieruchomionym w zacisku kurka, biegł rozkwitły na czerwono kwiatek, jego ciepło na policzku

„niby me własne ciało świetlne”, jak napisał do starszego brata Hendrika w ojczyźnie, „władca mego Znaku...”, następnie odsłaniał przykryty drugą dłonią proch na panewce – nagłe buch przez otwór zapałowy, donośny huk, odbity zaraz echem od stromych skał, odrzut wciskający kolbę w ramię (z początku skóra w tym miejscu była otarta, pokryta bąblami, a potem, po pierwszej porze letniej, stwardniała). I wtedy to głupie, niezdarne ptaszysko, któremu nigdy nawet do łba nie przyszło, żeby odlecieć lub chociaż odbiec szybko – co z nich za pożytek? – niezdolne nawet zlokalizować swego zabójcy, bryzgało krwią, rozprute, konało, wołając ochryple...

W ojczyźnie brat czytał pobieżnie listy, niektóre sztywne, inne przemoczone morską wodą i wyblakłe, obejmujące lata całe, a doręczone naraz – niewiele z tego rozumiejąc, pragnąc jedynie spędzić dzień jak zwykle, w ogrodach i szklarni, pośród swych tulipanów (rozpowszechniony w owym czasie obłąd), zwłaszcza pośród przedstawicieli modnej odmiany, nazwanej na cześć jego obecnej metresy: krwistoczerwone płatki, tatuowane misternie fioletem... „Nowo przybyli zbroją się w muszkiety z zamkami skałkowymi... ale ja wierny pozostaję mej starej nieporadnej rusznicy... Czyż nie jestem godzien nieporadnej broni jako myśliwiec nieporadnego zwierza?”. Bliżej jednak Frans nie wyjaśnił, co trzyma go na miejscu pośród zimowych cyklonów, gdy tak upycha do lufy ołowiane kule i strzępy ubrania, spalony od słońca, zarośnięty i brudny – tkwił uparcie wśród drzew, chyba że padało albo z kolei był na wyżynach, gdzie kraterzy starych wulkanów zbierały deszczówkę niebieską jak niebo ofiarowane w górze.

Zostawiał ubite dodo, by zgniły, bo nie potrafił zmusić się do spożywania ich mięsa. Zwykle polował na pojedyncze sztuki. Z czasem, po upływie miesięcy, osamotnienie dało o sobie znać, zmieniło jego sposoby percepcji – w biały dzień postrzępione góry płonęły ogniem, kiedy tak wpatrywał się w dziwaczny szafran, lejące się indygo, niebo podobne do dachu szklarni, cała wyspa jego tulipomanią. Głosy – bezsenność, gwiazdy Południa nazbyt wielkie, by tworzyć konstelacje, obfitujące w twarze i stworzenia rodem z

baśni, jeszcze bardziej niesamowite niż dodo – wypowiadały słowa śpiących, pojedynczo, parami, chórem. Intonacja i tembry były holenderskie, ale na jawie nie składały się w żaden sens. Tyle tylko, że miał wrażenie, iż go przestrzegają... rugają wściekle, że nic z tego nie pojmuje. Pewnego razu cały dzień przesiedział wpatrzony w jedno jajo, zagnieżdżone w kołysce z trawy. W miejscu nazbyt odległym, by znalazła je którakolwiek polująca Świnia. Czekał na chrobot, na pierwszą rysę, inicjującą siatkę pęknięć na kredowej powierzchni: nagły przymus. Konopie w szczękach stalowego kurka gotowe do podpalenia – słońce przed zstąpieniem do morza czarnego prochu, by unicestwić dziecko, przemienić jajo światła w jajo ciemności w ciągu pierwszej chwili zaskakującej odsłony świata, pierwszej chwili owiania wilgoci chłodem południowo-wschodnich pasatów... Co godzina brał jajo od nowa na cel. To właśnie wtedy – jeżeli kiedykolwiek – zobaczył, że broń tworzy oś, potężną jak oś Ziemi, między nim a ofiarą, wciąż zespoloną z łańcuchem przodków wewnątrz jaja, które otworzy się zaledwie na przeciąg jednego błysku doczesnego światła. Oto trwali we dwoje, ciche jajo i szalony Holender, no i hakownica, która połączyła ich na zawsze, obramowanych i cudownie nieruchomych jak u Vermeera. Tylko słońce się poruszało: z zenitu zstąpiło za zębiska gór, do Oceanu Indyjskiego, do smolistej nocy. Jajo ani drgnęło, nadal zaskorupione. Powinien był roztrzaskać je strzałem na miejscu; wiedział, że ptak wykluje się przed świtem. Lecz zamknął się już cykl. Frans podniósł się na nogi – zastałe kolana i stawy rozrywane bólem, w głowie natrętne głosy ze snu rozbrzmiewające rozgwarem poleceń – i pokuśtykał w dal, z bronią na prawym ramieniu.

Kiedy samotność zaczęła wpędzać go w podobne stany, powracał często do osady i przyłączał się do polowania. W trakcie nocnych wypadów opanowywała wszystkich powszechna dzika histeria i wtedy strzelali do byle czego: wierzchołków drzew, obłoków, demonicznych skórzanych nietoperzy, pokrzykujących poza progiem słyszalności. Wiejące po stokach pasaty chłodziły ich spocone ciała, połowa nieba rozpalona karmazynem przez



wulkan, dudnienie pod ich stopami równie głucho, jak piskliwe głosy nietoperzy, wszyscy mężczyźni schwytani w spektrum między tymi skrajnościami, usidleni wśród częstotliwości własnych głosów i słów.

Ta wściekła zgraja, uosabiająca rasę wybrańców bożych, skazana była na porażkę. Kolonia – ich ukochane przedsięwzięcie – wymierała podobnie jak hebanowe drzewa, wywożone z wyspy, jak nieszczęsne gatunki zwierząt, które skazali na zagładę. W 1681 roku *Didus ineptus* zniknął ostatecznie, podobnie jak w 1710 roku ostatni osadnik na Mauritiusie. Cała przygoda ciągnęła się mniej więcej tyle, ile trwa ludzkie życie.

A jednak dla niektórych miała ona sens. Człapiące ptaki zdawały się im tak niewydarzone, że nasuwało się podejrzenie, iż w tej sprawie namieszał diabeł, tak szkaradne, że ucieleśniały drwinę z dzieła bożego. Czy Mauritius był pierwszymi kroplami trucizny przesączającej się przez ochronne wały Ziemi? Chrześcijanie musieli zatkać przeciek, w przeciwnym razie pochłonąłby ich drugi potop, zgotowany tym razem nie przez Boga, ale przez Nieprzyjaciela. Ubijanie ładunków w muszkietach stało się dla tych ludzi aktem wiary, którego symbolikę w pełni pojmowali. Ale skoro zostali wybrani, żeby przybyć na Mauritius, to dlaczego przegrali i musieli odejść? Czy to powołanie, czy tylko przemijalność? Czy są wybrańcami, czy odtrąconymi, których los przesądzony jest jak los dodo?

Frans nie miał bladego pojęcia, że oprócz kilku sztuk zamieszkujących wyspę Reunion były to jedyne ptaki dodo w całym wszechświecie i że uczestniczy w zagładzie gatunku. Niemniej zdarzało się, że skala i zajadłość polowań trapiła jego serce. „Gdybyż te zwierzęta nie były takim wynaturzeniem – napisał – można by je z pożytkiem hodować, by wykarmiły całe pokolenia. Nie znajduję w sobie tyle nienawiści, ile mają do nich inni tutaj. Ale cóż teraz może pohamować tę rzeź? Za późno... Dalibóg, gdybyż miały powabniejszy dziób, pełniejsze upierzenie, zdolność do lotu, choćby krótkiego... ot, szczególnie Planu. Albo gdybyśmy napotkali dziki lud na tej wyspie, podówczas obecność ptaka nie dziwiłaby nas więcej aniżeli bytność

dzikiego indyka w Ameryce Północnej. Cóż po tym, skoro ich szpetota jest królującą formą życia na Mauritiusie, niezdolną do przemówienia”.

Oto sedno sprawy. Niemota oznaczała przekreślenie wszelkiej szansy włączenia ptaków w to, co ich zaokrągleni i lnianowłosi tropiciele zwali Zbawieniem. Lecz Frans, z nadejściem porannego światła bardziej samotny od pozostałych, stał się ostatecznie świadkiem cudu: Daru Mowy... Nawrócenia Dodo. Szeregi tysięcy ptaków na morskim brzegu, w tle jarzący się profil rafy na wodzie, ryk fal jedynym dźwiękiem tego ranka, wulkany w spoczynku, wiatr wstrzymany, jesienne słońce, roztaczające po wszystkim głęboką, szklaną światłość... Przybyły z gniazd i kolonii, zza strumieni wylewających się z gardzieli lawowych tuneli, z maleńkich wysepek, przytopionych jak szczątki statku u północnych wybrzeży, od nagłych wodospadów i z wytrzebionych lasów deszczowych, gdzie rdzewieją ostrza siekier, gniją i przewracają się na wietrze prymitywne koryta, od wilgotnych poranków pod cieniem przysadzistych gór, przydreptały kaczym chodem w nieporadnej pielgrzymce na to zgromadzenie, by dostąpić uświęcenia i być zaliczonymi... „Jako że są stworzeniami od Boga i dar mają mowy rozumnej, świadczą, że tylko Jego Słowo zdrojem jest żywota wiecznego...”. W oczach dodo błyszczą łzy szczęścia. Wszyscy są teraz braćmi – ptaki i ludzie, którzy jeszcze do niedawna na nie polowali – braćmi w Chrystusie, w tym dzieciątku, przy którym dodo z całego serca chciałyby zasiąść, przycupnąć na grzędzie w stajence – pióra przyglądzone – żeby pilnować go i wpatrywać się całą noc w jego umiłowaną buzię...

Oto najczystsza forma europejskiego podboju. Po co to wszystko, śmierć na morzu, gangrena zimą, głód wiosną, tułaczka po oceanach śladem niewiernych, całonocne zapasy z Bestią, nasz pot przemieniony w lód, łzy w białawe śniegowe płatki, jeśli właśnie nie dla takich chwil jak ta: strumień małych neofitów niknie teraz z pola widzenia, odchodzą łagodne, pełne ufności – czyż jakakolwiek łapka mogłaby zadrzeć z lęku, jakikolwiek odstępczy krzyk rozbrzmieć na widok naszego ostrza, naszego koniecznego

ostrza? Uświęcone, będą teraz naszym jadem, uświęcone, ich szczątki i odchody użyżnią naszą ziemię rodzącą plony. „Zbawienie” – czy wypowiedzieliśmy do nich to słowo? Czy rozumieliśmy przez to zamieszkanie w Mieście po wsze czasy? Życie wieczne? Przywołany dawny raj, wyspę zwróconą im w nienaruszonym stanie? Prawdopodobnie. Cały czas mając na względzie braci mniejszych, zaliczonych do naszych darów pozyskanych od Boga. Zaiste, jeżeli one uchronią nas od śmierci głodowej na ziemi, to w zaświatach, w królestwie Jezusa Chrystusa, nasze i ich zbawienie będzie niechybnie, w równej mierze, sprawą przesądzoną. W przeciwnym razie dodo byłyby tylko tym, czym zdają się w złudnym świetle tego padołu – naszym łupem. A przecież Pan Bóg nie byłby tak okrutny.

Frans postrzega obie wersje – cud oraz polowanie trwające niezliczone lata – jako rzeczywiste, równorzędne ewentualności. W obu wypadkach dodo ostatecznie spotyka śmierć. Co się tyczy wiary... potrafi wierzyć tylko w jedną jedyną stalową rzeczywistość noszonej przez siebie broni. „Wiedział, że muskiet waży mniej, że jego kurek, kamień i stal dają pewniejszy zapłon – ale z sentymentem myślał o hakownicy... dodatkowe kilogramy nie grały dla niego roli, ot, takie jego dziwactwo...”.

Pirat i Osbie Feel stoją pochyłym nad attyką, wspaniały zachód słońca nad splotami wijącej się rzeki, nad cesarskim węzłem, skupiskami fabryk, mieszkań, parków, przydymionych wieżyczek i szczytów domów, rozżarzone niebo wciska się z góry przez całe mile głębokich talie i bezładu dachów, zygzakowata Tamiza odcina się ostrą żyłą spalonego oranżu, która przypomina przyjeźdnemu o jego śmiertelności w tym mieście, która pieczętuje lub opróżnia wszystkie drzwi i okna w zasięgu jego wzroku, szukającego przecież tylko odrobiny towarzystwa, paru słów na ulicy, zanim uda się do przesyconego ciężką mydlaną wonią wynajmowanego pokoju ze skwerem koralowego zachodu słońca na parkiecie – antyczne światło, zajęte samym sobą, opał zużywany w odmierzonym zimowym holocaustie, odległe sylwety, spowite wąsami lub zasłoną dymu, są idealnymi spopielonymi

ruinami samych siebie, bliższe okna, trafione na moment przez słońce, nie odbijają jasności, lecz zawierają to samo niszczycielskie światło, to intensywne gaśnięcie bez obietnicy powrotu, światło, od którego rdzewieją auta rządowe, przy krawężnikach, które pokrywa pokostem twarze ostatnich klientów spieszących ze sklepów, jak gdyby rozbrzmiała gromko finałowa syrena, które z niejednej ulicy czyni mroźny nieuczęszczany kanał i które wypełniają londyńskie szpaki, zlatujące się milionami na zamglone kamienne cokoły, wyludnione place i wielki zbiorowy sen. Przybywają jako kręgi, koncentryczne kręgi wyświetlone na ekranach radarów. Operatorzy nazywają je „aniołami”.

– Ciągłe o nim myślisz. – Osbie zaciąga się skrętem z muchomora.

– Fakt – Pirat chodzi od skraju dachu do skraju, rozdrażniony o zachodzie słońca – chociaż bronię się przed tym. Jakby jeszcze było mało.

– No, a co myślisz o niej?

– Że ktoś ją wykorzysta. – Doszedł do tego wniosku zaledwie wczoraj na dworcu Charing Cross, kiedy odjechała do „Białego Nawiedzenia”. – To niespodziewana dywidenda dla kogoś.

– Wiesz, co oni tam kombinują?

Wie tylko, że knują coś, w czym uczestniczy gigantyczna ośmiornica. Nikt w Londynie nie zna konkretów. Nawet w samym „Białym Nawiedzeniu” zapanował ferment, bagienna niejasność co do motywów. Zauważono, że Myron Grunton rzuca mało przyjazne spojrzenia Rogerowi Mexico. Żwawa wrócił do swej jednostki w Afryce Północnej, pod komendę Krzyża Lotaryńskiego; całą kryjącą się w jego ciemnej karnacji złowieszczość, wydobyta z niego przymilnym słowem i groźbą, utrwalił na taśmie filmowej nikt inny, jak sam Gerhardt von Göll, dawniej zażyły przyjaciel, a teraz kolega po fachu Langa, Pabsta i Lubitscha, uwikłany ostatnio w sprawy niejednego rządu na uchodźstwie, wahania kursów walut, rozwijanie i zwijanie zdumiewająco rozległych operacji rynkowych, które jak sygnalizatory zapalają się i gasną na podziurawionym lejami kontynencie

nawet wtedy, gdy wozy strażackie świszczą stałą po ulicach, pożary wymiatają tlen pod samo niebo, klienci padają zaczadzeni niczym robaki po ataku pestycydów... handel nie odbił się niekorzystnie na stylu von Gölla: obecnie jego reżyseria wysubtelniała bardziej niż kiedykolwiek. W pierwszych scenach Żwawa chodzi dokoła w mundurze SS, pośród makiet rakiety i Meillerwagen wykonanych z listew i brezentu (kręcone cały czas przez drzewa i śnieg, z odległych ujęć, żeby nie zdradzić rzeczywistej lokalizacji), inni z wiarygodnie poczernionymi twarzami, wynajęci na jeden dzień, cały personel przeżywając miłą przygodę, Pointsman, Mexico, Edwin Treacle i Rollo Groast, etatowy neurochirurg Zakładu Badań nad Odreagowaniem Aaron Throwster, wszyscy jako Murzyni z fikcyjnego Schwarzkommando – nawet Myron Grunton ma niemą rolę, niewyraźnie widoczny statysta, jak reszta z nich. Film trwa trzy minuty, dwadzieścia pięć sekund i składa się z dwunastu ujęć. Będzie postarzony – odrobina retuszu, ferrotypii – i przewieziony do Holandii, żeby go wzięto za „pozostałość” po fałszywej wyrzutni raketowej w Rijkswijksche Bosch. Holenderski ruch oporu zorganizuje „akcję” na to stanowisko, wszczynając wiele zamieszania, podrabiając ślady opon samochodowych i podrzucając dowody świadczące o pośpiesznym odjeździe obsługi. Zostanie wojskowa ciężarówka, wypalona od środka przez koktajle Mołotowa, a wśród popiołów, zwęglonych ubrań, poczerniałych i nadtopionych butelek dzinu zachowają się fragmenty starannie sfabrykowanych dokumentów Schwarzkommando oraz rolka filmu, z której będzie można obejrzeć zaledwie trzy minuty i dwadzieścia pięć sekund. Śmiertelnie poważny von Göll obwieszcza, że to jego największe dzieło.

„Sprawy tak się mają – napisał znany krytyk filmowy Mitchell Prettyplace – że trudno kwestionować opinię von Gölla, choć z całkiem odmiennych powodów od tych, które mógłby podać lub mieć na myśli w tej korzystnej dla niego sytuacji”.

Z braku funduszy jest tylko jeden projektor filmowy w „Białym

Nawiedzeniu”. Codziennie około południa, po obejrzeniu przez członków Operacji „Czarne Skrzydło” fałszywej afrykańskiej baterii rakietowej, Webley Silvernail zanoszą projektor chłodnym, wytartym do surowego drewna korytarzem do skrzydła ZBO, do sali położonej w głębi, gdzie ośmiornica Grigorij moczy się posępnie w zbiorniku. W pozostałych pomieszczeniach psy skowyczą, poszczekują piskliwie z bólu i skamlą o bodziec, który nie nadchodzi i nigdy już nie nadejdzie, a płatki śniegu wirują – niewidzialne igły, tatuujące nieunerwione szyby za zielonymi okiennicami. Rolka jest nawinięta, światła pogaszone, uwaga Grigorija skupia się na ekranie, na którym widać już idącą postać. Kamera śledzi każdy jej ruch, gdy tak snuje się długonoga bez celu po pokojach, młodzieńczo wąskie biodra i ściągnięte ramiona, włosy na pierwszy rzut oka mało holenderskie, upięte modnie do góry pod starym wianuszkiem ze zmatowiałego srebra...





Była wczesna godzina. Wytoczył się samotny na moką, wybrukowaną ulicę. Na południu balony zaporowe – narciarze wodni na porannych grzywaczach – jarzyły się różowo i perłowo w promieniach słońca.

Znowu spuścili Slothrop'a z paska, wrócił na miasto, cholera jasna, miał ostatnią szansę na zwolnienie z woja i wszystko sknocił...

Dlaczego nie przytrzymali go na tym oddziale dla świrów tak długo, jak obiecali – przecież miało to trwać kilka tygodni! Żadnych wyjaśnień, tylko „no to czołem” i świstek odsyłający go z powrotem do ACHTUNG-u. W ostatnich dniach jego światem był Szczeniak z Kenoshy i ten Crouchfield na Dzikim Zachodzie z przydupasem Whappo... wciąż należało rozwiązać pewne problemy, dokończyć przygody, zastosować środki przymusu, zawrzeć skomplikowane układy, by skłonić wreszcie świnię staruszki do przejścia przełazem w płocie. Ale oto po chamsku znowu wrócił Londyn...

Ale coś jest inaczej... coś się... zmieniło... nie chce utyskiwać, ludzie, ale... – mógłby przysiąc, że go śledzą, a przynajmniej obserwują. Niektóre śledzące go ogony poczynają sobie sprytnie, ale inne może od razu pokazać palcem. Wczoraj, dajmy na to, robi sprawunki bożonarodzeniowe u Woolwortha i nagle w stoisku z zabawkami nadziewa się na parę paciorkowatych oczu, filujących zza stosu myśliwców z drzewa balsy i małych karabinów, ustawionych na kozłach. Poczucie stałego towarzystwa w widoczkach ukazywanych przez tylne lustro jego humbera – fakt, nie mógłby podać żadnego konkretnego koloru ani modelu auta, ale coś zawsze jest w tych ramkach – sprawiło, że zaczął przypatrywać się samochodom podczas porannych wyjść do pracy. Jakby tego było mało, wydaje mu się, że rzeczy na jego biurku w ACHTUNG-u zmieniły miejsce. Dziewczyny wykręcają się od randek pod byle pretekstem. Odnosi wrażenie, że ktoś delikatnie wyłuskuje go z życia, które prowadził przed pobytem w szpitalu Świętej Weroniki. Nawet w kinie z tyłu zawsze siedzi ktoś, kto stara się nie

rozmawiać, nie szeleścić torebkami, nie śmiać się zbyt głośno: Slothrop dostatecznie często chodzi na filmy, żeby od razu zarejestrować tak nienaturalne zachowanie.

W klitce przy Grosvenor Square czuje się coraz bardziej jak w matni. Wolny czas, nierzadko całe dni, spędza na włóczeniu się po East Endzie, wdychaniu zjełczałego powietrza nad Tamizą, wyszukiwaniu miejsc, w których ogony być może nie będą się za nim ciągnąć.

Pewnego dnia, kiedy akurat wchodzi w wąską uliczkę – same stare mury i rząd straganów – słyszy, że ktoś woła go po imieniu i, kurdelebele, ho, ho, to ona, włosy blond zebrane w dwa ruchliwe kucyki, białe koturny stukają po kocich łbach, przepyszna cizia w uniformie pielęgniarzki, na imię ma, hm, no, jak rany – a, Darlene! Jasne, że Darlene. Pracuje w szpitalu Świętej Weroniki, mieszka dwa kroki stąd u niejakiej pani Quoad, wdowy, która od śmierci męża przed wielu laty cierpi na cały katalog staroświeckich dolegliwości: niedokrwistość, liszaje, odmrożenia, plamicę, ropnie, do tego zapalenie węzłów chłonnych, a ostatnio zaczątki gnilca. Na zakupach, po limy dla naszej gospodyni, owoce podskakują w słomianym koszyku i wypadają, toczą się zielonożółte ulicą, młodziutka Darlene goni je w pielęgniarzkim czepku, piersi miękkimi zderzakami podczas tego spotkania na szarym oceanie miasta.

– Wróciłeś! Och, Tyrone, a więc wróciłeś!

Łezka lub nawet dwie, oboje zbierają cytrusy, wykrochmalony uniform khaki szeleści, oho, patrzcie, Slothrop pociąga sentymentalnie nosem.

– Tak, to ja, miła...

Ślady opon w śniegowej brei nabrały soczyście perłowej barwy. Mewy krążą nieśpiesznie na tle wysokich ślepych murów w tej dzielnicy.

Do pani Quoad prowadzą trzy kondygnacje ciemnych schodów; siedzi malutka w salonie – w dymie niektórych popołudni widać obramowaną kuchennym oknem kopułę odległej katedry Świętego Pawła – w fotelu z różowego pluszu, obok radia, zasluchana w zespół akordeonowy Primo

Scala. Wygląda całkiem zdrowo. Lecz na stoliku leży pognieciona szyfonowa chusteczka: pierzaste kleksy krwi tłoczą się jak kwietny wzór.

– Ach, pan tu był, kiedy jak co dzień miałam nawrót zimnicy – przypomina sobie gospodyni – wtedy, co to zaparzyłyśmy herbatkę z piołunu.

No jasne, ten smak powraca, dobija się do niego przez podeszwy butów, przesycając go całkowicie. Slothrop próbuje poskładać to do kupy... wyleciało mu z pamięci... chłodny czysty pokój... dziewczyna i kobieta, niezależne od jego gwiazdnej stenografii... tak dużo tych zacierających się dziewczęcych twarzy, wiatr nad kanałami, kawalerki, pożegnania na przystankach autobusowych, jak ma to wszystko spamiętać? Ale obraz tego pokoju uporczywie się klaruje: powraca zachowana miłosiernie częśćka człowieka, którym był, gdy tu zawitał, przechowywana w ciszy miesiącami poza jego głową, przywołana teraz za pośrednictwem cieni, za tłuszczonych słoików, pełnych ziół, cukierków, przypraw, na półce wszystkie powieści Comptona Mackenziego, ambrotypy zmarłego męża, Austina, w połączonych ramkach, pokryte całonocnym kurzem na gzymsie kominka, gdzie ostatnim razem gości witały michałki stłoczone w sewrskim wazonie, który ona i Austin upolowali pewnej soboty dawno temu w sklepie przy Wardour Street...

– On był całym moim zdrowiem – mawia często gospodyni. – Kiedy odszedł, w odruchu zwykłej samoobrony musiałam się stać wiedźmą robiącą napary.

Z kuchni dobiega zapach świeżych lim, krojonych i wyciskanych. Darlene wchodzi i wychodzi, szuka różnego ziela, pyta, gdzie jest gaza – Tyrone, pomóż mi zdjąć ten, nie, nie ten, ten obok, ten wysoki słoik, dziękuję ci, złotko – z powrotem do kuchni, szelest ubrania i mignięcie różu.

– Zdaje się, że jestem jedyną osobą, której nie szwankuje pamięć – wzdycha pani Quoad. – Pomagamy sobie nawzajem, rozumie pan. – Zza kretonowej zasłonki wydobywa wielką czarę ze słodyczami. – No, doskonale – promienne spojrzenie na Slothropa – proszę, galaretki winne. Jeszcze

sprzed wojny.

– A, teraz sobie panią przypominam, to pani ma wejścia w Ministerstwie Zaopatrzenia! – Wie, po tamtej wizycie nie ma wątpliwości, że nie uratuje go żadna kurtuazja. Napisał wtedy do matki w Ameryce: „Anglicy mają bardzo dziwne podniebienia, mamó. Są inni niż my. Może to skutek klimatu. Zajadają się rzeczami, do których bałabyś się zbliżyć. Czasami aż się *zołądek przewraca, rany gościa*. Któregoś dnia spróbowałem jednego z tych paskudztw, nazywanych «galaretkami winnymi». Ich zdaniem, to są słodyczne, mamó! Gdyby jakimś sposobem nakarmić nimi Hitlera, to daję sobie głowę uciąć, że nazajutrz wojna by się skończyła”. Teraz znów łapie się na tym, że obmacuje rumiane żelatynowe pyszności, kiwając głową – przyjaźnie, ma nadzieję – do pani Quoad. Na galaretkach wytłoczone są nazwy różnych win.

– O smaku mentolowym. – Staruszka wkłada sobie jedną do ust. – Pyszna.

Slothrop decyduje się wreszcie na Lafitte Rothschild i wpycha ją odważnie do dzioba.

– No, fakt. Mmm. Wspaniałe.

– Jeśli chciałby pan spróbować czegoś naprawdę wyjątkowego, proszę wziąć Bemkastler Doktor. Och! Zaraz, czy to nie pan przyniósł mi te rozkoszne amerykańskie cukierki z kory wiązu, co smakowały jak klon z odrobinką sasafrasu...

– Pastylki na gardło, owszem. Kurczę, przepraszam, akurat wczoraj mi się skończyły.

Wchodzi Darlene z parującym imbrykiem i trzema filiżankami na tacy.

– Co to? – pyta czujny Slothrop.

– Lepiej, żebyś nie wiedział, Tyrone.

– Fakt – stęka po pierwszym siorbnięciu, żałując, że nie wycisnęła więcej limy albo czegokolwiek innego, żeby zabić ten podstawowy, piorunująco gorzki smak. Ci ludzie kompletnie powariowali. Oczywiście ani kryształka cukru w promieniu kilometra. Sięga ręką do czary ze słodyczami i wyławia

czarnego pofałdowanego dropa lukrecjowego, który wygląda najmniej podejrzanie. Ale gdy Tyrone go przegryza, Darlene rzuca mu – i dropsowi też – wymowne spojrzenie (rychło w czas, dziewczyno) mówiące: „Och, myślałam, że tych już nie mamy od dawna” – najszczerza mina niewiniątka z oper Gilberta i Sullivana, no i właśnie w tej chwili język Slothrop natyka się na cieknące płynne nadzienie, które smakuje jak skórka pomarańczowa w majonezie.

– Ojej, wziął pan moją ostatnią Marmoladową Siurpryzę! – wykrzykuje pani Quoad, ruchem magika wyciągając z czary jajowaty cukierek w kolorze soczystej trawy, upstrzony lawendowymi krosteczkami. – Za karę nie poczęstuję pana ani jedną Rabarbarową Ambrozją. – Hop, do ust, niknie cały naraz.

– Przeżyję. – Slothrop zastanawia się, co chciał przez to powiedzieć. Siorbie herbatkę ziołową, żeby wypłukać smak majonezu – oho, to gruby błąd, bo jego usta znowu wypełnia ten straszny płynny alkaloid, niepohamowanie, aż po podniebienie miękkie, i właśnie tam smak się okopuje. Darlene, z miną współczującej Florence Nightingale, podaje mu twardy czerwony cukierek, uformowany na podobieństwo maliny... który, o dziwo, smakuje nawet jak malina, choć nie może pokonać wszechobecnej goryczy. Zniecierpliwiony Slothrop przegryza go i w tej samej chwili już wie, kurewski kretyn, że znowu dał się nabrać, bo na język wylewa się najohydniejsze krystaliczne stężenie... Jezu to chyba nic innego jak czysty kwas azotowy. – Uff, litości, no ten jest *porządnie* kwaśny! – Ledwo wykrztusza te słowa, tak go skręca w środku, dokładnie taki sam numer wyciął Hop Harrigan, żeby Tank Tinker przestał grać na okarynie, numer ograny już wtedy, a teraz po dwakroć godny potępienia, bo wykroiła go starsza pani, która powinna się zaliczać do naszych sojuszników, kurwa mać, nic nie widzi, buchnęło do nosa, cholerstwo za nic nie chce się rozpuścić, pastwi się tylko z premedytacją nad jego więdnącym językiem i chrzęści w zębach trzonowych jak mielone szkło.

Pani Quoad jest tymczasem pochłonięta smakowaniem – wykwintne chrup-  
chrup – herbatnika o smaku wiśniowo-chininowym. Patrzy promiennym  
wzrokiem na parę młodych ludzi oddzielonych od niej czarą ze słodyczami.  
Zapominalski Slothrop znowu sięga po filizankę. Teraz już nie ma sposobu,  
żeby wyplątał się z tego wszystkiego z twarzą. Darlene zdejmuje z półki  
kolejne dwa, trzy słoje cukierków i on znowu nurkuje do nieznanej wody,  
podróż słabnącego języka do środka małej, wrogiej planety, w głąb  
olbrzymiej pomadki, przez czekoladową powłokę do wnętrza o silnie  
eukaliptusowym smaku i wreszcie do samego jądra z bardzo twardej  
winogronowej gumy arabskiej. Wydłubuje palcem kawałek świństwa  
spomiędzy zębów i przygląda mu się przez chwilę. Fioletowego koloru.

– No, wreszcie pan się połapał, o co chodzi! – Pani Quoad macha do niego  
marmurkowym zlepkiem imbiru, toffi i anyżku. – Należy docenić także  
wygląd cukierków, rozumie pan?! Dlaczego Amerykanie są tacy popędliwi?

– No cóż – bełkocze Tyrone – na ogół nie jadamy nic bardziej wymyślnego  
od batonów czekoladowych...

– To spróbuj tego! – wrzeszczy Darlene, ściskając się za gardło i osuwając  
na niego.

– Rany gościa, to musi być coś ekstra. – Slothrop z wahaniem bierze do  
ręki wstrętne brązowawe cacko, dokładną replikę w skali jeden do czterech  
granatu ręcznego typu Mills – „łyżka”, zawlecзка, wszystko jak trzeba – z  
serii patriotycznych cukierków, wyprodukowanych przed pojawieniem się  
niedoborów cukru, na którą składa się też, zauważa, zaglądając do słoja,  
nabój webley kalibru .445 z masy irysowej w zielone i różowe paski,  
sześciotonowa bomba z pokropionej srebrem niebieskiej żelatyny i  
lukrecjowa bazooka.

– No to proszę bardzo. – Darlene bez zastanowienia bierze jego dłoń  
trzymającą cukierek i próbuje wepchnąć mu go do ust.

– Wiesz, ja tylko sobie patrzyłem, doceniałem wygląd, jak sugerowała pani  
Quoad.



– Bo się rozpuści.

Pod polewą ze strąków tamaryndowca kryje się soczysty orzeszek o smaku pepsyny, pestka wypełniona palącymi kandyzowanymi kubebami, a w nim ciągliwy kamforowy środek. Niewyobrażalne świństwo. Od oparów kamfory Slothrop ma zawroty głowy, oczy mu łzawią, zmasakrowany język zwisa bezwładnie. Kubeba. On to kiedyś *palil*.

– Trucizna... – stęka.

– Och, niechże pan okaże trochę charakteru – radzi pani Quoad.

– Właśnie – gulgocze Darlene spod zmiękczonej śliną pokładów karmelu – nie wiesz, że jest wojna? Proszę, złotko, otwórz buzię.

Nie widzi za wiele przez łyzy, ale z drugiej strony stołu jego uszu dobiega usatysfakcjonowane mlaskanie pani Quoad i chichot dziewczyny. To coś jest duże i miękkie, jak pianka owocowa, ale dziwnym trafem – chyba że coś naprawdę niedobrego dzieje się z jego głową – smakuje jak dżin.

– So o es? – pyta bełkotliwie.

– Pianka owocowa o smaku dżinu – odpowiada pani Quoad.

– Aaaach.

– E tam, to żadne aj-waj, niech pan spróbuje tego.

W jakimś odruchu zboczenia jego zęby wgryzają się z chrzęstem w twardą kwaśną otoczkę agrestową prosto do tryskającej ohydy – uuuch, to chyba tapioka – do małych, mokrych, kleistych ziarenek czegoś nasyczonego startymi goździkami.

– Jeszcze herbatki? – proponuje Darlene.

Slothrop kaszle gwałtownie, wciągnąwszy nosem trochę goździkowego nadzienia.

– Oj, brzydki kaszel! – Pani Quoad podsuwa mu pod nos puszkę z najbardziej niewiarygodnymi angielskimi pastylkami na gardło o nazwie Meggezzone. – Darlene, herbatka jest wspaniała, czuję, że gnilec ustępuje, naprawdę czuję.

Meggezzone przypomina cios w łeb najwyższą górą szwajcarskich Alp.

Slothropowi natychmiast wyrastają z podniebienia mentolowe sople. Głębiej niedźwiedzie polarne próbują uchwycić się pazurami zamrażających i oszronionych pęcherzyków płucnych. Zęby boją go tak, że nie może oddychać, nawet nosem, nawet z poluźnionym krawatem i kinolem wciśniętym pod zgniłozielony podkoszulek. Benzoesowe opary przenikają do mózgu. Głowa szybuje w lodowej aureoli.

Meggezone nie daje o sobie zapomnieć nawet po upływie godziny – miętowe widmo, unoszące się w powietrzu. Slothrop leży z Darlene, przytulony brzuchem do jej ciepłej pupy, Obrzydliwy Dryl Angielskiego Cukierka zakończony. Cukierkiem, którego nie dane mu było spróbować – pani Quoad zatrzymała go dla siebie – był Rajski Ogień, słynny rarytas w wysokiej cenie i o nieokreślonym smaku, dla jednych „solona śliwka”, dla innych „sztuczna wisienka”, „cukrzony fiołek”, „sos Worcestershire”, „pikantna melasa”, pasują wszystkie określenia tego rodzaju, stanowcze i lapidarne, złożone co najwyżej z dwóch słów, przypominające opisy trucizn i gazów bojowych z podręczników szkolenia wojskowego, i prawdopodobnie najdłuższym jak dotąd mianem jest: „słodko-kwaśna oberżyna”. Jako środek walki Rajski Ogień praktycznie wygasł, w 1945 roku trudno go zdobyć: nie ma o tym co marzyć pośród skąpanych w słońcu sklepów i wypucowanych witryn Bond Street i wyludnionej Belgravii. Niemniej co jakiś czas pojedyncza sztuka wypływa na światło dzienne w miejscach, w których zwykle sprzedaje się inne towary niż słodyczne: spoczywa bez ruchu w wielkim szklanym słoju, zamglonym przez upływ dni, w towarzystwie przedmiotów podobnych do siebie – choć bywa i tak, że jest tylko jeden cukierek na cały słoje, niemal ukryty wśród wszędobylskich turmalinów, obsadzonych w niemieckim złocie, dziewiętnastowiecznych ochron na palec z rzeźbionego hebanu, sworzni, wentyli, gwintowanych metalowych elementów z różnych zapoznanych instrumentów muzycznych, elektronicznych komponentów z żywicy i miedzi, których Wojna, w swym nieustającym żarłocznym trawieniu, jeszcze nie znalazła i nie wchłonęła w

swą ciemność... W miejscach, do których auta nigdy nie zbliżają się na tyle, by narobić hałasu, a ulice na zewnątrz wysadzone są drzewami. Pokoje w głębi i starsze twarze, wywoływane przez jasność wpadającą świetlikiem, pożółkłe, w ostatnich dniach roku...

Poluje po obu stronach zera między jawą a snem, ze zwiotczającym fiutem wciąż tkwiącym w dziewczynie, ich bezsilne nogi ugięte pod takim samym kątem... Sypialnia osuwa się w wodę i chłód. Gdzieś zachodzi słońce. Zostało tylko dość światła, by dostrzegł ciemniejsze pieprzyki na jej plecach. W salonie pani Quoad śni, że jest z powrotem w ogrodach w Bournemouth, pośród rododendronów, w trakcie nagłej ulewy, a Austin krzyczy: „Dotknij jej gardła, Wasza Królewska Mość. Dotknij gardła!” – i Yrjö – niby pretendent, ale w istocie prawdziwy król, bo uzurpatorzy z bocznej gałęzi rodu zasiedli na tronie w 1878 roku podczas intryg o Besarabię – Yrjö w staromodnym fraku ze złotym galonami, połyskującymi na rękawach, nachyla się ku niej w deszczu, by raz na zawsze wyleczyć ją z choroby królów, wyglądając dokładnie tak, jak wygląda na rotograviurach, jego śliczna Hrisoula o dyskretny krok lub dwa z tyłu, czekając z powagą, wokół szum deszczu, wyjęta z rękawiczki królewska dłoń zgina się jak motyl, by dotknąć wgłębienia w szyi pani Quoad, cudotwórczy dotyk, delikatny... dotyk...

Błyskawica.

A Slothrop ziewa.

– Która godzina? – pyta i Darlene wypływa z głębin snu.

Wtedy, bez żadnego ostrzeżenia, w pokoju robi się jasno jak w dzień, oślepiająco jasno, wszystkie jej włosy rozwiane, każdy wyraźny niby pod lupą, fala uderzeniowa napiera, grzechocząc budynkiem aż po nędzne fundamenty, bębniąc żaluzjami, przemienionymi w biało-czarne pasy żałoby. W górze, nadrabiając opóźnienie, nadchodzi z narastającym hukiem pęd rakiety, powietrzny ekspres, który przemyka w dal, w dzwoniącą ciszę. Na dworze pękają szyby – przedłużony, nieharmonijny brzęk ulicznych czyneli.

Podłoga faluje jak szarpnięty dywan, wraz z nią łóżko. Członek Slothrop podrywa się na baczność, sprawiając mu ból. Dla nagle obudzonej Darlene, z walącym w piersi sercem, z kurczowo zaciśniętymi ze strachu dłońmi i palcami, ten nagły wzwód jest naturalną częścią białego światła i gromkiego huk. Zanim jeszcze eksplozja gaśnie do postaci krwistoczerwonego migotu na żaluzjach, ona zaczyna rozmyślać... o ich obojgu... ale co tam, już się pieprzą, więc jakie to ma znaczenie, na miłość boską, niechże te głupie naloty na coś się w końcu przydadzą.

A któż to jest, widoczny w rozstępie pomarańczowych żaluzji? Oddycha cicho i podpatruje. I gdzie, waszym zdaniem, strażnicy map, specjaliści od inwigilacji, gruchnie następna?



Za najlżejszym dotknięciem: od dłuższej chwili mówił coś podłego, kolejna porcja tradycyjnych samooskarżeń Rogera Mexico:

- Och, nie znasz mnie, ze mnie kawał skurwysyna...
- Przestań – wyciągnęła rękę, żeby położyć mu palec na ustach – nie mów tak...

Gdy zbliżyła dłoń, on bez namysłu chwycił ją za przegub i odsunął rękę – odruch samoobrony – ale jej nie puścił. Wpatrzyli się w siebie i żadne nie chciało odwrócić wzroku. Wreszcie Roger podniósł dłoń Jessiki do ust i ucałował ją. Chwila wahania, serce waliło mu jak młotem po klatce piersiowej... – „Ooch” – wyrwało się jej i wtedy przysunęła się, by go przytulić, całkiem rozbrojona, drżąca, gdy się objęli. Powiedziała mu później, że gdy złapał ją tamtej nocy za przegub, doznała orgazmu. A kiedy za pierwszym razem dotknął jej cipy, ścisnął jej miękką cipę przez majtki, wysoko w udach poczuła drzenie, które nasiliło się i całkiem nią zawładnęło. Szczytowała dwukrotnie, zanim oficjalnie wsadził w nią fiuta, a to sprawa ważna dla nich obojga, choć żadne właściwie nie wie dokładnie, z jakiego powodu.

Ilekcroć do tego dochodzi, światło czerwienieje.

Pewnego razu spotkali się w herbaciarni: miała na sobie czerwony sweter z krótkimi rękawami, a nagie ręce zarzyły się czerwienią u jej boków. Nie umalowała się i był to pierwszy raz, kiedy widział ją bez makijażu. W drodze do auta ona nagle bierze jego dłoń i wkłada ją sobie na chwilę – niezbyt głęboko – między maszerujące nogi. Roger doznaje wzwodu i wytrysku w sercu. Takie właśnie ogarnia go uczucie. Ostre, aż po samo unerwienie skóry, posuwa się jodełkowym ścięciem wzdłuż osi ciała, przetaczając się po brodawkach... to miłość, to zdumiewające. Nawet jeśli Jessiki nie ma w pobliżu, to na przykład kiedy po kolorowych snach Roger wychodzi na ulicę, na widok twarzy, która może do niej należeć, też nie potrafi zapanować nad

tym uczuciem, bo pozostaje całkowicie w jego mocy.

O Bobrze, czyli Jeremym, bo tak facetowi matka dała na chrzcie, próbuje myśleć jak najmniej. Dumanie o sprawach łóżkowych sprawia mu naturalnie katusze. Przecież to chyba niemożliwe – czy możliwe? – że ona robi To Samo z Jeremym? Czy Jeremy, na przykład, całuje ją w cipę? Czy podobna, żeby ta Świnia... czy gdy się pieprzą, Jessica sięga ręką i-i-i wsuwa psotny palec – ona, jego angielska róża! – w *jego* odbyt? Dość, dość (ale czy bierze do buzi? czy on kiedykolwiek wcisnął tę swoją niepoprawnie bezczelną gębę między jej śliczne pośladki?), nic z tego, to czas młodszej niewiedzy i lepiej na tym wyjdzie, jeśli skoczy do Tivoli obejrzeć film z Marią Montez i Jonem Hallem albo do zoo i popatrzy na lamparty i pekari, zastanawiając się, czy rozpada się przed wpół do piątej.

Cały czas, który Jessica i Roger spędzili dotąd razem, wyniósłby w sumie zaledwie godziny. A wypowiedziane słowa nie zapełniłyby nawet okólnika SHAEF-u. Po raz pierwszy w jego karierze statystyka zdarza się, że z dostępnych danych nie może wyciągnąć żadnych sensownych wniosków.

Razem są długim stykiem skóry, lejącym się potem, startym przez napierające na siebie mięśnie i kości, nieczęstym słowem poza jej lub jego imieniem.

Osobno obmyślają pieprzne dialogi filmowe, scenariusze odgrywane samotnie nocami, kiedy bofory dobijają się do jej nieba, a jego wiatr szumi po plaży wśród pętli z drutu kolczastego. Hotel „May Fair”.

– Jesteśmy jak odrzutowiec, co nie, tylko pół godziny spóźniony.

– No cóż – przechodzące dziewczyny ze służb pomocniczych i obwieszone biżuterią młode wdowy rzucają spojrzenia z ukosa – ty na pewno maksymalnie wykorzystujesz swój czas.

– Czas dla ciebie i czas dla mnie, a przecież czas na sto spotkań – odpowiada on, spoglądając w skupieniu na zegarek, noszony wojennym zwyczajem tarczą od wewnątrz przegubu. – Powiedziałbym, że dotąd było dość czasu nawet na potwierdzoną ciążę lub dwie, jeśli nie...



– Aha – ona wesoło skacze (ale do góry, nie w przód) – to mi przypomina, że...

– Aaaaaa! – Roger zatacza się na kwiat w donicy przy dźwiękach śpiewnego saksofonu Rolanda Peacheya i jego orkiestry – „Znowu wyznałem” – i kuli się.

– A więc to ci chodzi po głowie. Jeśli słowo „głowa” jest tu odpowiednie.

Peszą wszystkich. Wyglądają tak niewinnie. Ludzie instynktownie chcą ich chronić; odzegnują się od rozmów o śmierci, interesach, obłudzie, gdy tylko Roger i Jessica są w pobliżu. Można gadać wyłącznie o brakach w zaopatrzeniu, piosenkach i swoich chłopakach, filmach i bluzkach...

Z włosami wetkniętymi za uszy i miękkim podbródkiem, widzianym z profilu, wygląda na dziewięcio-, dziesięciolatkę, samotna przy oknie, mrugająca oczyma w słońcu, obracająca głowę na cienkiej kapie, szczytująca we łzach, poczerwieniała i wykrzywiona dziecięca buzia układająca się do krzyku, och, och...

Pewnej nocy, w ciemnym azylu łóżka wyznaczonego pościelą i chłodem, sam posypiając, uśpił Jessikę językiem. Kiedy na wargach sromowych poczuła pierwsze muśnięcia jego ciepłego oddechu, zadrżała i zapiszczała jak kocica. Dwie, trzy nuty, jak się wydawało, które rozbrzmiały wspólnie, chrapliwe, nawiedzone, buchające płatkami śniegu zapamiętanymi ze zmierzchu. Na dworze drzewa przesiewały wiatr, poza zasięgiem wzroku ciężarówka bez przerwy pędziła ulicami i drogami, z tyłu domów, przez kanały i rzeki, poza obrębem pospolitego parku. I jeszcze psy i koty, które włóczyły się po miłkim śniegu...

– ...migają mi obrazy, no, właściwie sceny. Same z siebie, Roger, chodzi mi o to, że ja ich nie wymyślam...

Obok przepływa jaskrawy ich rój, na tle izotonicznego migotu niskiego sufitu. Leżą oboje na plecach i oddychają. Zwiotczały fiut ślini się na jego własnej nodze, tej bliżej Jessiki, w dół pochyłego uda. Nocny pokój wydaje westchnienie, a owszem, Wydaje Westchnienie – to przekomiczny

staroświecki pokój, och, jestem beznadziejny, urodzony zgrywus, nigdy się nie zmienię, w ramach lustra błaznuję na całego, poczochrany, w zielone paski, w gaciach – a jednak to osobliwe, bo większość pokoiów w dzisiejszych czasach nuci sobie pod nosem, rozumiecie, wiadomo też, że oddychają, owszem, a nawet wyczekują w ciszy z nadzieją, i tutaj to właśnie powinno stanowić złowrogą tradycję, długie szczupłe stworzenia, ciężkie perfumy i peleryny w pokojach napastowanych przez północ, przeszytych krętymi schodami, pergole o niebieskich płatkach, to jest otoczenie, w którym nikt, żeby nie wiem jak był sprowokowany lub niezorientowany, droga pani, nigdy nie Wydaje Westchnienia. Tego się nie robi.

Ale tutaj. A, o tę panią chodzi. Kraciasta wełna. Postrzępione brwi, ale bujne. Czerwony aksamit. Pewnego razu, kiedy pruli szosą pod Lower Beeding, w przyływie śmiałości ściągnęła bluzkę.

– Mój Boże, zwariowała, co to jest, że wszyscy wariaci garną się akurat do mnie?

– No i masz, cha, cha. – Jessica jak zawodowa striptizerka kręci młynka krawatem od wojskowej bluzki. – Mówiłeś, że się będę wstydziła, co nie? Nazwałeś mnie cykorową czy jakoś tak. – Żadnego stanika, oczywiście, bo ona staników nie nosi.

– Ej – łypie on oczyma na boki – czy ty wiesz, że mogą cię aresztować? – Nagle dociera do niego: – Ciebie to ciebie, ale i mnie!

– Wszystko zwałę na ciebie, la-la. – Dolne zęby ukazane w uśmiechu zepsutej dziewczyny. – Jestem niewinną owieczką, bo to ten tutaj – wyrzuca szczupłą rękę w bok, krzesząc iskry z jasnych włosków na przedramieniu, niewielkie piersi podrygują swobodnie – ten rozpustnik Roger, co za okropny potwór, to on każe mi tak się upadlać...

Tymczasem na szosę wtarabania się z chrzęstem metalu największa ciężarówka, jaką Roger kiedykolwiek widział, i teraz już nie tylko kierowca, ale też kilku... nie może być, to są wstrętne... karty w dziwnych operetkowych strojach, jak jakiś środkowoeuropejski rząd na uchodźstwie,

wszystkie upakowane cudem w wysokiej szoferce, patrzą z góry, walcząc o miejsce przy oknie jak prosięta o cycek karmiącej maciory, gały wywalone, smagłe gęby, śliniące się usta, do szyby, żeby tylko nasycić się widokiem jego karygodnie roznegliżowanej Jessiki Swanlake i jego samego, rozpaczliwie usiłującego przyhamować, odskoczyć do tyłu, za ciężarówkę, tyle tylko że teraz za nim, napierając z większą prędkością, pojawiło się, o psia nędza, auto żandarmerii wojskowej. Nie może zwolnić, a jeśli przyspieszy, to oni dopiero zrobią się podejrzliwi...

– Rany, Jessie, błagam, ubierz się, dobrze, kochanie? – Ostentacyjnie szuka grzebienia, który jak zwykle się zapodział – podejrzany obywatel, znany jako notoryczny ktenofil.

Kierowca wielkiej hałaśliwej ciężarówki próbuje zwrócić uwagę Rogera, karły tłoczą się u szyby, wołając: „Hej! Hej!”, wydając oleiste, gardłowe chichoty. Ich przywódca mówi po angielsku z jakimś śliskim, niewymownie ohydny europejskim akcentem. Puszczanie oka i poszturchiwania: „Panieeee! Ej, ty! Co za pszotnica, nie?!”. Więcej śmiechu. W tylnym lusterku Roger widzi gęby angielskich żandarmów, różowe i moralne, czerwone dystynkcje pochylają się, podskakują, konsultują, obracają ostro na wszystkie strony, by dojrzeć dziwnie się zachowującą parę w jaguarze...

– Co oni tam wyprawiają, Prigsbury, widzisz coś?

– To chyba mężczyzna i kobieta, panie sierżancie.

– Osioł. – Cap za czarną lornetkę.

W deszczu... potem w śliniącym szkle, pozieleniałym od zmierzchu. Ona sama w fotelu, w staroświeckim czepku, zapatrzona na zachód ponad pomostem Ziemi, piekielnie czerwonym u krawędzi, i dalej w brązowe i złote obłoki...

Potem, nagle, noc: pusty bujak w spoczynku, krzykliwy kredowy błękit – czy to księżyc, czy inne światło z nieba? Tylko twardy fotel, teraz pusty, w bardzo czystym mroku nocy, i to zimne lejące się światło...

Obrazy następują jeden po drugim, rozkwitają, przekwitają, niektóre ładne,

inne okropne... lecz ona jest tutaj, wtulona w swego baranka, Rogera, i jakże kocha linię jego karku tak naraz – ale, ale, jest tutaj, tył jego nierównej głowy jak u dziesięcioletniego chłopca. Obcałowuje kwaśno-słone odcinki jego skóry, która tak ją porwała, porwała ją, oblaną nocną poświatą, wzdłuż napiętych ścięgien, obcałowuje go tak, jak gdyby pocałunki były samoistnym frunącym oddechem i nigdy nie miały końca.

Pewnego ranka – nie widział się z nią od dwóch tygodni – obudził się w swej mniejszej celi w „Białym Nawiedzeniu” ze wzwodem, szczypiącymi powiekami i długim jasnobrązowym włosiem, zaplątanym w ustach. To nie był jego włos. Czyj? Przyszła mu na myśl tylko Jessica. Ale to niemożliwe, nie spotykał się z nią przecież ostatnio. Pociągnął kilkakrotnie nosem i kichnął. Za oknem robił się dzień. Bolała go prawa trójka. Wydłubał długi włos, na którym nanizane były kropelki śliny, kamień nazębny i poranna pleśń warg. Popatrzył na niego. Skąd się wziął? Aż strach się bać. Jakieś niezłe *je ne sais quoi de sinistre*. Chciało mu się sikać. Kiedy włókł się do łazienki, z połą szarej przydziałowej koszuli wepchniętą niestaranie w spodnie od pizamy, przyszło mu coś do głowy: a jeżeli to jakaś mroząca krew w żyłach opowieść z przełomu wieków o upiornej zemście, a ten włos tutaj to Pierwszy Krok... Oho, paranoja. Szkoda, że nie widzieliście go, jak rozważał wszystkie możliwe kombinacje, kiedy tak kręcił się po ubikacji wśród potykających się, pierdzących, skrobiących się brzytwą, pokasłujących, kichających, wydłubujących z nosów zaschnięte po nocy smarki członków Sekcji Psi. Dopiero później pomyślał o Jessice – o jej bezpieczeństwie. Zapobiegliwy Roger. A co, jeśli umarła w nocy, jeśli miała wypadek w składzie amunicji... a ten włos to jedyny znak, gest pożegnania, który jej spirytualna już miłość zdołała wysłać z zaświatów, do niego, jej jedyne i ukochanego mężczyzny... Ale z niego pajak-statystyk: do oczu nabiegły mu nawet łzy, ale potem zaświtała Następna Myśl – och, o rany. Zakręć kurek, Turek. Człowieku, przejrzyj na oczy! Stał pochylony nad umywalką, sparaliżowany, odłożywszy chwilowo swoje zmartwienia o Jessicę na półkę, i bardzo chciał spojrzeć przez ramię, a choćby nawet w stare lustro, no, wiadomo, żeby zobaczyć, co knują za jego plecami, ale był nazbyt zeszywniały, żeby to zrobić... teraz... o tak, najwyborniejsza ewentualność znalazła podatny grunt w jego głowie, oto ona: a jeśli oni wszyscy, te

wszystkie dziwadła z Sekcji Psi, skrzyknęli się przeciw niemu w tajemnicy? Co wtedy? Tak, przypuśćmy, że potrafią czytać w jego myślach! a-a-a co, jeżeli – jeżeli w grę wchodzi hipnotyzm? He? Jezusie: wtedy możliwa jest cała kupa innych okultystycznych praktyk, takich jak projekcja astralna, kontrola mózgu (w tym akurat nie ma nic okultystycznego), potajemne klątwy wywołujące impotencję, czyraki, szaleństwo, brrrr – napary! (Kiedy wreszcie się wyprostowuje i oczyma wyobraźni idzie z powrotem do swego biura, po drodze zagląda błyskawicznie do bufetu, o Boże...). Parapsychiczna-Jedność-z-Czynnikami-Kontrolującym w taki sposób, że Roger będzie nim, a on Rogerem, tak, tak, parę takich pomysłów tłucze mu się po głowie, a każdy mało przyjemny – zwłaszcza w tym kiblu dla personelu, z twarzą Gavina Trefoila pobarwioną tego ranka jaskrawym karmazynem, kwiat koniczyny pobłyskujący na wietrze, z Rolandem Cherrycokiem spluwającym żyłkowaną bursztynową flegmą do umywalki – co to, kim są ci ludzie... Dziwadła! Dziwaaaaadłaaaa! Dzień i noc przez całą wojnę podłączeni są do jego mózgu, media telepatyczne, czarownicy, satanistyczni matacze wszelkiego autoramentu, dostrajający się do wszystkiego – nawet do łóżka, na którym on się pieprzy z Jessicą...

Ejże, opanuj się, człowieku, jeśli koniecznie chcesz spanikować, to panikuj, ale później, nie tutaj. Kiedy tak kręci zapamiętałe głową, nikłe światło żarówek pociemnia tysiące zaskorupiałych plam po mydle i wodzie na łazienkowych lustrach do postaci nakładających się pierzastych obłoków, skóry i dymu, kolor cytrynowy i beż, tutaj smolista czerń i wieczorny brąz, luźno rozdrobnione, oto faktura...

Śliczny poranek, druga wojna światowa. Lejtmotywnym kłębiących się myśli są dwa słowa: „Chcę przeniesienia”, niejako nuci je bezgłośnie przed lustrem, tak jest, muszę zaraz złożyć podanie. Zgłoszę się na ochotnika do służby w Niemczech, ot co. Tu-tu, tu-tu, tu-tu, tu-tu. Zaledwie w środę ukazało się to ogłoszenie na poufnych stronach „Wiadomości o nazistach”, wciśnięte między anonsy liverpoolskiego oddziału Partii Pracy, poszukującego dziennikarza, i londyńskiej agencji reklamowej, oferującej posady od zaraz dla zwolnionych do cywila. To ogłoszenie w środku zamieściła delegatura rodzącego się G-5, usiłująca pozyskać paru ekspertów

od „reedukacji”. Istotna, nader istotna sprawa. Należy prawić Niemieckiej Bestii o Wielkiej Karcie Swobód i szlachetności, he? Daleko, w samym środku jakiegoś neurotycznego bawarskiego miasteczka o wyglądzie zegara z kukułką, gdzie nocą licho ciągnie z lasów, by zostawić pod drzwiami i oknami wywrotowe ulotki. Wszystko – Roger wraca po omacku do swej małej kwatery – wszystko lepsze od tego...

Tak źle z nim było. Wiedział, że bardziej swojsko czułby się w obłąkanych Niemczech, oko w oko z Wrogiem, niż tutaj, w Sekcji Psi. Pora roku jeszcze pogarsza sprawę. Boże Narodzenie. Blee, łapie się za żołądek. Tylko dzięki Jessice to wszystko jest znośne i ludzkie. Jessica...

Wtedy na pół minuty chwycił go napad ziewania i drżączki, ubranego w długą bieliznę, miękką, prawie niewidoczną w izolatce grudniowego świtu, pośród licznych ostrych kantów książek, plików papierów i świstków, wykresów i map (w tym tej najważniejszej, czerwone plamy ospy na śnieżnobiałej skórze pani Londyn, trzymającej pieczę nad... chwila, moment... choroba skórna... czy ona nosi w sobie tę śmiertelną chorobę? czy miejsca są z góry określone i lot rakiety jest tylko wypadkową nieuchronnej wysypki w okresie inkubacyjnym... nie potrafi tego ogarnąć, podobnie jak nie rozumie obsesji Pointsmana na punkcie odwrotnej kolejności bodźców dźwiękowych, więc proszę, bardzo proszę, czy nie możemy zostawić tego na chwilę...) – nawiedzony Roger, nieświadomy, póki atak nie minął, jak wyraźnie widzi uczciwą połowę swego życia, którą stała się teraz Jessica, i z jaką zatwardziałością jego matka Wojna niechybnie potępia jej urodę, jej zuchwałą obojętność na instytucje śmierci, w które on jeszcze nie tak dawno temu wierzył, jej niewzruszoną nadzieję (choć dziewczyna nienawidzi układania planów), jej wygnanie z krainy dzieciństwa (choć odmawia uporczywego trzymania się wspomnień)...

Jego życie związane jest z przeszłością. Postrzegał siebie jako punkt w nacierającym sztormie, szerzącym się przez jałową historię – znana przeszłość, możliwa do nakreślenia przyszłość. Jessica przełamała to parcie.



Nagle pojawił się skrawek czystej plaży, coś nieprzewidywalnego... nowe życie. Przyszłość i przeszłość wstrzymały nawałnicę. Tak to widział. Ale chciał też w to uwierzyć w taki sam sposób, w jaki ją pokochał, poza zasięgiem wszelkich słów – wierzyć, że bez względu na to, jak straszny nastalby czas, nic nie jest przesądzone i wszystko można zmienić, a ona zawsze będzie mogła zaprzeczyć mrocznemu morzu, napierającemu na niego z tyłu, przegnać fale swoją miłością. I że (samolubnie) ze srogiej młodości, solidnie ugruntowanej w Śmierci – wspólna przejażdżka ze Śmiercią – mógłby wraz z Jessicą odnaleźć drogę do życia i radości. Nigdy jej o tym nie powiedział, przed samym sobą też przyznawał się do tego niechętnie, ale to właśnie był probierz jego wiary, gdy szóste Boże Narodzenie Wojny natarło w kolejnej szarzy na jego rozdygotaną wątłą flankę...

Kręci się po kwaterach, wszczynając zamieszanie, nagabując inne dziewczęta o sztachnięcie się stęchłym papierosem albo zestaw do repasacji pończoch, bezbarwne wojenne grepsy uchodzą za przejaw sympatii. Tego wieczoru spotyka się z Jeremym, ze swym porucznikiem, a przecież chce być z Rogerem. Tyle że tak naprawdę nie chce. Chce więc czy nie? Nie pamięta, by kiedykolwiek miała taki mętlik w głowie. Kiedy jest z Rogerem, czuje tylko miłość, ale na dystans – byle dystans, kolego – dochodzi do wniosku, że facet ją przygnębia, a nawet przeraża. Dlaczego? Gdy siedzi na nim okrakiem w dzikie noce, nadziana przez środek na jego fiuta, i próbuje ze wszystkich sił zachować spoistość, nie przeistoczyć się w kremowy stożek wosku, nie roztopić się na narzucie w trakcie szczytowania, istnieje tylko Roger, Roger, och, kochany, póki nie zabraknie tchu. Lecz poza łóżkiem, kiedy chodzą i rozmawiają, jego zgorzkniałość, jego mroczność sięga głębiej niż sama wojna i zima: nienawidzi Anglii, nienawidzi „Systemu”, narzeka bez końca, mówi, że wyemigruje, gdy Niemcy skapitulują, no i tkwi w środku tej swojej papierowej jaskini cynika, nienawidząc siebie... Czy ona naprawdę chce go z niej wydobyć? Czy nie czuje się bezpieczniej z Jeremym? Próbuje nie dopuszczać do siebie tego pytania, ale ono samo się formułuje. Trzy lata przeżyte z Jeremym. Równie dobrze mogliby być małżeństwem. Codzienne małe troski i ulgi. Nosi szlafroki Bobra, parzy jego kawę i herbatę, szuka jego oczu po parkingach dla ciężarówek, świetlicach i słotnych polach błota, gdy

wszystkie ciosy smętnego, parszywego dnia może wynagrodzić jedno spojrzenie – znajome, pełne ufności, w porze roku, w której słowo przyzywane jest po to, by wydać się oryginalnym lub wywołać lekki śmiech. Czy ma przekreślić to wszystko? Trzy lata? Dla tego błędnego, samolubnego... *chłopczyka*, no bo kimże on jest? Kurka wodna, przecież on ma trzydzistkę na karku, jest ładnych parę lat starszy od niej. Chyba najwyższy czas, żeby zmądrzał. Doświadczony mężczyzna, niby on?

Najgorsze, że ona nie ma z kim porozmawiać. Rodzina mieszanej baterii, zawodowe kazirodztwo, niezdrowe obsesje na punkcie tego, co ktoś powiedział komuś latem czterdziestego drugiego, pod Grafty Green w hrabstwie Kent albo gdzieś indziej, i co ten ktoś powinien był odrzec, ale nie odrzekł, tylko wypaplał komuś innemu, wskutek czego nagromadziły się pretensje, które przetrwały w cudowny sposób aż do dziś – sześć lat pomówień, ambicji i hysterii sprawiają, że każde słowo wypowiedziane tutaj do kogokolwiek w zaufaniu jest aktem czystego masochizmu.

– Wyglądasz jak zbity pies, Jess. – Maggie Dunkirk przechodzi obok, wygładzając mankiety. W radiu zespół swingowy BBC wycina na całego synkopowaną bożonarodzeniową muzykę.

– Masz fajki, mogą być laki strajki – odpowiada całkiem machinalnie. Co z tobą, Jessica, masz bzika?

No cóż.

Wydawało mi się, że tutaj wszystkie są jak cholerna Garbo, że żadnej nie doskwiera głód nikotynowy, ale znowu się pomyliłam, ta-ta...

Och, idź już sobie.

– Zastanawiałam się tylko nad gwiazdkowymi zakupami.

– To co szykujesz dla Bobra?

Skupiona na zapinaniu starszej pary pończoch – smugi poruszające się mnemotechnicznie między palcami, przód w górze, tył niżej – spranych, pomarszczonych nylonów, rozciągniętych już do oporu i wygładzonych teraz na delikatnych łukach jej ud, zapinki podwiązek połyskujące srebrzyście spod pomalowanych na czerwono paznokci, niknące jak odległe fontanny

wśród ozdobnie strzyżonych czerwonych drzew, Jessica odpowiada:

– Hmm. Pewnie fajkę...

Jadąc pewnego wieczoru dokądś przez Kent w pobliżu baterii Jessiki, natknęli się na kościół, na pagórek pośrodku ciemnej wyżyny, rozświetlony i wyrosły z ziemi. Była niedziela, krótko przed nieszporami. Mężczyźni w jesionkach, nieprzemakalnych płaszczach, z ciemnymi beretami, zdjętymi w wejściu, amerykańscy lotnicy w skórzanych kurtkach na kozuchu, kilka kobiet w modnych paltach i eleganckich butach, ale żadnych dzieci, ani jednego, sami dorośli, ze swych lądowisk, stacji balonowych, bunkrów na plaży napływający ciężkim krokiem do środka przez normańskie odrzwia zarośnięte zimowym winem.

– Och, teraz pamiętam – odezwała się Jessica i urwała. Przypomniała sobie inne adwenty i żywopłoty białe jak owce widziane za oknem, i Gwiazdę gotową do naklejenia na niebo.

Roger zahamował, żeby przyjrzeć się brunatnej procesji sfatygowanego wojska, wchodzącej do kościoła na wieczorne nabożeństwo.

– Jedźmy do domu – powiedziała po chwili. – Późno już.

– Moglibyśmy zajrzeć na moment.

Aż ją zatkało – nic dziwnego, po tylu tygodniach wysłuchiwania zjadliwych komentarzy niedowiarka i złorzeczeń na pozostałych członków Sekcji Psi, którzy jakoby knują, żeby zrobić z niego takiego samego świra. I obserwowania skąpstwa pogłębiającego się w miarę upływu kolejnych dni gwiazdkowych zakupów.

– Ty przecież nie jesteś z tych – zaoponowała. Niemniej sama chciała wejść, śnieżne niebo było tego wieczora ciężkie od melancholii, a jej głos mógł ją zdradzić w każdej chwili, bo pragnął dołączyć do rozśpiewanych gardeł, których kolędowanie tak często słyszymy w oddali, gdy mijają jeden za drugim dni adwentu, do pieśni rozbrzmiewających po zmarzniętych wyżynach, gdzie w ziemi roi się od min jak w kompocie od śliwek... wiatr, wiejący nie przez bożonarodzeniową przestrzeń, lecz przez samą substancję czasu, niósł ku niej te dziecięce głosy, śpiewające dla sześciopensówek, i

nawet jeśli jej serce nie było gotowe wziąć na siebie całej niedoli ich i jej własnej śmiertelności, to przynajmniej odczuło lęk, że je utraci – że pewnej zimy Jessica będzie biegać i szukać, aż za bramą, za drzewami, lecz na próżno, nie znajdzie ich, bo głosy ucichną...

Ruszyli przez śnieg po śladach, ona z całą powagą wsparta na jego ramieniu, ze splątanymi przez wiatr włosami, ślizgając się w szpilkach na lodzie.

– Tylko żeby posłuchać muzyki – wyjaśnił.

Sklecony naprędce chór składał się tego wieczoru wyłącznie z mężczyzn, pagony wyzierające spod szerokich karczków białych szat, niejedna twarz niemal równie biała ze zmęczenia służbą na przesiąkniętych deszczem, błotnistych polach, nocnymi wartami, pilnowaniem lin szarpanych przez nerwowe balony, łowiące słońce w chmurach, przesiadywaniem w namiotach, których oświetlenie daje o zmierzchu nuklearną, uduchowioną jasność przez krzyżowy splot brezentowych ścian, przeistaczając tkaninę w ciekłą gazę, podczas gdy dokoła dudni wicher. Lecz było też jedno czarne oblicze, alt, kapral z Jamajki, przerzucony z wyspy cieplej na zimną – z dzieciństwa zredukowanego do śpiewania po zacadzonych rumem knajpach na High Holborn Street, do których przez wahadłowe drzwi marynarze wrzucali olbrzymie petardy, człowieku, ćwierć laski dynamitu, po czym ubawieni przyskakiwali ulicą, albo z których wychodzili z dziewczętami w kusych spódniczkach, tutejsze, Chinki lub Francuzki... skórki po cytrynie rozgniecione w ulicznych rynsztokach rozaczały zapach wczesnym rankiem, kiedy zwykł dopytywać się w piosence, czy ktoś nie widział jego kochanej Loli o figurze butelki coca-coli, a marynarze pędzili tam i z powrotem pośród zacienionych na brązowo alej, trzepoczące chustki na szyjach i nogawki spodni, dziewczyny szeptały pospołu i śmiały się... każdego ranka zbierał pół kieszeni bilonu wszystkich walut świata. Zawile potrzeby anglo-amerykańskiego imperium (1939 – 1945) wygnały go z palmowego Kingston do tego szarego wyziębionego kościoła, wzniesionego niemal w zasięgu

słuchu od zimnego morza, które ledwo dojrzał w trakcie rejsu, na komplecie, której program obejmował angielskie pieśni kościelne ze sporadycznymi wypadami w polifonię: utwory Thomasa Tallisa, Henry’ego Purcella, a nawet niemiecka kolęda makaroniczna z XV wieku, przypisywana Heinrichowi Suso:

*In dulci jubilo*  
Nun singet und seid froh!  
Unsers Herzens Wonne  
Leit in *praesipio*,  
Leuchtet vor die Sonne  
*Matris in gremio.*  
*Alpha es et O.*

Głos Murzyna góruje nad innymi – żadnego falsetu, pełne brzmienie wydobyte uczciwie z piersi – jakby baryton przyzwany z lat wytężonych prób sięgnięcia tej skali... pradawnym szlakiem wytyczonym przez muzykę przywołał brązowe dziewczyny, płasające wśród nerwowych protestantów, Wielką i Małą Anitę, Stiletto May, Plongette, która lubi to między piersiami i daje tak nawet za darmo – nie wspominając już o łacinie i *niemczyźnie*. W angielskim kościele? To nie są herezje, lecz nieuchronne jak obecność Murzyna, imperialne konsekwencje aktów drugorzędneho surrealizmu, które, wzięte do kupy, stanowią samobójstwo po tysiącokroć popełniane codziennie przez Imperium w jego patologii, w jego pozbawionej marzeń wersji rzeczywistości, Imperium kompletnie nieświadome, co tak naprawdę wyprawia... Krzepiący kryształowy alt poszybował zatem i znalazł drogę do serca Jessiki, a nawet do serca Rogera, jak wносиła ze spojrzeń rzucanych kątem oka spod brązowej zasłony włosów podczas recytatywów i fraz. Wcale nie wyglądał jak nihilista, choćby najtańszy. Wyglądał jak...

Jessica jeszcze nigdy nie widziała u niego takiej miny – w blasku kilku zawieszonych lamp oliwnych, płomienie nieporuszone i bardzo żółte, na szklanym brzuchu najbliższej dwa długie tłustawe ślady palców kościelnego złączone starannie w formie zwycięskiego znaku „V”, skóra Rogera

dziecięco różowa, oczy błyszczące bardziej niż może to uzasadnić sztuczne światło – czy ona tak sobie tylko wyobraża? W kościele jest zimno jak na dworze. Roztacza się woń gorzkiego piwa, wydychana przez tych bohaterów, mokrej wełny, dymu ze świeczek i topiącego się wosku, smród tłumionych pierdnięć, palącej się oliwy, aromat odżywek do włosów, spowijając po macierzyńsku inne zapachy, w większej mierze przynależne Ziemi, głębokim pokładom, innym epokom, słuchajcie!... słuchajcie: oto wieczorne nabożeństwo Wojny, jej godzina kanoniczna, a noc istnieje naprawdę. Ścisk czarnych palt, w opuszczonych kapturach tłoczą się gęste kościelne cienie. Dalej na wybrzeżu tyrają do późna dziewczyny ze służb pomocniczych, w zimnych i wybebeszonych muszlach, niebieskie światło ich latarek nowo rozbłysły gwiazdami na falach napływającego wieczora. Balony kołyszą się na niebie jak wielkie żelazne liście, zakotwiczone na linach, które trzeszczą, jakby ktoś rozszczepiał dźwięk. Podobne do warty przybocznej w pozycji „spocznij”, złagodniałe płomienie pochodni wypełniają morelowym światłem okrągłe szklane oczy przyrządów pomiarowych. W obrośniętych soplami monterskich hangarach, trzeszczących, gdy wiatr dmie cieśniną, leżą tysiące zużytych tubek po paście do zębów, usypanych nierzadko po sam dach – pozostałość po niezliczonych smętnych porankach, uczynionych znośnymi, przemienionych w wyziewy mięty i niemrawą piosenkę, której świadectwem są białe kropki na rtęciowych lustrach od Harrow po Gravesend, po niezliczonych dzieciach, które ubiły pianę w miękkich miskach swych ust i spośród kredowych bąbelków bez trudu dobyły tysiąckroć więcej słów – skargi na przymus wczesnego chodzenia spać, nieśmiałe wyznania miłości, wieści o przyczajonych pod oknem grubych lub półprzezroczystych, włochatych albo łagodnych stworach z lasu – po nieprzebranych chwilach mydlanej lukrecji, wyplutych, splukanych, odprowadzonych kanalizacją i dalej pieniącym się leniwie ujściem rzeki, po porannych ustach z nalotem na języku, zacadzonych wskutek palenia tytoniu, suchych ze strachu, cuchnących z beczynności, przepełnionych



śliną na myśl o nieprawdopodobnych posiłkach, skazanych jednak na cotygodniowe ochłapy w postaci podrobów, mleka w proszku, pokruszonych sucharów, wartych połowę tego, co całe, i czyż mentol nie jest cudownym wynalazkiem, wystarczy zafundować sobie odrobinę co rano, by między wysmołowanymi brzegami ułożyła się ospale, acz z uporem mozaika zakurzonych rozdętych bąbli, zawiła geometria ujść kanalizacyjnych zasila morze, zwielokrotniona po drodze, tymczasem stare tubki jedna po drugiej zostają opróżnione i wracają na Wojnę, stopy nikle wonnego metalu, zjawy mięty w zimowych hangarach, każda pomarszczona i wyciśnięta przez nieświadome ręce londyńczyków, zapisana wzorami kolizji, dłoni przeciw dłoni, oczekująca teraz – to prawdziwy powrót – przetopienia na lut, blachę, materiał odlewniczy, łożyska, uszczelki, zakryte podkładki, których dzieci od tego pierwszego domowego wcielenia nigdy nie ujrzą. A jednak ciągłość – cielesność pokrewnych metali, dom dla nieogarnionego morza – przetrwała. To nie śmierć odseparowuje te wcielenia, lecz papier: specjalności papieru, jego utarte tryby funkcjonowania. Wojna – Imperium – przyspieszy zaistnienie tych przegród między naszymi zyciami. Wojna musi dzielić w ten sposób: na zespoły i podzespoły, choć jej propaganda zawsze będzie podkreślać wagę jedności, sojuszu, wiosłowania pospołu. Wydaje się, że Wojna nie pragnie narodowej świadomości, choćby tego rodzaju, jaką wytworzyli Niemcy – *ein Volk ein Führer* – lecz maszyny zespolonej z wielu osobnych części, nie pragnie jedni, tylko złożoności... Lecz któż naprawdę może wiedzieć, czego chce Wojna, skoro pozostaje tak nieogarniona i odległa... tak całkiem *nieobecna*. Być może nie jest nawet świadomym bytem – w rzeczywistości nie jest życiem. Być może wykazuje tylko okrutne, zupełnie przypadkowe podobieństwa do życia. W „Białym Nawiedzeniu” trzymają od dawna pewnego schizofrenika, który wierzy, że to on jest drugą wojną światową. Nie dostaje gazet, odmawia słuchania radia, a jednak w dniu inwazji na Normandię temperatura skoczyła mu do trzydziestu dziewięciu stopni. Teraz, kiedy zaciskają się odruchowo kleszcze ze wschodu i zachodu,

mówi o ciemności spowijającej jego umysł, o wyczerpaniu się jaźni... Odżył w czasie kontrofensywy Rundstedta, jakby zaaplikowano mu nowy zastrzyk energii: „Co za piękny prezent na Gwiazdkę – oświadczył w rozmowie z innym pacjentem na oddziale – to pora odrodzenia, czas początku”. Ilekroć spada rakieta, uśmiecha się – jeśli ją słyszy, rzecz jasna – i w przyptywie rumianej witalności, która nieuchronnie pobudza pozostałych chorych, wychodzi z sali, by przechadzać się po korytarzu, a w kącikach jego rozradowanych oczu błyszczą łzy. Jego dni są policzone. Umrze w dniu zwycięstwa. Jeśli nie jest Wojną, to jest jej dzieckiem – namiastką, żyjącym na gorąco przez pewien czas, ale gdy nadejdzie wreszcie ten uroczysty dzień, nastanie jego koniec. Prawdziwy król umiera tylko pozornie. Pamiętajmy o tym. Zamiast niego giną wybrani młodzi mężczyźni, a prawdziwy król, cwany skurwiol, trwa. Czy ukaże się pod Gwiazdą, przebiegle padając na kolana wraz z innymi monarchami, gdy nadejdzie przesilenie zimowe? Czy przywiezie do karawanseraju dary w postaci wolframu, kordytu i wysokiej liczby oktanowej? Czy dziecię na złotej słomie podniesie wzrok, popatrzy w oczy staremu królowi, który pochyla się nad nim z rozpostartymi ramionami, kłania się, by złożyć dary, i czy ich spojrzenia się spotkają, i jakie przesłanie, jakież możliwe do pomyślenia pozdrowienie albo przymierze zwiąże króla i nowo narodzonego księcia? Czy mały się uśmiecha, czy to tylko gaz? Co wybierasz?

Wieje adwentem od morza, które o zachodzie słońca świeciło zielenią i gładzią jak metaliczne szkło: wieje ku nam dzień w dzień, a niebo na głowę ociężałe jest od smukłych trąb, zwiastujących aniołów i świętych. Kolejny rok porzuconych w środku zimy ślubnych kreacji, po które nikt nie sięgnie, pozawieszanych w cichych atlasowych rzędach, na pogniecionych białych woalkach pierwsze ślady żółknięcia, falujących lekko tylko wtedy, gdy przechodzisz obok, widzu... gościu na wszystkich ślepych uliczkach miasta... Raz czy dwa miga wśród strojów twe własne odbicie, w połowie drogi z cienia, zamazane cieliste barwy na tle *peau de soie*, przynaglającej

cię, byś wchłonał to, co tchnie już pierwszym straszliwym dotykem pleśni, a taki właśnie był zamysł – maskującej wytwornym mydłem i pudrem wszelkie ślady swego własnego zapachu, woni potu niedoszałej panny młodej z klasy średniej. A jednak dziewicy w sercu i w swych nadziejach. Ani śladu skrzęcej się, krystalicznej szwajcarskiej zimy, tylko posępne falowanie w dniu, który przyniósł chmury i śnieg zasnuwający wieś jak szata, szata zimy, delikatna niby noc, i niemalże bezwietrzny oddech dokoła. Na miejskich dworcach roi się od więźniów powracających z Indochin, rozprostowujących swe nieszczęsne, widoczne gołym okiem kości, lekkich jak marzyciele albo kosmonauta na Księżycu, zagubionych pośród rezonujących niczym membrany dziecięcych wózków z czarnej skóry i na chromowanych resorach, pośród różowych i niebieskich niemowlęcych krzesłek z jasnego drewna z podrapanymi i obryzganymi papką kwietnymi kalkomaniami, składanych łóžeczek i misiów pokazujących języki z czerwonego filcu, kocyków tworzących żywe pastelowe obłoki w woni węgla i pary, w metalowych przestrzeniach, między kolejkowiczów, łazików i zmorzonych snem podróżnych przybywają oni setkami na święta mimo ostrzeżeń i zatroskania ministra bezpieczeństwa publicznego, mimo groźby przebiccia przez niemiecką raketę metra poprowadzonego pod rzekę, co może się zdarzyć w każdej chwili, nawet teraz, kiedy te słowa spływają na papier, niemniej biedacy ciągną do bliskich, których być może już nie ma, do miejsc, które być może już nie istnieją. Oczy z Birmy, z Tonkinu przypatrują się kobietom dającym niezliczone dowody wytrwałości – łypią ze zsiniałych oczodołów, z głębi migren, których nie złagodzi żadna aspiryna. Włoscy jeńcy klną pod brzemieniem rozdętych worów z pocztą, szczękających echem o każdej godzinie w sezonowym wezbraniu, niczym trufle od wewnątrz oblepiających zaśnieżone pociągi, jak gdyby składy przez całą noc jechały pod ziemią, kursowały przez krainę umarłych. Makaroniarze podśpiewują sobie od czasu do czasu, ale można mieć pewność, że to nie „Giovinezza”, a najwyżej coś z „Rigoletta” albo „Cyganerii” – poczta rozważa opublikowanie

listy „zakazanych pieśni”, opatrzonych akordami na ukulele, by ułatwić ich rozpoznanie. Dobre samopoczucie i muzykalność tej zgrai są do pewnego stopnia prawdziwe – w miarę naporu kolejnych dni, w miarę jak orgia życzeń bożonarodzeniowych przekracza granice zdrowego rozsądku i przed dwudziestym szóstym grudnia nie widać kresu tego szaleństwa, jeńcy postanawiają być w większej mierze prawdziwymi Włochami, toteż rzucają powłóczyście spojrzenia wysiedlonym kobietom, opracowują techniki trzymania worków jedną ręką, podczas gdy druga udaje martwą – *cioé* warunkowo żywą – a robią tak, ilekroć wokół przeważa druga płeć, ilekroć tłum jest pozbawiony kierunku... bo wtedy nadarza się obiecująca szansa. Życie musi przecież toczyć się dalej. Rozumieją to obie narodowości, ale dla żołnierzy, którzy wrócili z Chin/Birmy/Indii, nie ma żadnej *mano morto*, żadnego przeskoku z krainy umarłych do krainy żywych na widok przyzwalającego uda czy pośladka – na miłość boską, sprawy życia i śmierci to nie zabawa! Ci nie pragną już żadnych przygód, tylko swej starej żony, krzątającej się przy starej kuchni albo ogrzewającej stare wyrko, krykieciści zimową porą, stęsknieni za niedzielną sennością w zasłanym suchymi liśćmi, wymarłym ogrodzie własnego bliźniaka. Jeśli pojawi się nowy wspaniały świat, swoisty spad z gałęzi, to cóż, będzie dość czasu, by i do tego się dostosować... Ale teraz nastał konkretny tydzień, chcą zatem powojennego luksusu, jakim jest kupno zestawu kolejki elektrycznej dla syna, usiłując w ten sposób, każdy z osobna, rozpromienić swój zestaw wychudzonych drobnych buź, wykalibrować własną obcość, choć przecież każdy jest spowszedniałą fotografią, przywróconą do życia, ochy i achy, lecz jeszcze nie teraz, nie na dworcu, tutaj nie wolno wykonywać żadnych emocjonalnych gestów: Wojna przetoczyła je na bocznice, pogasiła te nieostrożne, niszczące sygnalizacje miłości. Dzieci otworzyły prezenty, znalazły zabawki z blachy zmartwychwstałej po puszkach konserw, podejrzewają, że to druga i, kto wie, może nieuchronna strona gry zwanej Bożym Narodzeniem. Przecież w poprzedzających miesiącach – wiejską wiosną i latem – bawiły się

prawdziwymi puszkami, które służyły jako czołgi, działa przeciwpancerne, bunkry, pancerniki: mięsny róż, żółć i błękit rozwijały szyki na zakurzonych podłogach w rupieciarniach, spiżarniach, pod łóżeczkami albo tapczanami w miejscach wygnania. I teraz znowu przyszła pora jak przed rokiem. Dzieciątko z gipsu, bydłątka przyprószone srebrną folią i baranek o ludzkich oczach na nowo stają się rzeczywiste, farba wraca do życia jako ciało. Wiara nie jest warunkiem, który muszą spełnić – to dzieje się samo przez się. On jest Nowo Narodzonym. W tę czarodziejską noc zwierzęta przemówią, a niebo będzie mlekiem. Dziadkowie, którzy każdego tygodnia słuchają cierpliwie, jak Lekarz Radiowy wyjaśnia, Co To Są Hemoroidy, Co To Jest Rozedma, Co To Jest Zawał, teraz będą czuwać aż po bezsenność, wyczekiwać tego niepodobieństwa, które nie ziści się jak co roku, niemniej zostawi pewien marny osad – jesteśmy na wzgórzu, stąd będzie widać światełko na niebie – niczym dreszczyk emocji, niczym dobra zabawa, której za bardzo się pragnęło, nie całkiem kłapa, ale zarazem daleko do cudu... kontynuują czuwanie w swetrach i szalikach, teatralnie rozgoroczeni, a wewnątrz nich osad przechodzi każdego roku nową zimową fermentację, za każdym razem coraz go mniej, ale zawsze dość, by o tej porze roku nastąpiło odrodzenie. Są teraz prawie nadzy, wypucowane garnitury i suknie z czasów kursowania po pubach podarte dawno temu na strzępy, żeby uszczelnić rury z gorącą wodą i grzejniki w pokojach wynajętych od obcych ludzi, żeby dom zachował tożsamość w obliczu zimy. Wojna potrzebuje węgla. Zrobili przedostatni krok, sumiennie wysłuchali pogadank Lekarza Radiowego na temat chorób, których doszukali się w swych ciałach, i z nadejściem Bożego Narodzenia są w tych tanich, mrocznych wełnianych powijakach dla starców nadzy jak oskubana gęś. Ich elektryczne zegary śpieszą się, śpieszyć się będzie nawet Big Ben dopóty, dopóki nie wtargnie tu nowa wiosna; wszystko się śpieszy i wydaje się, że nikt tego nie pojmuje i nikogo to nie obchodzi. Wojna potrzebuje prądu. To żywa gra – Monopol Elektryczny – która toczy się między przedsiębiorstwami elektroenergetycznymi, Centralnym

Zarządem Gospodarki Elektroenergetycznej i innymi agendami Wojny w celu zestrojenia Czasu Sieci z czasem uniwersalnym. Nocą – w najgłębszych, ocembrowanych studniach nocy – generatory, których lokalizacja jest ściśle tajemnicą, pracują na zwiększonych obrotach i podobnie, w reakcji na to, działają zegary obserwowane przez stare bezsenne oczy, podbierając z jękiem minuty, natężając swój głos aż do opętańczego pisku syreny. To Szalony Karnawał Nocy. W cieniu pod wskazówkami minutowymi widać ubawienie. Na pobladłych cyferblatach – panikę. Energetyka informuje o obciążeniach, o poborze mocy tak znacznie zwiększonym wskutek wojny, że zegary będą się spóźniać, jeżeli nie nadrobi się tego nocnym galopem, ale oczekiwane codziennie obciążenia nie występują i Czas Sieci wciąż wyrывa się do przodu, a stare twarze obracają się znów do cyferblatów w przekonaniu, że to spisek, cyfry wirują zaś ku Bożemu Narodzeniu, przemocy, supernowej serca, która przemieni nas wszystkich, wszystkich nas cofnie do zapomnianych korzeni naszej tożsamości. Nad morzem mgła wciąż jest cicho fasonowaną perłą. W mieście żyły ulic rozświetla przygaszony blask wściekle trzeszczących lamp łukowych, nazbyt lodowatej barwy jak na świece, nazbyt zroszony chłodem jak na holocaust... słaniają się wysokie czerwone autobusy, smugi reflektorów odsłoniętych zgodnie z nowym zarządzeniem sieką, krzyżują się, przecinają, oślepiają, odarte wielkie garście wilgoci przepływają obok, osamotnione jak plaże w perłowej mgle, gdzie drut kolczasty, który nigdy nie zaznał w swym wnętrzu ukłucia prądu elektrycznego, który leżał biernie, utleniając się nocą, wije się teraz niby podwodna trawa, splątany, skostniały, kąśliwy niczym skorpion, wszystkie mile dziewiczego piasku za krążownikami porzucone od ostatnich wakacji Pokoju, który niegdyś zwykł był wczasować się w starym świecie – wieczory z winem i fajką w gaju oliwnym odeszły w przeszłość sprzed Wojny – odartego teraz do zardzewiałych osi i klamer, pachnącego w środku tak samo słono jak plaża, po której nie można pospacerować z powodu Wojny. Dalej, na wyżynach, poza zasięgiem reflektorów obrony przeciwlotniczej, których



światło dławiki noc w noc wędrowne ptaki, zgubnie usidłone, aż pospadały wyczerpane z nieba – deszcz martwego ptactwa – przybyli na komplecie wierni siedzą w wyziębionym kościele, cisi i zmarznięci, gdy tymczasem chór pyta: gdzie jest radość? A gdzieżby, jeśli nie tam, gdzie anioły śpiewają nowe pieśni i dzwony rozbrzmiewają na dworze Króla. *Eia* – osobliwe tysiącletnie westchnienie – *eia, wam wir da!* gdzież my, jeśli nie tam... Zmęczeni mężczyźni i ich czarny przodownik szybują jak najdalej, tak daleko od swego owczego odzienia, jak tylko pozwoli im odfrunąć ten rok. Chodźmy zatem. Zostawmy na moment tę wojnę, papierową czy żelazną, zostawmy benzynę i ciało, weźmy naszą miłość, nasz lęk przed uszczerbkiem, nasze zmęczenie walką. Cały dzień nas dławiała, zniewalała, obracała w tę i we w tę, przywłaszczała sobie naszą wiarę w mnóstwo tego, co jest nieprawdziwe. Czy właśnie tym jesteśmy, tymi mglistymi twarzami przestępców w dowodach tożsamości, których dusze złowił urzędowy aparat fotograficzny, gdy opadła gilotyna migawki – albo może serce zostawiłeś w bufecie dla aktorów, gdzie obliczają żniwo nocy, gdzie dziewczyny ze służb pomocniczych, imieniem Eileen, starannie układają w przedziałach chłodni gumowate fioletowe organy, garnirowane żółcią tłuszczu – ej, Linda, chodź tutaj, pomacaj to, włóż palec w komorę, można zemdleć, co nie, przecież ciągle *chodzi*. W tym uczestniczą wszyscy, których o to nie podejrzewasz, wszyscy prócz ciebie: kapelan, lekarz, twoja matka, pragnąca zawiesić Złotą Gwiazdę, mdły sopran, słyszany wczoraj w radiu, aha, nie zapomnij o panu Noelu Cowardzie, który tak stylowo i zgrabnie opowiada o śmierci i życiu pozagrobowym, wystawia to w teatrze już czwarty rok z rzędu, a faceci z Hollywoodu mówią nam, że tutaj jest wspaniale, że mają tu mnóstwo frajdy, Walt Disney każe słonikowi Dumbo uchwycić się tego piórka tak samo jak ile trupów leży pod śniegiem dziś wieczorem między pomalowanymi na biało czołgami, ile rąk zamarzniętych, każda zaciśnięta na Cudownym Medalu, szczęśliwy kawałek znoszonej kości, półdolarówka z uśmiechniętym słońcem, zerkającym spod wiotkiej szaty Wolności, uczepiony kurczowo,

otępiały, kiedy gruchnęła osiemdziesiątka ósemka – a coś myślał, że to bajka dla dzieci? Żadnych dzieci nie ma. Są nieobecne, bo marzą, a w Imperium brak miejsca na marzenia, tutaj dziś wieczorem wstęp jest „tylko dla dorosłych”, w tym rozświetlonym schronieniu, pośród prekambryjskich wyziewów, aromatycznych jak gotowane jedzenie, ciężkich jak sadza. Sześćdziesiąt mil w górze, nad czernią Morza Północnego, wiszą przez niezmiernie krótką chwilę rakiety, po czym spadają, coraz szybciej, ku pomarańczowemu gorącu, bożonarodzeniowej gwiazdzie, w bezradnym pikowaniu ku ziemi. Nieco niżej przemykają bomby latające, rycząc jak Nieprzyjaciel, szukając, kogo by tu pożreć. Dziś czeka cię długa droga do domu. Wsłuchaj się w śpiew tych fałszywych aniołów, wsłuchaj się, nawet jeżeli nie wyrażają precyzyjnie twoich nadziei, twojego najmroczniejszego lęku. Z pewnością odprawiano tutaj modły na długo przed ogłoszeniem nowiny o Chrystusie. Co najmniej odkąd zdarzały się noce tak złe, jak dzisiejsza – trzeba przecież zwiększyć prawdopodobieństwo nadejścia innej nocy, która z miłością i przy pianiu kogutów rozświetli drogę do domu, przegna Nieprzyjaciela, zatrze granice między lądami, naszymi ciałami, opowieściami – wszystkie fałszem – o naszej tożsamości: jak na tę jedną noc, po której zostaje tylko wyraźna droga do domu i wspomnienie widzianego noworodka – nazbyt wątego – za wiele jest łajna na tych uliczkach, wielbłądy i inne zwierzęta stąpają ciężko na dworze, każde podniesione kopyto grozi skreśleniem go z listy żywych, uczynieniem z niego tylko kolejnego Mesjasza, a przecież jak dotąd na tego małego nikt nie postawiłby złamanego grosza, podczas gdy w miasteczku żydowscy kolaboranci sprzedają informacje Cesarskiemu Wywiadowi, a tamtejsze prostytutki uszczęśliwiają najeźdźców spod znaku napletka, obsługując wszelką nadarzącą się klientelę, podobnie jak karczmarze, którzy naturalnie zacierają ręce z powodu tego spisu, a hen daleko, w stolicy, władza radzi, czy nie należałoby przydzielić każdemu *numeru*, a tak, żeby senat i lud rzymski mogli łatwiej prowadzić ewidencję ludności, nieważne, Herod czy Hitler,

koledzy (kapelani w Ardenach to wychudłe, twarde, tęgie pijaki), właśnie na taki świat („zapomniałeś o Roosevelcie, padre”, dobiegają głosy z tyłu, ale dobry duchowny nigdy nie dostrzega, od kogo pochodzą, ach, jak mu dokuczają, ci kusiecie, nawet w snach: „Wendell Willkie!” „A Churchill?” „Harry Pollitt!”), przyszło to dziecko, które chce wymachiwać mieczem o wadze siedmiu funtów i ośmiu uncji w nadziei, że odkupi ludzkość, rany, powinno od razu leczyć się na głowę...

A jednak w drodze do domu żałujesz, że go nie podniosłeś, nie potrzymałeś trochę na rękach. Że zwyczajnie nie przytuliłeś go do serca, że zmorzony snem nie położył główki na twoim ramieniu. Jak gdybyś to ty jakimś sposobem mógł go ocalić. Zapominając na chwilę, jako kto masz figurować w spisie. Będąc na moment kimś innym, niż jesteś w oczach Cezarów.

*O Jesu parvule,*

Nach Dir ist mir so weh...

Zatem to zbiorowisko, wygnańcy i napalone dzieci, posępni cywile, powołani do wojska w średnim wieku, żołnierze grubiejący mimo głodu i wskutek głodu opuchnięci, tuż przed owrzodzeniem, zachrypli, zakatarzeni, z zaczerwienionymi oczyma, bolącymi gardłami, pęcherzami rozdętymi od moczu, nękani ostrym łamaniem w krzyżu i całodziennym kacem, życzący śmierci szczerze znienawidzonym oficerom, żołnierze, których widziałeś w miastach, osowiałych na służbie, lecz o których zapomniałeś i którzy ciebie też nie pamiętają, świadomi, że powinni złapać trochę snu, zamiast być tutaj i występować przed obcymi, fundują ci to nabożeństwo, które osiąga teraz punkt kulminacyjny w postaci wzniosłego fragmentu jakiejś starodawnej pieśni, głosy nakładają się potrójnie, poczwórnje, wzlatują, odbijają echem, wypełniają całą przestrzeń kościoła – nie ma żadnego nieprawdziwego dziecka, żadnego obwieszczenia o nastaniu Królestwa ani choćby próby ogrzania czy rozświetlenia tej okropnej nocy, jest tylko, niech nas diabli wezmą, nasz obowiązkowy słabowity okrzyk, nasza maksymalna rozpiętość ramion – „Chwała Bogu!” – to wszystko, co możesz zabrać z powrotem do

swej wojennej kwatery, wojennej tożsamości, w marszu po śniegu stratowanym przez stopy i opony ku ścieżce, którą musisz wytyczyć własnoręcznie, samotnie w mroku. Nieważne, czy tego chcesz, czy nie, i ileś mórz przepłynął, czeka cię droga do domu...



Faza paradoksalna, gdy słabe bodźce wywołują silne reakcje... Kiedy to się wydarzyło? We wczesnym stadium snu: nie słyszałeś mosquito ani lancasterów w drodze nad Niemcy, ich silników młócących, szarpiących, rozrywających niebo przez bitą godzinę, ani podmuchów zimowego wiatru pędzącego chmury pod nitowanym stalowym spodem nocy, rozwibrowanej od uporczywości – ze zgrozy – tak wielu bombowców wysłanych na akcję. Twoja sylwetka, oddychająca ustami, samotna, leży nieporuszona na wznak w wąskim łóżku pod ścianą bez obrazów, wykresów, map: pod *notorycznie* pustą ścianą... stopy wskazują rozchylone wysokie okno po przeciwległej stronie pokoju. Wkrada się poświata gwiazd, miarowy odgłos odlatujących bombowców, lodowate powietrze. Stół ugina się od książek o połamanych grzbietach, zabazgranych kartek z nagłówkami „Czas” / „Bodziec” / „Wydzielanie” (30 sek.) / „Uwagi”, filizanek, spodeczków, ołówków, długopisów. Spałeś i śniłeś: tysiące stóp nad twoją głową przelatywały stalowe bombowce, fala za falą. Rzecz działa się pod dachem, w jakiejś wielkiej sali zebrań. Zgromadziło się mnóstwo ludzi. W ostatnich dniach o ustalonych porach koliste białe światło, dość intensywne, prześlizgiwało się w poprzek lub z góry na dół w linii prostej. Naraz pojawia się znowu i jak zwykle przemieszcza się ruchem prostoliniowym, z prawej na lewą stronę. Lecz tym razem nie jest ciągle – rozbłyskuje silnie w formie krótkich wybuchów albo brzęczeń. Jego pojawienie się zrozumiane zostaje przez obecnych jako ostrzeżenie – coś jest na opak, dramatycznie na opak z tym dniem... Nikt nie wie, co zapowiada okrągłe światło. Powołuje się specjalną komisję, wszczyna dochodzenie, odpowiedź jest już prowokacyjnie blisko – ale teraz światło zachowuje się inaczej... Zebranie zostaje odroczone. Widząc światło pobrzękujące w ten sposób, czekasz na coś strasznego – może niezupełnie na nalot powietrzny, ale coś w tym rodzaju. Rzucasz szybkie spojrzenie na zegar. Jest punkt szósta, wskazówki prężą się idealnie

w górę i w dół, i pojmujesz, że to godzina pojawienia się światła. Wychodzisz wieczorem. To ulica przed twym domem rodzinnym: kamienista, poźłobiona, spękana, a w kałużach błyszczy deszczówka. Ruszasz w lewo. (Na ogół śniąc o dzieciństwie, wybierasz krajobraz po prawej stronie – szerokie nocne trawniki, nad którymi górują leciwe orzechy, dalej wzgórze, płot, pustookie konie na łące, cmentarz... W tych snach twoim zadaniem jest często przejście na drugą stronę – pod drzewami, przez ocieniony teren – zanim coś się wydarzy. Nierzadko wchodzisz na ugor tuż pod cmentarzem, pełen jeżyn i królików, gdzie mieszkają Cyganie. Czasem fruniesz. Ale nigdy nie wznosisz się ponad określony pułap. Zdarza się, że czujesz, iż coś cię hamuje, nieubłagane zmusza cię do zatrzymania się: nie jest to paraliżująca groza spadania, a tylko jakby zakaz, od którego nie ma apelacji... i gdy tak krajobraz zaczyna mętnieć... wiesz... że...). Lecz tego wieczoru o szóstej, kiedy rozbłysło światło, skręciłeś w lewo. Z tobą jest dziewczyna, którą rozpoznajesz jako swoją żonę, choć nigdy się nie ożeniłeś; nie widziałeś jej przedtem, a mimo to znasz ją od lat. Nic nie mówi. Dopiero co spadł deszcz. Świat skrzy się, zarysy przedmiotów są bardzo wyraźne, jasność jest nikła i czysta. Gdziekolwiek spojrzysz, wytryskują małe bukiety białych kwiatów. Wszystko rozkwita. Znowu dostrzegasz przelotnie owo okrągłe światło, śledzisz jego osuwanie się po równi pochyłej, jego krótki migot. Mimo pozornej świeżości, niedawnego deszczu i wegetacji scena cię niepokoi. Próbujesz złowić jakiś świeży zapach, który odpowiadałby temu, co widzisz, lecz bezskutecznie. Wszystko jest ciche i bezwonne. Z powodu tak zachowującego się światła coś się wydarzy, a ty możesz tylko czekać. Krajobraz błyszczy. Wilgoć na chodniku. Ściągasz ciepły kaptur na kark i ramiona i masz właśnie powiedzieć do żony: „To najbardziej mętna chwila wieczoru”. Ale jest lepsze słowo niż „mętna”. Szukasz go. To czyjeś imię. Czai się za zmierzchem, klarownością, białymi kwiatami. Do drzwi stuka światło.

Siadasz prosto w łóżku, serce wali ze strachu. Czekasz, aż odgłos się



powtórzy, i uświadamiasz sobie wreszcie obecność bombowców na niebie. Znowu pukanie. To Thomas Gwenhidwy, przyjechał aż z Londynu, żeby ci powiedzieć o biednym Spectro. Przespałeś głośne eskadry, ryczące bez przerwy, lecz obudziło cię wstrzemięźliwe pukanie Gwenhidwy'ego. To coś takiego, co dzieje się w korze mózgowej Psa podczas fazy paradoksalnej.

Teraz duchy tłoczą się pod okapami. Wyprężone między zaśnieżonymi okopconymi kominami, wyrastające pośród szybów wentylacyjnych, nazbyt rozrzedzone, by same wydawać głos, wysuszone na zawsze porywami mokrego wiatru, napięte, acz nigdy nierozzerwane, wychłostane w szklistym łukowatym pościgu po dachach, na wskroś srebrzystych wyżyn, gromadzące się na wybrzeżu, gdzie grępluje się zmarznięte morze. Zbierają się, coraz gęściejsze w miarę upływu dni, angielskie duchy, które kłębią się po nocach, wspomnienia spuszczone ze smyczy na zimę, nasiona, które nigdy się nie przyjmą, zatracone, teraz będące tylko wypowiedanym co jakiś czas słowem, wskazówką dla żyjących – Lisy! – woła Spectro po astralnych przestrzeniach, a krzyk ten przeznaczony jest dla Pointsmana, lecz doktora nie ma i nie dowie się, bo tych kilku ludzi z Sekcji Psi, którzy akurat są i słyszą, otrzymuje kryptonimowe śmiecie tego typu podczas każdego seansu. Jeśli wołanie zostanie upamiętnione, to tylko w notesie Milтона Gloaminga, liczącego słowa – Lisy! – buczy echo popołudniem – Lisy – mówią bardzo czerwone cienkie usta Carrolla Eventyra, etatowego medium „Białego Nawiedzenia”, czerep w gęstych lokach... połowa szpitala Świętej Weroniki skrócona o dach, jak stare opactwo w lek Regis, sproszkowana niby śnieg, biedny Spectro ustrzelony, rozświetlony zaciszny gabinet i wyciemniony oddział unicestwione przez wybuch, a on nie usłyszał nawet nalotu, bo dźwięk się spóźnił, przyleciał po eksplozji, duch rakiety składający wizytę ludziom dopiero co przemienionym przez nią w duchy. A potem cisza. Kolejny „fakt” dla Rogera Mexico, kolejna szpilka z okrągłą główką wbita w mapę, w kwadrat, na który przypada od dwóch do trzech trafień i który spełnia prognozę trzech, ostatnio pomijaną...

Szpilka? Nawet nie tyle, zaledwie dziurka po szpilce w arkuszu papieru, który pewnego dnia zdejmie się ze ściany, gdy już rakiety przestaną spadać albo gdy młody statystyk postanowi zrezygnować ze swych obliczeń, w

arkuszu, który sprzątaczkę wyniosą, podrą, spalą... Pointsman jest sam, kicha bezradnie w spowijanym mrokiem biurze, z zagród dobiega głuche i przytłumione przez chłód szczenie, kręci głową w geście niezgody... w moim wnętrzu, w mojej pamięci... to coś więcej niż „fakt”... nasza wspólna moralność... te tragiczne dni... Dygocze i biegnie spojrzeniem przez pokój ku Księdze, uświadamia sobie, że z początkowych siedmiu właścicieli zostało już tylko dwóch, on sam i Thomas Gwenhidwy, opiekujący się nieszczęśliwymi pod Stepney. Pięć duchów, wyraźnie uszeregowanych w postępie arytmetycznym: Pumm – wypadek samochodowy, Easterling – jeden z pierwszych nalotów Luftwaffe, Dromong – ostrzał niemieckiej artylerii na Shellfire Corner, Lamplighter – bomba latająca, no i teraz Kevin Spectro... Dżip, bomba, działo, V-1 i V-2, i Pointsman nie czuje nic prócz przerażenia, cała skóra go boli z powodu narastającego zawikłania tego wszystkiego, dialektyki, która się narzuca...

– Tak, tak, akurat. Kłątwa mumii. Ty idioto. Chryste, kwalifikuję się chyba do Skrzydła D.

Skrzydło D jest teraz parawanem „Białego Nawiedzenia”. Przebywa w nim kilku prawdziwych pacjentów i niewielu pracowników PISCES tam zachodzi. Personel szpitalny korzysta z osobnej stołówki, ubikacji, kwater, biur, kontynuując swą pracę jak za czasów pokoju i męcząc się z powodu obecności Tamtych. Z kolei kadra PISCES musi ścierpieć ogród i przedwojenne szaleństwo Skrzydła D, rzadko znajdując sposobność, by wymienić informacje na temat terapii albo symptomów. A przecież należałoby się spodziewać większego zacieśnienia więzów. Ostatecznie histeria jest histerią, prawda? Otóż okazuje się, że nie całkiem. Jak długo można czuć się prawomocnie i swojsko w związku z przejściem w inny stan? Od niegroźnych, domowych spisków, węża kłębiącego się w filizance, przez paraliż ręki albo ucieczkę oka na dźwięk słów, które nielecho przerażają, do tego, co Spectro widywał każdego dnia na swoim oddziale, teraz już skreślonym... i co Pointsman dostrzega w swych Psach: Piotrze, Nataszy,

Nikołaju, Siergieju, Katince – albo w Pawle Sergiejewiczu, Warwarze Nikołajewnie i ich potomstwie i – gdy można to wyraźnie wyczytać z min lekarzy... Gwenhidwy ukryty za swoją puszystą brodą, nigdy nie aż tak bierny, jakby może chciał, Spectro śpieszący ze strzykawką do Lisa, kiedy nic nie powstrzyma Odreagowywania Władcy Nocy, chyba że ustanie nalot, rakiety będą zdemontowane, cały film puszczony wspak: od rozbielonej skóry do blachy, od blachy do surówki, od surówki do białego żaru, od żaru do rudy, od rudy do Ziemi. Ale rzeczywistości nie można cofnąć. Każdy rozkwit ognia, po którym następuje wybuch i odgłos nadlatywania, jest (ani chybi umyślną) drwiną z odwracalnego procesu: za każdym razem Władca coraz mocniej legitymizuje swe Państwo, a my, którzy nie możemy go znaleźć ani choćby zobaczyć, w rezultacie myślimy o śmierci nie częściej niż przedtem... bo skoro nie ma żadnej zapowiedzi nalotu, nie ma sposobu, by strącić raketę, udajemy, że żyjemy jak w czasach bez rakiet. Kiedy zaś najgorsze się staje, zadowolamy się określeniem „przypadek”. Albo może nas nakłoniono, byśmy się nim zadowolili. Są jednak takie płaszczyzny, gdzie istnienie przypadku ledwo się zauważa. Niemniej dla pracowników pokroju Rogera Mexico szereg potęgowy:

$$Ne^{-m}\left(1 + m + \frac{m^2}{2!} + \frac{m^3}{3!} + \dots + \frac{m^{n-1}}{(n-1)!}\right)$$

jest muzyką i to nie pozbawioną majestatu, człony ponumerowane według trafień przypadających na jeden kwadrat, rozkład Poissona władający nie tylko tą zagładą, od której nie jest bezpieczny żaden człowiek, ale też upadkami z konia, liczbą krwinek, rozpadem promieniotwórczym, liczbą wojen w roku...

Pointsman stoi przy oknie, a jego mgliście odbitą w szybie twarz przesłania nawiewany śnieg odchodzącego dnia. W oddali pośród wyżyn rozlega się gwizd lokomotywy, ziarnisty jak przedwieczorna mgła: piejący kogut - • - • -  
•, przeciągły świst, znowu kogut, ogień przy torowisku, rakietka, następna

rakieta, w lesie albo alei...

No cóż... Ned, czemu nie wyrzekniesz się Księgi, ot, po prostu nie zrezygnujesz z tych szczątkowych danych, odosobnionych chwil poezji twego Mistrza, przecież to tylko papier, nic więcej, nie potrzebujesz ani tej Księgi, ani jej straszliwej klątwy... zrezygnuj, dopóki nie jest za późno... No tak, bardzo pięknie, czyli miałbym odszczekać wszystko pod stołem? Przed kim? Kto będzie słuchał? Wrócił do biurka i położył na nim dłonie.

Osiół ze mnie. Przesądny osiół. Wałęsa się z pustką w głowie... te zdarzenia nawiedzają go coraz częściej. Jego własny schyłek, mrozący go jak chłód. Pumm, Easterling, Dromond, Lamplighter, Spectro... co powinien był wtedy zrobić, pojechać do Sekcji Psi, poprosić Eventyra, by zorganizował seans, spróbować porozumieć się z którymś... może... tak... Co go powstrzymuje?

– Czy ja przypadkiem – szepcze do szyby, a przydech spółgłosek zwartych zasnuwa zimną szybę pióropuszcami ciepłego i strapionego oddechu – nie mam za dużo dumy?

Nie można, on w każdym razie nie może, pójść tym korytarzem, nie może napomknąć, nawet Rogerowi Mexico, jak bardzo za nimi tęskni... mimo że niezbyt dobrze znał Dromonda i Easterlinga... niemniej... brak mu Allena Lamplighera, dla którego wszystko było dobrym powodem, by się założyć, wiadomo, psy, burze z piorunami, numery tramwajów, podmuch wiatru na rogu ulicy, podryw, zakładał się o to, gdzie spadnie dana bomba latająca, być może... rany boskie... być może założył się nawet o tę, która go zabiła... brak mu fortepianu Pumma i jego podpitego barytonu, jego uganiania się za pielęgniarkami... Spectro... Dlaczego nie może poprosić? Skoro są setki sposobów, by to wyrazić...

Powinienem... powinienem był... W jego życiu jest mnóstwo zaniechań, bez liku „powinienem był”: powinienem był się z nią ożenić, pozwolić, by jej ojciec mną pokierował, powinienem był zostać w Królewskim Towarzystwie Medycznym, być miłszym, więcej się uśmiechać do nieznanym, nawet

dzisiejszego popołudnia do Maudie Chilkes... czemu nie potrafię? Cholerny głupawy uśmiech, dlaczego nie, co go pohamowuje, jakie zasupłanie w mozaice? Przecież za tymi przydziałowymi okularami widać ładne bursztynowe oczy... Kobiety go unikają. Dociera do niego mgliście, w czym rzecz: wydaje się diaboliczny. Na ogół uświadamia sobie nawet, kiedy taki bywa – to stężenie mięśni twarzy, skłonność do nadmiernego pocenia się... lecz najwyraźniej nie potrafi nic na to poradzić, nie potrafi nawet skupić się na dłuższy czas, tak go rozpraszają – i zanim się obejrzy, znów emanuje tą swoją diabolicznością... a ich reakcja jest do przewidzenia, uciekają z krzykiem, który słyszy tylko on i one. Och, jakżeby chciał pewnego dnia dać im prawdziwy powód do wrzasku...

Oho, drgnęła erekcja, toteż dziś wieczorem znowu uśpi sam siebie masturbacją. Pozbawiona radości konstanta, cała instytucja w jego życiu. Jakie obrazy zawirują dokoła, kiedy będzie rozpędzony o krok od świetlistego szczytu? Jak to, oczywiście wieże i niebieska woda, żagle i dachy sztokholmskich kościołów – żółty telegram, twarz wiedzącej już wysokiej i pięknej kobiety zwrócona w jego stronę, gdy on przejeżdża obok w urzędowej limuzynie, kobiety, która potem, trudno podejrzewać, że wskutek przypadku, przyjdzie do jego apartamentów w Grand Hotelu... nie chodzi tylko o rubinowe brodawki i czarny koronkowy komplecik, wiadomo. Wyciszone wejścia prowadzą do pokoi, które pachną papierem, zgodne głosowanie w tej czy owej komisji, przewodniczący, nagrody... co może się z tym równać?! Gdy będziesz starszy, to się dowiesz, powiedzieli. Owszem, i to wciąż w nim potężnieje, każdy kolejny rok wojny równy dwunastu w czasach pokoju, o mój Boże, mieli stuprocentową rację.

Zawsze natomiast wiedział jego fart, jego podkorowy, zwierzęcy fart, ten dar trwania, gdy tymczasem innych, o wiele lepszych od niego, porywa Śmierć, oto są drzwi, te, które tak często sobie wyobrażał w trakcie samotnego tezeuszowego sprzątnięcia korytarzy swego życia: wyjście z ortodoksyjnego pawłowizmu, ukazujące widoki na Norrmalm, Södermalm,

Park Jeleni, Stare Miasto...

Wokół niego jeden za drugim padają ludzie: w niewielkim kręgu kolegów wskaźnik zaczyna się zbliżać do stu procent, coraz więcej duchów każdej zimy i coraz mniej żyjących... ilekroć się to zdarza, Pointsman ma wrażenie, jakby wzory w jego korze mózgowej gasły, zapadały na zawsze w sen, jakby części tego, kim dotąd był, zatracaly wszelkie definiowalne cechy, cofając się do bezrozumnej chemii...

W odróżnieniu od niego Kevin Spectro nie wprowadzał wyraźnych rozróżnień między Stroną Zewnętrzną a Wewnętrzną. Postrzegał korę mózgową jako organ graniczny, jako pośrednika między dwiema sferami, których był elementem. „Gdy już się wejrzy, jak to naprawdę wygląda – rzekł pewnego razu – to czy możliwe, by ktokolwiek z nas mógł funkcjonować osobno?”. On jest moim Pierre’em Janetem, pomyślał Pointsman...

Wkrótce na mocy dialektyki Księgi Pointsman pozostanie sam, na czarnym polu przechodzącym w izotropię, w zero, i jako ostatni będzie czekał, by odejść... Czy starczy czasu? Musi dożyć... spróbować zdobyć Nagrodę, nie dla własnej chwały, nie, lecz żeby dochować wierności ludzkiemu siedmiokątowi, do którego niegdyś należał, tym, którzy nie dotrwali... Setka whisky, on oświetlony z tyłu, samotny w wysokim oknie Grand Hotelu, szklaneczka wzniesiona do subarktycznego jasnego nieba, no to wasze zdrowie, koledzy, jutro wszyscy razem wyjdziemy na scenę, tak się tylko złożyło, że uchwycił się akurat Ned Pointsman, i tyle... „Na Sztokholm” – oto hasło wypisane na jego sztandarach, a potem już tylko rozmazana plama, długi złoty zmierzch...

Trzeba wiedzieć, że kiedyś wierzył, iż czeka na niego Minotaur: zwykł był śnić, że wpada do ostatniej komnaty, z wypolerowanym mieczem we wzniesionej dłoni, wrzeszcząc jak oddział komandosów, wyrzucając wreszcie z siebie to wszystko – oto prawdziwie cudowne zwieńczenie jego wewnętrznego życia, zwieńczenie ostateczne, kiedy tak łeb obraca się w jego



stronę, wiekowy i znużony, nieskory dostrzec człowieczeństwo Pointsmana, gotów tylko przywitać go kolejnym zrutyinizowanym sztychem rogów, ciosem kopyta (ale tym razem wywiąże się bój, z najgłębszych pokładów zwierzęcych trzewi dobywa się ryk, a męstwo i gwałtowność jebanej bestii zaskakują go)... Takie właśnie miewał sny. Inscenizacja i łeb się zmieniały, oprócz zasadniczego zarysu niewiele zostawało po pierwszej filiżance kawy i płaskiej beżowej drażetce amfetaminy. To mógł być wielki parking dla ciężarówek o świcie, dopiero co zlany wodą chodnik, pocętkowany tłustawymi plamami brązu, oliwkowe budy, każda kryjąca tajemnicę, każda w oczekiwaniu... a on wie, że w jednej z nich... i wreszcie, dokonując selekcji, znajduje, kod identyfikacyjny spoza świata dźwięków, wdrapuje się na tył, pod brezent, czeka w kurzu i brunatnym świetle, póki w zamglonym prostokątnym okienku szoferki nie pojawi się łeb, znany mu łeb, który zaczyna się z wolna obracać... podstawowym elementem jest właśnie obracająca się głowa, spotkanie oczu... kroczący dumnie reichssieger von Thanatz Alpdrücken, ten najbardziej nieuchwytny ze wszystkich hitlerowskich psów, wyżeł weimarski, czempion z roku 1941, z numerem ewidencyjnym 416832, wytatuowanym w uchu, paradujący po zlondynizowanych Niemczech, jego myszowata sylwetka oddala się, gna susami w szarzejącym świetle wzdłuż kanałów, gdzie walają się wojenne gruzy, we dwóch wymijają eksplodujące rakiety, pościg trwa, płytka litograficzna wytrawiona w ognistych wybuchach, plan ofiarnego miasta, kory mózgowej człowieka i psa, płat psiego ucha powiewający lekko, w szczycie czaszki wyraźne odbicie zimowych obłoków, w drodze do schronu wyłożonego stalą dobrych parę mil za miastem, opera o iście bałkańskiej intrydze, z której hermetycznego kokonu, spośród klasterów nieregularnie uwydatnionego niebieskiego dysonansu nie potrafi ostatecznie uciec, a to z powodu reichssiegera, który z uporem kontynuuje bieg, prowadzi, pogodny, nieodwołalny, dalej aż do dosłownego pościgu tego, jako kto powraca, musi wracać raz po raz w gorączce ronda, póki wreszcie nie znajdą się na jakimś

stoku pod koniec długiego popołudnia pełnego sygnałów Armagedonu, pośród szkarłatnych kwietników tropikalnych pnączy, złotych ścieżek, gdzie wzlatuje kurz, ze słupami dymu w oddali nad pająkowanym miastem, przez które dopiero co przebiegli, a w powietrzu słycać głosy mówiące o spaleniu Ameryki Południowej na popiół, o nowojorskim niebie, jarzącym się fioletem wskutek wszechwładnego promienia śmierci, i tutaj wreszcie szary pies może się odwrócić i bursztynowe ślepa patrzają prosto w oczy Neda Pointsmana...

Za każdym razem, za każdym obróceniem się łba czuje w sercu i żyłach mróz i zarazem wrzenie, tryumfalne uniesienie, wskutek którego rozbłyskuje jako lodowaty nocoświatlik, flara, tłący się lont, zaczyna się rozrastać, nieogarnione światło, a ściany komnaty żarzą się krwawą barwą, oranżem, następnie bielą, i wreszcie rozsuwają się, rozplývają jak stopiony воск, wszystko, co dotąd było labiryntem, rozpada się kręgami na zewnątrz, heros i chaos, budowniczy i Ariadna zostają strawieni, spaleni w świetle, którym jest on, w szalonej eksplozji, którą jest on...

Lata temu. Sny, które ledwo pamięta. Potem między niego a poszukiwaną bestię wkroczyli pośrednicy. Odmawiają mu nawet drobnej perwersji bycia zakochanym we własnej śmierci...

Lecz teraz wmieszal się Slothrop – nieoczekiwany anioł, termodynamiczna niespodzianka albo cokolwiek innego, czym jest... Czy teraz wszystko się zmieni? Czy Pointsman będzie mógł jednak zmierzyć się z Minotaurem?

Slothrop powinien być w tej chwili na Riwierze, wygrzany, nakarmiony, wydymany jak się patrzy. Tutaj natomiast, w środku angielskiej zimy, porzucone psy wciąż włóczą się po bocznych uliczkach i zaułkach, obwąchują kubły ze śmieciami, ślizgają się na dywanach ze śniegu, walczą, umykają, dygoczą w mokrych kałużach pruskiego błękitu... usiłując uniknąć wszystkiego, czego nie można powąchać albo zobaczyć, co zapowiada swoje przybycie rykiem drapieżnika tak wszechpotężnego, że skomląc, osuwają się w śnieg, przewracają się na grzbiet i wystawiają na cios swe miękkie, nieosłonięte brzuchy...

Czy Pointsman wyrzekł się ich wszystkich na rzecz jednego niezbadanego ludzkiego osobnika? Owszem, miewa wątpliwości co do sensu całego przedsięwzięcia. O „moralną stronę” niech się troszczy pastor Paul de la Nuit, to on sprawuje opiekę duchową nad personelem. Ale... ale co z psami? Pointsman zna je na wylot. Pootwierał z ręcznie wytrychem wszystkie rygle ich świadomości. Nie mają przed nim żadnych tajemnic. Potrafi doprowadzić je do obłądu i odpowiednimi dawkami bromu przywrócić do normalności. Natomiast Slothrop...

Roztrzęsiony pawłowista snuje się po swoim biurze, jest niespokojny, czuje się stary. Powinien się przespać, ale nie może. Z pewnością chodzi o coś więcej niż zwykłe wyrobienie dawno temu odruchów warunkowych u dziecka. Jak mógłby być lekarzem przez tyle lat i nie wykształcić odruchów w reakcji na konkretne uwarunkowania? Wie aż za dobrze, wie, że to coś więcej. Spectro nie żyje, a Slothrop (*sentiments d'emprise*, staruszkę, ciszej teraz) był dwa dni wcześniej z Darlene, zaledwie kilka przecznic od szpitala Świętej Weroniki.

Nawet gdy jedno zdarzenie następuje po drugim z tak straszliwą regularnością, nie przyjmuje się automatycznie, że zachodzi związek przyczynowo-skutkowy. Niemniej szuka się jakiegoś mechanizmu, który nadałby temu sens. Naukowiec sonduje, obmyśla nieśmiało eksperyment... Chociaż tyle, Pointsman jest winien Kevinowi Spectro. Nawet jeżeli w obliczu prawa Amerykanin nie jest zabójcą, z pewnością to chory człowiek. Należy wysledzić etiologię, opracować leczenie.

Pointsman zdaje sobie sprawę, że w tym przedsięwzięciu czai się groźba uwiedzenia. Symetrią... Wiadomo, zdarzało się już, że symetria wiodła go ogrodową ścieżką: w rezultatach pewnych testów... w założeniu, że mechanizm musi przywołać na myśl swe lustrzane odbicie – „promieniowanie”, na przykład, i „wzajemna indukcja”... a kto kiedykolwiek twierdził, że jedno albo drugie z pewnością istnieje? Być może teraz będzie tak samo. Jakże go jednak prześladowa symetria tych dwóch rodzajów tajnej

broni, Zewnętrzna Strona, tam, w trakcie nalotu, odgłosy V-1 i V-2, jeden odwróceniem drugiego... Pawłow pokazał, jak Wewnątrz odbicia lustrzane mogą ulec powikłaniu. Zasada przeciwieństwa. Jaka nowa patologia znajduje się teraz na zewnątrz? Jaka chorobliwość właściwa zdarzeniom – i samej Historii – potrafi stworzyć symetryczne przeciwieństwa takie, jak ta mechaniczna broń?

Znak i symptomy. Czy Spectro miał rację? Czy to możliwe, by Strona Zewnętrzna i Wewnętrzna były częścią tego samego pola? Choćby tylko przez wzgląd... przez wzgląd na uczciwość Pointsman powinien szukać odpowiedzi na styku... prawda?... a więc w korze mózgowej porucznika Slothrop. Facet będzie cierpieł – być może w kategoriach klinicznych zostanie unicestwiony – ale co tam, ilu ludzi cierpi nawet w tej chwili z jego powodu! Na miłość boską, przecież w Whitehall codziennie ważą i podejmują ryzyko, w porównaniu z którym zamiary Pointsmana wydają się prawie niewinne. Prawie. Coś tu jest, nazbyt przezroczyście i szybko, by to uchwycić – ci z Sekcji Psi gadaliby może o ekto plazmie – ale on wie, że nadeszła właściwa pora i że ten osobnik jest w jego rękach. Musi je teraz zacisnąć, w przeciwnym razie będzie skazany na kamienne przedsiionki, których kres poznał. Lecz powinien zachować otwarty umysł – dopuszczać nawet tę ewentualność, że ludzie z Sekcji Psi mają rację. „Wszyscy możemy mieć słuszność – notuje dziś wieczorem w swym dzienniku – tak samo jak słuszne mogą być wszystkie nasze hipotezy i jeszcze coś więcej. Cokolwiek znajdziemy, nie ulega wątpliwości, że w kategoriach fizjologicznych i historycznych ten człowiek jest potworem. Musimy zachować nad nim kontrolę. Myśl o tym, że zniknąłby nam z oczu wśród ludzi po wojnie, napawa mnie głębokim lękiem, którego nie potrafię nijak rozproszyć...”.



W dniach anielskich nawiedzeń i przekazów Carroll Eventyr coraz bardziej czuje się ofiarą swych dziwnych predyspozycji. Swej „cudownej słabości”, jak określiła to Nora Dodson-Truck. Dar ten dość późno się objawił: Eventyr miał już trzydzieści pięć lat, gdy pewnego ranka na Embankment, między jednym a drugim pociąganiem kredką przez chodnikowego artystę – barwa łososiowa wpadająca w płową – pośród tłumu szczupłych ludzkich sylwetek, smutnych jak gałgany i splecionych w oddali z żelaznymi konstrukcjami i nadrzecznym dymem, ktoś zaczął nagle mówić z zaświatów jego ustami, lecz tak cicho, że Nora niewiele z tego usłyszała i nie zidentyfikowała ducha, który nim zawładnął. Zrobiła to dopiero później. Fragment wypowiedzi, część słów przez nią zapamiętanych, był po niemiecku. Postanowiła zapytać męża, z którym miała się spotkać jeszcze tego samego popołudnia w Surrey – spóźniła się sporo, wszystkie cienie, mężczyzn, kobiet, psów, kominów, ciągnęły się już czarne po olbrzymim gazonie, kraj jej welonu przyprószony resztką ochry, ledwie widoczną w przedwieczornym słońcu, rozmazaną w kształcie wachlarza – to właśnie ten kolor chwyciła ze skrzynki ulicznego rysownika, obróciła się z gracją i stawiając pośpiesznie tylko kropki przy czubku buta, grudki brunatnej żółci wtarte w powierzchnię, czepliwe, nakreśliła na chodniku pięcioramienną gwiazdę, tuż obok nieprzyjaznej podobizny Lloyda George’a, skąpanej w tomiłku i morskiej zieleni, następnie pociągnęła Eventyry za rękę, żeby stanął w środku pentagramu, pod diademem rozwrzeszczanych mew, a potem sama poszła za jego przykładem, instynktownie i po macierzyńsku, jak zachowuje się zawsze wobec tych, których kocha. Narysowała swój pentagram całkiem serio. Nigdy nie jest się stuprocentowo bezpiecznym, zawsze gdzieś czai się zło...

Czy już wtedy czuł, że się od niego oddala... i przywołał ducha kontrolnego zza Muru, żeby powstrzymać ten proces? Znikała z jego życia na jawie, jego społeczne oko jak światło na skraju wieczora, kiedy to, być może

przez dziesięć niebezpiecznych minut, znikąd pomocy: włóż okulary i porozpalaj lampy, usiądź przy oknie wychodzącym na zachód, a to wciąż umyka, traci się światło i być może tym razem na zawsze... dobra pora dnia, by nauczyć się kapitulacji, by nauczyć się gaśnięcia jak blask albo muzyka. Ta kapitulacja to jego jedyny dar. Potem niczego nie może sobie przypomnieć. Niekiedy, z rzadka, zdarza się, że zostają intrygujące... nie, nie słowa, lecz raczej aureole znaczeń wokół słów wypowiedzianych najwyraźniej jego ustami, ale nawet jeśli tak się dzieje, trwa to krótko, bo są niczym sny, nie można ich zachować ani wywołać jak kliszy, więc zaraz prysną. Od czasu pierwszej wizyty w „Białym Nawiedzeniu” Rollo Groast już niezliczone razy robił mu elektroencefalogram i wyniki są w normie, no, hm, może raz czy dwa wystrzeliła iglica o amplitudzie pięćdziesięciu mikrowoltów, z lewej i prawej skroni, naprawdę bez żadnej prawidłowości – przez wszystkie te lata wśród badających go toczy się zażarta dyskusja niczym w sprawie wody na Marsie – Aaron Throwster przysięga, że widział zapis w formie wolnych fal delta z lewej strony czoła, i podejrzewa guz, a Edwin Treacle zaobserwował zeszłego lata „przemienność iglic i fal charakterystycznych dla lekkiego napadu padaczki, o dziwo, wolniejszych niż przeciętna trzech na sekundę”, choć trzeba zaznaczyć, że noc poprzedzającą badanie Treacle spędził w Londynie na hulankach z Lamplighterem i jego zgrają hazardzistów. Niespełna tydzień później bomba latająca dała Lamplighterowi szansę, żeby dotarł do Eventyra z drugiej strony i udowodnił, że facet jest tym, za kogo mają go pozostali: stykiem dwóch światów, sensytywem. Lamplighter uznał, że prawdopodobieństwo tego wynosi jak pięć do dwóch. Dotąd jednak milczy: na płytach z polioctanu winylu/metalu ani w maszynopisach nie ma niczego, co nie pochodziłoby od kilkunastu dobrze już znanych duchów...

Przyjeżdżali w swoim czasie nawet aż z instytutu w Bristolu, żeby gapić się, mierzyć i uparcie zaprzeczać dziwakom z Sekcji Psi. Oto, na przykład, zjawiał się Ronald Cherrycoke, znany szeroko psychometra, oczy nieco



rozbiegane, ciemnokasztanowy fular, złamane pióro marki Schaeffer, zmatowiałe binokle z białego złota, ręce o stały cal od ciała, obramowujące opakowane w brązowy papier pudełko, w którym ukryto przed światem pewne wspomnienia z wcześniejszych lat wojny, wszystkie autorstwa pułkownika lotnictwa „Pałkarza” St. Blaise’a, który stacjonował na północy, daleko od Londynu... no i ten Cherrycoke, z wyglądu normalny facet, może z lekką nadwagą, zaczyna czytać głosem środkowoangielskiej obrabiarki poufny raport pułkownika, opowiadający o jego frustracji z powodu łysienia, zachwycie nad kreskówkami z kaczorem Donaldem i zdarzeniu podczas lotu nad Lubekę, którego świadkiem był tylko on i jego skrzydłowy, poległy już, i które postanowili zachować w tajemnicy – nie było to nic wymagającego utajnienia, zostało nawet potem potwierdzone przez samego St. Blaise’a, uśmiechającego się półgębkiem, no tak, dałem się nabrać na ten kawał, to teraz powiedzcie mi chociaż, jak to zrobiliście. Właśnie, a jak Cherrycoke to robi? Którykolwiek z nich? Jak Margaret Quartertone rejestruje na płytach i magnetofonach głosy z odległości wielu mil, nie odzywając się ani nie dotykając fizycznie urządzeń? Co za mówcy zaczynają się tu zbierać? Skąd pochodzą te pięciocyfrowe ciągi, które wielebny doktor Paul de la Nuit, ich kapelan i ekspert od automatyzmu, zapisuje już od tygodni i których – takie panuje złowrogie poczucie – nikt w Londynie nie potrafi należycie odczytać? Co oznaczają ostatnie sny Edwina Treacle’a o lotach, zwłaszcza że zbiegły się w czasie ze snami Nory Dodson-Truck o spadaniu? Cóż to gromadzi się pośród nich, czemu każdy na swój osobliwy sposób może dać wyraz, lecz nie za pomocą słów, nawet nie za pomocą *lingua franca* urzędów? Turbulencje w eterze, niepewność w powiewach karmy. Duchy po drugiej stronie – ci, których nazywamy „zmarłymi” – są coraz bardziej niespokojne i wykrętne. Nawet duch kontrolny Carrola Eventyra, na ogół zrównoważony i sarkastyczny Peter Sachsa, ten, który dawno temu dopadł go na Embankment i potem odnajdywał jeszcze wielokrotnie – ilekroć należało przekazać wiadomość – nawet Sachsa zrobił się nerwowy...

Ostatnio, jak gdyby wszyscy dostroili swoje radiodbiorniki do Programu 10, o każdej porze dnia i nocy w „Białym Nawiedzeniu” pojawiają się przedstawiciele nowych dziwactw, cisi, baczni, z żądaniem, by się nimi zajęto, obładowani urządzeniami z czarnego metalu i szklanego piernika, półprzytomni w gniewnych transach, sparaliżowani hiperkinezą w oczekiwaniu na to jedno właściwe spustowe pytanie, po którym wyplują z siebie serię dwustu słów na minutę, opowiadających o ich nietuzinkowych strasznych właściwościach. Napad. Co sądzić o Gavinie Trefoilu, którego dar nie ma nawet jeszcze nazwy? (Rollo Groast sugeruje określenie „autochromatyzm”). Gavin, najmłodszy ze wszystkich tutaj, potrafi na zawołanie włączyć w swą przemianę materii jeden z aminokwasów, konkretnie tyrozynę. W efekcie powstaje melanina, która jest brązowoczanym pigmentem, odpowiedzialnym za kolor ludzkiej skóry. Umie również powstrzymać procesy metaboliczne wskutek – jak się wydaje – różnicowania poziomu fenyloalaniny we krwi. Potrafi zatem zmieniać kolor, od najbardziej upiornej bieli przechodzi płynnie przez cały wachlarz barw aż do głębokiej, granatowej czerni. Jeżeli skupi się odpowiednio, może zachować nową karnację na każdym etapie zaawansowania przez całe tygodnie. Na ogół bywa jednak rozkojarzony, zapominalski, toteż stopniowo powraca do naturalnego stanu, którym jest bladość piegowatego rudzielca. Nietrudno wszakże wyobrazić sobie, jak bardzo przydał się Gerhardtowi von Göllowi podczas kręcenia filmu o Schwarzkommando: zaoszczędził charakteryzatorom i oświetleniowcom godziny ciężkiej pracy, grając rolę blendy o zmiennej połyskliwości. Najlepszą hipotezę „jak to możliwe” ukuł Roilo, niemniej jest ona beznadziejnie mglista: wiadomo przecież, że znajdujące się w skórze każdego z nas komórki, które wytwarzają melaninę (melanocyty), były w przeszłości, we wczesnym stadium powstania ludzkiego embrionu, częścią ośrodkowego układu nerwowego. W miarę rozwoju, w miarę różnicowania się tkanek, niektóre z komórek oddzielają się od przyszłego ośrodkowego układu nerwowego i przemieszczają do skóry,

gdzie stają się melanocytami. Zachowują swój początkowy wygląd rozłożystego drzewa, zachowują akson i dendryty typowej komórki nerwowej. Lecz teraz dendryty służą do przenoszenia pigmentu skór nego, a nie do przekazywania sygnałów elektrycznych. Rollo Grost wierzy, że istnieje pewne ogniwo, dotąd nieodkryte – jakiś ślad utrwalony pamięci, dzięki czemu komórka, niczym dawna kolonia, wciąż reaguje na sygnały wysyłane przez macierz mózgu. Sygnały, których młody Trefoil być może wcale nie jest świadom. „To fragment – pisze Rollo w liście do doktora Groasta seniora w rodzinnym Lancashire, dokonując wyrafinowanej zemsty za opowieści z czasów dzieciństwa o zielonej topielicy, przyczajonej w moczarach, żeby wciągnąć go do wody – odwiecznego i utajnionego dramatu, w którym ciało ludzkie jest tylko zbiorem aluzyjnych, nierzadko zakodowanych napomknień o repertuarze – to tak, jak gdyby nasze ciało, które potrafimy zmierzyć i zważyć, było za ledwie strzępkiem programu, znalezionym na ulicy w pobliżu okazałego teatru, do którego nie wolno nam wejść. Zawilości języka odmówiły nam posłuszeństwa! Wielka Scena, ciemniejsza niż tradycyjna mroczność przedstawień pana Tyrone’a Guthriego... po złota i zwierciadła, czerwony aksamit, łoże nawarstwione piętami, spowite w cieniu, gdy nagle z głębi proscenium, głębi większej niż mogą określić wszelkie znane nam jednostki miary, jakieś głosy wyjawiają tajemnice, o których nam nigdy się nie mówi...”.

– Wszystko, co pochodzi z OUN-u, musimy gromadzić tutaj, rozumiesz? Po pewnym czasie to robi się cholernie uciążliwe. Większość jest całkowicie bezużyteczna. Ale nigdy nie wiadomo, kiedy będą czegoś potrzebować. W środku nocy albo w trakcie najgorszego bombardowania ultrafioletem, no wiesz, tam im to nie robi różnicy.

– Czy kiedykolwiek przedostajemy się do... hm, na Zewnętrzny Poziom?

(Długa chwila ciszy: starsza robotnica patrzy otwarcie, a na jej obliczu odmalowują się rozmaite uczucia – rozbawienie, litość, troska – aż wreszcie młodsza znowu się odzywa).

- Przepraszam, nie chciałam być...
- (Pośpiesznie) I tak mam ci to powiedzieć w ramach operatywki.
- Co powiedzieć?
- To, co kiedyś i mnie powiedziano. Przekazujemy to sobie z pokolenia na pokolenie. (Nie ma żadnego innego zajęcia, w którym mogłaby znaleźć ucieczkę. Wyczuwamy, że mimo wszystko to się jeszcze nie stało dla niej rutyną. Powodowana przyzwyczajoną, próbuje mówić spokojnie, a nawet łagodnie). Wszystkie przedostajemy się na Zewnętrzny Poziom, mała. Niektóre od razu, inne dopiero po pewnym czasie. Ale prędzej czy później każda musi stąd dotrzeć do Naskórka. Bez wyjątku.
- Musi...?
- Przykro mi.
- Ale czy to nie... Myślałam, że to tylko... no, że to jakiś tam poziom. Miejsce, które się odwiedza, i już. Czy nie...
- Owszem, egzotyczna sceneria i tak dalej, ja też tak kiedyś myślałam, niecodzienna budowa, wgląd w Promienną Zewnętrzną. Nie. To czeka nas wszystkie, rozumiesz? Milionami ekspediuje się nas do powłoki, do keratyny, i nie ma już żadnego uczucia, tylko cisza.
- O Boże. (Chwila milczenia, w której młodsza próbuje to wszystko ogarnąć, po czym w panice odrzuca od siebie usłyszane rewelacje). Nie, jak możesz tak mówić? Nie czujemy *pamięci*? Przyciągania?... Jesteśmy na wygnaniu, a przecież mamy dom! (Druga milczy). Z powrotem! Nie do przodu, ku powłoce, tylko z powrotem do OUN-u!
- (Spokojnie) To było rozpowszechnione przekonanie. Spadające iskry. Fragmenty naczyń rozbitych przy stwarzaniu. I że pewnego dnia, jakimś cudem, przed samym końcem, zbierzemy się z powrotem w domu. Posłaniec z Królestwa, przybywający w ostatniej chwili. Ale mówię ci, że nie ma żadnego posłania, nie ma domu, są tylko miliony ostatnich chwil... nic więcej. Nasze dzieje to suma ostatnich chwil.
- Przechodzi przez wielopłaszczyznową salę, pełną wyściełanych kryjówek,

natartego cytryną drzewa tekowego, kłębow kadzidlanego dymu, błyszczących urządzeń optycznych, wyblakłych perskich dywanów o złotych i szkarłatnych nitkach, rozbebeszonych obwisłych konstrukcji z giętego żelaza, długi, długi marsz po scenie, zjadając pomarańczę, kwaśna cząstka za kwaśną cząstką, suknia z rypsu powiewa cudownie, starannie skrojone rękawy opadają z poszerzonych ramion, zebrane na końcu w formie obcisłych, długich mankietów, zapinanych na kilka guzików, wszystkie w jakimś odcieniu ziemi, dla którego nie ma nazwy – zieleń żywopłotu, gliniasty brąz, ślad utlenienia, tchnienie jesieni – poświata latarni ulicznych przedziera się przez łodygi filodendronów i palczaste liście, trzymane w garści przez resztki odsączonego widnokręgiem słońca, leje się niezmaconą żółcią na stalowe sprzączki, zdobiące podbicia, i spływa po bokach ku wysokim obcasom lakierowanych butów, tak wyglansowanych, że zdają się nie mieć żadnego koloru oprócz łagodnej cytrynowej barwy w tych miejscach, gdzie muska je światło, odrzucane, jak gdyby to był pocałunek masochisty. Uwalniany spod jej kroków dywan oddycha pełną piersią, widać, jak wełniana gęstwina powoli zrzuca z siebie ślady stóp i obcasów. Nad miastem przetacza się odległa eksplozja pojedynczej rakiety, ze wschodu, ze wschodu na południowy wschód. Światło na jej butach płynie szarpanym rytmem jak popołudniowy ruch uliczny. Ona przystaje, przypomniawszy sobie o czymś: suknia-uniform drży, jedwabne włókna dygoczą stłoczonymi tysiącami, gdy chłodne światło prześlizguje się na wskroś i znów dotyka nieosłoniętych pleców. W powietrzu gęstnieje woń palącego się piżma i drzewa sandałowego, woń wyprawionej skóry i rozlanej whisky.

A on – bierny jak w transie, przyzwalając na jej urodę: wejść w niego albo go unikać, cokolwiek sprawi jej przyjemność. Jak miałby być kimś innym prócz potulnego odbiorcy, megafonu wypełniającego ciszę? Wszystkie promienie tego pokoju należą do niej, wodnisty celofan trzeszczy stycznie i błyska jak lanca, gdy ona obraca się na osi swych obcasów, by zawrócić z obranej drogi. Czy możliwe, że kocha ją już ponad dziesięć lat? To

niewiarygodne. Koneserkę „cudownych słabości”, powodowaną nie żadną żądzą ani choćby zachcianką, lecz próżnią: brakiem ludzkiej nadziei. Jest przerażająca. Ktoś nazwał ją erotyczną nihilistką... każdy z nich, Cherrycoke, Paul de la Nuit, a nawet, jak sobie wyobraża, młody Trefoil Gavin, nawet – tak przynajmniej słyszał – Margaret Quartertone, wszyscy zostali wykorzystani do ideologii Zera... żeby tylko wielka odmowa Nory wzbudzała jeszcze większą grozę. No bo... jeżeli ona go kocha, jeżeli wszystkie jej słowa, jeżeli to dziesięciolecie spotkań i rozmów cokolwiek znaczy... jeśli ona go kocha i nadal będzie zaprzeczać mu, w stosunku pięć do dwóch zaprzeczać jego zdolnościom, zaprzeczać temu, co jest rozmieszczone w jego wszystkich komórkach... wówczas...

Jeśli go kocha. Jest nazbyt bierny, nie ma ikry, żeby wniknąć śmiało, jak próbował Cherrycoke... Cherrycoke to naturalnie oryginał. Za często się śmieje. I to nie bez powodu, tylko z czegoś, co, według niego, dostrzegają też inni. Oglądamy wszyscy jakąś mało zabawną kronikę filmową, snop światła z projektora strzela mleczną bielą, gęstniejąc od dymu z fajek, cygar i niezbyt drogich papierosów... rozświetlone sylwetki żołnierzy i młodych kobiet są konturami chmur: męskie sukno amerykańskiej czapki, wcinające się w zaciemnione kino, walcowata połyskliwość nogi w jedwabnej pończosze, nogi wciśniętej leniwie palcami między dwa fotele przedniego rzędu, poniżej ocienione ostro ciemnością turbany aksamitu i upierzone rzęsy. Pośród tych ledwo widocznych i pożądlivych par nocy Roland Cherrycoke śmieje się i obnosi ze swym osamotnieniem, kruchy, ze skłonnością do załamania, wydzielając gumę z fałd osobliwego nieprzemakalnego płaszcza, uszytego z najbardziej nietrwałego plastiku... Ze wszystkich „cudownych słabeuszy” Nory to on wypuszcza się na najniebezpieczniejsze wyprawy w jej próżnię, poszukując serca, któremu podałyby rytm. To musi być dla niej zaskakujące, Nora bez serca, Cherrycoke na kolanach, szperając w jej fatalaskach, przez jego dłonie przelewają się wodospady całych dziejów – błyskają chustki w kolorze żółtawej zieleni, akwamaryny, lawendy, szpilki, brosze, triskeliony



opalizujących skorpionów (jej znak zodiaku) w złotych oprawach, sprzączki od butów, złamane wachlarze z masy perłowej i programy teatralne, zapinki od podwiązek, wąskie ciemne pończochy sprzed czasów ascezy... Cherrycoke na nienawykłych kolanach, dłonie fruują, tańczą, szukają molekularnych śladów jej przeszłości, nietrwałych wśród pochodów przedmiotów, szlak wiedzie przez jego ręce, ona zachwycona, że może udzielić odmowy, kwitując zρέcznie jego uwagi (bliskie celu, nierzadko całkiem trafne), jak gdyby to była komedia z życia wyższych sfer...

Cherrycoke prowadzi niebezpieczną grę. Nierzadko myśli, że już sama masa informacji przelewających się przez jego palce nasyci go, wypali... Jej najwyraźniej zależy, by przytłoczyć go swoją przeszłością, bolesnymi doświadczeniami, ich ostrą wymową świeżo z osetki, podcinającą skrzydła jego nadziei, nadziei ich wszystkich. Żywi dla niej szacunek: zdaje sobie sprawę, że niewiele może złożyć na karb kobiecej kokieterii. Niejednokrotnie zwracała twarz na Zewnętrzną Promienną i zwyczajnie nic tam nie dostrzegła. Toteż za każdym razem wchłania coraz więcej Zera. Wszystko sprowadza się do odwagi, a w najgorszym razie do nikłej odrobiny oszukiwania samej siebie: zmuszony jest to podziwiać, nawet jeśli nie potrafi zaakceptować jej szklistych odpadów, jej wołań nie o dzień gniewu, lecz ostatecznej obojętności... Podobnie jak ona, nie potrafi zaakceptować prawdy, którą zna o samym sobie. Owszem, przydarzają mu się emanacje, impresje... krzyk kamienia... niewidzialne kałowe pocałunki, wszyte w jarzmo starej koszuli... zdrada, informator, którego grzech przeobrazi się pewnego dnia w raka gardła i pobrzmiwać będzie jak dzienne światło w szwach klinów znoszonej włoskiej rękawiczki... Anioł Pałkarza St. Blaise'a, hen, przez niezliczone mile unoszący się nad Lubeką tamtej Palmowej Niedzieli, w dole, pod jego stopami, kopuły w kolorze trującej zieleni, obsesyjnie krzyżujące się ciągi czerwonych dachówek, spływających z tysięcy stromych dachów, gdy tymczasem bombowce wykonywały skręty i pikowały, Bałtyk już niewidoczny w całunie ognistego dymu, i właśnie

wtedy ukazał się Anioł: kryształki lodu z sykiem spływały z tylnych krawędzi skrzydeł, niebezpiecznie pochyłych i rozwartych, kiedy wtargnęli w nową białą otchłań... Doszło do półminutowego przerwania ciszy radiowej. W eter poszły następujące słowa:

St. Blaise: Cudak Drugi, widziałeś to, odbiór?

Skrzydłowy: Tu Cudak Drugi. Widziałem.

St. Blaise: Zrozumiałem.

Zdaje się, że nikt inny z biorących udział w akcji nie słyszał tej rozmowy przez radio. Po locie St. Blaise sprawdził sprzęt tych, którzy wrócili do bazy, ale nie znalazł żadnych usterek: jak można się było spodziewać, wszystkie kryształki na częstotliwości, w zasilaczach żadnej pulsacji – niemniej inni pamiętali, że przez kilka sekund, kiedy trwało nawiedzenie, nawet trzaski ucichły w słuchawkach pilotek. Niektórzy słyszeli piskliwy śpiew – jakby wiatr świstał pośród masztów albo want – inni brzdęk sprężyn w materacu lub anten miskowych na okrętach zimujących w dokach... lecz tylko Pałkarz i jego skrzydłowy to widzieli, przelatując z warkotem przed milami gorejącego oblicza, przed oczyma, które wznosiły się całymi piętrami i śledziły ich lot, tęczęwki czerwone jak żar blednący przez oranż do bieli, kiedy tak zrzucili wszystkie bomby bez żadnego konkretnego porządku, od czego jest kapryśny celownik Nordena, wszędzie w powietrzu kropelki potu dokoła obracającej się źrenicy, zaskoczone niezapowiedzianą koniecznością wzlotu, rezygnacji z ataku na ziemię w zamian za atak na niebo...

Podpułkownik St. Blaise nie zamieścił relacji ze spotkania z Aniołem w swym oficjalnym raporcie, bo pani oficer z Pomocniczych Sił Lotnictwa, która go przesłuchiwała, znana była w całej bazie jako najgorsza, najbardziej przyziemnie myśląca zołza (napuściła psychiatrów na Blowitta z powodu tęczowych walkirii nad Peenemünde, a na Creephama za jasnoniebieskie duszki, które umykały jak karaluchy spod skrzydeł jego typhoona i lądowały delikatnie na drzewach Hagi na małych spadochronach w tym samym, co one, kolorze). Ale jasna cholera, to nie była chmura. W ciągu dwóch tygodni

między zbombardowaniem Lubeki a wydaniem przez Hitlera rozkazu do przeprowadzenia „ataków odwetowych” – to jest użycia broni V – historia o Aniele rozniosła się wśród ludzi. Chociaż podpułkownik był przeciwny, Roland Cherrycoke uzyskał zgodę na zbadanie niektórych przedmiotów, użytych w trakcie tamtego lotu. W ten sposób natrafiono na ślad Anioła.

Następnie Carroll Eventyr spróbował dotrzeć do skrzydłowego podpułkownika, nazwiskiem Terence Overbaby. Niestety, Overbaby został napadnięty przez chmurę meserszmitów i zestrzelony. Przekazy były niejednoznaczne. Peter Sachsa dawał do zrozumienia, że w istocie jest wiele rodzajów anielskich istot, które mogą się łączyć z tą sprawą. Z aniołem Overbaby’ego nie tak łatwo się skontaktować, jak z innymi. Problem stanowią poziomy, no i Sąd w rozumieniu tarota... To efekt burzy, która szaleje wśród wszystkich, po obu stronach Śmierci. Nieprzyjemne. Po tej stronie Eventyr czuje się niecznie wykorzystany, a nawet skrzywdzony. Po tamtej zaś Peter Sachsa nieoczekiwanie wypada z dotychczasowej roli i przejawia tęsknotę za życiem, za czasami pokoju, za weimarską dekadencją, dzięki której miał pełny brzuch i podróżował. Przeniesiony brutalnie w 1930 roku w zaświaty na skutek uderzenia pałąk policyjną podczas zamieszek w Neukölln, wspomina teraz z sentymentem tamte wieczory: polerowane ciemne drewno, dym z cygar, kobiety w rzeźbionych jadeitach, pannę, oparach olejku z damasceńskich róż, na ścianach nowe drętwe pastele, najmodniejsze narkotyki w szufladkach niejednego stołu. Ukazywało się więcej niż zwykły Kreiss, na ogół wieczorami rozkwitały całe mandale: wszystkie sfery społeczeństwa, wszystkie stołeczne dzielnice, dłonie na tym słynnym krwistym fornirze, dotykające się tylko małymi palcami. Stolik Sachsy przypominał głęboką sadzawkę w środku lasu. Pod powierzchnią coś się kotłowało, wiło, zaczynało wynurzać... Pewnego wieczoru Waltera Auscha („Taurusa”) nawiedziło coś tak niebywałego, że trzeba było trzech „hieroponów” (250 mg), żeby powrócił do rzeczywistości, i nawet wtedy nie chciał zasnąć. Wszyscy stali w nierównych szeregach, przypominających

układy gimnastyczne, i patrzyli na niego, Wimpe z IG, który akurat trzymał hieropon, dostrajając się do Sargnera, cywila przydzielonego do Sztabu Generalnego, z prawej strony porucznik Weissmann, dopiero co ściągnięty z Afryki Południowo-Zachodniej, z lewej przywieziony do Niemiec adiutant Weissmanna z plemienia Hererów, gapiący się, gapiący na wszystkich i wszystko... podczas gdy za nimi poruszała się szemrząca fala pań, błyski cekinów i pończoch o wysokim albedo, gustownie nosowa trwoga czarno-białych makijaży, oczy wybałuszone, och, och... Każda twarz, która przyglądała się Walterowi Aschowi, była sceną w teatrze marionetek, każda odrębnym spektaklem.

...pokazuje dobrze ręce tak zwis i nadgarstki na tyle na ile lek rozluźniający mięśnie zahamowanie oddechu...

...taki sam... taki sam... moja własna twarz blada w lustrze trzecia trzeciatrzydzieści czwarta marsz godzin cyka zegar pokój nie nie można wejść nie ma dość światła nie ma dość aaaach...

...spektakl nic tylko Walter naprawdę patrz na głowę pod trefnym kątem chce chwycić światło dobrze nasycenie rzuca żółty żel...

(Nadmuchiwana zabawkowa żaba wskakuje na rozedrgany liść lilii wodnej: pod powierzchnią czai się zgroza... późna niewola... ale unosi się teraz nad głową tego, co zabierze go z powrotem... z jego oczu nic się nie da wyczytać...)

...mba rara m'ero to ondjoze... mbe mu munine m'oruro to ajo u n'omuinjjo (wstecz dalej niż to jest spleciona przędza albo olinowanie, gigantyczna sieć, szarpana skóra, mięśnie w żelaznym uchwycie czegoś, co przyszło stoczyć bój, gdy zapada głęboka noc... i do tego poczucie nawiedzenia przez zmarłych, a potem odbierające siły wrażenie, że oni nie są tak przyjaźni, jak się zdawało... obudził się, płakał, poszukiwał wyjaśnienia, ale nikt nie powiedział mu niczego, w co mógłby uwierzyć. Zmarli z nim rozmawiali, zjawili się i usiedli obok, wypili z nim mleko, opowiadali historie o przodkach albo o duchach z innych części *veldu* – bo po ich stronie czas i

miejsce nie mają znaczenia, wszystko jest zespolone).

– Są pewne socjologie – Edwin Treacle, z włosami rozwianymi we wszystkich kierunkach, próbuje zapalić fajkę nabitą żałosnymi śmieciami: jesienne liście, kawałki sznurka, niedopałki po papierosach – w które nie wniknęliśmy jeszcze ani na krok. Socjologia naszego personelu, na przykład. Sekcji Psi, Towarzystwa Badań Parapsychicznych, starych pań w Altrincham, próbujących przywołać Diabła. My wszyscy po tej stronie, rozumiecie, jesteście tylko połową całej historii...

– Mów za siebie. – Roger Mexico jest dziś rozproszony tysiącem spraw: obliczenia chi-kwadrat, które się nie zgadzają, zagubione podręczniki, nieobecność Jess...

– To nie będzie miało żadnego sensu, dopóki nie weźmiemy pod uwagę tych, którzy przeszli na drugą stronę. Przecież obcujemy z nimi, prawda? Poprzez takich speców jak Eventyr i jego duchy kontrolne. Wszyscy razem tworzymy pojedynczą subkulturę, metapsychiczną społeczność, jeśli wolicie.

– Ja nie tworzę – odpowiada oschle Mexico – ale zgoda, uważam, że ktoś powinien mieć w to wgląd.

– Są takie ludy, ci Hererowie na przykład, dla których kontakty ze zmarłymi to chleb powszedni. Zmarli są tak rzeczywiści, jak żywi. W jaki sposób możemy ich zrozumieć, jeżeli nie będziemy podchodzić z takim samym naukowym nastawieniem do obu światów, rozdzielonych murem śmierci?

Lecz, wbrew nadziejom Treacle'a, dla Eventyra to jest coś więcej niż tylko społeczna transakcja. Bo po jego stronie brak pamięci, brak osobistego zapisu. Pozostaje mu tylko czytać o wszystkim w notatkach współpracowników i słuchać płyt. Musi więc ufać innym. A to bardzo powikłany układ międzyludzki. Eventyr skazany jest bowiem na uzależnienie najważniejszej części swego życia od uczciwości ludzi obarczonych pośrednictwem między tym, za kogo uchodzi, a tym, kim jest. Zdaje sobie sprawę, że znajduje się bardzo blisko Sachsy po drugiej stronie, ale nie

*pamięta* spotkań z nim, ponadto wychowany na chrześcijanina, na zachodniego Europejczyka, który wierzy w prymat „świadomego ja” i jego pamięci, uznając całą resztę za rzecz anormalną lub błahą, czuje się znękany, i to głęboko...

Zapiski z seansów są w równej mierze dokumentami dotyczącymi Sachsy, jak i duchów, z którymi nawiązuje kontakt. Opowiadają, dość szczegółowo, o jego obsesyjnej miłości do Leni Pökler, która była żoną młodego chemika, a zarazem aktywną członkinią Komunistycznej Partii Niemiec. Kursowała między dwunastą dzielnicą a domem Sachsy. Ilekroć przychodziła wieczorem, zbierało mu się na płacz na widok jej zniewolenia. Z rozmazanych oczu wyzierała najczystsza nienawiść do życia, którego za nic nie chciała się wyrzec: niekochany mąż i dziecko obdarzane niedostateczną miłością, co było powodem nieuchronnego poczucia winy.

Jej mąż Franz miał powiązania – nazbyt niejasne dla Sachsy, by mógł coś konkretnego o nich przekazać – z pionem zaopatrzeniowym w wojsku, istniały zatem bariery ideologiczne, których przełamać oboje nie mieli siły. Ona brała udział w akcjach ulicznych, on zaś co rano stawiał się w zakładach rakietowych w Reinickendorf, wypiwszy szklanekę herbaty w pokoju pełnym kobiet, które zdawały się posępne i zniecierpliwione jego obecnością: przynosiły stosy ulotek, plecaki wypchane książkami albo gazetkami politycznymi, napływając o wschodzie słońca przez nędzne podwórka Berlina...





Dygoczą i są głodni. W *Studentenheim* nie ma ogrzewania ani światła, są za to miliony karaluchów. Woń kapusty – starej Drugiej Rzeszy – babcinej kapusty, swąd wypalanej słoniny, który z biegiem lat pojednał się z usiłującym go zmóc powietrzem, odory przewlekłych chorób i nieustannego przebywania w zamkniętym pomieszczeniu odbijają się od splekanych ścian. Jedna z nich pomazana jest na żółto fekaliami z rury pękniętej piętro wyżej. Leni siedzi na podłodze w towarzystwie czterech czy pięciu innych; krąży skibka czarnego chleba. W wilgotnym gnieździe ze starych egzemplarzy „Der Hoch”, których nikt już nie przeczyta, śpi jej córeczka Ilse, oddychając tak płytko, że prawie niedostrzegalnie. Jej rzęsy rzucają ogromne cienie na łukowate szczyty policzków.

Tym razem odeszły na dobre. Ten pokój nada się na dzień, może dwa... co będzie potem, Leni nie ma pojęcia. Wzięła tylko jedną walizkę. Czy Franz zdaje sobie sprawę, co to znaczy dla kobiety urodzonej pod znakiem Raka, dla matki, spakować cały dobytek do jednej walizki? Ma przy sobie zaledwie kilka marek, on zaś swoje zabawki, które wysyła na Księżyc.

Pójdzie stąd prosto do Petera Sachsy, jak o tym nieraz marzyła. Jeśli jej nie przygarnie, to przynajmniej pomoże znaleźć pracę. Tyle że teraz, kiedy już naprawdę zostawiła Franza... coś się pojawiło, jakaś przykra wrogość znaków ziemskich, która co pewien czas daje o sobie znać w zachowaniu Petera... Ostatnio jego nastroje niemile ją zaskakują. Zdaje się, że jest pod presją czynników wyższych niż zwykle i nie bardzo sobie z tym radzi...

Ale nawet najgorsza infantylna wściekłość Petera jest lepsza od najspokojniejszych wieczorów z rybim mężem, pływającym po morzach swych fantazji, opętanym pragnieniem śmierci, mistycyzmem – Franz to akurat ten typ człowieka, którego potrzebują. Wiedzą, jak takich wykorzystać. Wiedzą, jak wykorzystać prawie każdego. A co się stanie z tymi, których wykorzystać nie potrafią?

Rudi, Wania, Rebeka, oto kadr z berlińskiego życia, kolejne arcydzieło wytwórni „Ufa”, odrobina „Studenta żebraka”, krztyna słowiańszczyzny, szczypta żydostwa, wymieszać i proszę spojrzeć: oto Rewolucja. Oczywiście nie ma żadnej rewolucji, nawet w kinach, nie ma niemieckiego „Października”, bo skąd, pod rządami tej Republiki? Rewolucja umarła wraz z Różą Luksemburg – Leni była wtedy młodą dziewczyną i polityczną dziewczyną. Teraz pozostało tylko wierzyć w Rewolucję-na-Wygnaniu, w ciągłość, która przetrwała przez te weimarskie lata na posępnych obrzeżach i która czeka na swoją chwilę i nowe wcielenie Róży...

ARMIA KOCHANKÓW JEST DO POKONANIA. Takie napisy pojawiają się nocą na ścianach czerwonej dzielnicy. Nikt nie potrafi wykryć autora ani bazgrzącego wandalę, co pozwala przypuszczać, że jeden jest drugim. Dość, by uwierzyć w świadomość klasową. To są nie tyle hasła, ile treść, odsłonięta, by lud ją przetrwał, rozwinął, przekuł w czyn...

– To prawda – odzywa się Wania – popatrzcie na formy kapitalistycznego ucisku. To są pornografie: pornografie miłości, miłości erotycznej, miłości chrześcijańskiej, miłości chłopca do jego psa, pornografie zachodów słońca, pornografie zabijania, pornografie potrąconego procentu – och, to westchnienie, gdy domyślamy się, kto jest mordercą – wszystkie te powieści, wszystkie filmy i pieśni, którymi próbują nas ukołysać, to bardziej lub mniej wygodne próby osiągnięcia Absolutnego Komfortu. – Przerywa, by Rudi mógł uśmiechnąć się kwaśno. – Którym jest samoistny orgazm.

– Absolutnego? – Rebeka zbliża się na gołych kolanach, by podać mu chleb, wilgotny, rozmokły od dotyku jej mokrych ust. – Dwoje ludzi...

– O dwojgu ludziach to się dużo mówi. – Rudi bynajmniej się nie uśmiecha. Ze skupienia Rebeki, niestety, kolejny już raz tutaj, wyziera wyrażenie: „męska supremacja”... dlaczego tak bardzo hołubią swoje masturbowanie się? – Ale w naturze niemal zawsze odbywa się to samotnie. Wiesz przecież.

– Wiem tylko, że można szczytować razem – kwituje ona. Choć nigdy nie

poszli razem do łóżka, wypowiada te słowa tonem wyrzutu, lecz on się odwraca, jak odwracamy się wszyscy, gdy ktoś właśnie odwołał się zawstydzająco do wiary, w którą nie sposób głębiej wniknąć.

Leni, z głębin czasu zmarnowanego z Franzem, wie dostatecznie dużo o samotnym szczytowaniu. Z początku jego bierność w ogóle nie pozwalała jej przeżywać orgazmu. Potem uzmysłowiła sobie, że może marzyć, o czym zechce, by wypełnić wolność od niego. Wówczas zrobiło się komfortowo – potrafiła sobie wyobrazić ogromną czułość między nimi (niebawem wyobrażała sobie też innych mężczyzn) – choć zarazem była jeszcze bardziej samotna. Jej rysy nie wyostrzały się dostatecznie szybko, usta nie nauczyły się w porę ścinać pośrodku miękkiej twarzy, którą zaskakiwała samą siebie, twarzy dziecka śniącego na jawie, zdradzającej ją przed każdym, kto patrzył, bo to był ten sam rodzaj sflaczenia, rozlanej słabości, która powoduje, że mężczyźni postrzegają ją jako Niezaradną Dziewczynkę – widziała to nawet w oczach Petera – i marzyła też o tym samym, jak wtedy ilekroć Franz stękał w sieci własnych tęsknot za bólem, o delikatności, świetle, jej przestępcze serce zostaje odkupione, nie trzeba już uciekać ani szamotać się, przybywa mężczyzna spokojny jak ona i silny, ulica staje się odległym wspomnieniem, marzyła o tym samym, na co tutaj może sobie pozwolić tylko w skromnej mierze. Zdaje sobie sprawę, co powinna sobą uobecniać. Zwłaszcza gdy Use coraz częściej się jej przypatruje. Nie pozwoli, by małą wykorzystano.

Na wpół flirtując, Rebeka droczy się z Wanią, który usiłuje utrzymać dyskusję na poziomie intelektualnym, lecz Żydówka raz po raz powraca do cielesności... do zmysłów: wewnętrzna strona jej ud tuż nad kolanami, gładkich jak oliwa, wszystkie mięśnie napięte, czujna twarz, udaje *Judenschнауze*, wypycha szczękę, błyska język oblizujący pełne wargi... jak by to było iść z nią do łóżka? Zrobić to nie tyle z kobietą, ile z Żydówką... Ich zwierzęca śniadość... spocony zad, nacierający agresywnie na jej twarz, pośladki okolone ciemniejszymi zgrabnymi łukami czarnych włosów, wyrosłych ze szpary... głowa odwrócona do tyłu, uśmiech prostackiego

zachwytu... wszystko całkiem znienacka, w trakcie chwilowego schronienia się w bladej żółtym pokoju, podczas gdy za ścianą korytarzami wędrują mężczyźni z otępiłymi uśmiechami na twarzach... „Nie, nie, nie tak mocno. Bądź delikatna. Powiem ci, kiedy trzeba mocniej...”. Bladeść, niewinny wygląd Leni, ciemna karnacja Żydówki, jej surowość, kontrastująca z delikatnością figury i skóry Leni, kości miednicy rozpinające płynnie pajęczyny do pachwin i wkoło brzucha, obie kobiety osuwają się, warczą, sapią... Wiem tylko, że można szczytować razem... ale Leni budzi się sama – Żydówka jest już w innym pomieszczeniu – nigdy nie wyczuwa chwili, kiedy zapadnie w swój prawdziwy dziecięcy sen, łagodną odmianę świadomości, której nigdy nie zaznała przy Franzu... Cesała więc i szarpała palcami swe włosy, by pokazać, co myśli na temat nocnej klienteli, i szła spacerem do łaźni, rozbierała się, nie zważając, czyje oczy są w nią wlepione, ześlizgiwała się w ciepłość ciała, w jej typowe pachnidła... Naraz, mimo okrzyków i wilgoci, które mogły utrudnić skupienie, zobaczyła na jednym ze stopni spoglądającego na nią... Tak, to był Richard Hirsch, z Mausigstrasse sprzed wielu laty... od razu zdała sobie sprawę, że jej twarz nigdy nie wyglądała bardziej bezbronne – wyczytała to z jego oczu...

Wokół inni pluskali się, kochali, kontynuowali komiczne monologi, być może byli to jego przyjaciele – tak, czy to nie ten Siggi przepłynął obok żabką, nazywaliśmy go „Troll”, nie urósł od tego czasu ani o centymetr... odkąd biegaliśmy do domu wzdłuż kanału, potykaliśmy się i upadaliśmy na najtwardsze kocie łby na całym świecie, budziliśmy się rankiem, by zobaczyć śnieg na szprychach kół, parę buchającą z nozdrzy starej chabety... Leni, Leni. Włosy zaczesane do tyłu, ciało złociste, nachylone, by ją dźwignąć z zamglonej wody i posadzić przy sobie.

– Przecież ty... – Jest podekscytowana, nie wie, jak to powiedzieć. – Ktoś mi mówił, że nie wróciłeś z Francji... – Spuszcza wzrok na kolana.

– No nie, we Francji nie zatrzymałyby mnie nawet Francuzki. – Jest obok, ona wyczuwa, że próbuje zajrzeć jej w oczy: mówi jakże prostymi słowami,

jest taki żywy, pewien, że Francuzki są bardziej zniewalające od angielskich karabinów maszynowych... Przepelniona tęsknotą za jego niewinnością, wie, że na pewno z nikim tam nie był, że Francuzki wciąż są dla niego pięknymi i nieosiągalnymi posłanniczkami Miłości...

Po Leni nie widać teraz spracowania – w ogóle. Jest dziewczyną, na którą patrzył w parkowych alejach albo którą spotykał w drodze do domu na Gassen w zaskorupiałym brunatnym świetle, jej twarz, dość wtedy nalana, spuszczone, jasne brwi zasępione, tornister z książkami na plecach, ręce w kieszeniach fartuszka... niektóre kamienie w murze były białe jak surowe ciasto... być może i ona widywała go, idącego w przeciwną stronę, ale był starszy, zawsze w towarzystwie kolegów...

Teraz wszyscy dokoła trochę się uspokajają, stają się wyczuleni, nawet nieśmiali, szczęśliwi, że Richard i Leni się odnaleźli.

– Lepiej późno niż wcale! – piszczy Siggi natarczywym głosem karła, zbliżając się na palcach, żeby dolać majowego wina do wszystkich kieliszków.

Leni idzie do fryzjera, bo chce zmienić uczesanie i rozjaśnić włosy o ton; towarzyszy jej Rebeka. Pierwszy raz planują przyszłość. Bez jednego dotyku Leni i Richard zakochują się w sobie, jak powinni byli zakochać się przed laty. Rozumie się, że zabierze ją ze sobą...

Ostatnio zaczynają się pojawiać znajomi z lat gimnazjalnych, przynoszą egzotyczne jedzenie i wino, nowe narkotyki, wprowadzają rozluźnienie i uczciwość w sprawy cielesności. Nikt się nie przejmuje nagością, nie odczuwa wstydu ani lęku z powodu wielkości swych piersi czy penisa. Pokazują sobie nawzajem swoje ciała... To wszystko jest dla nich przecudownym odprężeniem. Leni obrabia w ustach nowe nazwisko: „Leni Hirsch”, czasem robi to nawet wtedy, gdy rankiem siedzi z Richardem przy kawiarnianym stoliku. „Leni Hirsch” – mówi. Na to on się uśmiecha speszony, próbuje odbiec spojrzeniem w bok, lecz nie potrafi uciec od jej oczu i wreszcie śmiało odwraca się do niej, śmieje się gromko

najradośniejszym śmiechem i wyciąga rękę, tę ukochaną dłoń, żeby ująć jej twarz...

Wczesnym wieczorem pośród wielopiętrowego skupiska balkonów, tarasów, publiczności pogrupowanej na różnych poziomach – wszyscy wpatrzeni w dół, we wspólny im środek, galerie pełne młodych kobiet, przystrojonych w talii soczystymi liśćmi, wysokie wiecznozielone drzewa, trawniki, płynąca woda i patriotyczne namaszczenie – prezydent załamuje się nagle w samym środku apelowania do Bundestagu swym nosowym głosem zakatarzonego o wyasygnowanie olbrzymich kwot na wojnę i mówi: „Pierdolę to...”. *Fickt es*, te wkrótce unieśmiertelnione słowa rozbrzmiewają po niebie, rozbrzmiewają po całym kraju, *Ja, fickt es!* „Wszystkich żołnierzy wysyłam do domu. Pozamykamy fabryki broni, całe uzbrojenie wrzucimy do morza. Mam dość wojny. Dość mam budzenia się co rano z lękiem, że umrę”. Raptem niepodobna już go nienawidzić: jest teraz ludzki, śmiertelny, jak każdy z nas. Będą nowe wybory. Lewica wystawi kobietę, której nazwiska nie podaje się do publicznej wiadomości, ale wszyscy domyślają się, że jest nią Róża Luksemburg. Inni kandydaci będą tak niekompetentni i bezbarwni, że nikt na nich nie zagłosuje. Pojawi się szansa dokonania Rewolucji. Prezydent obiecał.

Niewiarygodna radość w łaźni, wśród przyjaciół. Prawdziwa radość: wydarzenia procesu dialektycznego nie potrafią wywołać takiej eksplozji serc. Wszyscy są zakochani...



## ARMIA KOCHANKÓW JEST DO POKONANIA.

Rudi i Wania wdali się w kłótnię o taktykę akcji ulicznych. Gdzieś cieknie woda. Ulica się wkrada, wszędzie wyczuwa się tego intruza. Leni zna ją i jej nienawidzi. Niepodobna odpocząć... musi zaufać nieznanym, którzy być może są policyjnymi szpiclami, jeśli nie teraz, to później, kiedy już ulica wyludni się do tego stopnia, że nie będą mogli tego znieść.. Chciałaby znać sposób, by uchronić przed tym swoje dziecko, ale teraz jest już chyba za późno. Franz – Franz nigdy nie przebywał za dużo na ulicy. Zawsze miał jakąś wymówkę. Bał się funkcjonariuszy urzędu bezpieczeństwa, bał się, że zostanie uwieczniony przypadkowo przez jednego z tych fotografów w skórzanych płaszczach, którzy zawsze krążą na obrzeżach manifestacji. Albo: „Co zrobimy z Ilse? A jeżeli dojdzie do przemocy?”. Jeżeli dojdzie do przemocy, to co zrobimy z Franzem?

Usiłowała mu wytłumaczyć, jaki poziom osiąga człowiek, gdy tkwi w tym po uszy, gdy całkowicie wyzbywa się strachu, gdy wnika w chwilę, wślizguje się idealnie w jej rowek, szary jak metal, lecz miękki jak lateks, i teraz już postacie tańczą, każda dokładnie tam, gdzie przewidziano w choreografii, błysk kolan spod kraju perłowej sukienki, kiedy dziewczyna w chustce kuca, żeby podnieść brukowiec, mężczyzna w czarnej marynarce i brązowym pulowerze chwycony przez policjantów za ręce, usiłujący utrzymać w górze głowę, szczerzący zęby, starszy liberał w brudnym beżowym palcie, robiący krok do tyłu, by nie wpadł na niego ślaniający się manifestant, spojrzenie przez ramię: co za bezczelność, albo: ja nie mam z tym nic wspólnego, okulary wypełnione blaskiem zimowego nieba. Oto jest chwila i jej ewentualności.

Wykorzystując jaką taką znajomość analizy matematycznej, usiłowała przedstawić mu to jako  $\Delta t$  zbliżający się do zera, jako wieczne przybliżanie się, coraz mniejsze odcinki czasu, ciąg pokojów, z których każdy kolejny ma coraz srebrzystsze, coraz bardziej przezroczyste ściany, gdy tymczasem

nadciąga kryształowe światło zera...

Pokręcił głową.

– To nie to samo, Leni. Istotne jest, by funkcja osiągnęła granicę. At to po prostu udogodnienie, żeby mogło się tak stać.

Ma – a raczej miał – dar niszczenia kilkoma słowami wszelkiego entuzjazmu. Słowami, których nawet specjalnie nie dobierał. Robił to instynktownie. Gdy szli do kina, zasypiał w trakcie projekcji. Przespał „Nibelungów”. Przegapił Huna Attyłę gnającego ze wschodu, by rozgromić Burgundczyków. Lubił filmy, ale właśnie tak je oglądał, na zmianę zapadając w sen i przytomniejąc.

– Ty jesteś wyznawcą przyczynowości! – krzyknęła.

Jak łączył ze sobą fragmenty, które widział, gdy przypadkiem otworzył oczy?

Owszem, był wyznawcą przyczynowości: ganił Leni bezlitośnie za astrologię, mówił, w co ma wierzyć, a potem temu zaprzeczał.

– Przyptywy, zakłócenia fal radiowych, cholera wie, co jeszcze. Jak zmiany tam miałyby wywoływać zmiany tutaj?

– Nie wywoływać – usiłowała tłumaczyć. – To nie chodzi o powodowanie czegoś. To wszystko rozgrywa się razem. Paralelnie, nie po kolei. Metafora. Znaki i symptomy. Przeporządkowanie różnych równorzędnych systemów, no nie wiem... – Nie wiedziała, próbowała tylko trafić w sedno.

Ale on odpowiadał:

– Wobec tego opracuj coś w ten sposób i zobacz, czy będzie działało.

Obejrżeli „Kobietę na Księżycu”. Franz był ubawiony, protekcyjny. Zwrócił uwagę na kwestie techniczne. Znał paru ludzi, którzy pracowali przy efektach specjalnych. Leni zobaczyła marzenie o lataniu. Jedno z wielu możliwych. Prawdziwe latanie i marzenie o lataniu idą w parze. Są częścią tego samego ruchu. Nie A przed B, lecz razem...

Czy z nim cokolwiek mogło trwać? Gdyby ten szczywany lis Pflumbaum nie podłożył ognia pod własną fabrykę farb nad kanałem, Franz pewnie

przepracowałyby całe życie oddany nierealnej idei wyprodukowania wzorzystej farby, rozpuszczając po kolei cierpliwe kryształy, kontrolując temperaturę z obsesyjną starannością, żeby tym razem po schłodzeniu bezpostaciowy wir przeobraził się i zastygł w pasy, groszki, kratę, gwiazdy Dawida – lecz zamiast tego pewnego wczesnego ranka zastał szerniałe zgliszcza, puszki z farbą eksplodujące pióropuszcami karmazynu i butelkowej zieleni, woń zwęglonego drewna i nafty, no i Żyda Pflaumbauma załamującego ręce, oj joj joj. Parszywy dwulicowiec. Wszystko po to, żeby dostać odszkodowanie.

Zatem przez pewien czas Franz i Leni przymierali głodem, a w jej brzuchu codziennie rosła Ilse. Oferowana praca była tak niewdzięczna i nędznie płatna, że wyszłoby na jedno. Załamywał się. Potem pewnego wieczoru na podmokłych przedmieściach spotkał dawnego kolegę z technikum w Monachium.

Nie było go całymi dniami, jej proletariackiego męża, bo rozklejał afisze reklamujące jakąś pogodną filmową fantazję z Maksem Schlepzigiem, gdy tymczasem ciężarna Leni przelegiwała w umeblowanej norze od Hinterhöfe wielkiego mrówkowca, przekręcając się na bok, gdy ból pleców stawał się nie do zniesienia. Robiło się już dobrze po zmierzchu i wściekle zimno, kiedy kubek z klejem był pusty, a wszystkie afisze rozklejone, żeby wandalie je obsikali, pozrywali albo zamalowali swastykami. (Mógł to być tani film zrobiony za granicą. Mógł być i błąd drukarski. Bo kiedy Franz przychodził do kina o wyznaczonej porze, lampy były pogaszone, w foyer walały się kawałki tynku, a z głębi dochodził straszliwy rumor, jakby pracowała ekipa rozbiórkowa, tyle tylko, że nie było żadnych głosów ani światła, które by dostrzegł... wołał, lecz demolowanie trwało, trwał głośny trzask w trzewiach za tablicą świetlną, z której poznikały napisy...). Drałował pieszo całe kilometry, ledwie żywy, na północ, do Reinickendorfu, dzielnicy małych fabryk, dachów z pordzewiałej blachy, burdeli, ruder, murów ciągnących się w noc i zapomnienie, zakładów naprawczych, gdzie w kadziach czekała

zastała zielona woda, zebrana dla ochłody pracowników. I tylko przebłyski światła. Puste parcele, chwasty, nikogo na ulicy: sąsiedztwo, gdzie co noc tłuką się szyby. To pewnie wina wiatru, który pchał go nieutwardzoną drogą, tuż za starymi koszarami, przejętymi przez tutejszą policję, między szopy i składy z narzędziami, ku parkanowi z bramą. Brama nie była zamknięta, pchnął ją więc na oścież. Uświadomił sobie, że gdzieś z przodu dochodzi go dziwny odgłos. Pewnego lata, jeszcze przed pierwszą wojną, pojechał z rodzicami na wakacje do Szafuzy i wybrali się razem tramwajem nad wodospady Renu. Zeszli schodami do niewielkiego drewnianego pawilonu ze spiczastym dachem – wszędzie dokoła były chmury, tęcze i kropelki ognia. I ryk spadającej wody. Trzymał oboje rodziców kurczowo za ręce, zawieszony w zimnym obłoku wodnistego pyłu wraz z *Mutti* i *Papi*, ledwo dostrzegając wyżej drzewa, które w formie mokrej plamy zieleni przylgnęły do skraju przepaści, i małe łódki z turystami, które podpływały odważnie do miejsca, gdzie woda przetaczała się z hukiem przez kataraktę do Renu. Lecz teraz, w zimowym sercu Reinickendorfu, był sam, dłonie miał puste i szedł, potykając się na zmarzniętym błocie, przez dawny skład amunicji, zarośnięty brzozą i wierzbą, pofałdowany w mroku garbami i zapadający się w bagno. Pośrodku wznosiły się betonowe koszary i nasyp ziemny, wysoki na dwanaście metrów, i to właśnie zza nich dochodził odgłos, grzmot wodospadu, który się natężał, przyzywając go z pamięci. To właśnie takie widma odnalazły Franza, nie ludzie, lecz formy energii, abstrakcje...

Przez wyłom w nasypie zobaczył małe srebrzyste jajo z jasnym i nieruchomym płomieniem pod spodem, ukazującym sylwetki mężczyźni w garniturach, swetrach, paltach, którzy przypatrywali się z bunkrów i okopów. To była rakietka na platformie: sprawdzian naziemny.

Dźwięk zaczął się zmieniać, rwać. W uszach zdumionego Franza nie brzmiał jednak złowieszczo, tylko inaczej. Światło natomiast przybrało na sile i raptem sylwetki obserwatorów poznikały za osłonami, bo rakietka ryknęła chrapliwie, przeciągły grzmot, głosy krzyczące: „Kryć się!”, toteż

Franz padł jak długi i wtedy srebrny przedmiot rozerwał się na kawałki, dmuchnęło potężnie, metal przeciął ze świstem powietrze w miejscu, gdzie przed chwilą stał, on wtarty teraz w ziemię, w uszach dzwoniło, żadnego odczucia, nawet chłodu; nie wiedział przez chwilę, czy nadal tkwi w swym ciele...

Stukot nadbiegających stóp. Podniósł głowę i zobaczył Kurta Mondaugena. Najwyraźniej zetknął ich ze sobą wiatr dmący całą noc, być może cały rok. W to właśnie uwierzył: że to wiatr. Większość dziecięcego tłuszczu ustąpiła teraz mięśniom, włosy zrzedły, cerę miał ciemniejszą, niż cokolwiek Franz widział tej zimy na ulicy, ciemną nawet w betonowych fałdach cienia i blasku płomieni z rozpryskanego paliwa raketowego, lecz mimo wszystko był to Mondaugen, na sto procent, minęło siedem albo osiem lat, ale rozpoznali się od razu. Mieszkali w tej samej pełnej przeciągów mansardzie przy Liebigstrasse w Monachium. (Franz postrzegał wtedy ten adres jako szczęśliwy znak, bo Justus von Liebig był jednym z jego idoli, bogiem chemii. Później, jakby na potwierdzenie, kurs z teorii polimerów przejął profesor doktor Laszlo Jamf, który był ostatnim z następców: Liebig, potem August Wilhelm von Hoffmann, Herbert Ganister i Laszlo Jamf, łańcuch ogniów, przyczyna i skutek). Jeździli do Technische Hochschule tym samym skrzypiącym *Schnellbahnwagen* z trzema odbierakami, kruchymi jak nogi owada, trzeszczącymi po napowietrznych drutach: specjalizacją Mondaugena była elektrotechnika. Po ukończeniu studiów wyjechał do Afryki Południowo-Zachodniej z jakimś programem badawczym z zakresu radiotechniki. Pisywali do siebie przez pewien czas, a potem przestali.

Spotkanie przeciągnęło się do późna w jednej z piwiarni Reinickendorfu: studenckie wrzaski wśród klasy robotniczej, imponująca radosna stypa po zgonie rakiety – bazgrali na mokrych serwetkach, przekrzykiwali się przy zastawionym kuflami stole, sprzeczali w kłębach dymu i hałasie: strumień ciepłny, impuls właściwy, siła napędowa...

– To było fiasko – rzekł Franz, wślizgując się pod żarówką o trzeciej czy

czwartej nad ranem, z niewyraźnym uśmiechem twarzy – Leni, to było fiasko, ale oni wierzą w sukces i o niczym innym nie mówią! Dwadzieścia kilogramów siły ciągu, trwało zaledwie kilka sekund, ale przed nimi nikt jeszcze tego nie dokonał! Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Leni, ja dziś widziałem coś, czego jeszcze nikt przedtem nie widział...

Odnosiła wrażenie, że zamierza ją oskarżyć o wyrobienie w nim odruchu rozpacz. A przecież chciała tylko, by wreszcie dorósł. Co to za nowy wandervogelowski idiotyzm, biegać po bagnach przez całą noc, nazywając siebie członkami Verein für Raumschiffahrt?

Leni wychowała się w Lubece, w jednym z szeregu drobnomieszczańskich domków nad Trave. Gładkie drzewa ciągnęły się w równych odstępach po nadrzecznej stronie wybrukowanej ulicy i zwieszały długie konary nad wodą. Z okna swego pokoju widziała bliźniacze wieże katedry, górujące nad dachami domów. Jej cuchnąca berlińska egzystencja od podwórza jest tylko komorą dekompresyjną – wierzy w to całym sercem. Drogą ucieczki z potrzasku denerwujących biedermeierów, należnością z góry zapłaconą lepszym czasem, które nadejdą po Rewolucji.

Franz często nazywał ją żartobliwie „Lenin”. Nigdy nie było wątpliwości, kto jest bierny, a kto aktywny – mimo to wciąż miała nadzieję, że on z tego wyrośnie. Rozmawiała z psychiatrami, toteż wiedziała coś o dojrzewaniu młodych Niemców. Leżą na wznak w górach i pośród łąk, zapatrzeni w niebo, masturbują się i tęsknią. Czeka ich przeznaczenie, jak mrok ukryty w fakturze letniego wiatru. Przeznaczenie cię zdradzi, zadrwi z twoich ideałów, wtłoczy cię w tę samą obmierzłą *Bürgerlichkeit*, jak wtłoczyło twego ojca, który w niedzielę po nabożeństwie pyka fajeczkę na spacerze wzdłuż domów nad rzeką – ubierze cię w szary uniform męża i ojca, a ty bez jednego słowa sprzeciwu odsłużysz całe swoje życie, umkniesz od bólu do obowiązków, od radości do pracy, od poświęcenia do bezstronności. Tak cię urządzi Przeznaczenie.

Franz kochał ją neurotyczną, masochistyczną miłością, należał do niej i



wierzył, że ona uniesie go na swych plecach, daleko, do miejsca, gdzie Przeznaczenie nie sięga. Jak gdyby Przeznaczenie było grawitacją. Pewnej nocy, na w pół rozbudzony, wtulił twarz w jej pachę i wymamrotał:

– Twoje skrzydła, Leni... twoje skrzydła...

Lecz jej skrzydła potrafią udźwignąć tylko jej własny ciężar, no i Ilse, miejmy nadzieję, i to też nie na długo. Franz jest bezwładnym brzemieniem. Niech szuka szans wlotu na *Raketenflugplatz*, gdzie wykorzystuje go wojsko i kartele. Niech leci na martwy Księżyc, jeśli chce...

Ilse obudziła się i płacze. Przez cały dzień nie było nic do jedzenia. Powinny jednak spróbować poszukać pomocy u Petera. On będzie miał mleko. Rebeka trzyma w wyciągniętej dłoni resztkę ogryzanej skórki od chleba.

– Chciałaby to?

Niewiele w niej z Żyda. Dlaczego połowa znanych Leni lewicowców to Żydzi? Natychmiast przypomina sobie, że i Marks był jednym z nich. Rasowy dryg do ksiązek i teorii, rabiniczne zamięłowanie do krzykliwych dyskusji... Daje skórkę dziecku, podnosi małą.

– Gdyby tu przylazł, powiedz mu, że mnie nie widziałś.

Do Petera Sachsy przychodzą, gdy jest już dobrze po zmroku. Akurat ma się rozpocząć seans. Natychmiast uwiera ją bure palto i bawełniana sukienka (za krótka), znoszone i zakurzone miejskim brudem buty, brak biżuterii. Kolejne mieszczańskie odruchy... ich resztki, ma nadzieję. Większość kobiet to starsze panie. Pozostałe prezentują się nazbyt olśniewająco. Hm. Mężczyźni wyglądają na zamożniejszych niż zwykle. Tu i ówdzie Leni dostrzega srebrne swastyki w kłapach. Wino na stołach to wspaniałe Schloss Vollrads, Zeltinger i Piesporter, rocznik dwudziesty i dwudziesty pierwszy – nadarzyła się Okazja.

Celem dzisiejszego zebrania jest nawiązanie kontaktu z nieżyjącym ministrem spraw zagranicznych Walterem Rathenauem. W gimnazjum Leni śpiewała z innymi uczniami czarujący antysemitki refren:

*Knallt ab den Juden Rathenau,  
Die gottverdammte Judensau...*

Gdy zginął z rąk zamachowców, przez długie tygodnie niczego nie śpiewała, przekonana, że nawet jeżeli ten dwuwiersz nie spowodował tragedii, to był przynajmniej przepowiednią, zaklęciem...

Dziś wieczorem przekazywane są szczególne informacje. Pytania do byłego ministra. Dokonuje się łagodnie proces podziału, podyktowany względami tajności. Nie wszystkich gości wpuszcza się do salonu w domu Petera Sachsy. Odrzuceni zostają w holu, plotkują, pokazują dziąsła wskutek napięcia, gestykują... W tym tygodniu wybuchł wielki skandal, dotyczący IG Farben, a właściwie pechowej filii Spottbilligfilm AG, której kierownictwo wyleci na bruk za wysłanie do zaopatrzenia OKW projektu napowietrznej smugi światła, oślepiającej ludność w promieniu dziesięciu kilometrów. Komisja weryfikacyjna IG Farben w samą porę ukręciła łeb sprawie. Biedny Spottbilligfilm. Uwagi dyrektorów uszło, jakie szkody z nadejściem wojny ten rodzaj broni wyrządziłby przemysłowi farbiarskiemu. Znowu to myślenie w stylu Götterdämmerung. Projekt nazwano L-5227, bo „L” to *Licht*, czyli światło – kolejny komiczny niemiecki eufemizm, jak „A” w oznaczeniach rakiet, które zastępuje słowo „agregat”, albo też sama nazwa „IG”, czyli *Interessengemeinschaft*, a więc „wspólnota interesów”... a co z wypadkiem zatrucia katalizatora w Pradze – czy to prawda, że na wschód wysłano z misją ratunkową personel Grupy VI b z Chemicznej Inicjatywy przeciw Anormalności, i jest to bardzo skomplikowane zatrucie, zarówno selen, jak i tellur... nazwy trucizn tonują rozmowę jak wzmianka o raku...

Elita, która zasiądzie dziś do stolika, to przedstawiciele świata hitlerowskich korporacji, a wśród nich Leni rozpoznaje samego Smaragda, generalnego dyrektora oddziału IG, człowieka zainteresowanego przez pewien czas jej mężem. Lecz potem kontakt raptownie się urwał. To wydawałoby się tajemnicze, a nawet złowieszcze, tyle tylko, że w obecnych czasach wszystko można w uzasadniony sposób zwalić na gospodarkę...

Wyławia z tłumy spojrzenie Petera.

– Odeszłam – szepcze, kiwając głową, gdy tymczasem on ściska dłonie gości.

– Możesz położyć Ilse w którejś sypialni. Porozmawiamy później, dobrze?

– Dziś wieczorem z jego oczu wyraźnie wyziera faun. Czy pogodzi się z tym, że ona nie należy do niego tak samo, jak nie należy już do Franza?

– Oczywiście. Co się dzieje?

Parska, co oznacza: nie powiedzieli mi. Oni go wykorzystują – różni „oni”

– już od dziesięciu lat. Nigdy nie wie, w jaki sposób to robią, chyba że zorientuje się przypadkiem, wskutek sporadycznej aluzji, podpatrzenia wymownych uśmiechów. Zniekształcające i wiecznie zamglone lustro, te uśmiechy jego klientów...

Dlaczego chcą dzisiaj Rathenaua? Co tak naprawdę Cezar szepnął swemu ulubieńcowi, gdy się osunął? Czego można się spodziewać, jeżeli nie *Et tu, Brute*, tego oficjalnie obowiązującego kłamstwa? Ono niczego nie wyjaśnia. Moment zamachu to chwila, kiedy władza i ignorancja władzy schodzą się, a Śmierć jest ostatecznym wynikiem. Gdy jeden odzywa się do drugiego, to nie po to, by przebimbać dzień na paplaniu jakiegoś *Et tu, Brute*. Przekazuje wtedy prawdę tak straszną, że historia – w najlepszym razie spiszek, nie zawsze wśród dżentelmenów, mający na celu oszustwo – nigdy się do niej nie przyzna. Prawda zostanie stłumiona albo w epoce szczególnej elegancji przebrana za coś innego. Co Rathenau, usunięty poza teraźniejszość, od lat bytujący w zaświatach, ma do powiedzenia o starym ładzie? Prawdopodobnie nic tak niewiarygodnego, jak mógłby powiedzieć, gdy uderzenie poraziło śmiertelne nerwy, gdy Anioł runął z góry...

Przekonają się. Rathenau – jak mówią dzieje – był prorokiem i budowniczym kartelowego państwa. Z berlińskiego Urzędu Wojny, powstałego jako maleńkie biuro, koordynował funkcjonowanie gospodarki niemieckiej podczas pierwszej wojny światowej, kontrolował dostawy, kontyngenty i ceny, przełamywał i usuwał przeszkody w postaci tajemnic

handlowych i prawa własności, które jak bariery oddzielały przedsiębiorstwo od przedsiębiorstwa – Bismarck korporacji, którego władza otwierała każdą księgę rachunkową i wnikała w najtajniejsze porozumienie. Jego ojciec, Emil Rathenau, założył koncern AEG, niemniej młody Walter był kimś więcej niż zwykłym następcą potentata przemysłowego – był filozofem z konkretną wizją powojennego Państwa. Toczącą się wojnę postrzegał jako światową rewolucję. Z niej miał narodzić się nie czerwony komunizm ani wszechmocna prawica, lecz racjonalny ustrój, którego prawdziwym, słusznym autorytetem byłaby przedsiębiorczość – ustrój oparty, nic w tym dziwnego, na strukturze obmyślonej dla Niemiec, by mogły walczyć w pierwszej wojnie światowej.

Tyle oficjalna wersja. Nader posągowa. Lecz Generaldirektor Smaragd i jego koledzy nie przyszli tutaj po to, by słuchać opowieści, w które wierzą nawet masy. Można by niemal odnieść wrażenie – gdyby było się w dostatecznym stopniu paranoikiem – że nawiązało się tutaj współdziałanie między światami po obu stronach Muru, między materią a duchem. Co wiedzą oni, czego nie wiedzą pozbawieni władzy? Co za straszna struktura kryje się pod pozorem różnorodności i inicjatywy?

Wisielczy humor. Cholerna gra salonowa. Smaragd nijak w to wszystko nie wierzy, Smaragd technik i dyrektor. Chciałby chyba tylko otrzymać znaki, omeny, potwierdzenie tego, co już się dokonuje, coś, z czego można by się pośmiać w Herrenklubie – „Mamy błogosławieństwo tego Żyda!”. Cokolwiek przekaże im dziś medium, wykoślawią to, zredagują, przemienią w błogosławieństwo. To pogarda rzadkiego typu.

Leni znajduje kanapę w spokojnym kącie pokoju zapełnionego chińską kością słoniową i jedwabnymi draperiami, kładzie się, zwiesza jedną nogę nad podłogą i próbuje się odprężyć. Franz pewnie już wrócił z poligonu raketowego, mruga oczyma pod żarówką, gdy Frau Silberschlag z numeru obok oddaje mu ostatnią wiadomość od Leni. Dzisiejsze przekazy, niesione berlińskim światłem... neonów, żarówek, gwiazd... przekazy splatają się w

sieć informacji, przed którą nikt nie ucieknie.

– Ścieżka jest wolna. – Głos porusza ustami i sztywnym białym gardłem Sachsy. – Ograniczeni tam u siebie, możecie ruszyć nią o stosownej porze krok po kroku. Stąd da się ogarnąć wzrokiem cały kształt od razu – ja nie ogarniam, nie jestem aż tak daleko, lecz wielu widzi tę czystą obecność... „Kształt” to nie jest dobre słowo. Pozwolę sobie być szczery. Trudno mi postawić się w waszej sytuacji. Problemy, z którymi się borykacie, nawet te o znaczeniu ogólnoświatowym, niejednemu z nas tutaj wydają się błędzeniem po bezdrożach. Podążacie wyboistą i krętą ścieżką, którą postrzegacie jako szeroką i prostą szosę, jako *Autobahn*, gdzie można podróżować swobodnie. Czy ma to sens, bym wam mówił, że wszystko to, co wydaje się wam rzeczywistością, jest ułudą? Nie wiem, czy będziecie słuchać, czy mnie zlekceważycie. Chcecie przecież tylko wiedzieć jak najwięcej o swojej ścieżce, o swojej *Autobahn*.

– No dobrze. Moweina. To część wzoru. Wynalezienie moweiny, osiągnięcie pańskiego poziomu czerwonego fioletu. Czy pan słucha, Generaldirektor?

– Słucham, Herr Rathenau – odpowiada Smaragd z IG Farben.

– Purpura tyryjska, alizaryna i indygo, są tutaj jeszcze inne barwniki smołowe, ale najważniejsza jest moweina. William Perkin wynalazł ją w Anglii, ale przecież był uczniem Hofmanna, który z kolei był uczniem Liebiga. Łańcuch spuścizny. Jeśli to karma, to w bardzo ograniczonym sensie... Jest inny Anglik, Herbert Ganister, i pokolenie chemików, które wychował... Potem odkrycie oniryny. Niech pan zapyta swojego człowieka, Wimpego. On jest ekspertem od pierścieniowych benzylizochinolin. Wniknijcie w kliniczne następstwa stosowania narkotyków. Ja się nie znam. Wydaje się, że moglibyście skierować swą uwagę w tę stronę. Zbiega się to z linią moweina-Perkin-Ganister. Ja mam tylko molekułę, tylko zarys. Metoniryna, jako siarczan. Nie w Niemczech, w Stanach Zjednoczonych. Jest ogniwo z Ameryką. I z Rosją. Jak pan myśli, dlaczego ja i von Maltzen

doprowadziliśmy do traktatu w Rapallo? To było konieczne, by ruszyć na wschód. Wimpe panu powie. Wimpe, Verbindungsman, zawsze uczestniczył w grze. Jak pan myśli, dlaczego chcieliśmy, żeby Krupp za wszelką cenę sprzedawał im maszyny rolnicze? To była część całego przedsięwzięcia. Wtedy nie rozumiałem tego tak dobrze, jak teraz. Niemniej wiedziałem, co mam do zrobienia.

– Proszę wziąć pod uwagę węgiel i stal. Jest pewien punkt styczny między nimi. To smoła węglowa. Proszę sobie wyobrazić węgiel, położony w głębi ziemi, smoliście czarny, żadnego światła, czysta kwintesencja śmierci. Pradawna, prehistoryczna śmierć, gatunki, których już nigdy nie zobaczymy. Coraz czarniejszy, coraz starszy, coraz głębiej położony w pokładach wiecznej nocy. Na powierzchni zaś leje się stal, jasna, ognista. Żeby jednak wytopić stal, z prądziejowego węgla należy wyodrębnić smołę, która jest ciemniejsza i cięższa. To kał Ziemi, z którego oczyszczamy węgiel dla uszlachetnienia świetlistej stali. Pominięty.

– Postrzegaliśmy to jako proces przemysłowy. A to było coś więcej. Odrzuciliśmy smołę węglową. Tysiąc różnych molekuł czekało na śmietniku dla odrzuconych. To znak objawienia. Znak odsłony. Oto jedno ze znaczeń moweiny, pierwszy nowy kolor na Ziemi, wyrrywający się ku ziemskiemu światłu spod kilometrów mogił i epok. Jest jeszcze inny sens... spuścizna... ale tak daleko mój wzrok na razie nie sięga...

– Wszystko jest uosobieniem życia. Prawdziwy ruch nie polega na przejściu od śmierci do powtórnego narodzenia. Tylko od śmierci do śmierci przeobrażonej. Nie można zrobić nic ponad spolimeryzowanie kilku martwych molekuł. Ale polimeryzacja nie jest zmartwychwstaniem. Mówię o pańskim IG Farben, Generaldirektor.

– Naszym IG Farben, jak mi się wydaje – odpowiada Smaragd sztywniej i bardziej oschle niż zwykle.

– Sam pan musi o tym zdecydować. Jeśli woli pan nazywać to związkiem, proszę bardzo. Będę tu tak długo, jak długo będzie mnie pan potrzebował.



Pewnie wolałyby pan posłuchać o tym, co nazywa „życiem”: o rozrastającym się, organicznym kartelu. Ale to tylko kolejne złudzenie. Nader chytry robot. Im bardziej dynamiczny się panu wydaje, tym bardziej zasklepiony i martwy jest w rzeczywistości. Proszę spojrzeć na kominy, jak się mnożą, jak rozsypują odpady pierwotnych odpadów na coraz rozleglejsze połacie miasta. Strukturalnie najsilniejsze są w nagromadzeniu. Komin potrafi przetrwać każdą eksplozję, nawet falę uderzeniową którejś z nowych bomb kosmicznych – to wywołuje lekki pomruk przy stoliku – o czym z pewnością wszyscy wiecie. Zatem mamy trwałość struktur, które faworyzują śmierć. Śmierć przemienioną w więcej śmierci. Udoskonalającą swoje władztwo, tak jak zagrzebany w ziemi węgiel gęstnieje i okrywa się kolejnymi warstwami – epoka na epoce, miasto na zburzonym mieście. Oto wizytówka Śmierci-odtwórczyni.

– Te znaki są rzeczywiste. Są też symptomami procesu. Proces przybiera tę samą formę, tę samą strukturę. Żeby to ogarnąć, należy podążać za znakami. Wszelkie gadanie o przyczynowości to nauka dla profanów, a nauka dla profanów jest tylko zagrywką odwracającą uwagę. Użyteczną dla was, panowie, ale nie dla nas tutaj. Jeże li chcecie prawdy – świadomie tak zakładam – musicie wejrzeć w technikę tych spraw. Nawet w serce pewnych molekuł, to przecież one określają temperatury, ciśnienia, tempo przepływu, koszty, zyski, kształt wież...

– Musicie postawić sobie dwa pytania. Po pierwsze: co jest prawdziwą istotą syntezy? Po wtóre: co jest prawdziwą istotą kontroli?

– Myślicie, że wiecie, trzymacie się kurczowo własnych przekonań. Ale prędzej czy później będziecie musieli się ich wyrzec...

Zapada cisza, która się przedłuża. Na krzesłach dokoła stolika powstaje poruszenie, lecz pary małych palców pozostają w kontakcie.

– Herr Rathenau? Czy mógłby mi pan powiedzieć jedną rzecz? – To Heinz Rippenstoss, niepoprawny hitlerowski błazen i prześmiewca. Uczestnicy zaczynają chichotać, Peter Sachsa wychodzi z pokoju. – Czy Bóg naprawdę

jest Żydem?

Pumm, Easterling, Dromond, Lamplighter i Spectro są gwiazdkami na choince Pointsmana. Świecą w najświętszą noc. Każda chłodną zapowiedzią ślepych uliczek, słońca, które nie wstanie, tylko umknie na południe, jak najdalej na południe, zostawiając nas na niekończącej się północy. Kevin Spectro świeci najjaśniej, choć jest najdalej z nich. W sklepie tłum, w metrze tłum, Pointsman sam i kolęd szum. A jednak dostał prezent na Gwiazdkę, tra la la, nie będzie się musiał w tym roku zadowolić psem wyciętym z blachy, ma swoje własne cudowne ludzkie dziecię, wyrosłe już wprawdzie na mężczyznę, lecz wciąż noszące gdzieś w korze mózgowej fragment dzieciństwa Psychologii, niezanieczyszczoną historię, bezwładną, otorbioną, nietkniętą przez dżez, depresję ani wojnę – zachowany, jeśli wolicie, relikw starożytności, poza zasięgiem śmierci, poza buchalterią tej, tej starej środkowej komnaty, którą znacie...

Nie ma kogo zapytać, nie ma komu powiedzieć. Moje serce, myśli teraz, wzbiera męstwem i nadzieją... Wieści z Riwiery są wspaniałe. Tutaj też dla odmiany eksperymenty wreszcie idą gładko. Czerpiąc z jakiegoś mrocznego dna, z funduszu docelowego czy amortyzacyjnego, brygadier Pudding zwiększył nawet finansowanie ZBO. Czy on też odczuwa władzę Pointsmana? Czy wykupił polisę?

O osobliwych porach dnia Pointsman odkrywa zafascynowany, że doznaje erekcji. Zaczyna nawet stroić sobie z tego żarty, żarty pawłowisty, z których niemal wszystkie biorą się z jednego niefortunnego faktu: łaciński termin *cortex* tłumaczy się jako „kora”, a humorystyczny związek między psem i drzewem jest dobrze znany, no i można by jeszcze wspomnieć o młodej córeczce Demeter (mało śmieszne, toteż większość pracowników PISCES jest na tyle taktowna, że unika tych skojarzeń, niemniej są to błyskotliwe dowcipy w porównaniu z tymi spoza głównego nurtu, jak choćby owo nadzwyczajne: „Co pedek wykrzyknął do kowboja z San Antonio?”). W którymś momencie corocznych obchodów Gwiazdki w PISCES Pointsman zostaje zaciągnięty przez Maudie Chilkes do gabinetu pełnego belladony, gazy, próbek i woni chirurgicznej gumy, gdzie w okamgnieniu ona osuwa

się na czerwone kolana, rozpina mu spodnie, on zaś, zmieszany, dobry Boże, głaszcze ją po głowie, niezdarnie wyciągając większość włosów spod wstążki w kolorze wina – rany, co to, prawdziwa, gładka, gorąca, szeleszcząca karmazynową pończochą szkitka uległej kobiety wśród tych bladych od zimy klinicznych korytarzy, przy akompaniamencie rumby z gramofonu, bas, drewniane bębny, znużone dmuchane tafle egzotycznych seryjnych kadencji, dochodzące zza ścian, gdy tak wszyscy tańczą na gołej podłodze, a ta stara palladiańska skorupa, muszla tysięcy pokojów, odbija dźwięk, rezonuje, zmienia akcenty wzdłuż ścian i belek... dzielna Maud, to niewiarygodne, wkłada sobie do ust jak najwięcej pawłowaniańskiego fiuta, głowa zadarta niczym u sztukmistrza połykającego szpadę, wydobywając z Pointsmana nikłe kobiece łkanie, opary kosztownej whisky unoszą się jak kwiaty, dłonie Maud trzymają wełniany tył jego spuszczonej spodni, fałdując, rozfałdowując – wszystko dzieje się tak szybko, że Pointsman tylko się słania, mruga nieco pijacko, zastanawiając się, czy śni, czy też znalazł idealną mieszankę, usiłuje sobie przypomnieć, siarczan amfetaminowy, 5 mg co sześć godzin, zeszej nocy amytał sodu, 0,2 grama przed snem, dziś rano śniadanie złożone z witamin w pigułkach, alkohol, powiedzmy, uncja na godzinę, w ciągu ostatnich... ile to będzie centymetrów sześciennych, o Jezu, dochodzę. Dochodzę? No tak... trudno.... Maud, kochana Maud połyka, nie roni ani kropelki... uśmiecha się spokojnie, wreszcie odłączona, zwraca wiotczącego jastrzębia do zimnego kawalerskiego gniazda i klęczy jeszcze przez chwilę w tym gabinecie, w tej świeżej, rozpalonej na biało chwili, teraz numer Ernesta Lecuony, chyba „Siboney”, docierający korytarzami długimi jak płycizny wiodące na morskie ławice, blanki ze szlamowatych kamieni i kubańskie wieczory pod palmami... wiktoriańska poza, jej policzek przy jego nodze, jego dłoń z nabrzmiałymi żyłami na jej twarzy. Nikt ich nie widział, ani wtedy, ani później, a w nadchodzących zimowych dniach ona czasem będzie się natykać oczyma na jego spojrzenie i czerwienieć jak jej kolana, raz czy dwa przyjdzie nawet do jego pokoju przy laboratorium, ale nigdy już nie

powtórzy się ta przygoda w tropikach, ta chwila idealnego spokoju, kiedy wojna i angielski grudzień wstrzymały na krótko oddech...

Nie ma komu powiedzieć. Maud zdaje sobie sprawę, że coś się szykuje, bo przez jej ręce przechodzą finanse PISCES i nic nie ujdzie jej uwagi. A jednak Pointsman nie może jej powiedzieć... a przynajmniej nie wszystko, nie może zdradzić warunków swej nadziei, bo nigdy, nawet przed samym sobą... to kryje się w mroku z przodu, zdefiniowane przez negację, przez zgrozę, przez sposoby przekreślenia wszelkich nadziei, a wtedy on napotka tylko swą śmierć, ten durny, czczy żart na końcu wędrówki pawłowisty.

Teraz Thomas Gwenhidwy też wyczuwa zmianę, pulsującą w twarzy i chodzie kolegi. Obfita, przedwcześnie posiwiła broda świętego Mikołaja, dziarski, poczochrany estradowiec bez przerwy na scenie, próbujący mówić podwójnym językiem: komiczno-prowincjonalna walijszczyzna i twarda jak diament, niewzruszona prawda, do wyboru, do koloru. Ma niewiarygodny głos śpiewaka, a w wolnych chwilach przechadza się poza ogrodzone parkanami pasy startowe dla myśliwców w poszukiwaniu większych maszyn – uwielbia ćwiczyć basową część „Diadem”, gdy latająca forteca podrywa się z ziemi z pełną mocą silników i nawet wtedy można go usłyszeć, głos wibrujący w kościach i niosący się czysto ponad wyciem bombowców aż do Stoke Poges. Jednego razu pewna pani z Luton Hoo w Bedfordshire napisała do „Timesa” z pytaniem, co to za mężczyzna śpiewał „Diadem” takim pięknym głębokim basem. Nazywała się Snade. Gwenhidwy niemało popija, zwłaszcza osobliwe mikstury, godne szalonego naukowca: żytnia zmieszana z bulionem, nektarem z granatów, syropem na kaszel oraz gorzkimi, powodującymi wzdęcia naparami z tarczycy pospolitej, korzenia waleriany, serdecznika i obuwika pospolitego, a właściwie ze wszystkiego, co znajduje się pod ręką. Czerstwy alkoholik, opiewany w legendach i pieśniach, oto jego styl. Wywodzi się z prostej linii od tego Walijszyka z „Henryka V”, który zmuszał wszystkich, żeby jedli jego pora. Ale ani śladu w nim zasiedziałego ochlapusa. Pointsman nigdy nie widział, żeby Gwenhidwy dał odpocząć

nogom albo stanął nieruchomo na chwilę; kręci się bez końca, jakby miał robaki – „Ja wam, łotry, pokażę!” – przy długich szeregach wycieńczonych i umierających twarzy nawet Pointsman dostrzega szorstką miłość w drobnych gestach, zmianach oddechu i głosu. To Murzyni, Hindusi, Aszkenazyjczycy, mówiący dialektami, których nie słyhać na Harley Street: zbombardowani, zmarznięci, wygłodniali, pozbawieni schronienia, a z ich twarzy, nawet z dziecięcych buź, wyziera jakaś wielowiekowa zażyłość z cierpieniem i tragedią, co zdumiewa Pointsmana, skoncentrowanego na katalogach symptomów dystygowanych chorób West Endu – anoreksje i zatwardzenia na tle psychicznym, do których Walijczyk nie miałby cierpliwości. Na oddziałach Gwenhidwy’ego wskaźniki PPM u niektórych pacjentów wynoszą zaledwie 35,40 kJ/m<sup>2</sup>. Białe linie grubiejają na tle rentgenowskich cieni kości, w oku pomarszczonego czarnego mikroskopu szare wyskrobmy spod języków rozkwitają w obłoki najeźdźców Vincenta, obrzydliwe małe kły, kłuszące i jątrzące ubogą w witaminy tkankę, z której się wywodzą. To całkiem inny świat, rozumie się.

– Nie wiem, człowiecze, no, po prostu nie wiem. – Spod peleryny w kolorze jeża Gwenhidwy wysuwa grubą powolną rękę w kierunku szpitala, gdy tak idą w padającym śniegu – dla Pointsmana to wyraźne rozdzielenie, mnisi tutaj, katedra tam, tu żołnierze, a tam koszary, lecz z Walijczykiem jest inaczej, bo część jego została na miejscu, jako zakładnik. Ulice są puste, gdyż nastał 25 grudnia; drepczą pod górę do kwatery Gwenhidwy’ego, tymczasem kurtyny śniegu opadają raz po raz między nich, a podziurawione mury szpitala odmaszerowują kamienną paralaksą w biały mrok. – Nie wiem, jak oni to robią, że potrafią przetrwać. Biedacy, Murzyni. I Żydzi! Walijczycy, Walijczycy dawno temu też byli Żydami, co nie? To jedno z zaginionych plemion Izraela, czarne plemię, które wyruszyło łądem na wędrowkę, przez całe wieki, och, niewiarygodna podróż. No i widzisz, w końcu dotarli do Walii.

– Do Walii...

– Osiedlili się, stali się Cymri. A jeśli wszyscy jesteśmy Żydami? Wszyscy rozproszeni? Fruniemy ciągle na wszystkie strony z pradawnej garści. Człowiecze, ja w to wierzę.

– Jasne, że wierzysz, Gwenhidwy.

– No co, nie jest tak? Co myślisz?

– No, nie wiem. Nie czuję się dziś żydowsko.

– Ale nie chodzi o żydowskość, tylko o fruwanie na wszystkie strony. – Ma na myśli samotność i nieodwracalne odosobnienie.

Pointsman wie, co Gwenhidwy ma na myśli. Całkiem zniecka odżywa się w nim tkliwość. Czuje teraz bożonarodzeniowy śnieg w załamaniach butów, przez które próbuje się wdrzeć wściekle zimno. Brązowy wełniany bok Gwenhidwy’ego porusza się na skraju widoczności, przyciółek barw, szaniec powstrzymujący coraz bielszy dzień. Fruną na wszystkie strony. Fruną... Gwenhidwy – milion lodowych igieł spada ukosem na jego okutaną peleryną ogromną posturę – wygląda teraz tak nieśmiertelnie, że z ukrycia powraca ten sam pijacko zataczający się rozgadany strach, Klątwa Księgi, i oto jest tutaj ktoś, komu Pointsman szczerze życzy długiego życia, pragnie tego całym swym niegodziwym sercem... choć dzisiaj był nazbyt nieśmiały albo dumny, żeby uśmiechnąć się do Gwenhidwy’ego bez słowa, które tłumaczyłoby lub przekreślało ten uśmiech...

Na ich widok nadbiegają rozszczekane psy. Pointsman rzuca im Zawodowe Spojrzenie. Gwenhidwy nuci „Aberystwyth”. Na dwór wychodzi córka stróża, Estelle, z jednym czy dwójkiem rozdygotanych dzieci, płaczących się pod nogami, i bożonarodzeniową butelką czegoś cierpkiego, co nieźle rozgrzewa od środka w minutę po łyknięciu. Korytarze wypełnia woń węglowego dymu, uryny, śmieci i wczorajszego tłuszczu. Gwenhidwy pije z butelki, podszcypuje i klepie Estelle, ugania się z Archem, jej najmłodszym, dokoła okrytej jagnięcą skórą szerokiej talii jego matki, która próbuje dać mu klapsa, ale mały jest za szybki.

Chucha na gazomierz, tak zamarznięty, że nie można wrzucić do niego



monety. Okropna pogoda. Okrąża licznik, przeklina go, wygina się jak ekranowy kochanek, skrzydła peleryny rozpostarte, żeby go okryć... Gwenhidwy, promienny jak słońce...

Za oknami salonu ciągnie się rząd nagich topoli w wojskowym kolorze, kanał, zaśnieżony plac, a dalej długa zębata hałda resztek węgla, nadal tłąca się od wczorajszej bomby V. Strzępiaste kłęby dymu wzbijają się ukośnie, spiralne i porozrywane, i lądują z powrotem, przygniecione padającym śniegiem.

– Jak dotąd najbliżej. – Gwenhidwy przy czajniku, w powietrzu kwaśny zapach siarki ze spalonej zapalniczki. Po chwili, ciągle na straży u gazowego palnika: – Pointsman, chcesz usłyszeć coś naprawdę paranoidalnego?

– Ty też?

– Patrzyłeś ostatnio na plan Londynu? Widzisz, cała ta me-teo-ryczna plaga spada na nas tutaj. Nie tam, na Whitehall, gdzie powinna spadać, tylko tu na mnie, i uważam, że to potworne.

– Cholernie mało patriotyczna uwaga.

– Och – Gwenhidwy charczy i spluwa do zlewu – ty nie chcesz w to uwierzyć. Właściwie czemu miałbyś uwierzyć? Banda z Harley Street, Jezusie Chrystusie.

To stara gra Gwenhidwy'ego – docinanie członkom Królewskiego Towarzystwa Medycznego. Jakiś niespodziany wiatr albo wahnięcie temperatury w warstwach nieba przynosi im z góry głęboki chóralny pomruk amerykańskich bombowców: biały Gymanfa Ganu Śmierci. W dole pełnie cicho po sieci torowisk lokomotywa manewrowa.

– Spadają według rozkładu Poissona – mówi Pointsman słabym głosem, jak gdyby to stwierdzenie było do zanegowania.

– Bez wątpienia, człowiecze, to trafny argument. Tyle że zawsze na kurewski East End. – Arch albo ktoś inny narysował brązowo-pomarańczowo-niebieskiego Gwenhidwy'ego z torbą lekarską na prostej linii horyzontu tuż za zieloną gazownią. Torba wypełniona jest butelkami dżinu,

Gwenhidwy się uśmiecha, z gniazda w jego brodzie wygląda rudzik, niebo jest błękitne, słońce żółte. – Ale zastanawiałeś się kiedyś dlaczego? Oto Miejski Paranoik. Przez te wszystkie długie stulecia rozrastał się na wsi, nie? Jak inteligentne stworzenie. Aktor, fantastyczny imitator, Pointsman! Naśladuje, rozumiesz, wszystkie poprawne siły, eko-nomiczne, demograficzne, a tak, nawet przy-padek.

– Co znaczy „rozumiesz”? Właśnie że nie rozumiem. – Na tle okna rozświetlonego przez białe popołudnie twarz Pointsmana jest niewidoczna z wyjątkiem dwóch jaskrawych maleńkich półksiężyców, wyzierających z oczodołów. Czy powinien pogmerać za plecami przy klamce okiennej? Czy wełniany Walijczyk bredzi w szale?

– Nie widzisz ich – ciasny brokat pary ulatuje z oplecionych stałą łabędzich ust – nie widzisz Murzynów ani Żydów w ich mroku. Nie potrafisz zobaczyć. Nie słyszysz ich ciszy. Przywykłeś do gadania i do światła.

– Raczej do szczekania.

– Widzisz, w moim szpi-talu rodzi się tylko klęska – Gwenhidwy patrzy z nieruchomym uśmiechem ogłupiałego alkoholika. – Cóż ja mogę uleczyć? Mogę ich tylko odesłać z powrotem w świat. Do tego? Równie dobrze mogłaby tu być Europa, wal-ka, wstawiałbym im szy-ny i wpędzał lekami w ten wymagany stan minimum, by dalej zabijali.

– Ej, nie wiesz, że jest wojna? – Pointsman i jego filiżanka zostają obrzuceni pochmurnym spojrzeniem. Tak po prawdzie ma nadzieję, że kretyńskimi odzywkami zniechęci Gwenhidwy’ego do gadania o Miejskim Paranoiku. Wolałby raczej pomówić o ofiarach rakiety przyjętych dziś do szpitala. Ale to egzorcysta, poeta przywołujący śpiewem ciszę, zaklinający białych jeźdźców, i Gwenhidwy wie, czego nie wie Pointsman, że do planu dnia należy siedzenie w tym obskurnym pokoju i śpiew aż po taką głuchość: że pan Pointsman ma zagrać sobie – wystylizowany, popędliwy, niewiele rozumiejący...

– W niektórych miastach bogacze mieszkają na wzgórzach, a biedota na

dole. W innych bogacze nad brzegiem morza, a biedota w głębi lądu. W Londynie gradient niktzemności rośnie w miarę otwierania się rzeki na morze. Pytam tylko: dla – czego? Z powodu żeglugi? Czy może takie były zasady użytkowania ziemi, zwłaszcza w dobie przemysłu? A może to staro-dawne plemienne tabu, które przetrwało przez tyle pokoleń Anglików? Nie. Widzisz, prawdziwym powodem jest Zagrożenie ze wschodu. I z południa: z bryły Europy, oczy-wiście. Tutejsi mieszkańcy mieli paść pierwsi. My jesteśmy zbędni, ci z West Endu i za rzeką wprost przeciwnie. Och, nie mówię, że Zagrożenie to ma taki czy inny konkretny kształt. Polityczny. Nie. Jeżeli Miejski Paranoik śni, to przecież nie mamy dostępu do jego snów. Może miasto śniło o innym, wro-gim mieście, które płynie morzem, żeby najechać ujście... albo o falach ciemności... falach ognia... Może o tym, że będzie ponownie wchłonięte przez ogromną milczącą Matkę Kon-tynent? Sny miasta to nie moja sprawa... A gdyby Mias-to było nowo-tworem rozrastającym się po stuleciach, prze-obrażającym się bez przerwy, by upodobnić się do zmiennej formy swych największych, skrytych lęków? Obszarpane pionki, zhańbieni biskupi i tchórzliwy rycerz, my wszyscy potępieni, bezpowrotnie zgubieni, opuszczeni tutaj, wystawieni na ciosy i czeka-jący. Wiedziano o tym, nie zaprzeczaj, Pointsman, wiedziano, że pewnego dnia front w Eu ropie rozwinie się tak jak teraz, nie? Przesunie się na wschód i będą potrzebne rakiety, wiedziano, jak i gdzie rakiety spadną i że ich nie osiągną. Zapytaj swojego kolegę Mexico. Popatrz na zagęszczenia na jego mapie, wschód, wschód i cały prawobrzeżny Londyn, gdzie żyją wszystkie karaluchy, to właśnie na ich głowy spada ten grad.

– Masz rację, Gwenhidwy – Pointsman rezolutnie, sącząc herbatę – to okropnie paranoidalne.

– Fakt. – Gwenhidwy wyjął świąteczną butelkę vat 69 i nalewa do toastu. – Za dzieci! – Szczerzy zęby, kompletnie szalony.

– Dzieci?

– Hej, ja też mam swoją mapę. Umieszczam na niej dane z porodówek.

Widzisz, dzie-ci rodzące się w czasie nalotów też podpadają pod rozkład Poissona.

– Hm, a zatem wypijmy za tę osobliwość. Zdrowie biednych skurwielątek.

Później, pod wieczór, niczym elfy wychodzą spod boazerii ogromne karaluchy, bardzo ciemne, czerwono-brązowe, i człapią w kierunku spiżarni – wśród nich ciężarne matki i półprzezroczyste dzieci, sunące wraz jak eskorta konwoju. Nocą, w okresach późnej ciszy między lotami bombowców, ostrzałem ognia przeciwlotniczego i eksplozjami rakiet, słysząc, jak przeżerają się przez papierowe torebki Gwenhidwy’ego, zachowując się hałaśliwie niczym myszy, zostawiając za sobą smugi i plamy gówna w takim samym jak one kolorze. Wydaje się, że nie interesuje ich miękka żywność, owoce, jarzyny i tym podobne produkty, że chętniej zajmują się kamienną soczewicą, fasolą, papierowymi i plastikowymi przeszkodami, twardymi stykami, przez które należy się przegryźć, bo widzisz, karaluchy są nośnikami ujednolicenia. Bożonarodzeniowe robactwo. Siedziały głęboko w sianie betlejemskiej stajenki, wdrapywały się, osuwały, błyskając czerwienią, spadały w zielonożółtą gęstwinę, która ciągnęła się całe kilometry w górę i w dół – jadalny świat-mieszkanie, co jakiś czas przeżerany na wskroś, by przerwać jakiś tajemniczy pęk wektorów, z których sąsiedzi lecą na dupę i na czułki, gdy ty trzymasz się kurczowo wszystkimi nogami tych nieustannie drżących źdźbeł. Świat spokoju: temperatura i wilgotność ustabilizowane, cykl dnia pokolorowany łagodnym rozkołysaniem światła, od złota przez antyczne złoto do cienia i z powrotem. Być może jako niewidzialny wybuch energii doszedł cię z dystansu płacz dziecka, prawie nieprzeczuwany, często puszcany mimo uszu. A to, widzisz, twój Zbawiciel...

Dwie złote rybki w akwarium tworzą znak zodiakalny, stykając się nieruchomo główkami i ogonami. Penelope siedzi i zagląda w ich świat. Jest mały zatopiony galeon, porcelanowy nurek w akwalungu, śliczne kamyki i muszelki, które przywiozła z siostrami znad morza.

Ciocia Jessica i wujek Roger są w kuchni, tulą się i całują. W przedpokoju

Elizabeth droczy się z Claire. Matka jest w ubikacji. Na krześle śpi kot Sadza – czarna chmura gradowa w trakcie przeobrażania się, która akurat teraz przypadkowo wygląda jak syjamski kot. Jest 26 grudnia. Bardzo spokojny wieczór. Ostatnia rakietą spadła przed godziną, gdzieś na południu. Claire dostała szmacianą lalkę, Penelope sweter, Elizabeth sukienkę, którą potem odziedziczy Penelope.

Tego wieczoru Roger zabrał ich na przedstawienie pantomimy. „Jaś i Małgosia”. Claire natychmiast uciekła pod fotele, gdzie inni szli tajemniczymi ścieżkami, tu i ówdzie błysk warkocza albo białego kołnierzyka pośród roślących skupionych wujów w mundurach, udrapowanych na czarno oparcie foteli. Na scenie Jaś – którym tak naprawdę była wysoka dziewczyna w trykotach i fartuszkach – kulił się w klatce. Zabawna stara wiedźma wrzeszczała z pianą na ustach i wspinała się na dekoracje. A śliczna Małgosia wyczekiwała przy Piecu na swoją szansę...

A potem Niemcy trafili rakietą nieopodal teatru. Rozbeczało się kilkoro małych dzieci. Złękły się. Małgosia, która właśnie natężyła siły, żeby łopata pchnąć wiedźmę w tyłek, powstrzymała się, odłożyła łopatę, w zapadającej ciszy weszła w krąg światła i zaśpiewała:

Nie dajcie się dopaść  
Bo dopaść się dacie,  
Gdy się postarać nie postaracie!  
Bo coś uwagi waszej umknęło,  
Wielkie, ohydne, czyha za drzwiami,  
By za włosy was chwycić lepkimi łapami!  
Oho, sklepikarz z tęczy dziś wróży,  
Śmieciarz pod krawatem uwierzył w siebie...  
Wszystko się kręci naprędce, jak w wesołej piosence,  
Z miętowym obliczem na niebie!

– Śpiewamy razem – powiedziała z uśmiechem i publiczność, nawet Roger, zawtórowała:

Z obliczem miętowym na niebie,  
I obumarłym w sercu marzeniem,  
Rzucony tort trafi prosto w ciebie,  
Gdy pantomimę zagrają na scenie!  
Nasi dzisiaj śpią w zaspach śniegu,  
Lecący Szwab w chmurach nam grzebie.  
Możemy polecieć na księżyc, grawitację zwyciężyć  
W naszym polietylenowym domku na niebie...

Śliczny domek z polietylenu na niebie  
Śliczne w dłoniach szpile z platyny,  
Twój ojciec smętnym młodzieńcem,  
Matka to miny i karabiny.  
(Szeptane i staccato):  
Oho, dyrektor grubą faję pyka,  
Bankier zjada żonę i kochankę,  
Cały świat oddech wstrzymał, bo orkiestra zaczyna,  
Opróżnij kieszenie na niespodziankę.

Na niespodziankę opróżnij kieszenie,  
Tak naprawdę niczego nie było!  
Światła na schodach już gasną,  
Przedstawienie się zakończyło...  
Oho, palmy szumią na plaży,  
W piersi ratownika już żałość wzbiera,  
Głosy słyszane,  
Zbłąkanego Chłopca i Dziewczynki Zbłąkanej,  
To dzieci, które się uczą umierać...

W kącie pokoju, obok stolika z lampą, tkwi pusty ojcowski fotel. Penelope stoi teraz przed nim. Widzi kapryśny szal przewieszony przez oparcie, ze zdumiewającą jasnością dostrzega mnóstwo splotów szarości, brunatności,



czerni i brązu. Coś się porusza we wzorze lub na jego tle: z początku to zaledwie refrakcja, jak gdyby tuż przed pustym fotelem znajdowało się źródło ciepła.

– Nie – szepcze głośno. – Nie chcę. Nie jesteś nim. Nie wiem, kim jesteś, ale na pewno nie moim tatą. Odejdź.

Sylwetka jest cicha i nieruchoma. Penelope wpatruje się w nią.

Chcę cię tylko odwiedzić.

– Chcesz mnie opętać.

Opętanie przez duchy nie jest pierwszozną w tym domu. Czy to naprawdę Keith, jej ojciec, zabrany, gdy miała o połowę lat mniej, i zwrócony teraz, już nie jako znany jej dawniej mężczyzna, ale jako łupina – bo miękki, mięsny orzeszek duszy, która uśmiecha się i obdarza miłością, która czuje swą śmiertelność, uległ rozkładowi albo został zeżarty przez dziobiące usta śmierci-z-rozkazu-rządu – a to jest właśnie proces, wskutek którego żyjące dusze wbrew swej woli stają się demonami znanymi głównemu nurtowi magii świata zachodniego jako kelipot, skorupy umarłych?... Obecny ład czyni to samo z przyzwoitymi kobietami i mężczyznami po tej stronie grobu. W żadnym z obu procesów nie ma godności ani miłosierdzia. Matki i ojcowie urobieni są, żeby z rozmysłem umierać na określone, preferowane sposoby: rak, zawał, wypadek samochodowy, śmierć na Wojnie – no i zostawiają samotne dzieci w lesie. Zawsze mówi się, że ojca „zabrano”, ale on przecież sam odszedł – tak wygląda prawda. Ojcowie po prostu kryją siebie nawzajem, ot i wszystko. Być może nawet lepiej mieć tę zjawę, wycierającą do sucha cały pokój jak szklanę, wślizgującą się i wyslizgującą ze starego fotela, niż prawdziwego ojca, który jeszcze nie umarł, którego się kocha i którego odejście trzeba będzie oglądać...

W kuchni woda w czajniku drży, zaczyna bulgotać w temperaturze wrzenia, na dworze dmie wiatr. Gdzieś, przy innej ulicy, spada obluzowana dachówka. Roger przyłożył sobie do piersi dłoń Jessiki, by je rozgrzać, i teraz czuje przez sweter i koszulę lodowatość stulonych palców. Ona stoi

odsunięta o krok i dygocze. Chciałby rozgrzać ją całą, a nie tylko komiczne kończyny. Pragnie tego beznadziejnie. Jego serce drży jak czajnik z wrzątkiem.

Objawia mu się, jak łatwo może ją stracić. Po raz pierwszy rozumie, dlaczego to jest jak śmiertelność i dlaczego będzie płakał, gdy zostanie sam. Uczy się rozpoznawać te chwile, kiedy nic jej przy nim nie trzyma oprócz jego chudych ramion po dwudziestu porannych pompkach... Jeżeli ona odejdzie, przestanie mieć znaczenie, jak i gdzie spadają rakiety. Jednak zgodność map, romansów i trafień wniknęła w niego po kryjomu, cicha jak lód, i teraz quislingowskie molekuly przemieszczają się niczym rozpościerana sieć, żeby go zmrozić. Gdyby mógł więcej z nią przebywać... gdyby to się stało, kiedy byli razem – w innych czasach może wyglądałoby to romantycznie, ale w cywilizacji śmierci pewne sytuacje stają się po prostu bardziej aktualne od innych – lecz są od siebie tak daleko...

Jeśli nie dopadnie jej rakietą, to pozostaje jeszcze ten jej porucznik. Cholerny Jeremy Bóbr *jest* Wojną, jest każdym twierdzeniem, które Wojna kiedykolwiek wygłosiła: że nasze przeznaczenie sprowadza się do pracy dla rządu i wyrzeczeń i że one są ważniejsze od miłości, marzeń, ducha, zmysłów i innych drugorzędnych błahostek, które wypełniają bezczynne i bezrozumne godziny dnia... Niech ich szlag, nie mają racji. Są obłąkani. Jeremy zawlecze ją jak Anioł na tę smutną, okraszoną łasicowatymi słowami wyprawę i Roger zostanie zapomniany, zabawny maniak bez własnego miejsca w zracjonalizowanym rytuale władzy, którym będzie nadchodzący pokój. Jessica stanie się domową biurokratką, młodszym współnikiem, będzie spełniać polecenia męża i wspominać Rogera – jeżeli w ogóle będzie to robić – jako błąd, którego, dzięki Bogu, się ustrzegła. Och, czuje, że jest o krok od napadu szału – jak on, do ciężkiej cholery, ma przeżyć bez niej? Ona jest wiatrówką, która osłania jego przygarbione ramiona, zimującym wróblem, trzymanym w stulonych dłoniach. Jest jego najgłębszą niewinnością w przestrzeniach zakreślonych gałęziami i sianem, zanim

pragnieniom nadano odrębne nazwy, by przestrzec, że być może się nie ziszczą, gibką paryską córą radości, pod wiecznym zwierciadłem, zadającą kłom perfumom, karakuły po pachy, zadającą kłom wszystkiemu, co jest zbyt łatwe dla jego zubożenia i godniejszej miłości.

Krocysz we mnie od marzenia do marzenia. Masz dostęp do najskrytszego, zagraconego zakamarka mej duszy i tam, pośród śmieci, znalazłaś życie. Nie wiem, które ze słów, obrazów, marzeń i duchów są „twoje”, a które „moje”. Tego nie da się już rozdzielić. Oboje jesteśmy teraz kimś nowym, kimś niewiarygodnym...

Oto jego akt wiary. Na ulicy dzieci śpiewają:

„Sza!” – zawołał anioł i cisza zapadła:

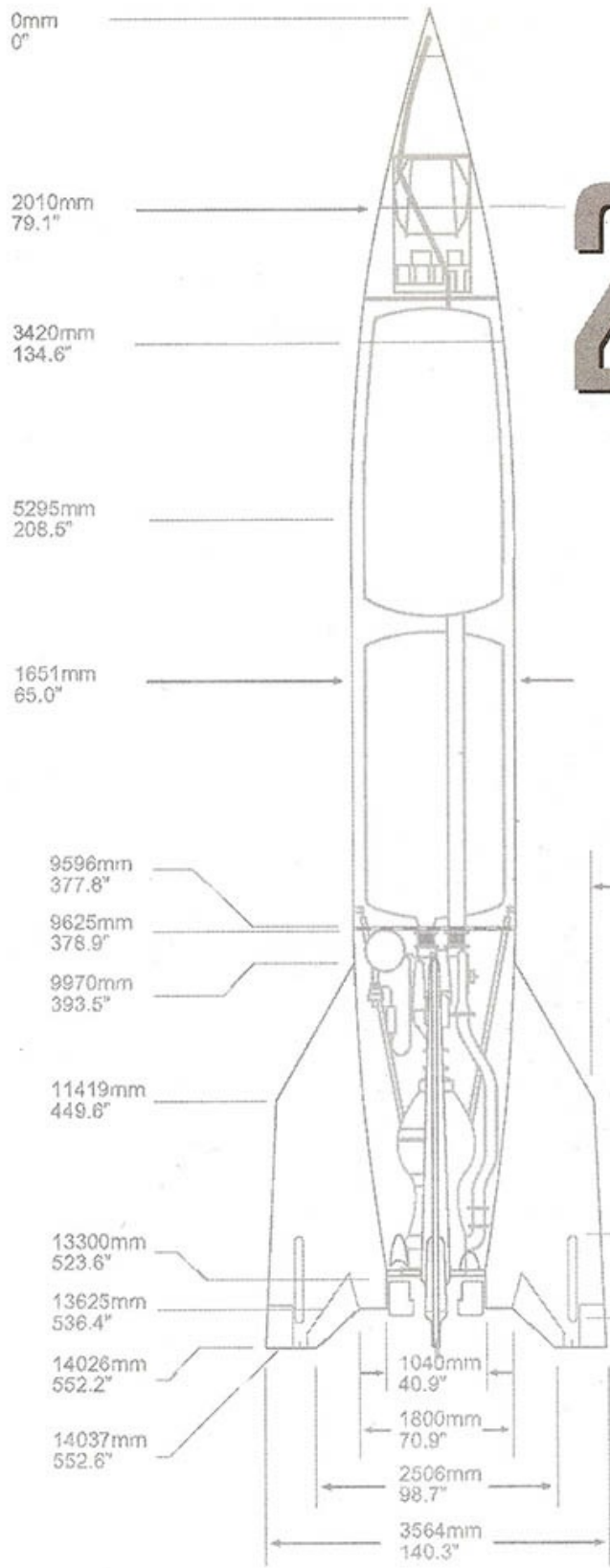
Pani Simpson króla skradła.

Na gzymsie kominka Kim, syn Sadzy, niepokojąco utuczony zezowaty kocur, czai się, żeby zrobić jedną z niewielu rzeczy, które cieszą go w dzisiejszych czasach. Poza jedzeniem, spaniem i amorami jego obsesją są skoki, a właściwie spadanie z góry, na matkę. Leży roześmiany na jej grzbiecie, gdy tymczasem ona miota się z piskiem po pokoju. Nancy, siostra Jessiki, wychodzi z ubikacji i przerywa narastającą awanturę między Elizabeth a Claire. Jessica odsuwa się od Rogera, żeby wydmuchać nos. Roger zna te odgłosy nie gorzej niż ptasie trele, mfff-mfff-mfff, CHMUUUCH, chusteczka odsunięta od twarzy...

– Jasny gwint, chyba złapałam przeziębienie.

Raczej Wojnę. Zaraziłaś się i już nie wiem, jak cię przed nią obronić. Och, Jess. Jessica. Nie opuszczaj mnie...





# 2 Un perm' au casino Hermann Goering

Będiesz miała najwyższego i najbardziej śniadego amanta w Hollywood.

**MERIAN C. COOPER**  
W ROZMOWIE Z FAY WRAY



Tego ranka ulice już dudnią, blisko i w oddali, drewnianymi podeszwami cywilnych butów. W górze fruną wszystkożerne mewy, rozluźniony lot ślizgowy bok w bok, skrzydła rozpostarte nieruchomo, co jakiś czas tylko drobne pojedyncze drgnięcie, by nabrać siły nośnej do tego splatania i rozplatania stada – powolne rozdawanie białych kart spod niewidzialnego kciuka... Wczorajszy przedsmak okolicy, podczas popołudniowego spaceru esplanadą, nie był zachęcający: morze w odcieniach szarości pod ołowianymi chmurami, płaskie białe kasyno „Hermann Goering” i zębate korony czarnych palm, które ledwo się kołysały... Lecz teraz do oblanych słońcem drzew powróciła zieleń. Na lewo, w dali, pętli się skruszały zabytkowy akwedukt, sucha żółć ciągnąca się wzdłuż Cap Martine, tamtejsze domy i wille spalone na kolor ciepłej rdzy, delikatna korozja przez wszystkie barwy ziemi, od surowej bladości po głęboki glans.

Słońce, stojąc jeszcze niezbyt wysoko, chwyta ptaki za skraj skrzydeł, przeobrażając pióra w oślepiające skręcone strużyny lodu. Slothrop szczęka zębami na widok frunącego stada, dygocze na małym balkonie, bo elektryczne ogrzewanie ledwo dosięga jego łydek. Chyży Mucker-Maffick i jego kumpel Teddy Bloat dzielą drugi pokój w głębi korytarza. Wciąga dłonie w rękawy bluzy ze ściągaczami, krzyżuje ręce na piersi, przypatruje się zdumiewającemu cudzoziemskiemu porankowi, przewiercanemu przez widmo jego oddechu, czując ciepłe promienie słońca, łaknąc pierwszego papierosa – perwersyjnie oczekując nagłego hałasu, pierwszej rakiety, żeby rozpocząć dzień. Świadom przez cały czas, że podąża śladem wielkiej wojny, która przesunęła się na północ, i że tutaj jedynym hukiem będą strzelające korki od szampana, silniki opływowych hispano-suiz i sporadyczny miłosny klaps. Oby... Nie ma Londynu? Nalotów? Czy będzie się umiał przyzwyczać? No jasne, tyle że wtedy będzie pora wracać.

– Już nie śpi. – Do pokoju wślizguje się umundurowany Bloat, gryzący tłącą się fajkę, a za nim Chyży w sportowym garniturze w prążki. – Na stanowisku, dokonuje rozpoznania plaży. Założę się, że w poszukiwaniu



panienki bez pary, a może dwóch...

– Nie mogłem spać. – Slothrop ziewa w kierunku pokoju, a za jego plecami szybują w słońcu ptaki.

– My też nie. – To Chyży. – Trzeba lat, by przywyknąć.

– Boże! – Tego ranka Bloat na siłę krzesze entuzjazm; wskazawszy teatralnym gestem ogromne łóżce, pada na nie, odbija się. – Chyba uprzedzono ich, że przyjeżdżasz, Slothrop! Ale luksus! Nam dali jakąś nieużywaną służbówkę!

– Ej, co ty mu wmawiasz? – Slothrop przetrząsa pokój w poszukiwaniu papierosów. – Że jestem jakiś Van Johnson czy ktoś?

– No bo wiesz – Chyży rzuca mu z balkonu swoją zieloną paczkę cravenów – w sprawie dziewczyn...

– Anglicy są raczej powściągliwi – dodaje Bloat, podskakując na łóżku dla emfazy.

– Och, szalejący wariaci – mruczy Slothrop, ruszając do łazienki – zostali napadnięci przez bandę z sekcji ósmej, a jak... – Zadowolony szcza bez pomocy rąk, zapalając papierosa, rozmyślając trochę o tym Bloacie. Podobno to stary kumpel Chyżego. Pstryka zapalną do muszli klozetowej, krótki syk: to, jak się odzywa... protekcyjnie... czy może to nerwy?... – Chcecie, chłopaki, żebym wam nagrał panienki?! – przekrzykuje szum spłukiwanej wody. – Myślałem, że gdy przepłyniecie Kanał, postawicie nogę we Francji, to przemienicie się w Rudolfów Valentino.

– Podobno była taka przedwojenna tradycja – Chyży snuje się teraz żałośnie w drzwiach – ale Bloat i ja należymy do Nowej Generacji, zmuszeni jesteśmy polegać na rutynie jankesów...

Na to Bloat zeskakuje z łóżka i usiłuje oświecić Slothrop'a następującą piosenką:

## ANGLIK ŚMIAŁOŚCIĄ NIE GRZESZY (fokstrot)

Bloat: Anglik śmiałością nie grzeszy,  
Żaden z niego Don Juan.  
Amerykanin to jest ułan!  
Na niego lecą kobiety.

Chyży: Anglikowi obca, niestety,  
Brawura transoceaniczna,  
W oczach kobiety tak romantyczna,  
Choć Bóg raczy wiedzieć dlaczego...

Bloat: Topi smutki przy barze,  
Bo tamten ma wszystko, on nie ma nic,

Chyży: Lecz skrycie respektem go darzy,  
Bo tamten to erotyczny Clause-witz....

Razem: Gdybyż połączyć się dało  
Amerykańskie znawstwo kobiety,  
Angielskie lico i ciało,  
Mnóstwo ślicznotek by mdlało,  
Lecz Anglik śmiałością nie grzeszy – niestety.

- No to trafiliście pod właściwy adres – kiwa głową Slothrop, przekonany.
- Nie spodziewajcie się jednak, że będę za was wkładał.
- Nie, nie, tylko pierwszy krok – mówi Bloat.
- *Moi* – krzyczy Chyży z balkonu – *moi* Chyży, rozumiecie, Chyży!
- Chyży! – odpowiada niewyraźnie chór dziewcząt z dołu.
- Przypadkiem *j'ai deux amis, aussi. Par un bizarre* przypadkiem albo coś tak, *oui?* Slothrop, który akurat się goli, wychodzi na balkon ze spienionym pędzlem w garści, by zobaczyć, co się dzieje, i zderza się z Bloatem, który akurat podbiega, by zerknąć nad lewym ramieniem Chyżego na ładne twarze

trzech dziewcząt, zwrócone do góry, każda otoczona wielką aureolą słomkowego kapelusza, promienne uśmiechy, oczy tajemnicze jak morze widoczne w tle.

– *A ou* – pyta Bloat – *ou*, no wiecie, *déjeneur*?

– Cieszę się, że mogłem wam pomóc – mruczy Slothrop, namydlając Chyżego między łopatkami.

– Chodźcie z nami! – Dziewczęta przekrzykują szum fal. Dwie z nich trzymają ogromny wiklinowy kosz, z którego wychylają się okryte białym obrusem smukłe zielone butelki wina i bułki paryskie, buchające wstęgami pary z kasztanowej glazury i jaśniejszych pęknięć chrupkiej skórki. – Chodźcie, *sur la plage*...

– Ja tylko dotrzymam im towarzystwa – Bloat już jest połową ciała na korytarzu – póki wy dwaj nie...

– *Sur la plage* – rozmarzony Chyży mruga oczyma w słońcu, uśmiechając się do pragnień ziszczonych na dzień dobry – to brzmi jak tytuł obrazu. Któregoś z impresjonistów. Fowistów. Pełno światła...

Slothrop strząsa z dłoni krople roztworu z oczaru wirgińskiego. Zapach w pokoju przywołuje soboty w Berkshire – butelki odżywek ze śliwki i nalewek z bursztynu, upstrzone muchami papierowe serwetki, kołysane przez sufitowy wentylator, ukłucia bólu od tępych nożyczek... Ściąga z siebie bluzę, zapalony papieros nadal w ustach, z kołnierza jak z wulkanu bije dym.

– Ej, mógłbym wysepić jednego...

– Przecież dostałeś już całą paczkę! – krzyczy Chyży. – Boże wszechmogący, a co to ma być?

– Co co ma być? – Slothrop z miną niewiniątka wkłada i zapina szokującą koszulę.

– Chyba żartujesz. Panie czekają, Slothrop, włóżże coś cywilizowanego, bądź dobrym...

– Gotowe. – Slothrop mija lustro, układając włosy w swoją typową efekciarską fryzurę Binga Crosby'ego.

– Nie myślisz chyba, że pokażemy się w...

– Przesłał mi ją na urodziny mój brat Hogan aż z Pacyfiku – informuje Slothrop. – Widzisz z tyłu? Pod tymi facetami w kanoe, tam, na lewo od kwiatów hibiskusa, jest napisane: „Pamiątka z Honolulu”. To autentyczny wyrób, Mucker-Maffick, a nie tania podróba.

– Dobry Boże – jęczy niepokieszony Chyży, wychodząc za Slothropem z pokoju, osłaniając oczy od koszuli, która jarzy się nikle w półmroku korytarza. – Przynajmniej wpuść ją w spodnie i zarzuć coś dodatkowo na siebie. Masz, dam ci swoją marynarkę... – Fakt, wielka ofiarność: marynarka jest z Savile Row, której przymierzalnie udekorowane są portretami czcigodnych owiec – jedne w szlachetnych pozach na turniach, inne w łagodnych zadumanych zbliżeniach – ostrzyżonych dla tego właśnie posrebrzonego mgłą runa.

– To nie wełna, tylko drut kolczasty – wyrokuje Slothrop. – Która dziewczyna chciałaby się zbliżyć do mnie w czymś takim?

– A która kobieta przy zdrowych zmysłach chciałaby się znaleźć w promieniu dziesięciu mil od tej, tej twojej upiornej koszuli, hę?

– Czeka! – Slothrop dobywa znikąd krzykliwą żółto-zielono-pomarańczową chusteczkę i na przekór jękom grozy Chyżego układa ją w górnej kieszeni marynarki, tak że na zewnątrz sterczą trzy rogi. – No – kompletnie rozpromieniony – oto, co znaczy odpicowany mężczyzna!

Wychodzą na słońce. Mewy zaczynają pohukiwać, jaskrawy strój Slothropo żyje własnym życiem. Chyży zaciska powieki. Kiedy je otwiera, widzi, że wszystkie trzy dziewczyny kleją się do Slothropo, głaszcząc go po koszuli, skubiąc za kołnierzyk, gruchając po francusku.

– Oczywiście. – Podnosi z ziemi koszyk. – Jasna sprawa.

To tancerki. Kierownik kasyna „Hermann Goering”, niejaki César Flebótomo, sprowadził całą rewię zaraz po wyzwoleniu, choć nie znalazł jeszcze czasu, żeby zmienić okupacyjną nazwę lokalu. Ale najwyraźniej nikomu ona nie przeszkadza tam na dachu: ładna mozaika z idealnych,

drobnych muszelek, fioletowych, różowych i brązowych, tysiące ich, osadzonych w zaprawie wapiennej zamiast dachówek (które wciąż leżą w kupie za kasynem), ułożonych przed dwoma laty w ramach wypoczynku przez urlopowanych pilotów eskadry meserszmitów, gotyckie liternictwo na tyle okazałe, że napis jest widoczny z lotu ptaka, a o to właśnie im chodziło. Słońce wciąż jest zbyt nisko, by ożywić dwa wyrazy do czegokolwiek więcej prócz nagiego oddzielenia się od podłoża, wiszą więc stłumione w powietrzu, bez żadnego już związku z ludźmi, z bolącymi dłońmi, bąblami, które szerniały w słońcu od zakażenia i krwi – nikną teraz, gdy towarzystwo mija hotelowe prześcieradła i poszewki na poduszki, wywieszane na plaży, by wyschły, drobne zmarszczki oblamowane błękitem, co odleci, gdy słońce wespnie się wyżej, sześć par nóg depczących nigdy niezgrabiane śmieci, stary żeton na wpół wytrawiony przez słońce, przeświecające kości mew, bezbarwny podkoszulek od munduru Wehrmachtu, podarty i powalany smarem do łożysk...

Idą plażą, niesamowita koszula Slothrop, chusteczka Chyżego, suknie dziewcząt, roztańczone zielone butelki, wszyscy mówią jednocześnie, *lingua franca* flirtu, dziewczęta przekazując sobie niejedno spojrzeniami rzucanymi z ukosa na swoją eskortę. To powinny być wymarzone warunki do próbki, he, he, he, wczesnej paranoi, ot, swoisty podryw, by śmieiej stawić czoło temu, co z pewnością przyjdzie później, w ciągu dnia. Ale nie jest. O wiele za dobry poranek na coś takiego. Chlupoczą niewielkie fale, jak spieczony chleb pękając na łuku pokrytej czarnymi kamykami plaży, pieniać się nieco dalej wśród ciemnych skał, które sterczą wzdłuż Cap Martine. Hen, na morzu, migoczą bliźniacze opilki dwóch żagli, wydętych w oddali i słońcu ku Antibes, stopniowa zmiana halsu, jacht delikatny jak mięczak wśród niskich grzywaczy, których dotyk i zgiełkliwy szum pod załamaniem burty Slothrop rejestruje tego ranka, przypominając sobie przedwojenne comety i hamptony, namierzane z plaży na Cape Cod, wśród lądowych zapachów, wysychające wodorosty, całosezonowy olej do smażenia, piasek pod bosymi stopami na

nagrzanej, porosłej ostrą trawą wydmie... „Blżej brzegu przesuwa się *pédalo* pełna żołnierzy i kobiet – dyndanie, pluskanie, leniwe pozy na leżakach w biało-zielone pasy na rufie. Nad wodą uganiają się dzieci, rozkrzyczane, roześmiane ochryple i beznadziejnie jak łaskotany berbeć. Na esplanadzie widać parę starszych ludzi, siedzących na ławce, niebiesko-biało-kremowy parasol, poranny nawyk, stały punkt do zakotwiczenia całego dnia...

Docierają aż do pierwszych skał, gdzie znajdują małą zatoczkę, częściowo osłoniętą od strony plaży i mającego w oddali kasyna. Na śniadanie jest wino, pieczywo, uśmiechy, promienie słońca załamujące się w delikatnych splotach długich dziewczęcych włosów, rozsypywanych, odgarnianych, ani na moment niepozostawianych w spokoju, błysk fiołka, szczawiu, szafranu, szmaragdu... Przez chwilę można zapomnieć o całym świecie, lite formy rozpękają się, ciepły miękisz bułek czeka na twoje palce, aromatyczne wino spływa długą, nieśpieszną strugą po języku...

– Rany gościa, Slothrop – rzuca Bloat – ona też jest twoją znajomą?

Że co? Co się dzieje... jaka ona, mmm? Zadowolony Bloat wskazuje ręką na skały i pobliskie rozlewisko po przyptywie...

– Ma na ciebie oko, koleżko.

No cóż... jakby wyszła z morza. Z tej odległości, jakieś dwadzieścia metrów, jest tylko sylwetką w czarnej sukni z bombazyny do kolan, poniżej długie, proste łydki, krótka szopa jasnych włosów, ocieniająca twarz, muskająca puklami policzki. Patrzy na Slothrop, fakt. On uśmiecha się, niby macha do niej. Ona wciąż stoi, bryza wciska się w rękawy. Slothrop odwraca się, żeby otworzyć butelkę, a trzaskowi korka towarzyszy wrzask jednej z tancerek. Chyży już jest na nogach, Bloat gapi się z rozdziawioną gębą na dziewczynę, *danseuses* odskakują w odruchu obronnym, włosy rozwiane, suknie skręcone, błysk ud...

Kurza dupa, to się *porusza* – ośmiornica? Owszem, kurwa mać, największa ośmiornica, jaką Slothrop kiedykolwiek widział poza kinem, właśnie wynurza się z wody i wypęła do połowy na jedną z czarnych skał. Łypie



złowrogim ślepiem na dziewczynę, na oczach wszystkich wyciąga kończyny, owija jedno nabijane przyssawkami ramię wokół jej szyi, drugie dokoła talii i zaczyna ciągnąć opierając się ofiarę w morze.

Slothrop już pędzi na ratunek, z butelką w garści przebiega obok Chyżego, który płąsa niepewnym tanecznym krokiem, ręce obmacują kieszenie garnituru w poszukiwaniu broni, której nie ma, im bliżej jest odsiecz, tym więcej ośmiornicy się wyłania, rany, ależ to wielkie obrzydlistwo, kur zapiał! – ostre hamowanie, jedna noga w rozlewisku, no i zaczyna okładać potwora butelką po łbie. Dokoła jego stopy prześlizgują się kraby w śmiertelnej walce. Dziewczyna, w połowie już zawleczona do wody, próbuje krzyczeć, ale zwinne i zimne ramię uciska jej tchawicę, aż ledwo oddycha. Wyciąga rękę, dziecięcą dłoń o miękkich knykciach z męską bransoletką identyfikacyjną na przegubie, i chwyta Slothrop'a za hawajską koszulę, zaciska palce, któż by przypuszczał, że jej ostatnim ziemskim widokiem będą tancerki hula o pospolitych twarzach, ukulele i narciarze wodni w komiksowych kolorach... O Boże, Boże, ratunku, pac, pac, butelką po łbie, w mokre cielsko, kurwa, nic z tego, ośmiornica zerka na Slothrop'a tryumfalnie, on tymczasem w obliczu nieuchronnej śmierci nie może oderwać oczu od ręki dziewczyny, materiał marszczy się promieniście ze środka jej przerażenia, guzik na ostatniej nitce – widzi nazwisko na blaszce, wydrapane srebrne litery, każda wyraźna, ale razem nijak się nie układają w żaden sens wobec szlamowatego szarego uścisku, który się wzmaga, płynny, silniejszy niż oni dwoje razem, opasują nieszczęsną rękę, w której skurcz mięśni jest pożegnaniem z ziemią...

– Slothrop! – Trzy kroki od niego jest Bloat, który podaje mu dużego kraba.

– Czego, kurwa?... – Może gdyby rozbił butelkę o skałę, dźgnął sukę między ślepią...

– Jest głodna, zrezygnuj dla kraba. Nie zabijaj jej, Slothrop. Masz, na miłość boską, bierz!

Oto krab frunie w powietrzu, odnóża sterczące na wszystkie strony: rozdygotany Slothrop rzuca butelkę i niemal w tej samej chwili stworzenie ląduje w jego drugiej dłoni. Zręczny chwyt. Przez palce dziewczyny i swoją koszulę natychmiast czuje reakcję na pożywienie.

– No dobra. – Roztrzęsiony, macha krabem przed oczyma ośmiornicy. – Ej, posiłek, koleżanko. – Zbliża się kolejne ramię. Karbowana przyssawka dotyka jego nadgarstka. Slothrop rzuca kraba w piasek na odległość kilku kroków, no i proszę bardzo, ośmiornica bryka w pogoni: przez chwilę ciągnie za sobą dziewczynę i ślaniającego się Slothrop, a potem ją puszcza. Slothrop szybko chwyta z powrotem kraba, dynda nim ostentacyjnie i zaczyna odciągać stwora od dziewczyny, ślina cieknie z paszczy, ślepia skupione na skorupiaku.

W czasie tej krótkiej znajomości Slothrop doznaje wrażenia, że ośmiornica ma nierówno pod sufitem, choć właściwie gdzie jest skala porównawcza? Widzi szalone nieokiełznanie, jak w wypadku przedmiotów nieożywionych, które same spadają ze stołów, kiedy jesteśmy uwrażliwieni na hałas i naszą niezręczność i wcale nie chcemy, żeby spadały, a tu łups, cha, cha, cha, słyszałeś? No i znowu, RYMS, on słyszy to teraz w każdym ruchu głowonoga, od którego z największą chęcią się oddala, i w końcu miota krabem jak dyskiem, z całej siły, w morze, a ośmiornica, ze skwapliwym pluskiem i gulgotem, rusza w pościg i już jej nie ma.

Delikatna dziewczyna leży na plaży i łyka haustami powietrze, otoczona przez pozostałych. Jedna z tancerek ją obejmuje, mówi do niej, wciąż francuskim „r” i głóskami nosowymi, ale w języku, którego powracający w zasięg słuchu Slothrop jakoś nie potrafi rozpoznać.

Uśmiechnięty Chyży saltuje żartobliwie.

– Piękne widowisko! – wiwatuje Teddy Bloat. – Ale nie chciałbym spróbować!

– Dlaczego? To ty miałeś kraba. A powiedz no mi, skąd go wytrzasnąłeś?

– Znalazłem – odpowiada Bloat z kamienną twarzą.

Slothrop patrzy na tego ptaszka, ale nie może nawiązać kontaktu wzrokowego. Co tu się dzieje, do kurwy nędzy?

– Chyba się napiję – dochodzi do wniosku. Pije wino z butelki. Wewnątrz zielonego szkła rozbryzgują się płynące do góry pęcherzyki powietrza. Przygląda mu się uratowana dziewczyna. Slothrop przerywa picie, żeby nabrać tchu, i uśmiecha się.

– Dziękuję, poruczniku. – Najmniejszego drżenia głosu, germański akcent. Widzi teraz jej twarz, śliczny nosek łani, oczy przysłonięte jasnymi rzęsami pełne soczystej zieleni. Europejskie wąskie usta. – Prawie mnie udusiła.

– Eeee, nie jesteś Niemką?

Stanowczo kręci głową.

– Holenderką.

– Byłaś tutaj...

Ucieka oczyma, wyciąga dłoń i odbiera od niego butelkę. Patrzy w morze, za ośmiornicą.

– To wzrokowce, prawda? Nie wiedziałam. Zobaczyła mnie. Mnie. A przecież ja nie wyglądam jak krab.

– Raczej nie. Jesteś wdechowa dziewczyna.

W tle zachwycony Bloat trąca łokciem Chyżego. Transoceaniczna brawura. Slothrop bierze dziewczynę za przegub i bez trudu odczytuje napis na blaszce. Katje Borgesius. Wyczuwa bijące tętno. Czy ona skądś go zna? Dziwne. W jej twarzy widzi poznanie zmieszane ze sprytem...

Zatem to tutaj, w towarzystwie obcych na plaży, głosy nabierają metalicznego brzmienia, każde słowo staje się ostrym trzaskiem, a światło, choć jest jasno jak przedtem, nie oświetla już tak samo... przesącza się teraz purytański odruch doszukiwania się innych porządków za fasadą widzialności, znany również jako paranoja. W morskim powietrzu wirują blade linie sił... nasuwają się pakty zaprzysiężone w pokojach nie całkiem przypadkowo startych bombami do rzutów pionowych. To nie był „znaleziony” krab, mistrzu – żadna tam przypadkowa ośmiornica czy

dziewczyna, he, he. Struktura i szczegóły przyjdą później, ale wyraźnie czuje teraz znowę dokoła siebie, czuje aż w głębi serca.

Wszyscy zostają jeszcze chwilę na plaży, żeby dokończyć śniadanie. Niemniej zwykły dzień, ptaki i słońce, dziewczyny i wino, wymknął się już Slothropowi. Chyży sobie podpił, staje się coraz bardziej rozluźniony i zabawny w miarę osuszania butelek. Poderwał już nie tylko tę dziewczynę, która od razu wpadła mu w oko, ale i drugą, której niewątpliwie Slothrop by się teraz przypochlebiał, gdyby nie pojawiła się ta ośmiornica. Jest posłańcem z niewinnej, przedośmiornicznej przeszłości Slothropo. Bloat natomiast siedzi trzeźwy jak świnia, wąs niezmierny, przepisowy mundur, i bacznie obserwuje Slothropo. Jego towarzyska, Ghislaine, nieduża i szczupła, nogi w sam raz na fotkę do przypięcia na ścianę, długie włosy zaczesane za uszy aż do pasa, wierci się okrągłym tyłeczkiem w piasku, dopisując marginesowe komentarze do tekstów Bloata. Slothrop, który wierzy, że kobiety, podobnie jak Marsjanie, mają anteny, których mężczyźni nie mają, przypatruje się jej. Ona zerka na niego tylko raz, robi wielkie i tajemnicze oczy. Przysięgłby, że dziewczyna coś wie. W drodze powrotnej do kasyna, gdy niosą puste butelki i koszyk pełen śmieci, udaje mu się zamienić z nią słowo.

– Fajny piknik, nespia?

W jej policzkach pojawiają się dołeczki.

– Wiedziałaś o tej ośmiornicy? Wydaje mi się, że wszyscy zachowywaliście się jak na przedstawieniu.

– Nie, skąd, naprawdę nie. Znaczy, że ty myślisz, że to był żart? Mały Tyrone – szepcze nagle i bierze go za rękę, z szerokim nieszczerym uśmiechem, rzuconym pozostałym. Mały? Jest dwa razy większy od niej. – Proszę, bądź uważny...

Ot i tyle. Drugą ręką Slothrop trzyma Katje, dwie wróżki, przeciwności, po obu stronach. Plaża jest teraz pusta z wyjątkiem pół setki szarych mew, które siedzą i patrzą na wodę. Nad morzem pozują białe zwały chmur,

zaskorupiałe, nadmuchane przez cherubiny – nad esplanadą poruszają się liście palmowe. Ghislane się odłącza, krok w tył, żeby poderwać sztywnego Bloata. Katje ściska Slothrop za ramię i mówi to, co on chce usłyszeć:

– Być może to spotkanie było nam pisane...



Widziane o tej porze od strony morza, kasyno jest rozbłysłym klejnotem na widnokręgu: folia palm mrocznieje w gasnącym świetle. Ciemnieją poszarpane żółtobrazowe góry, woda upodabnia się barwą do miękkiego wnętrza czarnej oliwki, białe wille, przycupnięte *chateaux*, te ocalałe i zburzone, jesienna zieleń zagajników i odosobnionych sosen, wszystko ciemnieje do postaci nocnego krajobrazu, który krył się wszędzie dokoła przez cały dzień. Na plaży rozpalają się ognie. Do statku, na którego pokładzie stoi doktor Porkyevitch, dociera niesiony wodą ledwo słyszalny bełkot angielskich głosów oraz sporadyczna piosenka. Niżej ośmiornica Grigorij, objadłszy się krabów, bryka zadowolony w specjalnym basenie. Latarnia morska na cyplu strzela długim promieniem światła, a małe kutry rybackie wyruszają na połów. Grisza, przyjacielu, odegrałeś swój ostatni numer... Czy jest nadzieja na dalsze wsparcie ze strony Pointsmana, skoro Porkyevitch i jego Bajeczna Ośmiornica wykonali powierzone im zadanie?

Dawno przestał kwestionować rozkazy – przestał kwestionować nawet własne wygnanie. Być może w dowodach łączących go ze spiskową działalnością Bucharina, której szczegółów nigdy nie poznał, tkwiło ziarnko prawdy; całkiem możliwe, że ci z bloku trockistowskiego wiedzieli o nim – był przecież sławny – i wykorzystali go w sposób, który pozostanie niewyjaśniony już na zawsze... na zawsze: są takie formy niewinności, zdaje sobie sprawę, które nie potrafią tego pojąć, a cóż dopiero zaakceptować, jak on to zaakceptował. No bo w końcu mógł to być tylko kolejny epizod w jakimś przeogromnym patologicznym śnie Stalina. Na szczęście oprócz partii ma fizjologię... ci, którzy mają wyłącznie partię, którzy poświęcili jej całe swoje życie jedynie po to, by prędzej czy później paść ofiarą czystki, niechybnie przechodzą przez coś podobnego do śmierci... i nigdy nie będą niczego wiedzieć ze stuprocentową pewnością, nigdy nie poznają precyzji charakterystycznej dla laboratorium... Bóg świadkiem, że przez dwadzieścia



lat laboratorium było gwarancją jego poczytalności. Przynajmniej nigdy nie będą mogli...

Nie, nie zrobiliby tego, nie było jeszcze takiego przypadku... chyba że zataili, no bo w gazetach się o tym oczywiście nie przeczyta...

Czy Pointsman...

Możliwe, owszem.

Grisza, Grisza! Ziściło się. Tak szybko stało się to naszym udziałem: cudzoziemskie miasta, komedianci w pogniecionych kapeluszach, fontanny ognia, hałaśliwa orkiestra... Grisza, flagi wszystkich państw zwinięte w twoich ramionach... świeże skorupiaki, ciepłe pierogi, kubki gorącej herbaty wieczorem, między przedstawieniami... nauczyć się nie pamiętać o Rosji, czerpać otuchę z jej nędznych, podrabianych kawałków, na które się natykamy...

Teraz niebo się napina, żeby przepuścić pierwszą pojedynczą gwiazdę. Ale Porkyevitch nie wypowiada żadnego życzenia. Taka zasada. Nie interesują go oznaki przybycia ani nawet odejścia... Statek rusza na pełnej mocy silnika i wtedy ich kilwater podnosi się, różowy od zachodzącego słońca, zasłaniając białe kasyno nad brzegiem.

Dziś włączono prąd, dom gry znów jest opleciony francuską siecią energetyczną. Nad głowami migoczą obwisłe kryształowe żyrandole, a na dworze pośród ogrodów palą się łagodnie lampy. W drodze na kolację z Chyżym i tancerkami Slothrop staje jak wryty na widok Katje Borgesius, włosy upięte pod szmaragdową tiarą, reszta ciała przyobleczona w długą suknię z aksamitu w morskim kolorze. Eskortują ją dwugwiazdkowy generał i brygadier.

– Szarża ma swoje przywileje – intonuje Chyży z sarkazmem, szurając tanecznie nogami po dywanie. – Oho, faktycznie wysoka szarża.

– Próbujesz przygruchać moją kozę – szczyrzy się Slothrop – ale nic z tego.

– Widzę. – Uśmiech Chyżego nieruchomieje. – O nie, Slothrop, proszę, idziemy na kolację...

- Wiem, że idziemy na kolację...
- No nie, to wstyd, musisz ją zdjąć.
- Podoba ci się? Ręcznie malowana! Popatrz! Ładne cycki, hę?
- To przecież więzienny krawat.

W progu głównej sali wchłania ich wielki rój wchodzących i wchodzących kelnerów, oficerów i kobiet. Złapany w wir ciał Slothrop wyslizguje się w końcu z tłumu, trzymając młodą tancerkę za rękę, siada z nią na dopiero co zwolnionych krzesłach i spostrzega, że po lewej stronie ma kogóż to, jeśli nie Katje? Nadyma policzki, robi zeza, przyczesuje starannie włosy rękoma, a w tym czasie na stole ląduje zupa, więc zabiera się do niej jak do rozbrojenia bomby. Katje ignoruje go i rozmawia pod nosem swojego generała z jakimś pułkownikiem o jego przedwojennym interesie, którym było prowadzenie pola golfowego w Kornwalii. Dołki i zakłady. Człowiek czuł grunt pod nogami. Pułkownik najbardziej lubił przebywać tam nocą, gdy borsuki wychodziły z nor, żeby pograć...

Zanim pojawia się i znika ryba, wydarza się coś zabawnego. Slothrop czuje, że pod stołem o jego nogę ociera się ciepłe od aksamitu kolano Katje.

Raaaany, kombinuje, uwaga, zastosujemy fortel, no bo jesteśmy w Europie, co nie? Podnosi kieliszek i ogłasza:

- A teraz „Ballada o Chyżym Mucker-Mafficku”.

Wiwaty, speszony Chyży próbuje zapanować nad uśmiechem. To piosenka znana wszystkim: jeden ze Szkotów pędzi na skraj sali do fortepianu, César Flebótomo, zakręcając szczupłego węża w szablę, wślizguje się za palmę w donicy, żeby rozjaśnić nieco światła, następnie wychyla głowę i mrugając syczy na swego *maître d’hôtel*. Gulgocze wino w gardłach, rozlegają się odchrząkiwania i liczni z zebranych rozpoczynają śpiew:

## BALLADA O CHYŻYM MUCKER-MAFFICKU

Francuskie piwo to klątwa diabelska,  
Włoski dżin to płyn do mycia silnika.  
Od żytniej z Hiszpanii lepsza służba w karnej kompanii  
Pod dowództwem wariata lub paralityka.  
Biały grom niejednego wyprawił na tamten świat.  
W górach, gdzie wśród wsiochów osiadłem,  
Gromem tym razi bimber z piekielnej kadzi,  
Wymieszany trującym mieszałem.

Refren: Och, Chyży w niejednym już kraju zalał twarz,  
Stąd aż po krańce świata,  
Jeśli kto twierdzi, że odmówił gorzałki choć raz,  
To z niego świński cycek i kłamliwa szmata!

Brzmi, jakby śpiewało co najmniej stu Walińczyków, lecz najprawdopodobniej śpiewa tylko dwóch: tenor z południa i bas z północy kraju, więc nic dziwnego, że wszystkie rozmowy – *sub rosa* i inne – są skutecznie zagłuszone. A właśnie tego chciał Slothrop. Pochyliła się w kierunku Katje.

– Spotkajmy się w moim pokoju – szepcze dziewczyna. – 306, po północy.  
– Załatwione. – Slothrop prostuje się w samą porę, by dołączyć w pierwszym takcie następnej zwrotki:

Posiniał nieborak od szkwałów rumowych  
W spelunkach pod Zawianym Humbakiem.  
Poplamiał sobie wódą pulower od Durban po Dover,  
Pijany jak Świnia... z prosiakiem.  
Bo i we mgle Londynu, i w skwarze Sahary,  
I na śnieżnych stokach Eigeru  
Kiwa się, gagatek, jak storpedowany statek,

Czując pragnienie na widok likieru!

Och, Chyży w niejednym już kraju zalał twarz itd...

Po kolacji Slothrop daje Chyżemu znak, że czas się ewakuować. Ich tancerki idą ramię w ramię do marmurowej toalety, gdzie kabiny wyposażone są w system mosiężnych tub głosowych, pełna akustyka, co ułatwia porozumiewanie się przez ścianki. Slothrop i Chyży ruszają do najbliższego baru.

– Posłuchaj – Slothrop odbiera whisky, a jego słowa odbijają się od kostek lodu, brzmią więc odpowiednio ozięble – albo mnie dopadła jakaś psychoza, albo coś dziwnego się dzieje, mam rację?

Chyży udaje rozluźnionego gościa. Przerywa nucenie „Nad morzem niejedno można, czego nie można w mieście” i pyta:

– Co ty, naprawdę tak myślisz?

– Nie zgrywaj się, a ośmiornica?

– Ośmiornice to pospolity widok nad Morzem Śródziemnym. Fakt, zwykle nie są takie duże. Nie daje ci spokoju, że była ogromna? Przecież Amerykanie lubią, gdy...

– Chyży, to nie był przypadek. Słyszałeś, jak Bloat krzyczał, żebym jej nie zabijał? Miał ze sobą kraba, może go niósł w tym chlebaku, gotowy, żeby odciągnąć potwora. A w ogóle gdzie on teraz jest?

– Chyba na plaży. Nieźle się tam wóda leje.

– To on pije?

– Nie.

– No kurczę, przecież jesteś jego kumplem...

Chyży stęka.

– Boże, Slothrop, nie mam pojęcia, gdzie Bloat się podziewa. Twoim kumplem też jestem, a mimo to zawsze muszę się borykać z tą, no wiesz, z tą twoją Slothropowską paranoją...

– Paranoją, dupa-srala. Coś tu się kroi i-i-i ja to wiem!

Chyży żuje lód, gały wlepione w szklaną pałeczkę do mieszania drinków,

rwie chusteczkę na tysiące śnieżnych płatków, wszystkie tego typu barowe zagrania ma w małym palcu, jest starym wygą. Wreszcie, cichym głosem:

– No dobra. Odbiera zaszyfrowane informacje.

– Ano właśnie!

– Widziałem dziś jedną po południu w jego manelach. Przelotem. Nie próbowałem przyjrzeć się bliżej. Przecież jest w kontakcie z Najwyższym Dowództwem, pewnie o to chodzi.

– Nie, nie o to. A co powiesz na taką rewelację... – I Slothrop mówi mu o nocnej schadzce z Katje. Przez moment można odnieść wrażenie, że obaj są z powrotem w biurze ACHTUNG-u i spadają rakiety, że w papierowych kubkach czeka herbata, no i wszystko po staremu...

– Pójdiesz?

– A co, myślisz, że nie powinienem? Myślisz, że jest niebezpieczna?

– Myślę, że jest przecudowna. Gdybym nie miał na karku Françoise, nie wspominając już o Yvonne, ścigałbym się z tobą do jej drzwi.

– Ale?

Ale zegar nad barem uderza tylko raz, po chwili kolejny, a jego tryby wpędzają czas minuta po minucie w ich przeszłość.

– Tak czy owak, to jest zaraźliwe – wyznaje Chyży – bo mnie też już mają na oku.

Patrzą jeden na drugiego. Slothrop przypomina sobie, że oprócz Chyżego nie ma tutaj nikogo.

– Gadaj.

– Chciałbym móc. Zmienił się, ale nie potrafię ci podać ani jednego konkretnego. Odkąd... no, nie wiem. Od jesieni. Nie rozmawia już o polityce. Boże, aleśmy kiedyś nawijali, teraz natomiast nie chce już mówić nawet o swoich planach po wojnie, a wcześniej mówił bez przerwy. Myślałem, że naloty go rozstrajały... ale po wczorajszym wydaje mi się, że to na pewno coś więcej. Cholera, aż mi się robi przykro.

– A co się stało?

– Och, niby nic, przecież nie mogę powiedzieć, że mi groził. Przynajmniej nie na serio. Bąknąłem żartem, że podoba mi się twoja Katje. Na to Bloat zrobił się jak lód i powiedział: „Na twoim miejscu trzymałbym się od niej z daleka”. Próbował to pokryć śmiechem, jak gdyby jemu też na niej zależało. Ale nie o to chodziło. On, on mi już nie ufa. Jestem... czuję, że jestem dla niego użyteczny, ale nie potrafię rozgryźć, w czym rzecz. Toleruje mnie tak długo, jak długo będę przydatny. Stare uniwersyteckie więzi. Nie wiem, czy ty u siebie na Harvardzie też odnosiłeś takie wrażenie... ale kiedy studiowałem w Oksfordzie, zdarzało się, że wyczuwałem istnienie takiej jakby dziwnej *struktury*, do której nikt się nie przyznawał i która rozciągała się daleko poza Turl Street, poza Cornmarket, obejmując przymierza, stręczycielstwo, obowiązek wyświadczenia sobie wzajemnych przysług... człowiek nie wiedział, kto to będzie ani kiedy i jak zechcą to wyegzekwować... Myślałem wtedy, że sprawa jest niepoważna, że to margines tego, po co naprawdę przyjechałem, no wiesz...

– Pewnie, że wiem. W Ameryce usłyszysz o tym z wielu ust. Harvard jest stworzony do czego innego niż studia. „Edukacja” to tylko parawan.

– Wiesz, my tutaj jesteśmy okropnie niewinni, – Niektórzy z was być może. Przykro mi z powodu Bloata.

– Ciągle łudzę się, że może chodzi o coś innego.

– Rozumiem. Co w takim razie robimy?

– Radziłbym ci iść na randkę i uważać. Informuj mnie na bieżąco. Być może dla odmiany jutro ja przeżyję jakąś przygodę i ci ją opowiem. A gdybyś potrzebował pomocy – błysk zębów, twarz nieco poczerwieniała – to ci pomogę.

– Dzięki, Chyży. – Jezusie, brytyjski sprzymierzeniec.

Zaglądają Yvonne i Françoise, wywołują ich na dwór. Do Himmler-Spielsaal, na *chemin-de-fer*, póki nie wybije północ. Slothrop wychodzi na zero, Chyży moczy, a dziewczyny wygrywają. Ani śladu Bloata, choć przez cały wieczór w drzwiach snują się dziesiątki oficerów, brązowych i



nierzeczywistych jak na rotograviurze. I ani śladu jego dziewczyny, Ghislaine. Slothrop pyta o nią. Yvonne wzrusza ramionami:

– Pewnie polazła gdzieś z twoim kolegą. Ja jej nie pilnuję.

Długie włosy i opalone ramiona Ghislaine. Uśmiech sześciolatniej smarkuli... Czy nic jej nie grozi, jeżeli ona naprawdę coś wie?

O 11.59 Slothrop obraca się do Chyżego, kiwa głową do dwóch tancerek, próbuje zarechotać lubieżnie i kuksa przyjaciela czule w ramię. Kiedyś, w szkole podstawowej, trener posyłał taką samą sójkę małemu Tyrone'owi przed wstawieniem go do gry, dodając mu pewności siebie na około pięćdziesiąt sekund, bo potem przebiegała po szczeniaku, wykopyrtniętym na dupę, zmasowana obrona futbolistów z Choate, każdy o wadze i morderczym instynkcie nosorożca.

– Powodzenia – mówi Chyży szczerze, wyciągając rękę do okrytego szyfonem słodziutkiego tyłeczka Yvonne.

Chwile rozterki, tak, tak... Slothrop wchodzi po kondygnacjach stopni zasłanych czerwonym chodnikiem (Witamy Panie Slothrop w Naszej Strukturze Mamy Nadzieję że Będzie Pan Zadowolony z Wizyty), na cichych półpiętrach wiecznozielone, zastygłe w ucieczce i pogoni malachitowe nimfy oraz satyry, w górę, ku rozjarzonej pojedynczej żarówce na samym szczycie...

Przystaje na chwilę pod drzwiami, żeby poprawić włosy. Ona ma teraz na sobie białą sukienkę, całą pokrytą cekinami, wywatowane ramiona, postrzępione białe strusie pióra przy szyi i mankietach. Tiara znikła: w elektrycznym świetle jej włosy są świeżym śniegiem. Wewnątrz pali się tylko jedna aromatyczna świeczka i cały apartament skąpany jest w blasku księżycy. Katje nalewa brandy do starych kieliszków z rżniętego szkła, a gdy on odbiera swój, dotykają się palcami.

– Nie wiedziałem, że masz takiego bzika na punkcie golfa! – Uprzejmy, romantyczny Slothrop.

– Był miły, więc i ja byłam miła. – Jedno oko jakby przymrużone,

zmarszczone czoło.

Slothrop się zastanawia, czy na pewno zapiął rozporek.

– A mnie ignorowałaś. Dlaczego? – Cwane zagranie, kolego, ale ona dematerializuje się przed tym pytaniem i wyłania w innym kącie pokoju.

– Ja ciebie ignoruję? – Stoi przy oknie, niżej, w oddali, jest morze, nocne morze, niepodobna śledzić wzrokiem jego pojedynczych fal, wszystko stopione w zawieszoną martwość starego obrazu, widzianego w opuszczonej galerii, gdzie czeka się w cieniu, zapominając, po co się przyszło, odczuwając lęk przed poziomem światła zrodzonego z tej samej wybielonej blizny księżyca, która cynuje teraz morze...

– Nie wiem. Ale droczysz się ze mną okropnie.

– Być może taka moja rola.

– I być może to spotkanie było nam pisane?

– Och, przeceniasz mnie. – Prześlizguje się do kanapy, podkurcza jedną nogę.

– Wiem. Jesteś tylko holenderską dojarką albo coś. Szafa pełna wykrochmalonych fartuchów i chodaków, nie?

– Sam sprawdź. – Aromatyczna woń świecy dopada go przez pokój jak zdenerwowanie.

– Dobra, sprawdzę! – Otwiera szafę i w księżycowej poświacie odbitej w lustrze widzi stłoczony labirynt atłasów, taft, batystów, surowych jedwabów, ciemne futrzane kołnierze i lamówki, guziki, szarfy, pasmanterię, miękkie, dezorientujące labirynty kobiecych tuneli, które ciągną się przez całe mile – Slothrop może się zgubić w niespełna minutę... koronki migoczą, oczka mrugają, szal z krepy ociera się o twarz... Aha, jedną chwilę, szefie, czuć zapach operacyjny czterochloru węgla, w tej szafie zaś są głównie rekwizyty. – Rany, całkiem kławe.

– Jeśli to komplement, dziękuję bardzo.

Niech Oni mi podziękują, mała.

– Tak się mówi u nas, w Ameryce.

- Jesteś pierwszym Amerykaninem, jakiego poznałam.
  - Hm. Pewnie wydostałaś się przez Arnhem, co?
  - Nie za prędko jesteś? – Ostrzegawczym tonem, żeby się nie dopytywał.
- Slothrop wzdycha, dzwoniąc paznokciami o kieliszek. Próbuje zaśpiewać w ciemnym pokoju, mając za plecami sparaliżowane i ciche morze:

## ZA WCZEŚNIE, BY WIEDZIEĆ

Za wcześniej, by wiedzieć.  
Nie było namiętnego pocałunku w altance,  
Trzeba przy księżycu posiedzieć  
W nocnej ciszy, gdy już przebrzmia tańce,  
O spokojnym brzasku,  
W sekretności lasku...

Wiedzieć nie pora,  
Czy ta bez tchu prowadzona rozmowa,  
Do westchnień skora,  
Była tylko zwykłym flirtem słowa  
Skazanym, by pierzchnąć  
W mglistą przeszłość.

Cóż my wiemy?  
Co widzimy?  
Miłość skrycie rzuca czary,  
Z własnej woli łączy w pary...

Kto może być pewny,  
Czy radosna miłość to „teraz” i „potem”,  
Czy też jej czas rzewny,  
W proch się przemienił za  
Ziemi obrotom?  
Miła, nie umiem powiedzieć,  
ZA WCZEŚNIE, BY WIEDZIEĆ.

Świadoma jego oczekiwań Katje wysłuchuje z niewyraźną miną całej piosenki – języczki organków pobrzmiwają jeszcze chwilę pełnymi zamkniętymi harmoniami – następnie z wyciągniętą ku niemu ręką taje, a on

przypada w zwolnionym tempie do jej ust, pióra powiewają, rękawy się marszczą, nakrapiane księżycem nagie ramiona obejmują go i splatają się na plecach, lepki język nerwowy jak ćma, jego dłonie szeleszczą o cekiny... jej piersi rozpląszczone między dwoma ciałami, ręce puszcza ją go i wyginają się do tyłu, odnajdują zamek błyskawiczny i odsuwają go ze zgrzytem wzdłuż kręgosłupa...

Skóra Katje jest bielsza niż osuwająca się suknia. Nowo narodzona... on niemal widzi to miejsce za oknem, gdzie spośród skał wypełzła ośmiornica. Stąpa bosa jak balerina, uda długie i wygięte, Slothrop rozpiną pasek, guziki, rozwiązuje sznurowadła, podskakując na zmianę to na jednej, to na drugiej nodze, rany, rany, poświata jeszcze bardziej pobiela jej plecy, ale i tak pozostaje ciemna strona, gadzia strona Katje, twarz teraz niewidoczna, przeokropna zwierzęca przemiana spowija policzki i żuchwę, to już paszcza, rozrastające się czarne źrenice wypełniają całą przestrzeń oczodołów, nie widać białek i jest tylko czerwone odbicie zwierzęcia, gdy strzela światło, nie wiadomo, kiedy światło –

Osuwa się na miękkie łóżko, wciągając go za sobą w atlasowe, seraficzne, kwietne hafty, i natychmiast układa się, by wpuścić członka w napięte rozwidlenie, w pojedynczą wibrację, do której dostroiła się noc... drży w trakcie stosunku, stroboskop jej kremowogranatowego ciała ciągnie się pod nim przez całe mile, wszystkie dźwięki wytłumione, sierpy oczu za złotymi rzęsami, kolczyki z gagatu, długie, ośmiościenne, fruwią bezdźwięcznie, objają jej policzki – czarny deszcz – a w górze jego niewzruszona twarz, skupiona na starannej technice – czy ze względu na nią? Czy podłączył się do Gry w Slothrop, o której ją nauczyli – ożywi go, nie pozwoli się dosiadać przez plastikową kukłę... jej oddech robi się coraz chrapliwszy, już nad progiem słyszalności... sądząc, że ona jest o krok od szczytowania, Slothrop sięga ręką w jej włosy, próbuje unieruchomić głowę, musi zobaczyć twarz, i raptem wywiązuje się walka, prawdziwa zacięta walka – ona za skarby świata nie chce ukazać twarzy i w tej chwili ni stąd, ni zowąd faktycznie zaczyna

szczytować, a Slothrop idzie za przykładem.

Z niewiadomego powodu ona, która nigdy się nie śmieje, przemienia się w wielki nadęty balon śmiechu.

– Śmiech – szepnie później ze śmiechem, zasypiając.

On będzie chciał powiedzieć: „Och, Oni ci pozwalają”, ale może wcale nie pozwalają? Poza tym Katje, do której teraz mówi, jest już nieobecna i jemu też za chwilę skleją się oczy.

Jak zdalnie sterowana rakietka, której zawory otwierają się i zamykają o ustalonych porach, w konkretnym stadium zapadania w sen Slothrop przestaje oddychać przez nos i zaczyna oddychać ustami. Wkrótce przeradza się to w chrapanie, od którego niejednym razem trzęsły się szyby w oknach, kołysały okiennice i gwałtownie rozdzwaniały żyrandole, o proszę, znowu... Pierwsza pobudka tej nocy, bo Katje wali go poduszką w głowę.

– Ani mi się waż.

– Mhm.

– Mam lekki sen. Zachrap tylko, a znowu oberwiesz. – Wymachuje poduszką.

To nie są czcze pogrożki. Rytuał – chrr-chrr, bach poduszką w łeb, ocknięcie się, mhm i zasypianie – trwa aż do rana.

– Ej, no przestań – prosi wreszcie Slothrop.

– Chrapiesz! – wrzeszczy Katje.

On chwyta poduszkę i bierze zamach. Ona robi unik, turla się, zrywa na nogi, gotowa do walki z własną poduszką, cofa się do kredensu, na którym stoi alkohol. On odgaduje zamiary dziewczyny dopiero wtedy, gdy ona rzuca poduszkę i łapie za syfon z wodą sodową.

Z czym, z wodą sodową? Co to za gówno? Jakie jeszcze ciekawe rekwizyty tutaj podłożyli i jakich jeszcze amerykańskich odruchów się doszukują? Gdzie są ciastka z kremem bananowym, hę?

Wywija dwoma poduszkami, obserwując ją.

– Ani kroku dalej, bo... – chichocze Katje.



Slothrop robi wypad, żeby ją zdzielić przez tyłek, ale odpowiedzią jest seria z syfonu, jasna sprawa. Poduszka trafia w marmurowe biodro, poświata księżycowa w pokoju gęstnieje od piór i łukowatych strug wody. Slothrop usiłuje przejąć syfon. Nieuchwytna dziewczyna wymyka się, śmiga za krzesło. Slothrop bierze z kredensu karafkę z brandy, zdejmuje korek i tryska dwukrotnie przez pokój – na wskroś poświaty – czystymi, bursztynowymi strąkami alkoholu, które rozpryskują się na szyi, między zakończonymi czernią piersiami i ściekają po biodrach.

– Skurwiel! – krzyczy Katje, znowu ostrzeliwując go sodówką.

Opadające pióra lepią się im do skóry, gdy oboje gonią się po sypialni, jej nakrapiane ciało bez przerwy w odwrocie, w tym świetle często niewidoczne, nawet z bliska. Slothrop potyka się o meble.

– Rany, niech ja cię dorwę!

Ona otwiera drzwi do salonu, hops do środka, zatrząskuje je za sobą, akurat w chwili, gdy Slothrop nabiega, toteż odbija się nosem, „o kurwa”, otwiera drzwi i widzi ją wymachującą w jego kierunku wielkim czerwonym obrusem z adamaszku.

– Co to? – pyta.

– Magia! – woła Katje i zarzuca na niego obrus, marszczące się fałdy mnożą się szybko jak skazy kryształu, pełno czerwieni w powietrzu. – Obserwuj uważnie, bo sprawię, że zniknie pewien amerykański porucznik.

– Przestań się zgrywać. – Slothrop młóci rękoma, usiłując wyjść na świat. – Jak mam obserwować, skoro nic pod tym nie widzę? – Nijak nie może dotrzeć do kraju obrusa i jest już lekko spanikowany.

– O to właśnie chodzi. – Ona znajduje się nagle w środku, tuż obok, usta przy jego brodawkach, ruchliwe dłonie we włosach na karku ciągną go powoli na miękki dywan. – Moja mała ptaszyna.

– Ej, gdzie to widziałas? Pamiętasz, jak wszedł do łóżka z tą, z tą kożą?

– Och, nie pytaj...

Tym razem to szybki, łagodny, skoordynowany numerek, oboje trochę

śpiący, porośnięci lepкими piórami... po orgazmie leżą blisko siebie, zbyt rozmiękczeni, by się poruszyć, mmm, adamaszek i strzyżona wełna, ale tu przytulnie i czerwono, jak w łonie... Zgięty w pół, trzymając jej stopy swoimi, z fiutem zagnieżdżonym w miękkiej szczelinie między pośladkami, Slothrop ze wszystkich sił stara się oddychać nosem i w końcu morzy ich sen.

Budzi się w porannym śródziemnomorskim świetle, przesączonym przez palmowe liście za oknem i pobarwionym na czerwono przez obrus, na dworze świergot ptaków, piętro wyżej plusk wody z kranu. Dłuższą chwilę dochodzi do siebie, ani śladu kaca, wciąż nie-Slothrop należący do rozkręconego cyklu odejść i powrotów. Katje leży obok, żywa i ciepła, esowata przy jego esowatości, już zaczyna się poruszać.

Z sąsiedniego pokoju dochodzi go wyraźny brzęk sprzączki wojskowego pasa. Ktoś obrabia moje rzeczy, stwierdza, szybko wracając do rzeczywistości. Na dywanie tuż obok jego głowy rozlegają się kroki. Slothrop słyszy własne drobne dzwoniące w kieszeniach.

– Złodziej! – wrzeszczy, całkiem budząc Katje, która obraca się, by go objąć. Zlokalizowawszy kraj obrusa, co nie udało mu się w nocy, wyrывa się spod adamaszku w samą porę, by zobaczyć wielką nogę w dwukolorowym pantoflu – kawa i indygo – znikającą w drzwiach. Biegnie do sypialni i widzi, że znikły wszystkie jego manele, nie wyłączając butów i bielizny. – Moje ubranie! – Pędzi z powrotem obok wyłaniającej się spod obrusa Katje, która próbuje złapać go za nogi. Otwiera na oścież drzwi, wypada na korytarz, uświadamia sobie, że przecież jest nagi, dostrzega wózek z praniem, chwytając fioletowe prześcieradło z atłasu i owija się nim jak togą. Od strony schodów dobiega go chichot i pac, pac gumowych podeszew. – Aha! – woła Slothrop tryumfalnie i mknie korytarzem. Śliskie prześcieradło za żadne skarby świata nie chce się trzymać ciała. Łopocze, zsuwa się, płacze pod nogami. Po schodach, dwa stopnie naraz, tylko po to, żeby piętro wyżej zobaczyć kolejny hol, tak samo pusty. Gdzie się wszyscy podziali?

Zza winkła na końcu korytarza wyłania się drobna główka, która wymownym gestem pokazuje Slothropowi drobny paluszek. Ułamek sekundy później dobiega go nieprzyjemny śmiech, lecz on już kontynuuje pogoń. Słyszy zbieganie po schodach. Klnąc w żywy kamień, Wielki Fioletowy Latawiec frunie przez trzy kondygnacje, przez drzwi, na dwór, na mały taras, gdzie widzi, że ktoś przeskakuje kamienną balustradę i znika w gęstej koronie drzewa, które wyrasta z dołu.

– Zapędziłem cię w kozi róg! – krzyczy Slothrop.

Najpierw trzeba wleźć na to drzewo, potem będzie można zejść bez problemu jak po drabinie. Znalazłszy się wśród liści, w aromatycznym świetle, Slothrop nie widzi dalej niż na pół konara. Drzewo się trzęsie, a to znaczy, że gdzieś tutaj jest złodziej. Jazda na górę, z mozołem, prześcieradło zahacza się i rwie, skórę kłuje igliwie i ściera kora. Bolą go stopy. Za chwilę zabraknie mu tchu. Powoli szyszka zielonego światła zwięza się, rozjaśnia. Blisko wierzchołka Slothrop zauważa, że pień jest naderżnięty piłą albo innym narzędziem, ale nie marnuje czasu na dociekanie przyczyn, tylko się wdrapuje, aż wreszcie dociera na sam czubek i uczepiony kurczowo, kołysze się, podziwiając rozległy widok na port i cypel, morze o barwie błękitnej farby, grzywacze, sztorm zbierający się na widnokręgu, ludzkie głowy poruszające się w dole. Ale fajnie. Niżej słyszy trzask pękającego drzewa i czuje drgania wiotkiej gałęzi pod tyłkiem.

– Ożeż ty... – A to cwaniak. On ucieka w dół, nie w górę! Jest już na ziemi i sobie kpi! Oni wiedzieli, że Slothrop zacznie się wdrapywać, zamiast schodzić – liczyli na ten cholerny amerykański odruch, bo ścigany złoczyńca zawsze ucieka w górę – ale dlaczego? – i przerznęli pień niemal do końca i-i-i teraz...

Oni? *Oni?*

No cóż, kombinuje – lepiej, żebym... Właśnie wtedy drzewo pęka i wśród donośnych trzasków i szelestów, rozrywany przez wirujące gałęzie i igliwie na kilka tysięcy ostrych, spadających kawałków, Slothrop leci na złamanie

karku, odbijając się od konarów, próbując utrzymać nad głową fioletowe prześcieradło jak czaszę spadochronu. Auć. Szszsz. Mniej więcej w połowie drogi, z grubsza na wysokości tarasu, zerka w dół i widzi pełno wyższych rangą oficerów w mundurach oraz pucołowate panie w sukniach z białego batystu i kapeluszach przyozdobionych kwiatami. Rozgrywają partię krokieta. Wygląda na to, że wyląduje wśród nich. Zamyka oczy i próbuje sobie wyobrazić tropikalną wyspę, bezpieczny pokój, w którym to, co dzieje się teraz, nie może się wydarzyć. Rozwiera powieki akurat w chwili, gdy spada na ziemię. W ciszy, zanim jeszcze dociera do niego uczucie bólu, słyszy głośne łup drewna uderzającego o drewno. Cał od jego nosa przetacza się biała piłeczka w żółte paski, która zaraz niknie mu z oczu, ścigana wybuchem głośnych gratulacji, panie rozentuzjasmowane, kroki w jego stronę. Hm, najwyraźniej pogruchotał sobie tylko trochę plecy, ale i tak nie bardzo ma ochotę się ruszać. Niebo przesłania twarz jakiegoś generała i Teddy'ego Bloata, którzy z zainteresowaniem spoglądają na niego.

– To jest Slothrop ubrany w fioletowe prześcieradło – wyjaśnia Bloat.

– A cóż to, mój chłopcze – pyta generał – urządzamy teatr kostiumowy, hę?

– Dołączają dwie kobiety, patrzące promiennym wzrokiem na – albo wskroś – Slothrop.

– Z kim pan rozmawia, generale?

– A z tym nicponiem w todze, który blokuje mi drogę do następnej bramki.

– To nadzwyczajne. Roweno – pierwsza odwraca się do drugiej – czy ty też widzisz „nicponia w todze”?

– Broń cię Panie Boże, Jewel – odpowiada radośnie Rowena. – Ja myślę, że pan generał sobie podpiał.

Obie chichoczą.

– Jeżeli pan generał wszystkie swoje decyzje podejmuje w takim stanie – Jewel ledwo łapie oddech – to doczekamy się Szkopów defilujących po Trafalgar Square!

Obie piszczą bardzo głośno przez nieprzyjemnie długą chwilę.

– A ty będziesz miała na imię Brunhilda, a nie Jewel!

Ich twarze przypominają dławione róże. Damy padają sobie w ramiona jakby ze strachu przed śmiertelnym niebezpieczeństwem. Slothrop patrzy z ziemi na to przedstawienie, którego obsada wzrosła o kolejnych kilkanaście osób.

– Y-y-y, widzicie, drodzy państwo, ktoś zakosił moje ubranie i właśnie szedłem poskarżyć się kierownikowi ho...

– Ale po drodze się rozmyśliłeś. Postanowiłeś włożyć prześcieradło i wspiąć się na drzewo? – Generał kiwa głową. – No cóż, chyba będziemy mogli cię czymś poratować. Bloat, pan mi wygląda na podobny rozmiar, co?

– Och – młotek do krokieta na ramieniu, poza jak w reklamie krawca Kilgoura albo Curtisa, uśmiech dla Slothropo – mam gdzieś zapasowy mundur. Chodź, Tyrone, jesteś chyba cały? Nie połamałeś gnatów.

– Mmhhhh. – Owinięty w podarte prześcieradło, postawiony na nogi przez troskliwych graczy, Slothrop kuśtyka za Bloatem po trawniku do kasyna. Najpierw idą do jego pokoju. Jest sprzątnięty i kompletnie opróżniony, gotowy do przyjęcia nowych gości.

– Ej, co się dzieje?... – pyta Slothrop, wysuwając szuflady, puste jak bębny: znikło całe jego ubranie, w tym hawajska koszula. Niech to chuj strzeli. Pojękując, przetrząsa biurko. Puste. Szafy – puste. Papiery urlopowe, dokumenty, zabrali wszystko. Mięśnie pleców pulsują bólem. – Ej, mistrzu, co tu jest grane? – Idzie sprawdzić numer na drzwiach, ale tylko na pokaz. Bo już wie. Najbardziej żał mu koszuli od Hogana.

– Najpierw włóż coś porządnego. – Z tonu Bloata wyraźnie przebija nauczycielska przygana.

Wparowują z hałasem dwaj młodszy oficerowie, dźwigający walizy. Przystają i gapią się na Slothropo.

– Ej, kolego! – krzyczy jeden. – Nie ten teatr wojny!

– Z szacunkiem do niego! – rechocze drugi. – Przecież to Lawrence z Arabii!

– Cholera – kwituje Slothrop. Nie może nawet podnieść ręki, a co dopiero wziąć zamach. Idzie z Bloatem do jego pokoju, gdzie składają do kupy drugi mundur. – A powiedz – przychodzi mu nagle do głowy zapytać – gdzie jest teraz ten cały Mucker – Maffick?

– Pojęcia nie mam. Z dziewczyną. Albo dziewczynami. A gdzieś ty się podziewał?

Slothrop nie słyszy, rozgląda się tylko, ogarnięty spóźnionym lękiem, który zaciska mu odbyt, szyja i twarz perlą się od nagłego potu, próbuje znaleźć w pokoju dzielonym przez Bloata i Chyżego jakiś ślad po przyjacielu: marynarkę z szorstkiej wełny, garnitur w prążki, cokolwiek...

Nic.

– Wyprowadził się czy co?

– Chyba raczej wprowadził do tej Françoise czy jak tam jej na imię. Albo wrócił wcześniej do Londynu, ja nie piszę jego biografii i nie jestem biurem osób zaginionych.

– Ale jesteś jego kumplem... – Po raz pierwszy, z bezczelnym wzruszeniem ramion, Bloat patrzy Slothropowi prosto w oczy. – Tak czy nie? Kim ty jesteś?

Odpowiedź kryje się w spojrzeniu Bloata. Przyciemniony pokój staje się zinstytucjonalizowany, ani śladu w nim wakacji, tylko mundury z Savile Row, srebrne szczotki i brzytwa ułożone pod kątem prostym, świecący szpic na ośmiobocznej podstawie, na który nadziano półcalowy plik pastelowych kalek, wszystkie ułożone równo jak pod linijkę... fragment Whitehallu na Riwierze...

Slothrop ucieka oczyma.

– Zobaczę, może go znajdę – mruczy i wycofuje się w spodniach, które wiszą na tyłku i piją w pasie. Lepiej się przyzwyczaj, kolego, bo będziesz w nich chodził przez jakiś czas...

Zaczyna od baru, w którym rozmawiali poprzedniego wieczoru. Nie ma tam nikogo oprócz pułkownika z podkreślonymi sumiastymi wąsami i w

czapce, który siedzi sztywno przed dużym musującym drinkiem, mętym i przybranym białą chryzantemą.

– Nie nauczyli cię salutować w Standhurst?! – wrzeszczy.

Po chwili wahania Slothrop saltuje.

– W tych cholernych akademiach wojskowych roi się od nazistów. Nie widać żadnego barmana. Nie pamiętam, co... No?

– Mmm, właściwie to ja jestem Amerykaninem, tylko pożyczyłem ten mundur, no i szukam pewnego porucznika, Anglika, nazwiskiem Mucker-Maffick...

– Że kim?! – ryczy pułkownik, obrywając zębami liście z chryzantemy. – Co to za hitlerowskie wygłupy, eee?

– Serdecznie dziękuję. – Slothrop wycofuje się rakiem do drzwi, ponownie salutując.

– To niesłychane! – ściga go echo po korytarzach Himmler-Spielsaal. – To hitleryzm!

Osamotnione w porze południowego zastoju, czekają tutaj na gości akustyczne powierzchnie mahoni, zielone sukno, zwieszające się sploty kasztanowego aksamitu. Na stołach ułożono w wachlarze długie grabki do zgarniania żetonów. Na brunatnej sklejce prężą się hebanowymi rączkami do góry srebrne dzwoneczki. Dokoła stołów ustawiono starannie beipańskie krzesła w stylu empire. Niektóre z oparciami wyższymi niż pozostałe. To już nie są zewnętrzne, widome atrybuty hazardu. Toczy się tu inna gra, o wiele bardziej rzeczywista, bardziej bezlitosna i starannie ukrywana przed ludźmi pokroju Slothrop. Kto zasiada na wyższych krzesłach? Czy Oni mają jakieś nazwiska? Co leży przed Nimi na gładziach sukna?

Z góry wsącza się mosiężne światło. Na ścianach wielkiej sali ciągną się freski: pneumatyczni bogowie i boginie, pastelowe świniopasy i gęsiarki, mglista roślinność, trzepoczące chusty... Zewsząd kapią ślimakowate wisiory pozłoty – ze stiuków, żyrandoli, kolumn, ram okiennych... porysowany parkiet błyszczący pod świetlikiem... Z sufitu, zaledwie kilka stóp nad blatami,



zwieszają się długie łańcuchy, zakończone hakami. Co dynda na tych hakach?

Ubranemu w angielski mundur Slothropowi dane jest pobyc chwilę sam na sam z instrumentami porządku, którego istnienia pośród rumowisk rzeczywistości dopiero teraz zaczyna się domyślać.

Być może w grze brązowych cieni i jasnokremowego światła zaczęła się uobecniać – tylko na chwilę – złocista postać mgliście przypominająca kształtem człowieka lub korzeń. Ale Slothrop nie wykręci się tak łatwo sianem. Niebawem najdzie go nieprzyjemne uczucie, że wszystko, co jest na tej sali, tak naprawdę wykorzystuje się do całkiem innych celów. I że dla Nich sens zawsze był inny niż dla nas. Zawsze. Dwa porządki istnienia, na pierwszy rzut oka identyczne... ale... ale...

Och, TEN DRUGI ŚWIAT,  
Jak go wyjaśnić – kto wie?  
Jak sen rozpanoszył się po głowie!  
Czekasz, aż ożyją światła w Zakazanym Skrzydle,  
Tańcząc, jakbyś poślizgnął się na my-dle – ach.  
Kto powiedział, że tu wstęp wzbroniony?  
Że tobie nie wolno – myślałeś po prostu?  
Lecz gdy coś zaboli,  
Wracaj z własnej woli – bo  
Nie spaliłeś za sobą wszystkich mostów!

Dlaczego tutaj? Dlaczego tęczone krawędzie tego, co już prawie go dopadło, marszczą się najintensywniej akurat w tym miejscu, na tej bujnie zaszyfrowanej sali? Dlaczego wkroczenie tu jest niemal tożsame z wejściem na Zakazane Terytorium – znajdują się tutaj te same długie pokoje, pomieszczenia starego paraliżu i złych destylacji, skraplania i osadów, których boisz się wdychać, pozostałości po zapomnianych rozkładach, pomieszczenia pełne wyprostowanych posągów z rozpostartymi skrzydłami, o szarym upierzeniu i zakurzonych niewyraźnych obliczach – właśnie,

pomieszczenia wypełnione kurzem, który spowija sylwetki przy rogach albo głębiej w środku, osiadzie na czarnych klapach urzędowych garniturów, zetrze na cukier białe twarze, białe koszule, perty i suknie, białe dłonie poruszające się nazbyt szybko, by je dostrzec... co to za Gra się tutaj toczy? Co to za triki, tak zamazane, tak stare i doskonałe?

– Chuj wam w dupę – szepcze Slothrop. To jedyne znane mu zaklęcie, całkiem uniwersalne, jeśli już. Szept mącą tysiące drobnych rokokowych powierzchni. Może zakradnie się tutaj nocą – nie, nie nocą, o innej porze – z wiadrem oraz pędzlem i przy ustach jednej z tych różowych pasterek, o tam, domaluje CHUJ WAM W DUPEĘ w komiksowym dymku...

Wychodzi tyłem przez drzwi, jak gdyby połowa jego ciała – przód – porażona była jaśniejącym majestatem: usuwa się wpatrzony w Oblicze, którego widoku się lęka i zarazem pragnie.

Znalazłszy się na dworze, rusza w kierunku mola, między spacerowiczów, pikujące białe ptaki, nieustanne plaśnięcia mewiego gówna. Kiedy idę sobie rozluźniony przez Buadebuloń... Salutuje wszystkim mundurom, wyrabiając w sobie stosowny odruch, bo trzeba unikać dodatkowych kłopotów, nie wolno rzucać się w oczy... za każdym razem opuszcza ramię coraz bardziej bezwładnie. Znad morza napływają szybkie chmury. Tutaj też ani śladu Chyżego.

Widma rybaków, szklarzy, handlarzy futrami, odstępczych kaznodziejów, patriarchów z gór i polityków z nizin spadają lawiną na barki Slothrop'a aż z roku 1630, kiedy gubernator Winthrop przypłynął do Nowego Świata na „Arbelli”, okręcie flagowym purytańskiej flotylli, w której pierwszy amerykański Slothrop był kucharzem lub kimś podobnym – oto proszę, „Arbella” i pozostałe statki żeglują wstecz, utrzymując formację, wiatr pcha wszystkie na wschód, stwory wynurzone z obrzeży nieznanego *wciągają* policzki, robiąc zęza z wysiłku, ku głębokim czarnym czeluściom, zdana na łaskę zębów, które nie są już mlecznymi perłami cherubinów, armada starych okrętów wyłania się z bostońskiego portu w drodze powrotnej przez

Atlantyk, którego prądy i bałwany płyną w przeciwną stronę... oto odkupienie każdego okrętowego kucharza, który kiedykolwiek poślizgnął się i upadł, gdy pokład zrobił nieoczekiwany unik, rozbryzgana zupa na kolację zbiera się z desek oraz oburzonych butów wybrańców i wlewa fontanną do cynowego kotła, tymczasem służący z trudem podnosi się na nogi, a wymiociny, na których się poślizgnął, płyną strugą do ust, z których pochodzą... *Presto* zmian-a! Tyrone Slothrop znowu jest Anglikiem! Ale wydaje się, że Oni nie takie odkupienie mają na myśli...

Idzie szeroką wybrukowaną esplanadą, wysadzaną palmami rozpadającymi się teraz na grube ziarna czerni, bo chmury zasnuły słońce. Chyżego nie ma na plaży – ani żadnej z dziewczyn. Siada na niskim murku, macha nogami i przygląda się, jak w formie fal i podmuchów nachodzi znad morza siny, fioletowoszary front. Powietrze chłodnieje. Slothrop drży. Co Oni wyrabiają?

Gdy zbliża się do kasyna, wielkie kuliste krople deszczu, gęste jak miód, zaczynają się rozpryskiwać na chodniku w gigantyczne asteryski, nawołując go do spojrzenia na dół strony, gdzie przypis do tekstu całego dnia wszystko mu wyjaśni. Nie zamierza jednak patrzeć. Nikt przecież nie twierdzi, że pod wieczór dzień dotoczy się do jakiegokolwiek sensu. Slothrop biegnie. Deszcz narasta mokrym crescendo. Spod jego stóp wykwitają śliczne kwiaty wody, które więdną z sekundowym opóźnieniem za uciekającymi nogami. Bo to jest ucieczka. Wpada do środka pocętkowany, nakrapiany deszczem, i podejmuje szaleńcze poszukiwania po wielkim bezwładnym kasynie, zaczynając znów od zadymionego teraz i wypełnionego alkoholowymi oparami baru, kontynuując w małym teatrze, gdzie dziś wystawią skróconą wersję „L’Inutil Precauzione” (to ta zmyślona opera, którą Rosina próbuje zwieść swojego stróża w „Cyruliku sewilskim”), w głębi zielonej sali, gdzie dziewczęta, jedwabistość dziewcząt – niestety, bez tych, których szuka – czeszą się, poprawiają podwiązki, przyklejają sztuczne rzęsy i uśmiechają się do niego. Żadna nie widziała Ghislaine, Françoise ani Yvonne. W innej sali orkiestra ćwiczy żwawą tarantelę Rossiniego. Wszystkie instrumenty dęte brzmia,

jakby były obniżone o półton. Slothrop rozumie w lot, że jest wśród kobiet, którym wojna i okupacja zabrały kawał życia, z których otoczenia codziennie kogoś ubywało... fakt, w jednej czy dwóch parach oczu odnajduje starą, europejską litość, spojrzenie, które dobrze pozna na długo, zanim straci niewinność i stanie się jednym z nich...

Snuje się więc po rozświetlonych i rojnych salach gry, po restauracji i satelickich zacisznych pokoikach, przerywając rozmowy w cztery oczy, wpadając na kelnerów, wszędzie widząc same obce twarze. „A gdybyś potrzebował pomocy, to ci pomogę...”. Głosy, muzyka, szelest tasowanych kart, wszystko staje się coraz donośniejsze, bardziej natrętne, i wreszcie Slothrop zatrzymuje się w progu i patrzy znowu w głąb Himmler-Spielsaal, tłok, błyski biżuterii, lśnienie skór, drażki ruletki wirują, zlewają się – tutaj właśnie dopada go przesyty, to przez ten hazard, za wiele tego, za dużo gier: natrętny nosowy głos niewidocznego krupiera – *messieurs, mesdames, les jeux sont faits* – mówi nagle bezpośrednio do niego z Zakazanego Skrzydła, w dodatku o tym, o co Slothrop grał cały dzień przeciw niewidzialnemu Kasynu, być może o własną duszę – przerażony cofa się, cofa się znowu na deszcz, gdzie szkliste kocie łby odbijają światło neonów rozjarzonych w pełnym całopaleniu. Z postawionym kołnierzem, w czapce Bloata naciągniętej na uszy, rzucając „kurwa mać” co kilka minut, dygocząc i czując ból w plecach po upadku z drzewa, idzie chwiejnym krokiem w ulewie. Zbiera mu się na płacz. Jak to możliwe, że wszystko tak nagle obróciło się przeciw niemu? Znikli jego dawni i nowi koledzy, zniknął, kurwa mać, nawet najmniejszy skrawek dokumentów i ubrania, łączący go z własną tożsamością. Jak można przyjąć coś takiego ze spokojem? Dopiero później, zasmarkany, skonany, znękany i zmarznięty w powłoce z przemokniętej wojskowej wełny, biegnie myślami do Katje.

Tuż przed północą wraca do kasyna, bo to przecież jest jej pora, i człapie schodami na górę, zostawiając za sobą mokre ślady, chlupocząc jak pralka z praniem – przystaje u jej drzwi, deszczówka skapuje na dywan. Boi się

zapukać. Czy ją też zabrali? Kto czeka po drugiej stronie i jaką maszynę przyszykowali na niego? Lecz ona usłyszała kroki i już otwiera drzwi, z zakończonym dołączkami, ganiącym uśmiechem na widok mokrej kury.

– Stęskniłam się za tobą, Tyrone.

Bezradny i roztrzęsiony, wzrusza ramionami, opryskując deszczem siebie i ją.

– Nie mam dokąd pójść.

Jej uśmiech się rozciąga. On zwawym krokiem wkracza przez próg do głębokiego pokoju, nie bardzo wiedząc, czy to drzwi, czy wysokie okno.



Dobre ranki dobrej starej chuci, okiennice rozwarte wcześniej na morze, wiatr nawiewa donośny szelest liści palmowych, prychanie morświnów w porcie przebija się na powierzchnię wody i do słońca.

– Och – jęczy Katje w kłębowisku batystów i brokatu. – Slothrop, ty Świnio.

– Chrum, chrum, chrum – odzywa się Slothrop radośnie. Refleksy morza pląsają po suficie, pląsają też smugi dymu z czarnorynkowych papierosów. Wskutek precyzji światła podobnych poranków we wzlotach, zakrętach, kłębach i delikatnym rzędnięciu dymu aż po przejrzystość można się doszukiwać form piękna...

O konkretnej porze błękit wody w porcie odbija się w wybielonych wapnem nadmorskich fasadach, a okiennice znów zasłaniają wysokie okna. Migocze świetlista sieć fal. Slothrop jest już wtedy na nogach, w brytyjskim mundurze, przy rogalikach z kawą odświeża sobie techniczną niemczyznę, próbuje połapać się w dziejach balistyki, śledzi końcem nosa niemiecki schemat obwodu elektrycznego, w którym oporniki wyglądają jak cewki, a cewki jak oporniki.

– Ale pokręcone gównem – wzdycha, gdy już się trochę wgryzł. – Po cholere tak zamieniać? Dla zamydlenia oczu czy jak?

– Przypomnij sobie swoje pradawne germańskie runy – sugeruje sir Stephen Dodson-Truck, który pracuje w Wydziale Informacji Politycznej Ministerstwa Spraw Zagranicznych i włada trzydziestoma trzema językami, w tym angielskim z silnym oksfordzkim bulgotem.

– Moje co?

– Och – usta zaciśnięte, wyraźne otepienie – ten spiralny symbol, o tutaj, jest bardzo podobny do staroskandynawskiego znaku runicznego oznaczającego „S”, czyli *sól*, a więc „słońce”. W starogórnoniemieckim nazywało się to *sigil*.

– Dziwny sposób rysowania słońca – dochodzi do wniosku Slothrop.

– Fakt. Wcześniej Goci kreślili kółko z kropką w środku. To przerwanie kółka datuje się niewątpliwie z czasów braku ciągłości, rozpadu więzi plemiennych, być może wyobcowania i wszystkich innych analogicznych zjawisk społecznych aż po ukształtowanie się niezależnego ego u małego dziecka, rozumiesz...

Nie, Slothrop nie rozumie, przynajmniej nie całkiem. Musi słuchać tej paplaniny prawie za każdym razem, ilekroć spotyka się z Dodson-Truckiem. Pewnego dnia facet zwyczajnie zmaterializował się na plaży, w czarnym garniturze, ramiona rozgwieżdżone łupieżem z rzednących marchewkowych włosów, wyłoniwszy się na tle białej ściany kasyna, które dygotało nad nim, gdy się zbliżał. Slothrop akurat czytał komiks o Plasticmanie. Katje drzemała w promieniach słońca, na wznak. Lecz kiedy dobiegł odgłos jego człapania, wsparła się na łokciu i pomachała na powitanie. Szlachcic rzucił się na piasek jak długi, Pozycja 8.11, Odrętwienie. Studenckość.

– A więc to jest porucznik Slothrop.

Czterokolorowy Plasticman cieknie przez dziurkę od klucza i dalej za węgiel rurami, które prowadzą do zlewozmywaka w laboratorium szalonego nazistowskiego naukowca, gdzie z kurka wyłania się teraz jego głowa, opancerzone puste oczy i mała plastikowa szczeka.

– Tak, a tym kim jesteś, mistrzu?

Sir Stephen przedstawia się, piegi uwydatnione przez słońce, zerkając zaintrygowany na komiks.

– Rozumiem, że mamy teraz porę odpoczynku.

– Czy on jest wtajemniczony?

– Jest. – Katje uśmiecha się/wzrusza ramionami do Dodson-Trucka.

– Trzeba odsapnąć od zdalnego sterowania Telefunkena. Od „Hawaii 1”.

Wiesz pan coś o tym?

– Dostatecznie dużo, by się zastanawiać, jak wpadli na tę nazwę.

– A co z tą nazwą?



– W tym kryje się poezja, inżynierska poezja... Przychodzi na myśl *Havarie* – czyli awaria, tak? – przecież masz dwa płyty, symetrycznie rozlokowane po obu stronach wyznaczonego azymutu rakiety... także *hauen*, a więc rąbnąć kogoś maczugą albo pałą... – Już odbywa samotną podróż, uśmiecha się, lecz do nikogo w szczególności, przywołuje popularne wyrażenie z wojen: *ab-hauen*, technika władania kijem, wiejski humor, komedia falliczna, sięgająca wstecz aż starożytnych Greków...

Pierwszym odruchem Slothrop'a jest wrócić tam, gdzie znajduje się Plasticman, ale w tym mężczyźnie dostrzega coś – oprócz oczywistego uczestnictwa w planie – co każe mu słuchać dalej... to niewinność, może chęć okazania przyjaźni w jedyny możliwy dla niego sposób, przez podzielenie się tym, co go pasjonuje i napędza, czyli uwielbieniem dla Słowa.

– Hm, to może być zwykła propaganda Osi. W związku z Pearl Harbor.

Sir Stephen rozważa w myśli powyższą sugestię, wyraźnie zadowolony. Czy wybrano go ze względu na tych wszystkich purytanów, porażonych słowem, zwisających z drzewa genealogicznego Slothrop'a? Czy Oni próbują teraz omamić jego umysł, jego czytające oczy? Bywają chwile, gdy Slothrop wręcz widzi mechanizm sprzęgający go z Ich dalekim, opakowanym w żelazo silnikiem rozległego układu napędowego, którego kształtu i budowy tylko się domyśla, mechanizm, który jest w stanie wyłączyć, lecz wtedy czuje cały swój bezwład, rzeczywistą bezradność... to nieprzyjemne doznanie, lecz nie do końca. Dziwne. Ma niemal pewność, że bez względu na to, czego Oni chcą, nie będzie to wymagało ryzykowania życia ani nawet narażania się na przesadne niewygody. Niczego jednak nie potrafi ułożyć w spójny obraz, nie umie połączyć osoby pokroju Dodson-Trucka z kimś takim, jak Katje...

Uwodzicielka-i-frajerzyna, niech będzie, to w gruncie rzeczy niezła zabawa. Mało udawania. Nie wini jej za to: rzeczywisty wróg znajduje się gdzieś w Londynie, ponadto właśnie na tym polega jej robota. Potrafi być wszechstronna, wesoła i miła, on zaś woli wygrzewać się z nią tutaj w

promieniach słońca niż marznąć pod bombami. Ale raz po raz... ulotny i nieuchwytny, przez jej twarz przebiega niekontrolowany grymas, który go przygnębia, który nawet widywał w snach, wyolbrzymiony do tego stopnia, że owładnął nim prawdziwy lęk: kiełkowała straszliwa ewentualność, że ona też została oszukana. Że jest ofiarą tak samo jak on – och, ten pechowy, niezrozumiale wyzbyty przyszłości grymas...

Pewnego popołudnia, gdzież by indziej, jeśli nie w Himmler-Spielsaal, Slothrop zaskakuje ją przy ruletce. Ze spuszczoną głową, biodrem wysuniętym wdzięcznie do przodu, Katje odgrywa rolę krupierki. Pracownicy kasyna. Ma na sobie białą chłopską bluzkę i atłasową pasiastą spódnicę w kolorach tęczy, która szeleści pod świetlikiem. W przestrzeni zamkniętej malowidłami ściennymi grzechot kulki wśród pędzących numerów nabiera przeciągłego, skrzekliwego rezonansu. Katje obraca się dopiero wtedy, gdy Slothrop jest tuż obok. Jej oddechowi towarzyszy niepokojący powolny dygot: trąca łokciem okiennice jego serca, ukazując mu na okamgnienie jesienny krajobraz, którego istnienia poza własnym wnętrzem, w jej wnętrzu, tylko się domyślał, bał się tylko...

– Ej, Katje... – Wyciąga rękę do oporu, zahacza palcem o tarczę, zatrzymuje koło. Kulka wpada do przegródki, której numeru nie zobaczą. A przecież chodzi o to, by zobaczyć numer. Lecz w grze, toczącej się grze, wcale o to nie chodzi.

Ona kręci głową. On rozumie, że to coś jeszcze z Holandii, sprzed Arnhem – impedancja na stałe zainstalowana w ich obwodach. Do ilu uszu pachnących mydłami Camay i Palmolive nucił piosenki, pod kręgielnią, pod billboardem Moxie, w sobotnią noc, do ilu uszu śpiewał: „Otwórz mi następne piwo” i „Kotku, nie ma znaczenia, gdzieś dotąd bywała, nie żyjemy przeszłością, liczy się tylko to, co jest teraz...”.

Tam sprawdzają się świetnie. Ale nie tutaj, gdy klepie ją w nagie ramię, wpatruje się w jej europejski mrok, zbity nim z tropu, sam będąc – z niełatwo zaczesywanymi prostymi włosami i ogoloną twarzą bez jednej zmarszczki –

intruzem bez skazy w Himmler-Spielsaal, gdzie tłoczy się niemiecko-barokowa gmatwanina kształtów (sakrament, który przy ostatnim obrocie musi odprawić każda dłoń przez wzgląd na to, czym dłoń była i czym winna się stać, żeby wszystko potoczyło się dokładnie w ten sposób... cały ten chłód, trauma, nietrwałe ciało, które kiedykolwiek jej dotknęło...). W posplatanej pozłocie sali klarują się jego sekretne ruchy, przynajmniej niektóre. Szansa wygranej w toczonej przez Nich partii zakorzeniona jest w przeszłości i przeszłości jedynie. Ich zwycięstwo nigdy nie było kwestią prawdopodobieństwa, lecz wcześniej zaobserwowanej statystycznej częstotliwości. To przeszłość stawia tutaj warunki. Szepcze, wyciąga rękę i, szydząc niemile, diga ofiarę palcem w dupę.

Co Oni mieli na myśli, gdy wybierali numery, czarne, czerwone, parzyste, nieparzyste? Jakie Koło wprowadzili w ruch?

W pewnym pokoju na wczesnym etapie życia Slothrop – pokoju zakazanym teraz dla niego – jest zło. Wyrządzono mu krzywdę i być może Katje wie, na czym ta krzywda polegała. Czy w jej „wyzbytym przyszłości grymasie” nie dostrzegł ogniwa wiążącego go z przeszłością, czegoś, co łączy ich ściśle jako kochanków? Widzi dziewczynę stojącą na końcu korytarza jej własnego życia, bez możliwości zrobienia kolejnego kroku – zgrała się do cna i teraz czeka ją tylko nuda krążenia z pokoju do pokoju, w kolejności ponumerowanych pomieszczeń, których oznaczenia są nieistotne, aż wreszcie bezwład ulokuje ją w ostatnim. To wszystko.

Naiwny Slothrop nigdy nie myślał, że czyjeś życie może się tak skończyć. Aż tak ponuro. Lecz w tej chwili ewentualność ta nieco powszednie – wystraszony-uradowany na modłę onanisty godzi się z niemłą myślą, że być może dawno temu taką właśnie Kontrolą objęto jego samego.

Zakazane Skrzydło. Och, dłoń straszego krupiera jest jak dotknięcie rąbka własnych snów: okazuje się, że wszystko, co w jego życiu wydawało się nieskrępowane i przypadkowe, przez cały czas podlegało Kontroli, podobnie jak koło ustawionej ruletki – gdzie liczą się tylko z góry określone wyniki,

uwaga zaś skupia się na długoterminowej statystyce, a nie na poszczególnych osobach: i gdzie Kasyno, to oczywiste, zawsze wychodzi na swoje...

– Byłeś w Londynie, gdy spadały – szepnie Katje za moment, obracając się z powrotem do ruletki i kręcąc tarczą, z odwróconą twarzą, po kobiecemu przedąc pręgowany nocą wątek własnej przeszłości. – Ja byłam w ,s Gravenhage – głoski szczelinowe syczą, nazwa wypowiedziana tęsknie jak przez wygnańca – kiedy wystrzeliwały. Pomiędzy nami jest nie tylko trajektoria rakiety, lecz także życie. Zrozumiesz, że między tymi dwiema chwilami, które dzieli pięć minut, ona przeżywa całe życie. Nie poznałeś nawet danych profilu lotu z naszej strony, tego, co można zobaczyć i zaobserwować. Poza tym jest o wiele więcej, aż tyle, że nikt z nas tego nie wie...

To krzywa, którą oboje bezbłędnie wyczuwają. Parabola. Niechybnie odgadli raz lub dwa – odgadli, a mimo to nie uwierzyli – że w swej zbiorowości wszystko zawsze podąża ku tej czystej sylwetce, ukrytej w niebie, pozbawionej niespodzianki, powtórnej szansy, powrotu. Niemniej poruszają się pod nią nieustannie, skazani na jej czarno-białe złe wieści z taką nieodwołalnością, jak gdyby była Tęczą, a oni jej dziećmi...

W miarę gdy front się oddala i kasyno staje się zapleczem, gdy woda się zanieczyszcza, a ceny rosną, zjeżdżająca tutaj kadra zachowuje się coraz hałaśliwiej i coraz bardziej oddaje się czystym idiotyzmom – tym ludziom daleko do stylu Chyżego, nie mają jego nawyku cichego płasania po pijaku, udawanego wymuskania i nieśmiałych odruchów przyzwoitości, które każą spiskować – kiedy tylko możliwe, choćby na marginesie – przeciw władzy i obojętności... O Chyżym ani widu, ani słyhu. Slothropowi brak mu go, ale nie jako sprzymierzeńca, lecz jako obecności, jako życzliwego człowieka. Nadal wierzy, tutaj, na urlopie we Francji, w czasie wolnym od służby, że perturbacje mają charakter przejściowy i biurokratyczny, że są wynikiem fragmentarycznych informacji i pokawałkowanych rozkazów, dolegliwością, która minie wraz z końcem Wojny – tak fachowo ujarzmili prerię jego

umysłu, zaorali, zasiali i poddali ją sobie, by nie wyhodował nic na własną rękę...

Żadnych listów z Londynu, żadnych wieści o ACHTUNG-u. Wszystko prysło. Pewnego dnia Teddy Bloat najzwyczajniej w świecie przepada jak kamień w wodę: inni konspiratorzy, niczym chór, pokazują się i znikają za plecami Katje i sir Stephena, wkraczają na scenę tanecznym krokiem, każdy błyskając identycznym Korporacyjnym Uśmiechem, którego zwielokrotnienie ma go oślepić, odciągnąć uwagę od tego, czego za ich sprawą ubywa: znikają dokumenty, karta służby, cała jego przeszłość. Kurwa mać... no wiadomo. Godzi się na wszystko. Bardziej go interesuje – a czasem wręcz niepokoi – to, czego przybywa. W pewnej chwili, powodowany zwyczajnym kaprysem, choć skąd, u licha, może mieć pewność, że to kaprys, Slothrop postanawia zapuścić wąsy. Ostatnio nosił wąsy w wieku trzynastu lat, kiedy zamówił w firmie Johnson Smith cały zestaw, dwadzieścia różnych kształtów, od doktora Fu Manchu po Groucho Marxa. Wykonano je z czarnej tektury i wyposażono w haczyki, które wkładało się do nosa. Po chwili nos wypełniały gluty, haczyki więc nasiąkały i miękły, a wąsy odpadały.

– Jakie będą? – pyta Katje, gdy tylko zmiana daje się zauważyć.

– Łotrzykowskie – odpowiada Slothrop. To znaczy, wyjaśnia, przycięte i wąskie, słowem, jak u złoczyńcy.

– No nie, wtedy nadadzą ci rys negatywny. Dlaczego nie zapuścisz wąsów, jakie noszą dobrzy bohaterowie?

– Dobrzy nie mają...

– Nie? A Wyatt Earp?

Na co ktoś mógłby wysunąć obiekcję, że Earp nie był do końca taki dobry. Ale przecież rzecz dzieje się jeszcze w czasach Stuarta Lake'a, przed nastaniem rewizjonistów, więc Slothrop wierzy w Earpa bez zastrzeżeń. Pewnego dnia niejaki generał Wivern z Wydziału Technicznego SHAEF-u wchodzi i widzi.

- Końce opadają – oświadcza.
- Wyattowi też opadały – broni się Slothrop.
- I Johnowi Wilkesowi Boothowi też – nie daje za wygraną generał. – No i co wy na to?

Slothrop zastanawia się chwilę.

- On był zły. Zabił przecież prezydenta.
- Otóż to. Czemu nie podkręcicie wąsów do góry?
- Aha, w angielskim stylu? Próbowałem, panie generale. To przez tę pogodę albo coś, w każdym razie cholerstwa bez przerwy opadają, no i-i-i chyba będę musiał odgryźć te końce. To wkurzające.
- To ohydne – mówi Wivern. – Następnym razem, gdy tu zjadę, przywiozę wam trochę wosku. Producent nadaje mu gorzki smak, żeby powstrzymać, no wiecie, takich jak wy od żucia końców.

Toteż pod nosem przybywa wąsów, a na wąsach wosku. Codziennie pojawia się coś nowego. Katje zawsze jest na miejscu; wkładana przez Nich do łóżka Slothropa jak drobne pod poduszkę, z myślą o jego mleczej amerykańskości – niewinne siekacze i trzonowce maminsynka dzwonią pogubione w drodze od Kasyna. Slothrop przekonuje się, że z niewyjaśnionej przyczyny doznaje wzrodu zaraz po każdej nasiadówce z książkami. Hm, to osobliwe. Przecież w czytaniu przetłumaczonych pośpiesznie z niemieckiego podręczników – powielone są we fragmentach, niektóre uratowane przez polskie podziemie z latryn na poligonie w Bliźnie, poplamione więc prawdziwym esesmańskim gównem i moczem – nie kryje się nic szczególnie erotycznego... tak samo we wkuwaniu mnożników przeliczeniowych – cale na centymetry, angielskie konie parowe na *Pferdestärke* – ani w rysowaniu z pamięci pogmatwanych labiryntów w postaci schematów ukazujących zawory, wloty, komory i przewody paliwa, utleniacza, pary, nadtlenu oraz nadmanganianu – co w tym seksownego? Mimo to każda lekcja kończy się u niego potężną erekcją, ogromnym ciśnieniem w środku... znowu daje o sobie znać tymczasowe szaleństwo, konkluduje Slothrop i pędzi odnaleźć Katje,



idzie poszukać dłoni, które pełzają jak kraby po jego plecach, jedwabnych pończoch, które szeleszczą przy jego biodrach...

W trakcie nasiadówek często podnosi wzrok i widzi, że sir Stephen Dodson-Truck zerka na stoper i robi zapiski. O psiamać. Zastanawia się, o co w tym wszystkich chodzi. Nie przyjdzie mu do głowy, że być może ma to związek z tajemniczymi wzvodami. Przecież wybrano – lub urobiono – człowieka o takiej osobowości, że rozwiewa własne podejrzenia, zanim nabiorą wyrazistości. Zimowe słońce napastuje połowę jego twarzy jak migrena, mankiety u spodni są pogniecione, zapiaszczone i mokre, bo codziennie o szóstej rano spaceruje po plaży. Sir Stephen zdradził mu swoją przybraną tożsamość, ale nie rolę w konspiracji. Z tego, co Slothrop usłyszał, Dodson – Truck to agronom, neurochirurg i koncertujący oboista – w Londynie widział, że wszystkie szczeble dowództwa bratają się z takimi wszechstronnymi geniuszami. Lecz w sprawie Katje nad gorliwością typową dla kogoś dobrze poinformowanego zawisła wyraźna aura człowieka przegranego i popychadła...

Pewnego dnia nadarza się sposobność, by się co nieco w tym rozeznąć. Wygląda na to, że facet jest fanatycznym wielbicielem szachów. Popołudniem, w barze, zagaduje wreszcie Slothrop, czy grywa.

- W życiu nie grałem – kłamie Slothrop. – Nawet w warcaby.
- Cholera. Dotąd nie miałem okazji na porządną partię.
- Ja znam fajną grę do kieliszka – czy coś z Chyżego ocalało przez cały ten czas? – nazywa się Książę, może nawet wymyślili ją Anglicy, no bo to u was są książęta, nie? U nas nie ma, nie żeby w tym było coś złego, proszę zrozumieć, no, w każdym razie wszyscy wybierają sobie jakąś liczbę, no i-i-i zaczyna się słowami, że książę Walii wpadł do balii, bez obrazy oczywiście, numery szereguje się dokoła stołu zgodnie z ruchem wskazówek zegara, numer dwa go wyciągnął, na lewo od Księcia, albo jakikolwiek numer, który ma ochotę wywołać, to znaczy Książę ma ochotę, sześć albo inny, rozumie pan, najpierw wybiera się Księcia, od niego się zaczyna, potem numer dwa



albo kogo tam Książę wywoła, ale najpierw zaczyna Książę, zaczyna Walia, balia, dwa, proszę pana, jak już powie, jak Książę wpadł do balii, no i numer dwa odpowiada, to nie ja, proszę pana...

– Dobrze, dobrze, ale... – rzucając Slothropowi najosobliwsze spojrzenie – nie jestem pewien, czy rozumiem... czy rozumiem, o co w tym chodzi. Jak się wygrywa?

Aha! W rzeczy samej: jak się wygrywa?

– Nie wygrywa się – rozluźniony, myśląc o Chyżym, ot, błaży, uknuty na oczekaniu kontrspisek – tylko się przegrywa. Po kolei. Wygrywa ten, kto zostaje.

– To wszystko brzmi raczej mało pozytywnie.

– *Garçon*. – Drinki dla Slothropa są stale na koszt lokalu – domyśla się, że Oni bulą. – Dawaj tego szampana! I filuj, żeby nam nie zabrakło, a jak się będzie kończyć, to leć i migiem przynieś więcej, *comprenez?*

Usłyszawszy magiczne słowo, iluś tam młodszych oficerów zbliża się i siada, Slothrop tymczasem wyjaśnia zasady.

– Nie wiem... – zaczyna Dodson-Truck.

– Bzdura. Chodź pan, dobrze panu zrobi, jak się pan na chwilę oderwiesz od tych szachów.

– Racja, racja – przytakują inni.

Dodson-Truck siedzi na tyłku, nieco spięty.

– Większe kieliszki! – wrzeszczy Slothrop do kelnera. – Ej, może tamte kufle do piwa, co? Będą w sam raz.

Kelner otwiera wielką butelkę Veuve Clicquot Brut i nalewa wszystkim.

– No dobrze – rozpoczyna Slothrop – Książę Walii wpadł do balii i wyłowił go numer trzy. Walia, balia, numer trzy, proszę pana!

– To nie ja, proszę pana – odpowiada Dodson-Truck asekuranckim tonem.

– To kto?

– Numer pięć.

– Że co? – pyta Numer Pięć z chytrą miną, szkocki góral w galowych

spodniach.

– No i wszystko spierdoliłeś – ogłasza Slothrop władczo – więc musisz wypić karniaka. Do dna, żadnych przerw dla złapania oddechu.

I tak to trwa. Slothrop traci pozycję Księcia na korzyść Czwórki i zmieniają się wszystkie numery. Pierwszy odpada Szkot, bo popełnia błędy – najpierw celowo, potem nieuchronnie. Wjeżdżają i znikają ogromne butle – pękate i zielone, podarta złota folia wokół szyjek odbija elektryczną świetlistość baru. Korki nabierają kształtu prostego walca, coraz mniej przypominają grzybki, daty *degorgement* zbliżają się do lat wojny, a towarzystwo ma coraz mocniej w czubie. Rozchichotany Szkot stacza się z krzesła, turla przez trzy metry i zasypia pod palmą w donicy. Natychmiast na jego miejsce wślizguje się inny rozpromieniony oficer. Wieść o zabawie rozniosła się po kasynie, toteż dokoła stołu zbiera się tłum kibiców w oczekiwaniu na pierwsze ofiary. Do środka wciąga się ogromne, spękane bryły lodu, parujące bielą ze wszystkich ścianek, łupane następnie i kruszone, żeby napełnić wielki mokry kubeł z myślą o procesji butelek słanych sztafetami z piwnicy. Poganiani kelnerzy wkrótce zmuszeni są ustawić puste kufle w wielopiętrową piramidę i łać szampana z samego szczytu, a musujące kaskady wywołują wiwaty tłumu. Oczywiście jakiś dowcipniś zaraz wysuwa rękę i wyciąga kufel z samego dołu, przez co konstrukcja się chwieje, pozostali zrywają się, by uratować cokolwiek, zanim całość runie z hukiem i zmoczy mundury i buty – wtedy będzie można stawiać od nowa. Zabawa przekształca się w Przechodniego Księcia – każdy wywołany gracz natychmiast staje się Księciem i stosownie zmieniają się wszystkie numery. Nie sposób już stwierdzić, kto popełnia błędy, a kto nie. Wybuchają spory. Połowa sali śpiewa wulgarną piosenkę:

## WULGARNA PIOSENKA

Wczoraj bzyknąłem królową Nad-reniii  
Dziś bzyknę królową miasta Opawa,  
Jestem na granicy schizofrenii,  
Lecz królowa tak wielce łaskawa...  
Różowy szampan i kawior od rana,  
Potem befsztyk, *Chateaubriand* i kawa,  
Popalam cygara, co krocie są warte,  
I się śmieję, jakby życie było żartem,  
Zróbcie więc miejsce dla tego, który się mieniii-iii,  
Facetem, co bzyknął śliczną królową Nad-reniii-iii!

Głowa Slothrop to balon, który frunie, ale nie do góry, lecz poziomo, przez salę, a zarazem tkwi w miejscu. Wszystkie szare komórki zmieniły się w bąbelki; Slothrop przeobraził się w czerwone winogrona z Épernay, chłodne cienie, szlachetne *cuvées*. Rzuca spojrzenie na sir Stephena Dodson-Trucka, który wciąż siedzi nieludzko wyprostowany, choć oczy ma szkliste. Oho, no tak, przecież ja tu kontrspiskuję, tak, tak, ehe, trzeba się więc zająć obserwowaniem kolejnej piramidalnej fontanny, z której tym razem leje się słodki taittinger bez daty na etykiecie. Kelnerzy i handlowcy po służbie obsiedli bar jak ptactwo i wybałuszają gały. Hałas w kasynie jest niewiarygodny. Jakiś Walińczyk z akordeonem stoi na stole i rzępoli „Hiszpańską damę” w C, ściągając i rozciągając instrument jak maniak. Zrobiło się szaro od wirujących kłębow dymu. W półmroku żarzą się fajki. Toczą się przynajmniej trzy bójki na pięści. Trudno się zorientować, czy trwa gra w Księcia. Przy drzwiach tłoczą się dziewczyny, chichocząc i pokazując sobie to i owo. Światło na sali stało się brunatne od mrowia mundurów. Ściskając kufel w dłoni, Slothrop dźwiga się na nogi, robi obrót i wali się z hukiem w sam środek gry w kości. Gdzie przyzwoitość, przestrzega siebie,

gdzie przyzwoitość... Inne ochlapusy podnoszą go za pachy i kieszenie na tyłku i rzucają jak wór w kierunku sir Stephena. Wczołguje się pod stół, przygnieciony po drodze jednym lub dwoma porucznikami, brnąc przez kałuże rozlanego szampana i trzęsawiska rzygowin, wreszcie odnajduje zapiaszczone mankiety u spodni Dodson-Trucka.

Wije się między nogami krzesła, skręcając szyję, by dostrzec twarz Anglika w aureoli światła z abażuru ozdobionego frędzlami.

– Ej, może pan iść?

Starannie spuszczając oczy:

– Nie jestem pewien, czy w ogóle dam radę wstać...

Dłuższą chwilę trwa wyplątywanie Slothrop'a spomiędzy nóg krzesła, potem trzeba się podnieść, co nie obywa się bez komplikacji, zlokalizować drzwi, wytyczyć kurs... Zataczając się, podpierając nawzajem, brną przez tłum wymachujących butelkami zezulców, rozchełstanych, rozwrzeszczanych, ściskających się za brzuchy i poblądłych mężczyzn, prosto w widownię gibkich i wyperfumowanych dziewcząt przy drzwiach, wszystkie słodko wysokie – komora dekompresyjna przed wyjściem na dwór.

– O psiamać. – To zachód słońca, który w obecnych czasach widuje się bardzo rzadko, dziewiętnastowieczny spektakl dzikości, kilkakrotnie odzwierciedlony w przybliżeniu na płótnie – w krajobrazach amerykańskiego Zachodu – przez artystów, o których nikt nie słyszał, w czasach, gdy ziemia była jeszcze nieokiełznana, oko niewinne, a obecność Stwórcy wyczuwana znacznie silniej. Teraz dudni nad Morzem Śródziemnym ten wysoki i samotny anachronizm w pierwotnej czerwieni, w żółci czystszej niż wszystko, co można dziś znaleźć, czystość dopraszająca się skalania... oczywiście, że imperium obrało drogę na zachód, bo czy mogło wytyczyć sobie inny kierunek niż ku tym dziewiczym zachodom słońca, które w końcu przeniknęło i zbrukało?

Lecz kim są ci przybysze... te sylwetki w szatach, stojące hen, na widnokręgu, blisko wypolerowanego krańca świata? Z tej odległości wydają

się wysokie na setki mil – ich twarze, wesołe, niezaangażowane, jak oblicze Buddy, pochylone nad morzem, niewzruszone, podobne do Anioła nad Lubeką podczas nalotu w Niedzielę Palmową, przybyłego tamtego dnia nie po to, by siać zniszczenie lub nieść ratunek, lecz by dać świadectwo uwodzicielskiej grze. To był przedostatni krok uczyniony przez Londyn przed ulegnięciem, przed zadziergnięciem związku, który doprowadził w końcu do wysypki i blizn, do ospy gruzowisk widzianej na mapie Rogera Mexico, utajonej w miłości łączącej miasto z Władcą Nocy i rozpustnikiem, z Panem Śmierć... bo wysłanie samolotów RAF-u, żeby nalotem sterroryzowały bezbronną Lubekę, było w istocie przeciągłym spojrzeniem, które mówiło: no, chodź szybko i zerznij mnie, które spowodziło bezlitosne i rozwrzeszczane rakiety A-4. Te i tak by odpalono, tyle że nieco później...

Czego przybyli wypatrywać Stróże krańców świata? Zmieniają się teraz, te monumentalne, stoickie byty, w żużel, popiół, gasną aż do barwy, w której zastygnie dziś noc... co się tu znalazło na tyle wspaniałego, by warto było oglądania? Przecież są tylko wlokący się Slothrop i sir Stephen, przecinający po kolei długie pasiaste cienie, rzucone przez pnie wysokich palm, którymi wysadzono esplanadę. Przestrzeń między cieniami zabarwiona jest gorącą czerwienią zachodzącego słońca na tle ziarnistej czekoladowej plaży. Wydaje się, że w tej chwili nie dzieje się nic. Żadnych aut szemrzących na drogach dojazdowych, żadnych miliardów franków rzucanych na szalę w kasynach z powodu kobiety albo przymierza narodów. Słyszeć tylko nieco urzędowy szloch sir Stephena, klęczącego teraz jednym kolaniem na piasku wciąż ciepłym od minionego dnia: ciche, zdławione okrzyki rozpacz, rozsadzające klatkę piersiową, tak wymownie świadczące o wszystkich doznanych przez niego szykanach, że nawet Slothrop czuje teraz w gardle współczujące ukłucia bólu, bo to wszystko najwyraźniej kosztuje faceta mnóstwo wysiłku...

– O tak, tak, ty wiesz, ja, ja, ja, ja nie mogę. Nie. Zakładałem, że wiesz, ale właściwie niby dlaczego mieli ci powiedzieć? *Oni* wszyscy wiedzą. Jestem

pośmiewiskiem w biurze. Wiedzą nawet zwykli ludzie. Nora przez długie lata była kochanką parapsychologów. To zawsze będzie dobry temat na artykuł w „News of the World”...

– A tak! Nora! To ta paniusia, którą przyłapali wtedy z tym dzieciakiem, co-co zmienia kolor, nie? Rany! No właśnie, Nora Dodson-Truck! Wiedziałem, że pańskie nazwisko brzmi znajomo...

Lecz sir Stephen ciągnie bez przerwy:

– ...śmy syna, owszem, do pełni szczęścia mieliśmy wrażliwego syna, chłopca mniej więcej w twoim wieku. Frank... Wysłali go chyba do Indochin. Są bardzo uprzejmi, gdy pytam, bardzo uprzejmi, ale nie pozwalają mi dowiedzieć się, gdzie jest... Ci z Fitzmaurice House to porządne chłopcy, Slothrop. Chcą dobrze. To... w większości to moja wina... Owszem, kochałem Norę, kochałem. Ale były i inne sprawy... Ważne sprawy... Tak wtedy myślałem. I nadal tak myślę. Muszę. Gdy tak brnęła, no wiesz... Właśnie tak z nimi jest. Wiesz, jacy są, wymagający, zawsze próbują ją wciągnąć cię do łóżka. Nie mogłem – kręcąc głową, włosy rozzarzonym oranżem o zmierzchu – nie mogłem. Wspiąłem się za wysoko. Na inną gałąź. Nie mogłem zejść z powrotem do niej. Być może była nawet szczęśliwa, być może wystarczył *dotyk* raz na jakiś czas... Posłuchaj, Slothrop, ta twoja dziewczyna, Katje, je-jest przeurocza, wiesz.

– Wiem.

– O-oni myślą, że mi już nie zależy. „Pan potrafi być beznamiętnym obserwatorem”. Skurwiele... Nie, nie chciałem tak powiedzieć.. Wszyscy jesteśmy automatami, Slothrop. Odwalamy naszą robotę. Jesteśmy tylko robotami, niczym innym. Posłuchaj mnie. Myślisz, że jak ja się czuję? Kiedy ty po każdej lekcji lecisz do niej? Jestem impotentem. Mnie już nic nie czeka, Slothrop. Tylko książka, tylko pisanie raportów...

– Ej, mistrzu...

– Nie złość się. Ja jestem nieszkodliwy. No, śmiało, przyłóż mi. Upadnę i odbiję się z powrotem do pionu. Patrz. – Demonstruje. – Zależy mi na was.

Na was obojgu. Zależy, wierz mi, Slothrop.

– Dobra. Skoro tak, to powiedz, co się dzieje.

– Zależy!

– Świetnie, świetnie...

– Moje zadanie polega na obserwowaniu ciebie. To moje zadanie. Podoba ci się moje zadanie? Podoba? Twoje zadanie... polega na poznaniu rakiety, cal po calu. Ja mam obowiązek... wysyłać codzienne sprawozdania z twoich postępów w nauce. To wszystko, co wiem.

Nie wszystko. Coś ukrywa, coś doniosłego, ale durny Slothrop jest zbyt pijany, by dobrać się do tego stylowo.

– Gdy jestem z Katje, też? Podglądasz przez dziurkę od klucza?

Pociągając nosem:

– A co za różnica? Jestem do tego idealny. Idealny. Nawet nie mogę się za często masturbować... Sprawozdania nie są więc poplamione, no wiesz. To byłoby niepożądane. Musi być czysta bezstronność, tylko rejestrujące oko... Oni są tacy okrutni. Myślę, że tak naprawdę nie zdają sobie sprawy... To nawet nie sadyści... krzty namiętności...

Slothrop kładzie mu dłoń na ramieniu. Watówka przesuwa się i marszczy na ciepłej kości. Nie wie, co powiedzieć, co zrobić: czuje się pusty i senny... Sir Stephen klęczy i trzęsąc się ze strachu, otwiera usta, by wyjawić straszną tajemnicę, zgubny sekret. Sekretem tym jest:



## CZŁONEK, KTÓREGO UWAŻAŁ ZA SWOJEGO CZŁONKA

(prowadzący tenor): To był członek, którego uważał  
za swojego członka

Ot, żywa zabawka, główka w kształcie dzwonka...

W kolorze maliny,  
Sterczała spod koca, nawet spod pierzyny,  
Dziewczęta tymczasem  
w głuchy telefon bawiły się pod lasem...

(bas): Pod-la-sem...

(wewnętrzne głosy): Przez dziurkę od klucza  
weszli w głuchą noc,

(bas): Ich słowa mają niebywałą moc,

(wewnętrzne głosy): Zapadł się koc.

(tenor): Z olbrzyma zrobił się malec,  
Dwudziesty pierwszy palec.

Płacze właściciel – żalony jak kotek bez ogonka –  
Za członkiem, którego uważał za swojego członka!

(wewnętrzne głosy):

Za swojego, swojego członka!

Dalekie sylwetki na morzu wciąż są obecne, coraz bardziej wietrzne i odległe w miarę oziębiania się i gaśnięcia światła... Tak trudno ich dosięgnąć – trudno uchwycić. Przekonał się o tym Carroll Eventyr, próbując potwierdzić obecność Anioła nad Lubeką – a razem z nim przekonał się jego duch kontrolny Peter Sachsa, który ugrzązł w bagnisku między dwoma światami. Później, w Londynie, Eventyrowi złożył wizytę najbardziej wszędobylski ze wszystkich podwójnych agentów, Sammy Hilbert-Spaess, który w

powszechnym mniemaniu przebywał akurat w Sztokholmie – a może w Paragwaju?

– No więc dobrze – makrelowata twarz lustruje Eventyra, szybko jak radar artyleryjski i jeszcze bardziej bezlitośnie – myślałem, że się...

– Myślałeś, że się zameldujesz.

– Również telepatycznie. Boże, on jest niesamowity, prawda? – Rybie oczy nie ustają ani na moment. To pustawy pokój, melina gdzieś za Gallaho Mews, na ogół zarezerwowana dla transakcji gotówkowych. Wezwali Eventyra z „Białego Nawiedzenia”. W Londynie też wiedzą, jak rysować pentagramy i wypowiadać magiczne zaklęcia, jak przywoływać te, na których im zależy... Stół ugina się od pomazanych białawych kieliszków, pustych lub z osadami po ciemnobrązowych i czerwonych trunkach, popielniczek i resztek sztucznych kwiatów, które stary Sammy zrywa, obiera, splata w tajemnicze wianki i węzły. Dym z lokomotyw dmie w uchylone okna. Jedną z gołych ścian wytrawiły z biegiem lat cienie agentów, podobnie jak odbicie klienteli wytrawia lustro w lokalu gastronomicznym: powierzchnia nabiera wyrazu, niczym stara twarz...

– No, ale właściwie ty z nim nie rozmawiasz. – Delikatniutko, ach, Samy jest w tym znakomity. – Chodzi mi o to, że to dzieje się inaczej, niż gdyby radiotelegrafista w środku nocy ucinął sobie z kimś pogawędkę...

– Inaczej, inaczej. – Eventyr rozumie teraz, że czytali zapis wszystkiego, co przychodzi od Petera Sachsy, on sam zaś dostaje do wglądu ocenzurowane teksty. I być może to trwa już dłuższy czas... Odpręż się więc, stań się bierny i patrz, czy z gadki Sammy’ego nie wyłania się jakaś prawidłowość, prawidłowość, którą Eventyr już zna tak, jak rozszyfrowujemy akrostych – wezwali go do Londynu, ale nie prosili, żeby nawiązał z kimś kontakt, a to znaczy, że interesuje ich sam Sachsa, spotkanie zaś zaaranżowano nie po to, by powierzyć Eventyrowi kolejne zadanie, lecz żeby go ostrzec. Żeby objąć interdyktem część jego skrytego życia. Fragmenty, tony głosu, dobór słów, wszystko nadchodzi teraz razem:

– ...z pewnością to był wstrząs, znaleźć się po tamtej stronie... miałem własnego Zaxę albo i dwóch na głowie... powstrzymać cię przynajmniej od wyjścia na ulicę... zobaczyć, jak się sprawujesz, stary Zaxa oczywiście też, trzeba przefiltrować *osobowości* dostrzegane w danych. Łatwiej nam w ten sposób...

Od wyjścia na ulicę? Wszyscy wiedzą, jak zginął Sachsa. Ale nikt nie wie, co go tam ściągnęło owego dnia, co było przyczyną takiego końca. I Sammy mówi teraz Eventyrowi: nie pytaj.

Czy spróbują więc dotrzeć także do Nory? Jeśli istnieją analogie, jeśli Eventyr jest odpowiednikiem Petera Sachsy, to czy Nora Dodson-Truck nie staje się ukochaną Sachsy, czyli Leni Pökler? Czy ten interdykt dotyczyć też będzie dymnego głosu i zrównoważonych dłoni Nory? Czy Eventyr ma być, na ten okres, a może do końca życia, objęty jakąś wyrefinowaną formą aresztu domowego za przestępstwa, których nigdy mu nie wyjawia?

Nora kontynuuje swoją Przygodę, „Ideologię Zera”, niezłomna pośród zamiecionych włosów ostatnich białych strażników w finałowym zstąpieniu w czerń, w promiennosc... Ale gdzie teraz jest Leni? Dokąd zawędrowała, dźwigając swoje dziecko i marzenia, pozbawione przyszłości? Albo nie chcieliśmy jej stracić – i to była elipsa w naszej trosce, w tym, co niektórzy z nas gotowi z pełnym przekonaniem uznać za miłość – albo ktoś zabrał ją umyślnie z powodów utrzymywanych w tajemnicy, a częścią tej tajemnicy jest śmierć Sachsy. Zagarnęła skrzydłami inne życie – nie swojego męża, Franza, który marzył, modlił się właśnie o takie zagarnięcie, a mimo to pozostał tutaj w zupełnie innym celu, lecz Petera Sachse, który był bierny w odmienny sposób... czy zaszła jakaś omyłka? Czy Oni nigdy nie popełniają błędów lub... dlaczego jest tutaj i pędzi z nią ku jej kresowi (podobnie jak Eventyra wessał spieniony kilwater Nory), ciało Leni przesłania mu wszystko, co leży przed nimi, szczupła sylwetka dziewczyny nagle osobliwie kłocowata, gruba, matczyna... jedynymi punktami orientacyjnymi są okruchy czasu, przemykające do tyłu po obu stronach, wiążące się w rozciągnięte

helisy, ku zakurzonej niewidzialności, gdzie ostatni promyk słońca kładzie się na kamiennej drodze... Owszem, może to śmiechu warte, ale odgrywa teraz fantazję Franza Pöcklera, tutaj, przycupnięty na jej plecach, malutki, *zabierany*: zabierany daleko w wiatr-eter, którego woń... nie, tylko nie ta woń, ostatnim razem powąchana tuż przed urodzeniem... pustka na długo, zanim powinien pamiętać... co znaczy, że jeśli znowu jest tutaj... to... to...

Spycha ich do tyłu kordon policji. Peter Sachsa stoi ściśnięty w samym środku, usiłuje zachować równowagę, nie ma możliwości ucieczki... Twarz Leni jest ruchliwa, niespokojna, przy oknie hamburskiego ekspresu, betonowe podkłady, widły maźnicze, idealnym tłem gotyckie budynki Märkische, przemykające z prędkością ponad stu mil na godzinę, brunatne, zamazane, przy takiej szybkości najmniejszy błąd zwrotnicowego, drobna usterka podtorza i... spódnica zadarła się z tyłu, nagie uda z czerwoną pręgą od ławki w pociągu obracają się ku niemu... tak... w nieuchronności katastrofy, tak, ktokolwiek patrzy, tak... Leni, gdzie jesteś? Niespełna dziesięć sekund temu była tuż obok. Uzgodnili wcześniej, że postarają się trzymać razem. Ale tutaj działają dwa rodzaje Siły – podobnie jak przypadkowe przemieszczanie się po czystej linii szyku bitewnego styka ze sobą obcych i pozostają oni razem przez pewien czas, złączeni miłością, która sprawia, że nawet ucisk wydaje się porażką, równie często na ulicy miłość rozpołowiona bywa odśrodkowo: twarze widziane ostatni raz, słowa rzucone na wiatr, przez ramię, uznając za oczywistość, że ona jest obok, ostatnie już słowa: „Czy Walter przyniesie dzisiaj wino? Bo ja zapomniałem...” – to ich osobisty żart, gdyż zrobił się zapominalski i snuje się jak zdezorientowany nastolatek, beznadziejnie zakochany w małej dziewczynce, Ilse. Ona jest jego odskocznią od społeczeństwa, partii, klientów... jego poczytalnością. Nabrał zwyczaju siadania na chwilę przy jej łóżeczku późną porą, żeby popatrzeć, jak śpi, z pupą wystawioną do góry, z buzią zagrzebaną w poduszce... czystość, trafność tego... Ale jej matka – też już zasnęła – zgrzyta ostatnio zębami we śnie, marszczy brwi, mówi

potoczyście. Choćby w minionym tygodniu... co on wie o polityce? Dostrzega, że przekroczyła linię graniczną, znalazła odnogę czasu, w którą on być może nie będzie mógł za nią podążyć...

– Jesteś jej matką. Co z nią będzie, jeżeli cię aresztują?

– Ależ oni właśnie... Peter, nie widzisz, że zamiast człowieka oni chcą mieć ogromny nabrzmiały cys ze zwiędłą racją bytu w postaci dziecka, które pobekuje gdzieś w jego cieniu? Jak mam być dla niej człowiekiem? Bo nie matką. „Matka” to kategoria urzędników państwowych, matki pracują dla Nich! Są policjantkami duszy... – Twarz pociemniała, bardziej żydowska od słów, ale nie dlatego, że wypowiedane są głośno, lecz dlatego że Leni mówi z serca i ma rację. Wbrew jej wierze Sachsa dostrzega mielizny własnego życia, bagienną mulistość tych wieczorków, na których przez lata nie zmieniały się nawet twarze... przez nazbyt nijakie lata...

– Kocham cię... – Odgarnia mu włosy ze spoconego czoła, leżą oboje pod oknem, przez które bez przerwy wlewa się poświata ulicy i reklam, obmywając im skórę, ich zaokrąglenia i cienie, z widmami zimniejszymi niż widma Księżyca astrologów... – Nie musisz być kimś, kim nie jesteś, Peter. Nie byłoby mnie tutaj, gdybym nie kochała ciebie takiego, jakim jesteś...

Czy sprowokowała go do wyjścia na ulicę? Czy była jego śmiercią? Z perspektywy zaświatów odpowiedź brzmi: nie. W miłości słowa można rozumieć nazbyt rozmaicie, to wszystko. Niemniej odnosi wrażenie, że wysłano go na drugą stronę z jakiegoś konkretnego powodu...

No i Ilse, bałamucąca go ciemnymi oczyma. Potrafi wymówić jego imię, ale często z przekory nie chce albo woła na niego „mama”.

– Nie, nie, to jest mama. Ja jestem Peter. Pamiętasz? Peter.

– Mama.

Leni tylko się przypatruje, uśmiech w potrzasku warg, prawie – musi przyznać Sachsa – zadowolona. Pozwala, by trwało pomieszanie imion, by zbierała się męska żółć, czego przecież jest świadoma. Jeśli nie zależy jej, by wychodził, dlaczego milczy w takich chwilach?

– Cieszę się, że mnie nie nazywa mamą – mówi Leni, uznając, że należy się słowo wyjaśnienia.

Ale to się nazbyt ociera o ideologię i wcale go nie uspokaja. W takiej gadaninie Sachsa nie potrafi usłyszeć nic innego oprócz zlepką hasła: nie nauczył się słuchać sercem rewolucjonisty, zabraknie mu czasu, by z posępnej miłości towarzyszy ulepić dla siebie rewolucyjne serce, nie, nie ma już czasu, nie ma czasu na nic z wyjątkiem pojedynczego oddechu, chrapliwego oddechu człowieka wystraszonego na ulicy, nie ma nawet czasu na pozbycie się lęku w uświęcony tradycją sposób, nie ma, bo oto nadbiega schutzmann Jöche, biorąc zamach pałką, przed oczyma ukazuje się niebacznie kawałek komunistycznej głowy, nieświadomej jego obecności i siły... pierwszy czysty cios schutzmanna przez cały boży dzień... och, idealnie zgrał uderzenie, czuje to w ręku i pałce, która nie zwisa mu bezwładnie u pasa, lecz naprężona frunie umięśnionym lukiem, już w najwyższym punkcie paraboli, u szczytu potencjalnej energii... znacznie niżej szara żyła w skroni tego mężczyzny, krucha jak papirus, wystająca tak wyraźnie, pulsująca przedostatnim uderzeniem tętna... i, O KURWA! Och... ale...

Ale pięknie!

Nocą sir Stephen znika z kasyna.

Zdąża jednak wyjawić Slothropowi, że jego erekcje żywo interesują Fitzmaurice House.

Rankiem, wściekła bardziej od zmokłej kury, Katje wpada do pokoju jak po ogień, by powiedzieć Slothropowi, że sir Stephen przepadł. Nagle wszyscy coś mu mówią, a on jest półprzytomny. Deszcz bębni o okiennice i szyby. Poniedziałkowe ranki, rozstrojone żołądki, pożegnania... mruga oczyma w kierunku zamglonego morza, widnokrąg zasnuty szarością, palmy błyszczące w deszczu, ciężkie, mokre i soczyste zielone. Chyba szampan jeszcze mu nie wywietrzał – przez dziesięć nadzwyczajnych sekund w jego przestrzeni jest tylko zwyczajna miłość do tego, co widzi.

Potem, przewrotnie świadom tego wszystkiego, odwraca się od okna. Pora zabawić się z Katje...

Twarz ma popielatą jak włosy. Deszczowa czarownica. Rondo kapelusza elegancką żółtozieloną aureolą dokoła głowy.

– A więc przepadł. – Może sprowokuje ją taka beztroska. – Szkoda. Albo właściwie dobrze.

– Pal go sześć. Co ty wiesz, Slothrop?

– Co znaczy: pal go sześć? Co wy robicie, wyrzucacie ludzi ot, tak?

– Chcesz się dowiedzieć?

Stoi i kręci wąsa.

– Mów.

– Ty skurwielu. Zepsułeś wszystko przez tę swoją sztubacką zabawę przy kieliszku.

– Jakie wszystko, Katje?

– Co on ci powiedział? – Robi krok do przodu.

Obserwując jej ręce, Slothrop przypomina sobie oglądanych kiedyś wojskowych trenerów dzudo. Dociera do niego, że jest nagi i, hm, najwyraźniej znowu mu staje, uwaga, Slothrop! Teraz nie ma nikogo, kto by to zauważył i dociekał przyczyn...

– Na pewno nie powiedział mi, że liznęłaś dzudo. Nauczycieli cię w tej Holandii, hę? Wiesz, zdradzają cię – teraz jak dziecko ćwiczące zgłoski solmizacyjne – drob-no-ste-czki, drob-no-ste-czki...

– No nie! – Wyprowadzona z równowagi rzuca się na niego, wymierza fangę, ale Slothrop wykonuje unik, daje nura pod jej pachą, podnosi ją od tyłu chwytem strażaka, ciska na łóżko i wali się na nią. Ona próbuje kopnąć go silnie piętą w kutasa, co powinna była zrobić od razu. Lecz koordynację ruchów ma fatalną, w przeciwnym razie najpewniej skroiłaby Slothropowi dupsko... być może stopa celowo chybia i tylko ociera się o jego nogę, gdy on uskakuje, chwyta ją za włosy, wykręca rękę na plecy, wciska ją twarzą w łóżko. Spódnica zakasała się nad tyłek, uda wiją się pod nim, członek sterczy



w strasznym wzroście.

– Posłuchaj, cicho jedna. Nie denerwuj mnie, bo mi przed kobietą ręka nie zdręży. Jestem Cagney Riwiery Francuskiej, więc uważaj.

– Ukatrupię cię...

– Jakie wszystko? Jakie wszystko zepsułem?

Katje obraca głowę i zatapia zęby w jego przedramieniu, tuż nad łokciem, obok miejsca, gdzie wbijano strzykawkę z amytałem sodu.

– Au, psiamać! – Slothrop puszcza wykręcaną rękę, zdiera z Katje majtki, chwyta ją za biodro i wchodzi w nią od tyłu, wsuwając pod spód dłonie, żeby poskubać brodawki, ucapić łechtaczkę, przejechać paznokciami po wewnętrznej stronie ud, Pan Technika się zjawił, nie żeby to miało jakieś znaczenie, bo oboje już dochodzą – Katje pierwsza, wrzeszcząc w poduszkę, Slothrop sekundę lub dwie później. Leży na niej, spocony, zdyszany, przyglądając się odwróconej twarzy, to nawet nie profil, tylko straszliwa Twarz, Która Nie Jest Twarzą, teraz zbyt abstrakcyjna, nieosiągalna: wgłębienie oczodołu, ale bez labilnego oka, jedynie bezimienny łuk policzka, wypukłość ust, beznosa maska Bytu Innego Rzędu, bytu Katje – pozbawiona życia nietwarz, jedyna jej twarz, którą on tak naprawdę zna i będzie pamiętał.

– Ej, Katje.

– Mhm? – Jej stara, dobrze znana osadowa cierpkość. Przecież nie są kochankami w czasach prześwieconego słońcem woalu, którzy trzymając się za rączki, hasają po świecie wysłanym łąką i spokojem. Zaskoczony? Odsuwa się, wypuszczając kutasa z ciepłego gniazda.

– Jak to jest w Londynie? Gdy spadają rakiety?

– Że co? – Slothrop po dymaniu zwykle lubi poleżeć, zapalić papierosa, pomedytować o jedzeniu. – No, mmm, wiadomo, że są, dopiero, gdy są. Jezusie, właściwie to dopiero, gdy już jest po fakcie. Jeśli cię nie trafi, to wszystko w porządku, dopóki nie nadleci następna. Jeśli słyszysz wybuch, to znaczy, że żyjesz. Tak możesz się zorientować, że żyjesz.

– Właśnie. – Ona siada prosto, wciąga z powrotem majtki, wygładza

sukienkę, podchodzi do lustra, zaczyna układać włosy. – Opowiedz teraz o temperaturze warstwy przyściennej. I jednocześnie się ubieraj.

– Temperatura warstwy przyściennej  $T$  z indeksem  $e$ , co to jest? Podnosi się jednostajnie aż do Brennschlussu, na odcinku około siedemdziesięciu mil, a-a potem jest raptowny skok do góry, tysiąc dwieście stopni, dalej lekki spadek, minimum tysiąc pięćdziesiąt, póki nie wyleci z atmosfery, wreszcie drugi skok przy temperaturze tysiąca osiemdziesięciu. Odtąd utrzymuje się mniej więcej na stałym poziomie aż do ponownego wejścia w atmosferę – i tak dalej, i tak dalej.

Muzyka słyszana w tle, żwawa dzięki ksylofonom, oparta jest na jakimś znanym szlagierze, który stanowi ironiczny a zarazem delikatny komentarz do tego, co się dzieje – „Ach, te szkolne czasy”, „Józefino, przeleć się ze mną moją maszyną” lub nawet „Na starówce będzie dziś gorąco”, do wyboru, do koloru – powolnym krokiem suną do oszklonej werandy na parterze, Slothrop i Katje *tête-à-tête*, sami z wyjątkiem kilku muzyków w kącie, którzy postępują i kręcą głowami, kombinując, jak zmusić Césara Flebótomo, by raz w życiu im zapłacił. Kiepska robota, oj kiepska... Deszcz bije w szyby, za oknami cytryny i mirty kołyszą się na wietrze. Przy rogalikach z prawdziwym masłem i dżemem truskawkowym, przy prawdziwej kawie Katje przepytuje Slothropo z charakterystyki lotu, on opowiada o temperaturze warstwy przyściennej, współczynnikach przejmowania ciepła Nusselta, dokonując w myśli obliczeń na podstawie liczb Reynoldsa rzucanych mu w twarz... równania ruchu, tłumienie drgań, moment przywracający... metody obliczania Brennschlussu przez IG i metody radiowe... równania, przemiany...

– A teraz kąty rozszerzania się strumienia gazów. Ja ci podam wysokość, a ty mi podasz kąt.

– A może ty byś mi podała kąt, Katje?

Pewnego razu z przyjemnością pomyślała o pawiu, o zalotach i rozpostartym ogonie... zobaczyła go w kolorach, którymi mienił się płomień

wzlatujący z wyrzutni: szkarłat, oranż, opalizująca zieleń... niektórzy Niemcy, nawet żołnierze SS, nazywali rakiety *Der Pfau. Pfau Zwei*. Ptak wzbija się, zaprogramowany do odprawienia rytuału miłości... rzecz staje się przesądzona w chwili Brennschlussu – Agregat się zbliża, a jego uległa samica, ten punkt zerowy w samym środku tarczy, czeka. Reszta potoczy się według praw balistyki. Rakieta jest bezradna. Coś innego przejęło kontrolę. Coś poza wszystkimi skonstruowanymi elementami.

Kajte rozumie wielki bezpowietrzny łuk jako wyraźną aluzję do pewnych sekretnych żądz, kierujących planetą, nią samą oraz Tymi, Którzy Ją Wykorzystują – nad szczyt i w dół, na łeb, na szyję, płonąc, ku ostatecznemu orgazmowi... ale tego oczywiście nie może Slothropowi powiedzieć.

Siedzą wsłuchani w smagnięcia deszczu, który niemal przeszedł w grad. Zima zbiera się w sobie, oddycha, pogłębia. Gdzieś w innej sali terkocze kulka ruletki. Katje umyka. Dlaczego? Czy znów nazbyt się zbliżył? Próbuje sobie przypomnieć, czy ona zawsze musiała rozmawiać w ten sposób, rykoszetami, odskakując, zanim mogła go dotknąć. Znakomita pora na zadawanie pytań. On kontrspiskuje w mroku, po omacku wyważając łomem przypadkowe drzwi, zza których nie wiadomo co się wyłania...

Ciemny bazalt wyziera z morza. Mgła muślinu rozpościera się nad cyplem i *chateau*, przeobrażając wszystko w staroświecką ziarnistą widokówkę. Slothrop dotyka jej dłoni, przesuwa palec po nagim ramieniu, dążąc...

– Mhm?

– Chodźmy na górę – mówi.

Być może się zawahała, ale tak błyskawicznie, że nie zauważył.

– O czym rozmawiamy przez cały czas?

– O A-4.

Patrzy na niego i patrzy. W pierwszej chwili jemu się wydaje, że będzie się z niego śmiała. Potem wygląda na to, że się rozpłacze. Slothrop nic nie rozumie.

– Och, Slothrop. Nie. Ty mnie nie chcesz. Być może chce mnie to, czego

oni szukają, ale nie ty. Nie bardziej, niż A-4 chce Londynu. Lecz wątpię, czy oni wiedzą... o innych jaźniach... o twojej lub rakiety... nie. Nie więcej, niż wiesz ty. Jeśli nie potrafisz tego zrozumieć w tej chwili, to przynajmniej zapamiętaj. To wszystko, co mogę dla ciebie zrobić.

Wracają do jej pokoju: fiut, cipa, poniedziałkowy deszcz puka do okien... Przez resztę ranka i całe popołudnie Slothrop przerabia schładzanie regeneracyjne w ujęciu profesora Schillera, obliczenia cieplne profesora Wagnera, gazy wydechowe i efektywność spalania u Pauera i Becka. Oraz pornograficzne schematy. W południe deszcz ustaje. Katje pomknęła do własnych spraw. Slothrop spędza kilka godzin w barze na dole, kelnerzy łowiący jego spojrzenie uśmiechają się, wznoszą butelki szampana, potrząsając nimi zachęcająco.

– *Non, merci, non.* – Próbuje wkuć strukturę organizacyjną w Peenemünde.

Gdy z zachmurzonego nieba wylewa się światło, Slothrop i Katje wychodzą na spacer, na przedwieczorną przechadzkę esplanadą. Trzyma ją za lodowatą gołą dłoń, wąskie czarne palto czyni ją wyższą, długie chwile milczenia rozrzedzają ją niemal do konsystencji mgły... Zatrzymują się, pochylają na barierce, on zapatrzony w zimowe morze, ona w ślepe i chłodne kasyno, upozowane za nimi. Po niebie bez końca prześlizgują się bezbarwne chmury...

– Myślałem o tym dniu, kiedy się na ciebie napatoczyłem. O tamtym popołudniu.

– Nie potrafi zmusić się do precyzyjniejszych określeń, ale ona wie, że chodzi mu o Himmler-Spielsaal.

Rozejrzała się gwałtownie.

– Ja też.

Nadmorski wiatr rwie ich oddechy na upiorne strzępy. Dziś zaczała włosy wysoko w kok i poczerniła jasne brwi, wyskubane do postaci skrzydeł – oczy pod ciemnymi łukami – przegapiwszy tylko kilka skrajnych włosków, które zachowały kolor blond. Jej twarz oblewa ukośnie poświata chmur,

wymywając barwę, ukazując niewiele więcej niż urzędowe zdjęcie, jakie widuje się w paszportach...

– I-i-i ty byłaś wtedy tak daleko... Nieuchwytna...

*Wtedy.* Na twarzy Katje odmalowuje się i zaraz znika coś w rodzaju współczucia. Lecz jej szept jest śmiercionośny i żywy jak drut pod napięciem:

– Może się dowiesz. Może w jednym z ich zbombardowanych miast, nad jakąś rzeką albo pod jakimś lasem, w deszczowy dzień, najdzie cię. Przypomnisz sobie Himmler-Spielsaal i spódnicę, którą miałam na sobie... Pamięć ruszy w płasy dla ciebie i sprawisz nawet, że mój głos powie to, czego wtedy w żadnym razie nie mogłam powiedzieć. Ani wtedy, ani teraz. – Cóż ona mu przekazuje tym uśmiechem, który trwa ledwie sekundę? Już prysnął. Z powrotem zastyga maska pozbawiona szczęścia, wyzbyta przyszłości – twarz w stanie spoczynku, stanie preferowanym, najłatwiejszym...

Stoją wśród poskręcanych czarnych szkieletów żelaznych ławek, na pustym łuku esplanady, pochyłym o wiele bardziej, niż kiedykolwiek wymagałoby tego życie na jawie: przyprawiająca o zawrót głowy stromizna próbuje zrzucić ich w morze, pozbyć się tego wszystkiego. Robi się coraz zimniej. Żadne nie potrafi przez dłuższą chwilę utrzymać równowagi bez ruchu, to jedno, to drugie raz po raz szuka nowego oparcia dla stóp. On wyciąga rękę i stawia kołnierz jej palta, potem ujmuje jej twarz w dłonie... czy próbuje przywołać karnację? Patrzy, zagląda w oczy i ze zdumieniem widzi nabiegłe łyzy, wsiąkające w rzęsy, tusz puścił się już cienkimi czarnymi strużkami... dwa półprzezroczyste minerały, drżące w dołkach...

Fale szarpią się i rozbijają o kamienie na plaży. Port rozpadł się na tysiące spienionych grzywaczy, tak jasnych, że niepodobna, by blask czerpały z posępnego nieba. Oto znów tu jest, ten identycznie wyglądający Drugi Świat – czy Slothrop będzie się musiał teraz tym zamartwiać? Co to... – patrz, te drzewa – wszystkie liście wiszą, uządlone, skołowane, w mozolnych

obrysach na tle nieba, każdy usytuowany tak idealnie...

Przysunęła się, przykleiła przez palto udami i szczytami bioder – może by sprowadzić go z powrotem na ziemię? – jej oddech białym szalem, rozjaśnione zimą szlaki łez zamienione w lód. Jest ciepła. Ale to nie wystarczy. Nigdy nie wystarczało – nigdy, przenigdy, on rozumie bez dwóch zdań, że od pewnego czasu ona chce odejść. Obejmują się w odruchu obrony przed wiatrem, o którym wymownie świadczą grzywacze, albo przed przechyłem trotuaru. Całuje jej oczy, czuje, że kutas znowu nabrzmięwa dobrą starą... złą starą – złą czy dobrą, w każdym razie żądzą.

Hen, na morzu, pojedynczy klarnet intonuje komiczną melodyjkę, do której po kilku taktach dołączają gitary i mandoliny. Bystrookie ptaki tłoczą się na plaży. Na dźwięk muzyki Katje robi się trochę lżej na sercu. Slothrop nie wykształcił jeszcze w sobie europejskiego odruchu w reakcji na klarnet, zamiast klaunów i cyrku ciągle przychodzi mu na myśl Benny Goodman – ale zaraz... zbliżają się kazoo? Taa, mnóstwo kazoo! Cały ansambl!

Późnym wieczorem, po powrocie do pokoju, Katje ma na sobie czerwoną suknię z grubego jedwabiu. Dwie wysokie świece trawią ogniem nieokreśloną odległość za jej plecami. Slothrop odczuwa zmianę. Kochają się, a potem ona leży wsparta na łokciu i obserwuje go, oddychając głęboko, ciemne brodawki unoszą się w rytm oddechu, jak boje na białym morzu. Lecz oczy zaszły patyną: tym razem, ostatnim razem, Slothrop nie dostrzega już nawet jej zwyczajowego odwrotu, nieuchwytnego, pełnego wdzięku odwrotu w zakamarek jakiegoś wewnętrznego pomieszczenia...

– Katje.

– Ćśś – sennymi paznokciami zagrabiając poranek przez Lazurowe Wybrzeże w stronę Włoch.

Slothrop ma ochotę zaśpiewać, decyduje się na to, ale nie przychodzi mu do głowy nic, co odniosłoby należyty skutek. Wyciąga rękę i nie śliniąc nawet palców, gasi świece. Ona całuje jego ból. Piecze jeszcze bardziej. Zasypia w jej ramionach. Gdy się budzi, jest sam, większość jej nienoszonej

garderoby wciąż w szafie, bąble i odrobina wosku na opuszkach palców, no i pojedynczy papieros, zgaszony przed czasem, w kształcie rozdrażnionego haczyka na ryby... Ona nigdy nie marnuje papierosów. Pewnikiem siedziała i paliła, obserwując go, jak śpi... aż nagle coś, o co już nigdy jej nie zapyta, pognało ją dokądś, toteż nie dokończyła. Wygląda papierosa, dopala go, bo nie ma sensu marnować tytoniu, wojna jeszcze trwa...





„Z reguły nasze postępowanie nie jest prostą, lecz złożoną reakcją celem dostosowania się do wszechobecnych warunków otoczenia. Jednak u starych ludzi – wykladał Pawłow w wieku osiemdziesięciu trzech lat – sprawa ma się zgoła inaczej. Skupieni na jednym bodźcu, poprzez indukcję ujemną eliminują inne bodźce uboczne i jednoczesne, ponieważ częstokroć nie odpowiadają one okolicznościom, nie są w danym usytuowaniu reakcjami uzupełniającymi”.

Tak oto

(Pointsman nikomu nie pokazuje swoich literackich próbek),

Sięgając po kwiat na stole,

Wiem, że chłodna mozaika mojego pokoju,

Rozpada się w powolnym, hamowanym rozstroju

Dokoła płatków, bodźca, potrzeby,

Która tym jaśniej płonie, gdy jasność, wyszana rychło

Z przedmiotów, koncentruje się teraz

(o krok od stanu oślepienia), skupia w postaci płomienia.

Tymczasem w pokoju zahipnotyzowanym przez wieczór

Czają się inne rzeczy – książki, narzędzia,

Ubrania starca, wierny kij do gry w gorodki,

Emaliowane tylko własną obecnością.

Ich duchy Lub zachowane wspomnienia miejsc, gdzie bywały,

Kasuje w tej chwili płomień:

Ruch w kierunku koszyka i czekającego kwiatu...

I tak jedna z nich – pióro, pusta szklanka –

Wytrącona zostaje ze swego położenia, by potoczyć się być może

Poza puste granice pamięci...

Żeby była jasność: to nie „starcze roztargnienie”,

To skupienie, od jakiego młodzi  
Z łatwością i ze śmiechem mogą się wykręcić, bo ich świat  
To o niebo więcej niż jedna nędzna strata –  
A tutaj, po osiemdziesięciu trzech latach, kora przywiedła,  
Procesy pobudzające wystygłym są żarem  
Pod brutalnymi zgrubiałymi palcami Zahamowań.  
Ilekcją pokój mój się zamazuje, czuję,  
Że oglądam ćwiczebne zaciemnienie miasta.  
(Co się ziści, jeśli Niemcy dalej kroczyć będą drogą szaleństwa).  
Każde światło gasnącym migotem...  
Z wyjątkiem pojedynczego upartego kwiatu,  
Którego jasności straż nie może zdławić.  
Przynajmniej nie tym razem.

Niemal zarzucono cotygodniowe odprawy w „Białym Nawiedzeniu”. Mało kto widuje leciwego brygadiera. Do obwieszonych cherubinami korytarzy i zakamarków agendy PISCES zaczęły przenikać oznaki trudności budżetowych.

– Stary jest kłębkim nerwów! – wykrzykuje Myron Grunton, sam ostatnio niezbyt zrównoważony. W skrzydle Zakładu Badań nad Odreagowywaniem zebrała się na regularnym posiedzeniu grupa od Slothrop. – Sknoci cały plan, wystarczy jedna niedobra noc...

Wśród obecnych dają się zauważyć przejawy rasowej paniki. W tle krzątają się laboranci: sprzątają psie gówna, przygotowują instrumenty. Szczury i myszy – biel i czerń oraz kilka odcieni szarości – biegają po grzechoczących kołach w setkach klatek.

Tylko Pointsman zachowuje zimną krew. Wydaje się niewzruszony i silny. Jego fartuchy laboratoryjne zaczęły nawet ostatnio nabierać pogody ducha typowej dla Savile Row, wcięta talia, zamaszyste poły, materiał w lepszym gatunku, zawadiacko wykrojone klapy. W tym czasie niedoborów i posuchy bije od niego dostatek. Gdy milkną utyskiwania, pawłowista przemawia

uspokajająco:

- Nie grozi.
- Nie grozi?! – wrzeszczy Aaron Throwster i zebrani znów pomrukują i zrzędzą.
- Slothrop w jeden dzień załatwił Dodson-Trucka i dziewczynę!
- Wszystko się sypie, Pointsman!
- Po powrocie sir Stephena Fitzmaurice House wycofał się z akcji i doszło do żenujących indagacji ze strony Duncana Sandysa...
- To zięć premiera, Pointsman, a to niedobrze, niedobrze!
- Już mamy deficyt...
- Fundusze – och, GDYBY potrafili zachować spokój – są przewidziane i niedługo zaczną napływać... na pewno napłyną, zanim popadniemy w poważne tarapaty. Sir Stephen wcale nie jest „załatwiony”, zadowolony pracuje w Fitzmaurice House i czuje się tam jak u siebie, gdyby któryś z was chciał to sprawdzić. Panna Borgesius nadal aktywnie uczestniczy w naszym przedsięwzięciu, a pan Duncan Sandys otrzymuje odpowiedzi na wszystkie pytania. A najlepsze, że uwzględniono nas w budżecie na czterdziesty szósty rok, zanim jakikolwiek deficyt zdążył zajrzeć nam w oczy.
- Znowu twoje zainteresowane kręgi? – pyta Rollo Groast.
- A właśnie, przedwczoraj widziałem, że naradzałeś się z Clive’em Mossmoonem z Imperial Chemicals – przypomina sobie Edwin Treacle. – Kiedyś w Manchesterze Clive i ja uczyliśmy się razem chemii organicznej. Pointsman, czy Imperial Chemicals Inc. to jeden z naszych, mmm, sponsorów?
- Nie – gładko – w rzeczywistości Mossmoon pracuje obecnie na Malet Street. Myślę, że nie czeka nas nic gorszego niż odrobina rutynowej koordynacji w sprawie Schwarzkommando.
- Gównu prawda. Ja akurat wiem, że Clive jest człowiekiem ICI i prowadzi badania nad polimerami.
- Patrzą na siebie. Któryś kłamie albo blefuje – możliwe, że robią to obaj, w

dodatku i kłamią, i blefują. Pointsman ma w każdym razie lekką przewagę. Śmiało zaakceptowawszy likwidację programu, dostąpił Mądrości: być może w naturze funkcjonuje siła życiowa, jednak w biurokracji nie występuje nic analogicznego. Nic równie mistycznego. Wszystko sprowadza się nieuchronnie do pragnień poszczególnych mężczyzn. Och, i kobiet też, oczywiście, niech Bóg błogosławi ich małe puste główki. Warunkiem przetrwania są wystarczająco silne pragnienia – lepsza znajomość Systemu, niż mają inni, oraz umiejętność jego wykorzystania. To praca, ot, i wszystko, brak w niej miejsca na pozaludzki niepokój – skutkiem takiego niepokoju jest osłabiona, zniewieściała wola: gdy mężczyzna mu się podda, nie zawalczy o zwycięstwo *und so weiter*.

- Chciałbym, żeby ICI nas współfinansowało – Pointsman się uśmiecha.
- Kiepsko, kiepsko – mruczy młodszy doktor Groast.
- To nie ma znaczenia! – krzyczy Aaron Throwster. – Jeśli stary zniechęci się w nieodpowiednim momencie, cały plan weźmie w łeb.
- Brygadier Pudding nie wycofa się z zobowiązań, które zaciągnął wobec nas – Pointsman, stanowczo i spokojnie. – A szczegóły nie są istotne.

Nigdy nie są istotne na zwoływanych przez niego spotkaniach. Treacle zepchnięty na boczny tor, którym jest Sprawa Mossmoona, a krytycznym wtrętom Rollo Groasta jak zwykle daleko do poważnego sprzeciwu, są natomiast użyteczne jako pozór otwartej dyskusji, tak samo jak napady hysterii u Throwstera, które odwracają uwagę pozostałych... Zebrani konspiratorzy rozchodzą się, idą na kawę, whisky, do żon, łóżek, obojętności. Zostaje tylko Webley Silvernail, żeby spakować sprzęt audiowizualny i przetrząsnąć popielniczki. Pies Wania, na krótko w normalnym stanie psychicznym, ale nie fizycznym (nerki osłabione wskutek stosowania bromu), przeżywa chwilę wolności od stojaka laboratoryjnego i węsząc zbliża się do klatki szczura Ilji. Ilja dotyka ryjkiem galwanizowanej siatki i obaj zastygają w ten sposób, nos w nos, życie w życie... Kurząc haczykowaty niedopałek i taszcząc szesnastomilimetrowy projektor,

Silvernail wychodzi ze skrzydła Zakładu Badań nad Odreagowywaniem, mijając długi szereg klatek w świetle jarzeniówek szatkowanym przez koła laboratoryjne. Uwaga, koledzy, idzie klawisz. Och, on jest w porządku, Ludwiku, to równy gość. Pozostali się śmieją. Den, co on tu robi, nim? Długie białe lampy trzeszczą nad głową. Ubrani na szaro laboranci gadają, palą, tkwią przy różnych zajęciach. Alarm, Lewuś, tym razem idą po ciebie. Patrz, chichocze mysz Aleksiej, jak mnie podniesie, to się zesram, zesram mu się prosto na grabę! Ej, lepiej nie, wiesz przecież, co się stało z Leserem. Człowieku, usmażyli go, kiedy to zrobił, od razu, wtedy jak tylko jeden jedyny raz spieprzył bieg przez labirynt. Sto woltów. Potem powiedzieli, że to był wypadek. Wypadek, akurat!

Webleyowi Silvernailowi przychodzi do głowy, że widziane z góry, z niemieckiej perspektywy, laboratorium też jest labiryntem, co nie?... behawioryści biegają między rzędami stołów i konsolet niczym szczury i myszy. Ich pokrzepia nie tabletką pokarmu, lecz udany eksperyment. Ale kto ich obserwuje z góry, kto rejestruje ich reakcje? Kto słyszy odgłosy małych zwierząt w klatkach, kiedy spółkują, tulą się do siebie, porozumiewają przez szare kratki albo, jak teraz, śpiewają... wychodzą z zamknięcia, rozrósłszy się do wielkości Webleya (choć żaden laborant najwyraźniej tego nie widzi), by zatańczyć z nim między długimi rzędami metalowych sprzętów, a konga i pełna werwy tropikalna orkiestra przygrywają popularną melodię pod tytułem:

## PAWŁOWIA (beguine)

W Pawłowii już wiosna-a-a,  
W labiryncie głuszy  
Skroplonej lizolem  
Szukam bratniej duszy.  
Na końcu zaułka  
Jest dusza i ciało,  
Nosy się spotkały,  
Serce me wzleciało!  
Razem nam po drodze,  
Czuję się jak w niebie.  
Pigułkę na spólkę?  
Pragnę tylko ciebie.  
W Pawłowii już jesień,  
Znowu jestem sam,  
Miliwolty smutku,  
Tylko łkam i łkam.  
Wspólne chwile prysły,  
Imię tve nieznane,  
W Pawłowii są tylko  
Labirynt i dane...

Skrecają węża w tańcu. Szczury i myszą tworzą kręgi, podkurczają i rozprostowują ogonki, formując gwiazdy i promieniste słońca, wreszcie wszystkie ustawiają się w kształt ogromnej pojedynczej myszy, której okiem jest rozśpiewany i uśmiechnięty Silvernail, pozując z rękami wyrzuconymi do góry jak ramiona litery V, przedłużając z gigantycznym chórem gryzoni i orkiestrą ostatnią nutę piosenki. W jednej z klasycznych propagandowych ulotek Pionu Walki Psychologicznej zaleca się Volksgrenadierowi: SETZT

V-2 EIN!, opatrzywszy tekst przypisem, który wyjaśnia, że „V-2” oznacza podniesienie rąk w „geście honorowego poddania się” – kolejna dawka wisielczego humoru – i instruuje, jak odpowiednio wymawiać słowa: „pöddaie ssie”. Czy V Webleya oznacza zwycięstwo czy kapitulację?

Dość już tej wolności. Silvernail był tylko gwiazdorem na gościnnym występie. Z powrotem do klatek i zracjonalizowanych form śmierci – w służbie jedyne go gatunku istnień obarczonego przekłętą świadomością, że umrze...

– Uwolniłbym was, gdybym wiedział, jak to zrobić. Ale tutaj nie jest się wolnym. Wszystkie zwierzęta, rośliny, minerały, a nawet ludzie są każdego dnia rozbijani i składani na nowo, by uchwycić się nieliczna elita, która najgłośniej teoretyzuje na temat wolności, lecz w istocie jest najbardziej zniewolona ze wszystkich. Nie mogę dać wam nawet nadziei, że pewnego dnia to się zmieni – że Oni wyjdą na wolność, zapomną o śmierci, że ich technika zatraci tę starannie wypracowaną groźbę, że przestaną wykorzystywać niemiłosiernie wszystkie inne formy życia w celu utrzymania tego, co dręczy ludzkość, na znośnym poziomie – i że staną się tacy jak wy, że po prostu będą tutaj, będą żyć... – Gwiazdor oddała się korytarzem.

W „Białym Nawiedzeniu” gasną wszystkie światła oprócz garstki lampek. Dziś wieczorem niebo jest ciemnoniebieskie, granatowe jak palto marynarza, a chmury zadziwiająco białe. Dmie ostry i zimny wiatr. Rozdygotany brygadier Pudding wymyka się ze swej kwatery tylnymi schodami, tylko sobie znaną drogą, przez opustoszałą oranżerię skąpaną w poświacie gwiazd, następnie galerię zawieszoną jako oprawa dla dandysów, koni i dam z ugotowanymi na twardo jajami zamiast oczu, na przestrzał małej antresoli (strefa największego zagrożenia...) prosto do gradami, gdzie, mimo że dawno już przestał być dzieckiem, stopy rupieci i przypadkowe czarne czeluście przyprawiają go o dreszcze, i dalej na dół po metalowych stopniach, podśpiewując sobie, oby nie za głośno, dla kurażu:

Wykąp mnie w wodzie,



W której brudną córkę kąpiesz co dzień,  
A będę bledszy od prześcieradła...

wreszcie dociera do Skrzydła D, gdzie ostali się szaleńcy z lat trzydziestych. Stróż nocny śpi pod egzemplarzem „Daily Herald”. To obcesowo wyglądający facet; czytał wstępniak. Oznaka nadchodzących zmian, nowych wyborów? Aj, aj...

Obowiązuje rozkaz, by przepuścić brygadiera. Starzec przechodzi na palcach, oddychając szybko. Śluz charkocze mu w gardle. W tym wieku śluz jest nieodłącznym towarzyszem – kultura śluzu wśród zramolałych dziadów, śluz pod tysiącami postaci, pojawiający się całkiem niespodzianie w formie kleksów na obrusie przyjaciela, otulający nocą chropawe kanały układu oddechowego, dość, by pociemnić zarysy snów i brutalnie ocucić człowieka, błagającego...

Głos, nazbyt odległy, byśmy go zlokalizowali, intonuje:

– Jestem błogosławionym Metatronem. Jestem stróżem Tajemnicy. Strażnikiem Tronu...

Tutaj co bardziej niepokojące wybryki wigów usunięto dłutem lub zamalowano. Nie ma sensu rozstrajać nimi pacjentów. Są stonowane odcienie, miękkie draperie, impresjonistyczne reprodukcje na ścianach. W nietkniętym stanie pozostawiono tylko marmurową podłogę, która błyszczy się teraz pod żarówkami jak tafla wody. W drodze do celu stary Pudding musi pokonać sześć gabinetów i pokojów przechodnych. Trwa to nie dłużej niż dwa tygodnie, ale nabrało już cech powtarzającego się rytuału. W każdym pomieszczeniu czeka go jedna przykrość: sprawdzian, przez który trzeba przebrnąć. Zastanawia się, czy to nie Pointsman ukartował wszystko. Oczywiście, oczywiście, to na pewno on... jak ten smarkaty skurwieli w ogóle się dowiedział? Gadałem przez sen? A może nocą wślizgują się z amytalem, żeby... – i oto właśnie po wyklarowaniu się tej myśli czas na powitalny egzamin dzisiejszego wieczoru. Pierwszy gabinet: na stole pozostawiono strzykawkę. Czyściutka i lśniąca, reszta pokoju lekko

zamazana. Tak, rankiem czułem się okropnie skołowany, nie mogłem dojść do siebie po przebudzeniu – czy to był sen? mówiłem... Pamięta tylko tyle, że mówił, a ktoś inny słuchał... Drży ze strachu, bledszy od prześcieradła.

W drugim pokoju znajduje się pusta czerwona puszką po kawie. Produkt firmy Savarin. Brygadier rozumie, że należy to odczytać jako „Severin”. Och, ten sprośny szyderca, ta kanalia... Lecz jest to nie tyle złośliwa zabawa słowami, wymierzona przeciwko chętnemu cierpiętnikowi, ile magia sympatyczna, wszechobecne zwielokrotnienie pewnej uporczywej formy (podobnie żaden zdrowy na umyśle robotnik od rozbiórek nie umyje wieczorem łyżeczki między dwiema filiżankami ani nawet między szklanką a talerzem z obawy, że przywiodłaby mu na myśl Przerywacz... bo tak naprawdę trzyma w ręku, w palcach bolących od nagłej świadomości, młoteczek przerywacza zawieszony między dwoma śmiertelnymi dotknięciami)... W trzecim natyka się na wysuniętą szufladę kartoteki – widać odsłonięte częściowo teczki z aktami – oraz otwartą książkę Krafft-Ebinga. W czwartym jest ludzka czaszka. Jego podniecenie wzrasta. W piątym – laska trzciniowa. Biłem się za Anglię w tyłu wojnach, że nie potrafię zliczyć... czy nie dość jeszcze dałem z siebie? Wszystko dla nich ryzykowałem, raz po raz... Czy naprawdę muszą pastwić się nad starym człowiekiem? W szóstym pomieszczeniu wisi obdarty szeregowiec znad Ypres, mundur połowy podziurawiony kulami z maksima, otwory w czarnych obwódkach jak oczy Cléo de Mérode, lewe oko żołnierza też przestrzelone, trup już zaczyna cuchnąć... nie... nie! To palto, ktoś zostawił stare palto na wieszaku w ścianie, nic więcej... ale przecież on czuł smród, czy nie? W tej chwili wlewa się falą gaz musztardowy, wprost do mózgu, ze śmiercionośnym szumem, jak sny, kiedy ich nie chcemy, albo gdy się dusimy z braku powietrza. Karabin maszynowy po niemieckiej stronie zawodzi dum-dy-dy – da-da, angielska broń odpowiada dum-dum-dum, a noc zaciska sploty wokół jego ciała, tuż przed godziną natarcia...

U progu siódmej komnaty puka wiotkimi knykciami w pociemniałą dębinę.

Elektronicznie sterowana zasuwka otwiera się z trzaskiem, po którym odzywa się lekki pogłos. Pudding wchodzi i zamyka za sobą drzwi. Pomieszczenie spowija półmrok, w kącie, który wydaje się odległy o wiele mil, pali się tylko świeca zapachowa. Ona czeka na wysokim krześle w stylu Adamów, białe ciało i czarna uniform nocy. On osuwa się na kolana.

– Domina Nocturna... Iśniąca matko i ostatnia miłości... twój sługa Ernest Pudding stawia się na wezwanie.

W ten wojenny czas punktem skupienia na twarzy kobiety są usta. U owych twardych i nazbyt często powierzchownych dziewcząt szminka trwa jak krew. W dzisiejszym świecie oczy zostały wydane na pastwę pogody i łez: przy śmierci ciągle obecnej na niebie, pod wodą, pośród kleksów i plam na zdjęciach lotniczych oczy większości kobiet mają charakter czysto funkcjonalny. Pudding natomiast pochodzi z innej epoki i także ten szczegół Pointsman wziął pod uwagę. Dama brygadiera spędziła godzinę przy zwierciadle próżności z tuszem, kredką, konturówką, emulsją i różem, z pędzelkami i pęsetką, zaglądając raz po raz do niespiętego albumu z fotografiami królowych piękności sprzed trzydziestu i czterdziestu lat, aby jej władanie w te noce było autentyczne, a może nawet – przez wzgląd na spokój wewnętrzny obojga – uprawnione. Jasne włosy zwinęła i upięła pod grubą czarną peruką. Gdy siedzi ze spuszczoną głową, zapominając o książęcej pozie, kosmyki opadają do przodu, na ramiona, poniżej piersi. Jest teraz prawie naga, ubrana tylko w długą pelerynę z soboli i czarne buty na słupku. Jedyłą biżuterię stanowi srebrny pierścionek ze sztucznym rubinem, nie zeszlifowanym w fasety, zachowującym jednak oryginalny wygląd monokryształu ciągniętego – arogancka kropla krwi, wysunięta do przodu w oczekiwaniu na pocałunek.

Przystrzyżone wąsy jeżą się, drżą przy jej palcach. Podpiłowała paznokcie w długie szpony i pomalowała je lakierem w kolorze swojego rubinu. Ich rubinu. W nikłym świetle są prawie czarne.

– Dość. Szykuj się.

Ściąga mundur na jej oczach, ordery pobrzękują cicho, trzeszczy wykrochmalona koszula. Ona ma wielką chęć na papierosa, ale instrukcje zabraniają palić. Próbuje zapanować nad rękoma.

– O czym myślisz, Pudding?

– O tej nocy, gdy się poznaliśmy. – Błoto cuchnęło. Obrona przeciwlotnicza dudniła w mroku. Rankiem żołnierze – jego biedna trzoda – nawdychali się gazu. Był sam. Zobaczył ją przez peryskop, w blasku pocisku świetlnego, który zawisł na niebie... i choć pozostawał w ukryciu, ona dojrzała jego. Z bladą twarzą, ubrana na czarno stała na ziemi niczyjej, a karabiny maszynowe szatkowały powietrze dokoła, lecz nie musiała się kryć.

– Znali cię, pani. Byli twoimi ludźmi.

– Ty też.

– Zawołałaś mnie, powiedziałaś: „Nigdy cię nie opuszczę. Należysz do mnie. Znowu będziemy razem, znowu i znowu, choć tymczasem mogą upłynąć lata. I zawsze będziesz do mojej dyspozycji”.

Kłęka ponownie, nagi jak noworodek. Starcze ciało pełźnie, gruboziarniste w blasku świecy. Dawne blizny i świeże pręgi grupują się tu i ówdzie na skórze. Członek stoi na baczność. Ona się uśmiecha. On podczołguje się na rozkaz i całuje jej buty – zapach wosku i wyrobów skórzanych – czuje palce zginające się pod jego językiem, pod czarną powłoką. Widzi kątem oka pozostałości wczesnej kolacji na stoliku, skraj talerza, szyjki dwóch butelek: woda mineralna, francuskie wino...

– Czas na ból, brygadierze. Dostaniesz tuzin z całej siły, jeżeli dzisiejsza ofiara mnie zadowoli.

Dla niego to najgorsza chwila. Już raz spotkał się z odmową. Nie ciekawia jej wspomnienia spod Ypres. Bardziej niż masowa rzeź obchodzi ją mit i strach pojedynczego człowieka... ale proszę... proszę... niechby przystała na...

– W Badajoz – szepcze z pokorą – podczas wojny w Hiszpanii... legion pod sztandarami generała Franco natarł na miasto, śpiewając pieśń pułkową.

Śpiewali o oblubienicy, którą sobie wzięli. To byłaś ty, pani. O-o-obwołali cię oblubienicą...

Ona milczy przez chwilę, trzymając go w niepewności. Wreszcie, przykuwając wzrokiem jego spojrzenie, uśmiecha się, a obecny w słowach element zła – potrzebny mu, o czym się przekonała – jak zwykle sam troszczy się o siebie:

– Tak... tego dnia wielu z nich zostało moimi oblubieńcami... – szepcze, wyginając jasną trzcinkę. Wydaje się, że po pokoju hula zimowy wiatr. Królewskiej postaci grozi rozpad na pojedyncze płatki śniegu. On uwielbia słuchać jej słów, zdaje sobie sprawę, poznaje po akcencie, że to właśnie jej głos dosięga go ze zburzonych domów we flandryjskich miasteczkach; dziewczęta, które zestarzały się w Niderlandach, których głosy z upływem czasu popadły z młodości w starość, z wesołości w obojętność, gdy wojna się ciągnęła, gdy ciągnęła się jedna zapiekła pora roku za drugą... – przytuliłam ich brązowe hiszpańskie ciała. Miały barwę pyłu i zmierzchu, i mięsa upieczonego do stanu idealnej kruchości... większość była bardzo młoda. Dzień lata, dzień miłości: jeden z najbardziej wzruszających, jakie przeżyłam. Dziękuję ci. Doczekasz się dziś bólu.

Nastaje ten etap, z którego przynajmniej czerpie przyjemność.. Nigdy wprawdzie nie zetknęła się z klasyczną brytyjską pornografią, niemniej czuje się teraz w głównym nurcie tutejszej erotyki jak ryba w wodzie. Sześć w pośladki, kolejnych sześć po brodawkach. Chlast, gdzie jest teraz twoja Jarzynowa Niespodzianka, co? Hę? Lubi sposób, w jaki napływa krew, krzyżując się z pręgami z poprzedniej nocy. Ledwo się powstrzymuje od pojękiwania w reakcji na jego stęknienia bólu – dysonans dwóch głosów byłby o wiele mniej przypadkowy, niż wynikałoby z brzmienia... Niekiedy knebluje go galową szarfą, wiąże sznurem naramiennym, ozdobionym złotymi chwastami, albo jego własną koalicijką. Tej nocy brygadier leży jednak zgarbiony u jej stóp, ze zwiędłym dupskiem, wzniesionym w oczekiwaniu na razy trzcina, skrępowany wyłącznie własnym przymusem

odczuwania bólu, odczuwania czegoś rzeczywistego, czystego. Jakże mocno nadwerzężyli jego nerwy. Upchali papierowe złudzenia i wojskowe eufemizmy między niego a tę prawdę, tę rzadko spotykaną przyzwoitość, tę chwilę u jej pedantycznych stóp... nie, to nie poczucie winy dochodzi tutaj do głosu, lecz zdumienie – że przez tak wiele lat potrafił słuchać ministrów, naukowców, profesorów, z których każdy opowiadał własne specjalistyczne brednie, ona zaś była tutaj cały czas, pewna siebie właścicielka jego słabnącego ciała, prawdziwego ciała: niezamaskowanego mundurem, niezanieczyszczonego lekami, odgradzającymi go od jej komunikatów, które przyprawiają o zawrót głowy, mdłości i ból. Nade wszystko ból. Najczystsza poezja, pieśń o niebotycznej wartości...

Dźwiga się na kolana, by ucałować narzędzie. Ona stoi teraz nad nim na rozkraczonych nogach, miednica wypchnięta do przodu, futrzana peleryna rozsunięta na biodrach. On zbiera się na odwagę i spogląda do góry na jej cipę, na ten przerażający wir. Z okazji spotkania zafarbowała włosy łonowe na czarno. On wzdycha i wydaje z siebie ciche zawstydzone stęknienie.

– A, no tak... wiem. – Domina Nocturna się śmieje. – Biedny śmiertelny brygadier, wiem. To moja ostatnia tajemnica – głaszcząc palcami wargi sromowe. – Nie możesz przecież poprosić kobiety, żeby odsłoniła swoją ostatnią tajemnicę, prawda?

– Proszę...

– Nie. Nie dziś. Uklęknij tutaj i weź to, co chcę ci dać.

Wbrew sobie – to odruch – Pudding zerka błyskawicznie na stół: butelki, talerze ubrudzone sokiem z mięsa, sos holenderski, kawałki chrząstek i kości... Jej cień zakrywa mu twarz i górną część tułowia, skórzane buty skrzypią cicho, gdy napinają się uda i mięśnie brzucha i nagle tryska mocz. Otwiera usta, żeby pochwycić strugę, krztusi się, próbuje nadążyć z przetykaniem, czuje – zalany szumiącą powodzią – że ciepła uryna ulewa mu się z kącików ust, ścieka po szyi, na ramiona. Koniec, zlizuje z warg ostatnie krople. Inne, kryształowo złote, przylgnęły do połyskliwych włosów pizdy.



Twarz, widoczna niewyraźnie między nagimi piersiami, jest gładka jak stal.

– Potrzyмай moje futro – mówi ona i obraca się. On spełnia posłusznie polecenie.

– Uważaj, nie wolno ci dotknąć mojego ciała.

Poprzednio bywała zdenerwowana, miała zatwardzenie, zastanawiała się nawet, czy u mężczyzn nie jest to symptom impotencji. Lecz zapobiegliwy Pointsman spodziewał się tego, toteż z posiłkami przysyła jej pigułki na przeczyszczenie. Teraz jej kiszki jęczą cicho, a ona sama czuje, że gówno się ruszyło i wychodzi na zewnątrz.

On klęczy, trzymając w rękach cenną pelerynę. Ze szczeliny, z absolutnego mroku między białymi pośladkami wysuwa się ciemny balas. Pudding nieporadnie rozsuwa kolana, aż czuje dotyk skórzanych butów. Nachyla się do przodu, by pochwycić ustami ciepły kłoc, wsysa go czule, liżąc od spodu... na myśl przychodzi – przykro mu, ale nic na to nie poradzi – członek Murzyna, owszem, zdaje sobie sprawę, że to wbrew ustanowionym zasadom, ale trudno się obronić przed tym wizerunkiem brutalnego Afrykanina, który zmusi go do... Smród gówna wypełnia nozdrza, opanowując go, otaczając. To smród Passchendaele, smród spod Ypres. Zmieszana z odorem błota i gnijących trupów, była to główna woń ich pierwszego spotkania i zarazem godło Katje. Balas wślizguje się w usta, w przełyk. Pudding odczuwa odruch wymiotny, ale bohatercko zaciska zęby. To chleb, który pływałby gdzieś w porcelanowych wodach, niewidoczny, nieposmakowany – wyrośnięty teraz i upieczony w zatwardzonym jelitowym Piecu do postaci bochenka, który znamy, bochenka beztroskiego niczym domowa wygoda, sekretnego jak śmierć w łóżku... Spazmy w gardle trwają. Ból jest przeokropny. Rozciera językiem gówno o podniebienie i zaczyna przełykać tubalnie – to jedyny dźwięk w pokoju...

Pojawiają się dwa kolejne balasy, mniejsze, a po uporaniu się z nimi brygadierowi pozostaje jeszcze wylizać resztki z odbytu. Modli się, by pozwoliła mu zasłonić się peleryną, bo chce posiedzieć jeszcze chwilę w



mroku wyściełanym jedwabiem, z uległym językiem wyprężonym do góry ku dupie. Ale ona się odsuwa. Futro znika z jego rąk. Każe mu się brandzlować. Widywała kapitana Blicero z Gottfriedem, toteż zna ten dryl.

Brygadier szybko się spuszcza. Gęsty zapach nasienia wypełnia pokój jak dym.

– Odejdź teraz. – Zbiera mu się na płacz. Już wcześniej oferował, składał – niedorzecznie – swoje życie w ofierze. Spływają nabiegłe do oczu łzy. W jej oczy nie może spojrzeć. – Masz gównno dokoła ust. Może zrobię ci zdjęcie w takim stanie? Na wypadek gdybyś kiedykolwiek się mną zmęczył.

– Nie, nie, ja jestem zmęczony tylko tamtym. – Kiwa głową w kierunku drzwi, obejmując tym ruchem „Białe Nawiedzenie”. – Tak cholernie zmęczony...

– Ubieraj się. Nie zapomnij wytrzeć ust. Wezwę cię, kiedy znów będę chciała.

Odmeldować się. Włożywszy z powrotem mundur, wychodzi, zamyka za sobą drzwi celi i wraca do siebie. Stróż nocny nadal śpi. Mroźne powietrze uderza Puddinga jak cios. Brygadier szlocha pochylony, samotny, z policzkiem przytulonym do chropowatej ściany palladiańskiego budynku. Jego kwatery stała się krainą wygnania, prawdziwy dom znajduje się tam, gdzie jest Pani Nocy, jej miękkie buty i ostry cudzoziemski głos. Nie pozostało już nic oprócz nocnej filiżanki bulionu, rutynowych dokumentów do podpisania i dawki penicyliny, którą Pointsman mu zalecił, żeby zapobiec zakażeniu pałeczkami okrężnicy. Ale jutro w nocy... być może... Wydaje mu się, że nie pociągnie o wiele dłużej. Niewykluczone jednak, że w godzinach poprzedzających świt...



Spada na nas wielki sierp – zielona równonoc i odwrót od śniących ryb do młodych baranów, od snu w wodzie do wskrzeszenia w ogniu. Za linią frontu zachodniego, pośród gór Harcu, w miasteczku Bleicheröde, Wernher von Braun ze złamaną dopiero co ręką w gipsie szykuje się do obchodów swoich trzydziestych trzech urodzin. Przez całe popołudnie dudni artyleria. Het, w oddali, na polanach w niemieckich lasach, rosyjskie czołgi wzbijają widma kurzu. Bociany wróciły do domu i pojawiły się pierwsze fiołki.

Na kredowym odcinku wybrzeża obok „Białego Nawiedzenia” nastają pogodne, bezchmurne dni. Dziewczeta z biur wkładają mniej swetrów – piersi znów próbują wyjrzeć na świat. Marzec przyszedł jak baranek. Umiera Lloyd George. Na zamkniętej wciąż plaży widuje się zbłąkanych spacerowiczów, którzy siadają w niszczących plątaninach stalowych prętów i kabli, nogawki zawinięte do kolan, włosy niezwiązane wstążką, zsiniałe stopy kopiące kamyczki. Przy brzegu, pod wodą, biegną kilometry tajnego ropociągu, którego zawory można otworzyć jednym ruchem, żeby usmażyć niemieckich najeźdźców ze starych już koszmarów... paliwo czeka na hipergoliczny zapłon, który nie nastąpi, chyba że jako majowe pokrzepienie na duchu albo rozgardiasz wśród podrzędnych urzędników – na żwawą melodię bawarskiego kompozytora Carla Orffa:

O, O, O To-tus flore-o!  
Iam amore virginali  
Totus ardeo...

całe ufortyfikowane wybrzeże od Portsmouth do Dungeness rozbłysłe, płonące z miłości do wiosny. Spiski podobnej treści wykluwają się w co tęższych głowach „Białego Nawiedzenia” – dobiega końca zima psów, bezproduktywnych słów padających jak czarny śnieg. Wkrótce będziemy ją mieć za sobą. Ale gdy już odejdzie, gdy minie, to czy nadal będzie

emanować zakapturzonym zimnem, choć na morzu płoną ognie?

W kasynie „Hermann Goering” nastają nowe porządki. Jediną znajomą twarzą jest generał Wivern, choć najwyraźniej go zdegradowano.

Slothrop ma coraz większe pojęcie o prowadzonej przeciw niemu intrydze. Wcześniej spisek był monolityczny, wszechmocny, całkowicie poza jego zasięgiem. Aż do zabawy w Księcia Walii, do tej sceny z Katje i dwóch nagłych rozstań. Teraz...

Porzekadła dla paranoików: 1. Zapewne nigdy nie dotkniesz Mistrza, możesz jednak połaskotać jego stworzenia.

No, a w ogóle to cóż, hm, ostatnio popada w osobliwy stan, który z całą pewnością nie jest snem, może to raczej coś, co dawniej nazywano „rozkojarzeniem”, ale takim, w którym kolorami są barwy podstawowe, a nie pastele... w tych chwilach wydaje mu się, że dotyka, że postrzega dotykowo znanego nam ducha, głos, który niejedną raz przemawiał ustami Carrolla Eventyra: to głos zmarłego Rolanda Feldspatha, eksperta od sterowania, sprzężeń zwrotnych i systemów kontroli, przydzielonego od dawna do jakiegoś instytutu aeronautyki. Wydaje się, że z powodów natury osobistej Roland od dłuższego czasu unosi się nad Slothropowską przestrzenią, której energia ledwo do niego dociera przez światło słoneczne, i na wskroś burz łaskoczących go w plecy wyładowaniami elektrycznymi szepcze w dół z pułapu ośmiu kilometrów – nieludzka wprost wysokość – stacjonując przy jednej z Ostatnich Parabol – torów lotu, których nie wolno obrać pod żadnym pozorem! – pracując jako kolejny niewidzialny Strażnik stratosfery, po tamtej stronie beznadziejnie zbiurokratyzowany, tak samo jak był po tej, zgodnie z oczekiwaniami trzymając grabę na pulsie, zwinięty na „niebie”, spięty po nieudanych próbach dotarcia na dół, ogarnięty niemocą jak śpiący, którzy starają się ocknąć i przemówić, lecz nie mogą, którzy chcą umknąć przed brzemieniem i pulsacją bólu w czaszce, bo wydaje im się, że ból ten istnieje tylko w świecie snów, Roland czeka więc, ale niekoniecznie na bezsensowne pojawienie się cymbała pokroju Slothropo...

Wstrząsa nim dreszcz. To ma być ten? Ten ma być galeonem w nadchodzącym rejsie? Rany, miejże litość, Panie Boże! Jakie burze, jakie potwory eteru może przegnać ten cały Slothrop?

Cóż, Roland powinien zrobić jak najlepszy użytek z tego, co dostał, to wszystko. Skoro zabrnęli aż tak daleko, musi pokazać, co wie o Sterowaniu. To jedna z tajnych misji jego śmierci. Tutaj tajemnicze słowa o systemach gospodarczych, wypowiedziane przez niego tamtego wieczoru u Snoxalla są zwyczajną codzienną paplaniną w tle, danym stanem bytu. Zapytajcie, zwłaszcza Niemców. Och, to naprawdę smutna historia: władza wrednie wykorzystwała ich *Schwärmerei* do Systemu Kontroli. W niejednym wstępniaku na łamach „Paranoicznych Systemów Dziejów” (PSD), periodyku z lat dwudziestych, który rychło splajtował i którego wszystkie odbitki poznikały w niewyjaśniony sposób – kamień w wodę – zasugerowano nawet, że inflację w Niemczech wywołano celowo po to, by wciągnąć młodych entuzjastów Tradycji Cybernetycznej w Kontrolowanie: w warunkach galopujących cen gospodarka wzdyma się jak balon, z perspektywy rosnącej wysokości Ziemia każdego dnia zyskuje coraz większą wartość w sposób niekontrolowany, system sprzężenia zwrotnego, który miał utrzymać markę na stałym poziomie, zawiódł bezwstydnie... Wzmocnienie w obwodzie spada do jedności, spada do jedności, żadnej zmiany, cicho sza, tak trzymać już zawsze, to były sekretne zaklęcia z czasów, gdy Dyscyplina Kontroli znajdowała się jeszcze w powijakach – sekretne i straszne, jak o tym mówią szkarłatne dzieje. Przeciwstawne wahania stanowiły chyba Największe Zagrożenie. Tę huśtawkę można było rozbujać tylko do pewnego stopnia. Walki wybuchły szybko, wszystko szło jak z płatka. W dżdżyste dni nigdy nie było za wiele grzmotów i błyskawic, tylko wyniosła szklista szarość zbierała się w dolnych partiach, monochromatyczna sylweta dolin napakowanych obalonymi omszałymi drzewami, które wytykały korzeniami niebo w wyrazie nie do końca żartobliwej złośliwości (jak biała niespodzianka dla elity tam w górze, niezwracającej uwagi, o nie...), doliny

spuchnięte od jesieni, a w deszczu obumierający, starokawalerski brąz za fasadą złota... selektywnie zwarzony deszcz nęka cię na parcelach i w bocznych uliczkach, które stają się jeszcze bardziej tajemnicze, gorzej wybrukowane, głębiej pokratkowane, zaułek ustępujący krętemu zaułkowi po siedmiokroć i nierzadko więcej, za węglami płotu, pośród optycznych trików dziennego światła, póki nie wejdziemy, rozgorączkowani, cisi, ze strefy ulic w wiejski plener, w pikowane ciemne pola i las, w załazek prawdziwej puszczy, gdzie już przebłyskuje trudny sprawdzian, a w nasze serca wkrada się lęk... ale podobnie jak huśtawkę można rozkołysać tylko do pewnej wysokości, las daje się przeniknąć jedynie w określonym promieniu. Zawsze obowiązuje jakiś kres, do którego się dochodzi. Łatwo dorastało się pod rządami takiego prawa. Wszystko było jak najzdrowsze. Rzadko dostrzegano skraje, a cóż mówić o umizgiwaniu się do nich. Zguba, och, i demony – tak, nie wyłączając demona Maxwella – były tam, głęboko w lesie, z innymi bestiami, przeskakiwały twoje szanse obronne...

W ten sposób straszliwy lot rakiety sprowadzono, dosłownie, do burżuazyjnych kategorii, do rangi równania takiego jak poniższy elegancki mariaż filozofii i żelastwa, abstrakcyjnej zmiany i osi przegubu wytopionych z prawdziwych metali, opisujący ruch pod kątem kontroli odchyień:

$$\theta \frac{d^2 \varphi}{dt^2} + \delta^* \frac{d\varphi}{dt} + \frac{dL}{d\alpha} (s_1 - s_2) \alpha = - \frac{\partial R}{\partial \beta} s_3 \beta$$

utrzymując kurs, manewrując między Scyllą i Charybdą przez całą drogę aż do Brennschlussu. Jeśli którykolwiek z młodych inżynierów w ogóle dostrzegł paralelę między głęboką zachowawczością Sprzężenia Zwrotnego a egzystencją, jaką zaczynali wieść na skutek wyznawania tej zasady, paralela ta szybko się zagubiła albo została zatuszowana – nikt nie powiązał jednego z drugim, przynajmniej nie za życia: potrzeba było śmierci, żeby Roland Feldspath przejrzał na oczy – śmierci z jej wszelkimi zadatkami na spóźnione przybycie oraz chmury innych dusz czujących się, nawet w tej chwili, jak

rakiety, mknących ku szaroniebieskim światłom Próżni pod Kontrolą, której właściwie nie bardzo potrafią nazwać... tutejsza iluminacja jest zadziwiająco delikatna, delikatna jak niebiańskie szaty, poczucie zaludnienia i niewidzialnej siły, fragmenty „głosów”, odsłony *innego porządku istnienia*...

Potem Slothropowi zostanie nie tyle wyraźny symbol czy schemat tego porządku, ile alkaliczny posmak żałoby w ustach, nieredukowalna dziwność, samowystarczalność, do której nic nie przeniknie...

Owszem, takie jakby *niemieckie* są te zdarzenia. Nawet śni teraz po niemiecku. Uczy się dialektów, dolnoniemieckiego z myślą o strefie, którą zamierzają zająć Brytyjczycy, turyńskiego na wypadek, gdyby Rosjanie nie posunęli się do Nordhausen, gdzie znajduje się główna fabryka rakiet. Wraz z nauczycielami języków przybyli eksperci od artylerii, elektroniki i aerodynamiki oraz facet z Shell International Petroleum nazwiskiem Hilary Bounce, który ma go obznajomić z napędami.

Wychodzi na to, że w początkach 1941 roku brytyjskie Ministerstwo Zaopatrzenia podpisało z Shellem kontrakt badawczy w wysokości dziesięciu tysięcy funtów, którego celem było skonstruowanie silnika raketowego, napędzanego innym paliwem niż kordyt; używany wówczas w tempie wielu ton na godzinę do rozrywania na strzępy najrozmaitszych ludzi, nic więc dziwnego, że brakło go na rakiety. Zespół konstruktorów pod wodzą niejakiego Isaaca Lubbocka zbudował wtedy w Langhurst niedaleko Horsham urządzenia do przeprowadzania prób w warunkach statycznych, następnie zaczął eksperymentować z ciekłym tlenem i spirytusem lotniczym. Pierwsze wyniki osiągnięto w sierpniu 1942 roku. Inżynier Lubbock był absolwentem dwóch wydziałów uniwersytetu w Cambridge oraz prezesem Brytyjskiego Towarzystwa Badań nad Ciekłym Tlenem, toteż czego on nie wiedział o kwaśnym paliwie, tego nie warto było wiedzieć. Jego głównym asystentem jest obecnie pan Geoffrey Gollin, czyli bezpośredni przełożony Hilary'ego Bounce'a.

– Hm, ja sam tankowałem w Esso – przyznaje się Slothrop. – Mój stary

terraplane chlał benzynę bez opamiętania, ale był wybredny. Gdy brałem w Shellu, musiałem wsypać całą buteleczkę alkaprim do pieprzonego baku, żeby roztrzęsione przewody się uspokoiły!

– Tak Bogiem a prawdą, myśmy się wtedy zajmowali głównie spedycją i magazynowaniem. – Brwi na czole kapitana Bounce’a, studziesięcioprocentowego człowieka swojej firmy, latają w górę i w dół jak szalone, żeby Slothrop łatwiej się wywikłał. – W tamtych czasach, no wiesz, zanim Japońce i hitlerowcy zaczęli się awanturować, produkcją i rafineriami kierowała holenderska centrala w Hadze.

Slothrop, biedny kujon, od razu myśli o Katje, o zaginionej Katje, która wypowiadała nazwę rodzinnego miasta i szeptała czułe niderlandzkie słówka, gdy spacerowali rankiem po plaży w innej epoce, w innym życiu... Zaraz, zaraz...

– Mówisz o Bataafsche Petroleum Maatschappij N.V.?

– Zgadza się.

Na myśl przychodzi też negatyw zdjęcia z rozpoznania lotniczego, przedstawiający Hagę, ciemnobrązowy i upstrzony plamami po wodzie, bo nigdy nie ma dość czasu, żeby czekać, aż całkiem wyschnie...

– Czy wy, panowie, sobie uzmysławiacie – przy okazji próbują nauczyć go angielskiej angielszczyzny, Bóg raczy wiedzieć po co, toteż raz po raz wyskakuje jak Cary Grant – że fryce, no wiecie, Niemcy, że oni w tej waszej Hadze odpalali cholerne rakiety na Londyn, no i-i wykorzystali do tego siedzibę holenderskiego Shella przy Josef Israelplein, jeśli dobrze zapamiętałem, gdzie zainstalowali nadajnik do naprowadzania radiowego? Cholera, was to nie dziwi?

Bounce gapi się na Slothrop, podzwaniając bizuterią przy pasie, nie bardzo wiedząc, co o nim myśleć.

– Pytam – Slothrop wszczyna raban o coś, co chyba trapi tylko jego i pod żadnym pozorem nie powinno być przyczyną awantury – czy nie zastanawia was, facetów z Shella, którzy pracujecie nad silnikiem po tamtej stronie



Kanału, że tamci bombardują was tym cholerstwem przy użyciu waszej... shellowskiej... siedziby jako stacji nadawczej? Rozumiemy się?

– Nie, ja nie widzę problemu... Do czego zmierzasz? Przecież to oczywiste, że wybrali najwyższy budynek, jaki udało się znaleźć, taki, który stoi na linii między stanowiskiem wyrzutni a Londynem.

– I w odpowiedniej odległości, nie zapominaj o tym, dokładnie dwanaście kilometrów od stanowiska. Hm? O to mi właśnie chodzi. – Zaraz, zaraz, czy na pewno o to?

– Nie przyszło mi to do głowy.

Mnie również nie, szefie. Mi też nie, ludzie.

Hilary Bounce i Jego Zakłopotany Uśmiech. Kolejne niewiniątko, wyciszony entuzjasta jak sir Stephen Dodson-Truck. Ale:

Porzekadła dla paranoików: 2. Niewinność stworzeń jest odwrotnie proporcjonalna do moralności Mistrza.

– Mam nadzieję, że nie powiedziałem nic złego.

– A co?

– No bo – Bounce wymawia słowa z przydechem, żeby zabrzmiały jak przyjazny śmiech – jesteś jakby zaniepokojony.

A pewnie, że zaniepokojony. Widokiem szczęk i zębisk jakiegoś Stworzenia, istoty tak wielkiej, że nikt jej nie dostrzega – o tam, to ten potwór, o którym wam mówiłem. „To nie potwór, głupcze, to chmury!” – „Jesteście ślepi? Tam są nogi”. Slothrop zwyczajnie czuje obecność bestii na niebie: wyraźnie widoczne szpony i łuski, opacznie postrzegane jako chmury i inne zjawiska atmosferyczne... a może wszyscy się *umówili*, że tak będą je nazywać w jego obecności...

„To tylko «niesamowicie wygląda», Slothrop”.

Nauczył się słyszeć cudzysłów w wypowiedziach innych. Odruch mola książkowego; być może ma do tego genetyczne predyspozycje – z powodu tych wszystkich poprzednich Slothropów, którzy taszczyli Biblie na niebieskie szczyty jako nieodłączną część wyposażenia, wykuwali na pamięć

rozdziały i wersety, budowę arki, świątyni, wyimaginowanych tronów – surowce i wymiary. Dane, w których zawsze, mniej lub bardziej widoczna, kryła się niezaprzeczalna obecność Boga.

No cóż, czy istnieje właściwszy sposób, żeby pewnego chłodnego ranka Tyrone Tego Doznał, niż:

Kopia niemieckiego spisu części produkcyjnych, odbita tak kiepsko, że ledwo potrafi ją odczytać: „Vorrichtung für die Isolierung, 0011-5565/43”, ejże, a co to? Zna ten numer na pamięć, to numer pierwszej umowy na masową produkcję A-4. Ale co ma ten numer do „urządzenia izolacyjnego”? Tak samo jak klauzula tajności, najwyższej tajności w hitlerowskiej klasyfikacji? Oj, niedobrze. Jakiś gryziپیórek w OKW albo się pierdyknął, co się zdarza, albo nie znalazł wymaganej sygnatury, więc machnął numer kontraktu na rakiety, bo nic innego nie przychodziło mu do głowy. Wszystkie sygnatury patentów, części i zakładów mają taką samą adnotację, która odsyła Slothropa do dokumentu SG-1. Adnotacja do adnotacji brzmi: „*Geheime Kommandosache!* To tajemnica państwowa w rozumieniu § 35 R5138”.

– Słuchaj pan – wita generała Wiverna, który akurat przydrałował do pokoju – chciałbym dostać kopię dokumentu SG-1.

– Ha, ha, nasi chłopcy też by chcieli.

– Przestań się pan zgrywać. – Każda informacja wywiadowcza, uzyskana przez aliantów w sprawie A-4, bez względu na stopień poufności, wrzucana jest do tajnej gardzieli w Londynie i wypluwana w komfortowej celi Slothropa. Dotąd nie zataili przed nim niczego.

– Zrozum, Slothrop, nie ma żadnych „dokumentów SG”.

W pierwszym odruchu chce zamachać spisem części przed generalskim nosem, ale nie, dziś jest cwany jankesem, przechytrającym czerwone kurtki.

– Aha, no, może coś źle przeczytałem – teatralne otaksowanie zasłanego papierami pokoju – może to była pięćdziesiątka szóstka, jasny gwint, gdzieś

to miałem...

Generał znika. Pozostawiając Slothrop z zagadką, swoistą... no nie, obsesją to chyba jeszcze nie... Spis części zestawiony jest z wykazem materiałów, w którym figuruje określenie „imipolex G”. O, naprawdę? Urządzenie izolacyjne wykonane z imipoleksu G, he? Slothrop ryje po pokoju w poszukiwaniu leksykonu niemieckich nazw handlowych. Nie ma tam jednak nic podobnego... Odnajduje listę materiałów wzorcowych do produkcji A-4 i urządzeń wspomagających, ale tu też nie występuje imipolex G. Łuski i szpony, człapanie, którego najwyraźniej nikt poza nim nie słyszy...

– Coś nie tak? – To znowu Hilary Bounce, z nosem w drzwiach.

– Chodzi o ciekły tlen. Potrzebuję więcej danych na temat impulsu jednostkowego.

– Impulsu jednostkowego... Masz na myśli ciąg jednostkowy?

– No tak, ciąg, ciąg – przychodzi z odsieczą angielska angielszczyzna, a uwaga Bounce’a zostaje skutecznie odwrócona.

– W wypadku ciekłego tlenu i alkoholu mniej więcej dwieście. Co jeszcze chcesz usłyszeć?

– Czy wy, chłopaki, nie używacie benzyny w Langhurst?

– Między innymi.

– No więc właśnie chodzi o te „inne”. Nie wiecie, że jest wojna? Nie wolno być tak nieużytym w tych sprawach.

– Nasze sprawozdania są w Londynie. Może gdy następnym razem będę...

– Cholerna biurokracja. Ja muszę to wiedzieć teraz, kapitanie. – Działa w założeniu, że przyznano mu nieograniczony priorytet.

Bounce to potwierdza:

– Mógłbym pewnie ściągnąć je dalekopisem...

– No, wreszcie gadasz jak człowiek!

Dalekopis? Owszem, do użytku osobistego Harry Bounce ma terminal lub łącze Międzynarodowej Sieci Dalekopisowej Shella – czyli właśnie to, o

czym marzy Slothrop – i to tutaj, w pokoju hotelowym, w szafie za rzędem mundurów firmy Alkit i wykrochmalonych koszul. Slothrop wślizguje się tam dzięki pomocy swej znajomej, Michèle, która – jak zauważył – wpadła Bounce’owi w oko.

– Co byś powiedziała, złotko – jest w obwieszanej pończochami brązowej mansardzie, gdzie sypiają tancerki – gdybym cię umówił na randkę z grubą rybą od nafty?

Oho, są problemy językowe, ona myśli, że zostanie podłączona metalową armaturą do żarłoka, z którego wycieka ropa, i wcale nie ma pewności, czy polubi tę odmianę seksu, no, ale wreszcie się dogadują i Michèle już się szykuje do odciążenia delikwenta od dalekopisu na dostatecznie długą chwilę, by Slothrop zdążył połączyć się z Londynem i zapytać o imipolex G. Widziała parokrotnie kapitana Bounce’a wśród swoich nocnych wielbicieli, bo rzuca się w oczy z powodu wisiorka przy brzuchu. Slothrop też zauważył to cacko: złoty pierścień benzenowy z krzyżem belkowym pośrodku – nagroda IG Farben za zasługi w badaniach nad syntetykami. Dostał go jeszcze w trzydziestym drugim. Myśl o powiązaniu między przedsiębiorstwami, którego zdaje się dowodzić ta błyskotka, wykluwała się w głowie Slothrop’a już wtedy, gdy wynikła sprawa nadajnika naprowadzającego rakiety. W pewien sposób natchnęła go nawet do chwilowego zawładnięcia dalekopisem. Kto ma lepsze informacje niż taki koncern jak Shell – firma bez faktycznej ojczyzny, bez konkretnego oblicza i tradycji, nieskora do zdeklarowania się w jakiegokolwiek wojnie: zamiast tego wyżyłowuje najgłębiej położone pokłady ziemi, z których biorą się wszelkie pozory korporacyjnej własności.

No dobra. Dziś wieczorem jest jubel na Cap, u Raoula de la Perlimpinina, postrzelonego spadkobiercy króla fajerwerków z Limoges, niejakiego Georges’a „Poudre” de la Perlimpinina – jeśli słowem „jubel” można określić coś, co trwa nieprzerwanie, odkąd wyzwolono tę piędź Francji. Slothropowi – objętemu standardową obserwacją, rzecz jasna – wolno

wpadać do Raoula, ilekroć przyjdzie mu na to ochota. Bawi się tam lekkomyślne, gnuśne towarzystwo – goście ciągną ze wszystkich zakątków alianckiej Europy, połączeni więzami rodzinnymi, zamiłowaniem do orgietek i uczestnictwem w podobnych zabawach, których zawilość przerasta rozum Slothrop. Tłi i ówdzie przepływają twarze, stare amerykańskie gęby z Harvardu albo SHAEF-u, nazwiska, które mu uleciały – to zjawy, być może przypadkowe, być może...

Na ten właśnie jubel Michèle wyciągnęła Bounce'a i teraz pośpiesznie szykuje się Slothrop, bo dalekopis już wycharczał odpowiedź z Londynu – otwarty tekst. Później przeczyta. Śpiewając:

Z twarzą jaśniejącą-jak mikrofon estradowy,  
Z włosami-pod warstwą pomady,  
Słodziutki-jak gałka lodów waniliowych,  
Przy-stojniak bez jednej wady,

wystrojony we francuski garnitur o gangsterskim kroju – zieleń w drobną fioletową kratę – szeroki kwiecisty krawat wygrany w *trente-et-quarante*, brązowo-białe buty z naszywanym noskiem i golfowymi klinami oraz białe skarpetki, Slothrop wieńczy dzieło ciemnogrnatową fedorą i wychodzi, stuk-stuk po foyer kasyna „Hermann Goering”, elegant z morskiej piany. Gdy pojawia się na dworze, żyłasty cywil, przebrany za apasza z wyobrażeń tajnej służby, wyłania się z wnęki przy bramie i ciemną krętą drogą rusza za taksówką Slothrop na popijawę u Raoula.

Wygląda na to, że jakiś zgrywus wsypał sto gramów haszyszu do sosu holenderskiego. Wydało się i poszła fama. Jest duży popyt na brokuły. Na stołach długich przez całą salę stygnie pieczone. Co trzeci gość już śpi, większość na podłodze. Trzeba się przedzierać między leżącymi ciałami, by dotrzeć do miejsc, gdzie coś się dzieje.

A co się dzieje, nie jest do końca jasne. W ogrodach jak zwykle stoją małe, zbite ciasno grupki, handlujące narkotykami. Słabe widowisko. Trójką zaciętrzewionych homoseksualistów podszczypuje się i obrzuca pretensjami,

w efekcie czego zablokowali drzwi do łazienki. Młodzi oficerowie wymiotują na dworze pośród cynii. Snują się pary. Jest w bród dziewcząt – kokardy z aksamitu, rękawy z woalu, wychudłe ciała, szerokie ramiona, trwała ondulacja – mówią w kilku językach, te brązowe od słońca, tamte blade jak śmierć, bo pochodzą ze wschodnich stref wojny. Gorliwi młodzieńcy z polakierowanymi czuprynami biegają dokoła, próbując uwieść panie, tymczasem starsze szarże bez jednego włosa na głowie wolą zaczekać, na razie dokładają minimalnych starań, rozbiegane oczy, rozpuszczone języki, omawianie ważnych spraw. Jeden koniec sali zajęła orkiestra taneczna pod wodzą zmizerowanego szansonisty o falistych włosach i bardzo zaczerwienionych oczach, który śpiewa:

## DIANA (fokstrot)

Diano,  
Czy twarz odwrócisz ukochaną,  
Gdybym poprosił cię za ścianą  
O jednego małego buziaczka?

Och, Diaaa-no,  
Tyś tylko godna nosić miano  
Bogini, którą uwielbiano,  
Nie skąp mi małego buziaczka!

Och, Diaaaa-noooooo,  
Dajże mi swoje wiano,  
Bo gdy widzę tve kolano...  
Nie idź śladem Alicji –  
Nie wzywaj policji –

Diano,  
A jednak mnie aresztowano,  
A chciałem być z mą Dianą,  
Obok niej budzić się co rano.

Sakso-fonia i muzyczka z londyńskiej Park Lane, idealna na pewne stany ducha. Slothrop dostrzega Bounce'a – ewidentną ofiarę halucynogennego sosu – wyciągniętego na wielkiej otomanie z Michèle, która od dwóch, trzech godzin pieści w palcach jego świecidełko od IG Farben. Macha do nich ręką, ale go nie widzą.

Ćpuny i moczymordy walczą bezwstydnie o miejsce przy bufetach i w kuchniach, przetrzyskują szafki, wylizują na glans najgłębsze rondle. Grupa nudystów sunie ku schodkom wiodącym na plażę. Nasz gospodarz, ów Raoul, kręci się dokoła wyelegantowany w kapeluszu wielkości greckiej wazy,



koszulę w stylu Toma Mixa i pas z parą sześciostrzałowców, ciągnąc za wodze perszerona. Z końskiego zadu skapuje łajno na tureckie dywany, a tu i ówdzie na leżącego plackiem gościa. Wszystko jest dziwnie bezpostaciowe, pozbawione ześrodkowania, aż wreszcie orkiestra wycina ironiczny tusz i oto wkracza indywiduum godne roli w filmie o Frankensteinie: wytworny biały garnitur, marynarka do pół uda i zaprasowane w kant spodnie z mankietami – słowem *zoot-suit* – do tego długi złoty łańcuszek, który buja się w rozmigotanych splotach, gdy facet idzie przez salę, patrząc wilkiem na wszystkich, niby się śpiesząc, ale dostatecznie wolno, by przyjrzeć się twarzom i postaciom, kiwając głową z boku na bok, metodycznie, odrobinę złowieszczo. Staje przed Slothropem, który akurat nalewa sobie koktajl Shirley Temple.

– Ty. – Palec wielkości kolby kukurydzy ledwie cal od piersi Slothrop.

– No pewnie, że ja. – Slothrop upuszcza na dywan kandyzowaną czereśnię, po czym rozdeptuje ją, robiąc krok do przodu. – Nikt inny. No jasne, że ja. A co się dzieje? Zrobi się wszystko.

– Chodź. – Idą na dwór do gaju eukaliptusów, gdzie Jean-Claude Gongue, okryty złą sławą marsylski handlarz żywym towarem, handluje żywym towarem.

– Ej, ty – wrzeszcząc między drzewa – chcesz być białą niewolnicą, hę?

– W życiu, cholera – odpowiada niewidoczna dziewczyna. – Chcę być zieloną!

– Karmazynową! – woła ktoś z wierzchołka drzewa oliwkowego.

– Cynobrową!

– Chyba się zajmę handlem narkotykami – kwituje Jean-Claude.

– Patrz – mówi nowy znajomy Slothrop, wyjmując sztywną kopertę. Mimo półmroku widać, że wypchana jest banknotami używanymi przez wojsko w strefach okupowanych. – Życzę sobie, byś to dla mnie przechował, póki nie zgłoszę się po odbiór. Wygląda, że się pokićkało. Italo będzie tu przed Tamarą. Co jest przedmiotem...

– A co po miocie? – wtrąca Slothrop głosem Groucho Marxa.

– Nie próbuj podważyć mojego zaufania do ciebie – radzi Ważniak. – Przecież to ty.

– Zgadza się – wciskając kopertę do kieszeni. – Powiedz, skąd wytrzasnąłeś ten gajer, co?

– Jaki masz rozmiar?

– 42, średni.

– Dostaniesz taki. – Z tymi słowami Ważniak telepie się z powrotem do rezydencji.

– I-i-i wdechowy łańcuszek na klucze! – woła za nim Slothrop.

Co się tu, kurde, dzieje? Snuje się, zadając sporadyczne pytania. Ważniakiem okazuje się Blodgett Waxwing, znany zbieg z paryskiego więzienia Caserne Mortier, najgorszego pudła w całym europejskim teatrze wojny. Specjalnością Waxwinga jest podrabianie dokumentów wszelkiego rodzaju – kartek żywnościowych, paszportów, *Soldbücher* – ubocznym zajęciem zaś handel sprzętem wojskowym. Od czasu bitwy o Ardeny zdezerterował kilkakrotnie z jednostki i mimo grożącego mu stryczka wciąż chodzi nocą do kasyn w amerykańskich bazach wojskowych, by oglądać filmy – pod warunkiem, że są to westerny, gdyż uwielbia ten jazgot, a tętent kopyt rozbrzmiewający z metalowych głośników po stujardowym kawałku obczyzny, zastawionym beczkami ropy i ciężarówkami, porusza jego serce, jak gdyby wiała morską bryza, Waxwing wykorzystał też rozległe kontakty, żeby zdobyć repertuar kin we wszystkich miastach stref okupacyjnych, wiadomo także, iż pewnego razu zwędził dżipa jednego generała po to, by zdążyć na wieczór do Poitiers i zobaczyć starego Boba Steele’a lub Johnny’ego Macka Browna. Być może jego wizerunek wisi na poczesnym miejscu w każdej wartowni i wygrawerowany jest w mózgach tysięcy żandarmów wojskowych, niemniej „Powrót Jacka Slade’a” widział dwadzieścia siedem razy.

Dzisiejsza historia to typowa romantyczna intryga z drugiej wojny

światowej, ot, kolejny *soirée* u Raoula, a rzecz dotyczy spodziewanego transportu opium, który Tamara wykorzystwała jako zabezpieczenie pożyczki otrzymanej od Italo, który z kolei winien jest forszę Waxwingowi za shermana, którego jego znajomek Théophile próbuje przesmuglować do Palestyny, tyle że musi zebrać kilka tysięcy funtów w celu przekupienia paru straż granicznych, toteż oddał czołg w zastaw, żeby zaciągnąć pożyczkę u Tamary, która przeznaczyła na nią część swojej pożyczki od Italo. Tymczasem wygląda na to, że interes z opium nie dojdzie do skutku, bo od kilku tygodni brak wieści o pośredniku, tak samo jak o pieniądzach wypłaconych mu przez Tamarę jako zaliczka, a uzyskanych od Raoula de la Perlimpinina za pośrednictwem Waxwinga, któremu Raoul wierci teraz dziurę w brzuchu o ich zwrot, bo Italo, doszedłszy do wniosku, że czołg jest obecnie własnością Tamary, zjawił się wczoraj i w ramach odzyskiwania długu zabrał maszynę w nieznaną, skutkiem czego Raoul wpadł w popłoch. Sytuacja przedstawiona z grubsza.

Anioł stróż Slothrop otrzymuje nieprzyzwoite propozycje od dwóch z trzech homoseksualistów, którzy drą koty w łazience. Ani śladu po Bounsie i Michèle, Waxwing też zniknął. Raoul mówi z przejęciem do swojego konia. Slothrop siada obok dziewczyny w przedwojennej sukni marki Worth, o twarzy jak Alicja narysowana przez Tenniela, to samo czoło, nos, włosy, gdy nagle z dworu dochodzi przeokropny chrzęst, warkot, trzaski pękających drzew, spośród eukaliptusów wybiegają przerażone dziewczęta i cóż to gramoli się z hukiem w krąg bladej poświaty ogrodu, jeśli nie... rany, sherman we własnej osobie! Reflektory rozżarzone jak ślepie King Konga, w trakcie manewrów czołg tratuje bujną trawę i płyty kamienne, wreszcie staje. Siedemdziesięciopięciomilimetrowe działo obraca się i nieruchomieje w oszklonych drzwiach, wycelowane prosto w salę.

– Antoine! – Młoda kobieta skupia wzrok na wylocie gigantycznej lufy. – Na miłość boską, nie teraz...

Rozwiera się właz i uf, wyłania się Tamara – jak domyśla się Slothrop, bo

czy to nie Italo ma podobno ten czołg? – wrzeszcząc, wieszając psy na Raoulu, Waxwingu, Italo, Theophile’u i pośredniku w transakcji opium.

– W tej chwili mam was wszystkich! – krzyczy. – Jeden *coup de foudre!*

Właz opada – o Jezu – i rozlega się odgłos ładowania pocisku. Dziewczyny z piskiem rzucają się do wyjść. Ćpuny wodzą wzrokiem, mrugając oczami, uśmiechając się, przytakując na wiele sposobów. Raoul próbuje dosiąść konia, żeby dać dyla, ale nie trafia tyłkiem na siodło i zsuwa się po drugiej stronie prosto w balię czarnorynkowej galaretki o smaku malinowym, przyozdobionej z wierzchu bitą śmietaną.

– O nie... – Slothrop postanawia zaszarżować na czołg z flanki, ale w tej samej chwili – IIIBLANNNGGG! – rozlega się przeogromny huk, płomień bucha na trzy metry w głąb sali, fala uderzeniowa wciska bębenki uszne w środek mózgu i rzuca wszystkich na najdalszą ścianę.

Draperia zajęła się ogniem. Potykający się o gości Slothrop nic nie słyszy, czuje tylko, że łeb mu pęka, ale biegnie w kłębach dymu do czołgu – naskok, cap za uchwyt, żeby otworzyć właz, lecz o mało nie spada, strącony przez Tamarę, która znowu się wychyla, żeby powrzeszczeć na wszystkich. Po szamotaninie, która niechybnie miała swoje momenty erotyczne, bo Tamara jest szalową babką o wdzięcznych ruchach, Slothrop zakłada jej podwójnego nelsona i ściąga ją z shermana. Ale zaraz, zaraz, wielki huk i tak dalej, a on nie ma wzvodu. Hm. To fakt, którego Londyn nigdy nie uwzględni, bo nikt nie patrzył. Trudno.

Wygląda na to, że pocisk – niewypał – wyrwał tylko parę dziur w ścianach i zniszczył duży alegoryczny obraz, ukazujący Cnotę i Występek w nienaturalnej pozie. Cnota miała na twarzy blady, nieobecny uśmiech. Występek skrobał się po kudłatej łepetynie, zbity nieco z tropu. Płonącą draperię ugaszono szampanem. Raoul ryczy jak bóbr i z wdzięczności za uratowanie życia obłapia Slothrop, całuje go w policzki, pozostawiając resztki galaretki na wszystkim, czego się tknie. Tamara wychodzi, konwojowana przez ochroniarzy Raoula. Slothrop uwalnia się z uścisków i

ściera galaretkę z garnituru, gdy nagle czuje mocne klepięcie w ramię.

– Miałeś rację. To ty.

– To jeszcze nic. – Errol Flynn przygląda wąsy. – Nie tak dawno temu uratowałem białogłową przed ośmiornicą. Co ty na to?

– Jest jedna różnica – mówi Blodgett Waxwing. – To dzisiaj działo się naprawdę. Tamto z ośmiornicą nie.

– Skąd wiesz?

– Wiem dużo. Nie wszystko, ale to i owo, czego akurat ty nie wiesz. Posłuchaj, Slothrop, będziesz potrzebował przyjaciela, i to szybciej niż myślisz. Nie przychodź tutaj, do willi, bo zrobi się tu za gorąco, postaraj się dotrzeć do Nicei. – Wręcza mu wizytówkę z wytłoczonym konikiem szachowym i adresem przy rue Rossini. – Wezmę z powrotem tę kopertę. Bierz garnitur. Dzięki, bracie.

Zniknął. Ma dar dematerializowania się, kiedy tylko chce. Wymarzony *zoot-suit* znajduje się w pudle przewiązanym różową wstążką. Jest też łańcuszek do kluczy. Wszystko to należało do chłopaka nazwiskiem Ricky Gutierrez, zamieszkałego we wschodnim Los Angeles. W trakcie tak zwanych rozruchów garniturowych w 1943 roku młody Gutierrez został napadnięty i pobity przez patrol straży obywatelskiej z Whittier, a obecni przy tym policjanci nie tylko nie kiwnęli palcem, ale jeszcze zachęcali sprawców okrzykami, następnie aresztowany za zakłócenie spokoju. Sędzia dawał garniturowcom do wyboru odsiadkę albo służbę wojskową. Gutierrez zaciągnął się i na Saipanie odniósł ranę, z której rozwinęła się gangrena, musiano mu więc odjąć rękę i teraz jest w domu, ożeniony z dziewczyną, która pracuje jako kuchta w barze meksykańskim w San Gabriel, on sam zaś nie może znaleźć zatrudnienia, toteż pije dużo całymi dniami... Jego stary garnitur i garnitury tysięcy innych, którzy dostali łomot tamtego lata, bezużyteczne i zawieszono na meksykańskich drzwiach w Los Angeles, skupiono i rzucono na tutejszy rynek, bo cóż to szkodzi zbić trochę forsy, przecież wisiałyby tam i cuchnęły czarnym dymem i wonią dzieci, w

pokojach, gdzie okna zasłonięto przed prażącym słońcem, dzień w dzień palącym wysuszone liście palm i błotniste rynsztoki, w tych owładniętych przez muchy i pustych pokojach...



Imipolex G okazał się niczym innym – ani bardziej, ani mniej złowrogim – niż nowym tworzywem sztucznym, aromatycznym polimerem heterocyklicznym, opracowanym w 1939 roku, a więc ładnych parę lat przed jego zastosowaniem, przez niejakiego L. Jamfa z IG Farben. Odporny na wysokie temperatury – aż do dziewięciuset stopni Celsjusza – łączy trwałość z niskim współczynnikiem mocy traconej. Co się tyczy budowy, jest to sztywny łańcuch aromatycznych pierścieni, sześciokątów, takich jak złota błyskotka, która buja się i podryguje nad pępkiem Hilary’ego Bounce’a, tu i ówdzie nanizanych naprzemiennie z tak zwanymi pierścieniami heterocyklicznymi.

Początków imipoleksu G można się doszukać we wczesnych badaniach, prowadzonych przez przedsiębiorstwo du Pont. Wielką tradycję i główny nurt plastyczności wytyczyła właśnie ta firma, a konkretnie jej pracownik Carothers, znany jako Wielki Syntetysta. Jego klasyczna już praca nad dużymi molekułami trwała całą trzecią dekadę XX wieku i doprowadziła ludzkość do wynalezienia nylonu, który nie tylko budzi zachwyty fetyszysty i stanowi poręczne zamaskowanie dla uzbrojonego napastnika, ale był też, w tamtym czasie, w ramach Systemu, wyartykułowaniem zasadniczego kanonu Plastyczności: chemicy przestali być zdani na łaskę natury. Odtąd mogli sami zbudować molekułę i decydować o jej właściwościach. W przedsiębiorstwie du Pont następnym krokiem po wynalezieniu nylonu było wprowadzenie pierścieni aromatycznych do łańcuchów poliamidowych. Wkrótce powstała cała rodzina „polimerów aromatycznych”: poliamidy aromatyczne, poliwęglany, polietera, polisulfony. Najczęściej pożądaną właściwością była moc – pierwsza z triady cnót Plastyczności: Moc, Wytrzymałość i Biel (*Kraft, Standfestigkeit, Weisse*: jakże często brano je za nazistowskie hasła i, faktycznie, jakże się na ogół zlewały nie do odróżnienia na rozjaśnionych deszczem murach, gdy na sąsiedniej ulicy zgrzytały przekładnie biegów w



autobusach, a tramwaje skrzypiały metalem, ludzie zazwyczaj milczeli w deszczu, wczesnym wieczorem, którego faktura pociemniała do postaci dymu z fajki, ręce młodych przechodniów nie w rękawach płaszczy, ale powtykane gdzieś głęboko, jak gdyby były ukrywającymi się karłami, inne ekstatycznie odfruwaly od rozkładów jazdy ku styczności z podszewką bardziej uwodzicielską niż nowy nylon...). To również L. Jamf zaproponował logicznie – dialektycznie – by macierzyste poliamidowe odcinki nowego łańcucha, splecione w gigantyczne pierścienie heterocykliczne, połączyć naprzemiennie z pierścieniami aromatycznymi. Tę zasadę bez trudu zastosowano w wypadku innych pionierskich molekuł. Wskazany monomer o dużej masie cząsteczkowej można było uporządkować w procesie syntezy, wygiąć w formę pierścienia heterocyklicznego, spiąć i nanizac na łańcuch wraz z bardziej „naturalnymi” pierścieniami benzenowymi i pozostałymi aromatycznymi. Takie łańcuchy nazwano „aromatycznymi polimerami heterocyklicznymi”. Hipotetyczny łańcuch, opracowany przez Jamfa tuż przed wojnę, został potem udoskonalony do postaci imipoleksu G.

W tamtym czasie Jamf pracował dla szwajcarskiego przedsiębiorstwa Psychochemie AG, zwanego dawniej Grössli Chemical Corporation, filii koncernu Sandoz (gdzie, jak wie każde dziecko chodzące do szkoły, legendarny doktor Hofmann dokonał epokowego odkrycia). Na początku lat dwudziestych szwajcarskie firmy Sandoz, Ciba i Geigy połączyły się w jeden kartel chemiczny. Wkrótce potem wchłonięto przedsiębiorstwo Jamfa. Większość interesów Grössli i tak prowadziło z Sandozem. W 1926 roku doszło do pierwszych ustnych porozumień między szwajcarskim kartelem a IG Farben. Gdy dwa lata później Niemcy założyli w Szwajcarii fikcyjne przedsiębiorstwo – IG Chemie – sprzedano im większościowy pakiet akcji Grössli, a samą firmę przekształcono w Psychochemie AG. W ten oto sposób patent na imipolex G przypadł zarówno IG, jak i Psychochemie. W 1939 roku do tego towarzystwa dołączył Shell Oil dzięki porozumieniu z Imperial Chemicals. Z niewyjaśnionego powodu żadna umowa między ICI a IG – o

czym przekona się Slothrop – nie została zawarta później niż właśnie w roku 1939. W myśl kontraktu dotyczącego imipoleksu ICI mogło rozprowadzać nowe tworzywo sztuczne na rynkach Brytyjskiej Wspólnoty Narodów w zamian za jednego funta lub innego rodzaju wartościowe dobra konsumpcyjne. To miło. Psychochemie AG wciąż istnieje, nadal prowadzi interesy pod tym samym starym adresem przy Schokoladestrasse w Zurychu.

Slothrop z ożywieniem buja długim łańcuszkiem u marynarki. Co nieco staje się jasne. Wycelowano w niego więcej luf, niż myślał nawet w trakcie najgorszych napadów paranoi. Imipolex G pojawia się jako składnik tajemniczego „urządzenia izolacyjnego” w rakiecie odpalanej z pomocą nadajnika zainstalowanego na dachu centrali holenderskiego Shella, a więc firmy, która współposiada licencję na rozprowadzanie imipoleksu – rakiecie, której układ napędowy nosi tajemnicze podobieństwa do układu opracowanego mniej więcej w tym samym czasie przez brytyjskiego Shella... i, oho, kurza twarz, do Slothropo wreszcie dociera, gdzie gromadzone są wszystkie informacje, dotyczące raket – w biurze nikogo innego jak pana Duncana Sandysa, zięcia samego Churchilla, urzędnika Ministerstwa Zaopatrzenia, które mieści się gdzie? W Shell Mex House, na miłość boską...

W tym momencie Slothrop wraz ze swym wiernym towarzyszem Blodgettem Waxwingiem dokonuje błyskotliwej akcji powietrznodesantowej na Shell Mex House – uderza w samo serce londyńskiej delegatury Rakiety. Skosiwszy małymi stenami całe plutony wartowników uzbrojonych po zęby, odtrąciwszy nogami na boki rozwrzeszczane przystojne sekretarki z Żeńskiego Korpusu (jak inaczej można zareagować, choćby w wyobraźni?), brutalnie przetrząsnąwszy kartoteki, rozrzuciwszy koktajle Mołotowa, dwa Garniturowe Błazny wpadają wreszcie do najgłębszego sanktuarium, w spodniach podciągniętych aż po pachy, cuchnąc osmalonymi włosami i przelaną krwią, gdzie natykają się nie na pana Duncana Sandysa, skulonego przed majestatem ich prawości, nie na otwarte okno, cygańską ucieczkę i

rozsypane karty wróżbity, nawet nie na samo Konsorcjum, z którym czeka ich próba charakterów, tylko na nieciekawą pokój – sprzęt biurowy, ustawiony pod ścianami, migocze spokojnie, archiwa dziurkowanych kart kruche jak twarze z cukru, jak ostatnie mury w Niemczech, stojące bez podpór po bombardowaniach, zwinięte spiralnie wysoko w górze, grożące zwaleniem się z nieba od podmuchu wiatru, który rozwiął dymy... W powietrzu czuć zapach prochu i nie widać żadnej maszynistki. Urządzenia dzwonią i klekoczą do siebie. Pora zsunąć czapkę na tył głowy, podzielić się pobitewnym papierosem, zastanowić nad drogą ucieczki... pamiętasz, którądy wchodziliśmy, pamiętasz wszystkie zakręty i przejścia? Nie. Nie patrzyłeś. Każde z tych drzwi może prowadzić do bezpieczeństwa, ale czy starczy czasu...

Duncan Sandys to tylko nazwisko, funkcja. „Jak wysoko to sięga?” – nie jest właściwym pytaniem, bo to Oni nakreślili wszystkie schematy organizacyjne, Oni wpisali role i nazwiska w kratki, bo Porzekadła dla paranoików: 3. Jeśli sprawią, że zaczniesz zadawać błędne pytania, nie będą musieli udzielać odpowiedzi.

Slothrop uświadamia sobie, że zatrzymał się przy niebieskim wykazie części do rakiety, od którego się zaczęło. Jak wysoko to sięga... ochchchchch. To zdradliwe pytanie nie dotyczy przecież *ludzi*, tylko *sprzętu!* Mrużąc oczy, wodząc nieśpiesznie palcem po liście, odnajduje pozycję części konstrukcyjnej wyższego rzędu dla *Vorrichtung für die Isolierung*.

„S-Gerat, 11/00000”.

Jeśli to numer seryjny rakiety, jak by wynikało z zapisu, musi to być jakiś szczególny model – Slothrop w życiu nie słyszał o rakiecie z czterema zerami, a co dopiero z pięcioma... ani o S-Gerät. Owszem, jest I-Gerät i J-Gerät, widział w przewodniku... no cóż, pewnie mówi o tym dokument SG-1, który nawet podobno nie istnieje...

Jazda na dwór, idzie donikąd, porusza się w powolnym rytmie, wybijanym przez mięśnie brzucha, zobaczymy, co się stanie, bądźmy czujni... W

restauracji kasyna – najmniejszych przeszkód, żeby wejść, żadnego spadku temperatury, wyczuwalnego na skórze – Slothrop siada przy stoliku, na którym ktoś zostawił wtorkowego „Timesa”. Hmm. Dawno się nie czytało prasy.... Wertuje, pam-pa-ra-pam, pam-pa-ra-pam, no taaa, wojna się ciągnie, alianci napierają ze wschodu i zachodu na Berlin, jajka w proszku ciągle w cenie 1,3 za tuzin, „Padli w boju”: MacGregor, Mucker-Maffick, Whitestreet, osobisty wyraz hołdu... W „Empire Cinema” pokazują „Spotkajmy się w St. Louis” (przypomina sobie, że tam zrobił ten numer z członkiem w prażonej kukurydzy, w towarzystwie niejakiej Madelyn, która była niespełna...).

Chyży... Chwila, o kurwa...

„Pełen prawdziwego uroku (...) skromności (...) człowiek o silnym charakterze (...) o fundamentalnej chrześcijańskiej moralności i dobroci (...) Oliver kochany był przez wszystkich (...) jego odwaga, serdeczność i niezawodne poczucie humoru stanowiły inspirację dla każdego (...) poległ śmiercią bohatera w walce, dokonując brawurowej próby wyprowadzenia własnego oddziału spod ostrzału niemieckiej artylerii”. Podpisane przez jego najwierniejszego towarzysza broni Theodore’a Bloata. Teraz *majora Theodore’a Bloata*.

Patrzy w okno, przed siebie, ściskając w dłoni nóż stołowy tak mocno, że kości mogą popękać. Czasem przytrafia się to trędowatym. Brak sprzężenia zwrotnego między kończynami a mózgiem – nie orientują się, jak kurczowo zaciskają pięść. Wiadomo, jak to jest z tymi trędowatymi. No cóż...

Dziesięć minut później, z powrotem w swoim pokoju, leży plackiem na łóżku, czując pustkę. Nie może płakać. Nic nie może.

To Oni. Posłali jego przyjaciela w zasadzkę, prawdopodobnie zaaranżowali „bohaterską” śmierć... i zamknęli jego akta...

Potem zaświta mu, że być może historia w gazecie była mistyfikacją. Przecież bez trudu mogli wydrukować ją w „Timesie”, co nie? I podłożyć gazetę, żeby się na nią natknął. Lecz gdy już przyjdzie mu to do głowy,

będzie za późno, by zawrócić.

W południe zjawia się przecierający oczy Hilary Bounce z głupawym uśmiechem na twarzy.

– Jak się wczoraj bawiłeś? Bo ja nadzwyczajnie.

– Miło mi to słyszeć. – Slothrop też się uśmiecha, i y także jesteś na mojej liście, kolego. Ten uśmiech wymaga więcej samozaparca niż wszystko, co przydarzyło się dotąd w jego ospałym amerykańskim życiu. Samozaparcia, którego we własnym mniemaniu zawsze mu brakowało. A jednak uśmiech skutkuje. Slothrop się dziwi i czuje taką wdzięczność, że o mało się nie rozplacze. A najlepsze jest nie to, że Bounce daje się nabrać, lecz że Slothrop wie, iż ten uśmiech znowu kiedyś poskutkuje...

Dociera więc do Nicei po szybkiej ucieczce wirażami Corniche, przez rozstępujące się góry, cichy pisk opon nad ogrzanyymi słońcem przepaściami, aniołowie stróże wykiwani na plaży, bo był na tyle sprytny, że pożyczył znajomkowi – kucharzowi imieniem Claude, który miał podobny wzrost i budowę ciała – swoje pseudotahitańskie kąpielówki, i gdy oni obserwowali Claude'a, on znalazł czarnego citroena z kluczykiem w stacyjce, proste jak drut, ludzie – zajechał do miasta w białym garniturze, okularach przeciwsłonecznych i kapeluszu o trzepoczącym rondzie w stylu Sydneya Greenstreeta. Trudno zaprzeczyć, że wyróżnia się pośród tłumów wojskowych i pańienek wciśniętych już w letnie sukienki, ale co tam, porzuca auto przy place Garibaldi, kieruje się do bistra po staromiejskiej stronie La Porte Fausse, żeby szybko przełknąć bułkę z kawą, po czym rusza na poszukiwanie adresu otrzymanego od Waxwinga. Okazuje się, że stoi tam stary czteropiętrowy hotel, gdzie pijący od wczesnego rana leżą pokotem na korytarzach, powieki jak drobne liście, powleczone ostatnią glazurą zachodzącego słońca, w burym świetle stateczne ewolucje kurzu letniej aury, letnie rozluźnienie na ulicach, kwietniowe lato, tymczasem wielki wir przegrupowywania wojsk z Europy do Azji przetacza się z hukiem, sprawiając, że każdej kolejnej nocy mieszkańcy coraz chętniej napawają się

ciszą, tutaj, niedaleko otworu ściekowego o nazwie Marsylia, tego przedostatniego przystanku papierowej trąby powietrznej, która wypycha żołnierzy z Niemiec, dolinami rzek, niektórych wymiata z Antwerpii i portów na północy, wir nabiera rozmachu, nakreśla się preferencyjne szlaki... Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki tutaj, przy rue Rossini, ogarnia Slothrop najlepsze uczucie, jakie może przynieść zmierzch w cudzoziemskim mieście: tu, gdzie sztuczne światło latarni jest przeciwwagą dla światła z nieba, tuż przed zabłyśnięciem pierwszej gwiazdy, oto obietnica wydarzeń bez przyczyny, niespodzianek, gwałtownej zmiany kierunku, w którym toczyło się dotąd jego życie.

Zbyt niecierpliwy, by czekać na pierwszą gwiazdę, wchodzi do hotelu. Dywany są zakurzone, zalatuje alkoholem i wybielaczem. Po korytarzach pętają się marynarze i dziewczyny, razem i osobno, Slothrop łązi zaś obsesyjnie od drzwi do drzwi, szukając kogoś, kto miałby mu coś do powiedzenia. W wyłożonych grubą boazerią pokojach grają radioodbiorniki. Wydaje się, że schody nie biegną pionowo w górę, lecz są przechylone pod osobliwym kątem, a lejące się po ścianach światło składa się tylko z dwóch barw: barwy ziemi i liści. Na najwyższym piętrze dostrzega starą matronową *femme de chambre* ze zmianą pościeli, bardzo białej w półmroku.

– Dlaczego wyjechałeś, skoro chcieli ci pomóc? – Smutny szept podzwania, jak gdyby dobywał się z odsuniętej na metr słuchawki telefonu. – Nic złego by nie zrobili... – Włosy upięte do góry, na modłę Jerzego Waszyngtona, dokoła całej głowy. Kobieta zerka na Slothrop pod kątem czterdziestu pięciu stopni, cierpliwe spojrzenie parkowego szachisty, bardzo duży, łagodnie haczykowaty nos i bystre oczy: jest sztywna, koścista, skarpety w biało-czerwone paski, skórzane pantofle o lekko zakrzywionych czubkach na olbrzymich stopach, które nadają jej wygląd przyjaznego stworka z bajek, tego rodzaju, co nie tylko robi buty nocą, gdy śpimy, ale też pozamiata trochę w izdebce, rozpali ogień pod imbrykiem z myślą o



naszym śniadaniu, może postawi świeży kwiatek na okiennym parapecie...

– Słucham?

– Ciągłe jest czas.

– Nie rozumiesz. Oni zabili mojego przyjaciela. – Ale dowiedział się w taki sposób... z „Timesa”... roztrąbili wszem i wobec... czy cokolwiek z tego jest prawdziwe, prawdziwe na tyle, by zyskał pewność, że któregoś dnia Chyży nie wparuje przez drzwi, a kuku, wstydlivy uśmiech... cześć, Chyży. Gdzie się podziewałeś?

Gdzie się podziewałem, Slothrop? A to dobre. Jego uśmiech znowu rozjaśnia dni, a cały świat jest wolny...

Miga wizytówką od Waxwinga. O dziwo, stara kobieta rozpromienia się, ostatnie dwa zęby w ustach błyszczą pod zapalonymi na noc żarówkami. Wskazuje mu kciukiem, żeby szedł wyżej, a potem rozczapierza dwa palce na znak zwycięstwa albo rzuca urok z odległych ustroni przeciw złemu oku, od którego spojrzeń kwaśnieje mleko. Tak czy owak, śmieje się sarkastycznie.

Wyżej jest dach, z czymś w rodzaju nadbudówki pośrodku. Przed wejściem siedzi trzech mężczyzn z bokobrodami w stylu apaszy i młoda kobieta, ładująca pończochę; popalają cienkiego papierosa o niejednoznacznej woni.

– Zgubiłeś się, *mon ami*.

– Czy ja wiem... – Wizytówka znowu w dłoni.

– Ach, bien...

Odsuwają się na bok, wchodzi więc w półcień pod borsalinem w kolorze kanarkowym, komiksowe buty na korku z olbrzymimi okrągłymi noskami, pełno szwów w kontrastujących barwach (takich jak oranż na tle błękitu, no i faworyzowane zestawienie: zieleń z karmazynem), monotonne jęki udobruchanego zniecierpliwienia, słyszane powszechnie w toaletach publicznych, telefoniczny rozgwar w chmurach cygarowego dymu. Waxwinga nie ma, ale na widok wizytówki jakiś facet przerywa hałaśliwą transakcję.



– Czego ci trzeba?

– *Carte d'identite*, przejazd do Szwajcarii, do Zurychu.

– Jutro.

– I kąpiel do spania.

Mężczyzna wręcza mu klucz do pokoju w hotelu.

– A pieniądze masz?

– Mało. Nie wiem, kiedy mógłbym...

Szelest, mrugnięcie okiem, odliczone.

– Bierz.

– Hm...

– Śmiało, to nie pożyczka. Nie musisz oddawać. Przyszły z góry. Nie wychodź na dwór, nie upijaj się i trzymaj z dala od dziewczyn, które tu pracują.

– Aha...

– Do jutra. – Z powrotem do interesów.

Noc mija niespokojnie. Slothrop nie może znaleźć sobie pozycji, w której przespałby dłużej niż dziesięć minut. Oddziały karaluchów dokonują wypadów na jego ciało, skoordynowanych z poziomem rozbudzenia. Pod drzwiami przychodzą pijacy, pijacy i zwidy.

– Rone, wpuść mnie. To ja, Dumpster, Dumpster Villard.

– Co to...

– Dziś jest naprawdę kiepsko. Przepraszam. Nie powinienem się tak wtrącać, więcej ze mną kłopotu niż pożytku... Posłuchaj... zmarłem... mam za sobą długą drogę...

Mocne pukanie.

– Dumpster...

– Nie, nie, to ja, Murray Smile, spałem obok ciebie na szkoleniu, kompania 84, pamiętasz? Nasze numery różnią się tylko ostatnią cyfrą.

– Musiałem wpuścić... wpuścić Dumpstera... Gdzie się podział? Spałem?

– Nie mów im, że tu byłem. Przyszedłem ci tylko powiedzieć, że nie

musisz wracać.

– Naprawdę? Powiedzieli, że to w porządku?

– W porządku.

– Dobrze, ale czy tak powiedzieli? – Cisza. – Hej, Murray? – Cisza.

Silny wiatr targa żelazną konstrukcją, a w dole, na ulicy, skrzynka po warzywach przewraca się z boku na bok, drewniana, pusta, ciemna. Pewnie jest czwarta rano.

– Muszę wracać, cholera, spóźnię się...

– Nie. – Tylko szept... Lecz to właśnie jej „nie” z nim zostało...

– Kto idzie? Jennifer? To ty, Jenny?

– Tak, to ja. Och, skarbie, tak się cieszę, że cię znalazłam.

– Ale muszę... – Czy Oni pozwoliliby jej kiedykolwiek żyć z nim w tym kasynie?... – Nie. Nie mogę. – Coś nie tak z jej głosem?

– Jenny, słyszałem, że trafili w twoją kamienicę, ktoś mi mówił, w Nowy Rok... rakietą... chciałem pojechać, zobaczyć, co z tobą, ale... Nie mogłem... a potem wzięli mnie do tego kasyna...

– Nic się nie stało.

– Ale nie, gdybym...

– Po prostu nie wracaj do nich.

Gdzieś tutaj są Katje i Chyży – dwie ciemne ryby, kryjące się za załamaniem światła w strumieniu – para gości, których najbardziej chciałby zobaczyć. Próbuje przedać głosy rozbrzmiewające pod drzwiami, przędc jak nuty na organkach, lecz bez skutku. To, czego pragnie, leży zbyt głęboko...

Tuż przed świtem rozlega się głośnie pukanie, twarde jak stal. Slothrop ma dość rozumu, by tym razem siedzieć cicho.

– Otwierać. Jazda, otwierać.

– Otwierać, żandarmeria wojskowa.

Amerykańskie głosy, prowincjonalne, ostre i bezlitosne. Leży nieruchomo, bojąc się, że zdradzi go skrzypienie sprężyn w łóżku. Chyba po raz pierwszy

w życiu słyszy Amerykę tak, jak brzmi ona w uszach cudzoziemca. Później uświadomi sobie, że najmocniej uderzył go fanatyzm, ufność nie tyle w zwykłą siłę fizyczną, ile w słuszność tego, co zamierzali zrobić... uprzedzono go kiedyś, że podobnej postawy należy się spodziewać po hitlerowcach, a przede wszystkim po Japończykach – racja jest zawsze po *naszej* stronie – tymczasem w tej chwili ci dwaj pod drzwiami są tak demoralizujący, jak John Wayne ukazany w zbliżeniu (kąć ujęcia uwydatnia skośność oczu, zabawne, że wcześniej tego nie było widać) i wrzeszczący: BANZAI!

– Zobacz, Ray, on zmyka...

– Hopper, dupku, wracaj mi tu...

– Takiego wała, nie dam sobie znowu włożyć kaftaaaana.... – Głos Hoppera cichnie za winkiem, żandarmi rzucają się w pogoń.

Świta – dosłownie, za żółtobrązową zasłoną w oknie – pierwszy dzień bez smyczy w życiu Slothrop. Pierwszy poranek swobody. Nie musi wracać. Jest wolny? Wreszcie zasypia spokojnie. Tuż przed południem młoda kobieta wchodzi do pokoju przy użyciu uniwersalnego klucza i zostawia mu dokumenty. Odtąd Slothrop jest angielskim korespondentem wojennym nazwiskiem Ian Scuffling.

– To adres jednego z naszych ludzi w Zurychu. Waxwing życzy ci powodzenia i pyta, dlaczego to tak długo trwało.

– Znaczący, że spodziewa się odpowiedzi?

– Mówił, żebyś się zastanowił.

– A p-o-o-o-wiedz – wpada mu nagle do głowy – dlaczego wy wszyscy tak mi pomagacie? Za darmo, no i w ogóle.

– Kto wie? Musimy grać według określonych prawidłowości. Tobą też na pewno kieruje teraz jakaś prawidłowość.

– Aha...

Już jej nie ma. Slothrop się rozgląda: w dziennym świetle to nędzny, anonimowy pokój. Nawet karaluchom jest tu chyba niewygodnie... Czy on już krąży szybko – jak Katje w kole – po serii pokoiów takich, jak ten,

przebywając w każdym tylko tyle, by zawładnął nim odpowiedni pęd albo rozpacz, która pchnie go do kolejnego, a drogi wstecz nie ma i nigdy już nie będzie? Brakuje nawet czasu, by lepiej poznać rue Rossini, gdzie z okien wrzeszczą twarze, gdzie jest dobra knajpa, jak brzmi tytuł tej piosenki, którą wszyscy gwizdzą w tych dniach przedwczesnego lata...

Tydzień później dociera do Zurychu po długiej podróży koleją. Gdy w dniach przytulnej i nieruchliwej mgły osamotnione metalowe stwory spędzały godziny na mimice i udawaniu molekuł, rozdzielaniem się, scalaniem, łączeniem w pary i rozłączaniem naśladować syntezę chemiczną, Slothrop popadał w halucynacyjną drzemkę o Alpach, przepaściach, tunelach, oparach, forsownych podjazdach pod niezdobyte stromizny, krowich dzwonkach w mroku, zielonych nasypach o poranku, woni mokrych łąk, za oknem wszechobecna ekipa nieogolonych robotników naprawiających odcinek torów, długie przestoje na stacjach rozrządowych, gdzie szyny rozbiegają się jak warstwy krojonej cebuli, szare i odludne zakątki, noce pełne gwizdów, szczepianie, łoskot, bocznice, gapiące się krówska rozsiane po wieczornych stokach, konwoje wojskowe na przejazdach w oczekiwaniu na przetoczenie się pociągu, nigdzie wyraźnego poczucia narodowości ani nawet podziału na walczące strony, tylko Wojna, pojedynczy zdemolowany krajobraz, w którym „neutralna Szwajcaria” jest zużytą konwencją, przestrzeganą wprawdzie, ale budzącą ironię, z jaką mówi się o „wyzwolonej Francji” albo „totalitarnych Niemczech”, „faszystowskiej Hiszpanii” i pozostałych...

Wojna na nowo konfiguruje przestrzeń i czas według swojego wyobrażenia. Szyny łączą się w odmienne sieci. To, co wydaje się destrukcją, jest w istocie kształtowaniem przestrzeni torowisk do innych potrzeb, innych celów, których przeblyskujące zarysy potrafi dostrzec tylko Slothrop, jadący tymi trasami pierwszy raz...

Melduje się w hotelu „Nimbus”, przy ponurej uliczce na Niederdorfie, czyli w dzielnicy kabaretów. Pokój mieści się na poddaszu i wchodzi się do niego po drabinie. Druga drabina jest za oknem, więc Slothrop wnioskuje, że w razie czego wszystko będzie w porządku. Z nadejściem nocy wyrusza na poszukiwania tutejszego przedstawiciela Waxwinga, odnajduje go przy

Limmatquai, obok mostu, w jednym z pokojów pełnych szwajcarskich zegarków i wysokościomierzów. To Rosjanin nazwiskiem Siemiawin. Z rzeki i jeziora dobiega buczenie statków. Ktoś na piętrze ćwiczy wprawki na fortepianie: rwane, słodkie *Lieder*. Siemiawin doprawia zaparzoną herbatę nalewką z goryczki.

– Najpierw musi pan zrozumieć, że tutaj wszystko uległo specjalizacji. Chce pan zegarek, to idzie pan do konkretnej kawiarni. Jeśli kobietę, to do innej. Futra dzielą się na sobole, gronostaje, norki i pozostałe. To samo z narkotykami: pobudzające, tłumiące, psychomimetyczne... A pan czego szuka?

– Eee, no, może informacji? – Chryste, ta herbata smakuje jak moxie...

– Ojej, jeszcze jeden. – Rzuca Slothropowi krytyczne spojrzenie. – Przed pierwszą wojną życie było proste. Pan tego nie pamięta. Narkotyki, seks, artykuły zbytku. Wtedy walutą handlowało się tylko na boku, a określenia „szpiegostwo przemysłowe” w ogóle nie znano. Ale wszystko zmieniło się na moich oczach, och, i to jak się zmieniło. Inflacja w Niemczech, powinienem był się wtedy pokapować, szereg zer ciągnął się stąd do Berlina. Porozmawiałbym srogo z samym sobą. „Siemiawin, to tylko tymczasowy rozbrat z rzeczywistością. Niewielkie odstępstwo, nie ma się czym martwić. Postępuj tak jak dotąd – siła charakteru, zdrowie psychiczne. Odwagi, Siemiawin! Rychło wszystko wróci do normy”. Ale wie pan, co się stało?

– Niech zgadnę.

Dramatyczne westchnienie.

– Informacja. A co jest złego w narkotykach i kobietach? Nic dziwnego, że świat zwariował, skoro jedynym rzeczywistym środkiem wymiany stała się informacja.

– Myślałem, że papierosy.

– Pan śni. – Facet wyjmuje listę zuryskich kawiarni i miejsc spotkań. Pod nagłówkiem „Szpiegostwo przemysłowe” Slothrop widzi trzy adresy. Ultra, Lichtspiel i Sträggeli. Są po obu brzegach kanału Limmat, w pewnej

odległości od siebie.

– Trzeba będzie podreptać – mówi, chowając złożoną listę do przesadnie dużej kieszeni garnituru.

– Sytuacja się poprawi. Pewnego dnia wszystko będą robiły maszyny. Maszyny informatyczne. Pan jest powiewem przyszłości.

Nastaje okres kursowania między trzema kawiarniami, kilkugodzinnego przesiadywania przy filiżance w każdej z nich po kolei, jedzenia raz dziennie, zuryskich bredni i Röstli w ludowych garkuchniach... obserwacji tłumów biznesmenów w niebieskich garniturach, opalonych na czarno narciarzy, którzy spędzili długie godziny na szusowaniu milami lodowców i śniegu, nie słysząc o żadnych kampaniach ani polityce, czytając tylko wskazania termometrów i wiatrowskazów, czarną stroną świata widząc w lawinach i walących się *séracs*, zwycięstw doszukując się w warstwach dobrego pudru... obszarpanych cudzoziemców w skórzanych kurtkach, powalanych ropą, i podartych kombinezonach, Latynosów zawiniętych w futra, trzęsących się z zimna w przejrzystym słońcu, leciwych hipochondryków, których wybuch wojny zastał na kuracji w jakimś uzdrowisku, toteż zostali, poważnych kobiet w długich czarnych sukniach, uśmiechniętych mężczyzn w pobrudzonych paltach... no i wariatów, wypuszczonych na weekend z eleganckich zakładów – och, choroby umysłowe Szwajcarii: Slothrop rzuca się w oczy pośród tych wszystkich posepnych twarzy i kolorów na ulicach, bo tylko on ubiera się na białą, buty, garnitur i kapelusz, wszystko białe jak tutejsze cmentarne góry... jest Nowym Wyróżnikiem w Mieście. Niełatwo mu się połączyć: z pierwszą falą korporacyjnych szpiegów mieszają się

## SZAJBUSY NA PRZEPUSTCE!

(Chór nie dzieli się tradycyjnie na chłopców i dziewczęta, tylko na strażników i wariatów bez uwzględnienia płci, więc na scenie występują cztery odmiany. Wielu chórzystów nosi okulary przeciwsłoneczne – czarne szkła w białych oprawkach – ale nie po to, żeby prezentować się modnie, lecz by przywieść na myśl śnieżną ślepotę, antyseptyczną biel szpitala, być może nawet ciemnotę umysłową. Niemniej panuje radość, odprężenie, nieskrępowanie... brak oznak rygoru, a kostiumy są takie same, toteż w pierwszej chwili odróżnienie strażników od wariatów stanowi trudność, bo wszyscy wbiegają z boków jednakowo roztańczeni i rozśpiewani):

Jesteście gotowi, bo czas już bliski?

Założcie maski i knujcie spiski.

Na wesołym kuligu aż nam ślina cieknie z pysków,  
Bośmy zadowoleni jak karły na byczym zimowisku!

Oto my, SZAJBUSY NA PRZEPUSTCE,

I generalnie w dupie mamy cały świat,

Mózgi nasze w pralni, dusze ktoś nam skradł.

Świry na wyjściówce, precz więc wszystkie smutki,

Każdy wypucowany, każdy milutki!

Zbieramy do kapelusza zmartwienia i łzy,

I uczucie lęku, które zawsze was dławiło.

Wierzcie słowom wariata, życie jest szalone,

Porwicie je w ramiona i cmoknijcie prosto w ryło!

La-di-da, ta-pa-pa-pa-pa itd...

(Nuć piosenkę w tle, a na przednim planie:)

Pierwsz-y/a Wariat/ka (a może Strażni-k/czka): Jest świetny interes do zrobienia. Amerykanin? Łatwo zgadnąć, potrafię poznać człowieka będącego daleko od domu, jejku, podoba mi się twój garnitur, jak wejdiesz na lodowiec, nikt cię nie zobaczy! Tak, wiem, co myślisz o tych ulicznych cwaniakach, to stara chodnikowa gra w trzy karty (przez chwilę po scenie przetaczają się w tę i z powrotem ciężarówka, a on/a kiwa palcem, śpiewając monotonnym głosem „Chodnikowa gra w trzy karty”, powtarzając słowa w kółko), od razu widać, że to szwindel, każdy obiecuje ci coś za nic, prawda? No tak, o dziwo, to jest właśnie główne zastrzeżenie, wysuwane przez



inżynierów i naukowców wobec idei (zniża głos) perpetuum mobile, czyli – jak myśmy to z upodobaniem nazwali – Regulacji Entropii – tutaj, tutaj jest ta karta – no, pewnie mają rację. Albo przynajmniej mieli. Do dziś...

Drug-i/a Wariat/ka albo Strażni-k/czka: No, słyszałeś już o gaźniku zużywającym galon benzyny na dwieście mil, o brzytwie, która nigdy się nie tępi, podeszwie, która się nie zdiera, lekarstwie na parchy nieszkodliwym dla węzłów chłonnych, silniku na piasek, ornitopterach i robobopterach – słyszysz, mam hiszpańską bródkę z wełny stalowej – kurdelebele, to super, ale tutaj jest coś godnego twojego umysłu! Gotowy? To Błyskawica-Zasuwa, Drzwi, Które Otwierają Ciebie!

Slothrop: Chyba się zdrzemnę...

Trzeci/a W. albo S.: Przemiana zwykłego powietrza w diamenty za pomocą Kataklizmowej Redukcji Dwutlenku Węglaaaaaa...

Gdyby był wrażliwy na podobne rzeczy, występ tej pierwszej fali wypadłby mocno obraźliwie. Przetacza się, rozgestykulowana, oskarżycielska, błagalna. Slothropowi udaje się zachować spokój. Następuje przerwa – i wtedy nadchodzą prawdziwe wynalazki, z początku powoli, niemniej zbierają się, zbierają: guma syntetyczna i benzyna, kalkulatory elektroniczne, barwniki anilinowe, akryle, próbki perfum (skradzione fiołki esencji w etui), upodobania seksualne setki wybranych członków zarządów, instalacje fabryczne, książki szyfrów, powiązania i rozliczenia, poprosz, mogą to skombinować.

Wreszcie pewnego dnia w Sträggeli – Slothrop akurat zajada *Bratwurst* i kromkę chleba, taszczone w papierowej torbie przez cały ranek – znikąd pojawia się niejaki Mario Schweitar w zapinanej na haftki zielonej kamizelce, wypluty z pohukującego kukułką zegara drugiej wojny światowej – za plecami niekończące się ciemne korytarze – żeby przynieść Slothropowi fart.

- Pst, panie. Ej, koleżko.
- Nie, dziękuję – odpowiada Slothrop z pełnymi ustami.
- Chcemy trochę LSD?
- To skrót: funty, szylingi i pensy. Wylądowałeś w złej kawiarni, mistrzu.
- Chyba wylądowałem w złym kraju – kwituje Schweitar płaczącym tonem. – Ja od Sandoza.

– Aha, to mów od razu! – wykrzykuje Slothrop i podsuwa facetowi krzesło. Okazuje się, że Schweitar rzeczywiście jest ściśle związany z Psychochemie AG, świadczy im rozmaite usługi jako jeden z hasających luzem ludzi od wszystkiego. Dla kartelu pracuje *per diem*, a w wolnych chwilach trochę szpieguje.

– No cóż – rzecze Slothrop – chętnie bym wziął to, co mają na temat L. Jamfa i-i – i tego imipoleksu G.

– Haaa.

– Że co proszę?

– O to chodzi. Niech pan da sobie spokój. To nawet nie nasza branża. Próbował pan kiedy opracować polimer, kiedy dokoła są sami ludzie od indolu, a macierzysta firma z północy codziennie przysyła nam ultimata? Imipolex G to zgryz, jankesie. Mają wiceprezesów, których jedynym obowiązkiem jest przestrzeganie coniedzielnego rytuału płucia na grób Jamfa. Widać, że nie spędził pan dużo czasu z indolowcami. Są elitami do potęgi. Postrzegają siebie jako spadkobierców długiej europejskiej tradycji dialektycznej, generacji zagrzybionego ziarna, ergotyzmu, czarownic na miotłach, orgii we wspólnotach, kantonów zagubionych w fałdach gór, gdzie od pięciuset lat nie zaznano ani jednego dnia wolnego od halucynacji... strażników dziedzictwa, arystokratów...

– Chwila, moment... – To Jamf nie żyje? – Powiedział pan „na grób Jamfa”? – Nowina powinna wywrzeć na Slothropie większe wrażenie, tyle że facet nigdy tak naprawdę nie żył, więc...

– W górach, w stronę Uetlibergu.

– Pan go...

– Co takiego?

– Znał go pan?

– Umarł, zanim nastąpiłem. Ale wiem, że w Sandozie jest mnóstwo utajnionych danych na jego temat. Niełatwo będzie zdobyć dla pana to, czego pan chce...

– Hm...

– Pięćset.

– Pięćset czego?

Franków szwajcarskich. Slothrop ma co najwyżej pięćset zmartwień. Pieniądze z Nicei wydał prawie co do grosza. Postanawia, że odtąd wszędzie będzie chodził pieszo. Rusza do Siemiawina, na drugą stronę Gemüse-Brücke, żując swoją białą kiełbasę i zastanawiając się, kiedy trafi mu się następna.

– Najpierw – radzi Siemiawin – należy iść do lombardu i zgarnąć parę franków za ten, no... – Wskazuje palcem garnitur. O nie, tylko nie garnitur. Rosjanin przetrząsa zaplecze, wraca z tobołkiem ubrań roboczych. – Nie trzeba się tak rzucać w oczy. Proszę przyjść jutro, zobaczymy, co uda się znaleźć.

Z białym garniturem zwiniętym pod pachą pospolity Ian Scuffling wychodzi na ulicę, prosto w średniowieczne popołudnie Niederdorfu, gdzie w dogasającym słońcu kamienne mury rosą jak pieczony chleb, rany, rany, dostrzega to teraz: stanie się kolejnym numerem Tamary/Italo, a potem będzie tkwił w tym tak głęboko, że w życiu się nie wywikła...

U wylotu swojej ulicy, w studni cienia, spostrzega zaparkowanego rolls-royce'a, silnik na wolnych obrotach, szyby przyciemnione, a popołudnie już tak szare, że nie widać wnętrza. Ładne auto. Dawno takiego nie widział, ot ciekawostka, tyle tylko że Porzekadła dla paranoików: 4. Ty się chowasz, oni szukają.

Zuuut, dududung, dududung, dududungdungdung, rozbrzmiewa tu cała uwertura „Wilhelma Telia”, z powrotem do cienia, miejmy nadzieję, że nikt nie filował przez tę cwana szybę – ziut, ziut, skoki za winkle, pryska alejkami, żadnych odgłosów pogoni, ale przecież rolls to najcichszy silnik na drodze, może z wyjątkiem niemieckiego tygrysa...

Wniosek: trzeba machnąć ręką na hotel „Nimbus”. Stopy zaczynają boleć. Tuż przed zamknięciem dobiega do Luisentrasse, przy której mieści się

lombard, wyłudza trochę grosza za garnitur, starczy na dzień lub dwa. Żegnaj, garniturku.

Nie można powiedzieć, żeby w Zurychu lubiano nocne życie. Gdzie Slothrop złoży dziś głowę? Przez moment odczuwa optymizm: wskakuje do restauracji i telefonuje do recepcji w hotelu „Nimbus”.

– No więc tak – angielska angielszczyzna – mógłby mnie pan łaskawie poinformować, czy ten Brytyjczyk ciągle czeka w holu, wie pan, o kogo chodzi...

Po chwili rozbrzmiewa miły, niepewny głos: jest-pan-tam? Och, jaki seraficzny. Spietrany Slothrop przerywa połączenie. Stoi i gapi się na gości przy kolacji, a oni gapią się na niego – sknocił, sknocił, teraz już wiedzą, że się pokapował. Wprawdzie pozostaje zwykłe prawdopodobieństwo, że to jego paranoja daje o sobie znać, ale zdarza się za dużo zbiegów okoliczności. Poza tym zna już brzmienie tej wykalkulowanej niewinności, to element Ich stylu...

Znowu na ulicach miasta: przemykają do tyłu pedantyczne banki, kościoły, gotyckie nisze drzwi... racja, nie ma mowy o zajrzeniu do hotelu ani do tych trzech kawiarni... Stali mieszkańcy Zurychu przechadzają się w przedwieczornym błękiecie. Błękiecie w roli miejskiego zmierzchu, ciemniejącym... Szpiedzy i handlarze powłazili do domów. Melina Siemiawina jest wykluczona, ludzie Waxwinga okazali mu przyjaźń, nie wolno sprowadzać na nich kłopotów. Czy w tym mieście przybysz wzbudza duże zainteresowanie? Czy Slothrop może zaryzykować zameldowanie się w innym hotelu? Raczej nie. Robi się zimno. Znad jeziora wieje wiatr.

Okazuje się, że zabrnął aż w sąsiedztwo „Odeonu”, jednej z naj słynniejszych kawiarni świata, której specjalność nie figuruje nigdzie – w istocie nigdy jej nawet nie sprecyzowano. Lenin, Trocki, James Joyce, doktor Einstein, wszyscy oni siadali przy tych stolikach. Cokolwiek mieli wspólnego, cokolwiek przyszli czerpać z tego przybytku... prawdopodobnie łączyło się to z ludźmi, z przyziemną śmiertelnością, niespokojnym

przeplataniem się potrzeb i desperacji na jednym decydującym odcinku ulicy... dialektyka, matryce, archetypy, które każdy musi raz na jakiś czas połączyć z odrobiną proletariackiej krwi, z odorami ciała i nonsensownymi wrzaskami przy stole, oszustwami i ostatnią nadzieją, w przeciwnym razie wszystko będzie zakurzonym wampiryzmem, pradawną klątwą świata zachodniego...

Slothrop orientuje się, że zostało mu dość drobnych na kawę. Wchodzi i wybiera stolik z widokiem na wejście. Nie mija piętnaście minut, gdy otrzymuje konspiracyjne znaki od śniadego kudłacza w zielonym garniturze, siedzącego kilka stolików dalej. Kolejny harcownik. Obok niego leży stara gazeta. Hiszpańska. Ukazuje osobliwą karykaturę polityczną: ubrani w togi i peruki mężczyźni w średnim wieku stoją rzędem na posterunku policji, a funkcjonariusz trzyma bochenek białego... a nie, to niemowlę w pieluszcze, na której napisano LA REVOLUCION, aha, oni upominają się o to dzieckorewolucję jako o swoje, wszyscy ci politycy prześcigają się niczym gromada domniemanych ojców, a karykatura ma być swoistym hasłem wywoławczym, bo ten gość w zielonym garniturze, który okazuje się Argentyńczykiem o nazwisku Francisco Squalidozzi, czeka na reakcję... kluczowe słowa znajdują się na samym końcu kolejki, dobywają się z ust wybitnego argentyńskiego poety Leopoldo Lugonesa, który mówi: „Teraz opowiem wam strofami, jak spłodziłem ją wolną od skazy grzechu pierwородnego...”. To rewolucja generała Uriburu z 1930 roku. Gazeta ma piętnaście lat. Trudno powiedzieć, czego Squalidozzi spodziewa się po Slothropie, którego stać wyłącznie na tępe spojrzenie. Lecz to najwyraźniej wystarcza, bo Argentyńczyk rozluźnia się, zwierza, że on i grupa jego towarzyszy, wśród nich ekscentryczka o międzynarodowej sławie Graciela Imago Portales, porwali przed kilkoma tygodniami przy Mar del Plata niemiecką łódź podwodną starego typu i przepłynęli nią cały Atlantyk, by poprosić o azyl polityczny w Niemczech, gdy tylko wojna dobiegnie końca...

– W Niemczech? Odbiło ci? Tam jest młyn, szefie!

– Nie taki jak w naszej ojczyźnie – odpowiada strapiony Argentyńczyk. Wokół jego ust pojawiły się długie zmarszczki, nabyte wskutek życia wśród tysiąca koni, oglądania nazbyt wielu przeklętych koltów i zachodów słońca na południe od Rivadavia, bo tam zaczyna się prawdziwe Południe... – Istny chaos, odkąd władzę przejęli pułkownicy. A teraz, gdy Peron się pnie... naszą ostatnią nadzieją była Acción Argentina – o czym on, cholera, gada, Jezu, ale jestem głodny – ale co tam, zdławili w miesiąc po przewrocie... no i teraz wszyscy czekają. Z nawyku chodzą na akcje uliczne. Nie ma żadnej realnej nadziei. Postanowiliśmy wyruszyć, zanim Peron dostanie kolejną ministerialną tekę. Wojny przypuszczalnie. On już podbił serca *descamisados*, a dzięki temu wojsko będzie po jego stronie, rozumiesz... kwestia czasu... mogliśmy popłynąć do Urugwaju, przeczekać, taka u nas tradycja. Ale nie wiadomo, może utrzyma się dłużej? Montevideo pęka w szwach od przekreślonych wygnańców i przekreślonych nadziei...

– No tak, dobra, ale Niemcy to ostatni kraj na ziemi, gdzie powinniście jechać.

– *Pero ché, no sós argentino...* – Powłóczyście spojrzenie w dal, po wymurowanych bliznach szwajcarskich alei, w poszukiwaniu Południa, z którego uciekł. To nie ta Argentyna, Slothrop, w której barach Bob Eberle widział toasty wznoszone na cześć Mandarynki... Squalidozzi chciałby powiedzieć: „Ze wszystkich magicznych osadów, wytraconych w pojękującym, zaparowanym alembiku Europy, jesteśmy najbardziej rozrzedzeni, najniebezpieczniejsi i najprzydatniejsi do politycznych celów... Próbowaliśmy dokonać zagłady Indian tak jak wy: pragnęliśmy tej zamkniętej białej wersji rzeczywistości, którą mamy – ale nawet w całkowicie zadymionych labiryntach, w najgłębszym cieniu balkonu, dziedzińca lub bramy w samo południe kraina ta nie dawała nam zapomnieć...”. Lecz na głos mówi: – Ejże, chybabyś coś przekąsił. Jadłeś? Zamierzałem właśnie iść na kolację. Czy zaszczyisz mnie swoim towarzystwem?

Znajdują stolik na piętrze w „Kronenhalle”. Wieczorny zgiełk słabnie. Kiełbasa i *fondue*: Slothrop kona z głodu.

– W czasach gauczów moja ojczyzna była czystą kartką papieru. Zdawało się, że pampasy ciągną się dalej, niż sięga ludzka wyobraźnia, były bezkresne, nieogrodzone. Dokądkolwiek zajechał gauczo, ziemia należała do niego. Ale Buenos Aires próbowało narzucić hegemonię prowincjom. Cała ta nerwica na punkcie własności przybrała na sile i zaraziła wieś. Wyrosły płoty, a gauczo miał coraz mniej wolności. To nasza narodowa tragedia. Obsesją Argentyńczyka jest budowanie labiryntów tam, gdzie dawniej była otwarta równina i niebo. Rysowanie coraz bardziej zawiłych deseni na czystej kartce. Nie możemy znieść otwartej przestrzeni: wzbudza w nas przerażenie. Popatrz na Borgesa. Popatrz na przedmieścia Buenos Aires. Tyran Rosas nie żyje od stu lat, ale jego kult kwitnie. Pod pajęczyną miejskich ulic, pod mrowiskiem pokojów i korytarzy, pod siatką stalowych torów i płotów argentyńskie serce w swej perwersji i poczuciu winy pragnie powrotu do pierwotnego, niespętanego spokoju... do anarchicznej jedni pampasów i nieba...

– A-a-ale drut kolczasty to postęp – wtrąca Slothrop z ustami pełnymi *fondue*, obżerając się bezwstydnie. – Nie można przecież na zawsze zostawić otwartego terenu, nie można stać na drodze postępu. – Owszem, będzie tak nawijał bite pół godziny, cytując temu cudzoziemcowi, który zafundował mu posiłek, złote myśli z sobotnich westernów w służbie świętego Prawa Własności.

Biorąc jego słowa za objaw lekkiego szaleństwa, a nie braku wychowania, Squalidozzi mruga oczyma raz lub dwa.

– W normalnych czasach – próbuje tłumaczyć – centrum zawsze zwycięża. Jego siła wzrasta z upływem dni i nie można tego powstrzymać zwykłymi środkami. Decentralizacja i powrót do anarchii wymagają nadejścia nadzwyczajnych czasów... ta Wojna, ta niewiarygodna Wojna, jak na razie zmiotła bezlik małych krajów, które przetrwały w Niemczech tysiąc lat.



Zatarła granice. Otworzyła je.

– No pewnie. Tylko na jak długo?

– Na krótko. Oczywiście, że na krótko. Ale jak na razie, przez kilka miesięcy... być może pokój nastanie już jesienią – *discúlpeme*, wiosną znaczy, ciągle nie przestawiłem się na waszą półkulę, może jednak przez krótką chwilę tej wiosny...

– No dobra, ale co zamierzacie? Opanujecie kraj i będziecie go chcieli utrzymać? Z mety was przepędzą, koleżko.

– Nie. Opanowywanie kraju to budowa nowych płotów. A my chcemy otwartej ziemi. Chcemy, by się rozwijała, rozrastała. W otwartej przestrzeni niemieckiej strefy nasza nadzieja nie ma granic. – Raptem, jak puknięcie się w czoło, błyskawiczne spojrzenie, ale nie na drzwi, tylko w sufit. – Tak samo jak niebezpieczeństwo.

U-Boot krąży teraz gdzieś u wybrzeży Hiszpanii, przez dłuższą część dnia pozostając w zanurzeniu, noce spędzając na powierzchni, by ładować akumulatory, raz na jakiś czas uzupełniając chyłkiem paliwo. Squalidozzi nie za bardzo chce mówić szczegółowo o tankowaniu, ale najwyraźniej w grę wchodzi wieloletnie związki z podziemiem republikańskim – wspólnota w poczuciu przyzwoitości, dar determinacji... Squalidozzi jest w Zurychu, żeby nawiązać kontakt z rządami, które byłyby skłonne – z różnych powodów – pomóc anarchistom na obczyźnie, jutro musi dotrzeć z nowinami do Genewy: stamtąd informacje zostaną przekazane do Hiszpanii, gdzie czeka łódź. Ale w Zurychu czyhają agenci Perona. Obserwują Squalidozziego. Nie wolno mu ryzykować wsypy łącznika w Genewie.

– Mogę ci pomóc – Slothrop oblizuje palce – ale krucho u mnie z pieniędzmi i...

Argentyńczyk wymienia sumę, która wystarczy na opłacenie Mario Schweitara i zapełnienie żołądka przez najbliższych kilka miesięcy.

– Połowa z góry i już mnie nie ma.

Squalidozzi przekazuje informacje, adresy, pieniądze i buli za kolację.

Umawiają się na spotkanie w Kronenhalle za trzy dni.

– Powodzenia.

– Nawzajem.

Zasepione pożegnalne spojrzenie Argentyńczyka, osamotnionego przy stoliku. Targnięcie grzywką, słabnące światło.

Samolotem jest sponiewierany DC-8, wybrany ze względu na pokrewieństwo z poświatą księżycową, sympatyczną minę na przeszklonym dziobie, mrok w brzuchu i na zewnątrz. Slothrop budzi się skulony wśród ładunku, metalowa ciemność, wibracja silnika w kościach... przez przegrodę nad głową przenika słaby czerwony blask. Podczołguje się do małego okienka i wygląda. Alpy w świetle księżyca. Trochę małe, nie takie imponujące, jak myślał. No cóż... Siada z powrotem na barłogu z wełny drzewnej i zapala jeden z niedopałków Squalidozziego, myśląc sobie rany, nieźle, ludzie wskakują do samolotów, lecą, dokąd chcą... Po co zatrzymywać się w Genewie? No dobra, a co z Hiszpanią? Nie, zaraz, przecież to faszyci. Wyspy Polinezji! Hm. Pełno tam Japończyków i naszych. Afryka to Czarny Ląd, gdzie są tylko tubylcy, słonie i ten Spencer Trący...

„Nie ma dokąd uciec, Slothrop, nie ma”. O skrzynię opiera się jakaś rozdygotana postać. Slothrop mruży oczy w słabym czerwonym świetle. Widzi dobrze znaną fasadową twarz beztroskiego awanturnika Richarda Halliburtona, tyle że osobliwie zmienioną. Na policzkach mężczyzny wysypały się okropne krosty – naniesione na palimpsest starych śladów po ospie – w których symetrii Slothrop dopatrzyłby się reakcji na narkotyki, gdyby miał oko lekarza. Bryczesy Halliburtona są podarte i powalane, jasne włosy tłuste i obwisłe. Wije się, płacze bezgłośnie – upadły anioł – nad podrzędnymi Alpami, nad wszystkimi nocnymi narciarzami hen, w dole, na stokach, którzy krzyżują pracowicie swoje drogi, oczyszczają i udoskonalają faszystowski ideał Działania, Działania, Działania, dawniej jego własną świetlaną rację bytu. Bo już nie dziś. Nie dziś.

Slothrop wyciąga rękę i gasi papierosa na podłodze. Te strużyny, białe jak anioły, mogłyby się łatwo zająć ogniem. Leż tutaj, w tym trzeszczącym i zużytym samolocie, leż bez ruchu, cholerny durniu, bo cię wykiwali – znowu cię wykiwali. Richard Halliburton, Lowell Thomas, Rover and Motor Boys, pożółkłe pliki „National Geographic” w pokoju Hogana, wszyscy niechybnie go okłamywali, a nie było akurat nikogo – nawet kolonialnego ducha na strychu – kto powiedziałby mu, że jest inaczej...

Wstrząs, podskok, skręt, lądowanie z przepadnięciem, pierdolone patałachy co najwyżej po kursie puszczenia latawców, szary szwajcarski świt za małymi oknami, każdy staw, mięsień i kość w ciele Slothropo ogniskiem bólu. Czas wyjść do pracy.

Wysiada z samolotu bez żadnego incydentu i niknie w cierpkiej gromadzie ziewających pasażerów, agentów dostawczych, pracowników lotniska. Cointrin o wczesnej porze. Wstrząsające zielone wzgórza po jednej stronie, brązowe miasto po drugiej. Chodniki są śliskie i mokre. Chmury płyną leniwie po niebie. Mont Blanc mówi „cześć”, jezioro mówi „jak się masz”, Slothrop kupuje dwadzieścia papierosów i lokalną gazetę, pyta o drogę, wsiada do nadjeżdżającego tramwaju i w przeciągach orzeźwiającego zimnego powietrza od drzwi i okien turla się do Miasta Pokoju.

Spotkanie z argentyńskim łącznikiem wyznaczono w „Café l’Eclipse”, na uboczu linii tramwajowych, w głębi ulicy wybrukowanej kocimi łbami, na niewielkim placu w otoczeniu straganów pełnych warzyw i owoców pod beżowymi markizami, sklepów, kawiarni, okien w kwiatkach, czystych, spłukanych chodników. Po alejach biegają psy. Slothrop siedzi z gazetą przy kawie i rogalikach. Warstwa chmur się rozstępuje. Słońce leje się po skwerze niemal do miejsca, gdzie w półmroku tkwi czujny Slothrop. Najwyraźniej nikt mu się nie przygląda. Trzeba czekać. Cienie się kurczą, słońce się pnie, potem zaczyna opadać i wreszcie zjawia się ten człowiek, odpowiadając dokładnie opisowi – dzienny czarny garnitur z Buenos Aires, wąsy, okulary w złotych oprawkach – pogwizdując tango Juana d’Arienzo. Slothrop

ostentacyjnie przetrząsa kieszenie i wyjmuje cudzoziemski banknot, którego Squalidozzi kazał mu użyć jako znaku rozpoznawczego: patrzy na niego ze zmarszczonym czołem, podnosi się, podchodzi.

*Como no, señor*, oczywiście, że wymienię panu tych pięćdziesiąt pesos, proszę siadać, waluta, notatniki, karty, wszystko wywalone na stolik, cały blat jest zasłany przedmiotami, które po chwili z powrotem lądują w kieszeniach i tym sposobem nieznajomy odbiera wiadomość od Squalidozziego, a Slothrop wiadomość dla Squalidozziego. I tyle.

Powrót do Zurychu popołudniowym pociągiem, większość drogi przespana. Wysiada w Schlieren o nieludzko późnej godzinie, to na wszelki wypadek, gdyby obserwowali śródmiejski Bahnhof, dojeżdża komunikacją miejską aż do St. Peterhofstadt. W górze tamtejszy wielki zegar, dokoła puste akry ulic pełnych tego, co odbiera teraz jako niemą wrogość. Przychodzą mu na myśl campus i uczelnia z odległej młodości, wieże z zegarami oświetlonymi tak nagle, że nigdy nie można było dojrzeć wskazówek, no i pokusa, choć nigdy tak silna, jak w tej chwili, by oddać się ciemniejszemu rokowi, by zagarnąć w objęcia jak najwięcej realnego strachu przed bezimienną godziną (chyba że... nie... NIE...): to była pycha, pycha, jaką znali jego purytańscy przodkowie, wyczulenie kości i serca na Nicość, Nicość pod słodkimi dźwiękami studenckich saksofonów, białymi blezerami, pomazanymi szminką przy kłapach, dymem z nerwowych papierosów, mydłem parującym z błyszczących czupryn, miętowymi pocałunkami, zroszoną skórą. Knuli to tuż przed świtem dowcipnisie młodszy niż on, wyciągnięty z łóżka, idący po omacku, ej, Reinhardt, wyprowadzony na jesienne zimno, cienie i liście pod stopami, i wtedy chwila zwątpienia, realna ewentualność, że są czymś innym – że nic z tego, co działo się przed chwilą, nie było prawdziwe, że to wszystko jest starannie obmyśloną spektaklem, żeby cię ogłupić. Ale teraz ekran pociemniał i nie zostało już czasu. Zjawiają się po ciebie agenci...

Czy jest lepsze miejsce niż Zurych, by odzyskać pychę? To kraina

Reformacji, miasto Zwingliego, człowieka z ostatniej strony encyklopedii, o którym wszędzie przypominają kamienie. Szpiedzy i ludzie w służbie wielkich spraw są w swoim żywiole, krzątają się niestrudzenie wśród płyt nagrobnych. Nie ma wątpliwości, to twarze, które Slothrop widywał na dziedzińcach uczelni, dawni młodzieńcy, którzy w Harvardzie dostąpili inicjacji w Purytańskie Misteria, którzy z największą żarliwością składali przysięgę, iż w poczuciu szacunku zawsze będą działać w imię Vanitas, Pustki, ich władczyni... którzy teraz, zgodnie z takim-a-takim-planem-życiowym, przybyli tutaj, do Szwajcarii, by pracować dla Allena Dullesa i jego siatki wywiadowców, funkcjonującej obecnie pod mianem Ośrodka Służb Strategicznych. Dla nowo wtajemniczonych skrót OSS jest też tajnym akronimem: nauczono ich powtarzać go w myśli niczym mantrę w obliczu rychłego kryzysu: oss... oss, czyli stare, przegniłe łacińskie słowo z mrocznych czasów oznaczające kość...

Nazajutrz podczas spotkania w Sträggeli celem przekazania połowy zapłaty Slothrop prosi Mario Schweitara, żeby dokładniej opisał, gdzie znajduje się grób Jamfa. Tam właśnie, hen, w górach, umawiają się na sfinalizowanie transakcji.

Squalidozziego nie ma w „Kronenhalle”, „Odeonie” ani żadnym innym miejscu, do którego Slothropowi przychodzi na myśl zajrzeć w najbliższych dniach. W Zurychu słyszy się o znikaniu ludzi. Mimo wszystko wraca pod te adresy, tak na wszelki wypadek. Wiadomość jest po hiszpańsku, rozszyfrowuje tylko słowo lub dwa, niemniej strzeże jej, bo być może nadarzy się w końcu sposobność, by ją przekazać. A poza tym, hm, anarchistyczne poglądy trafiają mu do przekonania. W czasach gdy Shays toczył potyczki z oddziałami federalnymi w Massachusetts, z rodu Slothropów wywodzili się Stróże porządku, patrolujący Berkshire w poszukiwaniu buntowników, noszący na kapeluszach gałązki cykuty, by odróżnić się od wojska rządowego. Na swoich kapeluszach żołnierze federalni zatykali strzepy białego papieru. W tamtym okresie Slothropowie

nie zajmowali się jeszcze papierem ani masowym wycinaniem lasów. Nadal opowiadali się za żywą zielenią przeciw martwej bieli. Z upływem czasu zatracili jednak – lub przehandlowali – świadomość, po której stronie stali. Tyrone odziedziczył w dużej mierze ich słodką niewiedzę na ten temat.

Z tyłu wiatr hula po krypcie Jamfa. Slothrop obozuje tutaj już od paru dni, prawie bez pieniędzy, w oczekiwaniu na wieści od Schweitara. Osłonięty od przeciągu, okutany w kilka koców armii szwajcarskiej, które skądś wytrzasnął, zdołał nawet spać. Tu, na grobie Pana Imipoleksa. Pierwszej nocy bał się zasnąć z obawy przed nawiedzeniem przez Jamfa, którego ścisły niemiecki umysł Śmierć z pewnością zdegradowała do rangi najprymitywniejszych odruchów, nie byłoby mowy o odwołaniu się do wyszczerzonej niemo powłoki zła, która pozostała... wokół głosy świergoczące do księżycowej poświaty, Tamten, Tamto, Ten Ciemniżony zbliża się krok po kroku... chwila, moment, hop na nogi, wyrwany ze snu, twarz odsłonięta, zwrot ku cudzoziemskim nagrobkom, ten jaki, co to było... z powrotem, prawie na to samo miejsce, znowu na nogi... na nogi, z powrotem, i tak przez połowę nocy.

Nikt go nie nawiedza. Wydaje się, że Jamf zwyczajnie nie żyje. Nazajutrz mimo pustego żołądka i kataru Slothrop budzi się w najlepszym nastroju od kilku miesięcy. Jak gdyby zaliczył sprawdzian – dla odmiany swój własny, a nie uknuty przez kogoś innego.

Miasto rozciągnięte poniżej, skąpane w niekompletnym świetle, jest nekropolią wież kościelnych i wiatrowskazów, białych sylwet donżonów, szerokich budynków z mansardowymi dachami i okien błyszczących tysiącem źrenic. Tego przedpołudnia góry są przezrocyste jak lód. Późniejszą porą staną się niebieskimi kopcami z pomarszczonego atłasu. Jezioro jest gładkie niczym lustro, ale szczyty i domy odbijające się w tafli pozostają osobliwie zamazane, zarysy subtelne i oczyszczone jak deszcz: sen o Atlantydzie, o Suggenthalu. Zabawkowe wsie, opuszczone miasto z pomalowanego alabastru... Slothrop kuca w zimnie na zakręcie górskiego

szlaku, bezmyślnie ubija i rzuca piguły, nie ma tu wiele do roboty, chyba żeby wypalić ostatni niedopałek najprawdopodobniej ostatniego lucky strike'a w całej Szwajcarii...

Kroki na szlaku. Skrzypiące kalosze. To chłopak od Mario Schweitara, kurier z dużą grubą kopertą. Slothrop płaci, wyłudza papierosa oraz kilka zapalek i żegna się. Wraca do krypty, rozpala mały stos drewniaków i sosnowych gałęzi, ogrzewa dłonie i zaczyna wertować kartki. Nieobecność Jamfa otacza go jak odór, który jest znajomy, ale którego nie potrafi zidentyfikować, jak aura, która w każdej chwili grozi atakiem epilepsji. Są informacje – nie tyle, ile by chciał (aha, a ile chciał?), więcej natomiast, niż się spodziewał, no bo przecież jest pragmatycznie myślącym jankesem. W najbliższych tygodniach, w tych nielicznych chwilach, gdy nadarzy się sposobność podumania nad własną przeszłością, pożałuje, że w ogóle coś z tego przeczytał...





Pointsman postanowił spędzić Zielone Świątki nad morzem. Obecna megalomania – nie ma się czym martwić, naprawdę – a może to po prostu wrażenie doznawane, gdy przemyka po korytarzach „Białego Nawiedzenia”, sprowadza się w najgorszym razie do wniosku, że pozostali skostnieli w postawie niedwuznacznego parkinsonizmu, on zaś jest jedynym, który zachowuje czujność i nie uległ paraliżowi. Nastął czas pokoju, w dniu zwycięstwa brak miejsca dla gołębi na Trafalgar Square, w agencji wszyscy pijani w sztok, uściski i pocałunki, z wyjątkiem teozoficznego skrzydła Sekcji Psi, które wybrało się na pielgrzymkę Białego Lotosu na Avenue Road 19 w St. John’s Wood.

Jest wreszcie pora na relaks. Pointsman odczuwa pewien przymus, by się odprężyć, ale nadszedł też Kryzys. Przywódca musi okazać opanowanie, także w atmosferze relaksu w samym środku Kryzysu.

O Slothropie nie ma wieści od blisko miesiąca, to znaczy odkąd zafajdani partacze z wywiadu wojskowego zgubili go w Zurychu. Pointsman jest zniesmaczony Firmą. Wygląda na to, że jego sprytna strategia nie zdała egzaminu. A przecież w trakcie pierwszych dyskusji z Clive’em Mossmoonem i innymi wydawała się niezawodna: pozwolimy Slothropowi na ucieczkę z kasyna, a inwigilowanie go będzie teraz zadaniem tajnych służb, a nie PISCES. Oszczędność. Rachunki za inwigilację są bolesnym cierniem w koronie problemów finansowych, na której noszenie Pointsman jest skazany przez cały czas trwania akcji. Te cholerne fundusze przyczynią się do jego upadku, o ile Slothrop wcześniej nie doprowadzi go do obłędu.

Pointsman zbłądził. Nie może się nawet pocieszyć wzorem Tennysona, że „ktoś zbłądził”. Niestety, to on i tylko on usankcjonował powołanie angielsko-amerykańskiego zespołu Harveya Speeda i Floyda Perdo do celu wniknięcia w wrywkowo wybraną próbkę sercowych podbojów Slothrop. Był budżet, a poza tym co to mogło zaszkodzić? Ci dwaj ruszyli do akcji

gorliwie jak Manczki, popędzili dosłownie galopem, żeby przyjrzeć się erotycznemu rozkładowi Poissona. Mapa Europy Don Giovanniego – 640 we Włoszech, 231 w Niemczech, 100 we Francji, 91 w Turcji, ale, ale, w Hiszpanii! W Hiszpanii aż 1003! – jest w istocie mapą Londynu Slothrop, a dwaj szpicle tak się zarazili panującym obecnie upodobaniem do bezmyślnych przyjemności, że całe popołudnia wysiadują w restauracyjnych ogrodach, mitrząc nad sałatkami z płatków chryzantemy i baraniną z rondla, albo trajkoczą przy straganach z owocami:

– Ej, Speed, spójrz no, kantalupy! Nie widziałem ich od początku trzeciej kadencji Roosevelta, mmm, powąchaj, wspaniałe! No, to może kantalupa? Hm? No, dalej.

– Świetny pomysł, Perdoo, świetny.

– Eee... to ty sobie wybierz, którego chcesz, dobrze?

– Którego?

– No tak. Ja wybieram tego, widzisz? – Żeby pokazać, obraca owoc brutalnie, jak gwałciciele obracają głowy obezwładnionych dziewcząt.

– Myślałem, że jeden wystarczy... – Pełen niewiary słabowity gest w kierunku trzymanego przez Perdoo melona, z którego popękanej skórki, niby spośród kraterów bladego księżyca, wзира twarz zniewolonej kobiety, oczy spuszczone, powieki gładkie jak perskie sufity...

– No nie, ja zwykle, hm – Perdoo jest speszony, bo to przypomina wezwanie, by wytłumaczyć się ze schrupania jabłka albo pojedynczego winogrona – jakby, no zjadam... całego, rozumiesz. – Chichocze przyjaźnie, jak mu się wydaje, żeby wskazać na społeczną niestosowność tej rozmowy...

...ale chichot odebrany jest opacznie: jako oznaka rozstroju umysłowego u tego kanciastego Amerykanina o lekko wystających zębach, który kłania się teraz tanecznie, angielskie ukłony, chudy jak marionetka na wietrze. Kręcąc głową, Speed wybiera własnego kantalupa, spostrzega, że został sam i musi uregulować rachunek, który jest wygórowany, buli jednak i biegnie galopem za Perdoo, hopsa, hopsa, już obaj, tra-la-la-la, bach w kolejną ślepią uliczkę:

– Jenny? Nie, to nie Jenny...  
– Jennifer? Genevieve?  
– Ginny (być może napisane z błędem), Virginia?  
– Panowie chcą się zabawić? – Jej uśmiech, powitalny czerwony uśmiech – dzień dobry, naprawdę dobry! – jest tak szeroki, że stają jak wryci, rozdygotani i rozpromienieni, ona zaś ma tyle lat, że mogłaby być ich matką – wspólną matką, łącząc w sobie najgorsze cechy pani Perdoo i pani Speed – właściwie zmienia się w nią teraz, na ich oczach.

Owe zniszczone morza pełne są kusicielk – wodniście tutaj i figlarnie, że ho, ho. Wciągane w jej aureę – mruganie, miedziany połysk henny, kwiaty męczennicy na sztucznym jedwabiu – dwa wrażliwe gamonie pozwalają sobie, tuż przed ostatnim krokiem w obłąd fioletowych oczu, na przeciąg trwania jednej łaskotki, na pożegnalną myśl o akcji, którą powinni w tej chwili wykonywać – Cotygodniowa Obserwacja Slothropizmów: Inwigilacja, Łączność (CO SIŁ) – myśl, która opada ich w przebraniu klauna, durnowatego prymitywa, przyozdobionego obrazkowymi żartami o płynach cielesnych, łysola ze zdumiewającymi kosmykami włosów, wyrosłymi z nozdrzy, zaplecionymi w warkoczyki i związanymi jaskrawozielonymi wstążkami – pstrokata plama wyłoniona spoza worków z piaskiem i opadającej kurtyny, usiłująca złapać oddech, zamieszać im w głowach nieprzyjemnym skrzekliwym okrzykiem: „Nie Jenny. Nie Sally W. Nie Kybele. Nie Angela. Nie Katarzyna. Nie Lucy. Nie Małgosia. Kiedy wreszcie to dostrzeżecie? Kiedy?”.

Darlene też nie. Nadeszło wczoraj. Śladem tego imienia dotarli aż do miejsca zamieszkania niejakiej pani Quoad. Ale zachwycająca młoda rozwódka stwierdziła, że nawet nie wie, iż angielskie dziewczynki miewają na imię Darlene. Było jej okropnie przykro. Pani Quoad natomiast spędzała dni w komforcie dość zadbanego domu w Mayfair i obaj śledczy z ulgą opuścili dzielnicę...

„Kiedy to dostrzeżecie?”. Pointsman dostrzega natychmiast. W sposób, w

jaki ty byś dostrzegł, gdybyś po wejściu do własnej sypialni został zaatakowany przez olbrzymią morenę, która wypada z półmroku pod sufitem, zębiska w pełnym, trupim uśmiechu, skok na nieosłoniętą twarz i przeciągły ludzki odgłos, który – dobrze o tym wiesz, to okropne – jest seksualnym westchnieniem...

Co znaczy ni mniej, ni więcej, tylko tyle że Pointsman unika sprawy z rozmysłem, z jakim unikałby każdej nocnej zmory. Gdyby ta nie okazała się fantazją, tylko rzeczywistością, no cóż, to wtedy...

– Jak na razie dane są niekompletne. – Należy to podkreślać z całą mocą we wszystkich wypowiedziach. – Przyznajemy – pamiętaj, bądź szczerzy – że w świetle początkowych danych wydawało się, iż w paru wypadkach imiona na mapie Slothropa nie odpowiadają faktom, które udało się nam ustalić w trakcie jego pobytu w Londynie. To znaczy: ustalić do tej pory. Bo trzeba zrozumieć, że są to przeważnie same imiona, iksy bez igreków, by tak rzec, słowa bez treści. Trudno się zorientować, czy daleko idące wnioski nie idą za daleko.

– A co będzie, jeśli pewnego odległego dnia okaże się, że wiele, a może nawet większość gwiazd Slothropa odnosi się do fantazji seksualnych, a nie do rzeczywistych zdarzeń? No cóż, to nie podważyłoby naszego podejścia do zagadnienia, tak samo jak nie podważyło podejścia młodego Zygmunta Freuda, tam w starym Wiedniu, gdy stanął wobec podobnego nieprawdopodobieństwa – wszystkie te historyjki pod tytułem „Papa mnie zgwałcił”, które w świetle dostępnych świadectw równie dobrze mogły być wyssane z palca, były prawdą w rozumieniu *klinicznym*. Należy sobie uświadomić, że w PISCES zajmujemy się dość precyzyjnie pojmowaną, kliniczną wersją prawdy. Nie stosujemy szerszego rozumienia.

Jak dotąd brzemień to przygniata wyłącznie Pointsmana. Samotność Führera: czuje, że przybywa mu sił w promieniach tego ciemnego towarzysza jego gwiazdy, wschodzącej na publicznym firmamencie... ale nie chce się dzielić tym brzemieniem, jeszcze nie teraz...

Spotkania pracowników, jego pracowników, stały się bardziej niż bezużyteczne. Grzęzną w niekończących się sporach o duperele – czy zmienić nazwę PISCES, skoro Niemcy skapitulowały, jaki nagłówek, jeśli w ogóle, drukować na papierze listowym. Przedstawiciel Shell Mex House, pan Dennis Joint, chce objąć program nadzorem Grupy Operacyjnej do spraw Pocisków Specjalnych jako uzupełnienie brytyjskiego polowania na rakiety, czyli operacji „Backfire”, której centrum znajduje się w Cuxhaven nad Morzem Północnym. Co drugi dzień rozmaite kręgi ponawiają próby, żeby przekształcić albo nawet rozwiązać PISCES. Ostatnio Pointsman z coraz większą łatwością popada w nastrój *Vétat, c'est moi* – bo kto inny cokolwiek robi? czy to nie on trzyma wszystko w kupie, często za jedyną broń mając własną twardą wolę?...

Naturalnie w Shell Mex House szaleją z powodu zniknięcia Slothrop. Urwał się facet, który wie wszystko, co można wiedzieć – nie tylko o A-4, ale też o tym, co Wielka Brytania wie o A-4. Zurych skumał się z radzieckimi agentami. A jeśli Sowieci już go złapali? Wiosną wzięli Peenemünde i wygląda na to, że dostaną im się główne zakłady rakietowe w Nordhausen, kolejny wynik układów jałtańskich... Wysłannicy co najmniej trzech instytucji – Wszechzwiązkowego Instytutu Materiałów Lotniczych, Centralnego Instytutu Aerodynamiki i Hydrodynamiki oraz Naukowego Instytutu Badań Lotniczych – a także inżynierowie wydelegowani przez komisarzy są już w okupowanej przez Sowieców strefie z listami ludzi i sprzętu przeznaczonymi do wywiezienia na wschód. Pod nosem SHAEF-u Kwatermistrzostwo Armii Stanów Zjednoczonych i gromada rywalizujących ze sobą zespołów badawczych w pocie czoła zbierają wszystko, co tylko wpadnie im w ręce. Osaczyli już von Brauna i pięciuset innych, internowali ich w Garmisch. Co będzie, jeśli dopadną Slothrop?

Kryzys dodatkowo pogłębiają odstępstwa: Rollo Groast powrócił do Towarzystwa Badań Parapsychicznych, Treacle otworzył prywatną praktykę, Myron Grunton znów jest pełnoetatowym radiowcem. Mexico odsunął się na

bok. Ta Borgesius nadal wykonuje nocne posługi, brygadier jednak zachorzał (stary dureń pewnie zapomniał o zażywaniu antybiotyków; czy Pointsman musi zawsze osobiście wszystkiego dopilnować?), toteż ona się gryzie. Oczywiście Géza Rózsavölgyi pozostał wierny przedsięwzięciu. Fanatyk. Rózsavölgyi nigdy nie odejdzie.

No więc tak. Urlop nad morzem. Z przyczyn natury politycznej wycieczka składa się z Pointsmana, Mexico, jego dziewczyny, Dennisa Jointa i Katje Borgesius. Pointsman ma buty na sznurku, swój przedwojenny melonik i rzadko widywany uśmiech na twarzy. Pogoda jest daleka od ideału. Zachmurzenie i wiatr, który przyniesie chłód po południu. Z lunaparkowych samochodzików pośród szarych stalowych dźwigarów obok promenady wionie zapach ozonu pospołu z wonią skorupiaków na taczkach i słonej wody. Na kamienistej plaży tłoczą się rodziny: bosci ojcowie w spacerowych garniturach i wysokich białych kołnierzykach, matki w bluzkach i spódnicach wyrwanych z pięcioletniego kamforowego snu, rozbiegane dzieci w letnich ogrodniczkach, pieluszkach, kombinezonach, krótkich spodenkach, podkolanówkach, etońskich kapelusikach. Są lody, słodycze, coca-cola, małże, ostrygi i krewetki z solą i sosem. Bilardy elektryczne dygoczą pod ręką fanatycznych żołnierzy i ich dziewcząt, taniec ciał, przekleństwa, jęki, gdy na trasach pełnych drewnianych przeszkód jaskrawa kulka turla się z klekotem obok kołowrotek, błyskających lampek, stukających łapek. Osły ryczą i srają, dzieci wchodzą w gówna, rodzice krzyczą. Zapadnięci w pasiastych leżakach mężczyźni rozmawiają o interesach, sporcie, seksie, a przede wszystkim o polityce. Katarynka wygrywa uwerturę ze „Sroki złodziejki” Rossiniego (jak zobaczymy później, w Berlinie, było to szczytne osiągnięcie w muzyce, powszechnie zignorowane, bo preferowano Beethovena, który nigdy nie posunął się dalej niż wyartykułowanie własnych intencji), i teraz, bez werbli i dudnienia instrumentów dętych melodia jest dojrzała, pełna nadziei, obietnicy lawendowych zmierzchów, nieskazitelnych pawilonów ze stali, masowego uszlachcenia oraz miłości nieskalanej



kupczeniem...

Pointsman postanowił dziś unikać spraw zawodowych i pozwolić, żeby toczyły się swobodne rozmowy. Poczekajmy, niech inni się zdradzą. Tylko że zapanowała nieśmiałość albo skrępowanie. Z rzadka w ogóle otwierają usta. Dennis Joint z chutliwym uśmiechem na twarzy obserwuje Katje, raz po raz rzucając podejrzliwe spojrzenia Rogerowi Mexico. Mexico przeżywa ciężkie chwile z Jessicą – ostatnio coraz częściej – w tym momencie nawet na siebie nie patrzy. Katje Borgesius wbiła wzrok w morze i trudno powiedzieć, co się z nią dzieje. Z niejasnego powodu Pointsman wciąż czuje respekt przed tą kobietą, choć nie widzi, by miała jakiegokolwiek wpływu. Nadal nie wie mnóstwa rzeczy. Obecnie chyba najbardziej niepokoi go jej związek – jeśli taki istnieje – z Piratem Prentice'em. Prentice zjawił się kilkakrotnie w „Białym Nawiedzeniu” i zadawał niedwuznaczne pytania na jej temat. Kiedy PISCES otworzyły ostatnio nowe biuro w Londynie (które jakiś dowcipniś, pewnie ten młody imbecyl Webley Silvernail, ochrzcił „Dwunastym Domem”), Prentice zaczął tam zaglądać, flirtował z sekretarkami, próbował zerknąć do tych akt, do tamtych... Co się szykuje? Jakie życie pozagrobowe znalazła Firma po tej stronie dnia zwycięstwa? Czego chce Prentice... jaką ma cenę? Czy zakochał się w tej La Borgesius? Czy możliwe, że ona jest zakochana? Zakochana? Można dostać obłędu. Ciekawe, co ona rozumie przez miłość...

– Mexico! – Łapie młodego statystyka za rękę.

– Taa? – Roger oderwany od łypania na podobną do Rity Hayworth ślicznotkę w jednoczęściowym kwiecistym kostiumie o ramiączkach skrzyżowanych na szczupłych plecach...

– Wydaje mi się, że mam halucynację.

– Naprawdę? Tak ci się wydaje? A co widzisz?

– Co widzę... widzę... Jak to co widzę, gnido? Chodzi o to, co słyszę.

– No to co słyszysz? – pyta Mexico trochę poirytowany.

– Teraz akurat ciebie, słyszę, jak mówisz: „No to co słyszysz?”. I wcale mi



się to nie podoba!

– Dlaczego?

– Dlatego, że choć moja halucynacja nie jest najprzyjemniejsza, wolę ją o niebo od brzmienia twojego głosu.

Hm, takie zachowanie byłoby zastanawiające w wypadku każdego, w wypadku kulturalnego na ogół Pointsmana wydaje się na tyle dziwaczne, że towarzystwo wzajemnej paranoi staje jak wryte. W pobliżu kręci się koło fortuny z paczkami papierosów, lalkami i batonami poupychanymi wśród szprych.

– Ho, ho. Co o tym myślisz? – Jasnowłosa, czerstwy Dennis Joint trąca Katje łokciem dużym jak kolano. W swojej profesji nauczył się błyskawicznie oceniać ludzi, z którymi ma do czynienia. Dobrą Katje uważa za pogodną dziewczynę, co przyjechała się zabawić. Owszem, materiał na przywódcę, z całą stanowczością. – Czy on aby raptem nie sfiksował? – próbuje mówić półgłosem, szczerząc się atletyczną paranoją mniej więcej w stronę stukniętego pawłowisty: mniej więcej, rozumiemy się, bo kontakt wzrokowy mógłby być szaleństwem zakrawającym na samobójstwo, biorąc pod uwagę stan umysłowy Pointsmana...

Tymczasem Jessica odgrywa numer Fay Wray. To swoisty paraliż obronny, pokrewny twojej reakcji, gdy morena skoczyła z sufitu. Lecz teraz chodzi o Kułak Małpoluda, o elektryczne światła Nowego Jorku wdzierające się białością do pokoju, który uważałeś za bezpieczny, za niezgłębiony... o szorstkie czarne kudły, ścięga potrzeby, tragiczną miłość...

„No więc – jak ujmuje to Mitchell Prettyplace w gruntownym osiemnastotomowym studium o «King Kongu» – musicie zrozumieć, moi drodzy, że on ją kochał”. Traktując tę tezę jako punkt wyjścia, krytyk omawia drobiazgowo po kolei wszystkie sceny – również te, których ostatecznie nie wykorzystano – poszukuje najdrobniejszej symboliki, przedstawia wyczerpująco biografie osób związanych z realizacją, statystów, technicznych... a nawet wywiady z wyznawcami kultu King Konga, którzy –

by się zaliczać do tego grona – muszą zobaczyć film przynajmniej sto razy i zdać ośmiogodzinny egzamin wstępny. A jednak... a jednak do głosu dochodzi prawo Murphy’ego, ta bezczelna, irlandzka, proletariacka parafraza twierdzenia Gödla: „Gdy zadbano o wszystko, gdy nic już nie może pójść na opak ani nas zaskoczyć... coś nas zaskoczy”. Zatem żadna permutacja ani wersja książki Puddinga pod tytułem „Co może się wydarzyć w polityce europejskiej” z roku 1931 – roku twierdzenia Gödla – w najmniejszej mierze nie uwzględnia Hitlera. Gdy zostają sformułowane prawa dziedziczności, rodzą się mutanty. Nawet tak deterministyczne urządzenie, jak rakieta A-4, wydaje na świat byt w rodzaju S-Gerät, poszukiwany przez Slothrop’a jak Graal. Podobnie legenda o małpie ofiarnej, którą jak Lucyfera straciliśmy z najwyższego gmachu świata, zaczęła w godzinie przeznaczenia płodzić własne dzieci, porozbiegane w tej chwili po Niemczech – Schwarzkommando, którego istnienia nawet Mitchell Prettyplace nie mógł przewidzieć.

W PISCES zapanowało powszechne przekonanie, że Schwarzkommando wywołano w sposób, w jaki skrzykuje się demony, że ujrzało światło dzienne za sprawą zlikwidowanej już Operacji „Czarne Skrzydło”. Ani chybi ci z Sekcji Psi zacierali dłonie z radości. Kto mógł przewidzieć, że pojawią się *realni* czarni żołnierze, obsługujący rakiety? Że bajeczka wymyślona w ubiegłym roku, by napędzić stracha wrogowi, okaże się prawdziwa – i nie ma mowy o zagonieniu tych upiorów z powrotem do butelki ani wypowiedzeniu zaklęcia wstecz – bo nikt nie zna pełnej formuły, różni ludzie znają różne urywki, na tym przecież polega praca w zespole... Kiedy przyjdzie im do głowy, by przejrzeć najtajniejsze akta dotyczące Operacji „Czarne Skrzydło”, by spróbować zrozumieć, jak to się wszystko mogło stać, zorientują się, że dziwnym trafem pewne istotne dokumenty albo znikły, albo zostały uaktualnione już po zakończeniu Operacji, toteż niepodobna teraz, poniewczasie, odtworzyć zaklęcie, choć naturalnie pojawią się jak zwykle eleganckie domysły w stylu kiepskiej poezji. Okroi się i uciszy nawet

wcześniejsze domniemania. Nie pozostanie śladu po pierwotnych niepewnych ustaleniach freudysty Edwina Treacle'a i jego ludzi, którzy pod koniec byli na bakier nawet z własną mniejszością, czyli psychoanalitycznym skrzydłem Sekcji Psi. A wszystko zaczęło się od poszukiwania wymiernej podstawy powszechnego doznania, polegającego na byciu nawiedzanym przez zmarłych. Po jakimś czasie koledzy zaczęli podrzucać karteczki z żądaniem, by ich przeniesiono. Podziemne korytarze pobrzmiwały nieprzyjemnymi pomrukami w rodzaju: „Tu się porobiło jak w Instytucie Tavistock”. Przewroty pałacowe – niejeden obmyślony w dekoracji wspaniałych wybuchów paranoi – sprowadziły stada ślusarzy i spawaczy, wywołały tajemnicze niedobory materiałów biurowych, a nawet wody i ogrzewania... niemniej nic nie powstrzymało Treacle'a i jego ludzi od kontynuowania wysiłków z freudowskim, a nawet jungowskim nastawieniem do sprawy. Wieści o rzeczywistym istnieniu Schwarzkommando dotarły tydzień przed dniem zwycięstwa. Poszczególne incydenty – kto powiedział co do kogo – zesły na drugi plan w wynikłym szale oskarżeń, lamentów, załamania nerwowych i przyływów złego smaku. Ktoś pamięta Gavina Trefoila, o twarzy niebieskiej niczym u Kriszny, biegającego nago jak go Pan Bóg stworzył wśród przyszczyżonych drzew, ściganego z siekierą przez Treacle'a, który krzyczał: „Olbrzymi małpolud? Już ja ci pokażę olbrzymiego małpoluda!”.

Istotnie, pokazywał stwora niejednemu z nas, choć nie chcieliśmy patrzeć. W swej niewinności nie widział powodu, dlaczego wykonawcy akcji wywiadowczych nie mieliby uprawiać samokrytycyzmu z podobną surowością, z jaką robią to komórki rewolucyjne. Porządny chłopak, nie zamierza! urazić niczyjej wrażliwości, usiłował tylko pokazać, że odczucia wobec czerni są wypadkową odczuć wobec gówna, a odczucia wobec gówna wypadkową odczuć wobec gnicia i śmierci. Wydawało mu się to zupełnie oczywiste... dlaczego nie chcieli słuchać? Dlaczego nie chcieli przyznać, że ich zahamowania zrodziły – na zasadzie zatraconej przez Europę w

końcowych, wyczerpanych stadiach jej zwyrodniałej magii – rzeczywistych, żywych ludzi, wyposażonych przypuszczalnie (czego dowodziły najlepsze informacje wywiadu) w rzeczywistą, żywą broń, podobnie jak poległy ojciec, który nigdy z tobą nie spał, Penelope, powraca każdej nocy do twojego łóżeczka i usiłuje wślizgnąć się z tyłu... albo jak nienarodzone dziecko budzi cię ze snu, kwiląc w mroku, a ty czujesz jego widmowe usteczka przy piersi... są rzeczywiści, żywi, gdy ty udajesz, że krzyczysz uwięziona w Kulaku Małpoluda... zerkając jednak na o wiele bardziej prawdopodobną kandydatkę, jasnoskórą Katję pod kołem fortuny, która zamierza w tej chwili pognać plażą do względnego zacisza kolejki górskiej. Pointsman przeżywa halucynację. Stracił kontrolę. A przecież powinien mieć całkowitą władzę nad Katją. Co więc się dzieje z dziewczyną? Jest pod kontrolą, która znajduje się poza kontrolą. Tak przerażona jak teraz nie czuła się nawet w *gemütlich* świecie kapitana Blicero, pełnym bólu i wyprawionej skóry.

Roger Mexico bierze to wszystko do siebie, a-niech-to-szlag, próbuje tylko pomóc...

Tymczasem nieco rozkojarzony Pointsman wciąż słyszy głos, osobliwie znajomy głos, postrzegany niegdyś jako twarz na dobrze znanej wojennej fotografii prasowej:

„Oto co musisz zrobić. Obecnie potrzebujesz Rogera Mexico bardziej niż kiedykolwiek. Twoje zimowe lęki przed Końcem Dziejów minęły, część własnej biografii wydaje ci się złym snem. Ale jak mówi lord Acton: «Historii nie tkają niewinne ręce». Zagrożeniem dla całego przedsięwzięcia jest dziewczyna Mexico. On zrobi wszystko, by pozostać w grze. Lecz bocząc się, a nawet przeklinając Rogera, ona odciągnie go od ciebie prosto w mgłę cywilnego życia, w której stracisz go z oczu i już nigdy nie odnajdziesz – więc musisz działać niezwłocznie, Pointsman. Operacja «Backfire» posyła obecnie dziewczęta ze służb pomocniczych do Strefy. Dziewczyny do rakiet: praca biurowa, a nawet drobne zadania techniczne na poligonie w Cuxhaven. Musisz tylko za pośrednictwem Dennisa Jointa szepnąć słowo tym z Grupy

Operacyjnej i masz z głowy Jessicę Swanlake. Mexico będzie się skarżył przez chwilę, ale tym lepszy zyska powód, żeby – pod odpowiednim nadzorem – zatracić się w pracy, he? Przypomnijmy sobie elokwentne słowa Denisa Naylanda Smitha, wypowiedziane do Alana Sterlinga, którego narzeczona wpadła w szpony podstępnego Żółtego Nieprzyjaciela: «Przeszedłem przez ogień, który pali teraz ciebie, Sterling, i przekonałem się, że praca jest najlepszą maścią na oparzenia». Obaj wiemy, co reprezentuje sobą Nayland Smith, mhm? Prawda?».

– Ja wiem – odpowiada Pointsman głośno – ale nie mogę stwierdzić, czy ty wiesz, skoro nawet nie wiem, kim jesteś. Jasne?

Ten dziwny wybuch wcale nie uspokaja jego towarzyszy. Odsuwają się, wyraźnie strwożeni.

– Powinniśmy poszukać lekarza – szepcze Dennis Joint, mrugając do Katje jak krótko ostrzyżony jasnowłosy Groucho Marx.

Zapominając o swoich dąsach, Jessica chwyta Rogera za ramię.

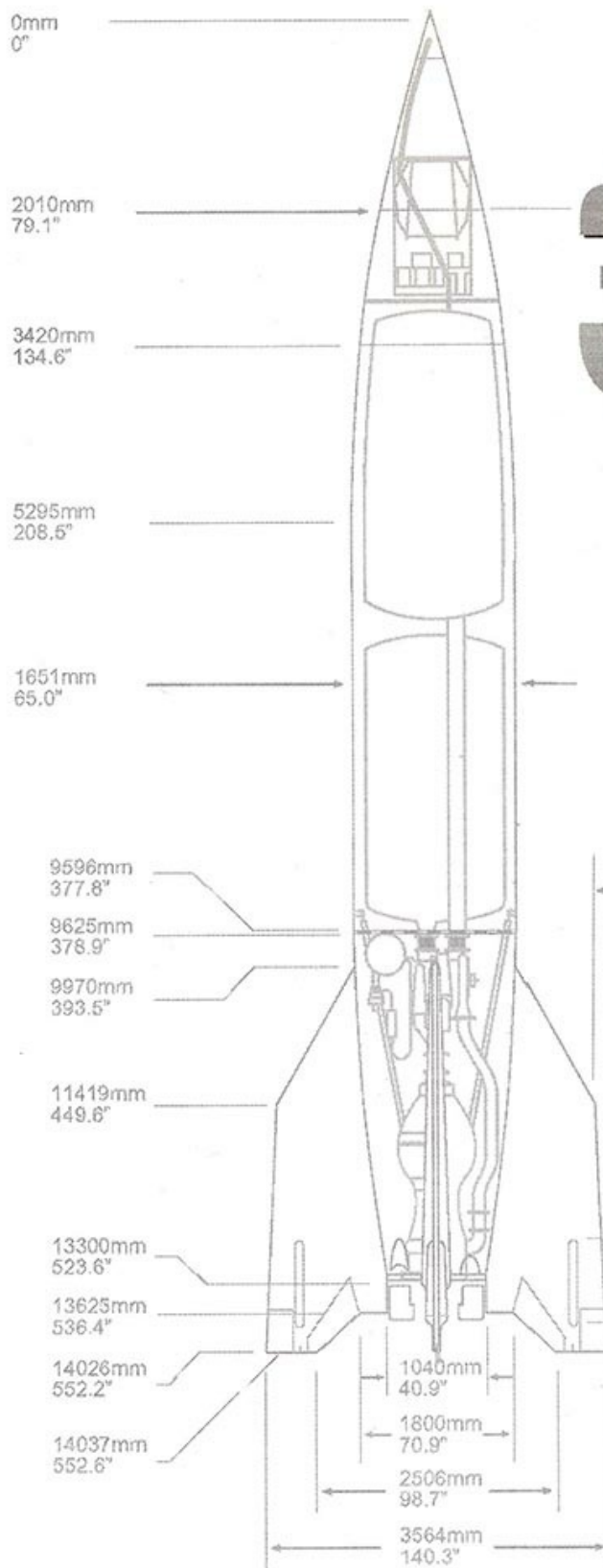
„Widzisz, widzisz – znów odzywa się głos – ona uważa, że chroni go przed tobą. Ile szans ma człowiek, żeby stać się syntezą, Pointsman? Wschód i Zachód, razem w jednym facecie. Możesz być nie tylko Naylandem Smithem, dającym wystraszonemu młodzieńcowi słuszną radę, dotyczącą zbawiennego charakteru pracy, ale też, jednocześnie, Fu Manchu! He? Tym, w którego rękach znalazła się panna! Co ty na to? Protagonista i antagonistą we wspólnym ciele. Ja bym skorzystał na twoim miejscu”.

Pointsman zamierza zripostować: „Ale nie jesteś na moim miejscu”, lecz nagle widzi dokoła pary wybałuszonych oczu.

– Och, cha, cha, cha – kwituje. – Rozmawiam trochę z samym sobą. Ociupinka, no jakby, ekscentryczności, he, he.

„Jin i jang – szepcze głos – jin i jang...”.

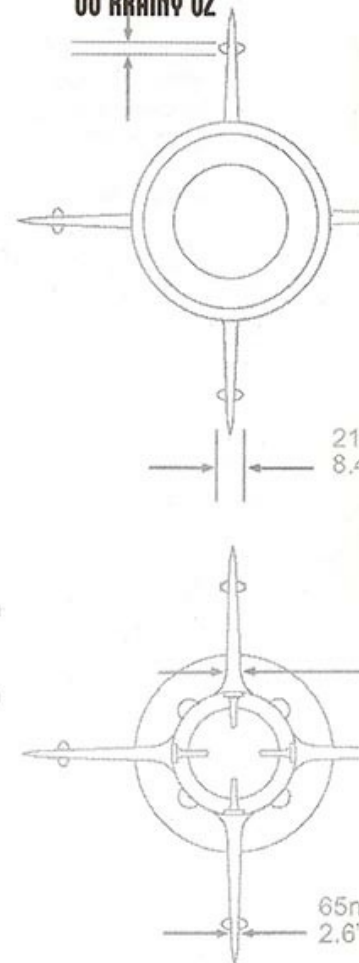




# 3 W Strefie

Toto, chyba nie jesteřmy  
w Kansas...

80mm  
DOROTHA PO PRZYBYCIU  
DO HRANIV OZ





Bezboleśnie minęły dni *Eis-Heiligen* – świętych Pankracego, Serwacego, Bonifacego, *die kalte Zofii*... unoszą się w obłokach nad winnicami, ci zimni patroni, gotowi jedną intencją, jednym tchnieniem mrozu i chłodu zwarzyć rok. W niektórych latach, zwłaszcza w latach Wojny, są niełaskawi, skorzy do gniewu, kołtuńsko upojeni swoją mocą: mało święci, nawet mało chrześcijańscy. Modlitwy hodowców, zbieraczy i miłośników wina z pewnością docierają do ich uszu, trudno jednak powiedzieć, co czują święci ogrodnicy: ochrypli śmiech, pogański gniew; któż by zrozumiał tę ariergardę, strzegącą zimy przed rewolucjonistami maja?

Tego roku wieś zastali pogrążoną w spokoju od kilku dni. Winorośl już zaczyna porastać smocze zębiska, strącone sztukasy, spalone czołgi. Słońce ogrzewa stoki wzgórz, rzeki przelewają się bystre jak wino. Święci się pohamowali. Noc była łagodna. Przymrozki nie przyszły. Nastała wiosna pokoju. Skoro Bóg zdarzył przynajmniej sto słonecznych dni, wino będzie się miało dobrze.

Nordhausen pokłada mniej wiary w świętych ogrodników niż regiony uprawy winorośli położone głębiej na południu, jednak tutaj sezon też zapowiada się obiecująco. Deszcz siąpi, gdy bosy Slothrop, stopy całe w bąblach, przybywa wczesnym rankiem do miasteczka, żeby odsapnąć w mokrej trawie. Hen, w górach, świeci słońce. Jego buty zwędził jakiś uchodźca o dłoniach bardziej lepkich niż smoła, gdy zmorzony głębokim snem Slothrop turlał się przez Bawarię n-tym pociągiem od przekroczenia granicy. Złodziej włożył mu czerwony tulipan między palce. Slothrop wziął to za znak. Za przypomnienie o Katje.

Tutaj, w Strefie, odnajdą go znaki i przodkowie upomną się o swoje. To jak wyprawa do najczarniejszej Afryki: badamy ludy tubylcze i orientujemy się, że o władnęły nami ich niezwykle wierzenia. Zabawne, bo któregoś dnia Slothrop istotnie natknął się na Afrykanina, pierwszego w swoim życiu. Ich rozmowa na dachu wagonu towarowego w poświacie księżyca trwała zaledwie minutę lub dwie. Zdawkowa pogawędka o nagłym zniknięciu

majora Duane'a Marvy'ego, wśród łoskotu na wybrukowanym wiadukcie prowadzącym w dolinę – z całą pewnością nie padło ani słowo o wierzeniach Hererów na temat przodków. Niemniej Slothrop czuje się coraz bardziej – coraz silniej w miarę mijania granic i wsysania go przez Strefę – jednym z tych białych anglosaskich protestantów pozapinanych w czerń, którzy słyszeli gromki głos Boga w każdym drgnieniu liścia na wietrze i stąpieniu krowy łążącej samopas po jabłoniowych sadach jesienią...

Znaki Katje. I sobowtórów też. Pewnej nocy siedział w dziecięcej bawialni w opuszczonym majątku, dokładając do ognia jasne włosy lalki o modrych oczach. Zatrzymał te oczy. Kilka dni później zapłacił nimi za podwiezienie i połowę ugotowanego ziemniaka. W dali ujadły psy, letni wiatr szumił pośród brzoź. Slothrop znalazł się na jednej z głównych magistrali wiosennej dezintegracji i odwrotu. Gdzieś niedaleko oddział rakietowy generała-majora Kammlera spotkała zbiorowa śmierć; po żołnierzach zostały szczątki okaleczonej wojskowej techniki: moduły, fragmenty kadłuba pocisku, gnijąca bateria, tajemnice utajnione z powrotem przez deszcz rozmiękczający papier. Slothrop szuka. Każda wskazówka jest dobra, by wskoczyć do pociągu...

Włosy lalki są ludzkie. Wydzielają przeokropny swąd w ogniu. Slothrop słyszy zgrzyt po drugiej stronie ogniska – odgłos nakręcanej zębarki – chwytając koc, gotów wyskoczyć przez rozbite okno, spodziewając się granatu. W krąg światła wjeżdża – ki-ki-ki – jaskrawo pomalowana zabawka, mały orangutan na kółkach, roztrzęsiony, kiwający główką, mordka ścięta uśmiechem idioty, stalowe knykcie drapią podłogę. Dojeżdża niemal do samych płomieni i wtedy mechanizm przestaje działać, a ruchoma główka zastyga idealnie pośrodku, wpatrzona w Slothropą.

Slothrop wrzuca do ognia kolejny kosmyk złotych włosów.

– Dobry wieczór – mówi.

Śmiech skądś. Dziecko. Ale głos jest starczy.

– Wyłaż, nic ci nie zrobię.

Śladem małpy pojawia się drobny czarny kruk z czerwonym dziobem, też

na kółkach, który podskakuje, kracze, trzepocze metalowymi skrzydłami.

– Dlaczego palisz włosy mojej lalki?

– No wiesz, to nie są tak naprawdę jej włosy.

– Tatuś mówił, że należały do rosyjskiej Żydówki.

– Dlaczego nie podejdziesz do ognia?

– Bo razi mnie w oczy. – Znowu zgrzyt nakręcania. Nic się nie porusza. Zaczyna grać katarynka. Precyzyjna melodia w molowej tonacji. – Zatańcz ze mną.

– Nie widzę cię.

– Tutaj. – Z półmroku na granicy poświaty wystrzela drobny aster.

Slothrop wyciąga rękę i odnajduje dłoń, chwyta wąską talię. Zaczynają tańczyć z godnością. Nie potrafi nawet powiedzieć, czy to on prowadzi.

W ogóle nie widzi jej buzi. W dotyku przypominała woal i organdyne.

– Ładna sukienka.

– Miałam ją na pierwszej komunii.

Ogień zaraz zgasł i pozostała tylko poświata gwiazd oraz słaba luna nad jakimś miastem na wschodzie, widziane z okien, w których powybijano wszystkie szyby. Katarynka grała i grała, jakby poza działaniem zwykłej sprężynki. Poruszali stopami po skruszonym zamglonym szkłe, strzępach jedwabiu, kościach martwych królików i kociąt. Geometryczna ścieżka zawiodła ich między wzdęte, podarte arrasy, pachnące kurzem i stworzeniami starszymi niż spoczywające obok ogniska... jednorożce, chimery... i cóż to zobaczył ozdabiającego dziecięce wejście jak girlandy? Warkocze czosnku? Chwileczkę, czy to nie czosnek strzegł przed wampirami? Jego słaba woń doleciała akurat w chwili – wtargnięcie bałkańskiej krwi w aurę Północy – gdy Slothrop obrócił się, by zapytać, czy dziewczynka naprawdę jest Katje, śliczną królewną Transylwanii. Lecz brzmienie muzyki ucichło. Mała zdematerializowała się w jego ramionach.

Cóż, przemieszcza się więc po Strefie jak planszeta po tabliczce ouija, a to, co pojawia się w pustym kręgu jego mózgu, może tworzy jakieś przesłanie, a

być może nie, będzie się musiał przekonać. Niemniej czuje palce sensytywa, spoczywające lekko, acz pewnie na jego dniach i myśli o nich jako o palcach Katje.

Nadal jest łanem Scufflingiem, korespondentem piszącym o wojnie (pokoju?), znów w brytyjskim mundurze, mając mnóstwo czasu w pociągach, by przemyśleć informacje wykradzione przez Mario Schweitara w Zurychu. Dostał gruby plik dokumentów na temat imipoleksu G, które wskazują Nordhausen. Inżynierem zajmującym się imipoleksem ze strony odbiorców był niejaki Franz Pökler. Przyjechał do Nordhausen na początku 1944 roku, kiedy umasowiono produkcję rakiet. Zakwaterowano go w Mittelwerke, podziemnym kompleksie fabrycznym prowadzonym przez SS. Nie ma jednak słowa o tym, gdzie się podział, gdy fabrykę ewakuowano w lutym i marcu. Lecz as dziennikarstwa Ian Scuffling z pewnością znajdzie w Mittelwerke odpowiedź na to pytanie.

Slothrop siedział w rozbujanym wagonie razem z trzydziestką innych zmarzniętych łachmaniarzy, oczy samymi źrenicami, usta pokryte kraterami strupów. Śpiewali, niektórzy w każdym razie. Niejeden był dzieckiem. Śpiewali pieśń uchodźcy, którą w kilkunastu wersjach Slothrop usłyszy jeszcze nieraz w Strefie, po obozowiskach, na drodze:

Gdy wieczorem ujrzysz pociąg  
Hen, w oddali, na tle nieba,  
Śpij w dębowej swej jesionce –  
Zatrzymywać go nie trzeba.

Co noc mają nas pociągi  
Gwizdem grzmiącym w naszą stronę,  
Co noc mkną przez puste miasta,  
Stacje, dworców pozbawione.

Ani śladu maszynisty,  
Pasażerów, konduktora,

Pociąg sprawą cierpkiej nocy,  
Tylko światło reflektora.

Na peronach nikt nie czeka,  
Zwrotnic ze snu nikt nie zrywa,  
Pociąg weźmie po nas spadek,  
One mkną, nam lat przybywa.

Niech wołają jak zdradzone,  
Odpowiada wiatr, co dokądś śpieszy.  
Dołą ich jest noc, zatrata,  
Naszą śpiewać jest i grzeszyć.

Krążą fajki. Dym wisi u wilgotnych desek, wypływa ze świstem strumieniami przez szpary prosto w noc. Dzieci postępują we śnie, rachityczne niemowlęta płaczą... matki raz po raz zamieniają zdawkowe słowo. Slothrop kuli się w swojej papierowej niedoli.

Teczka personalna założona L. (Laszlo) Jamfowi przez szwajcarskie przedsiębiorstwo wylicza wszystkie jego dokonania w okresie, gdy przybył do Zurychu. Aż do 1924 roku zasiadał – jako figurant – w zarządzie Grössli Chemical Corporation. Wśród operacji giełdowych i fragmentarycznej dokumentacji rozmaitych niemieckich firm – dokumentacji zebranej potem w ciągu roku lub dwóch przez ośmiornicę IG – znalazł się dowód pewnej transakcji między Jamfem a panem Lyle'em Blandem z Bostonu.

Właściwy trop, szefie. Lyle Bland to dobrze znane nazwisko. Które w dodatku pojawia się często w osobistych zapiskach Jamfa dotyczących jego prywatnych interesów. Wygląda na to, że z początkiem lat dwudziestych Bland zaangażował się w operacje Hugona Stinnesa w Niemczech. Stinnes okazał się cudownym dzieckiem europejskiej finansjery. Za bazę mając zagłębienie Ruhry, gdzie jego krewni od pokoleń byli baronami węglowymi, Stinnes zbudował imperium stali, gazu, energii wodnej i elektrycznej, tramwajów i barek rzecznych jeszcze przed ukończeniem trzydziestego roku

życia. Podczas pierwszej wojny światowej współpracował ściśle z Walterem Rathenauem, który dyrygował wtedy całą gospodarką. Po wojnie skutecznie połączył poziomy trust elektroniczny Siemens-Schuchert oraz Rheinelbe Union, dostawcę węgla i żelaza, w jeden superkartel, którego struktura była zarówno pionowa, jak i pozioma. Jednocześnie wykupywał niemal wszystko – stocznie, floty parowców, hotele, restauracje, lasy, celulozownie, gazety – oraz spekulował pieniędzem, nabywając waluty obce za pożyczki z Banku Rzeszy, zaniżając kurs marki i spłacając długi za ułamek początkowej sumy. Obwiniano go za inflację bardziej niż jakiegokolwiek innego finansistę. Nastaly czasy, kiedy do sklepu spożywczego chodziło się z taczką pieniędzy, kiedy banknoty służyły za papier toaletowy – pod warunkiem, że było czym srać. Międzynarodowe koneksje Stinnesa oplatały cały świat – Brazylia, Indie Wschodnie, Stany Zjednoczone – przedsiębiorcy pokroju Lyle’a Blanda uznali więc, że jego ekspansji nie można powstrzymać. W tamtych dniach krążyła teza, że Stinnes spiskuje z Kruppem, Thyssenem i innymi, by zniszczyć markę i tym sposobem wywikłać Niemcy z obowiązku płacenia reparacji wojennych.

Związki Blanda ze Stinnesem były niejasne. Zapiski Jamfa wspominają, że wynegocjował umowy na dostawy ton prywatnej waluty, znanej Stinnesowi i jego kolegom jako Notgeld, a Republice Weimarskiej jako „banknoty Mefo” – kolejny buchalteryjny unik Hjalmara Schachta, żeby w oficjalnych dokumentach nie znalazła się najmniejsza wzmianka o nabywaniu broni, czego zakazywał traktat wersalski. Niektóre umowy na emisję banknotów wydzierżawiono pewnej papierni z Massachusetts, w której zarządzie zasiadał akurat Lyle Bland.

Papiernia nazywała się Slothrop Paper Company.

Bez większego zdumienia czyta własne nazwisko. Przypisane tutaj jak najdrobniejsze szczegóły do *déjà vu*. Gdy wbija wzrok w tych osiem znaków, naniesionych atramentem, zamiast nagłego wtargnięcia światła (choćby w kształcie ludzkiej istoty; złote i ostrzegawcze światło), występuje

nieprzyjemne zaburzenie w żołądku, strach namacalny jak owładające ciałem wymioty – ten sam zawrót głowy, który dopadł go dość dawno temu w kasynie „Hermann Goering”. Balon spowija jego czaszkę, gumowy, obszerny, napiera ze wszystkich stron, to znane nam uczucie, owszem, ale... Doznaje również wzrodu, bez wyraźnej przyczyny. No i znowu jest ta woń, pochodząca sprzed narodzin jego świadomej pamięci, łagodna chemiczna woń, groźna i namolna, niespotykana w świecie – tchnienie Zakazanego Skrzydła... esencja wszystkich nieruchomych sylwetek, czekających w środku, wzywających go, by wszedł i odkrył tajemnicę, która go zniszczy.

Kiedyś wyrządzono mu krzywdę, gdy leżał bezbronny w pokoju...

Wzwód szumi z pewnej odległości niczym instrument zainstalowany, podłączony przez Nich do jego ciała, niczym kolonialna placówka tutaj, w naszym surowym i zgiełkliwym świecie, kolejna agentura reprezentująca Ich odległą białą Metropolię...

Smutna historia, bez dwóch zdań. Nieźle już podenerwowany, Slothrop czyta dalej. Lyle Bland, hę? Jasne, wszystko klapuje. Przypomina sobie jak przez mgłę, że parokrotnie spotkał wujka Lyle'a. Facet odwiedzał ojca, uprzejmy, jasnowłosy, energiczny człowiek w stylu Jima Fiska. Bland podnosił małego Tyrone'a i bujał nim, trzymając go za stopy. To było miłe – w tamtym czasie Slothrop nie przywiązał się jeszcze do pozycji głową ku górze.

Z tego, co tu napisano, wynika, że Bland albo dostrzegł oznaki nadchodzącego krachu wcześniej niż większość jego ofiar, albo był z natury ostrożnym człowiekiem. Już na początku 1923 roku zaczął zbywać udziały w spółkach Stinnesa. Za pośrednictwem Laszlo Jamfa jeden pakiet zakupiła Grössli Chemical Corporation (późniejsza Psychochemie AG). Aktywami przekazanymi w ramach tej transakcji były „wszelkie udziały w przedsięwzięciu Schwarzknahe. Sprzedający zobowiązuje się do dalszego wypełniania obowiązków inwigilacyjnych, dopóki pracownika wydelegowanego przez Schwindla nie zastąpi pracownik nabywcy na



warunkach określonych przez sprzedającego”.

W teczce personalnej znajduje się też słowniczek kryptonimów stosowanych przez Jamfa na własny użytek. W końcu konspiracyjność stanowiła część charakteru tego człowieka. „Schwindel” był kryptonimem wymyślonym dla Hugona Stinnesa. Stary pierdziel miał błyskotliwe poczucie humoru. Obok słowa „Schwarzknabe” widnieją inicjały: „T.S.”.

O psiamać, to chyba ja, kombinuje Slothrop, hm? Wykluczając mało prawdopodobną ewentualność, że chodzi o Tarkwiniusza Starego.

Jako nieuiszczona część płatności wymaganych za Schwarzknabe na rzecz Uniwersytetu Harvarda – „na mocy (ustnej) umowy ze Schwarzvaterem” – figuruje kwota około 5000 dolarów, w tym odsetki.

„Schwarzvater” to kryptonim dla inicjałów B.S. Co, zdaniem Slothropa, wykluczając mało prawdopodobną ewentualność, że chodzi o Bedricha Smetanę, wskazuje na jego ojca, Brodericka. „Czarny ojciec” Slothrop.

Miło jest dowiedzieć się, że dwadzieścia lat temu tato zawarł z kimś umowę, by zadbać o wykształcenie dziecka. Fakt, Slothrop jakoś nigdy nie mógł pogodzić zapowiedzi – z czasów Wielkiego Kryzysu – o nieuchronnym bankructwie rodzinnych interesów z luksusem, jakiego zaznał na Harvardzie. No więc czego dotyczyła umowa między ojcem a Blandem? Jezu Chryste, sprzedano mnie, sprzedano do IG Farben jak półtuszę. Działania inwigilacyjne? Wzorem każdego wielkiego przemysłowca Stinnes miał własną siatkę szpiegowską. Podobnie IG. Czy to znaczy, że Slothrop był pod ich obserwacją – m-może od chwili urodzenia? Oooo rany...

Strzelają bąbelki strachu w mózgu. Trudno je będzie uspokoić zwykłym „chuj wam w dupę”... Woń, zakazany pokój na dnie pamięci. Nie rozumie tego, nie potrafi rozwikłać. Nie chce. Sprzymierzyło się z Najgorszym.

Wie, co to za woń: choć według tych dokumentów było za wcześnie, choć nigdy nie natknął się na nic podobnego między dziennymi współzrędnymi swojego życia, jednak tutaj, głęboko w ciepłym mroku, pośród wczesnych kształtów, gdzie zegary i kalendarze niezbyt wiele znaczą, wie, że wonią,

która go nawiedza, okaże się zapach imipoleksu G.

No i dochodzi jeszcze niedawny sen, którego powtórki się lęka. Siedział w swoim pokoju, w domu. Letnie popołudnie, pełne fiołków i pszczoł, ciepłe powietrze, wionące przez otwarte okno. Znalazł bardzo stary słownik technicznej niemczyzny. Tomisko otworzyło się na stronie usianej tłustym drukiem. Czyta, jego wzrok dochodzi do hasła JAMF. Wyjaśnienie brzmi: „ja”. Ocknął się, błagając: nie, nie – ale nawet po przebudzeniu był pewien, pewien już pozostanie, że sen znów go nawiedzi znienacka. Być może znasz ten sen. Być może w tym śnie ostrzeżono cię, byś nigdy nie wymawiał jego miana. Jeśli tak, wiesz, co przeżywa teraz Slothrop.

Dźwiga się z trudem na nogi, podchodzi do ściany wagonu towarowego, który właśnie pokonuje wzniesienie. Odsuwa drzwi, wyslizguje się – działać, działać! – i wdrapuje po drabince na dach. Krok od jego twarzy wisi w powietrzu garnitur błyszczących jasnych zębów. Tego mu trzeba. To major Marvy z Kwatermistrzostwa Armii Stanów Zjednoczonych, dowódca Matek Marvy’ego, zespołu wywiadowczego najwredniejszych sukinkotów w całej jebanej Strefie, drogi panie. Slothropowi wolno zwracać się do niego po imieniu: Duane.

– Asfalty! Asfalty! Łapcie czarne aniołki, siedzą w tamtym wagonie! Na nich, hura!

– Chwila, moment – mówi Slothrop – zdaje się, że coś przespałem. – Ma zimne stopy. Ten Marvy to grubas. Nogawki spodni wyłazą z wyglansowanych wojskowych buciorów, warstwa tłuszczu zwisa nad pasem, za którym tkwią ciemne szkła w rogowych oprawkach i czterdziestka piątka, włosy przylizane do tyłu, oczy jak zawory bezpieczeństwa: wybałuszają się na świat, ilekroć – jak teraz – ciśnienie w głowie robi się za wysokie.

Marvy i jego ludzie załapali się na P-47 z Paryża aż do Kassel, w pociąg zaś wskoczyli na zachód od Heiligenstadt. Zasuważą do Mittelwerke, tak samo jak Ian Scuffling. Trzeba się skoordynować z ludźmi od General Electric, wykonującymi akcję „Hermes”. Jasne, że działają mu na nerwy te

czarnuchy po sąsiedzku.

– Ej, to dla ciebie wymarzona historia. Ostrzeż rodaków w ojczyźnie.

– Nasi?

– Skąd, cholera. Szwaby. Murzyny z Afryki Południowo-Zachodniej. Nie w kij dmuchał. Ty, chłopie, nic nie wiesz? Daj spokój. Hm, hm, hm. Wyspiarski wywiad uwiądnął, ha, ha, ha, bez obrazy, rozumiemy się? Myślałem, że już wie cały świat. – Rozwija się posępna opowieść, która brzmi tak, jakby ją spłodził SHAEF, bo przecież niezbyt lotną wyobraźnię Goebbelsa stać wyłącznie na alpejskie reduty i tym podobne, o zamysłach Hitlera, żeby w czarnej Afryce zbudować nazistowskie imperium, lecz plan szlag trafił, gdy nasz Twardziel skroił Rommlowi dupę na pustyni i podał mu ją na tacy. – Twoja skrojona sraka, generale. *Ach du lieber! Mein Arsch!* YAH – ha, ha, ha... – Marvy ściska się błazeńsko za własne duże siedzenie. Cóż, czarna kadra nie miała przed sobą żadnej przyszłości w Afryce, toteż została w Niemczech jako nieuznany przez nikogo rząd na uchodźstwie i powoli zadomowiła się w wojskach artyleryjskich, szybko poznając technikę rakietową. A teraz bambusy biegają samopas. Dzicy. O ile Marvy się orientuje, nie wzięto ich do niewoli, nie złożyli nawet broni. – Jakby mało jeszcze było zmartwień z Ruskimi, żabojadami, herbaciarzami, oj, przepraszam cię serdecznie, kolego. Dodatkowo mamy na głowie czarnuchów, i to szwabskich czarnuchów. Jezusie nazareński. W dniu zwycięstwa przy każdej wyrzutni miałeś czarnucha. Nie było całych czarnych baterii, kapujesz? Nawet Szwaby nie są takie durne! Pojedyncza bateria to osiemdziesięciu jeden ludzi plus wsparcie, kontrolki, paliwo, mierniczy – mistrzu, to byłaby kupa asfaltu w jednym miejscu! Pytanie, czy ciągle są rozproszeni? Ty się dowiedz, masz gorący temat, kolego. Bo jeśli się zejda do kupy, no to będą duuuuże kłopoty! W tamtym wagonie siedzi ich co najmniej dwudziestu – o tam, zerknij sobie.

I j-jadą do Nordhausen, koleś! – Gruby palec dźga Slothropą w pierś przy każdym słowie. – Ha? Co im kielkuje we łbach, jak myślisz? Wiesz, co ja

myśle? Mają plan. A jak. Chodzi o rakiety, tak sobie myślę. Nie pytaj, skąd wiem, ja po prostu czuję to w krzyżu. I wiesz co? To cholernie niebezpieczne. Im nie wolno ufać, zwłaszcza gdy chodzi o rakiety! To ludzie o mentalności dziecka. Mózgi mają mniejsze niż my.

– Ale za to cierpliwość mamy ogromną – odzywa się w mroku spokojny głos – chociaż ograniczoną. – Z tymi słowami na górę wchodzi wysoki Afrykanin z bujną królewską brodą. Chwyta grubego Amerykanina i zrzuca go z dachu. Slothrop i Murzyn patrzą do tyłu, jak major Marvy, który zdążył wydobyć z siebie tylko krótki wrzask, koziołkuje nasypem w dal, nogi i ręce rozrzucone na wszystkie strony. Jodły tłoczą się na wzgórzach. Nad poszarpanym grzbietem ukazał się sierp księżyca.

Mężczyzna przedstawia się po angielsku jako Oberst Enzian ze Schwarzkommando. Przeprasza za brak opanowania, dostrzega opaskę na ramieniu lana Scufflinga i odmawia wywiadu, zanim Slothrop zdąży wtrącić choć jedno zdanie.

– Nie mam nic do powiedzenia. Jesteśmy jeńcami jak inni.  
– Majorowi nie podobało się, że jedziecie do Nordhausen.  
– Marvy będzie kłopotliwy, ja to wiem już teraz. Mimo wszystko nie stanowi takiego problemu jak... – Zerka na Slothropą. – Naprawdę korespondent wojenny?

– Nie.  
– Wolny strzelec z wywiadu, jak przypuszczam?  
– Czy „wolny”, tego nie jestem pewien, Oberst.  
– Ale przecież jest pan wolny. Wszyscy jesteśmy. Przekona się pan. Niedługo. – Odchodzi szczytem dachu, machając po niemiecku na pożegnanie. – Niedługo...

Slothrop siada i pociera bosc stopy. Przyjaciół? Dobry znak? Czarne oddziały rakietowe? Co to za pieprzone brednie?

Dzień dobry, drużyno, pora na wymarsz  
Z hukiem i bronią gotową,

Na drugą wojnę światową!  
Już jest po sprawie, byczymy się w trawie,  
A ja wam zaświecę słońeczko nad głową,  
Ej ty, Szkopie jełopie, przestań się miotać, kłopotać,  
Przecież wracasz do domu, do żony,  
W mieście rakiet i Wunderwaffe, tą miną popełnisz gafę,  
Tam każdy dzień dniem wymarzonym –  
(Załóż kabaret, Margaret!)  
Dalej, ciesz się dniem wymarzooonym!

Nordhausen o poranku: polany są liśćmi zielonej sałaty, kruchymi od kropel deszczu. Wszystko jest świeże, wymyte. Góry Harcu garbią się wokół, ciemne stromizny porasta aż po szczyty świerk, jodła i modrzew. Domy o strzelistych dachach, tafle wody odbijające niebo, błotniste ulice, w drzwiach gospód i składów wojskowych tłumy amerykańskich i sowieckich żołnierzy, wszyscy z bronią osobistą. Łąki i wygolone kliny na stokach gór falują od cętkowanego światła, tymczasem nad Turynią gnają deszczowe chmury. Wysoko nad miastem przykucnęły zamki, żeglujące przez podarte obłoki. Z winnic do zajazdów toczą się wozy pełne beczek, ciągnięte przez krótkonogie stare chabety o uwalanych guzowatych kolanach i szerokiej piersi, szyje napięte w chomątach spiętych parami, przy każdym stąpieniu spod ciężkich podków wystrzelają kwiaty błota.

Slothrop zachodzi do części miasteczka pozbawionej dachów. Wśród murów starzy ludzie w czerni fruwać jak nietoperze. Tutejsze sklepy i mieszkania dawno splądrowali robotnicy przymusowi, wyzwoleni z obozu w Dora-Mittelbau. Niejeden pedał wciąż się tu kręci, w łapie koszyk, na rękawie naszywka – sto siedemdziesiąt pięć – na pokaz; patrzą łzawo spod drzwi. Z pozbawionego szyb wykuszu zakładu krawieckiego, z półmroku za przewróconym gipsowym manekinem bez włosów – ręce wyciągnięte ku niebu, palce u dłoni zakrzywione do bukietów albo szklanek, których już nigdy nie będą trzymać – Slothropa dobiega dziewczęcy śpiew. Do

akompaniamentu bałajki. Rzewna paryska melodia w takcie na trzy czwarte:

Miłość na zawsze nie odchodzi,  
Nigdy nie gaśnie bezpowrotnie,  
Zawsze się znajdzie *souvenir*  
Który zaskoczy nas przewrotnie.

Odszedłeś, miły, w siną dal,  
Różę zamknąwszy o poranku,  
W kartkach książeczki do nabożeństw,  
Ta róża dla mnie niespodzianką...

Choć jest już inny rok,  
Choć to już inna ja,  
Pod lipą miłość trwa,  
Pod różą wyschła łza...

Miłość na zawsze nie odchodzi,  
A już na pewno ta prawdziwa,  
Powraca nocą i za dnia,  
Czuła, zielona, nowa, żywa.  
Jak listek z mojej lipy, miły,  
Który do ciebie mnie przyzywa.

Nazywa się Geli Tripping, a bałajka należy do oficera radzieckiego wywiadu, niejakiego Cziczierina. Właściwie Geli też do niego należy – przynajmniej na pół etatu. Wygląda na to, że ten Cziczierin prowadzi harem, że ma dziewczynę w każdym rakietowym mieście Strefy. Oho, jeszcze jeden maniak. Slothrop czuje się jak turysta.

Geli opowiada o swoim ukochanym. Siedzą w jej pokoju bez dachu i piją cienkie wino, znane w okolicy jako Nordhäuser Schattensaft. Nad głowami czarne ptaki o żółtych dziobach garnirują sobą niebo, krążąc między

gniazdami w górskich zamkach a ruinami w mieście. Het, daleko, chyba na targu, ciężarówki z konwoju grzeją silniki, woń spalin spowija labirynt murów, gdzie pełza mech, wycieka woda, karaluchy szukają zdobyczy, a ściany zniekształcają warkot aut w taki sposób, że zdaje się napływać ze wszystkich stron.

Jest chuda, trochę niezdarna i bardzo młoda. W jej oczach nie ma najmniejszego śladu korozji – równie dobrze mogła przeżyć całą Wojnę w zaciszu rodzinnego domu gdzieś na głębokich tyłach, bezpieczna, wolna od trosk, bawiąc się z małymi leśnymi zwierzątkami. Jej piosenka, co przyznaje ze smutkiem, jest w dużej mierze pobożnym życzeniem.

– Gdy go nie ma, to go nie ma. Kiedy nadszedłeś, przez chwilę myślałam, że to Cziczerin.

– A tu figa z makiem. Zjawił się tylko zapracowany pismak. Żadnych rakiet, żadnych haremów.

– To taki układ – mówi. – Tutaj wszystko jest zdezorganizowane. Trzeba co nieco poukładać. Przekonasz się.

Istotnie, przekona się, natknie na tysiące układów decydujących o ciepłe, miłości, jedzeniu, zwykłym przemieszczaniu się po drogach, ścieżkach, kanałach. Nawet G-5, karmiąc się ułudą bycia jedynym rządem w dzisiejszych Niemczech, jest tylko układem mającym na celu poczucie się zwycięzcą. Ani mniej, ani bardziej rzeczywistym niż wszystkie inne ciche, prywatne układy zagubione w Historii. Slothrop, choć jeszcze o tym nie wie, stał się ustanowionym państwem, tak samo jak każdy inny człowiek w Strefie. To nie paranoja. Tak teraz wyglądają sprawy. Tymczasowe sojusze, zacieśniane i zrywane. Co więc robić, on i Geli zawierają własny układ, odseparowani resztkami murów od okupowanych ulic, w starym łóżku o czterech słupkach, ustawionym naprzeciw ciemnego trema. Przez rozbity dach Slothrop widzi wznoszącą się wysoko, porośniętą drzewami górę. Wino w oddechu dziewczyny, gniazdka puchu w zgięciach rąk, uda sprężyste jak młode drzewka na wietrze. Ledwo w nią wchodzi, ona szczytuje pod



wpływem czulej fantazji o Cziczereinie, wypisanej wyraźnie na jej twarzy. To złości Slothrop, lecz nie na tyle, by go powstrzymać od spuszczenia się.

Błazenada zaczyna się zaraz po ustąpieniu wzrodu, zabawne pytania w rodzaju: co to za plotka rozeszła się pomiędzy ludzi, że wszyscy trzymają się z daleka od ciebie, Geli, tylko nie ja? Albo: czy coś we mnie przypomina Cziczerina, a jeśli tak, co to jest? No i gdzie się teraz podziewa ten cały Cziczerin? Wkrótce Slothrop zapada w drzemkę, lecz budzą go jej usta, palce, zroszone nogi, prześlizgujące się po jego własnych. Słońce skacze po przyznanym im wycinku nieba, zostaje zaćmione przez pierś, odbija się w dziecięcych oczach... potem chmury, deszcz, toteż ona rozkłada zielony brezent z doszytymi przez siebie chwastami, by przypominał baldachim... ścieka po nich zimna i głośna woda. Noc. Karmi go ugotowaną kapustą za pomocą odziedziczonej w spadku łyżki z wygrawerowanym herbem. Piją więcej wina. Cienie są miękkimi bukszpanami. Deszcz ustał. Gdzieś na kocich łbach dzieci grają w piłkę starą puszką po benzynie.

Coś trzepoczącego sfruwa z nieba; szpony skrobią brezent.

– Co to? – Na wpół przytomny, ona znowu zabrała kołdrę, no, dawaj, Geli...

– Moja sowa. Wernher. *Liebchen*, w górnej szufladzie bieliźniarki jest baton. Mógłbyś mu dać?

*Liebchen*, faktycznie. Słaniając się – pierwszy raz na nogach od dwunastu godzin – Slothrop odwija z papierka baton Baby Ruth, odchrząkuje, postanawia nie pytać, skąd dziewczyna ma ptaka, bo już wie, wrzuca słodycz na brezent, żeby ten Wernher sobie podjadł. Po chwili, gdy znów leżą razem, słyszą chrzęst miażdżonych orzeszków i chrupanie dzioba.

– Baton? Co się porobiło? – zrzędzi Slothrop. – Nie wiesz, że powinien polować na żywe myszy i inne świństwa? Udomowiłaś sowę?

– Z niego taki sam leń, jak z ciebie. – Dziecięce palce pełzają po jego żebrach.

– Założę się, przestań, założę się, że ten twój Cziczerin nie musi wstawać i

karmić sowy. – Ostudza jej zapał: dłoń zatrzymuje się w miejscu.

– Wernher kocha Cziczera. Przylatuje tylko wtedy, gdy Cziczera tu jest.

Teraz Slothrop traci zapał. Mówiąc precyzyjnie: tężeje.

– Eeee, jak to, nie chcesz chyba powiedzieć, że naprawdę tu...

– Miał przyjść. – Wzdychając.

– Tak? A kiedy?

– Dziś rano. Spóźnia się. Bywa i tak.

Zwiędnięty Slothrop zrywa się z łóżka, jest już na środku pokoju, jedna skarpetka na nodze, druga w zębach, głowa w rękawie podkoszulka, suwak w rozporoku ani drgnie, cholera, cholera!

– Mój dzielny Anglik. – Geli cedzi przeciągle słowa.

– Nie mogłaś powiedzieć wcześniej?

– Wracaj do łóżka. Jest noc, on na pewno znalazł sobie gdzieś dziewczynę.

Nie potrafi spać sam.

– Mam nadzieję, że ty potrafisz.

– Przestań! No, chodź tu. Nie możesz iść boso. Dam ci jego stare buty i wyjawię wszystkie tajemnice.

– Tajemnice? – Miej się na baczności, Slothrop. – Po co miałbym poznać jego...

– Bo nie jesteś korespondentem wojennym.

– Dlaczego wszyscy to powtarzają? Nikt mi nie wierzy. Oczywiście, że jestem korespondentem wojennym. – Wymachuje opaską. – Nie potrafisz czytać? Tu napisano: „Korespondent wojenny”. Mam nawet wąsy, o tutaj, prawda? Jak ten Ernest Hemingway.

– Aha. W takim razie nie szukasz rakiety numer 00000. A ja, głupia, myślałam, że szukasz. Przepraszam.

O rany, czy ja się z tego wywikłam? – pyta siebie Slothrop. Klasyczna podpucha, szefie. Kto jeszcze interesowałby się akurat tą jedną rakieta z sześciu tysięcy tych, w których był imipolex G?

– A Schwarzgerät obchodzi cię tyle, co zeszłoroczny śnieg, prawda? –

trajkocze dziewczyna. Trajkocze.

– Schwarz... co?

– W skrócie S-Gerät.

Zaawansowany montaż, pamiętasz, Slothrop? Wernher pohukuje na brezencie. To pewnie sygnał dla Cziczierina.

Paranoik jest paranoikiem (porzekadło 5) nie dlatego, że jest paranoikiem, lecz dlatego, że pierdolony idiota sam wikła się w paranoiczne sytuacje.

– Co może wiedzieć o raketach – starannie odkorkowuje kolejną butelkę Nordhäuser Schattensaft, pop!, najlepszy Cary Grant, na jakiego go stać z kiszkami grającymi marsza, usłużnie nalewa do kieliszków, podaje jeden – taka słodka, młoda istota jak ty, hm-hę?

– Czytałam pocztę Waclawa – odpowiada, jak gdyby pytanie było głupie. Jest głupie.

– To nie powinnaś o tym paplać obcym. Jeśli się dowie, zabije cię.

– Ale ja ciebie lubię. Lubię intrygi. Lubię gry.

– A może lubisz napytać innym biedy?

– Jak sobie chcesz. – Wydyma dolną wargę.

– Dobrze już, dobrze, mów. Ale nie wiem, czy „Guardian” się tym zainteresuje. Moi wydawcy to raczej skostniała zgraja, no wiesz.

Na jej nagich małych piersiach pojawia się gęsia skórka.

– Pozowałam kiedyś do godła rakiety. Może widziałeś? Młoda śliczna czarownica okrakiem na A-4. Ze staroświecką miotłą na ramieniu. Wybrano mnie też maskotką Trzeciego Dywizjonu Zmechanizowanego Czterysta Osiemdziesiątej Piątej Dywizji Artyleryjskiej.

– Naprawdę jesteś czarownicą?

– Chyba miewam skłonności. Byłeś już na Brockenie?

– Dopiero co przyjechałem.

– Ja nie opuściłam żadnej nocy Walpurgi, odkąd miałam pierwszy okres. Zabiorę cię, jeżeli chcesz.

– Powiedz mi coś o tym Schwarz... Schwarzgerät.

– Podobno cię to nie interesuje.

– Skąd wiem, czy mnie interesuje, skoro nawet nie wiem, czym powinienem lub nie powinienem się interesować?

– Ty jednak jesteś korespondentem. Potrafisz gadać.

Przez okno wskakuje z wrzaskiem Cziczerin, ziejąc ogniem z nagana trzymanego w garści. Ląduje na spadochronie i zwała Slothrop z nóg jednym chwytem dzudo. Wjeżdża do pokoju czołgiem T-34 i zmiata Slothrop pociskiem kalibru siedemdziesiąt sześć milimetrów. Dzięki, że mi go wystawiłaś, *Liebchen*, to był szpieg, no, na razie, pędzę do Peenemünde, gdzie czeka na mnie ponętna Polka z cyckami jak lody waniliowe, widzimy się później.

– Czas iść – oznajmia Slothrop. – Skombinować nową taśmę do maszyny, zatemperować ołówki, wiesz, jak to jest...

– Już ci mówiłam, że dziś go nie będzie.

– Dlaczego nie? Uganiam się za Schwarzgerät, hę?

– Nie. Nie zna najnowszych nowin. Wczoraj przyszła wiadomość ze Szczecina.

– Otwartym tekstem naturalnie.

– A czemu nie?

– W takim razie to nic ważnego.

– Jest na sprzedaż.

– Wiadomość?

– S-Gerät, ty narwańcu. Facet w Świnoujściu może to zdobyć. Pół miliona franków szwajcarskich, jeśli jesteś chętny. Będzie czekał codziennie do południa na deptaku. Ubrany w biały garnitur.

Ach tak?

– Blodgett Waxwing?

– Nazwiska nie podano. Ale wątpię, czy to Waxwing. On trzyma się krajów śródziemnomorskich.

– Ty dużo wiesz.

– Waxwing jest legendą w Strefie. Tak samo Cziczerein. I ty też, o ile się orientuję. Jak masz na nazwisko?

– Cary Grant. Ge-li, Ge-li, Ge-li... Słuchaj, Świnoujście to chyba sowiecka strefa, co?

– Mówisz jak Niemiec. Zapomnij o granicach. Zapomnij o podziałach. Nie ma ich.

– Są żołnierze.

– Owszem. – Wbija w niego wzrok. – Ale to co innego.

– Aha.

– Przekonasz się. Wszystko jest w zawieszeniu. Waclaw nazywa to bezkrólewem. Musisz tylko płynąć z prądem.

– Teraz to ja muszę płynąć stąd, mała. Dzięki za informacje, Ian Scuffling uchyla kapelusza...

– Zostań, proszę. – Skulona w łóżku, z oczu zaraz trysną łzy. Cholera, Slothrop, ty frajerzyno... Ale to przecież tylko małe dziecko... – Podejdz.

W chwili gdy się wwierca, ona zaczyna się zachowywać wrednie, trochę nienormalnie, ostrymi jak piła, ogryzionymi paznokciami tnie go po nogach, ramionach i tyłku. Taktowny Slothrop usiłuje powstrzymać się od szczytowania, dopóki dziewczyna nie będzie gotowa, lecz raptem coś ciężkiego i pierzastego, o kłujących końcach, zwała się na jego zadek i odbija, tama puszcza, u Geli też, jak się okazuje, ZONNGG! oooooch!... o, szuuuus! Trzepoczą skrzydła i Wernher – bo to naturalnie on – odlatuje w mrok.

– Pierdolone ptaszysko! – wrzeszczy Slothrop. – Jeszcze raz tak zrobi, a dostanie batona, ale w dupę, jak rany! – To jest ukartowane, ukartowane, pawłowański odruch warunkowy albo coś. – Cziczerein go wytresował, zgadza się?

– Nie zgadza, to ja. – Geli uśmiecha się z zadowoleniem jak czterolatka, tak szczerze, że Slothrop postanawia uwierzyć jej we wszystko.

– Czarownica z ciebie. – Choć jest paranoikiem, kuli się pod kołdrą,

wypala papierosa i na przekór tysiącom Cziczeryń przeskakujących z arsenałami zagłady niezadaszone ściany zasypia szybko w objęciach nagiej długonogiej wiedźmy.



Nastał świt niedzielnych uciech, z bardzo niebieskim niebem i napuszonymi różowymi chmurami. Błoto na kocich łbach jest tak gładkie, że odbija światło, toteż chodzimy nie po bruku, lecz po długich prążkowanych kawałkach surowego mięsa, po ścięgnach wilkołaka, udźcu Biesa. Cziczerin ma duże stopy. Geli musi powpychać kawałki starej bluzki w czubki butów, żeby te pasowały na Slothrop. Przemykając bez przerwy między dżipami, ciężarówkami i radziecką konnicą, Slothrop natyka się wreszcie na osiemnastoletniego amerykańskiego porucznika w szarym mercedesie sztabowym o zgniecionej karoserii i zabiera się na łebka. Rusza wąsem, błyska opaską, czując się niepewnie. Słońce już grzeje. Rozchodzi się zapach iglaków z gór. Ten porucznik za kierownicą, przydzielony do kompanii czołgów strzegących Mittelwerke, wątpi, by Slothrop miał jakieś trudności z dostaniem się do środka. Anglicy z Grupy Operacyjnej do Specjalnych Pocisków przyszedli i poszli. W tej chwili ludzie z Kwatermistrzostwa Armii Stanów Zjednoczonych uwijają się jak mrówki, pakując do skrzyń i wysyłając do Ameryki części i przyrządy od setki A-4. Rejwach.

- Próbują wywieźć stamtąd wszystko, zanim Ruscy przyjdą to przejąć.
- Bezkrólewie. Codziennie zjawiają się cywile i biurokraci, turyści wysokiego szczebla, którzy gapią się z rozdziawionymi ustami. Chyba nikt wcześniej nie widział tylu waźniaków. Nie wiem, o co chodzi. Zachowują się jak w burlesce. Nic nie robią, przyjechali tylko się napatrzeć. Większość ma aparaty fotograficzne. Zauważyłem, że pan nie ma. Może pan wypożyczyć jeden przy bramie głównej, jeśli jest pan zainteresowany.

Parę przykładów, jak się tam kręci interesy. Kucharz Żółty James postawił wagon bufetowy i teraz słysząc po tunelach jego wołanie: „Kanapki, kupujcie kanapki. Na zimno, na ciepło, z dodatkami!”. W ciągu pięciu minut na szklankach połowy obżerających się durniów są tłuste plamy. Nick De Profundis zaskoczył wszystkich przemianą, jaka się w nim dokonała w



ciasnych przestrzeniach fabrycznych – z kompanijnej ćmy barowej zrobił się rzutki handlarz pamiątek nawiązujących do A-4: sprzedaje drobne przedmioty – z których można zrobić breloczki, spinacze do banknotów albo ozdobną szpilę dla tej jednej jedynej w ojczyźnie – mosiężne panewki z komór spalania, łożyska kulkowe z serwomechanizmów, w tym tygodniu zaś przebojem są diody żołądźkowe SA 100, śliczne małe zawory mieszające, złupione z urządzeń Telefunkena, a nawet jeszcze rzadsze diody SA 102, opylane oczywiście za wyższą cenę. Jest też „Mikrus” Graham, który zapuścił bokobrody. Zaczają się w *Stollen*, gdzie niczego nie podejrzewający goście słyszą nagle:

- Psyt!
- Psyt?
- Nieważne.
- No, teraz to dopiero rozbudził pan moją ciekawość.
- Od razu wiedziałem, że z pana nie pierwszy lepszy. Pan zwiedza?
- W-właściwie to odszedłem tylko na krok. Zaraz wracam do grupy...
- Trochę tam nudno, co? – Ugrzeczniony Mikrus zbliża się do ofiary. – Zastanawiał się pan, co *naprawdę* się tu dzieje?

Gościa, który gotów jest wydać zawrotne kwoty, rzadko spotyka rozczarowanie. Mikrus wie, gdzie znajdują się tajne korytarze skalne prowadzące do Dory, obozu niewolniczej pracy, położonego w sąsiedztwie Mittelwerke. Wszyscy uczestnicy wycieczki otrzymują latarki elektryczne i wysłuchują krótkiego pouczenia, jak należy się zachowywać w wypadku natknięcia się na zmarłych.

- Proszę pamiętać, że oni tutaj zawsze byli pod ścisłą kontrolą. Gdy Amerykanie wyzwolili Dorę, ocaleni więźniowie zaczęli plądrować – szabrowali, obżerali się i pili aż do obrzydzenia. Dla innych Śmierć przyszła jak wojsko amerykańskie, wyzwoliła ich duchowo. Zatem oni teraz przypuszczalnie dokonują szabru duchowego. Proszę pilnować swoich myśli. Proszę wykorzystać naturalną równowagę własnego umysłu jako tarczę

obronną. Będą atakować w chwilach braku równowagi, należy o tym pamiętać.

Wziętą atrakcją jest elegancka kolekcja odzieży kosmicznej Raumwaffe, zaprojektowanej przez słynnego kreatora mody wojskowej, Heiniego z Berlina. Heini kazał uszyć nie tylko imponujące kombinezony, które wywołałyby zachwyty małoletnich wykonawców operetki międzyplanetarnej – wyrafinowane do tego stopnia, że na czubkach butów migają osobliwie kolorowe obrazy telewizyjne – ale też jedwabie dla zabawnych małych jeźdźców przestworzy (*Raum-Jockeier*), wyposażonych w elektryczne baty, którzy pewnego dnia wzlecą ze świstem ponad świetlaną aureolę Raketentstadt na grzbietach „rumaków” z wypolerowanego meteorytu o identycznie wystylizowanych łbach (prześladuje cię wysoce kontrastowe imago konia, uwydatnione obłąkane ślepie, zęby, mrok między tylnymi nogami...), spod ogonów jak bąki wytryskują gazy napędowe – nieletni wykonawcy chichoczą na myśl o tym niecenzuralnym zdarzeniu, godnym kloaki, i z wolna, w trakcie ledwie jednego westchnienia grawitacji, zaczynają podrygiwać, każdy w oprawie fluorescencyjnych plastików, w rytmie Walca, dziwnie zespołowego Walca Przyszłości, pośród wiru milczących twarzy aluzja do lekko, niepokojąco skrzekliwego chorału, nagie ramiona obwisłe od wiedeńskiego kosmosu, zmordowane Jutrem...

Potem kolej na... hełmy! W pierwszej chwili można się zląknąć, bo wydaje się, że wykonano je z czaszek. Przynajmniej górna kopułowata część tych odstręczających kasków z pewnością jest czaszką jakiegoś człękoksztalnego przerośniętego stwora... Może pod tutejszą górą żyli tytani, a ich czaszki zbierano jak ogromne grzyby? W oczodoły wpasowano soczewki kwarcowe. Istnieje możliwość wkładania filtrów. Kość nosową i górne zęby zastąpiono metalowym aparatem do oddychania, pełnym szczelin i kratek. Zamiast żuchwy jest zabudowany segment, swoiste suspensorium z żelaza i ebonitu na twarz, w którym prawdopodobnie mieści się nadajnik – stercząca do przodu czarna fatalność. Za dodatkową opłatą w wysokości kilku marek

można włożyć hełm. Gdy głowa znajdzie się w żółtej jamie, oglądając świat przez bezbarwne źrenice, a oddech wypełni świstem przestrzeń wewnątrz kości, wtedy równowaga umysłowa w naszym rozumieniu niewiele pomaga. Pomieszczenie zajmowane dawniej przez Schwarzkommando przestało być miłą galerią, przedstawiającą dzikich tubylców, wrzuconych w XXI wiek. Banie na mleko ewidentnie zrobiono z plastiku. W miejscu, gdzie wedle tradycji Enzian dostąpił oświecenia – w chwili polucji podczas snu o kopulowaniu ze szczupłą białą rakieta – jest ciemna plama, o dziwo, wciąż wilgotna, i woń – nasienia, ma się rozumieć, ale w rzeczywistości bardziej przypomina zapach mydła albo wybielacza. Malowidła ścienne zatraciły umyślną toporność i nabrały charakteru prymitywnej przestrzenności, głębi i blichtru – właściwie przeobraziły się w dioramy z cyklu „Obietnica Podróży Międzygwiazdnych”. Jaskrawo oświetlony przez lampy karbidowe, które syczą i cuchną jak oddech kogoś dobrze nam znanego, widok ten natychmiast przyciąga oczy. Po upływie kilku minut dostrzegamy faktyczne ruchy, nawet w miejscach największej perspektywicznej głębi: owszem, wisimy teraz na ostatnim odcinku naszego lotu do Raketentadt, trudna noc magnetycznej burzy za nami, wirowe prądy wciąż szemrzają na wskroś okrywającej nas stali jak deszcz, który przylega kroplami do okien aut... tak, to jest Miasto: monotonne okrzyki – „Świę-te!”, i „To jest coś!”, przebrzmiewają echem, tymczasem tłoczmy się wokół kwiatu okna w tym podziemiu z soli... O dziwo, nie są to symetrie, z myślą o których nas zaprogramowano, nie stateczniki, aerodynamiczne kąty, pylony ani zwyczajne solidne układy geometryczne oficjalnej wizji – to dobre dla tych biurokratów z baretkami, drepczących trasą wycieczki po ponumerowanych *Stollen*. Nie, to konkretne Rocket-Stadt, rozświetlone bielą na tle spokojnego półmroku przestrzeni, założono celowo, By Uniknąć Symetrii, Wpuścić Zawilość, Wprowadzić Terror (od Preambuły do Artykułów Imachinacji) – lecz turyści muszą skojarzyć jego wygląd z rzeczami zapamiętanymi ze swoich czasów i własnej planety – z butelką wina rozbitą w umywalce, sosnami ościstymi,

umykającymi Śmierci przez tysiąclecia, betonową drogą nieużywaną od lat, fryzurami z końca lat trzydziestych XX wieku, molekułami indolu, zwłaszcza ze spolimeryzowanymi indolami, takimi jak imipolex G –

Zaraz – kto z nich to pomyślał? Monitory, namierz, szybko.

Lecz cel się wymyka.

– Sami dbają o ochronę tam na dole – mówi młody porucznik. – My trzymamy straż tylko na powierzchni. Nasza odpowiedzialność kończy się na *Stollen Zero*, Moc i Światło. Dla nas to bułka z masłem. – Życie jak u Pana Boga za piecem, nikt nie myśli o przeniesieniu. Pełno *Fräulein* do dymania, garów i opierunku. Załatwi Slothropowi szampana, futra, aparaty fotograficzne, papierosy... Nie można przecież interesować się tylko raketami, co, to byłoby istny obłęd. Ma słuszność.

Jednym z najśłodszych owoców zwycięstwa, gdy człowiek się już wyśpi i nagrabi, jest niechybnie możliwość ignorowania znaków drogowych. Wszędzie pozatykano tablice z „P”, przybito je do drzew, przywiązano do dźwigarów, ale gdy poobijany mercedes dociera na miejsce, wjazdy do głównych tuneli są zatarasowane samochodami. „Jasna cholera!” – wrzeszczy młody czołgista, gasi silnik i zostawia niemieckie auto na środku szerokiego błotnistej przedpoja. No i kluczyki w stacyjce, Slothrop nauczył się już dostrzegać takie szczegóły...

Wlot do tunelu ma kształt paraboli. Piętno Alberta Speera. W latach trzydziestych ktoś nabił sobie głowę parabolami, a Albert Speer był wtedy głównym twórcą nowej architektury niemieckiej, później zaś został ministrem uzbrojenia i nominalnie głównym odbiorcą A-4. Tutejsza parabola jest dziełem natchnionego zwolennika Speera nazwiskiem Etzel Ölsch. Podobne krzywe zauważał on wszędzie dokoła, w wiaduktach nad *Autobahnen*, na stadionach sportowych *und so weiter*. Uznał, że to najnowocześniejszy motyw, jaki kiedykolwiek widział. Łatwo wyobrazić sobie jego zdumienie, gdy zorientował się, że kształt paraboli ma również tor rakiety lecącej w przestrzeni. (W istocie powiedział: „O, to miło”). Matka

dała mu na imię Etzel w nawiązaniu do Huna Attyli, lecz właściwie nikt nie wie dlaczego. Jego parabola jest smukła, a biegną pod nią tory kolejowe, stalownika w cień. U boków wisi pozwijane maskowanie z tkaniny. Wyżej ciągnie się w dal stromizna góry, tu i ówdzie pośród drzew i krzaków sterczą nawisy skalne.

Slothrop okazuje lipną przepustkę z SHAEF-u, podpisaną przez Ike'a i – co czyni ją jeszcze bardziej autentyczną – przez pułkownika kierującego z Paryża Misją Specjalną V-2. Specjalność zakładu Waxwinga. Wydaje się, że Kompania B Czterdziestego Siódmego Pułku Piechoty Pancерnej Piątej Dywizji Pancерnej jest tu jeszcze po coś innego oprócz zapewnienia bezpieczeństwa. Wartownicy przepuszczają Slothropa wzruszeniem ramion. Lenistwo, cedzone słowa, wiejski humor. Ktoś ani chybi dłubał w nosie. Parę dni później Slothrop znajdzie wysuszone gile na przepustce – kryształowa brunatna wiza wjazdowa do krainy Nordhausen.

W głąb, obok wieżyczek strażniczych z białymi dachami. Transformatory bzyczą o wiosennym poranku. Gdzieś grzechoczą łańcuchy i opada kłapa ciężarówka. Grzbiety, wyżyny biota między koleinami zaczynają wysychać na słońcu, jaśnieć i kruszyć się. Nieopodal wyrывa się poranne ziewnięcie i przeciąganie gwizdzącego pociągu. Do środka, obok stosu jasnych baniek z metalu oblanym dziennym światłem, z komiczną tablicą: „Upraszano o dis...plina i niezgniatanie tlenu, he?” . Jak długo, jak długo sfacimentujecie ten kraj... W głąb, pod parabolą i parabolą, do środka góry, słońce znika, w chłód, mrok, wśród przeciągłe echa Mittelwerke.

Istnieje nie tak znowu rzadkie zaburzenie osobowości, określane jako tannhäuseryzm. Niektórzy z nas lubią być zabrani do wnętrza góry, i to nie zawsze z myślą o doznaniach erotycznych – o Wenerze, Frau Holdzie i jej zmysłowych wdziękach – nie, wielu gotowych jest na to ze względu na gnomy, istoty mniejsze od człowieka, na grobowy sposób, w jaki czas ściele się pod stopami zakapturzonych spacerowiczów, cicho, po dziedzińcach, które ciągną się całymi milami, nie ma strachu przed zagubieniem się... nikt

nie patrzy, nikt nie czeka, by cię osądzić... z dala od postronnych oczu... nawet minezinger musi pobyć sam... długie przechadzki w zamknięciu, godne zachmurzonego dnia... w komforcie odosobnionego miejsca, gdzie wszyscy pozostają w idealnej zgodzie ze Śmiercią.

Slothrop zna to miejsce. Nie z map, które musiał oglądać w kasynie, lecz w sposób, w jaki wiemy, że *ktoś tam jest...*

Generatory fabryczne nadal wytwarzają prąd. Rzadko kiedy się zdarza, by naga żarówka wydrążyła złoże światła. Gdy ciemność wydobywana jest i transportowana tu i tam jak marmur, żarówka staje się dłutem, które uwalnia ją z bezwładu, staje się jedną z wielkich tajnych ikon Pokory, pospółstwa pominiętego przez Boga i Historię. Gdy więźniowie z Dory zaczęli plądrować, pierwszymi ofiarami padły właśnie żarówki fabryczne: zanim przyszła kolej na żywność, na delicje z apteczek i apteki szpitalnej w *Stollen 1*, „wyzwoleni” dobrali się do tych kruchych, bezoprawkowych (w niemieckim termin oznaczający oprawkę elektryczną to słowo *Mutter* – a zatem także sierocych) form...

Zasadniczy rozkład fabryki był kolejnym pomysłem Etzla Ölscha, ideą nazistowską tak samo jak parabola, a zarazem symbolem należącym do Rakiety. Wyobraźmy sobie nieco wyszczuplone litery „SS”. Litery te to dwa główne tunele, wydrążone na przeszło milę. Albo jeszcze lepiej wyobraźmy sobie położoną na płask drabinę o lekko esowatych żerdziach połączonych czterdziestoma czterema poprzecznymi szczeblami – *Stollen*. Z góry, w najgłębszym miejscu, napiera kilkaset stóp skały.

Lecz to coś więcej niż rozciągnięte litery „SS”. Pewnego dnia terminator Hupla wbiega z krzykiem: – Mistrzu! – wrzeszczy – mistrzu! – Ölsch zajął kwaterę w Mittelwerke, odgradzony od pomieszczeń fabrycznych kilkoma prywatnymi chodnikami, które nie widnieją na żadnej mapie. Powoli dojrzewa mu w głowie wielka idea, jak powinno wyglądać życie architekta tutaj na dole, toteż z uporem obstaje, by wszyscy pomocnicy nazywali go mistrzem. To nie jedyne jego dziwactwo. Ostatnie trzy projekty, które



przedłożył Führerowi, wizualnie odpowiadały panującej modzie, stanowiły piękne przykłady nowej architektury niemieckiej, tyle że narysowane budynki nie powstałyby długo. Wyglądały normalnie, niemniej były zaprojektowane tak, by się zwalić – jak grubas zasypiający w operze na kolanach sąsiada – gdy tylko wbity zostanie ostatni nit, gdy zdejmie się ostatnią formę z nowo odlanego alegorycznego posągu. W ten sposób u Ölscha dochodzi do głosu „pragnienie śmierci”, jak to nazywają mali pomocnicy: rodzi to mnóstwo plotek podczas posiłków w kantynie oraz nad dzbankami kawy na posępnych kamiennych rampach załadowniczych... Jest już dobrze po zachodzie słońca, na każdym biurku w tej przesklepionej, niemal plenerowej enklawie jarzy się lampa. Nocą przesiadują tutaj gnomy, mając tylko warunkowo, niepewnie rozświetlone żarówki... zgasnąć mogą tak łatwo, lada chwila... Wszystkie gnomy tkwią przy deskach kreślarskich. Do późna. Obowiązuje ostateczny termin – nie jest jasne, czy pracują w nadgodzinach, żeby się z niego wywiązać, czy też już się spóźniły i ślęczą tu za karę. Słyszą Eetzla Ölscha śpiewającego w gabinecie. Mało eleganckie, ordynarne przyśpiewki rodem z piwiarni. Teraz zapala cygaro. I on, i gnom Hupla, który właśnie wbiegł, wie, że jest to eksplodujące cygaro, podłożone w magazynie w ramach czynu rewolucyjnego przez sprawcę bliżej nieznanego, ale tak bezsilnego, że nie ma to znaczenia: – Czeka, mistrzu, nie zapalaj, zgaś, proszę, to cygaro wybuchnie!

– Przekaż mi, Hupla, tę wieść, która stała się przyczyną twojego brutalnego wtargnięcia.

– Ale...

– Hupla... – wydychając po królewsku chmury tytoniowego dymu.

– Chodzi o... o kształt tuneli, mistrzu.

– Nie kul się tak. Wzorem dla mojego projektu była podwójna błyskawica. Hupla, to znak SS.

– Ale to także symbol całki podwójnej! Wiedziałeś?

– A, tak. *Summe, summe*, jak powiadał Leibniz. No cóż, czy to nie...



BUM.

No dobrze. Geniusz Etzla Ölscha okazał się zgubnie podatny na symbolikę związaną z Rakietą. Być może w statycznej przestrzeni architektury, na początku swojej kariery, stosował on czasem całkę podwójną, by według znanych równań obliczyć wielkości dotyczące płaszczyzny – masę, moment, środek ciężkości. Ale minęły lata, odkąd miał do czynienia z czymś tak podstawowym. Obecnie najczęściej liczy marki i fenigi, nie zaś funkcje idealistycznego „r” i „?”, naiwnego „x” czy „y”... Lecz w dynamicznej przestrzeni żywej Rakiety całka podwójna nabiera innego znaczenia. W tym wypadku całkować znaczy funkcjonować w takim tempie zmiany, że czas nie nadąża: zmiana jest unieruchomiona... „Metry na sekundę” scałkowane są w „metry”. Poruszający się obiekt zamiera w przestrzeni, żeby stać się architekturą i bezczasowością. Nigdy nie była wystrzelona. Nigdy nie spadnie.

Oto co się działo w fazie sterowania: niewielkie wahadło utrzymywane było w stanie spoczynku za pomocą pola magnetycznego. Podczas odpalania, wskutek ciągu grawitacyjnego, wahadło poruszało się do tyłu. Miało przymocowaną cewkę. W trakcie przemieszczania się cewki po polu indukował się prąd elektryczny. Gdy w efekcie przyśpieszenia wahadło odchyliło się, prąd płynął – im większe przyśpieszenie, tym większy przepływ. Zatem rakietą, ze swej perspektywy lotu, odczuwała najpierw przyśpieszenie. Z kolei śledzący ją ludzie najpierw widzieli konkretną pozycję lub odległość. Aby przejść od przyśpieszenia do odległości, musiało się odbyć dwukrotne całkowanie – rakietą potrzebowała poruszającej się cewki, transformatorów, ogniwa elektrolitycznego, mostku diod, jednej tetrody (dodatkowej siatki, żeby odgrodzić pojemnościowe sprzężenie w lampie) – słowem, skomplikowanego ciągu zabiegów konstruktorskich – by dotrzeć do tego, co ludzkie oczy widziały najpierw: do odległego punktu na torze lotu.

Znowu była ta wsteczna symetria, przeoczona przez Pointsmana, ale nie

przez Katje. „Żyje własnym życiem” – powiedziała dziewczyna. Slothrop przypomina sobie jej wstrzemięźliwy uśmiech, śródziemnomorskie popołudnie, łuszczący się skręcony pień eukaliptusa, taki sam różowy kolor – w gasnącym świetle – w jakim były spodnie amerykańskiego oficera, które Slothrop włożył dawno temu, do tego kwaśność, cierpki zapach liści... Prąd płynący cewką minął już mostek Wheatstone’a i naładował kondensator. Ładunek elektryczny był całą po czasie prądu płynącego cewką i mostkiem. W zaawansowanych wersjach tak zwanego sterowania IG następowało dwukrotne całkowanie, wskutek czego ładunek elektryczny zgromadzony po jednej stronie kondensatora rósł proporcjonalnie do drogi przebytej przez raketę. Przed odpaleniem drugą stronę ogniwa ładowano do poziomu odpowiadającego dystansowi do konkretnego miejsca w przestrzeni. *Brennschluss* w tym miejscu spowodowałaby, że rakietą uderzyłaby tysiąc jardów na wschód od dworca Waterloo. Z chwilą gdy rosnący w trakcie lotu ładunek elektryczny ( $B_{iL}$ ) stawał się równy nastawionemu po drugiej stronie ładunkowi ( $A_{iL}$ ), następowało wyładowanie kondensatora. Złącze się zwierzało, paliwo zostawało odcięte, spalanie dobiegało końca. Rakietą była wolna jak ptak.

Oto jedno znaczenie układu tuneli w Mittelwerke. Kolejnym może być starożytny znak runiczny wyobrażający cis, czyli Śmierć. W podświadomości Etzla Ölscha cała podwójna symbolizowała metodę znajdowania ukrytych centrów, nieznanymi bezwładów, jak gdyby o zmierzchu czekały na niego monolity, pozostałe po przegniłej idei Cywilizacji, w której na rogach stadionów, gdzie zbiera się naród – przegniła idea Narodu – stoją odlane w betonie orły, wysokie na dziesięć metrów, w której ptaki nie fruwały, w której o wymyślonych środkach tkwiących głęboko w fatalnej trwałości kamienia nie myśli się jako o „sercu”, „splocie”, „świadomości” (mówiący głos staje się ironiczny, bliższy łzom, które niezupełnie są spektaklem, tymczasem wyliczanka trwa...), „sanktuarium”, „śnie o ruchu”, „cyście wiecznej terażniejszości” czy „szarej wyniosłości Grawitacji pośród

konsulów żywego kamienia”. Nie, o tych centrach myśli się jako o punkcie w przestrzeni, dokładnie umiejscowionym na niebie, jak ten, w którym musi dobiec końca spalanie; nigdy niewystrzelona, nigdy nie spadnie. A co to za kształt, którego środkiem ciężkości jest punkt Brennschlussu? Nie należy się doszukiwać nieskończonej ilości prawdopodobnych kształtów. Bo jest tylko jeden. To najpewniej styk między jednym a drugim porządkiem rzeczy. Dla każdej wyrzutni istnieje konkretny punkt Brennschlussu. Wciąż trwają, zawieszona w górze wszystkie co do jednego, konstelacja oczekująca, by nazwać dla niej trzynasty znak zodiaku... lecz znajdują się tak blisko Ziemi, że z wielu miejsc w ogóle ich nie widać, a widziane z różnych miejsc w Strefie układają się w zupełnie inny wzór...

Całka podwójna to także pozycja dwojga kochanków wtulonych w siebie we śnie jak dwie złożone łyżki – do tego w tej chwili tęskni Slothrop, chce wrócić do Katje, nawet jeśli miałby się czuć zagubiony tak samo jak wtedy i bardziej bezbronny niż teraz, nawet (wciąż naprawdę mu jej brak) jeśli asekurowałby go tylko przypadek – sposobami, których niepodobna nie dostrzec – przypadek, przed którego znacznie zimniejszą uczciwością kochankowie mogą się osłonić tylko sobą nawzajem... Czy mógłby tak żyć? Czy Oni kiedykolwiek pozwoliliby mu żyć tak z Katje? Nie miał nic do powiedzenia o niej. Nikomu. To nie tyle odruch dżentelmena kazał mu cenzurować własne słowa, podstawiać inne personalia, wplatać zmyślenia w opowieści snute dla Chyżego jeszcze w biurze ACHTUNG-u, ile prymitywny lęk przed usidleniem jednostki za sprawą podobnego wyglądu albo nazwiska... Pragnie ochronić ją jak najlepiej przed Ich entropiami, pochlebstwami i pieniędzmi: może sądzi, że jeśli potrafi to zrobić dla niej, potrafi też zrobić to dla siebie... choć stąd już, jego zdaniem, jest bardzo blisko do szlachetności i Członka, Który Uważał za Swojego Członka.

W przewodach z blachy, biegnących u góry jak kręgosłup, pojękuje wentylowane powietrze. Raz po raz brzmi to niczym głosy. Rozgwar z odległego miejsca. Fakt, nie jest tak, jak gdyby otwarcie dyskutowali o

Slothropie, niemniej chciałby lepiej słyszeć...

Jezióra światła, ładunki mroku. Betonowe lico tunelu ustąpiło bieli wapna na grubawych powierzchniach uskoku, z wyglądu będących imitacją jak wewnątrz pieczary w lunaparku. Wejścia do poprzecznych tuneli prześlizgują się w tył niczym nastrojone piszczałki, omiatane u ustników przez ciąg powietrza... Kiedyś jazgotały tu obrabiarki, weseli robotnicy ostrzeliwali się nawzajem z mosiężnych puszek strugami cieczy chłodząco-smarującej... knykcie zdzierały się do krwi na ściernicach, w pory, zgięcia i pod paznokcie wbijały się drobniutkie opiłki żelaza... rury ze stopów metali i szkła zarażały się dzwonieniem w powietrzu, które tchnęło środkiem zimy, a bursztynowe światło gnało falangami wśród małych neonowych żarówek. Dawniej wszystko to było. Dziś trudno wytrzymać dłużej na dole w Mittelwerke. Odczuwana przez ciebie tęsknota jest wprawdzie cudza, ale przemożna. Wszystkie przedmioty zastygły, ucichły, osłabły od wieczoru, ostatecznego wieczoru. Twarda skóra tlenku, niekiedy grubości ledwie molekuly, okrywa metalowe powierzchnie, zamazuje odbicia ludzi. Obwisłe jasnożółte pasy napędowe z polialkoholu winylowego wydzielają resztki przemysłowej woni. Choć nawiedzony i zdany na łaskę losu, wypełniony śladami ludzkiej bytności, nie jest to legendarny statek „Marie Celeste” – ten okręt nie pozostał ściśle zapieczętowanym światem, bo ślady pod stopami rozchodzą się za dziób i rufę po całej Europie, a my pocimy się i dostajemy gęsiej skórki nie z bojaźni przed domowymi tajemnicami, przed potwornością tego, Co Mogło Się Wydarzyć na strychu, lecz dlatego, że wiemy, co najprawdopodobniej się wydarzyło... w odległych miejscach pod otwartym niebem łatwo nawiedza nas paniczny lęk przed pustkowiem, lecz tutaj dopada cię miejska trwoga, jak wtedy, gdy się zagubisz albo staniesz samotny na szlaku, którym przepływa czas, na którym kresu dobiega Historia i nie ma kapsuły do podróżowania w czasie ani mowy o powrocie, jest tylko „niedawne” i „nieobecne”, wypełniające wielką parowozownię, gdy już całą stolicę ewakuowano, a kuzyni z miasta boga-kozła oczekują ciebie na

obrzeżach światła, wykonując melodie grane od niepamiętnych dni, tylko że teraz lepiej słyszalne, bo wszystko inne odeszło lub ucichło... dusze jak jaskółki dymówki, fasonowane z brązowego zmierzchu, wzlatują ku białemu sufitowi... spotykane tylko w Strefie, są odpowiedzią na nową Niepewność. Zjawy na ogół bywały odbiciem zmarłych albo widmem żywych. Lecz tutaj, w Strefie, granice między kategoriami fatalnie się pozacierały. Status nazwiska, za którym tęsknisz, które kochasz i którego szukasz, stał się niejednoznaczny i odległy, lecz to coś więcej niż biurokracja masowej nieobecności – niektórzy przeżyli, inni pomarli, ale wielu, bardzo wielu pozapominało, kim są. Ich podobizny nie przydadzą się na nic. Tutaj istnieją tylko opakowania pozostawione w świetle, w mroku: wizerunki Niepewności...

Ludzkość, która przeżyła A-4, rozłazi się, stuka, puka i woła po tunelach. Slothrop napotyka cywilów w khaki, z naszywkami, w kaskach z literami GE, czasem witany skinieniem głowy – okulary pobłyskują pod odległą żarówką – najczęściej ignorowany całkowicie. Ekipy żołnierzy chodzą krokiem marszowym i kombinują, wynoszą skrzynie. Slothrop jest głodny, a Żółtego Jamesa nie widać. Tu na dole nie ma nikogo, kto rzuciłby „cześć” łanowi Scufflingowi, a co dopiero go nakarmił. Nie, zaraz, jak pragnę zdrowia, oto nadchodzi delegacja dziewcząt w obcisłych różowych fartuchach laboratoryjnych, sięgających ledwie do połowy nagich ud; dyrdają na stylowych koturnach tunelem. *Ah, so reizend ist!* Za dużo ich, by przytulić wszystkie jednocześnie. *Hübsch, was?* Zaraz, zaraz, drogie panie, pojedynczo, po kolei, chichoczą i wyciągają ręce, by zawiesić mu na szyi bujne girlandy srebrnych nakrętek i łączników kołnierzowych, szkarłatnych oporników i jaskrawożółtych kondensatorów, nanizanych na przewody jak małe parówki, dalej idą resztki uszczelek, mile aluminiowych strużyn tak skręconych-sprężystych-jasnych jak loki na główce Shirley Tempie – ej, Hogan, trzymaj przy sobie tancerki hula! – a dokąd go zabierają? do pustego *Stollen*, gdzie rozpoczynają bajeczną orgię, która trwa wiele, wiele dni, pełna

maków, zabaw, śpiewów, flirtów.

W głębi *Stollen 20* i dalej ruch gęstnieje. To odcinek fabryki dzielony przez A-4 z V-1 i zespołami silników turbośmigłowych. Części do raket z tutejszych *Stollen* – dwudziestek, trzydziestek i czterdziestek – lądowały na dwóch głównych liniach montażowych. Wchodząc coraz głębiej, podąża się drogą narodzin: sprężarki, korpusy, elementy nosa, zespoły napędowe, urządzenia sterujące, części ogona... dużo zostało tych ogonów, poustawiane naprzemiennie statecznikami do góry, do dołu, wszystkie identyczne rząd za rzędem, powgniatane faliste metalowe powierzchnie. Slothrop kręci się przy nich, patrząc na swoje odbicie, na zniekształcaną i prześlizgującą się twarz, oho, istny gabinet krzywych luster pod ziemią... Wózki na małych metalowych kółkach ciągną się szeregiem w głąb tunelu: dźwigają czterołopatkowe kształty, podobne do głowic i wycelowane w sufit – och, racja, te spiczaste obsady wpasowywano w dysze komory ciągu, o, tu jest cała kupa, wielkie kurewstwa, wysokie jak Slothrop, duże „A” namalowane białą farbą obok kołpaków... Nad głową czają się grube, węzowate rury w białej otulinie, a światło stalowych lamp rozacza się tylko w obrębie ciasnych nadpalonych odbłyśników... środkiem tunelu biegną betonowe filary, smukłe, szare, z odsłoniętymi nitami, obrosłymi rdzą wskutek długiego stania... niebieskie cienie falują po klatkach na części zamienne, ustawionych na deskach i belkach dwuteowych, uwieszonych wilgotnych ceglanych słupów wielkości komina... obok torów leży izolacja z waty szklanej, zwałami jak śnieg...

Ostateczny montaż wykonywano w *Stollen 41*. Poprzeczny tunel ma głębokość pięćdziesięciu stóp, żeby mógł pomieścić ukończoną raketę. Wzbiera stamtąd rozgwar popijawy, wyraźnie rozochocone głosy odbijają się od betonu. Po głównym tunelu snuje się personel o szklistych oczach i rumianych policzkach. Slothrop zezuje w głąb czeluści, dostrzega gromadę Amerykanów i Rosjan, stłoczonych dokoła ogromnej dębowej beczki. Niemiecki cywil wzrostu karła, o rudych węsach von Hindenburga, rozdaje

kufle wypełnione głównie pianą. Na prawie wszystkich rękawach migają dymki oddziałów kwatermistrzowskich. Amerykanie śpiewają:



## RAKIETOWE LIMERYKI

Była raz rura zwana V-2,  
Co bez pilota w niebo szła.  
Wciskało się mały guzik  
I z miasta zostawał gruzik,  
Trupy, leje i mgła.

Melodia powszechnie znana wśród członków amerykańskich bractw studenckich. Z niewyjaśnionego powodu śpiewana jest teraz w stylu niemieckich oddziałów szturmowych: nuty rwą się raptownie na końcu każdej linijki tekstu, następnie pulsuje cisza, po której grzmi natarcie kolejnej zwrotki:

(refren:) Ja, ja, ja, ja!  
W Prusach nie pojesz myszy!  
Bo kotów tu tysiące,  
Bestie wściekłością dyszące,  
Więc walca tańcz w ramionach Griszy!

Pijusy zwisają ze stalowych drabin i wyściełają sobą podesty. Opary piwa snują się po długiej pieczarze, wśród ustawionych pionowo lub położonych na bokach części zielonawoburej rakiety.

Był sobie facet z Orvieto,  
Który miał romans z rakieta.  
Najpierw ich podglądano,  
Potem naśladowano,  
Lecz jeśliś zielony, rób to z kobietą!

Slothrop chce jeść i pić. Mimo wyraźnych miazmatów zła w *Stollen 41* zaczyna się rozglądać, jak zejść na dół i zaliczyć trochę żarcia. Okazuje się, że jedynym sposobem jest zjazd po linie umocowanej do wciągarki nad

głową. Obok przycisków wyleguje się starszy szeregowy, gruby wsioch, żłopiający wino z butelki.

– No, śmiało, kolego, przewiozę cię jak trzeba. Rooseveltowcy od walki z bezrobociem nauczyli mnie obsługiwać takie maszyny.

Strosząc wąsy w przejawie – jak mu się wydaje – angielskiej zarozumiałości, Ian Scuffling wsiada, jedna stopa w oku liny, druga zwisa luźno. Warkot silnika elektrycznego, Slothrop puszcza stalową poręcz i chwyta kurczowo linę, pod nim zaś buja się pięćdziesiąt stóp nikle oświetlonej przestrzeni. Uch...

Kołysze się nad *Stollen 41*, hen, w dole, tłoczą się głowy, piana w kuflach faluje jak pochodnie w cieniu i – nagle silnik gaśnie. Slothrop spada jak kamień. O kurwa.

– Nie chcę jeszcze umierać! – krzyczy piskliwym głosem nastolatka w radiu, co w normalnych okolicznościach byłoby zawstydzające, ale betonowa podłoga pędzi na spotkanie, on widzi już każdy ślad po szalunku, najdrobniejsze ciemne ziarenko turyńskiego piasku, w które zaraz się wprasuje – w zasięgu ręki nie ma nawet nikogo, kto posłużyłby za amortyzator i pozwoliłby mu wykpić się wielokrotnymi złamaniami...

Gdy brakuje ledwie z dziesięć stóp, wsioch wciska hamulec. Maniacki śmiech w górze i z tyłu. Naprężona raptem lina śpiewa pod ręką Slothrop, który poluźnia palce, upada i natychmiast zostaje dźwignięty, z nogą wciąż uwięzioną w pętli, i poniesiony głową w dół dokoła beki piwa przez dowcipnisiów, którzy zdążyli przywyknąć do tej formy przybywania, toteż niewzruszeni kontynuują pieśń:

Był sobie facet ze stanu Montana,  
Któremu w oko wpadł przegub Cardana,  
Ale zbyt częste obroty  
Wycisnęły zeń siódme poty,  
A w oku zrobiła się rana.

Młodzi Amerykanie wstają po kolei (dobrowolność) i wywijają kuflami,

śpiewają o różnych sposobach Robienia Tego z A-4 albo pokrewnymi urządzeniami. Slothrop nie wie, że występują dla niego, oni zresztą też nie. Z pewnym niepokojem obserwuje wywróconą do góry nogami scenę. Z krwią nabiegłą do głowy doznaje osobliwego objawienia, że to chyba Lyle Bland trzyma go za kostkę. Zostaje majestatycznie dotransportowany na skraj tumu.

– Ej! – woła młodzik ostrzyżony na jeża – to Tarzan albo coś, cha, cha!

Z pół tuzina ubzdryngolonych i radośnie ryczących kwatermistrzów wyciąga łąpska po Slothrop. Mnóstwo wicia się i szarpaniny, wreszcie udaje mu się uwolnić stopę z pętli. Lina z jazgotem wraca na górę, do zgrywnego szeregowca i kolejnego głupca, który zgodzi się na jazdę.

Był sobie facet ze Srebrenicy,  
Który się kochał w głowicy.  
Żona przestała być miła,  
Gdy to tylko odkryła,  
Bo dotąd kończyło się na donicy!

Rosjanie piją na umór w milczeniu, szurając buciorami, marszcząc czoła. Może próbują tłumaczyć limeryki? Nie jest jasne, czy Amerykanie są tutaj za przyzwoleniem Sowietów, czy vice versa. Ktoś wciska na Slothrop łąskę po pocisku, zimną jak lód, uwalaną pianą po bokach.

– Jejku, Anglików tośmy się nie spodziewali. Ale jubel, nie? Nie oddalaj się, on za chwilę przyjdzie.

– Jaki on? – Tysiące świetlistych robaczków mrowi się przed oczyma Slothrop, a w zdrętwiałej stopie odzywa się życie. Rany, to piwo jest porządnie zimne, mocno chmielowe, nie ma sensu leżać na górę, żeby łyknąć powietrza – haust – dopóki wszystko nie... aaach. Nos topi się w pianie, wąsy są białe i perliste.

Naraz z brzegów tłumu dochodzą krzyki:

– Jest, jest!

– Dajcie mu przepłukać gardło!

– Czołem, majorze kochanieńki!

Był sobie facet znad Pacyfiku,  
Co kochał się w stateczniku.  
Siadał na nim okrakiem,  
Udając, że jest ptakiem,  
I zląził tylko na siku!

– Co się dzieje? – dopytuje się Slothrop z za piany kolejnego piwa, które właśnie zmaterializowało się w jego dłoni.

– Przyszedł major Marvy. To jego pożegnalne przyjęcie. – Matki Marvy’ego śpiewają teraz „For He’s a Jolly Good Fellow”. I w zasadzie trudno oprzeć się wrażeniu, iż nikt nie może temu twierdzeniu zaprzeczyć, chyba tylko ten, kto nie wie, co znaczy słowo „good”.

– Eee, a dokąd on wybywa?

– Wyjeżdża.

– Zdaje się, że miał tu pilnować tych od General Electric.

– Jasne, a myślisz, że za co łyknął awans?

W podziemiu Marvy wygląda jeszcze mniej ujmująco niż na dachu wagonu przy blasku księżyca. Fałdy tłuszczu, wyłupiaste oczy i połyskujące zęby są szare, ordynarniej oświetlone. Kawał plastra, przyklejony majestatycznie w poprzek nosa, oraz fioletowo-żółto-zielony deseń dokoła jednego oka świadczą wymownie o gwałtownej wysiadce z pociągu. Marvy ściska dłonie sympatyków, przyjmuje hałaśliwe wyrazy męskiej czułości, zwracając szczególną uwagę na Rosjan:

– Oj, ten buziak zaprawiłeś chyba wódeczką! Hę? – I dalej: – Jak tam twoja dupa, Władek?

Rosjanie najwyraźniej nic nie kapują, toteż sensu muszą się doszukiwać w uśmiechu zębatej paszczy i pisankach zamiast oczu. Slothrop właśnie smarka pianą z nosa, gdy Marvy dostrzega go i wtedy naprawdę wybałusza gały.

– To on! – ryczy tubalnie, wskazując Slothropo rozdygotanym palcem. – Dobry Boże, to ten skurwysyn herbaciarz, na niego, chłopaki!

Na niego, chłopaki? Slothrop gapi się przez chwilę na oświetlony paluch,

na śliczne garby i obłości cherubinowego tłuszczu.

– Zaraz, jeden moment, drogi panie – duka Ian Scuffling, lecz wokół już zwiera się krąg wrogich twarzy. Hmm... No tak, trzeba się pożegnać – chlusta piwem w najbliższą gębę, drugą wali łuską, dostrzegłszy wyłom w tłumie, prześlizguje się i pryska po rumianych gębach śpiących pijusów, hops, przez kałduny przyozdobione bryzgami rzygowin, w głąb poprzecznego tunelu, między części rakiety.

– Pobudka, matyły! – wrzeszczy Marvy. – Nie pozwólcie frajerowi nawiać!

Drzemiący sierżant o twarzy dziecka i siwych włosach, przytulony do pistoletu maszynowego, budzi się i rycząc: „Szkopy!” – puszcza ogłuszającą serię w bekę piwa, szatkując dolną część, wskutek czego struga bursztynu i piany leje się między pędzących Amerykanów – połowa natychmiast traci równowagę i ląduje na dupach. Slothrop ze sporą przewagą dobiega do przeciwległego krańca *Stollen* i teraz śmiga po drabinie, dwa szczeble naraz. Strzały to przeokropne eksplozje w tym pudle rezonansowym. Albo Matki Marvy’ego za bardzo się urżnęły, albo osłania go mrok. Zziajany dociera wyżej.

Jest w głównym tunelu, dyrda do oddalonego o milę wylotu, próbując nie myśleć, czy starczy mu sił. Nie zrobił nawet dwustu kroków, gdy z tyłu gramoli się czoło pościgu. Slothrop odbija do pomieszczenia, które wygląda na malarnię, salto na mokrej kałuży wehrmachtowskiej zieleni, pac na tyłek, ale brnie dalej wśród wielkich rozprysków czerni, bieli i czerwieni, po chwili nieruchomieje z nosem przy wojskowych buciorach, którymi zaczyna się ubrany w tweedowy garnitur starszy mężczyzna o zakręconych siwych wąsach.

– Grüss Gott.

– Ej, tamci chyba chcą mnie zabić. Czy mógłbym gdzieś...

Nieznajomy mruga okiem i prowadzi go przez *Stollen* do drugiego głównego tunelu. Slothrop dostrzega pomazany farbą kombinezon i postanawia go zabrać. Mijają cztery kolejne *Stollen*, potem ostry skręt w

prawo. To magazyny części metalowych.

– Teraz uważaj. – Chichocząc, wąsacz rusza długim pomieszczeniem między niebieskimi regałami z blachy walcowanej, stosami aluminiowych wlewków, wiązkami prętów rozmiar 3712, 1624, 723... – To będzie dobre.

– Nie tędy, człowieku, tędy to oni akurat przybiegną.

Lecz przerośnięty elf już przyczepia linę z wciągarki do pęku wysokich belek z monelu. Slothrop wciska się w kombinezon, zaczesuje fryzurkę na oczy, wyjmuje scyzoryk i odcina sobie końce wąsów.

– Wyglądasz jak Hitler. Teraz naprawdę będą cię chcieli zabić. – Niemieckie poczucie humoru. Męczyzna przedstawia się: Glimpf, profesor matematyki Technische Hochschule w Darmstadt, doradca naukowy Wojskowego Rządu Sił Sprzymierzonych. Trwa to chwilę. – No, pora sprowadzić ich tutaj.

Wpadłem w łapska szalejącego maniaka, myśli Slothrop.

– A może po prostu byśmy się schowali, aż im złość przejdzie?

W tym momencie z głębi tunelu dobiegają przytłumione okrzyki:

– Trzydziestka siódemka i ósemka czyste. Dalej, słodycze moje!

– Dobra, grzybie, wy bierzecie nieparzyste, my parzyste.

Im złość nie przejdzie, szukają metodycznie, tunel po tunelu. Kurczę, co jest, nastał pokój, nie wolno zastrzelić człowieka w czasie pokoju... ale są pijani... o rany koguta. Slothrop prawie sra w gacie ze strachu.

– Co robimy?

– Popisz się błyskotliwą angielszczyzną. Powiedz coś prowokacyjnego.

Wystawia głowę w długi tunel i wrzeszczy z angielskim akcentem:

– Pieprzony Marvy!

– Tędy!

Tupot galopujących buciorów, podkucia chlaszczą beton, metal stukocze złowieszczo o metal... klik-klak...

– Teraz. – Rozpromieniony psotny profesorek uruchamia wciągarkę.

Slothropowi przychodzi do głowy coś nowego. Znowu wystawia łeb i

wrzeszczy:

- W usta przez CZARNUCHÓW!
- Chyba trzeba się śpieszyć – mówi Glimpf.
- Szkoda, właśnie wymyśliłem coś fajnego o jego matce.

Odcinek liny między wciągarką a belkami napręża się cał po calu, wszystko ustawione przez Glimpfa, żeby runąć na drzwi – oby w chwili, gdy nadbiegną Amerykanie.

Slothrop i profesor pryskają drugim wyjściem. Gdy docierają do zakrętu tunelu, gasną wszystkie światła. Włącza się z jękiem wentylacja. Mrok dodaje pewności siebie widmowym głosom.

Pęk belek wali się z wielkim hukiem. Slothrop dotyka skały, żeby zorientować się w całkowitej ciemności. Glimpf wciąż znajduje się gdzieś w środku tunelu, na szynach. Zamiast oddychać ciężko, chichocze pod nosem. Z tyłu dobiega głucha galopada pościgu, lecz nie widać światła. Od strony profesora dochodzi cichy brzęk i ostre: Himmel! Wrzaski Amerykanów stają się coraz głośniejsze, tu i ówdzie błyskają pierwsze latarki, czas się ulotnić...

- Co się dzieje? Na miłość boską...
- Chodź tu.

Okazuje się, że Glimpf wpadł na jakiś miniaturowy pociąg, ledwo widoczny w zarysach – dawniej wykorzystywany do obwożenia gości z Berlina po zakładach. Wdrapują się na lokomotywę, Glimpf gmera przy przełącznikach.

Jazda, wszyscy na miejsca, światła pewnie pogasił Marvy, z tyłu trzeszczą iskry i czuć teraz nawet lekki przeciąg. Och, jak dobrze jechać.

Generalicja, szeregowcy –  
w bilard rzną wszyscy hitlerowcy  
W Mittelwerk Expressie!  
Ostatni faszysta kręci węża, tnąc w wista.  
Dokąd po tym torze, panie konduktorze?  
W plener, gdzie radosna piosenka się niesie!



Obce nam są niedobory, obca podatkowa taksa,  
Będzie dobra zabawa dla Minnie i dla Maxa,  
W Mittelwerk Expressie!

Glimpf włączył reflektor. Z bocznych tunelów, mijanych z hukiem, gapią się postacie w khaki. Białka oczu odbijają na moment światło i śmigają do tyłu. Paru ludzi macha ręką. Okrzyki: „Hej, hej-y-y-y!” – wibrują po dopplerowsku jak klaksony samochodów na skrzyżowaniach, wracających przed nocą do Bostonu i nad zatokę Maine... Ekspres toczy się ze sporą szybkością. Wilgotny wiatr dmie ze świstem. W rozproszonym wstecznie blasku reflektora widać sylwetki głowic, ustawionych na dwóch niskich wagonikach, ciągniętych przez lokomotywę. Tutejsze karły pierzchają i kulą się przy torach, niemal poza obrębem poświaty. Uważają małą kolejkę za swoją własność i są urażone, ilekroć duzi przychodzą nią zawiadywać. Niektóre siedzą na stosach skrzyń, machając nogami. Inne ćwiczą w mroku stanie na głowie. Ich ślepka żarzą się na czerwono i zielono. Jeszcze inne bujają się na linach przymocowanych do sufitów i dokonują udawanych nalotów kamikadze na Glimpfa i Slothrop, wrzeszcząc: „Banzai, banzai!” – po czym nikną z rechotem. To wszystko zabawa. Tak naprawdę to przyjazne

–

Tuż za plecami, głośno jak megafon, zmasowanym chórem:

Był sobie facet z Syberii,

– O cholera – mówi Slothrop.

Który się kochał w baterii.

Lecz ładunek pół setki woltów,

Przetrzebił zawartość szortów.

Zostawiając kawałek posępnej scenerii.

*Ja, ja, ja, ja,*

W Prusach nie pojesz myszy *u.s.w.*

- Możesz sięgnąć do tyłu i odłączyć wagony? – pyta Glimpf.
- Chyba tak... – Lecz szpera tam w nieskończoność. Tymczasem:

Był sobie piwosz rodem ze Skopje,  
Który się kochał w żyroskopie,  
Nad wszystkie kobiety  
Przedkładał tę część rakiety,  
Bo żyroskop piwa nie żłapie!

- Inżynierowie – mruczy Glimpf.

Slothrop odpina wagony i lokomotywa przyśpiesza. Wiatr targa każdym färfolem, kołnierzykiem, mankietem, sprzączką i końcówką pasa. Z tyłu rozlega się ogromny huk i brzęk, potem kilka krzyków w ciemności.

- Myślisz, że to ich przystopuje?  
Prosto w tyłek, na cztery takty:

Był sobie facet rodem z Vichy,  
Który zakochał się w dyszy.  
Włożył jej w wylot,  
Nasz dziarski pilot,  
A potem zdradził dla myszy.

- No dobra, serdeńka, macie flarę fosforową?  
– Odsuń się, koleżko!

Po tym pojedynczym ostrzeżeniu rozkwita oślepiającą nawałnicą Lodowa Noctiluca, zalewając tunel bielą. Przez minutę lub dwie nikt nie widzi niczego. Jest tylko nieprzerwana fala uderzeniowa na wskroś zdumiewającej idealnej białości. Biel bez gorąca oraz bezwład ślepoty: Slothrop czuje tutaj coś okropnie znajomego, centrum, o które się ocierał i którego unikał, odkąd pamięta – nigdy dotąd nie znalazł się tak blisko prawdziwego pędu swojego czasu: twarze i zdarzenia, które zaśmiecały jego więź z Rakietą, kamuflaż i błahostki nikną na tę białą chwilę, pyszałkowie i ślepcy ciągną go za rękawy, to ważne... prosimy... spójrz na nas... ale już jest za późno, to tylko wiatr,

tylko siła grawitacyjna, a krew w jego oczach wpędza z powrotem biel w odcień kości słoniowej, w maźnięcia złota, przywołuje siateczkę pęknięć na skale... i ta sama ręka, która zabrała Slothrop, wkłada go znów do Mittelwerke...

– Ja-huuu! Mamy frajera!

Ze światła flary, w zasięgu strzału z pistoletu, wyłania się zasapana lokomotywa, pchająca przed sobą dwa wagoniki, odcięte przez Slothrop, obławiana poturbowanymi Amerykanami, dyszącymi chęcią zemsty, a w górze, przykucnięty na ich ramionach, siedzi przechylony sam major Marvy w gigantycznym białym stetsonie, ściskając w łapskach parę automatycznych czterdziestek piątek.

Slothrop daje nura za cylindryczny przedmiot, ustawiony na tyle jego lokomotywy. Marvy zaczyna strzelać nieprzytomnie, natchniony szkaradnym śmiechem pozostałych. Slothrop spostrzega, że osłona, za którą się ukrył, to głowica raketowa. Jeżeli ładunki amatu są w środku... – proszę powiedzieć, drogi profesorze, czy fala uderzeniowa od kuli kalibru czterdzieści pięć wystrzelonej z takiej odległości może wywołać detonację głowicy, jeśli trafi w pokrywę? n-n-nawet jeśli nie zainstalowano zapalnika? No cóż, Tyrone, to zależy od wielu czynników: prędkości wylotowej, grubości powłoki i składu...

Spodziewając się co najmniej naderwania mięśnia ręki oraz przepukliny, Slothrop z trudem przechyla głowicę i spycha ją na tory, tymczasem kulki Marvy'ego gwizdzą i grzechoczą po całym tunelu. Głowica podskakuje i nieruchomieje, oparta o jedną z szyn. Świetnie.

Blask flary przygasa. Cienie wypełniają paszczę *Stollen*. Wagony jadące przed Marvym uderzają w przeszkodę i wydając porządne ŁONK!, składają się ślicznie w odwrócone V – hamulce zgrzytają panicznym j-i-i-k-k-k i wielka machina wykoleja się, obraca, zaczyna przechylać, Amerykanie chwytają się rozpaczliwie prętów, siebie nawzajem, powietrza. Slothrop i Glimpf docierają do ostatniego zakrętu sinusoidalnego tunelu, a wtedy za

nimi rozlega się kolejny donośny huk i wrzask, który się przeciąga, odbija echem, lecz już widzą wylot, rosnącą parabolę górskich stoków i słońce...

– Przyjechałeś autem? – pyta Glimpf, mrugając oczyma.

– Co? No właściwie... – Slothrop przypomina sobie o kluczykach w mercedesie.

Gdy wyłaniają się spod paraboli na światło dzienne, Niemiec zaciska łagodnie hamulce, wskutek czego wytracają prędkość gładko i z godnością. Salutują rażno wartownikom z Kompanii B i idą ukraść mercedesa, który stoi tam, gdzie zostawił go porucznik.

Na drodze Glimpf wskazuje gestem północ, zezując chytrze na Slothropa za kierownicą. Mkną zakosami w Góry Harcu, przez cienie szczytów, owiewani zapachami sosny i jodły, zgrzytając hamulcami na zakrętach, niekiedy prawie wypadając z trasy. Slothrop ma wrodzony dar wybierania złego biegu na każdą okazję, jest podenerwowany, oko utkwione w lusterku i z tyłu głowy, w której roi się od podrasowanych lotniskowców i eskadr wyjących thunderboltów. Wyskakując z za groźnego wirażu, wykorzystując całą szerokość drogi – znana mu ostra sztuczka rajdowców – omal nie całują się z nadjeżdżającą wojskową dwuipółtonówką, słowa „pieprzony idiota” wyraźnie wypisane na ustach szofera, gdy wymijają się o włos, serca w gardłach, błoto z tylnych kół ciężarówki chlasta ich wielkim skrzydłem, które trzęsie autem i obryzguje połowę szyby.

Słońce już chyli się ku zachodowi, gdy wreszcie stają pod kopułą lasu zwieńczoną małym walącym się zamkiem, z setkami gołębi – białych łez – kapiących z blanek. Zielone tchnienie lasu jest ostrzejsze; oziębiło się.

Wspinają się krętą ścieżką, usianą skałkami, pośród ciemnych jodeł, w stronę zamku skąpanego w słońcu, poszarpanego i brązowego tam na górze jak skiba chleba pozostawiona dla wszystkich pokoleń ptaków.

– Tu mieszkasz?

– Kiedyś tu pracowałem. Może Zwitter ciągle jest. – W Mittelwerke zabrakło miejsca dla wielu małych zakładów montażowych. Zwłaszcza dla

zakładów urządzeń sterujących. Zatem różne elementy składano w piwiarniach, sklepach, szkołach, zamkach i gospodarstwach rolnych dokoła Nordhausen, słowem, pod byle dachem, gdzie technicy mogli rozłożyć sprzęt. Kolega Glimpfa, Zwitter, pochodzi z Technische Hochschule w Monachium. – Typowe bawarskie podejście do elektroniki. – Profesor marszczy czoło. – Ale da się z nim wytrzymać, jak mniemam. – Tajemnicze wady bawarskiego podejścia do elektroniki unieruchamiają oczy Glimpfa i wtrącają go w cierpką introspekcję na resztę drogi.

Gdy wślizgują się do zamku bocznym wejściem, wita ich zmasowane monotonne gruchanie, tłumione przez biały puch. Podłoga jest brudna, zaśmiecona butelkami i kawałkami papieru. Niektóre strzepy noszą karmazynowy stempel: GEHEIME KOMMANDOSACHE. W powybijanych oknach fruują ptaki. Ze szczelin i rozstępów erozyjnych strzelają nitki światła. Tutaj kłaki kurzu, napędzane gołębimi skrzydłami, nigdy nie przestają wirować. Ściany obwieszono ponurymi portretami szlachciców o fryzurach Fryderyka Wielkiego i dam o gładkich twarzach i owalnych oczach, ubranych w wydekoltowane suknie, które wylewają się metrami jedwabiu prosto w kurz i trzepot. Wszędzie po ciemnych pokojach wala się gołębie gównno.

Dla odmiany laboratorium Zwittera na piętrze jaśnieje światłem, uporządkowane, pełne stołów, szkła dmuchanego, wielobarwnych lamp, pocętkowanych skrzyń, stert zielonych teczek – słowem, to laboratorium szalonego hitlerowskiego naukowca! Plasticmanie, gdzie jesteś?

Jest tylko Zwitter: krępa figura, ciemne włosy z przedziałkiem pośrodku, soczewki okularów grube jak okna batysfery, za nimi pływają w głębinach fluorescencyjne hydry, węgorze i płaszczki równań matematycznych...

Gdy oczy dostrzegają Slothrop, następuje natychmiastowe oczyszczenie, spuszczają się szkliste zasłony. Hm, co jest, T.S.? Co to za ludzie? Gdzie się podziały rumieńce na policzkach starego Glimpfa? Co hitlerowski ekspert od sterowania robi po tej stronie Garmisch, mając do dyspozycji nietknięte

laboratorium?

O... kurczę...  
We framugach siedzą naziści,  
Faszyści w ścianach się kryją,  
Szablatozębne Japońce  
Pochwycą cię za szyję.  
Wkrótce się wszyscy ucieszą,  
Że koniec już z Trzecią Rzeszą,  
I każdy wiele dałby,  
By z Ruskim chwycić się za łby.  
I on, i ja, i ty  
Chcemy Draki Numer Trzy...

„W czasach, gdy biali inżynierowie toczyli spory na temat powstającego układu napędowego, jeden z nich przyszedł do Enziana z Bleicheröde i rzekł:

– Nie potrafimy dojść do zgody w sprawie ciśnienia gazów w komorze spalania. Nasze wyliczenia dowodzą, że najbardziej wskazane jest ciśnienie robocze w wysokości czterdziestu atmosfer. Tymczasem ze wszystkich dostępnych nam danych wynika wielkość jedynie dziesięciu atmosfer.

– Zatem – odparł Nguarorerue – musicie posłuchać się danych.

– Ale to nie jest najlepsza ani najbardziej efektywna wartość – zaprotestował Niemiec.

– Dumny człowieku – rzekł Nguarorerue. – Czym są te dane, jeśli nie bezpośrednim objawieniem? Skąd pochodzą, jeśli nie od Rakiety, która ma się narodzić? Jak śmiesz porównywać liczby obrachowane na papierze z liczbami samej Rakiety? Wyzbądź się pychy i konstruuuj zgodnie z kompromisową wartością”.

z „Opowieści Schwarzkommando”  
(zebrał Steve Edelman)

W górach dokoła Nordhausen i Bleicheröde, w porzuconych szybach

górnicych, żyje Schwarzkommando. Obecnie jego członkowie nie są już formacją wojskową, lecz narodem, Hererami Strefy, wypędzonymi dwa pokolenia temu z Afryki Południowo-Zachodniej. Pierwsi reńscy misjonarze zaczęli sprowadzać ich do Metropolii – nudnego ogrodu zoologicznego – jako okazy gatunku na wymarciu. Eksperymentowano z nimi delikatnie: obserwowano, jaki wpływ wywierają na nich katedry, wieczorki wagnerowskie, jegierowska bielizna, próbowano zmusić do zainteresowania się własnymi duszami. Innych zabrali do Niemiec jako służących żołnierze wysłani do zdławienia wielkiego powstania Hererów w latach 1904 – 1906. Większość jednak dzisiejszych przywódców przybyła dopiero po 1933 roku, w ramach wielkiego planu – do którego NSDAP nigdy się otwarcie nie przyznała – dotyczącego ustanowienia czarnych junt, państw-cieni w celu przejęcia brytyjskich i francuskich kolonii w Afryce, wzorem niemieckich zamysłów względem Maghrebu. Sudwest była wtedy protektoratem administrowanym przez Związek Południowej Afryki, niemniej w rzeczywistości władza spoczywała w rękach starych niemieckich rodów kolonialnych, które współpracowały z hitlerowcami.

W pobliżu Nordhausen/Bleicheröde działa kilka podziemnych wspólnot. Określanych zbiorowo jako *Erdschweinhöhle*. To hererowski żart, dość gorzki. Wśród Ovatdżimba – najbiedniejszych Hererów, nieposiadających własnego bydła ani wiosek – totemicznym zwierzęciem był *Erdschwein*, czyli prosię ziemne, inaczej mrównik. Wzięli swoje miano od tego zwierzęcia, nie jadali jego mięsa, żywność wygrzebywali z ziemi tak samo, jak ono. Wyrzutkowie z wyboru, żyli na *veld*, czyli pod gołym niebem. Najłatwiej było natknąć się na nich nocą – ogniska migotały męźnie na wietrze, poza zasięgiem karabinów z torowisk – wydawało się, że nie ma innej siły, by zlokalizować ich w tej pustce. Wiedziałeś, czego się obawiają – lecz nie wiedziałeś, czego pragną lub co ich porusza. Ponadto twoją uwagę zajmowały sprawy na północy, w kopalniach, zatem gdy tylko trzaskające ognie nikły w tyle, razem z nimi nikła wszelka potrzeba myślenia o



Hererach...

Pociąg toczył się dalej, lecz kim była samotna kobieta, zagrzebana w ziemi, zakopana po ramiona w dole mrównika, patrząca głowa, zakorzeniona w pustynnej równinie, z wianuszkami pofałdowanych ciemnych gór w tle, hen, daleko, widziana wieczorną porą? Na brzuchu czuje niewiarygodny napór, kilometry horyzontalnego piasku i gliny. Na szlaku czekają świetliste duchy jej czworga dzieci, które urodziły się martwe: tłuste robaki leżą jeden przy drugim wśród dzikiej cebuli bez szansy zaznania wytchnienia, płaczące za mlekiem, świętością większą niż wszystko, co jada się ze smakiem i błogosławi w wioskowych baniach. Jak wektor odrzuconych potomstwo skierowało ją do tego miejsca, żeby złączyła się z darem ziemi do rodzenia. Czuje, że moc wlewa się każdą szczeliną: rzeka między udami, światło skaczące do opuszków palców u rąk i nóg. Bezsporne i odżywcze jak sen. To ciepło. W miarę dogasania dnia kobieta coraz bardziej ulega – mrokowi, wodzie zstępującej z powietrza. Jest nasieniem w ziemi. Święty mrównik wygrzebał dla niej rabatę.

W Südwest *Erdschweinhöhle* była jednoznacznym symbolem płodności i życia. Lecz tutaj, w Strefie, jej rzeczywisty status nie jest jasny do końca.

W Schwarzkommando są obecnie siły, które opowiadają się za bezpłodnością i śmiercią. Walka toczy się na ogół w ciszy, nocą, w przystępach mdłości i skurczów ciążowych i poronnych. Niemniej to walka polityczna. Która najbardziej martwi Enziana. On jest tutaj Nguarorerue. Dokładnie słowo to nie znaczy „przywódca”, lecz „ten, którego poddano próbie”.

Enziana nazywają też – choć tylko za jego plecami – Otyikondo, czyli Mieszaniec. Jego ojciec był Europejczykiem. To akurat nic wyjątkowego wśród *Erdschweinhöhle*: w żyłach niektórych płynie krew niemiecka, słowiańska, cygańska. Za życia kilku pokoleń, wskutek przyśpieszenia nieznanego w czasach przed powstaniem Imperium, zaczęła się formować tożsamość, której ostateczny kształt niewiele dostrzega. Rakieta doczekała

się finalnego kształtu, jej lud – nie. *Eanda* i *oruzo* straciły tutaj swoją moc – linie matki i ojca zostały daleko, w Südwest. Wielu wczesnych emigrantów przyjęło wiarę Reńskiego Towarzystwa Misyjnego jeszcze przed wyjazdem z rodzinnych stron. W chwili lęku i ucieczki, gdy słońce w zenicie wypalało wszystkie cienie, w każdej osadzie stał *omuhona*, który wyjmował po kolei ze świętego worka skórzane rzemienie – jedną nawróconą duszę po drugiej – przechowywane od czasu przyścia na świat konkretnych Hererów, i rozwiązywał supły narodzin. Rozplątany – kolejna dusza martwa, stracona dla plemienia. Zatem dziś, w dniach *Erdschweinhöhle*, wszyscy Puści noszą kawałek rzemienia bez węzła: to odrobina starej symboliki, która okazała się użyteczna.

Siebie nazywają *Otukungurua*. Owszem, znawco Afryki, powinno być *Omakungurua*, ale zawsze podkreślają skrupulatnie – być może to coś mniej zdrowego niż skrupulatność – że *oma* odnosi się tylko do istot żywych i ludzkich, *otu* zaś dotyczy rzeczy nieożywionych i nabierających siły, a tak właśnie siebie postrzegają. Rewolucjoniści Zera, pragną kontynuować to, co zaczęło się wśród Hererów po upadku powstania w 1904 roku. Chcą ujemnego przyrostu naturalnego. Ich zamiarem jest samobójstwo narodu. Zakończą eksterminację rozpoczętą przez Niemców.

Za życia poprzedniego pokolenia malejąca liczba urodzeń w wioskach Hererów była kwestią medyczną, interesującą całą południową Afrykę. Biali przyglądali się temu z niepokojem, z jakim obserwowaliby wybuch księgosuszu u bydła. Można się było porządnie zdenerwować, bo populacja poddanych zmniejszała się rok w rok. Czym będzie kolonia bez ciemnoskórych tubylców? Pryśnie cała frajda, skoro wszyscy powymierają. Zostanie tylko kawał pustyni. Nie będzie pokojówek, robotników rolnych, rąk do pracy na budowach i w kopalniach – ale zaraz, przecież to Karol Marks, ten cwany stary rasista, zwiewa z nietkniętym uzębieniem i uniesionymi brwiami, próbując udawać, że to tylko Tania Siła Robocza i Zamorskie Rynki... O nie. Kolonie są czymś więcej, o wiele więcej. Kolonie

to przybudówki europejskiej duszy, w których człowiek może spuścić spodnie i odprężyć się, nawdychać w spokoju smrodu własnego gówna. Gdzie indziej mógłby spaść na wątłą ofiarę, rycząc tak głośno, jak ma ochotę, i nażłopać się krwi bez skrywania radości? He? Gdzie indziej mógłby używać sobie do woli, parzyć się, zatracić w miękkości i czulej czerni kończyn, włosów wełnistych jak te porastające jego zakazane genitalia? Gdzie indziej tak się plenią i zielenią mak, konopie i kokaina, lecz nie barwą i trybem śmierci, jak zadomowione w Europie sporysz i bedłka, śnieć i grzyb? Chrześcijańska Europa zawsze była śmiercią, Karolu, śmiercią i uciskiem. Daleko w koloniach można się cieszyć życiem, życiem i zmysłowością pod wszelkimi postaciami, nie czyniąc krzywdy Metropolii; nic nie splami katedr, posągów z białego marmuru, szlachetnych myśli... Nie przedostanie się ani jedno słowo. Cisza ścieląca się tutaj jest na tyle wielka, że wchłonie wszelkie postępowanie, nawet najgorsze, najbardziej zwierzęce akty...

Niektórzy racjoniści od medycyny przypisywali spadek urodzeń wśród Hererów niedoborem witaminy E w pożywieniu, inni niewielkim szansom zapłodnienia, spowodowanym osobliwie długą i wąską macicą u kobiet. W ferworze tych uczonych dyskusji i naukowych domysłów nikt nie potrafił nazwać doznawanego powszechnie wrażenia... Coś złowrogiego rozgrywało się na *veld*: Afrykaner przyglądał się czarnym twarzom, zwłaszcza twarzom kobiet, ciągnącym się szeregiem za płotami z ciernistych gałęzi, i rozumiał – wbrew logice – że do głosu doszedł umysł plemienny, który postanowił popełnić samobójstwo... Zastanawiające. Może nie byliśmy tak szlachetni, jak powinniśmy być, może faktycznie odebraliśmy im bydło i ziemię... no i te obozy pracy, drut kolczasty i palisady. Czy doszli do wniosku, że nie chcą dłużej żyć w tym świecie? Jakże to dla nich typowe: poddać się, odczołgać, żeby zdechnąć w ciszy... Dlaczego nigdy nie podejmą pertraktacji? Można przecież wypracować jakieś rozwiązanie...

Dla Hererów wybór był prosty: śmierć plemienna lub śmierć po chrześcijańsku. Ta pierwsza miała sens. Druga nie miała żadnego. Wydawała

się ćwiczeniem, które do niczego nie było im potrzebne. Europejczycy natomiast, ogłupieni własną bajką o Dzieciątku Jezus, uważali, że zetknęli się z tajemnicą tak ogromną, jak cmentarzysko słoni albo lemingi wbiegające do morza.

Choć Puści wygnani do Strefy, zeuropeizowani w mowie i myśli, nie chcą się do tego przyznać, są odszczepieńcami od starej plemiennej jedności, której istota także dla nich jest niemałą zagadką. Niemniej chwycili się jej, podobnie jak chora kobieta chwyta się zakłęć. Nie nakreślają żadnych cykli, żadnych powrotów, rozkochali się w uroczej perspektywie samobójstwa całego narodu – poza, stoicyzm, męstwo. Ci Otukungurua to prorocy masturbacji, specjaliści od sterylizacji i aborcji, piewcy stosunków oralnych i analnych, nożnych i palcowych, sodomii i zoofilii – ich dążeniem i zasadą jest przyjemność: spielują z przejęciem i znanstwem, a *Erdschweinhöhle* okazują im posłuch.

Puści ręczą, że nadejdzie taki dzień, gdy ostatni Herero Strefy wyzionie ducha, gdy zbiorowe dzieje przeżyte do cna osiągną finalne zero. To ma swój urok.

Nie toczy się otwarta walka o władzę. Rzecz sprowadza się do uwodzenia i kontruwodzenia, namawiania i pornografii, a losy Hererów Strefy decydują się w łóżku.

Wektory w nocnym podziemiu – wszyscy próbują uciec od centrum, od siły, którą jest Rakieta: Imachinacja – czy to lotu, czy przeznaczenia – która potrafi zjednoczyć wrogie polityczne ekstrema w *Erdschweinhöhle* z chwilą, gdy w komorze ciągu zbiera się paliwo i utleniacz: miarowo, wzorem sternika, z myślą o przewidzianej paraboli.

Tego wieczoru Enzian siedzi we wnętrzu góry, za nim kolejny dzień knowań, przyśpieszania biegu spraw, wymyślonej na oczekaniu pracy biurowej – form, które przed nadejściem zmroku może zniszczyć albo poskładać, stylem Japończyków, w gazele, orchidee, jastrzębie. Gdy Rakieta rozrasta się do swojej roboczej wielkości i pełni, on ewoluuje tak samo, w

nową konfigurację. Czuje to. Kolejne zmartwienie. Poprzedniej nocy Christian i Mieczysław podnieśli wzrok znad planów, uśmiechnęli się przelotnie, zamilkli. Wyraźny bałwochwalczy respekt. Studiują rysunki, jak gdyby były jego dziełem i objawieniem. Wcale mu to nie pochlebia.

To, co Enzian próbuje stworzyć, nie będzie miało swojej historii. Nie będzie wymagało zmiany wzorów. Czas – taki, jaki znają inne narody – obumrze wewnątrz nowego. W odróżnieniu od Rakiety *Erdschweinhöhle* nie będą skrępowani czasem. Naród znowu odnajdzie Centrum, Centrum bez czasu, podróż bez histerezy, gdzie każdy odjazd jest powrotem do tego samego miejsca, jedyne miejsce...

W tych okolicznościach Enzian nieoczekiwanie zbliżył się do Pustych, zwłaszcza do Josefa Ombindi z Hanoweru. Wieczne Centrum można bez trudu postrzegać jako Finalne Zero. Nazwy i metody różnią się od siebie, ale ruch ku bezruchowi jest taki sam. To doprowadziło do osobliwych rozmów.

– Czy wiesz – Ombindi wywraca oczyma w przeciwną stronę, podnosząc wzrok do lustrzanego odbicia Enziana, które widzi tylko on – że jest coś... hm, coś, w czym nie dostrzegłbyś normalnie nic erotycznego, ale w rzeczywistości to najbardziej erotyczna rzecz na świecie?

– Naprawdę? – Enzian uśmiecha się jak flirciarz. – Nic mi nie przychodzi do głowy. Podpowiedz.

– To czyn, którego nie można powtórzyć.

– Odpalenie rakiety?

– Nie, no przecież zawsze będzie następna do odpalenia. To coś nie ma... nieważne.

– Aha! Nie ma dalszego ciągu, to chciałeś powiedzieć?

– Chcesz drugą podpowiedz?

– Tak. – Lecz Enzian już odgadł: widać to po sposobie, w jaki uniósł podbródek; zaraz się roześmieje...

– Ten pojedynczy akt obejmuje wszystkie zboczenia.

Enzian wzdycha poirytowany, ale nie wytyka koledze użycia ostatniego

słowa. Przywoływanie przeszłości jest częścią gry prowadzonej przez Ombindiego.

– Na przykład homoseksualizm. – Żadnej reakcji. – Sadyzm i masochizm. Onanizm. Nekrofilie...

– Wszystko to w jednym akcie?

Wszystko i jeszcze więcej. Obaj już wiedzą, że mówią o samobójstwie, w którym zawiera się także zoofilia („pomyśl – brzmi dalej nawijka – jak słodko jest okazać litość, seksualną litość, temu zranionemu i płaczącemu zwierzęciu”), pedofilia („mawia się powszechnie, że podobno już na samej granicy człowiek drastycznie się odmładza”), lesbijstwo („owszem, bo gdy wiatr wieje przez pustoszące przedziały, dwie kobiety-cienie mogą wreszcie wypełznąć z zacisza umierającej powłoki na ostatnią popielatą linię brzegową, by spotkać się i uściskać...”), koprofilia i urolagnia („ostatnie drgawki...”), fetyszyzm („szeroki wybór fetyszów śmierci, naturalnie...”). Naturalnie. Siedzą we dwóch, dzieląc się papierosem, póki nie zostanie maleńki niedopałek. Czy to czcze pogaduszki, czy też Ombindi naprawdę próbuje naraić sobie Enziana? Enzian musi mieć pewność, zanim zrobi ruch. Jeśli przełamie opory i spyta: „Agitujesz mnie, tak?”, a okaże się, że nie, to wtedy, cóż... Lecz inna ewentualność wydaje się tak mało prawdopodobna, że w jakimś sensie Enzian jednak jest

## NAKŁANIANY DO SAMOBÓJSTWA

Mam gdzieś żarcie, mam gdzieś szlugi,  
Weźcie sobie boogie-woogie,  
Bo nakłaniany jestem do samobójstwa!

Crosby dzisiaj też mi na nic,  
Ani wóda, ani taniec,  
Bo nakłaniany jestem do samobójstwa!

Na co kartka żywnościowa,  
Greta Garbo niech się schowa,  
Bo nakłaniany jestem do samobójstwa!

Nudzą mnie rozgrywki ligi,  
Szczam na mecze, na wyścigi,  
Bo N.J.D.S!

No cóż, piosenka ciągnie się przez dłuższą chwilę zwrotka za zwrotką. Kompletna wersja to wielki bilans doczesnych wyrzeczeń. Kłopot w tym, że, w myśl twierdzenia Gödla, powinien się znaleźć jakiś element nieobjęty taką listą, a coś podobnego niełatwo wskazać na poczekaniu, zatem najprawdopodobniej człowiek przejrzy wszystko od nowa, eliminując błędy i nieuniknione powtórzenia, dodając nowe pozycje, które nieuchronnie się nasuną i... – hm, łatwo dostrzec, że tytułowe „samobójstwo” może się odwlec w nieskończoność!

Pogawędki Ombindiego z Enzianem przypominają obecnie agitację polityczną, przy czym ten drugi jest nie tyle naiwnym odbiorcą, ile niechętnym przytakiwaczem, który zastępuje audytorium i być może słucha, być może nie.

– Och, czy mi się wydaje, czy coś ci pęcznieje w kroku, Nguarorerue?... Nie, nie, pewnie tylko myślisz o kimś, kogo kochałeś gdzieś dawno temu...



jeszcze w Sudwest, co?

Żeby doprowadzić do zatarcia się plemiennej przeszłości, wszelkie wspomnienia powinny być faktem publicznym; nie ma sensu upamiętniać dziejów, skoro oczekiwane jest Finalne Zero... Jednak Ombindi głosi to cynicznie w imię Plemiennej Jedności, co stanowi słabą stroną jego agitacji – źle to wygląda, wygląda, że Ombindi próbuje udawać, iż chrześcijańska choroba nigdy nas nie dotknęła, tymczasem wszyscy wiedzą, że są zarażeni, niektórzy nawet śmiertelnie. Trochę nieuczciwe ze strony Ombindiego, że odwołuje się do dawnej niewinności, o której tylko słyszał, w którą sam nie potrafi uwierzyć – nagromadzona czystość przeciwieństw, wioska zbudowana jak mandala... Niemniej uczy i wieści, posługując się wyobrażeniem świetlistego Graala, sunącego przez salę, choć żartownisie zebrani dokoła stołu ukradkiem podsuwają na Niebezpieczne Miejsce pierdzące poduszki, tuż pod opadający tyłek poszukiwacza, i mimo że w dzisiejszych czasach graale wyrabia się z tworzyw sztucznych, tuzin za miedziaka, gros za pensa, Ombindi, niekiedy ogłupiony przez samego siebie jak byle chrześcijanin, przepowiada i sławi epokę niewinności, która ominęła go o włos, wychwala jeden z ostatnich azylów przedchrześcijańskiej jedności pozostałych na tej planecie:

– Tybet to przypadek szczególny. Imperium umyślnie pozostawiło Tybet na boku jako terytorium wolne i neutralne, jako swoistą Szwajcarię ducha, gdzie nie ma ekstradycji, są tylko Alpy-Himalaje, które wiodą duszę w górę, a niebezpieczeństwo występuje tak rzadko, że da się tolerować... Szwajcarię i Tybet łączy jeden z *prawdziwych* południków Ziemi, prawdziwych nie mniej niż meridiany nakreślone przez Chińczyków w ludzkim ciele... Będziemy musieli nauczyć się nowych map globu: gdy podróż po interiorze staje się coraz powszechniejsza, a mapy nabierają nowego wymiaru, tak samo nowego wymiaru musimy nabrać my... – Mówi też o Gondwanie sprzed czasów dryfu kontynentów, gdy Argentyna tuliła się do Südwest...

Ludzie słuchają i gonią z powrotem do jaskini i posłania z trawy, do

rodzinnej bani, z której pije się zimną biel niekonsekrowanego mleka, zimną jak północne kraje...

Zatem między tymi dwoma nawet zdawkowe słowa powitania obarczone są ładunkiem treści i chęcią zbombardowania umysłu przeciwnika. Enzian wie, że wykorzystywany jest ze względu na swoje imię. Imię kryje w sobie magię. Lecz od dawna nie potrafi posługiwać się dotykiem, stał się tak bezpłciowy... Wszystko odpłynęło oprócz imienia – „Enzian”, dźwięki pieśni. Żywi nadzieję, że gdy już nadejdzie pora, słowo to okaże się wystarczająco magiczne w pewnej sprawie, dobrej sprawie, bez względu na to, jak daleko będzie do Centrum... Czym są te uporczywości narodu, te tradycje i urzędy, jeśli nie sidłami, seksualnymi fetyszami, które chrześcijaństwo wyzyskuje, którymi błyska, mamy nas i które mają przypominać o najpierwszej miłości noworodka?... Czy możliwe, że jego imię, że „Enzian”, przełamie ich moc? Czy jego imię może zatryumfować?

*Erdschweinhöhle* znajdują się w najgorszych sidłach, w dialektyce słowa, które stało się ciałem, ciałem dążącym ku czemuś jeszcze... Enzian wyraźnie widzi pułapkę, nie widzi jednak drogi wyjścia... Siedzi między parą zapalonych dopiero co świec, szara wojskowa koszula rozpięta u szyi, broda rzędnie na ciemnym gardle do postaci krótszych, skąpszych kosmyków połyskliwych czarnych włosów, które płaczą się, opiłki żelaza dokoła południowego bieguna jabłka Adama... bieguna... osi... Osika... Drzewo... *Omumborombanga*... *Mukuru*... praprzodek... Adam... wciąż spocony, ręce po pracowitym dniu toporne i zdrętwiałe, ma wolną chwilę, by sięgnąć pamięcią do tej pory dnia w Sudwest, tuż nad ziemią, gdy uczestniczył w zachodzie słońca, na dworze, obserwując zbierające się opary, częściowo mgła, częściowo kurzawa wzbita przez bydło biegnące do *kraals*, do dojarek i spoczynku... dawno temu jego plemię wierzyło, że każdy zachód słońca jest bitwą. Na północy, gdzie słońce niknie, żyją jednoręcy, jednożni i jednoocy wojownicy, którzy co wieczór toczą z nim śmiertelny bój, przekuwają je włóczniami, póki nie wykrwawi się na widnokrąg i niebo.

Lecz nocą słońce odradza się pod ziemią, by powrócić o świcie, nowe i zarazem takie samo. A my, Hererowie Strefy, też pod ziemią, jak długo musimy czekać tu, na północy, w tym siedlisku śmierci? Czy słońce się odrodzi? Czy też pogrzebano nas już ostatni raz, skierowanych ku północy, jak grzebano wszystkich naszych zmarłych i bydło złożone kiedykolwiek w ofierze na cześć przodków? Północ to kraina śmierci. Być może nie ma bogów, jest natomiast pewien model: być może same nazwy nie kryją w sobie magii, lecz akt nazywania, fizyczna artykulacja dźwięków, dokonuje się według prawidłowości. „Nordhausen” oznacza „mieszkanie na północy”. Rakieta musiała być wytwarzana w miejscu zwanym Nordhausen. Sąsiednie miasteczko ochrzczono Bleicheröde celem przypieczętowania sprawy, ot, taka lekka przesada, by przesłanie nie zaginęło. Zaginionym przesłaniem są dzieje dawnych Hererów. Zaczęły się w czasach mitycznych, kiedy przebiegły zając, który mieszka na Księżycu, przyniósł ludziom śmierć zamiast autentycznego przesłania od Księżyca. Autentyczne przesłanie nigdy nie nadeszło. Być może Rakieta zabierze nas tam kiedyś, a Księżyc wreszcie wyjawí nam prawdę. Wśród *Erdschweinhöhle* są młodzi, którzy znają tylko podatną na jesień, białą Europę i wierzą, że Księżyc jest ich przeznaczeniem. Starzy natomiast pamiętają, że Księżyc – jak Ndžambi Karunga – to zarówno sprawca zła, jak i mściciel tegoż...

„Bleicheröde” kojarzy się Enzianowi ze słowem „Blicker”, nazwą, którą dawni Niemcy określali śmierć. Postrzegali śmierć jako biel: bezbarwność i pustkę. Nazwę tę później zlatynizowano do postaci „Dominus Blicero”. Zafascynowany tym Weissmann wybrał ją na swój pseudonim w SS. Enzian był już wtedy w Niemczech. Weissmann przyszedł z nowym imieniem do domu, do swego pupila, nie tyle, by się popisać, ile żeby wskazać Enzianowi, iż należy zrobić następny krok ku Rakiecie, ku przeznaczeniu, którego wciąż nie dostrzegał poza złowrogą kryptografią nazw, ku rozproszonemu modelowi, którego nie można obcesowo zanegować, który wrzeszczał i popędzał go, potykającego się, już od dwudziestu lat...

Kiedyś Enzian nie wyobrażał sobie życia bez powrotu. Zanim uformowały się jego świadome wspomnienia, coś go zabrało, wyłuskało z rodzinnej wioski na planie koła, zwanej Kakau Veld, i poniosło aż na granicę krainy śmierci; odejście i powrót... Powiedziano mu o tym wiele lat później. Wkrótce po narodzinach matka przyniosła go ze Swakopmund do osady. W normalnych czasach wygnano by ją. Urodziła bękarciego syna, spółzonego przez rosyjskiego marynarza, którego imienia nie potrafiła nawet dobrze wymówić. Lecz w obliczu niemieckiego najazdu zasady były mniej ważne niż wzajemna pomoc. Choć mordercy w niebieskich mundurach przybywali kilkakrotnie, Enzian się uchował. Ku jego irytacji, zwolennicy wciąż lubią przywoływać podanie o Herodzie. Ledwie nauczył się chodzić, matka przyłączyła się z nim do wielkiej wędrówki Samuela Maherero przez Kalahari.

Ze wszystkich historii o tamtych czasach ta jest najtragiczniejsza. Uchodźcy od wielu dni przemierzali pustynię. Khama, król Czuanów, wysłał na pomoc przewodników z wołami, wozami i wodą. Tych, którzy dotarli pierwsi, uprzedzono, by pili po trochu. Gdy nadciągnęli maruderzy, pozostali już spali. Nikt ich nie przestrzegł. Kolejne zagubione przesłanie. Nażłopali się na śmierć, setki dusz. Wśród nich była matka Enziana. Mały zasnął pod krowią skórą, wyczerpany z głodu i pragnienia. Ocknął się między zmarłymi. Podobno znalazła go i otoczyła opieką gromada z ludu Owambo. Później zostawiła na skraju rodzinnej wioski, by sam do niej wszedł. To byli nomadzi, mogli obrać każdy kierunek na tym wielkim pustkowiu, a jednak przynieśli Enziana do miejsca, z którego wyruszył. Mało kto się tam ostał. Wielu wyruszyło na wędrówkę, innych zabrano nad wybrzeże i zapędzono do *kraals* albo zmuszono do pracy przy torach kładzionych przez Niemców na pustyni. Jeszcze inni pomarli, bo jedli mięso bydła, które padło od księgosuszu.

Bez powrotu. Ofiarą eksterminacji stało się sześćdziesiąt procent Hererów. Pozostałych traktowano jak zwierzęta. Enzian wychował się w świecie

okupowanym przez białych. Niewola, nagła śmierć, podróże w jedną stronę były na porządku dziennym. Gdy już zaczął o tym myśleć, nie umiał wyjaśnić, jak to się stało, że przetrwał. Nie potrafił uwierzyć w żaden proces selekcji. Ndżambi Karunga i chrześcijański Bóg znajdowali się nazbyt daleko. Nie było różnicy między działaniem boga a działaniem zwykłego przypadku. Weissmann, którego protegowanym Enzian został, żywił niezachwiane przekonanie, że odwiódł go od religii. A przecież bogowie sami odeszli: bogowie zostawili lud... Niech Weissmann sądzi, co mu się podoba. Pragnienie poczucia winy u tego człowieka było nienasycone jak złąkniona deszczu pustynia.

Od dawna się nie widzieli. Ostatnim razem rozmawiali w trakcie przenosin z Peenemünde do Mittelwerke. Weissmann ani chybi nie żyje. Enzian widział to już w Sudwest, przed dwudziestu laty, zanim jeszcze nauczył się jego języka: miłość do ostatniego wybuchu – wzlot i wycie, ponad strachem... Dlaczego Weissmann miałby chcieć przeżyć wojnę? Z pewnością znalazł coś dostatecznie wspaniałego, by zaspokoić swoje pragnienie. Niemożliwe, by zakończyło się to dla niego w sposób zracjonalizowany i skromny, jak dla setki szklanych biur w jego obwodzie SS – zawsze tak umiejscowionych w czasie i przestrzeni, by ominęła je pompa, by tkwić w jej próżni, by wpaść w ciąg strumienia zaśmigłowego, lecz ostatecznie by pozostać, leżeć nieruchomo w kilku zmatowiałych cekinach kilwateru. *Burgerlichtkeit* do muzyki Wagnera, instrumenty dęte słabowite i drwiące, głosy smyczków dryfujące po frazie...

Ostatnio Enzian bardzo często budzi się w nocy bez powodu. Czy tym, który przyszedł i pochylił się nad tobą, był naprawdę On, przekłuty Jezus? Białe ciało rodem z pedalskiej fantazji, szczupłe nogi i łagodne złote oczy Europejczyka... Czy dostrzegłeś oliwkowego fiuta pod postrzępioną przepaską biodrową, czy chciałeś wyciągnąć się, żeby zlizać pot z szorstkiego drewnianego narzędzia kaźni? Gdzie jest dziś w nocy? W której części Strefy skazać go na gałkę tego nerwowego imperialnego berła?...

Enzian ma niewiele takich wysepek puchu i aksamitu, gdzie może położyć się i śnić poza marmurowymi korytarzami władzy. Zrobiło mu się zimno: nie tyle zgasł ogień, ile niezaprzeczalnie nadszedł chłód, smak goryczy nasilił się na podniebieniu pierwszych nadziei miłości... Zaczęło się, gdy Weissmann sprowadził go do Europy: odkrył, że wśród tych ludzi miłość, poza prostym dotykiem i orgazmem, łączy wiele wspólnego z męską techniką, kontraktami, wygrywaniem i porażkami. W jego wypadku wymagała, by zaciągnął się do służby dla Rakiety... Poza zwykłą stalową erekcją Rakietą była całym systemem wyrwanym z kobiecej ciemności, uchronionym od entropii miłej wprawdzie, lecz trzpiotowatej Matki Natury: oto pierwsza rzecz, której Weissmann go nauczył, pierwszy krok do obywatelstwa Strefy. Wyrobiono w nim przekonanie, że rozumiejąc Rakietę, zrozumie w pełni swoją męskość...

– W tamtych czasach wyobrażałem sobie w naiwny sposób, który już zatraciłem, że cała wywołana ekscytacja była darem Weissmanna dla mnie. Wniósł Murzyna przez próg do swojego domu, a tam czekało życie, w które chciał go wciągnąć, męskie dążenia, poświęcenie dla Przywódcy, intrygi polityczne, tajne zbrojenie się w wyzywającym akcie nieposłuszeństwa wobec otaczających nas podstarzałych plutokracji... ich ogarniała niemoc, a my byliśmy młodzi i silni... ach, być młodym i silnym w takiej chwili życia narodu! Nie mogłem się nadziwić. Bezlik młodych jasnoskórych mężczyzn, ach, ten pot i kurz okrywające ich ciała, gdy w tamte rozdzwonione dni przedłużali *Autobahnen*: jeździliśmy pośród trębaczy, jedwabne proporce skrojone nienagannie jak najlepsze garnitury... kobiety były potulne, pozbawione kolorów... Wyobrażałem sobie, że tkwią na czworakach w szeregach, dojrzałe za cycki do wiader ze świecą stali...

– Czy on kiedykolwiek był zazdrosny o innych młodych mężczyzn tak jak ty?

– Och. Wtedy sprowadzało się to dla mnie do fizyczności. On zaś poszedł już dalej. Nie. Nie myślę, żeby miał mi za złe... Kochałem go wtedy. Nie potrafiłem wnikać ani w niego, ani w to, w co wierzył. A chciałem. Skoro



Rakieta była jego życiem, ja powinienem należeć do Rakiety.

– I nigdy w niego nie zwątpiłeś? Przecież trudno twierdzić, że miał uporządkowaną osobowość...

– Posłuchaj. Nie wiem, jak to powiedzieć... byłeś kiedyś chrześcijaninem?

– No... tak, kiedyś.

– Czy zdarzyło ci się, że zobaczyłeś na ulicy mężczyznę i od razu, w jednej chwili wiedziałeś, że to Jezus Chrystus? Miałeś pewnoś, nie nadzieję, lecz pewnoś, że widzisz Jezusa, a nie kogoś podobnego? Zbawiciel wróci! i chodzi! wśród ludzi, tak jak obiecywano w dawnych opowieściach... Zbliżając się, z każdym krokiem nabierałeś coraz więcej pewności, nic nie negowało tego zdumiewającego wrażenia, doznanego na pierwszy rzut oka. Zbliżyłeś się, przeszedłeś obok, przerażony, że odezwie się do ciebie... pożerałeś go oczami... potwierdziło się. A najgorsze ze wszystkiego, że on *wiedział*. Przenikną! do twojej duszy: całe udawanie przestało mieć znaczenie...

– Wobec tego... to, co przytrafiło ci się od pierwszego dnia pobytu w Europie, można określić słowami Maxa Webera niemal jako „zrutynizowanie charyzmy”?

– *Outase* – odpowiada Enzian, a to jedno z wielu słów w jego narzeczu, oznaczających gówno, w tym wypadku świeży krwi placek.

W bocznej niszy skalnego pomieszczenia siedzi Andreas Orukambe przed zgniłozieloną radiostacją w brązowe ciapki. Na uszach ma parę gumowych słuchawek. Schwarzkommando wykorzystuje fale długości pięćdziesięciu centymetrów – te, których używano w sterowaniu Hawaia 2. Kto oprócz raketowych maniaków słuchałby na długości pięćdziesięciu trzech centymetrów? Schwarzkommando może być jednak pewne, że jest pilnowane przez wszystkich konkurentów w Strefie. Transmisje *Erdschweinhöhle* rozpoczynają się o 3.00 i trwają do świtu. Inne radiostacje Schwarzkommando nadają według własnych harmonogramów. Po hererowski, tu i ówdzie posługując się niemieckim zapożyczeniem (a to



niedobrze, bo na ogół są to słowa techniczne, toteż stanowią cenną wskazówkę dla każdego, kto podsłuchuje).

Andreas dyżuruje rankiem od szóstej do ósmej, przede wszystkim nasłuchując i spisując, odpowiadając tylko wtedy, kiedy zachodzi konieczność. Nadawanie jest zaproszeniem do natychmiastowej paranoi. W mig powstaje wielki geometryczny wzór, tysiące kilometrów kwadratowych, pełnych nieprzyjaciół pochowanych w nocnych obozowiskach po całej Strefie, pozbawionych oblicza i śledzących sygnały. Choć wróg utrzymuje łączność – Hererowie starają się słuchać jak najwięcej – choć nie ma złudzeń co do jego planów wobec Schwarzkommando, ciągle się wstrzymuje, wypatruje najdogodniejszej chwili, by wkroczyć i zniszczyć doszczętnie... Enzian uważa, że zwlekają w oczekiwaniu na montaż i gotowość bojową pierwszej afrykańskiej rakiety: będzie lepiej wyglądało, jeżeli przejdą do działania w obliczu realnej groźby, w obliczu wycelowanej broni. Tymczasem on sam usiłuje jak najlepiej zabezpieczyć defensywę. Tutaj, w kwaterze głównej, sprawa nie stanowi problemu: musieliby ściągnąć co najmniej pułk. Ale w innych częściach Strefy, w *Rocket-Städte*, takich jak Celle, Eschede, Hachenburg? Mogą nas tam powybierać jak ulęgałki, najpierw kampania, na wyczerpanie, potem skoordynowana akcja... do zdławienia pozostanie jedynie oblężona Metropolia...

Wydaje się, że oni nie są już sojusznikami, choć być może to tylko spektakl... dzieje, które dla siebie zmyślili, wyrabiają w nas odruch oczekiwania na „powojenną rywalizację”, w rzeczywistości jednak całkiem prawdopodobne jest, że istnieje gigantyczny kartel, obejmujący i zwycięzców, i przegranych, złączonych przyjaznym porozumieniem, by podzielić się tym, co zostało do podzielenia... Mimo to Enzian udanie wygrywa jednych przeciw drugim, skłóca ze sobą tych padlinożerców... Wygląda to dość przekonująco... Marvy z pewnością spiknął się teraz z Rosjanami i General Electric – zrzucenie go z dachu pociągu dało nam... ile? Dzień, dwa? Czy wykorzystaliśmy ten czas?

Wszystko sprowadza się do codziennego wikłania i rozplątywania, drobnych zwycięstw i drobnych klęsk. Do tysięcy szczegółów, z których każdy niesie ryzyko popełnienia fatalnego błędu. Enzian wolałby mieć większy dystans do tego procesu – patrzeć z boku i wiedzieć, dokąd prowadzi, wiedzieć w czasie rzeczywistym, która odnoga na rozstajach decyzji jest właściwa, a która błędna. Ale tutaj rzecz dokonuje się w *ich* czasie, w *ich* przestrzeni, a on wciąż naiwnie oczekuje rezultatów, na które białe kontinuum przestało mieć nadzieję przed setkami lat. Szczegóły – zawory, specjalne narzędzia, które być może istnieją, zazdrość i knowania wśród *Erdschweinhöhle*, stracone podręczniki obsługi, technicy uciekający ze wschodu i zachodu, niedobory żywności, chore dzieci – wirują jak mgłą, każda cząstka z własnymi wektorami sił i kierunków... nie potrafi zapanować nad wszystkimi razem, a jeśli skupi się za bardzo na jednym, straci z pola widzenia pozostałe... Lecz nie chodzi tylko o szczegóły. W chwilach zadumy i szczerzej rozpaczy ogarnia go osobliwe wrażenie, że jest tekstem scenicznym, przygotowanym gdzieś daleko (odległość odmierzana nie przestrzenią, lecz poziomami władzy) i że podejmowane przez niego decyzje nie są jego decyzjami, lecz czczymi słowami aktora wcielającego się w rolę przywódcy. Śni, że wpadł w potrzask niemiłosiernego heroizmu i nie może się wyrwać... często znajduje się na pokładzie okrętu płynącego szeroką rzeką, stojąc na czele powstania skazanego na klęskę. Z przyczyn taktycznych rebelia nie zostaje zlikwidowana od razu. Tropiony jak zwierzę, Enzian przeżywa dni pełne desperackich ucieczek, które są ekscytujące, pełne fizycznego wdzięku... no i sama Fabuła! cechuje się surowym, intensywnym pięknem, jest muzyką Północy, muzyką arktycznej podróży poza cyple silnie zielonego lodu, do gór lodowych, na kłęczkach i w szponach tej niesamowitej muzyki, w falach mórz niebieskich jak niebieski barwnik, niekończąca się Północ, ogromny kraj zasiedlony przez lud, którego stara kultura i dzieje odgrodzone są od reszty świata murem wielkiej ciszy... nazwy przylądków i mórz, tamtejszych długich i potężnych rzek nieznane są

w świecie o klimacie bardziej umiarkowanym... ta podróż to powrót: postarzał się w klatce swojego imienia, porywająca muzyka wędrówki jest muzyką, którą napisał własnoręcznie tak dawno temu, że całkiem o niej zapomniał... ale teraz go odnalazła...

– Kłopoty w Hamburgu. – Andreas notuje pośpiesznie, odklejając słuchawkę od spoconego ucha, żeby znaleźć się jednocześnie na obu końcach ogniwa. – Wygląda, że to znowu uchodźcy. Sygnał jest słaby. Zanika...

Od dnia kapitulacji nieustannie dochodzi do starć między niemiecką ludnością cywilną a cudzoziemskimi jeńcami, wyzwolonymi z obozów. Miasta na północy opanowali bezdomni Polacy, Czesi, Rosjanie, którzy splądrowali arsenały i spichrze i nie zamierzają niczego oddawać. Nikt nie wie, co myśleć o miejscowych oddziałach Schwarzkommando. Niektórzy widzą tylko zeszmaczone mundury SS i reagują na ten widok w taki lub inny sposób, inni zaś biorą Hererów za Marokańczyków albo Hindusów, nawianych przez góry z Włoch. Niemcy wciąż pamiętają okupację Nadrenii przed dwudziestu laty przez francuskie wojsko kolonialne oraz plakaty wrzeszczące: SCHWARZE BESATZUNG AM RHEIN!. Kolejne naprężenie w modelu. W zeszłym tygodniu zastrzelono dwóch członków Schwarzkommando. Innych brutalnie pobito. Brytyjskie władze wojskowe posłały żołnierzy na ulicę, ale dopiero gdy zabójstw już dokonano. Wyraźnie zależało im głównie na wprowadzeniu godziny policyjnej.

– To Onguruve. – Andreas oddaje Enzianowi słuchawki i obraca się, żeby zrobić miejsce.

...trudno powiedzieć, czy to o nas im chodzi, czy o rafinerię... – głos trzeszczy i cichnie – stu, może dwustu... dużo... ...biny, pałki, broń krótka...

P-p-p-piik, fala szumów, potem wdziera się inny znajomy głos:

– Mogę sprowadzić dwunastu ludzi.

– Odpowiada Hanower – mamrocze Enzian, udając rozbawienie.

– Czyli Josef Ombindi. – Andreas nie jest rozbawiony.

Wołający o pomoc Onguruve nie zajął stanowiska w Kwestii Pustych, a przynajmniej stara się tego nie zrobić. Jeśli Ombindi zdoła przybyć z odsieczą do Hamburga, to być może postanowi zostać. Hanower, mimo że znajduje się tam fabryka Volkswagena, jest dla niego tylko trampoliną. W Hamburgu Puści skoncentrowaliby swoją władzę, aktualne wydarzenia stanowią zaś wymarzoną okazję. Przecież Północ winna być ich naturalnym żywiołem...

– Muszę ruszać – oddając Andreasowi słuchawki. – Co masz taką minę?

– Może to Rosjanie próbują cię stąd wyciągnąć?

– Wszystko będzie dobrze. Przestań myśleć o Cziczerinie. Wątpię, by on tam był.

– Ale twój Europejczyk mówił...

– Tamten? Nie wiem, na ile można mu ufać. Pamiętaj, że gadał z Marvym na dachu pociągu. Teraz jest u dziewczyny Cziczerina w Nordhausen. Ty byś mu wierzył?

– Skoro Marvy go tropi, to może facet jest coś wart?

– Jeśli jest coś wart, z pewnością jeszcze go zobaczymy.

Enzian bierze swój tornister, połyka na odchodnym dwie tabletki środka pobudzającego, przypomina Andreasowi o paru drobnych sprawach na jutro i po długich rampach z soli i kamienia wspina się na powierzchnię.

Na dworze wdycha wiecznozielone powietrze Harcu. W starych wioskach nastąpiła pora wieczornego dojenia krów. Rozbłysła pierwsza gwiazda – *okanumaihi* – mała amatorka słodkiego mleka...

Nie, to z pewnością inna, północna gwiazda. Nie ma pociechy. Co się z nami porobiło? Jeśli dokonywane wybory nigdy nie były naszymi decyzjami, jeśli Hererowie Strefy zmuszeni są żyć na łonie Anioła, który próbował zniszczyć nas w Südwest... to: czy pominięto nas, czy wybrano z przeznaczeniem do czegoś jeszcze straszniejszego?

Enzian musi dotrzeć do Hamburga przed kolejnym ukłuciem słońca. Ochrona pociągów jest dość kłopotliwa, ale wartownicy go znają. Dzień i noc

długie składy wytaczają się z Mittelwerke, wioząc fragmenty A-4 na zachód do Amerykanów, na północ do Anglików... a wkrótce, gdy w życie wjedzie nowa mapa okupowanych Niemiec, również na wschód do Rosjan... Nordhausen znajdzie się pod radziecką administracją, więc na pewno zaczną się coś dziać... Czy nadarzy się okazja dopaść Cziczierina? Enzian nigdy go nie widział, ale pisane jest im się spotkać. To jego przyrodni brat. Są z jednego pnia.

Czuje pulsowanie nerwu kulszowego. Za dużo przesiaduje na tyłku. Idzie w pojedynkę, utykając, z głową spuszczoną jak gdyby z powodu niskich podziemnych stropów – kto wie, co czeka tutaj głowę trzymaną zbyt wysoko? Drogą prowadzącą do wysokiego wiaduktu kolejowego, szarego w nasilającej się poświacie gwiazd, Enzian rusza na północ...



Tuż przed brzaskiem. Prawie sto metrów niżej szybuje blada tafla chmur, rozciągnięta w kierunku zachodnim dalej niż wzrok sięga. W oczekiwaniu na wschód słońca Slothrop i początkująca wiedźma Geli Tripping stoją na szczycie Brockenu, stosu pacierzowego niemieckiego zła, dwadzieścia mil na północ, północny zachód od Mittelwerke. Choć ostatni dzień kwietnia dawno już minął, choć swawolna para spóźniła się blisko o miesiąc, zachowały się relikty po Czarnym Sabacie: koronkowa bielizna, butelki po *Kriegsbier*, zużyte naboje, podarte hitlerowskie proporce z czerwonego atłasu, igły do tatuażu i bryzgi niebieskiego atramentu.

– Po cholere to wszystko? – zachodzi w głowę Slothrop.

– No jak to, żeby dostać pocałunek od biesa. – Z miną mówiącą: „Och, ty głuptasie”, Geli wtula się w jego pachę, on zaś czuje się jak nieuk i głąb, że nie jest zorientowany. No, ale faktycznie, o czarownicach wie tyle co nic, choć wśród jego przodków znalazła się prawdziwa czarownica z Salem, chyba ostatnia, która dołączyła do gromady *suspendatur per collum* wysoko w zrostach minionych stuleci na drzewie genealogicznym Slothrop. Nazywała się Amy Sprue i była wyrodną dziewczyną, bo w wieku dwudziestu trzech lat przeszła na antynomizm i biegała jak opętana po wzgórzach Berkshire, wyprzedzając o dwieście lat Szaloną Sue Dunham, która z kolei kradła dzieci, galopowała o zmierzchu na krowach i składała w ofierze kurczaki na Górze Snodda. Szczególna niechęć do kurczaków, czy co? Bo krowy i dzieci wychodziły bez szwanku z opresji. W przeciwieństwie do przeciwniczki płasającej Dorotki, Amy Sprue nie była złą czarownicą.

Zmierzała na Rhode Island, szukając schronienia,  
I postanowiła po drodze zatrzymać się w Salem,  
Nie spodobały się im jej maniery ani uśmiech szczery,  
Więc nad zatokę Narragansett nie dotarła wcale...

Zwinęli ją za czary i dostała czapę. Jeszcze jeden stuknięty antenat Slothrop. Jeśli potem kiedykolwiek wymawiano jej imię, to ze wzruszeniem ramion, bo zbyt dawno się to działo, by uznać ją za Hańbę Rodziny – ot, ciekawostka, nic więcej. Dorastający Slothrop nie bardzo wiedział, co o niej myśleć. Trudno powiedzieć, by w latach trzydziestych czarownice ukazywano w pozytywnym świetle. Były przedstawiane jako wiedźmy, które zwracały się do innych „kochasiu”, słowem, jako obmierzłe babsztyle. Kino nie przygotowało go więc na teutońską odmianę. A tu proszę: szwabska czarownica ma po sześć palców u nóg i łysą cipę. Tak przynajmniej wygląda tutaj, na malowidłach ściennych w byłej hitlerowskiej wieży nadawczej na szczycie Brockenu, a przecież oficjalne obrazki nie pokazywałyby rzeczy wyspanych z palca, prawda? Geli jednak uważa, że łysa cipa wzięła się od kobiet rysowanych przez von Byrosa.

– Aha, ty po prostu nie chcesz ogolić swojej – kracze Slothrop. – Też mi czarownica!

– Coś ci pokażę! – mówi dziewczyna. Właśnie dlatego są na nogach o tej nieludzkiej godzinie, ramię przy ramieniu, trzymając się za ręce, nieruchomi, tymczasem słońce zaczyna oczyszczać widnokrąg. – Teraz uważaj – szepcze Geli. – Patrz tam.

Słońce trafia ich w plecy, świecąc prawie poziomo, i wtedy zaczyna się heca, het na zwałach perłowych chmur: krystalizują się dwa gigantyczne cienie, rzucane na szmat ziemi, aż poza Clausthal-Zelterfeld, Seesen i Goslar, przez rzekę Leine, sięgając tam, gdzie płynie Wezera...

– Ja cię kręcę – Slothrop nieco podenerwowany – to Widmo. – W okolicy Greylock i Berkshire też się to zdarza. Tutaj zjawisko określane jest jako *Brockengespenst*.

Bogowie-cienie. Slothrop podnosi rękę. Palce u dłoni są miastami, biceps całą krainą – oczywiście, że podnosi rękę. Czy nie tego się po nim oczekuje? Cień ciągnie za sobą tęcze, natężając się, by dosięgnąć Getyngi. Nie są to zwykłe cienie, lecz *trójwymiarowe*, rzucane na niemiecki świt, owszem, w



tych górach lub wewnątrz gór z całą pewnością żyli tytani... Niewiarygodnie ogromni. Nigdy nie poniosła ich żadna rzeka. Nigdy nie patrzyli na widnokrąg z myślą, że ciągnie się w nieskończoność. Nie było drzewa, na które mogli się wspiąć, nie było podróży, w którą mogli się wybrać... pozostały tylko głębokie ich wizerunki, skorupy ujęte w aureolę, leżące na brzuchu ponad mgłą, w której krzątają się ludzie...

Geli wyrzuca do przodu nogę jak tancerka i przekrzywia głowę. Slothrop wyprostowuje środkowy palec w kierunku zachodnim – krewki palec ciemnieje z prędkością trzech mil chmur na sekundę. Dziewczyna chwytą go za fiuta. Slothrop pochyła się, by ugryźć ją w cycek. Są olbrzymi, tańczą na parkiecie całego ukazanego nieba. Wkłada rękę pod jej sukienkę. Ona oplata go jedną nogą. Na wszystkich krańcach widma przebarwiają się z czerwieni w indygo, skłębione, przeogromne. Tam, hen, pod chmurami, świat jest spokojny i zaginiony jak Atlantyda.

*Brockengespenstphänomen* ogranicza się do cienkiego styku między nocą a dniem, toteż cienie zaraz kurczą się w drodze powrotnej do właścicieli.

- Powiedz, czy ten Cziczerein kiedykolwiek tu...
- On nie ma czasu na takie rzeczy.
- Aha, to znaczy, że ja jestem nierobem czy co?
- Ty jesteś inny.
- Hmm... A jednak powinien to zobaczyć.

Ona zerka na niego zaintrygowana, lecz nie pyta dlaczego – zęby nieruchomieją na dolnej wardze i *warum* („varum” to dźwięk Plasticmana) grzęźnie uwięzione w ustach. No i dobrze. Bo Slothrop nie wie dlaczego. Nie przydałby się nikomu, kto chciałby się zabawić w przesłuchanie. Zeszłej nocy przy wejściu do starej kopalni natknęli się na wartę Schwarzkommando. Hererowie miotali mu pytania w twarz przez godzinę. Och, no wiecie, panowie, po prostu mnie ciekawicie, zajmuję się „ludzkimi losami”, jak my to nazywamy, to przecież fascynujące, zawsze nas interesowało, co wy, koledzy, tu robicie... Geli chichotała w mroku. Z pewnością ich znała. Bo jej

o nic nie pytali.

Kiedy później zagadnął o to, nie potrafiła powiedzieć, jaka gra toczy się między Cziczerinem i Afrykanami, lecz cokolwiek to jest, wywołuje wielką namiętność.

– Nienawiść jak cię mogę – odparła. – Głupota, istna głupota. Wojna się skończyła. To nie polityka ani żadne „pierdol się, koleś”, to stara, czysta, osobista nienawiść.

– On i Enzian?

– Tak myślę.

Okazało się, że Brocken zajęło wojsko i sowieckie, i amerykańskie. Góra znajduje się na nowej granicy radzieckiej strefy okupacyjnej. Tuż poza obrębem blasku z ogniska majaczyły popękane cegły i sztukateria wieży nadawczej oraz hotelu turystycznego. Tylko parę plutonów. Nikogo wyżej podoficera. Wszyscy oficerowie siedzą w Bad Harzburg, Halberstadt i wszędzie indziej, gdzie jest wygodnie, piją albo rzną panienki. Toteż na szczycie Brockenu panuje niezadowolenie, ale chłopaki lubią Geli i tolerują Slothrop, a najlepiej, że nie ma nikogo z oddziałów kwatermistrzowskich.

Lecz to tylko chwilowe wytchnienie. Major Marvy grasuje po Harcu, zapędzając tysiące zdyszanych i spoconych łapsów do jeszcze szybszego biegu, wrzeszcząc łapać mi tego skurwysyna herbaciarza w dupie mam ilu ludzi trzeba niech będzie cała pierdolona dywizja zrozumiano? Kwestia czasu, gdy zwęszy trop. Szaleje. Slothrop też nie jest do końca normalny, no, ale bez przesady – to naprawdę niezdrowe, całe to prześladowanie ze strony Marvy’ego. Czy możliwe, że... – uch, właśnie mu zaświtała ta myśl – że Marvy spiknął się z rolls-royce’ami, które czały się w Zurychu? Tym powiązaniom chyba nie ma końca. Major jest w dobrej komitywie z General Electric, a General Electric to pieniądze Johna Morgana, Morgan wpompował też forszę w Harvard, a tam gdzieś pewnie zazębia się to o Lyle’a Blanda... kim oni są, hę? Dlaczego zależy im na Slothropie? Zyskał teraz stuprocentowe przekonanie, że szalony naukowiec Zwitter jest jednym z

nich. A ten stary sympatyczny profesor Glimpf czekał na dole w Mittelwerke, żeby przejąć Slothrop, kiedy tylko się pokaże. Jezusie. Gdyby nie wymknął się po zmierzchu i nie wrócił do Nordhausen, do Geli, ani chybi już by go zapuszkowali, może spuścili łomot, może zabili.

Przed zejściem w dolinę wyłudniają od wartowników sześć papierosów i kilka racji żywnościowych. Geli ma znajomego, którego znajomy mieszka w gospodarstwie na Złotej Łące, to zapalony baloniarz nazwiskiem Schnorp i właśnie wybiera się do Berlina.

– Ale ja nie chcę do Berlina.

– Chcesz być tam, gdzie nie będzie Marvy’ego, *Liebchen*.

Złakniony towarzystwa Schnorp promienieje. Wrócił dopiero co z poczty wojskowej z naręczem płaskich białych pudełek: towar, który zamierza upłynnić w Berlinie.

– Pójdzie jak po maśle – uspokaja – nie martw się. Zaliczyłem tę trasę setki razy. Nikt nie zwraca uwagi na balon.

Prowadzi gości za dom, a tam, pośrodku pochyłych zielonych pól stoi wiklinowa gondola obok wielkiej kupy jaskrawożółtego i szkarłatnego jedwabiu.

– Fakt, nie będziemy się rzucać w oczy – mamrocze Slothrop.

Z jabłoniowego sadu wybiega gromadka dzieci, które pomagają zanieść do gondoli pięciogalonowe puszki spirytusu zbożowego. Popołudniowe słońce rzuca wszystkie cienie na wznoszący się stok. Wiatr wieje z zachodu. Slothrop pociera zippo, żeby podpalić palnik, dziatwa tymczasem wygładza fałdy materiału. Schnorp zwiększa huczący jednostajnie płomień, żeby strzelił bokiem prosto w otwór wielkiej jedwabnej powłoki. Dzieci widoczne w rozstępie rozpływają się na pofalowane smugi ciepłego powietrza. Balon powoli się nadyma.

– Nie zapomnij o mnie! – Geli przekrzykuje ryk palnika. – Do następnego spotkania...

Slothrop i Schnorp gramolą się do gondoli. Kosz unosi się odrobinę z ziemi

i natychmiast łapie wiatr. Ruszają. Dzieci i dziewczyna trzymają się okrężnie, powłoka wciąż się podnosi, ale już nabierają prędkości, ciągną uwieszonych za sobą w górę stoku, chichoty, śmiechy, nogi ledwie nadążają. Slothrop stara się nie przeszkadzać, niech Schnorp sam dopilnuje, żeby płomień strzelał prosto w balon, a liny kosza nie były splątane. Wreszcie powłoka staje do pionu, na tle słońca, we wnętrzu zaś kotłuje się hałaśliwe skłębienie żółtego i szkarłatnego gorąca. Po kolei odpada jeden ludzki balast za drugim, machając na pożegnanie. Ostatnia puszcza się Geli w białej sukience, miękkim podbródek, usta i poważne duże oczy skierowane na Slothropa do samego końca. Klęka w trawie, przesyła dłonią pocałunek. Slothrop czuje, że jego serce niepohamowanie wzbiera miłością jak balon. Im dłużej przebywa w Strefie, tym trudniej mu wytłumaczyć sobie, by nie zachowywał się jak jełop. Co ta kraina robi z jego mózgiem?

Fruną nad zagajnikiem jodeł. Geli i dzieciarnia kurczą się do postaci cienistych cętek na zielonej murawie. Wzgórza odpływają, spłaszczają się. Po chwili, spoglądając do tyłu, Slothrop dostrzega Nordhausen: katedra, ratusz, kościół Świętego Błażeja... dzielnica domów bez dachów, gdzie spotkał Geli...

Schnorp szturcha go, wskazuje palcem. Slothrop wyteższa wzrok i dostrzega konwój czterech zielonobrunatnych ciężarówek, które zaiwaniają w stronę gospodarstwa. Matki Marvy'ego. Na to wygląda. A my dyndamy sobie wysoko w tym jaskrawym plażowym balonie. He, he...

– Przynoszę pecha! – woła trochę później. Szybują miarowo na północny wschód, skuleni przy płomieniu palnika, kołnierze postawione, kąt około pięćdziesięciu stopni między wiatrem bijącym w plecy a ciepłem z przodu. – Powinienem być ci od razu powiedzieć. Nawet się nie znamy, a lecisz ze mną do radzieckiej strefy.

Z włosami rozwianymi jak snop siana, Schnorp refleksyjnie marszczy po niemiecku górną wargę.

– Nie ma stref – mówi, powtarzając słowa Geli. – Nie ma stref, jest tylko

Strefa.

Niebawem Slothrop zagląda do pudełek zabranych przez baloniarza. Jest ich dwanaście, a w każdym tkwi wysoki, złoty tort, który w Berlinie osiągnie krocie.

– Rany – wzdycha. – Psiamać, jasny gwint! To chyba przywidzenia – i takie tam sztubackie okrzyki zachwytu.

– Bez kartki żywnościowej możesz co najwyżej popatrzeć – rozbrzmiewa handlowa nawijka.

– W tej chwili nie stać mnie nawet na pęknięty kondom – mówi Slothrop otwarcie.

– No dobra – postanawia Schnorp po namyśle – podzielimy się jednym, bo coś się robię trochę głodny.

– Jejku!

Wniebowzięty Slothrop obzera się tortem, zlizuje krem z palców, gdy raptem dostrzega na niebie od strony Nordhausen tajemniczy ciemny punkcik.

– Eee?...

Schnorp się rozgląda – *Kot!* – pojawia się z połyskującą mosiężną lunetą, którą zapina na okrężnicy.

– *Kot, Kot*, nie ma żadnych oznakowań.

– Ciekawe...

Z powietrza niebieskiego na tyle, że można je ująć w dwa palce, potrzeć i pobarwić sobie opuszki, wynurza się powoli stary porzewiały samolot zwiadowczy. Już słyszą warczący i krztuszący się silnik. Po chwili na ich oczach maszyna przechyla się i pikuje.

Między balon a samolot wkrada się niesiony wiatrem cichy śpiew furii:

Był sobie facet z San Marino,

Który się kochał z turbiną.

Napędzał ją sam,

Ten egoistyczny cham,

Własną spermą i gęstą śliną.

*Ja, ja, ja, ja!*

W Prusach nie pojesz myszy...

Samolot byczy w odległości metra lub dwóch, pokazując brzuszysko. Potwór, który zaraz wyda na świat potomstwo. Z luku wygląda czerwona gęba w skórzanej pilotce i okularach.

– Ty skurwysynu herbaciarzu – przelatują znajome słowa – zaraz ci złoję dupsko!

Slothrop jak automat chwyta tort.

– Pierdol się. – Samolot prawie się o nich ociera, więc ognia! Perfekcyjny rzut, plask! Marvy zalicza prosto w papę. I dobrze. Dłonie w rękawiczkach grzebią w słodkiej pacce. Wypełza różowy język. Krem kapie na wiatr, żółte kropelki spadają długimi lukami w kierunku ziemi. Zatrzaskuje się luk, wróg odskakuje, powolna beczka, krąży, wraca. Schnorp i Slothrop ważą w rękach torty. Pełna gotowość.

– Celujmy w silnik, bo nie ma osłony – mówi Niemiec.

Teraz widzą grzbiet maszyny, kokpit zapchany do granic wytrzymałości przesiąkniętymi piwem Amerykanami, którzy śpiewają:

Był raz facet z Żytomierza,  
Który bez przyśpieszoniomierza  
Obejść się nie mógł,  
Boby zaniemógł.

Tak przynajmniej księdzu się zwierzał.

Sto metrów, prędki nalot. Schnorp chwyta Slothropą za ramię i wskazuje prawą stronę. Opatrzność zesłała im wielką białą skarpe w postaci chmury, w którą szybko zapędza ich wiatr: kipiący stwór wyciąga białe macki, kiwa, szybciej, szybciej... no, szybko ... już są wewnątrz, w mokrym lodowym azylu...

– Będą czekać.

– Nie – Schnorp z dłonią przystawioną do ucha – zgasili silnik. Są w środku razem z nami.

Watowana cisza trwa jeszcze minutę lub dwie, lecz niestety:

Był raz facet rodem z Windsoru,  
Który miał romans z nadtlenkiem wodoru.  
W efekcie łodzie podwodne  
Zrobiły się głodne,  
I z Kriegsmarine doszło do sporu.

Schnorp gmera przy kurku palnika, żeby różowo-szary nimb mniej rzucał się w oczy, byleby nie za cenę obniżenia lotu. Dryfują we własnej sferze bladego światła, bez współrzędnych. Odpryski granitu jak pięści walą na oślep w obłok, próbując trafić balon. Samolot gdzieś tu jest, leci jednak innym kursem i z inną szybkością. Schnorp i Slothrop nie mogą wykonać żadnego ruchu. Tutaj binarne decyzje straciły sens. Chmura napiera i dławi. Kondensuje się w postaci grubych kropel na powierzchni tortów. Raptem ochryple i skacowane głosy:

Był raz facet rodem z Jemenu,  
Który się garnął do płynnego tlenu.  
Wnet zamarzły mu jaja i fiut,  
Dupsko zrobiło się twarde jak lód,  
Lecz nie doszukuj się w tym omenu!

Rozsuwające się kurtyny pary odsłaniają Amerykanów sunących w odległości dziesięciu metrów tym samym kursem, tylko trochę prędeż.

– Teraz! – wrzeszczy Schnorp i miota tortem w odsłonięty silnik.

Slothrop chybia, jego pocisk rozbryzguje się na szybie przed nosem pilota. Niemiec już rzuca workami balastowymi, z których jeden klinuje się między dwoma cylindrami. Zaskoczeni Amerykanie sięgają po pistolety, granaty, karabiny maszynowe, słowem, wszystko, co typy z kwatermistrzostwa noszą jako broń osobistą. Ale już przemknęli do przodu, a mgła znowu gęstnieje.



Pada kilka strzałów.

- Cholera, człowieku, jeśli trafią w powłokę...
- Cicho. Chyba załatwiliśmy drut z iskrownika.

Gdzieś wśród zwałów chmury namolnie jęczy bezradny silnik. Układ przenoszący rzezi rozpaczliwie.

– O kurwa! – stłumiony krzyk z oddali. Przerywany jazgot słabnie i słabnie, aż wreszcie zapada cisza.

Schnorp leży na plecach i wtrąca tort, śmiejąc się gorzko. Połowa towaru poszła za burtę i Slothrop czuje się trochę winny.

– E tam, nie martw się. To jak w dawnej działalności handlowej. Wróciliśmy do punktu wyjścia. Druga szansa. Podróże są długie i niebezpieczne. Straty ponoszone w trakcie transportu to chleb codzienny. Miałeś okazję oglądać *Ur-Markt*.

Po kilku minutach chmury się rozstępują: balon szybuje spokojnie pod słońcem, zasłony opadają, powłoka jaskrawi się wilgocią z obłoków. Ani śladu samolotu Marvy'ego. Schnorp reguluje płomień. Zaczynają się wznosić.

Gdy ma się ku wieczorowi, Niemiec robi się refleksyjny:

– Patrz. Widać stąd sam kraniec. Na tej wysokości cień Ziemi pędzi po Niemczech sześćset pięćdziesiąt mil na godzinę, a więc z prędkością odrzutowca.

Warstwa chmur rozpadła się na pojedyncze zwały mgły w kolorze ugotowanej krewetki. Balon dryfuje nad wiejskim krajobrazem, którego kratkowany zielony deseń zmierzch wpędza teraz w czerń: w gasnącym słońcu płonie szlak niewielkiej rzeki, widać skomplikowany wielokątny wzór kolejnego miasteczka bez dachów.

Zachód słońca jest czerwony i żółty, jak balon. Na widnokregu pastelowa sfera wykrzywia się do dołu – gruszka na talerzyku z porcelany.

– Im dalej na południe – opowiada Schnorp – tym szybciej cień mknie, aż wreszcie dociera do równika: tysiąc mil na godzinę. Fantastyczne. Gdzieś nad

południową Francją, mniej więcej na szerokości geograficznej Carcassonne, przekracza prędkość dźwięku.

Wiatr pogania ich dalej, na północny wschód.

– Południowa Francja – przypomina sobie Slothrop. – Tak. Właśnie tam ja też przekroczyłem prędkość dźwięku.



W Strefie jest pełnia lata: ludzie leżą w spokoju za fragmentami murów, śpią twardym snem w lejach po bombach, z wywieszonymi połamami szarych koszul pieprzą się w przepustach wodnych albo śnią pośrodku pól. Śnią o jedzeniu, zapomnieniu, naprzemiennych dziejach...

Tutaj cisza jest odwrotem dźwięku – jak fale uciekają przed przyplływem, tak dźwięk wycieka pochylniami akustycznych korytarzy, by skumulować się gdzieś indziej w postaci wielkiego wezbrania. Krowy – wielkie ślamazary obryzgane na czarno i biało, zaprzęgnięte do orki, bo niemiecki koń prawie wymarł w Strefie – włączają z tępyim wyrazem ślepi na założone zimą pola minowe. Okropne detonacje przetaczają się po gruntach, dokoła sypią się rogi, skóra i hamburgery, a w koniczynie leżą pogięte bezgłośnie dzwonki. Konie zapewne byłyby mądrzejsze – lecz Niemcy zmarnotrawili swoje konie, roztrwonili gatunek, zapędziwszy zwierzęta na najgorsze odcinki, w rój stali, grożące reumatyzmem bagniska, nieposkromione derką chłody zamkniętych już frontów. Kilka może znalazło schronienie u Rosjan, którzy wciąż dbają o konie. Słychać ich często wieczorami. Obozowiska strzelają łuną na mile w górę spoza brzozowych zagajników, w letniej mgiełce, która jest prawie sucha, tyle jej tylko, by nadać blaskowi z ognisk krawędź ostrą jak nóż, kilkanaście akordeonów i harmonii rzępoli niechlujne akordy rozedrgane powietrzem ze stroików, piosenki pełne płaczliwych „-tje” i „-żnyje”, w których najczyściej brzmią głosy wspomagających dziewcząt. Konie postękują i wiercą się w szeleszczącej trawie. Kobiety i mężczyźni są mili, łębscy, fanatyczni – najradośniejsi ze wszystkich ludzi, którzy przetrwali w Strefie.

Pośród rozwibrowanych ciał snuje się szalony padlinożerca Cziczerin, który składa się przede wszystkim z metalu. Gdy mówi, pobłyskują stalowe zęby. Pod fryzurą kryje się srebrna płytką. Z drobnymi szczątkami ścięgien i kości prawego kolana przeplata się trójwymiarowy tatuaż złotego

odrutowania, którego deseń Cziczeryn nieustannie odczuwa – wyfasowana ręcznie pieczęć bólu – i które jest jego najcenniejszym odznaczeniem bojowym, bo pozostaje niewidoczne i znane tylko jemu. Czterogodzinna operacja, do tego w mroku. Na froncie wschodnim: nie było sulfonamidów, nie było narkozy. Oczywiście że rozpiera go duma.

Wymaszerował – niedowład nogi trwały jak złoto – z zimna, łąk, tajemnicy. Oficjalnie podlega Centralnemu Instytutowi Aerodynamiki i Hydrodynamiki w Moskwie. W rozkazach jest mowa o wywiadzie technicznym. Lecz jego prawdziwa misja w Strefie ma charakter prywatny i obsesyjny, nie leży – co przełożeni dali mu do zrozumienia na wiele delikatnych sposobów – w interesie ludu. Cziczeryn uważa, że traktując rzecz dosłownie, zapewne odpowiada to prawdzie. Zarazem nie potrafi stwierdzić, na czym polega interes tych, którzy go przestrzegli. Być może wbrew temu, co utrzymują, mają własne powody, żeby chcieć zlikwidowania Enziana. Być może różnice między nimi a Cziczerynem dotyczą tylko pory działania albo motywów. Bo motyw Cziczeryna nie przejawiają charakteru politycznego. Małe państwo wznoszone przez niego obecnie w niemieckiej próżni wspiera się na przemożnej potrzebie – której nie próbuje już zrozumieć – zgładzenia członków Schwarzkommando i jego mitycznego przyrodniego brata, Enziana. W żyłach Rosjanina płynie krew nihilistów: wśród jego przodków jest niemała liczba rozradowanych zamachowców z bombami w dłoniach. Nie łączą go żadne więzy pokrewieństwa z Cziczerynem, który wynegocjował z Walterem Rathenauem traktat w Rapallo. Ten wieloletni kombinator, mienszewik, z którego wyrósł bolszewik, wierzył – i na emigracji, i po powrocie do Rosji – w państwo, które przeżyje wszystkich, w którym ktoś zasiądzie z czasem na jego miejscu przy stole, jak on wślizgnął się na miejsce Trockiego – siedzący przychodzą i odchodzą, fotele zostają... no i dobrze. Istnieje takie państwo. Ale istnieje też inne, w wydaniu Wacława Cziczeryna, państwo śmiertelne, które nie przetrwa dłużej niż żyjące w nim jednostki. Jest związany miłością i strachem cielesnym ze studentami, którzy zginęli pod

kołami wozów, z oczyma zdradzonymi przez bezsenne noce i ramionami, które otwały się maniacko na powitanie śmierci z wyroku władzy absolutnej. Zazdrości im osamotnienia i woli działania na własną rękę, poza obrębem struktury wojskowej, często bez niczyjej pomocy i miłości. Jego własna siatka wiernych *Fräulein* rozsianych po całej Strefie to kompromis: zdaje sobie sprawę, że niepotrzebnie pokrzepiają go na duchu, nawet jeżeli ich informacje wywiadowcze są wartościowe. Lecz dostrzegalne ryzyko miłości i przywiązania do drugiej osoby nadal jest dostatecznie błahe – w porównaniu z tym, co ma zrobić – by można je było podjąć.

W pierwszych dniach stalinizmu Cziczerin stacjonował w odległym „zakątku niedźwiedzim” (*miedwieżyj ugołok*), hen, w krainie Siedmiorzeczca. Latem kanały nawadniające pociły się w formie rozmazanej kratownicy na tle zielonej oazy. Zimą na parapetach stały lepkie szklanki, żołnierze grali w winta i na dwór wychodzili tylko po to, żeby się odpryskać albo z unowocześnionego mosina ubić zaskoczonego wilka na ulicy. Była to kraina pijanej tęsknoty za miastem, cichych kirgiskich jeźdźców, niekończącego się dygotu ziemi... z powodu wstrząsów sejsmicznych domy budowano co najwyżej jednopiętrowe, miasteczko zatem wyglądało jak scenografia z westernu: brązowa zakurzona aleja między majestatycznym szpalerem lipnych dwukondygnacyjnych fasad.

Przybył tutaj, na kraniec świata, by dać tubylcom alfabet: znali wyłącznie mowę, gest i dotyk, nie było nawet arabskiego pisma, które można by zastąpić nowym. Cziczerin koordynował swoje działania z lokalnym ośrodkiem, zwanym *likbez*, jednym z całego łańcucha podobnych, określanych hen, w Moskwie, jako „czerwone jurty”. Młodzi i starzy Kirgizi przyjeżdżali z równiny, cuchnąc końmi, kwaśnym mlekiem i dymem z palonych chwastów, siadali w czterech ścianach i gapili się na znaki nabazgrane kredą na tabliczkach. Sztywne łacińskie litery były prawie taką samą nowością także dla rosyjskiej kadry – wysokiej Galiny w spodniach z demobilu i szarych kozackich koszulach... jej serdecznej przyjaciółki Luby o miękkiej twarzy i z trwałą... Wacława Cziczerina, czyli politycznego oka...,

a więc przedstawiciele – choć nikt w ten sposób o sobie nie myślał – NAT-u (Nowego Alfabetu Tureckiego) w tym niebywale obcym kraju.

Rankiem po wyjściu z kantyny Cziczerin na ogół zaglądał do czerwonej jurty, żeby popatrzeć na panią nauczycielkę – Galinę – która ożywiała w nim coś, co zapewne było kobiecym pierwiastkiem jego osobowości... cóż... Nierzadko wyłaził na dwór i przekonywał się, że niebo wypełniają płaskie błyskawice: dmuchało, razilo. Okropne. Ziemia dudniła poniżej progu słyszalności. Równie dobrze mógłby nastać koniec świata, tyle że to był całkiem przeciętny dzień w Azji Środkowej. Raz za razem biło tętno przestworzy. Postrzępione czarne chmury, niektóre o bardzo wyraźnych sylwetkach, żeglowały zgrupowane w armady ku Arktyce, ponad rozległymi dziesięcinami traw i łodyg dziewanny, marszcząc się poza horyzontem, zieleniejąc i szarzejąc na wietrze. Zdumiewającym wietrze. Cziczerin stał na ulicy, pod gołym niebem, podciągając spodnie, kłapy smagane wiatrem, bębniące o pierś, i przeklinał Armię, Partię, Historię – cokolwiek go tutaj zesłało. Nie pokocha tego nieba, równiny, tych ludzi, ich zwierząt. Nigdy, przenigdy nie spojrzył wstecz – nawet w momencie największego zmaczenia duszy, w chwili leningradzkich spotkań oko w oko ze śmiercią swoją i towarzyszy nie zachowa żadnego wspomnienia siedmiu rzek, w którym mógłby się schronić. Nie słyszał muzyki, nie wybierał się latem na przejażdżki... nie widział ani jednego konia na stepie w gasnącym świetle dnia...

Z całą pewnością nie widział też Galiny. Galina nie stanie się nawet normalnym „wspomnieniem”. Już przybrała postać alfabetu, procedury rozkładania mosina – tak, owszem, jest jak świadomość, by przytrzymać spust palcem wskazującym lewej dłoni, prawą tymczasem zdejmując się trzon zamka, seria zazębiających się środków ostrożności, część procesu między trójką wygnańców – Galiną/Lubą/Cziczerinem – który wypracowuje własne zmiany, własną małą dialektykę, póki nie dobiegnie końca, a do zapamiętania pozostanie tylko struktura...

Jej oczy kryją się w żelaznych cieniach, oczodoły pociemnione jak gdyby wskutek uderzeń pięścią. Szczękę ma małą, kwadratową, wysuniętą do przodu, dolne zęby skłonne do wystawiania w trakcie mówienia... Nieskora do uśmiechu. Kości w głowie silnie zakrzywione i pospawane. Emanuje startą kredą, mydłem do prania, potem. Niezmiennie ze zdesperowaną Lubą gdzieś na obrzeżach pokoju, u okna śliczny jastrząb. Wytresowany przez Galinę – lecz na polowania chodzi tylko Luba, tylko ona wie, co to jest pikowanie przez całą wiorstę, cios szponów i krew, bo jego szczupła właścicielka musi zostać w klasie, zamknięta wśród słów, potoków i śnieżnych deseni białych słów.

Światło pulsuje za chmurami. Cziczerin toruje sobie drogę przez błoto do ośrodka, gdzie wita go łypnięcie Luby, czołobitny ukłon chińskiego pomocnika Czu Pianga, okraszony młynkiem szmaty na kiju, i nieczytelne spojrzenie jednego lub dwóch pierwszych uczniów. „Tutejszy” wędrowny nauczyciel Dżakyp Qulan podnosi oczy znad sterty pastelowych map geodezyjnych, czarnych teodolitów, sznurowadeł, uszczelek do traktorów, zaślepek, powalanych smarem drążków kierowniczych, stalowych futerałów na mapy, nabojów kalibru 7,62 milimetra, kawałków, okruchów lepioszki i otwiera usta, żeby poprosić o papierosa, który już opuścił kieszeń Cziczerina i odbywa przepisową trasę.

Dziękczynny uśmiech. Lepiej się uśmiechać. Nie wie, jakie są zamiary Cziczerina, a zwłaszcza ile jest warta rosyjska przyjaźń. Ojciec Dżakypa Qulana zginął podczas powstania w 1916 roku, w trakcie ucieczki przez chińską granicę przed oddziałami Kuropatkina – był jednym z setki uchodzących Kirgizów, zmasakrowanych pewnego wieczoru obok strużki wysychającej rzeki, której bieg można prześledzić w kierunku północnym, aż po samo zero na dachu świata. Gnani panicznym strachem zagrożonej mniejszości, rosyjscy osadnicy otoczyli i zakatowali uchodźców o ciemniejszej karnacji szpadlami, widłami, starymi strzelbami, wszystkim, co znalazło się pod ręką. W tamtym czasie był to widok powszedni, nawet tak



daleko od linii kolejowej. Tego okropnego lata Kałmuków, Kazachów, Kirgizów i Dunganów tropiono jak zwierzynę. Codziennie zapisywano wyniki. To była rywalizacja, toczona wprawdzie w przyjaznym duchu, niemniej poważniejsza niż byle zabawa. Tysiące koczowniczych tubylców gryzło ziemię. Ich nazwiska, a nawet liczba zabitych, odeszły w zapomnienie. Kolor skóry i ubiór stały się uzasadnionym powodem aresztowania, pobicia lub zgładzenia. Podobnie wymowa – bo po równinach krążyły pogłoski o niemieckich i tureckich agentach, rozgłaszane nie bez pomocy Piotrogradu. Powstanie narodowe było rzekomo sprawką cudzoziemców, międzynarodowym spiskiem, żeby otworzyć nowy front wojny. Kolejna paranoja świata zachodniego, silnie zakorzeniona w europejskiej równowadze sił. Czy mogły bowiem istnieć jakiegokolwiek powody czysto kazachskie, kirgiskie – wschodnie? Czy narody te nie były szczęśliwe? Czy pięćdziesiąt lat rosyjskiej władzy nie przyniosło postępu, bogactwa?

No cóż, przy obecnym układzie sił w Moskwie Dżakyp Qulan jest synem bohatera narodowego i męczennika. Po władzę w Rosji, władzę pradawną i absolutną, sięgnął przecież Gruzin, który głosi Dobroć wobec Narodów. Lecz choć sympatyczny stary tyran robi, co w jego mocy, Dżakyp Qulan pozostaje „tubylcem” w takiej samej mierze, jak dotąd, oceniany codziennie przez Rosjan stopniem swojej koczowniczości. Smągła gęba, długie, wąskie oczy i zakurzone buty; dokąd wyrusza konno i co naprawdę wykluwa się w skórzanych namiotach Tam, w aułach, pośród wiatrów – to są tajemnice, których Rosjanie nie zamierzają odkryć ani nawet dociekać. Rzucają przyjaznym gestem papierosy, konstruują dla niego biurokratyczne egzystencje, wykorzystują go w roli wykształconego krajowca. Pozwalają mu pełnić przypisaną funkcję i na tym koniec... wyjątkiem jest sporadyczne spojrzenie Luby, sugerujące polowanko: pęta, niebo, ziemię, wypady... Albo milczenie Galiny zamiast słów...

Tutaj stała się koneserką cisz. Wielkie cisze Siedmiorzecza jeszcze nie uległy alfabetyzacji i być może nigdy nie ulegną. Są zdolne w każdej chwili

wtargnąć do pokoju, do serca, przeobrazić w kredę i papier racjonalne sowieckie alternatywy, sprowadzone przez agentów likbezu. To cisze, których nie zapełni NAT, których nie sposób rozwiązać, przeogromne i przerażające niby żywioły w tym niedźwiedzim zakątku – wyskalowane z myślą o większym globie, o planecie dzikszej i położonej dalej od słońca... Wiatry, miejskie śniegi i upały z dzieciństwa Galiny nigdy nie były tak wszechogarniające i niemiłosierne. Przyjechała tutaj, by dowiedzieć się, co znaczy trzęsienie ziemi i jak przeczekać burzę piaskową. Jakby to było, gdyby teraz wróciła, gdyby znowu żyła w mieście? Nierzadko śni jej się filigranowy model z kartonu, miasto urbanisty, wypracowane w najdrobniejszym detalu i tak małe, że jednym krokiem drobnych stóp mogłaby znieść z powierzchni ziemi całe kwartały – jednocześnie mieszka tam, w środku tego lilipuciego miasta, budzi się późno w nocy, mruganiem oczu powraca do rażącego światła dnia, czekając na zagładę, na cios z nieba, straszliwie spięta od wyczekiwania, niezdolna nazwać tego, co się zbliża, świadoma – zbyt okropne, by to wyrazić – że to ona sama, Środkowoazjatycka Olbrzymka we własnej osobie, jest tym czymś wylęknionym i nienazwanym...

Te wysokie, zbrukane gwiazdami muzułmańskie anioły... *O, wie spurlos zerträte ein Engel den Trotsmarkt...* Trwa niezmiennie hen, tam, na zachodzie, ów afrykański przyrodni brat ze swymi tomikami poezji zaoranymi i zasianymi teutońskimi literami, czarnymi jak popiół drzewny – czeka, brukając stronę za stroną, na nieprzeliczonych wiorstach nizin, w strefowym świetle, które pada ukośnie, gdy co roku nadchodzi ich jesień, które pochyla się nad kłębami planety jak stary cyrkowy wołyżer nad kłębami konia, próbując zwrócić na siebie uwagę wyłącznie twarzą na użytek publiczny i niezmiennie przeżywając fiasko za każdym płynnym, idealnym okrążeniem areny.

Ale czy raz na jakiś czas – z rzadka – Dżakyp Qulan nie rzuca spojrzenia Cziczerinowi przez papierową klasę albo zniecka sprzed okien

wychodzących na głęboką zieloną przestrzeń? Czy to spojrzenie nie mówi: „Nic, co robisz, nic, co on robi, nie pomoże wam w waszej śmiertelności”? I: „Jesteście braćmi. Razem, osobno, co to ma za znaczenie? Żyćcie. Umrzyjcie pewnego dnia, z honorem, nędznie, byleby nie z ręki drugiego...”. Światło każdej kolejnej pospolitej jesieni przynosi tę samą darmową radę, jednak z coraz mniejszą nadzieją. Żaden z dwóch braci nie może jej usłuchać. Murzyn w pewnością znalazł gdzieś w Niemczech własnego Dżakypa Qulana, dziecinnego tubylca, który zasznurował mu usta germańskimi marzeniami o nadejściu anioła Dziesiątej Elegii, uderzenia skrzydeł już na granicy jawy, przybywa, by doszczętnie stratować biały rynek jego wygnania... Zwrócona na wschód czarna twarz trzyma wartę na jakimś zimowym nasypie albo ziemistym murze z drobno żyłkowanego kamienia, od strony nizinnego bezmiaru Prus i Polski czekają mile łąk, podobnie jak każdego miesiąca Cziczeryn jest bardziej napięty i wysmagany wiatrem na swojej zachodniej flance, widząc, jak Historia i Geopolityka niezawodnie pchają ich ku konfrontacji, tymczasem radioodbiorniki piszczą coraz przenikliwiej, nocą nowe stawidła drżą z hydroelektryczną wściekłością za najlżejszym dotknięciem, wznosząc się, po pustych wąwozach i przełęczach, niebo za dnia zgęstniałe od mil opadających baldachimów, białych jak niebiańskie jurty w wizjach bogaczy, uprawiając hazard, ale wciąż niezręczne, lecz za każdym rozproszonym deseniem coraz mniej zaangażowane w grę...

Hen, między gnaty głębokiego zaplecza jedzie Cziczeryn i jego wierny kirgiski towarzysz Dżakyp Qulan. Wierzchowiec Cziczeryna jest odmianą jego samego – to appaloosa z Ameryki, zwany Wąż. Wąż był swego rodzaju przymusowym emigrantem. Dwa lata wcześniej gnuśniał w Arabii Saudyjskiej, dostając co miesiąc czek od przygłupiastego (albo, jeśli lubicie systemy paranoiczne, straszliwie racjonalnego) nafcjarza z Teksasu nazwiskiem Midland, żeby nie brał udziału w amerykańskich zawodach rodeo, na których w tamtych czasach brykał nieujeżdżony Północ, ciskając śmiałków we wszystkie strony na spalone słońcem ogrodzenia. Wąż jest nie tyle dzikim koniem na modłę Północy, ile po prostu metodycznym zabójcą.

Gorzej niż metodycznym, bo nieprzewidywalnym. Dosiadany, zachowuje się obojętnie albo potulnie jak trusia. Lecz wyrwany z zadumy chrypliwymi tonami własnego westchnienia, potrafi zniecka zabić człowieka zwykłym gestem kopyta, a zygzakowaty ruch łba wskazuje chwilę i miejsce, w których człowiek odda ducha. Niepodobna się połapać: przez całe miesiące sprawuje się nienagannie. Jak dotąd, ignoruje Cziczierina. Ale już trzykrotnie targnął się na życie Dżakypa Qulana. Dwa razy Kirgiza ocalił łut szczęścia, za trzecim po prostu utrzymał się w siodle i jeździł na watażce dopóty, dopóki nie zmusił go do jakiegoś takiego posłuszeństwa. Niemniej ilekroć Cziczierin kieruje się do dzwoniącego łańcuchem palika na pagórku, oprócz upręży i kawałka podartego gobelinu z przeznaczeniem na koński grzbiet ciąży mu wątpliwość, nieszczęsna ewentualność, że Kirgiz nie złamał bestii ostatecznie. Że Wąż tylko czeka na odpowiedni moment...

Oddalają się od linii kolejowej, hen, poza sympatyczne strefy globu. Na łopatkach i zadzie Węża eksplodują czarne i białe gwiazdy. Pośrodku tych supernowych znajdują się idealne bezbarwne kręgi próżni, w które południową porą Kirgizi na poboczu drogi zapuszczają spojrzenia i od których po chwili z uśmiechem odwracają głowy ku widnokręgowi w tle.

Dziwne, dziwne są mechanizmy rządzące ropą naftową i nafciarzami. Wąż doświadczył! niemało od czasu pobytu w Arabii, w drodze do Cziczierina, który jest chyba jego drugą połową – złodzieje koni, ciężka jazda, konfiskaty w imieniu tego i tamtego rządu, ucieczki do jeszcze odleglejszych krain. Tym razem, stąpając z mozołem pod górę – kirgiskie bażanty pierzchają na dźwięk kopyt, ptaki wielkie jak indory, czarno-białe o krwistoczerwonych plamach wokół ślepi – być może wyruszył na ostatnią wyprawę i ledwo już pamięta wodociągi w oazach, gdzie roiło się od dymu, brodatych mężczyzn, rzeźbione i polakierowane kulbaki, wysadzone masą perłową, wodze ze skręconej skóry kozłowej, kobiety w damskich siodłach, zawodzące z zachwytem w kaukaskich górach po zmroku, gnany żądzą, burzą na smugach najciemniejszych szlaków... tylko tropy ciągną się wstecz tym ostatecznym stepem: cienie mroczniejące i nieruchomiejące w spoczynku wśród bażanciego rejwachu. Pęd narasta, dwaj jeźdźcy gnają na złamanie karku.

Nocny zapach lasów zanika powoli. W słońcu, które jeszcze do nich nie przyszło, czeka... Czekają... Czekają na nich niewyobrażalne stworzenie ogromnej postury, gorejące...

...dorosłej Galinie wciąż ukazują się w snach skrzydlaty jeździec, czerwony strzelec z rewolucyjnych plakatów, widywanych w dzieciństwie. Z dala od wieców, śniegu, pokaleczonych ulic Galina kuli się w azjatyckim kurzu, z pośladkami wypiętymi ku niebu, czekając na pierwszy dotyk... Stalowe kopyta, zęby, świst piór omiatających jej kręgosłup... rozdzwoniły brzęk posągu jeźdźcy na placu i jej twarz, wciśnięta w rozdygotaną ziemię...

– To żołnierz – Luba ma na myśli Cziczierina – i wylądował daleko od domu.

Odkomenderowany na dziki Wschód, robi, co do niego należy cicho, bez komentarzy, objęty jakąś urzędową klątwą. Pogłoski są tak niewiarygodne, jak zubożniała jest ta kraina. W świetlicy kaprale rozmawiają o pewnej kobiecie: o niebywałej sowieckiej dziwce, która nosiła staniki z białej gienzy i każdego ranka goliła swoje wzorcowe nogi aż do pachwin. Nowe wcielenie ubranej w gronostaje, przecudownej Katarzyny, co pieprzyła się z końmi. Do jej kochanków zaliczali się mężczyźni od ministrów po ludzi pokroju kapitana Cziczierina, który był oczywiście najbardziej lojalny. Gdy neo-Potiomkinowie przemierzali dla niej najdalszą Arktykę, gdy wykwalifikowane i technokratyczne wilki wznosiły osady w tundrze – miejskie abstrakcje z lodu i śniegu – bezczelny Cziczierin przebywał w stolicy, zadomowiony w jej daczce, gdzie bawili się w rybaka i rybkę, anarchistę i państwo, podróżnika i rozfalowany skraj niezmierzonej dżungli. Kiedy wreszcie najwyższe czynniki zwróciły uwagę w ich stronę, nie oznaczało to dla Cziczierina ani wyroku śmierci, ani nawet wygnania – jedynie zawężenie możliwości kariery: tak właśnie wtedy biegły wektory. Azja Środkowa w najlepszych latach jego życia, ewentualnie stanowisko attaché w kraju takim jak Kostaryka (cóż, życzyłby sobie, by pewnego dnia była to Kostaryka – by wypuszczono go z tego czyścica prosto w szelest fal, zielone noce – jakże tęskni za morzem, śni o oczach ciemnych i płynnych jak

jego własne, oczach kolonialnych, patrzących z balkonów z kruszącego się kamienia...).

Tymczasem nowa pogłoska mówi o jego powiązaniach z legendarnym Wimpem, dyrektorem pionu sprzedaży w Ostarzneikunde GmbH, filii IG. Ponieważ tajemnicą poliszynela jest, że wysyłani za granicę przedstawiciele IG szpiegują dla Niemiec, składając meldunki do berlińskiego biura zwanego NW7, w historię o Cziczereinie trudno uwierzyć. Gdyby była prawdziwa, dostałby czapę – nie ma mowy, żeby darowano mu życie i skazano wyłącznie na somnambulizm miast garnizonowych na wschodzie.

A jednak mógł znać Wimpego – to nie ulega wątpliwości. Pewnego razu ich drogi życiowe zbliżyły się w czasie i przestrzeni. Wimpe był to *Verbindungsman* w klasycznym rozumieniu tego słowa, z domieszką niezdrowego zapału: ujmujący, przystojny w sposób, który uwydatniał się w formie rzędu półek lub tarasów siły: przyjazne szare oczy, prosty nos z granitu, usta, które nigdy nie zadrżały, podbródek niezdolny do fantazjowania... czarne garnitury, nieskazitelne skórzane paski i srebrne ćwieki, buty z końskiej skóry, połyskujące pod świetlikami carskich westybulów i na sowieckim betonie, zawsze elegancki, na ogół grzeczny, świetnie zorientowany i rozkochany w chemii organicznej, która była jego specjalnością i – jak sugerowano – religią.

– Proszę pomyśleć o szachach – to działo się w dawnych czasach, jeszcze w stolicy, szukał porównania, które przemawiałoby do Rosjan – o ekstrawaganckiej grze w szachy. – Zamierzał pokazać, pod warunkiem że słuchacze okażą się pojętni (miał odruchy sprzedawcy, umiał machinalnie sterować rozmową po linii najmniejszej obojętności), jak wiele otwartych możliwości stoi przed każdą molekułą, możliwości wiązania się w łańcuchy o rozmaitej mocy, począwszy od najbardziej wszechstronnego węgla, królowki – Katarzyny Wielkiej na tablicy okresowej pierwiastków – po małe wodory, liczne i kroczące ślamazarnie jak pionki... twardy opór na szachownicy ustępuje w tej chemicznej grze trójwymiarowym figurom tancerzy –



czwórwymiarowym, jeśli państwo wolicie – i radykalnie zmienia się sens wygranej i przegranej...

*Schwärmerei*, mruźli pod nosem jego koledzy w ojczyźnie, znajdując preteksty, by włączyć się do innych rozmów. Ale Cziczerin by został. Głupi i romantyczny, słuchałby dalej, a nawet podjudzał Niemca.

Jak to się stało, że ich nie zaobserwowano? Rychło, w miarę jak sprawy biegły swoim ograniczonym i bezkrwawym torem, sowiecka hierarchia komendy, troskliwa niczym dziewiętnastowieczna rodzina, poczyniła proste kroki, by utrzymać tych dwóch z dala od siebie. Zachowawcza terapia. Azja Środkowa. Lecz w tygodniach niejasnych i ogólnikowych informacji, zanim szpicle zwietrzyli pismo nosem... kto wie, czy wypadł orzeł czy reszka w ciemnej kieszeni niewiadomej? Od pierwszych dni jako wdrożeniowiec, Wimpe skupiał się na benzylochinolinach pierścieniowych. Z których najbardziej interesowały go alkaloidy opium i ich liczne odmiany. Otóż to. Pokoje w biurze – był to apartament w starym hotelu – wypełniono próbkami, zdumiewającą obfitością niemieckich narkotyków, a Wimpe, ten dżin Zachodu, podnosił je po kolei w palcach, fiolka za fiolką, żeby oglądać zdziwienie na drobnej twarzy Cziczerina.

– Eumekon, dwuprocentowy roztwór morfiny... Dioninum (jak widzisz, dodajemy etylen do morfiny)... Holopon, nealpon, pantopon i omnopon, wszystko to mieszaniny alkaloidów opium jako rozpuszczalne chlorowodorki... i glikopon, jako glicerynofosforany... Tutaj mamy oksykodon – kodeinę o dwóch cząsteczkach wodoru, hydroksyl, chlorowodorek – zakreślając ręką łuk nad bałaganem – zwisają z różnych części molekuly. – Wśród tych opatentowanych leków połowa gry sprowadzała się do ozdóbek i dodatków. – Tak jak Francuzki robią z sukienkami, *nicht wahr?* Tutaj wstążka, tam śliczna klamerka, żeby lepiej sprzedać niemodny już fason... A to? Trywalin! – Jeden z klejnotów w jego kolekcji. – Morfina, kofeina i kokaina, wszystkie w roztworach, jako walerianiany. Waleriana, *ja* – korzeń i kłącze: może są w twojej rodzinie



starsi krewni, którzy zażywali ją dawno temu na uspokojenie nerwów... odrobinka pasmanterii, można by rzec, aby okraszyć nagie molekuły.

Co Cziczerein miał do powiedzenia? Czy w ogóle tam był? Czy siedział w obskurnym pokoju, gdy za ścianami trzeszczały, skrzypiały stalowe liny windy, a w głębi ulicy, na tyle rzadko, że nie stanowiło to problemu, świstała batem i turkotała po czarnym bruku dorożka? Albo gdy śnieg walił w utyłane okna? Jak daleko – w oczach tych, którzy wysłali go do Azji Środkowej – to zbyt daleko? Czy sama obecność w tym pokoju automatycznie oznaczałaby wyrok śmierci? Czy też ciągle, nawet na tym etapie, istniało dość swobody, by pozwolono mu odpowiedzieć?

– Ale gdy już zatroszczyliśmy się o ból... prosty ból... poza... poniżej zerowego progu odczuwania... usłyszałem... – Usłyszał. Mało subtelny sposób włączenia się do rozmowy, a Wimpe z pewnością zna wszystkie standardowe zagajenia, jakie istnieją. Niektórzy wojskowi walą bez ogródek, innych cechuje taka brawura, że „trzymanie języka za zębami” w ogóle nie wchodzi w grę – bezwzględnie obłąd: nie tylko wysła konnicę przeciw czołgom, ale jeszcze sami poprowadzą szarżę. To wspaniałe, ale to nie jest wojna. Zaczekajmy na front wschodni. Już pierwszą akcją Cziczerein wyrobi sobie opinię maniaka-samobójcy. Niemieckich dowódców od Finlandii po Morze Czarne ogarnie dżentelmeński niesmak na myśl o nim. Będą zachodzić w głowę, czy człowiek ten ma choć krztynę żołnierskiej przyzwoitości. Osaczany, tracony z oczu, ranny, uznawany za poległego, będzie atakował na oślep, odchodzący od zmysłów bałwan śniegowy wśród zimowych bagien – wiatr i warunki polowe nie dostosują się do smukłego kształtu ani śmiercionośnej ogiwy naboju od parabellum, które mogłyby go zwalić z nóg. Podobnie jak Lenin, wyznaje Napoleońskie *on s'engage, et puis, on voit*, co się zaś tyczy atakowania na oślep, to cóż, pokój tego faceta z IG był być może jedną z jego pierwszych prób w tym fachu. Cziczerein wie, jak się spiknąć z „elementem niepożądanym”, zwoływanymi *sub rosa* nieprzyjaciółmi porządku, takimi i owakimi kontrrewolucyjnymi odpadkami

ludzkości: niczego nie planuje, to się po prostu dzieje, jest gigantyczną supermolekułą z wielką liczbą otwartych powiązań, możliwych do urzeczywistnienia w każdej chwili, a w toku spraw... w tańcu spraw... niemniej jednak... inni się doczepiają i przeobrażona w ten sposób farmakologia Cziczerina – jej dopiero co mające się ujawnić efekty uboczne – nie może być scharakteryzowana a priori. Czu Piang, posługacz z czerwonej jurty, wie coś o tym. Wiedział już pierwszego dnia, gdy Cziczerin przyszedł złożyć tam meldunek – Chińczyk potknął się o własną szmatę nie dlatego, żeby zwrócić na siebie uwagę, lecz żeby uczcić to spotkanie. Czu Piang sam ma w zanadrzu jeden czy dwa powiązania. Jest żywym pomnikiem ku czci udanej polityki handlowej Imperium Brytyjskiego w ostatnim stuleciu. Ten klasyczny numer wciąż, nawet dziś, cieszy się popularnością, a to z racji czystego, zimnego pragmatyzmu: przywozisz opium z Indii, rozprowadzasz w Chinach – siemanko, Fong, to tutaj to opium, opium, Fong – ajaj tak-tak, to ja je jeeeść! – nie-ho-ho, Fong, Kitajcu, ty paliiiić, paliiiić, kapujesz? Fong szybko wraca po więcej, coraz więcej, toteż tworzy się sztywny popyt na to gównno, potem trzeba tylko skłonić władzę, żeby je zdelegalizowała, następnie wciągnąć frajerskie Chiny w dwie, trzy katastrofalne wojny o prawa twoich kupców do sprzedawania opium, określane teraz jako świętość. Ty zwyciężasz, Chiny przegrywają. Fantastyczne. Jako że Czu Piang to pomnik ku czci powyższego, całe karawany turystów przybywają obecnie, żeby na niego popatrzeć, najczęściej właśnie wtedy, gdy Jest pod Wpływem...

– Tutaj widzicie, panie i panowie, charakterystyczną ziemistą cerę...

Stoją i gapią się na jego minę śniętej ryby, uważni mężczyźni z bokobrodami, trzymający w dłoniach perłowszare kapelusze, kobiety unoszące spódnice nad straszliwymi rojami mikroskopijnych azjatyckich stworków, od których ruszają się deski podłogi, tymczasem przewodnik demonstruje przedmioty godne uwagi metalowym wskaźnikiem, narzędziem zadziwiająco cienkim, cieńszym od szpady, połyskującym szybciej, niż

potrafią nadażyć oczy.

– Proszę zauważyć, że jego Potrzeba zachowuje swój kształt bez względu na rodzaj nacisku, że tak powiem. Żadna choroba cielesna, żaden niedostatek nie ma na nią najmniejszego wpływu...

Wszystkie łagodne, płytkie oczy biegną kolejno za wskaźnikiem jak akordy fortepianu z podmiejskiego salonu... sztywna Potrzeba nadaje zatęchłemu powietrzu świetlistość: to bezcenny kruszec, z którego można bić suwereny z wyrytymi, powielanymi obliczami wielkich władców. Warto było przejechać taki szmat drogi, by zobaczyć tę świetlistość, warto było dyrdać po zmarzniętym stepie wielkimi zadaszonymi saniami, ogromnymi jak prom, przystrojonymi tandetnym wiktoriańskim zdobnictwem – wewnątrz są piętra i poziomy dla każdej klasy pasażerów, wymoszczone aksamitem salonki, znakomicie wyposażone kuchnie, uwielbiany przez panie młody doktor Maledetto, wytworne menu, obejmujące wszystko od Mille-Feuilles à la Fondue de la Cervelle po La Surprise du Vésuve, bogato umeblowane foyer z rzutnikami i biblioteką przezroczy, toalety w dębnie przetartym do głębokiej czerwieni i ręcznie rzeźbionym – twarze syren, liście różdżeńca, popołudniowe ogrodowe kształty, by podróżnemu przypominał się dom, gdy jest mu najbardziej potrzebny, gorące wnętrza, wznoszące się straszliwie nad karkołomnym pędem krystalicznego lodu i śniegu, które można również oglądać z pokładu obserwacyjnego, przepływające widoki poziomej bladości, wirujące pola śniegowe Azji, pod niebem z metalu nieszlachetnego o wiele bardziej niż to, które przyjechaliśmy obejrzeć...

Czu Piang ich obserwuje, gdy przybywają, gapią się i odjeżdżają. Są postaciami ze snów. Bawią go. Należą do opium: nigdy się nie zjawiają, gdy chodzi o coś innego. Co się tyczy haszyszu, w zasadzie stara się palić go tylko tyle, ile wymaga grzeczność. Ten bryłowaty, żywiczny halucynogen z Turkiestanu jest dobry dla podniebienia Rosjanina, Kirgiza albo innego barbarzyńcy, Czu natomiast o każdej porze gotów jest na łyż maku. Sny są wtedy lepsze, nie tak geometryczne, elementy – powietrze, niebo – nie

przeobrażają się tak skwapliwie w perskie dywany. Czu woli sytuacje, podróże, komedie. Dostrzeżenie tego samego upodobania u Cziczera – krępego moskiewskiego emisariusza o łańskich oczach, sowieckiego emigranta z przymusu – wystarcza, by potknąć się o własną szmatę na kiju, rozlane mydliny szumią na podłodze, a wiadro pobrzękuje ze zdumienia. Z zachwyty!

Nie mija wiele czasu, gdy dwaj żałośni przestępcy wymykają się na spotkania u rogatek. To lokalny skandal. Z czeluści wśród wstrętnych szmat i łachmanów, którymi obwiesił swoje niezdrowe żółte ciało, Czu wyłuskuje obrzydliwy czarny glut cuchnącej substancji, owinięty w strzęp „Enbekši Qazaq” z 17 sierpnia ubiegłego roku. Cziczera przynosi fajkę – pochodzi z Zachodu, więc do niego należy dbanie o szczegóły techniczne – okropny zwęglony przedmiocik w czerwono-żółty deseń ze stopu metali, kupiony z drugiej ręki za garść kopiejek w dzielnicy trędowatych w Bucharze, i owszem, ładnie już wtedy przepalony. Nieostrożny kapitan Cziczera. Dwaj amatorzy opium kucają za pochyłym kawałkiem muru zniszczonego wskutek ostatniego trzęsienia ziemi. Od czasu do czasu obok przejeżdżają jeźdźcy, niektórzy ich zauważają, inni nie, wszyscy milczą. Nad głową gwiazdy tłoczą się po niebie. Hen, na stepie, faluje trawa, cienie biegną powoli jak owce. Łagodny wiatr niesie ostatnie dymy dnia, wonie stad i jaśminu, zastalej wody, opadającego kurzu... wiatr, którego Cziczera nie będzie pamiętał. Nie bardziej, niż potrafi skojarzyć tę surową mieszaninę czterdziestu alkaloidów z pociętymi, oszlifowanymi, wypolerowanymi i posplatanyimi molekułami, które niegdyś jedną po drugiej pokazywał mu ten handlowiec Wimpe i których historie opowiadał...

– Oniryna i metoniryna. Odmiany opisane przez Laszlo Jamfa w organie Amerykańskiego Towarzystwa Chemicznego przed dwoma laty. Jamfa znowu wypożyczono – tym razem jako chemika – Amerykanom, których Krajowa Rada Badań Naukowych wdrożyła szeroko zakrojony program badawczy, dotyczący molekuły morfiny i możliwości jej wykorzystania: Plan

Dziesięcioletni, który zadziwiająco zbiegł się w czasie z klasycznymi już badaniami dużych molekuł, prowadzonymi przez Carothersa, Wielkiego Syntetystę z du Pont. Związek? Oczywiście, że jest pewien związek. Ale nie mówimy o tym. KRBN codziennie syntetyzuje nowe molekuły, większość z fragmentów molekuły morfiny. Du Pont z kolei spleta w długie łańcuchy grupy amidowe. Te dwa programy zdają się uzupełniać, prawda? Amerykańska wada modularnego powielania, połączona być może z tym, co jest podstawowym motywem naszych poszukiwań: chęcią znalezienia czegoś, co potrafi stłumić silny ból bez wywoływania uzależnienia.

Rezultaty nie były zachęcające. Wygląda na to, że natknęliśmy się na dylemat zakorzeniony w samej naturze, podobny do zasady Heisenberga. Istnieje niemal kompletna paralela między analgezą a uzależnieniem. Im więcej bólu likwiduje dany środek, tym bardziej tego środka pragniemy. Wydaje się, że nie możemy mieć jednego bez drugiego, tak samo jak fizyk nie może określić położenia cząstki bez przystania na nieokreśloność jej pędu...

– To mogłem ci sam powiedzieć. Ale dlaczego...

– Dlaczego? Dlaczego, mój drogi kapitanie?

– Chodzi mi o fundusze, Wimpe. Po co wyrzucać pieniądze w błoto na tak beznadziejne badania?...

Braterska dłoń na zapiętym guzikiem naramienniku. Uśmiech doświadczonego człowieka, pełen weltszmercu.

– Coś za coś, Cziczerin – szepcze handlowiec. – Kwestia zrównoważenia priorytetów. Badacze są tani, a przecież nawet IG wolno marzyć, mieć nadzieję wbrew nadziei... Pomyśl, co by było, gdybyśmy znaleźli taki środek, gdybyśmy racjonalnie zlikwidowali ból bez ponoszenia dodatkowego kosztu, jakim jest nałóg. Kosztu nadwyżkowego, o którym na pewno jest gdzieś mowa u Marksa i Engelsa – trzeba przypodobać się potencjalnemu klientowi. Popyt taki jak „uzależnienie”, niemający nic wspólnego z rzeczywistym bólem, rzeczywistymi wymogami ekonomicznymi,

niezwiązany z produkcją ani pracą... potrzebujemy mniej niewiadomych, nie więcej. Wiemy, jak wywoływać rzeczywisty ból. Wojny naturalnie... maszyny w fabrykach, wypadki w przemyśle, samochody skonstruowane tak, by nie zapewniać bezpieczeństwa, trujące substancje w żywności, wodzie, a nawet powietrzu, to są wielkości bezpośrednio związane z gospodarką. Znamy je i możemy kontrolować. Ale „uzależnienie”? Co o nim wiemy? Mgła i widma. Nie ma dwóch specjalistów, którzy zgodziliby się co do definicji tego określenia. „Przymus”? A kto nie jest przymuszany? „Nałóg”? „Ubezważnowolnienie”? Co te słowa znaczą? Są tylko tysiące niejasnych akademickich teorii. Racjonalna gospodarka nie może zależeć od psychologicznych kaprysów. Nie moglibyśmy *planować*...

Jakie przeczucie zaczyna pulsować w prawym kolanie Cziczierina? Co to za bezpośrednia przemiana bólu w złoto?

– Naprawdę jesteś aż tak zły czy tylko udajesz? Naprawdę handlujesz bólem?

– Lekarze handlują bólem i nikomu nie przyjdzie do głowy krytykować ich szlachetnego powołania. Ale gdy tylko *Verbindungsman* odepnie zatrask walizki, już uciekacie z krzykiem. Cóż, wśród nas nie znajdziesz wielu nałogowców, natomiast w kręgach medycznych aż się od nich roi. My, handlowcy i komiwojażerowie, wierzymy w rzeczywisty ból i rzeczywiste uwolnienie. Jesteśmy rycerzami w służbie tego ideału. Dla celów naszego rynku wszystko musi być rzeczywiste. W przeciwnym razie mój pracodawca – nasz mały chemiczny kartel stanowi wzorcowe odzwierciedlenie nie struktury narodów – pogubi się w złudzeniach i mrzonkach i pewnego dnia utonie z kretelem w chaosie. Twój pracodawca zresztą też.

– Moim „pracodawcą” jest państwo radzieckie.

– Tak?

Wimpe powiedział „stanowi odzwierciedlenie”, nie zaś „będzie stanowić”. Zadziwiające, że zabrnęli aż tak daleko, o ile rzeczywiście zabrnęli – byli przecież ludźmi skrajnie różnych wyznań i w ogóle... Cynik Wimpe



wyrąbałyby znacznie więcej prawdy, zanim poczułyby się nieswojo. Cierpliwość, z jaką znosił gospodarkę w czerwonoarmijnym wydaniu Cziczeryna, wydawała się niewyczerpana. Rozstali się w przyjaznej atmosferze. Tuż po tym, gdy Hitler został kanclerzem, Wimpego oddelegowano do Stanów Zjednoczonych (do nowojorskiego Chemnyco). Wówczas – według pogłosek garnizonowych – jego związek z Cziczerynem uległ zerwaniu, i to na zawsze.

Lecz to tylko plotki. Nie należy pokładać wiary w opisywane koleje ich losów. Wyłaniają się sprzeczności. W sam raz, żeby spędzić zimę w Azji Środkowej, gdy nie jest się Cziczerynem. Natomiast gdy jest się Cziczerynem, no to cóż, sytuacja staje się dość szczególna. Prawda? Trzeba przetrwać zimę, nie mając niczego oprócz paranoicznych podejrzeń co do powodów własnego pobytu tutaj...

To przez Enziana, przekłętą Enziana, rzecz nie ulega wątpliwości. Cziczeryn był w Krasnym Archiwie, widział akta, diariusze i dzienniki okrętowe, ocalałe z zakończonej fiaskiem homeryckiej wyprawy admirała Rożestwińskiego, niektóre wciąż utajnione mimo upływu dwudziestu lat. I teraz wie. A skoro to jest w aktach, Oni też wiedzą. Ponętne młode kobiety i niemieccy handlarze narkotyków zawsze są dostatecznym powodem, by wysłać mężczyznę na wschód. Ale Oni nie byliby tymi, którymi są, ani tam, gdzie są, gdyby nie domieszka Dantego w ich pojmwaniu rewanzu. Proste prawo odwetowe nadaje się na czas wojny, natomiast polityka między kampaniami zbrojnymi wymaga symetrii i elegantszej idei sprawiedliwości, a nawet pozorów w tej mierze, żeby wyglądało to na nieco dekadencją litość. To bardziej zawile, trudniejsze i mniej przyjemne niż masowa egzekucja, lecz są takie układy, których Cziczeryn nie dostrzega, rozległe jak Europa, być może jak cały świat, niepodważalne między wojnami...

W grudniu 1904 roku admirał Rożestwiński wpłynął na czele floty czterdziestu dwóch okrętów wojennych do portu Lüderitzbucht w Afryce Południowo-Zachodniej. Działo się to w okresie największego nasilenia



wojny rosyjsko-japońskiej. Admirał był w drodze na Pacyfik celem przyścia z odsieczą innej rosyjskiej flocie, zablokowanej od miesięcy przez Japończyków w Port Arthur. Rejs ten, najpierw po Bałtyku, potem dokoła Europy i Afryki, przez Ocean Indyjski i dalej na północ wzdłuż wybrzeża Azji, zapowiadał się jako jedna z najbardziej spektakularnych podróży morskich w dziejach ludzkości: po siedmiu miesiącach i pokonaniu osiemnastu tysięcy mil nastąpił pewien dzień wczesnego lata, kiedy niejaki admirał Togo, przyczajony za wyspą Cuszima, między Koreą a Japonią, wypłynął z ukrycia i nim zapadł zmrok, złożył Rożestwienskiemu dupsko. Do Władywostoku dotarły tylko cztery rosyjskie okręty – prawie całą resztę zatopiły przebiegłe żółtki.

Ojciec Cziczierina był kanonierem na okręcie flagowym admirała, „Suworowie”. Flota zawinęła do Lüderitzbucht na tydzień, żeby uzupełnić zapasy węgla. Sztormy chłostały zatłoczony mały port. „Suworow” obijał się o węglowce, wrywając sobie dziury w burtach, uszkodzając niejedno ze swych dwunastofuntowych dział. Dął szkwał i wirował lepki węglowy pył, który kleił się do wszystkiego: ludzi i stali. Spoceni marynarze uwijali się dwadzieścia cztery godziny na dobę, nocą w świetle reflektorów ustawionych na pokładzie, na wpół ślepi od blasku taszcząc worki z węglem, machając szuflami, kaszląc, utyskując. Niektórzy dostawali obłędu, inni próbowali popełnić samobójstwo. Po dwóch dniach stary Cziczierin uciekł z okrętu, żeby przeczekać katorgę. Znalazł sobie dziewczynę z plemienia Hererów, która straciła męża w trakcie antyniemieckiego powstania. Nie planowała tego, nawet o tym nie marzyła! przed zejściem na ląd. Figę wiedział o Afryce. W Sankt Petersburgu zostawił żonę i oseska. Dotąd najdalej zawędrował do Kronsztadu. Chciał tylko odpocząć od harówki i widoku wszystkiego... od tego, co dawały do zrozumienia biel i czerń węgla i światło lamp łukowych... brak kolorów i towarzysząca nierealność... ale nierealność *znajoma*, która przestrzega: To Wszystko Jest Przedstawieniem, Żeby Się Okazało, Jak Się Zachowasz, Więc Nie Wolno Ci Zrobić Żadnego Błędnego Ruchu...

ostatniego dnia swego życia, kiedy japońskie żelazo ze świstem leciało na niego z okrętów znajdujących się zbyt daleko w mgłę, by mógł je zobaczyć, pomyślał o powolnie karbonizowanych twarzach ludzi, których znał, ludzi przeobrażających się w węgiel, pradawny węgiel, połyskujący każdym kryształkiem, w blasku chrapliwie trzaskających świec Jabłokowa, najmniejszy płatek trafiony idealnie... konspiracja węgla, choć nigdy nie sformułował słowa „węgiel”, dla niego to była moc, od której uciekł, wrażenie nadmiaru mocy pozbawionej sensu, falującej w złą stronę... zwietrzył w niej Śmierć. Toteż czekał do chwili, gdy oficer żandarmerii obrócił się plecami, by zapalić papierosa, i wtedy zwyczajnie odszedł – wszyscy byli nienaturalnie czarni, zbyt czarni, by dezercję zauważono – a na lądzie znalazł sobie najprawdziwszą czerń w postaci poważnej Hererki, która po długiej służbie w zamknięciu wydawała mu się tchnieniem życia, toteż został z nią na rogatkach płaskiego smutnego miasteczka, nieopodal linii kolejowej, w jednopokojowym domu, wzniesionym z młodych drzewek, skrzyń, trzciny, błota. Zacinał deszcz. Pociągi pohukiwały i stękały. Mężczyzna i kobieta leżeli w łóżku i pili kari, warzone z ziemniaków, grochu i cukru, a w narzeczu Hererów słowo to oznacza „napój śmierci”. Zbliżało się Boże Narodzenie, dał jej więc w prezencie medal otrzymany kiedyś w czasie manewrów marynarki na Bałtyku. Kiedy się rozstawali, potrafili już wypowiedzieć nawzajem swoje imiona i kilka słów w języku drugiego – „boję się”, „szczęście”, „spać”, „miłość”... – ot, załączki nowej mowy, pidżinu, którym władały chyba tylko dwie osoby na całym świecie...

Wrócił. Jego przyszłość związana była z flotą bałtycką – nie kwestionował tego ani on, ani dziewczyna. Sztorm dmuchał, mgła okryła morze. Cziczerin odpłynął na „Suworowie” w silną dal, zamknięty w ciemnej i cuchnącej kajucie poniżej linii wodnej, pijąc bożonarodzeniowy przydział wódki i tęskniąc za szczęściem w małej przestrzeni, która się nie bujała, hen, na skraju suchego veldu, gdzie jego członek znalazł przyjazną i ciepłą przystań, którą nie była własna samotna garść. Już wtedy opisywał dziewczynę

kolegom jako namiętą dzikuskę. To najstarsza legenda z mórz. Gdy opowiadał, nie był Cziczeringiem, tylko tłumem słuchaczy o pojedynczej twarzy, jednakowo przegranych, lecz niejednakowo pechowych. Możliwe, że dziewczyna stała na cyplu i patrzyła, jak szare pancerniki nikną kolejno we mgle południowego Atlantyku, ale mimo że aż się prosi, by zabrzmiało teraz kilka taktów z „Madame Butterfly”, to jednak najprawdopodobniej łądaczyła się albo po prostu spała. Czekają ją ciężkie dni. Pamiątką po Cziczeringu było dziecko, powite kilka miesięcy po 27 maja, a więc po dniu, w którym wczesnym wieczorem kanonier poszedł na dno, mając przed oczami strome klify i zielone lasy Cuszimy.

Niemcy zewidencjonowali narodziny oraz nazwisko ojca (zwyczajem marynarzy napisał je dla niej na świstku papieru – w zasadzie dał jej swoje nazwisko) w archiwum głównym w Windhoek. Wkrótce potem matce i dziecku wydano przepustkę, by mogli wrócić do rodzinnej wioski. W spisie ludności dokonany przez władze kolonialne celem zorientowania się w skali dokonanej rzezi, zorganizowanym tuż po odniesieniu Enziana przez Buszmenów do osady, wymienia się matkę jako osobę zmarłą, niemniej jej nazwisko figuruje w aktach. Wiza wjazdowa do Niemiec przyznana Enzianowi w grudniu 1926 roku oraz jego późniejsze podanie o niemieckie obywatelstwo znajdują się w berlińskim archiwum.

Nie mało trzeba było się nachodzić, żeby zebrać do kupy te wszystkie papierki. Za punkt wyjścia posłużyło zdawkowe słowo lub dwa w dokumentach admiralicji. Działo się to w czasach Aleksandry Fiodorowny, kobiety od giemzowej bielizny, toteż Cziczering miał lepszy dostęp do kartotek niż obecnie. Ponadto obowiązywał traktat z Rapallo, zatem było sporo możliwości dotarcia do Berlina. Ten dziwny kawałek papieru... w chwilach chorobliwej megalomanii wydaje mu się oczywiste, jak to się stało, że jego imiennik i zamordowany Żyd zmontowali razem skomplikowany spektakl w Rapallo, oraz że ich rzeczywistym i jedynym celem było poinformowanie Wacława Cziczeringa o istnieniu Enziana... Życie

garnizonowe na Wschodzie – tak samo jak pewne narkotyki – powoduje, że niektóre sprawy jawią się zadziwiająco wyraźnie...

Niestety, wydaje się, że ta obsesja przywiedzie go do zguby. Teczka osobowa Enziana, którą Cziczerin uskładał (udało mu się nawet zobaczyć, co wywiad sowiecki wiedział wtedy o poruczniku Weissmannie i jego działalności politycznej w Sudwest) została skopiowana przez jakiegoś gorliwego aparatczyka i dołączona do teczki personalnej samego Cziczerina. Miesiąc lub dwa później okazało się, że ktoś równie anonimowy wydał rozkaz wysłania go do Baku i tak oto nieubłagane znalazł się na pierwszym plenarnym zjeździe WCK NAT (Wsiechsojuznogo Centralnogo Komiteta Nowogo Turkskogo Ałfawita), gdzie natychmiast przydzielono go do Komitetu.

„°1” to swoiste „g”, głoska dźwięczna, tylnojęzykowa i zwarta. Cziczerin nigdy nie dostrzeże różnicy między nią a zwykłym „g”. Przekona się natomiast, że wszystkie Przydziały do Dziwacznych Liter zarezerwowano dla takich nieudaczników jak on. Jest tutaj Szack, osławiony fetyszysta z Leningradu, rozkochany w nosach, który na zjazdy partii przynosił czarną satynową chusteczkę i... owszem, bywało, że nie potrafił się pohamować i głaskał komunistycznych notabli po kinolach – zesłany do Komitetu θ, gdzie wciąż zapomina, że „θ” – w NAT – to „Ϸ”, a nie rosyjskie „F”, wskutek czego spowalnia postęp i sieje zamęt na każdym roboczym posiedzeniu. Większość czasu spędza na staraniach, by przeniesiono go do Komitetu ty, właściwie – przysuwa się bokiem, oddycha ciężko – wystarczyłoby zwykłe N, albo nawet jakieś M... – Brawurowy, niezrównoważony dowcipniś Radniczny trafił do Komitetu ə, a „ə” to „szwa” albo neutralne „e” – który wdraża megalomański program zastąpienia wszystkich samogłosek, wymawianych w Azji Środkowej, nowymi – a dlaczego działać na pół gwizdka, dlaczego nie załatwić dodatkowo jednej albo dwóch spółgłosek? To „szwa” tutaj... nic dziwnego, biorąc pod uwagę jego przeszłość pełną rozmaitych personifikacji i udawanych przemian oraz śmiałą, ale skazaną na

fiasko znowę, by trafić Stalina w pysk puszystym tortem winogronowym, w którą zamieszany był tylko na tyle, że dostał zsyłkę do Baku, a nie coś gorszego.

Naturalnie Cziczeryn ciąży ku tej gromadzie beznadziejnych przypadków. Nie mija dużo czasu, gdy – jeżeli akurat nie zakrada się z Radnicznym na pole naftowe, żeby przebrać szyb za gigantyczny penis – czyha w arabskiej dzielnicy na okrytego złą sławą ukraińskiego narkomana Bugnogorkowa z Komitetu Głośniowego K (zwykle „k” oznaczone jest jako „q”, „c” zaś wymawia się jako swoiste „cz”) w celu nawiązania kontaktu z handlarzami haszyszu albo opędza się od nosowych zalotów Szacka. Doznaje wrażenia, że w rzeczywistości zamknięto go na oddziale dla umysłowo chorych w wojskowym szpitalu w Moskwie, a ten zjazd plenarny jest tylko halucynacją. Wydaje się, że tutaj wszyscy mają nierówno pod sufitem.

Najbardziej stresujący jest spór o władzę, w który wciągnięto Cziczeryna, czyli walka z niejakim Igozem Blobadżianem, przedstawicielem partii w prestiżowym Komitecie G. Blobadżian za wszelką cenę usiłuje wyprowadzić jak najwięcej °1 z Komitetu Cziczeryna i zmienić w G, wykorzystując zapożyczone słowa jako kliny rozbijające monolit. W rozświetlonej skwarnym słońcem kantynie dwaj mężczyźni warczą na siebie nad tacami zapiekaneq i gruzińską zupą z owoców.

Wybuchł poważny kryzys w wyniku kontrowersji, którego „g” należy używać w słowie „stenografia”. Tutaj odczuwa się dużą więź emocjonalną z tym słowem. Pewnego ranka Cziczeryn wchodzi do swojej sali konferencyjnej i widzi, że w tajemniczych okolicznościach zniknęły wszystkie ołówki. W rewanżu on i Radniczny zakradają się nocą z piłką do metalu, pilnikami i latarką do sali konferencyjnej Blobadżiana i dokonują reformy alfabetu w jego maszynie do pisania. Nazajutrz jest niezła heca. Blobadżian miota się w długotrwałym napadzie szału. Cziczeryn tymczasem siedzi na konferencji, zebrani wezwani są do zachowania porządku, a tu nagle PIERDUT! – dwudziestu paru lingwistów i urzędników ląduje na

dupach. Hałas odbija się echem przez pełne dwie minuty. Cziczerein – z tyłkiem na podłodze – spostrzega, że we wszystkich krzesłach dokoła stołu upiłowano kawałek nogi, po czym doklejono go z powrotem woskiem i zapastowano. Robota zawodowca, nie ma dwóch zdań. Może Radniczny pracuje na dwie strony? Pora beztroskich żartów minęła. Cziczerein musi działać w pojedynkę. Nocą, przy świetle latarni, kiedy przestawianie liter najszybciej prowadzi do innych rodzajów iluminacji, z mozołem transliteruje na proponowany nowy alfabet surę otwierającą święty Koran, następnie rozprawdza tekst, podpisany nazwiskiem Igora Blobadziana, między arabistów uczestniczących w zjeździe.

Oj, zaczyna się niebezpieczna gra. Ci arabiści to krewkie chłopcy. Od pewnego czasu gardłują, żeby Nowy Alfabet Turecki składał się ze znaków arabskich. W korytarzach dochodzi do rękoczynów z zatwardziałymi cyrylicystami, szepcze się, by cały świat islamu zbojkotował wszystkie alfabety łacińskie. (Tak naprawdę nikt nie jest wielkim miłośnikiem cyrylicy NAT-u. Stare carskie albatrosy nadal wiszą u sowieckiej szyi. W Azji Środkowej istnieje silny opór wobec wszystkiego, co pachnie rusyfikacją, nie wyłączając wyglądu liter na papierze. Z kolei zastrzeżenia wobec pisma arabskiego dotyczą braku znaków samogłoskowych i precyzyjnego odniesienia między poszczególnymi dźwiękami a znakami. Toteż zostaje łacina, siła wyższa. Ale arabiści nie dają za wygraną. Nieustannie występują z propozycjami zreformowanego pisma arabskiego – najczęściej wzorowanego na alfabecie zatwierdzonym w Bucharze w 1923 roku i z powodzeniem stosowanym wśród Uzbeków. Trudność w postaci głosek środkowojęzykowych i tylnopodniebiennych, wymawianych przez Kazachów, można obejść za pomocą znaków diakrytycznych). Do tego sprawa ma silny wydźwięk religijny. Używanie niearabskiego alfabetu uważa się za grzech przeciw Bogu – ostatecznie większość ludów tureckich to muzułmanie, a pismo arabskie jest pismem islamu, pismem, w którym Allah zesłał swoje słowa w Noc Siły, pismem Koranu –



Czego? Czy Waław Cziczeryn na pewno zdaje sobie sprawę, co spowoduje jego mistyfikacja? To więcej niż bluźnierstwo, to sygnał do świętej wojny. Skutek? Blobadziana tropi po czarnych przedmieściach Baku mrowie rozwrzeszczanych arabistów, wymachujących bułatami i szczerzącymi straszliwie zęby. W mroku stoją na warcie szyby naftowe, obrane z kości. Wszelkiego autoramentu garbusy, trędowaci, hebefrenicy, kaleki bez rąk i nóg wyskakują z sekretnych zakamarków, by popatrzeć na widowisko. Stoją oparci niedbale o zardzewiałe żelastwo z rafinerii, a ich wspólne niebo jest deseniem szachownicy w kolorach podstawowych. Zajmują gabinety, przedsionki i wnęki opróżnione z władzy administracyjnej przez Rewolucję w czasie, gdy przedstawiciele Dutch Shell wyproszono z Baku, a wszyscy angielscy i szwedzcy inżynierowie wrócili do domu. W mieście nastał teraz okres zastoju i obwałowywania się. Wszystkie petropieniądze, wydojone z tych pól przez Noblów, wtłoczono w nagrody Nobla. Nowe studnie drąży się gdzie indziej, między Wołgą a Uralem. Tutaj przyszedł czas na rzut oka w przeszłość, na rafinowanie niedawnej historii, którą – cuchnącą i czarną – pompuje się już z innych pokładów umysłu ziemi...

– Tędy, Blobadzian, szybko!

Po piętach depczą Blobadzianowi arabiści, których przenikliwe i niemilosierne wycie rozchodzi się wśród pomarańczowoczerwonych gwiazd nad gromadami szybów.

Trzask. Ostatni skobel zamknięty.

– Zaraz, gdzie ja jestem?

– Chodź. Czas ruszać w drogę.

– Ale ja nie chcę...

– A chcesz być następnym niewiernym, któremu poderżnięto gardło? Już za późno, Blobadzian. Idziemy...

Najpierw orientuje się, jak zmienić swój współczynnik załamania światła. Może wybrać wszystko od przezroczystości po matowość. Gdy wreszcie mija ekscytacja nowością, wybiera dla siebie blady pasiasty efekt onyksu.



- Pasuje ci – mruczą przewodnicy. – Pośpiesz się.
- Nie. Chcę odpłacić Cziczereinowi pięknym za nadobne.
- Za późno. Ty nie będziesz brał udziału w tym odpłacaniu. Już nie.
- Ale on...
- To bluźnierca. Islam ma własne tryby postępowania z takimi ludźmi. Anioły, kary, skrupulatne przesłuchiwanie. Zostaw go. On musi iść inną drogą.

Jakże alfabetyczna jest natura molekuł. Tutaj człowiek to sobie uświadamia: widuje komitety do spraw struktury molekuł, przypominające komitety ze zjazdu plenarnego rzeczników NAT-u.

– Patrz: wyłuskuje się je z surowego strumienia, kształtuje, czyści, rektyfikuje, podobnie jak ty kiedyś ratowałeś litery z anarchicznego, śmiertelnego potoku ludzkiej mowy... To są nasze litery, nasze słowa: one także mogą być modulowane, rozrywane, łączone, przedefiniowywane, poddawane kopolimeryzacji w oplatających cały świat łańcuchach, które niby widoczne kawałki gobelinu raz po raz wystają nad długimi molekularnymi ciszami.

Z czasem Blobadżian pojmuje, że Nowy Alfabet Turecki jest tylko jedną z odmian procesu o znacznie starszym rodowodzie – i mniejszym stopniu samoświadomości – niż kiedykolwiek miał powód przypuszczać w najśmielszych marzeniach. Wkrótce zawzięta rywalizacja między °1 a G blednie do rangi błahych wspomnień z dzieciństwa. Mętnych anegdot. Przekroczył granicę – dawniej zgorzkniały aparatczyk z górną wargą o linii wyrazistszej niż u szympansa, teraz awanturnik, który płynie własnym kursem, niesiony podziemnym strumieniem, ze spokojem obserwujący, dokąd wiedzie go prąd. Na nieokreślonym początkowym etapie rejsu wyzbył się nawet dumy z powodu lekkiego współczucia dla Wacława Cziczaina, któremu nigdy nie będzie dane zobaczyć tego, co on teraz widzi...

A druk idzie w świat bez niego. Między rzędami biurek biegają redakcyjni pomagierzy, za którymi ciągnie się smuga rozmazanych korekt. Specjaliści

dowiezieni mostem lotniczym z Tyflisu organizują dla lokalnych drukarzy pośpieszne kursy nauki NAT-u. W miastach – Samarkandzie i Biszkeku, Ferganie i Taszkencie – wywieszane są afisze. Na chodnikach i murach pojawiają się pierwsze drukowane hasła, pierwsze środkowoazjatyckie „Chuj wam w dupę” i „Zabić komisarzy” (zdarza się, że powyższe słowa stają się ciałem! Ten alfabet to naprawdę coś!), i tak magia, znana szamanom na równinach od zarania dziejów, zaczyna teraz funkcjonować w trybie politycznym, a Dżakyp Qulan słyszy, jak duch jego zlinczowanego ojca ćwiczy literki, skrobiąc piórem po papierze...

Oto po niskich wzgórzach gnają Cziczerin i Dżakyp Qulan, prosto w dolinę, której szukali. Ludzie utworzyli krąg: cały dzień trwa święto. Tlą się ogniska. Z wolnego kawałka ziemi między zgromadzonymi słuchaczami dobiegają dwa młode głosy.

To asztys – pojedynek pieśniarzy. Chłopiec i dziewczyna stoją pośrodku wsi, na obu twarzach mina w rodzaju nawet-cię-lubię-mimo-że-coś-z-tobą-chyba- jest-nie-tak, a z szarpanych kobyzów i dombr – brzdęk, brzdęk – wyrywa się melodia. Ludzie śmieją się z co lepszych ripost. Trzeba zachować czujność: rywalizacja polega na przerzucaniu się zwrotkami o czterech linijkach, z których pierwsza, druga i ostatnia muszą się rymować, ich długość natomiast jest dowolna, byleby dały się wyśpiewać jednym tchem. Mimo wszystko śliska sprawa. Czasem pojedynek kończy się obrazą. Zdarza się, że potem ludzie nie rozmawiają ze sobą przez całe lata. Gdy Cziczerin i Dżakyp Qulan nadjeżdżają, dziewczyna akurat pokpiwa sobie z przeciwnika, a właściwie z jego konia, który jest... niby nic... jakby trochę mocno zbudowany, no, gruby właściwie. Porządnie gruby. Trafienie w czuły punkt. Chłopak wygląda na wkurzonego. Rewanżuje się szybko groźbą, że sprowadzi kolegów i załatwi ją i całą jej rodzinę. Wszystkim mina rzednie. Żadnych chichotów. Ona się uśmiecha – kwaśno – i śpiewa:

Wypiłeś dużo kumysu,  
Słyszę słowa kumysu –

Gdzie byłeś tej nocy,  
Gdy brat mój szukał skradzionego kumysu?

Oho. Wymieniony brat śmieje się do rozpuku. Ale młodemu pieśniarzowi daleko do śmiechu.

– To może chwilę potrwać. – Dżakyp Qulan zsiada z konia i masuje zastałe stawy kolan. – To on, ten tam.

Przy ognisku drzemie leciwy akyn – wędrowny kazachski pieśniarz – z kubkiem kumysu w dłoni.

– Jesteś pewien, że...

– Zaśpiewa. Przemierzył cały kraj wzdłuż i wszerz. Sprzeniewierzyłby się swojej profesji, gdyby nie zaśpiewał.

Siadają, dostają kubki ze sfermentowanym kobyliim mlekiem, kawałek baraniny, lepioszkę, kilka truskawek... Dziewczyna i chłopak wciąż toczą bój na głosy – Cziczerin uświadamia sobie nagle, że wkrótce zjawi się ktoś, żeby zapisać te słowa w nowym alfabecie, który on pomógł ułożyć... i tak będą stracone na zawsze.

Raz po raz zerka na akyna, który chyba śpi. W rzeczywistości starzec promieniuje na pieśniarzy szczególnym przywództwem. To dobroć. Odczuwana wyraźnie jak gorąco z żaru ogniska.

Obelgi miotane na zmianę powoli łagodnieją, stają się zabawne. To, co mogło się skończyć wioskową apokalipsą, przeradza się w zgrany dialog dwóch komików – jak w wodewilu. Para wychodzi ze skóry, żeby sprawić przyjemność słuchaczom. Ostatnie słowo należy do dziewczyny.

Czy mówiłeś o ożenku?  
Tutaj jest jak w ożenku –  
Ten ciepły krąg pieśni  
Burzliwej i głośnej jak życie po ożenku...

Nawet cię lubię, mimo że coś... – święto nabiera rozmachu. Pijani wrzeszczą, kobiety trajkoczą, berbecie pałętają się przy chatach, a wiatr dmie

szybciej. Lecz raptem wędrowny pieśniarz zaczyna brzdąkać na swojej dombrze i znów zapada azjatycka cisza.

– Chcesz zapisać wszystko? – pyta Dżakyp Qulan.

– Owszem, stenograficznie – odpowiada Cziczerin z głośniowym „g”.

## PIEŚŃ AKYNA

Przybywam z krańca świata.  
Przybywam z samych płuc wiatru.  
A rzecz widziałem tak straszną,  
Że Dżambuł nie śpiewałby o niej.  
A lęk w moim sercu tak silny,  
Że dźwignąłby głaz najcięższy.

Pradawne opowieści mówią,  
O czasach dawniejszych niż Korkyt,  
Co z drzewa Syrgaju wystrugał  
Pierwszą kobzę i pieśń najpierwszą –  
Mówią, że het, w stronach dalekich,  
Leży kraina Kirgiskiego Światła.

Kraina, gdzie nieznane jest słowo,  
A oczy płoną jak świece nocą,  
Pod maską nieboskłonu  
Kryje się oblicze Boga –  
U wysokiej czarnej skały  
Na pustyni, za dni ostatnich.

Gdybyż kraina bliżej leżała,  
I słowa tam znano, wymawiano,  
Bóg mógłby być złotą ikoną,  
Albo kartką w papierowej księdze.  
Lecz to jest Kirgiskie Światło  
I tylko tak możesz Je poznać.

Rykiem Jego głosu jest głuchota.  
Blaskiem Jego światła jest ślepotą,

Dudni pod stopami dywan pustyni,  
Widoku Światła nikt nie zdzierży.  
Nikt nie będzie tym samym człowiekiem  
Po ujzeniu Kirgiskiego Światła.

Powiadam ci, zem widział,  
W krainie starszej od mroku,  
Gdzie nawet Allah nie sięga,  
Bo brodzisko mam jak szron,  
I laską wspieram ciało,  
Lecz światło w dzieci nas zmienia.

Teraz daleko nie zajdę,  
Bo dziecię chodzić dopiero się uczy.  
A słowa me w uszach twoich  
Gaworzeniem są niemowlęcia.  
Kirgiskie Światło zabrało mi oczy,  
I ziemię wyczuwam jak dziecko.

To sześć dni jazdy na północ,  
Przez strome, śmiertelnie szare wąwozy,  
I dalej pustynią kamienistą,  
Ku górze, której szczytem jest biała jurta.  
Jeśli ominiesz niebezpieczeństwa,  
Kraina czarnej skały sama cię odnajdzie.

Lecz jeśli miałbyś się nie narodzić,  
Zostań w ciepłe z czerwonego ognia,  
Przy żonie, wę własnym namiocie,  
A Światło nigdy cię nie odnajdzie,  
Wiek podeszły zwarzy ci serce,  
A oczy zamkną się tylko do snu.

– Zapisałem co do słowa – mówi Cziczerein. – Ruszajmy, towarzyszu.

Znowu w drodze, ogniska nikną za plecami, wiatr połyka dźwięki rozedrganych strun i rejwach wiejskiej zabawy.

Między wąwozy. Daleko na północy w ostatnich promieniach słońca migocze biały szczyt. Tutaj na dole nastał już cienisty wieczór.

Cziczerein dotrze do Kirgiskiego Światła, lecz nie dotrze do swoich narodzin. Nie jest akynem i jego serce nigdy nie było gotowe. Zobaczy Światło tuż przed brzaskiem. Potem spędzi dwanaście godzin na pustyni, leżąc na wznak, kilometr pod jego plecami pradawne miasto większe od Babilonu, zmorzone dusznym mineralnym snem, tymczasem cień wysokiej skały, formując szpic, zatańczy z zachodu na wschód, Dżakyp Qulan zaś będzie doglądał Rosjanina, niespokojny jak dziecko o lalkę, i ścierał koronki piany z szyi dwóch koni. Ale nadejdzie taki dzień, że podobnie jak góry, zesłane do Azji młode kobiety, które niechybnie go kochały, wcale nie znając, poranne trzęsienia ziemi i wiatr pędzący chmury, czystkę, wojnę i miliony, miliony napotkanych niegdyś ludzi, Cziczerein ledwie będzie pamiętał to Światło.

W Strefie, gdzie nastało już lato, czeka ukryta Rakietka. Znow coś go pogna w tę stronę...





W zeszłym tygodniu, gdzieś w brytyjskim sektorze, Slothrop zachorował, będąc tak wielkim dupkiem, że napił się wody z ogrodowej sadzawki w Tiergarten. Nawet dzieci wiedzą, że przed piciem wodę trzeba zagotować, choć niektórzy berlińczycy zalewają nią potem różne świństwa, udające herbatę, takie jak cebulki tulipanów, co też nie jest zdrowe. Gruchnęła plotka, że środek cebulki zawiera śmiertelną truciznę. A jednak nadal to robią. Z początku Slothrop – niebawem znany jako Rocketman – uważał, że należy ich przestrzegać przed świństwami w rodzaju cebulek tulipanów. Rozkrzewić trochę amerykańskiej oświaty. Ale to beznadziejna sprawa: krzątają się za zasłoną europejskiego bólu, Slothrop odsłania jedną falistą gazę za drugą, lecz zawsze jest następna, ta nieprzenikniona...

Dociera pod drzewa o pełnym listowiu i kwieciu, niejedno rozłupane poziomo, rozerwane na klocki i drzazgi – na ścieżkach do jazdy konnej w promieniach słońca wznosi się o własnych siłach drobny kurz, duchy wierzchowców wykonują zwroty w spokojnym parku o wczesnej godzinie. Po całej nocy spędzonej na nogach spragniony Slothrop kładzie się na brzuchu i chłepce wodę, ot, stary włóczęga przy kałuży... Dureń. Wymioty, skurcze, rozwolnienie – kogo on chce nauczać o cebulkach tulipana? Czołga się do pustej piwnicy naprzeciw zniszczonego kościoła, zwija się w kłębek i najbliższe dni spędza w gorączce i dygocie – z tyłka ciurka gównem żrące jak kwas – zagubiony, samotny, ściskany za trzewia przez władczą pięść nikczemnego hitlerowca rodem z filmów – *ja*, bendziesz ty teraz zral, *ja*? Zastanawiając się, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczy Berkshire. Mamusiu, mamusiu! Wojna skończona, dlaczego nie mogę wrócić do domu? Nalline – odbicie ze Złotej Gwiazdy rozjaśnia jej podbródki jak jaskier – uśmiecha się głupio przy oknie i nie odpowiada...

Okropny czas. Nocne zwidy: rolls-royce'y i buciory przybyłe, żeby go dopaść. Na ulicy kobiety w chustkach kopią ospale rów pod czarną żelazną

rurę wodociągową, ułożoną obok krawężnika. Rozmawiają przez cały dzień, zmiana po zmianie, aż do wieczora. Slothrop zwałił się w części piwnicy, gdzie słońce przebywa co dzień z półgodzinną wizytą, by następnie zabrać nędzną kałużę ciepła gdzieś dalej – przepraszam, muszę pędzić, trzeba przestrzegać harmonogramu, do zobaczenia jutro, o ile nie będzie padać, he, he, he...

Pewnego razu obudził go odkomenderowany do robót oddział Amerykanów, maszerujący w rytmie skandowanym przez murzyński głos: „Ej, lewa, ej, lewa, prawa, lewa...” – jakby niemiecka piosnka ludowa z intonacją wznoszącą na słowie „prawa” – wyobraża sobie wymach własnej wytrenowanej ręki i głowy w lewo, gdy opada całym ciałem na obcas, jak uczyli na szkoleniu... widzi uśmiech na twarzy tego faceta. Przychodzi mu do głowy iście wariacka myśl, że wybiegnie na ulicę i ubłaga ich, by go przyjęli z powrotem, poprosi o azyl polityczny w Ameryce. Lecz nie ma dość siły. W żołądku, w sercu. Leży, głos i tupot już prawie poza zasięgiem słuchu, dźwięki ojczyzny giną w oddali... przepadają jak duchy białych protestantów. Wieloletni uchodźcy – na nowo wykorzeni – ciągną drogami wyjazdowymi z jego pamięci, tłoczą się na dachach pociągów zapomnienia, tornistry i kieszenie wypchane rozprawami, których nikt nie przeczytał, szukają nowego gospodarza: machnęli ręką na tego Rocketmana. Gdzieś między pieczeniem w głowie a pieczeniem w dupie – o ile te dwa doznania można należycie rozdzielić i nadać im rytm cichnącego marszu – Slothrop obmyśla fantazję, w której odnajduje go Afrykanin Enzian: przybywa, by wskazać drogę wyjścia.

Wydaje się, że minęło trochę czasu od ich drugiego spotkania przy zarośniętym trzcinami brzegu bagniska na południe od Berlina. Cuchnący, nieogolony, spocony Rocketman nie może usiedzieć na tyłku, robi wypadki na przedmieścia, do swoich: mgiełka spowija słońce, a odór gnijącego szlamu bije na głowę nawet fetor roztaczany przez Slothropą. Tylko dwie, trzy godziny snu w ostatnich paru dniach. Natyka się na Schwarzkommando,

zajęte wyławianiem fragmentów rakiety. Po niebie krążą formacje czarnego ptactwa. Afrykanie wyglądają jak partyzanci: stare, podarte mundury SS i Wehrmachtu, cywilne łachmany, tylko jeden wspólny element: *insigne* ze stali przypięte gdziekolwiek, byleby widoczne, pomalowane na czerwono, biało i niebiesko, o takie:



To przeróbka odznaki noszonej przez niemieckich żołnierzy, którzy w 1904 roku przybyli do Afryki Południowo-Zachodniej, żeby zdławić powstanie Hererów, służącej do przypilania jednej strony runda do główki kapelusza. Slothrop rozumie, że dla Hererów Strefy odznaka ta stała się czymś pełnym treści, może nawet odrobinę mistycznym. Rozpoznaje litery – *Klar, Entlüftung, Zündung, Vorstufe, Hauptstufe*, pięć pozycji przełącznika startowego w wozie baterii A-4 – ale nie daje tego po sobie poznać.

Siedzą na stoku i zjadają chleb i parówki. Dzieci z miasteczka kręcą się na wszystkie strony. Ktoś rozpiął wojskowy namiot, ktoś inny sprowadził piwo w beczkach. Zebrana naprędce orkiestra dęta – tuzin muzyków w wytartych czerwono-złoty uniformach, przystrojonych frędzlami – gra urywki ze „Śpiewaków norymberskich”. W powietrzu dryfuje dym z topionego sadła. Wśród chórów pijących w oddali raz po raz grucha śmiech albo piosenka. To Podniesienie Rakiety, nowe święto w tym kraju. Wkrótce lud dostrzeże, że urodziny Wernhera von Brauna wypadają zaledwie parę dni po równonocy wiosennej i ten sam niemiecki popęd, za sprawą którego niegdyś przez miasto sunęły łodzie pełne kwiatów i toczyły się udawane bitwy między młodą Wiosną a śmiertelnie bladą starą Zimą, teraz nakaże wznosić kwietne wieże na polanach i łąkach, a młodzieniec uosabiający Naukowca będzie

chodził w koło pod rękę ze starą Grawitacją albo inną kukłą, ubawione dzieci zaś śmiać się będą i śmiać...

Schwarzkommando mozoli się po kolana w błocie, całkowicie zajęte ratunkiem, pochłonięte chwilą. A-4, którą Hererowie zamierzają odzyskać, użyto w ostatniej desperackiej bitwie o Berlin – to niewypał, głowica nie eksplodowała. Dokoła mogiły układają deski, żeby utwardzić grunt, a podawanymi sobie z rąk do rąk wiadrami i drewnianymi beczkami wybierają szlam, wyrzucany na brzeg obok ustawionych w kozły karabinów i wyposażenia.

– Zatem Marvy miał rację. Nie rozbroili was.

– Nie wiedzieli, gdzie nas szukać. Byliśmy niespodzianką. Pewne wpływowe kręgi w Paryżu w ogóle nie wierzą w nasze istnienie. Ja sam też w nie wątpię.

– Jak to?

– No cóż, wydaje mi się, że owszem, jesteśmy tutaj, ale tylko w rozumieniu statystycznym. Coś takiego jak tamta skała oznacza mniej więcej stu procentową pewność – ona wie, że tam jest, wiedzą też inni. Lecz prawdopodobieństwo, że my się tu znajdujemy, to niewiele więcej niż pięćdziesiąt na pięćdziesiąt – najmniejsze wahnięcie tego prawdopodobieństwa i już po nas, schnapp, o tak.

– Dziwnie mówisz, Oberst.

– Nie myślałbyś tak, gdybyś doświadczył tego, czego my doświadczyliśmy. Czterdzieści lat temu w Südwest byliśmy bliscy eksterminacji. *Bez powodu.* Możesz to zrozumieć? Bez powodu. Nie mogliśmy znaleźć pociechy nawet w teorii o woli bożej. Bo byli tam Niemcy o konkretnych nazwiskach i z konkretnym przebiegiem służby, mężczyźni w niebieskich mundurach, którzy zabijali nieporadnie i z nieczystym sumieniem. Codziennie padał rozkaz: znajdź i zabij. Ciągnęło się to dwa lata. Rozkazy pochodziły od skrupulatnego kata nazwiskiem von Trotha. Człowiek ten nigdy nie kładł miłosierdzia na szali.

– Mamy w naszym języku pewne słowo, które szepczemy jak mantrę, gdy nadchodzą złe czasy. *Mba-kajere*. Może poskutkuje w twoim wypadku. *Mba-kajere*. „Pominięto mnie”. Dla tych z nas, którzy przetrwali von Trothe, oznaczało ono, że nauczyliśmy się stać poza nawiasem naszych dziejów i patrzeć na nie z boku bez większych emocji. Lekka schizofrenia. Sens statystyki naszego istnienia. Według mnie, jednym z powodów, dlaczego tak zwiąaliśmy się z Rakietą, jest głęboka świadomość, że los Agregat 4 może być tak samo niepewny jak nasz – że zależy od błahostek... kurzu, który dostaje się do zegara i przerywa obwód elektryczny... tłustej plamki, której nawet nie dostrzegamy, smaru z opuszków ludzkich palców, pozostawionego w zaworze komory z ciekłym tlenem, w wyniku czego gdy paliwo zaczyna się spalać, strzela płomień, co powoduje eksplozję – widziałem to... od deszczu, który niszczy elementy serwomechanizmu albo wcieka do wyłącznika: korozja, zwarcie, sygnał nie dociera, przedwczesny *Brennschluss*, i to, co było żywe, znów jest przedmiotem złożonym z kawałków martwej materii, już się samodzielnie nie porusza, nie ma Przeznaczenia w konkretnym kształcie... Przestań ścierać brwi, Scuffling. Być może trochę się tu zadomowiłem. Pozostaniesz dłużej w Strefie, to i tobie zaczną się tłuc po głowie myśli o Przeznaczeniu.

Krzyk ze środka bagna. Ptaki zrywają się do lotu, okrągłe i czarne – grube ziarenka pieprzu na *bouillabaisse* nieba. Małe dzieci hamują z poślizgiem, a orkiestra cichnie w pół taktu. Enzian skacze na nogi i pędzi susami tam, gdzie stoją inni.

– *Was ist los, meinert Sumpfmenschen?* – Pozostali ze śmiechem zbierają garście błota i obrzucają nimi swojego Nguarorerue, który robi uniki, uchyla się, sam chwyta trochę szlamu i rewanżuje się pięknym za nadobne.

Niemcy na brzegu mrugają oczyma z niedowierzania, skonsternowani tym brakiem dyscypliny.

W obrębie desek wystają z bagna dwa uwalane trymery w odległości czterech kroków od siebie. Obryzgany, ociekający błotem Enzian, z białym

uśmiechem wyprzedzającym go o kilka metrów, wskakuje nad drewnem do dołu i chwyta za łopatę. Nastąpiła jakby ceremonialna chwila: Andreas i Christian zbliżają się z dwóch stron, żeby pomóc w skrobaniu i odkopywaniu, aż wreszcie wyłania się trzydzieści centymetrów statecznika. Ustalanie Numeru. Nguarorerue kuca i zgarnia dłonią błoto, odsłaniając ukośnik, białą dwójkę i siódemkę.

– Outase.

Posępne miny pozostałych.

Slothrop doznaje objawienia.

– Spodziewaliście się *der Fünffachnullpunkt*? – zagaduje Enziana nieco później. – Pięciu zer, zgadza się? Cha-cha-cha. – Mam was, mam was...

Murzyn wyrzuca ręce w górę.

– To obłąd. Nie wierzę, że w ogóle istnieje.

– Zerowe prawdopodobieństwo?

– Według mnie, to zależy od liczby szukających. Tropicie ją?

– Nie wiem. Słyszałem o niej przypadkiem. Ja nie mam żadnych ludzi.

– Schwarzgerät, Schwarzkommando. Scuffling: skonstatujmy, że gdzieś znajduje się alfabetyczna lista, czyjaś lista. Powiedzmy, że to robota odnogi jakiegoś wywiadu. Jakiegoś kraju, nieważne. Przypuśćmy, że na tej liście figurują dwie nazwy, Czarne Urządzenie i Czarne Komando. Figurują obok siebie, ale tylko dlatego, że spis jest alfabetyczny. Czyli mamy alfabetyczny zbieg okoliczności. W takim wypadku wcale nie musielibyśmy istnieć rzeczywiście. Ta rakietka też nie, prawda?

Bagno ciągnie się w dal, nakrapiane światłem pod nawisem mlecznych chmur. Cienie-negatywy migoczą na biało poza zarysami wszystkiego.

– To brzmi upiornie, Oberst. Nie pomagasz mi.

Z niby-uśmiechem pod brodą Enzian wpatruje się w jego twarz.

– No dobra, kto więc jej szuka?

Zagadkowa mina, nie odpowie. Gagatek chyba czeka, żeby go sprowokować.

– Ja i tak wiem. Ten cały major Marvy – wypala Slothrop – i ten cały Cziczerein też!

Ha! Trafiony, zatopiony. Trzask! – jak salut armatni, jak stuknięcie obcasami – na twarzy Enziana zamyka się maska idealnej obojętności.

– Bądź łaskaw... – zaczyna Herero, lecz decyduje się zmienić temat. – Byłeś w Mittelwerke. Jak ludziom Marvy’ego żyje się z Rosjanami?

– Jak kumplom od kieliszka.

– Odnoszę wrażenie, że mocarstwa okupacyjne porozumiały się, by stworzyć wspólny front przeciw Schwarzkommando. Nie wiem, kim jesteś ani jakie są twoje wytyczne. Oni w każdym razie próbują nas wyłapać. Właśnie wróciłem z Hamburga. Mieliśmy trudności. Niby wyglądało to na atak wysiedleńców, ale za wszystkim stały brytyjskie władze wojskowe, które współpracują z Rosjanami.

– Przykro mi. Mogę jakoś pomóc?

– Tylko bez brawury. Poczekamy, zobaczymy. O tobie wiemy wyłącznie to, że ciągle się pojawiaasz.

Przed wieczorem z nieba sfruwają czarne ptaki – miliony ptaków – by obsiąść konary pobliskich drzew. Drzewa robią się ociężałe od ptactwa, gałęzie wyglądają jak dendryty potężniejszego Układu Nerwowego, zatopione w rozćwierkanym zmierzchu, gotujące się do przekazania ważnej informacji...

Później, w berlińskiej piwnicy, gdy krzywa zdrowia psychicznego gwałtownie opadła, gdy słońce odeszło bez śladu, aż wydaje się, że nigdy nie wróci, pośród gorączkowych majaków, wydalając gówno w tempie paru litrów na godzinę, zbyt słaby, by wykrzesać z siebie coś więcej niż symboliczne machnięcie nogą w kierunku przemykających szczurów, wpatrzonych gdziekolwiek, próbując udawać, że gryzonie nie zjednały sobie serca berlińczyków, Slothrop słyszy głos własnego durnego serca, chodzącego na zwolnionych obrotach: Schwarzgerät to nie Graal, mistrzu, „G” w nazwie „imipolex G” oznacza coś innego. A ty nie jesteś szlachetnym



rycerzem. Jeśli już chcesz się z kimś porównywać, to najbliżej ci do Tannhäusera, Gamiowatego Pieśniarza – byłeś we wnętrzu góry, w Nordhausen, słyszano, jak wykonałeś jedną czy dwie piosenki na ukulele, czy nie czujesz, Slothrop, że wsysa cię bagno grzechu? Choć może to nie jest grzech w rozumieniu Williama Slothrop, który przerzygał sporą część 1630 roku, przewieszony przez burtę „Arbelli”. Ty właśnie wybrałeś się w cudzą podróż – Frau Holdy, Wenus z grotty – grasz w tę grę... zdajesz sobie sprawę, że to zła gra. Ale toczysz ją, bo nie masz nic lepszego do roboty, lecz przez to wcale nie staje się dobra. No i gdzie jest ten papież, którego berło zakwitnie dla ciebie?

Niebawem natknie się na swoją Elżbietę: kobietę, z którą pobędzie trochę, a którą potem porzuci. Odchodząc, minezinger pchnął ukochaną do samobójstwa. Do czego pchnie Slothrop Gretę Erdmann, nie jest do końca jasne. Greta czeka na niego w Neubabelsbergu nad Hawelą, skromniejsza niż jej liczne wizerunki, zachowane w nieokreślonej liczbie kopii filmowych tu i ówdzie w Strefie, a nawet za oceanem... Wszystkich miłych oświetleniowców, którzy kiedykolwiek zakładali filtr purpurowy na wycelowane w nią lampy, posłano na wojnę, może na śmierć, i zostało jej tylko obojętne boże światło z jego przerażającą siłą wybielania... Brwi wyskubane do cienkich kresek, długie włosy pokryte smugami siwizny, dłonie ciężkie od pierścionków z kamieniami wszelkiej barwy, przezroczystości i szpetoty, ubrana w przedwojenne kostiumy od Chanel, bez kapelusza, szalika, zawsze z kwiatkiem, nawiedzana przez środkowoeuropejskie nocne szepty, które jak skórzane zasłony Berlina tchną tym upiorniej dokoła zbyt wielu kilogramów jej podniszczonej urody, im mniejsza odległość dzieli ją od Slothrop...

Oto jak dochodzi do spotkania: pewnej nocy Slothrop buszuje po ogródku działkowym przy parku. Tysiące ludzi koczuje pod gołym niebem. Ukradkiem omija ich ogniska – chciałby tylko garści warzyw, marchewki, buraka pastewnego, czegokolwiek, byle przetrwać. Gdy go widzą, rzucają

kamieniami, gruzem, a niedawno ktoś cisnął nawet starym granatem, który wprawdzie nie wybuchł, ale sprawił, że nieborak zesrał się na miejscu.

Tego wieczoru orbituje gdzieś w okolicy Grosser Stern. Jest już dawno po godzinie policyjnej. Nad miastem wisi smród palonego drewna i odpadków. Wśród splekanych głów kamiennych margrabiów i elektorów, w trakcie dokonywania zwiadu na ścieżce ciągnącej się prawdopodobnie do zagonu kapusty, Slothrop ni stąd, ni zowąd łowi nosem wyraźną woń... nie, niemożliwe, owszem, tak... TRAWKI! P-p-popalonej gdzieś w pobliżu. Dokoła pozłacana zieleń pochyłych pól Ar-Rifu, kwiaty oparów żywiczne i letnie, wpycha więc kulfon w krzaki i splecione chaszczki, pod rozłupanymi drzewami i tym, co obsiadło konary.

No proszę, w dole pozostałym po wywróconym drzewie – długie korzenie obramowują scenę jak siedzibę krasnoludków – Slothrop widzi niejakiego Emila („Säure”) Bummera, najślawniejszego niegdyś włamywacza-muchy i narkomana republiki weimarskiej, w towarzystwie dwóch pięknych kobiet, między trójką krąży zaś radosna pomarańczowa gwiazdka. Zdeprawowany starzec. Slothrop dopada ich, zanim go zauważają. Bummer się uśmiecha i wyciąga rękę, podsuwając niedopałek gościowi, który bierze skręta w brudne palce. O rany. Kuca.

– *Was ist los?* – pyta Säure. – Konopie spadły nam z nieba. Allah się do nas uśmiechnął, właściwie to uśmiechał się do wszystkich, ale my akurat znaleźliśmy się na linii jego wzroku... – Pseudonim, który po niemiecku znaczy „kwas”, narodził się jeszcze w latach dwudziestych, kiedy Bummer nosił przy sobie małą butelkę sznapsa, którą w trudnych dla siebie sytuacjach straszył ludzi, mówiąc, że zawiera parujący kwas azotowy. Sięga teraz po drugiego grubego skręta. Przypalają wiernym zippo Slothrop.

Trudi, blondynka, i Magda, namiętna Bawarka, spędziły cały dzień na pładrowaniu magazynu kostiumów z oper Wagnera. Jest rogaty spiczasty hełm, wielka peleryna z zielonego aksamitu i para spodni z kozłowej skóry.

– Ho, ho – mówi Slothrop. – Ładne szmatki.

– Dla ciebie – informuje Magda z uśmiechem.

– Eee... raczej nie. Lepszy interes zrobisz w Tauschzentrale...

Lecz Säure nalega.

– Zauważyłyście, że gdy jesteśmy nawaleni i chcemy, żeby ktoś się zjawił, to ten ktoś zawsze się zjawia?

Dziewczęta wymachują rozżarzonym skrętem, obserwując, jak odbicie w wypolerowanym hełmie zmienia kształt, głębię, nasycenie barw... mmm. Slothropowi świta myśl, że gdyby nie te rogi, hełm wyglądałby jak nos montowany w rakiecie. Gdyby znalazł kilka trójkątnych kawałków wyprawionej skóry, wykombinował igłę, żeby przyszyć je do butów Cziczeryna... no tak, a-aa na pelerynie napisał wielkie szkarłatne „R” – nastąpiła chwila doniosła jak wtedy, gdy po słynnej zasadzce Tonto próbował...

– *Raketemensch!* – wrzeszczy Säure i chwyciwszy hełm, odkręca rogi. Być może nazwy same w sobie są puste, lecz akt nazywania...

– Wpadłeś na to samo?

Oho, dziwne. Säure wyciąga ręce i starannie wkłada Slothropowi hełm na głowę. Dziewczęta z ceremonialnym namaszczeniem drapują pelerynę na jego ramionach. Oddziały zwiadowcze trollów puściły już umyślnych z wieścią do baz.

– No dobra. Teraz słuchaj, Rocketman, mam pewien kłopot.

– Że co? – Slothrop akurat wyobraża sobie pełnometrażową reklamę Rocketmana, w której ludzie przynoszą mu jedzenie, wino i dziewice w czterobarwnej reglamentacji, jest mnóstwo płasów i śpiewnego „la, la, la, la”, na zbombardowanych lipach kwitną befsztyki, deszcz pieczonych indyków spada na Berlin, dudniąc jak łagodny grad, są słodkie ziemniaki i-i bulgoczące kałuże rozpuszczonej pianki owocowej...

– Masz wojskowe szlugi? – chce wiedzieć Trudi.

Slothrop, czyli Rocketman, wręcza jej pół zmiętej paczki papierosów.

Skręt zalicza kolejne okrążenie: żądła i sztychy przebijają się przez

schronienie z korzeni. Wszyscy zapominają, o czym rozmawiali. Roztacza się zapach ziemi. Robactwo zmyka napowietrznymi drogami. Magda zapaliła dla Slothrop jeden z jego papierosów i teraz on czuje smak malinowej szminki. Szminki? Kto ma szminkę w dzisiejszych czasach? Co ci ludzie knują, hę?

Berlin jest dostatecznie ciemny dla gwiazd, gwiazd spowszedniałych, nigdy jednak nie rozsianych tak wyraziście jak teraz. Można ułożyć własną konstelację.

– No więc mam taki kłopot... – przypomina Säure.

– Głodny jestem – uprzytamnia sobie Slothrop.

Trudi opowiada Magdzie o swoim chłopaku, Gustavie, który mieszka w fortepianie.

– Wystawały tylko stopy, a on powtarzał: „Nienawidzicie mnie wszyscy, tego fortepianu też nienawidzicie!”.

Chichoczą.

– I szarpał za struny, co nie? – mówi Magda. – Ale z niego paranoik!

Trudi ma takie duże, jasne, pruskie nogi. Malutkie blond włoski tańczą w poświacie gwiazd, na widoku i pod spódnicą, z tyłu, w cieniach kolan, w zgięciach z drugiej strony, ach, te rozgwieżdżone pląsy... Górujący pień przykrywa ich, gigantyczna komórka nerwowa, dendryty rozczapierzone aż w miasto, w noc. Sygnały nadchodzą ze wszystkich stron. Z minionych dni prawdopodobnie też, a może nawet z przyszłych...

Säure nie potrafi całkowicie odłożyć na bok interesów, toteż turla się, unosi na nogi, uchwycony korzenia, póki głowa nie zdecyduje się, gdzie spocząć. Magda, z przystawionym uchem, wali patykiem w hełm Rocketmana. Dzwonią akordy. Oddzielne dźwięki nie trafiają w tonację: brzmią razem bardzo, bardzo dziwnie...

– Która godzina? – Säure Bummer się rozgląda. – Czy nie umówiliśmy się w barze „Chicago”? A może to było wczoraj?

– Nie pamiętam – chichocze Trudi.

– Słuchaj, *Kerl*, ja naprawdę muszę pogadać z tym Amerykaninem.

– Nie martw się, drogi Emilu – szepcze Trudi. – On będzie w „Chicago”.

Obmyślają skomplikowaną maskaradę. Säure daje Slothropowi swoją marynarkę. Trudi wkłada zieloną pelerynę. Magda wciąga buty Slothropa, on zostaje w skarpetkach, a jej małe pantofelki chowa do kieszeni. Trochę czasu zajmuje im zebranie przekonujących rekwizytów – drewna na ogień i warzyw – którymi zapełniają hełm, niesiony przez Säurego. Magda i Trudi pomagają Slothropowi wcisnąć się w spodnie z kozłowej skóry, obie na ślicznych kolanach, pieszcząc jego nogi i zadek. W tych portkach tyle miejsca, co na główce szpilki – potężniejący wzwód sterczy jak samotny namiot na polu biwakowym.

– Łatwo się wam śmiać.

Dziewczyny chichoczą. Slothrop kuśtyka majestatycznie na szarym końcu – świat w wyraźnej siateczce przeplecionych zmarszczek, jak w deszczu, dłonie grabieją – z Tiergarten, obok rażonych pociskami lim i kasztanowców, na ulice albo raczej to, co pełni funkcję ulic. Bez przerwy nadchodzą patrole wszelkiej narodowości, toteż bezrozumny kwartet musi co chwila przypadać do ziemi, starając się nie rechotać za głośno. Skarpetki Slothropa przesiąkły rosą. Czołgi wykonują manewry na jezdni, połykając równoległe skiby asfaltu i pyłu. Na otwartym terenie bawią się trolle i nimfy, zadomowione w mieście. Majowe detonacje wykurzyły je spod mostów, spomiędzy drzew, wprost na wolność. „Och, to ciemniak – mówią smarkate trolle o każdym, kto nie jest na bieżąco – on jeszcze nie wylazł z lasu!”. Okaleczone posągi leżą zmorzone mineralnym snem polekowym: ubrane w surduty blade tułowia biurokratów tkwią w rynsztokach. Tak, mmm, oto znaleźliśmy się w sercu śródmiejskiego Berlina, naprawdę, uuuch, trochę, Jezu Chryste, a co to –

– Lepiej uważaj – radzi Säure – odrobinę tu grząsko.

– Co to?

Rany, co to jest? Jest? A co to jest „jest”? Czy to King Kong, czy inne blisko z nim spokrewnione stworzenie? Siedzi w kucki, ewidentnie, no nie, no tak, ewidentnie robi kupę na środku ulicy! Najzwyczajniej w świecie! I-i-

ignorowane przez ciężarówki pełne tępo uśmiechniętych radzieckich żołnierzy w zawadiackich czapkach, wozy wałą dalej jeden za drugim – „Hej – chciałby zawołać Slothrop – popatrzcie na tego wielkiego małpizona czy kogo tam! Ej wy, chłopaki! Ej...” – ale nie woła, na szczęście. Z bliższej perspektywy widać, że przykucnięty potwór to gmach Reichstagu, zbombardowany, ostrzelany, osmolony, wszystkie porażone łuki i występy szerniały i sproszkowane, zwęglone wnętrza o twardej akustyce zabazgrane kredą, cyrylicznymi inicjałami i bezlikiem nazwisk towarzyszy poległych w boju.

Berlin okazuje się pełen takich trików. Wisi tu na przykład wielka chromolitografia przedstawiająca Stalina. Slothrop przysięgłby, że to dziewczyna, z którą chodził na randki w czasach studenckich, wąsy i czupryna dodane jak makijaż, psiamać, jak ona miała na imię... lecz zanim słyszy wyraźnie ten chór szwargoczących głosików – szybko, szybko, na miejsca, jest tuż za rogiem – widzi tutaj, na chodniku, leżące szeregiem ogromne bochny ciasta chlebowego, przykryte czystymi białymi tkaninami, pozostawione, by pięknie wyrosły – rany, ale bractwo głodne: ta sama myśl kiełkuje wszystkim naraz, kurczę blade! *Surowe ciasto!* To bochenki chleba dla tego potwora z tyłu, a nie, racja, to przecież był gmach, Reichstag, więc to nie chleby... teraz już jasne, że to ludzkie zwłoki, wykopane spod dzisiejszych gruzów, każde w starannie opisanym wojskowym pierdziworku. Lecz to było coś więcej niż złudzenie optyczne. Bochny podnoszą się, przechodzą transsubstancjację – skoro lato przemija i nadchodzi wygłodniała zima, kto wie, co będzie naszą strawą w Boże Narodzenie?

Czym okryta złą sławą „Femina” jest dla berlińczyków spekulujących papierosami, tym dla narkomanów jest „Chicago”. Ale gdy w „Feminie” interesy rozkręcają się około południa, w „Chicago” kombinuje się dopiero po godzinie policyjnej, wyznaczonej na dziesiątą. Slothrop, Säure, Trudi i Magda wchodzą tylnym wejściem, wyłoniwszy się z wielkiego masywu ruin i mroku, rozświetlonego tylko miejscami, jak otwarty teren. Wewnątrz

oficerowie medyczni i sanitariusze biegają tu i tam, ściskając w dłoniach butelki z puszystymi krystalicznymi substancjami białego koloru, małe różowe tabletki, przezroczyste ampułki wielkości śliwki. Po całej sali trzepocze i szeleści okupacyjna waluta oraz marki. Niektórzy handlarze są uosobieniem chemicznie wywołanego entuzjazmu, inni – przedsiębiorczości. Powiększone zdjęcia Johna Dillingera – w pojedynkę lub upozowanego z matką, kumplami albo automatem – zdobią ściany. Światła i głosy są przytłumione na wypadek, gdyby w pobliżu pojawiła się żandarmeria wojskowa.

Na krześle z drucianym oparciem siedzi amerykański marynarz o wyglądzie orangutana. Toporne włochate łapska spokojnie szarpią struny gitary; płynie piosenka w takcie na trzy czwarte i gównianym stylu:



## SEN ǪPUNA

Wczoraj przyśniło mi się, że wetknąłem kabel  
Do gniazdka panienki z niezłym zapłonem,  
Lecz raptem dżin jak z arabskiej bajki  
Spod ziemi wyskoczył z czołobitnym ukłonem.  
„Przybyłem – oznajmił – by spełniać życzenia”.  
Na jego widok kompletnie zdębiałem.  
„Kochany chłopie – wydukałem nareszcie –  
Naraiłbyś towar, jakiego nie miałem?”.  
Z szerokim uśmiechem wziął mnie za rękę  
I pomknęliśmy niebem jak strzały  
Do krainy, gdzie spośród najwyższych szczytów  
Góry haszyszu powyrastały!  
Na drzewach kwitły różowe pigułki,  
Środkiem toczyła się rzeka syropu  
W stronę grzybków dzikich jak tęcza,  
A ślicznych, aż zbiło mnie z tropu.  
Słodkie dziewczęta biegły w zwolnionym tempie,  
Z pięknem poranka wplecionym we włosy,  
Na dłoniach niosły kopczyki koki, –  
Dzielmy się! – brzmiały anielskie głosy.  
Byczyłem się tam przez wiele dni  
Wśród kwitnącej trawki z Panamy,  
Popijając nalewki z pejotlu, muszkatu,  
Porcje amfy szły w kilogramy.  
Mógłbym się tak opieprzać do śmierci,  
Kombinowałem, by zostać na stałe,  
Ale dżin się okazał zwykłym dealerem,  
Ja co do centa się wyżyłowałem.

Wykopał mnie won do szarego świata,  
Znienacka stałem się emigrantem.  
Marzę o tamtych dniach w Narkolandzie,  
Jakżebym zostać chciał repatriantem!

Śpiewakiem jest marynarz Sperman Bodine z amerykańskiego niszczyciela „John E. Badass”, i to właśnie z nim ma się skontaktować Säure. „Badass” stoi zadokowany w Cuxhaven, a Bodine na wpół zdezerterował i przed dwoma dniami wpadł do Berlina pierwszy raz od początku amerykańskiej okupacji.

– Sprawy stoją kiepsko – narzeka. – Nie mogłem uwierzyć w to, co się dzieje w Poczdamie. Pamiętacie Wilhelmplatz? Zegarki, wino, biżuteria, aparaty, heroina, futra, do wyboru, do koloru. Nikt się nie przejmował, zgadza się? A teraz? Powinniście zobaczyć. Wszędzie radziecka безпеaka. Wielgachne typy spod ciemnej gwiazdy. Nawet się nie zbliżysz.

– Tam, zdaje się, coś zwołali – mówi Slothrop. Obiło mu się o uszy. – Jakąś konferencję albo inne gówno, nie?

– Mocarstwa zastanawiają się, jak pokroić Niemcy – wyjaśnia Säure. – Powinny zaprosić Niemców, *Kerl*, bo Niemcy kroją się sami od stuleci.

– Szpilki byś tam nie wcisnął. – Marynarz Bodine kręci głową, zręcznie rolując jedną dłonią marihuanę w bibułce, przedartej przed chwilą na pół z niewzruszoną brawurą.

– No tak. – Säure uśmiecha się, zarzucając rękę na ramię Slothropo. – Ale może uda się wcisnąć Rocketmana?

Sperman Bodine patrzy z niedowierzaniem.

– Tyś niby Rocketman?

– Mniej więcej – odpowiada Slothrop. – Ale nie wiem, czy chcę teraz jechać do Poczdamu...

– Chcesz, tylko jeszcze nie zdajesz sobie z tego sprawy! – krzyczy Bodine. – Posłuchaj mnie, mistrzu, w tej chwili piętnaście mil stąd czeka sześć kilogramów! czystego haszyszu z Nepalu! Towar pierwsza klasa.

Wykombinowane od kumpla z Indochin, urzędowe pieczęcie, wszystko na medal, własnoręcznie zakopałem jeszcze w maju, bezpieczne, bez planu nikt nie znajdzie. Musisz tylko pofrunąć czy jak tam to robisz, odszukać i zabrać.

– Tylko tyle?

– Kilogram za fatygę – proponuje Säure.

– Spalą je razem ze mną. Wszyscy ci Rosjanie będą mogli stanąć przy piecu i się nawalić.

– Być może – obok prześlizguje się najbardziej dekadenccka młoda kobieta, jaką Slothrop kiedykolwiek widział, na powiekach fluorescencyjny tusz w kolorze indygo, na włosach siateczka z czarnej skóry – nasz śliczny Amerykanin nie jest amatorem Zielonych Batoników, mmm? Cha, cha, cha...

– Milion marek – wzdycha Säure.

– Skąd wytrzaśnicie...

Wznosząc karli palec i nachylając się blisko:

– Wydrukuję.

Faktycznie drukuje. Ciągną gromadą z „Chicago” między zwały gruzu na odcinku pół mili, dalej krętymi ścieżkami, dostrzeganymi w mroku chyba tylko przez Säurego, i wreszcie na dół, do pozostałej po domu piwnicy, wyposażonej w szafki kartotekowe, lampę oliwną i prasę drukarską. Magda tuli się do Slothrop’a – palce rozbiegane po wzwodzie. Trudi poczuła niewytłumaczalną miętę do Bodine’a. Säure zaczyna kręcić terkoczącą korbą i po chwili na tacy szeleszczą arkusze marek niemieckich, tysiące tysięcy.

– Autentyczne matryce i papier. Jedyńm brakującym szczegółem są lekkie zmarszczki przy marginesach. Jest do tego specjalna prasa tłocząca, której nikomu nie udało się ukraść.

– U! – mówi Slothrop.

– Ej, co jest? – odzywa się Bodine. – Rocketman, sra-ta-ta-ta. Po tym będziesz mógł się byczyć do końca życia.

Pomagają układać i wyrównywać arkusze, a Säure tnie je długim

błyszczącym nożem od krajalnicy. Wyciągając rękę z grubym plikiem setek:

– Mógłbyś wrócić już jutro. Żadna robota nie przerasta Rocketmana.

Dzień lub dwa później przyjdzie Slothropowi do głowy, że powinien odpowiedzieć: „Jeszcze parę godzin temu nie byłem żadnym Rocketmanem”. Lecz w tej chwili omamiony jest perspektywą posiadania dwóch funtów koma dwa haszyszu i miliona prawie autentycznych marek. Na coś takiego nie można się wypiąć i odfrunąć czy jak tam, zgadza się? Bierze więc kilka tysięcy zaliczki i resztę nocy spędza na łóżku Säurego w towarzystwie jęczącej krągłej Magdy, tymczasem Trudi i Bodine gruchają w wannie, gospodarz zaś wyślizguje się o trzeciej nad ranem na jakąś inną misję, między gruzy, które napierają niczym ocean na ich pławę wewnętrznej przestrzeni...



Säure tu i tam, namolny, zaczerwienione gały, z parującym imbrykiem herbaty. Slothrop został sam w łóżku. Na stole czeka kostium Rocketmana i mapka Bodine'a – och. O rany. Czy naprawdę musi przez to przejść?

Na dworze ptaki gwizdzą arpedzia nad schodami, przez cały ranek. W oddali terkoczą ciężarówki i dżipy. Slothrop siedzi, popijając herbatę i próbując zeskrobać ze spodni zaschłą spernę, Säure zaś nakreśla sytuację. Paczka ukryta jest pod ozdobnym krzewem na terenie willi przy Kaiserstrasse 2 w Neubabelsbergu, dawnej stolicy niemieckiego kina. To po drugiej stronie Haweli na wysokości Poczdamu. Rozsądniej będzie trzymać się z dala od Avus Autobahn.

– Spróbuj przejść punkt kontrolny za Zehlendorfem. Do Neubabelsbergu dotrzesz kanałem.

– Jak to?

– Nie wpuszczają cywilów na trasę dla VIP-ów, to ta tutaj, co biegnie przez rzekę do Poczdamu.

– Nie zgrywaj się. Wobec tego będę potrzebował łodzi.

– Ha! Oczekujesz improwizacji od Niemca? Nic z tego, to... to problem Rocketmana! Cha-cha!

– Ożeż. – Willa stoi nad Griebnitz See. – Dlaczego nie mogę zaatakować z tej strony?

– Bo musiałbyś najpierw przepłynąć pod kilkoma mostami. Które są silnie obsadzone. Ostrzał z góry. Może... może nawet z moździerzy. Naprzeciw Poczdamu robi się bardzo wąsko. Nie miałbyś szans. – Uch, niemiecki humor to wspaniały początek dnia. Säure wręcza Slothropowi dokumenty odkomenderowania, bilet na podróż i przepustkę wystawioną po angielsku i rosyjsku. – Facet, który sfałszował te papiery, wyjeżdżał na nich z Poczdamu i wracał kilkanaście razy już w trakcie trwania konferencji. Tak wielką wiarę w nie pokłada. Dwujęzyczna przepustka to specjalny dokument, wydawany z

okazji konferencji. Tylko nie marnuj czasu na durne zwiedzanie i zbieranie autografów...

– Posłuchaj, Emilu, skoro one są takie dobre, to dlaczego sam nie pójdziesz?

– Bo to nie moja specjalność. Ja trzymam się handlu. Starej butelki kwasu... i nawet ona jest pozorem. Awanturnicze życie to zajęcie dla Rocketmanów.

– A Bodine?

– On już wyjechał do Cuxhaven. Nieźle się wkurzy, gdy wróci w przyszłym tygodniu i dowie się, że ze wszystkich ludzi na świecie akurat Rocketman się spietrał.

– Aha. – Psiamać. Przez chwilę Slothrop gapi się na mapkę, próbuje wkuć ją na pamięć. Wciąga buty, pojękując. Zawija hełm w pelerynę i ruszają – oszust i oszukiwany – w amerykański sektor.

Na tle błękitnego nieba kłębią się pukle włosów, lecz tutaj na dole *Berliner Luft* stoi w miejscu, zaprawione odorem nieodłącznej śmierci. Tysiące trupów jeszcze z wiosny wciąż leży pod górami gruzu – żółte, czerwone, blade góry.

Gdzie się podziało to miasto, które Slothrop oglądał w kronikach filmowych i „National Geographic”? Parabole nie stanowiły jedyne go elementu propagowanego przez nową architekturę niemiecką – były też przestrzenie – nekropolizm czystego alabastru pod okiem słońca, przeznaczony do zapełnienia ludzkim żniwem, falującym poza zasięg wzroku, bez niego pozbawiony sensu. Jeżeli istnieje coś takiego jak Sakramentalne Miasto, miasto jako widoczny, zewnętrzny wyraz wewnętrznej, duchowej choroby lub zdrowia, wówczas być może obowiązywała, nawet tutaj, jakaś ciągłość sakramentu, rozpięta na wskroś straszego maja. Tego ranka pustka Berlina jest architektoniczną odwrotnością białej i geometrycznej stolicy przed zniszczenia – leżące odłogiem wstęgowe pola gruzowisk, to samo brzemień nadmiernej ilości

jednorodnego betonu... tyle że wszystko przenicowano na lewą stronę. Wytyczone w linii prostej bulwary dla spacerowiczów są teraz krętymi ścieżkami pośród rumowisk, ich obecne organiczne kształty odwzorowują, jak szlaki kozic, prawo najmniejszego wysiłku. Cywile znajdują się na dworze, mundurowi w środku. Gładkie fasety budynków ustąpiły miejsca guzowatym wnętrzościom porozrywanego betonu, granulowane w nieskończoność rokoko tuż za oszalowaniem. Na zewnątrz jest wewnątrz. Pozbawione dachów pokoje otwarte na niebo, pomieszczenia odarte ze ścian wbite dziobami i bocianimi gniazdami w morze ruin... Starcy zbierający niedopałki do puszek noszą płuca na piersi jak medale. Ogłoszenia o schronieniach, ubraniach, osobach zaginionych i wziętych do niewoli, niegdyś utajnione, ukrywane *bürgerlich* między stronicami gazet, by w wolnej chwili można je było przeczytać w eleganckich, politurowanych salonach, opatrzone teraz niebieskimi, pomarańczowymi i żółtymi znaczkami z głową Hitlera, wydane są na pastwę wiatru – gdy wiatr nadchodzi – wywieszane na drzewach, framugach, płotach, fragmentach murów – białe, wypłowiałe strzępy o esowatych, rozedrganych i rozmazanych literach, tysiące ich niewidzianych, nieprzeczytanych, zdmuchniętych. W jednodaniowe niedziele Winterhilfe siadywało się pod gołym niebem przy długich stołach pośród przystrojonych swastykami gołych drzew, lecz teraz na zewnątrz jest wewnątrz i taka niedziela trwa bity tydzień. Kolejny raz nadchodzi zima. Cały Berlin spędza godziny dnia na udawaniu, że to nieprawda. Pokierszowane drzewa znów pokryły się listowiem, piskłeta wykluwają się i uczą fruwać, lecz pod maską lata czai się zima – Ziemia obróciła się we śnie na drugi bok i zwrotniki zamieniły się miejscami...

Friedrichstrasse wylepiono gigantycznymi fotografiami – jak gdyby na dwór wystawiono ściany baru „Chicago” – portretami większymi niż człowiek. Slothrop rozpoznaje Churchilla i Stalina, nie bardzo jednak wie, kim jest ten trzeci.

– Emil, co to za facet w okularach?



– Prezydent Ameryki. Pan Truman.

– Nie zgrywaj się. Truman jest wiceprezydentem. Prezydentem jest Roosevelt.

Säure nastrasza brew.

– Roosevelt zmarł na wiosnę. Tuż przed kapitulacją.

Grzęzną w kolejce po chleb. Kobiety w znoszonych paltach z pluszu, małe dzieci uczipione wystrzępionych pól, mężczyźni w czapkach i ciemnych dwurzędowych garniturach, nieogolone stare twarze, czoła białe jak noga pielęgniarki... Ktoś próbuje wyrwać Slothropowi pelerynę i wywiązuje się krótka szarpanina.

– Przepraszam – odzywa się Säure, gdy wydostają się z tłumu.

– Dlaczego nikt mi nie powiedział? – Slothrop poszedł do szkoły średniej, kiedy FDR zasiadł w Białym Domu.

Broderick szczerze nienawidził tego człowieka, ale młody Tyrone uważał, że jest dzielny, no bo ta choroba Heinego-Medina i tak dalej. Lubił jego głos w radiu. Niewiele brakowało, by zobaczył go kiedyś w Pittsfield, ale widok zasłonił mu Lloyd Nipple, najgrubszy chłopak w Mingeborough, dojrzał więc tylko parę kół i nogi facetów stojących na stopniu nadwozia. O Hooverze ledwie coś tam słyszał – w związku z osiedlami baraków albo odkurzacami – Roosevelt natomiast był *jego* prezydentem, jedynym, jakiego znał. Wydawało się, że ciągle będzie wybierany, kadencja za kadencją, już zawsze. Ale ktoś postanowił to zmienić. Zatem uśpiono go, ukochanego prezydenta Slothrop, cichutko i elegancko, tymczasem chłopak, który niegdyś wyobraził sobie jego twarz na plecach ubranego w koszulkę Lloyd, brykał po Riwierze albo gdzieś po Szwajcarii, na wpół świadom, że sam też jest kasowany...

– Podobno to był udar – mówi Säure.

Jego głos napływa z dziwnej strony, powiedzmy, że wprost od spodu, rozległa nekropolia zaczyna się zbiegać do środka, zwęzać, ciągnie prosto w Korytarz znany Slothropowi, choć nie z nazwy – to zdeformowana

przestrzeń, która czai się w jego życiu, utajona jak choroba dziedziczna. Grupa lekarzy w białych maskach, zasłaniających całe twarze prócz oczu – zimnych i dorosłych oczu – idzie równym krokiem tym przejściem do miejsca, gdzie leży Roosevelt. Niosą połyskujące czarne torby. Pod powłokami z ciemnej skóry dźwięczy metal, jakby chciał przemówić, jak gdyby bruchomówca wykonywał sztuczkę, pomóżcie-mi-się-wydostać... Ktokolwiek to był, ktokolwiek pozował do zdjęcia w tej czarnej pelerynie z pozostałymi przywódcami w Jałcie, przepięknie oddał wymowę skrzydeł Śmierci, pełnych, miękkich i czarnych jak ta zimowa peleryna, i przygotował naród gapiów na odejście Roosevelta – to był byt, który Oni zmontowali, byt, który rozmontują...

Ktoś tutaj sprytnie wkalkulował paralaksę, wyskalowanie, wszystkie cienie skierowane w odpowiednią stronę, wydłużające się z upływem dnia – ale nie, niemożliwe, by Säure istniał naprawdę, w każdym razie nie bardziej niż ci odziani na czarno statyści w kolejce do hipotetycznego tramwaju albo po dwa plasterki kielbasy (jasne, jasne), niż kilkoro półnagich dzieci biegających w wejściu spalonej kamienicy, tak zdumiewająco wyraźnej w każdym szczególe – mają spory budżet, bez dwóch zdań. Wystarczy popatrzeć na te ruiny, wszystko zbudowane, a potem rozwalone młotkiem na kawałki, asortyment od fragmentów wielkości człowieka po miarki pył (proszę zamawiać według Tabeli Numerycznej), tymczasem dłoń, wielka jak zdechły koń, co padł w zaułku, rozpyła znane berlińskie perfumy o nazwie „Południe” – esencję gnijącego ludzkiego ciała – pompując gigantyczny atomizer...

(Według czarnorynkowego zegarka Säurego zbliża się południe. Od jedenastej do dwunastej nastaje Zła Godzina, gdy może ci się ukazać biała kobieta z pękiem kluczy, która wyłania się z wnętrza góry. Uważaj więc. Jeśli nie umiesz uwolnić jej od bliżej nieokreślonej klątwy, zostaniesz ukarany. Kobietą tą jest piękna panna, oferująca Cudowny Kwiat, i zarazem szpetna starucha z długimi zębami, która odnalazła cię we śnie, ale nic nie

mówiła. Do niej należy Godzina).

W górze leci hałaśliwa formacja czarnych P-38, ruchomy azur na tle bladego nieba. Slothrop i Säure wchodzą do ogródka kawiarnianego przy ulicy, piją rozwodnione różowe wino, jedzą chleb i trochę sera. Stary ćpun wyjmuje skręt z marysi. Kurzą go na spółkę, wygrzewając się w słońcu, może zaproponują kelnerowi, żeby się sztachnął, kto wie? Tak w dzisiejszych czasach trzeba palić szlugi. Obok przepływa strumień dżipów, wozów transportowych i rowerów. Do stolików suną dziewczęta w świeżych letnich sukienkach – pomarańczowych i zielonych jak lody owocowe – uśmiechnięte, ach, uśmiechnięte, lustrując nieustannie teren w poszukiwaniu wczesnego zajęcia.

Säure sprowadził rozmowę na temat Rakiety. Oczywiście to nie jego specjalność, ale uważnie słucha Slothrop. Bo skoro ktoś jej poszukuje, to znaczy, że jest coś warta.

– Nigdy nie mogłem zrozumieć tej fascynacji. Tyle się o tym nasłuchaliśmy w radiu. To była taka nasza audycja w rodzaju „Kapitana Midnighta”. Ale straciliśmy złudzenia. Chcieliśmy wierzyć, ale nie widzieliśmy niczego, co natchnęłoby nas wiarą. Mieliśmy jej coraz mniej w miarę zbliżania się końca. Powiem ci tyle, *Kerl*, że to wywarło katastrofalny wpływ na rynek kokainy.

– Jak to?

– Do którejś części rakiety trzeba było nadmanganianu potasu, prawda?

– Do pompy turbinowej.

– No właśnie, a bez *Purpurstoff* nie można uczciwie handlować kokainą. Co tam uczciwość, nic już nie było rzeczywiste. Zimą nie znalazłbyś jednego centymetra sześciennego nadmanganianu w całej pierdolonej Rzeszy, *Kerl*. Och, szkoda, że nie widziałeś tych rozbudzonych namiętności. Niby wszystko działa się wśród przyjaciół, rozumiesz. Ale pokaż mi przyjaciela, który nie chciałby – że użyję amerykańskiej metafory – rzucić ci tortem w twarz, hę?

– Dziękuję za wyjaśnienie. – Zaraz. Czy on mówi o *nas*? Czy szykuje się,

żeby...

– Toteż – kontynuując – gigantyczny film z Laurelem i Hardym spowił cały Berlin, nieme, nieme kino... właśnie z powodu niedoborów nadmanganianu. Zastanawiam się, jakie jeszcze branże ucierpiały z winy A-4. To nie było rzucanie tortami, to nie był chaos na rynku, to był najzwyklejszy brak chemicznej odpowiedzialności! Glina, talk, cement, nawet mąka, tak się porobiło! Mleko w proszku, odzyskiwane z żołądków niemowląt. Wszystko, co wyglądało podobnie, stało się warte więcej niż sama kokaina – bo chodziło o to, żeby ktoś wciągnął nosem szczyptę mleka, cha-cha-cha! – przerywa na chwilę – a to było warta poniesienia największych kosztów! Bez nadmanganianu brakło sposobu, by zyskać jakąkolwiek pewność. Wystarczyła odrobinka nowokainy, żeby ścierpł język, coś dającego ostry smak, więc można było zbić ogromne pieniądze na wodorowęglanie sodowym. Nadmanganian jest kamieniem probierczym. Sypiesz go trochę pod mikroskopem na substancję, o której mowa, ta się rozpuszcza – potem patrzysz, jak wytrąca się z roztworu, jak ponownie się krystalizuje: najpierw pojawia się kokaina, po bokach, potem frakcja roślinna, prokaina, laktoza w innych dobrze znanych miejscach – fioletowa tarcza strzelecka z zewnętrznym kręgiem wartym najwięcej, środek niewart nic. Antycel. Z całą pewnością nie jest to cel w rozumieniu A-4, co, Rocketmanie? Ta twoja machina była wrogiem narkomana. Po co ci ona? Czy twój kraj chce użyć jej przeciw Rosji?

– Po nic. Co znaczy „mój kraj”?

– Przepraszam. Chciałem tylko powiedzieć, że Rosjanom najwyraźniej też na niej cholernie zależy. Straciłem wszystkie kontakty w mieście. Ludzie są przesłuchiwani. Nikt z aresztowanych nie wie o rakietach więcej niż ja. Ale Cziczerin myśli inaczej.

– O rany. Znowu on?

– Tak, w tej chwili jest w Poczdamie, przynajmniej powinien być. Założył kwaterę w jednym ze starych studiów filmowych.

- Bomba, Emilu. Z moim szczęściem...
- Nie wyglądasz za dobrze, Rocketmanie.
- Pewnie okropnie? A co powiesz na to?! – I Slothrop zaczyna wypytywać Säurego o Schwarzgerät.

Szwab nie rzuca się z krzykiem do ucieczki, a jednak coś tam gulgocze w zdławionym gardle i rozmowa skierowana zostaje na inne tory.

– Dam ci radę – kiwając głową i wiercąc się na krześle. – Idź pogadać z Der Springerem. *Ja?* Wy dwaj przypadniecie sobie do serca. Bo ja jestem tylko emerytowanym włamywaczem, który pragnie spędzić ostatnie dziesięciolecie życia tak jak niedościgły Rossini: w komforcie. Nie wymieniaj mojego nazwiska, okay, Joe?

- A kim jest ten Der Springer i gdzie go znajdę?
- Jest skoczkiem, który bez przerwy skacze...
- Rany koguta
- ...po szachownicy Strefy, ot co. Tak jak Rocketman przelatuje dziś nad przeszkodami. – Śmieje się nieprzyjemnie. – Ładna z was para. Skąd mam wiedzieć, gdzie go szukać? On może być wszędzie. On jest wszędzie.

- To Zorro? Zielony Szerszeń?
- Ostatnio chodziły słuchy, z tydzień, dwa tygodnie temu, że był na północy, na hanzeatyckim szlaku. Spotkacie się, spokojna głowa. – Säure znienacka wstaje do wyjścia, uścisk dłoni, wsuwa Rocketmanowi kolejnego skręta na później – albo na szczęście. – Muszę się zobaczyć z oficerami medycznymi. Satysfakcja tysięcy klientów zależy od ciebie, młody człowieku. Widzimy się u mnie. *Glück.*

Zatem Zła Godzina rzuciła czar. Feralnym słowem okazało się „Schwarzgerät”. Góra zamknęła się z hukiem za Slothropem, omal nie przytraskując mu pięty, i mogą minąć całe stulecia, zanim Biała Dama znowu się ukaze. Cholera.

Specjalną przepustkę wystawiono na nazwisko „Max Schlepzig”. W przyływie animuszu Slothrop postanawia udawać artystę wodewilowego.

Iluzjonistę. Odbył porządne przeszkolenie u boku Katje, ten jej obrus z adamaszku i magiczne ciało, łóżko w salonie, sto *soirées fantastiques*...

Późniejszym popołudniem przedostaje się przez Zehlendorf, cały czas ubrany w strój Rocketmana, gotów do przekroczenia granicy. Radzieccy strażnicy stoją pod sklepioną bramą z drewna, pomalowaną na czerwono, dźwigając pepesze i diegtiariewy, wielgachne erkaemy o talerzowych magazynkach. Teraz nadjeżdża T-34, warcząc basem, a z wieżyczki siedemdziesięciosześcimilimetrowego działa sterczy żołnierz w hełmofonie i ryczy do krótkofalówki... uf, no cóż... Po drugiej stronie bramy tkwi radziecki dżip z paroma oficerami, z których jeden gada zawzięcie do mikrofonu swojej radiostacji, a powietrze między ogniwami ożywia ruszczyzna mówiona z prędkością światła, splatająca sieć, w którą złowią Slothrop. Bo niby kogo? Mrugając okiem, Rocketman odgarnia do tyłu pelerynę, pstryka w hełm i uśmiecha się. Ruchem prestidigitatora wydobywa kartę, bilet i dwujęzyczną przepustkę, okraszając to tekstem o występie dla dowództwa w Poczdamie.

Jeden ze strażników bierze przepustkę i śmiga do budki wartowniczej, żeby zadzwonić. Pozostali stoją i gapią się na buciory Cziczera. Milczą. Telefonowanie trwa dłuższą chwilę. Popękana skóra pasów, jednodniowy zarost, kości policzkowe w słońcu. Slothrop próbuje sobie przypomnieć parę sztuczek karcianych, no, żeby przełamać pierwsze lody, gdy nagle strażnik wystawia głowę z budki.

– *Stiefeln, bitte.*

Buty? Po co im – no taaaaak! Jasne, buty. Wiemy na sto procent, kto czeka po drugiej stronie, prawda? Slothrop słyszy, jak wszystkie metalowe części tego faceta chrzęszczą z uciechy. Na przydymionym berlińskim niebie, gdzieś na lewo od odległej Funkturm z wełny stalowej, pojawia się całostronicowe zdjęcie z magazynu „Life”: to Slothrop w stroju Rocketmana, a do ust wepchnięto mu – z taką siłą, że zrobił lekkiego zeza – coś, co wygląda na długą sztywną parówkę o bardzo dużej średnicy, jednak na

ilustracji nie ukazano sprawcy ani choćby dłoni dzierzącej przeogromną wędlinę. PRZYPAŁ ROCKETMANA – brzmi podpis – Nowy gwiazdor Strefy spierdolił się, gdy tylko wzleciał.

Hm, c-ó-ó-ż, Slothrop zzuwa buty, strażnik idzie z nimi do telefonu – pozostali opierają Slothropą o bramę i wiskają go, znajdując tylko podarowanego skręta, którego sobie przywłaszczają. Slothrop czeka w skarpetkach, starając się nie wybiegać myślami w przód. Tylko zerka na boki w poszukiwaniu dróg ucieczki. Nic. Wszędzie dokoła czyste pole ostrzału. Woń świeżego asfaltu do łatania jezdni i smaru do karabinów. Dżip, zieleń miedziana. Czeka: w tej chwili na drodze do Berlina pusto... Opatrzności, ej, opatrzności, gdzie jesteś, poszłaś na piwo czy co?

Skąd. Wracają buty, uśmiechnięty strażnik tuż za nimi.

– *Stimmt, Herr Schlepzig.*

Jak brzmi ironia w rosyjskim języku? Te gagatki są zbyt nieprzeniknione. Cziczerin jest nie w ciemną bity, nie chciałby widzieć tych butów, żeby nie wzbudzić podejrzeń. E tam, głupstwo, musieli telefonować do kogoś innego. To ani chybi rutynowa kontrola w poszukiwaniu kontrabandy, ot i tyle. Slothropą ogarnia teraz stan, który w Księdze Przemian nazywa się Młodzieńczą Niewiedzą. Rocketman macha kilkakrotnie zieloną peleryną, wyłudza bałkańskiego szluga od jednego z erkaemistów i nawiewa na południe. Dżip oficerów zostaje na miejscu. Czołg zniknął.

Jubilee Jim handluje po kraju,  
Puszczając oko do dam od Stockbridge po Lee –  
Do sukni wybrance spraw elegancką broszę.  
Przeceniony strój stangreta dostaniesz za grosze.  
Przybywajcie gromadnie do Jima Jubilee!

Dwie mile dalej Slothrop odbija z drogi nad wspomniany przez Säurego kanał: idzie ścieżką pod mostem, gdzie przez minutę panuje chłód i wilgoć. Rusza brzegiem, wypatrując łodzi, którą mógłby ukraść. Na rozmarzonym trawiastym stoku leżą w promieniach słońca złote i zbrązowiałe dziewczęta w



stanikach i szortach.. Zachmurzone popołudnie łagodnieje do postaci zarysów zmiękczonego wiatrem, nad wodą klęczą dzieci z wędkarskimi żyłkami, dwa ptaki fruną w pogoni przez kanał, szybując po łuku to wyżej, to niżej, wprost w zawieszoną burzę zielonej korony drzewa, gdzie siadają i rozpoczynają śpiewy. W oddaleniu leniwa mgiełka w kolorze ecru nasycza jasność; skórę dziewcząt, niewybielaną już przez słońce stojące w zenicie, oblewa teraz delikatniejsze światło, któremu przypomniały się cieplejsze barwy, lekkie cienie mięśni ud i napięte włókna komórek naskórka mówią: dotknij... zostań... Slothrop idzie jednak dalej – mija rozwierające się oczy i uśmiechy roztaczające się jak przyjazny świt. Co z nim? Niechby został. Co go tak gna?

Jest kilka łodzi, przywiązanych do balustrady, tyle że zawsze ktoś ma na nie oko. Wreszcie natyka się na płaskodenną skorupę, wiosła w dulkach, wszystko gotowe, w pobliżu widzi tylko koc na stoku, parę butów na wysokim obcasie, męską marynarkę, nieopodal kępę drzew. Wsiada migiem i rusza w rejs. Bawcie się dobrze – trochę mściwy w tym momencie – bo ja nie mogę, ale przynajmniej podprowadzę wam łódkę, cha, cha!

Wiosłuje aż do zachodu słońca, odpoczywając na długich odcinkach, bo jest kompletnie bez formy – stożek potu przyduszony peleryną tak szczelnie, że w końcu musi ją zdjąć. W bezpiecznej odległości mijają go kaczkę, z pomarańczowych dziobów ścieka woda. Wieczorny wiatr marszczy tafelę, zachód słońca prążkuje kanał królewskimi barwami: czerwienią i złotem. Nad powierzchnią sterczą wraki, czerwony ołów i rdza dojrzewają w tym świetle, pogniecione szare kadłuby, odpadające nity, rozplątane liny wskazujące historycznymi włóknami wszystkie kierunki świata, drgające na wietrze poniżej wszelkiego progu słyszalności. Obok przepływają puste barki: puszczone wolno, zapomniane. W górze przelatuje bocian w drodze do domu, niżej wyłania się nagle blady łuk mostu na autostradzie. Jeszcze trochę i Slothrop z powrotem znajdzie się w sektorze amerykańskim. Skręca, wysiada na przeciwległym brzegu i rusza na południe, chcąc obejść radziecki

punkt kontrolny, usytuowany – według jego mapy – gdzieś po prawej stronie. W półmroku panuje wielkie poruszenie: radzieccy gwardziści z minami pokerzysty – elita w zielonych czapkach – maszerują i jadą, konno i ciężarówkami. W odchodzącym dniu wyczuwa się impedancję, stłoczone, roztańczone zwoje drutów, Poczdam ostrzega: trzymaj się z dala, z dala... Im bliżej, tym bardziej gęstnieje pole dokoła zamaskowanego międzynarodowego zlotu po drugiej stronie Haweli. Bodine miał rację: szpilki nie wciśniesz. Slothrop zdaje sobie z tego sprawę, ale przemyka dalej, wyszukując mniej uczęszczane szlaki, klucząc, kierując się niewinnie na południe.

Niewidzialny. Im więcej kilometrów ma na liczniku, tym łatwiej przychodzi mu w to uwierzyć. W noc świętojańską, między północą a godziną pierwszą, na jego buty spadło nasienie paproci. Jest niewidzialnym młodzianem, opancerzonym odmieńcem. Małym kumplem Opatrzności. *Oni* zaabsorbowani są tymi formami niebezpieczeństwa, do których przyzwyczała ich Wojna – widmami; być może zostali skazani na ciężącą obecność tych widm przez resztę życia, przynajmniej niektórzy. Slothrop ani to ziębi, ani parzy – jego nie obowiązuje ten zestaw gróźb. Oni nadal funkcjonują w przestrzeni geograficznej, wytyczając terminy i powołując funkcjonariuszy, a jedyne byty, które mogą pogwałcić tę ich przestrzeń, skutecznie wyłapano i po zaaplikowaniu środka paraliżującego umieszczono w komiksach. Oni myślą. Nie wiedzą nic o Rocketmanie. Przechodzą obok, on wciąż jest sam, zdematerializowany w wieczorze za sprawą aksamitu i kozłowej skóry – gdy go dostrzegają, natychmiast spławiają jego wizerunek do pipidówka na uboczach mózgu, gdzie pozostaje na wygnaniu wraz z innymi nocnymi stworami...

Teraz znowu odbija w prawo, ku zachodzącemu słońcu. Czeką go przecięcie wielkiej superautostrady. Niektórzy Niemcy od dziesięciu, dwudziestu lat nie mogą wrócić do domu, ponieważ znaleźli się po złej stronie w chwili, gdy poprowadzono którąś Autobahn. Zdenerwowany i

ocięwały, Slothrop podczołguje się nasypem Avusu, wsłuchując się w przemykający wyżej łośkot. Kierowcy myślą, że panują nad swoimi autami, każdy sądzi, że zdąży do własnego celu podróży, ale Slothrop wie lepiej. Usiedli dzisiaj za kółkiem, ponieważ *Oni* tak zdecydowali: tworzą śmiertelnie niebezpieczną zaporę. Niejeden to amator Fritz von Opel, obiecujący Slothropowi porządny sprint – prują ku słynnym esowatym zakrętom, gdzie maniacy w białych kaskach i ciemnych okularach dosiadali niegdyś aerodynamicznych pojazdów, gnając w jazgotliwych porywach dokoła ceglanych obwałowań (pełne podziwu oczy pułkowników w galowych mundurach, panie pułkownikowe w fedorach Greta Garbo, wszyscy bezpieczni na białych wieżyczkach, a jednak będący uczestnikami tej przygody, każdy oczekując na wyłonienie się u dołu tej samej pierwotnej mocy...).

Slothrop uwalnia rękę spod peleryny, odczekuje, aż przemknie wąskie szare porsche, i rzuca się pędem, czerwony blask z tylnych świateł prześlizguje się po jego prawej nodze, światło reflektorów nadjeżdżającej wojskowej ciężarówki trafia w lewą i jednym dotknięciem zmienia grootę gałki ocznej w niebieską układankę. Biegnie jak kaczką, wrzeszcząc: *Hauptstufe!* – bo to okrzyk wojenny Rocketmana – unosi obie ręce i niebieskozielony wachlarz jedwabnej podszewki peleryny, słyszy zgrzyt hamulców, zaiwania dalej, dociera do pasa między jezdniami, gramoli się w krzaki, ciężarówka zaś przejeżdża z poślizgiem i zatrzymuje się. Głosy przez chwilę. To daje Slothropowi czas, by złapać oddech i odwinąć pelerynę z szyi. Ciężarówka rusza. Na południowej nitce Avusu jest dziś luźniej, toteż Slothrop bez kłopotu biegnie na drugą stronę, w dół nasypu i potem pod górę między drzewa. Hej! Jednym susem przeskoczył szeroką autostradę!

Ej, Bodine, twoja mapa jest bez zarzutu, może z jednym drobnym wyjątkiem, o którym, hm, chyba zapomniałeś wspomnieć. Ciekawe dlaczego... Okazuje się, że około stu pięćdziesięciu domów w Neubabelsbergu zarekwirovano i odgrodzono jako rewir dla alianckich

delegatów na konferencję poczdamską, a Byczy Jack Smoła ukrył towar akurat w samym środku tego kwartału. Druty kolczaste, reflektory, syreny, strażnicy, którzy nie umieją się uśmiechać. Dzięki Bogu – czytaj: „Säuremu Bummerowi” – za tę specjalną przepustkę. Wymalowane przez szablon napisy ze strzałkami głoszą: „Admiralicja”, „Ministerstwo Spraw Zagranicznych”, „Departament Stanu”, „Szefowie Sztabu”... Cały teren jest rozświetlony jak podczas hollywoodzkiej premiery. Ruch jak w ulu: cywile w garniturach, sukniach, smokingach, limuzyny BMW z porożnikami wszystkich państw. Powielone ulotki z komunikatami oblepiają kamienie i rynsztoki. W budkach strażniczych piętrzą się stosy zarekwizowanych aparatów fotograficznych.

Tutaj najwyraźniej opatrzyły się rozmaite estradowe typy, bo nikogo nie dziwi hełm, peleryna ani maska. Wartownicy sporadycznie telefonują dokąś i zadają leniwie pytania, niemniej przepuszczają Maxa Schlepziga. W breku nadjeżdża zgraja amerykańskich dziennikarzy, ściskających butelki wyzwolonego wina mozelskiego. Proponują podwiezienie. Natychmiast wywiązuje się spór, którym gwiazdorem jest Slothrop. Jedni uważają, że mają przed sobą Dona Ameche’a, inni, że Olivera Hardy’ego. Gwiazdorem? No jak to którym?

– Dajcie spokój – mówi Slothrop – nie widzieliście mnie wcześniej w tym kostiumie. Dlatego nie możecie się połapać. Jestem Errol Flynn.

Nie wszyscy mu wierzą, ale rozdaje parę autografów. W chwili rozstania żurnaliści dyskutują o kandydatkach na Miss Rheingold roku 1946. Zwolennicy Dorothy Hart gardłują najgłośniej, lecz większość opowiada się za Jill Darnley. Dla Slothropa to brednie – miną miesiące, zanim natknie się na reklamę piwa z sześcioma pięknosciami i pokibicuje niejkiej Helen Rückert: blondynce o holenderskim nazwisku, która będzie mu kogoś przypominać...

Dom przy Kaiserstrasse 2 zbudowano w rustykalnym stylu pruskim i pomalowano na kolor brunatny, któremu nie służy zimne oświetlenie. Jest

strzeżony o wiele silniej niż jakikolwiek inny w rewirze. Dlaczego, kurdelebele, głowi się Slothrop. Nagle dostrzega szyld z tymczasową nazwą tego miejsca.

– O nie. Bez żartów. – Przez chwilę stoi na ulicy i dygocze, wyzywając marynarza Bodine’a od partaczy, łotrów i agentów śmierci. Litery układają się w dwa słowa: „Biały Dom”. Bodine doprowadził go prosto do eleganckiego nieznanego okularnika, który patrzył rankiem po Friedrichstrasse – do oblicza, co skrzepło w ciszy, by zastąpić to, którego Slothrop nie zobaczył w Pittsfield i już nigdy nie zobaczy.

Wartownicy z karabinami zawieszonymi na ramionach stoją nieruchomo jak on. Pod światłem lamp łukowych fałdy peleryny przeobraziły się w skorodowany brąz. Z tyłu willi szmerze woda. Raptem w środku rozbrzmiewa muzyka, zagłuszając szum. Występy. Nic dziwnego, że tak łatwo się przedostał. Czy spodziewają się iluzjonisty, późnego gościa? Blichtr, sława. Mógłby tam wbiec, rzucić się do czyichś kolan i błagać o amnestię. Wylądować z dożywotnim kontraktem z siecią radiową w kieszeni. A-albo nawet ze studiem filmowym! Na tym przecież polega miłosierdzie, nie? Obraca się, próbując zachowywać swobodnie, wyślizguje z kręgu światła, szuka drogi do tej wody.

Brzeg Griebnitz See jest ciemny, iluminowany gwiazdami, opleciony drutem, ożywiony przez kursujących wartowników. Po drugiej stronie czarnej wody migoczą nagromadzone i rozproszone światła Poczdamu. Slothrop musi kilkakrotnie nieźle się postarać, żeby przejść przez druty, czeka, aż wartownicy przerwą obchód na papierosa, i dopiero wtedy przemyka – nasiąknięta peleryna trzepocze – do willi. Haszysz Bodine’a zakopano przy bocznej ścianie, pod krzakiem jałowca. Kuca i zaczyna odgarniać ziemię rękoma.

W domu trwa jubel. Dziewczęce głosy śpiewają, żeby nie siadać pod jabłonką, i jeśli to nie są siostry Andrews, to... trudno. Akompaniuje im orkiestra dancinowa z monstrualną sekcją instrumentów dętych. Śmiechy,

brzdęk szkła, wielojęzyczne pogaduszki, cóż, przeciętny wieczór po roboczym dniu na konferencji. Haszysz zawinięto w cynfolię i włożono do gnijącego marynarskiego worka. Mmm, nieźle pachnie. O cholerny świat, zapomniał fajki.

Szkoda. Wyżej, na poziomie oczu stojącego człowieka, znajduje się taras i rozpięte na kracie grusze w mlecznym kwieciu. W chwili gdy zgarbiony Slothrop wyciąga wór, otwierają się oszklone drzwi i ktoś wychodzi na taras, żeby łyknąć powietrza. Slothrop martwieje, myśląc: jestem niewidzialny, niewidzialny... Zbliżają się kroki i nagle o balustradę opiera się – cóż, może to zabrzmi dziwnie – sam Mickey Rooney. Slothrop rozpoznaje go od razu, oto on, postrzelony piegowaty syn sędziego Hardy’ego, trójwymiarowe ciało w smokingu i zbaraniała twarz. Mickey Rooney wytrzeszcza gały na Rocketmana z worem haszyszu, na mokrą zjawę w hełmie i pelerynie. Z nosem na wysokości błyszczących lakierków gwiazdora Slothrop zapuszcza żurawia w głąb sali – dostrzega kogoś przypominającego Churchilla, mnóstwo babek w wieczorowych sukniach, wydekoltowanych tak bardzo, że ogląda więcej cycków niż w klubie Minsky’ego... i może, kto wie, zobaczył przelotnie prezydenta, tego Trumana? Zdaje sobie sprawę, że widzi Mickeya Rooneya, ale Mickey, gdziekolwiek los go rzuci, będzie się wypierał, że kiedykolwiek widział Slothropą. To niebywała chwila. Slothrop wyczuwa, że powinien coś powiedzieć, lecz narządy mowy dramatycznie go zawodzą. „Ej, ty jesteś Mickey Rooney” – wydaje się trochę nie na miejscu. Zatem stoją jak wryci, dokoła nich tchnie noc zwycięstwa, a wielcy tego świata knują swoje w elektrycznej żółtej sali, nieświadomi niczego.

Slothrop pierwszy przełamuje bezwład: kładzie palec na ustach i pryska za róg domu, dalej nad brzeg, a Mickey Rooney zostaje, przyklejony łokciami do balustrady, z wywalonymi gałami.

Z powrotem przez druty, unikając wartowników, blisko wody, wymachując workiem trzymanym za sznurek, a w głowie wykluwa się już mglisty pomysł, żeby znaleźć jakąś łódź i powiosłować z powrotem po Haweli – no jasne!

Czemu nie? Dopiero gdy Slothrop słyszy odległą rozmowę, dobiegającą z innej willi, kapuje, że chyba zabłądził w rosyjską część rewiru.

Mmm, w takim razie lepiej... – kombinuje.

Znowu pojawia się parówka. Sylwetki o krok od niego – wyłoniły się z wody? Obraca się na pięcie, przed oczyma miga mu szeroka, wygolona twarz, lwia grzywa zaczesana do tyłu, błyszczące stalowe zęby, oczy czarne i łagodne jak oczy tej Carmen Mirandy –

– Zgadza się – szeptana angielszczyzna bez najmniejszego akcentu – byłeś śledzony cały czas.

Pozostali chwytają Slothropą za ręce. Wysoko w lewej czuje nagle ostre ukłucie, niemal bezbolesne, znajome. Zanim zdąży wydobyć z siebie głos, jest daleko, wiruje przerażony po Kole, w pierwszym naporze znieczulenia trzymając się kurczowo zanikającego punktu, którym jest on sam, unosząc się bojaźliwie nad otchłanią Śmierci...





Łagodna noc, upstrzona złotymi gwiazdami – właśnie o takiej nocy na pampasach lubił pisać Leopoldo Lugones. U-Boot kołysze się cicho na powierzchni wody. Jedyne odgłosy to sapanie pompy zęzowej, odprowadzającej wodę, odzywającej się raz po raz pod pokładem, i gitara El Ñato, siedzącego na rufie i grającego *tristes* i *milongas* z Buenos Aires. Beláustegui pracuje na dole, przy generatorze. Luz i Felipe śpią.

Przy obsadzie dwudziestomilimetrowego działka przechadza się zadumana Graciela Imago Portales. W swoim czasie była miejską idiotką Buenos Aires, niegroźna dla nikogo, za pan brat z całym politycznym spektrum, od Cipriano Reyesa, który interweniował raz w jej sprawie, po Acción Argentina, dla której pracowała, zanim ruch zdelegalizowano. Była szczególną ulubienicą literatów. Podobno Borges zadedykował jej wiersz (*El laberinto de tu incertidumbre/Me trama con la disquietante luna...*).

Załoga, która porwała U-Boot, składa się z przedstawicieli wszelkich argentyńskich manii. El Ñato mówi dziewiętnastowieczną gwarą gauczów – papierosy to *pitos*, niedopałki – *puchos*, on sam pije nie caña, lecz *la tacuara*, a kiedy się ubzdryngoli, jest *mamao*. Zdarza się, że Felipe musi tłumaczyć. Felipe to kłopotliwy młody poeta, pełen różnych nieprzyjemnych przejawów idealizmu, do których zaliczają się romantyczne, nierealne wyobrażenia o gauczach. Ciągłe podlizuje się El Ñato. Beláustegui, pełniący funkcję mechanika okrętowego, pochodzi z Entre Ríos i jest pozytywistą zgodnie z tradycją tego regionu. Oraz niezłym nożownikiem, jak na propagatora nauk ścisłych, między innymi właśnie dlatego El Ñato jak dotąd zostawia w spokoju tego bezbożnego bolszewika z międzyrzecza. To czynnik nadwerężający solidarność, w dodatku nie jedyny. Luz związała się obecnie z Felipe, choć przecież jest dziewczyną Squalidozziego – gdy ten przepadł w trakcie podróży do Zurychu, zbliżyli się do siebie wskutek wzruszającej recytacji „Pavos Reales” Lugonesa. Stało się to pewnej balsamicznej nocy u

wybrzeży Matosinhos. Dla tej załogi nostalgia jest jak choroba morska: tylko nadzieja śmierci wskutek niej trzyma ich przy życiu.

Squalidozzi odnalazł się nareszcie w Bremerhaven. Po resztkach Niemiec ścigał go Brytyjski Wywiad Wojskowy. Z jakiego powodu, biedak nie ma pojęcia.

– Dlaczego nie pojechałeś do Genewy i nie próbowałeś się z nami skontaktować?

– Nie chciałem ich doprowadzić do Ibarгүйengoitia. Wysłałem kogoś w zastępstwie.

– Kogo? – dopytywał się Beláustegui.

– Nie znam jego nazwiska. – Squalidozzi poskrobał się po kosmatej łepetynie. – Może palnąłem głupstwo.

– Nie miałeś z nim potem kontaktu?

– Nie.

– No to nas namierzają. – Posępny Beláustegui. – Kimkolwiek jest, depczą mu po piętach. Świetnie się znasz na ludziach, nie powiem.

– A co wypadało robić, zabrać go najpierw do psychiatry? Ważyć na szali za i przeciw? Zastanawiać się przez parę tygodni?

– Squalidozzi ma rację. – El Ñato wzniósł duży kułak. – Rozmyślanie i analizowanie jest dobre dla kobiet. Mężczyzna powinien przeć do przodu, stawiać czoło Życiu.

– Obrzydliwość – oświadczyła Graciela Imago Portales. – Ty nawet nie jesteś mężczyzną, tylko spoconym koniem.

– Stokrotne dzięki. – El Ñato w ukłonie, uosobienie godności gaucza.

Nikt nie podniósł głosu. Tego wieczoru rozmowę w stalowej przestrzeni wypełniły ciche, zduszone „s” i podniebienne „y”, osobliwa, wstrzemięźliwa moc oddziaływania argentyńskiej hiszpańszczyzny, przywołana poprzez lata rozczarowań, autocenzury, omijania szerokim łukiem prawdy politycznej – wskrzeszanie Państwa mięśniami twojego języka w wilgotnej intymności jamy ustnej... *pero ché, no sós argentino...*

Pewnego razu Squalidozzi dyrdał skrajem jakiegoś bawarskiego miasteczka, mając zaledwie kilka minut przewagi nad rolls-royce'em ze złowrogą kopułą w dachu – zielonym pleksiglasem, przez który nic nie widać. Dopiero co zaszło słońce. Raptem usłyszał strzały, tętent kopyt, nosowe i metaliczne głosy, wołające po angielsku. Ale zabytkowe miasteczko wydawało się opuszczone. Co więc się dzieje? Wszedł do labiryntu z cegieł, który był fabryką harmonijek ustnych. Wszędzie dokoła w kurzu odlewni leżały rozbryzgi uciszonego na zawsze brązu. Na wysokiej ścianie, świeżo pomalowanej na biało, dudniły cienie koni i jeźdźców. Ze stołów warsztatowych i skrzyń przyglądało się im pół tuzina osobników, w których Squalidozzi od razu rozpoznał gangsterów. Żarzyły się cygara, panienki do towarzystwa szeptały do siebie po niemiecku. Mężczyźni zajadali kiełbasy, odrywając flaki zadbanymi białymi zębami, które błyskały w świetle z projektora. Powkładali rękawiczki doktora Caligari, które cieszą się teraz wzięciem w Strefie: kolor kościany z czterema szlaczkami głębokiego fioletu, biegnącymi po wierzchu od nadgarstka po kłykcie. Wszyscy mieli garnitury niemal tak białe, jak zęby. Po Buenos Aires i Zurychu scena ta wydała się Squalidozziemu czymś ekstrawaganckim. Kobiety krzyżowały nogi: były spięte jak żmije. Powietrze przesycił zapach trawy, woń palonych liści, co zdziwiło Argentyńczyka, któremu – śmiertelnie stęsknionemu za ojczyzną – z gonitwą kojarzył się tylko aromat świeżo zaparzonych ziół w *maté* po ciężkim dniu na torach wyścigowych. Sklepione ramy okienne wychodziły na wyłożony cegłą fabryczny dziedziniec, gdzie leniwie poruszało się letnie powietrze. Blask z projektora migotał niebiesko po pustych oknach, jak gdyby był oddechem usiłującym wybrzmieć nutą. Obrazy traciły ostrość wskutek mściwości. „Jahu!” – krzyczały wszystkie typy, a białe rękawiczki podrygiwały. Usta i oczy szeroko otwarte jak u dzieci.

Szpuła dobiegła końca, ale mrok pozostał. Olbrzymia postać w białym garniturze podniosła się, przeciągnęła i podeszła do miejsca, w którym

przycupnął przerażony Squalidozzi.

– To ciebie szukają, *amigo*?

– Proszę...

– Spokojnie, chodź. Pooglądaj z nami. To Bob Steele. Dzielny chłopak. Będziesz tu bezpieczny. – Okazało się, że gangsterzy od wielu dni wiedzieli, że Squalidozzi jest w okolicy: choć dla nich pozostawał niewidzialny, o jego ruchach wnosili z zachowania policji, która niewidzialna nie była. Blodgett Waxwing – któż inny mógł to być? – posłużył się analogią komory mgłowej i smugi pary, którą pozostawia cząsteczka poruszająca się z wielką szybkością...

– Nie rozumiem.

– Ja chyba też nie, kolego. Ale musimy mieć oko na każdą drobnostkę, a w tej chwili wszystkie łapsy dostały pierdolca na punkcie czegoś, co nazywa się fizyką jądrową.

Po filmie przedstawiono Squalidozziego Gerhardtowi von Göllowi, którego *nom de pègre* brzmi „Der Springer”. Wyglądało na to, że ludzie von Gölla i Waxwinga uczestniczyli w objazdowej konferencji handlu i usług, podążając konwojem po szlakach Strefy, zmieniając ciężarówki i autobusy tak często, że brakło czasu na porządny sen, że starczało go tylko na drzemkę – w środku nocy albo na środku łąki trzeba było nagle wysiadać, zmienić auto i ruszyć inną drogą. Żadnego określonego celu podróży ani trasy. Większość pojazdów dostarczał doświadczony hurtownik branży motoryzacyjnej Edouard Sanktwolke, który potrafił zwędzić wszystko, co ma koła albo gaśienice; skombinował nawet obstalowaną skrzynkę z hebanu, pełną palców rozdzielacza – wszystkie w wyłożonych aksamitem niszach – od każdej znanej marki, modelu i rocznika, na wypadek gdyby właściciel buchniętego towaru wyjął zawczasu tę nieodzowną część.

Squalidozzi i von Göll od razu przypadli sobie do serca. Najlepszy spekulant wśród reżyserów postanowił finansować swoje przyszłe filmy z własnych niebotycznych dochodów.

– To jedyny sposób, żeby do ciebie należało ostatnie słowo, *verdad*? Powiedz mi, Squalidozzi, jesteście na to zbyt szlachetni? A może jednak waszemu anarchistycznemu przedsięwzięciu przydałoby się trochę pomocy?

– Zależy, czego byś od nas oczekiwał.

– Filmu, oczywiście. Co chcielibyście zrobić? Może „Martina Fierro”?

Klient nasz pan. Gauczo Martin Fierro jest kimś więcej niż bohaterem wielkiego argentyńskiego poematu. W U-Boocie uważa się go za świętego patrona anarchistów. Poemat Hernándezza od wielu lat zapładnia argentyńską myśl polityczną – każdy interpretuje go po swojemu i szermuje cytatami z namietnością, z jaką politycy w dziewiętnastowiecznych Włoszech przytaczali „I Promessi Sposi”. Mówi o zadawnionej fundamentalnej polaryzacji w Argentynie: Buenos Aires kontra prowincje lub, jak widzi to Felipe, władza centralna kontra anarchizm gauczów, którego on stał się czołowym teoretykiem. Nosi kapelusz z okrągłym rondem, z którego zwisają kulki, i nabrał zwyczaju wyczekiwania przy lukach na Gracielę.

– Dzień dobry, moja gołąbko. Nie dałabyś całusa gauczo Bakuninowi?

– Gauczo Bakunin? Już prędzej Gaucho Marks – cedzi Graciela i odchodzi, żeby Felipe mógł wrócić do pisania scenariusza dla von Gölla, do czego wykorzystuje egzemplarz „Martina Fierro” należący do El Ñato. Od wertowania tomik dawno rozpadł się na osobne kartki i cuchnie końmi, których imiona El Ñato, gdy jest *mamao* na smutno, potrafi rzewnie wyrecytować jednym tchem...

Ocieniona równina o zachodzie słońca. Płasko, gdzie okiem sięgnąć. Kamera patrzy tuż znad ziemi. Napływają ludzie, pojedynczo lub małymi grupkami, suną równiną, ku osadzie nad brzegiem wąskiej rzeki. Konie, bydło, ogniska na tle pogłębiającej się ciemności. Daleko, na widnokręgu, pojawia się samotna sylwetka jeźdźca; nadjeżdża, pokonuje całą drogę, tymczasem wyświetlają się napisy. W pewnej chwili widzimy gitarę przewieszoną przez plecy: to payador, wędrowny pieśniarz. Wreszcie zeskakuje z wierzchowca i przyłącza się do siedzących wokół ogniska. Po

posiłku i kolejce caña sięga po gitarę i zaczyna brzdąkać na trzech najniższych strunach – bordun – śpiewając:

*Aqui me pongo a cantar  
al compás de la vigüela,  
que el hombre que lo desvela  
una pena estrordinaña,  
como la ave solitaria  
con el cantar se consuela.*

Gauczo śpiewa, tymczasem pokazywane są jego dzieje – sceny z dawnego życia na *estancia*. Potem przychodzą żołnierze i zostaje wcielony do wojska. Zabrane na pogranicze, by zabijać Indian. Lata kampanii generała Roca, który chciał otworzyć pampasy i w tym celu mordował tubylców: zamienił osady w obozy pracy, rozszerzył władzę Buenos Aires na kolejne połacie kraju. Martin Fierro wkrótce ma dość. To zaprzeczenie wszystkiego, co jest słuszne. Dezerteruje. Wysyłają za nim grupę pościgową, ale bohater przeciąga dowodzącego nią sierżanta na swoją stronę. Razem uciekają przez pogranicze, by żyć w głuszy, pośród Indian.

To część pierwsza. Siedem lat później Hernandez napisał „Powrót Martina Fierro”, w którym gauczo sprzeniewierza się własnym ideałom: wraca do chrześcijańskiego społeczeństwa, rezygnuje z wolności na rzecz ustrojowego Gesselschaftu, narzuconego w tamtym okresie przez Buenos Aires. Zakończenie z zupełnie odmiennym morałem.

– Co powinienem zrobić? – Von Göll najwyraźniej jest w kropce. – Kręcić obie części czy tylko pierwszą?

– No cóż... – zaczyna Squalidozzi.

– Wiem, czego chcecie. Ale może lepiej bym na tym wyszedł, gdybym nakręcił dwa filmy i pierwszy ściągnąłby ludzi do kin. Tylko czy ściągnie?

– Oczywiście.

– Coś tak antyspołecznego?

– Ale my w to święcie wierzymy – oponuje Squalidozzi.



– Nawet najbardziej miłujący wolność gauczowie w końcu się zaprzędają, tak to już jest.

Albo taki przynajmniej jest Gerhardt von Göll. Graciela zna go dobrze: istnieją długie łańcuchy powiązań, złowrogie związki krwi i zim w Punta del Este, ciągnące się poprzez Anilinas Alemanas, filię IG w Buenos Aires, i dalej przez berliński Spottbillingfilm AG (kolejna macka IG), od którego von Göll dostawał zniżki na chemikalia do większości swoich filmów, zwłaszcza na dziwną i niechodliwą Emulsję J, opracowaną przez Laszlo Jamfa, powodującą, że nawet w zwykłym dziennym świetle ludzka skóra stawała się przezroczysta na głębokości pół milimetra, odsłaniając to, co znajdowało się pod powierzchnią. Emulsję tę zastosowano na dużą skalę w wiekopomnej „Alpdrücken” i być może użyje się jej też w „Martmie Fierro”. Jedyne epizod poematu, który tak naprawdę zafascynował von Gölla, to pojedynek śpiewaczy między białym gauczem a śniadym El Moreno. Emulsja J może się przydać do interesujących zabiegów kompozycyjnych. Z jej pomocą przeniknęłoby się karnację adwersarzy, płynnie przechodziło od Emulsji J do innych zwykłych chemikaliów i z powrotem, bawiło ostrością obrazu albo dokonywało wipe’ow na wiele sprytnych sposobów – jakże von Göll uwielbia wipe’y! Odkąd Der Springer dowiedział się, że Schwarzkommando rzeczywiście istnieje, że jego członkowie wiodą prawdziwe, parafilmowe życie, które nie ma nic wspólnego ani z nim, ani z fałszywką, którą nakręcił zimą w Anglii dla Operacji „Czarne Skrzydło”, bryka w kontrolowanej ekstazie megalomanii. Jest przekonany, że jego film przywołał ich do życia.

– Moja misja – oświadcza Squalidozziemiu z głęboką pokorą, na jaką stać tylko niemieckiego reżysera – polega na zasiewaniu ziaren realności w Strefie. Domaga się tego historyczna chwila, a ja jestem tylko jej narzędziem. Jakimś wyrokiem moja wizja dostępuje urzeczywistnienia. To samo, co zrobiłem ze Schwarzkommando, mogę zrobić z waszymi marzeniami o pampasach i niebie... Mogę usunąć te płoty i ściany labiryntów, mogę was zaprowadzić z powrotem do Ogrodu, który ledwo pamiętacie...



Von Göll zaraził tym szaleństwem Squalidozziego, który wrócił na łódź podwodną i zaraził pozostałych. Przecież na to właśnie czekali!

– Afrykanie! – wzdychał na ogół pragmatyczny Beláustegui na odprawach załogi. – A jeśli to prawda? Jeśli faktycznie wróciliśmy do tego, jak było, zanim kontynenty się podzieliły?

– Powrót do Gondwany – wyszeptał Felipe. – Kiedy Rio de la Plata sąsiadowała z Afryką Południowo-Zachodnią... a mezozoiczni uchodźcy uciekali promem nie do Montevideo, lecz do Lüderitzbucht...

Plan zakłada dotarcie do Pustaci Lünebürskiej i zbudowanie *estancia*. Tam mają się spotkać z von Göllem. Wieczorem Graciela Imago marzy przy obsadzie działka. Czy von Göll jest kompromisem, na który mogą przystać? Bywają gorsze podwaliny niż film. Czy fałszywe wsie księcia Potiomkina ostały się po odjeździe podróżującej Katarzyny? Czy dusza gaucza wytrzyma tryb wdrażania go w światło i dźwięk? Czy też ostatecznie przyjdzie ktoś, von Göll albo inny, żeby zrobić drugą część i rozmontować sen?

Hen, ponad nią, szybuje zodiak, gwiazdny szyk północnej półkuli, którego nigdy nie widziała w Argentynie, szybuje gładko jak wskazówka zegara... Nagle z głośników dobywa się przeciągły pisk, a potem krzyk Beláusteguiego:

– Der Aal! Der Aal!

Węgorz, dziwi się Graciela, węgorz? Aha, torpeda. Ten Beláustegui jest gorszy od El Ñato, nie wiedzieć czemu czuje się w obowiązku nadawać żargonem niemieckich podwodniaków, po morzu pływa istna wieża Babel – zaraz, torpeda? Po co mu torpeda?

Po to, że U-Boot właśnie pojawił się na ekranie radaru amerykańskiego okrętu „John E. Badass” (uśmiechnij się, łódko!) jako „piknięcie”, czyli niezidentyfikowany impuls, toteż w powojennym odruchu mięśni niszczyciel rusza na pełnej szybkości. Odbiór jest dziś idealny, zobrazowane na zielono echo „drobnoziarniste jak skóra niemowlaka”, potwierdza radarzysta Spyros („Pająk”) Telangiecstasis. Widać wszystko czyściutko aż do Azorów. Na

morzu nastał łagodny, fluorescencyjny letni wieczór. Ale co to jest, porusza się na ekranie szybko i miarowo, poprzerywane jak odprysk światła z pierwszego piknięcia, małe, ale wyraźne, wali ku nieruchomemu środkowi, coraz bliżej –

– Cygaro! – ryczy ktoś przy sonarze: gromki i przerażony głos w słuchawkach. To znaczy, że nieprzyjaciel wystrzelił torpedę. Wylewają się fusy kawy, przybory nawigacyjne suną po szklanym blacie, tymczasem łajba robi ostry zwrot, wykonując unik, który wyszedł z użycia już za rządów prezydenta Coolidge’a.

Wygląda na to, że prosta bladego kilwateru torpedy przetnie śródkręcie uchylającego się „Badassa”. Ale we wszystko wmiesza się oniryna – jako chlorowoderek. Wzięła się z dzbanka kawy w mesie „Johna E. Badassa”. Dowcipny Sperman Bodine – nikt inny przecież – dosypał do dzisiejszych ziaren potężną dawkę tego słynnego środka odurzającego wynalezionego przez Laszlo Jamfa i skombinowanego w trakcie niedawnego wypadu do Berlina.

Właściwość modulacji czasowej była jedną z pierwszych cech oniryny odkrytych przez badaczy. „Doświadcza się jej – pisze Shetzline w swoim klasycznym studium – w sensie subiektywnym... hm... no cóż. Ująłbym rzecz następująco: przypomina to wypychanie ludzkiego mózgu srebrną gąbką!”. Zatem dwa fatalne kursy, wyraźnie widoczne na ekranie radaru, rzeczywiście przetną się w przestrzeni, lecz nie w czasie. Zabraknie więcej niż ułamka sekundy, he, he. Beláustegui wystrzelił torpedę w bezwładny zardzewiały wrak, pchany przez prądy morskie i wiatr, niosący nocy coś w rodzaju czaszki: zapowiedź metalicznej pustki, cienia, który napędził stracha nawet większym pozytywistom niż ten Argentyńczyk. Natomiast w nikłym rozpędzonym piknięciu na ekranie radaru „Badassa” dopatrzono się trupa o ciemnej karnacji, prawdopodobnie Afrykanina z północy, którego obsługa rufowego karabinu maszynowego szatkowała przez pół godziny, tymczasem szary niszczyciel sunął obok w bezpiecznej odległości z obawy przed zarazą.

A ty? Co za ocean tak naprawdę przepłynąłeś i do jakiego morza dałeś nura aż po samo dno, czujny, wypełniony adrenaliną, lecz w rzeczywistości uwięziony, zaklinowany przez epistemologie tych gróźb, które doprowadzają cię do krańcowej paranoi, zamknięty w garnku ze stali, rozmiękczający się do postaci pozbawionej witamin bulionowej papki twoich własnych słów, twojego jałowego podwodnego oddechu? Trzeba było sprawy Dreyfusa, by syjoniści podnieśli głowy i zaczęli działać: co ciebie wydobędzie z kotła zupy? Czy to już się dokonało? Czy spowodował to dzisiejszy atak i ratunek? Czy dotrzesz do Pustaci i założysz osadę? Zaczekasz na przybycie Reżysera?



W cieniu wierzby przy kanale siedzą w dziupie Cziczerin i jego kierowca Dżabajew, nastoletni kazachski ćpun z krostami i wiecznie kwaśną miną, który czesze się jak amerykański szansonista Frank Sinatra, a w tej chwili patrzy krzywo na porcję haszyszu i mówi do Cziczerina:

– Dlaczego nie wzięłeś więcej?

– Wziąłem tyle, ile warta jest dla niego wolność – wyjaśnia kapitan. – Gdzie fajka?

– Skąd wiadomo, ile jest warta? Wiesz, co ja myślę? Że za bardzo zdomowiłeś się w Strefie. – Ten Dżabajew to bardziej kumpel niż zwykły szofer, może więc bezkarnie kwestionować – do pewnego stopnia – poczytalność Cziczerina.

– Posłuchaj, wsiochu, czytałeś przecież meldunek. Ten facet to nieszczęśliwy samotnik. Ma problemy. Większy z niego pożytek, gdy bryka po Strefie w przekonaniu, że jest wolny. Tak naprawdę sam lepiej by na tym wyszedł, gdyby go zapuszkować. On nawet nie wie, na czym polega wolność, a tym bardziej ile jest warta. To ja ustalam cenę, co i tak nie ma znaczenia.

– Twardo powiedziane – sztydzi młody Dżabajew. – Gdzie zapaliki?

A jednak to smutne. Cziczerin lubi Slothropą. Uważa, że w normalnych czasach mogliby się zaprzyjaźnić. Ci, którzy wkładają dziwaczne stroje, dają dowody *savoir-vivre*'u – nie wspominając już o zaburzonej osobowości – który kapitan darzy podziwem. W dzieciństwie, jeszcze w Leningradzie, matka uszyła mu w rękę kostium na szkolne przedstawienie. Był wilkiem. Gdy tylko go włożył na głowę przed lustrem zawieszonym obok ikony, rozpoznał siebie. *Był wilkiem.*

Wspomnienie sesji z amytałem sodu ćmi w czaszce Cziczerina, jak gdyby to on miał kaca. Głęboko, głęboko – niżej niż sięga polityka, seks i dziecięce lęki... nur w nuklearną czerń. Cały tekst meldunku usiany jest czernią:

powtarza się czarny kolor. Slothrop ani razu nie wymienił imienia „Enzian” ani nazwy „Schwarzkommando”. Mówił natomiast o Schwarzgerät. W uchwyconych fragmentach po niemiecku połączył też *schwarz* z innymi dziwnymi rzeczownikami. Czarnakobieta, Czarnarakieta, Czamysen... Określenia ukute zapewne nieświadomie. Czy istnieje pojedyncze źródło, położone głębiej, niż ktokolwiek sięgnął, z którego wytryskują po kolei Czarne Słowa Slothrop? Czy może poprzez mowę zaraził się niemiecką manią nadawania mian, coraz drobniejszego dzielenia Dzieła Stworzenia, analizowania, beznadziejnego odgradzania nazywającego od nazwanego, a nawet przywoływania matematycznych kombinacji, szepiania rzeczowników, by powstały nowe, czy zaraził się tą nieskończeniem, obłąkańczo szalbierczą grą chemika, którego molekułami są słowa?...

Cóż, ten człowiek jest zagadką. Kiedy Geli Tripping dała znać pierwszy raz o jego pobycie w Strefie, Cziczerin zainteresował się sprawą tylko na tyle, by objąć go rutynową obserwacją, podobnie jak dziesiątki innych ludzi. Rzecz jednak osobliwa – coraz osobliwsza w miarę prowadzenia inwigilacji – bo facet działa w pojedynkę. Jak dotąd, Slothrop nie zewidencjonował, nie zidentyfikował, nie odszukał, nie pozyskał najmniejszego fragmentu A-4. Nikomu nie składa meldunków: ani Grupie Operacyjnej do Spraw Pocisków Specjalnych, ani Podkomisji Wspólnych Zadań Wywiadowczych, ani BAFO, ani Wywiadowi Technicznemu, ani żadnemu amerykańskiemu odpowiednikowi – żadnej znanej alianckiej agendzie. A jednak jest jednym z Wiernych: padlinożercy w pocie czoła podążają teraz śladem baterii raketowych, wycofujących się z Hoek van Holland przez Dolną Saksonię. Pielgrzymi na drogach cudu: każdy drobny fragment świętą relikwią, najmniejszy strzęp podręcznika obsługi werselem z Biblii.

Sęk w tym, że Slothrop nie interesuje się zwykłym żelastwem. Wstrzymuje się, oszczędza siły z myślą o czymś nadzwyczajnym. Czy chodzi o Czarną Raketę? O 00000? Enzian jej szuka, szuka też tajemniczego Schwarzgerät. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że w reakcji na doznawaną, lecz

nieuświadomioną potrzebę, gnany swoim *Schwarzphenomenon*, Slothrop będzie dopóty powracał do Enziana, dopóki misja nie zostanie zrealizowana, interesy stron zabezpieczone, sprzęt odnaleziony. To silne przecucie: Cziczerein nijak nie mógłby sformułować tego na piśmie. W kategoriach operacyjnych jest tutaj samotny podobnie jak Slothrop – jeśli zachodzi konieczność, meldunki składa bezpośrednio do specjalnej komisji Malenkowa z ramienia Rady Komisarzy Ludowych (odkomenderowanie do Centralnego Instytutu to w zasadzie mydlenie oczu). Slothrop jest jego zdobyczą. Będzie obserwowany jak trzeba. Jeśli go zgubią, co tam, odnajdzie się. Szkoda, że nie można faceta zmotywować, by ze względów osobistych dopadł Enziana. Cóż, Cziczerein nie jest na tyle głupi, by myśleć, że wszystkich Amerykanów da się wykorzystać tak łatwo jak tego majora Marvy'ego z jego odruchowymi reakcjami na czerni...

A jednak szkoda. Cziczerein i Slothrop mogliby wypalić razem haszysz, wymienić się wrażeniami na temat Geli i innych dziewczyn z ruin. Zaśpiewałby Amerykaninowi piosenki, których nauczyła go matka, kijowskie kołysanki, rozgwieżdżone niebo, kochankowie, białe kwiecie, słowiki...

– Gdy następnym razem napatoczymy się na tego Anglika, Amerykanina, czy kim on jest – Dżabajew ze zdziwieniem przygląda się swoim dłoniom na kierownicy – dowiedz się, z łaski swojej, gdzie trzyma to gówno, dobrze?

– Zapisz, bo zapomnę – rozkazuje Cziczerein. Obaj rechoczą jak opętani tam pod tą wierzbą.



Slothrop przytomnieje cyklami, budzi się i zapada w sen: miarowe, pogodne dialogi po rosyjsku, dłonie mierzące tętno, szerokie zielone plecy, wychodzące z pokoju... To biały pokój, idealny sześcian, choć przez moment nie potrafi rozpoznać sześciątów ani w ogóle ścian, bo położyli go plackiem i wszystko jest nazbyt przestrzenne, Tylko pewność, że znowu zaliczył amytal sodu. Dobrze mu znane uczucie.

Leży na pryczy, nadal w kostiumie Rocketmana, hełm na podłodze obok marynarskiego worka z haszyszem – oho. Choć wymaga to nadludzkiej odwagi w obliczu wątpliwości, czy w ogóle może się ruszyć, przewraca się na bok i filuje do worka. Wygląda na to, że coś ubyło z jednej z paczek owiniętych w cynfolię. Po godzinie lub dwóch niepewności udaje mu się odwinąć wierzch, no i oczywiście, ślad po nożu, świeża zieleń, a wszędzie indziej bury brąz. Za ścianą dźwięczą kroki na metalowych schodach, gdzieś niżej przesuwają się ciężkie drzwi. Cholera. Leży w białym sześcianie, odurzony, nogi skrzyżowane, ręce pod głową, właściwie nie ma ochoty iść dokądkolwiek... Zasypia, śnią mu się ptaki, zwarte stado trznadli, przywiane kłębisko ptaków wśród gęsto padającego śniegu. Jest z powrotem w Berkshire. Malutki Tyrone trzyma ojca za rękę. Chmara ptaków faluje, poniewierana przez burzę, frunie w górę, na boki, znowu w dół, w poszukiwaniu pożywienia. „Biedactwa” – mówi Slothrop i czuje, że tatuś ściska jego dłoń w wełnianej mitence. Broderick się uśmiecha. „Nic im nie będzie. Ich serduszka biją bardzo szybko. Krew i pióra zapewniają im ciepło. Nie martw się, synku. Nie martw się...”. Slothrop budzi się kolejny raz w białym pokoju. Martwota. Unosi nogi i wykonuje słabowicie rowerek, potem leży i klepie się po sadle, które zapewne urosło, odkąd go dopadli. Niewidzialne królestwo tłuszczu, miliony komórek łązą samopas, wiedzą, kim jest – gdy tylko traci przytomność, zaczynają swoje hece, wszystkie co do jednej piszczą tymi okropnymi głosikami Myszki Miki, hej, koleżanki,



zbiórka, pędem do Slothrop, ten wielki gamoń nic nie robi, tylko się byczy  
święństwem do góry, szybko, o raj!

– A weźcie to sobie – mruczy Slothrop. – I to też!

Ręce i nogi sprawne, wstaje więc z jękiem, wkłada hełm, bierze worek i wychodzi drzwiami, które całe się trzęsą, razem ze ścianami, kiedy je otwiera. Aha! Pokoje z brezentu! Plan filmowy. Dociera do niego, że znajduje się w podupadłym starym studiu, jest ciemno, tylko przez małe dziury w suficie wpada żółte słońce. Zardzewiałe pomosty, które skrzypią pod ciężarem jego ciała, szerniałe wypalone lampy, misterne sploty pajęczyn przeobrażone przez nitki dziennego światła w papier milimetrowy... Nawiało kurzu do kątów i na resztki najrozmaitszych scenografii: w fałszywie przytulne miłosne gniazdka, zatłoczone palmami nocne kluby o pochyłych ścianach, na wagnerowskie blanki z papier-mâché, dziedzińce kamienic utrzymane w ostrej ekspresjonistycznej czerni/bieli, wybudowane poza jakąkolwiek ludzką skalą, wszystko zmniejszone w perspektywie z myślą o upartych obiektywach, które dawniej na to patrzyły. Domalowane jasne smugi dezorientują oko, bo widząc te żółtawe paski, Slothrop zerka raptownie w górę, rozgląda się w poszukiwaniu źródeł światła, których tu nigdy nie było, coraz bardziej zaniepokojony, im dłużej myszkuje po starej ruderze, dźwigary dwadzieścia pięć metrów nad głową prawie niewidoczne w cieniu, potyka się o echo własnych kroków, kicha od wzbijanego przez siebie kurzu. Rosjanie się zabrali, ale nie jest sam. Schodzi metalowymi stopniami przez porozrywane pajęczyny, obok rozwścieczonych pajaków i ich wyschniętego żeru, rdza chrzęści pod stopami, i wtedy na samym dole czuje nagle szarpnięcie za pelerynę. Wciąż lekko skołowany po zastrzyku, wzdryga się tylko gwałtownie, nic więcej. Trzyma go dłoń w rękawiczce, połyskliwa giemza naprężona na wyrazistych małych knykciach. Kobieta w czarnym paryskim surducie z fioletowo-żółtym irysem na piersi. Mimo oddzielających ich fałd aksamitu Slothrop czuje drżenie dłoni. Patrzy w oczy pod lukami nakreślonymi jakby czarnym popiołem, pojedyncze

ziarenka pudru na twarzy wyraźne jak pory, które puder przeoczył lub odsłonił pod naporem łez. W takich właśnie okolicznościach poznaje Margheritę Erdmann, swoje pozbawione światła palenisko w środku lata, glejt na wyprawę we wspomnienia zbrukanego strachem *Inflationszeit* – poznaje swoje dziecko i swoją bezradną Elżbietę.

Ona jest tu tylko przejazdem: kolejna z miliona wykorzenionych. W drodze na wschód, do Świnoujścia, pod warunkiem, że Rosjanie i Polacy ją wpuszczą. Szuka córki, Bianki. Pozwoliła sobie na sentymentalny wypad do Neubabelsbergu – nie była w tutejszych studiach szmat czasu. Lata dwudzieste i trzydzieste przepracowała jako aktorka filmowa, także w Tempelhof i Staaken, ale to miejsce zawsze lubiła najbardziej. Właśnie tutaj zagrała w kilkunastu odrobinę pornograficznych filmach reżyserowanych przez wielkiego Gerhardta von Gölla.

– Od samego początku wiedziałam, że to geniusz. Byłam tylko narzędziem w jego rękach.

Nigdy nie miała zadatków na gwiazdę, przyznaje się bez bicia, gdzie tam, żadna z niej Dietrich ani wamp w typie Brigitte Helm. Cechowało ją jednak coś, czego oni szukali – oni (Slothrop: „Oni?” Erdmann: „No nie wiem...”), ochrzczona „Antydietrich”, nie niszczyła mężczyzn, tylko była lalką – ospała, wyczerpana...

– Widziałam wszystkie nasze filmy – wspomina – niektóre po sześć, siedem razy. Na żadnym się *nie ruszam*. Nawet twarz jest zastygła. Ach, te długie zamglone zbliżenia... to mógłby być ciągle ten sam kadr. Nawet uciekając – bo zawsze musiały mnie ścigać potwory, szaleńcy, przestępcy – byłam niezmiennie taka – błysk bransolet – bierna, taka... posągowa. Gdy nie uciekałam, na ogół pętali mnie albo przykuwali do czegoś. Chodź, pokażę ci. – Prowadzi Slothrop na dół, do dawnej izby tortur, drewniane kły wyłamane z koła zębatego, kruszące się i poobtłukiwane gipsowe mury, chmury kurzu, pogaszone pochodnie, wystygłe i przekrzywione w uchwytach. Między palcami w gniemnie przesuwają chrzęszczące drewniane

łańcuchy, z których zeszła większość srebrnej farby. – To scenografia do „Alpdrücken”. W tamtych czasach Gerhardt był zwolennikiem przesadnego oświetlenia. – Srebrzysta szarość zbiera się w drobnych fałdach rękawiczek; Margherita ściera dłonią kurz z desek i kładzie się na nich. – O, w ten sposób – podnosząc ręce, nalegając, by zapiął blaszane kajdany na jej przegubach i stopach. – Światło padało jednocześnie z góry i z dołu, więc każdy miał dwa cienie: Kaina i Abla, jak powiedział Gerhardt. To było u szczytu jego okresu symbolicznego. Później zaczął wykorzystywać więcej światła naturalnego, częściej kręcił w plenerze. – Pojechali do Paryża, Wiednia. Do Herrenchiemsee w Alpach Bawarskich. Von Göll marzył o zrobieniu filmu o Ludwiku II. Omal nie wylądował przez to na czarnej liście. Bo wtedy zachwycono się Fryderykiem. Mówienie, że niemiecki władca może być szaleńcem, uważano za mało patriotyczne. Ale to złoto, lustra, mile barokowego zdobnictwa doprowadzały von Gölla do lekkiego obłędu. Zwłaszcza długie korytarze... „Metafizyka korytarzy”, oto jak Francuzi nazywają ten stan. Starzy znawcy chichotali przyjaźnie na widok ujęć von Gölla, który nawet gdy już skończyła się taśma, z tępowym uśmiechem jeździł ciągle kamerą na wózku przed złotymi dekoracjami. Ich ciepło przetrwało w bieli i czerni kliszy ortochromatycznej, choć filmu nigdy nie wpuszczono na ekrany. „Das Wütend Reich”, jak można coś takiego pokazać? Niekończące się pertraktacje, wymuskane faceciki z hitlerowskimi znaczkami w klapach pchały się na plan, przerywały kręcenie, włożyły nosem prosto w ściany z szyb. Zaakceptowałyby wszystko zamiast słowa *Reich*, nawet *Königreich*, ale von Göll był uparty jak muł. Stapał po linii. Żeby się zrehabilitować, zaraz potem zaczął robić „Zdrowe społeczeństwo”, które podobno zachwyciło Goebbelsa do tego stopnia, że obejrzał film trzy razy, chichocząc i kuksając z uciechy w ramię sąsiada, którym być może był sam Adolf Hitler. Margherita grała lesbijkę w kawiarni, „tę z monoklem, która na samym końcu zostaje wybatożona na śmierć przez transwestytę, pamiętasz?”. Ciężkie nogi w pończochach połyskują teraz surowym, mechanicznym

światłem, wąskie kolana ocierają się o siebie, bo nadchodzą wspomnienia, wprawiając ją w podniecenie. Slothrop też. Kobieta uśmiecha się do jego naprężonego krocza pod kozłową skórą. – Był piękny. Na obie strony, wszystko jedno. Trochę go przypominasz. Zwłaszcza... te buty... „Zdrowe społeczeństwo” to nasz drugi film, a ten – ten? – no, „Alpdrücken”, był pierwszy. Wydaje mi się, że Bianca jest jego córką. Zaszłam w ciążę, gdy razem kręciliśmy. On grał Wielkiego Inkwizytora, który mnie torturował. Ach, mówię ci, byliśmy ulubieńcami Rzeszy – Greta Erdmann i Max Schlepzig, Cudownie Razem –

– Max Schlepzig – wtóruje Slothrop z rechem. – Nie żartuj. Max Schlepzig?

– To nie było jego prawdziwe nazwisko. Ja też nie jestem Erdmann. Ale wszystko, co miało w sobie „ziemię”, wydawało się politycznie bezpieczne, ziemię, glebę, naród... to był kod. Który oni, oglądając filmy, umieli rozszyfrować... Max miał żydowsko brzmiące nazwisko, coś chyba ze „ski” na końcu, więc Gerhardt uznał, że mądrzej będzie dać mu nowe.

– Nie uwierzysz, Greta, ale ktoś uznał też, że mądrze będzie dać mi nazwisko „Max Schlepzig”. – Pokazuje jej przepustkę od Bummera.

Ona wpatruje się w dokumenty, potem zerka na niego. Znów dygocze. Mieszanina pożądania i strachu.

– Wiedziałaś.

– Co wiedziałaś?

Oczy w bok, z pokorą.

– Że nie żyje. Zniknął w trzydziestym ósmym. Nie marnują czasu, co?

Slothrop naoglądał się w Strefie dostatecznie dużo europejskiej psychozy paszportowej, by zrozumieć, że kobietę trzeba szybko pocieszyć.

– To fałszywe papiery. Wybrano pierwsze lepsze nazwisko. Facet, który to sprokurował, prawdopodobnie pamiętał Schlepziga z filmów.

– Pierwsze lepsze? – Melodramatyczny, aktorski uśmiech, zaczątki podwójnego podbródka, jedno kolano podciągnięte do góry na tyle, na ile

pozwalają ołowiane nogi. – Jeszcze jedno określenie z bajek. Na przepustce jest autentyczny podpis Maxa. W domu Stefanii nad Wisłą przechowuję stalowe pudełko z listami od niego. Myślisz, że nie rozpoznam łacińskiego „z”, przeciętego pośrodku kreseczką zwyczajem inżynierów, i tego zakrętasa w „g” na samym końcu? Zjeździłbyś całą Strefę w poszukiwaniu swojego „falszera”. Nie pozwoliliby ci go odnaleźć. Oni chcą mieć ciebie właśnie tutaj i właśnie teraz.

Rany. Co się dzieje, gdy paranoik spotyka paranoika? Krzyżują się solipsyzmy. Wyraźnie. Dwa wzory tworzą trzeci: mora, nowy świat płynnych cieni, interferencji...

– Chcą mnie tutaj? A po co?

– Z mojego powodu. – Szept wypływa ze szkarłatnych warg, otwartych, wilgotnych... Hm, ten wzwód doprasza się uwagi. Slothrop siada na deskach, nachyla się, całuje Margheritę, rozpina portki, ściąga je z bioder, żeby wypuścić na świat fiuta, który kiwa się lekko na boki w chłodnym studiu.

– Włóż hełm.

– Nie ma sprawy.

– Jesteś bardzo okrutny?

– Bo ja wiem?

– A postarałbyś się? Proszę. Znajdź coś, czym mógłbyś mnie wychłostać. Trochę. Żebym się rozgrzała. – Nostalgia. Ból wskutek powrotu do domu. Slothrop szpera wśród narzędzi inkwizytora, oków, śrub do miażdżenia palców, skórzanej uprząży, wreszcie znajduje miniaturowy pejcz o dziewięciu końcach – bicz elfów z Czarnego Lasu – w polakierowanej rączce wyrzeźbiona orgia, rzemienie owinięte aksamitem, by bolało, ale nie cięło do krwi. – Tak, doskonale. Po wewnętrznej stronie ud...

Ktoś już go przecież nauczył. Coś... co marzy po prusku, zimując wśród ich łąk, we wszelkich pręgach, które czekają na przywołanie na ciele ich jakże ponurego nieba, niezdolnego do osłony... Nie. Nie – on nadal mówi „ich”, ale już wie. Teraz to jego łąki, jego niebo... jego okrucieństwo.

Łańcuchy i kajdany Margherity wybijają tony, spódnica zakasana do talii, pończochy naciągnięte u góry, klasycznie poprzipinane spiczastymi końcami do podwiązek u czarnego pasa na fiszbinie. Jakże błyskawicznie członki mężczyzn na Zachodzie prężą się od stulecia na widok pojedynczego punktu u brzegu kobiecej pończochy, tego stadium przejściowego między jedwabiem a gołą skórą i podwiązką! Niefetyzystom łatwo pokpiwać sobie z pawłowowskiego wyrobienia nawyku i nie dostrzegać w tym niczego więcej, ale każdy miłośnik *dessous* wart swojego niezdrowego chichotu powie ci, że sprawa na tym się nie kończy – w grę wchodzi bowiem kosmologia: punktów styczności, punktów węzłowych, wierzchołków, matematycznych pocałunków... *osobliwości!* Weź pod uwagę iglice katedr, święte minarety, chrzęst kół pociągu na zwrotnicy, gdy patrzysz, jak w bok ucieka tor, którego nie wybrałeś... górskie szczyty, wznoszące się ostro do nieba, widziane na przykład w malowniczym Berchtesgaden... ostrza stalowych brzytw, zawsze kryjące potężną tajemnicę... ciernie róży, które kłują nas znienacka... a nawet, idąc za głosem rosyjskiego matematyka Friedmanna, nieskończenie gęsty punkt, z którego rozrósł się obecny wszechświat. W każdym wypadku przejście od punktu do niepunktu niesie ze sobą iluminację i zagadkę, do których coś w nas zrywa się ze śpiewem albo przed którymi umyka ze strachu. Obserwując A-4 wycelowaną w niebo – tuż przed odpaleniem – obserwując ten pojedynczy punkt na samym koniuszku Rakiety, gdzie znajduje się zapalnik... Czy te wszystkie punkty – tak samo jak punkt Rakiety – wskazują zagładę? Co to jest, co eksploduje nad katedrą hen, na niebie? Pod ostrzem brzytwy, pod różą?

I jaka niemiła niespodzianka czeka Slothrop za wierzchołkami pończoch Greta? Nagle puszcza oczko, blada smuga mknie w dół uda, przez nierówności kolana, znika... Co czeka za świstem i trzaskiem aksamitnego pejcza, łojącego skórę, za długimi czerwonymi paskami na białej ziemi, jękami, kwiatem koloru siniaka na piersi, szczękiem krępujących kajdan? Slothrop próbuje nie zrywać pończoch z ofiary, nie chłostać zbyt blisko

naprężonego sromu, który dygocze odsłonięty, rozdziawiony między udami, erotyczny wśród ruchów mięśni, uległy, „posagowy” jak każdy srebrny, celuloidowy wizerunek ciała Greta Erdmann. Ona szczytuje raz, potem chyba drugi, dzieje się to, zanim Slothrop odkłada pejcz i gramoli się na nią, okrywając ją skrzydłami peleryny, on – substytut jej Schlepziga, ona – jego najświeższe wspomnienie Katje... zaczynają się pieprzyć, stare lipne deski jęczą pod nimi, Margherita szepcze: „Boże, jak ty się nade mną pastwisz” i: „Och, Max”... no i gdy Slothrop jest bliski wytrysku, wypowiada imię córki: napięte słowo wyrywa się zza idealnych zębów, wyraźne wyzbycie się bólu, który wcale nie jest zabawą, wołanie: „Bianca”...





„...o tak, ty dziwko – tak, mała dziwko – biedna, bezradna dziwko, szczytujesz, nic nie poradzisz, znowu cię wychłoszczę, spłyniesz krwią...”. To Pökler, z przodu, od oczu po kolana, obłany dzisiejszym wizerunkiem przecudownej ofiary, przykutej do narzędzia tortur w lochu, wypełniającym ekran kina – zbliżenia wykrzywionej twarzy, zadziwiająco sztywne brodawki pod jedwabną suknią zadają kłam okrzykom bólu – dziwka! Uwielbia to... Leni nie jest już posępną żoną, rozgoryczonym źródłem siły, pod nim leży Margherita Erdmann, tym razem na dole, a Pökler znowu się w nią wwierca, znowu, o tak, ty dziwko, tak...

Dopiero później próbował określić ten dzień. Perwersyjna ciekawość. Dwa tygodnie po jej ostatniej miesiączce. Wyszedł ze wzwodem w spodniach z kina „Ufa” na Friedrichstrasse, myśląc – jak wszyscy – tylko o tym, by znaleźć się prędko w domu i wyjechać kogoś, jebaniem zmusić do uległości... Boże, Erdmann była piękna. Ilu innych mężczyzn powlokło się z kina w Berlin czasu kryzysu, ilu niosło w sobie ten sam obraz z „Alpdrücken” w drodze do nieatrakcyjnego grubego babsztyla, będącego namiastką kochanki? Ile dzieci-cieni poczęło się w łonie Erdmann tamtej nocy?

Zajście w ciążę przez Leni nigdy nie wydawało się Pöklerowi realną ewentualnością. Patrząc wstecz, doszedł do wniosku, że to musiało się stać tamtej nocy. W noc „Alpdrücken”, to wtedy spłodzili Use. Przecież tak rzadko się pieprzyli, nietrudno więc ustalić. Tak się to stało. Film. Jak inaczej? To właśnie zrobili z mojego dziecka! Film!

Dzisiejszego wieczoru siedzi przy ognisku z drewna zebranego na plaży, w piwnicy porośniętego cebulą Nikolaikirche, wsłuchany w szum morza. W prześwitach koła Ferrisa wiszą gwiazdy, nietrwale jak świece i papierosy przed snem. Chłód zbiera się na brzegu. Zjawy dzieci – białe pogwizdywanie, łzy, które nie popłyną – mkną na wietrze za murem. Zwitki wyblakłej krepiny suną po ziemi, przemykając po jego starych butach. W

poświacie nowo wykrojonego księżycy kurz migocze jak śnieg, a Bałtyk pełza niczym jego matka-lodowiec. Serce Pöklera szamocze się w szkarłatnej sieci, elastyczne, pełne nadziei. Franz czeka na Ilse, na swoje filmowe dziecko, które jak co roku powinno wrócić latem do Zwölfkinder.

Między dwu- i trójnożnymi końmi, zardzewiałymi trybami i pod rozłupanym dachem karuzeli śpią bociany, ich łepki rozkołysane podmuchami powietrza i żółtą Afryką, filigranowe czarne węże sto stóp niżej wiją się w promieniach słońca na skałach i w suchych żupach. W szczelinach chodnika, fałdach psa ze ślepiami jak spodki, ustawionego przed ratuszem, brodzie kozła na moście i paszczy trolla poniżej szarzeją nawiane wielgachne kryształki soli. Świnia Frieda szuka miejsca osłoniętego od wiatru, by się zagnieździć i zdrzemnąć. Gipsowa wiedźma – drucziana siatka widoczna na jej piersiach i pośladkach – nachyla się przy piecu, pogrzebacz wiecznie wycelowany w skorodowanego Jasia. Wybałuszone oczy Małgosi zastygłe, ani jednego mrugnięcia, ciężkie od soli rzęsy trzepoczą w walce z partyzanckim wiatrem od morza.

Jeśli rozbrzmiewa jakakolwiek muzyka, są to zawsze instrumenty smyczkowe i dęte, wyległe na plaże szeregiem jasnych koszul i czarnych krawatów; przy połamanym, oblepionym przyplływami falochronie organista w pelerynie, którego piszczałki zwołują i kształtują akustyczne widma, upiorne wspomnienia – wszystkie śladem, cząsteczką, falą – sześćdziesięciu tysięcy tych, co – już zakwalifikowani jako ofiary – przeszli tędy raz lub dwa. Czy byłeś kiedykolwiek na wakacjach w Zwölfkinder? Trzymałeś ojca za rękę, gdy jechaliście pociągiem z Lubeki, wpatrywałeś się w swoje kolana albo w inne dzieci, tak samo wypucowane, pachnące wybielaczem, szuwaksem i karmelem? Czy w twoim portfeliku brzęczały drobne, gdy krążyłeś po Kole, czy kryłeś buzię w klapach ojcowskiej marynarki albo klęczałeś na siedzeniu, próbując dojrzeć przez okno Danię za morzem? Czy zląkłeś się, gdy karzeł chciał cię uściskać, czy w ciepłe popołudnie swędziało ciało w grubym ubranku, co mówiłeś, co czułeś, gdy obok przebiegli

chłopcy, zrywając sobie nawzajem czapki z głów, zbyt tym zaabsorbowani, by cię dostrzec?

Niechybnie zawsze była dzieckiem na czyjejs liście. On po prostu unikał myślenia o tym. A jednak przez cały czas z jej ściągniętej twarzy i wstrzemięźliwego kroku wyzierało przyszłe zniknięcie i gdyby nie potrzebował tak bardzo jej opieki, być może dostrzegłby w porę, że w gruncie rzeczy ona niczym nie potrafi się opiekować, nawet ich wspólnym nędznym gniazdkiem. Nie mógł z nią rozmawiać – toczył spory z własnym cieniem sprzed dziesięciu lat – ten sam idealizm, młodzieńcza porywczność – z tym, co dawniej go oczarowało – kobieta z charakterem! – lecz co zaczął postrzegać jako oznakę jej obsesyjności, a nawet, mógłby przysiąc, pragnienia zguby...

Ilekróć wychodziła na swoje uliczne imprezy, myślała, że już nie wróci, ale on nie zdawał sobie z tego sprawy. Lewicowcy i Żydzi na mieście, hałaśliwi, niesympatyczni, lecz policjanci utrzymają ich w ryzach, jej nic nie grozi, chyba że sama będzie szukać guza... Później, gdy już odeszła, podpiał sobie pewnego przedpołudnia na smutno i wreszcie wyszedł, pierwszy i ostatni raz, mając nadzieję, że ciśnienie fatum albo hydrodynamika tłumu znowu ich złączy. Znalazł ulicę, którą wypełniały brązowawe i zielone mundury, pałki, skórzane pasy, nerwowe rozchybotane transparenty, mnóstwo spanikowanych cywilów. Policjant zamachnął się, ale Pökler uskoczył i w rezultacie pałka trafiła starszego mężczyznę, jakiegoś zramolałego brodatego trockistę z innej epoki... zobaczył splot stalowej linki pod powłoką z czarnej gumy, kołtuński uśmiech na twarzy funkcjonariusza, który wyprowadzając uderzenie, wolną ręką chwycił kobiecym ruchem ofiarę za klapę, skórzana rękawiczka na dłoni trzymającej broń odpięta w nadgarstku, oczy odwrócone w ostatniej sekundzie, jak gdyby pałka sprzęgnięta była z układem nerwowym i mogła odnieść uraz w zderzeniu z czaszką starego mężczyzny. Pökler rzucił się do jakichś drzwi, chory ze strachu. Nadbiegli inni policjanci, krokiem tancerzy, łokcie blisko ciała, przedramiona sterczące na boki pod

kątem. W końcu użyli szlauchów z wodą, żeby rozbić tłum. Kobiety sunęły po śliskim bruku i szynach tramwajowych jak lalki, trafione gęstą strugą w brzuchy i głowy, owładnięte brutalnym białym wektorem. Leni mogła być każdą z nich. Pökler dygotał w niszy drzwi i patrzył. Nie mógł się zdobyć na to, by wyjść. Potem rozmyślał o fakturze ulicy, o siatce rowków między kostką brukową. Bezpieczeństwo istniało tylko w świecie skrojonym na miarę mrówki, pędem po ulicach Mrówkowego Miasta, podeszwy butów grzmią nad głową jak czarne pioruny, ty i wszyscy sąsiedzi pełzacie w tłumie, milczycie, ścisk, w głąb szarych i ciemniejących ulic... Pökler umiał znaleźć schronienie wśród głębokich rzędnych i odciętych tego wykresu: do kolejnych punktów docierał, nie wspinając się po krzywej, gdyż na wierzchu wysokiej kostki wystawiłby się na cios, podążał więc cierpliwie szlakiem iksów i igreków,  $P$  (atü),  $W$  (m/sec),  $T_i$  (°K), poruszał się bezpiecznie po kątach prostych ledwo widocznych linii...

Gdy z pewną regularnością zaczął marzyć o Rakiecie, czasem postrzegał ją jako ulicę, której lokalizację znał, ulicę w niewielkiej przestrzeni kratek, kryjącą w sobie coś, co było mu potrzebne. Współrzędne miał w głowie, ale sama ulica okazywała się nieuchwytna. Z biegiem lat, w miarę jak Rakietka stawała się coraz rzeczywistszym środkiem bojowym, współrzędne przemieniły się z kartezjańskiego  $x$  i  $y$  rodem z laboratorium w azymut i zasięg wycelowanej broni: klęczał kiedyś na podłodze w ubikacji monachijskiego internatu, rozumiejąc, że jeśli skieruje twarz dokładnie wedle pewnego namiaru kompasowego, jego modlitwa zostanie wysłuchana: będzie bezpieczny. Miał na sobie szatę ze złotego i pomarańczowego brokatu. Była jedynym źródłem światła. Potem wyszedł na korytarz i choć wiedział, że w pozostałych pokojach śpią ludzie, poczuł się opuszczony. Ruszył zapalić światło – ale w akcie przekręcania wyłącznika zdał sobie sprawę, że pomieszczenie od początku było rozświetlone, i że właśnie sam wszystko pogasił, *wszystko...*

Rakietka jako środek bojowy nie zafascynowała go. Jej narodziny nie były

punktem kulminacyjnym. Od początku chodziło o coś innego.

– Wykorzystują cię do zabijania ludzi – tłumaczyła Leni najlepiej, jak umiała. – Tylko tym się kierują, a ty im pomagasz.

– Ale pewnego dnia posłużą nam wszystkim do opuszczenia Ziemi. Dzięki niej przekroczymy ograniczenia.

Parsknęła śmiechem.

– Przekroczymy ograniczenia? – Takie słowa w ustach Pöklera?

– Pewnego dnia – przekonywał z całych sił – nie będą musieli zabijać. Granice tracą znaczenie. Zdobędziemy kosmos...

– Jaki ty jesteś ślepy! – wyrzucając z siebie to zdanie tak, jak codziennie rzucała mu w twarz jego ślepotę, ją i *Kadavergehorsamkeit* – piękne słowo, które rozbrzmiewa tylko jej głosem, nikogo innego... Lecz nie zachowywał się ulegle jak trup. Zachowywał się politycznie – do pewnego stopnia – bo na poligonie raketowym aż roilo się od polityki. Pion Zaopatrzenia Armii wykazywał coraz większe zainteresowanie działalnością amatorów z Verein für Raumschiffahrt, VfR zaś udostępniło ostatnio wojsku dokumentację dotyczącą eksperymentów. Korporacje i uczelnie, twierdzili wojskowi, nie chcą inwestować kapitału ani zasobów ludzkich w opracowywanie czegoś tak nierealnego jak rakiet. Armia musi zatem zwrócić się do prywatnych inwestorów i towarzystw w rodzaju VfR.

– Cholera – powiedziała Leni. – Wszyscy w tym siedzą. Nie widzisz tego, prawda?

Los stowarzyszenia nie pozostawiał złudzeń. Bez funduszy VfR obumarłoby. Pieniądze miało wojsko, które już finansowało stowarzyszenie określonymi drogami. Wybór był następujący: budować to, czego chcą generałowie – czyli użyteczną broń – albo trwać w chronicznym ubóstwie i marzyć o lotach na Wenus.

– A jak myślisz, skąd wojsko bierze forszę? – zapytała Leni.

– Co za różnica? Pieniądz jest pieniądz.

– Nie!

Major Weissmann był jedną z paru szarych eminencji na poligonie. Z taką samą dozą sympatii i rozsądku umiał rozmawiać z pragmatycznym inżynierem, jak i maniakiem-idealistą. Dla każdego coś miłego. Nowy typ wojskowego, po części człowiek interesu, po części naukowiec. Wszystkowidzący, statyczny Pökler zdawał sobie zapewne sprawę, że na zebraniach VfR toczy się w istocie ta sama gra, co na pełnej przemocy, nieosłoniętej ulicy Leni. Wychowanie zmuszało go do wyszukiwania podobieństw – w równaniach, modelach teoretycznych – a jednak z uporem myślał, że VfR to coś szczególnego, co jest zakonserwowane i niepodatne na upływ czasu. Z własnego doświadczenia wiedział, co czeka marzenia, za którymi nie stoją pieniądze. Zatem wkrótce zorientował się, że unikając stawania po którejkolwiek stronie, stał się najlepszym sprzymierzeńcem Weissmanna. Oczy majora łagodniały, ilekroć spoglądał na Pöklera: na nieco pedantycznym obliczu odmalowywała się mina, jaką Pökler widywał – dzięki przypadkowym lustrom i witrynom sklepowym – na własnej twarzy, kiedy był w towarzystwie Leni. Puste spojrzenie człowieka, który bierze drugiego za pewnik. Weissmann był tak samo pewien Pöklera, jak Pökler Leni. Tylko że Lenni w końcu odeszła. Pöklerowi chyba zabrakło silnej woli.

Uważał się za pragmatyka. Na poligonie rozprawiali o kontynentach, okrążeniach – dostrzegając wiele lat wcześniej niż sztab generalny potrzebę wyprodukowania broni, która rozrywać będzie sojusze, przeskakiwać jak konik szachowy nad dywizjami pancernymi, piechotą, a nawet Luftwaffe. Plutokratyczne narody na zachodzie, komuniści od wschodu. Przestrzenie, modele, gry strategiczne. Mało w tym pasji i ideologii. Czysty pragmatyzm. Gdy wojskowi napawali się nieodniesionymi jeszcze zwycięstwami, inżynierowie od raket musieli umieć myśleć bez fanatyzmu, brać pod uwagę ewentualne klęski niemieckiej armii, odwroty, słabnącą potęgę wyczerpanej Luftwaffe, konieczność posiadania broni o większym zasięgu... Ale to inni dysponowali pieniędzmi, inni wydawali rozkazy – próbując narzucić swoje pragnienia i niesnaski czemuś, co miało własną żywotność, *technologique*,



której nigdy by nie pojęli. Dopóki rakietka była w fazie eksperymentów i opracowań, nie wynikała potrzeba uwierzenia w nią. Później, gdy narodziła się jako broń, gdy stanięto przed obliczem realnego istnienia, rozpoczęła się zażarta walka o władzę. Pökler to dostrzegł. Atletyczni, bezmózgowi mężczyźni, pozbawieni wizji, wyobraźni. Ale mieli władzę, więc nieuchronnie uważał ich za lepszych od siebie, mimo że nimi pogardzał.

Leni jednak się myliła: nikt go nie wykorzystywał. Pökler był przedłużeniem Rakietki, jeszcze zanim ją skonstruowano. Leni przerwała to. Gdy odeszła, rozpadł się. Fragmenty powlatywały na *Hinterhöfe*, do ścieków, porwał je wiatr. Nie mógł nawet pójść do kina. Rzadko teraz wychodził po pracy, żeby wyławiać ze Sprewy bryły węgla. Pił piwo, stercząc w zimnym pokoju, przez wytłuszczone zasłony dosięgało go z szarych chmur wielokrotnie poblądłe i załamane jesienne światło, odbite od murów i rur kanalizacyjnych, wyzbyte wszelkiej nadziei, nim go odnalazło tam, gdzie siedział rozdygotany i płakał. Płakał codziennie, o konkretnej porze, przez miesiąc, aż wreszcie w zatoki wdało się zakażenie. Położył się do łóżka i wypocił gorączkę. A potem przeprowadził się do Kammersdorfu pod Berlinem, by pomagać swojemu przyjacielowi Mondaugenowi na poligonie raketowym.

Temperatura, prędkość, ciśnienie, pozycja brzechw i kadłuba, stabilność i turbulencje, wszystko to wśliznęło się do jego życia na miejsce tego, od czego uciekła Leni. Rankiem, zamiast smętnego podwórka przy kamienicy, oczom ukazywał się las jodeł i sosen. Czy wyrzekł się świata i wstępował do zakonu?

Pewnej nocy spalił dwadzieścia stron obliczeń. Znaki całek wiły się jak zaczarowane kobry, komiczne zawinięte „d” maszerowały niczym garbusy przez ścianę ognia prosto w bałwaniące się koronki popiołu. Ale to była jego jedyna chwilka słabości.

Najpierw pomagał w zespole pracującym nad napędem. Nikt się jeszcze wtedy nie wyspecjalizował. To stało się później, kiedy wkroczyły rozmaite



urzędy i paranoje, a schematy organizacyjne zaczęły przypominać rozkład cel więziennych widziany z lotu ptaka. Kurt Mondaugen, który zajmował się radioelektroniką, wpadł na rozwiązania pewnych problemów z chłodzeniem. Pökler z kolei przerobił oprzyrządowanie do mierzenia ciśnienia miejscowego. Przydało się to później w Peenemünde, gdzie często musieli wyprowadzać ponad sto rurek z modelu mającego średnicę nie większą niż cztery, pięć centymetrów. Pökler przyczynił się do opracowania *Halbmodelle*, przepołowił model wzdłuż i przymocował go płaską stroną do ścianki komory doświadczalnej, następnie poprowadził rurki tamtędy do znajdujących się na zewnątrz manometrów. Jestem mieszkańcem berlińskich slumsów, pomyślał, wiem więc, jak się zadowolić połowicznością... ale taka chwila dumy nie trafiała się często. Nikt tak naprawdę nie mógł przypisać żadnego pomysłu tylko sobie, bo wokół funkcjonowała korporacyjna inteligencja, specjalizacja niewiele znaczyła, a podziały klasowe jeszcze mniej. Przekrój społeczny rozciągał się od von Brauna, pruskiego arystokraty, po ludzi typu Pöklera, którzy grzebali po śmietnikach – niemniej wszyscy jednakowo zdani byli na łaskę Rakiety: nie chodziło tylko o groźbę wybuchu czy spadające z nieba żelastwo, lecz także o Jej niemotę, martwą wagę, oporną i namacalną tajemnicę...

W tamtym okresie najwięcej funduszków i uwagi pochłaniało opracowanie napędu. Problem polegał na tym, by coś wystartowało do góry i jednocześnie nie eksplodowało. Zanotowano drobne niepowodzenia – przepalały się aluminiowe osłony silnika, układy wtryskiwaczy powodowały spalanie rezonansowe, w którym wyjący silnik za wszelką cenę próbował rozerwać się na kawałki – a potem, w czterdziestym trzecim, duże fiasko. Doktor Wahmke postanowił zmieszać nadtlenek z alkoholem, *zanim* paliwo wtrysnęło do komory ciągu, by przekonać się, co się wydarzy. Płomień zapłonu przedostał się wstecz przez obwód do zbiornika. Wybuch zniszczył stanowisko doświadczalne, zabijając Wahmkego i dwóch innych. Pierwsza krew, pierwsza ofiara.

Kurt Mondaugen wziął to za znak. Jeszcze jeden niemiecki mistyk, który wychował się na lekturach Hessego, Stefana Georgego i Richarda Wilhelma, gotów zaakceptować Hitlera na zasadzie Demiańskiej metafizyki. Zdawał się postrzegać paliwo i utleniacz jako parę przeciwieństw, męski i żeński pierwiastek jednoczące się w mistycznym jaju komory spalania: kreacja i destrukcja, ogień i woda, chemiczny ładunek dodatni i ładunek ujemny –

– Kwestia wartościowości – zaprotestował Pökler. – Ot i tyle. Stan powłok zewnętrznych.

– Zastanówmy się – odparł Mondaugen.

Był też Fahringer, facet od aerodynamiki, który w Peenemünde bez przerwy chodził do lasu z łukiem zen i wiązką sprasowanej słomy, by ćwiczyć oddech – napnij cięciwę, puść. Zakrawało to na arogancję w okresie, kiedy jego kolegów doprowadzał do obłędu tak zwany *Folgsamkeitsfaktor*, czyli problem, by długa oś Rakiety we wszystkich punktach pozostała styczna z trajektorią. Dla Fahringera A-4 był grubą japońską strzałą. Zaszła konieczność zjednoczenia się z Rakieta, trajektorią i celem – „nie kierujesz nią, lecz się poddajesz, wychodzisz z roli Strzelca. Akt jest niepodzielny. Ty stajesz się jednocześnie agresorem i ofiarą, rakieta i parabolicznym torem i...”. Pökler nie miał zielonego pojęcia, o czym facet gada. Mondaugen natomiast rozumiał. Mondaugen był bothisattwą: bez względu na to, jakie światło odnalazło go na Kalahari, powrócił z wygnania do świata ludzi i narodów, by dalej grać rolę, którą wybrał z rozmysłem, lecz nie wyjaśnwszy przyczyn. W Südwest nie pisał dziennika, nie wysyłał listów do domu. W 1922 roku wybuchło powstanie w okolicach Bondelswaartzu i ogólne zamieszanie w całym kraju. Jego eksperymenty radiowe zostały przerwane, toteż schronił się wraz z kilkudziesięcioma innymi białymi w domu miejscowego ziemianina nazwiskiem Foppl. Posiadłość była swoistą twierdzą, odcięta od świata ze wszystkich stron przez głębokie jary. Po kilku miesiącach oblężenia i rozpusty, „wypełniony przemożną odrazą do wszystkiego, co europejskie”, Mondaugen wyruszył w pojedynek do buszu,

osiadł wśród Ovatzimba, czyli ludu mrównika, najbiedniejszych Hererów. Przyjęli go bez pytania. Uważał siebie, i tam, i tutaj, za radionadajnik i wierzył, że wysyłane przez niego treści nie stanowią groźby dla tubylców. W jego elektromistycyzmie trioda była tak ważna, jak krzyż w chrześcijaństwie. Wyobraźmy sobie ego, jaźń, która zmuszona jest dźwigać osobiste dzieje sprzęgnięte z upływem czasu, jako siatkę. Głęboka, prawdziwa Jaźń jest strumieniem między katodą i płytką. Stałym, czystym strumieniem. Sygnały – przemieszczające się dane czuciowe, doznania, wspomnienia – lądują na siatce i modulują strumień. Przeżywane przez nas życie jest nieustannie zmieniającą się wraz z czasem formą fali, raz dodatnią, raz ujemną. Jedynie w chwilach wielkiego spokoju możemy odnaleźć czysty, wyzbyty informacji stan zerowego sygnału.

– W imię katody, anody i siatki świętej? – podsunął Pökler.

– Owszem, dobrze powiedziane. – Mondaugen się uśmiechnął.

Najbliższy zeru z nich wszystkich był chyba Afrykanin Enzian, protegowany kapitana Weissmanna. W Versuchsanstalt, za plecami, nazywano go Monstrum Weissmanna, prawdopodobnie nie tyle z pobudek rasistowskich, ile wskutek widoku, jaki obaj przedstawiali, bo Murzyn przerastał o głowę łysiejącego majora, który był typem uczonego, zerkał na podopiecznego przez okulary grube jak denka butelek, podbiegał co parę kroków, by nadążyć, gdy maszerowali razem po asfalcie oraz przez laboratoria i biura, Enzian dominując w każdym pomieszczeniu i plenerze tamtych wczesnych dni z życia Rakiety... Pöklerowi najgłębiej wryło się w pamięć ich pierwsze spotkanie, w zakładzie badawczym w Kummersdorfie, pośród elektrycznych kolorów – zielone butelki z azotem, gruba płatanina czerwieni, żółte i niebieskie instalacje wodociągowe, miedziana twarz Enziana promieniejąca tą samą pogodą ducha, która co jakiś czas oblewała twarz Mondaugena, kiedy oglądał w jednym z luster wizerunek silnika rakiety za przegrodą bezpieczeństwa: w stęchłym powietrzu zakładu, iskrzącym się od napięć ostatniej sekundy, łaknienia nikotyny, nierozumnych

modlitw, Enzian był spokojny...

Pökler przeniósł się do Peenemünde w 1937 roku wraz z dziewięćdziesięcioma innymi. Dokonywali inwazji na Grawitację, należało więc opanować przyczółek. Nigdy w życiu, nawet jako laborant w Berlinie, nie pracował tak ciężko. Szpica spędziła wiosnę i lato na przemienianiu małej wyspy – Greifswalder Oie – w zakład prób: położono nową nawierzchnię, pociągnięto kable i linie telefoniczne, przygotowano kwatery, latryny i magazyny, wykopano ziemię pod bunkry, mieszano beton, bez przerwy wyładowywano skrzynie ze sprzętem, worki cementu, beczki paliwa. Do przewozu towarów między stałym lądem a Oie wykorzystano stary prom. Pökler pamięta wytarty czerwony plusz i porysowany lakier w przyciemnionych kabinach, zaniedbaną blacharkę, rachityczne zawołania gwizdka, woń potu, papierosów i ropy, drżenie mięśni u rąk i nóg, strudzone żarty, wyczerpanie pod koniec każdego dnia, własne świeże odciski, przemienione w złoto przez słońce chylące się ku zachodowi...

Tego lata morze było zazwyczaj niebieskie i spokojne, lecz jesienią pogoda się zmieniła. Nawiało deszczów z północy, temperatura spadła, do magazynów w namiotach wdarł się wiatr, przez całą noc ryczały gigantyczne fale. Woda zrobiła się biała w promieniu pięćdziesięciu metrów od brzegu. Duże grzywacze dmuchały pył wodny na ląd. Zakwaterowany w rybackiej chacie, Pökler wracał z wieczornych spacerów powleczony finezyjną powłoką z soli. Zona Lota. Na jakie nieszczęście ośmielił się spojrzeć przez ramię? Wiedział dobrze.

Tamtego roku powrócił do dzieciństwa, do zranionego psa. Podczas samotnych mokrych wędrówek rozmyślał o Leni: układał scenariusze, w których znowu się spotykali – w jakiejś eleganckiej lub dramatycznej scenerii: ministerstwie, kuluarach teatru – on w otoczeniu dwóch, trzech pięknych kobiet, obwieszonych biżuterią, generałowie i przemysłowcy prześcigają się, by przypalić mu amerykańskie cygaro, wsłuchani w jego rzucane mimochodem odpowiedzi na doniosłe pytania, których Leni nigdy

nie zrozumie. Najprzyjemniejsza historia przychodziła mu do głowy, gdy siedział na klozecie – wystukiwał rytm stopami, z ust rozbrzmiewały szeptem fanfary, opanowywał go miły nastrój wyczekiwania...

Ciążyło mu jednak brzemie ubogiego berlińskiego „ja”. Rozmawiał z nim, słuchał go, sondował, ale ono trwało, nie chciało przeminąć ani pierzchnąć, trzymało się wytrwale, żebrak sterczący na wszystkich ścieżkach jego życia, błagający niemo oczyma i rękoma pewnymi swej fachowej umiejętności wzbudzania poczucia winy. Wytężona praca w Peenemünde, dobre towarzystwo w gospodzie Herr Halligera na Oie – wszyscy liczyli czas do nadejścia warunków pogodowych, sprzyjających strzelaniu – a mimo to Pökler był mniej odporny, niż się spodziewał. Zimne noce w samotności, gra w karty i szachy, męskie nasiadówki przy piwie, koszmary, z których musiał się wyrwać po swojemu, bo nie było ręki, która by nim potrzęsnęła, nikogo, kto pottrzymałby go, gdy na zasłonie u okna pojawiały się cienie – wszystko to dopadło go tamtego listopada, może zresztą sam na to pozwolił. Odruch obronny. Bo działo się coś przerażającego. Bo raz czy dwa, w głębi efedrynowych godzin przed brzaskiem, kiwając głową, *ja, ja, stimmt, ja*, z myślą o jakimś wzorze, który nosisz nie w głowie, ale na głowie, i czujesz, że podskakuje, umyka bokami poza zasięg wzroku, podskakuje niemal, zachowując równowagę – uświadamiał sobie, że to dryfowanie w dal... Pöklera coś porywało w obliczenia, rysunki, wykresy, a nawet w ten surowy sprzęt... za każdym razem, gdy to się działo, panikował i cofał się do szańca rozbudzenia, serce walące, ręce i nogi zbolące, oddech odzywający się małym dźwięcznym uchhh – Coś chciało go dopaść, tutaj, wśród papierów. Lęk przed unicestwieniem nazwany Pökler wiedział, że to Rakietka, że to ona go przyzywa. Wiedział też, że w takim unicestwieniu może się uwolnić od samotności i klęski, a jednak nie był przekonany... Zatem na modłę serwozaworu miotał się po Zerze, między dwoma pragnieniami, między tożsamością osoby a bezosobowym ratunkiem. Mondaugen to widział. Potrafił wejrzeć w serce Pöklera. Mimo współczucia nie umiał jednak zdobyć

się na żadną darmową radę dla przyjaciela. Pökler musiał odnaleźć własną drogę do zerowego sygnału, własny kurs.

W trzydziestym dziewiątym zakłady w Peenemünde okrzepły, Pökler zaś przeniósł się na stały ląd. Mając do dyspozycji niewiele więcej niż traktat Stoddy o turbinach parowych oraz przydatne dane, uzyskiwane sporadycznie z uniwersytetów w Hanowerze, Darmstadt, Lipsku i Dreźnie, zespół opracowujący napęd przeprowadzał próby z silnikiem raketowym o ciągu półtorej tony, ciśnieniu spalania w wysokości dziesięciu atmosfer i czasie trwania wynoszącym sześćdziesiąt sekund. Uzyskiwana prędkość wylotowa gazów sięgnęła tysiąca ośmiuset metrów na sekundę, ale dążono do dwóch tysięcy. Nazwali to liczbą magiczną i rozumieli owo określenie dosłownie. Tak jak spekulanci giełdowi wiedzą, kiedy zlecić transakcję, instynktownie odgadując tempo zmian, a nie publikowane dane, czując przez skórę, kiedy należy kupować albo sprzedawać, tak samo w inżynierach odzywają się odruchy dostrojone w taki sposób, że wiadomo, co w danej chwili za pomocą dostępnych środków może się uobecnąć w formie funkcjonującego sprzętu – słowem, co jest „wykonalne”. W dniu, gdy wykonalna stała się prędkość wylotowa gazów, wynosząca dwa tysiące metrów na sekundę, A-4 znalazł się w zasięgu ręki. Wtedy wyniknął problem, żeby nie dać się uwieść nazbyt wymyślnym podejściom do sprawy. Nikt nie był odporny na tę chorobę. Mało który konstruktor, nie wyłączając Pöklera, nie zbudował przynajmniej jednej maszyny-potwora: głowa gorgony z kłębowiskiem przewodów i rurek, zawiała ornamentyka, kontrolująca ciśnienie, solenoid umieszczony na zaworach sterujących, umieszczonych na zaworach pomocniczych, umieszczonych na zaworach zapasowych – do tych cudacznym propozycji drukowano jako załączniki setki stron z nazwami zaworów, obiecując ogromne różnice ciśnienia między wnętrzem komory a wylotem dysz – piękne, pod warunkiem, że nie zwracało się uwagi na miliony ruchomych części, zachowujących się razem o niebo nazbyt odpowiedzialnie. Sęk w tym, że aby skonstruować niezawodnie działający silnik, którego wojsko mogłoby



używać na froncie do zabijania ludzi, inżynierowie musieli przestrzegać zasady maksymalnej prostoty.

Prototyp, który wówczas wystrzeliwano, nazywał się A-3, a dowcipni technicy do chrztu użyli butelek z ciekłym tlenem zamiast szampana. Teraz od napędu ważniejszą sprawą stało się sterowanie. Telemetria stosowana w lotach próbnych wciąż była prymitywna. W wodoszczelnym przedziale zamykano termometry i barometry razem z kamerą filmową. Podczas lotu kamera rejestrowała ruch igieł na przyrządach pomiarowych. Po wylądowaniu wyjmowano taśmę i odtwarzano ją, uzyskując dane. Inżynierowie siadali i oglądali film z tarczami instrumentów w rolach głównych. W tym samym czasie na wysokości dwudziestu tysięcy stóp zrzucano z heinkli żelazne modele rakiety. Spadanie fotografował naziemny kineteodolit Askanii. Codzienne porcje kadrów ukazywały, jak na wysokości mniej więcej trzech tysięcy stóp model przekracza prędkość dźwięku. Od co najmniej dwustu lat istniała ta dziwna więź między niemiecką umysłowością a błyskawicznym następstwem kolejnych obrazków, naśladującym ruch – tworząc rachunek różniczkowy i całkowy, podobne podejście zastosował Leibniz do zanalizowania trajektorii kul armatnich, lecących w powietrzu. Teraz Pökler miał się przekonać, że metodę tę rozszerzono poza kadry filmowe, by objąć nią ludzkie życie.

Wrócił na kwaterę o zachodzie słońca, nieobecny myślami i zbyt zmęczony, by zwrócić uwagę na piec barw w ogrodzie, codzienne odmiany nieba nad zakładami, a nawet brak hałasu przy stanowiskach prób. W nosie poczuł zapach morza i wyobraził sobie, że jest kimś, kto okrągły rok mieszka w nadmorskim kurorcie, ale rzadko chadza na plażę. Co jakiś czas na zachodnim krańcu Peenemünde lądował lub startował myśliwiec, a z tej odległości stłumiony jazgot silników brzmiał jak łagodny pomruk. Migotała późna morska bryza. Nie było żadnego ostrzeżenia oprócz uśmiechu na twarzy kolegi, który mieszkał kilka pokoików dalej i właśnie zbiegał po schodach, gdy Pökler szedł na górę. Otworzył drzwi i zobaczył ją siedzącą na



łóżku, stopy zetknięte palcami obok torby podróżnej w kwiaty, spódnica podciągnięta nad kolana, oczy niespokojnie, fatalnie wpatrzone w jego twarz.

– Herr Pökler, jestem pańską...

– Ilse. Use...

Zapewne porwał ją w ramiona, pocałował, zaciągnął zasłony. Odruch. Włosy związała brązową wstążką z aksamitu. Pamiętał, że dawniej miała jaśniejsze i krótsze włosy – no, ale w końcu włosy rosną i ciemnieją. Patrzył na nią kątem oka, a w jego wnętrzu dudniła pustka. Zaistniała realna groźba, że jałowość jego życia zostanie zmieciona przez pojedynczy silny napór miłości. Próbował łątać tamę podejrzeniami, szukał podobieństw w twarzy, którą ostatni raz widział przed wieloma laty nad ramieniem swojej żony, oczka nadal podpuchnięte od snu, spuszczone na plecy Leni w płaszczu, obie w drzwiach, które zaraz zamknęły się za nimi, myślał, że na zawsze – udając, że podobieństw nie dostrzega. Być może udając. Czy to naprawdę ta sama twarz? Tak długo jej nie widział, przez te wszystkie lata nie widział tej pulchnej, mało wyrazistej dziecięcej buzi... Bał się nawet objąć Ilse, bał się, że serce mu pęknie.

– Długo czekasz? – zapytał.

– Od obiadu.

Jadła w stołówce. Major Weissmann przywiózł ją koleją ze Szczecina. Grali w szachy. Major gra powoli, nie zdążyli więc skończyć partii. Przyniósł jej słodczyce i poprosił, by pozdrowiła Pöklera i wytłumaczyła, że nie mógł dłużej zostać...

Weissmann? Co się dzieje? W Pöklerze odezwała się gwałtowna, krótkotrwała furia. W takim razie oni wiedzą wszystko – od początku. Jego życie jest obnażone jak ten nędzny pokój z łóżkiem, komodą i lampką do czytania.

Znalazł więc coś, co wkroczyło między niego a ten niewiarygodny powrót – własny gniew uchronił go przed miłością, której ryzyka nie potrafił podjąć. Wybrał przesłuchiwanie. Córki. Odczuwany wstyd był do zniesienia, wstyd i

chłód. Niechybnie coś wyczuła, bo teraz siedziała bez ruchu, tylko stopy poruszały się nerwowo, głos zaś ściszyła na tyle, że umykały mu fragmenty jej odpowiedzi.

Przysłali ją tutaj z gór, gdzie nawet latem jest zimnawo – z miejsca otoczonego drutami kolczastymi i ostrym punktowym światłem, które pali się całą noc. Nie ma tam chłopców – tylko dziewczęta, matki i stare kobiety, zakwaterowane w barakach, ściśnięte na pryczach, zwykle po dwie na jednym sienniku. Leni czuje się dobrze. Czasem do baraku przychodzi mężczyzna w czarnym mundurze i zabiera ze sobą *Mutti* na kilka dni. Po powrocie ona nie chce rozmawiać ani nawet tulić Ilse, a to do niej niepodobne. Zdarza się, że płacze i prosi, by zostawić ją w spokoju. No to Ilse idzie się pobawić z Johanną i Lilią pod sąsiednim barakiem. Wygrzebały sobie w ziemi kryjówkę, napychają do niej lalek, kapeluszy, sukienek, butów, starych butelek, czasopism ilustrowanych, co tylko znajdują w śmieciach zwalanych przy drucie kolczastym, które nazywają górą skarbów i które zawsze się tłą, w dzień i w nocy: z najwyższej pryczy, na której Ilse śpi z Lilią, gdy nie ma Leni, widać przez okno czerwone ogniki...

Pökler słuchał jednym uchem, bo uzyskał już tę najważniejszą informację: córka wzięła się z konkretnego miejsca, z określonego punktu na mapie, i jest objęta kuratelą władz, z którymi można się skontaktować. Czy udałoby mu się znów ją odnaleźć? Głupiec. Czy udałoby mu się doprowadzić do jej zwolnienia? Pewnikiem wplątał ją w to jakiś facet, niechybnie komuch...

Ufał tylko Kurtowi Mondaugenowi, ale jeszcze zanim z nim porozmawiał, zdał sobie sprawę, że wybrana przez przyjaciela rola pohamuje go od udzielenia pomocy.

– To tak zwane obozy reedukacyjne. Prowadzone przez SS. Mógłbym porozmawiać z Weissmannem, ale nie wiem, czy to poskutkuje.

Mondaugen poznał Weissmanna w Südwest. Spędzili razem miesiące oblężenia w posiadłości Foppla: to właśnie major był jednym z tych, którzy zmusili Mondaugena do ucieczki i życia w buszu. Lecz tutaj, wśród rakiet,

zbliżyli się ponownie do siebie – albo z pobudek typowych dla spalonego słońcem pustelnika, których Pökler nigdy by nie zrozumiał, albo wskutek jakiejś głębszej więzi, która zawsze ich łączyła...

Stali na dachu jednej z montowni, w odległości sześciu mil wyraźnie było widać Oie za pasem wody, co zapowiadało zmianę pogody nazajutrz. Gdzieś w promieniach słońcach przybijano blachę w kadencjach klarownych jak ptasie trele. Błękitna Peenemünde drżała dokoła na wszystkie strony, sen z betonu i mas stali odbijał południowy upał. Powietrze marszczyło się jak kamuflaż. Za jego warstwą coś potajemnie robiło swoje. W każdej chwili złudzenie, na którym stali, mogło pierchnąć, a wtedy spadliby na ziemię. Pökler patrzył poza bagniska, czując bezradność.

- Muszę coś zrobić. Muszę, prawda?
- Nie. Musisz czekać.
- To nie jest w porządku, Mondaugen.
- Nie.
- Co będzie z Ilse? Czy będzie musiała tam wrócić?
- Nie wiem. Ale na razie jest tutaj.

Zatem Pökler jak zwykle zdecydował się milczeć. Gdyby obrał inną drogę, póki była pora, być może wszyscy by się uratowali. Może nawet wyjechali z kraju. Potem, kiedy chciał działać, wziąć sprawy w swoje ręce, było już za późno, nie zostało nic do wzięcia.

Hm, tak Bogiem a prawdą, nie rozpamiętywał zbyt długo swojej bierności. Nie miał wcale przekonania, że rzeczywiście się jej wyzbył.

Chodzili na spacer – on i Ilse – szarpanym sztormami brzegiem, karmili kaczki, zagłębiali się w las. Pozwolono jej nawet obejrzeć odpalenie rakiety. Dawano mu tym coś do zrozumienia, ale dopiero później zorientował się, o co chodzi: że jej obecność nie narusza tajności, nie mogłaby bowiem opowiedzieć o tym nikomu ważnemu. Hałas wszczęty przez Rakiety szarpał nimi. Wtedy właśnie po raz pierwszy przysunęła się do niego, przytuliła. Odczuł, jakby to on tulił się do niej. Silnik zgasł za wcześnie i rakieta rozbiła

się gdzieś w zachodniej części wyspy, na terenie Luftwaffe. Brudny słup dymu ściągnął chaotyczną defiladę rozwrzeszczanych wozów strażackich i ciężarówek pełnych robotników. Wzięła głęboki oddech i ścisnęła go za rękę.

– Ty to sprawiłeś, *Papi*?

– Nie, miało być inaczej. Powinna wzlecieć wysokim łukiem – machając ręką w powietrzu, paraboliczny gest obejmujący stanowiska do prób, montażownie, gromadzący wszystko, podobnie jak kreślony przez duchownych znak krzyża ćwiartuje i dzieli zapatrzonych w nich wiernych...

– Dokąd?

– Tam, gdzie chcemy.

– Mogę kiedyś polecieć? Zmieściłabym się do środka, prawda?

Zadawała niesłychane pytania.

– Kiedyś może polecisz. Na Księżyc.

– Na *Księżyc*... – jak gdyby spodziewała się usłyszeć bajkę.

Ale nie opowiedział żadnej bajki, więc wymyśliła własną. Inżynier po sąsiedzku przypiął do przepierzenia z płyty pilśniowej mapę Księżyca, toteż wpatrywała się w nią godzinami, wybierając sobie miejsce do zamieszkania. Ominąwszy jasne promienie Keplera, poszarpaną samotnią Montes Carpatius, spektakularne krajobrazy Copernicusa i Erastotenesa, wybrała mały śliczny krater na Mare Serenitatis, zwany Maskelyne B. Zbudują sobie domek na samej krawędzi, ona, *Mutti* i Pökler, z jednego okna widok na złote góry, z drugiego na morze. A na niebie zielona i błękitna Ziemia...

Czy powinien jej powiedzieć, czym naprawdę są „morza” na Księżycu? I że tam nie ma czym oddychać? Przerazała go własna ignorancja, ojcowska nieudolność... Nocami w pokoiku – o parę kroków od niego Ilse zwinięta na wojskowej pryczy z płótna, mała szara wiewiórka pod kocem – zastanawiał się, czy jednak nie lepiej jej będzie pod kuratelą Rzeszy. Słyszał o obozach, ale nie widział w nich nic złego: wierzył władzom na słowo, a słowo to brzmiało: „reedukacja”. „Wszystko popsulem... przecież mają tam wykwalifikowanych ludzi... wyszkolony personel... wiedzą, czego potrzeba

dziecku...”, wpatrzony w rozproszenie elektrycznego światła tej części Peenemünde, nakładające się na jego sufit usiany priorytetami, porzuconymi marzeniami – to przysługa w oczach berlińskich mistrzów fantazji – a Leni w tym czasie opowiadała mu bajki o Księżycu, póki nie przeniósł się w milczeniu do świata, który nie był tym światem: mapa bez granic państw, niepewna i ożywcza, gdzie lot jest tak naturalny jak oddychanie – ale spadnę... nie, wznosisz się, spójrz w dół, nie ma się czego bać, tym razem to dobre... tak, leci zdecydowany, to się dzieje... tak...

Być może dziś wieczorem Pökler jest tylko świadkiem – a może uczestnikiem? Nie pokazano mu dotąd kim. Spójrzmy. Zaraz ziści się sen Friedricha Augusta Kekulégo von Stradonitza z 1865 roku, wielki Sen, który zrewolucjonizował chemię i umożliwił powstanie IG. Żeby właściwe marzenie senne trafiło do właściwego człowieka, wszystkie elementy wzoru muszą się znaleźć w odpowiednim miejscu. Miło ze strony Junga, że podsunął nam ideę wrodzonego wyposażenia psychiki, które dla każdego zawiera tę samą treść. Ale jak to się dzieje, że jako jednostkom objawia się nam dokładnie to, i tylko to, czego potrzebujemy? Czy nie dowodzi to istnienia jakiejś stacji rozrządowej? Biurokracji? Dlaczego ci od IG nie mieliby chodzić na seanse spirytystyczne? Powinni być za pan brat z biurokracją po drugiej stronie. Ten sen Kekulégo wytyczony jest poza punkty, które ciągną się łukiem przez ciszę, w wyrazie jawnej niechęci do życia w poruszającym się momencie, niedoskonałe, ludzkie światło, ingerujące w doniosłe binarne rozstrzygnięcia tych pośredników, którzy teraz przepuszczają kosmicznego Węża o wspaniałych fioletowych łuskach, połysk, który z całą pewnością nie jest ludzki – bez uczuć, bez zdziwienia (po upływie pewnego czasu – cokolwiek to tutaj znaczy – jeden z tych archetypów zaczyna wyglądać podobnie jak inne, och, słyszysz już niektórych nowych najemników, pierwszego dnia przybywają ci od kretonu, „Hej, rany, przecież t-t-t-o Drzewo Stworzenia! Hę? Co nie? Kurczę blade!”, ale szybko się opanowują, powstrzymują odruch Wytrzeszczonych Gał,

wiesz, że samokrytycyzm to zadziwiająca technika, nie powinien skutkować, ale skutkuje...). Prześledźmy problem Kekulégo. Zaczynał jako architekt, a stał się jednym z atlasów chemii, większość organicznego skrzydła tego gmachu użyteczności publicznej już na zawsze spoczęła na jego barkach – nie tylko w zakresie IG, ale całego świata, zakładając, że dostrzeżasz różnicę między jednym a drugim, he, he, he... Znowu stało się to za sprawą Liebiga, wybitnego chemika, patrona monachijskiej ulicy, przy której mieszkał Pökler, gdy uczęszczał do T.H. Profesor Liebig wykładał na uniwersytecie w Giessen, gdy Kekulé rozpoczął tam studia. To on namówił młodzieńca do zmiany dziedziny. W rezultacie Kekulé wniósł do chemii wyobraźnię architekta. To był zasadniczy zwrot. Liebig najwyraźniej odegrał rolę furtki albo porządkującego demona, którego istnienie postulował współczesny mu Clerk Maxwell, czyli przyczynił się do skupienia energii w jednej wybranej komorze Stworzenia kosztem wszystkich innych (późniejsi świadkowie sugerowali, że tak naprawdę Demon w ujęciu Maxwella nie był koncepcją przydatną w analizie praw termodynamiki, lecz symbolizował naukowców z krwi i kości pokroju Liebiga... o skali szykan w tamtym okresie możemy wnosić z tego, w jakiej mierze Clerk Maxwell uznał za stosowne zakamufłować swoje przestrogi... Fakt, pewni teoretycy – na ogół ci, którzy złowrogiego sensu dopatrują się nawet w słynnych słowach pani Maxwell: „Czas iść do domu, James, bo zaczynasz się dobrze bawić” – wysunęli nieprawdopodobną tezę, że Równania Pól zawierają złowieszcze ostrzeżenie – na jej poparcie powołują się na niepokojący związek Równań z zachowaniem obwodu dwukrotnego całkowania w systemie sterowania rakieta A-4, z tym samym podwójnym sumowaniem gęstości prądu, które doprowadziło architekta Etzla Ölscha do nadania symbolicznej formy podziemnej fabryce w Nordhausen, zaprojektowanej dla architekta Alberta Speera...). Wśród ówczesnych molekuł młody eksarchitekt Kekulé rozpoczął poszukiwania ukrytych kształtów, o których istnieniu był przekonany, o których nie myślał jako o rzeczywistych fizycznych strukturach, lecz raczej



jako o „racjonalnych wzorach”, ukazujących zależności obecne w „metamorfozach” – to jego staroświeckie, dziewiętnastowieczne określenie reakcji chemicznych. Potrafił uruchomić wyobraźnię. *Zobaczył* cztery wiązania węgla, ułożone w tetraedr – *ukazał*, jak jego atomy mogą się wiązać kolejno w długie łańcuchy... Gdy wziął się do benzenu, zdębiał. Wiedział, że składa się on z sześciu atomów węgla z doczepionym do każdego atomem wodoru, ale nie dostrzegał kształtu. Aż wreszcie nadszedł sen: kształt mu się objawił i już można było uwieść innych jego fizycznym pięknem, potraktować go jako wytyczną, podstawę nowych związków, nowych układów, aż powstała cała dziedzina aromatycznej chemii, która sprzymierzyła się z władzą świecką i nakreśliła nowe drogi syntezy, a potem narodziło się niemieckie farbiarstwo, które wydało IG na świat...

Kekulé śni, że Wielki Wąż pożera własny ogon, śniący Wąż, który okala Świat. Ale ta podłość, cynizm, z jakim sen ten będzie wykorzystany! Wąż, który głosi, że: „Świat jest zamkniętym, cyklicznym, akustycznym miejscem wiecznego powrotu”, wprowadzony zostanie do systemu, którego jedynym celem jest zerwać Cykl. Branie bez dawania, postulat, by „produktywność” i „dochody” zwyżkowały z upływem czasu; System odbiera reszcie Świata ogromne ilości energii, żeby jego mały desperacki wycinek wykazywał stały przyrost, i w tym procesie nie tylko większość ludzkości, ale też większość świata zwierząt, roślin i minerałów ulega spustoszeniu. Nie wiadomo, czy System rozumie, że jedynie gra na czas. I że tak w ogóle to czas jest sztucznym środkiem, niemającym wartości dla nikogo i niczego oprócz Systemu, który wcześniej czy później runie bez życia, a stanie się to wtedy, gdy jego uzależnienie od energii przerośnie ilości, które reszta Świata może dostarczyć; pociągnie ze sobą niewinne dusze całego łańcucha życia. Życie w Systemie jest jak jazda po bezdrożach autokarem kierowanym przez maniaka gnanego myślą o samobójstwie... choć właściwie facet jest sympatyczny i opowiada dowcipy przez głośniki, „Dzień dobry państwu, wjeżdżamy właśnie do Heidelbergu, znacie refren tej starej piosenki, «Zostawiłem serce



w Heidelbergu», a ja mam kumpla, który musiał tutaj zostawić uszy! Nie zrozumcie mnie źle, to naprawdę miła miejscina, ludzie są serdeczni, cudowni – kiedy się akurat nie pojedynkują. Ale poważnie, obcych traktują bardzo dobrze, nie tylko dają klucze do miasta, ale też kufelek piwa!” – *und so weiter*. Koła suną po bezdrożach w zmieniającym się świetle – pojawiają się i znikają zamki, usypiska skał, księżycy w różnych kształtach i kolorach. Zarządza się postoje o dziwnych godzinach poranka z powodów niepodanych do wiadomości: wysiadasz, żeby rozprostować kości, na rozświetlonych cytrynowo dziedzińcach, gdzie przy stolikach pod ogromnymi eukaliptusami, których zapach czujesz nocą, siedzą starcy, tasując wytłuszczone i wymięte talie kart, rzucając na blat miecze, kielichy i arkana większe w rozedrganym świetle, tymczasem za plecami autokar czeka na jałowym biegu – „pasażerowie proszeni są o powrót na swoje miejsca” – i choć bardzo chciałbyś tutaj zostać, nauczyć się tej gry, odnaleźć własną starość przy tym cichym stole, nic nie poradzisz: stoi w wyprasowanym uniformie przy drzwiach do autokaru, Władca Nocy, sprawdza twój bilet, dowód osobisty i dokumenty podróży, dzisiejszy wieczór zdominowały pałeczki rzutkości... przepuszcza cię skinieniem głowy, widzisz w przelocie jego twarz, jest szalony, gorliwe oczy, i wtedy sobie przypominasz, na przeciąg kilku uderzeń serca, że to się skończy dla ciebie krwią, Szokiem, bez godności – tymczasem trzeba kontynuować podróż... nad twoim fotelem, gdzie powinna wisieć tabliczka reklamowa, umieszczono cytaty z Rilkego: „Raz tylko, wszystko tylko raz jeden”. Ich ulubione hasło. Nie ma powrotu, ratunku, Cyklu – dla Nich i Ich wybitnego pracownika Kekulégo Wąż wyrażał zupełnie co innego. Zupełnie. Dla nich znaczył: – jakby to powiedzieć? – że sześć atomów węgla w cząsteczce benzenu zwija się w zamknięty pierścień, taki właśnie jak ten wąż pożerający własny ogon, KAPUJESZ? „Znany nam dziś aromatyczny Pierścień”, w tym momencie swojej gadki nauczyciel Pöklera, leciwy profesor Laszlo Jamf, wyjmując z kieszonki zegarek złoty sześciokąt z niemieckim krzyżem belkowym w środku, otrzymany w dowód

uznania od IG Farben, żartując sobie miło w stylu starego pierdziela, że krzyż ten traktuje nie jako niemiecki znak, lecz symbol czterowartościowości węgla – „ale kto”, unosząc otwarte dłonie w takt słów, jak kapelmistrz, „kto, kto zesłał, zesłał ten Sen?”. Nigdy nie wiadomo, w jakim stopniu pytania Jamf a są pytaniami retorycznymi. „Kto przysłał tego węża do naszego spustoszonego ogrodu, nazbyt już zbrukanego i zatłoczonego, by kwalifikował się do miana oazy niewinności – chyba że niewinność byłaby odczynnikiem neutralnym naszych czasów, naszym cichym wstąpieniem w tryby obojętności – po to przyszedł Wąż Kekulégo – nie żeby niszczyć, lecz zdefiniować dla nas stratę... dane nam były pewne molekuły, pewne kombinacje, inne zaś nie były nam dane... robiliśmy użytek z tego, co znajdowaliśmy w Naturze, nie kwestionując niczego, haniebnie być może – lecz Wąż szepnął: «Można je zmienić, na gruzach danych wam molekuł powstaną nowe...». Czy ktoś może mi powiedzieć, co jeszcze wyszeptał? No, kto wie? Ty. Mów, Pökler”.

Jego nazwisko padło jak grom z jasnego nieba i oczywiście to nie był profesor doktor Laszlo Jamf, tylko kolega z głębi korytarza, dyżurny budzący wszystkich tego ranka. Ilse czesała włosy, uśmiechając się do niego.

Stosunki w pracy uległy poprawie. Inni nie zachowywali już takiej rezerwy, nie unikali jego spojrzeń. Poznali Ilse i byli nią zachwyceni. Jeśli coś jeszcze dostrzegał w ich twarzach, nie zwracał na to uwagi.

A potem pewnego wieczoru wrócił z Oie podpity, trochę niespokojny i zarazem podekscytowany na myśl o czekającym nazajutrz odpaleniu rakiety, i zastał pokój pusty. Ilse, jej torba w kwiaty, ubranie, które rozrzuciła na pryczy, wszystko zniknęło. Nie zostało nic oprócz pomiętego arkusza papieru logarytmicznego (który służył Pöklerowi do przekształcania wzbudzających lęk krzywych wykładniczych w bezpieczną linearność), tego samego, na którym rysowała księżycowe domki. „*Papi*, kazali mi wracać. Może pozwolą mi się jeszcze z Tobą zobaczyć. Mam nadzieję. Kocham Cię. Ilse”.

Kurt Mondaugen zastał Pöklera leżącego na pryczy córki i wdychającego

zapach jej włosów nosem wciśniętym w poduszkę. Pökler odchodził od zmysłów, groził, że zabije Weissmanna, będzie sabotował program raketowy, rzuci pracę i poszuka azylu w Anglii... Mondaugen siedział i słuchał, dotknął przyjaciela raz lub dwa, palił fajkę, aż wreszcie, o drugiej czy trzeciej w nocy, kiedy Pöklerowi zabrakło już nierealnych pomysłów i klątw, kiedy wypłakał się i wybił pięścią dziurę w przepierzeniu, zza którego dochodziło chrapanie śpiącego sąsiada, wściekłość ustąpiła poirytowanej elitarniej dumie naukowca – Oni wszyscy to głupcy, nie wiedzą nawet, co to jest sinus i cosinus, a próbują uczyć mnie! – owszem, zgodził się, że należy zaczekać, niech tamci robią, co chcą...

– Mógłbym doprowadzić do spotkania z Weissmannem – zasugerował Mondaugen – ale czy potrafiłbyś zachować się z godnością, spokojnie?

– Nie. Nie wobec niego. Jeszcze nie teraz.

– Daj mi znać, gdy będziesz gotów. Gdy będziesz wiedział, jak to rozegrać.  
– Czy Mondaugen pozwolił sobie na rozkazujący ton? Widocznie dostrzegł, jak bardzo Pökler potrzebował, by mu rozkazywano. Leni nauczyła się ujarzmić męża twarzą, wiedziała, że w linii jej ust pragnie zobaczyć stanowczość, że chce usłyszeć nutę surowości w głosie... Gdy odeszła, zostawiła bezpańskiego sługę, który czekał na skinienie byle kogo, bo z niego była

## OFIARA W PRÓŻNI!

*Nur... ein... Op-fer Sehr ins Vakuum,*

(Niechby ktoś mnie wykorzystał).

*Wird niemand ausnut-zen mich, auch?*

(Niewolnik bez pana).

*Nur ein Sklave, ohne Her-rin (ja-ta ta-ta)*

(Kto, cholera, chciałby być wolny?).

*Wer, zum Teufel, die Freiheit braucht?*

(Teraz wszyscy razem, wy wszyscy masochiści, zwłaszcza ci z was, którzy nie mają dzisiaj nikogo do pary, są sami ze swoimi fantazjami, i nie wygląda na to, by kiedykolwiek się ziściły – przyłączcie się z waszymi braćmi i siostrami, niech wszyscy wiedzą, że żyjecie, jesteście otwarci, spróbujcie wyrwać się z milczenia, spróbujcie wyciągnąć ramiona i połączyć się...).

Och, sodowe światła są przyciemnione w Berlinie,

Do barów wchodzę, lecz nikt się nie nawinie!

Już wolałbym raczej Być w operze żebraczej

Niż być dziś wieczór OFIARĄ W PRÓŻNI!

Mijały dni, dla Pöklera jeden podobny do drugiego. Identyczne poranki układały się w monotonię posępną jak zima. Nauczył się przynajmniej zachowywać fasadowy spokój. Nauczył się też wyczuwać napór, marsz ku wojnie, która jest wymarzoną okazją dla przemysłu zbrojeniowego. Na początku do głosu dochodzi przygnębienie albo nieokreślona obawa. Zdarzają się spazmy w przełyku i niemożliwe do odtworzenia sny. Łapiesz się na tym, że zaraz po przebudzeniu sporządzasz zapiski dla samego siebie: spokojne, rzeczowe zapewnienia, by uciszyć szaleńca wyjącego w środku – 1. To jest kombinacja. 1.1 To jest wielkość skalarna. 1.2 Jej negatywne aspekty rozkładają się w sposób izotropowy. 2. To nie jest zmowa. 2.1 To nie jest wektor. 2.1.1 Nie jest wycelowane w nikogo. 2.1.2 Nie jest wycelowane

we mnie., u.s.w. Kawa smakuje coraz bardziej jak metal. Terminy przeradzają się teraz w wyścigi z czasem, każdy kolejny pilniejszy od poprzedniego. Za tą pracą-jak-każda-inna kryje się coś pustego, coś ostatecznego, co z dnia na dzień jest coraz bliższe ujawnienia... „Nowa planeta Pluton – szepnęła dawno temu, leżąc w cuchnącym mroku, jej długa górna warga Asty Nielsen wygięta jak księżyc, który nią kierował – wkroczyła teraz w mój znak, tkwi ściśnięta w jego szczypcach. Porusza się wolno, bardzo wolno i tak daleko stąd... ale wybuchnie. To posępny feniks, który sam sprowadza na siebie zagładę... umyślne zmartwychwstanie. Ukartowane. Pod kontrolą. Żadnej Bożej łaski, palców bożych. Niektórzy nazywają ją planetą narodowego socjalizmu, Brunhübner i ta zgraja, wszyscy podlizują się teraz Hitlerowi. Nie zdają sobie sprawy, że mówią najszczerzą prawdę... Śpisz? Franz...”.

W miarę zbliżania się wojny politykierstwo i gra w priorytety nabrały przyśpieszenia: siły lądowe kontra Luftwaffe, Pion Zaopatrzenia kontra Ministerstwo Uzbrojenia, SS z wybujałymi aspiracjami kontra reszta, do tego nawet pewne wrzenie, które w ciągu kilku następnych lat przerodziło się w przewrót pałacowy celem zdetronizowania von Brauna z powodu jego młodości i kilku niepowodzeń – choć Bóg świadkiem, że niepowodzeń było wszędzie w bród, że stanowiły surowiec polityki na wszystkich poligonach doświadczalnych... jednak ogólnie rzecz biorąc, wyniki prób napawały nadzieją. Niepodobna było myśleć o Rakiecie bez myślenia o *Schicksal*, o dążeniu do z góry przesądzonego i być może trochę niezziemskiego kształtu. Obsługi wystrzeliły serię niekontrolowanych rakiet A-5, z których część sprowadzono na ziemię na spadochronach i które osiągnęły wysokość pięciu mil i prędkość bliską prędkości dźwięku. Wprawdzie ci od systemu sterowania mieli jeszcze mnóstwo pracy przed sobą, niemniej na tym etapie skupiono się na brzechwach wykonanych z grafitu, odchylenia skorygowano do zaledwie mniej więcej pięciu stopni i w efekcie znacznie poprawiono stabilność rakiety.

Któregoś dnia zimą Pökler poczuł się wreszcie na siłach, żeby spotkać się z Weissmannem. Zobaczył czujne oczy za okularami grubymi jak wagnerowskie tarcze, czujne i przygotowane na najbardziej nieprawdopodobne ekstrema – gniew, oskarżenia, chwilę biurowej przemocy. To było jak spotkanie z nieznanym. Nie rozmawiali ze sobą od pobytu w Kummersdorffie, na starym *Raketenflugplatz*. Podczas tego kwadransu w Peenemünde Pökler uśmiechał się więcej niż przez ostatni rok: mówił o swoim podziwieniu dla Poehlmann, który skonstruował system chłodzenia układu napędowego.

– A co z gorącymi miejscami? – zapytał Weissmann. To było rzeczowe pytanie i zarazem poufałość.

Pökler uzmysłowił sobie, że majora nie obchodzą problemy z ciepłem. To była gra – przed którą przestrzegał Mondaugen – zrytualizowana jak dziu-dzitsu.

– Mamy gęstości przepływu ciepła – poczuł się, jakby śpiewał – rzędu trzech milionów kcal/m<sup>2</sup>h°C. Chłodzenie regeneracyjne wydaje się jak na razie najlepszym rozwiązaniem, ale Poehlmann próbuje innego podejścia – rysując kredą na tabliczce, usiłując wypaść jak zawodowiec – uważa, że jeżeli zastosujemy warstwę alkoholu wewnątrz komory, możemy wymiennie zredukować przenikanie ciepła.

– Będzie się go wstrzykiwać.

– Otóż to.

– W jakim stopniu trzeba będzie zmienić układ paliwowy? Jak to wpłynie na wydajność silnika?

Pökler miał wszystkie dane.

– Jak na razie wstrzykiwanie jest koszmarem hydraulika, ale z takim harmonogramem dostaw...

– Dwustopniowe spalanie?

– Daje większą pojemność, lepszą turbulencję, ale występuje też nieizotropowy spadek ciśnienia, który oddziałuje na efektywność...

Próbujemy wszelkich podejść. Gdybyśmy mieli większe fundusze...

– Och. Nie mój pion. Sam chciałbym mieć mniej napięty budżet. – Obaj się rozeźmieli, kulturalni uczeni, cierpiący razem, pozostający na łasce chytrej biurokracji.

Pökler pojął, że negocjuje w sprawie córki i Leni: że pytania i odpowiedzi nie są szyfrem kryjącym inny sens, lecz procedurą oceniania jego osobowości. Oczekiwano, że zachowa się w określony sposób – że nie będzie odgrywał roli, lecz nią żył. Jakiegokolwiek odchylenie ku zazdrości, metafizyce, niejasności zostałyby natychmiast wychwycone i wtedy z powrotem sprowadzono by go na właściwy kurs albo pozwolono mu spaść. Zimą i wiosną spotkania z Weissmannem stały się rutynowe. Pökler dorósł do nowej roli – Przedwcześnie Podstarzałego Młodego Geniusza – przekonując się często, że nim owłada, że trzyma go dłużej przy leksykonach i danych dotyczących odpaleń, że podsuwa do wypowiedzenia kwestie, których nie ułożyłby sam zawczasu: subtelny, uczony, obsesyjnie skupiony na Rakiecie język, który go zadziwiał.

Pod koniec sierpnia doszło do drugiej wizyty. Powinien to być „powrót Ilse”, ale Pökler nie był pewien. Podobnie jak za pierwszym razem, pojawiła się sama, bez uprzedzenia – podbiegła, pocałowała go, *Papi, Papi*. Ale...

Choćby te włosy: zdecydowanie ciemnobrązowe i obcięte inaczej. Oczywiście bardziej podłużne, osadzone głębiej, cerę ciemniejszą. Wydawała się wyższa o kilkadziesiąt centymetrów. Ale w tym wieku dzieci potrafią wystrzelić w górę z dnia na dzień, prawda? Pod warunkiem, że się jest w „tym wieku”... Gdy tylko Pökler wziął ją w ramiona, usłyszał przewrotny szept. Czy to ta sama dziewczyna? Może przysłali ci inne dziecko? Dlaczego wtedy nie przyjrzałeś się lepiej, Pökler?

Tym razem zapytał, jak długo pozwolą jej zostać.

– Powiedz mi. I wtedy ja postaram się powiedzieć tobie.

Czy starczy mu czasu, by się przestawić z małą wiewiórką, która marzyła o zamieszkaniu na Księżycu, na tę śniadą, długonogą istotę, której



niezręczność i potrzeba posiadania ojca były tak wzruszające, tak wyraźne nawet dla Pöklera podczas ich drugiego (a może pierwszego? czy trzeciego?) spotkania?

Mało wieści o Leni. Zimą je rozdzielono, powiedziała Ilse. Słyszała pogłoski, że matkę przeniesiono do innego obozu. A więc tak. Wsuń pionka, cofnij królowkę: Weissmann czekający, jak zareaguje Pökler. Tym razem major przeszarżował: Pökler zasznurował buty i z całkowitym spokojem wyszedł poszukać esesmana, dopadł go w jego biurze, zadenuncjował przed grupą życzliwych, niewyraźnych urzędników państwowych, wieńcząc elokwentną tyradę rzutem szachownicy i figur wprost w mrugającego arogancko Weissmanna... Pökler jest porywczy, owszem, to buntownik, ale, panie dyrektorze generalny, właśnie takiej zapalczywości i prostolinijności nam potrzeba –

Córka nagle znów pojawiła się w jego ramionach, żeby go pocałować. Za darmo. Pökler zapomniał o swoich kłopotach i przycisnął ją do serca na długą chwilę, bez słowa...

Ale tej nocy w pokoiku, gdy z jej pryczy dobiegał tylko oddech – żadnych księżycowych marzeń w tym roku – zastanawiał się rozbudzony: jedna córka i jedna oszustka? ta sama córka dwa razy? dwie oszustki? Zaczął obmyślać kombinacje w odniesieniu do trzeciej wizyty, czwartej... Weissmann i ci stojący za nim mieli do dyspozycji tysiące takich córek. Z upływem lat, gdy będą dojrzewały, Pökler być może zakocha się w którejś – dotarłaby w ten sposób do linii króla i stała się zastępczynią zagubionej, zapomnianej królowki Leni. Przeciwnik zdawał sobie sprawę, że podejrzenia Pöklera już zawsze będą silniejsze od jakiegokolwiek lęku przed rzeczywistym kazirodztwem... Mogliby tworzyć nowe reguły, by w nieskończoność komplikować grę. Jak to możliwe, że człowiek tak pusty w środku jak Pökler poczuł tej nocy, że byłby kiedyś wystarczająco elastyczny?

*Kot* – przecież to niedorzeczne – czy nie oglądał jej z każdej strony w ich starej norze w Berlinie? Niesioną, śpiącą, płaczącą, na czworakach,

roześmianą, głodną. Często przychodził do domu zbyt skonany, by dojść do łóżka, i kładł się na podłodze, z głową pod jedynym, drewnianym stołem, skulony, zmaltretowany, zastanawiając się, czy w ogóle zdoła zasnąć. Kiedy Ilse to zauważyła pierwszy raz, podpełzła i usiadła obok, wpatrzona w niego. Nigdy dotąd nie widziała go w bezruchu, pozycji horyzontalnej, z zamkniętymi oczyma... Zaczął zapadać w sen. Nachyliła się i ugryzła go w nogę, jak gryzła skórki od chleba, papierosy, buty, wszystko, co mogło posłużyć za jedzenie.

– Jestem twoim ojcem.

– Jesteś bezwładny i nadajesz się do zjedzenia.

Pökler wrzasnął i odtoczył się. Ilse zaczęła płakać. Był za bardzo zmęczony, by chciało mu się myśleć o wychowywaniu. Wreszcie Leni uspokoiła małą.

Znał dobrze jej płacz, pierwsze próby mówienia, odcienie jej kup, dźwięki i kształty, które ją uspokajały. Powinien więc wiedzieć, czy to jego dziecko. Ale nie wiedział. Zbyt wiele zaszło w minionych latach. W Niemczech i w snach.

Nazajutrz kierownik wręczył Pöklerowi dokumenty urlopowe i czek z dodatkiem wakacyjnym. Żadnych ograniczeń co do miejsca, ograniczenie czasowe: dwa tygodnie. Przekład: Czy wrócisz? Spakował trochę rzeczy i złapali pociąg do Szczecina. Baraki i montażownie, betonowe monolity i stalowe rusztowania, które były treścią jego życia, mignęły w tył, kreśląc paralaksę ku wielkim pajdom fioletu, rozstawionym po bagnach. Czy starczy mu odwagi, by nie wrócić? Czy potrafi wybiec myślą tak daleko w przód?

Wybór celu podróży pozostawił Ilse. Zdecydowała się na Zwölfkinder. Zbliżał się kres lata, dobiegały końca czasy pokoju. Dzieci wiedziały, co się szykuje. Tłoczyły się w wagonach, bawiąc w uchodźców, cichsze, poważniejsze, niż Pökler się spodziewał. Ilekroć odwracała spojrzenie od okna ku niemu, walczył z pokusą, by się rozgadać. Widział to samo we wszystkich oczach: był obcy, im, jej, coraz bardziej obcy, i nie znał sposobu,

by to odwrócić...

W Państwie Korporacyjnym należy wytyczyć oazę dla niewinności i jej licznych zastosowań. W ukształtowaniu oficjalnej wersji niewinności nieoceniony okazał się świat dzieciństwa. Zabawy, baśnie, legendy z zamierzchłych czasów, wszelkie akcesoria fikcji można dostosować do własnych potrzeb, a nawet uobecnić w fizycznym miejscu, takim jak Zwölfkinder. Z biegiem lat stało się ono kurortem dla dzieci, prawie uzdrowiskiem. Bez dziecięcej eskorty dorosły nie miał wstępu w obręb miasteczka. Był nieletni burmistrz, dwunastoosobowa nieletnia rada miejska. Dzieci zbierały papierzyska, skórki po owocach i butelki pozostawione na ulicy, dzieci oprowadzały turystów po Tierparku, Skarbie Nibelungów, prosząc o zachowanie ciszy podczas imponującego odtworzenia ceremonii mianowania Bismarcka księciem i kanclerzem cesarstwa w wiosenną równonoc 1871 roku... dziecięca policja upominała cię, jeżeli nie towarzyszyło ci dziecko. Ten, kto faktycznie rozkręcił ten interes – niemożliwe, by były to dzieci – dobrze się zamaskował.

Późne lato, późny, retrospektywny rozkwit... Wszędzie fruwały ptaki, morze się grzało, słońce świeciło aż do wieczora. Przypadkowe dzieci chwytaly się twojego mankietu, dreptały u boku, dopiero po chwili orientowały się, że jesteś obcym, i odchodziły, uśmiechając się przez ramię. Szklana Góra migotała różowo i biało w gorącym słońcu, każdego południa król i królowa elfów przechadzali się majestatycznie ze wspaniałym orszakiem karłów i krasnoludków, rozdając ciastka, lody i cukierki. Na skrzyżowaniach i placach grały zespoły: marsze, tańce ludowe, ostry jazz, Hugo Wolf. Dzieci waliły strumieniami jak konfetti. U wodotrysków, gdzie głębie wody sodowej skrzyły się w zębatach paszczach smoków, dzikich lwów i tygrysów, ciągnęły się kolejki malców, każdy w oczekiwaniu na własną chwilę niebezpieczeństwa, na to, żeby włożyć główkę do cienia, w zapach mokrego cementu i zastałej wody, w paszczę potwora, i napić się. Na niebie wirowały wysokie koła karuzel. Pokonali z Peenemünde 280

kilometrów, a dziwnym zbiegiem okoliczności tyle właśnie wynosił zasięg bojowy A-4.

Wśród tych wszystkich atrakcji – karuzel, mitów, zwierząt z dżungli, klaunów – Ilse znalazła drogę do Panoramy Antarktydy. Dwaj lub trzech chłopcy, niewiele od niej starsi, wędrowali po imitacji bezludzia, okutani foczymi skórami, budowali piramidki i zatykali flagi w parnym sierpniowym powietrzu. Na ich widok Pökler złał się potem. W cieniu kemu z brudnego papier-mâché smażyło się kilka psów zaprzęgowych, leżących na gipsowym śniegu, który zaczął pękać. Ukryty projektor rzucał obrazy zorzy polarnej na płótno. Krajobraz pstrzyło dodatkowo pół tuzina wypchanych pingwinów.

– A więc... chciałybyś mieszkać na biegunie południowym? Tak łatwo zrezygnowałaś z Księżyca? – *Kot*, idiota, palnął głupstwo. Dotąd umiał zważać na słowa. Bał się dowiedzieć, kim ona naprawdę jest. Spocony i nieswój, czekał na odpowiedź, nie mając pojęcia, co ją przyciągnęło do tej lipnej Antarktydy.

Puściła mu to płazem. Ona albo Oni.

– Ojej – wzruszenie ramion – kto chciałby mieszkać na Księżycu?

Nigdy więcej nie poruszyli tej sprawy.

W hotelu odebrali klucz od ośmioletniego recepcjonisty, jęczącą windą pod okiem umundurowanego dziecka wjechali na piętro i weszli do pokoju, w którym wciąż było ciepło po upale dnia. Zamknęła drzwi, zdjęła kapelusik i wdrapała się na wyższe łóżko. Pökler zwałił się na swoje. Zeszła, by zzuć mu buty.

– *Papi* – rozsznurowując z namaszczaniem – czy mogłabym dzisiaj spać razem z tobą? – Dłoń spoczęła lekko pod odsłoniętą łydką. Ich oczy spotkały się na pół sekundy.

Wątpliwości drgnęły i ułożyły się w sens. Ku swojemu zawstydzeniu najpierw odczuł dumę. Nie zdawał sobie sprawy, że jest tak ważny dla programu raketowego. Nawet w tej pierwszej chwili patrzył na sprawę z Ich punktu widzenia – każda słabostka zostaje odnotowana w teczce personalnej,

hazardzista, fetyszysta, kibic piłkarski, wszystko ma znaczenie, wszystko można wykorzystać. Na razie musimy ich uszczęśliwić albo przynajmniej zneutralizować źródło ich nieszczęścia. Możesz nie rozumieć, na czym w rzeczywistości polega ich praca, przynajmniej na poziomie danych, ale przecież zarządzasz, jesteś przywódcą, masz wykazywać wyniki... Pökler bąknął kiedyś coś o córce. Owszem, to obrzydliwe, nigdy nie wiadomo, co tam się kryje w tych ich równaniach, lecz osądy zostawmy tymczasem na boku, po wojnie będzie czas, żeby wrócić do Pöklerów i ich małych brudnych tajemnic...

Zdzielił ją w czerep otwartą dłonią – straszny, donośny cios. To wyczerpało jego gniew. Zanim zdążyła coś powiedzieć albo się rozpłakać, wciągnął ją na łóżko, oszołomione drobne dłonie już przy guzikach jego spodni, biała sukienka zadarta nad biodra. Nie miała nic pod spodem, nic przez cały dzień... bardzo cię pragnę, szepnęła, gdy ojcowski pług zagłębił się w bruzdę córusi... po godzinach niebywałego kazirodztwa ubrali się w milczeniu i wypełzli na skraj cielesnego świtu, wszystko, co potrzebne, spakowane do jej torby w kwiaty, mijając śpiące dzieci skazane na kres lata, monitory i strażników kolei, skierowali się ku wodzie, do łódek rybackich, do opiekuńczego wilka morskiego w kapitańskiej czapce z galonem, który ich przywitał i ulokował pod pokładem, gdzie zwinęła się w koi, gdy wyruszali, a potem ssła go godzinami przy akompaniamencie dudniącego silnika, aż wreszcie szyper krzyknął:

– Wyjdźcie, popatrzcie na swoją nową ojczyznę!

We mgle widniała szara i zielona Dania.

– Tak tutaj żyją wolni ludzie. Życzę powodzenia!

Stali we troje na pokładzie, obściskując się...

Nie. Pökler postanowił uwierzyć, że tamtej nocy pragnęła pociechy, że nie chciała być sama. Wbrew Ich grze, Ich namacalnemu złu, choć przecież nie miał powodu ufać „Ilse” bardziej niż Im, aktem nie tyle wiary czy odwagi, lecz zachowawczości dokonał takiego wyboru. Nawet w czasach pokoju,

dysponując nieograniczonymi środkami, nie potrafiłby udowodnić jej tożsamości, a przynajmniej nie pogodziłby się z nieuchronnym marginesem błędu, którego nie tolerowało jego precyzyjne oko. Lata przeżyte przez Ilse między Berlinem a Peenemünde składały się na tak beznadziejnie powikłane dzieje – dla całych Niemiec – że niepodobieństwem było potwierdzić ponad wszelką wątpliwość jakąkolwiek sekwencję zdarzeń, a cóż dopiero podejrzenie Pöcklera, że gdzieś w nadmiernie rozrosłym biurokratycznym mózgu Państwa przechowano przydzieloną mu konkretną perwersję. Dla każdej instytucji partia nazistowska powołała duplikat. Komisje rozszczepiały się, łączyły, pączkowały spontanicznie, znikwały. Nikt nie pokazałby człowiekowi jego teczek personalnej –

W rzeczywistości nie był nawet pewien, że dokonał wyboru. Lecz to właśnie w tamtych rozdźwięczonych chwilach w pokoju pachnącym letnim dniem, którego światło jeszcze nie rozblęzło, okrągły słomiany kapelusik kruchym księżycem na pościeli, lampki karuzeli raz po raz wlewające czerwień i zieleń w mrok, na ulicy paru uczniów śpiewających refren sprzed swych narodzin, sprzed skradzionego im i okrutnie spożytkowanego czasu – *Juch-heierasas-sa!* o tempo-tempo-ra! – wtedy wreszcie objawiła mu się wyraźnie szachownica, figury i wzory, i zdał sobie sprawę, że dopóki będzie prowadził grę, dopóty to będzie Ilse – jego prawdziwe dziecko, prawdziwe na tyle, na ile on to sprawi. To był rzeczywisty moment poczęcia, w którym, o wiele lat za późno, został jej ojcem.

Przez resztę urlopu przechadzali się po Zwölfkinder, zawsze trzymając się za ręce. Drogę rozświetlały im lampiony rozbujane na trąbach słoni, których głowy wieńczyły kolumny... Po pajęczych mostkach, patrząc z góry na irbisy, małpy, hieny... wzdłuż miniaturowego torowiska, między karbowanymi rurkowatymi nogami dinozaurów z siatki stalowej, aż po wycinek afrykańskiej pustyni, gdzie dokładnie co dwie godziny zdradzieccy tubylcy atakowali obozowisko niebieskich bohaterów generała von Trothy, wszystkie role odgrywane przez dorodnych chłopców – patriotyczny spektakl



uwielbiany przez dzieci w każdym wieku... hen, aż na wielkie Koło karuzeli tak nagie, tak wyzbyte wdzięku, obarczone wyraźną misją: by unieść i przerazić...

Ostatniego wieczoru – nie zdawał sobie z tego sprawy, że to ostatni wieczór, bo zabrali ją tak nagle i niedostrzegalnie jak przedtem – wybrali się popatrzeć znowu na wypchane pingwiny i fałszywy śnieg, a wokół migotała sztuczna zorza.

– Przyjedziemy tu w przyszłym roku, jeśli chcesz – ściskając ją za rękę.

– O tak. I w następnym też, *Papi*. I w następnym.

Nazajutrz przepadła, zabrana przed nadchodzącą wojną, a opuszczony w krainie dzieci Pökler mógł tylko wrócić do Peenemünde, samotny...

Działo się tak przez sześć lat. Każdego roku córka, każda o rok starsza, zawsze ta sama historia od początku. Jediną ciągłością było jej imię, Zwölfkinder i miłość Pöklera – miłość, która przypominała trwanie wrażenia wzrokowego, bo wykorzystali ją, żeby stworzyć dla niego ruchomy obraz córki, żeby zamigać mu przed oczyma jej wakacyjnymi fotkami, jemu pozostawiając złączenie ich w iluzję pojedynczego dziecka... co znaczy skala czasowa, dwudziesta czwarta część sekundy albo rok (niewiele więcej, pomyślał inżynier, niż w tunelu aerodynamicznym albo oscylografie, którego obracający się wałek można dowolnie przyspieszyć lub zwolnić...)?

Pökler stanął nocą obok tunelu aerodynamicznego w Peenemünde, przy wielkiej obłości wysokiej na czterdzieści stóp, wsłuchany w pracujące pompy, wysysające powietrze z bieli, pięć minut rosnącej próżni – a potem jedno straszne sapnięcie: dwadzieścia sekund strumienia naddźwiękowego... opada przegroda, a pompy zaczynają od nowa... słuchał i upatrywał w tym cyklu własnej przegrodzonej miłości, która opróżnia się przez cały rok dla dwóch tygodni w sierpniu, manipulowana z taką samą skrupulatnością. Uśmiechał się, pił z majorem Weissmannem i rewanżował się koszarowymi dowcipami, jednocześnie cały czas za fasadą muzyki i chichotów słyszał ciała figur przestawianych w ciemności i zimie po bagnach i łańcuchach



górkich szachownicy... etap po etapie sprawdzał rezultaty prób z *Halbmodelle* w tunelu, obserwował siły użytkowe, rozkładające się na całą długość rakiety dla setek różnych liczb Macha – widział profil Rakiety zniekształcony, sparodiowany, A-4 z wosku, mniej więcej przy kalibrze 2 wygiętą niczym delfin, zwężoną ku ogonowi, który wyciągnął się nieprawdopodobnie do góry – rozumiał, że w ten sam sposób można nakreślić rysy jego własnej twarzy, nie światłem, lecz siłami użytkowymi, oddziałującymi ze strumienia Rzeszy, przymusu i miłości... i zdawał sobie sprawę, że twarz padnie ofiarą takiego samego skarykaturowania, bo w krzywym zwierciadle śmierci stanie się trupa czaszką...

W czterdziestym trzecim z powodu wyjazdu do Zwölfkinder Pöklera ominął brytyjski nalot na Peenemünde. Po powrocie do ośrodka, gdy tylko jego oczom ukazały się zrównane z ziemią, zburzone baraki „cudzoziemskich robotników” w Trassenheide – zwłoki nadal wyciągano z gruzów – ogarnęło go straszliwe podejrzenie, od którego już się nie uwolnił: Weissmann oszczędza go, bo wyznaczył mu jakąś szczególną rolę. Esesman wiedział skądś, że tego dnia Brytyjczycy dokonają bombardowania, wiedział o tym już w trzydziestym dziewiątym, toteż wprowadził tradycję sierpniowych urlopów, rok w rok, a wszystko po to, by uchronić Pöklera przed jedną straszną nocą. To nie jest zrównoważone rozumowanie, fakt... zakrawa na paranoję... ale myśl ta uparcie tliła się w jego głowie, a on sam poczuł, że sztywnieje.

Dym sączył się z ziemi, zwęglone drzewa padały ledwie o oddech od płynącego morza. Miałki kurz wzbijał się przy każdym kroku, pobielając ubranie, przemieniając twarze w maski z pyłu. Im dalej w głąb cypla, tym mniej szkód dokonano. Osobliwy gradient śmierci i zniszczenia, z południa na północ, według którego najubożsi i najbardziej bezradni są w najgorszym położeniu – rok później, kiedy rakiety zaczęły spadać na Londyn, gradient ten przesunął się na oś wschód-zachód. Najwięcej ofiar padło wśród „cudzoziemskich robotników” – eufemizm określający więźniów

sprawdzonych ze wszystkich krajów okupowanych przez Niemcy. Tunel aerodynamiczny i budynek pomiarów nie zostały nawet drażnione, zakłady prototypów uszkodzono w niewielkim stopniu. Koledzy Pöklera stali przed uszkodzonymi kwaterami naukowców – zjawy poruszające się w porannej mgle, która jeszcze nie wyparowała, myjące się w wiadrach z piwem, bo woda wciąż była wyłączona. Patrzyli na niego, niejedni paląc go oskarżycielskim wzrokiem.

– Szkoda, że mnie to nie ominęło.

– Doktor Thiel nie żyje.

– Jak było w krainie baśni, Pökler?

– Przepraszam – powiedział.

To nie była jego wina. Pozostali milczeli: jedni spojierali, inni ciągle nie mogli się otrząsnąć po nocy.

Wtedy nadszedł Mondaugen.

– Konamy ze zmęczenia. Pójdziesz ze mną na produkcję próbną? Trzeba sporo uporządkować, przyda się pomoc. – Podreptali we dwóch, każdy w swoim obłoku kurzu. – To było straszne – rzekł Mondaugen. – Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci.

– Zachowywali się, jakbym ja to zrobił.

– Czujesz się winny, że cię tu nie było?

– Zastanawiam się tylko, dlaczego mnie nie było. To wszystko.

– Bo pojechałeś do Zwölfkinder – odparł oświecony. – Nie komplikuj.

Starał się nie komplikować. To przecież była rola Weissmanna, to on był sadystą, to do niego należało wymyślanie coraz to nowych wariantów gry, eskalacja okrucieństwa aż do maksimum, w którym Pökler zostanie rozłożony na pojedyncze nerwy i ścięgnię, wszystkie zwoje mózgowie rozprasowane w blasku czarnych świec, nigdzie żadnego schronienia, całkowicie na łasce swojego pana... to chwila, w której wreszcie będzie określony dla samego siebie... Pökler czuł, że to właśnie go czeka, jakiś pokój, którego nigdy nie widział, ceremonia, której nie mógł zawczasu

wyuczyć się na pamięć...

Zdarzały się fałszywe alarmy. Zimą, podczas serii prób w Bliznie, Pökler zyskał niemal pewność. Przenieśli się wtedy na wschód, do Polski, żeby strzelać po lądzie. Rakiety odpalane w Peenemünde wpadały do morza, nie miano więc możliwości obserwowania ponownego wkraczania w atmosferę. Blizna była prawie całkowicie przedsięwzięciem SS: częścią imperium budowanego przez generała-majora Kammlera. W tym okresie problem stanowiły wybuchy Rakiety w końcowej fazie lotu – pociski eksplodowały przed osiągnięciem celu. Każdy miał własne wytłumaczenie. Być może to wskutek nadciśnienia w zbiorniku z tlenem ciekłym. Być może, skoro spadająca rakietą jest lżejsza o dziesięć ton zużytego paliwa i utleniacza, przesunięcie środka ciężkości powoduje niestabilność. Lub izolacja w zbiorniku z alkoholem funkcjonuje wadliwie i dochodzi do spalenia resztki paliwa przy powtórnym wejściu w atmosferę. Zagadka była powodem ściągnięcia Pöklera do Blizny. Nie pracował już wtedy w zespole budującym napęd ani też jako konstruktor – włączony do biura materiałów, pozyskiwał rozmaite plastiki, służące do izolacji, amortyzacji wstrząsów, uszczelniania – ekscytujące sprawy. Rozkaz odkomenderowania do Blizny brzmiał dostatecznie dziwnie, by mógł być robotą Weissmanna: w dniu, gdy Pökler pojechał na polską łąkę i usiadł dokładnie w miejscu, w którym miała runąć Rakietą, zyskał pewność.

Zielone żyto i niskie wzgórza w promieniu wielu kilometrów dokoła: siedział przy małym okopie, w rejonie celu pod wsią Sarnaki, jak wszyscy kierując lornetkę na południe, w stronę Blizny: oczekiwanie. Erwartung w krzyżu nitek, falujące młode żyto, delikatne włoski czesane przez wiatr... spójrz z góry na ten wiejski krajobraz, z odległości wielu mil porannej przestrzeni: odcienie leśnej zieleni, polskie gospodarstwa, białe i brązowe, ciemne węgorki rzeczulek, łowiące słońce w zakrętach, a tam, w samym środku, w świętym „X”, Pökler, ukrzyżowany, niewidoczny na pierwszy rzut oka, ale zaraz... już go widać, bo prędkość spadania rośnie –

Lecz jak miałby uwierzyć w jej realne istnienie tam, w górze? Owady bzyczą, słońce zaczyna przygrzewać, Pökler może sobie patrzeć na czerwoną ziemię i miliony falujących łodyg, a nawet wpaść w lekki trans: w koszuli, kościste kolana wycelowane w niebo, szara marynarka, nieprasowana latami, zwinięta pod tyłkiem, by odizolować go od rosy. Inni upstrzyli sobą okolice punktu zerowego – pogodne hitlerowskie kwiatki – u szyi lornetki rozbujałe na szarawych paskach z końskiej skóry, obsługa z Askanii przy swoim sprzęcie, jeden z oficerów łącznikowych SS (Weissmann jest nieobecny) spogląda na zegarek, na niebo, na zegarek, kryształowe szkiełko w przerywanych błyskach opalizującym kręgiem, który splata razem godzinę i pierzaste niebo.

Pökler drapie się po siwawym dwudobowym zaroście, zagryza spierzchnięte wargi; jak gdyby większość zimy spędził pod gołym niebem: ma zimowy wygląd. Z upływem lat wokół jego oczu rozrosła się zgubna siatka spękanych naczynek krwionośnych, cieni, zmarszczek, kurzych łapek – dno, które nagromadziło się teraz w szczerych, bezpośrednich oczach jego młodszych i biedniejszych lat... nie. Coś w nich było, już wtedy, coś, co inni dostrzegali i zorientowali się, że mogą to wykorzystać, dowiedzieli się jak. Coś, co umknęło jego uwagi. Dość życia spędził na wpatrywaniu się w lustro. Naprawdę powinien pamiętać...

Wybuch w powietrzu, jeśli do niego dojdzie, będzie w zasięgu wzroku. Abstrakcje, matematyka, modele są jak najbardziej przydatne, ale gdy przychodzi co do czego, gdy wszyscy gardłują o konkrety, oto co trzeba zrobić: idzie się na poligon i siada dokładnie w miejscu wyznaczonego celu, mając za schronienie tylko niewzruszone płytkie okopy, następnie obserwuje się raketę w milczącym rozkwicie ognia ostatnich paru sekund, widzi się to, co ma się zobaczyć. Oczywiście prawdopodobieństwo idealnego trafienia jest niebotycznie małe, dlatego najmniejsze niebezpieczeństwo grozi w samym środku rejonu upadku A-4. Rakiety przypominają pociski artyleryjskie, rozpraszają się w formie gigantycznej elipsy przy punkcie celowania – Elipsy

Niepewności. Lecz choć Pökler wierzy w niepewność jak każdy naukowiec, nie czuje się tutaj zbyt pewnie. W końcu to zwieracz jego trzęsącej się dupy tkwi dokładnie w punkcie zerowym. W grę wchodzi zaś nie tylko balistyka. Wchodzi Weissmann. Pierwszy lepszy chemik i zaopatrzeniowiec wie o izolacji tyle samo, co Pökler... „dlaczego więc wybrano akurat mnie... chyba że”... gdzieś w jego mózgu dwie ogniskowe suną ku sobie i stają się jedną... zerowa elipsa... pojedynczy punkt... żywa głowica, potajemnie naładowana, dla wszystkich innych specjalne bunkry... tak, tego właśnie chce... wszystkie marginesy błędu w sterowaniu współdziałają, by nastąpiło perfekcyjne trafienie, w sam czubek głowy Pöklera... och, majorze Weissmann, twojej końcowej rozgrywce brak finezji – ale przecież nigdy, przez cały ten czas, nie było żadnych widzów ani arbitrów, i kto powiedział, że koniec nie może być aż tak brutalny? Paranoja zalewa Pöklera, wzbiera aż po skronie i czerep. Być może się zesrał, trudno powiedzieć. Tętno dudni w szyi. Bolą go ręce i nogi. Ubrani na czarno jasnowłosi centurioni patrzą. Połyskują ich metalowe odznaki. Pod wczesnym słońcem leżą niskie wzgórza. Wszystkie lornetki polowe skierowane są na południe. Agregat jest w drodze, niczego już nie da się cofnąć. Nikt tutaj nie zajmuje się tajnikami chwili ani ostatnimi zagadkami: przeżyto za dużo racjonalnych lat. Zbyt wiele papieru nagromadziło się wszędzie. Pökler za żadne skarby świata nie potrafi pogodzić swojego marzenia o bezwzględnym styranizowaniu z wyhodowaną w nim potrzebą zajęcia się sprawami – ani ujrzeć ich jako jedno i to samo. A-4 musi przecież wkrótce wejść do użytku, toteż należy zmniejszyć współczynnik fiaska, są zatem tutaj ci, którzy przyjechali, a jeśli tego ranka na polskiej łące ogarnia wszystkich masowa ślepotą, jeśli nikt – nawet najbardziej paranoiczne typy – nie potrafi dostrzec niczego oprócz wyraźnie określonych wymogów, to z całą pewnością zjawisko to nie ogranicza się wyłącznie do tego konkretnego czasu i miejsca, gdzie w tej chwili czarne lornetki przyłożone do oczu wypatrują tylko nadejścia „opornej dziewczicy” – jak dowcipni raketowcy nazywają wadliwe rakiety – żeby

ujrzeć, gdzie – od czubka po ogon – wystąpi ewentualnie jakiś problem, zaobserwować kształt smugi kondensacyjnej, ton wybuchu, cokolwiek, co może być wskazówką...

Z akt wynika, że tamtego dnia w Sarnakach Rakieta zakończyła żywot typowym dwukrotnym wybuchem, zostawiając biały ogon kondensacyjny na błękitnym niebie: kolejna przedwczesna eksplozja. Kawałki stali pospadały w odległości stu metrów od punktu zerowego, tnąc żyto jak grad. Pökler widział eksplozję, zobaczył tyle, co inni. Nigdy potem już go nie wysłano. Esesmani patrzyli, jak podnosi się na nogi, rozprostowuje kości i rusza powoli z innymi. Weissmann dostanie raport. Wkrótce objawią się nowe odmiany męczarni.

Lecz w życiu Pöklera, zewidencjonowana tylko w aktach jego umęczonej, niemieckiej duszy, wydłużyła się i przyhamowała podstawa czasu: Perfekcyjna Rakieta wciąż jest tam w górze, nadal spada. On ciągle czeka – nawet teraz, samotny w Zwölfkinder, pragnąc tegorocznego powrotu „Ilse” – a z nią eksplozja, która go zaskoczy...

Wiosną, gdy wiatr w Peenemünde zmienił kierunek na południowo-zachodni i przyfrunęły pierwsze ptaki, Pöklera przeniesiono do podziemnej fabryki w Nordhausen w Górach Harcu. Po nalocie Brytyjczyków robota w Peenemünde zaczęła kuleć. Plan – znów autorstwa Kammlera – zakładał rozproszenie prób i produkcji po całych Niemczech, by uniemożliwić kolejny skoncentrowany atak bombowy aliantów. W Mittelwerke Pökler pełnił rutynowe obowiązki: zaopatrywał fabrykę w materiały. Spał na pryczy obok naszpikowanej dynamitem skalnej ściany, pomalowanej na biało, a nad jego głową przez całą noc paliła się żarówka. Śniło mu się, że żarówka jest wysłannikiem Weissmanna, stworzeniem, a jej żarnik to dusza. Odbywali razem długie rozmowy, których treści Pökler nie mógł sobie rankiem przypomnieć. Żarówka szczegółowo wyjaśniła intrygę – intryga była większa i bardziej rozgałęziona, niż Pökler kiedykolwiek sobie wyobrażał, przez wiele nocy odbierał tylko czystą muzykę, a jego świadomość wędrowała



przez odległy krajobraz dźwięków, posłuszna, uległa, nadal niby bezpieczna, ale nie na długo.

W tamtym czasie krążyły pogłoski o niesnaskach między Weissmannem a jego „potworem”, Enzianem. Schwarzkommando uniezależniło się już wtedy od SS, podobnie jak SS od armii. Władzę dawała teraz nie broń, lecz informacja i fachowość. Pökler ucieszył się, że Weissmann ma kłopoty, ale nie wiedział, jak to wykorzystać. Gdy nadeszły rozkazy o odkomenderowaniu do Nordhausen, przeszła go rozpacz. A zatem grę odroczone? Może już nigdy nie zobaczy Ilse? Otrzymał polecenie, żeby zameldować się u Weissmanna.

Włosy na skroniach majora były posiwiałe i zmierzwione. Pökler dostrzegł, że jeden uchwyt okularów łączył spinacz do papieru. Biurko było śmietniskiem dokumentów, raportów, leksykonów. O dziwo, major wyglądał nie tyle diabolicznie, ile marnie, jak byle urzędnik pod presją. Oczy skierowały się w stronę Pöklera, zniekształcone przez grube soczewki.

– Rozumie pan, że przeniesienie do Nordhausen jest dobrowolne?

Pökler zrozumiał – z uczuciem ulgi i dwusekundowej miłości dla swojego opiekuna – że gra toczy się dalej.

– To będzie coś nowego – rzekł.

– Tak? – Po części wyzwanie, po części zaciekawienie.

– Produkcja. Tak bardzo zajęliśmy się tutaj badaniami i pracami rozwojowymi. Dla nas to już nie pocisk raketowy, tylko „latające laboratorium”, jak kiedyś powiedział doktor Thiel...

– Brakuje go panu?

– Tak. Nie pracował w moim pionie. Niezbyt dobrze go znałem.

– Szkoda, że zginął w tym nalocie. Wszyscy poruszamy się po Elipsie Niepewności, prawda?

Pökler pozwolił sobie na rzut oka na zaśmiecone biurko, szybki na tyle, by mógł ujść za objaw nerwowości albo ripostę – Weissmann, wygląda na to, że ty już masz swoją Elipsę.



– Och, brak mi na ogół czasu, by się martwić. Poza tym Mittelwerke jest pod ziemią.

– Tereny taktyczne nie.

– Myśli pan, że mogą mnie wysłać...

Weissmann wzruszył ramionami i obdarzył Pöklera szerokim nieszczerym uśmiechem.

– Mój drogi Pökler, kto może przewidzieć, gdzie się pan znajdzie? Zobaczymy, jak się sprawy potoczą.

Później, w Strefie, kiedy poczucie winy stało się doznaniem zmysłowym, szczypaniem oczu i śluzówek, Pökler doszedł do wniosku, że nie mógł być, nawet tego dnia w biurze Weissmanna, nieświadomy prawdy. Że poznał prawdę wszystkimi zmysłami, ale skatalogował ją w złym miejscu, by go nie dręczyła. Wiedział wszystko, ale powstrzymał się od jedyne go czynu, który mógł przynieść odkupienie. Powinien był udusić Weissmanna na miejscu, powinien był poczuć pod dłońmi zmarszczki żylastej szyi i jabłko Adama, grube okulary zsunęłyby się z nosa, a małe chore oczka zmętniałyby nieodwracalnie...

Wykorzystali ślepotę Pöklera. Wiedział o Nordhausen i obozie w Dorze – wręcz *widział* zagłodzone ciała, oczy więźniów prowadzonych kolumną o czwartej rano do pracy na mrozie i w mroku, powłóczące nogami tysiące w pasiakach. Wiedział też od początku, że Use trzymana jest w obozie reedukacyjnym. Ale dopiero w sierpniu, gdy nadeszły dokumenty urlopowe i Pökler pojechał na północ szarymi połączeniami Niemiec, których już nie poznawał, zbombardowanych, spalonych – wojenne miasteczka, deszczowe fioletowe wrzosowiska – i odnalazł ją, czekającą w holu hotelowym przy Zwölfkinder, z tą samą ciemnością w oczach (jak to możliwe, że dotąd tego nie dostrzegał? orbity bólu?), dopiero wtedy dodał dwa do dwóch. Przez całe miesiące, gdy on sumiennie wykonywał swoje obowiązki, po drugiej stronie drutów kolczastych lub muru, zaledwie kilka metrów od niego, więziona była jego córka, bita, być może gwałcona... Jeśli przeklina Weissmanna, musi

przeklinać również siebie. Okrutny Weissmann nie był przecież bardziej pomysłowy niż wykształcony inżynier Pökler, nowy Dedal, który wznosił jak najwięcej labiryntów między sobą a niewygodami troski. Sprzedali mu wygodę – mnóstwo wygody – na kredyt, a teraz ściągają należności.

Próbując – trochę późno – otworzyć się na ból, który powinien był poczuć już dawno, zaczął ją przepytować. Wiesz, jak nazywa się twój obóz? Tak, potwierdziła – albo odparła zgodnie z instrukcjami – że to Dora. Wieczorem na dzień przed wyjazdem widziała egzekucję. Powieszenie. Porą wieszania był wieczór. Czy chcesz o tym posłuchać? Czy chcesz o tym posłuchać?...

Była wygłodniała. Kilka pierwszych dni spędzili na jedzeniu wszystkiego, co Zwölfkinder miało do zaproponowania. Oferowano mniej niż przed rokiem i po znacznie wyższych cenach. Ale enklawa niewinności wciąż cieszyła się dużym priorytetem, więc nie odeszli z pustymi rękoma.

Niewiele dzieci tego roku. Inżynier i córka mieli praktycznie cały park dla siebie. Koło i inne urządzenia stały nieruchomo. Brak benzyny, poinformowało dziecko-strażnik. Nad głową ryczało przelatujące Luftwaffe. Niemal co noc buczały syreny, widzieli reflektory przeciwlotnicze nad Wismarem i Lubeką, czasem słyszeli bomby. Co Pökler robi w tej krainie snów, w tym kłamstwie? Jego ojczyznę mieli zaraz zmiażdżyć najeźdźcy z zachodu i wschodu: tam, w Nordhausen, histeria osiągnęła homeryczne rozmiary, bo pierwsze rakiety miały ruszyć w bój, bo miały się ziścić proroctwa inżynierów stare jak lata pokoju. Dlaczego w tej doniosłej chwili puścili Pöklera? Kto jeszcze dostał urlop? I co „Ilse” tu robi? Czy nie jest już za duża na bajki? Tegoroczne piersi wyraźnie widoczne pod sukienką, oczy niemal puste, bez większego zaciekawienia sunące ku przypadkowym chłopcom, wcielonym do Volkssturmu wyrostkom, też niezbyt nią zainteresowanym. Bo myśli mieli zajęte rozkazami, gigantycznymi wybuchami i śmiercią – jeśli w ogóle na nią spoglądali, to kątem oka, ukradkiem... ojciec ją poskromi... stępi pazurki... kiedyś będę miał takich na pęczki... ale wpierw muszę odnaleźć dowódcę... gdzieś na Wojnie...

wpierw muszą mnie wyrwać z tego miejsca...

Kto to był, minął ich właśnie wtedy – kim był ten szczupły chłopiec, który mignął przed nimi, tak jasnowłosy, tak biały, że prawie niewidoczny w mgiełce upału spowijającego Zwölfkinder? Czy go dostrzegła? Wzięła za własny drugi cień? Przyszła na świat, bo pewnego wieczoru ojciec zobaczył film pod tytułem „Alpdrücken” i doznał wzwołu. Napalony Pökler nie zwrócił uwagi na wyrafinowaną gotycką symbolikę oświetlenia zastosowanego przez reżysera, dającego dwa cienie, Kaina i Abła. Ilse jednak, jakaś Ilse, przeżyła swoją filmową matkę i koniec filmu, tak samo jak przeżyły cienie cieni. W Strefie wszystko będzie się toczyć pod Starym Rygorem, w świetle i przestrzeni kainistów: nie na skutek jakiegokolwiek cennego Göllerei, lecz dlatego, że zawsze świeciło Podwójne Światło, poza wszelkim filmem, a ten kombinator-reżyser był wtedy jedynym, który to zauważył i wykorzystał, choć w głębokiej nieświadomości, i wtedy, i teraz, co tak naprawdę pokazuje narodowi widzów... Zatem tego lata Ilse minęła się sama ze sobą, zbyt skupiona na wyzbytej cienia wewnętrznej godzinie południa, by zwrócić uwagę na przecięcie się dróg albo by się przejąć.

Tym razem niewiele ze sobą rozmawiali: to były ich nieme wakacje. Chodziła zamyślona, ze spuszczoną głową, z twarzą zakrytą płaszczem włosów, kopiąc brązowymi nogami śmieci niesprzątnięte przez uszczuploną służbę porządkową. Czy dobrze się bawiła, czy wbrew sobie wykonywała tylko rozkaz spędzania czasu z nudnym, podstarzałym inżynierem w parku zabaw, z których dawno wyrosła?

– Wcale tu nie chcesz być, prawda?

Siedzieli przy zanieczyszczonym strumyku, karmiąc chlebem kaczki. Pökler odczuwał sensacje żołądkowe po nieprawdziwej kawie i zepsutym mięsie. Bolała go głowa.

– Mogę być albo tu, albo w obozie – z uparcie odwróconą twarzą. – Ja tak naprawdę nie chcę być nigdzie. Wszystko jedno.

– Ilse.

– A tobie się tutaj podoba? Czy wolałbyś wrócić do środka góry?  
Rozmawiasz z elfami, Franz?

– Nie, nie lubię tam być – *Franz?* – ale mam, mam pracę...

– Tak. Ja też. Moją pracą jest siedzieć w obozie. Jestem zawodową więźniarką. Wiem, jak walczyć o względy, od kogo kraść, na kogo donosić, jak...

Jeszcze chwila i to powie!

– Przestań, Ilse, proszę. – Rozhisteryzowany, uderzył ją w twarz.

Zaskoczone nagłym plaśnięciem kaczki wykonały zwrot i odmaszerowały. Ilse spojrzała na niego, żadnych łez, oczy nanizane na łańcuszek pokojów aż po cienie starego mieszkania sprzed wojny, w którym mógłby wędrować przez lata, słysząc głosy, czując zapachy, szukając siebie, swojego życia, takiego, jakie mogło być, gdyby... Nie potrafił znieść jej obojętności. Straciwszy panowanie nad sobą, zdobył się na akt odwagi. Zaprzestał gry.

– Jeżeli nie chcesz tu wrócić za rok – ostatnie słowa nic nie znaczyły na tym etapie dziejów Niemiec – to nie musisz. Lepiej by tak było.

Natychmiast zdała sobie sprawę, co się stało. Podciągnęła do góry jedno kolano i oparła się o nie czołem, zamyślona.

– Wrócę – powiedziała bardzo cichym głosem.

– Wrócisz?

– Tak. Naprawdę.

Wówczas puściło w nim wszystko, wszystkie zahamowania. Okropnie roztrzęsiony, zboczył ku trajektorii własnego długiego osamotnienia. Rozpłakał się. Ujęła jego dłonie. Przyglądały się im pływające kaczki. Morze stygło pod zamglonym słońcem. Gdzieś w miasteczku zagrał akordeon. Zza kruszących się posągów mitycznych postaci nawoływały się dzieci skazane na zatrąę. Lato dobiegało końca.

Po powrocie do Mittelwerke starał się z uporem przedostać do obozu w Dorze i odnaleźć Ilse. Weissmann przestał się liczyć. Za każdym podejściem wartownicy z SS okazywali wyrozumiałą uprzejmość i zarazem

nieprzejednanie.

Piętrzyła się teraz przed nim niewiarygodna masa pracy. Sypiał niespełna dwie godziny na dobę. Wojna docierała do wnętrza góry tylko w formie pogłosek i braków. Filozofia zaopatrzenia stała się „trójkątna” – trzy ewentualne źródła dostawy, w razie gdyby któreś uległo zniszczeniu. W zależności od tego, skąd coś nie nadeszło albo z jakim nadeszło opóźnieniem, człowiek orientował się, które fabryki zbombardowano, które linie kolejowe zerwano. Pod koniec wiele komponentów trzeba było pozyskiwać i wyrobić na miejscu.

W wolnych chwilach Pöklera dręczyła myśl, dlaczego Weissmann nie daje znaku życia. By sprowokować majora – lub wspomnienie o nim – poszedł poprosić oficerów ze służb wartowniczych majora Förschnera, przekraczając w ten sposób swoje obowiązki. Ale wszyscy uznali to za zwykłą ciekawość. Słyszeli pogłoski, że Weissmanna nie ma w Mittelwerke, że służy w Holandii, gdzie dowodzi baterią. Z pola widzenia zniknął też Enzian z wieloma ważnymi członkami Schwarzkommando. Pökler nabierał coraz większej pewności, że tym razem gra naprawdę dobiegła końca, że Wojna dopadła ich wszystkich, że wytyczyła nowe priorytety życia i śmierci, że nie pozostawia czasu na pastwienie się nad podrzędnym inżynierem. Zdołał się trochę odprężyć, skupił na obowiązkach dnia, czekał na koniec, a nawet zdobył się na nadzieję, że tysiące więźniów z Dory wkrótce zostanie oswobodzonych, wśród nich Ilse, jakaś możliwa do przyjęcia Use...

Lecz wiosną znowu spotkał Weissmanna. Zbudził się z miłego snu o Zwölfkinder-Nordhausen, o mieście elfów, gdzie produkowano zabawkowe rakiety na Księżyc, i u skraju pryczy zobaczył wpatrzoną w niego twarz. Weissmann wyglądał, jak gdyby postarzał się o dziesięć lat; Pökler ledwo go rozpoznał.

– Mamy mało czasu – szepnął esesman. – Chodź pan.

Ruszyli przez bezsenną krzątanicę w białych tunelach, Weissmann powolnym, sztywnym krokiem, obaj milcząc. W jednym z biur czekało kilku

innych naukowców w towarzystwie funkcjonariuszy SS i SD.

– Uzyskaliśmy dla was zwolnienie z waszych wydziałów, bo zajmiecie się teraz nowym specjalnym projektem – rzekł Weissmann. – To ściśle tajne zadanie. Będziecie osobno zakwaterowani, będziecie osobno jeść i wolno wam rozmawiać tylko z tymi, którzy w tej chwili obecni są w tym pokoju.

Rozejrzeli się po twarzach. Potem z powrotem wbili oczy w Weissmanna.

Chciał usprawnić raketę: tylko jedną, dosłownie jedną. Usunięto z niej numer seryjny i namalowano pięć zer. Pökler od razu zrozumiał, że właśnie dlatego Weissmann go oszczędzał: to właśnie miała być jego „szczególna rola”. Nie dostrzegał w tym sensu: oczekiwano od niego skonstruowania plastikowego oprofilowania konkretnych rozmiarów – o pewnych własnościach izolujących – dla układu napędowego. Najwięcej roboty miał inżynier od napędu, bo musiał przeprojektować przewody pary i paliwa, zamienić miejscami elementy. Nikt nie widział tej nowej rakiety. Pogłoski mówiły, że została wyprodukowana gdzieś indziej i nosi miano Schwarzergerät z powodu otaczającej ją aury tajemnicy. Nawet waga stanowiła utajnioną informację. Skończyli w niespełna dwa tygodnie, a *Vorrichtung für Isolierung* było już w drodze. Pökler podlegał swojemu oficjalnemu przełożonemu, praca toczyła się jak dawniej. Nigdy już nie widział Weissmanna.

W pierwszym tygodniu kwietnia, w perspektywie pojawienia się w każdej chwili oddziałów amerykańskich, większość inżynierów pakowała manatki, zbierała adresy współpracowników, piła strzemiennego, snuła się po opustoszałych nawach fabrycznych. Zapanowała atmosfera końca studiów. Trudno było nie pogwizdywać *Gaudeamus igitur*. Raptem klasztorny żywot miał dobiec kresu.

Młody wartownik z SS, jeden z ostatnich, którzy opuszczali fabrykę, odnalazł Pöklera w zakurzonej bufecie, wręczył mu kopertę i odszedł bez słowa. Był w niej coroczny formularz urlopowy, zapowiadający tym razem bliski upadek władzy, i przepustka podróżna do Zwölfkinder. W miejscu



wpisywania dat ktoś nabazgrał prawie nieczytelnie: „po zakończeniu działań wojennych”. Na odwrocie tym samym charakterem pisma (Weissmanna?) wiadomość dla Pöcklera: „Jest wolna. Spotka się tam z tobą”. Zrozumiał, że to była zapłata za zmodernizowanie 00000. Od jak dawna Weissmann trzymał go z rozmysłem w zawieszeniu, żeby mieć specjalistę od plastiku, gdy nadejdzie pora?

Ostatniego dnia Pöckler wyszedł na świat południowym krańcem tunelu. Wszędzie stały ciężarówki, silniki na jałowym biegu, atmosfera pożegnania w wiosennym powietrzu, na górskich stokach wysokie drzewa rozświetlone na zielono przez słońce. Obersturmbahnführera nie było na posterunku, gdy wszedł do Dory. Nie szukał Ilse, przynajmniej nie tylko. Być może poczuł wreszcie, że musi to zobaczyć. Nie był jednak przygotowany. Nie wiedział. Miał wszelkie dane, owszem, ale nie pojmował, ani zmysłami, ani sercem...

Smród gówna, śmierci, potu, chorób, pleśni, szczyń – oddech Dory – spowił go, gdy wślizgnął się do środka, wpatrzony w nagie trupy wynoszone i rzucone pod krematorium – akurat teraz, gdy Ameryka była tak blisko – u mężczyzn dyndające członki, palce u nóg sklejone w białe grona i okrągłe jak perty... każda twarz tak perfekcyjna, tak indywidualna, usta rozciągnięte w uśmiechu śmierci, milcząca widownia załatwiona tuż przed pointą dowcipu... i żywi, stłoczeni po dziesięciu na jednym sienniku, słabowity płacz, kaszel, przegrani... Wszystkie jego próżnie, jego labirynty były drugą stroną tego medalu. Gdy on żył i stawiał znaki na papierze, niewidzialne królestwo funkcjonowało, w ciemności na zewnątrz... przez cały czas... Pöckler zwymiotował. Zapłakał. Ściany się nie rozpuściły – żaden mur więzienny nigdy się nie rozpuścił, przynajmniej nie od łez, nie w chwili tego odkrycia, że twarze wyzierające z tych wszystkich sienników, ze wszystkich cel są ludźmi, których zna i którzy są mu drodzy jak on sam, i nie może pozwolić im na powrót do tej ciszy... Ale co poradzi? Jak je zatrzyma? Niemoc, wirująca żałość wykańczają go, jak ucieczka wykańcza serce zbiega i niewielka została szansa na porządny gniew albo zwrot...



W najciemniejszym i najbardziej cuchnącym miejscu Pökler znalazł leżącą kobietę. Przypadkową kobietę. Siedział przez pół godziny, trzymając jej trupa dłoń. Kobieta oddychała. Przed odejściem zdjął złotą obrączkę i wsunął ją na jej cienki palec, po czym zgiął dłoń, żeby się nie ześlizgnęła. Jeśli przeżyje, zapłaci nią za kilka posiłków albo koc, albo noc pod dachem, albo podróż do domu...



Z powrotem w Berlinie, nad miastem grzmoty przeraźliwej burzy. Margherita przyprowadziła Slothropa do rozchybotanego drewnianego domku nad Sprewą, w radzieckim sektorze. Wejścia strzeże tu spalony *Königstiger*, farba zwęglona, gąsienice poszarpane i wyrwane z kół zębanych, martwa osiemdziesiątka ósemka skierowana w dół, wskazująca punkt na szarej rzece, szemrzącej i kłutej przez deszcz.

Wewnątrz nietoperze gnieźdzą się pod belkami, na gołej podłodze ich gówna i rozbite szkło, barłogi cuchną stęchlizną, okna zabite deskami z wyjątkiem jednego miejsca do odprowadzania dymu z pieca, bo komin zburzono. Na bujaku leży futro z kretów, bury obłok. Na podłodze nadal widać farbę po dawno zapomnianym artyście, pomarszczone rozbryzgi zestarzałego karmazynu, szafranu, pruskiego błękitu, wsteczne zniekształcenie obrazów, których losy są nieznane. W kącie wisi zmatowiałe lustro, rama, pomalowana na biało w kwiaty i ptaki, odbija Margheritę i Slothropa, i deszcz w drzwiach. Część sufitu, zdmuchniętą, gdy Królewski Tygrys wydał ostatnie tchnienie, zastępują namokłe i poplamione plakaty na tekturze, przedstawiające tę samą postać w płaszczu i kapeluszu z szerokim rondem, z dopiskiem *DER FEIND HÖRT ZU*. W kilku miejscach skapuje woda.

Greta zapala lampę naftową. Światło rozjaśnia ulewę garścią żółci. Slothrop wkłada drewno do pieca, a Margherita nurkuje pod podłogę, gdzie ukryto mnóstwo ziemniaków. Kurczę, Slothrop od miesięcy nie widział ziemniaka. W worku jest też cebula, a nawet wino. Ona gotuje, potem oboje siadają i żrą kartofle. Następnie, bez akcesoriów i słów, pieprzą się aż do snu. Kilka godzin później Slothrop budzi się i zastanawia, dokąd pójść.

No jak to, gdy tylko deszcz ustanie, pójdzie odnaleźć Säurego Bummera, odda mu haszysz. Ale co potem? Slothrop, tajemnica S-Gerät i Jamfa/imipoleksu oddalili się od siebie. Nie myślał o nich od jakiegoś czasu.

Ostatni raz kiedy? Tego dnia, gdy siedział z Säurem w kawiarni i palił skręta... a, to chyba było przedwczoraj, co? Deszcz przecieka, mocząc podłogę, a Slothrop zdaje sobie sprawę, że traci rozum. Być może jest coś pocieszającego – religijnego, jeśli wolisz – w paranoi, ale istnieje też antyparanoja, dla której nic nie łączy się z niczym, a to stan rzeczy, który niewielu z nas potrafi długo wytrzymać. No więc w tej chwili Slothrop czuje, że wślizguje się w antyparanoiczne stadium swojego cyklu, czuje, że całe miasto dookoła znów jest bez dachów, wystawione na atak, nieześrodkowane jak on sam, są tylko tekturowe wizerunki Podśluchującego Nieprzyjaciela, tkwiące między nim a mokrym niebem.

Albo Oni ściągnęli go tutaj z konkretnego powodu, albo po prostu się tu znalazł. Nie wie, czy nie wolałby jednak, żeby istniał jakiś *powód*...

Deszcz ustaje o północy. Slothrop zostawia Margheritę i z pięcioma kilogramami wypełza w zimne miasto, przywłaszczwszy sobie porcję uszczuploną przez Cziczera. Rosyjscy żołnierze śpiewają na kwaterach. W tle rozdzierająco ryczą zbolące akordeony. Materializują się rozweseleni pijacy, szcują do rynsztoków pośrodku wybrukowanych alejek. Błoto wypełnia niektóre ulice jak ciała. Z lejów po bombach wylewa się deszczówka, połyskująca w nocnych światłach ekip uprzętających gruzy. Połamane biedermeierowskie krzesło, pojedynczy but, stalowe oprawki okularów, psia obroża (oczy na skraju krętego szlaku, wypatrujące znaku, blasku), korek od wina, rozłupana szczotka, rower bez koła, porzucone egzemplarze „Tägliche Rundschau”, gałka drzewiowa z chalcedonu, zabarwiona dawno temu na niebiesko żelazocyjankiem żelaza, rozsypane klawisze fortepianu (wszystkie białe, oktawa w B, ściśle rzecz biorąc – albo H w niemieckim zapisie – nuty odrzuconej skali lokryjskiej), czarne i bursztynowe oczka jakiegoś wypchanego zwierzęcia... Zaśmiecona noc. Za murami, których szczyty biegną skokowo jak wykres gorączki, przemykają wystraszone, trzęsące się psy. Przez chwilę wyciek gazu wkrada się gdzieś w woń śmierci i deszczu. Wysoko po bokach wypatroszonych kamienic ciągną

się rzędy czarnych otworów okiennych. Bryły betonu wiszą na prętach uzbrojenia, które wiją się niby czarne spaghetti, całe ogromne masy dyndające złowieszczo nad głową, gotowe runąć przy najlżejszym drgnięciu powietrza... Za obojętnymi oczyma i uśmiechem unosi się nad miastem Gładkolicy Strażnik Nocy, zwinięty i blady, nucąc swoje chrapliwe kołysanki. Młodzi mężczyźni tak właśnie spędzali lata Inflacji, na ulicy, pozbawieni miejsca, w którym można się schronić przed czarną zimą. Dziewczęta wysiadywały do późna na gankach albo ławkach w świetle latarni nad rzeką, czekając na klientów, ale mężczyźni tylko przechodzili obok, ignorowani, garbiąc wywatowane ramiona, bo pieniądz nie miał żadnego odniesienia do niczego, co można kupić, ot, pęczniejący papierowy rak w portfelach...

Baru „Chicago” strzegą na zewnątrz dwaj potomkowie tamtych, dzieciaki w garniturach George’a Rafta, za dużych o tyle numerów, że nigdy do nich nie dorosną. Jeden charka bez przerwy w niepohamowanych, przedśmiertnych napadach kaszlu. Drugi oblizuje wargi i gapi się na Slothrop. Cwele-cyngle. Gdy wypowiada nazwisko Säurego, zastawiają sobą drzwi, kręcąc głowami.

- Słuchajcie, muszę mu dostarczyć przesyłkę.
- Nie znamy nikogo takiego.
- A mogę zostawić wiadomość?
- Nie ma go tutaj.

Kaszlący wyprowadza cios, Slothrop paruje, wykonując peleryną szybką Weronikę, i podstawia smarkaczowi nogę, ten ląduje na ziemi, klnąc, zaplątany w długi łańcuszek od garnituru, tymczasem jego kumpel gmera łapą pod trzepoczącą marynarką najpewniej w poszukiwaniu spluwy, więc Slothrop kopie go w jaja i wrzeszcząc: *Fickt nicht mit der Raketemensch!* – żeby sobie gówniarze zapamiętali; ot, taki okrzyk wojenny – umyka w cienie, między stosy rupieci, kamieni i ziemi.

Wybiera trasę, którą – jak mu się wydaje – tamtej nocy prowadził ich Säure

– gubi się, błądzi po labiryntach bez okien, płataniny drutu kolczastego, zwolnionego ze służby przez nawałnice śmierci minionego maja, potem na zbombardowany i posiekany parking dla ciężarówek, z którego nie może się wydostać przez pół godziny, pofałdowany akr gumy, smarów, stali, rozlanej benzyny, kawałków samochodów wskazujących niebo albo ziemię nie inaczej niż na amerykańskim złomowisku w czasach pokoju, wszystko stopione w dziwaczne, brązowe twarze z „Saturday Evening Post”, tyle że nie są swojskie, lecz wprost złowrogie... tak, owszem, to naprawdę „Saturday Evening Post”: twarze posłańców w trójgraniastych kapeluszach, przybywających z długich wzniesień, spośród więzów, z legend o Berkshire, podróżni zagubieni na obrzeżu Wieczoru. Przybywają z nowiną. Oblicza wygładzą się jednak, jeśli będziesz uparcie patrzył. Uprasują się w beczasowe maski, które wyrażają cały sens, wszystko wypisane na czole.

Dopiero po godzinie odnajduje piwnicę Säurego. Ale wewnątrz jest ciemno i pusto. Wchodzi, zapala światło. Nora wygląda jak po nalocie policji albo wojnie gangów: prasa drukarska zniknęła, wszędzie porozrzucane ubrania, bardzo dziwne ubrania, jeśli już o to chodzi, na przykład garnitur z wikliny, do tego *żółty*, przegubowy przy pachach, łokciach, kolanach i kroku... och, hm, no cóż, Slothrop przetrząsa żwawo pomieszczenie, zerka do butów, niektóre to wcale nie buty, tylko jakby rękawiczki na nogi, *pięciopalczaste*, w dodatku nie z materiału, tylko chyba *odlane* z ohydnej pstrokatej żywicy, z jakiej robi się kule do kręgli... zagląda pod odklejone kawałki tapety, w fałdy zwiniętej zasłonki, w jedną czy dwie sterty fałszywych marek, rozsypanych przez napastników – piętnaście minut na to, nie znajdując nic... a na stole biały przedmiot obserwujący go przez cały czas z ziejącego cienia. Slothrop czuje na sobie to spojrzenie, zanim dostrzega patrzącego: pięciocentymetrowa figura szachowa. Biały skoczek, odlany z plastiku... i-i-i zaczekaj, póki Slothrop nie dowie się, co to za plastik, o rany!

To czaszka konia: puste oczodoły ciągną się wewnątrz aż do samej podstawy. W jednym tkwi zwinięta ciasno bibułka do papierosów z

informacją od Säurego: „Raketemensch! Der Springer poprosił, bym ci to dał. To jego symbol. Zatrzymaj skoczka – bo po nim cię rozpozna. Jestem przy Jacobistrasse 12, Hof 3, numer 7. Umowa 100i”. Aha, „100i” to zwyczaj Johna Dillingera. Tego lata wszyscy w Strefie tak to piszą. Dajesz ludziom do zrozumienia, co myślisz o pewnych sprawach...

Säure załączył szkic, jak dotrzeć do jego meliny. To wyraźnie w brytyjskim sektorze. Slothrop jęczy i z powrotem przeciska się w błoto o wczesnej godzinie. W okolicy Bramy Brandenburskiej znowu zaczyna mżyć. Na ulicy wciąż leżą jej kawałki – obtłuczona przez pociski, pnie się pochyło ku niebu, w kolosalnej ciszy, wynędzniała; gdy Slothrop przechodzi bokiem, rydwan połyskuje jak węgiel, ciągnięty, a jednak nieruchomy, jest trzydziesty wiek i zawadiacki Rocketman właśnie wylądował, by zwiedzić ruiny, zobaczyć na pustyni ślady starożytnego europejskiego porządku...

Jacobistrasse i dzielnica ruder wyszły prawie nietknięte z walk ulicznych; tak samo ich wewnętrzny mrok, zaułki cienia, które trwają bez względu na to, czy słońce jest na niebie. Numer 12 to wielka kamienica, zbudowana przed Inflacją, pięć albo sześć pięter i poddasze, pięć lub sześć *Hinterhöfe*, zagnieżdżonych jeden w drugim – pudełka sprezentowane przez dowcipnisia, a w środku tylko ostatni pusty dziedziniec, gdzie od dziesięcioleci cuchnie tym samym gotowaniem, śmieciami i moczem. Hi, hi!

Slothrop podkrada się w pelerynie do pierwszej sklepionej bramy. Światło latarń rzuca do przodu jego cień w formie szeregu podobnych sklepień, każde opatrzone napisem z wyblakłej farby: *Erster-Hof*, *Zweiter-Hof*, *Dritter-Hof* u.s.w., uformowane jak wjazdy do *Mittelwerke*, paraboliczne, choć raczej podobne do otwartych ust i gardzieli, stawy z chrząstki ciągną się i czekają, czekają, żeby połączyć... nad ustami para kwadratowych oczu, białka z organdy, źrenice smoliście czarne, patrzą na niego z góry... śmieje się tak samo od wielu lat, bez przerwy, rubaszny, dudniący śmiech, niczym gruba porcelana, kotłująca się pod wodą w zlewie. Bezmózgi chichot, to tylko wielki geometryczny ja, nie ma się co denerwować, wlaż śmiało... Ból,

dwadzieścia pięć lat bólu sparaliżowanego w tym głębokim gardle... stary wyrzutek, bierny, teraz nałogowo oddany przetrwaniu, przeczekujący lata, zaczajony na bezbronnych durniów pokroju Slothrop, żeby się im ukazać, płacze i śmieje się, a wszystko w ciszy... farba odłazi z Oblicza, popalonego, schorowanego, umierającego od dawna, i jak Slothrop może wmaszerować do takiego schizofrenicznego gardła? Normalnie, bo właśnie tego oczekuje od niego wartujące potężne Studio, *naturlich*: Slothrop gra dziś rolę wyrostka: to, co napędzało go przez całą noc, jego i innych samotnych berlińczyków, którzy wychodzą na świat tylko o tych pustych porach, nigdzie nienależący i idący donikąd, to ich niewytłumaczona potrzeba, by zachować marginesową populację w tych nędznych, opuszczonych przez Boga miejscach, oczywiście z przyczyn ekonomicznych, choć kto wie, może emocjonalnych też...

Säure też jest na nogach, ale w wyobraźni, uganiania się pośród swoich snów. Wygląda to na pojedynczy duży pokój, wypełniony dymem z papierosów i marokańskiej trawki, pokruszone krawędzie tynku w miejscach, gdzie runęły ściany, sienniki na całej podłodze, na jednym para dzieląca się w ciszy późnym papierosem, na drugim ktoś chrapie... lśniący fortepian, imperial Bösendorfera, nad którym pochyla się Trudi, ubrana tylko w wojskową koszulę, zdesperowana muza, gołe nogi długie i wyprostowane, „Chodź do łóżka, Gustav, zaraz zrobi się widno”. Jedyłą odpowiedzią jest brzdąknięcie basowych strun. Säure leży na boku, całkiem nieruchomo, zmałał, jest dzieckiem, na buzi liczne ślady po skokach z okien drugiego piętra, pierwsze obmacywania przez sierżantów – przez kobiece łapska w rękawiczkach – na rogatkach miasta, złote światło popołudniami na torach wyścigowych w Karlshorst, czarne światło z chodników na bulwarach nocą pomarszczoną drobno jak wyprawiona skóra, naciągnięta na kamień, białe światło z atlasowych sukni, połyskujące kieliszki, ustawione przed lustrami w barach, bezszeryfowe „U” nad wejściami do stacji metra, wycelowane końcami magnesu w niebo, żeby ściągnąć stalowe anioły wzniosłości, ociążały



kapitulacji – twarz, która we śnie jest przeraźliwie stara, wydana dziejom swego miasta...

Otwiera oczy – na ułamek sekundy Slothrop jest tylko ocienionymi fałdami zieleni, uwydatniony hełm, wielkości światła, wymagają uporządkowania. Potem pojawia się słodki zadowolony uśmiech, wszystko okay, *ja*, się masz, Rocketman, *was ist los?* Powitalna gadka jest krótka, zatwardziały stary ćpun od razu przechodzi do rzeczy: otwiera worek i zagląda do środka – oczy jak dwie dziurki wyszczone w śniegu – żeby zobaczyć towar.

– Myślałem, że siedzisz w pierdłu albo coś.

Cap za marokańską fajeczkę, Säure już rozprasowuje gruby okruch haszyszu, nucąc pod nosem popularna rumbę:

Odrobina przysmaku z Maroka

I już patrzymy z wysoka.

– No cóż, Springer zwinął nasz fałszerski interes. Przejściowe trudności, kapujesz.

– Nie kapuję. Podobno jesteście zażyłymi kumplami.

– Nie bardzo. Poza tym on obraca się w wyższych sferach. – To zawiła historia: zaczęło się od tego, że waluta okupacyjna wyszła z użycia w śródziemnomorskim teatrze, a wojsko alianckie niechętnie przyjmuje marki. Springer też ma problemy z płatnościami, zatem zaczął spekulować ostro z funtem szterlingiem i...

– Zaraz – mówi Slothrop – gdzie w takim razie jest mój milion marek, Emil?

Säure się zaciąga, żółty płomyk skacze po krawędzi główki.

– Tam, gdzie wije się kapryfolium.

Dokładnie to samo odpowiedział Jubilee Jim Fisk komisji Kongresu, która prowadziła dochodzenie w sprawie planu obmyślonego przez niego i Jaya Goulda, by zmonopolizować rynek złota w 1869 roku. Te słowa przypominają o Berkshire. Nie mając żadnych innych dowodów prócz nich, Slothrop dochodzi do wniosku, że to niemożliwe, by Säure był po stronie

złych facetów. Kimkolwiek Oni są, Ich gra polega na tłumieniu, a nie przypominaniu.

– Trudno, mogę sprzedawać uncjami to, co mam – kombinuje Slothrop. – Za walutę okupacyjną. Jest stabilna, nie?

– Nie wściekasz się? Naprawdę się nie wściekasz?

– Rocketman jest ponad takie pierdoły, Emil.

– Przygotowałem dla ciebie niespodziankę. Mogę ci załatwić to Schwarzgerät, o które pytałeś.

– Ty?

– Springer. Poprosiłem w twoim imieniu.

– Nie wygłupiaj się. Naprawdę? Rany, to byczo! Kiedy mogę –

– Dziesięć tysięcy funtów szterlingów.

Slothrop wypuszcza dym z płuc.

– Dzięki, Emil. – Opowiada Säuremu o wpadce w ręce Cziczierina i spotkaniu z Mickeyem Rooneyem.

– Rocketman! Spaceman! Witamy na naszej dziewiczej planecie. Chcemy tylko, by pozostawiono nas w jakim takim spokoju, dobra? Jeśli jednak nas pozabijasz, to przynajmniej nie zjadaj. Jeśli pozjadasz, powstrzymaj się od trawienia. Żebyśmy wyszli drugim końcem jak diamenty w gównie przemytników...

– Posłuchaj – przypominając sobie nagle dawną rozmowę z Geli w Nordhausen – czy twój kumpel Springer wspomniał, że ostatnio kręcił się w Świnoujściu albo podobnym miejscu?

– To cena netto za ten sprzęt, Rak. Połowa jako zaliczka. Powiedział, że odnalezienie żelastwa będzie go kosztowało co najmniej tyle.

– A więc nie wie, gdzie to jest. Cholera, wszystkich nas może naciągnąć, urządzi istną licytację w nadziei, że ktoś okaże się głupi i wybuli forszę.

– Na ogół się wywiązuje. Nie miałeś chyba żadnych problemów z jego fałszywą przepustką, co?

– Aaaaachhhh.

– Właśnie, właśnie, chciałem zapytać o to nazwisko, o Maksa Schlepzigę.

– No więc...

Ale Trudi akurat rezygnuje z Gustava w fortepianie, podchodzi, siada i zaczyna się ocierać policzkami o mechate spodnie Slothrop, kochane gołe nogi szepczą coś, włosy rozwiane, koszula rozpięta do połowy, Säure zaś niepostrzeżenie odtoczył się i z jękiem zapadł w sen. Dziewczyna i Slothrop usuwają się na materac leżący jak najdalej od Bösendorfera. Slothrop siada z westchnieniem, zdejmuje hełm i pozwala, by wielka, słodka i mięciutka Trudi zajęła się nim po swojemu. Stawy bolą go od deszczu i łożenia po mieście, jest na wpół zamroczony. Trudi sprawia mu pocałunkami zdumiewającą rozkosz, to dom otwarty, żadnych faworyzowanych zmysłów czy organów, wszystkie uczestniczą po równo w zabawie... chyba pierwszy raz w życiu Slothrop nie czuje przymusu doznania wzwodu, no i dobrze, bo to najwyraźniej nie o członek chodzi, lecz raczej... litości, to wstyd, ale... wygląda, mmm, że tak jakby nos się prężył, śluz zaczyna cieć, owszem, to erekcja nosa i Trudi to widzi bez dwóch zdań, co może poradzić, biedaczka, tylko... obejmuje ustami pulsującego kulfona i wciska metry skwarne go języka w jedno nozdrze... on czuje każdy najmniejszy różowiutki kubeczek smakowy, ona penetruje coraz głębiej, wciska się w przedsiónek, przez włoski, żeby zmieścić całą głowę, potem ramiona i... hm, wlała już do połowy, no i dobra – podkurcza nogi, wwierca się, włoski to uchwyty dla rąk i oparcie dla nóg, wyprostowuje się nareszcie w wielkim czerwonym holu, który jest całkiem ładnie oświetlony, nie dostrzega ścian ani sufitu, tylko niewyrazistość w formie muszli morskiej i wiosenne natężenia różu we wszystkich kierunkach...

Zasypiają w pokoju wypełnionym chrapaniem, przy akompaniamencie niskich tonów fortepianu i stąpania milionów nóg deszczu na podwórkach. Gdy Slothrop się budzi, jest środek Złej Godziny, Trudi z Gustavem brzękają filiżankami w sąsiednim pokoju, szylkretowy kot łowi muchy przy brudnym oknie. Nad Szprewą Biała Kobieta czeka na Slothropę. Nie pali mu się

jednak, żeby wyjść. Trudi i Gustav wchodzą z kawą i połową skręta, wszyscy siadają, żeby pogadać.

Gustav to kompozytor. Od miesięcy toczy zażarty spór z Säurem o to, kto jest lepszy: Beethoven czy Rossini. Säure opowiada się za Rossinim.

– Ja nie jestem za Beethovenem jako Beethovenem – dowodzi Gustav – lecz za Beethovenem jako reprezentantem niemieckiej dialektyki, ziszczania coraz większej liczby nut w skali, czego kulminacją jest dodekafoniczna demokracja, w której wszystkie nuty zostają jednakowo wysłuchane. Beethoven był jednym z architektów muzycznej wolności: pomimo głuchoty poddał się konieczności dziejowej. Rossini wycofał się w wieku trzydziestu sześciu lat, zbabiał i utył, Beethoven tymczasem przeżył życie wypełnione tragedią i wielkością.

– No to co z tego? – brzmi dyżurna odpowiedź Säurego na takie argumenty. – A co ty byś zrobił? Chodzi o to – przerywając tradycyjny krzyk Gustava – że człowiek dobrze się czuje przy muzyce Rossiniego. A słuchając Beethovena, myśli tylko o tym, żeby jak najszybciej najechać Polskę. „Oda do radości”, akurat. Facet nie miał nawet poczucia humoru. Powiem ci – potrząsając chudą pięścią – więcej wzniosłości jest w werblu ze „Sroki złodziejki” niż w całej „Dziewiątej symfonii”. Z Rossinim rzecz polega na tym, że kochankowie zawsze się zejną, osamotnienie zostanie przezwyciężone, a czy ci się to podoba, czy nie, to właśnie jest wielki ruch dośrodkowy Świata. W meandrach chciwości, małostkowości i nadużywania władzy *pojawia się miłość*. Całe gówno przemienia się w złoto. Otwiera się wyłom w murze, wchodzimy na balkon – posłuchaj! – To była noc na początku maja, trwało ostatnie bombardowanie Berlina. Säure musiał wrzeszczeć jak opętany. – Włoszka jest w Algierze, cyrulik w składzie porcelany, sroka kradnie wszystko w zasięgu wzroku! Świat pędzi ku sobie...

Tego dżdżystego ranka, w ciszy, wydaje się, że Niemiecka Dialektyka Gustava dobiegła kresu. Właśnie otrzymał wiadomość z Wiednia – pocztą pantoflową muzyków – że Anton Webern nie żyje.

– Zastrzelony w maju przez Amerykanów. Bezsensowna, przypadkowa śmierć, jeśli wierzysz w przypadki. Jakiś kucharz z Karoliny Północnej, wcielony w ostatniej chwili, z czterdziestką piątką, którą nawet nie za bardzo potrafił się posługiwać. Spóźnił się na wojnę, ale zdążył dopaść Weberna. Powodem nalotu na dom było to, że jego brat handlował na czarnym rynku. Kto nie handluje? Zdajecie sobie sprawę, jaki mit narodzi się z tego za tysiąc lat? Młodzi barbarzyńcy przybyli, żeby zgładzić Ostatniego Europejczyka, ostatnie ogniwo łańcucha ciągnącego się od Bacha, rozwoju polimorficznej perwersji w muzyce, póki wszystkie nuty nie staną się naprawdę równe sobie... Dokąd pójdziemy po Webernie? To była chwila maksymalnej wolności. Wszystko musiało runąć. Jeszcze jeden *Götterdämmerung* –

– Młody głupcze – kracze Säure, powróciwszy z miasta, przywłókłszy za sobą poszewkę do poduszki, pełną rozkwitłych główek ze wspomnianego rejonu Afryki Północnej. Wygląda jak siedem nieszczęść – nabiegłe krwią oczy, pulchne dziecięce ramiona bez jednego włoska, otwarty rozporek, połowę guzików szlag trafił, siwe włosy i niebieska koszula ubabrane smugami jakiejś obrzydliwej zielonej piany. – Wpadłem do leja. Masz, szybko, skręć tego trochę.

– Co znaczy „młody głupcze”? – pyta Gustav.

– Mam na myśli ciebie i twój muzyczny nurt! – wrzeszczy Säure. – Czy to już koniec? Czy musimy zacząć *da capo* od Carla Orffa?

– Nigdy mi to do głowy nie przyszło – mówi Gustav i przez chwilę jest jasne, że Bummer też słyszał o Webernie i na swój podstępny sposób próbuje pocieszyć kolegę.

– No to co jest takiego złego w Rossinim?! – ryczy. – He?

– Fuj! – odkrzykuje Gustav. – Rossini, fuj, fuj – i znowu biorą się za łby – ty żaloszny ramolu. Dlaczego dzisiaj nikt już nie chodzi na koncerty? Myślisz, że z powodu wojny? O nie. Powiem ci dlaczego, dziadku: bo sale koncertowe są pełne takich ludzi jak ty! Wypchane po brzegi! Stare pryki przysypiają, kiwają głowami, uśmiechają się, chrapią przez sztuczne szczęki, charczą i

popluwają w papierowe torebki, knują jeszcze więcej cwanych spisków przeciw dzieciom – nie tylko własnym, ale innych ludzi też! Siedzą na salach w towarzystwie takich samych siwogłowych łotrów, w tle miły szmer świszczących płuc, beknięć, burczenia żołądków, drapania, ciućkania, gderania, opera pęka od nich w szwach, stoją na trzęsących się nogach między rzędami, dyndają uwieszeni najwyższych balkonów, i ty, Säure, wiesz, czego słuchają, co? Słuchają Rossiniego! Siedzą i ślinią się do tej wiązanki przewidywalnych melodyjek, z łokciami na kolanach mruczą: „Dawaj, dawaj, Rossini, miejmy już tę pretensjonalną fanfarę za sobą, przejdźmy do naprawdę dobrej muzyki!”. Zachowanie bezwstydne jak opchnięcie całego słoika masła orzechowego za jednym zamachem.

I nagle rozbrzmiewa żwawa tarantela z „Tankreda”, więc tupią zachwyceni, dzwonią w takt zębami i walą laskami – „Och, och, o to chodziło!”.

– To wspaniała melodia! – ryczy Säure. – Zakurz sobie jeszcze jednego, a zagram ci ją na Bösendorferze.

Przy akompaniamencie taranteli – która rzeczywiście jest niezłą melodią – z porannego deszczu do pokoju wchodzi Magda i zaraz roluje wszystkim papierosy. Podaje jeden Säuremu, żeby przypalił. Bummer przestaje grać i patrzy na skręta przez chwilę, kiwając głową, uśmiechając się i marszcząc czoło.

Gustav drwi, lecz Säure rzeczywiście okazuje się adeptem trudnej sztuki papiromancji, czyli umiejętności odczytywania przyszłych wydarzeń ze sposobu rolowania papierosów: kształt, technika ślinienia, fałdki i załamania bibułki lub ich brak.

– Wkrótce się zakochasz – mówi. – Widzisz tę linię tutaj?

– Długa, co? Czy to dowodzi, że –

– Długość na ogół oznacza intensywność. Nie czas.

– Krótka, ale słodka – wzdycha Magda. – *Fabelhaft, was?*

Trudi podchodzi, by ją przytulić. Numerek Mutt i Jeffa, Trudi na obcasach jest z trzydzieści centymetrów wyższa. Zdają sobie sprawę, jak to wygląda, i

kursują tak po mieście, żeby wkraść się choć na chwilę w umysły innych.

– Jak ci się podoba to gównno? – pyta Säure.

– *Hübsch* – raczy przyznać Gustav. – Troszeczkę *stahlig*, poza tym może drobnuteńki ślad *Bodengeschmack* w głębi *Köper*, który jest *süffig*, nie ukrywam.

– Ja bym raczej powiedział, że *spritzig* – oponuje Säure, jeśli to naprawdę to. – Ogólnie bardziej *bukettreich* niż zeszłoroczne zbiory, nie sądzisz?

– Och, jak na roślinkę z Atlasu Wysokiego, ma swój *Art*. Z całą pewnością uznałbym to za *kemig*, a nawet – co można często powiedzieć o *sauber* charakterystycznej dla regionu Oued Nfis – autentycznie *pikant*.

– Szczerze powiedziawszy, ja bym dopatrył się pochodzenia z południowego stoku Jebel Sarho – mówi Säure – bo zwróć uwagę na *Spiel*, jest raczej *glatt* i *blumig*, a nawet przywodzi na myśl śmiałą *Fülle*, typową dla tych, które są *würzig*...

– Nie, nie, nie, *Fülle* byłoby na wyrost, ten Szmaragd El Abid z zeszłego miesiąca miał *Fülle*. Ale oczywiście to wydaje się bardziej *zart* niż tamto.

Prawda jest taka, że obaj są przymuleni i nie wiedzą, co mówią, no i nie szkodzi, bo w tej chwili rozlega się przeraźliwe walenie do drzwi i *achtung, achtung!* Slothrop z wrzaskiem rzuca się do okna, hop na dach i w dół, zjazd po cynkowanej rurze na sąsiednie podwórko od ulicy. W pokoju Säurego nalot jak się patrzy. Policja berlińska, wspierana przez amerykańską żandarmerię wojskową w roli doradcy.

– Proszę okazać dokumenty! – wrzeszczy dowodzący akcją.

Säure uśmiecha się i okazuje paczkę zig-zagów świeżo przysłanych z Paryża.

Dwadzieścia minut później, gdzieś w amerykańskim sektorze, Slothrop przechodzi obok kabaretu, gdzie roi się od żandarmów wojskowych o tępych twarzach, a radio albo gramofon gra gdzieś wiązanekę Irvinga Berlina. Dyrda ulicą skulony jak paranoik, oto „God Bless America”, i-ii „This Is the Army”, „Mister Jones”, amerykańskie odpowiedniki pieśni Horsta Wessela, a w tej



samej chwili przy Jacobistrasse Gustav (nikt mu nie wyciął numeru Weberna) bredzi do zbaraniałego amerykańskiego podpułkownika:

– Parabola! Potrzask! Nigdy nie byliście tam bezpieczni od prostackiego niemieckiego łuku symfonicznego, z toniki do dominanty i z powrotem do tej toniki. Wielkość! *Gessellschaft!*

– Jakie teutoniki? – dziwi się podpułkownik. – Jakie dominanty? Czego ci się zachciewa? Wojna się skończyła, kolego. Co ty mi tu?

Z podmokłych pól Markische Schweiz dmie zimna mżawka. Radziecka konnica przecina Kurfürstendamm, pędząc do uboju stado porykujących ubłoconych krów, na rżesach nanizane krople deszczu. W sowieckim sektorze dziewczęta z karabinami przewieszonymi na skos podrygujących pod wełną biustów kierują ruchem samochodowym za pomocą pomarańczowych proporczyków. Warczące buldożery i ciężarówki z mozołem przetaczają się przez chybotliwe murki, a małe dzieci wiwatują w reakcji na każdy głuchy huk. Srebrne serwisy do herbaty brzęczą na przystrojonych paprociami tarasach, gdzie skapuje woda, kelnerzy w szczupłych czarnych frakach obracają i przekrzywiają głowy. Z pluskiem przejeżdża otwarta dorożka, dwaj radzieccy oficerowie oblepieni medalami siedzą w towarzystwie swoich pań w jedwabnych sukniach i miękkich kapeluszach, za którymi ciągną się wstążki. Na rzece kaczki o połyskliwych zielonych łebkach dryfują pośród wzbijanych przez siebie fal uderzeniowych. Pogięta rura stercząca z domu Margherity wydycha dym. Tuż za progiem Slothrop wita rzucony pantofel na obcasie. Unik w porę. Margherita klęczy na łóżku, oddycha szybko i patrzy.

– Zostawiłeś mnie.

– Miałem sprawy do załatwienia. – Przetrzęsa zakryte puszkę na półce zawieszanej nad piecem, znajduje wysuszone kwiaty koniczyzny na herbatę.

– Ale zostawiłeś mnie samą. – Włosy rozwiane w szaroczną chmurę dokoła twarzy. Dopadają ją przeciągi, których on w ogóle nie odczuwa.

– Tylko na chwilę. Chcesz herbaty? – wychodząc na dwór z pustą puszką.

– Co dla ciebie znaczy chwila? Na miłość boską, czy ty nigdy nie byłeś sam?

– Pewnie, że byłem. – Nabiera deszczówki z beczki przy drzwiach.

Margherita leży roztrzęciona i bezradna, wszystko wypisane na jej twarzy.

Slothrop stawia puszkę z wodą na ogniu.

– Spałaś smacznie. Nie czujesz się tutaj bezpiecznie? O to ci chodzi?

– Bezpiecznie? – Okropny śmiech. Wolałby, żeby się tak nie śmiała. Woda zaczyna bulgotać. – Wiesz, co mi zrobili? Wiesz, co wysypali mi na piersi? Wiesz, jak mnie nazwali?

– Kto?

– Obudziłam się tuż po twoim wyjściu. Wołałam cię, ale nie wróciłeś. Upewnili się, że cię nie ma, i wtedy przyszli...

– Trzeba było nie zasypiać drugi raz.

– Wcale nie zasnęłam! – Pstryk, zapalone słońce wkrada się do środka. Ona odwraca twarz od ostrego światła.

Slothrop zaparza herbatę, Margherita siedzi na łóżku i przeklina go po niemiecku i włosku głosem, który od rozpadnięcia się dzieli tylko krok. Podaje jej filiżankę, ale ona wytrąca mu ją z rąk.

– Rany, uspokój się, dobrze? – Slothrop siada obok i dmucha na herbatę. Upuszczona filiżanka leży na boku tam, gdzie upadła. Ciemna plama wsiąka między deski podłogi. Daleko stąd koniczyna podnosi się, dematerializuje: duch.

Po chwili ona bierze go za rękę.

– Przepraszam, że cię zostawiłem.

Margherita zaczyna płakać.

I nie przestaje aż do wieczora. Slothrop zasypia, budzi się przy odgłosach szloch, żeby jej dotknąć, cały czas w kontakcie, któraś część ciała Margherity, któraś część jego... We śnie przyszedł i odnalazł go ojciec. Slothrop włączy się o zachodzie słońca w pobliżu rzeki Mungahannock, niedaleko zmurszałej starej papierni, opuszczonej jeszcze pod koniec XIX

wieku. Na tle intensywnego, gasnącego już oranżu wznosi się sylwetka czapli. „Synu – upadająca wieża słów, sypią się jedne przez drugie – trzy miesiące temu zmarł prezydent”. Slothrop stoi i przeklina ojca. „Dlaczego mi nie powiedziałeś, tato? Kochałem go. Tobie zależało tylko na tym, żeby mnie sprzedać do IG. Przehandlowałeś mnie”. Do oczu staruszka nabiegają łzy. „Och, synku...” – chce wziąć go za rękę. Ale niebo już pociemniało, czapla zniknęła, prześwitujący szkielet papierni i napór czarnej rzeki mówią, że pora iść... i wtedy ojciec też znika, nie ma nawet czasu się pożegnać, choć zostaje jego twarz, oto Broderick, który go przehandlował, zostaje jeszcze długo po przebudzeniu, a do tego ta żałość, którą wniósł Slothrop, głupi pyskaty dzieciak. Margherita pochyla się nad nim, ociera mu czubkami paznokci łzy z twarzy. Paznokcie są bardzo ostre, wyhamowują w pobliżu oczu.

– Boję się – szepcze. – Wszystkiego. Własnej twarzy w lustrze. Kiedy byłam mała, mówiono mi, żebym za często nie patrzyła w lustro, bo za szkłem zobaczę diabła... no więc... – zerkając przez ramię na lustro obramowane białymi kwiatami – musimy je zakryć, proszę, możemy przecież zakryć... to właśnie stamtąd... zwłaszcza nocą...

– Spokojnie. – Porusza się, by się zetknęli jak największą powierzchnią ciała. Obejmuje ją. Dygot jest silny, może niepoohamowany: po chwili Slothrop też zaczyna się trząść, zestrojony z Margheritą. – Uspokój się, proszę. – To, co ją opanowało, musi się żywić dotykiem, karmi się nim nieprzeparcie.

Przeraża go skala tego. Czuje się odpowiedzialny za jej bezpieczeństwo i jednocześnie schwytywany w potrzask. Przesiadują razem wiele dni z rzędu, ale w końcu Slothrop musi wyjść, żeby skombinować coś do jedzenia. Nie dosypia. Łapie się na tym, że kłamie odruchowo: „Wszystko w porządku”, „Nie ma się czym martwić”. Czasem udaje mu się pobyć samemu nad rzeką, wędkuje kawałkiem sznurka i jej spinką do włosów. Łowi jedną rybę dziennie, przy dużym szczęściu dwie. To durne ryby; wszystko, co pływa teraz w berlińskich wodach, jest chyba odrzutem. Gdy Greta krzyczy przez

sen dłużej, niż Slothrop może znieść, budzi ją. Próbują rozmawiać albo się pieprzyć, choć on coraz rzadziej bywa w nastroju, a to jeszcze pogarsza sprawę, bo ona czuje się odrzucona, i słusznie. Chłosta przynosi lekką pociechę i na pewien czas Slothrop dostaje rozgrzeszenie. Lecz zdarza się, że jest zbyt zmęczony nawet na to. Ona ciągle go prowokuje. Pewnego wieczoru on kładzie przed nią upieczoną rybę, niezdrowo wyglądającego żółtego śliza z uszkodzonym mózgiem. Margherita nie może się zmusić do jedzenia, robi się jej niedobrze.

– Powinnaś coś przełknąć.

Odwraca głowę, najpierw w jedną, potem w drugą stronę.

– Kurczę, to żałosne, posłuchaj, cipo, nie tylko ty cierpisz. Wychodziłaś ostatnio na dwór?

– Oczywiście. Ciągle zapominam, jak ty musiałeś cierpieć.

– Cholera, wy, Niemcy, jesteście stuknięci, myślicie, że cały świat spiskuje przeciwko wam.

– Ja nie jestem Niemką – gwoli przypomnienia – tylko Lombardką.

– Jeden czort, złotko.

Z sykiem i napiętymi nozdrzami Margherita chwyta mały stolik i szarpnięciem odciąga go na bok, talerze, sztucce, ryba frunie, plask o ścianę, skąd cholerstwo spływa na podłogę, nadal, nawet po śmierci, próbując wyrwać się z potrzasku. Siedzą na dwóch krzesłach, między nimi półtora metra niebezpiecznie pustej przestrzeni. Jest ciepło, romantyczne lato czterdziestego piątego i bez względu na kapitulację kultura śmierci wciąż trzyma się mocno: to, co babcie nazywały „zbrodnią namiętności”, stało się, z braku namiętności do czegokolwiek, preferowanym trybem rozwiązywania sporów między ludźmi.

– Posprzątaj.

Ona pstryka z górnego zęba blady odgryziony paznokiec i śmieje się – zachwycający śmiech Greta Erdmann. Roztrzęsiony Slothrop chce powiedzieć: „Nawet nie wiesz, jak blisko jesteś...”, ale zerka na jej twarz.

Oczywiście, że ona wie.

– Dobra, dobra.

Przetrząsa jej bieliznę, rozrzuconą po pokoju, aż wreszcie znajduje czarny pas do pończoch. Metalowe zatrzaski do podwiązek zostawiają na pośladkach i udach ciemne obwódki dokoła wcześniejszych, blednących już siniaków. Musi zaciąć do krwi, zanim ona skończy rybę. Po posiłku Margherita klęka i całuje jego buty. Trochę innego rozwoju wypadków chciała, ale to jeden czort, złotko. Blisko było.

Każdego dnia jest coraz bliżej, i Slothrop ma pietra. Nigdy nie widział czegoś podobnego. Kiedy wychodzi na miasto, ona prosi go, by przywiązał ją – w formie gwiazdy – pończochami do łóżka. Czasem sama dokądś idzie i nie wraca przez parę dni, a potem przyłazi z historyjkami o czarnych żandarmach, bijących ją pałkami, dymających w dupę, och, jak ja to uwielbiam, w nadziei że splot rasa/seks wywoła jakąś reakcję, coś odrobinę dziwnego, innego...

Cokolwiek ją trawi, on już się zaraził. Tam, w ruinach, widzi teraz mrok na krawędzi wszystkich spękanych kształtów, *wyzierający z tyłu*. Światło gnieździ się we włosach Margherity jak czarne gołębie. Slothrop patrzy na swoje kredowe dłonie, wzdłuż linii każdego palca, a wtedy ciemność chlusta i skacze. Na niebie nad Alexanderplatz widział mandalę KEZVH Enziana, a niejeden przypadkowy żandarm miał twarz Cziczerina. Pewnej nocy na frontonie „Titaniapalast” zobaczył we mgle czerwony neon: GIŃ, SLOTHROP. W niedzielę nad Wannsee – armada cierpliwych, sennych żaglówek pochylonych w tę samą stronę, ku wiatrowi, przepływająca bez końca na tle przeciwległego brzegu – gromada dzieci w czapkach ze starych wojskowych map spiskowała, by złożyć go w ofierze, topiąc. Wywinął się jedynie dzięki temu, że trzykrotnie wyszeptał słowo *Hauptstufe*.

Dom nad rzeką jest resorem chroniącym przed wybojami dnia i pogody, wpuszcza tylko łagodny cykl światła i upału, wyhamowany pod wieczór, nasilony rankiem aż do kulminacji w południe, ale wszystko złagodzone w

formę rozkołysania będącego echem wstrząsów na zewnątrz.

Gdy Greta słyszy strzały dobiegające z coraz dalszych ulic, przypomina sobie efekty dźwiękowe z pierwszych lat swojej kariery i odczytuje to jako sygnał, żeby tytaniczne plany filmowe jej snów wypełniły się płynnie tysiącami statystów: potulni, gnani wystrzałami karabinów, falujący, ustawieni w desenie, które będą odpowiadać malowniczej wizji reżysera – rzeka twarzy, żółty makijaż i białe usta z powodu ograniczeń ówczesnej taśmy filmowej, wędrówki spoconej żółci filmowane po wielekroć, które nie są odwrotem przed niczym, nie są ucieczką donikąd...

Jest wcześniej rano. Oddech Slothrop'a bieli się w powietrzu. Dopiero co ocknął się ze snu. Część pierwsza poematu z drzeworytami ilustrującymi tekst – pewna kobieta wybiera się na wystawę psów, która jest okazją do kojarzenia zwierząt. Przyprowadziła swojego pekińczyka, suczkę o obrzydliwie słodkim imieniu – Mimsy, Gugu albo coś takiego – żeby została pokryta. Dla zabicia czasu idzie do ogrodu w towarzystwie innych dystyngowanych pań, gdy nagle z pobliskiego kojca dobiega wycie jej suki, przeżywającej orgazm. Wycie trwa znacznie dłużej, niż to się wydaje normalne, i raptem kobieta orientuje się, że tak naprawdę słyszy samą siebie, niekończący się wyraz psiej rozkoszy. Pozostałe panie są kulturalne, udają, że niczego nie dostrzegają. Ona czuje wstyd, ale jest bezradna, bo odzywa się w niej przymus, by wyjść z ogrodu, znaleźć inne zwierzęta i pieprzyć się z nimi. Obciąża pstrokatemu kundlowi o wielobarwnym umaszczeniu, który próbował ją dosiąść na ulicy. Na nieużytkach w pobliżu drutu kolczastego, zimowe ogniska na tle chmur, wysoki koń zmusza ją do uniżonego klęknienia i obcałowywania jego kopyt. Koty i norki, hieny i króliki pierdolą ją w samochodach, nocą na odludziu, w lesie, na pustyni przy studni.

Na początku części drugiej przekonuje się, że jest w ciąży. Dochodzi do porozumienia z mężem, głupawym, beztroskim sprzedawcą drzwi harmonijkowych: nie wiadomo, jaką złożyła mu obietnicę, ale w zamian za dziewięć miesięcy on zabierze ją, dokąd będzie chciała. Tuż przed

rozwiązaniem facet urządza dla niej przejażdżkę łódką po rzece, amerykańskiej rzece. Kluczowym kolorem tego fragmentu jest fiolet.

W części trzeciej odnajdujemy kobietę na dnie rzeki. Utonęła. Wszystkie formy życia zagnieżdżają się w jej łonie. „Biorąc ją za syrenę” (wers 7), porywają biedaczkę w zielone głębiny. „Znowu na dnie przy pracy/ Stary Squalidozzi, oracz odmętów./ U kresu dnia siewów postrzega/ Wśród wodorostów brzuch jej spatynowany” (wersy 10-13). Wydobywa ją. Jest klasycznym brodatym Neptunem o pogodnym starym obliczu. Z ciała wylewa się strumień najprzeróżniejszych stworzeń: ośmiornice, renifery, kangury, „Kto wyliczyłby wszelkie życie/ Co z jej łona wypełzło dnia tamtego?”. Taszcząc ją na powierzchnię, Squalidozzi tylko przelotnie dostrzega ten zdumiewający wysyp. Na górze rzeka wygląda jak spokojne, nasłonecznione jezioro albo staw zarośnięty trawą przy brzegu, ocieniony przez wierzby. Owady bzyczą i fruważą. Teraz kluczowym kolorem jest zieleń. „I gdy do słońca się wyrwało,/ Jej szczątki sen spowił wodny./ W najgłębszych głębiach lata/ Stworzenia poszły swoją drogą,/ Każde ku własnej miłości,/W zenicie popołudnia,/ Gdy rzeka płynęła leniwie...”.

Ten sen go nie opuszcza. Slothrop zakłada przynętę na haczyk, zanurza sznurek w Szprewie. Zapala papierosa z wojskowego przydziału i nieruchomieje na długą chwilę, tymczasem biała mgła przeciska się między nadrzeczными domami, u góry buczy niewidoczne lotnictwo, a w zaułkach ujadają biegające psy.





Opustoszałe, wewnątrz jest stalowoszare. Załoczone, staje się zielone, miła jaskrawa zieleń. Światło słoneczne wpada przez iluminatory w wyższej przegrodzie („Rücksichtslos” ma stały przechył: 23°27’), a wzdłuż niższych ciągnie się rząd stalowych umywalek. Na końcu każdego podustępu znajdują się maszynki do kawy i fotoplastykony na korbkę. W fotoplastykonach dla szeregowców można zobaczyć starsze, mniej czarujące, mało niemieckie kobiety. Rasowo zbudowane, złote lale są dla oficerów, *naturlich*. To przykład nazistowskiego fanatyzmu.

Sam „Rücksichtslos” jest owocem innego fanatyzmu: fanatyzmu specjalisty. Ten okręt to ustępowiec, tryumf niemieckiej manii podziału. Jeżeli dom jest organiczny, dowodzili przebiegłe pierwsi zwolennicy ustępowca, a rodzina mieszka w domu, to rodzina jest organiczna, a dom jest widocznym tego objawem, jasne? Przyciemnione okulary i szare włosy ostrzyżone na jeża, nie wierzą w ani jedno swoje słowo, makiaweliczni i młodzi, niedojrzali jeszcze do paranoi – a jeśli łazienka jest częścią domu, to dom-jest-organiczny, cha-cha – podśpiewując, strofując, wskazując palcami inżyniera o nalanej twarzy, jasne włosy przedzielone pośrodku i zaczesane do tyłu, spłoniony, oczy spuszczone na kolana, między wyszczerzonymi w uśmiechu, dobrotliwymi kolegami po fachu, bo niewiele brakowało, by zapomniał o tym szczególe (Albert Speer – we własnej osobie – w szarym garniturze ze smugą kredy na rękawie, tam w głębi, pod ścianą, wziął się pod boki, wygląda nadzwyczajnie, jak ten amerykański aktor od ról kowbojskich, Henry Fonda, on też zapomniał o sprawie organiczności domów, ale jego nikt palcem nie wytyka, cóż, szarża ma swoje przywileje). No więc ustępowiec jest tym dla Kriegsmarine, czym łazienka dla domu. Bo marynarka jest organiczna, wszyscy to wiemy, cha-cha! (Generał, a może Admirał, śmiech). „Rücksichtslos” został pomyślany jako okręt flagowy całej Geschwader ustępowców. Ale przydziały stali omijały marynarkę szerokim łukiem,

trafiając do fabryk A-4. Owszem, to trochę dziwne, ale wtedy na czele Komisji Raketowej stał Degenkolb, pamiętacie, i miał zarówno możliwości, jak i wolę, żeby poucinać służbie ręce. Toteż „Rücksichtslos” jest jedyny w swoim rodzaju, biały kruk, więc kolekcjonerze okrętów, jeśli dysponujesz kapitałem, to lepiej się pośpiesz, bo ci od General Electric już tu byli i go oglądali. Na szczęście bolszewicy nie zdążyli położyć na nim łapy, uff. Charles? Charles tymczasem zapisuje na swojej tabliczce coś, co wygląda jak naukowe notatki, lecz tak naprawdę są to komentarze do rozgrywającej się sceny, uwagi w rodzaju: „Wszyscy na mnie patrzą” albo „Porucznik Risno knuje, żeby mnie zabić” i oczywiście niezawodna: „To jeden z nich, ale dopadnę go którejś nocy”, w tej chwili jego kolega, Steve, już zapomniał o Ruskich i przerwał przegląd zaworu, by przyjrzeć się bliżej temu Charlesowi, nie możesz sobie dobierać zespołu badawczego, skoro dopiero co skończyłeś szkołę, a ja tkwię tu, na tym zadupiu, robię za popychadło – kim on jest, pedałem? A kim ja? Kim GE chce, żebym był? Czy to jakaś ponura kara przełożonych, a nawet, dobry Boże, zsyłka na zawsze? Jestem karierowiczem, mogą mnie tu trzymać dwadzieścia lat i pies z kulawą nogą się nie zainteresuje, będą po prostu wpisywać to w koszty. Sheila! Co ja jej powiem? Jesteśmy zaręczeni. To ona na zdjęciu (włosy ufryzowane jak wzburzone fale w stylu Rity Hayworth, oczy takie, że gdyby to była kolorowa fotka, miałyby żółte powieki z różowymi obwódkami i usta jak bułka hotdogowa na billboardzie). Zabrałem ją na zalewisko Buffalo,

Żeby było romantycznie –  
Wielki komar z bagien, rany,  
Załatwił nas prześlicznie!  
Łeb jej wetknął pod sukienkę,  
I wyszczerzył japę, cóż,  
Po zawodach już  
Na zalewisku Buffalo  
Komarze, już ja ci pokażę!  
No – to – teraz!

Ja-ta, ta-ta, ja-ta-ta, ta-ta  
Żeby było romantycznie,  
Wszyscy na-raz!

Och, taa, gdy jesteś młody i zdrowy (w tym wypadku „Wszyscy na-raz” oznacza ustępować pełen bystrych facetów w rogowych okularach i kaloszach z Schenectady, którzy śpiewają w de tego recytatywu), gdy jesteś dobrym dzieciakiem, co chodzi do kościoła, no to jasne, że można się załamać, gdy cię tak nagle opadnie chmara tych teksańskich komarów, to może cofnąć człowieka o dwadzieścia lat. Okolica roi się od takich chłopców jak ty, może widziałeś dzisiaj jednego na ulicy, ale nie zwróciłeś uwagi, umysłowość noworodka, a wszystko tylko dlatego, że komary go dorwały i wyrzuciły mu niewypowiedzianą krzywdę. Zrzuciliśmy środki owadobójcze i-ii zbombardowaliśmy zalewiska cytronellalem, ale na próżno, kochani. Lęgną się tak szybko, że nie nadążamy zabijać, więc co tam, trzeba zwinąć ogon pod siebie i pogodzić się z ich obecnością na zalewisku Buffalo, gdzie moja dziewczyna Sheila padła ofiarą obrzydliwego zachowania tych... tych potworów... więc jak to, pozwolimy im istnieć?

– I

Po zawodach już  
Na zalewisku Buffalo.  
Komarze, ja ci pokażę!  
Hura!  
Komarze, ja ci pokażę!

Hm, człowieka zastanawia, który z tych dwóch jest większym paranoikiem. Steve’a zółć zalewa, skoro tak obrabia tyłek Charlesowi. Wśród prześmiesznych graffiti po goszczących tu matematykach jest wzór:

$$\int \frac{1}{(kabina)} d(kabina) = \log kabina + c = \text{łódź mieszkalna}$$

tego rodzaju rzecz, idą myszkować po wąskiej latrynie w kształcie kielbasy, dwaj młodzi/starzy mężczyźni, ich kroki cichną, przebrzmiewa stukot na pochyłym stalowym pokładzie, oddalające się sylwetki stają się coraz bardziej przezroczyste, aż wreszcie w ogóle niepodobna ich dostrzec. Został

pusty przedział, esowate szprychy fotoplastykonów, rzędy luster usytuowanych naprzeciwko siebie, odbijających się nawzajem, rama za ramą, rozciągniętych wstecz w formie krzywej wielkiego promienia. Wizualna głębia tego odcinka krzywej uważana jest za część przestrzeni „Rücksichtslos”. Skutkiem czego jest to dość opasły okręt. Wiozący ze sobą pierwszeństwo przejazdu. „Morale załogi – szeptały lisy na zebraniach w ministerstwie – marynarskie przesady. Lustra o północy. Wiemy coś o tym, prawda?”.

Ubikacje oficerów wyłożono czerwonym aksamitem. Wystrój wnętrza jest ucieleśnieniem Kanonów Bezpieczeństwa z lat trzydziestych. To znaczy, że wszędzie na ścianach wiszą sfotografowane rysunki Najstraszliwszych Katastrof w Dziejach Niemieckiej Marynarki. Zderzenia, eksplozje w lukach, U-booty idące na dno, w sam raz, żeby oficer się zeszał. Lisy zadbały o wszystko. Dowódcy dostają całe apartamenty, prywatne prysznice albo wanny wpuszczone w podłogę, manikiurzystkę (na ogół ochotniczkę z Bund der Deutschen Mädel), łaźnię parową, stolik do masażu. Żeby nie czuli się samotni, wszystkie ścianki i sufit oblepiono olbrzymimi fotografiami Hitlera w chwilach rozrywki. Papier toaletowy! Papier toaletowy zadrukowano kawałek po kawałku karykaturami Churchilla, Eisenhowera, Roosevelta, Czang Kaj-szeka; był nawet kiedyś na służbie Karykaturzysta Sztabowy, który wykonywał zamówienia na pustym papierze dla koneserów poszukujących czegoś niezwykłego. W kabinie radiowej słano do głośników Wagnera pożenionego z Hugonem Wolfem. Papierosy rozdawano za darmo. Dobrze było życie na pokładzie ustępowca „Rücksichtslos”, gdy pruć ze Świnoujścia na Helgoland czy dokądkolwiek, gdzie był potrzebny, zakamuflowany odcieniami szarości, styl przełomu wieków z ostro zarysowanymi dziobami, sterczącymi ze śródkręcia, żeby trudno się było zorientować, w którą stronę płynie. Załoga mieszkała pojedynczo w ciasnych klitkach, każdy miał własną szafkę zamykaną na klucz, zdjęcia z panienkami i półki biblioteczne upiększały przepierzenia... zapewniono nawet lustra weneckie, więc można było usiąść swobodnie, z członkiem dyndającym nad lodowatą morską wodą w misce, i zasluchać się w Ludowy Odbiornik VE-

301, patrzeć na popołudniowy zgiełk, gwar kroków i słów, gry karciane we wspólnych toaletach, handlarze rozparci na tronach z prawdziwej porcelany, udzielający audiencji petentom, z których wielu stoi szeregiem pod drzwiami (ciche kolejki, wszyscy skupieni, coś w rodzaju ogonków w banku), toaletowi prawnicy udzielają porad, wchodzą i wychodzą najprzeróżniejsi ludzie, przygarbione załogi U-bootów zerkają nerwowo na sufit, marynarze z niszczycieli knują coś przy ściekach (gigantycznych ściekach, biegnących przez całą szerokość okrętu, a nawet, jak głosi legenda, na boki, w głąb luster, ściekach dostatecznie dużych, by pomieścić jedna przy drugiej czterdzieści, pięćdziesiąt szukających wytchnienia dup, pod którymi nieustannie huczy słona rzeka spłukującej wody), trzymają zapalone zwitki papieru toaletowego, właśnie to lubili robić najbardziej, u góry strumienia puszczali w rejs żółte ogniki i rechotali z uciechy, gdy siedzący zeskakiwali kolejno z okrzykiem bóleści znad otworów, ściskając się za poparzone dupska, wdychając swąd własnych osmalonych włosów łonowych. Nie znaczy to, że sama załoga była ponad takie kawały. Kto nie pamięta ślusarzy Höpmanna i Kreussa w czasie największego nasilenia Epidemii Trupich Jadów w czterdziestym trzecim, kiedy podłączyli rury kanalizacyjne do wentylacji prywatnej kajuty pierwszego oficera? Oficer, jako że był starym wilkiem morskim z ustępowca, uśmieł się szczerze z chytrego psikusa i przeniósł obu skatotechników na lodołamacz, wskutek czego zajęli się wznoszeniem po całej Arktyce lodowych monolitów, które mgliście przypominały kształtem balasy. Co jakiś czas jeden lub drugi ukazuje się na krze lodowej, dryfując na południe majestatycznie jak widmo, wywołując powszechny podziw.

Dobry okręt, dobra załoga, Wesołych Świąt Bożego Narodzenia i bierzmy się do roboty. Horst Achtfaden, ostatnio w Elektromechanische Werke z Karlshagen (kolejny kryptonim poligonu w Peenemünde), nie znajduje tak naprawdę czasu na marynarskie tęsknoty. Tropiony przez szpiegów gospodarczych z trzech czy czterech krajów, miał katastrofalnego pecha, bo

wpadł w ręce Schwarzkommando, które – o ile się orientuje – samo też stanowi teraz odrębny naród. Zapuszkowali go u bosmana. Numer zmysłowej Greta z Futrzanym Boa widział już sto siedemdziesiąt osiem razy (wyłamał łomem skrzynkę na monety i puszcza występ w kółko), więc całą ekscytację diabli wzięli. Czego oni chcą? Po co zajęli wrak na środku Kanału Kilońskiego? Dlaczego Brytyjczycy czegoś z tym nie zrobią?

Spójrz na to w ten sposób, Achtfaden: tutejszy ustępowiec to tunel aerodynamiczny. Jeśli rachunek tensorowy jest dostatecznie dobry dla turbulencji, powinien być też wystarczająco dobry dla historii. Powinny być punkty węzłowe, punkty krytyczne... powinny być superpochodne stłoczonego i nienasyconego strumienia, który można sprowadzić do zera, następnie należy odnaleźć te węzłowe punkty... rok 1904 był jednym z nich – rok, w którym admirał Rożestwienski przepłynął ze swoją flotą pół globu, by uratować Port Arthur, dzięki czemu na świat przyszedł twój obecny ciemniejszy Enzian, rok, w którym Niemcy wybili Hererów prawie do nogi, co wywołało u tego ostatniego dość osobliwe poglądy na temat przetrwania, rok, w którym Ustawa o Czystej Żywności wyeliminowała kokainę z coca-coli, wskutek czego narodziło się pijackie i opętane myślenie o śmierci pokolenie jankesów, urobionych idealnie, by walczyć na frontach drugiej wojny światowej, rok, w którym Ludwig Prandtl stworzył teorię warstwy przyściennej, dzięki czemu aerodynamika ruszyła z kopyta, a ty znalazłeś się tam, gdzie się znalazłeś. Tysiąc dziewięćset czwarty, Achtfaden. Cha, cha! To lepszy żart niż przypalenie dupy na kiblu – tyle że twoim kosztem. Dobrze ci zrobi. Nie możesz popłynąć pod prąd, przynajmniej pod rządami obecnego rygoru, możesz tylko nadać mu numer i *cierpieć*, Horst, mój kolego. Albo, jeśli potrafisz oderwać się od Gerdy i Futrzanego Boa, oto pomysł dla ciebie: znajdź sobie bezwymiarowy współczynnik. Jesteś w tunelu aerodynamicznym, pamiętasz? Jesteś aerodynamikiem. A więc –

Współczynniki, *ja, ja...* Niepocieszony Achtfaden rzuca się ku szkarłatnemu sedesowi na samym końcu szeregu. Wie o współczynnikach.



Niegdyś w Akwizgranie stawał z kolegami na przedniej wieży: przez małe okienko Hermanna i Wieselsbergera patrzyli na krainę barbarzyńców. Wspaniałe kompresje, rombowe cienie wijące się jak węże. Często wysięgnik był większy niż sam model – sama konieczność dokonywania pomiarów kolidowała z obserwacjami. Już wtedy powinni byli dostrzec w tym wskazówkę. Nikt wówczas nie pisał o przepływie naddźwiękowym. Otaczał go mit oraz czysty, prymitywny lęk. Profesor Wagner z Darmstadt przewidywał, że przy szybkości ponad pięciu machów powietrze się skrapla. W wypadku gdy częstotliwości kołysania i skoku stają się równe, rezonans wprowadziłby pocisk w gwałtowne turbulencje. Pocisk pomknąłby korkociągiem ku zagładzie. „Księżycowy ruch”, tak to ochrzciliśmy. Ołówkami z Bingen nazywaliśmy spiralne smugi kondensacyjne na niebie. Przerażeni. Tańczyły cienie *Schlieren*. W Peenemünde przestrzeń pomiarowa miała czterdzieści centymetrów na czterdzieści, a więc wielkość gazety.

– Modlą się nie tylko o chleb codzienny – rzekł Stresemann – ale też o codzienną ułudę.

My, patrząc przez grube szkło, otrzymywaliśmy Codzienny Wstrząs – jedyną gazetę, którą większość z nas czytała.

Wchodzisz – właśnie się zjawiłeś w miasteczku, oto serce Peenemünde, ej, co tu macie za rozrywki? Taszczysz niemodną walizkę z kilkoma koszulami, egzemplarzem „Handbuch”, a może też „Lehrbuch der Ballistik” Cranza. Na pamięć znasz Ackereta, Busemanna, von Karmána i Moore’a, parę referatów z kongresu imienia Volty. Ale lęk nie znika. To jest szybsze niż dźwięk, niż słowa wypowiedziane przez nią w nasłonecznionym pokoju, zespół jazzowy w radiu, kiedy nie mogłeś spać, ochrypłe *Heil!* wśród bladych generatorów i na zapchanych dyrektorami galeriach nad głową... mieszkańcy Gomery pogwizdywali nad głębokimi parowami (wspaniałe uskoki, stromizna, gwizdzą prosto w przepaść ku zabawkowej wiosce, leżącej od wieków kilometry w dole...), gdy ty siedziałeś na nawisie rufowym okrętu od KdF, sam z wyjątkiem tancerzy gaikowych na białym pokładzie, zbrązowiałe ciała



pełne piwa i pieśni, kałduny w kostiumach kąpielowych, i słuchałeś prahiszpańszczyzny, gwizdanej, nie mówionej, dochodzącej z gór dokoła Chipuda... Gomera była ostatnią piędziesiątą ziemi, na której stanął Kolumb przed wyruszeniem do Ameryki. Czy on też słyszał ich tej pożegnalnej nocy? Czy chcieli mu coś przekazać? Ostrzeżenie? Czy rozumiał głosy znających przyszłość pastuchów siedzących w mroku, tam w kanaryjskim ostrokrzewie i *faya*, spalonej na brąz w porze ostatniego europejskiego zachodu słońca?

W aerodynamice wszystko najpierw figuruje na papierze, toteż wykorzystujesz współczynniki bezwymiarowe: stosunki tego do tamtego – centymetry, gramy, sekundy, elegancko znoszące górę i dół. To pozwala używać modeli, zaplanować strumień powietrza, by zmierzyć to, co cię interesuje, i przenieść wyniki uzyskane z tunelu na rzeczywistość bez wplątywania się w zbyt wiele niewiadomych. Bo współczynniki są dobre dla *wszystkich* wymiarów. Tradycyjnie nazywa się je, oddając hołd pewnym ludziom: takim jak Reynold, Prandtl, Péclet, Nusselt, Mach – no i tu powstaje pytanie, a może by tak liczba Achtfadena? Są na to jakieś widoki?

Nic z tego. Parametry lęgną się niczym komary na zalewisku, tak szybko, że nie nadąża z likwidowaniem. Głód, kompromis, pieniądze, paranoja, pamięć, wygodna, wina. Poczucie winy otrzymuje jednak znak ujemny u Achtfadena, mimo że stało się już towarem w Strefie. Emigranci z całego świata przybędą niedługo do Heidelbergu, żeby się habilitować z poczucia winy. Pojawią się bary i restauracje obsługujące entuzjastów tego kierunku. Obozy zagłady zamienią się w atrakcje turystyczne, cudzoziemcy z aparatami fotograficznymi będą walić drzwiami i oknami, rozanieleni, drżący od poczucia winy. Przykro mi – to nie dla Achtfadena, który wzrusza teraz ramionami na widok lustrzanych kopii samego siebie ciągnących się do baki sterburty – zajmował się tym tylko do momentu, gdy powietrze stawało się rozrzedzone na tyle, że jego robota przestawała mieć znaczenie. Za to, co się potem wydarzyło, on już nie odpowiada. Trzeba zapytać Weichenstellera, Flauma, Fibla – oni zajmowali się wlotem w atmosferę. Trzeba zapytać tych

od sterowania, to oni wycelowali ją tam, gdzie poszybowała...

– Czy, waszym zdaniem, to nie jest lekka schizofrenia – zwraca się do wszystkich swoich pleców i przodów – dzielić profil lotu na odcinki odpowiedzialności? To była pół kula, pół strzała. Ona tego wymagała, a nie my. No więc. Być może używałeś karabinu, radia, maszyny do pisania. Niektóre maszyny do pisania w Whitehall lub Pentagonie zabiły więcej cywilów, niż nasz mały A-4 mógłby zabić w najśmielszych marzeniach. Albo jesteś całkiem samotny, sam z własną śmiercią, albo uczestniczysz w większym przedsięwzięciu i przyczyniasz się do śmierci innych. Czyż nie stanowimy wszyscy jedności? Co wybierasz – to Fahringer, bzczy monotonie przez filtry pamięci – mniejszy czy wielki pojazd? – szalony Fahringer, jedyny z całego klubu „Peenemünde”, który odmówił noszenia na kapeluszu ekskluzywnej dystynkcji w postaci bażanciego pióra, bo nie potrafił się zmusić do zabijania ptaków, i którego widywano wieczorami na plaży siedzącego w pozycji pełnego lotosu i zapatrzonego w zachodzące słońce, który pierwszy wpadł w łapy SS, zabrany pewnego południa we mgłę, jego kitel poddańczą flagą, zasłonięty przez czarne uniformy, pod eskortą wyprawionej skóry i metalu. Zostało po nim kilka kadzideł, numer „Chinesische Blätter für Wissenschaft und Kunst” oraz fotografia żony i dzieci, o których istnieniu nikt nie miał pojęcia... czy Peenemünde było jego górą, jego celą i postem? Czy znalazł swoją drogę wolny od poczucia winy, modnej winy?

– *Atmen... atman...* to nie tylko znaczy „oddychać”, ale też „dusza”, „tchnienie Boga”... – jedna z niewielu bezpośrednich rozmów między nimi dwoma, które Achtfaden zapamiętał – *atmen* to prawdziwie aryjskie słowo. A teraz opowiedz mi o prędkości strumienia wylotowego.

– Co chcesz wiedzieć? Sześć tysięcy pięćset stóp na sekundę.

– Powiedz, jak się zmienia.

– Pozostaje niemal stała, przez cały proces spalania.

– A jednak relatywna prędkość lotu zmienia się gwałtownie, prawda? Od

zera do sześciu machów. Nie widzisz, co się dzieje?

– Nie, Fahringer.

– Rakieta rodzi własny wielki wiatr... nie ma wiatru bez ich obu, bez Rakiety i atmosfery... ale w zwężce oddech – wściekły, płonący oddech – zawsze wionie z tą samą, niezmienną prędkością... naprawdę nie rozumiesz?

Brednie. Albo koan, którego Achtfaden nie jest w stanie opanować, transcendentna zagadka, która mogłaby go doprowadzić do rozbłysku światła... prawie tak dobre jak:

– Co lata?

– Los!

Unosząc się z Wasserkuppe, rzeki Ullster i Haune kręte jak linie na mapie, zielone doliny i góry, czterej, których zostawił, zbierają niżej białe liny gumowe do amortyzatorów, tylko jeden zerka do góry, przysłania dłonią oczy – Bert Fibel? Jakie znaczenie ma nazwisko z tej pozycji? Achtfaden idzie szukać burzy z piorunami – szuka pod burzą, w burzy, grzmiącej na wojskową melodię słyszaną we własnej głowie – tłocząc się wkrótce na szarych klifach po prawej stronie, uderzenia piorunów siniaczą wszystkie góry na niebiesko, kabina na krótko wypełniona światłem... tuż na skraju. Tu, w tym miejscu, na styku, powietrze się podniesie. Śledzisz skraj burzy innym zmysłem – zmysłem lotu, nigdzie nieumiejscowionym, wypełniającym wszystkie twoje nerwy... póki trzymać się będziesz skraju między jasnymi nizinami a szaleństwem Donara, nie zawiedzie cię, cokolwiek lata, ta nośna siła ku – czy ku wolności? Czy nikt nie widzi, jakim zniewoleniem jest grawitacja, dopóki sam nie dotrze do styku pioruna?

Nie pora na rozwikływanie zagadek. Oto nadchodzi Schwarzkommando. Achtfaden zmarnował zbyt wiele czasu na zmysłową Gretę i wspomnienia. Zbiegają ze stukotem po drabinkach, prędką paplaniną, z której kompletnie nic nie rozumie, to lingwistyczne odludzie, a on się boi. Czego chcą? Dlaczego nie zostawią go w spokoju? Mają swoje zwycięstwo, czego więc chcą od biednego Achtfadena?

Chcą Schwarzgerät. Enzian wreszcie wypowiada to słowo, ale niepotrzebnie. Wyzierało z jego zachowania, z linii jego ust. Za nim stoją inni, z przewieszonymi karabinami, pół tuzina afrykańskich twarzy, w lustrach tłoczy się czerń, żyłkowane czerwono-biało-niebieskie oczy.

– Mnie przydzielono tylko do pewnego etapu. To było błaha. Naprawdę.

– Aerodynamika nie jest błaha. – Enzian spokojny, bez uśmiechu.

– Byli inni, z wydziału Gessnera. Konstruktorzy części mechanicznych. Ja zawsze pracowałem w zakładzie profesora doktora Kurzwega.

– Kim byli ci inni?

– Nie pamiętam.

– Ach tak.

– Nie bijcie. Po co miałbym coś ukrywać? Mówię prawdę. Nas nie wtajemniczano. Nie znałem nikogo z Nordhausen. Z mojego wydziału tylko paru. Przysięgam. Ci od S-Gerät byli obcy. Do czasu tego pierwszego spotkania wszyscy kontaktowaliśmy się z majorem Weissmannem. Nigdy nie widziałem żadnego z nich. Nikt nie używał prawdziwych nazwisk. Dano nam kryptonimy. Postacie z filmów, jak ktoś powiedział. Pozostali dwaj aerodynamicy to „Spörri” i „Hawasch”. Ja nazywałem się „Wenk”.

– Na czym polegała twoja praca?

– Nadzorowałem ciężar. Miałem przesunąć środek ciężkości w urządzeniu określonej wagi. Dokładny ciężar był ściśle tajny. Czterdzieści parę kilo. Czterdzieści pięć? Sześć?

– Numery placówek – warczy Andreas zza ramienia Enziana.

– Nie pamiętam. Mój wydział zajmował się ogonem. Pamiętam, że obciążenie rozkładało się asymetrycznie przy osi wzdłużnej. Przy trzeciej brzechwie. To była brzechwa używana do kontrolowania odchylenia –

– To wiemy.

– Musicie porozmawiać ze Spörrim albo Hawaschem. To oni rozwiązali ten problem. Porozmawiajcie ze Sterowaniem. – Co ja mówię?

– Że co?

– Nie, nie, ja się tym nie zajmowałem... to wszystko, sterowanie, głowice, napęd, to nie ja... ich pytajcie. Innych.

– Miałeś coś na myśli. Kto opracowywał sterowanie?

– Mówiłem już, nie znam ich nazwisk. – Zakurzony bufet w ostatnich dniach. W sąsiednich pomieszczeniach ucichły urządzenia, które niegdyś dniem i nocą rozrywały bębni bezlitośnie jak przecinak ślusarski. Rzymskie cyfry na zegarach patrzą z wykuszów, spośród szyb okiennych. Nad głową na czarnych gumowych kablach wiszą gniazda telefoniczne, wyrwane ze wsporników, każde połączenie dynda nad własnym biurkiem, wszystkie biurka całkowicie puste, pokryte saletrą przesianą z sufitu, żadnych aparatów do podłączenia, żadnych słów do przekazania... Twarz przyjaciela po drugiej stronie stołu, ściągnięta, ta bezsenna twarz, zbyt wyostrowana, bez ust, które niegdyś zwymiotowały piwo na traperki Achtfadena, szepcze teraz: „Nie mogłem wyjechać z von Braunem... do Amerykanów, to ciągnęłoby się w nieskończoność... Ja chcę, żeby to się skończyło, nic więcej... żegnaj, Wenk”.

– Wepchnijmy go do rury kanalizacyjnej – proponuje Andreas. Wszyscy są tacy czarni, pewni...

Chyba jestem ostatni... ktoś na pewno już go dopadł... co ci Afrykanie zrobią z nazwiskiem, nic... mogą je uzyskać od byle kogo...

– To był kolega. Znaliśmy się jeszcze sprzed wojny, z Darmstadt.

– Nie zrobimy mu krzywdy. Tobie też nie. Chcemy S-Gerät.

– Närrisch. Klaus Närrisch. – Nowy parametr dla samowspółczynnika: zdrada.

Opuszczając „Rücksichtslos”, Achtfaden słyszy za plecami metaliczną transmisję z innego świata, poprzerywany trzaskami głos z radioodbiornika. „Oberst Enzian. M’okamanga. M’okamanga. M’okamanga”. – W tym słowie jest ponaglenie i grawitacja. Stoi o zmierzchu nad kanałem, wśród stalowych wraków i starców, czekając na objawienie się kierunku, w którym mógłby pójść. Czy jest gdzieś elektryczny głos, który kiedyś go wezwie?



Wpłynęli barką na kanał Odra-Szprewa, kierując się do Świnoujścia, Slothrop, żeby się przekonać, czy nic Geli Tripping doprowadzi go do Schwarzgerät, Margherita na spotkanie ze statkiem pełnym uchodźców przed rządem lubelskim, wśród których powinna być jej córka, Bianca. Odcinki kanału wciąż są zatarasowane – nocą radzieckie ekipy rozbiórkowe wysadzają wraki trotylem – lecz Slothrop i Greta potrafią, jak ludzie mający lekki sen, zanurzać się na tyle płytko, by nie zahaczyć o nic, co Wojna pozostawiła na ich drodze. Pogoda w kratkę. Niebo chmurzy się około południa, przybierając barwę mokrego cementu – zaczyna dąć wiatr, coraz ostrzejszy i zimniejszy, a potem deszcz silny prawie jak grad siecze ich od czoła. Kryją się pod brezentami, wśród bel i beczek, woni smoły, drewna i słomy. W bezchmurne noce, żabie noce, smugi gwiazd i cienie na brzegach wprawiają oko podróżnego w drżenie. Obie strony kanału porosły wierzbami. O północy kłęby mgły podnoszą się i przesłaniają nawet żar w fajce flisaka – na przedzie albo w tyle sennego konwoju. Noce te, aromatyczne i sękaty jak dym z fajki, mijają spokojnie i sprzyjają snowi. Zostawili za sobą berliński obłęd, Greta mniej się boi; być może trzeba było po prostu ruszyć w trasę...

Pewnego popołudnia, gdy suną Odrą łagodnie spadającą w kierunku Bałtyku, oczom ukazuje się małe czerwono-białe uzdrowisko, poharatane przez Wojnę, i Greta ściska kurczowo Slothropo za ramię.

– Byłam tu kiedyś...

– Tak?

– Przed najazdem na Polskę... Byłam tu z Zygmuntem... w kurorcie...

Na brzegu, za żurawiami i stalowymi balustradami, wznoszą się frontony restauracji, zakładów wytwórczych, hoteli, spalonych teraz, przykurzonych własnym pyłem. Miasto nazywa się Bad Karma. Deszcz sprzed paru godzin poprząkował mury, pinakle gruzów i wyłożone kocimi łbami uliczki. Dzieci i starcy czekają na brzegu, żeby chwycić liny i przyholować barki. Czarne

knedle dymią z komina białego parowca rzeczno. Ślusarze tłuką się w głębi kadłuba. Greta patrzy na to. Na jej gardle widać tętno. Kręci głową.

– Myślałam, że to statek Bianki, ale nie.

Tuż przed dobieciem barki przeskakują na brzeg, chwytając się żelaznej drabinki, przytwierdzonej do starego kamiennego nabrzeża zardzewiałymi sworzniami, które plamią mur zwróconymi ku lustrze wody mokrymi wachlarzami sienny. Na marynarce Margherity drży różowy kwiat gardenii. To nie od wiatru.

– Muszę zobaczyć... – powtarza.

Starcy oparci o balustradę kurzą fajki, przyglądając się Grecie albo patrząc na kanał. Mają na sobie szare ubrania, obszerne spodnie, kapelusze o szerokich rondach i okrągłych główkach. Na rynku jest gwarno i schludnie: błyszczą szyny tramwajowe, rozchodzi się zapach świeżego polewania. W ruinach wykrwawia się na fioletowo bez – nadwyżka życia wśród zburzonych budynków z kamienia i cegły.

Oprócz kilku sylwetek w czerni siedzących na słońcu uzdrowisko ziej pustką. Margherita jest teraz wystraszona tak samo jak w Berlinie. Slothrop drepcze za nią, w kostiumie Rocketmana, czując brzemień. Granicę Sprudelhofu z jednej strony stanowi żółtawa arkada: piaskowe kolumny i brązowe cienie. Przód wysadzono rzędem cyprysów. Z masywnych kamiennych mis wyrrywają się fontanny wody: gejzery wysokie na dwadzieścia stóp rzucają na gładki trotuar dziedzińca grube, nerwowe cienie.

Lecz kto to jest, tam, stoi przy głównym wodotrysku? I dlaczego Margherita zmartwiała? Słońce zaszło, pozostali też się przypatrują i teraz już nawet Slothrop czuje ciarki na całym ciele, napór paraliżu spinającego szczękę... kobieta w czarnym palcie, z głową obwiązaną czarną chustką z krepy, spod czarnych pończoch przeświecają purpurowe mięśnie grubych łydek, nachyla się w skupieniu nad wodą, wpatruje w ziejącą głębię... lecz ten uśmiech... z odległości dziesięciu metrów zamiecionego dziedzińca uśmiech na bladej twarzy nabiera śmiałości, a z oczu czarnych jak ubranie,



czarnych i matowych, wyziera cała udręka martwej, minionej Europy. *Zna ich*. Greta odwraca się, próbuje ukryć twarz w ramionach Slothrop.

– Przy studni, o zachodzie słońca – czy ona to szepcze? – ta kobieta w czerni...

– Uspokój się, wszystko w porządku. – Chryste, znowu ta berlińska gadka. – To tutejsza pacjentka. – Idiota, idiota, zanim zdąży zareagować, ona wyrwa się i z cichym, strasliwym okrzykiem w piersi rzuca się do ucieczki – rozpaczliwy tatuaż szpilek na kamiennych płytach – między zacienione łuki Kurhausu.

– Ej – z żołądkiem podchodzącym do gardła Slothrop zaczepia kobietę w czerni – o co chodzi, paniusiu?

Lecz jej twarz już się odmieniła; teraz jest to twarz jeszcze jednej kobiety z ruin, na którą nie zwróciliby uwagi, którą by pominął. Uśmiecha się, owszem, ale to znany mu przymuszony i obłudny uśmiech.

– *Zigaretten, bitte?*

Daje jej długi niedopałek, który zachował dla siebie, i idzie na poszukiwania Margherity.

W arkadach jest pusto. Wszystkie drzwi Kurhausu pozamykano na klucz. Nad głową przemyka świetlik żółtych szybek, wiele z nich powypadało. W głębi słaniają się rozmazane plamy popołudniowego słońca, pełne miłkiego pyłu. Slothrop wchodzi kondygnacją popękanych schodów, które kończą się w niebie. Drogę zawalają tu i ówdzie pokruszone kamienie. Widziane ze spocznika na samej górze, uzdrowisko rozciąga się w plener: kształtne drzewa, cementarne obłoki, niebieska rzeka. Nigdzie nie widać Grety. Później domyśli się, dokąd poszła. Ale wtedy będą już na pokładzie „Anubisa” i poczuje się przez to jeszcze bardziej bezradny.

Szuka jej aż do zmroku, a potem wraca nad kanał. Siada w kawiarni pocętkowanej żółtymi światłami, pod gołym niebem, popija piwo, zajada spaetzle i zupę. I czeka. Gdy wreszcie Greta się materializuje, jest to nieśmiałe zlanie się dwóch scen, pewnie w stylu Gerhardta von Gölla, nie

tyle ona podchodzi, ile Slothrop ze swego miejsca sunie ku jej znieruchomiałej postaci, kończąc piwo, gasząc papierosa. Margherita unika rozmowy o kobiecie przy wodotrysku. Może w ogóle zapomniała już o tym zdarzeniu.

– Poszłam do obserwatorium – mówi wreszcie – żeby popatrzeć z góry na rzekę. Jest w drodze. Widziałam jej statek. Zaledwie kilometr stąd.

– Że co?

– Bianca, moja córka, i jej przyjaciele. Myślałam, że już od dawna są w Świnoujściu. Ale dziś nic nie kursuje zgodnie z rozkładem...

Fakt, po kolejnym papierosie i dwóch filiżankach gorzkiej kawy z żołądźmi kanałem napływa radosna procesja czerwonych, zielonych i białych świateł wraz z rachitycznym jazgotem akordeonu, grzmotami kontrabasu i śmiechem kobiet. Slothrop i Greta ruszają nabrzeżem i przez rzednącą mgłę dostrzegają zarysy jachtu oceanicznego, niemal w kolorze mgły, pod bukszprytem złocona figura skrzydlatego szakala, pokład zatłoczony przez wytworne towarzystwo w wieczorowych kreacjach. Kilkoro ludzi już zobaczyło Margheritę. Ona macha do nich ręką, oni też machają albo pokazują ją palcami, wołają po imieniu. To objazdowa wioska: całe lato jacht żeglował po tych nizinach jak łódzie wikingów przed tysiącem lat, ale w pokoju, bez dokonywania rabunku: szukając drogi ucieczki, dotąd nienakreślonej wyraźnie.

Przybijają do nabrzeża, załoga spuszcza trap, już biegną po nim uśmiechnięci pasażerowie, upierścienione ręce w rękawiczkach wyciągnięte do Margherity.

– Wsiadasz?

– Eee... A powinienem?

Ona wzrusza ramionami, różnym krokiem wchodzi na pokład, spódnica napięta, przez sekundę połyskująca w żółtym świetle z kawiarni. Slothrop dygocze i rusza jej śladem – ale w ostatniej chwili jakiś dowcipniś wciąga trap, jacht rusza, a on traci równowagę i z krzykiem wpada do wody. Na

główkę: hełm Rocketmana ciągnie Slothrop na dno. Ściąga go, wynurza się, zatoki pieką, świat jest zamazany, biały statek sunie w dal, tylko wiry po śrubach się zbliżają, zaczynają wsysać pelerynę, więc jej też się pozbywa. Odpływa na plecach szerokim łukiem ku rufie, na której widnieją czarne litery: „ANUBIS, Świnoujście”; próbuje trzymać się z dala od tych śrub. Przy drugiej burcie dostrzega zwisający sznur, dociera tam, chwyta się go. Orkiestra na pokładzie wycina polkę. Przy linach ratunkowych stoją trzy pijane kobiety w tiarach i kołnierzach z pereł, przyglądając się walczącemu o życie Slothropowi.

– Przetnijmy! – wrzeszczy pierwsza. – Zobaczymy, jak wpada drugi raz!

– Tak, przetnijmy! – przytakuje towarzyszki.

Jezu Chryste. Jedna z nich porywa ogromny topór rzeźniczy i wywija nim przy wybuchach śmiechu, lecz w tej samej chwili jakaś ręka łapie Slothrop za kostkę. Slothrop patrzy w dół i widzi, że z iluminatora sterczą dwie smukłe dłonie w srebrze i szafirach, podświetlone ze środka jak lód. Niżej huczy oleista woda.

– Tutaj. – Dziewczęcy głos.

Zsuwa się z powrotem, dziewczyna ciągnie go za stopy, dopóki biedaczyna nie siedzi bezpiecznie w okienku. Z góry dobiega głucho uderzenie, lina wpada do rzeki, a panie w euforię. Slothrop wciska się do środka, tryskając wodą na wszystkie strony, i wali się jak kłoda na górną koję obok osiemnastoletniej może dziewczyny w długiej sukience z cekinami, o włosach tak jasnych, że wpadają w czystą biel, i pierwszych kościach policzkowych, na widok których Slothrop doznaje wzwołu. Wyraźnie coś się tutaj porobiło z jego mózgiem...

– Eee...

– Mmm.

Patrzą na siebie, z niego cały czas skapuje woda. Ona nazywa się Stefania Procałowska. Jej mąż Antoni jest właścicielem „Anubisa”.

Uuu, a więc jest mąż.

– Popatrz tylko – mówi Slothrop – cały przemokłem.

– Zauważyłam. Dobierzemy ci czyjeś ubranie. Osusz się trochę, a ja pójde czegoś poszukać. Możesz skorzystać z łazienki, tam jest wszystko, co trzeba.

Slothrop ściąga z siebie resztę kostiumu Rocketmana, bierze prysznic, używając mydła cytronelowego, na którym widzi kilka włosów łonowych Stefanii, a potem zaczyna się golić i wtedy ona wraca z suchymi ciuchami.

– A więc jesteś z Margheritą.

– Zależy, co przez to rozumiesz. Odnalazła córkę?

– Pewnie. One i Kareł od razu przeszli do rzeczy. W tym miesiącu on pozuje na producenta filmowego. Znasz Karela. A ona oczywiście myśli tylko o tym, żeby Bianca dostała się do filmu.

– Aha...

Stefania ma zwyczaj wzruszania ramionami, wskutek czego wszystkie cekiny tańczą.

– Margherita chce, żeby córka zrobiła porządną karierę. To poczucie winy. Zawsze uważała, że jej własna kariera sprowadza się do serii sprośnych filmów. Pewnie słyszałeś już, jak zaszła w ciążę z Biancą.

– Max Schlepzig czy ktoś tam.

– Czy ktoś tam, otóż to. Widziałeś „Alpdrücken”? Jest taka scena, kiedy Wielki Inkwizytor już zrobił swoje i wtedy wchodzi ludzie-szakale, żeby zgwałcić i posiekać na kawałki schwytaną baronową. Von Göll trzymał kamery włączone do samego końca. Oczywiście taśmę później okrojono z myślą o rozpowszechnianiu, ale pełna wersja znalazła się w prywatnej kolekcji Goebbelsa. Widziałam ją. Przerazające. Wszyscy mężczyźni w tej scenie noszą czarne kaptury albo zwierzęce maski... na przyjęciach w Bydgoszczy spekulowano dla rozrywki, kto jest ojcem dziecka. Trzeba jakoś zabić czas. Puszczano film i zadawano Biance pytania, a ona musiała odpowiadać: tak lub nie.

– No tak. – Slothrop spryskuje twarz wodą toaletową.

– Margherita wykoleiła dziewczynę na długo, zanim mała zamieszkała z

nami. Nie zdziwiłabym się, gdyby Bianca spała dzisiaj z Karelem. Takie jakby frycowe w interesie, prawda? Naturalnie to będzie czysty interes – przynajmniej tyle może zrobić dla córki matka. Problem Margherity polegał na tym, że ona zawsze za bardzo lubiła być zniewalana w izbach tortur. Inaczej nie miała z tego przyjemności. Zobaczysz. Ją i Thanatza. I to, co Thanatz przyniósł w walizie.

– Thanatz?

– Och, nie powiedziała ci? – Śmiech. – Miklos Thanatz to jej mąż. Są razem z przerwami. Pod koniec wojny odbyli małe tournée dla chłopców na froncie – lesbijska para, pies, kufer narzędzi i kostiumów ze skóry, mały zespół muzyczny. Zabawiali oddziały SS. W obozach koncentracyjnych... krąg z drutu kolczastego, rozumiesz. A potem, w Holandii, występy na wyrzutniach raketowych. Teraz zeszli się pierwszy raz od kapitulacji, więc nie spodziewam się, że zobaczymy zbyt wiele...

– Aha, no tak, nie wiedziałem. – Na wyrzutniach? Ręka Opatrzności wpełza między gwiazdy i pokazuje Slothropowi, by się dymał.

– Gdy wyjechali, zostawili córkę u nas, w Bydgoszczy. Mała czasem zachowuje się jak zołza, ale tak naprawdę to urocze dziecko. Ja nigdy nie zmuszałam jej do gry w ojca. Wątpię, czy w ogóle ma ojca. To była partenogeneza, Margherita jest czysta, jeśli słowo „czysta” brzmi tu właściwie.

Strój wieczorowy pasuje idealnie. Stefania prowadzi Slothropo schodami na pokład. „Anubis” płynie teraz przez wiejski krajobraz pod gwiazdami, widnokrąg pokrzywiony tu i ówdzie przez sylwetkę wiatraka, stóg siana, rząd spiczastych chlewów, szereg drzew na niskich wzgórzach chroniący od wiatru... Śnimy o statkach, które pokonują progi rzeczne, walczą z nurtem... naszym pragnieniem jest wiatr i silnik...

– To Antoni. – Podprowadza Slothropo do mężczyzny ogromnej postury w mundurze polowym polskiego kawalerzysty i z garniturem maniakałnych zębów.

– Amerykanin? – ściskając dłoń Slothrop. – Brawo. Pan właściwie uzupełnia skład. Jesteśmy teraz statkiem narodów. Mamy tu nawet Japończyka. Eksoficer łącznikowy z Berlina, któremu nie bardzo się udało uciec przez Rosję. Bar znajduje się na wyższym pokładzie. Do wzięcia jest każdy oprócz niej – przytulając Stefanię.

Slothrop saltuje i uznając, że para chce zostać sama, odchodzi, żeby poszukać schodków prowadzących do baru. Tam, pod girlandami kwiatów i kablem z żarówkami, tłoczą się tuziny wystrojonych gości, którzy przy akompaniamencie muzyków intonują tę oto zwawą piosenkę:

## WITAJ NA POKŁADZIE!

Witaj na pokładzie, na bajeczną orgię  
Trafiłeś akurat w gronie wielu osób –  
Nikt ci nie powie, jak to się zaczęło,  
Skończyć się może tylko w jeden sposób!  
To Ferie Cieleśne, nie myl z Marie-Céleste.  
Wszedłeś tu prosto między wrony,  
Więc kłopoty tylko wywal za burzę,  
I kracz histerycznie jak i one!

Są tu matki z kochankami  
I ich córki z brutalami,  
Wielkie erekcje, predylekcje,  
Aż trudno uwierzyć,  
Że można to przeżyć,  
Więc wsiadaj na „Titanica”, tutaj nieźle się fika,  
Ludzie dostaną bzika, gdy pukniemy w lód.  
Rozwydrzeni, głośni, w stylu *Walpurgisnacht*,  
Cało ujdzie niewielu,  
Witaj więc, przyjacielu,  
Dla ciebie jest cały nasz jacht!

Oho, z tych szalup tutaj dochodzą jęki par, ululany facet śpi na markizie nad głową Slothropo, a grubasy w białych rękawiczkach i z różowymi magnoliami we włosach tańczą brzuszek w brzuszek, gruchając do siebie po wenedzku. Dłonie grzebią pod sukniemi z atlasu. Dokoła krążą brązowi kelnerzy o łagodnych oczach, z tacami, na których można znaleźć wszelkie używki i rekwizyty. Orkiestra rzępoli teraz wiązanek amerykańskich fokstrotów. Baron de Mallakastra przesiewa złowrogi biały proszek do szklanki madame Sztup. To samo gównno, które konsumowano za kulisami w



rezydencji Raoula de la Perlimpinina, i o ile Slothrop się orientuje, to jest chyba ten sam jubel.

Dostrzega przelotnie Margheritę z córką, ale nie może się precyzyjnie przez natłok amatorów orgii. Zdaje sobie sprawę, że jest bezbronny – bardziej niż powinien być – wobec uroku tutejszych dziewcząt, toteż dochodzi do wniosku, że cóż, trudno, no bo ta Bianca to śliczna koza: jedenaście, dwanaście lat, ciemna karnacja, czerwona suknia z szyfonu, jedwabne pończochy i pantofelki na wysokim obcasie, włosy starannie, nienagannie wręcz zaczesane do góry, przewiązane sznurem pereł, żeby nie zasłaniać błyszczących kryształowych kolczyków wpiętych w konchy... ratunku, ratunku. Dlaczego to ciągle akurat jemu się przytrafia? Widzi już nekrolog w „Timesie”: „W Strefie z nadmiernej chuci zmarł Rocketman, nie doczekawszy trzydziestego roku życia”.

Kobieta, która chciała załatwić Slothrop toporem, siedzi teraz na pacholku, trzymając w ręku pół litra jakiejś cieczy, która zabarwia na ciemno ozdabiający szkło storczyk. Opowiada wszystkim o Marghericie. Włosy ma ufryzowane w taki sposób, że wyglądają jak sztuka mięsa. Przybywa napitek Slothropu – oficjalnie irlandzka whisky z wodą – i wtedy on zbliża się, żeby posłuchać.

– ...jej Neptun jest dotknięty tragedią. „A czyj nie jest?” – zapytają niektórzy. Ale na ogół pytają jako mieszkańcy tej planety. Greta większość czasu spędzała zaś na Neptunie – jej choroba była bardziej bezpośrednia, nietknięta, czystsza niż tutaj.

– Znalazła oniryne w dniu, gdy zawiodła jej placówka w Anglii dostarczająca chlodynę. Nad Tamizą, gdy geranium światła dryfowało po niebie tak wolno, że trudno to było zauważyć – mosiężne światło, światło koloru brzoskwini i opalenizny, stylizowane kwiaty, gnane wśród chmur, by tu zblaknąć, tam zwyrodnąć – gdy tak się stało ze światłem dnia, on upadł. Wielogodzinny upadek, mniej ekstrawagancki niż upadek Lucyfera, ale będący tak samo częścią precyzyjnego planu. Grecie przeznaczone było

znalezienie oniry. Na każdej zmowie widnieje podpis. Jedne podpisy są skreślone bożą ręką, inne podrobione jako boże. A to bardzo wyrafinowane fałszerstwo. Niemniej to taka sama nikczemność i śmiertelność jak fałszywy czek. Tyle że sprawa jest bardziej skomplikowana. Członkowie mają imiona, jak archaniołowie. Mniej lub bardziej pospolite, nadawane po naszymu imiona, których tajność można złamać, a ich samych się nauczyć. Lecz te imiona nie są magiczne. Na tym polega sedno, cała różnica. Wymawianie ich głośno, nawet z najczystsza magiczną intencją, nie skutkuje.

– Zatem utracił łaskę. Zatem nie było chlordyny. Zatem los zrządził, że na ulicy w Berlinie poznała V-Manna Wimpego, pod wejściem do kina, gdzie być może przyglądały im się czujące żarówki, malownicza zgraja statystów, świadków przełomowych, dziejowych spotkań. Zatem znalazła oniry, a oblicze jej rodzinnej planety odmieniło się w jednej chwili.

Oniry Jamf Imipolex A-4...

– Ta głupia dziwka – odzywa się głos przy ramieniu Slothrop – za każdym razem opowiada to coraz gorzej.

– Ze co proszę? – Slothrop obraca się i widzi Miklosa Thanatza, bujna broda, brwi sterczące jak rozczapierzone lotki u skrzydeł jastrzębia, absynt w kuflu z przykrywką, na którym w upiornych barwach oświetlenia chichocząca koścista Śmierć zaskakuje dwoje kochanków w łóżku.

Slothrop bez kłopotu sprowadza rozmowę na temat Rakiety:

– Ja myślę o Agregacie-4 – tłumaczy Thanatz – jak o Dzieciątku Jezus tropionym przez niezliczone komisje Herodów, którzy pragną zabić je, zanim dorosnie. Prusacy, niejedni w głębi ducha dalej uważa, że artyleria to niebezpieczny wynalazek. Gdybyś tam był... w pierwszej chwili, gdy tylko zobaczyłeś, robiłeś się potulny, pod jego... naprawdę cechowała go charyzma Maksa Webera... to radosna i *głęboko* irracjonalna siła, której biurokratyczne Państwo nie potrafiło zrutynizować, nad którą nie umiało zatryumfować... Opierali się, ale jednocześnie umożliwili narodziny. Niepodobna wyobrazić sobie, by ktoś wybrał dla siebie taką rolę. Ale co roku

ich liczba paradoksalnie rośnie.

Lecz Slothrop przekornie chce – chce? – dowiedzieć się o służbie raketowców generała Kammlera.

– Hm, *ja*, oczywiście byłem w tym Nordhausen, widziałem to i owo. Ale zmontowanego Agregatu-4 nie udało mi się zobaczyć. To musi być coś, he?

Thanatz wysuwa rękę z kuflem po więcej. Kelner z kamienną twarzą leje wodę po łyżce, wskutek czego absynt robi się mlecznozielony. Thanatz korzysta z okazji i pieści jego pośladki przez chwilę. Nie wiadomo, czy zastanawia się nad odpowiedzią:

– No tak, napędzany, żywy, gotowy do odpalenia... a potem fantastyczny męski ryk. Uszy pękały. Okrutny, twardy, wciskał się w dziewiczo lazururowe szaty nieba. Taki falliczny. Zgadzasz się ze mną, przyjacielu?

– Ee?

– Hm, *ja*, ty byś pasował do tych z wyrzutni. Byli zrównoważeni jak ty. Bardziej rozgarnięci niż piechota i pancerniacy, gorliwi do granic fanatyzmu. Z pewnymi godnymi uwagi wyjątkami, rzecz jasna. Człowiek żyje dla godnych uwagi wyjątków... Był taki chłopiec. – Reminiscencje na gazie? Konfabulacja? – Na imię miał Gottfried. Pokój Boży, który, ufam, że znalazł. Dla nas nie żywię takiej nadziei. Zważeni na wadze i znalezieni lekkimi, a Rzeźnik wetknął Kciuk między szale... pewnie myślisz, że jestem z mordowany. Też tak myślałem, aż do tamtego tygodnia. Był to czas rozpadu, odwrotu przez pola naftowe Niedersächsisch. Wtedy zrozumiałem, że jestem tylko naiwnym dzieckiem. Dowódca baterii stał się wściekłym maniakiem. Nazywał siebie „Blicero”. Zaczął mówić tak, jak śpiewa bohater w „Wozzecku”, piszczał histerycznie. Wszystko się waliło, zatem cofnął się do jakiejś przedpotopowej wersji samego siebie, wrzeszczał do nieba, siedział godzinami w sztywnym transie, z oczami wywróconymi w głąb czaszki. I wybuchał znieścacka bezbożną koloraturą. Białe owale, oczy posągu, z szarym deszczem w tle. Opuścił rok tysiąc dziewięćset czterdziesty piąty, nerwami połączył się z przedchrześcijańską ziemią, po której

pierzchaliśmy, z *Urstoff* pradawnego Germana, najbiedniejszego i najbardziej spanikowanego bożego stworzenia. Po tylu pokoleniach staliśmy się prawdopodobnie tak schrystianizowani, tak nadwątleni przez *Gesellschaft* i wiążący nas przymus respektowania jego przesławnego „Kontraktu”, który nigdy nie istniał, że przerażają nas, nawet nas dwóch, takie powroty do pierwotnego stanu. Lecz z głębi ciszy budzi się *Urstoff*, budzi się i śpiewa... i ostatniego dnia... to wstyd... przez cały ten straszny dzień miałem erekcję... proszę mnie nie osądzać... to było poza moją kontrolą... wszystko było poza kontrolą...

W tej chwili nadchodzi Margherita i Bianca, odgrywające scenę matki i krnąbrnego dziecka. Szept do wodzireja, złaknieni rozrywki goście tłoczą się kręgiem, pośrodku którego stoi odymająca usta Bianca, zadarta czerwona sukienka odsłania szczupłe uda, spod skraju wygląda czarna koronkowa halka, oho, zapowiada się coś wyrafinowanego, będzie po miejsku i sprośnie, ale co ona robi z tym paluszkiem przy wklęsłym policzku, o tak – zespół gra tusz, do ust Slothrop tryska ślina zapowiadająca wymioty, a w głowie kiełkuje obawa, czy sobie poradzi w ciągu następnych kilku minut.

Nie dość, że mała śpiewa „On the Good Ship Lollipop”, to jeszcze zaczyna bez najmniejszej żenady pomrukiwać w idealnym powieleniu młodej Shirley Temple, wymagana intonacja małej świnki, każdy najmniejszy podskok loczka, bezwolny uśmiech, niepewny taniec na paluszkach – delikatne nagie ramiona grubieją, sukienka robi się krótsza – czy ktoś gmera przy oświetleniu? Fałdy aseksualnego dziecięcego tłuszczu nie odmieniły jednak oczu: pozostają takie same, drwiące, ciemne, jej własne...

Koniec. Mnóstwo oklasków i przepitych: „Brawo!”. Thanatz zachowuje wstrzemięźliwość, kiwa tylko po ojcowsku głową, krzaczaste brwi ściągnięte.

- Nigdy nie stanie się kobietą, jeżeli to będzie się tak ciągnąć...
- Ojej, *Liebling* – Margherita z nieczęstym, trochę udawanym uśmiechem.
- Posłuchajmy jeszcze „Sucharków w zupie”!
- Raczej „Smarków w dupie”! – wrzeszczy jakiś dowcipniś z tłumu.

– Nie – protestuje jęklonie mała.

– Bianca!

– Ty dziwko! – Ostry obcas dzwoni o stalowy pokład. To aktorski popis. – Nie dość mnie upokorzyłaś?

– Daleko jeszcze do tego. – Margherita doskakuje, chwytając córkę za włosy, potrząsa nią, dziewczynka osuwa się na kolana, szamocze, próbuje wyrwać.

– Och, rozkoszne! – krzyczy dama od topora. – Teraz Greta będzie ją karać!

– Ja bym to chętnie zrobiła – mruczy zachwycająca Mulatka w sukni bez ramiączek, przepychając się do przodu, klepiąc Slothrop'a w policzek ozdobioną klejnotami cygarniczką, gdy satynowe pośladki ocierają się z szelestem o jego udo.

Ktoś podsunął Marghericie stalową linijkę i krzesło w stylu empire. Matka przekłada córkę przez kolano, podciąga jej sukienkę i halkę, zdziera białe koronkowe majtki. Prześliczna pupcia wznosi się jak dwa księżycy. Delikatna szczelinka napina się, wiotczeje, podwiązki naprężają się i tańczą, bo Bianca wierzga nogami, jedwabne pończochy poświsują erotycznie, wyraźnie słyszane, bo widownia ucichła, posługuje się teraz zmysłem dotyku, ręce wyciągnięte ku biustom i kroczone, jabłka Adama ruchliwe, języki oblizują wargi... gdzie się podziała ta stara masochistka-pomnik, którą Slothrop znalazł w Berlinie? Wygląda, jak gdyby Greta wylewała z siebie na pośladki córki cały ból, skumulowany w ostatnich tygodniach, skóra tak gładziutka, że po każdym uderzeniu obok czerwonej pręgi rozkwita lustrzane odbicie białej podziałki i cyfr, siatka linii tworząca na ciele Bianki ukośną matrycę katuszy. Z odwróconej, poczerwieniałej buzi płyną potoki łez, zmieszane z tuszem skapują na jasne matczyne buty z jaszczurczej skóry... potargane włosy zwisają na pokład, ciemne i posolone sznurem drobnych pereł. Mulatka cofnęła się do Slothrop'a i wyciągniętą do tyłu ręką pięści jego naprężony członek, którego odgradzają od świata tylko cudze smokingowe spodnie o luźnym splocie. Wszyscy są podnieceni. Thanatz siedzi na ladzie baru i

wpycha obnażonego penisa do ust Wenedy w białych rękawiczkach. Dwaj kelnerzy klęczą na pokładzie i cmoktają soczyste krocze blondynki w aksamitnej sukni bordo, ta liże zaś z przejęciem wysokie, błyszczące obcasy starszej pani w cytrynowej organdynie, zajętej zapinaniem wyłożonych filcem kajdanków na przeguby swojego towarzysza, majora jugosłowiańskiej artylerii w mundurze galowym, który klęczy znosem i językiem między posiniaczonymi pośladkami długonogiej baleriny z Paryża, zakasującej spódnicę posłusznymi palcami, gdy tymczasem jej partner, wysoki szwajcarski rozwodnik w czarnych rosyjskich butach i ciasnym skórzanym gorsecie, obszytym koronkami, ściąga bluzkę z jej przyjaciółki i z wprawą zaczyna chłostać nagie piersi łodygami pół tuzina róż, czerwonych jak krople krwi, które wytryskują i zaczynają skapywać z koniuszków sztywnych sutków wprost do ust drugiego Wenedy, brandzlowanego przez siedzącego na pokładzie emerytowanego bankowca z Holandii, któremu buty i skarpetki zdjęły dwie urocze uczennice, w rzeczywistości bliźniaczki w identycznych sukienkach z przybranego kwiatami woalu, duże palce u stóp zagłębiają się teraz w porośnięte meszkiem szparki, dziewczęta wyciągnięte wzdłuż nóg Holendra obcałowują sflaczały brzuch, para ślicznych dupiek wypięta do góry, żeby wpuścić do odbytów fiuty dwóch kelnerów, którzy zaledwie przed chwilą, ot, kawałek w górę Odry, jedli tę soczystą blondynę w atłasowej sukience, może pamiętasz...

A Slothrop? Spuszcza się na rozedrgane krągłe cycki wiedenki o płowych włosach i szmaragdowych oczach, przysłoniętych rzęsami grubymi jak futro, sperma płynie w zagłębienie wygiętej szyi i między diamenty naszyjnika, płonące teraz wiekuiście w mgiełce nasienia – *czuć* nareszcie, że wszyscy szczytują jednocześnie, choć zaraz, jak to możliwe? Slothrop zauważa, że jedyną osobą – poza Stefanią i Antonim – niewłączoną do kręgu jest japoński oficer łącznikowy, który siedzi samotny na wyższym pokładzie i patrzy. Nie brandzluje się ani nic, tylko patrzy, na rzekę, na noc... No cóż, kto ich zrozumie, tych żółtków.

Po dłuższej chwili dochodzi do ogólnego odtykania otworów, jazda, z powrotem do wody, prochów i słów, wielu uczestników znika, żeby zaznać trochę snu. Tu i ówdzie ostaje się para albo trójka. Saksofonista grający melodię w C zagnieździł główkę instrumentu między szeroko rozłożonymi udami ładnej matrony w okularach przeciwsłonecznych, ale zaraz, ciemne okulary nocą? Kurczę, Slothrop wdał się w porządnie wykolejone towarzystwo – muzyk gra „Chattanooga Choo Choo”, a drgania doprowadzają kobietę do obłądu. Dziewczyna z olbrzymim szklanym fallusem, wypełnionym dekadencją lawendową ciecżą, w której pływają małe piranie, szuka czegoś między pośladkami tęgawego transwestyty w koronkowych pończochach i farbowanym futrze z soboli. Hrabinę z Czarnogóry dyma równocześnie w koczek i pępek para osiemdziesięciolatków ubranych tylko w welingtony, prowadzących jakąś fachową dyskusję – najwyraźniej w kościelnej łacinie.

Słońce jest jeszcze parę godzin stąd, nad nieczytelną bezkresną połącią Rosji. Mgła gęstnieje, silniki spowalniają. Wraki prześlizgują się w tył pod kilem białego statku. Wiosenne trupy, uwięzione w zatopionych łodziach wiercą się i podrygują, gdy nad ich głowami przepływa „Anubis”. Pod bukszprytem złoty szakal, jedyny byt na jachcie, który widzi we mgle, patrzy przed siebie, w dół rzeki, w kierunku Świnoujścia.





Slothropowi przyśniło się Llandudno, gdzie spędził niegdyś deszczowy urlop, pijąc w łóżku ciemne piwo z córką szypra holownika. I gdzie Lewis Carroll napisał „Alicję w krainie czarów”. Dlatego w Llandudno postawili posąg Białego Królika. Królik rozmawiał ze Slothropem, poważnie i o zasadniczych sprawach, ale w trakcie powrotu na jawę wszystko uleciało, jak zwykle. Leży na wznak i gapi się na przewody i rury nad głową, pokryte azbestem kolanka, wskaźniki, zbiorniki, tablice rozdzielcze, kryzy, dwuzłączki, pokrętła zaworów i ich najgęściejsze cienie. Piekielny hałas. Słońce przedziera się przez luk, a więc chyba jest rano. Kątem oka dostrzega trzepot czerwieni.

– Tylko nie mów Marghericie. Proszę. – To Bianca. Włosy do bioder, policzki brudne, oczy rozpłomienione. – Zabiłaby mnie.

– Która godzina?

– Słońce już dawno wzeszło. Po co ci godzina?

Po co mu godzina? Hm. Może znowu zaśnie, tutaj.

– Matka się na ciebie gniewa?

– Oj, dostała szału, zarzuciła mi, że mam romans z Thanatzem. Obłąd, jesteśmy tylko dobrymi przyjaciółmi. Nic więcej.... Gdyby poświęcała mi więcej uwagi, wiedziałyby.

– Twojej pupie poświęciła mnóstwo uwagi.

– Ojejku – podciągając sukienkę i obracając się, żeby widzieć równocześnie Slothropa przez ramię. – Ciągłe czuję. Zostały ślady?

– Tak nie zobaczę, musisz podejść.

Zbliża się uśmiechnięta, rozczapierzając palce u stóp za każdym krokiem.

– Przyglądałam się, jak śpisz. Jesteś bardzo przystojny, wiesz? Mama mówiła, że jesteś też okrutny.

– No to uważaj. – Nachyla się i gryzie ją delikatnie w pośladek.

Ona syczy z bólu, lecz nie odskakuje.

– Hm. Tu jest suwak, czy mógłbyś... – Wzrusza ramionami i wierci się, gdy on rozpina, czerwona tafta zsuwa się, no i proszę, ukazuje się jeden, dwa lawendowe siniaki na kształtnym tyłeczku, gładkim jak krem. Mimo że jest mała, wcisnęła się jeszcze w niewielki czarny gorset, który zwęza ją w talii do średnicy butelki winiaku i rozpląszcza dziecięce piersi do postaci białych sierpów. W dół ud biegną atłasowe sznurowadła, ozdobione zawiłym pornograficznym haftem, napinając pończochy obszyte koronką z Alençon. Półnagie uda ocierają się tyłem o twarz Slothrop.

On kąsa ją teraz jak zwariowany, sięgając jednocześnie ręką do przodu, by pogmerać przy wargach sromowych i łechtaczce, drobne stopy Bianki pływają w nerwowym tańcu, ostre jak brzytwa szkarłatne paznokcie grzebią pod pończochami, drapiąc skórę, on tymczasem sadzi malinki, czerwone mgławice na jej podatnych przestrzeniach. Mała pachnie mydłem, kwiatami, potem i cipą. Długie włosy opadają aż do oczu Slothrop, cienkie i czarne, rozdwojone końce szemrzą na pupie, widoczne, niewidoczne, jak deszcz... obróciła się, osuwa na kolana, żeby rozpiąć mu spodnie. Nachylając się, odgarniając włosy za uszy, dziewczynka wkłada sobie do zaróżowionych ust członek Slothrop. Pod strzępiastymi rzęsami błyszczą oczy, dziecięce chyże dłonie biegają po jego ciele, rozpinając guziki, pieszcząc. Jakie z niej szczupłe dziecko: łyka, napięte gardło rozbrzmiewa jękiem, gdy on chwytą ją za włosy, targa... całkiem go rozgryzła. Wie, w którym momencie zabrać usta i wstać, paryskie pantofelki na wysokich obcasach teraz po obu stronach Slothrop, stoi rozbujana, włosy rozfalowane do przodu, okalające twarz, skopowane przez ciemny gorset, obramowujący wzgórek łonowy i brzuch. Podnosząc gołe ręce, mała Bianca zbiera swoje długie włosy, podrzuca głową, by grzywa spadła na plecy, iglaste palce suną powoli w dół, trzymając go w niepewności, po atłasie, po błyszczących haftkach i koronkach, ku udom. Pulchna buzia – ogromne ocienione nocą oczy – lądują przed nim, bo ona klęka, wsuwa członek w siebie i z dręczącą powolnością opada, póki on jej nie wypełni, nie wypcha sobą...

Oho, dzieje się coś kuriozalnego. Nie znaczy, że Slothrop jest tego świadomy w tej chwili, o nie, dopiero później zaświta mu myśl, że był, że... hm, to zabrzmiało dziwnie, ale siedział *we własnym fiucie*. O ile można sobie wyobrazić coś takiego. Owszem, znalazł się w środku tego metropolitalnego organu, a cała zbędna kolonialna tkanka odeszła w zapomnienie, pozostawiona sama sobie, nogi i ręce splecione z naczyniami krwionośnymi i kanalikami, sperma huczy coraz donośniej gdzieś pod jego stopami, gotowa chlusnąć w każdej chwili... przez otwór nad głową dosięga go pojedyncza smuga czerwonego światła z cipy, załamująca się we wszechobecnych przezroczystych płynach. Jest otoczony. Wszystko zaraz tryśnie, tryśnie niewiarygodnie, on bezradny w obliczu tej heroicznej eksplozji... dudni echem czerwone mięso... nadzwyczajne poczucie nadchodzącego wyniesienia...

Ona cwałuje, ta jego śliczna klacz, z twarzą zwróconą ku górze, rozedrgana od stóp do głów, mięśnie ud napięte jak cięciwy, dziecięce piersi wyrrywają się z gorsetu... Slothrop przyciąga Biancę do siebie za sutki i gryzie je bardzo mocno. Obejmując go za szyję, przytulając, dziewczynka zaczyna szczytować, on też, i powódź wyrywa go teraz ze stanu oczekiwania, wypływa przez oczko na szczycie wieży, prosto w głąb niej, w pojedynczej detonacji dotyku. Zapowiadający próżnię, cóż innego może to być, jeśli nie królewski głos samego Agregatu?

Gdzieś wśród ich bezruchu tłucze się, miota jej serce, mała ptaszyna w śniegu, długie włosy zasnuwają, okrywają obie twarze, mały język przy jego skroniach, przy oczach, jedwabne nogi ocierają się o biodra, zimna wyprawiona skóra butów przy nogach, kostkach, łopatki wznoszą się jak skrzydła, ilekroć ona go przytula. Co tam się stało? Slothropowi zbiera się na płacz.

Leżą spleceni. Ona mówi o ukryciu się.

– Jasne, ale musielibyśmy zejść gdzieś na ląd. W Świnoujściu albo gdzieś.

– Nie. Możemy uciec. Jestem dzieckiem. Umiem się chować. Ciebie też

schowam.

On wie, że umie. Tu i teraz, pod tym makijażem i elegancką bielizną, ona *istnieje, istnieje* miłość, niewidzialność... Dla Slothropa to odkrycie.

Ale już drgnęły dłonie przy jego szyi, stały się czujne. Jest ku temu powód. Slothrop zostanie chwilę, lecz prędzej czy później odejdzie i dlatego będzie zaliczony, razem z innymi, do zaginionych w Strefie. Berło papieskie nigdy nie zakwitnie – tak samo jak zwiędnięty fiut Slothropa.

Zatem wyplątując się z jej objęć, zachowuje się ceremonialnie. Tworzy biurokrację rozłąki, szczepionki przeciw amnezji, wizy wyjazdowe, podstemplowane pocałunkami... lecz o powrocie nie ma już mowy. Poprawiwszy muszkę, otrzepawszy atłasowe klapy marynarki, zapiąwszy spodnie, znów w mundurze dnia, odwraca się plecami i wspina po drabinie. Już ma za sobą chwilę, w której ostatni raz spotkały się ich oczy...

Kłęcząc sama na pomalowanej stali, wie – podobnie jak matka – że w najjaśniejszej godzinie popołudnia nadejdzie przerażenie. Jak Margherita, najgorsze wizje ogląda w biało-czarnych barwach. Codziennie odnosi wrażenie, że zbliża się do skraju czegoś. Często śni się jej podróż: jazda pociągiem, między dwoma dobrze znanymi miastami, przedział oświetlony perłowo tą samą techniką, którą wykorzystuje się w filmie, żeby imitować deszcz za oknem. Opowiada swoją historię w wagonie sypialnym. Wreszcie czuje, że potrafi mówić o własnym przerażeniu, przedstawić je wyraźnie w taki sposób, że inni zrozumieją. Być może uchroni się dzięki temu przed przekroczeniem granicy, za którą jest szarawy mrok, czyhający z flanki na jej umysł... Gdy zapuszczała grzywkę, jej nienawykłe do tego włosy majaczyły przy oczach jak zjawy... Z dzwonów na rozbitych wieżach tony wydobywa wiatr. Wystrzępione sznury dyndają albo chlaszczą kamienne płyty, po których nie drepczą już brązowe kaptury. Jej wiatr przegania nawet kurz. To stare dzienne światło: późne i zimne. Przeważenie w najjaśniejszej godzinie popołudnia... żagle na morzu zbyt małe i dalekie, by się liczyć... woda za bardzo stalowa i zimna...

Jej spojrzenie – ten zaciskający się hamulec – rozdarło widzące serce Slothrop: rozdarło niejedyn raz, spojrzenie rzucone mu, gdy przejeżdżał tamtędy, biegnące hen, w zmierzchu mchu i rozpadającej się kolonii, szczupłych walcowatych dystrybutorów paliwa, blaszanych szyldów Moxie, cierpkich i słodko-gorzkich, jak smak, który miały narzucić zwietrzałym ścianom stodół, szukał w lusterku wstecznym zwielokrotnionego „ostatniego razu”, każdy nazbyt głęboko osadzony w metalu i spalinach, nadając celom dnia więcej realności, niż ma wszystko, co zdarza się z nienacką prawem Murphy’ego, tam gdzie może być ratunek... Zniknął, znowu, znowu, za nieszczęsnym utopionym Becketem przy pękniętej tamie, za stokami pooranymi brązowymi koleinami, grabie rdzewieją po południu, niebo fioletowoniebieskie, pociemniałe jak żuta długo guma, mgła zaczyna tworzyć białe kreski w powietrzu, wycelowane w ziemię, ćwierć, pół cala... spojrzała na niego raz, on oczywiście pamięta, z za lady przydrożnego bufetu, dym z różną wciiera się w szyby, cierpliwe jak pasta na obuwiu w deszcz, wewnątrz garstka zgarbionych klientów w kraciastych ubraniach, puzon beczki z połyskliwej szafy grającej, sekcja dęciaków wrzuca swingujące nuty dokładnie między ciszę w środku taktu a następne uderzenie, rytmizując *pa* (hm), *pa* (hm), *pa*, tak dokładnie pomiędzy, że wiedziałeś, iż wyrывa do przodu, ale miałeś wrażenie, że się wlecze, oboje mieliście takie wrażenie, po obu stronach lady, czuliście, czuliście, że lata waszego życia znajdą się w nowym czasie, który być może pozwoli wam wykpić się od reszty, od pozbawionych wdzięku oczekiwań starców, którzy patrzyli z dwuogniskową, śluzowatą obojętnością w oczach, patrzyli, jak tanecznym krokiem, hop, hop, wpadaliście milionami w piekło, tyle milionów, ile było trzeba... Oczywiście że Slothrop ją zgubił, gubił ją i gubił – to amerykański wymóg – w lusterku autokaru, wpadając w pochyłą kamienistość, w zielony i porośły wiązami niedowład widzenia, albo, w bardziej złowrogim sensie, niedowład woli (kiedyś wiedziałeś, co te słowa znaczą), ona zaś z niezmaconym spokojem ruszyła do swoich obowiązków, za wiele tych Ich, żadnej szansy na beżowe

widziało tego lata na *jej* poboczu...

Slothrop pozostawiony w potrzasku miejskich odruchów i harwardzkich skarpetek – jedne i drugie są czerwonymi kajdanami, żelastwem rodem z komiksu (choć komiks ten nigdy nie wszedł do obiegu, egzemplarz znaleziony przypadkiem o zmierzchu przy leju samowyladowawczym na mieliźnie w Berkshire. Bohater – byt? – nazywał się Sundial. Trudno się zorientować, co to za istota, bo nie mieścił się w żadnym obrazku, tylko wpadał przez ramki albo wypadał, „wskroś wiatru”, przez co czytelnicy rozumieli, że „przenikał pionowy, płaski strumień, podobny do wodospadu: ścianę będącą w nieustannym ruchu” – to był inny świat, tam, gdzie Sundial załatwiał sprawy – sprawy, których oni nigdy by nie zrozumieli).

Daleko od siebie, owszem, daleko. Jasne. Gdy jest za blisko, poszukiwania rodzą ból. Lecz napędza go ta obsesja na punkcie Eurydyki... żeby ją wyprowadzić z... choć przecież o wiele łatwiej byłoby zostawić ją tam, w odorze karbidu i trupiego oddechu zdechłych kanarków, wyjść i mieć spokój, poszukać rozsądnego faksymile – „Po co ją wyprowadzać? Po co próbować? To tylko taka różnica jak między prawdziwą przykrywką od pudełka, a tą, którą dla Nich narysowałeś”. Nie. Jak może w to uwierzyć? Oni właśnie chcą, by w to wierzył, ale jak mógłby? Przecież nie ma różnicy między przykrywką a jej wizerunkiem, cała ich ekonomia na tym się zasadza... ale ona z pewnością jest czymś więcej niż obrazkiem, wyrobem, obietnicą zapłaty...

W tej ostatniej sekundzie pod pokładem zwieńczonym żarłocznym szakalem ze wszystkich domniemanych ojców – przedzieleni ruchomą taśmą w Noc Alpdrücken Max Schlepzig i zamaskowani statyści z jednej strony, z drugiej Franz Pökler i liczne pary rąk przy rozporkach – najbliższy Bianca jesteś właśnie ty, który przyszedłeś w oślepiających barwach, klapnąłeś na swoje miejsce, bezpieczny przez cały wieczór od wieży i laufra, ty, który jesteś samotny, objęty absolutnym zakazem popróbowania białawej miłości jej matki, ty, który mówisz: „Jasne, że znam takie”, pominięty, szepczesz z

chichotem: „Mnie też w to wliczcie”, a bezradny, myślisz: „Pewnie jakaś dziwka...”. Ze wszystkich wybiera ciebie. Nigdy jej nie zobaczysz. Ktoś więc musi ci powiedzieć.





W połowie wspinaczki na pokład Slothrop zaskakuje użębienie bielące się u góry w ciemnym luku.

– Przypatrywałem się. Mam nadzieję, że pan się nie gniewa. – To chyba znowu ten żółtek. Przedstawia się jako chorąży Morituri z Cesarskiej Marynarki.

– No tak, ja... – Dlaczego Slothrop tak się jąka? – Widziałem... że wczoraj też pan się przypatrywał...

– Pan myśli, że ze mnie podglądacz. Niech pan nie zaprzecza. Ale to nie tak. W tym nie ma żadnej ekscytacji. Kiedy przypatruję się ludziom, czuję się mniej samotny.

– No tak, chorąży... to czemu nie... czemu się nie przyłączycie? Oni ciągle szukają... towarzystwa.

– O mój Boże – jeden z tych japońskich promiennych uśmiechów – wtedy czułbym się jeszcze bardziej samotny.

Na rufie pod markizą w czerwono-pomarańczowe pasy wystawiono stoły i krzesła. Slothrop i Morituri mają całe miejsce prawie wyłącznie dla siebie, bo oprócz nich jest tylko parę dziewcząt w dwuczęściowych kostiumach; lale chcą złapać trochę słońca przed wieczorem. Z przodu zbierają się złowrogie cumulonimbusy. Z oddali dobiegają grzmoty. Powietrze drgnęło.

Steward wnosi kawę, krem, owsiankę i świeże pomarańcze. Slothrop niepewnie zerka na owsiankę.

– Ja chętnie. – Chorąży Morituri chwyta talerz.

– A proszę bardzo. – Slothrop dostrzega teraz, że Japończyk nosi podkręcone wąsy. – Aha, takie buty, już się pokapowałem. Wielbiciel owsianki, tak? Wstyd i hańba. Kryptoanglofil, o proszę, do tego pan się rumieni. – Wytykając palcem i rechocząc: cha, cha, cha!

– Przejrzał mnie pan. Tak. Byłem po złej stronie przez sześć lat.

– Próbował pan uciec?

– I przekonać się, jacy naprawdę jesteście? Broń Boże. A jeżeli filia zmieniałaby się w fobię? Gdzie bym się znalazł? – Chichocze, wypluwa na bok pestkę pomarańczy. Odbył kilkutygodniowe szkolenie na Formozie, w szkole kamikadze, ale go wykopali. Nikt mu nie powiedział dlaczego. Coś nie tak z jego nastawieniem. – Nie miałem właściwego podejścia do sprawy – wzdycha. – Toteż przysłali mnie tutaj z powrotem, przez Rosję i Szwajcarię. Tym razem z ramienia ministerstwa propagandy. – Przez większość dnia oglądał alianckie reportaże, żeby sklecić z nich kroniki filmowe, w których państwa Osi ukazane byłyby w pozytywnym świetle, a druga strona jako bandyci. – Wszystko, co wiem o Wielkiej Brytanii, pochodzi z tych materiałów.

– Wygląda, że niemieckie filmy niejednego tutaj wykrzywiły.

– Ma pan na myśli Margheritę? A wie pan, że właśnie tak się poznaliśmy? Poprzez wspólnego kolegę z „Ufy”. Byłem na urlopie w Bad Karma – tuż przed najazdem na Polskę. Mówię o tym małym miasteczku, gdzie pan do nas dołączył. W uzdrowisku. Obserwowałem, jak pan wpadł do wody. A potem wspiął się na pokład. Obserwowałem też Margheritę, która obserwowała pana. Proszę się nie gniewać, panie Slothrop, ale teraz lepiej trzymać się od niej z daleka.

– Nic nie szkodzi. Wiem, że dzieje się z nią coś nienormalnego. – Opowiada Morituriemu o zdarzeniu na Sprudelhofie, o ucieczce Margherity przed zjawą w czerni.

Chorąży kiwa smutno głową, kręcąc węża, aż koniuszek w kształcie szabli wskazuje oko.

– Nie mówiła panu, co się tam wydarzyło? Rany, człowieku, lepiej, żebyś pan wiedział...

## OPOWIEŚĆ CHORAŻEGO MORITURI

Wojna rzuca cień na poprzedzające ją dni. Z perspektywy czasu ujawnia się mnóstwo hałasu i powszechnego ciężenia. Ale urobieni jesteśmy, by zapomnieć. Żeby wojna zyskała większą wagę, lecz jednocześnie... czy nie łatwiej dostrzec ukryte tryby właśnie w dniach zapowiadających zdarzenie? Są pewne układy, sprawy, które należy przyspieszyć... i wtedy nierzadko przebłyскуюją ich zarysy, dostrzegamy to, czego nie powinniśmy dostrzec...

Próbowali odwieść Margheritę od wyjazdu do Hollywood. Pojechała jednak i przeżyła niepowodzenie. Po powrocie czekał na nią Rollo, by uchronić ją od najgorszego. Przez miesiąc chował ostre przedmioty, nie pozwalał jej podchodzić do okien, nie dopuszczał do specyfików, co oznaczało, że niewiele spała. Budziła się rozhisteryzowana. Bała się zasnąć. Bała się, że nie będzie umiała powrócić na jawę.

Rollo nie był zbyt bystrym człowiekiem. Chciał dobrze, ale po miesiącu uznał, że sam dłużej nie wytrzyma. Wszyscy się dziwili, że wytrwał tak długo. Przekazał Gretę Zygmuntovi. Jej stan niewiele się poprawił, ale przynajmniej się nie pogorszył.

Kłopot w tym, że Zygmunt mieszkał w Alpach Bawarskich, w ruinach zamczyska, po których hulał wiatr. Niektóre mury pamiętały chyba upadek Rzymu. Tam ją zawiózł.

Ubduriała sobie, że w jej żyłach płynie żydowska krew. Sytuacja w Niemczech była już wtedy kiepska, jak wszystkim wiadomo. Margherita lękała się, że zostanie „zdemaskowana”. Słyszała gestapowców w każdym podmuchu powietrza, wśród tysięcy jęków wiejącego wiatru. Przez całą noc Zygmunt próbował ją uspokajać. Nie szło mu lepiej niż Rollowi. Mniej więcej wtedy pojawiły się te symptomy.

Bez względu na psychogeny charakter bólów, tików, pokrzywki i mdłości, cierpiała naprawdę. Pewnej nocy z Berlina przylecieli zeppelinem akupunkturzyści z futerałami wymoszczonymi aksamitem, pełnymi złotych

igieł. Psychoanaliticy z Wiednia, święci z Indii, amerykańscy baptyści, wszyscy pielgrzymowali do zamku Zygmunta, na dywanie przed kominkiem spali hipnotyzerzy i kolumbijscy *curanderos*. Nic nie skutkowało. Zygmunt był coraz bardziej zaniepokojony i nie minęło dużo czasu, gdy zrobił się tak samo podatny na halucynacje, jak Margherita. Prawdopodobnie to ona wpadła na pomysł wyjazdu do Bad Karma. Tamtego lata uzdrowisko cieszyło się dużym wzięciem ze względu na borowinę: gorące i tłuste błocko ze śladami radu, smoliste, bulgoczące łagodnie. Och. Każdy, kto chorował na coś podobnego, bez trudu zrozumie jej motywację. Borowina wyleczy wszystko.

Co robili wszyscy ostatniego lata przed Wojną? Śnili. Uzdrowiska tamtego lata, lata, kiedy chorąży Morituri przybył do Bad Karma, pękały w szwach od somnambulików. Nie miał nic do roboty w ambasadzie. Zaproponowano mu urlop aż do września. Powinien był się domyślić, że coś się szykuje, ale nic nie zrobił, pojechał tylko do Bad Karma – spędzał dni na picu pilznera urquelle w kawiarni nad jeziorem w Parku przy Pawilonie. Był cudzoziemcem, chodził na ogół pijany, ubzdryngolony piwem, do tego ledwo dukał po niemiecku. Ale to, co widział, rozgrywało się chyba w całych Niemczech. Rozmyślny szął.

Margherita i Zygmunt przechadzali się po tych samych ścieżkach ocienionych magnoliami, wysiadali na bujakach, słuchając koncertów muzyki patriotycznej... gdy padało, grali nerwowo w karty w jednym z salonów Kurhausu. Nocami oglądali pokazy ogni sztucznych – fontanny, tryskające iskrami rakiety, wybuchy żółtych gwiazd wysoko nad Polską. Ach, ten oniryczny sezon... W całym uzdrowisku nie znalazł się nikt, kto dopatrzyłby się przesłania w kształtach fajerwerków. To były tylko radosne ogniki, nerwowe jak fantazje przemykające z oczu do oczu; omiały blaskiem skórę niczym wachlarze ze strusich piór przed pół wiekiem.

Kiedy Zygmunta zaniepokoiły jej nieobecności, kiedy zaczął się w nich doszukiwać czegoś złego? Zawsze serwowała mu wiarygodne

wy tłumaczenia: wizyta u lekarza, przypadkowe spotkanie z dawnym znajomym, ospałość i utrata rachuby czasu po kąpieli borowinowej. Być może jego czujność wzbudziło niecodzienne regularne sypianie Margherity, bo przecież w domu na południu to właśnie przez swoją bezsenność dała mu w kość. Na doniesienia o dzieciach w miejscowej prasie pozostawał głuchy, gdyż tylko rzucał okiem na nagłówki, i to też nieczęsto, ot, żeby zabić chwilę nudy.

Morituri często ich widywał. Spotykali się, kłaniali, wymieniali hitlerowskie pozdrowienia, następnie chorąży korzystał z okazji, żeby przez parę minut szlifować niemczyznę. Oprócz kelnerów i barmanów byli jedynymi ludźmi, z którymi rozmawiał. Na kortach tenisowych, w kolejce do pijalni w chłodzie kolumnady, u *corso d'acqua*, przy kwietnikach, w weneckie święto, Zygmunt i Margherita prawie w ogóle się nie zmieniali, on z tym... – Morituri uznał to za Amerykański Uśmiech, dokoła bursztynowego ustnika zgasłej fajki... głowa niczym różowa bożonarodzeniowa bombka... jak dawno temu to było... ona w żółtych okularach przeciwsłonecznych i kapeluszach Greta Garbo. Kwiaty były wyłącznym jej elementem, który zmieniał się z dnia na dzień: powój, migdałowiec, naparstnica. Morituri zaczął wyczekiwać tych codziennych spotkań. Żona i córki na krańcu świata, on wygnany do kraju, który zbijał go z tropu i przytłaczał. Potrzebował przelotnej uprzejmości bywalców ogrodów zoologicznych, słów z przewodnika turystycznego. Zdaje sobie sprawę, że patrzył dokoła z szeroko otwartymi oczyma. Fascynowało go to europejskie uładzenie u wszystkich: starsze panie w białych piórach na leżakach, weterani pierwszej wojny światowej zanurzający się w stalowych wannach niby pogodne hipopotamy, ich zniewieściali sekretarze, trajkoczący piskliwymi głosikami na Sprudelstrasse jak małpy, tymczasem w głębi, pod baldachimami Up i kasztanowców słyhać było niekończący się ryk wielkich baniek dwutlenku węgla w bulgoczącym źródle... ale najbardziej ze wszystkiego fascynowali go Zygmunt i Margherita. „Wydawali się tam obcy

tak samo jak ja. Wszyscy mamy antenki, prawda, dostrojone do wychwytywania takich jak my...”.

Pewnego popołudnia napotkał przypadkiem samego Zygmunta – tweedowy posąg, wsparty na lasce przed inhalatorium – wyglądającego, jak gdyby zgubił drogę, jak gdyby nie miał dokąd pójść ani nie pragnął niczego. Tym razem wdali się w szczerą rozmowę. Pora była odpowiednia. Ruszyli na spacer, kierując się pomiędzy tłumy chorych cudzoziemców. Zygmunt opowiedział o kłopotach z Gretą, o jej zmyślnym żydowskim pochodzeniu i znikaniu. Poprzedniego dnia przyłapał ją na kłamstwie. Wróciła bardzo późno. Dostrzegł lekkie drżenie dłoni, którego nie mogła pohamować. Wreszcie zaczął zauważać to i owo. Jej buty, na przykład, oblepione wyschłym błotem. Szew w sukience się poszerzył, prawie puścił, choć zrzucała kilogramy. Nie potrafił się jednak zdobyć na to, by pomówić z nią otwarcie.

Morituri, który czytywał gazety i któremu prawda objawiła się natychmiast jak potwór wynurzający się z obłaskawionej musującej wody Trinkhalle, ale któremu zabrakło słów, niemieckich i innych, żeby powiedzieć Zygmuntowi prawdę, ten Morituri, Chorąży Piwny, zaczął śledzić Margheritę. Nigdy nie oglądała się za siebie, ale wiedziała, że za nią podąża. Podczas najbliższego cotygodniowego balu w Kursaal po raz pierwszy odczuł powściągliwość innych. Margherita – oczy, które zawsze widywał ukryte za okularami przeciwsłonecznymi, odsłonięte teraz, płonące straszliwie – nie odrywała od niego wzroku. Orkiestra grała wyjątki z „Wesołej wdówki” i „Tajemnicy Zuzanny”, muzykę trącającą myszką, a jednak gdy po paru latach jej urywki dopadały Morituriego na ulicy, płynąc z radia, zawsze przywodziły na myśl nieopisany smak tamtej nocy, we troje na skraju głębi, której żadne nie mogło wysondować... ostatnia reprzyza europejskiego międzywojnia, którego nigdy nie zaznał... które także dla niego były pomieszczeniem, popołudniowym salonem: szczupłe dziewczęta w sukniach, tusz dookoła oczu, starannie ogoleni mężczyźni, gładkolicy jak gwiazdorzcy filmowi... nie

operetka, lecz muzyka taneczna, wyrafinowana, kojąca, nieco „nowoczesna”, wpadająca elegancko w modne aktualnie linie melodyczne... pokój na piętrze, wdziera się przedwieczne słońce, grube dywany, głosy mówiące o rzeczach lekkich i nieskomplikowanych, domyślne, protekcyjne uśmiechy. Budzi się tego ranka w miękkim łóżku, czeka z niecierpliwością na wieczór w kabarecie, gdzie tańczy się do popularnych piosenek miłosnych, granych w zmanierowanym, ułożonym stylu. Jego popołudniowy salon z pohamowanymi łzami, dymem, ostrożną namiętnością stanowił stację postojową między wygodnym porankiem a wygodną nocą: to była Europa, zadymiony, miejski lęk przed śmiercią, a najbardziej zgubne były przenikliwie oczy Margherity, to przebrane spotkanie w Kursaal, czarne źrenice wśród nagromadzonej biżuterii i potakujących starych generałów, przy akompaniamencie ryku dochodzącego z Brodelbrunnen na dworze, wypełniającego cichsze fragmenty muzyki tak samo, jak wkrótce maszyny miały wypełnić niebo.

Nazajutrz Morituri szedł za nią po raz ostatni. Wydeptaną ścieżką, pod znajomymi drzewami, obok sadzawki ze złotymi rybkami, która przypominała mu ojczyznę, przez pole golfowe, ostatni siwi wąsacze tego dnia wyplątujący się z potrzasków i niebezpieczeństw, ich wózki wyprężone alegorycznie na baczność w zachodzącym słońcu, faszystowskie sylwetki kijów... Tego dnia Bad Karma spowił blady, gwałtowny zmierzch: widnokraj był biblijną tragedią. Greta ubrała się na czarno, większość włosów ukryła pod kapeluszem z woalką, na ramieniu torebka na długim pasku. Gdy wybór ewentualnych celów wycieczki zawężił się do jednego i Morituri zaczął wpadać w sidła zastawione przez noc, przepowiednia wypełniła go niby wiatr znad rzeki: wiedział już, dokąd ona chodzi i jak dzieci z artykułów prasowych zostały...

Dotarli na skraj czarnego bajora: do podziemnego bytu, starego jak sama Ziemia, częściowo przyłączonego do uzdrowiska i ochrzczonego imieniem... Ofiarą miał być chłopiec, który tam zamarudził, gdy wszyscy inni już poszli.



O włosach koloru zimnego śniegu. Morituri słyszał tylko urywki rozmowy. Z początku mały się jej nie bał. Być może nie rozpoznał w niej postaci ze snów. To byłaby jego jedyna szansa. Ale oni ją przekreślili, ci niemieccy nadzorcy. Morituri stał z boku w swoim mundurze, czekając, rozpinając marynarkę, żeby w razie czego nie krępowała mu ruchów, choć nie zamierzał się wtrącać. Najwyraźniej odprawiali rytuał przerwany w zamierzonych czasach...

Podniosła głos, a chłopiec zaczął się trząść.

– Zbyt długo pozostawałeś na wygnaniu. – W półmroku rozległo się donośne klaśnięcie. – Wróć ze mną do domu – krzyknęła – do swoich! – Dzieciak chciał się wyrwać, ale dłoń w rękawiczce – szpony – wystrzeliła do przodu i chwyciła go za ramię. – Małe żydowskie łajno. Nie próbuj nawet uciekać.

– Nie?... – Koniec sylaby wzniósł się w intonacji prowokacyjnego pytania.

– Wiesz, kim jestem. Mój dom to forma Światła – odstawiając komedię w przyciężkim jidysz, aktorsko i fałszywie – chodzę po całej diasporze, szukając zabłąkanych dzieci. Jestem Izraelem. Jestem Szechiną, królową, córką, oblubienicą i matką Boga. I zabiorę cię z powrotem, kawałku rozbitego naczynia, nawet jeśli musiałabym cię ciągnąć za tego twojego obrzydliwego obrzezanego fiutka –

– Nie!

Wtedy chorąży Morituri dokonał jedynebohaterskiego czynu w całej swojej karierze. Nie figuruje to nawet w jego teźce personalnej. Margherita spadła na opierającego się chłopca – dłoń między nogi. Morituri skoczył do przodu. Przez chwilę ślaniali się we troje, spleceni. Szara nazistowska rzeźba: mogłaby nosić tytuł „Rodzina”. Ani krzty greckiego bezwładu: nie, oni się *poruszali*. Nie chodziło o nieśmiertelność. To właśnie ich odróżniało. Nie chodziło o przetrwanie próby czasu – o bycie spuścizną. Los rzeźby był przesądzony jak przygoda d’Annunzia w Fiume, jak sama Rzesza, jak nieszczęsne istoty, którym chłopiec się wyrwał i uciekł w mrok.

Margherita osunęła się przy brzegu wielkiego mrocznego bajora. Morituri ukląkł obok. Płakała. Okropność. To, co go tam przywiodło, co pojęło w lot i zainterweniowało machinalnie, zapadło teraz z powrotem w sen. Jego urobiona, werbalna, umundurowana jaźń znowu przejęła kontrolę. Klęczał rozdygotany, przerażony jak nigdy w życiu. To Margherita jego zaprowadziła do uzdrowiska.

Tej nocy wyjechała z Zygmuntem z Bad Karma. Być może chłopiec za bardzo się zląkł, być może zrobiło się już ciemno, a być może Morituri miał potężnych protektorów, bo jednak – Bóg świadkiem – wciąż widać było wszystko wyraźnie, w każdym razie policja się nie pojawiła. „Nawet mi przez myśl nie przeszło, żeby pójść na posterunek. Głęboko w sercu zdawałem sobie sprawę, że była morderczynią. Prawdopodobnie potępi mnie pan za to. Ale zobaczyłem, na co bym ją skazał. Na to samo, na co była skazana, bez względu na to, czy znalazłaby się w więzieniu. Rozumie pan?”. Nazajutrz nastał pierwszy wrześnie. Dzieci przestały znikać w tajemniczych okolicznościach.

Ściemniło się mimo przedpołudniowej pory. Deszcz wdziera się pod markizę. Talerz owsianki postawiony przed Moriturim pozostał nietknięty. Slothrop się poci, patrzy na jaskrawe resztki pomarańczy.

– Posłuchaj pan – przychodzi mu nagle do mądrej głowy – a co z Biancą? Nic jej nie grozi u boku Grety?

Ruszając sumiastymi wąsami:

– Co pan ma na myśli? Pyta pan, czy można ją uratować?

– Bez szumnych słów, Japończyku –

– Przed czym mógłby ją pan uratować?

Pod baczny spojrzeniem chorążego Slothrop czuje się nieswojo. Deszcz bębni teraz w markizę, przelewając się przez brzegi w formie przezroczystych koronek.

– Chwila, moment. Cholera jasna. A ten babsztyl wczoraj, w Sprudelhofie

–

– No tak. Proszę pamiętać, że Greta widziała też pana wyłaniającego się z rzeki. A teraz proszę pomyśleć o tych wszystkich legendach o radioaktywności, krążących wśród ludzi tego typu – tych, co kursują od uzdrowiska do uzdrowiska, sezon po sezonie. To łaska. Święte wody Lourdes. Tajemnicze promieniowanie, które potrafi wyleczyć tak wiele dolegliwości – może to ostateczne lekarstwo?

– Eee...

– Obserwowałem jej twarz, gdy wchodził pan na pokład. Znalazłem się z nią na skraju radioaktywnej nocy. Wiem, co tym razem widziała. Jedno z tych dzieci – zakonserwowane, karmione błockiem, radem, rozrastające się, gdy tymczasem podziemny prąd, powolny i kleisty, niesie je, rok po roku, póki wreszcie, osiągnąwszy męskość, chłopak nie dotrze do rzeki, nie wyłoni się z czarnego promieniowania, by znów ją odnaleźć, Szechinę, oblubienicę, królową, córkę. I matkę. Matkującą jak opiekuńcze błoto i żarzącą się blendą smolistą –

Niemal bezpośrednio nad głową oślepiającym jajem dźwięku uderza nagle grzmot. W trakcie huku Slothrop mruczy:

– Przestań się zgrywać.

– Chce pan zaryzykować i sam się przekonać?

Kto to jest, no jasne, to tylko żółty chorąży, który patrzy na mnie w ten sposób. Ale gdzie są ramiona Bianki, jej bezbronne usta...

– Hm, za dzień lub dwa będziemy w Świnoujściu, zgadza się? – nawija, żeby się powstrzymać od – no to wstań od stołu, dupku –

– Będziemy wszyscy ciągle w drodze, nic więcej. Ostatecznie to nie ma znaczenia.

– Przecież sam masz dzieci, jak więc możesz tak mówić? Tylko tego chcesz? Być w drodze?

– Chcę, żeby wojna na Pacyfiku się skończyła, to będę mógł wrócić do domu. Skoro pan pyta. Teraz nastała pora śliwkowych deszczów, Bai-u, wtedy właśnie dojrzewają śliwki. Pragnę tylko być z Misziko i naszymi

córkami, a gdy już wrócę do Hiroszimy, nigdy z niej nie wyjadę. Spodobałoby się tam panu. To miasto na wyspie Honsiu, na Morzu Wewnętrznym, bardzo ładne, idealnej wielkości, dostatecznie duże, by znaleźć typowe miejskie rozrywki, wystarczająco małe, by człowiek miał potrzebny mu spokój. Ale ci ludzie tutaj nie wracają, oni właśnie porzucili swoje domy, rozumie pan...

Nagle puszcza jeden z supełów, którymi przywiązano markizę do ramy, białe sznurki rozplątują się w okamgnieniu, chłoszcząc deszcz. Tkanina obwisa, a deszczówka leje się strugą prosto na Slothrop'a i Morituriego. Uciekają pod pokład.

Gubią się w tłumie przebudzonych hulaków. Slothrop myśli tylko o tym, żeby odnaleźć Biancę. Na końcu korytarza, w gąszczu pustych twarzy, dostrzega Stefanię w białej kamizelce i spodniach, która kiwa na niego palcem. Przedziera się bite pięć minut, po drodze zaliczając Aleksandra, kapelusik z przylepioną z tyłu karteczką, wzywającą w dolnopomorskim do kopnięcia właściciela w zadek, ślady po szminkach w czterech odcieniach bordo i czarne włoskie cygaro, które ktoś zapobiegliwy już dla niego zapalił.

– Może i wygląda pan jak uosobienie biesiadnego nastroju – wita go Stefania – ale ja nie dam się oszukać. Pod maską wesołości kryje się oblicze Jonasza.

– Chodzi pani, eee, chodzi pani o...

– O Margheritę. Zamknęła się w ubikacji. Dostała hysterii. Nikt nie może jej stamtąd wyciągnąć.

– I dlatego kiwała pani na mnie? A Thanatz?

– Thanatz zniknął, podobnie jak Bianca.

– O kurwa.

– Margherita sądzi, że pan pozbył się małej.

– Nie ja. – Streszcza opowieść chorążego Morituri.

Animusz i zimna krew Polki ulatują. Stefania ogryza paznokieć.

– Owszem, krążyły plotki. Zygmunt, zanim zniknął, coś tam dawał

dziwaczego do zrozumienia, ale nigdy nie powiedział nic konkretnego. Taki miał styl. Slothrop, czy pan uważa, że Bianca jest w niebezpieczeństwie?

– Spróbuję się dowiedzieć.

Zaskakuje go zręczny kopniak w dupsko.

– Masz pecha – skrzeczy jakiś głos za plecami. – Na całym statku ja jeden rozumiem dolnopomorski.

– To faktycznie masz pecha – kiwa głową Stefania.

– Chciałem po prostu za darmo dopłynąć do Świnoujścia.

Lecz Polka mówi:

– Jest tylko jeden rejs za darmo. Na razie zacznij pan odpracowywać ten. Idź pogadać z Margheritą.

– Żąda pani, żebym... Daj pani spokój!

– Tu nie może się nic wydarzyć.

Jedna z Podstawowych Reguł na tej jednostce: nic nie może się wydarzyć. Cóż, Slothrop grzecznie wtyka niedopałek cygara w usta madame Procałowskiej i odchodzi, a ona zaciąga się dymem, z zaciśniętymi dłońmi w kieszeniach kamizelki.

Bianki nie ma w maszynowni. Myszkuje w pulsującym świetle żarówek, pośród azbestu, parząc się raz czy dwa w miejscach, gdzie brakuje izolacji, zaglądając w blade wnęki, między cienie, zastanawiając się nad swoją izolacją. Nic tylko przyrządy, hałas. Rusza do drabinki. Czeka na niego strzęp czerwieni... nie, to tylko jej suknia, na rąbku wciąż wilgotna plama po spermie... przetrwała dzięki tej donośnej parności. Slothrop kuca, bierze sukienkę do ręki, wącha zapach. Jestem dzieckiem, umiem się schować, ciebie też schowam.

– Bianca! – woła. – Bianca, wyjdź.

Przy drzwiach do ubikacji tłoczy się tłumek obiboków z wyższych sfer i pijaków tarasujących przejście z naręczami butelek i kieliszków oraz krąg siedzących konsumentów kokainy – z czubka złotego sztyletu z rubinem kryształowe ptaszki fruną ku gąszczom włosków w przegrodach nosowych.

Slothrop toruje sobie drogę, opiera się o drzwi i woła Margheritę po imieniu.

– Idź sobie.

– Nie musisz wychodzić. Tylko mnie wpuść.

– Już ja cię znam.

– Proszę.

– Spryciarze, kazali ci się podszyć pod biednego Maksa. Ale nic z tego.

– Skończyłem z Nimi. Przysięgam. Potrzebuję cię, Greto. – Bzdura. Niby do czego?

– No to cię zabiją, jeśli skończyłeś. Odejdź.

– Wiem, gdzie jest Bianca.

– Co jej zrobiłeś?

– Tylko... mnie wpuść.

Po minucie ciszy wpuszcza. Natychmiast do środka próbuje się wepchnąć jeden, dwóch rozrywkowych typków, ale Slothrop zatrzaskuje im drzwi przed nosem i przekręca klucz. Greta ma na sobie tylko czarną koszulkę. Szlaczki czarnych włosów wiją się na udach. Twarz blada, napięta, stara.

– Gdzie ona jest?

– Schowała się.

– Przede mną?

– Przed nimi.

Szybkie spojrzenie na niego. Za dużo luster, brzytwy, nożyczek, świateł. Za biało.

– Ale ty przecież jesteś jednym z Nich.

– Przestań, wiesz, że to nieprawda.

– Jesteś. Wylazłeś z rzeki.

– No bo do niej wpadłem, Greto.

– A więc to oni cię stworzyli.

Slothrop patrzy, jak ona skubie nerwowo kosmyki włosów. „Anubis” trochę się rozkołysał, ale wzbierające nudności prą ku głowie, nie do żołądka. Gdy Greta zaczyna mówić, wypełniają go mdłości: napiera rozżarzone czarne

błocko mdłości...





Mężczyznom z łatwością przychodziło mówić jej, kim ma być. Rówieśniczki dorastały, zadając sobie pytanie: „Kim jestem?”. Pytanie to powodowało ból i mózół. Dla Małgosi natomiast w zasadzie ono nie istniało. Tkwi w niej tyle tożsamości, że nie bardzo potrafi je zliczyć. Niektóre Małgosie są zaledwie powierzchownym szkicem, inne zaś mają głębię. Wiele charakteryzuje się niewiarygodnym darem: antygravitacja, prorocze sny... aberracja komatyczna otacza ich twarze, żarząc się w powietrzu: światło wręcz zalewa się łzami, płacząc w wystylizowany sposób, gdy ona frunie przez mechaniczne miasta, ściany meteorytowe, udrapowane w połowie wysokości, każda wklęsłość i wgłębienie puste, i jeszcze opadający cień, który błyszczący czernią dokoła... albo unieruchomiona w pozach widza, długie suknie, lamówka i alchemiczne symbole, woalki spływające spod skórzanych czepków, wymoszczonych koncentrycznie jak kask rowerzysty, z trzeszczącymi wieżami i helisami z obsydianu, z pasami napędowymi i wałkami, z dziwnymi korytarzami wewnątrz sterowca, które biegną pod ciągiem łuków, z namaszczeniem, obok żaluzji i gigantycznych brzechw w miejskiej mgle...

W „Weisse Sandwüste von Neumexiko” grała kowboja w spódnicy. Przede wszystkim zapytali: „Umie pani jeździć konno?”. „Naturalnie” – odparta. W rzeczywistości nigdy nie zbliżyła się do konia bardziej niż na szerokość okopu, ale potrzebowała tej roli. Kiedy padło polecenie, by dosiadła wierzchowca, nawet przez myśl jej nie przeszło, że powinna się bać bestii, której boki ścisnęła udami. Był to amerykański koń imieniem Wąż. Ułożony czy nie, mógł ją bez trudu ponieść, a nawet zabić. Ale stawali dęba na ekranie pełnym ognia dziewiątego znaku, Małgosia i ten kolt, a uśmiech nie zniknął z jej twarzy.

Oto jedna ze zrzuconych przez nią woalek, rzadka biała piana, gryzący osad po pewnej niedawnej nocy w Berlinie.

– Wyszłam, gdy spałeś. Na ulicę, bez butów. Znalazłam trupa. Tygodniowy szary zarost i zniszczony szary garnitur...

Leżał za murem, nieruchomy i biały. Położyła się obok i objęła go rękoma. Był przymrozek. Ciało kiwnęło się ku niej, a na zimnym ubraniu powstały fałdy. Poczowała szczecinę na policzku. Woń nie gorsza niż zapach zimnego mięsa z lodówki. Leżeli spleceni aż do rana.

– Powiedz, jak to jest u ciebie. – Co ją obudziło? Buciorzy na ulicy. Wczesny ekskawator. Ledwo słyszy własny umęczony szept.

Trup odpowiada:

– Żyjemy bardzo głęboko pod czarnym błotem. Wiele dni jazdy stąd. – Choć nie mogła poruszać jego kończynami tak łatwo jak kończynami lalki, potrafiła sprawić, by mówił i myślał podług jej woli.

Przez chwilę zastanawiała się też – nie całkiem w formie słów – czy taki właśnie jest w dotyku jej grząski umysł, pod palcami Tych, którzy...

– Mm, tam żyje się przytulnie. Czasem dobiega coś od Nich – odległy grzmot, zarys jakiejś detonacji, którą przewodzi ziemia nad głowami... ale nic nazbyt blisko. Jest tak ciemno, że rzeczy się jarzą. Mamy zdolność lotu. Brak seksu. Lecz są fantazje, nawet niejedna z tych, które z seksem wiązaliśmy – którymi modulowaliśmy energię seksualną...

Jako oszołomiona debiutantka Lotte Lustig znalazła się wśród odmetów powodzi. Przebrana za sprzątaczkę, płynęła w dół rzeki wanną razem z bogatym playboyem Maksem Schlepzigiem. Marzenie każdej dziewczyny. Film nosił tytuł „Jugend herauf!” (to naturalnie dowcipna przeróbka popularnego wtedy hasła: *Juden heraus!*). W rzeczywistości wszystkie sceny na wodzie były trikami – ani razu nie musiała żeglować z Maksem wanną po prawdziwej rzece, wszystko robili za nich dublerzy, a po finalnej obróbce wyszło z tego bardzo długie ciemne ujęcie. Postacie są mroczne i zniekształcone, przypominają małe człekokształtne, barwa światła jest osobliwa, jak gdyby całość wygrawerowano na szarawym metalu, takim jak ołów. Dublerem Grety był włoski kaskader nazwiskiem Blazzo, w długiej jasnej peruce. Romansowali potem ze sobą przez chwilę. Greta chodziła z nim do łóżka tylko po warunkiem, że wkładał tę perukę!

Rzekę chlaszczę deszcz: słycać zbliżające się progi, wciąż niewidoczne, ale rzeczywiste i nieuchronne. Obaj dublerzy odczuwają dziwny, łaskotliwy lęk: być może naprawdę są zgubieni i na brzegu, za misternymi bohomazami szarych wierzb, nie stoi żadna kamera... cała ekipa, dźwiękowcy, elektrycy, rekwizytorzy, wszyscy odeszli... albo nigdy ich nie było... i o co nurt roztrzaskuje naszą małą śnieżnobiałą muszelkę? I co to za huk, taki stłumiony i głuchy?

Bianca jest na ogół srebrna – albo w ogóle nie ma koloru: sfotografowana tysiące razy, wciągnięta przez obiektywy, wyrżnięta z nadfioletowych styków podwójnych i potrójnych Protarów, Schneider Angulonów, Voigtländer Collinearów, Steinheil Orthostigmatów, Gundlach Turner-Reichów z 1895 roku. W oczach Greta to za każdym razem dusza jej córki, niewyczerpana dusza... Ten szalik jedynaczki, zatknięty u biodra, wydany na pastwę wiatru. Nazwać ją przedłużeniem matczynego ego zakrawałoby naturalnie na gorzki sarkazm. Ale co jakiś czas Greta dostrzega córkę w innych dzieciach, upiorną jak w podwójnym naświetleniu. ... wyraźnie, bardzo wyraźnie w Gottfriedzie, młodym ulubieńcu i protegowanym kapitana Blicero.

– Ściągnij mi ramiączka na chwilę. Jest dość ciemno? Patrz. Thanatz mówił, że się świecą. I że zna wszystkie na pamięć. Dziś są bardzo białe, prawda? Mmm. Długie i białe jak pajęczyny. Na pupie też mam. I po wewnętrznej stronie ud...

Już po fakcie, gdy krew zaschła, po zaaplikowaniu spirytusu, Thanatz na ogół trzymał ją dalej przez kolano, odczytywał pręgi na jej ciele, jak Cyganka czyta z ręki. Linia życia, linia serca. *Croix mystique*. Co za uśmiechy losu i fantazje! Po biciu był w podniosłym nastroju. Opanowany myślą, że się wywikła, ucieknie. Zasypiał, zanim jeszcze dzikość i nadzieja całkiem z niego wyparowały. W tych chwilach najbardziej go kochała, tuż przed snem, ona z grzbietem trawionym ogniem, jego ciężka głowa na jej piersi, tymczasem nocą wykwitwała tkanka bliznowata, komórka za komórką. Czuła się prawie bezpieczna...

Ileokroć bicz uderzał, ileokroć następował atak, w niemożności ucieczki

nachodziła ją pojedyncza wizja, jedna dla każdej kulminacji bólu. Oko na szczycie piramidy. Ofiarne miasto, z postaciami w szatach koloru rdzy. Śniada kobieta, czekająca u wylotu ulicy. Zakapturzona twarz boleściwej Danii, pochylająca się nad Niemcami. Wiśniowe węgle, spadające w noc. Bianca w kostiumie hiszpańskiej tancerki, głaszcząca lufę karabinu...

Przy stanowisku raketowym w sosnowym lesie Thanatz i Gretel znaleźli starą drogę, którą nikt już nie uczęszczał. Tu i ówdzie spośród zielonego podszycia wyglądały fragmenty chodnika. Wydawało się, że gdyby ruszyli tą drogą, dotarliby do miasta, dworca albo placówki... wcale nie było jasne, dokąd by doszli. Niemniej miejsce to na pewno od dawna pozostawałoby opuszczone.

Trzymali się za ręce. Thanatz miał na sobie znoszoną zamszową marynarkę w zielonym kolorze, z łatami na rękawach. Greta była w płaszczu z wielbłądziej wełny i białej chustce na głowie. Odcinki starej drogi zasnuwała tak gruba warstwa igliwia, że tłumiała ich kroki.

Doszli do skarpy, gdzie przed laty drogę podmyła woda. Żwir jak ziarenka pieprzu i soli wysypał się na stromiznę, ku rzece, którą słyszeli, ale która pozostawała poza zasięgiem wzroku. Zawisło tam stare auto – marki Hannomag Sturm – z nosem skierowanym w dół i wyłamanyimi drzwiami. Szarolawendowa metalowa powłoka była obrana do czysta jak szkielet jelenia. Obrana przez coś, co żyło w tym lesie. Obeszli wrak samochodu, bojąc się podejść do spękanej szyby, do twardej śmiertelności w cieniu przedniego siedzenia.

Zza drzew prześwitywały gruzy domów. Światła już ubywało, choć nie minęło nawet południe, a las wcale nie był gęstszy. Na środku drogi ukazały się gigantyczne balasy, świeże, skręcone jak sploty sznura – ciemne i zasupłane. Czyje to?

W tym samym momencie ona i Thanatz uświadomili sobie, że od paru godzin spacerują po ruinach wielkiego miasta, wymarłego nie w starożytności, ale za ich życia. Z przodu ścieżka odbijała w zagajnik. Lecz w tej chwili coś stanęło między nimi a tym, co kryło się za zakrętem: coś

niewidzialnego, niewyczuwalnego... jakiś *monitor*. „Ani kroku dalej – mówił. – Dość. Ani kroku. Wracać natychmiast”.

Niepodobna było posunąć się głębiej. Oboje wpadli w przerażenie. Odwrócili się, czując to coś na plecach. Odeszli szybko.

Po powrocie do Schußstelle zastali Blicero w stanie ostatecznego szaleństwa. Na małej polanie odarte z kory pnie krwawiły kroplami żywicy po odpaleniach rakiety.

– Mógł nas przegnać. Blicero był lokalnym bóstwem. Nie potrzebowałby nawet skrawka papieru. Ale chciał, żebyśmy zostali. Dał nam wszystko, co miał do dyspozycji, łóżka, jedzenie, wódkę, narkotyki. Coś szykowano z myślą o tym chłopcu, Gottfriedzie, czuło się to tak wyraźnie jak zapach żywicy, który był pierwszym doznaniem w tamte mgliste niebieskie poranki. Lecz Blicero niczego nie zdradził.

Przenieśliśmy się na Pustać. Były tam pola naftowe i poczerniała ziemia. W górze przelatywały polujące na nas Jabos w szyku schodów. Blicero znowu się przepoczwarzył, w nowe zwierzę... wilkołaka... tyle że w oczach nie został już ślad człowieczeństwa, którego ubywało dzień w dzień, aż w końcu zastąpiły je szare bruzdy i czerwone żyły, układające się w nieludzkie desenie. Wyspy: zakrzepłe wyspy na morzu. Niekiedy nawet linie topograficzne, gnieźdzące się przy wspólnym punkcie. Wyobraź sobie pisk tak cichy, że przechodzi w szept: „To mapa mojego *Ur-Heimat*. Królestwa Pana Blicero. Białej krainy”. Nagle mnie oświeciło: on postrzegał świat w postaci mitycznych krain: odrębne mapy, prawdziwe góry, rzeki i barwy. To nie przez Niemcy się przemieszczał, lecz przez własną przestrzeń. I nas ciągnął ze sobą! Moja cipa wezbrała krwią na myśl o tym niebezpieczeństwie, o prawdopodobieństwie zagłady, o tej rozkosznej niewiedzy, kiedy to nadejdzie, bo pora i miejsce były sprawą Blicero... On nie wycofywał się drogami, nie przecinał rzek ani nizin. Żeglowaliśmy po Dolnej Saksonii, od wyspy do wyspy. Każde stanowisko raketowe było kolejną wyspą na białym morzu. W środku każdej wyspy znajdował się wierzchołek... czy była nim pozycja samej Rakiety? Chwila startu?

Niemiecka Odyseja. Gdzie będzie ostatnia, rodzinna wyspa?

Ciągle zapominam spytać Thanatza, co się stało z Gottfriedem. Thanatzowi pozwolono zostać przy wyrzutni. Ja odjechałam: przy szarej pogodzie zawieziono mnie hispano-suizą w towarzystwie Blicero do zakładów petrochemicznych, które przez kilka dni majaczyły na widnokręgu, zataczając pełne koło, w oddali czarne, popękane wieże, zgrupowane razem, płomień, który bez przerwy palił się u wylotu komina. To był Zamek: Blicero zerknął, już miał się odezwać, ale ja powiedziałam: „Zamek”. Szybki, nieobecny uśmiech ust: zmarszczone wilcze ślepia posunęły się nawet poza swojskie punkty telepatii, hen, na zwierzęcą północ, ku uporczywości na samej granicy śmierci, której nie potrafię sobie wyobrazić, twarde komórki z najmniejszym możliwym migotem w środku, napędzane tylko lodem albo nawet czymś gorszym. Nazywał mnie Katje. „Zobaczysz, że twoja mała sztuczka już nie poskutkuje. Teraz nie, Katje”. Nie bałam się. To było szaleństwo, które rozumiałam, albo halucynacje bardzo starego człowieka. Srebrny bocian ze złożonymi skrzydłami wfrunął w nasz wiatr, czoło nisko, nogi wyprężone wstecz, pruski potyliczny guz z tyłu: na błyszczących powierzchniach przy podjeździe do głównego budynku pojawiły się czarne roje limuzyn i aut sztabowych. Na skraju parkingu zobaczyłam mały dwuosobowy samolot. Twarze mężczyzn siedzących w środku wydały mi się znajome. Znałam ich z filmów, siedziały tam siła i grawitacja – to byli ważniacy, lecz rozpoznałam tylko jednego: Generaldirektora Smagarda z Leverkusen. Starszy mężczyzna, który chodził o lasce, przed wojną zatwardziały spirytysta, teraz zdaje się też. „Greta – uśmiechnął się, chwytając mnie za rękę. – A więc wszyscy tu jesteśmy”. Inni nie okazali takiej galanterii. Czekali na Blicero. Zjazd szlachty na Zamku. Weszli do sali zebrań. Mnie pozostawiono z asystentem nazwiskiem Drohne: wysokie czoło, siwe włosy, zawsze gmerający przy krawacie. Widział wszystkie moje filmy. Skierowaliśmy się między urządzenia. Przez okna zobaczyłam, że siedzą na sali dokoła okrągłego stołu, na którym coś się znajdowało. To coś



było szare, plastikowe, połyskliwe, odbijało refleksy światła. „Co to jest?” – zapytałam kokietyjnie Drohneho. Odciągnął mnie na stronę. „To chyba do F-Gerät” – szepnął.

– „F”? – dziwi się Slothrop. – F-Gerät, jesteś pewna?

– Na pewno była jakaś litera.

– „S”?

– Może i „S”. Z tymi wymyślanymi przez siebie określeniami przypominają dzieci uczące się mówić. Wyglądało to jak ekto plazma, jak coś, co siłą wspólnej woli doprowadzili do zmaterializowania się na stole. Nikt nie poruszał ustami. To był seans. Wtedy zrozumiałam, że pod wodzą Blicero przekroczyłam granicę. Ze w końcu wtrysnął mnie do swej rodzimej przestrzeni bez najmniejszego ukłucia bólu. Byłam wolna. Za mną w korytarzu tłoczyli się mężczyźni, tarasując drogę odwrotu. Na moim rękawie spoczywała spocona dłoń Drohneho. Był koneserem tworzyw sztucznych. Pstrykając palcami w dużą afrykańską maskę, nadstawiając ucha – „Słyszysz pani? Prawdziwy brzęk polistyrenu...” – wpadając w zachwyty nad ciężkim kielichem z metakrylanu metylu, repliką Sangraala... Znajdowaliśmy się przy wieży reaktora. W powietrzu czuć było silną woń rozpuszczalnika. Wylączarka na dole wypluwała z sykiem czyste plastikowe pręty wprost do koryt chłodzących albo rębaka. W pomieszczeniu panowało gorąco. Pomyślałam, że coś bardzo głębokiego, czarnego i lepkiego zasila tę fabrykę. Z zewnątrz dochodził warkot silników. Czy wszyscy już odjeżdżają? Dlaczego ja tu jestem? Po prawej i lewej stronie nieustannie pełzały węże z tworzyw sztucznych. Wzwody eskortujących mnie mężczyzn usiłowały wydostać się przez otwory w ubraniach. Mogłam robić to, co chciałam. Czarne. Świetliste. Głębokie. Ukłękłam i zaczęłam rozpinać Drohnemu spodnie. Ale dwaj inni wzięli mnie za ręce i zaciągnęli na teren magazynów. Pozostali przypędzili za nimi albo weszli osobnymi drzwiami. Nad głową wisały rzędy wielkich zasłon ze styrenu i winylu we wszystkich kolorach, przezroczyste i nieprzezroczyste. Migotały jak zorza polarna. Miałam



wrażenie, że gdzieś za nimi kryje się publiczność, która czeka na początek czegoś. Drohne i pozostali położyli mnie na nadmuchiwanym materacu z tworzywa sztucznego. Wszędzie dokoła widziałam wyraźnie kruszenie się powietrza. Albo światła. Ktoś powiedział: „butadien”, a ja zrozumiałam: „tu na dnie”... Wokół szeleściło i trzeszczało tworzywo sztuczne, zamykając nas w upiornej bieli. Zabrali mi ubranie i wciągnęli na mnie egzotyczny kostium z czarnego polimeru, bardzo obcisły w talii, z otworem w kroczu. Czułam w nim życie. „Zapomnij o skórze, zapomnij o atłasie” – dygotał Drohne. – „To imipolex, materiał przyszłości”. Nie potrafię opisać zapachu tego tworzywa ani jakie robiło wrażenie w dotyku – wrażenie komfortu. Gdy tylko przyłgnęło do moich sutek, te nabrzmiały, złaknione kąsania. Chciałam czuć to tworzywo na cipie. Nic, co wcześniej i później miałam na sobie, nigdy tak mnie nie podnieciło. Obiecali mi staniki, koszulki, pończochy, suknie z imipoleksu. Drohne przypiął sobie gigantycznego penisa z tego tworzywa. Potarłam go policzkiem, było tak rozkosznie... Między stopami miałam przepaść. Rzeczy, wspomnienia, nie sposób było ich odróżnić, sypały się lawiną z mojej głowy. Jak wezbrany strumień. Wypychałam je wszystkie gdzieś w próżnię... z głowy tryskały skręcone, jaskrawe halucynacje... drobnostki, zabawne urywki rozmów, *objets d'art*... wypuszczałam je wszystkie. Niczego nie zatrzymałam. Czy to była uległość, takie wyzbycie się ich wszystkich?

Nie wiem, jak długo mnie tam trzymali. Spałam, budziłam się. Mężczyźni pojawiali się i znikali. Czas stracił sens. Pewnego ranka znalazłam się poza zakładami, naga w deszczu. Nic tam nie rosło. Dokoła coś składowano w hałdach, które ciągnęły się kilometrami. Jakieś smoliste odpady. Musiałam wrócić na piechotę do wyrzutni. Wszyscy wyjechali. Thanatz zostawił kartkę, prosząc, bym udała się do Świnoujścia. Najwyraźniej coś się wydarzyło. Na tej polanie panowała cisza, jakiej doświadczyłam tylko raz w życiu. Kiedyś w Meksyku. Gdy byłam w Ameryce. Znajdowaliśmy w środku dżungli. Z gąszczu wyszliśmy na kondygnację schodów porośniętych winoroślą,

grzybami, niszczącymi od stuleci. Pozostali weszli na szczyt, ale ja nie mogłam. Było tak samo jak tego dnia z Thanatzem, w sosnowym lesie. Czułam, że tam w górze czeka na mnie cisza. Nie na nich, tylko na mnie, wyłącznie na mnie... moja własna, osobista cisza...



Burza skrobie donośnie w szyby mostka kapitańskiego na „Anubisie”, wielkie mokre płetwy walą na oślep po nocy, pac!, żywe kształty widoczne tylko na tęczowym skraju dźwięku – trzeba być maniakiem albo przynajmniej oficerem polskiej kawalerii, żeby stać w takiej pozie za tą kruchą osłoną i stawiać czoło muskulaturze każdego uderzenia. Za plecami Procałowskiego wskazówka chyłomierza kiwa się w rytm bujania jachtu: wahadło we śnie. Poświata burzy poczerniła rysy twarzy, są czarne jak jego oczy, czarne jak pokryty solą rybacki kapelusz, sterczący na bakier nad brzdami czoła. Światło skupia się, czyste, głębokie, na płytach czołowych sprzętu radiowego... owiewa łagodnie tarczę pelorusa... wylewa się przez iluminatory do białej rzeki. Nie wiedzieć czemu, popołudnie trwa dłużej, niż powinno. Dnia ubywa od wielu godzin. Pośród takielunku przebłyskują teraz ognie świętego Elma. Burza szarpie za liny i sznury, pochmurna noc staje się biała i głośna, w wielkich spazmach. Procałowski kurzy cygaro i wpatruje się w mapy Zalewu Szczecińskiego.

Całe to światło. Czy radzieckie posterunki obserwują ich z brzegu, czają się w deszczu? Czy ten odcinek rejsu utrwalany jest ołówkiem kopiowym, sumienne X przy sumiennym X, na jakiejś połąci radzieckiego plastiku, gdzie wewnątrz sieci pajęczej bielą się niemieckie okna, przy których nikt nie staje, fosforyzująca trawa faluje na ekranie lampy radaroskopowej, a gra, którą wyczuwasz przez ręczną korbę w niewidzialnych zębach, stanowi różnicę między trafieniem a chybieniem. ... Wacław – czy piknięcie, które widzisz, to statek? W Strefie, w tych dniach, trwa niekończące się pobudzenie – fale stające na wodzie, samoloty, na tyle dobrze znane, że radarzyści nadają im imiona, niesforne balony, śmieci dryfujące z innych teatrów wojny (brazylijskie beczki po ropie, skrzynki whisky dla Fort Lamy), obserwatorzy z innych galaktyk, sekwencje dymu, chwile wysokiego albedo – na prawdziwe cele trudno się natknąć. Za dużo zamieszania dla większości

poborowych, odkomenderowanych tutaj w ostatniej chwili. Tylko stare wygi potrafią zachować poczucie porządku: w trakcie godzin ich służby nerwowa elektryczna zieleń, która z początku, na zawsze, oznaczała, tak to pojęli, rozkład... nauczyli się wizualnej litości.

Na ile prawdopodobny jest „Anubis” tej nocy w ujściu rzeki? Opóźnił rejs, zgodnie z duchem czasów i nieuchronnie: biały jacht powinien był dotrzeć do Świnoujścia przed tygodniami, lecz miał sowiecki zakaz żeglowania po Wiśle. Rosjanie obsadzili nawet pokład wartownikami, lecz anubijskie panie uwiodły żołnierzy i odcumowano – tak zaczęła się ostatnia reprzyza polskiej ojczyzny, przez te rzeczne łąki północy, przekazy radiowe podążające ich śladem, jednego dnia zrozumiałe, następnego zaszyfrowane, wczesna, bezkształtna sytuacja, zawieszenie między porą nadejścia kata a przedstawieniem. Za „sprawą «Anubisa»” przemawiają teraz racje o charakterze międzynarodowym, przeciw niej zresztą też, toteż walka na argumenty trwa, nazbyt odległa, by się w niej połąpać, a rozkazy zmieniane są co godzina.

Kołysząc się i unosząc gwałtownie, „Anubis” prze na północ. Na widnokregu migoczą błyskawice, a grzmoty przypominają wojskowym ogień huraganowy, zapowiadający bitwy, z których wyszli cało albo w których nadal tkwią i śnią tylko, toteż w każdej chwili mogą się obudzić w środku piekła i zginąć... Wytrawione przez pogodę nagie pokłady lśnią czystością. Śmiecie po jublu zatykają kanalizację. Z iluminatorów kuchni sączy się na deszcz swąd nieświeżego tłuszczu. W salonie urządzono bakarata, a w kotłowni trwa pokaz sprośnych filmów. Czas na wieczorną wachtę. Biały statek wdraża się, jak dusza dopiero co zapalonej lampy naftowej, w wieczorny tok zajęć.

Na dziobie i rufie słaniają się uczestnicy zabawy, gwiazdy rzygowin zdobią teraz wieczorne kreacje. Panie kładą się w deszczu, brodawki naprężone, falujące pod przemoczonym jedwabiem. Po pokładzie ślizgają się stewardzi z tacami pełnymi lekarstw na chorobę morską i dwuwęglanu. Liny obwieszono

obleśną arystokracją. Oho, nadchodzi Slothrop, złazi po drabinie na główny pokład, odbijając się od sznurowych poręczy, czując się podle. Utracił Biancę. Myszkuje po jachcie, zginając się co chwila wół, nie potrafi znaleźć ani jej, ani powodu, dla którego zostawił ją dzisiaj rano.

To ważne, ale jak bardzo? Teraz, gdy Margherita wyśpiewała mu rzewnie, przy bezstrunowej lirze i gorzkiej otchłani okrętowej ubikacji, o swoich ostatnich dniach z Blicero, Slothrop wie, jak wiedzieć powinien, że to S-Gerät podąża jego śladem, ono i bezbarwna plastikowa wszechobecność Laszlo Jamfa. Że jeżeli jest poszukującym i poszukiwanym, jest także wabionym i wabikiem. Sprawę imipoleksu podsunęto mu jeszcze w kasynie „Hermann Goering” w nadziei, że rozwinie się ona w pełną *imipolectique* z jej własną zdolnością rozrostu w Strefie – przewidzieli, że Slothrop skorzysta z okazji. Wygląda na to, że istnieją sub-Slothropowe potrzeby, o których oni wiedzą, a on nie: to poniżające już na pierwszy rzut oka, ale teraz pojawia się jeszcze bardziej irytująca kwestia: Czego mi potrzeba aż tak bardzo?

Zaledwie miesiąc temu, gdyby mu dano jeden lub dwa dni spokoju, mógłby znaleźć drogę powrotną do sierpniowego popołudnia, do własnego sztywnego kutasa w portkach, wyprężonego jak różdżka magika, próbującego wskazać to, co zawisło na niebie nad głowami wszystkich. Różdżkarstwo rakietowe to dar, a on go miał, cierpiał przez niego, ten dar próbował wypełnić jego ciało aż po pory i włoski dzwoniącą chucią... wejść, wypełnić się... polować na... odsłonić się... zacząć krzyczeć... bez nadziei na zmiłowanie rozewrzeć ramiona nogi usta odbyt oczy nozdrza na zamiar zawisły na niebie bledszym niż bezkrwisty handlowy Jezus...

Lecz teraz za jego plecami ziele przestrzeń, której nie potrafi wyjść naprzeciw; bezpowrotnie spalił za sobą mosty. Coraz mniej niepokoi go perspektywa zdrady tych, którzy mu ufają. Poczucie obowiązku słabnie. Nastąpiło ogólne wygaśnięcie emocji, odrętwienie, czym powinien się przejąć, ale nie umie...

Nie umie...

Z radia płynie trzask rosyjskich przekazów, zakłócenia wałą jak strugi deszczu. Na brzegu rozpalają się światła. Procałowski wciska główny wyłącznik i gasi całe oświetlenie jachtu. Widać będzie ognie świętego Elma, tryskające chwilami z końców, ostrych krawędzi, migające bielą jak sygnały na antenach i sztagach.

Biały statek, zakamuflowany w burzy, prześlizgnie się cicho obok wielkiego gruzowiska Szczecina. Deszcz osłabnie na chwilę, by odbić w lewo i odsłonić kilka złamanych dźwigów i wypalone magazyny, tak mokre i połyskliwe, że można prawie poczuć ich woń, no i początki żuław, skąd też dobiega zapach i gdzie nikt nie mieszka. A potem brzeg znowu zniknie, podobnie jak morskie wybrzeże. Ujście rozleje się dokoła „Anubisa”. Dziś wieczorem nie wypłyną żadne łodzie patrolowe. Bałwany z hukiem wychyną z mroku, będą się rozpryskiwać wysoko o dziób, a z pyska złotego szakala popłynie słona woda... Hrabia Wafna słania się na rufie, ubrany tylko w białą muszkę, garście pełne czerwonych, białych i niebieskich żetonów, które sypią się, grzechoczą o pokład; nigdy ich nie spienięży... hrabina Bibescue śni przy forkasztelu o Bukareszcie przed czterema laty, o styczniowym terrorze, zawołaniach Żelaznej Gwardii w radio – Niech żyje śmierć! – o ciałach Żydów i lewicowców, powieszonych na hakach w miejskich rzeźniach, ludzka krew na deskach cuchnących mięsem i skórą, o ssącym jej piersi sześć-, może siedmioletnim chłopcu w ubranku lorda Fauntleroya, ich mokre włosy rozwiane razem, nie do odróżnienia, tak jak ich jęki, zniknie w bieli eksplodującej nagle nad dziobem... oczka puszczane w pończosze, suknie na halkach ze sztucznego jedwabiu roją się morą... wzwody wiotczeją bez ostrzeżenia, kościane guziki drżą ze strachu... światła znowu się rozpalą i pokład stanie się oślepiającym zwierciadłem... a niedługo po tym Slothropowi wyda się, że ją widzi, że odnalazł Biancę – oczy zalepione ciemnymi rzęsami i buzia ociekająca deszczem, zobaczy, jak mała traci równowagę na śliskim pokładzie, bo „Anubis” odbija ostro w lewo i nawet w tym stanie rzeczy – nawet z tej odległości – skoczy ku niej bez

zastanowienia, ale wywinie orła, akurat gdy ona zniknie pod kredowymi linami ratowniczymi, już po niej, biedak pełza, próbuje stanąć, ale szybko dostaje w nerki i frunie przez burtę, żegnaj, „Anubisie” i rozwrzeszczany faszystowski ładunku, nie ma jachtu, nie ma nawet czarnego nieba, deszcz zalewa mu oczy serią szybkich ukłuć, i spada, bez jednego wołania o pomoc, tylko słabowite, płaczliwe „o kurwa”, łzy, które nijak nie wzbogacą wysmaganej białej pustki uchodzącej dziś za Zalew Szczeciński...





Głosy mówią po niemiecku. Łajba wygląda na kuter rybacki, z jakiegoś powodu pozbawiony sieci i bomów. Ładunek usypany na pokładzie. Ze śródokręcia gapi się na Slothropa wyrostek o różowej twarzy, bujając się w przód, w tył.

– Ma na sobie ubranie wieczorowe! – woła w kierunku sterówki. – To dobrze czy źle? Nie jesteś z rzędu wojskowego, co?

– Jezu, dzieciaku, ja tonę! Podpiszę lojalkę, jeśli chcesz. – To takie „jak się masz, koleś” po niemiecku.

Szczyl wyciąga różową rękę – dłoń oblepiona pąklami – dźwiga Slothrop z wody, uszy zmarznięte, słonawy glut pod nosem, i rzuca go na pokład, który cuchnie pokoleniami ryb, poorany na biało od twardszego ładunku. Kuter rusza dalej z potwornym przyśpieszeniem. Slothrop toczy się na rufę: mokre plask! Z tyłu wielki koguci ogon pieni się i pręży w deszczu. Ze sterówki dobiega maniakalny śmiech.

– Ej, kto albo co dowodzi tym kutrem?

– Moja matka. – Szczyl kuca przy nim ze skruszoną, bezradną miną. – Postrach otwartych mórz.

Ta paniusia o rumianych policzkach nazywa się Frau Gnahb, a jej dzieciak ma na imię Otto. Gdy zbiera się jej na czułości, nazywa go „Cichy Otto”, co uważa za przezabawne, ale co ujawnia jej lata. Slothrop ściąga z siebie smoking, wiesza go do góry nogami, żeby wysechł, i zawija się w stary wojskowy koc, matka i syn tymczasem opowiadają, jak rozwożą czarnorynkowy towar po bałtyckim wybrzeżu. Kto inny wypłynąłby na morze w taki sztorm? Ma uczciwą twarz – Slothrop – ludzie opowiedzą mu więc o wszystkim. Prują do Świnoujścia, żeby wziąć ładunek na jutrzejszy rejs na Uznam.

– Czy znacie mężczyznę w białym garniturze – cytując Geli Tripping sprzed paru tysiącleci – który podobno co dzień w południe wystaje na

deptaku w tym całym Świnoujściu?

Frau Gnahb zażywa szczyptę tabaki i rozpromienia się.

– Wszyscy go znają. To biały rycerz czarnego rynku, tak samo jak ja jestem królową przybrzeżnego handlu.

– Der Springer, zgadza się?

– Nikt inny.

Nikt inny. W kieszeni portek Slothrop ciągle nosi tę figurę szachową od Bummera. Po niej rozpoznaje go Springer. Zasypia w sterówce, serwuje sobie dwie, trzy godziny wytchnienia, podczas których Bianca tuli się do niego pod kocem. „Jesteś już naprawdę w Europie” – mówi mała z uśmiechem, obejmując go. „O mój Boże” – powtarza niepoohamowanie Slothrop głosem Shirley Temple. To krępujące, cholera. Budzi się w słońcu, mewy skrzeczą, woń ropy numer 2, beczki wina z hukiem staczają się na ląd. Zawinęli do Świnoujścia, przy obwisłych spopielenych gruzach długich magazynów. Frau Gnahb nadzoruje rozładunek. Otto zaparza najprawdziwszą *Bohnenkaffe*.

– Rany, dawno nie piłem. – Slothrop parzy sobie usta.

– Czarnorynkowa – mruczy Cichy Otto. – To dobry interes.

– Sam przez chwilę się tym parałem... – O kurczę, przecież na „Anubisie” została resztką haszyszu Bodine’a, kurwa mać, kilka dobrych uncji, ale z niego spryciarz. Do dzióbka imbryczka liczko tuli cukierniczka...

– Ładny dzionek – oświadcza Otto.

Slothrop wkłada z powrotem smoking, wygnieciony i ciasny, ale już prawie suchy, i schodzi na ląd z Ottonem, żeby odnaleźć Springera. To właśnie Springer naraił dzisiejszy rejs. Slothrop rozgląda się za „Anubisem”, ale statku nie widać. W oddali żurawie portowe tulą się do siebie, szkielety górujące nad nędzą, która nagle dopadła ten port. Wiosenna ofensywa Armii Czerwonej nie upiększyła miasta. Biały jacht może się kryć za każdym rumowiskiem na terenie stoczni. Wyłaź, no, wyłaź...

Sztorm pognał dalej, dmie teraz łagodna bryza, a niebo spowił idealny naprzemienny wzór: rybia szarość i błękit. Gdzieś ryje w ziemi i poszczękuje

sprzęt wojskowy. Z bliska i daleka dobiegają wrzaski po rosyjsku. Otto i Slothrop obchodzą krzyczących alejami wśród ruin kamienic z muru pruskiego, przygarbionych piętro za pięciem, jakby miały się spotkać u góry po stuleciach niedostrzegalnego chylenia się ku upadkowi. Na werandach wysiadują mężczyźni w czapkach z czarnymi daszkami, wypatrując papierosów w cudzych dłoniach. Na niewielkim placu porozstawiano stragany: drewniane ramy, stare brudne płótno szeleści, gdy nadciąga bryza. O słupy i ławki opierają się radzieccy żołnierze, zajęci rozmowami z dziewczętami w tyrolskich sukienkach i białych podkolanówkach, wszyscy nieruchomi prawie jak posągi. Fury bez koni, z dyszlami wskazującymi ziemię, na deskach worki jutowe, słoma i resztki płodów rolnych. Psy węższą pośród błotnych negatywów bieżników czołgowych. Dwaj mężczyźni w starych granatowych mundurach, z węzłem gumowym i miotłą, uprzętą sumiennie śmieci i kurz słoń woda, pompowaną z portu. Dwie dziewczynki gonią się dokoła czerwonego kiosku, oblepionego fotografiami Stalina. Robotnicy w skórzanych czapkach, o zaspanych, mrugających oczach, pedałużą do doków z drugim śniadaniem zawieszonym na kierownicach rowerów. Gołębie i mewy polują na ochłapy w rynsztokach. Kobiety z pustymi siatkami przechodzą pośpiesznie, lekkie jak duchy. Z korony młodego drzewka, wyrosłego na ulicy, dobiega świergot całego stada niewidocznych ptaków.

Tak jak mówiła Geli: na zaśmieconym żelazem deptaku, kopiąc kamyki, wpatrując się w wodę – oczy leniwie przeczesują plażę w poszukiwaniu sporadycznego zegarka albo złotych oprawek okularów – na tego, kto się zjawi, czeka Ten Człowiek. Około pięćdziesiątki, zimne, bezbarwne oczy, bujne włosy na skroniach, zaczesane do tyłu.

Slothrop miga plastikowym skoczkiem. Der Springer kłania się z uśmiechem.

– Gerhardt von Göll, do usług.

Uścisk dłoni, Slothrop czuje niemiłe swędzenie w ręce. Mewy pokrzykują,

fale płaszcą się przy plaży.

– Eh – mówi Slothrop – ja to czasem niedosłyszę, będziesz pan musiał... Gerhardt von i jak dalej? – Rybie niebo wygląda teraz nie jak mora, lecz raczej jak szachownica. – Mamy chyba wspólną znajomą. Niejaką Margheritę Erdmann. Widziałem ją wczoraj. Mhm...

– Ona podobno nie żyje. – Springer bierze Slothrop'a za ramię i ruszają spacerkiem po deptaku.

– A pan podobno jesteś filmowcem.

– Na jedno wychodzi – przypalając dwa amerykańskie papierosy. – Te same problemy z kontrolą. Tyle że dotkliwsze. Tak jak dla ludzi obdarzonych szczególnym słuchem muzycznym dysonans jest wyższą formą konsonansu. Słyszał pan, co się stało z Antonem Webernem? Bardzo smutne.

– Nastąpiła pomyłka. Facet był niewinny.

– Ha. Oczywiście, że był niewinny. Ale pomyłki są nieodłączną częścią – wszystko klapuje. Człowiek widzi, jak to klapuje, *ja?* Uczy się o prawidłowościach, dostraja do rytmów i przychodzi taki dzień, że nie jest pan już aktorem, jest pan wolny, po drugiej stronie kamery. Żadnych dramatycznych wezwań do biura – po prostu budzi się pan pewnego pięknego ranka i wie, że Goniec, Królówka i Król są tylko wspaniałymi kalekami, a pionki, nawet te, które docierają do ostatniego rzędu, skazano na pełzanie w dwóch wymiarach i żadna Wieża nigdy się nie wzniesie ani nie opadnie – nie: zdolnością lotu obdarzono tylko Springera!

– Święta racja – rzecze Otto.

Zza frontonów zburzonych nadbrzeżnych hoteli wyłania się czterech sowieckich szeregowców, ich śmiech dudni po deptaku, hop przez mur nad wodę, gdzie zaczynają rzucać gładkie kamyki, kopać fale, śpiewać jeden do drugiego. Wolne miasto Świnoujście? Nie za bardzo. Slothrop opowiada von Göllowi o ostatnich dniach z życia Margherity, przemilczając własną rolę. Ale wyziera niepokój o Biancę. Von Göll ściska Slothrop'a za ramię, sympatyczny wujek.

– Ej, no, no, nie martwiłbym się na twoim miejscu. Bianca to sprytne dziecko, a jej matka nie jest przecież żadną krwiożerczą boginią.

– Podnosisz mnie na duchu, Springer.

Przy plaży szemrze Bałtyk, niecierpliwa wehrmachtowska szara zieleń. Von Göll uchyla niewidzialnego kapelusza na widok starych kobiet, które powychodziły parami na deptak, by zażyć trochę słońca. Otto goni za mewami, ręce wyciągnięte do przodu w stylu niemego kina, jakby miały udusić nieuchwytnie ptaszyska. Naraz dołącza do nich zgarbiony typ z kartoflanym nosem i tygodniowym szaro-rudym zarostem, w wielgachnym prochowcu, za to bez spodni. Nazywa się Närrisch – ten sam Klaus Närrisch, którego spec od aerodynamiki Horst Achtfaden zakapował żołnierzom Schwarzkommando, ten sam. Na szyi zawiesił sobie nieoskubanego indyka. Gdy tak snują się wśród rumowisk Świnoujścia i śladów wiosennej bitwy o miasto, z ruin zaczynają wychodzić mieszkańcy i trzymając się zawietrznej strony von Gölla, ciągną za nim i pozostałymi, spozierając wymownie na zdechłego ptaka. Springer wsuwa rękę pod białą marynarkę, wydobywa amerykańską wojskową czterdziestkę piątkę i ostentacyjnie ją odbezpiecza. Świta natychmiast zmniejsza się o połowę.

– Głodni są – kwituje Närrisch.

– Fakt – przytakuje Springer – ale dziś jest ich mniej.

– Rany, to kurewstwo tak mówić – oświadcza Slothrop.

Springer wzrusza ramionami.

– Współczuj im, proszę cię bardzo, ale ich nie przeceniaj. Pogardzaj mną, ich wyność pod niebiosa, ale pamiętaj, że ja i oni określamy siebie nawzajem. Elita i odrzuceni, brniemy przez kosmiczny plan mroku i światła, i z całą pokorą konstatuje, że jestem jednym z niewielu, który potrafi to pojąć *in toto*. Rozważ więc uczciwie, młody człowieku, po której stronie chciałbyś się znaleźć. Gdy oni cierpią bezustannie w wiecznym cieniu, tu ... zawsze są

## JASNE DNI

Jasne dni nastały dla czarnego rynku,  
Złotem wybrukowana moja życiowa droga.  
Od Morza Koralowego po Bałtyku toń siną  
Świat się kręci, napędzany pieniądza sprężyną – jak  
Latarni morskiej źrenica zawieszona wysoko.  
Każdy dekolt metką puszcza do mnie oko,  
Zielona, szkarłatna, miłość mamy jest płatna, oto  
Wielki plan dobrego Pana Boga...  
Słoneczne dni nastały dla czarnego ry(y)nku,  
Złotem wybrukowana moja życiowa droooga!

Närrisch i Otto dołączają chóralnie, tymczasem beczynni i głodni mieszkańcy Świnoujścia gapią się i gapią, bladzi jak niewzruszony drób na szyi. Ich ciał trudno się dopatrzeć: przedwojenne ubrania na kijach od szczotek, zbyt stare, zbyt świetliste od brudu, od wędrówek.

Schodzą z deptaka i zatrzymują się na rogu ulicy, mijani przez oddział radzieckiej piechoty i kawalerii.

- Jeju, ale ich tu wali – zdumiewa się Otto. – Gdzie jest cyrk?
- Nad samym morzem, mały – odpowiada Närrisch.
- Co jest nad samym morzem? – pyta Slothrop.
- Uwaga – ostrzega Närrisch – to szpieg.
- Nie mów do mnie „mały” – warczy Otto.
- Takiego wała – odpowiada Slothrop.
- Facet jest w porządku. – Springer klepie wszystkich trzech po ramionach, proszę, oto Herr Gemütlich – słyszałem o nim nie od dziś. Nie ma nawet broni. – Do Slothrop: – Chodź z nami, jeśli chcesz. Może cię to zaciekawić.

Ale Slothrop nie jest frajerem. Widzi, że rzucają mu dziwne spojrzenia, nawet sam Springer.

Wśród towarów ekspediowanych wybrzeżem jest sześć chórzystek wystrojonych w pióra i błyskotki pod starymi paltami, żeby zaoszczędzić miejsca w kufrach, muzycy niewielkiej orkiestry w różnym stopniu upojenia alkoholowego, multummultum skrzynek wódki i trupa artystyczna szympansów. Matka-korsarka zapędziła jedną małpę do sterówki na kutrze, gdzie biorą się za łby, Frau miota wyzwiska, a szympans co chwila próbuje pacnąć ją w twarz obwisłą skórką po bananie. Impresario G.M.B. Haftung, wrzodowiec, usiłuje zwrócić na siebie uwagę Ottona. Znany z tego, że zawsze uderza pod zły adres.

– Tam jest Wolfgang! On ją zamorduje! – Wolfgang to jego najcenniejszy szympans, trochę niezrównoważony, świetnie naśladuje Hitlera, ale szybko się rozprasza.

– Hm – Otto niewyraźnie – lepiej niech uważa na mamusię.

Teraz, gdy ta stara kobieta obramowana jest rombem luku, widać wyraźnie, że z niejednego pieca jadła chleb: pochyla się, podśpiewuje, wielki słodki uśmiech, szczerbaty, jak to tylko możliwe, prosto do tego Wolfganga grucha:

– *Deine Mutter...*

– Rany, ona chyba nigdy jeszcze nie widziała szympansa. – Slothrop odwraca się do Ottona, zaskakując wyrostka miną wyrażającą, no, nazwijmy to sympatyczną żądzę mordy. – Czy ona...

– Och, ona jest fantastyczna. Wyczuwa instynktownie, wie dokładnie, jak komuś ubliżyć. Nieważne, zwierzę, roślina... kiedyś widziałem, jak ubliżyła kamieniowi –

– Przestań zalewać.

– Naprawdę! *Ja*. Gigantyczna brrryła felzytu, w zeszłym roku, przy duńskim wybrzeżu, mamusia ganiła ją – o krok od wybuchu ponurego śmiechu, na którego brzmienie wszyscy się odsuwamy – za krystaliczną budowę. Przez dwadzieścia minut. Niewiarygodne.

Chórzystki otworzyły skrzynkę wódki. Haftung, odgarniając z czoła włosy, które rosną już tylko w jego przekonaniu, rzuca się do nich z krzykiem. Po



trapie biegną chłopcy i dziewczynki w różnym wieku, wszyscy w łachmanach i wychudzeni, niosąc towary. Szympany zwisają ze sztagów i anten na tle jasnego nieba, a wyżej szybują gapiące się mewy. Wiatr się zrywa, zaraz zamigocze tu i ówdzie spieniona fala. Każde dziecko dźwiga belę albo skrzynkę innej wielkości, koloru, kształtu. Springer stoi obok, agatowe oczy za binoklami, i sprawdza spis towarów w zielonej księdze, oprawionej w marokiny, ślimaki w sosie czosnkowym, jeden gros... trzy skrzynki koniaku... piłki tenisowe, dwa tuziny... fonograf... film „Pierre Szcęściarz dostaje szau”, trzy szpule... lornetki, sześćdziesiąt sztuk... zegarki... *u.s.w.*, każde dziecko odfajkowane.

Natychmiast wszystko ląduje pod pokładem, szympany zasypiają, muzycy się budzą, dziewczęta tłoczą się dokoła Haftunga, obrzucając go wyzwiskami, szczypiąc w policzki. Otto uwija się przy burcie, wciągając liny odcumowane przez dzieci. Gdy ostatnia zostaje rzucona, pętla wciąż w powietrzu – ła obamowująca wypalone Świnoujście – Frau Gnab, czując przez stopy oswobodzenie, rusza w rejs w swoim stylu, toteż jeden szympan omal nie wpada przez rufę do wody, a połowa artystek Haftunga frunie do tyłu w prześlicznej płataninie nóg, tyłków i piersi.

Boczne prądy szarpią kutrem, który płynie przez rozszerzający się lejek Świny, ku morzu. Wśród falochronów, gdzie kipieli wytryskuje z podwodnych wyłomów wybitych wiosną, uwaga!, Frau Gnab z kamienną twarzą przekręca do oporu koło sterowe i wali prosto na prom z Sassnitz, szuuuu, uff, odbija w ostatniej chwili, rechocząc na widok pasażerów umykających od burty, patrzących za nią z otwartymi ustami.

– Mamo, proszę – Cichy Otto błagalnie, u okna sterówki. W odpowiedzi zacna kobieta śpiewa na całe gardło krwawą szantę:

## SZANTA

Jestem Korsarką Królową Bałtyku i nikt, kurwa, mi nie podskoczy,  
Po tych, co chcieli, została para piszczeli, a ryby wyżarły im oczy.

Na dnie morza słyhać wołanie: „Czyś Polak, czy Szwab,  
Strzeż się straszliwej Gnahb!”.

Gdy porządnie się wkurzę, pancernika stłukę na miazgę,  
Jednym ruchem kładę armadę, a z jachtu zostawię drzazgę.  
Latający Holender, gdy mnie widzi, to chociaż nie Szwab,  
Woła: „Uchroń mnie, Boże, od straszliwej Gnahb!”.

Z tymi słowy chwyta koło sterowe i przyśpiesza. Płyną teraz skokami prosto w burtę ociężałego statku handlowego: czarne wklęsłe żelazo, zbryzgane czerwienią ołowiu, najeżdżają wyżarte stalowe płyty, widać już najmniejszy zardzewiały nit – kobieta najwyraźniej ma nierówno pod sufitem. Slothrop zaciska powieki i uwiesza się na najbliższej chórzystce. Przy okrzyku radości dobiegającym ze sterówki drobny kuter wykonuje ostry skręt w lewo, unikając zderzenia o kilka warstw farby. Otto, wyrwany z ceremonii witania się ze śmiercią, zatacza się gwałtownie, przechodząc bokiem.

– To jej poczucie humoru – wyjaśnia.

Slothrop wyciąga rękę, chwyta go za sweter, a dziewczyna łapie Slothrop'a za tył smokingu.

– Widzicie, co się dzieje – chłopak długo odzyskuje oddech – gdy matka wozi kontrabandę. Nie wiem już, co z nią robić.

– Biedny dzieciak – dziewczyna się uśmiecha.

– No właśnie – przytakuje Otto.

Slothrop zostawia ich samych, zadowolony jak zawsze, gdy młodzi ludzie znajdują wspólny język, i dołącza do von Gölla i Närrischa na rufie. Frau Gnahb odbiła na północny zachód. Teraz płyną w kierunku wybrzeża, prując

dziobem poprażkowany bielą, pachnący solą Bałtyk.

– Gdzie my, chłopaki, walimy? – chce wiedzieć dobroduszny Slothrop.

Närrisch patrzy tępo.

– Tam jest wyspa Uznam – wyjaśnia uprzejmie von Göll. – Z jednej strony otacza ją morze. Z drugiej dwie rzeki. Nazywają się Świna i Piana. Płynęliśmy Świną.

Byliśmy w Świnoujściu. Tamtędy Świna uchodzi do morza. Dlatego Świnoujście nazywa się Świnoujście. Po niemiecku Swinemünde.

– Dobra już, dobra.

– Płyniemy dokoła Uznamu, do miejsca, które leży u ujścia Piany. Po naszymu Peene.

– Aha. Zaraz, chwilę, a więc... momencik... to miejsce nazywałoby się... Peenemünde, racja?

– Brawo.

– No i co? – Chwila ciszy. – Ach. Ach, chodzi o to Peenemünde.

Okazuje się, że Närrisch tam pracował. Wdaje się w refleksje na temat Rosjan okupujących zakłady.

– Była jedna fabryka ciekłego tlenu, na którą miałem oko – Springera też trochę ponosi – bo chciałem założyć sieć. Ciągłe staramy się o tę w Volkenrode, w starym Instytucie Goeringa.

– Jest parę tych generatorów w podziemiach Nordhausen – Slothrop usiłuje na coś się przydać.

– Dzięki. Tam też są Ruscy, chyba pamiętasz. To problem: gdyby to nie było aż tak bardzo wbrew naturze, powiedziałbym, że nie wiedzą, czego chcą. Drogi na wschód są w dzień i w nocy zatarasowane przez sowieckie ciężarówki załadowane sprzętem. Łupy wszelkiego rodzaju. Żadnych preferencji, biorą wszystko, jak leci, tylko rozebrać na części i wysłać do domu.

– Rany koguta. A jak pan myśli – oho, sprytny Slothrop – znaleźli już to S-Gerät, Herr von Göll?

- Ale cwaniak! – Springer się rozpromienia.
- On jest z OSS – jęczy Närrisch – mówię ci, trzeba go załatwić.
- S-Gerät chodzi dziś za dziesięć tysięcy. Połowa z góry. Zainteresowany?
- Nie. Ale jeszcze w Nordhausen słyszałem, że pan to ma.
- Brednie.
- Gerhardt... – To Närrisch.
- Klaus, on jest w porządku. – Spojrzenie, jakie Slothrop już kiedyś widział, u sprzedawcy samochodów, który sygnalizował swojemu wspólnikowi: mam tutaj prawdziwego kretyna, Leonard, więc mi go nie spłosz. – Umyślnie puściliśmy taką fałsz w Szczecinie. Chcieliśmy się przekonać, jak zareaguje pułkownik Cziczeryn.
- Kurwa, znowu on? Zareaguje, możesz być pewny.
- Dlatego płyniemy do Peenemünde. Żeby się przekonać.
- O kurczę. – Slothrop mówi im o wpadce w Poczdamie i o tym, że, zdaniem Geli, Cziczeryn nie szuka rakiet, tylko knuje jakąś akcję przeciw Oberstowi Enzianowi. Jeśli dwaj szabrownicy są zainteresowani jego rewelacjami, nie okazują tego po sobie.
- Rozmowa zmienia się w luźną wyliczankę nazwisk, jakiej matka Slothrop, Nalline, oddawała się popołudniami: Helen Trent, Stella Dallas, Mary Noble, czyli Żona za Kulisami...
- Cziczeryn to skomplikowany człowiek. Jest tak, jak gdyby... o Enzianie myśli jako... jako o części siebie samego... o czarnej wersji własnego wnętrza. Dla niego Enzian to coś, co on musi... zlikwidować.
- NÄRRISCH: Myślisz, że w grę wchodzi... polityka?
- VON GÖLL (kręcąc głową): Nie wiem, Klaus. Od czasu wydarzeń w Azji Środkowej...
- NÄRRISCH: Masz na myśli...
- VON GÖLL: Tak... Kirgiskie Światło. To zabawne... nigdy nie chciał, żeby go postrzegano jako imperialistę.
- NÄRRISCH: Nikt z nich nie chce. Ale jest jeszcze ta dziewczyna...

VON GÖLL: Mała Geli Tripping. Która ma się za czarownicę.

NÄRRISCH: Myślisz, że ona naprawdę chce dopiąć swego...  
przeprowadzić ten swój plan, żeby odnaleźć Cziczcerina?

VON GÖLL: Myślę, że... Oni... chcą.

NÄRRISCH: Ale, Gerhardt, ona go kocha...

VON GÖLL: Nie zabierał jej na randki, co?

NÄRRISCH: Nie chcesz chyba powiedzieć, że...

– Rany – wtrąca się Slothrop – o czym wy, panowie, gadacie?

– O paranoi – odwarkuje Springer wściekle (jak odwarkują ludzie, którym przerywa się ulubioną grę). – Ty tego nie zrozumiesz.

– Przepraszam, idę zwymiotować. – Klasyczna zagrywka pośród dwójkowiczów szkoły dobrych manier, pokroju naszego Taktownego Tyrone’a, pełna kultura na suchym lądzie, ale nie tutaj, bo na Bałtyku choroba morska jest obowiązkowa.

Stłoczone pod brezentem szympansy rzygają jak bure koty. Slothrop dołącza do żalösnej grupy muzyków i tancerek przy burcie. Szybko otrzymuje szczegółowe wskazówki: nie rzygać pod wiatr i zgrać się z przechyłem statku. Z lodowatym uśmiechem, jaki widywał u swych ofiar doktor Mabuse, Frau Gnabh wyraża nadzieję, że nikt nie zarzyga jej kutra, zwłaszcza w tak pogodny dzień. Słysząc ją w sterówce, ryczącą swoją szantę.

– Ööö! – Slothrop przewieszony przez burtę.

I tak ciągnie się wesoły rejs na Uznam, pod zamglonym letnim niebem. Na wybrzeżu zielone wydmy falują w formie dwóch garbów: powyżej biegnie łańcuch wzgórz, porosłych gęsto sosną i dębem. W dali przepływają trawersem małe kurorty z białą plażą i zapomnianymi molami. Raz po raz ukazują się zastygłe martwo na wodzie wojskowe jednostki, prawdopodobnie radzieckie łodzie patrolowe. Żadna nie próbuje przeciąć kursu Frau Gnabh. Słońce znika i pojawia się, barwiąc deski pokładowe wokół cieni na żółto. O późnej porze dnia wszystkie cienie padają w tym samym kierunku – wschód, północny wschód – w którym wystrzeliwano z Peenemünde rakiety próbne

do morza. Dokładna godzina zmienia się w ciągu roku i nazywana jest Rakietowym Południem... a dźwięk, który niechybnie wypełnia uszy wyznawców, można porównać tylko do wyjącej w południe syreny, w którą wierzy całe miasto... kiszki aż rezonują, twarde jak kamienie...

Wyczuwasz to, zanim ukaże się twoim oczom. Równomiernie rozciągnięte nad okrężnicą, przytulone policzkiem do odbijacza pachnącego smołą, oczy załzawione, wnętrzości falujące w rytmie morza. Równomiernie wypalone i jałowe, takie, jakie wiosną zostawił je Rokossowski i żołnierze Frontu Białoruskiego. To twarz. Na mapie wygląda jak czaszka albo wytrawiona twarz ukazana z profilu, skierowana na południowy zachód: małe bagienne jezioro udaje oczodół, dalej jest nos, otwarte usta tuż przy ujściu Piany, pod elektrownią... przypomina karykaturalne twarze, rysowane przez Wilhelma Buscha, stary głupiec, któremu robią psikusy złośliwi chłopcy. Odszpuntowują zbiorniki ze spirytusem zbożowym, wydrapują brzydkie słowa na gładziach świeżego cementu, a nawet zakradają się, by w środku nocy odpalić raketę...

Niskie, wypalone budynki, spopielone wizerunki siatek maskujących, wtopionych w beton (paliły się ledwie minutę, jak jedwabny płaszcz burmistrza – rozpaść te nadmorskie wnętrza, ten salon inżynierów, pełen ociężałych kształtów i nieokreślonych odcieni... – czyż nie migotał tylko? Nie ma potrzeby korygowania, żadnego napomnienia, nowych poziomów do osiągnięcia... ale kto to może być, kulturalny, uprzejmy, patrzy znad szczytu modelu? Cała twarz w krzykliwych barwach zachodzącego słońca, oczy za obramowanymi czernią szklami, które, jak spalone siatki, ewidentnie posłużyły za maskowanie Rowerzyście na Niebie, czarnej, zgubnej, edwardiańskiej sylwetce na świetlistej piersi nieba, w Rakietowe Południe dzisiejszego dnia, dwie okrągłe eksplozje w godzinie szczytu, w scenie śmierci niebiańskiego światła. Ależ pedałuje ten Rowerzysta: ostateczność i spokój. W tarocie zwie się Głupcem, ale w Strefie wołają na niego Cwaniak. Jest rok 1945. Wciąż początek, a więc niewinność. Częściowo).

Bezradne zwęglone kratownice: osadza się tylko to, co było drewniane, osadza się bez sił. Pośród gruzowisk migają zielone ludzkie sylwetki. Tutejsza skala zbija z tropu. Żołnierze wydają się więksi, niż powinni. Zoo? Strzelnica? Trochę jedno, trochę drugie. Frau Gnab odbija w kierunku lądu, posuwa się bagiennym przybrzeżem, zmniejszwszy prędkość do połowy. Przybywa oznak ludzkiej bytności: parkingi ciężarówek, namioty, zagroda pełna koni: łaciate, gniade, śnieżnobiałe, czerwone jak krew. Z zielonych trzcin wystrzeliwują dzikie kaczki, stado mokre i gęste jak deszcz. Unoszą się nad rufą kutra, a potem opadają na kilwater; kwacząc, podrygują na falach w półmetrowych odstępach. Wysoko w promieniach słońca kołuje orzeł o białym ogonie. Leje po bombach i pociskach trzymają w gładkich ustach niebieską słońną wodę. Eksplozje zmiotły dachy z baraków: widać nasłonecznione kręgosłupy i żebra tych stworów, które w swoim czasie z pewnością więziły we wnętrzach połowę Jonaszów upadającej Europy. W miejscach, gdzie ziemię oczyszczono z roślinności i wyrównano pod domy lub biura, znowu pną się drzewa: buki i sosny – życie wdziera się wszędzie, nawet między płyty chodnikowe, tak oto kiełkuje zielone lato czterdziestego piątego, a na wyżynach nadal rosną gęste lasy.

Kuter mija wielkie czerniałe ruiny zakładów doświadczalnych, większość gruzowiska rozsypana po ziemi. Serią, niektóre porozrywane i popękane, inne zasłonięte przez wydmy, ukazują się betonowe zwały stanowisk prób, o których Närrisch opowiada teraz z nabożną czcią: stacje drogi krzyżowej, VI, V, III, IV, II, IX, VIII, I, wreszcie wyrzutnie, na których prężyła się i z których wlatywała Rakieta, VII i X. Drzewa, które niegdyś zasłaniały widok od strony morza, są teraz zwęglonymi kikutami.

Posuwają się wokół północnego krańca półwyspu, mury stanowisk prób i nasypów maleją – mijają Peenemünde-West, dawne tereny Luftwaffe. W dali, od sterburty, w niebieskiej mgiele przebłyskują skały Greifswalder Oie. Betonowe wyrzutnie V-1 wskazują morze. Do tyłu przeskakują pasy startowe popstrzone lejami, zasypane gruzem i zniszczonymi messerschmitami, za



łukiem czaszki, na południe, w stronę Piany, tam, nad falistymi wzgórzami, kilometry w lewo od dziobu, wznosi się ceglana wieża katedralna w Wolgast, a bliżej kilka kominów elektrowni przetrwało śmiertelne marcowe sprzężenie, lecz niebo jest czyste nad Peenemünde... Białe łabędzie pływają wśród trzciny, a nad wysokimi sosnami w głębi lądu przelatują bażanty. Gdzieś budzi się do życia ciężarówka.

Frau Gnahb wykonuje dość gwałtowny skręt, przesmykiem do basenu portowego. Wszystko spowija letni spokój: pociągi stoją bezwładnie na torach, na tle pomarańczowej beczki po ropy siedzi żołnierz uczący się grać na akordeonie. A może tylko się wygłupia. Otto puszcza rękę swojej chórzystki. Jego matka wyłącza silnik, a chłopak wyskakuje odważnie na ląd i rusza dokądś pędem. Nastaje cisza: wyziewy ropy, ptaki z bagna, cicha bezczynność...

Zza węgła magazynu wypryskuje nagle auto sztabowe, które zatrzymuje się przed kutrem, a w otwartych już drzwiach kiwa się major grubszy nawet od Duane'a Marvy'ego, tyle że o sympatyczniejszej i odrobinę wschodniej twarzy. Dokoła głowy wiją się jak owcze runo siwe włosy.

– Ach, von Göll – szeroko otwarte ramiona, w zmrużonych oczach błyszczą... czy to naprawdę łyż? – Von Göll, mój drogi przyjacielu!

– Witam, majorze Żdajew. – Springer kiwa głową, idąc trapem, a za plecami majora hamuje teraz ciężarówka pełna żołnierzy w kombinezonach, tylko po co im do rozładunku te pistolety maszynowe i karabinki?

Dobre pytanie. Zanim ktokolwiek się połapuje, Rusczy wyskakują i tworzą kordon dokoła majora i Springera, z bronią gotową do strzału.

– Nie ma powodu do niepokoju. – Oficer macha ręką i uśmiecha się promiennie. – Zatrzymujemy waszego przyjaciela na pewien czas. Wy róbcie swoje i odpływajcie. Dopilnujemy, żeby bezpiecznie wrócił do Świnoujścia.

– Otczywszy Springera ramieniem, prowadzi go do samochodu.

– Co, u licha? – wściekła Frau Gnahb wyłania się ze sterówki. Pojawia się Haftung, nerwowo szukając czegoś po kieszeniach.

- Kogo oni aresztują? Co z moim kontraktem? Co z nami będzie?  
Auto sztabowe odjeżdża. Żołnierze wchodzą na pokład.
- Cholera – kwituje refleksyjnie Närrisch.
- Myślisz, że go wsadzą?
- Myślę, że Cziczerin zareagował z zainteresowaniem. Tak, jak przepowiedziałeś.
- Zaraz, ja wcale...
- Nie, nie, spokojnie – dłoń na rękawie Slothrop – Gerhardt miał rację. Ty jesteś nieszkodliwy.
- Dzięki.
- Ostrzegalem go, ale tylko się śmiał. „Kolejny skok, Närrisch. Ja przecież muszę skakać, prawda?”.
- I co teraz? Chcecie go uwolnić?
- Na śródkręciu wybucha zamieszanie. Rosjanie ściągnęli brezent, spod którego wyskakują obryzgane wymiocinami szympansy, dorwali się też do wódki. Haftung mruga oczyma i dygocze. Na jego plecach siedzi Wolfgang, pociągając z bulgotem z flaszki trzymanej nogami. Niektóre małpiszony zachowują się potulnie, inne szykują się do walki.
- Właściwie – kurczę, niech facet przestanie tak gadać – jestem... jestem mu to winien.
- A ja nie – Slothrop robi unik przed nagłym gejzerem żółtych małpich rzygowin. – Niech radzi sobie sam.
- Mówić to on potrafi. Ale w głębi serca nie jest paranoikiem – w jego branży to byłaby tragedia.
- Jeden z szympanców kąsa sowieckiego kaprala w nogę. Żołnierz wrzeszczy w niebogłosość, łapie za tokariewa i wali z biodra, ale małpa już jest na fale. Tuzin zwierząt, niejedno z butelką wódki w garści, rzuca się gromadnie do trapu.
- Nie pozwólcie im uciec! – woła Haftung.
- Zaspany puzonista wystawia głowę z luku, żeby zapytać, co się dzieje, ale

zanim połamuje się w sytuacji, po twarzy przebiegają mu trzy pary stóp o różowych podszewkach. Dziewczęta – błyskotki rozmigotane w popołudniowym słońcu, pióra rozwiane – umykają po całym kutrze przed śliniącymi się czerwonoarmistami. Frau Gnabh pociąga za gwizdek parowy, czym płoszy resztę szympanów, które dołączają do panicznej rejterady.

– Niech ktoś je złapie – zaklina Haftung.

Slothrop znajduje się między Ottonem i Närrischem, spychany po trapie na ląd przez żołnierzy ścigających małpy i dziewczyny albo taszczących towary. Po drugiej stronie kutra, wśród rozbryzgów wody, przekleństw i piskliwych okrzyków pojawiają się i znikają muzycy oraz chórzystki. Trudno skapować, co się, do kurwy nędzy, tu dzieje.

– Posłuchaj no! – Frau Gnabh nachyla się przez burtę.

Slothrop zauważa, że kobieta mruga okiem.

– Aha, masz plan, paniusiu?

– Zróbcie zmyłkę.

– Że co? Że co?

– Małpy, muzycy, tancerki. To wszystko dla odwrócenia uwagi. A wy trzej przekradnijcie się i uwolnijcie Springera.

– Racja, możemy się ukryć – Närrisch rozgląda się wzrokiem gangstera. – Nikt nie zauważy. *Ja, ja!* Kuter niech odpływa, jak gdybyśmy byli na pokładzie.

– Beze mnie! – oświadcza Slothrop.

– Ha, ha! – mówi Frau Gnabh.

– Ha, ha! – mówi Närrisch.

– Zaczekam przy północno-wschodnim krańcu – ciągnie wariatka – w kanale między wysepką a tą trójkątną konstrukcją, którą zbudowali na nadbrzeżu.

– Stanowisko prób numer X.

– Chwytna nazwa. Będzie dość wody, żeby odpłynąć. Zapal ogień, Otto. Odcumujcie mnie teraz.

– *Zu Befehl, Mutti!*

Slothrop i Närrisch dają nura za magazyn, dostrzegają wagon towarowy, kryją się w środku. Nikt ich nie widzi. Szympany pryskają na wszystkie strony. Ścigający je żołnierze wyglądają na porządnie wkurzonych. Gdzieś w pobliżu ktoś ćwiczy gamę na klarncie. Silnik kutra jednostajnie warkocze, turbiny zaczynają ciąć wodę. Chwilę później do wagonu włączają zdyszani Otto i jego chórzystka.

– No dobra, Närrisch – Slothrop może równie dobrze spytać – a, twoim zdaniem, dokąd go zabrali, hę?

– Z tego, co widziałem, blok IV i cały ten kompleks w kierunku południowym są całkowicie opuszczone. Ja bym postawił na montownię obok stanowiska numer VH. Wewnątrz tej wielkiej elipsy. Tam są podziemne pomieszczenia i korytarze – idealne na kwaterę. Większość na pewno przetrwała, choć Rokossowski dostał rozkaz, żeby zrównać wszystko z ziemią.

– Masz pukawkę?

Närrisch kręci głową.

– Ja też nie. To co z ciebie za spekulant, skoro nie masz spluwy?

– Ja zajmowałem się kierowaniem inercyjnym. Chcesz, żebym teraz zawrócił z drogi?

– To czym ich załatwimy? Szarymi komórkami?

W szparach między deskami ciemnieje słońce, chmury stają się pomarańczowe, różowe, tropikalne. W kącie Otto i chórzystka rozmawiają półgłosem.

– Dajcie spokój – prycha kwaśno Närrisch. – Cholera, mamusi nie ma pięć minut, a z tego już się zrobił Casanova.

Otto z przejęciem tłumaczy zasady Matczyngo Spisku. Nieczęsto się zdarza, żeby słuchała go dziewczyna. Raz do roku matki spotykają się w tajemnicy na wielkim zlocie i wymieniają informacjami. Przepisy kulinarne, zabawy, wyrażenia istotne w wychowywaniu dzieci. – A co twoja mówi, gdy

chce w tobie wzbudzić poczucie winy?

– Urobiłam sobie ręce po łokcie! – odpowiada dziewczyna.

– No właśnie! Gotowała te okropne potrawy, z-z ziemniakami i cebulą –

– I szynką. Z kawałkami szynki –

– Widzisz, widzisz? To nie może być przypadek! Rywalizują o tytuł Matki Roku, karmienie piersią, zmiana pieluszek, one to robią na czas, zawody w robieniu potrawek, *ja* – a potem, pod koniec, zaczynają używać dzieci. Prokurator stanowy wychodzi na scenę. „Za chwilę, Albrechcie, wprowadzimy twoją mamę. Tu masz lugera z pełnym magazynkiem. Państwo gwarantuje ci absolutną bezkarność. Rób, co chcesz – cokolwiek. Powodzenia, mój chłopcze”. Pistolety, *natürlich*, naładowane są ślepakami, ale nieszczęsny gówniarz nie ma o tym pojęcia. Tylko matki, do których dzieci strzelają, kwalifikują się do finałów. Teraz na scenę wprowadza się psychiatrów, a sędziowie siadają ze stoperami, żeby zmierzyć, jak szybko dzieci się załamią. „No, Olga, przyznaj, czy to nie było miłe ze strony twojej *Mutti*, że zmusiła cię do zerwania z tym długowłosym poetą?”. „Hermann, rozumiemy, że ty i matka jesteście, mmm, blisko ze sobą związani. Pamiętasz, jak przyłapała cię na onanizowaniu się w jej rękawiczkę? He?”. Z boku stoją sanitariusze, żeby odciągnąć dzieci, zaślinione, rozwrzeszczane, targane drgawkami klonicznymi. Wreszcie na scenie zostaje jedna Matka. Wkładają jej na głowę tradycyjny kapelusz, ozdobiony kwiatami, wręczają berło i jabłko, którymi w tym wypadku jest połączony rostbef i bicz, a orkiestra gra „Tristana i Izoldę”.



Wychodzą na gasnący zmierzch. Senny letni wieczór w Peenemünde. Nad głową przelatuje stadko kaczek, kierując się na zachód. Żadnych Rosjan w pobliżu. W wejściu do magazynu pali się pojedyncza żarówka. Otto i dziewczyna ruszają wzdłuż basenu portowego, trzymając się za ręce. Raptem pojawia się małpa, która podchodzi do chłopaka i chwyta go za drugą dłoń. Na północy i południu Bałtyk rozpościera niskie białe fale.

– Co się dzieje? – pyta klarncista.

– Chapnij banana – odpowiada puzonista z pełnymi ustami; ma dorodną kiść ukrytą w czarze głosowej.

Noc już zapada, gdy ruszają na akcję. Kierują się w głąb lądu, wzdłuż torowiska, na ratunek Springerowi. Po obu stronach żuźlowego nasypu górują sosny. Z przodu przemykają tłuste pstrokate króliki, widać tylko białe łaty, ale skąd wiadomo, że króliki są tym, czym się wydają? Spośród drzew wyłania się wdzięcznym krokiem przyjaciółka Ottona, Hildę, z jego czapką wypełnioną po brzegi okrągłutkimi jagodami. Zakurzone niebieskie, słodkie owoce. Muzycy wciskają butelki wódki we wszystkie dostępne kieszenie. To będzie dzisiejsza wieczerza, a Hildę klęka samotnie przed krzakiem jagód i szeptem odmawia modlitwę dziękczynną za wszystkich. Na bagnach budzą się pierwsze żaby, słychać też ostre piski polującego nietoperza i szelest wiatru w koronach wyżej rosnących drzew. Z daleka dobiega jeden, dwa strzały.

– Czy oni walą do moich małpek? – trajkocze Haftung. – Każda warta jest dwa tysiące marek. Kto mi zwróci te pieniądze?

Przez tory przemyka mysia rodzina, wprost po stopach Slothrop.

– Spodziewałem się, że tu będzie pustynia. A nie ma.

– Gdy tutaj przybyliśmy, usunęliśmy tylko to, co było trzeba – wspomina Närrisch. – Większość została: las, życie... pewnie ciągle są tu jelenie. Wielkie byki z ciemnym porożem. No i ptactwo: bekasy, łyski, dzikie gęsi.

Hałas z wyrzutni płoszył je na morze, ale gdy robiło się cicho, wracały.

Zanim docierają do lotniska, muszą dwukrotnie pryskać między zarośla, raz, żeby uniknąć spotkania z patrolem, a potem z lokomotywą, która sapiąc, nadjeżdża z Peenemünde-Ost, snop reflektora tnący rzadką mgiełkę, stopnie i drabinki obwieszane żołnierzami z bronią maszynową. W mroku zgrzyta i chrzęści stal, słychać zdawkowe pogaduszki czerwonoarmistów.

– Może to nas szukają – szepcze Närrisch. – Chodźcie.

Przez zagajnik, a potem na otwarte lotnisko. Wyłania się ostry sierp księżycy. W kremowym świetle przemykają mały, dyndają ich przednie kończyny. To nerwowa wędrówka. Każdy stanowi wyraźny cel, nie ma żadnej osłony oprócz szczątków samolotów zbombardowanych tam, gdzie stały – zardzewiałe podłużnice, spalona farba, wyłamane do tyłu skrzydła, wbite w ziemię. Na południu jarzą się światła starego kompleksu Luftwaffe. Na drodze przy przeciwległym krańcu lotniska turkoczą raz po raz ciężarówki. Z koszar dobiega śpiew, skądś indziej głos z radia. Wiadomości wieczorne. Zbyt daleko, żeby zrozumieć słowa albo choćby język, jest tylko wystudiowana monotonia: wiadomości, Slothrop, nadają bez ciebie...

Przecinają asfalt w stronę drogi, przykucają w rowie, nasłuchując warkotu aut. Naraz po lewej stronie rozpalają się żółte lampy pasa startowego, podwójny rząd ciągnie się aż do morza, jasność tryska dwu-, trzykrotnie i zastyga.

– Ktoś nadlatuje – domyśla się Slothrop.

– Raczej odlatuje – warczy Närrisch. – Pośpieszmy się.

Z powrotem w lesie, kierując się bitą drogą ku stanowisku prób numer VII, zbierając zbłąkane chórzystki i szympansy. Owiewa ich woń sosen: na poboczach leży stare igliwie. Droga biegnie w dół, zza rzednących drzew widać światła, potem oczom ukazuje się teren stanowisk prób. Montownia ma wysokość chyba trzydziestu metrów – przesłania gwiazdy. Półotwarte drzwi przedziela strzelista smuga jasności; światło bluzga na dwór. Närrisch chwyta Slothropo za ramię.



– To chyba samochód majora. Silnik na chodzie.

Mnóstwo reflektorów umieszczonych na ogrodzeniu zwieńczonym drutem kolczastym, a na dokładkę chyba cała dywizja pętających się wartowników.

Slothrop nerwowo:

– Wygląda, że to tutaj.

– Ćśśś.

Warkot samolotu, jednosilnikowego myśliwca, który kołuje, by zejść niżej nad sosny.

– Nie mamy czasu. – Närrisch skrzykuje pozostałych i wydaje rozkazy. Dziewczeta mają wejść od frontu, ze śpiewem na ustach, roztańczone, uwodząc barbarzyńców złaźnionych kobiet. Otto zajmie się autem. Haftung zbierze potem wszystkich do kupy na spotkanie z kutrem.

– Tyłki i cycki – mruczą chórzystki. – Tylko tego od nas chcecie.

– Zamknąć jadaczki – warczy G.M.B. Haftung, a to jego tradycyjny sposób zwracania się do podwładnych.

– W tym samym czasie – kontynuuje Närrisch – Slothrop i ja wejdziemy po Springera. Gdy już go dostaniemy, spróbujemy sprowokować ich do strzelania. To będzie dla was sygnał, żeby brać nogi za pas.

– No jasne, nie może się obejść bez strzelaniny – wzdycha Slothrop. – A może by inaczej? – właśnie przyszedł mu do głowy genialny pomysł: lipne koktajle Mołotowa, podróbka numeru Säurego Bummera. Podnosi rękę z butelką wódki, wskazując ją palcem i susząc zęby.

– Przecież to się nie zapali.

– Ale pomysła, że to benzyna. – Zaczyna oskubywać najbliższą dziewczynę ze strusich piór. – Poza tym wyobraź sobie, jak pewnie będziemy się czuli.

– Feliksie – zwraca się klarncista do puzonisty – w co myśmy się wdali? – Felix zajada banana, ciesząc się chwilą. Zaraz potem oddala się w las z resztą orkiestry, gdzie muzycy zaczynają chodzić wkoło, fiukając i bucząc na siebie. Hilde i Slothrop sporządzają Broń Niekonwencjonalną, pozostałe dziewczyny, *Zitz und Arsch*, ruszają drogą w dół.

– Żeby naprawdę stanowić zagrożenie – szepcze Närrisch – potrzebne są nam zapalniczki. Ktoś ma zapalniczki?

– Ja nie.

– Ja też nie.

– Rany, w mojej zapalniczce wytarł się kamyczek.

– *Kot!* – Närrisch wyrzuca ręce w górę. – *Kot!* – Idzie między drzewa, gdzie wpada na Feliksa i jego puzon. – Ty też pewnie nie masz zapalniczek?

– Mam zippo – odpowiada Felix – i dwie corony marki Corona z amerykańskiego kasyna oficerskiego w –

Minutę później Närrisch i Slothrop, z dłońmi stulonymi wokół żaru najprzedniejszych hawańskich cygar, podkradają się jak dwa koty z kreskówki w kierunku stanowiska prób numer VII, z butelkami wódki zatknętymi za paski, z knotami ze strusich piór, falującymi na wietrze od morza. Plan zakłada wdrapanie się na porosły sosnami i zaroślami, piaszczysty nasyp wokół stanowiska i zajście montowni od tyłu.

Närrisch jest od naprowadzania, od naprowadzania jest nasz Klaus. W Rakietowe Południe nastaje pora śmierci i zabawy, więc *raus...* Lecz Närrisch zdołał, w swoim czasie, uniknąć tego w większości.

Bogiem a prawdą, od czasów Cziczera i Dżakypa Qulana, taszczących dupski po stepie na północ, żeby odnaleźć Kirgiskie Światło, żadni dwaj ludzie podchodzący do świętego Centrum nie byli tak źle wyposażeni. Jednych od drugich dzieli około dziesięciu lat. Co uzależnia tę rozrywkę od bicia rekordów mniej więcej tak samo, jak uzależniony jest baseball, sport również najeżony białymi napomknieniami o tym, co złowiesz.

Podchody-do-Świętego-Centrum staną się wkrótce rozrywką numer jeden w Strefie. Balsamiczna pełnia jest tuż-tuż. Wkrótce na boisku znajdzie się więcej mistrzów, adeptów, magików wszelkiej rangi oraz wytycznych, niż było kiedykolwiek w historii gier. Słońce będzie rządzić wszelką inicjatywą, pod warunkiem że jest uczciwa i w duchu sportu. Krzywizna Gaussa uwypukli się ku wspaniałości. A chlajusy pokroju Närrischa i Slothrop

zostaną odsiane.

Jak już wspomniano, Slothrop, co najmniej od czasów „Anubisa”, zaczął chudnąć, rozrzedzać się. „Osobista gęstość – rzekł Kurt Mondaugen w swoim biurze zaledwie parę kroków stąd, formułując Prawo, które nosić będzie jego nazwisko – jest wprost proporcjonalna do szerokości pasma czasowego”.

Szerokość pasma czasowego to szerokość twojej terażniejszości. To dobrze znane „At” postrzegane jako zmienna zależna. Im więcej przebywasz w przeszłości i przyszłości, tym szersze twoje pasmo, tym solidniejsza twoja osoba. Im węższe zaś twoje poczucie Teraźniejszości, tym wiotszy się stajesz. Może dojść do tego, że z trudem będziesz sobie przypominał, co robiłeś przed pięcioma minutami albo nawet – jak w wypadku Slothropo – co tu robisz w tej chwili, u podnóża tego gigantycznego łukowatego nasypu...

– Eee – obraca się z niewyraźną miną do Närrischa – a co my tu...

– Co my tu co?

– Że co?

– Powiedziałeś: „Co my tu” i urwałeś.

– O rany, no to śmiesznie powiedziałem.

Co się tyczy Närrischa, on też sprzęgnięty jest z robotą. Zawsze postrzegał tę wielką Elipsę tak, jak powinien był postrzegać. Inaczej Greta Erdmann: widziała, jak pokryte rdzą wyniosłości kłaniają się, dokładnie jak kiedyś, w oczekiwaniu, twarze zakapturzone, gładkie okapotowania Nicości... ilekroć Thanatz smagał biczem jej skórę, wyruszała na kolejną penetrację w kierunku Środka: za każdym uderzeniem o krok dalej... aż w końcu pewnego dnia, zdaje sobie z tego sprawę, ukaże się jej oczom i odtąd będzie to już absolutna konieczność, wszechwładny cel... ch-ch-chlast! Czarne jak węgiel kozły wież ciśnień w górze, nachylone ku brzegowi wielkiego naczynia, widoczne ponad drzewami w świetle, które jest posępne i sine niby zachody słońca nad Peenemünde w chłodne leniwe dni... przeciągłe spojrzenie z jakiejś znanej grobli w Niderlandach ku niebu przepływającemu równomiernie, tak poźółkłemu, że słońce niechybnie kryje się gdzieś tuż za nim, a skrzydła

pracujących wiatraków mogą być szprychami w rozpędzonych kołach: straszliwy Rowerzysta, Rowerzysta Tyrone'a Slothrop, jego dwie eksplozje hen w górze, niebiański cyklista...

Ale skąd, nawet To przemyka tylko przez płat mózgowy Slothrop'a i rozplywa się na powierzchni, zanika. Zatem tutaj czeka go kolejne zaniechanie... i podobnie dojrzewa odrzucenie.... Nic nie daje nadziei na inny obrót spraw, na niespodziankę. Nie ze strony Slothrop'a. Oto on, wdziera się na porządną ścianę rytualnego splotu, osadzoną na rzetelnej wizji tego, co jest pozbawionym cienia południem, a co nim nie jest. Ale, och, Jajo, z którego wykluła się latająca Rakietka, pępek elektromagnetycznego świata o promieniu pięćdziesięciu metrów, wszystkie swojskie duchy tego miejsca – wybaczymy mu jego otyłość, jego czczą bezstronność. Wybaczymy, że w jego piersi nie zaciska się pięść, że serce nie drgnie do żadnego powitania... Wybaczymy, jak wybaczyliśmy Cziczerynowi widzącemu Kirgiskie Światło... Nadchodzą lepsze dni.

Slothrop słyszy odległe dźwięki wędrownego tuby i klarnetu, do których dołączają raz po raz puzon i saksofon tenorowy, wszystkie próbując zaintonować melodię... oraz wybuchy śmiechu, dziewcząt i żołnierzy... wygląda, że rozkręcił się jubel... może nawet jakby wieczorek kawalerski...

– Powiedz, dlaczego nie... hm... jaki był twój...

Närrisch, skórzany strach na wróble, próbując nie zwracać uwagi na zachowanie Slothrop'a, postanawia użyć swojej Broni Niekonwencjonalnej: otwiera butelkę wódki, wacha i pociąga haust. Patrzy promiennie, wzrokiem handlowca, na Slothrop'a.

– Masz, łyknij. – Cisza pod białą ścianą.

– A, no tak. Myślałem, że to benzyna, ale przecież udajemy, więc to naprawdę wódka, co nie?

Za nasypem, w obrębie areny, cóż to może być, czeka w porwanej poświacie księżycy, farba maskująca od brzechw po czubek rozpadła się na fragmenty składanki... czy więc naprawdę już nigdy cię nie dopadnie?

Nawet w najczarniejszą noc, kiedy słowa wypisane ołówkiem na twojej stronie od desygnatów dzieli zaledwie At? A wewnątrz ofiara się wierci, przebierając w palcach różaniec, odpukując w niemalowane, unikając wszelkiego Operacyjnego Słowa. Czy naprawdę już nigdy po ciebie nie przybędzie?

Zaczynają się wdrapywać, w pobliżu wież ciśnień, na szczyt. Piasek wysypuje się do butów i z szelestem osuwa się stromizną. Z góry, między drzewami, znów widać rozjaśniony pas startowy, myśliwiec już wylądował, otoczony przez cienie obsługi naziemnej: tankowanie, przegląd, rozładunek. W głębi półwyspu światła jarzą się w formie plam, łuków, zygzaków, lecz po tej stronie, na południe od zakładu doświadczalnego, jest ciemno choć oko wykol.

Przedzierają się przez sosnowe gałęzie i schodzą wprost do Jaja, opróżnionego z niemieckiego sprzętu, zamienionego na parking dla radzieckich samochodów. Na dole, za setkami dżipów i ciężarówek, wznosi się na powitanie węgiel wielkiej montowni. Na prawo znajduje się trzy-, czteropiętrowe siedzisko prób z okrągłym, swoiście kopulastym szczytem, a poniżej widnieje długi płytki dół w kształcie litery V.

– Kanał chłodzący – wyjaśnia Närrisch. – Pewnie są właśnie tam. Musimy wejść tamtędy.

Są w połowie drogi do stacji pomp wbudowanej w nasyp dla pozyskiwania zimnej wody, która neutralizowała wysokie temperatury próbnych odpaleń. Stację ograbiono, wewnątrz jest pusto i ciemno. Slothrop wpada na kogoś w progu.

– Najmocniej przepraszam – mówi nieco nerwowo.

– Nic nie szkodzi. – Rosyjski akcent. – Nie ma za co. – Facet wypycha Slothropo z powrotem na dwór: dwumetrowy sierżant o twarzy skurczybyka.

– No bo ja...

W tej samej chwili zbliża się Närrisch.

– Och – gapiąc się tępo na żołnierza. – Sierzancie, słyszycie tę muzykę?

Dlaczego nie jesteście w montowni z waszymi towarzyszami? O ile wiem, zabawiają się tam – wymowny kuksaniec – z paroma ochoczymi *Fräulein* w zachwycającym negliżu.

– To wprost bosko – odpowiada sierżant. – Ale są gusta i guściki.

– *Kot...* – Tyle pożytku z wytrawnej taktyki.

– Poza tym to jest zakazane, wy głupole.

Närrisch z westchnieniem podnosi rękę z butelką, opuszcza ją – jep! – wprost na kark sierżanta, strącając mu hełm z głowy.

– Łobuz – kwituje Rosjanin i nieco rozdrażniony, pochyla się, żeby podnieść hełm. – Ja chyba muszę was obu aresztować.

– Dość tych pogaduszek – warczy Slothrop, wymachując cygarem i koktajlem Mołotowa. – Dawaj to żelazo, Iwan, albo zrobię z ciebie ludzką pochodnię!

– Wy jesteście źli ludzie – dąsa się sierżant i nader szybko zdejmuje diegtiarowa z ramienia.

Slothrop uskakuje w bok, wymierza kopniaka w krocze, chybia celu, ale wytrąca facetowi broń, po którą nurkuje przytomny Närrisch.

– *Bestie* – jęczy Rosjanin – okropne, straszne *bestie...* – Dyrda w noc.

– Mamy dwie minuty.

Närrisch już jest w stacji pomp, Slothrop wrywa mu karabin, biegną pochyłym korytarzem. Ich kroki dudnią po betonie coraz szybciej, donośniej, pędem do metalowych drzwi: dolatuje zza nich głos Springera, który śpiewa i bełkocze jak pijany. Slothrop odbezpiecza broń, Närrisch wpada do środka, śliczna blondynka w czarnych butach i okularach w stalowej oprawce stenografuje zeznania Springera, opartego w cesarskiej pozie o rurę z zimną wodą, poprowadzoną przez całe pomieszczenie na wysokości niespełna półtora metra.

– Rzuć ten długopis – rozkazuje Slothrop. – Dobra, gdzie jest major Żdajew?

– Na konferencji. Gdyby był pan łaskaw zostawić nazwisko...

– Naszprycowali go! – krzyczy Närrisch. – Naszprycowali go czymś. Gerhardt, Gerhardt, to ja, powiedz coś!

Slothrop rozpoznaje symptomy.

– To amytał sodu. Wszystko w porządku. Chodźmy.

– Major może nadejść w każdej chwili. Są na górze w wartowni, palą. Czy panowie będą osiągalni pod jakimś numerem telefonu?

Slothrop wtyka swoją głowę pod jedną pachę Springera, Närrisch swoją pod drugą, gdy nagle rozlega się donośne pukanie do drzwi.

– Palą? A co palą?

– Tędy, Slothrop.

– Uff.

Taszcą Springera przez drugie drzwi, które Slothrop zamyka na sztaby i tarasuje ciężką szafką kartotekową, potem ciągną go w górę schodów, dalej długim, prostym korytarzem, rozświetlonym przez sześć, siedem żarówek, między którymi panuje mrok. Po obu stronach, od podłogi po sufit, biegną grube sploty okablowania.

– Już po nas – charkocze Närrisch.

Do bunkra pomiarów pozostało sto pięćdziesiąt jardów, a po drodze nie ma żadnych osłon oprócz odcinków ciemności między wysepkami światła. Wystarczy, żeby Rusek rozpylił serię z pulemiotu.

– Ona w nic nie uderza, heteroszybkość! – woła Gerhardt von Göll.

– Spróbuj iść o własnych siłach. – Slothrop fajda w gacie ze strachu. – No, drałuj, człowieku, chodzi o nasze tyłki!

Z tyłu odbija się echem tupot nóg. Stłumiona seria z pistoletu maszynowego. Druga. Nagle z przodu wytryskują dwie kałuże słabego światła, materializuje się Żdajew w drodze powrotnej do swojego biura. Towarzyszy mu drugi mężczyzna, który z odległości czterdziestu jardów uśmiecha się na widok Slothrop, wielki stalowy uśmiech. Slothrop puszcza Springera i wbiega w drugą aureolę jasności z odbezpieczoną bronią. Zaintrygowani Rosjanie mrugają oczyma.



– Cziczerein, hej!

Stoją naprzeciwko siebie, każdy we własnym kręgu światła. Slothrop uświadamia sobie, że trzyma ich w szachu. Uśmiecha się, na wpół skruszony, celuje do nich, podchodzi bliżej. Po nadmiernie długiej dyskusji Cziczerein i Żdajew postanawiają podnieść ręce do góry.

– Rocketman!

– Się macie.

– Co robisz w tym faszystowskim mundurku?

– Fakt. Chyba wstąpię do Armii Czerwonej.

Närrisch opiera bezwładnego Springera o rząd cienkich gumowych kabli, pokrytych metalową siatką, i zbliża się, żeby pomóc w rozbrojeniu dwóch oficerów. Żołnierze w głębi tunelu wciąż nie mogą sforsować drzwi.

– Moglibyście się, koledzy, rozebrać? Powiedz no, Cziczerein, jak ci smakował haszysz?

– Hm – zdejmując spodnie – właśnie kurzyliśmy sobie w budce wartowniczej... Rocketman, masz fantastyczne wycucie czasu. Żdajew, czy on nie jest nadzwyczajny?

Slothrop ściąga smoking.

– Postaraj się, żeby ci nie stanął.

– Mówię poważnie. To twój *Schwarzphänomen*.

– Przestać się zgrywać.

– Nie masz o nim pojęcia. Tańczysz, jak ono ci zagra. Moje zawsze próbuje mnie zniszczyć. Nimi powinniśmy się wymienić, a nie ubraniami.

Kwestia przebrania się komplikuje. Mundur Żdajewa ze złotymi gwiazdami na pagonach ląduje na ramionach Springera, który nuci teraz wszystkim wiązanek piosenek Kurta Weilla. Żdajew wciąga biały garnitur Springera, potem on i Cziczerein zostają związani własnymi pasami i krawatami.

– Pomysł polega na tym – wyjaśnia Slothrop – że ty, Cziczerein, będziesz udawał mnie, a major...

W tej chwili drzwi w głębi korytarza wylatują z zawiasów, a przez próg

przeskakują dwie postacie z pepeszami, magazynki tarczowe wielkie jak bębny Gene'a Krupy. Ubrany w mundur Cziczera, Slothrop stoi w świetle i macha gwałtownie rękoma, wskazując dwóch oficerów, związanych jak balerony.

– Tylko bez kawałów – mruczy do Cziczera. – Ufam ci, ale wiedz, że moja bierna znajomość rosyjskiego jest duża, zorientuję się więc, co mówisz.

Cziczera nie ma nic przeciwko, tylko się trochę pogubił.

– To kim ja mam być?

– Cholera... słuchaj, po prostu powiedz im, żeby poszli przeczesać stację pomp tam na górze, bo to pilne. – Slothrop gestykuje i porusza ustami, tymczasem Cziczera recytuje.

Numer chyba odnosi skutek. Dwaj żołnierze salutują i wracają przez posiekane drzwi.

– Małpiszony! – Cziczera kręci głową. – Czarne małpiszony! Skąd wiedziałeś, Rocketman? Oczywiście, ty nie wiedziałeś, ale wiedziało *Schwarzphänomen*. Znać rękę mistrza. Dwaj z nich patrzyli na mnie przez okno. I myślałem... no wiesz: myślałem o tym, co ty myślisz, że ja bym pomyślał...

Ale Slothrop jest już poza zasięgiem głosu. Springer wreszcie może iść szybkim, choć niepewnym krokiem. Bez przeszkód docierają do bunkra pomiarów. Za drzwiami z kuloodpornego szkła, za ich własnymi odbiciami, znajduje się stare siedzisko prób, okna powybijane, maskowaniem bohomy niemieckiego ekspresjonizmu ociekające szarością i czernią. Dwaj Ruscy myszkują na próżno dokoła stacji pomp. Zaraz znowu nikną w środku, a wtedy Närrisch otwiera drzwi.

– Szybko.

Wymykają się na dwór, na arenę.

Trwa trochę, zanim wdrapują się z powrotem na stromiznę i giną w lesie. Wyłaniają się Otto i Hildę. Unieszkodliwili szofera i auto Żdajewa, podprowadzając palec rozdzielacza. Jest ich więc teraz czworo do taszczenia

szczebioczącego Gerhardta von Gölla metrami nędznego piaszczystego nasypu; niechybnie tak źle pomyślanego systemu napędowego to stanowisko prób nie widziało od dawna: Otto i Hildę ciągną Springera za ręce, Närrisch i Slothrop pchają go w dupsko. Mniej więcej w połowie stromizny Springer wypuszcza donośnego bąka, który przez ładnych parę minut odbija się echem po historycznej Elipsie: chciałbym teraz, ludzie, zaprezentować wam moją analną impresję na temat A-4.

– Ożeż kurwa twoja mać – żołądkuje się Slothrop.

– Wyprężony zielony rumak z planetoid i kości – oznajmia Springer w odpowiedzi.

Muzyka i rozmowy w pobliżu montowni ucichły i nastąpiła niepokojąca cisza.

Wreszcie przez szczyt i na drugą stronę, między drzewa, gdzie Springer opiera się czołem o pień i zaczyna gwałtownie rzygać.

– Närrisch, ryzykujemy tyłki dla takiego parszywca?

Lecz Närrisch jest zajęty obmacywaniem żołądka swojego przyjaciela.

– Gerhardt, wszystko w porządku? Jak ci pomóc?

– Cudownie – dławi się Springer, a z podbródka skapują mu rzygowiny. – Och. Co za uczucie!

Nadchodzą szympansy, muzycy, tancerki. Ciągną na spotkanie z kutrem. Hop przez ostatnią wydnię i w dół, ku zbitemu żużłowemu trójkątowi stanowiska numer X i morzu. Muzycy przez chwilę grają marsza. Odpływ zostawił po sobie pas dodatkowej plaży. Tyle że nie ma śladu Frau Gnab. Haftung i małpa trzymają się za ręce. Felix wytrząsa ślinę z puzonu. Slothrop obejmuje chórzystka o miodowych włosach, której imię jakoś mu umyka.

– Boję się.

– Ja też. – Tuli ją do siebie.

Rozpętuje się piekło – wyyyyyją syreny, reflektory przeczesują las i niebo, do tego warkot silników i wykrzykiwane komendy. Bohaterskie komando

schodzi z żużlu i przyczaja się w nadbrzeżnych trzcinach.

– Zabraliśmy im jeden karabin i dwa pistolety – szepcze Närrisch. – Zaatakują od południa. Wystarczy jedna osoba, żeby ich tam zatrzymać. – Kiwa głową i zaczyna rychtować broń.

– Jesteś szurnięty – syczy Slothrop. – Zabiją cię.

Zamieszanie przy siódmym stanowisku. Na tamtejszej drodze pojawiają się kolejno światła reflektorów.

Närrisch klepie Slothropą po podbródku. Nie jest jasne, czy Springer wie, kim on jest. W każdym razie:

– *Lebe wohl*, Gerhardt...

Z naganami w kieszeniach palta, z karabinem w dłoniach, skulony Närrisch biegnie plażą i ani razu nie ogląda się za siebie.

– Gdzie jest kuter? – Haftung w białej panice.

Wokół kwaczą strwożone kaczki. W trzcinach drgnął wiatr. Kiedy światła reflektorów przesuwają się po wydmach, rosące wyżej sosny rozjarzają się głębokim, strasznym blaskiem... a z tyłu trzęsie się i przelewa Bałtyk.

Strzały z wydm – a potem seria z broni maszynowej, może odpowiedź Närrischa. Otto przygarnia swoją Hildę.

– Ktoś tu zna alfabet Morse’a? – pyta dziewczyna siedząca obok Slothropą – bo tam daleko błyska światełko, u krańca tej małej wyspy, nie? Od paru minut. Trzy kropki, kropka, kropka, kolejne trzy kropki. W kółko.

– Hm, S.E.E.S? – dziwi się Felix.

– Może to nie kropki, tylko kreski – podsuwa myśl saksofonista.

– To byłoby śmieszne – mówi Otto – bo wtedy wyszłoby OTTO.

– Przecież to twoje imię – uprzytamnia mu Hildę.

– Mamusia! – wykrzykuje chłopak i biegnie w morze, machając ręką do migoczącego światła.

Felix zaczyna dąć w instrument, reszta orkiestry się dołącza, muzyka na wodzie. Reflektory skupiają się na celu, cienie trzcin dźgają piasek. Dobiega warkot kutra.

– Jest, jest! – Otto podskakuje w bagiennej wodzie.

– Ej, Närrisch – Slothrop mrużąc oczy, próbując odnaleźć faceta w nikłym świetle – wracaj! Wycofaj się! – Brak odpowiedzi. Więcej strzałów.

Z wyłączonymi światłami pozycyjnymi kuter pruje na pełnej szybkości; czy Frau Gnahb postanowiła staranować Peenemünde? Nie, nagle wrzuca całą wstecz – łożyska wołają o zmiłowanie, spod turbin tryskają gejzery piany, łódź obraca się w miejscu.

– Na pokład! – ryczy kobieta.

Slothrop woła Närrischa. Frau Gnahb wiesza się na rączce od gwizdka. Żadnej odpowiedzi.

– Cholera, muszę go przyprowadzić!

Ale Felix i Otto chwytają Slothropą od tyłu, kopiającego i klnącego ciągną na kuter.

– Zabiją go, puszczajcie, skurczybyki.

Przez wydmnę między wodą a stanowiskiem numer VII przesypują się ciemne sylwetki, które migoczą pomarańczowymi ognikami, sekundę później dobiega kanonada.

– Zabiją nas. – Otto wpycha Slothropą na pokład, gramoli się za nim.

Snopy światła odnajdują ich i siekają. Strzelania staje się coraz głośniejsza – woda bryzga i wrze, pociski dudnią o kuter.

– Wszyscy są? – Obnażone w uśmiechu kły Frau Gnahb. – Świetnie!

Ostatnia mała dociera do łodzi, Haftung chwytą ją za łapę, zwierzak wisi z tylnymi kończynami w wodzie, tak przez kilka metrów, gdy już ruszają, cała naprzód, wreszcie wtarabania się na pokład. Ogień z karabinów ściga ich w morze, ale wkrótce są poza zasięgiem broni, a potem poza zasięgiem słuchu.

– Jak myślisz, Feliksie – odzywa się saksofonista – są widoki na występy w Świnoujściu?

W ostatniej chwili życia John Dillinger znalazł osobliwą pociechę w kinowych obrazach, które nie zdążyły ulecieć z jego oczu – niepoprawny przestępca Clark Gable idzie usmażyć się na krześle, łagodne głosy z cel

skazańców – „Żegnaj, Blackie” – odrzuciwszy odroczenie wyroku wydane przez jego dawnego przyjaciela, Williama Powella, obecnie gubernatora Nowego Jorku, chudego protekcjonalnego frajerzyny bez podróbka, bo chce mieć to za sobą – umrzyj, jak żyłeś: szybko, bez zbędnego przeciągania – w tym samym momencie mały kutas Melvin Purvis, sterczący pod „Biograph Theatre”, zapalił nieszczęsne cygaro i poczuł w ustach penisa urzędowej pochwały, na ten znak tchórzliwi federalni ścięli Dillingera z pedalską precyzją... lecz zdążyła się w nim dokonać pewna przemiana osobowości – tak jak ty czułeś jeszcze chwilę później w mięśniach swojej twarzy i głosie, że jesteś Gable’em: ironiczne brwi, dumna, połyskliwa, wężowa głowa – dzięki czemu łatwiej przeszedł na drugą stronę, łatwiej wkroczył w zaświaty.

Tu jest Närrisch, skulony wewnątrz kilkumetrowego odcinka pękniętego rurociągu z betonu, powróciwszy pod mur stanowiska numer VII, zwinięty pośród woni starej sztormowej wody, zbierając siły, próbując nie oddychać zbyt głośno, by nie zdradziło go echo – Närrisch ostatni raz był w kinie, gdy pokazywano „Der Müde Tod”. Tak dawno temu, że nie pamięta, jak film się kończy, nie pamięta finałowego elegijnego ujęcia w stylu Rilkego: znużona Śmierć prowadzi dwoje kochanków, trzymających się za ręce, przez pole niezapominajek. Żadnej pomocy z tej strony. Dziś wieczorem Närrischowi został ostatni karabin w jego karierze, cudzoziemski i przegrzany... no i bąble na dłoniach, którymi jutro nie będzie musiał zaprzątać sobie głowy. Nie ma żadnych źródeł miłosierdzia oprócz tej broni i piekących palców – okrutny sposób odejścia dla faceta od naprowadzania, który zawsze pracował dobrze za dobrą płacę... Miał inne oferty... mógł wyjechać na wschód z Raketenbetreib Bleicheröde albo na zachód, do Ameryki i roboty za sześć dolarów dziennie – ale Gerhardt von Göll obiecał mu splendor, główne wygrane, prześliczną panią u boku, ej, a może dwie, po jednej z każdej strony? – kto by go winił, że się nabrał po nieszczęsnym linearnym Peenemünde?

Nigdy nie wynikała konieczność objęcia rozumem całego Planu... naprawdę, to byłoby przesadne oczekiwanie w stosunku do każdego... nie tak? Strategia S-Gerät, za którą dzisiaj nadstawia karku i umrze – co tak

naprawdę wie o rzeczywistych zamiarach Springera w tej sprawie? Närrisch uważa za naturalne, iż to on, będąc mniejszym człowiekiem, powinien się poświęcić, jeśli to tylko pozwoli Springerowi przeżyć, przeżyć choćby o jeden dzień dłużej... wojenne myślenie, *ja, ja...* ale cóż, za późno na zmiany...

Czy w swoim czasie program S-Gerät w Nordhausen w jakikolwiek sposób zakładał, że tak wiele zainteresowanych osób, narodów, przedsiębiorstw, społeczności wspólnych interesów pojawi się po fakcie? Oczywiście, że pochlebilo mu, iż wybrano go do zmodyfikowania systemu sterowania, choć była to drugorzędna sprawa... niewarta szczególnego traktowania... mimo wszystko nastąpiła wtedy jego pierwsza historyczna chwila i zarazem – skonstatował gorzko – ostatnia, ale po spotkaniu Springera montującego ekipę, w tamte deszczowe czerwcowe dni, zmienił zdanie... Złoty w kawiarniach i kościelnych bramach wokół Braunschweigu (stiukowe łuki, winorośl opadająca na kołnierze) bez parasola, ale z tym światłem, wezbraną nadzieją – pole zatłoczone wektorami siły, żeby się rozprzestrzeniło, wypełniło go i utrzymało w dobrym zdrowiu i samopoczuciu... Berlin! „Chicago Cabaret!”, „Kokaina czy karty?” (stary tekst z filmów, który tego lata lubiły cytować cyngle)... Rewia!

Lecz zamiast tego rozdzwoniła jasna rzecz przywiodła go tutaj: do tego rurociągu, gdzie zostało mu zaledwie kilka minut...

Zasada polegała na tym, by zawsze trzymać się stałej wielkości: A. Czasem wykorzystywaliśmy mostek Wiena, dostrojony do pewnej częstotliwości At, świszający, ciężki od omenów, wewnątrz elektronicznych korytarzy... tymczasem na zewnątrz, wedle tradycji obowiązującej w tych sprawach, zbierała się wielkość B, rosła w miarę, jak Rakieta nabierała szybkości. I tak leciała aż do wyznaczonej prędkości „ $v_1$ ”, przy której następował *Brennschluss*, porażona prądem jak byle szczur, by podążać ulegle tym wąskim labiryntem w wolnej przestrzeni – owszem, sygnały radiowe z ziemi wchodziły w ciało Rakiety i na zasadzie odruchu – dosłownie wskutek



sygnałów elektrycznych, które biegły łukiem odruchowym – powierzchnie kontrolne drgają, by naprowadzić cię z powrotem na kurs, gdy tylko zбочysz (no bo jak mógłbyś ustrzec się tam w górze chwili promiennej nieuwagi, targany wiatrem, wystarczy sama wysokość... niewyobrażalne ognie u twych stóp?). Zatem w tej ściśle kontrolowanej wędrówce wszystko toczyło się w najostrzejszej, najboleśniejszej antycypacji, zawsze z rosnącym B, spiętrzającym się tak namacalnie, jak fala przyływu, która uspokaja małe stworzenia i wyostrza powietrze do postaci zimnych drgań... Twoja wielkość A – błyszcząca, stała A, niesiona, jak niegdyś z pewnością powieźli Graala pod osłoną nocy, z dawnym wojskowym, wisielczym humorem... i pewnego ranka szeroka górna warga jest szara od jednodniowego zarostu niczym wełna stalowa, złowieszczy, straszliwy znak, golił się gładko codziennie, a więc to oznaczało, że nastał Ostatni Dzień – oraz, pojmując posępnym szóstym zmysłem, tyle wiary, ile niezakłóconego odbioru, że tak naprawdę to B Wielu Indeksów Dolnych tuż nad elektrycznym widnokregiem zbliża się, być może tym razem jako „ $B_{iw}$ ” kąt precesji żyroskopu, porusza się niewidoczne, ale wyczuwalne, rosnąc straszliwie, nad metalową ramą ku kątowi  $A_{iw}$  (właśnie tak ustawili ci styki: żeby zamknąć pod dokładnym kątem). Albo jak „ $B_{il}$ ”, kolejne całkowanie, nie chodu żyroskopu, lecz przepływu prądu, wytwarzanego z cewki poruszającej się między biegunami, „skrępowane” wahadło... w ten sposób myśleli, Grupa Konstruktorów, w kategoriach zniewolenia, zakazów... wobec sprzętu obowiązywała postawa brutalna i żołnierska, jaką większość inżynierów nie miała sposobności się wykazać... uważali się za elitę pozbawioną sentymentów, Driweeling, no i Schmeil, z fluorescencyjnymi światełkami, świecącymi na jego nagim czole noc w noc... Ich mózgi połączone starymi, bardzo starymi elektrotekorycjami: szklane kondensatory nastawne, nafta do dielektryka, płytki mosiężne i pokrywy z ebonitu, galwanometry Zeissa z tysiącami śrubek o drobnym gwincie, miliamperomierze Siemensów ustawione na powierzchniach z łupku, zaciski opatrzone rzymskimi cyframi, omomierze z

manganowymi drutami w oleju, stary Gülcher Thermosäule zasilany gazem grzewczym, wytwarzający cztery wolty, nikiel i antymon, lejki z azbestu u góry, rurkowanie z miki...

Czy to życie nie było przyzwoitsze niż gangsterstwo? Czystsza przyjaźń... bardziej szczerą w każdym razie... Widzieliśmy wtedy, jak musimy się dopasować... maszyny to dyktowały... wszystko wydawało się takie wyraźne, cała paranoja była dla wroga, nie dla nas...

– A co z SS?

– Och, no właśnie oni byli wrogiem, tak bym to określił... (Śmiech).

Nie, Klaus, nie zbaczaj, nie uciekaj w sny o uprzejmym sowieckim przesłuchaniu, które skończy się na łóżku obsypanym płatkami róż, w okadzionym wódką odrętwieniu, wiesz, że to głupie...

B, B-indeks-dolny-N-jak-Närrisch prawie już tu jest – tuż przed przepaleniem ostatniego szeleszczącego welonu, żeby zrównać się z „A” – żeby zrównać się z jedynym fragmentem jego osobowości, pozostawionym przez nich, by przeszedł przez tę chwilę, to nieredukowalna lalka z niemieckiego styrenu, nędzniejsza, mniej autentyczna niż jego wcześniejsze „ja”... nic nieznacząca wielkość w ostatnim świetle... ten tatuaż butów polujących myśliwych i trzony zamkowe w naoliwionych karabinach...



Oto nadbiegają Enzian, Andreas i Christian, jak Smith, Klein & French, wdzierają się do piwnicy – szare polowe mundury, buty z gazety, podwinięte nogawki spodni, dłonie i nagie ramiona błyszczące od smarów i oleju silnikowego, karabinki wycelowane w pokazie siły. Lecz nie ma żadnych Pustych. Spóźnili się. Zostało tylko nieme łóżko i brązowa elipsa na rozdartym płótnie, namalowana jej krwią. I ziarniste rozbryzgi błękitu pruskiego w kątach, pod łóżkiem... to ich podpis, ich wyzwanie.

– Gdzie ona jest?... – Christian o krok od wpadnięcia w szal. Jeszcze jedno słowo i pobiegnie zabić pierwszego Pustego, którego napotka. Maria, jego siostra, jest, była, może ona...

– Lepiej chodźmy. – Enzian z powrotem w drzwiach. – Gdzie jest, mmm, no ten jej mąż, jak on?...

– Paweł. – Christian chciałby spojrzeć Enzianowi w oczy, ale dowódca uparcie odwraca głowę.

Paweł i Maria spodziewali się dziecka. Ale potem Josef Ombindi i jego ludzie zaczęli składać wizyty. Nauczyli się tych sępiich technik od chrześcijańskich misjonarzy. Prowadzą spisy wszystkich kobiet w wieku rozrodczym. Każda ciąża to sygnał, by zacząć krążyć, dostroić się i spaść na cel. Stosują groźby, kazuistykę, fizyczne uwodzenie – dysponują całym arsenałem możliwości. Błękit pruski jest wybornym środkiem, powodującym poronienie.

– Rafineria? – sugeruje Andreas Orukambe.

– Coś ty? Myślałem, że wyrzekł się takich rzeczy.

– Może akurat nie w tej chwili. – Brat dziewczyny patrzy morderczym wzrokiem na Enziana. „Enzian, skurwielu, naprawdę straciłeś poczucie rzeczywistości”.

Wskakują na motocykle i odjeżdżają. Zbombardowane suche doki, zwęglone żebra magazynów, walcowate kawałki łodzi podwodnej, której

nigdy nie zmontowano, wszystko wyrywa się do tyłu w mrok. W pobliżu znajdują się brytyjscy żandarmi, ale to już inny, otorbiony świat. Brytyjska G-5 zajmuje przestrzeń, Strefę, która nie pokrywa się do końca z trasą obroną przez przejętych żołnierzy Schwarzkommando, jazgoczących motorami po nocy.

Postępuje rozłączanie. Każda alternatywna Strefa odskakuje od pozostałych, z nieuchronnym przyśpieszeniem, poczerwienieniem grawitacyjnym, uciekając od Centrum. Z każdym dniem mityczny powrót, o którym marzy Enzian, wydaje się coraz mniej prawdopodobny. Dawniej trzeba było się znać na mundurach, insygniach, oznakowaniach samolotów, należało obserwować granice. Teraz dokonano zbyt wielu wyborów. Zagubił się gdzieś pojedynczy korzeń, jeszcze w czasie majowej katastrofy. Każdy ptak siedzi na własnej gałęzi, a każda gałąź jest Strefą.

Przy gruzach ozdobnej fontanny kręci się tłumek uchodźców, ze dwadzieścia osób, popiołowe oczy, wtarte w twarze białe jak sól. Hererowie odbijają w bok, wjeżdżają na łagodną kondygnację długich schodów, połączonych z pochyłą ulicą, zęby dzwonią o zęby, ramy motocykli piszczą przenikliwie, du-du-du-du po stopniach obok bezsłownych wybuchów słowiańskiego oddechu. Popioły i sól. W odległości stu metrów zza muru wyjeżdża samochód ze szczekaczką: wykształcony głos, od dawna znużony własnym przekazem, recytuje: „Proszę opuścić ulice i wrócić do domów”. Opuścić co? Wracać dokąd? Chyba pomyłka, powinni to nadawać w innym mieście.

Wrrr, pod ropociąg biegnący estakadą w lewo ku wodzie, nad głowami ogromne umocnione sworzniami kryzy zmiękczone przez rdzę i tłusty brud. Daleko w porcie płynie tankowiec, bujając się wesoło jak skupisko gwiazd... Wrrmm, wrrmm, skosem pod górę w stronę wału ze zniszczonych, splątanych, stopionych i spalonych dźwigarów, kominów, rur, przewodów kanałowych, złączek, oplotów, izolatorów przeformułowanych przez bomby, na ziemi żwir powalany smarami, prują milę na minutę i... zaraz, zaraz:

„przeformułowanych”?

Raptem ta myśl, właściwie jeszcze nie świta Enzianowi w głowie, lecz dopiero przebłyskuje – jak pewnej nocy, o porze nazbyt późnej, by zbyć to jakimkolwiek wyjaśnieniem, błysnąć może to straszliwe światło, którego się lękasz. Nadzwyczajne objawienie. Ze ta wężowata hałda żużlu, na którą ma zamiar wjechać, a raczej cała dawna rafineria Jamf Ölfabriken AG wcale nie jest gruzowiskiem. Że zachowała się w doskonałym stanie. I czeka tylko na stworzenie odpowiednich powiązań, na przekręcenie włącznika... umyślnie przebudowana, otóż to, przez bomby, które nie były środkiem zagłady, lecz częścią planu uzgodnionego od dawna przez obie strony – „strony”? ...tak, a gdybyśmy teraz – no dobrze, mamy być kabalistami, to jest nasze rzeczywiste Przeznaczenie, musimy stać się uczonymi magami Strefy, w której gdzieś znajduje się Tekst, należy w niego wniknąć, wyłożyć jego znaczenie, opatrzyć go komentarzami, onanizować się nim, póki z tego zwiotczałego flaka nie wycisnie się ostatniej kropli... cóż, zakładaliśmy – *naturlich!* – że tym świętym Tekstem jest Rakieta, *orururumo orunene*, wysoka, wznosząca się, martwa, płonąca, wielka (dzieci Hererów Strefy już przekształciły *orunene* w *omunene*, najstarszy brat)... że to nasza Tora. Cóż innego mogło nim być? Jej symetria, skrytość, jej wdzięk oczarowały nas i uwiodły, tymczasem prawdziwy Tekst czekał gdzie indziej, w swoim mroku, w naszym mroku... nawet tak daleko od Südwestu nie unikniemy starożytnej tragedii zagubionych przekazów, klątwy, od której nigdy się nie uwolnimy...

Ale skoro jadę przez to, brnę przez Prawdziwy Tekst, jeśli to on... a może minąłem go gdzieś wcześniej w zburzonym Hamburgu, oddychając kurzem z popiołów, nie zwróciłem uwagi... jeżeli to, co IG zbudowało po tej stronie, wcale nie było ostatecznym kształtem, lecz tylko układanką fetyszy, wabikami, by sprowadzić specjalne narzędzia w postaci bombowców Ósmej Dywizji, samoloty aliantów byłyby wtedy, w końcowym rozrachunku, zbudowane przez IG, przez dyrektora Kruppa działającego za pośrednictwem swych angielskich powiązań – bombardowania były precyzyjnie

obmyślonym przemysłowym procesem przemiany, każdy wybuch energii wywołany w odpowiednim czasie i miejscu, każda fala uderzeniowa zaplanowana zawczasu, by spowodować takie, a nie inne zniszczenie, przez co Tekst zostaje rozszyfrowany, zaszyfrowany, odszyfrowany, przesyfrowany, ten święty Tekst?... Jeśli to miejsce jest czynne, to co będzie robić? Inżynierowie, którzy zbudowali je jako rafinerię, nie mieli pojęcia, że można podążyć dalej. Ich myśl konstrukcyjną „sfinalizowano”, więc mogli zapomnieć o całej sprawie.

To znaczy, że Wojna ta nigdy nie stanowiła konfliktu politycznego, że polityka była spektaklem, który miał odwrócić uwagę widowni od ważniejszych kwestii... w tajemnicy toczyła się pod dyktando potrzeb techniki... uzależniona od zмовy między istotami ludzkimi a techniką, od czegoś, co łaknęło wyładowania energii, charakterystycznego dla wojny, co krzyczało: „Pieniądze niech szlag trafi, stawką jest byt (tu wstawić nazwę Narodu)”, ale tak naprawdę, w skrytości, myślało: „Już świta, muszę łyknąć nocną porcję krwi, chcę funduszy, funduszy, ach, aaach... jeszcze, jeszcze...”. Prawdziwym kryzysem był kryzys przydziałów i priorytetów, lecz nie wśród przedsiębiorstw – zainscenizowano to tylko w ten sposób – a wśród różnych Technik, Tworzyw Sztucznych, Systemów Elektronicznych, Samolotów i ich potrzeb, które pojmuje jedynie elita rządząca...

No tak, ale Technika tylko reaguje (jak często powtarzano ten argument, żmudny, nieciekawym niczym algorytm Gaussa, robili to zwłaszcza młodzi żołnierze Schwarzkommando). „Oczywiście, łatwo mówić o chwyceniu potwora za ogon, ale czy myślisz, że mielibyśmy Rakietę, gdyby ktoś, ktoś konkretny z nazwiskiem i członkiem, nie chciał zrzucić tony amatołu z wysokości trzystu mil i zrównać z ziemią kamienicy pełnej cywilów? Proszę bardzo, pisz «technika» przez duże T, zrób z niej bóstwo, jeśli dzięki temu będziesz czuł mniejszą odpowiedzialność, ale w ten sposób zaliczysz się do kastratów, bracie, do eunuchów strzegących haremu naszej skradzionej Ziemi dla drętwych i smutnych wzwodów paru sułtanów, elity, która nie ma tytułu

do zajmowanego miejsca...”.

Musimy szukać źródeł mocy oraz sieci dystrybucji, o których nas nie uczono, ścieżek siły, których nasi nauczyciele nawet sobie nie wyobrażali albo których polecono im unikać... musimy znaleźć liczniki, których skale są nieznane światu, nakreślić nasze własne schematy, uzyskać sprzężenie zwrotne, stworzyć powiązania, ograniczyć błąd, spróbować poznać rzeczywistą funkcję... wyzerować na jaki nieweryfikowalny plan? Tutaj, na powierzchni, smoła, uwodornienie i synteza były zawsze fałszywymi, lipnymi funkcjami w celu ukrycia prawdziwej, planetarnej misji, tak, owszem, rozwijającej się może od stuleci... Ten zniszczony zakład przemysłowy, czekający na swoich kabalistów i nowych alchemików, by odkryli Klucz, by przekazali tajemnice reszcie...

A jeśli to nie Jamf Ölfabriken Werke? A jeżeli to fabryka Kruppa w Essen albo Blohm & Voss tutaj, w Hamburgu, albo jeszcze inna pozorna „ruina” w innym mieście? W innym kraju? YAAAAGGGGHHHH!

To gadka napędzana stymulantami, obecnie Enzian wcina hitlerowskie nadwyżki amfetaminy, jak wcina się prażoną kukurydzą w kinie, i w tej chwili rafineria – ochrzczona, nawiasem mówiąc, imieniem wynalazcy oniryny – znika za plecami, a Enzian już boryka się z innym paranoicznym lękiem, gada, gada jak najęty, choć wiatr i motocykle odcinają wszystkich od słów.

(W tle słycać fortepian w stylu Hoagy’ego Carmichaela):

Ot, śmiały dezoksyfedrynowy tatuś  
Z kieszeniami pełnymi cudownej mgiełki,  
Fruwam po Strefie, gdzie dzikie psy wyją,  
Rozdając sny jak cukierki.  
Wyjąłem lampy z radiostacy-y-y-jki,  
Bo mam je gdzieś razem z armią,  
Nie dam wam grosza za „Gwiazdy i Paski”,  
Bo własne czytam za darmo...



Ozorem mielę, lecz nikt nie słucha,  
Jadaczka bez przerwy kłapie,  
Och, jesteś cwany, lecz już się żegnamy  
Z kretyńskim uśmiechem na japie!

Z efedryną mi nie wyjeżdżaj,  
Padniesz na dźwięk mego imienia  
W uśpionych celach, gdzie światła pogasły, och,  
Nigdy nic się nie zmienia (Zapalże świeczki),  
Nigdy nic się nie zmienia...

Zeszłej nocy Enzian napisał w swoim dzienniku: „Za dużo ostatnio używam Ust. Mało z tego pożytku dla kogokolwiek. Odruch obronny. O Boże, Boże. Naprawdę zaczynają mnie denerwować. Błagam, nie chcę przewodzić w ten sposób... Wiem, jak brzmi mój głos – słyszałem go w Peenemünde z dyktafonu Weissmanna... chrom i bakelit... zbyt wysoki, nieprzyjemny, *Berliner Schnauze*... pewnikiem krzywią się w duchu, ilekroć się odzywam...”.

Mógłbym ruszyć jutro. Potrafię być sam. Przeraza mnie to mniej niż oni. Biorą w nieskończoność – ale nigdy nie wykorzystują tego, co biorą. Jak myślą, co mogą wziąć ode mnie? Nie chcą mojego patriarchatu, nie chcą mojej miłości, moich informacji, mojej pracy ani energii, niczego, co posiadam... Bo ja niczego nie posiadam. Nie ma już pieniędzy – od miesiąca nikt ich tutaj nie widział, nie, to nie chodzi o pieniądze... papierosy? Nigdy nie mam dość papierosów.

Gdybym ich zostawił, dokąd mógłbym pójść?

Z powrotem między zbiorniki, między podmuchy wieczornego wiatru, wpadając w poślizg na syntetycznych nieużytkach, całość jednolitą czernią... motocykl Christiana się krztusi, szarpie, wytraca szybkość. Błyskawiczna decyzja: jeżeli się zepsuje, facet będzie drałował na piechotę. Tak lepiej, jeżeli Paweł tam jest, a jeśli go nie ma, zabierzemy Christiana w drodze powrotnej, wykombinuje się ciężarówkę, żeby załadować i naprawić

maszynę... nie komplikuj, to znamię wielkiego przywódcy, Enzianie...

Motocykl Christiana jednak się nie psuje, a Paweł jest ha miejscu. Tak jakby. W sposób szczególny, nad którym Enzian w obecnym stanie ducha długo Się zastanawia. Jest, owszem, ze zdumiewającą zbieraniną przyjaciół, którzy pojawiają się zawsze, ilekroć przychodzi powąchać *Leunagasolin*, tacy jak, och, Mechowiec – najjaśniejsza zieleń, jaką można sobie wyobrazić, jarzy się bardziej niż fluorescencyjna – przyczajony w rogu pola, nieśmiały, porusza się jak noworodek... albo na przykład ten Wodny Olbrzym, wysoki na milę przybysz zbudowany z płynącej wody, który uwielbia tańczyć, płąsa od pasa w dół, ręce fruwać swobodnie po niebie. Kiedy ludzie Ombindiego zabrali Marię do lekarza w Hamburgu, rozległo się wołanie – wołały go głosy Grzybopigmejów, którzy lęgną się w zbiornikach na styku między benzyną a wodą. „Pawle Omunene! Dlaczego nie wrócisz, by się z nami zobaczyć? Tęsknimy za tobą. Dlaczego nas unikasz?”. Nieciekawie żyje im się tam, na Styku, muszą konkurować z bakteriami, tą arystokracją wśród komórek, która krąży w ich krainie światła, szturmując ściany węglowodorów, każda bakteria stara się dostać do bożej obfitości – zostawiają odpady, zielony pomruk, trzpiotowato niezrównoważony bełkot, szlam, który z upływem dnia gęstnieje i staje się coraz bardziej trujący. To naprawdę przygnębiające być pigmejem zlepionym z tysiącami, setkami tysięcy innych i musieć żyć po drugiej stronie. Po drugiej stronie, mówisz? Co przez to rozumiesz? Po jakiej drugiej stronie? Chodzi ci o benzynę? (Zlepione pigmeje odpowiadają chórem, żartobliwie, na melodię znanego riffu: Nie-nie, nie, nie! A więc chodzi o wodę? (Z.P:) Nie-nie, nie, nie! – No to mówcie, bo ściągnę bieliznę! Chodzi o to, wyjaśniają Grzybopigmeje, że one stykają się małymi główkami, aż tworzą wzór symetrycznego kalafiora, i intonują *a cappella* łagodną, pełną zadumy piosnkę, jak dzieci przy ognisku z Bingiem Crosbym w bejsbolówce (zaobserwowano, że *Leunahalluziationen* czasami zachowują się dziwnie, dziwniej niż tłumaczyłby to szok kulturowy, bo tutaj to metaszk, ot co, trójsigmowe białe twarze w rytuale, którego tajemnica jest

głębsza niż północne światło nad Kalahari...) rozumiemy przez to, że jesteśmy po drugiej stronie tego wszystkiego, całego cyklu bakteria-węglowodór-odpady. Stąd widać Styk. To długa tęcza, przeważnie w kolorze indygo, jeśli to cokolwiek pomoże – indygo i leśna zieleń (dyrygujący Bing sprawia, że wszystkie tępe irlandzkie twarze, oblane poświatą z ogniska, zawodzą wzruszająco i coraz głośniej) zieleń... benzyna., między... łódź podwodna... blaknie, bo w tej chwili Paweł był w drodze do rafinerii, zapomnij o jego dwuipółtygodniowej męczarni, zadanej samemu sobie, ludzie Ombindiego w pościgu za nim przy rurach okrytych watą szklaną, mężczyźni i kobiety, jedni i drudzy chcąc go pieścić, presja z obu stron Kwestii Plemiennego Samobójstwa, Enzian narzeka, zbyt wplątany w sprawę Rakiety, za bardzo poczerwieniały w swojej wojnie z Rosjanami, by przejąć się kimkolwiek poza samym sobą... a Paweł próbował trzymać się od tego z dala, z dala od oddechu Mukuru, chciał tylko być zacnym człowiekiem –

Mechowiec się porusza. Podpełzł niepokojąco blisko, odkąd Paweł spojrzał ostatni raz. Raptowny strumień gładkiej wiśniowej czerwieni na górskim stoku po prawej stronie (były góry? skądś się wzięły?) i od razu wie, poza oszustwem i nadzieją, że wślizgnął się w Północ, że wciągnięcie w płuca oddechu pierwszego przodka wykatapultowało go do tej straszliwej krainy, i pewnie wiedział, że tak będzie, krok po kroku w ostatnich latach, niepodobna zawrócić (co to jest zwrot?) nie wie, w którą stronę się ruszyć... nie wie jak... za późno, o wiele kilometrów i zmian za późno.

A teraz jego głowa w odległości trzystu metrów znajduje się na muszce karabinu Christiana. Naraz to okropne rozgałęzienie: dwie ewentualności już się rozjeżdżają z prędkością myśli – to nowa Strefa, bez względu na to, czy Christian pociągnie za spust, czy się powstrzyma – skok, wybór –

Enzian stara się ze wszystkich sił – uderza w lufę, rzuca kilka niemiłych słów młodemu mścicielowi. Lecz obaj zobaczyli nowe rozgałęzienia. Strefa znowu się odmieniła, a oni już są w drodze, wkraczają w nową...

Wjeżdżają tam, gdzie Paweł wdycha paliwo syntetyczne, z boku

nierozświetlonego beżowego wzgórze, pod białymi zbiornikami, pełzającymi ku niebu, oto jest, jeden z najbardziej zadowolonych klientów IG...

Czy Paweł wie coś, o czym reszta z nas nie ma pojęcia? Jeśli IG chciało, by to była fasada dla ukrycia czegoś innego, to może chodzi o oddech Mukuru?

Enzian potrafi przenieść się myślą z powrotem do *Erdschweinhöhle* i założyć IG nową teczkę – widzi, jak teczka się rozrasta w miarę rozszerzania powiązań, rewidowania ksiąg, przybywania świadków – nie w przód, lecz na boki, zawsze w cieniu... A jeśli okaże się, że to nie Rakietka, nie IG? Cóż, wtedy nie ustanie, będzie szukał dalej, nie? – fabryka Volkswagena, przedsiębiorstwa farmaceutyczne... jeśli tego nie ma w Niemczech, to rozpocznie w Ameryce albo Rosji. A jeżeli umrze, zanim odnajdą Prawdziwy Tekst, wówczas pozostali będą musieli pozyskać maszyny, by kontynuować... Hej, to kapitalny pomysł – zwołać do kupy wszystkich *Erdschweinhöhle*, wstać i powiedzieć: „Ludu mój, miałem wizję...”, nie, nie, potrzeba byłoby więcej ludzi, jeśli mają to być poszukiwania na szeroką skalę, ciche przesunięcie środków daleko od Rakietki, urozmaicenie przy pozorach organicznego rozwoju... i kogo w to wprowadzić? Christiana? – czy można teraz wykorzystać tego chłopaka, jego gniew? Czy To wykorzysta Christiana, żeby powstrzymać Ombindiego... bo jeśli prawdziwy charakter misji Schwarzkommando w Strefie teraz dopiero się objawił, to trzeba będzie coś zrobić z Ombindim, z Pustymi, z doktryną Finalnego Zera. Więcej personelu oznaczać będzie więcej Hererów Strefy, a nie mniej – więcej informacji o wrogu, więcej zadzierzgniętych powiązań, większe zagrożenie dla ludu, będzie oznaczać, że liczba współplemieńców niechybnie się zwiększy. Czy jest alternatywa? nie... on wolałby zignorować Ombindiego, ale skutek wymogów nowych poszukiwań nie będzie mógł pozwolić sobie na ten luksus... poszukiwania zawładną...

Gdzieś w rumowiskach Świata kryje się klucz, który przywiedzie nas z powrotem do naszej Ziemi i wolności.

Andreas rozmawia z Pawłem, który nadal przebywa w towarzystwie

osobliwie oświeconych kolegów, bawiąc się w to i owo. Po chwili, miłością i podstępem, uzyskuje adres lekarza Ombindiego.

Enzian wie, kto nim jest.

– Saint Pauli. Ruszajmy. Christianie, twój motocykl chyba trochę nawala?

– Nie przymilaj się! – wybucha gniewem chłopak. – Nic cię nie obchodzi, moja siostra też nie, ona tam gdzieś umiera, a ty tylko wstawiasz ją do tych swoich równań... ty... ty tylko odgrywasz ten numer świętego ojca, a w głębi ducha nawet nie czujesz do nas nienawiści, nie obchodzimy cię, nie jesteś już nawet z nami związany. – Wymachuje Enzianowi pięścią przed nosem. Płacze.

Enzian nie reaguje. Boli go to. Jego łagodność nie do końca podyktowana jest względami politycznymi. Czuje dość dużo twardej prawdy w słowach Christiana – może nie całość, nie wszystko naraz, ale dostatecznie dużo.

– Mocno bijesz. Możemy już po nią jechać?



Zacna *Frau* pochyła się u stóp łóżka nad Slothropem: oko bystre i dumne jak ślepie papugi, wielki biały guz gałki ocznej skierowany na cierniste ręce i nogi, gęstwina włosów pod czarną chustą na znak żałoby po wszystkich hanzeatyckich topielcach, pogrzebanych pod stępkami flot ze stali, w szarych odmętach Bałtyku, pod armadami fal, preriami morza.

Następnie pojawia się stopa Gerhardta von Gölla, która trąca Slothropa niezbyt przyjaźnie. Słońce jest wysoko, a dziewczęta znikły bez śladu. Nadąsany Otto uwija się ze szczotką i szmatą po pokładzie, sprzątając gówna po szympansach. Świnoujście.

Springer wrócił już do dawnej wesołości.

– Świeże jaja i kawa w sterówce. Bierz się do jedzenia. Za kwadrans wyruszamy.

– Ja akurat zamierzam tu przycumować, mistrzu.

– Ale ja potrzebuję twojej pomocy. – Springer ma na sobie garnitur z eleganckiego tweedu, od krawców z Savile Row, pasuje jak ulał –

– Närrisch też potrzebował twojej pomocy.

– Nie wiesz, co mówisz. – Oczy jak dwa kamienie. Śmiech, głoszący: „Ustępuj głupcom”, jest *mitteleuropäisch* i wyzbyty wesołości. – No dobrze, dobrze. Ile chcesz?

– Bo co, wszystko ma swoją cenę, tak? – Slothrop wcale nie zachowuje się szlachetnie, po prostu właśnie uświadomił sobie wysokość własnej ceny, toteż chce przedłużyć rozmowę, zyskać sekundę na oddech.

– Wszystko.

– Co to za interes?

– Drobne korsarstwo. Odbierzesz dla mnie pewną paczkę, a ja cię będę osłaniał.

– Zerka ostentacyjnie na zegarek.

– No dobra, załatw mi zwolnienie z woja, to z tobą popłynę.

– Ze co? Zwolnienie? Dla ciebie? Cha, cha, cha!  
– Powinieneś się częściej śmiać, Springer. Prześlicznie wtedy wyglądasz.  
– Jakie zwolnienie, Slothrop? Zaszczytne może, co? Ho, ho! Cha, cha, cha!  
– Podobnie jak Adolfa Hitlera, von Gölla łatwo ogarnia *Schadenfreude*, czyli radość z czyjegoś nieszczęścia.

– Przestań się wygłupiać, mówię poważnie.

– Oczywiście, że mówisz poważnie. – Springer nadal chichocze.

Wysysając jajko ze skorupki, Slothrop czeka i obserwuje, choć nie czuje się tego ranka jak cwaniak.

– Widzisz, to Närrisch miał dzisiaj ze mną płynąć. Ale zostałeś mi tylko ty. Cha, cha! Gdzie mam ci wysłać to... to zwolnienie?

– Do Cuxhaven. – Slothrop miewa ostatnio mglistą fantazję o nawiązaniu kontaktu z ludźmi od operacji „Backfire” w Cuxhaven w nadziei, że pomogą mu się wykaraskać. Wydaje się, że jest to jedyne brytyjskie ogniwo, łączące się z Rakietą. Z góry wie, że to nie odniesie skutku. Mimo wszystko uzgadnia datę ze Springerem.

– Bądź w lokalu Putziego. To na drodze do Dorum. Tamtejsi handlarze powiedzą ci, gdzie to jest.

Znów w rejs – poza mokre objęcia falochronów pruje dzielna łajba, na Bałtyk, między fale, pod chmury deszczowe, wylewające tafle wody, na nieprzyjazną sztormową aurę, która jeszcze się pogorszy. Springer stoi przed sterówką i przekrzykuje ryk bałwanów, które rozpryskują się o dziób i zalewają pokład:

– Dokąd, twoim zdaniem, płynie?!

– Jeżeli do Kopenhagi – ogorzała twarz Frau Gnahb promienieje jak słońce, dokoła oczu i ust trwałe zmarszczki od uśmiechów – to ma nad nami co najwyżej godzinę przewagi...

Widoczność tego dnia jest zbyt słaba, by zobaczyć Uznam. Springer podchodzi do Slothrop'a przy burcie, który gapi się tępo przed siebie, wdycha wszechobecną woń morskiej pogody.



– Nic mu nie będzie – uspokaja. – Wychodził cało z gorszych opresji. Dwa miesiące temu w Berlinie, pod barem „Chicago”, wpadliśmy w zasadzkę. Przebiegł przez ogień krzyżowy ze szmajserów tylko po to, żeby zaoferować naszym konkurentom układ. Ani jednego zadrapania.

– Nie opowiadaj, Springer, goniła go tam połowa Armii Czerwonej.

– Nie zabiją go. Wiedzą, kim jest. Pracował w zespole od naprowadzania, był prawą ręką Schillinga, zna się na obwodach całkujących lepiej niż ktokolwiek inny spoza Garmisch. Rosjanie oferują niebotyczne pensje – wyższe niż Amerykanie – ponadto pozwolą mu zostać w Niemczech, pracować w Peenemünde albo Mittelwerke, tak jak to robił kiedyś. Może nawet uciec, jeśli zechce, mamy kontakty, żeby –

– A jeśli jednak go zastrzelili?

– Nie. Nie powinni.

– Springer, kurwa, to nie jest kino, człowieku!

– Jeszcze nie. Nie całkiem. Ciesz się tym, póki możesz. Pewnego dnia, gdy film będzie dość szybki, sprzęt lekki, tani i zmieści się w kieszeni, światła i pogłosy staną się zbyteczne, wtedy... wtedy...

Oczom ukazuje się mityczna Rugia, widoczna z przodu, od sterburty. Kredowe klify są jaśniejsze od nieba. Opary pyłu wodnego otulają zatoki, wdzierają się między zielone dęby. Po plaży dryfują perłowe łaty mgły.

„Nasz szyper Frau Gnabp płynie do Greifswalder Bodden, by przeczesać długie zatoki w poszukiwaniu łupów. Po godzinie (przy komicznym akompaniamencie fagotu zbliżenie: zwierzęce żłopanie obrzydliwej sfermentowanej mózgowej papki z dużej puszki, wytarcie ust rękawem, beknięcie) daremnych wysiłków nasi dwudziestowieczni korsarze znów wyruszają w morze, wokół wschodniego krańca wyspy”.

Zacina lekki deszcz. Otto rozdaje sztormiaki i otwiera termos z gorącą zupą. Po niebie przemykają chmury w kilkunastu odcieniach szarości. W oddali przesuwiają się wielkie zamglone zwały skał, strome klify, bruzdy głębokich wąwozów, stalowe i zielone, kredowe wieżyce w deszczu –

Stubbenkamer, Królewski Tron, a teraz, po lewej stronie, Arkona, gdzie fale rozbijają łby u podnóża klifów, a u góry kołyszą się drzewa o białych pniach... Starożytni Słowianie wystawili tu świątynię na cześć Świątowita, boga obfitości i wojny. Stary Świątowit załatwiał interesy pod paroma pseudonimami! Jako Trzygłów, pięciogłowy Porewit, SIEDMIOgłowy Rujewit. Powiedz o tym szefowi, gdy następnym razem będzie ci mówił, żebyś miał głowę na karku! Teraz, gdy Arkona odpływa do tyłu –

– Jest! – woła Otto z dachu sterówki. Hen, daleko, spoza Wissow Klinken (to klamki z jasnego wapnia, którym opatrność sonduje zakamarki serca Slothrop), ledwo widoczna w deszczu, wlecze się w morze biała zjawa statku...

– Ustal pozycję. – Frau Gnahb chwyta ster, nogi rozstawione szeroko. – Kurs na zderzenie!

Drżący Otto kuca przy pelorusie.

– Masz, Slothrop.

Luger? Pudełko z nabojami?

– Co się...

– Przyszło dziś rano z dostawą jaj.

– Nie mówiliście, że –

– Być może jest trochę wkurzony, ale to realista. Twoja przyjaciółka Greta i ja znamy go z dawnych czasów w Warszawie.

– Springer, powiedz mi, co to za statek?

Von Göll podaje mu lornetkę. Staranne złote litery za głową szakala na upiornie białym dziobie układają się w znaną nazwę.

– Doobra. – Przez zasłonę z deszczu Slothrop próbuje zajrzeć Springerowi w oczy. – Wiedziałaś, że płynąłem z nimi. Chcesz mnie zrobić, co?

– Kiedy z nimi płynąłeś?

– Przestań się zgry...

– Posłuchaj, to Närrisch miał dzisiaj zdobyć tę paczkę, nie ty. Nawet cię wtedy nie znaleźliśmy. Czy wszędzie musisz się doszukiwać zmojy? Ja nie

kontroluję Rosjan, nie wystawiłem go –

– Nieźle rzniesz dzisiaj niewiniątko.

– Przestańcie się handryczyć, kretyni – wrzeszczy Frau Gnahb – szykować mi się... do akcji!

Kuter się zbliża, ale leniwe rozkołysane widmo „Anubisa” nie nabiera wyrazistości. Springer przynosi ze sterówki megafon i wrzeszczy:

– Dzień dobry, Procałowski! Prosimy o zezwolenie na wejście na pokład.

Odpowiedzią jest strzał z pistoletu. Springer pada jak długi za osłonę, sztormiak szeleszczącą rozmazaną smugą, przewraca się na plecy i z lejkiem megafonu sterczącym w niebo i zbierającym deszczówkę nadaje dalej:

– Zatem wejdziemy bez zezwolenia. – Kiwając na Slothrop: – Gotuj się do abordażu. – Do Frau Gnahb: – Będziemy taranować.

– Świetnie, ale – wystarczy jedno spojrzenie na rozpaloną pożądlivością twarz korsarki, by wiedzieć, że nie przyłynęła tutaj dla pieniędzy – ale kiedy?

Na morzu są tylko oni i „Anubis”. Slothrop zaczyna się nieprzyjemnie pocić. Skaliste zielone wybrzeże Rugii niknie w tle, unosząc się i opadając w szkwale. Dżong! Kolejny strzał grzechocze rykoszetem.

– Taranować! – rozkazuje Springer.

Sztorm dmie nie na żarty. Uradowana Frau Gnahb, nucąc przez zaciśnięte zęby, obraca sterem, drążki wirują, dziób odbija, celując w śródkręcie. Wali na nich biały bok „Anubisa” – czy Frau zamierza wwiercić się jak w masło? Twarze w iluminatorach, kucharka obiera ziemniaki na zewnątrz, pijak w surducie śpi na pokładzie mokrym od deszczu, jeżdżąc po deskach w rytm rozbujanego statku... och – *ja, ja*, przy jej łokciu ogromny gar w niebieskie kwiaty, pełen pokrojonych kartofli, okno, żeliwne pąki na skręconej roślinie pomalowanej na biało, lekka woń kapusty i zmywaków kuchennych, trzymany pod zlewem, staranny, ciasny węzeł nad nerkami, fartuch dokoła nóg i *ja*, och, oto nadpływa mały – och – nadpływa MAŁY – OOOCH –

OTO OTTO. Kuter wbija się w „Anubisa” z przerażającym, rozrywającym

bębenki uszne...

– Ruszamy. – Springer już na nogach.

Procałowski odwraca się i zwiększa szybkość. Frau Gnahb znowu mierzy w sterburtę jachtu, prując jego śladem. Otto rozdaje drapacze będące w hanzeatyckiej służbie nie od dziś, żelazne, chwytnie, poręczne, *Mutti* zaś wrzuca całą naprzód. Spod markiz na pokładzie „Anubisa” wychodzą pary, żeby popatrzeć, co się dzieje, dobra zabawa, pokazywanie palcami, śmiechy, radosne wymachiwanie rękoma. Dziewczęta z nagimi piersiami, zroszonymi deszczem, przesyłają dłońmi pocałunki, tymczasem orkiestra wycina „Running Between the Raindrops” w aranżacji Guya Lombardo.

Po śliskiej drabince wspina się zlany słoną wodą korsarz Slothrop, wywijając drapaczem, naśladowując Ottona – zakręcić jak lassem, puścić, ziuuuut – dyng! Springer i Otto, jeden na dziobie, drugi na rufie, zarzucają kotwice jak na komendę, wspinają się, gdy tymczasem obie jednostki uderzają w siebie, odbijają się, uderzają...

„Anubis”, stonowana biel, zwolnił, sflaczał, pozwolił się dopaść... Otto mocuje linę dokoła knag i wysadzanej muszelkami poręczy nad burtą jachtu – następnie pędzi na rufę, trampki rozbryzgują wodę, zostawiają unerwione ślady, które wypełnia deszczówka. Nowo powstała rzeka, biała i wezbrana, przetacza się z rykiem do tyłu między dwoma statkami. Springer jest już na głównym pokładzie. Slothrop zatyka lugera za pasek i rusza za nim.

Von Göll ruchem głowy filmowego gangstera posyła Slothropo na mostek kapitański. Slothrop przedziera się przez chwytające go ręce, przez powitania łamaną ruszczyzną i alkoholowe wyziewy oddechów, skręt ku drabince przy lewej burcie – wspina się i przedostaje spokojnie na mostek. Procałowski siedzi na kapitańskim krześle, z czapką zsuniętą na tył głowy, paląc cygaro Springera, do którego akurat dociera puenta niemieckiego koszarowego dowcipu, jednego z wielu w repertuarze Polaka.

– Co, u diabła, Gerhardt – Procałowski wznosi kciuk – Armia Czerwona też dla ciebie pracuje?

Slothrop:

– Witaj, Antoni. – Trzy gwiazdki na każdym z dwóch pagonów błyskają na powitanie, lecz nadaremnie.

– Nie znam pana. – Do Springera: – No dobra, jest w maszynowni. Od sterburty, za prądnicą. – To sygnał dla Slothrop, by odejść.

U stóp drabinki natyka się na Stefanię, idącą korytarzem.

– Cześć, przykro mi, że widzimy się znów w takich okolicznościach.

– Dzień dobry, mam na imię Stefania – błyskając szybkim uśmiechem po drodze.

– Na wyższym pokładzie jest alkohol, życzę miłej zabawy. – Już jej nie ma, znikła w deszczu.

Że co?

Slothrop schodzi lukiem, złązi do przedziałów maszynowni. Gdzieś nad głową biją trzy dzwony, nieśpiesznie, troszkę matowo, z lekkim pogłosem. Zrobiło się późno... późno. Przypomina sobie, gdzie jest.

Gdy zeskakuje na pokład, gasną wszystkie światła. Dmuchawy z jękiem zastygają w bezruchu. Maszynownia znajduje się o jeden poziom niżej. Czy będzie musiał to zrobić po ciemku?

– Nie mogę! – na całe gardło.

– Możesz – odpowiada głos tuż obok jego ucha.

Czuje czyjś oddech. Otrzymuje wprawny cios w kark. Światło pętli się w gęstym mroku. Lewa ręka drętwieje.

– Daruję ci prawą – szepcze głos – żebyś mógł zejść do maszynowni.

– Zaraz... – Ma wrażenie, jakby to był szpic tańczącego buta, pojawił się znikąd, żeby zawisnąć na chwilę, połaskotać go w podbródek, a potem wyrznąć w zuchwę, aż szczęki przytrząskują język.

Ból jest okropny. Smak krwi w ustach. Pot zbiera się wokół oczu.

– Ruszaj, no już.

Waha się, ale od razu czuje uszczypnięcie w kark. Auć, boli... trzyma się drabinki, ślepy jak kret, zaczyna płakać... potem przypomina sobie o lugerze,

lecz nim po niego sięga, dostaje wściekłego kopniaka między biodro a pachwinę. Pistolet upada na stalowy pokład. Slothrop klęka na jedno kolano, szuka po omacku, ale but przyciska lekko jego dłoń.

– Pamiętaj, że będzie ci potrzebna, żeby się przytrzymać drabinki. Pamiętaj. – But unosi się, ale tylko po to, by kopnąć go w pachę. – Na nogi, no już.

Slothrop dociera do następnej drabinki i zaczyna schodzić niepewnie, chwytając się jedną ręką. Czuje, że dokoła otwierają się stalowe pokrywy luku.

– Nie próbuj wrócić, dopóki nie zrobisz tego, co masz zrobić.

– Thanatz? – Język nadal boli. Nazwisko brzmi bełkotliwie. Cisza. – Morituri? – Brak odpowiedzi. Slothrop stawia stopę na wyższym szczeblu.

– Nie, nie rób tego. Ja ciągle tu jestem.

Ześlizguje się w dół, szczebel po szczeblu, roztrzęsiony, czując kłucie w pasze. Jak ma zejść? Jak miałby wejść? Próbuje skupić się na uczuciu bólu. Wreszcie stopy spoczywają na stalowej podłodze. Ślepotą. Kieruje się do sterburty, co krok uderzając goleniami o twarde krawędzie, ostre występy... Nie chcę... jak mam... sięgnąć tam... nagimi dłońmi... a jeżeli...

Nagle jęk po prawej stronie – coś mechanicznego – Slothrop podskakuje, powietrze mrozi szpary między zębami, nerwy w plecach i pasze strzykają... dosięga walcowatej bariery... może to prądnica... pochyła się i zaczyna – ręka zaciska się na sztywnej tafcie. Szarpie za nią, próbuje się podnieść, wali łbem w coś ostrego... chce podpełznąć z powrotem do drabinki, ale stracił orientację... klapie na tyłek, obraca się dokoła, powoli... niech to się skończy, niech się skończy... Ręce drapią pokład, natykają się znowu na taftę.

– Nie. – Tak: haftki i pętelki. Łamie paznokiec, próbując je rozpiąć, daje radę... sznureczki, które się poruszają, sprawnie jak wąż, płaczą się, usidlają każdy palec...

– Nie... – Przykuca, nadziewa się na coś zwisającego z sufitu. Lodowate małe uda w mokrym jedwabiu dyndają przed jego nosem. Pachną morzem.

Odwraca się, ale w tej samej chwili długie mokre włosy chlaszczą go w policzek. W którąkolwiek stronę się ruszy... zimne sutki... głęboka rozpadlina między pośladkami, perfumy, gówno i zapach słonej wody... i jeszcze woń... woń...

Gdy światło znów się zapala, Slothrop klęczy i oddycha głęboko. Wie, że będzie musiał otworzyć oczy. Przedział cuchnie teraz stłumionym światłem – śmiertelnymi możliwościami światła – tak jak ciało, w czasie wielkiego smutku, odczuwa rzeczywistą szansę bólu: rzeczywistą i straszną, tuż pod progiem... Zawiniątko w brązowym papierze znajduje się zaledwie pięć centymetrów od jego kolana, wetknięte za prądnicę. Lecz ważniejsze jest to, co płąsa śmiertelnie białe i szkarłatne na skraju jego pola widzenia... i czy drabinki prowadzące w górę i na zewnątrz naprawdę są tak bezpieczne, jak się wydają?

Z powrotem na łajbie Frau Gnahb, Springer otwiera butelkę szampana, podarunek od „Anubisa”, rozplątuje jaskrawe druciki i strzela korkiem w pożegnalnej salwie. Slothropowi dygoczą ręce, toteż wylewa większość swojej porcji. Z mostka kapitańskiego Antoni i Stefania obserwują dwa rozstające się statki, na dnie ich oczu widać bałtyckie niebo. Jej płowe włosy włóknistą pianą, policzki wyrzeźbione z mgły... mężczyzna-obłok, żona-chmura, giną, dalecy, cisi, z powrotem w sercu burzy.

Frau kieruje się na południe, wzdłuż przeciwległego brzegu Rugii, przez cieśniny. Sztorm dotrzymuje im kroku, choć zapada noc.

– Zawiniemy do Stralsundu. – Jej pooraną twarz zalewa brunatnozielony cień, żółte światło, bo w sterówce kołysze się latarenka.

Slothrop postanawia tam wysiąść. Ruszyć do Cuxhaven.

– Springer, będziesz miał dla mnie papiery na czas?

– Niczego nie mogę gwarantować – odpowiada Gerhardt von Göll.

Żegnają się w Stralsundzie, na molu, w poświęconej latarni i deszczu. Frau Gnahb całuje Slothropą, a Otto ofiarowuje mu paczkę lucky strike'ów. Springer podnosi oczy w binoklach znad zielonego notatnika i skinieniem głowy mówi *Auf Wiedersehen*. Slothrop odchodzi trapem, na mokry



*Hafenplatz*, marynarskie nogi usiłują dostroić się do stałego lądu, dalej obok bomów, masztów, ożaglowania kutrów, obok marynarzy z nocnej zmiany, którzy wyładowują towar ze skrzypiących galarów na drewniane wozy, pochylone szare konie, całujące łyse kamienie... w kieszeniach pożegnania ogrzewają jego puste dłonie...



Gdzie papież, którego berto dla mnie zakwitnie?  
Jej góra wabi mnie wonią i jedwabiem,  
Muskularni natłuszczeni niewolnicy i jej tęskne wzmianki  
O torturze niebiańskiej,  
Jak światło przeczyste – o więzach, co śpiewają,  
I biczach, których razy widma kreślą.  
Na łasce aury będąc, słyszę jej wołanie  
Co krok, gdy zapada zmrok.

Nie porzuciłem zbolącej Elżbiety.  
Przedśmiertną spowiedź odbyłem na klęczkach,  
Agnostyk w promieniach klejnotu...  
W moim ostatnim, łamiącym się tchnieniu  
Żadnej pieśni, chuci, wspomnień ani winy:  
Żadnych monet, kielichów ni świętego Głupca...

Brygadier Pudding zmarł jeszcze w połowie czerwca z powodu silnego zakażenia pałeczkami okrężnicy, jęcząc bez przerwy: „Kipi kasza, kipi groch...”. Stało się to tuż przed świtem, tak jak sobie życzył. Katje przebywała wtedy w „Białym Nawiedzeniu”, myszkując po wyludnionych korytarzach, szara i cicha przy pustych klatkach, sama częścią popielatych siatek, gęstniejącego kurzu i okien popstrzonych przez muchy.

Pewnego dnia znalazła pojemniki z taśmami filmowymi, złożone niedbale przez Webleya Silvernaila w dawnej sali koncertowej, gdzie została tylko rozpadająca się harfa marki Wittmaier, na której nikt już nie grywał, kołki połamane bezwstydnie, struny w sidłach niemoty i rdzy wyhodowanej przez wilgoć wdzierającą się nieubłaganie do wszystkich pomieszczeń. Tak się złożyło, że Pointsman był tego dnia w Londynie, wizytując Dwunasty Dom i mitrząc czas na zakrapianych alkoholem lunchach z różnymi

przemysłowcami. Czy zapomniał o niej? Czy będzie wolna? Czy już jest wolna?

W pozornej pustce „Białego Nawiedzenia” Katje odnajduje projektor, zakłada szpulę i wyostrza obraz na poplamionej wodą ścianie, tuż obok pejzażu przedstawiającego górską dolinę i figlujących durnych arystokratów. Widzi białowłosą dziewczynę w domu Pirata Prentice’a w Chelsea, o twarzy tak dziwnej, że najpierw rozpoznaje średniowieczne sale, a dopiero potem samą siebie.

Kiedy oni – ach to było tego dnia, gdy Osbie Feel uprawiał grzybki... Zafascynowana, przez dwadzieścia minut ogląda siebie w grudniowym transie. Do czego im to było potrzebne? Odpowiedź na to pytanie również kryje się w pojemnikach, toteż wkrótce zostaje udzielona – ośmiornica Grigorij w zbiorniku ogląda film z Katje. Wycinek za wycinkiem – ekran migocze, przeskoki do zapatrzonej ośmiornicy – każde ujęcie z dopisaną datą, co ukazuje postęp w wyrabianiu odruchu u zwierzęcia.

O dziwo, na samym końcu doklejono swoistą próbę przed kamerą w wykonaniu nikogo innego jak Osbiego Feela. Jest też ścieżka dźwiękowa. Osbie opisuje na gorąco sceny z filmu, do którego napisał scenariusz i który zatytułował:

## CHCIWOŚĆ ĆPUNA!

Zaczyna się od Nelsona Eddy'ego, który śpiewa w tle:

Chciwość ćpuna,  
Och, ćpuna chciwość!  
Toż to największa obrzydliwość!  
Boski nastrój nie minie,  
Zamienisz się w świnię,  
Gdy tylko cię ogarnie ĆPUNA POŻĄDLIWOŚĆ!

– Do miasteczka zbliża się dwóch zdrożonych kowbojów, Basil Rathbone i S. Z. („Pieszczota”) Sakall. U rogatek zastępuje im drogę Karzeł, który grał główną rolę w „Dziwolągach”. Ten, co mówił z niemieckim akcentem. Jest szeryfem. Przypiął sobie olbrzymią gwiazdę, która zakrywa mu prawie całą pierś. Rathbone i Sakall ściągają cugle i uśmiechają się niepewnie.

RATHBONE: To chyba nie dzieje się naprawdę, co?

SAKALL: Uuu, huu, huu! Oczywiście, że to się dzieje naprawdę, ty niezdźęczny nałogowcu, za dużo żuleż tego kaktuzu na żlaku. Mogłeż lepiej wziądz to zielzko co ja, mówiłem dzi!

RATHBONE: (z nerwowym Mdłym Uśmiechem): Nie matkuj mi po żydowsku, dobrze? Wiem, co się dzieje naprawdę, a co nie.

(Tymczasem Karzeł przybiera rozmaite zawadiackie pozy i wymachuje dwoma gigantycznymi koltami).

SAKALL: Gdybyż był na żlaku tak długo jak ja – i wiesz, który żlak mam na myżli, ty zasmarkany źmieciu – to potrafiłbyż odróżnić prawdziwego karła od zwidzianego.

RATHBONE: Ja w ogóle nie miałem pojęcia, że istnieją obie kategorie. Ty pewnie widywałeś karlich szeryfów na tym Terytorium, bo przecież nie wymyśliłbyś czegoś takiego. Czy wymyśliłbyś? Z tobą nigdy nie wiadomo, jesteś taki cwany, że możesz wykombinować cokolwiek.

SAKALL: Zapomniałeś dodać „stary łotrze”.

RATHBONE: Stary łotrze.

Śmieją się, wyszarpują kolty z kabur i odgrywają strzelaninę na żarty. Wściekły Karzeł biega w tę i z powrotem, wykrzykując piskliwie, z niemieckim akcentem, frazesy w rodzaju: „To miasto jest za małe dla nas dwóch”.

SAKALL: Obaj go widzimy. To znaczy, że istnieje naprawdę.

RATHBONE: W naszym świecie zdarzają się też wspólne halucynacje, koleżko.

SAKALL: A kto mówi o wspólnych halucynacjach? Uuu, huu, huu! Jeżeli to halucynacja, a wcale tego nie twierdzę, to musi być pejotl. Albo może liźcie bielunia...

Ta zajmująca rozmowa trwa półtorej godziny. Nie ma żadnych cięć. Przez cały czas Karzeł nie uspokaja się ani na moment, reaguje na niezliczone subtelne, niekiedy błyskotliwie prezentowane racje. Co chwila któryś z koni robi kupę w piach. Nie wiadomo, czy Karzeł zdaje sobie sprawę, że jego rzeczywiste istnienie jest przedmiotem dyskusji. Kolejna ze zręcznych dwuznaczności tego filmu. Wreszcie Rathbone i Sakall uzgadniają, że jedynym sposobem rozszędzenia sporu jest zabicie Karła, który jednak połapuje się w porę i ucieka z krzykiem w głąb ulicy. Sakall rechoce tak niepohamowanie, że spada z wierzchowca prosto do koryta do pojenia koni, a potem jest najazd kamery na Rathbone'a z jego niepewnym uśmiechem na twarzy. Cichnie piosenka:

Boski nastrój nie minie,  
Zamienisz się w świnię,  
Gdy tylko cię ogarnie ćpuna pożądliwość!

Dokręcono jeszcze krótki epilog, w którym Osbie wyjaśnia, że element chciwości należy oczywiście wpleść w fabułę, by tytuł miał uzasadnienie. Film kończy się w środku przeciągłego „ech”...

Katje jest osłupiała, ale rozumie przesłanie. Ktoś, nieznanymi przyjaciół w „Białym Nawiedzeniu” – być może sam Silvemil, który nie był fanatycznie wierny Pointsmanowi – celowo podłożył taśmy w takim miejscu, by je

znalazła. Cofa film i puszcza go od nowa. Osbie patrzy prosto w kamerę: prosto na Katje, ani śladu błazenady typowej dla ćpuna, on gra jak aktor. Nie ma mowy o pomyłce. To informacja, zaszyfrowany przekaz, który Katje rychło rozgryza: przypuśćmy, że Basil Rathbone symbolizuje młodego Osbiego Feela. S. Z. Sakall może być Pointsmanem, a szeryf Karzeł to cały mroczny dalekosiężny Plan, zawinięty w mały pakunek, pomniejszony, wyraźny cel. Pointsman dowodzi, że plan istnieje rzeczywiście, ale Osbie wie swoje. Pointsman ląduje w zastanej wodzie koryta, a plan/Karzeł znika, przerażony, obraca się w proch i pył. Przepowiednia. Uprzejmość. Katje wraca do otwartej celi, zbiera do torby parę swoich rzeczy i wychodzi z „Białego Nawiedzenia”, obok nieprzyciętych żywopłotów, które plenią się w rzeczywistości, obok wariatów przywiezionych po wojnie, wygrzewających się w słońcu. Kiedyś, pod Scheveningen, wybrała się na spacer po wydmach, aż za wodociągi, za nowe bloki mieszkalne wzniesione na miejscu zburzonych ruder, beton wciąż mokry w szalunkach, z tą samą nadzieją ucieczki w sercu – wzruszony, bezradny cień, tak dawno temu, na spotkanie z Piratem przy wiatraku nazwanym Aniołem. Gdzie Pirat teraz jest? Czy nadal mieszka w Chelsea? Czy w ogóle żyje?

Osbie tkwi w domu, żuje przyprawy korzenne, pali skręty i wstrzykuje sobie kokainę. Resztki jego wojennych zasobów. Jeden wielki wybuch. Nie kładł się od trzech dni. Patrzy promiennym wzrokiem na Katje, dokoła jego głowy słoneczna aureola w podstawowych kolorach, wymachując igłą, którą właśnie wyjął sobie z żyły, ściskając w zębach fajkę wielką jak saksofon i wkładając czapkę myśliwską, która wcale nie tłumii poświaty.

– Sherlock Holmes. Basil Rathbone. Miałam rację. – Zdyszana, upuszczając z hukiem torbę na podłogę.

Nimb pulsuje, kłania się usłudźnie. On jest też stalą, niewyprawioną skórą i potem.

– Dobrze, dobrze. I syn Frankensteina. Szkoda, że nie mogliśmy być bardziej bezpośredni, ale –

– Gdzie jest Prentice?

– W terenie, załatwia transport. – Osbie prowadzi ją do pokoju w głębi, do którego wstawiono telefony, tablicę korkową, obwieszoną karteczkami, biurka zawalone mapami, harmonogramami, „Wstępem do nauki języka współczesnych Hererów”, dziejami korporacji, szpulami kabla do nagrywania. – Jeszcze się tu nie urządziliśmy. Ale wszystko w swoim czasie, miła.

Czy to jest to, o czym ona myśli? Wskrzeszane Bóg wie ile razy i odrzucane, bo nadzieja nie ma sensu, a na pewno aż taka nadzieja? Dialektycznie rzecz biorąc, wcześniej czy później nieuchronnie pojawiłaby się jakaś kontrakcja... widocznie Katje nie była dość wyrobiona politycznie, nie na tyle, by zachować wiarę, że tak się stanie... że stanie się tak nawet wtedy, gdy druga strona będzie mieć wszystkie atuty...

Osbie sięgnął po składane krzeselka: wręcza jej dość gruby plik skopiowanych papierów.

Powinnaś wiedzieć to i owo. Przykro nam, że musimy cię popędzać. Ale koryto czeka.

Teraz, gdy jego świetlistość rozplynęła się po pokojach we wspaniałych (przez moment wprost oszałamiających) wykwitach tropikalnej czerwieni i oranżu, wydaje się, że zastygł na chwilę w postać nie-całkiem-światowego bohatera z zagubionej wiktoriańskiej książki dla dzieci, bo odpowiada na setną wersję jej pytania:

– W parlamencie życia przychodzi pora na podziały. Jesteśmy teraz w kularach, zbliżając się do sali obrad...





„Kochana Mamo, wrzuciłem dziś parę osób do Piekła...”

Fragment przypisywany Ewangelii Tomasza  
(papirus z Oksyrynchos, numer utajniony)

Kto by pomyślał, że tak wielu będzie w tym dziwacznym gmachu? Ukazują się ciągle nowi, jedni łączą się w grupy, inni drepczą w zadumie albo przypatrują się obrazom, księgom, gablotom. Można by sądzić, że to ogromne muzeum, budowla o wielu kondygnacjach, a nowe skrzydła wyrastają jak tkanka organiczna – choć jeżeli to wszystko zmierza do osiągnięcia jakiegoś konkretnego kształtu, ci, co są wewnątrz, nie dostrzegają tego. Do niektórych korytarzy można wejść tylko na własne ryzyko, o czym bez ogródek informują monitory ustawione we wszystkich wejściach. Ruch jest ślizgowy i szybki, pozbawiony tarcia, jakby się jeździło na idealnych wrotkach. Długie galerie są częściowo otwarte na morze. Działają kawiarnie, w których można wysiadywać i obserwować zachody słońca – albo wschody, w zależności od godzin sesji i zmian roboczych. Przybywają bajeczne wozy z wypiekami – wielkie jak meblowozy: należy wejść do środka, zajrzeć na niezliczone półki, a każda odsłania łakocie bardziej kleiste i słodsze niż poprzednia... nieopodal stoją kucharze z gałkami lodów, czekając w gotowości na jedno słowo sacharomaniaka, by naprędce ugnieść ciasto najprzeróżniejszej wielkości i o najprzeróżniejszym smaku i włożyć je do piekarnika... są łodzie pełne andrutów z bawarskim nadzieniem, zwieńczonych wiórkami słodko-gorzkiej czekolady, posiekanymi migdałami, czereśniami wielkości piłeczek pingpongowych oraz prażoną kukurydzą, rozpuszczoną w piance owocowej i maśle, a także tysiące rodzajów kremu, od lukrecji po boskość, wyciskanych na płaskie kamienne stoły, no i kręci się także cukierki toffi, wszystko ręcznie, czasem ciągną się aż za węgiel, wyłażą przez okna, wpełzają w inne korytarze – przepraszam pana, mógłby pan

potrzymać na chwilkę? dziękuję – dowcipniś znika bezpowrotnie, zostawiając Pirata Prentice’a – który dopiero co tu zawitał i wciąż nie może się otrząsnąć – z końcem cukierka w dłoni, a drugi koniec może być wszędzie... cóż, zobaczymy, dokąd nas ta nić zaprowadzi... włóczy się więc, uśmiechając kwaśno, nawijając metry toffi na rękę, co parę kroków odgryzając kawałek – mniem, mniem, masło orzechowe i melasa – hm, podobnie jak Trasa Numer Jeden, której odcinek biegnie przez środek Providence na Rhode Island, ten labirynt został obmyślony jako szlak dla zwiedzających. Dowcip z toffi to chyba standardowa zagrywka, by pomóc przyjezdnym w odnalezieniu drogi, bo co jakiś czas Pirat natyka się na innego nowicjusza... przystają na moment, żeby rozplątać nici, co również zaplanowano, bo to świetna okazja do spontanicznego zadzierzgnięcia znajomości. Toffi prowadzi Pirata na otwarty dziedziniec, gdzie dokoła jednego z przedstawicieli *Erdschweinhöhle* zebrał się tłumek osób awanturujących się z waźniakiem od reklamy, a przedmiotem sporu jest nic innego, jak Kwestia Herezji, będąca już cierniem w boku tego Zjazdu, a później prawdopodobnie kamieniem węgielnym. Nadchodzą artyści uliczni: akrobaci samoucy wykonują zdumiewające przewrotki na niebezpiecznie twardym i śliskim trotuarze, zespoły kazoo grają wiązanki Gilberta i Sullivana, chłopiec z dziewczynką tańczą, ale nie na ulicy, lecz trochę wyżej lub niżej, na kondygnacjach schodów, bo trzeba przeczekać zbiegowisko...

Zbierając swój kłębek toffi, który nieźle mu już ciąży, Pirat idzie na ulicę Płyty Pilśniowej: mieszczą się tu biura wszystkich Komisji, nad każdymi drzwiami widnieje nazwa: A-4... IG... PRZEDSIĘBIORSTWA NAFTOWE... LOBOTOMIA... SAMOOBRONA... HEREZJA...

– Oczywiście postrzegasz to wszystko oczami żołnierza – jest bardzo młoda, beztraska, na głowie idiotyczny damski kapelusik z tego okresu, twarz czysta i spokojna, pasuje do modnej obecnie idealnej sylwetki: brak szyi, szerokie ramiona i podniesiona talia. Idzie obok niego, stawiając długie kroki pełne gracji, ręce rozbujane, podrzuca głową – wyciąga dłoń, chwyta

trochę jego toffi, dotykając przy tym jego palców.

– Ty widzisz to wszystko jako ogród – mówi Pirat.

– Tak. Nie jesteś jednak taki drętws.

Och, jak one dają mu w kość, te nieskrępowane nastoletnie kobiety, ich energia jest tak zaraźliwa.

(Skąd się nagle wzięła orkiestra? Swingują. Ona podskakuje, chce zatańczyć jitterburga, uwolnić się od grawitacji).

Mnie to szczerze przeraża,  
Że energia aż tak zaraża  
Żeglarza, szklarza i malarza.

Obecny jesteś na każdym balu,  
Muszą wypraszać cię z lokalu,  
Nie oszczędzasz wcale szmalu,  
Zaraziłeś się!

Machnij ręką na swoje auto,  
Poderwij fajną, tę albo tamtą,  
W metrykę patrzeć dziś nie warto,  
Wszyscy mamy dziewięć miesięcy!

Prąd też sam się dziś poraża,  
Kawa sama się zaparza,  
Bo energia tak zaraża,  
Zarazisz się i ty!

Jedynym biurem na ulicy Płyty Pilśniowej, które nie styka się z innymi, umyślnie oddzielono od pozostałych, jest mała karbowana rudera, z dachu sterczy blaszana rura od pieca, na podwórzu porozrzucone zardzewiałe części samochodów, pod zszarzałym od deszczu, wysłużonym brezentem sterty drewna, przechylona przyczepa mieszkalna z jednym kołem w deszczu bębniącym o jej spłowiałą powłokę. ADWOKAT DIABŁA, obwieszcza

tabliczka, tak, tak, a wewnątrz siedzi jezuita, który występuje właśnie w tym charakterze, głosząc kazania – podobnie jak jego kolega Teilhard de Chardin – przeciw Powrotowi. Twierdzi, że masy krytycznej nie można zignorować. Gdy techniczne środki kontroli osiągają pewną wielkość, pewien stopień zintegrowania, szansa na wolność znika na zawsze. Słowo zatracą znaczenie. Ksiądz Rapiér wykląda swoje racje przekonująco i z przebłyskami wielkiej elokwencji, przy których sam się wzrusza... nie ma nawet potrzeby być tutaj, w biurze, bo z każdego miejsca w obrębie Zjazdu goście mogą się dostroić do jego namiętnych wywodów, które często wypadają w samym środku świętowania tego, co dobrze zorientowani kpiarze nazywają „masą krytyczną” (kapujesz? Niewielu skapowało w 1945, gdyż Kosmiczna Bomba dopiero czekała z drzeniem na swój debiut, nadal ukryta przed Ludźmi, określenie to padało więc tylko w rozmowach między wtajemniczonymi).

– Jestem zdania, że w naszym Świecie zaistniała teraz straszliwa ewentualność. Nie wolno nam odwrócić oczu, musimy stawić jej czoło. Być może Oni nigdy nie umrą. W granicach Ich możliwości leży teraz trwanie na zawsze – gdy tymczasem my będziemy umierać tak jak dotąd. Śmierć stała się źródłem Ich mocy. Nietrudno było to dostrzec. Przybywamy tu raz, tylko raz, toteż jasne jest, że znaleźliśmy się tutaj po to, by brać, dopóki możemy. Jeśli Oni wzięli o wiele więcej, nie tylko z Ziemi, ale od nas także – to cóż, czemu mielibyśmy Im zazdrościć, skoro Ich los jest przesądzony tak samo jak nasz? Wszyscy jedziemy na tym samym wózku, wszystkich spowija ten sam cień... tak... tak. Lecz czy to prawda? A może to ich najlepsze, najwytrwalej szerzone kłamstwo, znane i nieznanne?

– Musimy żyć ze świadomością, że być może umieramy tylko dlatego, że Oni chcą, byśmy umierali: potrzebują naszego lęku, żeby przeżyć. Jesteśmy Ich żniwem...

– To musi zmienić radykalnie charakter naszej wiary. Oczekiwać, byśmy zachowali wiarę w Ich śmiertelność, w to, że Oni też wylewają łzy, odczuwają strach i ból, że tylko udają, iż Śmierć jest na Ich usługach –

byśmy zachowali wiarę w taką Śmierć, która ma władzę nad nami i nad Nimi – to oczekiwać tego rodzaju odwagi, która – jestem świadom – nie mieści się w moim człowieczeństwie, choć trudno mi się wypowiadać za innych... Zamiast zdobyć się na taki wysiłek wiary, być może postanowimy dokonać w sobie przemiany i podjąć walkę: zażądać naszej własnej nieśmiertelności od tych, dla których umieramy. Fakt, Oni chyba już nie umierają w łóżkach, ale nadal mogą umrzeć wskutek przemocy. A jeśli nie, to chociaż nauczmy się ukrywać przed Nimi nasz strach przed Śmiercią. Na każdego wampira znajdzie się krucyfiks. Można przynajmniej zdemontować i rozebrać na części fizyczne zdobycze, które wydarli Ziemi i nam – i zwrócić je tam, gdzie ich miejsce.

– Wierzyć, że każdy z Nich umiera osobno, to wierzyć, że obumrze także Ich system – że w Historii nadal tkwi jakaś szansa odrodzenia, jakaś dialektyka. Głosić Ich nieśmiertelność to głosić Powrót.... – Brzmi to niczym wyparcie się; duchowny mówi, jakby się bał.

Dziewczyna i Pirat słuchają, wciąż stojąc przed salą, do której on chce wejść. Nie wiadomo, czy ona będzie mu towarzyszyć. Pirat myśli, że raczej nie. To pomieszczenie jest właśnie takie, jakiego się obawiał. Poszarpane dziury w ścianach, najwyraźniej po przytwierdzonych na stałe meblach, załatano byle jak gipsem. W oczekiwaniu na niego inni ludzie spędzają czas na grach, w których jawnym towarem jest ból: w czarnego luda, komórki do wynajęcia, „papier, nożyce i kamień”. Z sąsiedniej sali dobiega plusk wody i męskie chichoty, które odbijają się nikłym echem od kafelków.

„A teraz – słysząc płynną frazę spikera radiowego – pora?... Zrzucić Mydło!”.

Oklaski i piskliwe śmiechy, które trwają przez nieprzyjemnie długi czas.

– Zrzucić Mydło? – Sammy Hilbert-Spaess podchodzi do cienkiej ściany działowej i wystawia głowę na drugą stronę, żeby spojrzeć.

– Hałaśliwi sąsiedzi – zauważa niemiecki reżyser Gerhardt von Göll. – Czy to się nigdy nie skończy?

– Cześć, Prentice! – Jakiś Murzyn, którego Pirat nie rozpoznaje, kiwa głową. – Chodziliśmy chyba do tej samej elitarnej szkoły, co?

Co tu się dzieje, kim są ci wszyscy?... Nazywa się St.-Just Grossout.

– Przez prawie całą wojnę Firma kazała mi infiltrować Schwarzkommando. Nie widziałem, by zajmował się tym jeszcze ktoś. Brzmi to trochę paranoicznie, ale naprawdę chyba byłem jedynym...

Takie jawne naruszenie zasad tajności – a może to coś innego? – zbija Pirata z tropu.

– Może mógłbyś mnie... hm... wprowadzić w sytuację?

– Och, Geoffrey. O raju. – Sammy Hilbert Spaess wraca z oglądania figli pod prysznicem, kręcąc głową, podkrążone smocze oczy ciągle patrzą w dół nosa – Geoffrey, zanim ktoś dla ciebie to wszystko podsumuje, sytuacja ulegnie zmianie. Moglibyśmy skrócić wersję, jak tylko byś chciał, ale wówczas rozdzielnosc zmniejszyłaby się na tyle, że gra nie byłaby warta świeczki, naprawdę. Po prostu rozejrzyj się dokoła. Popatrz, kto tu jest.

Pirat ze zdziwieniem spostrzega sir Stephena Dodson-Trucka, który wygląda zdrowiej niż kiedykolwiek w swoim życiu. Facet osiągnął wewnętrzny spokój, na podobieństwo dobrego samuraja – za każdym razem, gdy dochodzi do konfrontacji, bez obawy, zahamowań i wyrzutów sumienia oczekuje śmierci. To zdumiewająca przemiana. W Piracie budzi się nadzieja.

– Kiedy się zmieniłeś? – pyta, bo wie, że Dodson-Truck nie obrazi się za to. – Jak to się stało?

– Oj, nie daj się ogłupić. – Kto to, na Boga, jest, z tą tłustawą czuprynką zaczesaną do góry aż na wysokości nosa Pirata? Niżej wyziera stłuczona, skruszała dusza boksera, który nie tylko udawał nokauty, ale rozmyślał też o nich w pocie czoła. To Jeremiaś („Miłosierny”) Evans, dobrze znany informator polityczny z Pembroke. – Nie, nasz mały Stevie nie jest jeszcze gotów do świętości, prawda, mój faceciku? – Klepiąc Dodson-Trucka żartobliwie po policzku, właściwie waląc go jak cepem. – Co, he, he?

– Nie, skoro wrzucili mnie tu z ludźmi twojego pokroju – odpowiada

szlachcic grubiańsko.

Ale trudno się zorientować, kto kogo prowokuje, bo Miłosierny Evans intonuje piosenkę, a śpiewak z niego koszmarny, w gruncie rzeczy to kompromitacja jego profesji –

Odmów modlitwę za informatora z ludu,  
Wyszedł z cipy jak ty i jaaa –  
Po co przybierasz minę bezczelną?  
Szpicel jest również istotą śmiertelną,  
Jak cały stan niższy i burżuaz-jaaa...  
Gdy znowu zatoniesz w dobrobycie,  
Pomyśl o nim, jak sobie radzi,  
Może lepiej, gdy ktoś cię zdradzi,  
Niż na wzdychaniu spędzić życie?

– Nie wiem, czy coś tutaj mi się spodoba. – Pirat rozgląda się niespokojnie, czując, że ogarnia go nieprzyjemne podejrzenie.

– Najgorszy jest wstyd – oznajmia Dodson-Truck. – Trzeba przez to przejść. A potem czeka następny etap – mówię jak stary wyjadacz, ale tak naprawdę ja sam dalej się nie posunąłem, wyszedłem dopiero poza wstyd. W obecnej chwili zajmuję się ćwiczeniem „natura wolności”, zastanawiam się, czy jakiegokolwiek moje działanie jest naprawdę moje, czy też zawsze robię to, czego oni ode mnie oczekują... niezależnie od tego, w co wierzę, rozumiesz... dano mi do roztrząsania problem Kontroli-Radiowej-Wszczepionej-do-Głowy-w-Chwili-Urodzenia – to swoisty koan, jak mi się wydaje. Doprowadza mnie do prawdziwego, klinicznego obłądu. Pewnie o to właśnie chodzi, tak mniemam. A kto wie, co będzie potem? Dobry Boże, oczywiście nie dowiem się, póki najpierw przez to nie przebrnę... Nie chciałbym cię jednak zniechęcać tak szybko...

– Ale nie, ja zastanawiam się nad czymś innym. Czy wy wszyscy jesteście moją grupą albo czymś? Czy mnie tu przydzielono?

– Owszem. Zaczynasz już dostrzegać dlaczego?



– Obawiam się, że tak. – Co jak co, ale są ludzie, którzy zabijają się nawzajem, i Pirat zawsze był jednym z nich. – Miałem nadzieję na... hm, to niemądre... na odrobinę miłosierdzia... poszedłem do nocnego kina, za rogiem od Gallaho Mews, na skrzyżowaniu z tą dodatkową ulicą, tą, której czasem nie widać, bo biegnie pod takim dziwnym kątem... miałem bardzo zły okres, przez który musiałem przejść... zatrucie, metaliczny smak... kwaśny smród jak spalone konopie indyjskie... chciałem tylko znaleźć miejsce, w którym mógłbym przysiąść na chwilę, a ich nie obchodzi, kim jesteś, co jadasz, jak długo sypiasz albo z kim... z kim przestajesz...

– Już dobrze, Prentice, nic się nie stało – uspokaja St.-Just Grossout, którego pozostali przezywają „Sam Biust”, ilekroć chcą go zakrzyczeć, w tych korytarzach tutaj, gdy już nic nie pozostaje oprócz odrobiny chuligaństwa.

– Ja... nie potrafię... no bo jeśli to prawda – śmiech grzęźnie boleśnie w tchawicy – to zdezerterowałem na próżno, tak? No bo gdybym w rzeczywistości nie zdezerterował...

Hasło dotarło do niego w trakcie oglądania kroniki filmowej. OD PŁASZCZA I SZPADY ZWŁASZCZA DO ZDRADY, zamigotał cekinowy tytuł przed oczyma wszystkich rekonwalescentów, którzy zebrali się na długą kinową noc bez ustalonego programu – ujęcie ukazuje niewielki tłum, stojący w zakurzonej witrynie, gdzieś w samym środku East Endu, w miejscu znanym tylko tym, którzy tam mieszkają... spadzista podłoga sali balowej, zburzonej przez bomby, biegnie pod górę, jak górską łączka, zdradliwa niczym trampolina, filary ze stiuku skręcone niczym muszle, pochylone do wewnątrz, mosiężna klatka windy, zwisająca z sufitu. Z przodu znajdowała się półnaga, włochata i zapchlona istota, jakby ludzka, okropnie blada, wiła się za pokruszonymi resztkami szklanych tafli, rozdrapując strupy na twarzy i tułowiu, upuszczając sobie krwi, skrobiąc i orząc skórę pazurami czarnymi od brudu.

„Codziennie na Smithfield Market pan Lucifer Amp urządza widowisko.

To nic nadzwyczajnego. Niejeden zdemobilizowany żołnierz i marynarz uczepił się służby publicznej, dzięki czemu zachowuje jedność ciała i duszy, przynajmniej tyle. Niezwykle jest to, że pan Amp pracował kiedyś dla Zarządu Operacji Specjalnych”.

„Właściwie to niezła zabawa – tłumaczy Lucifer, gdy kamera najeżdża, by zrobić zbliżenie tego osobnika. – Tylko tydzień mi zabrało, żeby się nauczyć”.

„Czy ma pan teraz poczucie przynależności, którego brakowało, gdy pan się tu znalazł... Czy może nadal pana nie zaakceptowano?”.

„Oni... och nie, ludzie są cudowni. Po prostu wspaniali. Żadnych problemów, żadnych”.

W tej chwili Pirat czuje klepięcie w ramię i napływającą z tyłu, z fotela po skosie, woń alkoholu oraz ciepły oddech.

– Słyszałeś? „Pracował kiedyś”. Komiczne. Nikt dotąd nie oszedł z Firmy żywy, nikt od początku świata. I nigdy nie odejdzie. – Akcent wyższych sfer, który mógłby być ambicją Pirata w czasach jego tułaczkiej młodości.

Nim zdecydował się spojrzeć za plecy, ten ktoś zniknął.

– Pomyśl o tym jako o ułomności, Prentice, takim jak brak kończyny albo malaria... to jeszcze nie koniec świata... można z tym żyć, można przeboleć...

– Ale być p...

– To nic. Być kim?

– Być podwójnym agentem? Można z tym żyć? – Patrzy na pozostałych, rachując w głowie. Każdy z nich wydaje się *co najmniej* podwójnym agentem.

– Niestety, utknąłeś tu z nami, utknąłeś – szepcze Sammy. – Pozbądź się wstydu i nie grymaś, bo my nie tolerujemy tego zbyt długo.

– To cień – jęczy Pirat. – To funkcjonuje w cieniu, na zawsze.

– Pomyśl lepiej o wolności – odzywa się Miłosierny Evans. – Nie mogę ufać nawet sobie, prawda? Czy człowiek może być jeszcze bardziej wolny?

Skoro będzie zdradzony przez kogokolwiek? Nawet przez samego siebie, kapujesz?

– Ja tego nie chcę...

– Nie masz wyboru – odpowiada Dodson-Truck. – Firma doskonale wie, że się tu zjawisz. Oczekują teraz od ciebie pełnego raportu. Albo napiszesz go dobrowolnie, albo w inny sposób.

– Ale ja nie... Nigdy bym im nie powiedział... – Uśmiechy, którymi go obdarzają, są celowo okrutne, by pomóc mu trochę. – Naprawdę... naprawdę mi nie ufacie?

– Oczywiście, że nie – mówi Sammy. – A ty byś ufał któremuś z nas?

– Och, nie – szepcze Pirat. To jego łza płynie. Niczyja inna. Jest to wędrówka, w którą Oni potrafią się wmieszać z taką samą łatwością, jak w wypadku każdego klienta. Niespodziewanie dla samego siebie Pirat zaczyna płakać. Dziwne. Nigdy przedtem nie płakał na oczach innych. Lecz rozumie, gdzie się znalazł. Być może ostatecznie umrze w zapomnieniu, nie pomógłszy nikomu: bez miłości, zaufania, pogardzany, niezrehabilitowany – zostanie tu, na dole, wśród pominiętych, jego biedny honor utracony na zawsze, niepodobna go odnaleźć ani odkupić.

Płacze za konkretnymi ludźmi, miejscami i przedmiotami, które zostawił: za Scorią Mossmoon, która mieszka w St. John's Wood z arkuszami papieru nutowego, nowymi przepisami, małym kojcem pełnym wyżłów weimarskich, ich czystość rasową gotowa jest zachować za najwyższą cenę, i mężem Clive'em, który zjawia się raz na jakiś czas, Scorpia zaledwie kilka minut metrem od Pirata, lecz teraz stracona na zawsze, nie ma szans, by któreś z nich się cofnęło... za tymi, których zdradził w trakcie swojej służby dla Firmy, Anglikami i cudzoziemcami, za naiwnym łonem, Gongylakisem, Małpiatką i alfonsami w Rzymie, za Bruce'em, który się spalił... za partyzanckimi nocami w górach, gdzie zjednoczył się z zapachem żywych drzew, przepełniony miłością do niezaprzeczalnego wreszcie piękna nocy... za dziewczyną z Midlands imieniem Virginia i ich dzieckiem, które nigdy się

nie narodziło... za zmarłą matką i konającym ojcem, za niewiniątkami i głupcami, którzy chcą mu zaufać, biedne twarze, ich los przesądzony jak los psów, co patrzyły na nas przyjaźnie zza miejskich ogrodzeń... płacze nad przyszłością, którą dostrzega, bo ona napawa go rozpaczą i chłodem. Będzie kursował od jednej wzniosłej chwili do drugiej, obserwował spotkania Wybrańców, oglądał próby nowej Kosmicznej Bomby. „No cóż – mądra stara twarz, wręczając mu czarne okulary – oto masz swoją Bombę...”, potem się odwraca, by zobaczyć gęsty żółty grzyb wyrastający na plaży, w odległości wielu mil pacyficznych fal... dotykając słynnych zamachowców, owszem, dosłownie dotykając ich ludzkich rąk i twarzy... dowiadując się pewnego dnia, jak dawno temu, na jak wczesnym etapie gry zawarto z nim kontrakt. Nikt nie wie dokładnie, kiedy spadnie cios – każdego ranka, jeszcze przed otwarciem targowisk, przed nadejściem mleczarzy, Oni uaktualniają swoje plany, decydują, czego „ma dzień dosyć”. Każdego ranka nazwisko Pirata znajdzie się na liście, a pewnego dnia figurować będzie tam jedno z pierwszych. On próbuje stawić temu czoło, choć myśl ta napełnia go przerażeniem tak czystym i lodowatym, że przez chwilę jest bliski zemdlenia. Później, wycofawszy się trochę, zbiera siły do następnego wypadu i wydaje mu się, że poradził sobie ze wstydem, tak jak mówił Dodson-Truck, owszem, wstyd ma już za sobą, teraz jest wystraszony, pełen obaw wyłącznie o własną dupę, bezcenną, potępioną, osobistą dupę...

– Czy tutaj jest pomieszczenie dla zmarłych?

Pirat słyszy to pytanie, zanim ją spostrzega. Nie wie, jak weszła. Od wszystkich innych facetów bije teraz męska zazdrość, chłód i dystans, jakby mówili: „Kobieta na okręcie przynosi pecha”. Pirat zostaje sam z nią i jej pytaniem. Oferuje jej dźwiganą kulę toffi, gapowaty jak Disneyowska Świnka z tykającą bombą anarchisty. Ale nie będzie słodko. Przyszli tu po to, by pohandlować bólem i wymienić się kilkoma prawdami, wszystko w roztargnionym stylu tego okresu:

– Przestań, przecież nie jesteś zmarła. Nawet nie w przenośni. – Co za

idiotyczne problemy ona sobie stwarza w wyobraźni?

– Pytam, czy mogłabym tu przyprowadzić swoich zmarłych – wyjaśnia Katje. – Są jakby moimi listami uwierzytelniającymi.

– Poczulem sympatię do Fransa van der Groova. Twojego przodka. Tego od dodo.

Ona innych zmarłych ma na myśli.

– Chodziło mi o ludzi, którzy swoją martwość zawdzięczają bezpośrednio mnie. Poza tym, gdyby Frans tu kiedykolwiek zawitał, stanęlibyście wszyscy dokoła niego, próbując uświadomić mu skalę jego winy. Świat, w którym żył ten biedak, miał niewyczerpane zasoby dodo. Po co uczyć go o zagładzie gatunku?

– Ty sama mogłabyś mu niejedno o tym powiedzieć, co, dziewczynko? – kpi przygłuchy walijski donosiciel Evans.

Pirat rusza na niego, ręce rozsunięte szeroko w stylu knajpowych awanturników, lecz wtrąca się Dodson-Truck.

– Przyzwyczaj się do takiego gadania, Prentice, innego nie będzie, bo jesteśmy zahartowaną zgrają. Lepiej zacznij się tutaj urządzać. Trudno powiedzieć, ile czasu będziemy tu tkwić, prawda? Jak mniemam, ta młoda pani wytworzyła w sobie odpowiedni system odpornościowy. Wcale nie chce, żebyś bronił jej dobrego imienia.

Cóż, facet ma rację. Katje kładzie Piratowi ciepłą dłoń na ramieniu, potrząsając dwukrotnie głową i parszcząc wstydliwie śmiechem.

– Cieszę się, że cię widzę, kapitanie Prentice.

– Tylko ty się cieszysz. Pomyśl o tym.

Ona unosi brwi. To kurewstwo mówić coś takiego. Skrucha albo spóźnione pragnienie czystości wdziera się w jego krwiobieg niby wstrzyknięty narkotyk.

– Ale – zaskoczony wali się u jej stóp, jak karabiny ustawione w kozły, pochwycony w orbitę jej grawitacji, odległości skasowane, faliste linie bezkresne – Katje... gdybym cię nigdy nie zdradził...

Upadł. Ona traci rezon. Patrzy na niego zdumiona.

– Nawet jeśli ceną byłoby... zdradzenie innych, zranienie... albo zgładzenie innych... to wtedy nie miałyby znaczenia, kto by to był, ilu by było, gdybym tylko mógł być gwarancją twojego bezpieczeństwa, Katje, twoim idealnym...

– To są grzechy, których może nigdy nie popełnisz. – Targują się jak para alfonsów. Czy mają pojęcie, jak to wygląda? – Łatwo składać takie przyrzeczenie, to nic nie kosztuje.

– No to weź te, które popełniłem – upiera się on przy swoim. – Popełniłbym jeszcze raz...

– Ale nie możesz, więc i tak wykręciłbyś się tanim kosztem. Hm?

– Mógłbym ponownie dokonać takich samych wyborów – mówi, posępniejszy, niżby ona chciała.

– Och, pomyśl... – jej palce wplatają się w jego włosy – pomyśl o tym wszystkim, co zrobiłeś. Pomyśl o swoich listach uwierzytelniających i o moich też...

– Ale to jedyny środek, który nam pozostał! – krzyczy Pirat. – Nasz dar wyznawania złej wiary. Będziemy musieli zbudować na tym wszystko... handlować tym, jak prokuratorzy handlują twoją wolnością.

– Filozof – z uśmiechem. – Nigdy taki nie byłeś.

– To musiało się wziąć z tego, że zawsze pozostawałem w ruchu. Nigdy dotąd nie czułem takiego wyhamowania...

Dotykają się, bez pośpiechu, wyciszeni, oboje jeszcze ogarnięci zdumieniem...

– Mój mały brat (Pirat rozumie, do czego ona nawiązuje) opuścił dom rodzinny w wieku osiemnastu lat. Lubiłam patrzeć nocą, jak śpi. Długie rzęsy... taki niewinny... patrzyłam godzinami... Pojechał do Antwerpii. Zaczął się włóczyć z innymi po kościołach parafialnych. Wiesz, o czym mówię? Młodzi katolicy. Co ciągną za wojskiem. Wielu z nich szybko uzależniło się od wódki. Wybierali sobie konkretnego księdza, któremu

stawali się wierni jak psy – wystawali nocami pod jego drzwiami, by pomówić z nim rankiem, gdy tylko się zbudzi, wygrzebie z pościeli, intymne wonie, które nie zdążą wyparować z fałd ubrania... obłąkańcza zazdrość, codzienna rywalizacja o lepszą pozycję, o względy tego lub tamtego księdza. Louis zaczął chadzać na zebrania reksistów. Poszedł na stadion piłkarski i usłyszał Degrelle'a, który przekonywał tłumy, że muszą dać ponieść się fali, że muszą działać, działać, a reszta sama się dokona. Potem mój brat wylądował z miotłą na ulicy, razem z innymi sarkastycznymi młodzieńcami, którzy też byli winni i dlatego też trzymali miotły w dłoniach... następnie wstąpił do reksistów, do „królestwa pełnych dusz”, i ostatnie wieści mówiły, że mieszka w Antwerpii ze starszym mężczyzną imieniem Philippe. Straciłam go z oczu. Kiedyś byliśmy sobie bardzo bliscy. Ludzie brali nas za bliźnięta. Gdy zaczęły się ataki rakietowe na Antwerpię, wiedziałam, że to nie może być przypadek...

No tak, Pirat należy do zboru nonkonformistów.

– Zastanawia mnie solidarność twojego Kościoła... klękasz, to cię ogarnia... gdy zachowujesz się politycznie, czujesz ten cały powszechny pęd, który wynosi cię w górę...

– Nigdy tego nie doświadczyłeś, co? – Ona naprawdę patrzy na niego. – Nie ma żadnych cudownych wymówek. Wszystko robiliśmy na własną odpowiedzialność.

A jednak nie wyzbył się wstydu, tutaj to niemożliwe, nie sposób tego przełknąć, tkwi ostre i wstrętne w gardle, trzeba nauczyć się z tym żyć w bólu każdego dnia.

Bez namysłu łąduje w jej ramionach. Nie chodzi o pociechę. Jeżeli jednak ma się gramolić po kolejnych trybach koła zębatego, to musi czasem przystanąć, żeby poczuć dotyk innego człowieka.

– Jak to wyglądało, Katje? Ja zobaczyłem zorganizowany zjazd. Ktoś inny zobaczył ogród... – Wie, co od niej usłyszy.

– Nic tam nie było. Pustkowie. Przez większość czasu szukałam oznak



życia. A potem nagle zobaczyłam ciebie.

Podchodzą do balkonu, śliczna poręcz, nikt ich nie widzi z zewnątrz ani od środka: niżej, na ulicach, których ich pozbawiono, są Ludzie. Przed oczyma Pirata i Katje przesuwa się teraz fragment o wiele dłuższej kroniki, anonimowego dzieła pod tytułem „Jak pokochałem ludzi”. „Na imię miała Brenda, jej twarz była jak ptaszek przy uśmiechniętej atrapie chłodnicy tego samochodu chroniącego nas od deszczu, uklękła i doprowadziła mnie ustami do orgazmu, a sperma wytrysnęła na jej piersi. Na imię miała Lily, w sierpniu skończyła sześćdziesiąt siedem lat, czytała na głos nazwy piw z etykietek, kopulowaliśmy w typowej angielskiej pozycji, poklepała mnie potem w plecy i szepnęła: «Dobry kolega». Na imię miał Frank, kręcone włosy, oczy czujne, ale miłe, kradł ze składów armii amerykańskiej, wyruchał mnie w dupę, a gdy się we mnie spuszczał, ja też się spuściłem. Na imię miała Frangibella, Murzynka o dziobatej twarzy, chciała forsy na narkotyki, jej otwartość była jak żmija, która wiała się w moim sercu; wylizałem ją. Na imię miał Allan, opalone pośladki, zapytałem, gdzie złapał tyle słońca, a on powiedział, że za rogiem, rzuciłem go na poduszkę i wydupczyłem, krzyczał z rozkoszy, póki mój nasmarowany tłok nie wystrzelił. Na imię miała Nancy, sześciolatka, poszliśmy za mur obok leja pełnego gruzów, ocierała się o mnie i ocierała, mleczne drobne uda na moich, oczęta zamknięte, śliczny nosek skakał do góry, w dół, rumowisko spadało stromo o krok od nas, balansowaliśmy na samej krawędzi, rozkosznie. Na imię miała...” – te i inne historie przebiegają przed oczyma naszej pary, dostatecznie ich dużo, by oboje zrozumieli, że zamiary rozochoczonego Anonima są niczym innym, jak megalomańskim planem cielesnego obcowania po kolei z każdym przedstawicielem ludzkości na Ziemi – i że gdy wreszcie wszyscy w jakiś cudowny sposób zostaną zaliczeni, będzie to, z grubsza rzecz biorąc, definicja „miłości do ludzi”.

– Weźcie to sobie, oszuści z Branż. – Pirat chce wpaść w humorystyczny ton, ale mu się nie udaje. Obejmuje Katje, jak gdyby za chwilę miała rozbrzmieć muzyka, do której zatańczą.

– Ludzie nie pokochają ani ciebie, ani mnie – szepcze dziewczyna. – Bez względu na to, jak określi się dla nich zło i dobro, my zawsze będziemy źli. Czy wiesz, w jakiej nas to stawia sytuacji?

On się uśmiecha krzywo, jak człowiek, który po raz pierwszy w życiu zachowuje się teatralnie z jakiegoś powodu. Zdając sobie sprawę, że od tego ruchu nie będzie odwołania, że to taka sama kategoria nieodwracalności, jak sięgnięcie po broń, kieruje twarz ku górze i patrzy przez nadbudowane kondygnacje, na wskroś skupiska wszelkiego rodzaju grzesznych dusz, wszystkich nieprzyjemnych handlowych barw, od akwamaryny po beż, sierocych jak światło słoneczne w dniu, gdy raczej wolelibyśmy deszcz, hałaśliwa działalność i zgiełk wszystkich poziomów ciągną się dalej niż Pirat i Katje potrafią dojrzeć w tej chwili, on zwraca swoją długą, na zawsze ujarzmioną twarz winowajcy ku pozorom nieba, ku realności presji i brzemienia napierających z góry, brutalności i okrucieństwu tego stanu rzeczy, ona tymczasem wciska swoją w miękką depresję między jego ramieniem a obojczykiem, mina wyrażająca rozejm, wytchnienie od lęku, i w miarę jak trwa zachód słońca tego rodzaju, który przeobraża na chwilę fasady domów w jasną szarość, w popielate miękkie plewy jasności pokrzykującej na zewnętrznych wypukłościach, zachód słońca pod postacią żaru w kuźni, zaniepokojeni przechodnie patrzą przez niewielkie okno sklepowe na widoczną niewyraźnie za łuną sylwetkę zapracowanego kowala, który nie zwraca na nich uwagi, wylęknieni, bo wydaje się, że tym razem światło zgaśnie bezpowrotnie, wystraszeni o tyle bardziej, że utrata światła nie jest prywatną sprawą, gdyż wszyscy na ulicy to widzą... tymczasem ściemnia się, orkiestra w sali przygrywa ostro, z kopyta... wreszcie zapalono kandelabry... w piekarnikach rumieni się dziś cielęcina po florencku, trunki na koszt Lokalu, w hamakach śpią już pijani –

Świat roztańczył się dziś wieczór!

Kto wie, gdzie rankiem dreptały nasze buty?

Kto wie, ilu przyjaciół zostawiliśmy samotnych i strutyach?

Mamy wspólną chwilę,  
Nucić będziemy tę piosnkę cały dzień...  
Wszyscy dziś tańczą o zmierzchu,  
Żeby odegnać zły sen....

Faktycznie, tańczą, choć dotąd Pirat nie potrafił, no cóż... w ruchu czują się zespoleni z resztą uczestników balu, a jeżeli nigdy nie odprężą się w pełni, to trudno, w końcu to nie jest urlop wypoczynkowy... rozpływają się więc w pędzie i wirze tego tańca odrzuconych, a ich twarze, kochane, komiczne twarze, nastrojone odpowiednio do okoliczności, nikną, jak zanika niewinność, z zawziętą kokieterią, próbując zachować życzliwy wyraz...



Mgła gęstnieje w gardłach wąskich *Gassen*. Powietrze tchnie morską wodą. Bruk jest mokry po nocnym deszczu. Slothrop budzi się w wypalonym zakładzie ślusarskim, pod stojakami pełnymi okopconych kluczy, od których zgubiono zamki. Wychodzi chwiejnym krokiem na dwór, znajduje pompę na dziedzińcu wśród murów i kwaterkowych okien, z których nikt nie patrzy, wkłada głowę pod kran i pompuje dopóty, dopóki nie uzna, że już dość. Rusza dalej. Włóczy się za nim od drzwi do drzwi rudawy kot, dopraszający się miauczeniem śniadania.

– Przykro mi, mistrzu.

Nie wygląda na to, by któryś z nich zaliczył śniadanie.

Podciąga spodnie Cziczierina i wymaszerowuje z miasta, zostawiając za sobą tępe wieże, kopuły z pozieleniałej miedzi, pływające we mgle, strzeliste szczyty domów i czerwone dachówki. Zabiera go kobieta powożąca pustą furą. Płowy pukiel na czole konia podskakuje i faluje, a za plecami osadza się mgła.

Tego ranka świat wygląda tak, jak niechybnie widzieli go wikingowie, żeglując po nawadnianej łące południa, szeroka droga do Bizancjum, cała wschodnia Europa otwartym morzem: zielone i szare pola uprawne falują jak ono... wydaje się, że sadzawki i jeziora nie mają wyraźnie zarysowanych brzegów... widok innych ludzi – nawet żołnierzy – na tle tego oceanicznego nieba przynosi radość niby widok obcego żagla po wielu dniach samotnego rejsu...

Narody w ruchu. Rzeka ludzka zaciera granice. Folksdojczy z za Odry, wypędzeni przez Polaków, kierowani są do obozu w Rostocku, Polacy z kolei albo umykają przed komunistami z Lublina, albo wracają do domów, oczy obu stron, gdy się spotykają, ukryte za szańcami kości policzkowych, oczy o wiele starsze niż przyczyny, które zmusiły ich do wędrówki, Estończycy, Łotysze i Litwini ciągną na północ, zimowa odzież z wełny w ciemnych

tobołach, buty zdarte na wiór, piosenki za trudne do zaśpiewania, rozmowy pozbawione sensu, Niemcy z Sudetów i Prus Wschodnich krążą między Berlinem a obozami uchodźców w Meklemburgii, Czesi i Słowacy, Chorwaci i Serbowie, Albańczycy, Macedończycy, Węgrzy, Wołosi, Czerkiesi, Hiszpanie i Bułgarzy mieszają się i kipią z imperialnego garnca, ścierając się, lejąc kilometrami, wyparowując, otepiali, obojętni na wszystkie siły impetu prócz tych najważniejszych, nietrwałość nazbyt głęboko pod ich swędzącymi stopami, by nadać jej kształt, białe nadgarstki i kostki, niewiarygodnie uschnięte, sterczą z rękawów i nogawek obozowych pasiaków, kroki lekkie w kurzu jak stąpanie wodnego ptactwa, do tego cygańskie tabory, osie i lony kół pękają, zdychają konie, rodziny porzucają wozy na poboczach, by inni zamieszkali w nich nocą; za dnia na białych od gorąca autostradach wlokące się ociężałe samochody ustępują miejsca konwojom wojskowym i pociągom na przejazdach kolejowych, Białorusini gorzknieją od bólu na drogach na zachód, byli kazachscy jeńcy maszerują na wschód, weterani Wehrmachtu z różnych części Niemiec, obcy w Prusach jak byłe Cyganie, dźwigają tłumoki zawinięte w ocalałe wojskowe koce, bladozielone trójkąty, oznaczające rolnika, naszyte na bluzach, które o zmierzchu trzepoczą niby płomyki świec w procesji religijnej – mieli dziś ruszyć do Hanoweru, mieli zebrać ziemniaki po drodze, przecież już miesiąc z okładem szukają tych nieistniejących kartoflisk – splądrowanych – niegdysiejszy trębacz kuśtyka z kawałkiem podkładu kolejowego zamiast laski, instrument, o dziwo, w idealnym stanie, błyszczący, zwisając z ramienia – ogołoczone przez SS, *Bruder, ja*, każde najmniejsze kurewskie kartoflisko ogołoczone, i po co? Żeby zrobić alkohol. Nie, nie do picia, do rakiet. Moglibyśmy jeść kartofle, a alkohol moglibyśmy pić. A tak co? Niewiarygodne.

– Co niewiarygodne, rakiety?

– Nie, esesmani zbierający kartofle! – Rozgląda się, by zobaczyć, czy któryś z pozostałych się roześmieje, lecz nikt nie słucha fanfar i przygrywek jego lekkiego serca.

Służyli w piechocie, toteż umieją się zdrzemnąć w marszu – rankiem o pewnej godzinie osuną się na pobocze, osad wytrącony z przetwarzanych płodów rolnych w te pracowite noce, tymczasem niewidzialne gotowanie trwa, wszystko kotłuje się i bulgocze – garnitury w prążki z namalowanymi na plecach krzyżami, złachmanione żołnierskie i marynarskie mundury, białe turbany, skarpetki nie do pary albo brak skarpetek, kraciaste suknie, szale o gęstym splocie, spowijające niemowlęta, kobiety w wojskowych spodniach, rozdartych na kolanach, objedzone przez pchły, i rozszczekane psy, biegające stadami, wózki dziecięce, zapełnione stosami lekkich mebli w poobijanej okleinie, łączone ręcznie czopami szuflady, które nie będą już pasować do żadnej szafki, ukradzione kurczaki, żywe i zdechłe, instrumenty dęte i skrzypce w czarnych sfatygowanych futerałach, narzuty na łóżko, fisharmonie, zegary szafkowe, skrzynki pełne narzędzi stolarskich, zegarmistrzowskich, tapicerskich, chirurgicznych, obrazy ukazujące różowe córeczki w białych sukniach, zakrwawionych świętych oraz łososiowe i purpurowe zachody słońca nad morzem, paczki wypchane węzami boa o ślepiach jak paciorki, lalkami uśmiechającymi się ognście czerwonymi ustami, żołnierzyki Allgeyera, wysokie na jeden i ćwierć cala, pomalowane na kremowo, złoto i niebiesko, garście stuletnich agatów, zatopionych najpierw w miodzie, który osładzał życie dawno zmarłych pradziadków, potem w kwasie siarkowym, żeby przypalić cukier do postaci smug, brązowych i czarnych, widocznych na kamieniu, nieśmiertelne wykonanie fortepianowe na wałkach Vorsetzera, czarna bielizna ze wstążkami, sztuce herbowe w kwiaty i winogrona, karafki z rżniętego szkła, filizanki w kształcie tulipanów w stylu Jugendstil, sznury bursztynów... tak oto przemieszczają się narody, po rozległej łące, utykając, maszerując, powłócząc nogami, ciągnąc szlakiem detrytusu pozostałego po europejskim i burżuazyjnym porządku, który zburzono na zawsze, z czego nie zdają sobie sprawy.

Gdy Slothrop ma papierosy, obstepują go inni, gdy ktoś ma żywność, dzieli

się z pozostałymi – jeżeli akurat w pobliżu koncentruje się wojsko, trafia się czasem partia wódki, żołnierskie puszki kradnie się dla wszelkiego rodzaju użytecznych śmieci: obierzyn po kartoflach, łupin po melonach, kawałków słodczy zastępujących cukier, niepodobna powiedzieć, co ląduje w kotłach uchodźców, a to, co pijesz, jest przetworzonym odpadem, niepotrzebnym okupantowi. Slothrop krąży między dziesiątkami kolumn tych cichych, szurających nogami, głodnych ludzi, i za każdym razem widok ten wzbudza w nim reakcję jak po amfetaminie – żadnej twarzy nie potrafi zignorować, w tym sęk, wszystkie są zbyt władcze, niczym twarze graczy na wyścigach konnych, każda ponagla: „Nie, patrz na mnie, wzrusz się, sięgnij po aparat fotograficzny, po broń, wyjmij fiuta...”. Zdarł z munduru Cziczierina wszystkie dystynkcje, nie chcąc rzucać się w oczy, choć mało kto zwraca dziś uwagę na szlify...

Przeważnie wędruje jednak sam. Zachodzi do gospodarstw rolnych, opuszczonych nocą, sypia na sianie, a jeżeli trafi się siennik (nieczęsto), to w łóżku. Budzi się w blasku słońca, odbijającym się od jakiegoś małego jeziora, otoczonego zielenią upstrzoną kwieciem tymianku i gorczycy, trawiasty stok pnie się ku sosnom we mgle. Żerdki pod pomidory i fioletowa naparstnica na podwórkach, ogromne gniazda pod okapami strzech, ptasie trele o poranku, a wkrótce, pewnego dnia, gdy lato wykonuje ociężały zwrot na niebie, klangor żurawi w drodze.

Daleko na południe od Rostocku Slothrop chroni się przed deszczem w gospodarstwie nad rzeką, zasypia w bujaku na werandzie i śni o Chyżym Mucker-Mufficku, przyjacielu z dawnych czasów. Chyży wrócił nareszcie, na przekór wszystkiemu. Znajdują się w plenerze, na angielskiej wsi, wywatowanej pociemniałą zielenią i zdumiewająco jaskrawą słomkową żółcią, gdzie na wzniesieniach sterczą bardzo stare skały, gdzie od dawna dźwiga się brzemień śmierci i podatków, a wiejskie dziewczęta wychodzą nocą z domów, by śpiewać nago na pagórkach. Przybyło mnóstwo przyjaciół i krewnych Chyżego, wszyscy w nastroju do spokojnego świętowania jego



powrotu. Rozumieją, że to tylko wizyta: że on jest „tutaj” jakby warunkowo. W pewnej chwili to wszystko się rozsypie od nadmiernego myślenia. Uprzątnięto trawnik pod tańce, zjawiła się wiejska kapela i mnóstwo dziewcząt w białych strojach. Po krótkim zamieszaniu, dotyczącym programu dnia, zwołuje się zebranie – w pomieszczeniu pod ziemią, ale nie jest to grobowiec ani krypta, nic złowrogiego, krewni i przyjaciele tłoczą się tam dokoła Chyżego, który wygląda bardzo realnie, nietknięty przez ząb czasu, czysty i pełen barw...

– Rany, cześć, Slothrop.

– Och, a gdzieś ty się podziewał, kumplu?

– Tutaj.

– Jak to „tutaj”?

– Tak to, właśnie tak, jak myślisz, raz czy dwa mnie usunięto, ale chodziłem po tych samych ulicach, co ty, czytałem te same wiadomości, byłem ograniczony do tej samej palety barw...

– To w takim razie nie...

– Ja nic nie zrobiłem. Zaszła zmiana.

Tutejsze kolory – lico skały, kwiaty noszone przez gości, dziwne kielichy na stołach – tchną półtonem przelanej i zakrzepłej krwi, delikatnej karbonizacji w pustych częściach miast o czwartej po południu w niedzielę... to sprawia, że obramowanie garnituru Chyżego staje się wyraźniejsze, garnituru żigolaka, o nadzwyczaj cudzoziemskim kroju, z całą pewnością Slothropowi nie przyszłoby do głowy, by włożyć coś takiego...

– Chyba nie mamy za wiele czasu... Wiem, że to chamstwo i samolubstwo, ale jestem teraz taki samotny i... Słyszałem, że podobno, gdy to się dzieje, człowiek tkwi jeszcze na miejscu przez jakiś czas, na przykład opiekuje się przyjacielem, który tutaj został...

– Czasami. – Chyży się uśmiecha: lecz jego wesołość i dystans są bezradnym krzykiem, którego brzmienie nie dociera do uszu Slothropo.

– Opiekujesz się mną?

– Nie, Tyrone, nie tobą...

Slothrop siedzi w starym zużytym bujaku i patrzy na ciąg falistych wzgórz, a przez ostatnią chmurę deszczową właśnie przedziera się słońce, obracając mokre pola i stogi siana w złoto. Kto przechodził obok i zobaczył go śpiącego, z twarzą białą i zatroskaną, z głową opuszczoną na pierś pod zabłoconym mundurem?

W trakcie marszu przekonuje się, że gospodarstwa są odwiedzane, lecz nie natyka się na nikogo groźnego. Belki dębowe skrzypią nocami, szczerze, drewniane. Niedojone krowy leżą zbolące na odległych polach, inne przychodzą na podwórka i upijają się sfermentowaną kiszonką, włożą na płoty i kopy siana, w których sypia Slothrop, muczą bełkotliwymi umlautami. Na dachach bociany, długie szyje wygięte ku niebu, głowy spuszczone, śleпка zapatrzona w tył, trzaskają dziobami na powitanie i w wyrazie miłości. Nocą zakradają się króliki, by zjeść to, co zostało na podwórkach. No i drzewa – Slothrop wreszcie zwraca coraz większą uwagę na drzewa. Gdy droga prowadzi przez las, dotyka pni, przygląda się im, siada w spokoju pod koronami, bo rozumie, że każde drzewo jest istotą, która ma własne życie, świadomą tego, co dzieje się dokoła, że to coś więcej niż kawałek drewna do porąbania. Ród Slothropa zbił majątek na ukatrupianiu drzew, na odcinaniu pni od korzeni, amputowaniu gałęzi, cięciu, roztwarzaniu na pulpę, bieleniu pulpy na papier, za co płacono mu innym papierem.

– To obłąd. – Kręci głową. – W mojej rodzinie zagnieździł się obłąd. – Podnosi wzrok. Drzewa stoją nieruchomo. Ale wiedzą, że on tu jest. Prawdopodobnie wiedzą też, co myśli. – Przykro mi – mówi. – Nic nie poradzę na tych ludzi, oni są poza moim zasięgiem. Co mam zrobić?

W pobliżu niewysoka sosna kiwa zieloną koroną i sugeruje:

– Następnym razem, gdy trafisz na drwali, podkradnij się do traktora, którego nikt nie pilnuje, i zwęź filtr oleju. Przynajmniej to możesz zrobić.

CZĘŚCIOWA LISTA ŻYCZEŃ NA WIDOK  
GWIAZD WIECZORNYCH

Żeby znaleźć tę klatkę z kurami, o której mówiła mi staruszka.  
Żeby Chyży naprawdę żył.  
Żeby ten kurewski syf na plecach zniknął.  
Żeby pojechał do Hollywood, gdy to już się skończy, i żeby Rita Hayworth  
zakochała się we mnie.  
Żeby ten dzisiejszy spokój przetrwał do jutra, gdy się obudzę.  
Żeby zwolnienie ze służby czekało na mnie w Cuxhaven.  
Żeby Bianca była bezpieczna i-i-i...  
Żeby wreszcie zrobił kupę.  
Żeby to był tylko meteoryt.  
Żeby buty wytrzymały przynajmniej do Lubeki.  
Żeby ten Ludwig odnalazł swojego leminga, był szczęśliwy i zostawił mnie  
w spokoju.

No właśnie, Ludwig. Slothrop spotyka go jednego ranka nad brzegiem anonimowego niebieskiego jeziora, zadziwiająco gruby dzieciak w wieku ośmiu, dziewięciu lat, zapatrzony w wodę, beczy, odbicie rozpada się na koncentryczne kręgi. Uciekła mu samiczka leminga. Na imię ma Urszula. Szukając jej, Ludwig dotarł tu aż z Pritzwalk. Jest pewien, że Urszula kieruje się nad Bałtyk, boi się jednak, że ona weźmie jedno z tych jezior za morze i wskoczy...

- Jeden leming, mały?
- Miałem ją dwa lata – lka chłopiec. – Była grzeczna, nigdy nie próbowała... nie wiem. Coś ją napadło.
- Przestań się zgrywać. Lemingi nigdy nie robią nic w pojedynkę. Muszą być w stadzie. To zaraźliwe. One rozmnażają się w nadmiarze, to się dzieje cyklicznie, a gdy jest ich za dużo, wpadają w panikę i biegną szukać

pożywienia. Rozumiesz, Ludwig? Uczyłem się o tym na studiach, wiem więc, o czym mówię. Na Harvardzie. Może ta twoja Urszulka popędziła za ukochanym albo coś.

– Dałaby mi znać.

– Przykro mi.

– Rosjanom nigdy nie jest przykro z żadnego powodu.

– Ja nie jestem Rosjaninem.

– To dlatego zdarłeś dystynkcje?

Patrzą na siebie.

– Hm, chyba potrzebujesz pomocy, żeby odszukać tego leminga, co?

Temu Ludwigowi brak chyba piątej klepki. Gotów jest wyrwać Slothropą ze snu w środku nocy, budząc połowę obozowiska uchodźców, wystraszając psy i dzieci, absolutnie pewien, że Urszula tu siedzi, tuż za kręgiem poświaty z ogniska, że patrzy na niego, widzi, ale inaczej niż dawniej. Prowadzi Slothropą między radzieckie czołgi, w gruzowiska wysokie jak wezbrane morze, ruiny, które walą się dokoła, przy sprzyjających okolicznościach wprost na twoją głowę, gdy tylko nadejdiesz, dalej we wciągające moczary, gdzie trzcina wymyka się twoim dłoniom, kiedy chcesz się przytrzymać, i roztacza się woń klęski białka. To jest albo maniakalna wiara, albo coś jeszcze mroczniejszego: Slothropowi świta myśl, że jeżeli w pobliżu funkcjonuje jakiś samobójczy poryw, to nie w łebku Urszuli, tylko w głowie tego Ludwiga – leming być może w ogóle nie istnieje!

A jednak... czy Slothrop nie dostrzegł czegoś przelotnie raz lub dwa? Czegoś, co przemykało szarymi wąskimi uliczkami, wysadzonymi symbolicznymi drzewkami, w jednym z tych pruskich miast garnizonowych, w miejscu, którego cały przemysł i racja bytu podporządkowane były wojsku, koszary i kamienne mury opuszczone teraz – a-albo przycupnęło na brzegu jeziora, obserwując chmury, białe żagle gafłowe na odległym tle przeciwległego brzegu, zielonego, zamglonego, odbierając tajne instrukcje od wody, której ruchy – w lemingowym czasie – są oceaniczne, nieodparte,

dostatecznie powolne, dostatecznie stałe, by można było bezpiecznie po niej przejść...

– To właśnie na myśli miał Jezus – szepcze pierwszy amerykański przodek Slothrop, William – gdy wybrał się na Jezioro Galilejskie. Postrzegął sprawę z punktu widzenia lemingów. Bez milionów tych, którzy wpadli do wody i utonęli, nie byłoby cudu. Odosobniony wyjątek jest tylko drugą stroną medalu: ostatnim fragmentem układanki, której kształt nadali już pominięci, jest jak ostatnie puste miejsce na stole.

– Chwila, moment. Wyście nie mieli żadnych układanek.

– O kurwa.

William Slothrop był nietuzinkowym człowiekiem. W 1634 albo 1635 roku wyruszył z Bostonu na zachód w iście cesarskim stylu, zmęczony polityką Winthrop, przekonany, że potrafi być kaznodzieją jak każdy duchowny, mimo że nie odebrał święceń. Wały obronne w Berkshire umiały zatrzymać każdego, ale nie Williama. Dopiero zaczynał się piąć. Był tam jednym z pierwszych Europejczyków. Po osiedleniu się w Berkshire on i jego syn John rozkręcili interes ze świniami – pędzili te zwierzęta, niczym krowy albo owce, przez wielką skarpe, po długim wzniesieniu, z powrotem do Bostonu. Gdy docierali na targ, świnie były tak wychudzone, że gra wydawała się niewarta świeczki, lecz William prowadził ten interes nie tyle dla pieniędzy, ile dla samej wędrówki. Lubił być w drodze, przemieszczać się, lubił przypadkowe spotkania na szlaku – z Indianami, traperami, dziewczuchami, osadnikami z gór – a najbardziej lubił przebywać w towarzystwie świń. Na przekór podaniom ludowym i biblijnym opisom William pokochał te zwierzęta za ich szlachetność i umiłowanie wolności osobistej, za umiejętność znajdywania ulgi w błocie w skwarny dzień – świnie na wyprawie, w jednym stadzie, były przeciwieństwem Bostonu, nietrudno więc sobie wyobrazić, jak głęboko William przeżywał koniec wędrówki: ważenie zwierząt, rzeź i straszny samotny powrót w góry. Oczywiście postrzegął to jako przypowieść – wiedział, że krwawa masakra wśród kwików stanowi

idealną przeciwwagę dla błogiego chrumkania, beztroskich różowych rzęs i łagodnych oczu, uśmiechów, powabnego dreptania na bezdrożach. Do narodzin Isaaca Newtona brakowało paru lat, ale w powietrzu już wyczuwało się świadomość akcji i reakcji. William niechybnie czekał na jedną świnie, która nie umrze i uwierzytelnii wszystkie pozostałe, te, co zginąć musiały, wszystkie jego świnie gadareńskie, które popędziły ku zgubie, jak lemingi, opętane nie przez demony, ale przez ufność do ludzi, ufność nieustannie nadużywaną... opętane niewinnością, której nie potrafią stracić... wiarą w Williama jako inną wersję świni, będącą w zgodzie z Ziemią, czerpiącą z tego samego źródła życia...

Niedługo potem napisał długi traktat, zatytułowany „O pominiętych”. Zmuszony był wydać tę księgę w Anglii, stała się ona zresztą jednym z pierwszych dzieł zakazanych i spalonych ceremonialnie w Bostonie. Nikt nie chciał czytać o pominiętych, czyli odrzuconych przez Boga, który niewielu ludzi przeznacza do zbawienia. William twierdził, że także w „czarnych owcach” jest świętość, że bez nich nie byłoby wybrańców bożych. Łatwo zgadnąć, że bostońskich wybrańców wkurzyły takie poglądy. Wkrótce sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót. William uznał bowiem, że kim Jezus był dla wybranych, tym Judasz Iskariota – dla pominiętych. Wszystko w dziele stworzenia ma swoje równorzędne przeciwieństwo. Jak Jezus mógłby być wyjątkiem? Czy w obliczu czegoś nienaturalnego i wykraczającego poza dzieło stworzenia możemy czuć cokolwiek innego niż przerażenie? Ale jeżeli jednak był synem człowieczym i zamiast przerażenia czujemy miłość, wówczas musimy też kochać Judasza. Zgadza się? Nie wiadomo, jak William uniknął spalenia na stosie pod zarzutem herezji. Pewnie był ustosunkowany. Jednak po pewnym czasie wykopali go z kolonii Massachusetts – przez chwilę brał pod uwagę wyjazd na Rhode Island, ale uznał, że antynomizm też nie leży w jego guście. Ostatecznie pożeglował z powrotem do starej Anglii, nie w hańbie, lecz w zwątpieniu, i tam właśnie dokonał żywota, wśród wspomnień o niebieskich wzgórzach, zielonych polach kukurydzy,

spotkaniach z Indianami przy haszyszu i tytoniu, młodych kobietach z zakasanyimi fartuszkami w pokojach na piętrze, buzie śliczne, włosy zamiatają drewnianą podłogę, tymczasem niżej, w stajniach, konie wałają kopytami, pijacy gardłują, i te wstrząsy wczesnym rankiem, kiedy grzbiety jego ukochanych zwierząt opalizowały jak perły, długi, kamienisty, zadziwiający gościniec do Bostonu, deszcz na rzece Connecticut, wieczorne chrupkanie setki świń pod rozbłysłymi gwiazdami, w wysokiej trawie wciąż cieplej od słońca, które udało się na spoczynek...

Czy możliwe, że William Slothrop był odnogą rozwidlenia, którą Ameryka nie podążyła, pojedynczym punktem, od którego ten kraj oddalił się w złą stronę? A gdyby jego herezja zdążyła zapuścić korzenie i rozwinąć się? Czy byłoby mniej zbrodni w imię Jezusa i więcej miłosierdzia w imię Judasza Iskarioty? Tyrone'owi wydaje się, że istnieje droga wstecz – może ten anarchista poznany w Zurychu miał rację, może chwilowo padły wszystkie płoty, każda ścieżka jest równie dobra, cała przestrzeń Strefy została wyczyszczona, uległa depolaryzacji, a gdzieś w środku tego gruzowiska znajduje się jeden jedyny zespół współrzędnych, które są punktem wyjścia: bez wybrańców bożych, bez pominiętych, bez żadnego narodu, który mógłby to spierdolić... Takie właśnie horyzonty myślowe otwierają się w głowie Slothrop, gdy wlecze się za Ludwigiem. Czy on dryfuje, czy ma przewodnika? Jedynym mechanizmem kontrolnym jest teraz ten cholerny leming. Jeśli w ogóle istnieje. Chłopak pokazuje Slothropowi fotki noszone w portfelu: Urszulka, śleпка bystre i nieśmiałe, wyziera spod liści kapusty... Urszulka w klatce, wystrojona w gigantyczną wstęgę ze swastyką, pierwsza nagroda na wystawie zwierząt hodowanych przez chłopców z Hitlerjugend... Urszulka i kot rodziny, wpatrzeni w siebie czujnie nad kafelkami podłogi... Urszulka, przednie łapki dyndają, oczka senne, sterczy z kieszeni nazistowskiego mundurka Ludwiga. Któraś jej część zawsze jest zamazana, zbyt ruchliwa dla migawki. Nawet gdy Urszulka była malutka, Ludwig wiedział, co ich czeka, a mimo to kochał ją. Być może myślał, że miłość



powstrzyma bieg wypadków.

Slothrop nigdy nie dowie się prawdy o motywach grubego nieletniego wariata. Ich drogi rozchodzą się w miasteczku na wybrzeżu. W lesie dziewczęta w bufiastych spódnicach i chustach w kwiaty zbierają grzyby, a między bukami śmigają rude wiewiórki. Ulice biegną łukiem pomiędzy domy, nazbyt szybki skrót perspektywiczny – to małomiasteczkowa, szerokokątna przestrzeń. Na słupach zawieszono kiście lamp. Kocie łby są duże i mają piaskowy kolor. Konie pociągowe stoją w słońcu, wymachując ogonami.

Alejką niedaleko Michaeliskirsche dyrda dziewczynka dźwigająca olbrzymią stertę futer z kontrabandy, widać tylko jej brązowe nóżki. Ludwig wrzeszczy, wskazując palcem futro na samej górze. W kołnierz wszyto coś niewielkiego w szarym kolorze. Sztuczne żółte ślepka migoczą niezdrowo. Chłopak rzuca się pędem, krzycząc jak opętany: Urszulka, Urszulka! Chwyta za futro. Dziewczynka bluzga stekiem przekleństw.

– Zabiłaś mojego leminga!

– Puszczaj, kretynie. – Przeciąganie liny w niewyraźnych plamach słońca i cienia. – To nie leming, to szary lis.

Ludwig przestaje się miotać i zerka uważniej.

– Faktycznie – potwierdza Slothrop.

– Przepraszam – pochlipuje chłopak. – Jestem zdenerwowany.

– A może pomoglibyście mi zanieść to do kościoła?

– No pewnie.

Biorą we dwóch po naręczu futer i idą za dziewczynką wyboistymi *Gassen* do bocznego wejścia, i dalej kilkoma kondygnacjami do podziemi Michaeliskirsche. Tam, w świetle lampy, pierwszą twarzą, którą Slothrop dostrzega, pochyloną nad garnkiem perkoczącym na ogniu z paliwek, jest dobrze znana gęba majora Duane'a Marvy'ego.



UUUUUUUGH – Slothrop rzuca swoją stertę i chce dać dyla, ale major tylko się uśmiecha.

– Witaj, towarzyszu. Wpadłeś w samą porę na porcję Atomowego Chili Majora Duane’a! Podsuń sobie tę kościelną ławę i klapnij. Aaa-cha-cha-cha! Jesteś, mała, jak ci tam? – Rechocze i obmacuje towar przyniesiony przez dziewczynkę; futra zajmują większość pomieszczenia. – Ona jest czasem mało dyskretna. Mam nadzieję, że nie myślisz, że my tu robimy jaką kontrabandę, no bo to twoja strefa i tak dalej.

– Ależ skąd, majorze – siląc się na rosyjski akcent, ale wychodzi z tego Bela Lugosi.

Marvy okazuje przepustkę, na której prawie wszystko napisano odręcznie, tu i ówdzie tylko widnieje stempel. Slothrop zerka na cyryliczne znaki u dołu i dostrzega podpis Cziczierina.

– Och. Raz czy dwa koordynowałem działania z pułkownikiem Cziczierinem.

– Ej, a słyszałeś, co się porobiło w Peenemünde? Banda frajerów porwała Der Springera, sprzątnęli go pułkownikowi sprzed nosa. Znasz Springera? Wściekły skurwiol, towarzyszu. Ma tyle kontaktów, że niewiele miejsca zostaje dla takich przedsiębiorców jak ja i stary Krwawy Chiclitz.

Stary Krwawy Chiclitz, któremu matka, pani Chiclitz, dała na chrzcie Clayton, czai się za stertą futer z norek, z czterdziestką piątką wycelowaną w brzuch Slothropo.

– On jest w porządku, kolego! – wrzeszczy Marvy. – Weź no lepiej przynieś więcej szampana.

Chiclitz tuszą niemal dorównuje majorowi, nosi okulary w rogowych oprawkach, a jego czerep świeci się identycznie jak spocona twarz. Dwa tłuściochy stoją i obejmują się ramionami.

– Iwan, patrzysz teraz na dziesięć tysięcy kalorii dziennie – wskazując

kciukiem dwa kałduny, mrugając okiem – Chiclitz będzie Neptunem.

Obaj tarzają się ze śmiechu. To prawda. Chiclitz wykombinował, jak zbić forszę na przetrzucie wojsk. Wkrótce podpisze ze służbami specjalnymi kontrakt na wyłączność: chodzi o urządzenie zabaw przy przekraczaniu równika na pokładzie każdego okrętu, który przepływa na drugą półkulę. Sam będzie Neptunem na tyłu jednostkach, na ilu zdoła, to jest zapisane w umowie. Już widzi oczyma wyobraźni, jak całe szeregi mięsa armatniego idą na kolanach, jeden żołnierz za drugim, by cmokać go w pępek, on tymczasem wtrąca indyjskie udka i lody w waflach, wycierając brudne dłonie o włosy nowicjuszy. Oficjalnie jest tutaj w charakterze amerykańskiego przemysłowca z ramienia Wydziału Technicznego, zgłębia arkania niemieckiej myśli inżynierskiej, tajnej broni w szczególności. W ojczyźnie jest właścicielem fabryki zabawek w Nutley, stan New Jersey. Kto nie pamięta pokupnego Soczystego Japońca, lalki, którą napełnia się keczupem, potem wbija bagnet w kilka gotowych otworów, a wtedy żółtek rozpada się na kawałki, realistyczne różowe tworzywo, po całym pokoju? Albo Złodzieja Sama, grę zręcznościową, w której trzeba zastrzelić Murzyna, zanim ucieknie przez płot ze skradzionym arbuzem, sprawdzian refleksu dla chłopców i dziewczynek w każdym wieku? Teraz ów biznes sam się rozwija, ale Chiclitz zamierza zająć się nim w przyszłości. Dlatego właśnie rozkręcił ten futrzany interes, w którym Michaeliskirsche służy za hurtownię w całym regionie.

– Redukcja wydatków. Trzeba upłynnić dostatecznie dużo, by przetrwać – nalewając szampana do złotych kielichów mszalnych – póki nie zobaczymy, w którą stronę to wszystko się wahnienie. Ja osobiście uważam, że te rakiety V to przyszłość. Będą mieć wzięcie.

W starym kościele cuchnie rozlanym winem, amerykańskim potem i spalonym kordytem, ale te surowe wonie nie zagrzały jeszcze miejsca i nie zatarły nieustępliwych katolickich zapachów – kadzidła, wosku, stulecia łagodnego beczenia zwoływanej trzody. Dzieci wchodzą i wychodzą, przynoszą i zabierają futra, gaworzą z Ludwigiem, proponują, by sprawdził

wagony na stacji rozrządowej.

Chiclitz zatrudnia około trzydziestu małoletnich.

– Moim marzeniem – wyznaje – jest zabrać ich wszystkich do Ameryki, do Hollywood. Ich przyszłość jest w filmie. Słyszałeś o Cecilu B. De Mille’u, tym producencie? Mój szwagier jest z nim w bliskich stosunkach. Nauczyłbym dzieciaki śpiewać albo coś, byłby z nich chór dziecięcy, wynegocjowałbym hurtową ofertę z De Mille’em. Mógłby ich użyć do monumentalnych scen zbiorowych. Wiesz, uroczystości religijne, orgie...

– Ha! – wrzeszczy Marvy, gały wybałuszone, szampan cieknie po brodzie – ty naprawdę marzysz, koleżko! Jak spuścisz De Mille’owi te dzieciaki, to nie zaśpiewają ani słowa! Skurwiel wykorzysta je jako galerników! Aaaa-cha-cha-cha! Przykuje je do wiosł, będą musiały zaiwaniać, żeby Henry Wilcoxon popłynął do zachodzącego słońeczka i walczył z tymi tam Grekami, Persami albo kimś.

– Co?! – wrzeszczy Chiclitz. – Na galery?!

– Kto nagi?

– Gadasz jak debil.

– Chyba de Mille?

Na skraju miasteczka znajdują się pozostałości wyrzutni V-2, opuszczone przez żołnierzy, którzy odjechali na południe, próbując uciec przed zamykającymi się brytyjsko-amerykańskimi kleszczami. Marvy i Chiclitz wybierają się tam, żeby popatrzeć, Slothrop może dołączyć. Ale najpierw wynika kwestia Atomowego Chili Duane’a Marvy’ego, które okazuje się trudnym sprawdzianem męstwa. Butelka bąbelków jest wprawdzie pod ręką, ale sięgnięcie po nią uznane będzie za oznakę słabości. Dawniej Slothrop dałby się nabrać, ale teraz nawet się nie zastanawia. Siedzi i żłopie szampana jak wodę sodową, kiwając głową z uśmiechem, mruczając da, da, żeby wyglądać autentycznie, tymczasem dwaj Amerykanie, oślepieni i zasmarkani po pas, w nosach ogień, doświadczają tego, co autorytatywne dzieło pod tytułem „Ubogich przewodnik po Strefie” określa trafnie jako

„*Götterdämmerung* śluzówek”.

Jadą do wyrzutni zielonym uśmiechniętym fordem sztabowym. Gdy tylko Marvy siada za kierownicą, przemienia się w szablastozębnego pirata drogowego – ziiiiuuuuuu, zostawia na ulicy tyle gumy, że starczyłoby na kondomy dla całej dywizji wojska, od zera do siedemdziesiątki, zanim zdąży przebrzmieć echo, roztrąca rowerzystów na prawo i lewo, płoszy kurczaki, ryczy „San Antonya Rose”, to jego ulubiona piosenka, a Krwawy Chiclitz jeszcze go podjudza, wyje z radości, w obu garściach po butelce szampana, ostrzega z okna:

– Nie wpierdalaj się, bo jak się wpierdolisz, to będziesz wpierdolony! – co trochę trwa, a reakcją są tylko faszystowskie pozdrowienia od oszołomionych starych babć i małych dzieci na poboczu.

Miejsce jest wypaloną polaną w zagajniku buków i olch, która zaczyna się zielenić od rosnących chwastów. Maskowany metal stoi cicho wśród upiornego tłumu późnych mleczy, zszarzałe główki kiwają się gromadnie w oczekiwaniu na świetlisty wiatr, który złamie łądygi w kierunku morza, w kierunku Danii, w kierunku wszystkich punktów Strefy. Wszystko ogołocono. Samochody znów są pustymi powłokami z pierwszego etapu konstrukcji, choć wciąż czuć lekki odór benzyny i smarów. Pośród splotów lin i gumowych węży niebieszcą się i żółcą jaskrawo niezapominajki. W wozie kontrolnym jaskółki uwiły gniazdo, a pająk rozpina sieć w Meillerwagen.

– Cholera – rzecze major Marvy – kurewscy Ruscy rozkradli wszystko, oj, bez obrazy, towarzyszu.

Grzebią nogami w zielonych i fioletowych chwastach, zardzewiałe puszki po jedzeniu, stare trociny i szczapy drewna. Paliki orientacyjne, każdy ze strzępem przybitej białej tkaniny, biegną rzędem do nadajnika, położonego w odległości dwunastu kilometrów. Na wschód. A więc chyba chcieli zatrzymać Rosjan...

Z zakurzonej podłogi wozu kontrolnego migocze czerwień, biel i błękit.

Slothrop klęka na jedno kolano. Mandala Schwarzkommando: KEZVH. Podnosi wzrok i widzi tłusty, domyślny uśmiech Marvy'ego.

– No taa. Powinienem pokapować. Nie masz dystynkcji. O kuuuur... ty jesteś jakby ruski kontrwywiad, co nie?

Slothrop tylko patrzy.

– Ej, ej, kogo ty próbujesz dorwać? Eee? – Uśmiech niknie. – No bo chyba nie pułkownika Cziczierina, co? To dobry Rusek, wiesz przecież.

– Zapewniam – Slothrop podnosi mandalę, ten krucyfiks na wampira – że interesuję się tą sprawą wyłącznie ze względu na te czarne diabły.

Uśmiech powraca, a zaraz potem tłusta dłoń ląduje na ramieniu Slothropo.

– Będziecie biegać za nimi w kółko, kiedy twoi tu przybędą?

– W kółko? Nie wiem...

– Daj spokój, wiesz. Przecież te asfalty obozują tu pod miastem! Ej, Iwan, będzie niezła zabawa. Cały dzień dzisiaj czyściłem kolty. – Pieszcząc broń w kaburze. – Z jednego z tych brudasów zrobię se czapkę traperską, chyba nie muszę ci mówić, która część ciała będzie zwisać zamiast ogona, co? Eee?

Chiclitz jest tak ubawiony, że się krztusi.

– Tak naprawdę – Slothrop improwizuje na oczekaniu – moja misja polega na koordynacji działań wywiadowczych – cokolwiek to znaczy – w podobnych operacjach. Jestem tu po to, żeby rozpoznać pozycje wroga.

– Wróg, dobre słowo. – Chiclitz kiwa głową. – Mają gnaty i wszystko inne. A przecież w rękach asfalta powinna być miotła!

Marvy marszczy czoło.

– Nie licz, że teraz pójdziemy tam z tobą. Mogę ci powiedzieć, gdzie są, ale to szaleństwo łązić w pojedynek. Zaczekaj do wieczora, co? Mamy zrobić tam porządek o północy. Możesz chyba tyle zaczekać.

– Istotne jest, bym uprzednio zdobył pewne informacje. – Twarz pokerzysty, dobrze, dobrze... – Nie muszę chyba mówić, jakie to ważne... – Lugosi zawiesza wymownie głos – ...dla nas wszystkich.

Marvy i Chiclitz pokazują mu kierunek i odwożą do miasteczka, gdzie

podrywają dwie ochocze *Fräulein*, z którymi odjeżdżają po kowbojsku ku zachodzącemu słońcu. Nadąsany Slothrop stoi w wyziewach z rury wydechowej.

Następnym razem to nie będą torty, dupku...

Dopiero po godzinie dociera na piechotę do obozowiska pośrodku rozległej łąki, na której ciemnieją już kolory, zielony barwnik wypływa, wsącza się w sen... Slothrop jest świadomy cienia każdego źdźbła trawy, które wyciąga się ku cieniom na wschodzie... czyste mleczne światło broczy wypukłą krzywą nad słońcem, które już prawie zaszło, przezroczyste białe ciało, gasnące na przestrzał wielu odcieni błękitu, od sproszkowanego lazuru po ciemną stal u zenitu... dlaczego on tu jest, po co to robi? Czy to też pomysł leminga Urszulki, żeby się mieszać do prywatnych wojen innych ludzi, kiedy powinien... zaraz, co to było... ech...

Właśnie, właśnie! Co z imipoleksem G, z Jamfem i-i z tym S-Gerät, przecież ma być nieugiętym agentem, działać w pojedynkę, pokonać wszystkie przeciwności losu, pomścić przyjaciela, którego Oni zabili, odzyskać swoje papiery, odnaleźć to tajemnicze żelastwo, ale, o rany, to JEST JAK



## SZUKANIE IGŁY W STOGU SIANA!

Szszszszszukaszcze gośwpełniksiężyca,

Ale (coś) znajdzie cieeeeebie!

Stopy szurają w chwastach i trawie, nucą w ten sam sposób, w jaki zdyszany Fred Astaire nucił z zadartą głową, rozmyślając o szansach odnalezienia Ginger Rogers po tej stronie ich uroczej śmiertelności...

Chwilowe otrzeźwienie – zaraz, masz planować na zimno, ważyć za i przeciw, określać cele w tej przełomowej chwili ży..

Tra-la-la. SZUKAJĄC IGŁY W –

Niemenie, daj spokój, przestań się wydurniać, skup się... Dobrze więc, najpierw S-Gerät, jeśli je odnajdę i dowiem się, co Jamf ma z tym wspólnego, jeśli dowiem się tego, taa, taa, teraz imipolex...

– szukając (pam, pa-ram, pam) piwnicy pełnej szafranu

O rany...

W tej chwili, jakby spełniła się czyjaś tęsknota, niebo przebija pojedyncza igła: pierwsza gwiazda.

Żebym zdążył ich ostrzec.

Wyskakują na Slothropą spomiędzy drzew – wychudli, zarośnięci, czarni – wloką go do ogniska, gdzie ktoś gra na organkach, których skrzyneczkę zrobiono z klocka niemieckiej sosny, a jęczyczki wycięto ze sprężyn zniszczonego volkswagena. Przy garnkach i rondlach krzątają się kobiety w białych bawełnianych spódnicach w granatowe kwiaty, białych bluzkach, fartuchach obszytych galonem i czarnych chustach. Niektóre noszą naszyjniki ze skorup strusich jaj, pokreskowanych na czerwono i niebiesko. Na różnie skwierczy wielki polec wołowiny.

Nie ma Enziana, ale jest Andreas Orukambe, napięty jak struna, ubrany w marynarski sweter i spodnie od polowego munduru. Pamięta Slothropą.

– Was ist los?

Slothrop mówi:

– Mają być o północy. Nie wiem, ilu ich jest, ale lepiej, żebyście się wynieśli.

– Może i tak. – Andreas się uśmiecha. – Jadłeś coś?

Spór – uciekać czy zostać – ciągnie się przy kolacji. To nie jest kwestia podjęcia taktycznej decyzji, o czym uczyli Slothropa w szkole oficerskiej. W grę wchodzi inne względy, coś, o czym Hererowie wiedzą, a on nie ma pojęcia.

– Musimy pójść tam, gdzie musimy – wyjaśnia Andreas trochę później. – Tam, gdzie chce Mukuru.

– Aha. Aha. Myślałem, że jesteście tu, bo szukacie tego, co wszyscy, 00000, hm?

– To należy do Mukuru. Mukuru kryje to w miejscach, gdzie chce, żebyśmy szukali.

– Posłuchaj, ja mam informację o tym S-Gerät. – Opowiada historię Grety Erdmann: Pustać, rafineria, imię „Blicero”.

Coś im się obilo o uszy. I to boleśnie. Wszyscy patrzą po sobie.

– Zaraz. – Andreas jest baczny. – Czy tak nazywał się Niemiec dowodzący wyrzutnią, w której używano S-Gerät?

– Nie wiem, czy używano. Blicero zabrał tego babsztyla do kombinatu, gdzie albo złożono do kupy S-Gerät, albo przynajmniej wyprodukowano jego część z jakiegoś tworzywa o nazwie imipolex G.

– Nie powiedziała, gdzie to jest?

– Wiem tylko, że na Pustaci. Może odnajdziecie jej męża, Mikłosa Thanatza. On mógł widzieć odpalenie, o ile w ogóle odpalenie się odbyło. Coś nadzwyczajnego się wtedy stało, ale nie dowiedziałem się co.

– Dziękujemy ci.

– Nie ma za co. Może teraz wy mi coś powiecie. – Wyjmuje znaną mandalę.

– Co to znaczy?

Andreas kładzie mandalę na ziemi, obraca ją tak, że „K” wskazuje północny zachód.

– *Klar* – dotykając każdej litery po kolei – i *Entlüftung* to są żeńskie znaki. Północne. W naszych wioskach kobiety mieszkały w chatach na północnej połowie kręgu, mężczyźni na południowej. Cała wioska była mandalą. *Klar* to zapłodnienie i narodziny. *Entlüftung* jest oddechem, duszą. *Zündung* i *Vorstufe* to znaki męskie, działanie, ogień i gotowość, albo budowanie. A w środku, o tutaj, mamy *Hauptstufe*. To zagroda, w której trzymaliśmy święte bydło. Dusze naszych przodków. Tak samo tutaj. Narodziny, dusza, ogień, budowanie. Pierwiastek męski i żeński, razem.

– Cztery stateczniki Rakiety tworzyły krzyż, kolejną mandalę. Numer jeden wskazywał kierunek, w którym miała lecieć. Numer dwa to nachylenie, trzy to odchylenia i kołysanie, cztery też nachylenie. Współdziałały przeciwległe pary brzechw, gnane przeciwnymi odczuciami. Przeciwieństwa razem. Rozumiesz więc, dlaczego widzimy w tym przesłanie, nawet jeżeli nie stawiamy rakiety na statecznikach i nie zanosimy do niej modłów. Czekala na nas, kiedy przybyliśmy do północnych Niemiec przed laty... choć byliśmy zdezorientowani i wykorzeni, zdawaliśmy sobie sprawę, że nasz los jest związany z jej losem. Że von Trotha nas pominął, żebyśmy znaleźli Agregat.

Slothrop oddaje mandalę. Ma nadzieję, że przedmiot ten poskutkuje jak mantra, którą kiedyś zdradził mu Enzian: *mba-kajere* (pominięto mnie), *mba-kajere...* zaklęcie przeciw Marvy’emu dziś wieczorem. Przeciw Cziczzerinowi. Mezusa. Żeby bezpiecznie dotrzeć do rana...



Schwarzkommando dotarło do Achtfadena, ale Cziczerein dopadł Närrischa. Ceną był Der Springer i trzech szeregowców, którzy wylądowali w lazarecie z powodu głębokich ran kłasnanych. Jedna przecięta tętnica. Närrisch usiłował się wydostać w stylu Audie Murphy'ego. Skoczek za laufra – w narkohipnozie Närrisch głądził o Świętym Kręgu i Krzyżu ze Stateczników Rakietowych. Murzyni nie wiedzą, co jeszcze wiedział Närrisch:

- a) istniało łącze radiowe z ziemi do S-Gerät, lecz nie na odwrót;
- b) wystąpił problem zakłóceń między serwomotorem a specjalnym przewodem z tlenem, wyprowadzonym z głównego zbiornika;
- c) Weissmann nie tylko koordynował program S-Gerät w Nordhausen, ale też dowodził wyrzutnią, z której wystrzelono Rakietę 00000.

Szpiegostwo totalne. Krok po kroku ta mozaika się rozrasta. Pozbawiony biura, Cziczerein nosi ją w mózgu. Nie uroni niczego. Cenniejsze niż cała Rawenna, coś się podnosi na tle tego wykrochmalonego nieba...

Łącze radiowe + tlen = jakiś dopalacz. W zwykłych okolicznościach tak by było. Lecz Närrisch mówił też o asymetrii, o jakimś ładunku w okolicy brzechwy numer 3, który niewiarygodnie skomplikował kontrolę odchyień i przeciążeń.

Zaraz, a czy dopalacz nie dawałby asymetrycznego wzoru spalania oraz strumieni cieplnych większych, niż konstrukcja mogłaby wytrzymać? Cholera, dlaczego nie zgarnął któregoś specjalisty od napędu? Czy wszystkich zwinęli Amerykanie?

Major Marvy, nóż traperski w zębach, thompson na każdym biodrze, zbaraniały jak wszyscy z grupy uderzeniowej, nie jest w nastroju do rozmów. Nadąsany, pije wódkę z bezdennej menażki Dżabajewa. Ale przecież gdyby którykolwiek z inżynierów od napędu, przydzielonych do programu S-Gerät, pojawił się w Garmisch, Marvy powiedziałaby o tym. Taki jest układ. Zachód prowadzi wywiad, Sowieci pociągają za spust.

Hm, czuje zapach Enziana... być może nawet w tej chwili Murzyn obserwuje go z ciemności. Cziczerin zapala papierosa, zielononiebieskolawendowy płomyk żółknie... trzyma zapałkę dłużej niż to konieczne, myśląc: Niech obserwuje. Nie zrobi tego. Ja bym nie zrobił... A może bym zrobił?

Lecz dziś zbliżyli się o kolejny kwant. Spotkają się. Pójdzie im o S-Gerät, prawdziwe albo wyimaginowane, działające lub zniszczone, nieważne – staną twarzą w twarz. A wtedy...

Tymczasem trzeba się zająć innym problemem: kim był ten tajemniczy sowiecki as wywiadu, z którym rozmawiał Marvy? Masz, Cziczerin, oto paranoja dla ciebie. Może Moskwa połapała się w twojej wendecie? Jeżeli zbierają dowody, by postawić cię przed sądem wojskowym, to tym razem nie skończy się na Azji Środkowej. Zostaniesz ostatnim sekretarzem ambasady na Atlantydzie. Będziesz mógł zająć się wszystkimi urzędowymi problemami radzieckich topielców, załatwić własnemu ojcu wizę do dalekiej Lemurii, do słonecznych kurortów na Morzu Sargassowym, gdzie kości wypływają na powierzchnię, by bielić się, drwiąc z przepływających statków. I zanim ojca zabierze prąd morski – broszury turystyczne zatknięte między żebra, zrolowane czeki podróżne w oczodołach – opowiedz mu o jego czarnym synu – opowiedz o tym dniu z Enzianem u progu podpełzającej jesieni, zimnym jak śmiertelny chłód pomarańczy, trzymanej pod okruciami lodu na tarasie barcelońskiego hotelu, *si me quieres esaibir*, to wiesz już, gdzie się zatrzymam... chłód na opuszcze twojego kciuka, obierającego skórę, zbliżający się koniec...

– Słuchaj – wstawiony Marvy nieco spotulniał – kiedy wreszcie dopadniemy tych skurwieli?

– Niedługo, możesz być pewny.

– Ty nie masz pojęcia, jak Paryż na mnie naciska! Dowództwo! To niebywałe! Góra chce wybić bambusów, i to już. Wystarczy, że naciśną guzik, i do końca życia nie wyrucham już żadnej meksykańskiej kurwy.

Widzisz, co bambusy chcą zrobić, ktoś musi ich powstrzymać, zanim –

– Ten facet z wywiadu, którego spotkałeś... Możliwe, że nasze rządy się uzupełniają –

– Ty nie czujesz na plecach oddechu General Electric, kolego. Dilllon, Reed... Standard Oil... jasna cholera...

– Ale wam, ludzie, właśnie tego potrzeba – wtrąca się Krwawy Chiclitz. – Ściągnijcie tu paru przedsiębiorców, żeby wyprostowali sprawy, dlaczego rząd ma wszystkim zawiadywać? Lewa ręka nie wie, co robi prawa! Rozumiesz?

Co to jest? Debata polityczna? Jakby nie dość, że trzeba ścierpieć poniżenie, bo Schwarzkommando się wywinęło... o nie, Cziczerein, chyba nie myślałeś, że wykręcisz się tak tanim kosztem?...

– A-a Herbert Hoover?! – wrzeszczy Chiclitz. – Przyjechał i nakarmił ich, gdy byli głodni! Oni tutaj kochają Hoovera –

– A właśnie – przerywa Cziczerein – co tu w ogóle robi General Electric?

Przyjacielskie mrugnięcie okiem majora Marvy'ego.

– Pan Swope był kumplem Delano Roosevelta, kapujesz? Teraz jest tam Charles Coffin, ale ten Swope kiedyś należał do „trustu mózgów”. Większość z nich to Żydki. Ale Swope jest okay. Teraz GE ma powiązania z Siemensem, pracowali nad systemem sterującym do V-2, pamiętasz –

– Swope to też Żyd – wtrąca Chiclitz.

– A gdzie tam, Krwawy, nie wiesz, o czym gadasz –

– Mówię ci –

Wybucho przeciągły spór na temat pochodzenia byłego prezesa General Electric, pełen cedzonego jadu i ospałej nienawiści. Cziczerein słucha jednym uchem. Kręci mu się w głowie. Czy naszprycowany Närrisch nie wspomniał o przedstawicielu Siemens na spotkaniach w Nordhausen dotyczących S-Gerät? Owszem. I o kimś z IG też. Czy Carl Schmitz z IG nie zasiadał w zarządzie Siemens?

Nie ma sensu pytać Marvy'ego. Jest zbyt pijany, by mówić z sensem o

czymkolwiek.

– Słuchaj, ja byłem kompletnie zielony, gdy tu przyjechałeś. Kurwa, myślałem, że IG Farben to czyjeś nazwisko, no wiesz, jakiegoś facia. Halo, czy to pan IG Farben? Nie, mówi jego żona, pani Farben! Cha! Cha, cha, cha, cha!

Krwawy Chiclitz serwuje gadkę Eleanor Roosevelt.

– Mój mąż jest lepszy niż Harry Tuman, chciałam powiedzieć Truman. A któregoś dnia mój syn Elliot i ja piekliśmy ciasteczka. Żeby je wysłać naszym chłopcom za morze. Kiedy chłopcy dostali upieczone przez nas ciasteczka, sami też upiekli ciasteczka i przysłali nam. W ten sposób wszyscy mieli ciasteczka!

Och, Wimpe. Stary kontrahencie, czy miałeś rację? Czy twoje IG jest odzwierciedleniem wszystkich narodów?

Tak to się objawia Cziczereinowi na polanie, gdy stoi między tymi dwoma głupcami, pośród resztek ostatniego stanowiska bliżej nieokreślonej wyrzutni, sparaliżowane liny na wciągarkach zastygłe w bezruchu, butelki po piwie leżą tam, gdzie porzucili je ostatni żołnierze w ostatnią noc, wszystko wymownym świadectwem klęski, operacyjnej śmierci.

– Ej, ty. – To wygląda jak bardzo duży biały Palec, który bierze na cel Cziczerina. Paznokciec jest idealnie zadbane: wiruje, z wolna odsłaniają się Linie Papilarne, które równie dobrze mogłyby być widzianym z lotu ptaka Daktylowym Miastem, miastem przyszłości, w którym każdy jest dobrze znany i nie ma się gdzie ukryć. Teraz stawy zginają się hydraulicznie, wydając ciche dźwięki, i Palec kieruje uwagę Cziczerina na –

KIP *Rakietowy kartel*. Strukturę przenikającą wszelkie czynniki ludzkie i biurokratyczne, które kiedykolwiek się o nią otarły. Aż do Rosji... Rosja kupowała przecież od Kruppa, od Siemens, IG...

Czy są powiązania, do których nie przyzna się Stalin... o których nawet nie ma bladego pojęcia? Och, w bezpieczeństwa niemieckiej nocy zaczynają wyłaniać się kształty Państwa, które rozciąga się na oceany i płycizny



polityki, Państwo suwerenne jak Międzynarodówka albo Kościół katolicki, a duszą jego jest Rakietka. IG Raketen. Żółcie i czerwienie, jaskrawe jak w cyrku albo na plakatach, niezliczone ogniwa, wszystko kręci się razem. Stateczny Palec wiruje pośród nich. Cziczeryn jest pewien. Nie tyle wskutek zewnętrznych świadectw, odnalezionych podczas wędrówki po Strefie, ile z racji osobistego przeznaczenia, które w sobie nosi – zawsze utrzymywany na skraju objawienia. Po raz pierwszy stało się tak, gdy zobaczył Kirgiskie Światło, a jego jedyną iluminacją była wtedy świadomość, że strach skutecznie powstrzyma go przed zagłębieniem się w sedno. Nigdy nie zabrnę dalej niż na peryferie tego metakartelu, który ujawnił się dziś wieczorem, tego Państwa-Rakiety, którego granic nie potrafi przekroczyć...

Będzie tęsknić za Światłem, lecz nie za Palcem. To smutne, że wszech miar smutne, bo wydaje się, że wszyscy w tym tkwią. Każdy tropiciel w Strefie jest na usługach IG Raketen. Z wyjątkiem samego Cziczeryna. I Enziana. Jego brata Enziana. Nic dziwnego, że Oni chcą dopaść Schwarzkommando... i...

A gdy zorientują się, że nie jestem tym, za kogo mnie biorą... dlaczego Marvy patrzy teraz na mnie tak dziwnie, wytrzeszcza oczy... och, nie panikuj, nie podsycaj jego niepoczytalności, on jest po tej stronie... po tej stronie.



Lato spowolniło kroku, a Slothrop jest w drodze do Cuxhaven. Łąki bzyczą. Nasilające się deszcze bębnią wśród trzcin. Owce, z rzadka także kilka czarnych północnych jeleni, schodzą rankiem ze wznieśień, by paść się wodorostami na brzegu, który nie jest ani morzem, ani piaskiem, usidlony w zamglonej niejednoznaczności przez słońce... Tak więc Slothrop ślizga się po tych wodnych polanach. Niczym sygnały wysyłane z myślą o zagubionych wędrowcach, przed jego oczyma pojawiają się raz po raz te same kształty, strefowe kształty, które do siebie dopuszcza, lecz ich nie interpretuje, już nie. No i dobrze. Najbardziej uporczywe z nich, widywane o najmniej rzeczywistych porach dnia, to schodkowe szczyty frontonów, typowe dla tak wielu zabytkowych północnoniemieckich domów, wznoszą się podświetlone od tyłu – osobliwie mokra szarość, jak gdyby wydobyta z morza – nad tymi płaskimi, bardzo niskimi widnokręgami. Zachowują kształt, ostają się, niczym pomniki na cześć Analizy. Przed trzystu laty matematycy nauczyli się rozkładać lot kuli armatniej na ciąg schodków, zasięg i wysokość,  $\Delta x$  i  $\Delta y$ , pozwalając, by zmniejszały się i zmniejszały, zbliżały do zera, tymczasem armie nieustannie kurczących się karłów galopują w górę kondygnacji, w dół, stukot coraz drobniejszych stopek wysubtelnia się, przemienia w ciągły dźwięk. Ta spuścizna analityczna zachowała się w nienaruszonym stanie – dzięki czemu technicy w Peenemünde oglądali filmy Askanii o lotach Rakiety, klatka po klatce,  $\Delta x$  po  $\Delta y$ , oni przykuci do ziemi... film i rachunek różniczkowy i całkowy, jedno i drugie pornografią lotu. Pozostałości impotencji i abstrakcji, kształty kamiennych *Treppengiebel*, całych i strzaskanych, ukazują się teraz nad zielonymi równinami, trwają przez moment i znikają: w ich cieniach dzieci o płowych włosach grają w *Himmel und Hölle* – czyli w klasy – skacząc po wiejskich chodnikach z nieba do piekła i z piekła do nieba, w nieskończoność, czasem pozwalając Slothropowi spróbować, kiedy indziej

niknąć w ciemnych *Gassen*, gdzie leciwe domy, niejeden z wieloma oknami, niejeden strapiony, kłaniają się wiecznie sąsiadowi z naprzeciwka, niemalże dotykając go dachem, pozostawiając pośrodku tylko cienki pasek mlecznego nieba.

Nocą dzieci włączą się po ulicach z papierowymi lampionami, skandując: *Laterne, Lateme, Sonne, Mond und Steme...* kule rozświetlające wiejskie wieczory, blade jak dusze, żegnają śpiewem kolejne lato... W nadmorskim miasteczku niedaleko Wismaru, gdy Slothrop zasypia w małym parku, otaczają go i opowiadają historię o Plechazundze, bohaterskiej świni, która w X wieku odparła najazd wikingów: wyskoczyła nagle z pioruna i popędziła dwudziestu wrzeszczących Norwegów prosto w morze. Odtąd każdego lata nadchodzi taki czwartek, kiedy świętuje się oswobodzenie miasta – bo czwartek – po niemiecku *Donnerstag* – to dzień Donara, czyli Thora, boga piorunów, który przysłał tę olbrzymią świnię. W X wieku starzy bogowie mieli jeszcze pewien wpływ na ludzi. Donar nie przeistoczył się w potulnego Piotra Apostoła ani Rolanda, choć święto to zaczęto obchodzić przy pomniku Rolanda obok Peterkirsche.

Tego roku jednak uroczystość stoi pod znakiem zapytania. Szewca Schrauba, który od trzydziestu lat grał rolę Plechazungi, wcielono zeszłej zimy do volksgrenadierów i dotąd nie wrócił. Białe lampiony tłoczą się dokoła Slothrop, podrygując w mroku. Drobne paluszki dźgają go w brzuch.

- Jesteś najgrubszym człowiekiem na świecie.
- Grubszy niż ktokolwiek w naszym miasteczku.
- Zgódź się, zgódź!
- Aż taki gruby to ja nie jestem...
- A mówiłam wam, że ktoś się nawinie.
- Jest też wyższy.
- Ale zaraz, na co mam się zgodzić?
- Żeby być jutro Plechazungą.
- Prosimy.

Slothrop, ostatnio pocziwina, ustępuje. Wyciągają go z trawy i zapędzają do ratusza. W piwnicy są kostiumy i rekwizyty do *Schweinheldfest* – tarcze, włócznie, hełmy z rogami, kosmate zwierzęce skóry, drewniane młoty Thora i dwumetrowe błyskawice, pokryte złotą folią. Strój świni jest trochę zaskakujący – różowy, niebieski, żółty, jaskrawe wściekłe kolory, Świnia w stylu niemieckiego ekspresjonizmu, na zewnątrz plusz, w środku wywatowanie ze słomy. Pasuje jak ulał. Hm.

Nazajutrz zbiera się niezbyt gęsty, spokojny tłumek: starcy, dzieci i kilku milczących weteranów. Wikingami są same szkraby, hełmy zsuwają się na oczy, peleryny włóczą po ziemi, tarcze za duże, broń dwa razy wyższa. Na placu ciągną się szeregiem wizerunki olbrzymiej Plechazungi z białym drobiem, czerwonymi i niebieskimi bławatkami, wplecione w ramy z siatki drucianej. Slothrop stoi ukryty za Rolandem, wyjątkowo posępnym, kudłatym osobnikiem, który wybałusza oczy i ma talię jak osa. Obok czeka arsenał fajerwerków i asystent Fritz, ośmiolatek, jakby narysowany przez Wilhelma Buscha. Slothrop jest trochę podenerwowany, bo nigdy dotąd nie brał udziału w świńskich świętach. Fritz natomiast to stary wyjadacz, na tyle przewidujący, że przyniósł emaliowany dzbanek z jakimś rozmoczonym mózgiem, przyprawionym koprem i kolendrą, wydestylowanym z owsianki, chyba że *Haferschleim* znaczy coś innego.

– *Haferschleim*, Fritz? – Łyka drugi raz. Żałuje, że zapytał.

– *Haferschleim*, ja.

– Hm, *Haferschleim*, to lepsze niż nic, ho, ho...

Cokolwiek to jest, oddziałuje błyskawicznie na ośrodki nerwowe. Gdy wreszcie przy akompaniamencie miejscowej orkiestry, wygrywającej uroczystą pieśń, zziązani wikingowie gramolą się do posągu, formują szereg i żądają kapitulacji miasta, szare komórki Slothropo pracują już na zwolnionych obrotach. Fritz pociera zapałkę i rozpętuje się piekło, sztuczne ognie: gwiazdy, słońca i – PLECHCHHAZUUUUNGA! – wybuch olbrzymiego ładunku prochu katapultuje Slothropo na otwarty teren, z

osmalonej dupy ciągnie się skręcony ogon dymu.

– A, no tak... – Słaniając się, uśmiechając od ucha do ucha, Slothrop rykiem wypowiada swoją kwestię: – Jestem gniewem Donara, a tego dnia wy będziecie moim kowadłem!

Rozpoczyna się wrzaskliwy pościg po uliczkach, w deszczu białego kwiecia, dzieciaki piszczą, biegiem aż nad wodę, gdzie wszyscy zaczynają się pluskać i nurkować. Mieszkańcy przynoszą piwo, wino, chleb, twaróg, kiełbaski. Na torfowym ogniu stoją czarne rondle z tłuszczem, z którego wszyscy wyławiają gorące złotobrazowe *Kartoffelpuffer*. Miasto ocalone na kolejny rok.

Spokojny dzień na rauszu, wypełniony muzyką, wonią słonej wody, bagien, kwiatów, smażonej cebuli, rozlanego piwa i świeżej ryby, po błękitnym niebie nad głową przepływają małe chmury w barwie szronu. Wieje chłodna bryza, tak że Slothrop nie poci się w kostiumie świni. Wzdłuż brzegu migoczą i posapują niebieskoszare lasy. Po morzu suną białe żagle.

Slothrop wychodzi z zaplecza tawerny przesiąkniętej wonią kapusty i dymem po godzinnej grze w *Schimmel* z – marzenie każdego chłopca! – DWIEMA ładnymi dziewczętami w letnich sukienkach i chodakach i widzi, że zbiegowisko rozpadło się na trzy-, czteroosobowe grupki. O cholera. Nie teraz, błagam... Z tyłkiem ściętym bólem, głową i brzuchem napełnionymi brzeczką z owsianki i letnim piwem, siada na stercie sieci i próbuje – spora szansa – zachować przytomność umysłu.

Te drobne zawirowania w tłumie zwykle są oznaką czarnorynkowych transakcji. Chwasty paranoi zaczynają rozkwitać, wojskowa zieleń w ogrodowym spokoju południową porą. Ostatni z rodu i tak daleko od domu – żaden inny Slothrop nie czuł aż takiego lęku w obliczu Handlu. Już rozpostarto gazety na kocich łbach, by potencjalny klient mógł wysypać kawę z puszki i upewnić się, że w środku też jest *Bohnenkaffe*, a nie tylko na wierzchu, przykrywając lipny towar. Z przybrudzonych kieszeni błyskają nagle słońcem złote zegarki i pierścionki. Papierosy migoczą w rękach

między wytartymi, lepкими, cichymi banknotami. Dzieci bawią się pod nogami dorosłych, którzy dobijają targu po polsku, rosyjsku, bałtycku, dolnoniemiecku. Taki jakby styl uchodźców, nieco bezosobowy, sprawa załatwiana przejazdem, po drodze, w ruchu, niemal przy okazji... skąd oni wszyscy się wzięli, ci szarzy handlarze, jakie cienie kryły je w dziennej *Gemutlichkeit*?

Zmaterializowana w dziwnej ciszy biurowej komisariatu, przybywa policja, dwa czarno-białe breki pełne zielononiebieskich mundurów, białe opaski na rękawach, na głowach nieduże kubły z gwiazdami, pałki już wyciągnięte zza pasów, czarne fiuty w nerwowych garściach, rozedrgane, gotowe do akcji. Wiry w tłumie łamią się natychmiast, upuszczona biżuteria dzwoni o chodnik, papierosy zgniatane pod butami spanikowanych cywilów, wśród niechcianych nagle zegarków, orderów, jedwabów, plików banknotów, różowych ziemniaków, okrągłych jak wytrzeszczone ze strachu oczy, długich rękawiczek z kozłowej skóry, które próbują palcami chwycić niebo, strzaskanych żarówek, paryskich pantofelków, złotych ram, ukazujących martwą naturę w postaci kocich łbów, pierścionków, broszek, nikt już się o to nie upomni, wszyscy zmykają przerażeni.

Nic dziwnego. Gliniarze rozbijają tłumy z tą samą brutalnością, z jaką przed wojną likwidowali demonstracje antyhitlerowskie, nacierają z giętkimi maczugami, hm, *ja*, oczy wyczulone na najmniejsze zagrożenie, zapach wyprawionej skóry i wełny, woń strachu spod ich własnych pach, dają susy nad berbeciami, roztrącają dziewczynki, starców, każą zdejmować buty i bieliznę, przetrząsają ubrania, dźgają i tłuką niezmordowanymi pałkami wśród płaczu dzieci i wrzasków kobiet. Pod skutecznością i rozradowaniem kryje się tęsknota za dawnymi czasami. Wojna była chudym okresem dla kontrolerów tłumów, szczyt marzeń stanowiło morderstwo lub włóczęgostwo, pojedynczy podejrzeni. Ale teraz, gdy trzeba chronić Biały Rynek, ulice znów są przepełnione ciałami łaknącymi tego *erste Abreibung*, i jasne jest, że gliniarze zacierają ręce z uciechy.

W tej chwili napływają radzieckie posiłki, trzy ciężarówki młodych Azjatów w mundurach polowych, którzy najwyraźniej nie mają pojęcia, gdzie się znaleźli, przerzuceni z jakiegoś chłodnego i odległego miejsca na wschodzie. Wysypują się przez opuszczone boki platform jak zawodnicy na boisko, formują szereg i zaczynają oczyszczać ulice, gnając tłum ku wodzie. Slothrop znajduje się w samym środku ciżby, spychany do tyłu – maska świni zasłania pół świata – próbuje chronić, kogo się da: parę dzieci, staruszkę, która przed chwilą zajęta była przy beli bawełny. Pierwsze ciosy amortyzuje słomiane wywatowanie na brzuchu. Cywile umykają na lewo i prawo, ale Plechazunga utrzymuje pozycję. Czy poranek był tylko próbą kostiumów? Może dopiero teraz Slothrop powinien przegnać prawdziwych najeźdźców? Malutka dziewczynka czepia się jego nogi, z ufnością wymawiając słowo *Schweinheld*. Nadbiega szpakowaty stary policjant – na twarzy wypisane lata wygodnego życia na zapleczu wojny i setki łapówek – pała bierze na cel głowę Slothropa. Bohaterska Świnia robi unik i kopie wolną nogą. Gdy gliniarz zgina się wpół, kilku cywilów z krzykiem rzuca się na niego, zdzierając mu hełm i wyrywając broń. Z gasnących oczu ciekną łzy, uchwycone w słońcu. Gdzieś indziej padają strzały, wszyscy pryskają w panice, ludzka rzeka niesie chwiejącego się Slothropa, oderwany od nogi dzieciak ginie na zawsze w tłumie.

Z ulicy na molo. Policjanci przestają bić i zaczynają zbierać łupy z chodników, lecz nadbiegają Rosjanie, cała armia gapi się na Slothropa. Zrządzeniem opatrności pojawia się jedna z dziewcząt poznanych w tawernie, bierze go za rękę i ciągnie ze sobą.

- Mają nakaz na ciebie.
- Co mają? Radzą sobie przecież świetnie bez papierów.
- Znaleźli twój mundur. Myślą, że jesteś dezenterem.
- No i słusznie.

Zabiera Slothrop-świnie do domu. On nie zna nawet jej imienia. Ona ma siedemnaście lat, ładną, młodą twarz, dziewczyna, którą łatwo skrzywdzić.



Leżą za prześcieradłem w kolorze spermy, przybitym do sufitu, blisko siebie na wąskim łóżku z polakierowanymi słupkami. W kuchni matka szatkuje rzepę. Dwa serca biją razem: jego ze strachu, jej z miłości. Opowiada mu o swoich rodzicach, ojciec, drukarz, ożenił się w trakcie praktyki czeladniczej, lata tułaczki ciągną się już dekadę, żadnych wieści o nim od czterdziestego drugiego, kiedy dostali krótki list z Neukölln, gdzie zatrzymał się na krótko u przyjaciela. Zawsze był jakiś przyjaciel, Bóg raczy wiedzieć, na ilu zapleczach, w ilu zakładach i drukarniach dekował się na jedną noc, roztrzęsiony, zawinięty w stare numery „Die Welt am Montag”, pewien przynajmniej schronienia, jak wszyscy w Buchdruckerverband, trafiał się posiłek, a już niechybnie kłopoty z policją, jeżeli przebywało się długo w jednym miejscu – to był dobry związek zawodowy. Kultywowali tradycję niemieckiego socjalizmu, nie poszli za Hitlerem, gdy inne organizacje robotnicze powoli decydowały się na współpracę. Pokrewne purytańskiej nadziei Slothropa pokładanej w Słowie, Słowo bowiem stworzyło farbę drukarską, przemieszkując z antycjami i nieugiętym oddechem we krwi zacnego człowieka, choć dla niego Świat zawsze będzie Światem w poniedziałek, a zimne ostrze noża introligatorskiego odcina każdą lichą ułudę dobrobytu, którą mieszczaństwo bierze za rzeczywistość... czy układał ulotki na przekór obłudowi swojej ojczyzny? Prześladowany, pałowany, zabity? Zachowało się jego zdjęcie z wakacji, gdzieś w Bawarii, opalona twarz w nieokreślonym wieku, przy wodospadzie i białych szczytach, tyrolski kapelusik, szelki, nogi ugięte w wiecznej gotowości do biegu: obraz zastygły, utrwalony, jedyny sposób dla rodziny, by go zatrzymać, krążącego między pokojami po zimnych komunistycznych przedmieściach, po masońskich nocach... jedyny sposób, by w fartuszku, w kuchni, zgłębiać wieczorem albo wolnym popołudniem Ax i Ay jego wędrownego ducha – zgłębiać, w jaki sposób się zmieniał w trakcie gilotynowego opadania migawki, co mógł słyszeć w szumie wody, pędzącej nieustannie jak on, w utraconej ciszy, będącej za nim, już za nim.

Teraz, gdy ona leży u boku nieznanego w przebraniu świni, jej ojciec jest lotnym elementem tego nielotnego mężczyzny i każdego innego, który znajdował się tu wcześniej i słyszał te same słowa:

– Poszłabym za tobą na koniec świata.

On widzi ich dwoje, jak idą wiaduktem kolejowym, dokoła sosny na górskich stokach, jesienne światło i chłód, fioletowe chmury, popołudnie, twarz dziewczyny na tle jakiejś wysokiej betonowej konstrukcji, światło odbija się ukośnie od ściany po obu stronach kości policzkowych, zlewa się ze skórą, z jasnością cery. U góry jej nieruchoma postać w czarnym palcie, jasne włosy na tle nieba, on niżej, u szczytu drabiny na stacji rozrządowej, patrzy na nią, w dole krzyżują się połyskliwe żelazne drogi, które biegną do wszystkich zakątków Strefy. Oboje uciekają. Bo tego ona chce. Slothrop nie, on pragnie tylko zastygnąć przy jej bijącym sercu... czy to nie jest marzenie każdego paranoika? Żeby doskonalić metody bezruchu? Ale cóż, tamci chodzą po domach, szukając dezertera, i wszystko potoczy się na odwrót; Slothrop pójdzie, ona zostanie. Na ulicach szczekaczki, te ochryple metalowe gardła, ogłaszają wcześniejszą godzinę policyjną. Za jednym z okien, już zagubione na pograniczu snów, leży w łóżku dziecko, dla którego metaliczny głos z cudzoziemskim akcentem jest oznaką bezpiecznej nocy, częścią dzikich pól, deszczu na morzu, psów, kuchennych zapachów z obcych okien, nieubitych dróg... częścią tego bezpowrotnie odchodzącego lata...

– Nie ma księżycy – szepcze ona. Wzdryga się, ale nie odwraca oczu.

– Które dy najlepiej wydostać się z miasta?

Zna sto dróg.

Jego serce, opuszki palców bolą od poczucia wstydu.

– Pokażę ci.

– Nie musisz.

– Ale chcę.

Jej matka ofiarowuje Slothropowi kilka czerstwych bułek, które on chowa pod kostiumem świni. Z chęcią dałaby mu inne ubranie, ale wszystkie ciuchy

męża przehandlowała za żywność w Tauschzentrale. Slothrop, odchodząc, widzi ją w rozświetlonym kuchennym oknie – złota kobieta w ramkach, głowa kiwająca się nad piecem z pojedynczym perkoczącym garnkiem, odwrócona twarz na tle pomarańczowo-czerwonej tapety w kwiaty.

Córka prowadzi go przez niskie kamienne mury, wzdłuż rowów kanalizacyjnych, między przepusty, na południowy zachód, na przedmieścia. Daleko za plecami zegar na wieży Peterkirche wybija dziewiątą, niżej niewidomy Roland wciąż patrzy na wskroś placu. Z sylwetki Plechazungi sypią się jeden po drugim białe kwiaty. Dalej wznoszą się kominy elektrowni, upiorne, bezdymne, wymalowane na niebie. Gdzieś w plenerze skrzypi wiatrak.

Brama miejska jest wysoka i wąska, w górze biegną schody donikąd. Droga skręca pod ostrym łukiem portalu i niknie wśród łąk spowitych w noc.

– Chcę iść z tobą – mówi dziewczyna, ale przystaje pod sklepieniem.

– Może wrócę. – To nie jest kłamstwo wędrowca; oboje wiedzą, że ktoś się napatoczy, w przyszłym roku o tej samej porze, podczas *Schweinheldefest*, ktoś dość bliski... jeżeli nazwisko i teczka personalna będą trochę inne, to cóż, kto by wierzył w takie rzeczy? Przecież ona jest córką drukarza, zna ten nośnik, nauczyła się nawet nieźle posługiwać *Winkelhaken*, składać kolumny.

– Jesteś chrabąszczem – szepcze i całuje go na pożegnanie. Stoi i patrzy, jak on odchodzi, pociągająca nosem dziewczyna w fartuszku i wojskowych butach, nieruchoma przy samotnej bramie. – Dobranoc...

Dobranoc, posłuszna dziewczyno. Cóż on dla niej ma oprócz pożegnalnego zdjęcia pstrokatej świni, dyrdającej w mrok, zlewającej się z gwiazdami i stertą drewna, które będzie mogła położyć obok fotki ojca? Uosabia lot, choć nie wkłada w to serca, a jednak zatracił wszelką umiejętność pozostawiania w jednym miejscu... Dobranoc, już godzina policyjna, czas iść do domu, do łóżka... dobranoc...

Trzyma się otwartego terenu, kładzie się spać, gdy jest zbyt zmęczony marszem, a od zimna chroni go welwet i słoma. Jednego ranka budzi się w

niecce między zagajnikiem buków a potokiem. Wschodzi słońce, panuje przenikliwy chłód, jego twarz zaś liże ciepły jęzor. Otwiera oczy i widzi ryj świni, bardzo tłustej i różowej. Zwierzę chrumka i uśmiecha się przyjaźnie, mrugając długimi rzęsami.

– Zaraz, poczekaj. A co ty na to? – pyta Slothrop i wkłada maskę.

Nowa przyjaciółka patrzy na niego przez chwilę, potem zbliża się i całuje go ryjem w ryj. Oboje ociekają rosą. Slothrop rusza za nią nad strumyk, zdejmując maskę i spryskuje twarz wodą. Ona pije obok, siorbiąc spokojnie. Woda jest czysta, bystra, zimna. Pod powierzchnią ocierają się o siebie skałki. Donośny dźwięk, muzyka. Warto by posiedzieć tutaj cały dzień i noc, dzień i noc, i wsłuchać się w tę mowę wody i kamienia...

Slothrop jest głodny.

– Chodź, musimy poszukać śniadania.

Obok małej sadzawki przy gospodarstwie rolnym natrafiają na drewniany kołek, wbity w grunt. Świnia zaczyna wachać dokoła. Slothrop rozgrzebuje nogą spulchnioną ziemię i odsłania piwnicę z cegieł, wypełnioną ziemniakami przechowywanymi od zeszłego roku.

– Smacznego – mówi, gdy Świnia zabiera się ochoczo do jedzenia – ale ja tego do ust nie wezmę.

W spokojnej tafli stawu połyskuje niebo. Nikogo nie ma. Slothrop idzie zajrzeć do gospodarstwa. Podwórko zarosło wysokimi białymi stokrotkami. Okna na piętrze pod strzechą są ciemne, na dachu tkwią beczynne kominy. W kurniku jednak znajdują się lokatorzy. Slothrop zdejmuje tłustą białą kurę z gniazda i sięga ostrożnie po jajko – KOOOOO!, nioska miota się, próbuje dziobnąć go w ramię, z obejścia nadbiegają koleżanki, wszczynając okropny rejwach, w tej samej chwili ta pierwsza grzęźnie skrzydłami w otworach między jedną deską a drugą. Unieruchomiona, wisi i gdacze wniebogłose. Slothrop chwytając trzy jaja i próbuje uwolnić biedaczkę. To wyczerpujące zadanie, zwłaszcza że trzeba uważać na jajka. W drzwiach staje kogut, piejąc: *Achtung, Achtung!* Ład w jego haremie diabli wzięli, krzykliwe białe

kokoszki ciskają się po kurniku, a Slothrop krwawi z kilku ran.

Nagle słyszy ujadanie psa – czas machnąć ręką na tę kokosz – wychodzi więc na podwórko i w odległości trzydziestu metrów widzi kobietę w mundurze służb pomocniczych Wehrmachtu, która celuje w niego ze strzelby, ale pewnie prędzej dopadnie go ten warczący pies, kły obnażone, ślepia utkwione w jego gardle. Slothrop zmyka za kurnik, akurat gdy karabin wypala na powitanie. W tym samym momencie pojawia się jego Świnia. Szarżuje na psa, odpędzając napastnika. Po chwili oboje rzucają się do ucieczki, jaja zagnieżdżone w masce, kobieta wrzeszczy, kury rozpętują piekło, a obok niego galopuje dzielna świnka. Na pożegnanie słycać kolejny wystrzał, ale znajdują się już poza zasięgiem broni.

Zatrzymują się milę dalej, żeby Slothrop mógł zjeść śniadanie.

– Niezła zabawa – mówi, klepiąc czule towarzyszkę.

Ona przy kuca, z trudem łapiąc oddech, popatrując na niego, jak wcina surowe jajka i wypala połówkę papierosa. Potem ruszają w dalszą drogę.

Wkrótce odbijają w kierunku morza. Wydaje się, że Świnia wie, dokąd zmierzają. W oddali, na drodze, sunie w kierunku południowym wielka chmura kurzu. Może to radziecki konwój konny. Nad stogami siana i polami wypróbują skrzydła ledwo opierzone bociany. Zielone korony samotnych drzew rozmazują się, jak gdyby ktoś niechcący otarł się o nie rękawem. Na widnokręgu obracają się brązowe wiatraki, hen, za wielomilowym pasem zaśmieconej słomą czerwonej ziemi.

Świnia najlepszym jest towarzyszem,  
Czy będzie to dzik, maciora czy knur,  
Świnia to kumpel, co odwagi ci doda,  
Choćbyś na szyi miał sznur.  
Kiedy wyprą się ciebie, okpią, okradną,  
Gdy za całe zło cię obwinia,  
Choć mącą ci w głowie torysi, wigowie,  
Nigdy nie zginiesz ze świnią,

## Nigdy nie zginiesz ze świnią!

O zmierzchu wchodzą do lasu. W zagłębieniach terenu dryfuje mgła. Gdzieś w mroku uskarża się zagubiona krowa z pełnymi wymionami. Świnia i Slothrop kładą się do snu wśród sosen ociążałych od strzępów cynfolii, chmury zrzuconej dawno temu z brytyjskiego „okna”, by w trakcie nalotu zmylić niemieckie radary, stoi tu cały zagajnik choinek bożonarodzeniowych, świcidelka szemrzą na wietrze, łowią poświatę gwiazd, cichy, lodowaty pożar lasu, trwający całą noc. Slothrop budzi się co chwila i widzi, że zagrzebana w igliwiu Świnia czuwa przy nim. Nie z powodu niebezpieczeństwa ani nerwowości. Może uznała, że on wymaga opieki? W świetle cynfolii wydaje się szczupła i zarazem zaokrąglona, szczecina gładka jak puch. Slothropowi krążą po głowie lubieżne myśli, ot, takie tam dziwactwa, no, wiadomo, he, he, nic, z czym by sobie nie poradził... Zасыpiają pod przystrojonymi drzewami, Świnia wędrownym mędrcelem ze Wschodu, przebrany w kostium Slothrop kolorowym podarunkiem, czekającym na godziny poranka i dziecko, które się o niego upomni.

Nazajutrz, około południa, wchodzą do samotnego nadmorskiego miasteczka, które obumiera powoli z powodu nieobecności dzieci. Szyld nad bramą – wypalone żarówki i puste gniazdka – głosi: *Zwölfkinder*. Wielkie koło, dominujące nad widnokretem w promieniu wielu mil od miasteczka, stoi nieco pochylone, posępny stary gubernator, słońce odbija się od długich zardzewiałych prętów, blade niebo widoczne w prześwitach żelaznej konstrukcji, która rzuca długi skręcony cień na piasek i śliwkowe morze. Wiatr jęczy po korytarzach i domach, z których powyrywano drzwi.

– Frieda! – woła głos z głębi niebieskiego cienia za murem.

Chrzążąc dumnie i szczerząc się w uśmiechu, Świnia przystaje – zobacz, kogo przyprowadziłam! Po chwili na słońce wychodzi chudy, piegowaty, niemal wyłysiały mężczyzna o jasnych włosach. Zerkając niepewnie na Slothrop, wyciąga rękę i czochra świnie między uszami.

– Nazywam się Pökler. Dziękuję, że pan ją przyprowadził z powrotem.



– Nie, nie, to ona mnie przyprowadziła.

– Ach tak.

Pökler mieszka w piwnicy miejskiego ratusza. Na piecu, w którym rozpałił drewnem zebrany na plaży, właśnie grzeje się kawa.

– Grywa pan w szachy?

Frieda kibicuje. Kierując się raczej przesądem niż strategią, Slothrop odczuwa obsesyjny lęk przez utratą skoczków – Springera und Springera – gotów poświęcić wszystkie inne figury; myślą wybiega ledwie o jeden, dwa ruchy do przodu, na przemian to okazuje senną zachowawczość, to znów wypuszcza się śmiało na harce, przez co Pökler marszczy czoło, ale nie jest to bynajmniej oznaka zmartwienia. Slothrop traci królowkę.

– Zaraz, momencik. Pökler, mówił pan?

Błysk i facet trzyma w ręku lugera wielkiego jak kamienica – szybki gość – z lufą przy skroni Slothrop. Ubrany w kostium świni Slothrop przez chwilę myśli, że Pökler sądzi, iż on zabawiał się niecznie z Friedą i że tutaj zaraz odbędą się zaślubiny pod przymusem – układa już nawet sobie w głowie formułkę: „Przyjmij ode mnie to koryto na znak...”, lecz raptem słyszy:

– Lepiej już idź. Jeszcze dwa ruchy i tak bym cię pokonał.

– Pozwól, że coś ci szybko opowiem. – Slothrop papie o dokumentach z Zurychu, w których figurowało nazwisko Franz Pökler, o amerykańsko-radziecko-hererowskich poszukiwaniach S-Gerät, zastanawiając się jednocześnie, jakby równolegle, czy Oberst Enzian nie miał aby racji, mówiąc o zadowoleniu się w Strefie – no, wiadomo, po głowie zaczynają krążyć pewne myśli, uparte i lekko, hm, erotyczne fantazje o Przeznaczeniu, co nie, Slothrop? Hę? Próbuje prześledzić w wyobraźni trasę, którą przyprowadziła go Frieda, przypomnieć sobie rozwidlenia, gdzie można było odbić w inną stronę...

– Schwarzgerät. – Pökler kręci głową. – Nie wiem, co to było. Nigdy aż tak się tym nie interesowałem. Tylko tego szukasz?

Slothrop zastanawia się nad usłyszanym pytaniem. Filizanki z kawą łowią



słońce z okna i odbijają promienie w sufit: podrygujące elipsy niebieskiego światła.

- Bo ja wiem. Ten bezpośredni związek z imipoleksem G...
- To poliamid aromatyczny. – Pökler chowa broń pod koszulę.
- Opowiedz.

Owszem, opowie, najpierw historię o Use i jej wakacyjnych powrotach, dostatecznie długą, by Slothrop poczuł się uchwycony za kark i wciśnięty twarzą w zwłoki Bianki... Ilse, spłodzona na srebrnym, biernym wizerunku Greta Erdmann, Bianca, poczęta w trakcie kręcenia tej właśnie sceny, którą Pökler miał przed oczyma, gdy wypompuwał z siebie zgubną porcję nasienia – jak mogłyby nie być tym samym dzieckiem?

Ona wciąż jest przy tobie, choć trudniej ją teraz dostrzec, niewidoczna prawie tak jak szklanka szarej lemoniady o zmierzchu... a jednak jest tutaj, chłodna, kwaśna i słodka, czeka, byś ją przełknął, żeby mogła dosięgnąć twoich najgłębiej położonych komórek, przeniknąć między twoje najsmutniejsze sny...



Pökler opowiada trochę o Laszlo Jamfie, ale bez przerwy przeskakuje na temat kina, mówi o niemieckich filmach, o których Slothrop nigdy nie słyszał, tym bardziej nie widział... facet jest maniakiem, to jasne jak słońce.

– W dzień inwazji na Normandię – wyznaje – kiedy usłyszałem w radiu generała Eisenhowera, myślałem, że to Clark Gable. Zauważyłeś? No wiesz, że mają identyczne głosy...

W ostatniej odsłonie życia u Laszlo Jamfa uzewnętrzniła się – tak przynajmniej uważali ci, którzy w salach wykładowych obserwowali, jak jego powieki stają się ziarniste, a twarz pokrywa się plamami i siatką zmarszczek, rozpada u progu starczego wieku – wrogość, dziwna osobista nienawiść do wiązania atomowego. Przekonanie, że aby syntetyki miały przed sobą jakąkolwiek przyszłość, wiązanie to należy udoskonalić – niektórzy studenci użyliby słowa „przeobrazić”. Fakt, że coś tak niestałego, tak kruchego, jak udzielenie elektronów przez atomy węgla, leży u podstaw całego życia, jego życia, wydawał się Jamfowi kosmicznym ponizieniem. Udzielenie? O ile mocniejsze, o ile trwalsze jest wiązanie jonowe – elektrony zostają pochwycone. Zatrzymane! Uwięzione! Żadnego udzielenia. Atomy spolaryzowane dodatnio, ujemnie, żadnych dwuznaczności... jak bardzo pokochał tę klarowność: jak niezmienna była ta nieorganiczna uporczywość!

– Bez względu na to, jakie peany śpiewamy na cześć Rozumu – powiedział kiedyś do Pöklera w T.H. – umiaru i kompromisu, istnieje jeszcze lew. Lew w każdym z was. Lew ten albo jest poskromiony – nadmierną dawką matematyki, opisami budowy, procedurami korporacyjnymi – albo pozostaje dzikim zwierzęciem, wiecznym drapieżnikiem.

– Lew nie rozróżnia subtelności i półśrodków. Nie przyjmuje udzielenia jako podstawy niczego! Bierze i trzyma! Nie jest ani bolszewikiem, ani Żydem. Nie słyszał o relatywizmie. To absolutysta. Życie i śmierć.

Zwycięstwo i przegrana. Żadnych rozejmów, układów, tylko radość kryjąca się w skoku, ryk, krew.

Jeżeli to była chemia narodowosocjalistyczna, winić należy coś, co było wówczas obecne w powietrzu, *Zeitgeist*. Profesor doktor Jamf nie okazał się odporniejszy niż inni. Tak samo jak jego student Pökler. Lecz skutkiem inflacji i kryzysu idea lwa u tego drugiego przybrała ludzką twarz, twarz z ekranu kinowego, *natürlich*, należąca do aktora Rudolfa Klein-Roggego, którego Pökler idealizował i starał się naśladować.

Klein-Rogge wynosił atrakcyjne aktorki na dachy domów w czasach, gdy King Kong jeszcze wchodził pod szafę i nie wdrapałby się nawet na deskę klozetową. No, wyniósł przynajmniej jedną atrakcyjną aktorkę, Brigitte Helm w „Metropolis”. Świetny film. Przedstawiał dokładnie taki świat, o jakim Pökler i paru innych marzyli, korporacyjne miasto-państwo, gdzie technika była źródłem siły, inżynier pracował w ścisłym związku z zarządcą, masy tyrały niewidoczne głęboko pod ziemią, a całkowita władza spoczywała w rękach pojedynczego przywódcy na samym szczycie hierarchii, sprawiedliwego i łaskawego ojca, który nosił wspaniałe garnitury i którego nazwiska Pökler nie pamiętał, bo nazbyt pochłonał go Klein-Rogge grający szalonego naukowca, takiego, jakim on i inni uczniowie Jamf a pragnęli zostać – niezastąpiony obywatel dla władców Metropolis, a jednak, w finale, nieposkromiony lew, który potrafił unicestwić to wszystko, dziewczynę, państwo, masy, samego siebie, dowodząc swojej rzeczywistości na przekór tamtym jednym długim skokiem z dachu na ulicę, rycząc...

Osobliwa moc. To, co prawdziwi wizjonerzy zbierali z twardej tessitury tamtych dni i miejskich ulic, co widziała Käthe Kollwitz i co sprawiło, że jej koścista Śmierć spadała znienacka od tyłu na kobiety, a one tak to uwielbiały, od czasu do czasu dopadało także Pöklera w jego najdalszych wycieczkach do krainy Mare Nocturnum. Przekonał się, że rozkosz przypomina brzytwę sunącą po skórze i nerwach, od czerepu po stopy, w rytualnym akcie uległości wobec Władcy nocnej przestrzeni oraz jego samego, wobec

męskiego uosobienia *technologique*, która kryje w sobie władzę nie ze względu na jej społeczną użyteczność, lecz na sposobność kapitulacji, osobistej, mrocznej kapitulacji przed Pustką, przed rozkosznym upadkiem z wrzaskiem... Przed Hunem Attylą, który przybył ze stepów na zachód, żeby obalić drogocenny gmach magii i kazirodztwa, stanowiący fundament królestwa Burgundów. Pökler był skonany tej nocy, bo przez cały dzień szukał węgla po śmietnikach. Zasypiał i budził się ze snu, mając przed oczyma obrazy, których przez dobre pół minuty nie mógł zidentyfikować – zbliżenie twarzy? las? łuski smoka? scena bitewna? Nierzadko widok przeobrażał się w Rudolfa Klein-Roggego, starożytnego tanatomaniaaka Attyłę, głowa ogolona z wyjątkiem kosmyka na czerepie, sznur paciorków, gwałtowne pompacyjne gesty i te olbrzymie czarne oczy... Pökler z powrotem zapadał w drzemkę, a w jego sny wkradały się wytryski niszczycielskiego piękna, gardłowa barbarzyńska mowa dla udźwięcznienia niemych ust, Burgundowie nabierają ogłady potulnych szarych tłumów z piwiarni w czasach T. H... i znów się budził – trwało to całe godziny – by oglądać dalsze sceny rzezi, pożarów, pogromów...

W drodze do domu, tramwajem lub piechotą, żona rugała go za drzemki, drwiła z jego inżynierskiego przywiązania do przyczyny i skutku. Jak miał jej powiedzieć, że te wszystkie dramatyczne powiązania już tam są, w jego snach? Jak miał jej powiedzieć cokolwiek?

Klein-Rogge zapisał się w pamięci widzów przede wszystkim rolą doktora Mabuse. Kojarzył się z Hugonem Stinnesem, niezmordowanym przedsiębiorcą, poruszającym z za kulis sznurkami pozornej inflacji, pozornych dziejów: hazardzista, finansowy cudotwórca, arcygangster... Ruchliwe usta burżuja, szczęki, toporne ruchy, pierwsze wrażenie to komiczny technokrata... a jednak gdy odzywała się w nim natura szaleńca, wyzierając spod maski racjonalisty, gdy jego lodowate oczy stawały się oknami ukazującymi nagi step, wówczas objawiał się prawdziwy Mabuse, pełen sił żywotnych i dumy na przekór otaczającym go szarym siłom, gnany

ku przeznaczeniu, przed którym – z pewnością o tym wiedział – nie było ucieczki, milczące inferno karabinów, granatów, ulic pełnych wojska atakującego jego kwaterę, i ten własny obłęd na końcu tajemnego tunelu... I kto doprowadził do jego zguby, jeśli nie bohater poranków, Bernhard Goetzke, jako prokurator von Wenk, Goetzke, który grał wrażliwą, zadumaną biurokratyczną Śmierć w „Zmęczonej Śmierci”, rola w sam raz dla niego, nazbyt potulny, za delikatny dla zblazowanej hrabiny, której pożądał – Klein-Rogge wskoczył, rozczapierzone pazury, przywiódł jej zniewieściałego męża do samobójstwa, chwycił ją, rzucił na łóżko tę omdlewającą dziwkę – *wziął ją!* – a delikatny Goetzke siedział w biurze, wśród papierzysk i sybarytów – Mabuse próbuje go zahipnotyzować, otruć, podłożyć bombę – wszystko na próżno, za każdym razem weimarska inercja, kartoteki, hierarchie i procedury ratują go od śmierci. Mabuse był dzikim atawizmem, charyzmatycznym błyskiem, którego nie potrafiła utrwalić żadna niedzielna klisza Agfy, za każdym razem odbitka w falującym roztworze jaskrawi się tą samą uniestwiającą matową bielą (rybie odmęty, które Pökler zgłębił na jawie i we śnie, poniżej obrazy codziennej inflacyjnej posępności, kolejek, maklerów, gotowanych ziemniaków, poszukując tylko parą skrzeli i wnętrznościami – nerwowy pęd ku mitowi, w który nawet nie wiadomo, czy wierzy – białego światła, ruin Atlantydy, znaków lepszego królestwa...).

Wynalazca Rothwang z Metropolis, król Attyla, Mabuse der Spieler, profesor doktor Laszlo Jamf, wszystkie ich dążenia wytyczały ten sam kierunek, ku formie śmierci, z której wyziera radość i nieposłuszeństwo, zupełnie niepodobnej do burżuazyjnej śmierci w wydaniu Goetzkego, do tej okłamującej samą siebie, dojrzałej akceptacji, krewni w salonie, mądre miny, które dzieci zawsze potrafią rozszyfrować...

– Macie do wyboru! – krzyczał Jamf podczas ostatniego wykładu w roku, na dworze wiatr głąskał kwiaty, dziewczęta w jasnych sukienkach, oceany piwa, męskie chóry zanoszą się wzruszającym śpiewem *Semper sit in flores! Semper sit in flo-oo-res...* – Albo utkwicie w miejscu z węglem i wodorem i

będziecie codziennie chodzić do fabryki z drugim śniadaniem jako cząstka bezosobowej masy ludzkiej, która nie znosi już światła słonecznego, albo ruszycie dalej. Silikon, bor, fosfor, one właśnie mogą zastąpić węgiel, mogą związać się z azotem zamiast z wodorem. – Tu i ówdzie chichot, skory do żartów pedagog, „oby zawsze rozkwitał”, bynajmniej nie jest zaskoczony: jego próby namówienia republiki weimarskiej do subsydiowania Stickstoff Syndikat IG są tajemnicą poliszynela. – Ruszyć dalej, wyjść poza życie, w stronę nieorganiczności. Tam nie istnieje słabość, nie istnieje śmiertelność, tam jest Siła i Bezczasowość. – A potem dobrze znany wielki finał: ściera z tablicy nabazgrane C-H i stawia ogromne litery Si-N.

Fala przyszłości. Lecz, o dziwo, sam Jamf nie ruszył dalej. Nigdy nie dokonał syntezy nowych nieorganicznych wiązań ani łańcuchów, których nadejście przepowiedział w tak spektakularny sposób. Czy po prostu pozostał z tyłu, w korycie, wyprzedzony przez napierające przyszłe pokolenia akademików, czy też wiedział o czymś,

o czym Pökler i inni nie mieli pojęcia? Czy jego tyrada w sali wykładowej była tylko wydumany żartem? Pozostał przy C-H, pojechał z drugim śniadaniem do Ameryki. Po skończeniu Technische Hochschule Pökler stracił z nim kontakt, podobnie jak inni dawni uczniowie. Stary profesor znalazł się pod złowieszczym wpływem Lyle'a Blanda, a jeśli nadal poszukiwał dróg ucieczki od śmiertelności wiązania atomowego, to czynił to w najmniej zrozumiały sposób.



Nawet gdyby Lyle Bland nie został masonem, prawdopodobnie i tak byłby zdolny do tych swoich łotrowskich zagrań. Tak jak istnieją w Świecie mechanizmy na usługach niesprawiedliwości postrzeganej jako forma przedsiębiorczej inicjatywy, podobnie istnieją zabezpieczenia funkcjonujące po to, by raz na jakiś czas zrównoważyć siły. Nie jako wyraz szczególnej inicjatywy właśnie, nie, ot, po prostu, w toku spraw. A sprawy właśnie tak się potoczyły, że Blanda żywo zainteresowali masoni.

Wyobraź sobie sytuację tego człowieka – ma tyle forsy, że nie wie, co z nią począć. Zaraz, stop, nie krzycz, żeby ci trochę dał. On już to zrobił, tyle że okrężną drogą, której prześledzenie wymagałoby detektywistycznego zacięcia. Dał, dał, a jakże. Za pośrednictwem Instytutu Blanda i Fundacji Blanda facet już w 1919 roku zatopił pazury w amerykańską codzienność. Jak myślisz, kto tak naprawdę miał patent na gaźnik, który potrzebuje tylko galonu benzyny, żeby auto przejechało sto mil, hę? Na pewno o tym słyszałeś – może nawet wyśmiewałeś się z tego pomysłu, jak ci przekupieni antropologowie, którzy nazwali całą sprawę Mitem Wieku Motoryzacji czy jakoś tak. No widzisz, a okazuje się, że wynalazek naprawdę istniał, i to właśnie Lyle Bland smarował, żeby sprzedajni akademicy chichotali i wygadywali te wszystkie autorytatywne brednie. A ta wielka kampania, reklamująca odchwaszczacz w latach trzydziestych, jak myślisz, kto działał wtedy ręką w rękę (lub, jak ujęli to niektórzy ordynarni osobnicy, penis w usta) z FBI? A pamiętasz te dowcipy o facetach, którzy nie mają wzrodu i idą po poradę do lekarza? Rozpuszczał je Bland, tak, tak – ułożył kilka podstawowych wersji, bo na zlecenie Krajowej Rady Badań Naukowych dokonał dogłębnych analiz, z których wynikało, że, o zgrozo, aż trzydzieści sześć procent zatrudnionych mężczyzn nie poświęca należytej uwagi swoim fiutom – niedobór genitalnej obsesji, przez co organy niezadowolająco wypełniają swoje rzeczywiste zadania.



Badania z zakresu psychologii stały się specjalnością Blanda. Jego znajomość amerykańskiej podświadomości z początków wielkiego kryzysu uznano szeroko za niepodważalną wiedzę i jeden z czynników, które umożliwiły zwycięstwo Roosevelta w „wyborach” 1932 roku. Choć dla wielu kolegów wroga postawa wobec prezydenta stała się użyteczna, Bland nazbyt się upoił tą wygraną, by pójść bezmyślnie za ich przykładem. W jego oczach Franklin Delano był człowiekiem na właściwym stanowisku: absolwent Harvardu, zakładnik starej i nowej finansjery, detalu i hurtu, Harrimana i Weinberga: amerykańska synteza, która nigdy wcześniej się nie dokonała i która otwierała teraz niebywale możliwości – wszystkie podsumowane słowem „kontrola”, będącym prywatnym tajnym hasłem – zgodne z aspiracjami Blanda i innych. Rok później Bland został członkiem Rady Doradczej do Spraw Gospodarczych, w której zasiadał Swope z General Electric. W swoim rozumieniu kontroli Swope bliski był Walterowi Rathenauowi z niemieckiego GE. Brygada Swope’a robiła wszystko w tajemnicy. Nikt nie widział żadnych akt. Bland też nie miał zamiaru nikogo oświecić.

Po pierwszej wojnie światowej spiknął się z urzędnikami Zarządcy Mienia Cudzoziemskiego. Ich zadaniem było upłynnienie niemieckich aktywów, skonfiskowanych w Stanach Zjednoczonych. W grę wchodziło mnóstwo pieniędzy ze Środkowego Zachodu, i z tej właśnie przyczyny Bland uwikłał się w Wielki Kłopot z Bilardem Elektrycznym, a w konsekwencji został masonem. Za pośrednictwem instytucji o nazwie Fundacja Chemiczna – w tamtym okresie fasadowe nazwy były mało oryginalne – biuro ZMC sprzedało Blandowi kilka wczesnych patentów Laszlo Jamfa oraz amerykańską filię berlińskiego przedsiębiorstwa Glitherius: Farby i Barwniki. Kilka lat później, w 1925 roku, w trakcie konsolidowania się, IG kupiło od Blanda pięćdziesiąt procent udziałów amerykańskiego Glitheriusa. Bland dostał gotówkę, papiery wartościowe i pakiet kontrolny oddziału Glitheriusa w Berlinie, prowadzonego przez Żyda nazwiskiem Pflaumbaum, a

owszemowszem, tego samego, dla którego pracował Franz Pökler, póki zakład się nie spalił, a on sam nie wylądował na bruku. (Znaleźli się tacy, którzy w tej tragedii dopatrzyli się ręki Blanda, ale oficjalnie obwiniono Żyda; skonfiskowano jego majątek, wskutek czego zbankrutował, a potem, w zgodzie z duchem czasów, wyprawiono go na wschód razem z jego ziomkami. Należałoby też ustalić związek między Blandem a dystrybutorami filmów „Ufy”, którzy tamtego wieczoru wysłali Pöklera z afiszami do Reinickendorfu, gdzie spotkał Kurta Mondaugena z Verein für Raumschiffahrt – nie wspominając już o osobnych związkach z Achtfadenem, Närrischem i innymi ludźmi od S-Gerät – a wtedy mielibyśmy już strukturę godną miana paranoi. Niestety, w roku 1945 metodom ustalania danych daleko było do aż takiej skuteczności. Nawet jeżeli podobne powiązania istniały, Bland oraz jego następcy i pełnomocnicy mogli nająć rzeszę programistów, którzy wkroczyliby do gry i zadbali o to, by wszystkie dostępne informacje były całkowicie nieszkodliwe. Ludzi pokroju Slothrop, najbardziej zainteresowanych odkryciem prawdy, skierowano na manowce snów, psychicznych przeblysków, omenów, kryptografii, narkotycznych epistemologii, wszystko wirujące w tańcu na parkiecie przerażenia, sprzeczności, absurdu).

Po pożarze u Pflumbauma należało przebudować strukturę wpływów dokoła Blanda i jego niemieckich kolegów. Sprawa ciągnęła się kilka lat. Bland wylądował w ogarniętym kryzysem St. Louis, na rozmowach z niejakim Alfonso Trącem, absolwentem Princeton z 1906 roku, członkiem St. Louis Country Club, magnatem przemysłu petrochemicznego, pani Trący kursuje tam i z powrotem z naręczami kwiatów w trakcie przygotowań do dorocznego Balu Zawołanego Proroka, jej mąż wyprowadzony z równowagi wizytą paru dżentelmenów z Chicago w szykownych prążkowanych garniturach, dwubarwnych butach i kapeluszach z rondem zadartym z tyłu, wszyscy trajkoczą staccato jak thompson.

– Och, pilnie potrzebuję dobrego elektronika – jęknął Trący. – Co tu robić z

tymi makaroniarzami? Cała dostawa była do niczego, a teraz nie chcą jej z powrotem. Jak im podskoczę, to mnie zamordują. Zgwałcą Mabel, pojedą do Princeton i którejs ciemnej nocy wykastrują mi dzieciaka! Wiesz, co myślę, Lyle? Że to zmowa!

Wendety, rękawiczki z sygnetami, salonowe trucizny, wszystko to wkłada się teraz do tej eleganckiej rezydencji, ze zdjęciem Herberta Hoovera ustawionym na fortepianie, goździki w wazonie od Neiman-Marcusa, meble w stylu Bauhausu niczym alabastrowe powierzchnie makiety miasta (człowiek spodziewa się, że spod sekretarzyka wyjedzie zaraz z terkotem kolejka elektryczna, sznur cystern i chłodni na popielatej równinie dywanu...). Spietrany Alfonso Trący siedzi w fotelu, pociągła twarz, pomarszczona po obu stronach nosa i dokoła linii wąsów, obwisła od trosk, trzydzieści lat bez jednego szczerego uśmiechu („Nawet Laurel i Hardy nie są już w stanie mnie rozbawić!”). Jak Lyle Bland mógłby się nie wzruszyć?

– Znajdę kogoś dla ciebie – mówi, ze współczuciem dotykając ramienia Tracy’ego. Dobrze jest mieć zawsze inżyniera pod ręką. Ten, o którym myśli, skonstruował przed paroma laty pierwszorzędny sprzęt do podsłuchiwania dla świeżo opierzonego FBI, w ramach kontraktu wynegocjowanego przez Instytut Blanda, odstąpionego częściowo Siemensowi w Niemczech. – Będziesz go miał jutro bladym świtem. Przyjedzie ekspresem. *No problem, Al.*

– Chodź, zerknij – mówi Trący, wzdychając ciężko.

Wskakują do packarda i jadą do niewielkiego zielonego miasteczka Mouthorgan w stanie Missouri, gdzie jest stacja kolejowa, garbarnia, kilka domów o drewnianej konstrukcji i dominująca nad okolicą ogromna siedziba łoży masońskiej, bez jednego okna w litych ścianach.

Po długich ceregielach w progu wpuszczają Blanda i Tracy’ego i prowadzą ich przez wyściełane aksamitem sale bilardowe, eleganckie kasyna w wypolerowanym drewnie, chromowane bary, przytulne sypialnie do wielkiego magazynu na tyłach, załadowanego po sufit większą ilością

bilardów elektrycznych, niż Bland kiedykolwiek widział w jednym miejscu. Wielka Elka, Grom, O Rany, Wielki Świat ciągną się dalej, niż oko sięga.

– Wszystkie spieprzone – mówi melancholijny Trący. – Sam popatrz.

To Folies-Bergéres: czterobarwne ślicznotki fikają u góry kankana, zera nakładają się na oczy, sutki i cipy, aha, to jeden z tych podniecających bilardów, trochę ubliża kobietom, ale cóż, to tylko zabawa!

– Masz dziesięciocentówkę?

Dzyng!, wyskakuje kulka, o włos mijając wysoko premiowaną dziurkę, hmmm, zapowiada się ostra jazda, üüüing! Trafia w migacz wart tysiąc punktów, ale na tablicy wyników zapala się tylko pięćdziesiąt.

– Widzisz?! – wrzeszczy Trący, gdy kulka wali jak szalona na sam dół, mała szansa, żeby ją podbić flipperem, zong! Kurwa, flipper wychyla się w przeciwną stronę, a na tablicy wyświetla się KONIEC.

– Koniec? – Bland drapie się w czerep. – Przecież nawet nie...

– Wszystkie są takie. – Trący aż się ślini z frustracji. – Spróbuj jeszcze.

Ledwo wyskakuje druga kulka, Bland ją traci, nie zdążywszy nawet otworzyć ust.

Trzecia zagnieżdża się przy solenoidzie (pomocy, woła rozzwierający piskliwy głos, smażą mnie prądem...), dzyngdzyngdzyng, gong, cyfry galopują na tablicy, 400 000, 675 000, bang!, milion! najwyższy wynik na Frywolnych Pasterkach w dziejach ludzkości, a to jeszcze nie koniec, stalowa biedaczka miota się przy cewce, straszliwe drgawki (owszem, one czują, te istoty z planetoidy o nazwie Katspiel, krążącej po bardzobardzo eliptycznej orbicie – co oznacza, że minęła Ziemię tylko raz, dawno temu, niemal w czasach ziarnistej półmrocznej Krawędzi, i nikt dziś nie wie, gdzie jest Katspiel ani kiedy i czy w ogóle wróci. To jest ta dobrze znana różnica między powrotem a jednokrotnym nawiedzeniem. Jeżeli planetoida miała dość energii, by na dobre opuścić sąsiedztwo Słońca, to na zawsze osierociła te miłe okrągłe istoty, pozbawione teraz szansy odnalezienia się w rodzinnym domu, skazane na życie pod przybranym mianem łożysk kulkowych i kulek

do gry w bilard elektryczny – na służenie słynnym „kciukom” z Keokuk i Puyallup, Oyster Bay, Inglewood – takim jak Danny D’Allesandro i Elmer Ferguson, Peewee Brennan i Flash Womack... gdzie oni teraz są? Jak myślisz? Wszystkich wcielono do woja, jedni polegli na Iwo-jimie, innych dopadła gangrena w śniegach ardeńskich lasów, szkolenie z obsługi broni, kciuki przypominają sobie odległe dzieciństwo, mały palec na ręczce zamkowej M-1, kciuk wpycha ładownik, gwałtownie zwolniony zamek trrrACH!, wali w niego, o cholera, boli, owszem, żegnaj kolejny legendarny graczu, odchodzisz na zawsze w letni kurz, wracasz do toreb grzechoczących kulek, bassetów o grubych łapach, zapachów stalowych zjeżdżalni, prażących się w słońcu), znowu pojawiają się tancerki kankana, menady – Folies-Bergères – zabójczo piękne, uszminkowane uśmiechnięte usta przy błyskających lampkach, z głośników wbudowanych w bilard biegnie galopka Offenbacha, długie nogi z podwiązkami fruują nad agonią tej smutnej sferycznej dezenterki, wszystkie towarzyszkę w poczekalni drżą z niepokoju i miłości, odczuwając jej ból, bezsilne, bezwładne, pozbawione sprężyny, dłoni gracza, męskich problemów pijaka, wielogodzinnej próżni szarej czapki i pustego pudełka na drugie śniadanie, chętne, by potoczyć się wedle własnej prawidłowości przez górujące cewki, do głębokich otworów, które obiecują wytchnienie, a tak naprawdę wypychają cię z powrotem na szlak, zawsze na łasce grawitacji, odnajdujesz od czasu do czasu płyciutkie rynienki innych torów, wielkich torów (dwanaście heroicznym minut na Virginia Beach, czwartego lipca 1927 roku, pijany marynarz, którego statek zatonął przy wyspie Leyte... jesteś wykatapultowany, twoja pierwsza trójwymiarowa podróż jest zawsze najlepsza, kiedy stoczyłeś się, to już nie było to samo, ilekroć zaś mijasz to mikrowklęśnięcie, które zrobiłeś przy upadku, dostajesz przyśpieszenia... otrzeźwiony, do pewnego stopnia, zajrzawszy w serce solenoidu, zobaczywszy magnetycznego węża i energię w całej odślonie, z tak bliska, że przechodzisz przemianę, że ze skreconych wektorów siły w tej dziurze wynosisz znajomość mocy, szklitych stepów duszy, to właśnie

rozdzieliło was na zawsze – idź obejrzeć portret Micheala Faradaya w londyńskiej Tate Gallery, Chyży Mucker-Maffick raz to zrobił, by wypełnić czymś posępne popołudnie bez kobiety, i zastanawiał się, jak oczy człowieka mogą się stać tak migotliwe, tak złowrogie, tak świadome w salach pełnych lęku i tego, co niewidzialne...), głosy kokietek będących świadkami morderstwa stają się piskliwe, ostrość noża, muzyka zmienia się, coraz wyższe tony, zmiętoszone pośladki płasają gwałtownie, spódnice trzepoczą z każdą chwilą czerwiejsze, zasłaniając coraz więcej przestrzeni, wirując ku krwi, ku finałowi w piecu, i jak to dziecię planetoidy Katspiel się z tego wykaraska?

No i wiadomo, w chwili gdy sprawy przybierają fatalny obrót, opatrność wskazuje drogę na skr – ta-da, ta-da-da-da!, światła gasną, pozostaje tylko niknący żar na ogolonych policzkach i brodach dwóch spekulantów, skulonych przed brykającymi dziewczętami, rozedrgany solenoid zamiera, a uwolniona chromowana kulka toczy się z powrotem do bezpiecznej poczekalni.

– Wszystkie tak działają?

– Ale mnie nabrali – jęczy Alfonso Tracy.

– Raz na wozie, raz pod wozem – pociesza go Bland i właśnie w tej chwili serwują nam reprzykę „Jasných dni na czarnym rynku” Gerhardta von Gölla, z pewnymi modyfikacjami czasu, miejsca i... koloru:

Zawsze się znajdzie kolejny dolar,  
Żeby działa się nie wiem co,  
Gdyby na trawie podczas drzemki  
Policja nagle cię przyłapała,  
Pokaż aniołkom wała –  
Potrafisz zarobić kolejnego dolara,  
Trzecie oko na szczycie piramidy,  
Człowieku, to nie zwidy,  
Mruga do ciebie, mówiąc: „Szczaj po niebie!”.



Gdzie wola jest, tam znajdzie się sposób,  
Choć nie wszystkich dotyczy to osób,  
Ty łeb masz na karku, więc te pociągi  
Nie rozwieją w nocy gwizdem twoich snów, uff!

Rzuć monetę,  
Orzeł, reszka, będzie super,  
Możesz wprawdzie wziąć po dupie, ale  
Ta wojenka trwa w nieskończoność,  
Szukaj dolara, tra-ra-ra-ra!

Wszyscy baseballiści w workowatych spodniach, piechota w khaki, osowiałe wreszcie tancerki kankana, także senne już ślicznotki w kąpielu, kowboje i Indianie z trafiki, wytrzeszczający oczy Murzyni, ulicznicy przy straganach, kobieciarze i królowe kina, szulerzy, zezowaci pijacy, uwieszeni latarni, błażni, asy lotnictwa, kapitanowie motorówek, biali myśliwi na safari i negroidalne małpy człekokształtne, kucharze w czapkach kucharskich, żydowscy lichwiarze, wsiochy z dzbanami nielegalnego alkoholu, koty, psy i myszy z komiksów, bokserzy i górale, gwiazdy radia, karky, kolejowe trampy, tancerze-maratończycy, orkiestry swingowe, balowicze z wyższych sfer, konie wyścigowe i dżokeje, fordanserki, kierowcy z Indianapolis, marynarze i Polinezyjki w spódnicach hula, żyłaści biegacze olimpijscy, bogacze z workami dolarów pospołu dołączają się wielkim chórem do tej piosenki, tablice świetlne wszystkich bilardów błyskają światłem, podstawowe barwy z domieszką odblaskowości, flipery trzepoczą, dzwonki dzwonią, monety sypią się z otworów co bardziej rozemocjonowanych maszyn, każdy najdrobniejszy dźwięk i ruch dokładnie na swoim miejscu w tym niesłychanie skomplikowanym ansambli.

Na zewnątrz świątyni czyhają wysłannicy organizacji z Chicago, grają w morrę, popijają kanadyjski bimber ze srebrnych piersiówek, pod marynarkami naoliwione i wyczyszczone trzydziestki ósemki, no i ogólnie zachowują się wstrętne, jak to Włosi, rzymskokatolicka nieprzystępność w



każdej zagniecionej fałdzie i ocienionej szczęce. Nie sposób stwierdzić, czy gdzieś w drewnianej szufladzie leży zestaw instrukcji opisujących dokładnie, jak przestrojono elektryczne bilardy – celowo wywołana przypadkowość? – czy też to naprawdę stało się całkiem mimo woli, dzięki czemu przetrwałaby nasza wiara w awaryjność jako zjawisko pozostające poza Ich zasięgiem... wiara, że każdy bilard z osobna, w swej niewinności, zaszwankował po tysiącach nocy w parowozowniach, burzach z piorunami w Wyomingu, godnych końca świata, które atakują twoją odsłoniętą głowę, amfetaminie na parkingach, dymie papierosowym, drapiącym powieki od wewnątrz, morderczych poszukiwaniach drogi wyjścia z tego nieustępliwego gówna... czy te sportowe zabawki sprowadzili z osobna gracze będący na zawsze nieznanymi? Uwierz: wypocili, skopali, wypłakali, strzaskali, utracili na zawsze równowagę – pojedynczą ruchliwość, której nigdy nie usłyszałeś, jedność nieświadomą samej siebie, ciszę, którą encyklopedyczne opowieści wypełniły dostateczną liczbą czynników, inicjałów, rzeczników i niedoborów, by udaremnić nam ich odnalezienie... lecz przez chwilę, wskutek wydumanej pompy mafii i masonerii, skupił się tutaj, na zapleczu świątyni w Mouthorgan, szykowny chaos, który podda sprawdzianowi umiejętności specjalisty ściągniętego przez Blanda, niejakiego Berta Fibla.

Po raz pierwszy nazwisko tego człowieka padło na ustępowcu. W dawnych czasach szybownictwa Fibel zahaczał i rozciągał liny gumowe dla Horsta Achtfadena.

Został na ziemi. Potem pojechał ze swym przyjacielem do Peenemünde – *pojechał?* – czy to już nie przesada z tą paranoją, przecież nie miałyby to żadnego uzasadnienia – cóż, nazwij to zacieśnianiem powiązań Blanda z Achtfadenem, jeśli chcesz. Fibel pracował dla Siemens w czasach, gdy koncern ten należał do trustu Stinnesa. Oprócz prac konstruktorskich zajmował się szpiegostwem gospodarczym. Skutkiem tego w grę wchodzi również kwestia zobowiązań wobec Vereinigte Stahlwerke, choć akurat teraz Fibel pracuje w fabryce General Electric w Pittsfield, stan Massachusetts. Nic

dziwnego, przecież w interesie Blanda było zainstalować swojego człowieka w Berkshire, domyślasz się może dlaczego? Brawo, tak: żeby mieć oko na dorastającego Tyrone'a Slothrop. Blisko dziesięć lat po ubiciu interesu IG Farben łatwiej jest zlecić obserwację młodego Tyrone'a Lyle'owi Blandowi.

Ten Fibel, Szwab o kamiennej twarzy, to geniusz solenoidów i przełączników. Dociekać, jak te maszynki „się urwały”, by użyć tutejszego określenia, jest grzeszną stratą czasu – od razu zagłębia się w topologie i kody kolorów, smród topionej kalafonii wsącza się do sal bilardowych i salonów, *Schnipsel* tu i ówdzie, wymruczane „też”, raz lub dwa, i zanim się obejrzyysz, większość działa jak należy. Daję głowę, że w Mouthorgan jest teraz mnóstwo szczęśliwych masonów.

W rewanżu za ten dobry uczynek Lyle Bland zostaje przyjęty do masonerii, co generalnie niewiele go obchodzi. W loży znajduje dobre towarzystwo, wszelkie wygody, które przypominają mu o jego męskości, a nawet nawiązuje użyteczne znajomości handlowe. Poza tym jest drętwo jak w Radzie Doradczej do spraw Gospodarczych. Niemasoni kiepsko się orientują w tym, co się dzieje, choć raz na jakiś czas coś wypływa, ujawnia się i zaraz z chichotem daje nura, a ty, biedaku, zostajesz bez faktów, ale za to z całą kupą okropnych podejrzeń. No bo niektórzy ojcowie założyciele też byli wolnomularzami. Wciąż krąży ta hipoteza, że Stany Zjednoczone to w gruncie rzeczy wszechogarniający masoński spisek, urzeczywistniony przez grupę wybrańców, zwanych Illuminati. Trudno patrzeć na to oko wieńczące piramidę na każdym banknocie jednodolarowym i nie wierzyć choćby troszeczkę w tę historię. Zbyt wielu anarchistów w dziewiętnastowiecznej Europie było masonami – Bakunin, Proudhon, Saverio Friscia – żeby uznać to za czysty przypadek. Wyznawcy spiskowej teorii dziejów – są wśród nich nie tylko katolicy – mogą zawsze mieć pewność, że jeżeli zawiedzie wszystko inne, to wolnomularze na pewno dostarczą im dreszczyku emocji i paru zagadek do rozwikłania. Jedna z najlepszych opowieści o niesamowitych masonach mówi, że doktor Livingstone (czyli „żywy

kamień”? A tak, tak...) zawędrował do wioski w, nie, nawet nie w sercu, ale w *podświadomości* Czarnego Łądu, do plemienia, którego nikt wcześniej nie widział – przy ognisku cisza jak makiem zasiał, niezgłębione spojrzenia, ale co tam, Livingstone podchodzi do wodza i pozdrawia go po masońsku – wódz rozumie gest, *rewanżuje się tym samym*, uśmiechnięty od ucha do ucha, i nakazuje swoim ludziom okazać obcemu braterską gościnność: Nie zapominajmy jednak, że doktor Livingstone, podobnie jak Wernher von Braun, urodził się blisko wiosennej równonocy, toteż musiał stawić czoło światu z najbardziej osobliwego punktu zodiaku... Pamiętajmy też, skąd w ogóle wzięły się te masońskie misteria. (Sprawdź u Ishmaela Reeda. On wie więcej, niż znalazłbyś tutaj).

Należy też wspomnieć o masonie z Missouri, niejaki Harrym Trumanie: siedzi w gabinecie jako pan życia i śmierci, właśnie teraz, w sierpniu 1945 roku, z palcem na atomowej łechtaczce pani Enoli Gay, i szykuje się do przerobienia stu tysięcy Azjatów w miarki osad po skwarkach tłuszczu, wtartych w stopione gruzowisko ich miasta na Morzu Wewnętrznym...

Gdy Bland dołączy! do loży, zwyrodniała masoneria już od dawna by!a tylko kolejnym klubem przedsiębiorców. Wstyd. Z upływem wieków najprzeróżniejsza inicjatywa handlowa doprowadziła do atrofii receptorów czuciowych i obszarów mózgu, wskutek czego dla większości członków rytę stały się niczym więcej – a może nawet jeszcze mniej – niż czczą maskaradą. Nie dla wszystkich jednak. Raz na jakiś czas trafia się zacofany osobnik. Lyle Bland okazuje się jednym z takich.

Magia w masońskich rytach jest bardzo, ale to bardzo starej daty. W dawnych czasach odnosiła skutek. Z upływem stuleci jednak zaczęto ją wykorzystywać jako widowiskową oprawę dla utrwalania świeckich pozorów władzy, zatraciła więc swoją żywotność. Mimo to słowa, gesty i mechanizmy zachowały się w nienaruszonej postaci przez tysiąclecia, przez lata ponurej racjonalizacji Świata, toteż magia wciąż w nich jest, choć w stanie uśpienia, i trzeba tylko dotyku wrażliwej dłoni, by się ocknęła.

Po późnowieczornych spotkaniach Bland wracał do domu w Beacon Hill, ale nie mógł zasnąć. Kładł się na leżance w gabinecie, nie myśląc o niczym w szczególności, i w pewnej chwili aż nim rzucało, serce waliło młotem, bo zdawał sobie sprawę, że gdzieś przed chwilą przebywał, nie rejestrując upływu czasu. W akustycznym holu godziny wybijał stary zegar w stylu *american empire*. Ozdobne lustro, własność Blandów od pokoleń, skupiało w swoim rtęciowym stawie obrazy, na które Lyle nie miał odwagi spojrzeć. W innym pokoju jego żona – same żylaki i dewocja – pojękiwała we śnie. Co się działo?

Następnej nocy po spotkaniu, z powrotem na leżance w domu, u boku „Wall Street Journal”, który zamieszcza wyłącznie znane mu rewelacje, Lyle Bland opuścił swoje ciało, unosząc się mniej więcej na pół metra, twarzą do sufitu, uświadomił sobie, co się dzieje, i raptem aaach!, szuuuu! – wrócił. Leżał przerażony bardziej niż kiedykolwiek w życiu, bardziej niż w lesie Belleau – nie z powodu opuszczenia ciała, lecz wskutek świadomości, że to dopiero *pierwszy krok*. Następnym będzie przewrót w powietrzu i spojrzenie na siebie z góry. Zdał sobie sprawę, że wybrał się w podróż, z której nie może się wycofać.

Dopiero po miesiącu lub dwóch udał mu się przewrót. Gdy wreszcie tego dokonał, miał wrażenie, że to nie był przewrót w przestrzeni, lecz w jego osobistych dziejach. Nieodwołalny. Bland, który powrócił do bezwładnej białej powłoki, leżącej brzuchem do góry na kanapie, z odległości tysięcy lat, był już zupełnie kimś innym.

Wkrótce coraz więcej czasu spędzał na leżance w gabinecie, a coraz mniej w biurze przy State Street. Żona, która nigdy nie kwestionowała jego poczynań, snuła się bez celu po pokojach, zagadywała go wyłącznie o sprawy domowe, czasem uzyskując odpowiedź na zadane pytanie, jeżeli Bland akurat przebywał w swoim ciele, najczęściej jednak musiała się zadowolić milczeniem. W domu zaczęli składać niezapowiedziane wizyty dziwaczni osobnicy. Niewydarzeńcy, cudzoziemcy o śniadej, oliwkowej skórze, z

kaszakami, jęczmykiem, cystami, do tego świszczące płuca, zepsute zęby, krótsza noga, martwy wzrok albo – co gorsza – nieobecny uśmiech. Wpuszczała ich i prowadziła do gabinetu, którego drzwi zamykały się ostrożnie przed jej nosem. Słyszała tylko pomruk głosów mówiących w obcym języku. Ludzie ci uczyli jej męża technik podróŜowania.

W konkretnej przestrzeni geograficznej zdarzały się, rzadko wprawdzie, podróŜe na północ po bardzo niebieskich, ogniście niebieskich morzach, zimnych i skutych krą, ku ostatnim bastionom lodu. Nasza zdolność osądu zawiodła fatalnie: skupiliśmy całą uwagę na Pearych i Nansenach, czyli tych, którzy powrócili – gorzej, ich wysiłki nazwaliśmy „sukcesem”, choć im się nie powiodło. Wrócili po sławę, po chwałę, i właśnie dlatego przegrali. Za Johna Franklina i Salomona Andrégo wylewaliśmy tylko łzy: opłakiwaliśmy ich kopce i kości, toteŜ wśród nędznych zamarzniętych resztek nie zwróciliśmy uwagi na anonsy o ich tryumfie. W czasach, gdy technika umożliwiła nam odbywanie podobnych wędrówek bez najmniejszego trudu, dawno już zatraciliśmy zdolność rozróżniania między zwycięstwem a porażką.

Co Andrée znalazł w polarnej ciszy, co powinniśmy byli usłyszeć?

Bland, wciąż nowicjusz, nie wyzbył się jeszcze upodobania do halucynacji. Wie, gdzie się znajduje, gdy dokąds wyrusza, lecz po powrocie wyobraża sobie, że podróżował w głąb dziejów: tymi dziejami jest umysł Ziemi; istnieją pokłady historii, leŜące bardzo głęboko, przypominające złoża węgla i ropy naftowej w ciele Ziemi. Cudzoziemcy siedzą w gabinecie, sączą mu do ucha szeleszczące głoski, zostawiają wstrętą warstewkę maski na wszystkim, czego się tkną, próbują przeprowadzić go przez ten etap, wyraźnie zniecierpliwieni tym, co postrzegają jako styl nuworysza i próŜniaka. Bland wraca i głądzi o osobach napotkanych po drugiej stronie, o członkach astralnego IG, których misja – dawał to do zrozumienia Rathenau ustami medium Petera Sachsy – wykracza poza świeckie dobro i zło: rozróżnienia tego typu nie mają tam żadnego sensu...

– Sssgoda, sssgoda – wszyscy patrzą na niego – ale w takim razie dlaczego mówi pan o ciele i umyśle? Po co taka przeciwstawność?

Niełatwo pogodzić się z zaskakującym odkryciem, że Ziemia jest żyjącą istotą, z ciałem i psyche, zwłaszcza po tylu latach postrzegania jej jako wielkiej niemej bryły, toteż Bland czuje się jak dziecko; zdaje sobie sprawę, że w zasadzie nie powinien się przywiązywać do tego wrażenia, ale cóż, zakochuje się w swoim oszołomieniu, w świadomości odnalezienia tego poczucia, mimo że stało się to tak późno, mimo że wie, iż wkrótce będzie musiał się tego wyrzec... Pomyśl: przekonać się, że Grawitacja, brana zawsze za oczywistość, jest czymś niesamowitym, mesjanistycznym, pozazmysłowym w cieleumyśle Ziemi... czymś, co przygarnęło do jej świętego środka pozostałości wymarłych gatunków, skupiło, upakowało, odmieniło, poprzestawiało i poprzetykało molekuły, które wydobywają z powrotem na powierzchnię kabaliści od smoły węglowej z tej drugiej strony, ci napotykanii przez Blanda podczas jego podróży, odparowując je, rozczepiając, rozbudowując do byle permutacji użytkowej magii, po stuleciach od wyeksploatowania nadal odnajdując kolejne molekularne strzępy, łącząc je bez końca w nowe syntetyki – „Zapomnij o nich, nie są lepsze niż kelipot, skorupy zmarłych, nie wolno ci tracić na nie czasu...”.

Reszta nas, nieprzeznaczonych do oświecenia, pozostawionych na powierzchni Ziemi, zdanych na łaskę Grawitacji, którą dopiero uczymy się rozpoznawać i mierzyć, błędzić musi po manowcach przodomózgowej wiary w Kapitalne Korelacje, w nadziei że dla każdego psi-syntetyku wydartego duszy Ziemi istnieje po tej stronie świecka molekula, mniej więcej zwykła, nazwana – grzebiemy niestrudzenie wśród plastikowych śmieci, znajdując w każdym Głębszą Doniosłość, próbując uporządkować je wszystkie jak człony szeregu potęgowego w wysiłkach dotarcia do tej potężnej i tajemnej Funkcji, której nazwy, podobnie jak rekonstruowanych imion Boga, nie można wymówić... plastikowy saksofon nienaturalny tembr, butelka szamponu wizerunek ego, prażona kukurydza frajda jednokrotnego użytku, artykuł



gospodarstwa domowego owiewki dla wiatru percepcji, małe buteleczki środki uspokajające, paczki mięsa zamaskowanie rzezi, torebki z pralni chemicznej duszenie noworodków, szlauchy ogrodowe pojenie pustyni bez końca... zgrupować to wszystko, w ich schludnej trwałości i naszym stanie pominięcia... dostrzec w tym sens, odnaleźć najlichsze ziarenko prawdy w masowym powielaniu, w masowych odpadach...

Szczęściarz z Blanda, że jest od tego wolny. Pewnego wieczoru zwołał całą rodzinę przed leżankę w gabinecie. Lyle junior przybył aż z Houston, dygocząc od napadu grypy wskutek kontaktu ze światem, w którym klimatyzacja nie jest niezbędna do życia. Clara przyjechała z Bennington, a Buddy zjawił się koleją z Cambridge.

– Jak dobrze wiecie – zaczął Bland – ostatnio nieco podróżowałem. – Miał na sobie zwyczajną białą bluzę, a w rękę trzymał czerwoną różę. Wyglądał niezdrowo, jak potem wszyscy zgodnie uznali: oczy i skórę znamionowała rzadko spotykana przezroczystość, widywana chyba tylko w wiosenne dni, na pewnych wysokościach, tuż przed wschodem słońca. – Odkryłem – ciągnął – że za każdy razem, kiedy się tam wybieram, podróżuję coraz dalej. Dziś zamierzam wyjechać na zawsze. Chciałem się więc z wami pożegnać i zapewnić, że niczego wam nie zabraknie. – Widział się wcześniej ze swoim przyjacielem Coolidge'em („Upałem”) Crootkym – z firmy Sam O'Tnick, Lihy, Koshmar, De Brutus & Crootky z siedzibą przy State Street – by zabezpieczyć finanse rodziny. – Chcę, żebyście wiedzieli, że wszystkich was kocham. Zostałbym tutaj, gdybym mógł, ale muszę odejść. Mam nadzieję, że to zrozumiecie.

Jeden po drugim członkowie rodziny podchodzili do leżanki, by się pożegnać. Po pocałunkach i uściskach dłoni Bland utonął po raz ostatni w objęciach swojej kanapy, zamknąwszy oczy, z bladym uśmiechem na twarzy... Po chwili poczuł, że się unosi. Obecni nie potrafili jednoznacznie ustalić dokładnej pory. Około wpół do dziesiątej Buddy wyszedł do kina, żeby obejrzeć „Narzeczoną Frankensteina”, a pani Bland okryła pogodnie



oblicze przykurzonym perkalem, podarowanym przez krewną, która nigdy nie umiała się wstrzeć w jej gust.



Wietrzna noc. Wieczka żołnierskich puszek dzwonią na placu apelowym. Znudzeni wartownicy ćwiczą salutowanie Gwardii Królewskiej. Niektóre porywy wichru są tak silne, że bujają dżipami, a nawet pustymi dwuipółtonówkami i pikapami cywilów – amortyzatory jęczą głęboko, jak w męczarniach... Na szczytach wiatru kołyszą się korony sosen, ciągnące się nad ostatnim uskokiem piasku w Morze Północne...

Maszerując różnym krokiem, choć nie w nogę, po tym poranym przez ciężarówkę terenie dawnej fabryki Kruppa, doktorzy Muffage i Spontoon nie wyglądają jak spiskowcy. Na pierwszy rzut oka wzięłbyś ich za przyczółek londyńskiego dostojęstwa w pogrążonym w mrokach Cuxhaven – turyści w tej na wpół cywilnej kolonii sulfonamidów wtrąconych do studzien krwi, strzykawek, opasek uciskowych, uzależnionych oficerów medycznych i sadystycznych sanitariuszy, kolonii, od której dotąd trzymali się z dala, Bogu jedynemu dzięki, bo brat Muffage’a jest szycią w Ministerstwie, a Spontoon został oficjalnie pozbawiony praw wykonywania zawodu z racji dziwnego historycznego stygmatu – w kształcie asa pik i w takim samym kolorze – który w chwilach silnego stresu pojawia się na lewym policzku z jednoczesnym atakiem ostrej migreny. Zaledwie kilka miesięcy temu byli zmobilizowani nie gorzej niż każdy inny brytyjski obywatel, a więc gotowi spełniać polecenia władz. Lecz co do obecnej misji, hm, obaj mają spóźnione, powojenne już wątpliwości. Jak szybko w dzisiejszych czasach toczy się historia.

– Nie rozumiem, dlaczego poprosił akurat nas – mówi Muffage głosem nazbyt chyba melodyjnym jak na człowieka o jego posturze, gładząc się po dorodnej hiszpańskiej bródce (gest, który tylko wygląda na tik). – Przecież wie, że nie robiłem czegoś takiego od dwudziestego siódmego.

– Ja asystowałem przy paru na stażu – wspomina Spontoon. – To było w czasach tej mody w zakładach dla obłąkanych, no wiesz.

– Ja ci mogę wymienić kilka państwowych instytucji, gdzie to ciągle jest w modzie. – Wspólny chichot, pełen brytyjskiego weltschmerzu, który wygląda tak niemiło na twarzach dotkniętych nim ludzi. – Zaraz, Spontoon, to ty raczej wolałbyś asystować, tak?

– Och, jak chcesz, tak albo siak. Przecież i tak nie będzie żadnego egzaminatora, który nam wystawi oceny.

– Nie byłbym taki pewien. Nie słyszałeś? Nie zauważyłeś niczego?

– Zauważyłem. Gorliwość.

– Obsesję raczej. Zastanawiam się, czy Pointsman nie traci nad tym kontroli... – Wypowiada te słowa jak James Mason: t(h)raaci, khontroli.

Patrzą jeden na drugiego, za obiema twarzami przepływają osobne nocne przestrzenie, pełne schronów Marstona i zaparkowanych aut. Wiatr przynosi zapach słonej wody, plaży, benzyny. W oddali radio nastawione na program wojskowy rozbrzmiewa organami Sandy’ego MacPhersona.

– Och, wszyscy... – zaczyna Spontoon, ale zawiesza głos.

– Jesteśmy na miejscu.

Rozświetlone biuro obwieszono zdjęciami czerwonoustych pańienek o kończynach jak kiełbaski. W rogu syczy maszynka do kawy. Czuć zjełczały tłuszcz garbarski. Przy biurku siedzi kapral, nogi na blacie, nos utkwiony w komiksie z królikiem Bugsem.

– A, Slothrop – odpowiada na pytanie Muffage’a – tak, tak, ten jankes w tym, no, w kostiumie świni. Ciągle wchodzi albo wychodzi. Zdrowo stuknięty. A wy to co, MI 6 albo coś?

– Nie wolno nam o tym mówić – warczy Spontoon. Przybiera pozę Naylanda Smitha. – Wiecie, kapralu, gdzie możemy znaleźć niejakiego generała Wiverna?

– O tej porze? W składowisku alkoholu najpewniej. Idźcie, panowie, wzdłuż torów, podążajcie za hałasem. Gdybym nie miał służby, sam bym tam był.

– W kostiumie świni? – Muffage marszczy czoło.

– Wielkim cholernym kostiumie świni, żółto-różowo-niebieskim, jak Boga kocham – zarzeka się kapral. – Rozpoznacie go od razu. Nie macie panowie przypadkiem wolnego papierosa?

Idą wzdłuż torów, obok trzypiętrowych platform i cystern; po chwili dobiegają ich odgłosy hucznej zabawy.

– Składowisko alkoholu?

– Paliwa dla hitlerowskich rakiet, jak słyszałem. Ciekawe, czy doprowadzą którąkolwiek do użytku.

Pod parasolem z nagich żarówek zebrał się tłum żołnierzy, amerykańskich marynarzy, dziewcząt z Instytutu Marynarki, Wojsk Lądowych i Lotnictwa oraz niemieckich *Fräulein*. Wszyscy bratają się na całego, w hałasie, który, gdy Muffage i Spontoon docierają na skraj zbiegowiska, przemienia się w piosenkę, a pośrodku, mając nieźle w czubie, z rękami obejmującymi dwie uśmiechnięte, wymiętoszone lalunie, rumiana twarz nabrzmiała apoplektycznym fioletem, stoi wodzirej, czyli ten sam generał Wivem, którego Muffage i Spontoon ostatnio widzieli u Pointsmana w Dwunastym Domu. Z cysterny, o której zawartości – siedemdziesięciopięcioprocentowym roztworze alkoholu etylowego – informują białutkie litery, wypisane na boku, sterczą tu i ówdzie kurki, pod które balowicze podstawiają niewiarygodne ilości menażek, porcelanowych kubków, dzbanków do kawy, wiader i innych naczyń. Do akompaniamentu ukulele, kazoo, organków ustnych i wszelkiego rodzaju prowizorycznych „przeszkadzajek” z metalu rozbrzmiewa piosenka, która jest niewinnym hołdem na cześć powojnia, wyrazem nadziei, że koniec niedoborów, koniec mizერი jest bliski:

Pora

Napchać kałdun!

Kałdun pora napchać!

Otwieraj lodówkę –

Brzuch napełnić czas,

Czas napełnić brzuch.

Skoro zjadłeś już,  
Teraz zjedz za dwóch!  
Kałdun pora napchać,  
Napchać kałdun pora.  
Rzecz niby zwykła, a czujesz, że żyjesz.  
Życie boskie jest,  
Gdy zjesz, zakąsisz i spożyjesz!

Przez kolejnych osiem taktów pałeczkę przejmuje chór żołnierzy i marynarzy, przez następnych osiem dziewczęta, dalsze generał Wivern śpiewa solo, końcówkę *tutti*. Potem grają same ukulele i kazoo, wszyscy tańczą, czarne chustki smagają jak wąsy epileptyków, delikatne wstążki rozsypują się, wypuszczając na wolność luźne loczki, rąbki sukienek zadarte, by odsłonić błyskające kolana i halki wykończone przedwojenną kluniacką koronką, które w białym świetle są krótkotrwałym trzepotem przydymionych nietoperzych skrzydeł... przy ostatnim refrenie panowie formują krąg zgodnie z ruchem wskazówek zegara, panie w przeciwnym kierunku, a muzycy tworzą deseń róży, pośrodku której uśmiechnięty obleśnie moczymorda generał Wivern, z kuflem w łapie, zostaje podźwignięty ku górze niczym wyprężony słupek kwiatowy.

Chyba jedynym człowiekiem oprócz dwóch przybyłych chirurgów nieuczestniczącym w zabawie jest marynarz Sperman Bodine, którego ostatni raz widzieliśmy, pamiętasz może, jak gruchał sobie w wannie z Trudi w berlińskim mieszkaniu Säuego. Poważny i trzeźwy, odziany w nieskazitelny biały drelich, przechadza się wśród balowiczów, gęste włosy wpełzają z rękawów i trójkątnego wycięcia pod szyją, takie mnóstwo, że zeszłej nocy śmiertelnie wystraszył potencjalnego kontrahenta z Indochin z dostawą blisko tony indyjskiej maryśki, bo ten wziął go za morską odmianę yeti, czyli Człowieka Śniegu. Żeby zrekompensować sobie storpedowany interes, Bodine próbuje dziś wieczorem wypromować Pierwszą Międzynarodową Walkę na Widelczyki do Pikli, między jego kolegą z załogi Averym

Purfle'em a angielskim komandosem nazwiskiem St. John Bladdery.

– Przyjmuję zakłady, stawiajcie, stawiajcie, szanse są równe, pięćdziesiąt na pięćdziesiąt – ogłasza uprzejmy krupier Bodine, przeciskając się przez zwarty tłum, niejedno ciało w niezbyt pionowej pozycji, kudłata dłoń ściska zwitek banknotów okupacyjnych. Drugą od czasu do czasu rozciąga wielki marynarski kołnierz swojej bluzy i wydmuchuje w niego nos, kólecčka na podkoszulku połyskują, żarówki tańczą na wietrze wywołanym smarkaniem, kilka jego cieni miota się w różnych kierunkach i zlewa z innymi.

– Witaj, tata, chcesz opiata? – Malutkie czerwone oczka w różowej galarecie zamiast twarzy i uśmiech skąpca. To Albert Krypton, ambitny sanitariusz z „U.S.S. John Badass”, który wyciąga teraz z sekretnej kieszeni bluzy szklaną fiolkę pełną białych tabletek. – Kodeina, żołnierzu, jest cudowna, masz.

Bodine kicha gwałtownie i wyciera glut rękawem.

– Nie pomaga na przeziębienie, Krypton. Dzięki. Widziałeś Avery'ego?

– Jest w świetnej formie. Trenował do ostatniej chwili, gdy zaszedłem do pomp.

– Posłuchaj, stary kumplu – mówi przedsiębiorczy żeglarz. To jest zaszyfrowane zamówienie na trzy uncje kokainy. Bodine wyciąga kilka zmiętych banknotów. – O północy, jeśli dasz radę. Powiedz mu, że po walce spotkamy się u Putziego.

– Załatwione na mur-beton. Ej, zaglądałeś ostatnio pod koszary? – Chodzą słuchy, że żołnierze z Indochin i Birmy grają tam w kulki pigułkami opium. Można zebrać ich ze sto, nawet jeśli ma się dwie lewe ręce. Sanitariusz Krypton wkłada pieniądze do kieszeni i odmaszerowuje, zginając kciuk i rozmyślając o tej sprawie, przeciska się przez tłum, obmacując ciała po drodze, przystając, by z łuski artyleryjskiej łyknąć żytnią z sokiem grejpfrutowym, sprzedając tu i ówdzie tabletkę kodeiny. Przeżywa krótkotrwały napad paranoi na widok dwóch żandarmów w czerwonych beretach, którzy głaszczą wymownie swoje pałki i posyłają mu – jak sobie

wyobraża – znaczące spojrzenia. Odfruwa więc w noc, szybuje po ciemnym niebie. Napędza go prawnie zastrzeżona mieszanka, znana jako Błękit Kryptona, jest to więc oszałamiający lot, nie bez chwil zamroczenia, wprost do apteki.

Gdzie jego znajomek, aptekarz Birdbury, dyryguje i jednocześnie śpiewa ostatni akt „Mocy przeznaczenia” dobiegający z trzaskiem z Radia Luxemburg. Kłapaczka się zatrzasuje na widok pikującego Kryptona. Marynarzowi towarzyszy bowiem gigantyczna, wielokolorowa Świnia, pluszowa sierść zmierzwiona tu i ówdzie, co jeszcze poszerza paletę barw.

– Mikrogramy – puka się Krypton teatralnie w czoło – mikrogramy, nie miligramy. Birdbury, dajże coś, bo przedawkowałem.

– Ćśśś. – Wysokie czoło aptekarza marszczy się operowo.

Krypton idzie na zaplecze, między półki, i przez butelkę środków uśmierzających gapi się na rozświetlone pomieszczenie, póki opera nie dobiegnie końca. Wraca w chwili, gdy Świnia pyta:

– A dokąd mógł się wybrać?

– Mam ją z trzeciej ręki – mówi Birdbury, kładąc na blacie strzykawkę, której używał jako pałeczki dyrygenckiej. – Zagadaj Kryptona, on obraca się w szerokich kręgach.

– Witaj, słonko, podziel się szczepionką.

– Podobno Springer ma się dzisiaj zjawić.

– Pierwsze słyszę. Ale idź do lokalu Putziego, na co czekasz? Tam się wszystko kręci.

Świnia patrzy na zegar ścienny.

– Mam dzisiaj napięty harmonogram.

– Posłuchaj, Krypton, w każdej chwili może tu przyjść fisza z GOSPS-u, więc jak coś... to... no wiesz...

Targują się o cenę trzech uncji kokainy. Świnia dyskretnie odsuwa się na bok i wertuje „News of the World”. Następnie, przyklejając taśmą do obnażonej nogi ostatnią buteleczkę z kryształkami, Krypton zaprasza



wszystkich na walkę na widelczyki.

– Bodine zebrał niezłą pulę zakładów z całej Strefy.

– Marynarz Bodine? – pyta zdumiona Świnia.

– Raczej Król Cuxhaven, Wieprzku.

– Kiedyś załatwiłem dla niego jedną sprawę w Berlinie. Powiedz mu, że Rocketman go pozdrawia.

Otwierając buteleczkę, żeby sprawdzić towar, Krypton, nogawka podciągnięta, nieruchomieje i wytrzeszcza gały.

– Ten hasz?

– Ehe.

Wciąga nosem – prawa dziurka, lewa dziurka – porządną szczyptę puszystej bieli. Świat się klaruje. Glut twardy jak pięść dławi gardło Kryptona. Poczdamski Odbiór już od dawna należy do folkloru Strefy. Czy ta Świnia próbuje zdyskontować sławę Rocketmana (w którego istnienie Krypton tak do końca nie wierzy)? Kokainowe podejrzania, przyczajone i wredne jak szczury... błyszczące buteleczki w tysiącach kolorów, głosy z radia, fałdy kudłatej gęstwiny i łapsko, gdy Krypton wyciąga rękę, by pogłaskać... nie, Świnia nie szuka tu niczego, to nie gliniarz, handlarz też nie, ani naganiacz...

– Chciałem poczuć sierść – mówi.

– Nie ma sprawy.

Nagle w drzwiach roi się od czerwonych beretów, pasów i mosiądzu. Krypton stoi nieruchomo z zakrętką od buteleczki w ręku.

– Jest tu Slothrop? – Dowodzący sierżant wślizguje się do środka, dłoń oparta na pistolecie.

Świnia z całą powagą zerka na Birdbury'ego, który kręci głową, nie, to przecież nie ja.

– Ja też nie – czuje się w obowiązku zaprzeczyć Krypton.

– Ktoś dał cynk – mruczy Świnia urażonym tonem.

– Cofnij się – szepcze Albert. Do żandarmów: – Przepraszam.

Podchodzi do wyłącznika w ścianie, pstryk, ciemno, krzyki, Slothrop pędzi obok lady Birdbury’ego, bęc, wprost na wysoki regał z lekarstwami, od którego odbija się słomianym brzuchem i który wali się na kogoś innego, z przeraźliwym hukiem tłukącego się szkła – dalej ciemnym korytarzem, ręce wystawione, żeby wyczuwać drogę, do tylnego wyjścia, gdzie natyka się na Kryptona.

– Dzięki.

– Szybko.

Wieją na wschód, w stronę Laby i doków, tupiąc głośno, ślizgając się w kałużach błota, potykając o koleiny, wiatr wkrada się między schrony Marstena, chłoszcze ich po twarzach, spod „dzwonów” Kryptona wystrzelają białe rozpryski kokainy. Z tyłu żandarmi wrzeszczą i błyskają latarkami, ale chyba zgubili trop. To dobrze.

– Droga wybrukowana jest żółtą kostką – nuci Krypton melodyjnie – wybrukowana żółtą kostką – a co to, czy on, tak, płąsa...

Po chwili dobiegają zziązani na nabrzeże, gdzie zacumował „Badass” i cztery inne szarawe jednostki i gdzie akurat toczy się zapowiedziany pojedynek na widelczyki w środku falującego, wiwatującego zbiegowiska pijanych żołnierzy i cywilów. Żyłasty Avery Purfle, bokobrody przy lizane w bladym świetle jak focze futro, jabłko Adama tykające nerwowo w gardle, cztery, pięć taktów na minutę, krąży dokoła przeciwnika, którym jest pogodny, wielki jak wół St. John Bladdery, obaj z widelczykami na sztorc, zaostrome zębki błyskają.

Krypton upycha Slothropą w pojemniku na śmieci i idzie odszukać Bodine’a. Po kilku pozorowanych atakach Purfle wyprowadza pchnięcie błyskawicznie jak walczący kogut. Cięciem z wysoka, którego Bladdery’emu nie udaje się sparować, przecina bluzę komandosa i rani go do krwi. Natychmiast chce odskoczyć, ale przemyślny Anglik zdążył postawić nogę w wielkim buciorze na jego półbucie, przyszpilając napastnika w miejscu.

Promotor Bodine i jego dwaj zawodnicy są rodzinami świadomości w

tym zakalcowym cieście: połowa widzów znajduje się już na skraju błogiego zamroczenia, druga połowa nie bardzo wie, co się dzieje. Niektórzy myślą, że Purfle i Bladdery naprawdę się nie lubią. Inni, że w gruncie rzeczy oglądają kabaret, toteż śmieją się w nieodpowiednich momentach. Raz po raz w głębi nocy, na pokładach okrętów wojennych, jarzą się paciorki oczu, które patrzą i patrzą...

Purfle i Bladdery jednocześnie zadają ciosy i raptem znajdują się *corps à corps* – z przeraźliwym zgrzytem i brzdękami widelczyki klinują się, łokcie napięte i znieruchomiałe. Wynik walki zależy teraz od inwencji Purfle'a, bo Bladdery najwyraźniej może tak stać całą noc.

– Rocketman tu jest. – Krypton ciągnie Bodine'a za zasmarkany i pomięty kołnierz. – Przebrany za świnię.

– Nie teraz, człowieku. Masz?...

– Ale wali za nim pościg. Gdzie go schowamy?

– A co mnie to obchodzi, to jakiś dupek i tyle. Podróbka. Prawdziwego Rocketmana by tu nie było.

Purfle szarpie prawą ręką do tyłu, pochylając się zarazem w bok, wykręcając widelczyk szczepiony z bronią przeciwnika, wskutek czego komandos traci równowagę i by się ratować, przesuwa nogę, puszczając stopę Amerykanina, który zręcznie uwalnia swój sztuciec i odskakuje do tyłu. Bladdery odzyskuje równowagę i rusza ciężkim krokiem w pogoń, sondując przestrzeń serią pchnięć, następnie przerzuca widelczyk do lewej dłoni i zaskakuje Purfle'a cięciem, które muska go w szyję, o włos mijając tętnicę. Krew tryska na białą bluzę, czarna w świetle lamp łukowych. Pot i zimne cienie gnieźdzą się mrocznie pod pachami obu mężczyzn. Oszałały z bólu Purfle rzuca się na Bladdery'ego, młóci bronią na oślep, ciach, ciach, ale komandos nie cofa się nawet o krok, cyrkowe uniki ciała od kolan w górę, po chwili chwytą przeciwnika za prawy nadgarstek i obraca nim parokrotnie, jak dziewczyną w tańcu, tnąc przy każdym piruecie jego jabłko Adama, gotów zakończyć walkę. Podnosi oczy, rozgląda się, zdyszany, spocony, szukając

jakiegoś ośrodka władzy, który powie mu, co powinien teraz zrobić.

A tu nic: wszyscy śpią, rzygają albo dygoczą nieprzytomnie, upiorny kwiatowy odór alkoholu etylowego, trzeźwy Bodine liczy pieniądze. Nikt nie kibicuje. Nagle Bladdery i Purfle uświadamiają sobie, jak na komendę, złączeni ostrym widelczykiem do pikli i tym drobnym ruchem, potrzebnym, by wypełnić ich wspólny świat śmiercią, że nikt nie mówił wyraźnie o walce do samego końca, prawda? Że uzgodniono tylko, iż zwycięzca dostanie część puli, toteż najrozsądniejszym wyjściem będzie teraz przestać, pójść razem do Bodine'a i wydębić od niego gotówkę, a zaraz potem znaleźć jakieś bandaże i jodynę. Nadal jednak stoją szczeni, Śmierć w całej swej grozie nuci im romantyczne melodie, strofując ich, że są powściągliwymi małymi człowieczkami... *Dotąd i ani kroku dalej? I już, po sprawie? I to ma być życie?*

Nadjeżdża samochód żandarmerii wojskowej, klakson, syrena i światła włączone. Purfle i Bladdery z ociąganiem rozluźniają mięśnie, wypuszczają powietrze z wydętych policzków, rozłączają się. Z odległości trzech metrów, nad głowami budzących się balowiczów, Bodine rzuca im gruby plik waluty, Anglik łapie pieniądze, dzieli je na oko, podaje połowę Amerykaninowi, który już biegnie w kierunku trapu prowadzącego na pokład szarego skurwysyna, „Johna E. Badassa”, gdzie wachta na rufie wreszcie ma się czym zająć i nawet karciana gra w pralni zostaje przerwana, bo uczestnicy pędzą obejrzeć nalot żandarmów. Na brzegu pijani widzowie kręcą się ospale, bez celu, zdezorientowani. W krąg bladego światła wpada gromadka podekscytowanych, rozgorączkowanych, wymiętych dziewcząt, które dematerializują St. Johna Bladdery'ego wśród pastelowych nylonów i miłosnych pisków. Bodine i Krypton przewiercają się przez tłum, klnąc, potykając się o śpiących i obudzonych chlajusów, i zatrzymują się przy śmietniku, żeby zabrać Slothrop'a, który wyłania się ze stosu skorupki od jaj, puszek po piwie, wstrętnych resztek kurczaka w żółtym sosie, fusów po kawie i makulatury, wszystko sypie się z łoskotem, on podnosi maskę i

uśmiecha się promiennie do Bodine'a.

– Rocketman, jasny gwint, to naprawdę ty. Co się dzieje, stary kumplu?

– Wsypa, muszę się dostać do lokalu Putziego.

Pojawiają się ciężarówki; do brezentowych cieni żandarmi pakują całe towarzystwo, które porusza się w zwolnionym tempie. Nabrzeżem biegają dwaj cywile, jeden ze spiczastą bródką, wrzeszcząc:

– Jest, facet w kostiumie świni, o tam, tam!

– Stój, Slothrop, nie ruszaj się!

Slothrop ani myśli stać, z donośnym brzękiem i chrzęstem wytacza się ze śmietnika i rzuca pędem za Bodine'em i Kryptonem, tłuszcz skapuje, skorupki fruną na wszystkie strony. Przy następnej eskadrze zacumowanych niszczycieli stoi furgonetka Czerwonego Krzyża albo objazdowy bufet, światło reflektorów leje się regularnym kwadratem na asfalt, w środku ładna dziewczyna z fryzurą Deanny Durbin, obramowana oknem na tle masy cukierków, papierosów, trójkątnych kanapek w pergaminie.

– Kawy, chłopcy? – zagaduje z uśmiechem. – A może sandwicza? Zostały tylko z szynką – dostrzega Slothrop – ojej, przepraszam...

– Kluczyki. – Bodine błyska szyderczym uśmiechem à la Cagney i niklowaną spluwą. – Szybko. – Odbezpiecza.

Zmarszczony noseć, wzruszenie wywatowanych ramion.

– Są w stacyjce, bohaterze.

Albert Krypton siada z tyłu, żeby dziewczyna nie czuła się samotna, Slothrop i Bodine wskakują z przodu. Ostry skręt z piskiem opon, w samą porę, bo nadbiegają dwaj cywile.

– Kim oni są, do cholery? – Slothrop zerka wstecz, patrzy na dwie niknące rozwrzeszczane postacie. – Zwłaszcza ten gagatek z asem pik na policzku?

Bodine okrąża rozróbę przy niszczycielu, pokazując wszystkim obowiązkowego wała. Slothrop rozsiada się wygodnie w fotelu, podsuwa maskę na czoło, jak rycerz przyłbicę, sięga ręką do kieszeni w bluzie marynarza, żeby wyszperać papierosy, zapala jednego, zmęczony, łaknąc

snu... Za plecami rozlega się nagle wrzask dziewczyny:

– Mój Boże, a co to?!

– Posłuchaj, to proste – tłumaczy Krypton cierpliwie – sypiesz trochę na koniuszek palca, zatykasz jedną dziurkę, a drugą wciągasz i-i-ii –

– Kokaina! – Głos osiąga tony hysterii. – To kokaina! Heroina! Jesteście ćpunami!

I do tego porwaliście mnie! Mój Boże! Zrozumcie, to jest samochód Czerwonego Krzyża! Własność Czerwonego Krzyża! Tak nie wolno! Ja też jestem z Czerwonego Krzyża! Ratunku, niech ktoś mi pomoże! Ćpuny! Błagam, pomocy! Zatrzymaj, chcę wysiąść! Weźcie samochód, wszystko weźcie, ale proszę, nie –

– Łap kierownicę – mówi Bodine do Slothrop'a i odwróciwszy się, celuje z pistoletu w dziewczynę.

– Nie możesz mnie zastrzelić! IV bandyto jeden, za kogo się uważasz?! Porwałś własność Czerwonego Krzyża! Idź sobie, idź sobie gdzieś, wączaj to świństwo i zostaw mnie w spokoju!

– Jesteś w błędzie, cipo – oznajmia Bodine spokojnym, zrównoważonym tonem. – Mogę cię zastrzelić. Tak się składa, że pracujesz dla tej samej cudownej i sympatycznej organizacji, która brała piętnaście centów za kawę i pączka w trakcie bitwy o te pierdolone Ardeny! To kto tu jest złodziej, co?

– Chyba „złodziejem” – odpowiada dziewczyna potulnie, dolna warga drży milutko i zarazem wściekle, przynajmniej w opinii Slothrop'a, który obserwuje wszystko w lusterku wstecznym, tymczasem Bodine znów przejmuje kierownicę.

– A co my tu mamy? – Krypton pod wrażeniem tyłeczka obciążonego spódnicą khaki – funkcjonariuszka stoi na szeroko rozstawionych długich nogach, bo furgonetka pruje sześćdziesiąt, siedemdziesiąt mil na godzinę, a Bodine dodatkowo ścina wiraże, co wydaje się jakąś wystylizowaną formą samobójstwa.

– Jak masz na imię? – pyta z uśmiechem dobroduszna świnią.

– Shirley.

– A ja Tyrone, miło mi.

– Tra-la-la. – Krypton opróżnia szufladki kasy, wcina batony i upycha paczki papierosów w skarpetki. – Miłość w rozkwicie.

W tym momencie Bodine wciska hamulec, wóz wpada w poślizg, tył furgonetki sunie ku lodowato oświetlonej żywej rzeźbie, przedstawiającej wartowników w hełmach z białymi literami, białych pasach i z białymi kaburami, oho, barykada w poprzek drogi, a do przyczajonego dżipa biegnie oficer wrzeszczący do krótkofalówki.

– Blokada, co jest, cholera? – Bodine z chrzęstem wrzuca wsteczny, towary dla wojska sypią się z półek, furgonetka przechyla się na bok. Shirley traci równowagę i bryka do przodu, Krypton próbuje ją złapać, a Slothrop bierze pistolet z tablicy rozdzielczej. Przysuwa się do okna, z dziewczyną przewieszoną przez przednie siedzenie. – Kurwa, gdzie tu jest jedynka? Co? A, to wózek Czerwonego Krzyża, może do skrzyni trzeba wrzucić monetę, żeby zadziało, co, Shirley?

– Na miłość boską! – Wyciągnięta do przodu, chwyta za dźwignię. – O tak, bęcwale.

Z tyłu padają strzały.

– Dziękuję. – Bodine rusza, zostawiając na asfalcie warstwę gumy i gryzący swąd. Już ich nie ma.

– Rany, oni naprawdę cię ścigają, Rocketmanie. – Krypton z uśmiechem proponuje dziewczynie łydkę z buteleczką kokainy.

– Też mi nowina.

– Nie, dziękuję – mówi Shirley – chyba jednak się nie skuszę.

– Oj, no, śmiało.

– Tamci to były aniołki? – Slothrop patrzy zmrużonymi oczyma na poświatę reflektorów z przodu. – Czy nasze zwykłe wojsko? Co nasze wojsko robi w brytyjskim sektorze?

– Może nic – odpowiada Bodine – może to był tylko patrol przybrzeżny.



Nie bądźmy większymi paranoikami, niż potrzeba...

– Zobacz, mała, ja to zrobię (pociągnięcie nosem), i widzisz (pociągnięcie nosem), nie rosną mi żadne zęby jadowe ani nic...

– Sama nie wiem. – Shirley klęka i odchyła się do tyłu, piersi oparte o przednie siedzenie, duża gładka dłoń wieśniaczki na ramieniu Slothrop dla utrzymania równowagi.

– Słuchaj – odzywa się Bodine – ja lubię wiedzieć, na czym stoję. Bo jeśli to polowanie będzie trwało... Na co oni polują? Na walutę czy narkotyki?

– Chyba tylko na mnie. To nie ma nic wspólnego z czarnym rynkiem, to całkowicie inna sprawa.

– Jest różą ziemi niczyyyjej – śpiewa Albert Krypton przymilnie.

– Po co akurat do Putziego?

– Muszę się zobaczyć ze Springerem.

– Nawet nie wiedziałem, że on tu będzie.

– Dlaczego wszyscy to powtarzają?

– Ale pamnientaj – Shirley z jednym zatkanym nozdrzem – nie za dużo, otrobinę.

– No bo nikt go od pewnego czasu nie widział.

– Teraz wciągaj, dobrze, dobrze, okay. O tak. Hm, czekaj, masz tu zaschlą kożę, dlatego nie wchodzi, bo ci blokuje... jeszcze raz, o tak. Teraz druga.

– Mówiłeś, Albert, że tylko w jedną.

– Posłuchaj, Rocket, jeżeli cię udupią –

– Wolę o tym nie myśleć.

– Cholerka – mówi Shirley.

– Smakuje? Proszę, weź jeszcze trochę.

– No ale coś ty zmalował?

– Nic. Chciałem pogadać z kimś z GOSPS-u. Dowiedzieć się, co jest grane. Mieliśmy pogadać, no wiesz, bez świadków, w tej aptece. Na neutralnym gruncie. Zamiast tego pojawiły się gliny. A potem te dwa padalce w cywilnych ciuchach.

- Ty jesteś szpieg czy co?
- Chciałbym być nawet szpiegiem. O rany. Powinienem był się domyślić.
- Nie wygląda to za dobrze. – Marynarz Bodine prowadzi samochód bez uczucia frajdy, zamyślony, coraz bardziej smętny. – A powiedz – odzywa się – jeżeli, no, jeżeli cię złapią, to może mógłbym się skontaktować z twoją mamą albo kimś?
- Moją... – Baczne spojrzenie. – Nie, nie...
- No to z kimś innym.
- Nikt mi nie przychodzi do głowy.
- Kurczę, Rocketmanie.

Lokal Putziego okazuje się rozległą, na w pół ufortyfikowaną rezydencją z ubiegłego stulecia, w bok od szosy na Dorum, w stronę morza po poranej kołami piaszczystej drodze, zarośniętej pośrodku trzcina i sztywną wydmową trawą, sam dom jak tratwa zawieszony na grzbiecie ogromnej fali w postaci wzniesienia nad szeroką plażą, która opada tak łagodnie, że skraj wody jest całkowitą niespodzianką, spokojna, biała jak sól, ciągnie się milami w głąb Morza Północnego niczym chmury, tu i ówdzie domieszka srebra, podłużne kształty komórek i kończyn, grubość tkanki, zastygła pod księżycem, wypręża się ku Helgolandowi.

Miejsce to nigdy nie zostało zarekwirowane. Nikt nie widział właściciela, nikt nawet nie wie, czy „Putzi” istnieje naprawdę. Bodine bez ceregieli wjeżdża furgonetką do dawnej stajni i wszyscy wysiadają, Shirley wiwatując w poświęcie księżyca, Krypton mruczając „rany, rany”, z ustami pełnymi prowiantu. W progu zaporą okazuje się hasło i inne wymogi bezpieczeństwa, podwyższone od razu na widok kostiumu świni, ale Slothrop pokazuje skoczka i to odnosi skutek. Wchodzą do lokalu, który jest połączeniem baru, palami opium, kabaretu, kasyna i domu schadzek, we wszystkich salach roi się od żołnierzy, marynarzy, dam do towarzystwa, sztuczek, zwycięzców, przegranych, prestidigitatorów, handlarzy, narkomanów, podglądaczy, homoseksualistów, fetyszystów, szpiegów i ludzi szukających towarzystwa,

wszyscy gadają, śpiewają albo wszczynają piekielny hałas, którego grube ściany jednak nie przepuszczają na zewnątrz. Dym, pot, opary perfum i alkoholu kłębią się w formie turbulencji nazbyt delikatnych, by je wyczuć, a cóż dopiero zobaczyć. To płynne święto, którego nikt nie zamierza przerwać: uroczystość na cześć zwycięstwa, tak niezmienna, tak łatwo wchłaniająca nowego przybysza i starego bywalca, że trudno powiedzieć, które zwycięstwo zostaje uczczone i w której wojnie.

Springera ani śladu, Slothrop podpytuje trochę i dowiaduje się, że Niemiec przyjdzie dopiero później albo wcale. Tak się składa, że tego dnia wypada termin dostarczenia zaświadczenia o zwolnieniu z wojska, uzgodniony na kutrze Frau Gnab. I akurat dzisiaj, po całym tygodniu spokoju, pojawia się policja. Ach tak, tak, w rzeczy samej, NNNNNNNN Dzień Dobry Tyronie Slothrop Oczekiwaliśmy Ciebie. Oczywiście Że Tu Jesteśmy. Nie Myślałeś Chyba Że się Odczepimy No Skąd Tyronie. Będziemy Musieli Znowu Sprawić Ci Ból Jeżeli Okażesz się Nierozsądny Znowu Znowu I Znowu Tak Tyronie. Jesteś Bezgranicznie Głupi Beznadziejny i Udupiony. Czy Naprawdę Myślisz Że Coś Znajdziesz? A Jeżeli To Będzie Śmierć? A Jeżeli Nie Chcemy Żebyś Cokolwiek Znalazł? Jeżeli Nie Zechcemy Cię Zwolnić Będziesz Tak Żył Już Zawsze Prawda? Może Tylko Chcemy Byś Nadal Tak Żył? Nie Wiesz Tego Co? Skąd Ci Przyszło Do Głowy Że Potrafisz Grać Tak Dobrze Jak My? Nie Potrafisz. Myślisz Że Świetnie Sobie Radzisz. Z Ciebie Zwykła Kupa Gówna I Wszyscy To Wiemy. Tak Jest Napisane W Twojej Teczce Osobowej (Śmiech. Podśpiewywanie).

Bodine odnajduje go w szafie na ubrania. Slothrop żuje ucho swojej maski.

– Źle wyglądasz, Rocket. To Solange. Masażystka.

Dziewczyna się uśmiecha, trochę kpiarsko, dziecko przyprowadzone, żeby popatrzeć na dziwną świnię w norze.

– Przepraszam, przepraszam.

– Chodź, zaprowadzę cię do łaźni – głos dziewczyny jest namydloną gąbką, pieszczącą jego zbolące miejsca – tam znajdziesz spokój, odpoczniesz...

– Będę się tu kręcił całą noc – mówi Bodine. – Dam znać, gdyby Springer się zjawiał.

– To jakaś zmowa, co? – Slothrop wsysa ślinę z kłębow aksamitu.

– Człowieku, wszystko jest swoistą znową – odpowiada marynarz ze śmiechem.

– Tak, a strzały lecą we wszystkich kierunkach. – Solange ilustruje słowa tańcem rozczapierzonych dłoni: dziesięć wektorów o czerwonych grotach.

Dla Slothrop'a to nowina, że Strefa jest pożywką jeszcze dla innych spisków oprócz tych wymierzonych w niego... to są torowiska i autobusy ogromnego systemu komunikacji w Raketenstadt, systemu o wiele bardziej powikłanego niż bostoński – być może, gdy przejedzie każdą linią należyty dystans, gdy będzie wiedział, kiedy się przesiąść, gdy zachowa resztkę godności, choć często wydawać się będzie, że jedzie w złą stronę, to wtedy ta sieć sprzysiężeń zawiedzie go ku wolności. Rozumie, że powinien się wyzbyć paranoicznych podejrzeń wobec Bodine'a i Solange, śmiało przejechać jakiś odcinek ich metrem, zobaczyć, dokąd dotrze...

Dziewczyna prowadzi go do łaźni, Bodine zaś szuka dalej swojego klienta, dwie i pół buteleczki kokainy lepią się i pobrzękują na nagim brzuchu pod podkoszulkiem. Majora nie ma przy pokerze, grze w kości ani wśród widzów przedstawienia artystycznego – w którym niejaka Yolande, blondynka lśniąca oliwką dla niemowląt, płąsa od stolika do stolika, zbierając chwytnymi wargami sromowymi floreny i funty szterlingi, niejeden rozgrzany do czerwoności zapalniczką przez jakiegoś dowcipnisia – nie ma go przy barze, nie poszedł się też pieprzyć, jak twierdzi Monika, dobroduszna, paląca cygara burdelmama w kretonowym garniturze. Nie pojawił się nawet, żeby wymusić na pianiście zagranie „Róży z San Antonio”. Dopiero po półgodzinie Bodine wpada na niego: facet wytacza się z wahadłowych drzwi ubikacji, półprzytomny po konfrontacji ze sławetną *Eisenkröte*, znaną w całej Strefie jako najtrudniejszy sprawdzian męstwa, na myśl o którym kulą się ze strachu, mdleją, tchórzają, a czasem nawet wymiotują zarówno najczęściej odznaczani i

awansowani szkopobójcy, jak i najbardziej fanatyczni uciekinierzy z ostatnich hitlerowskich barykad. Bo to jest faktycznie Żelazna Ropucha, niektórzy twierdzą, że uśmiecha się blado, wiernie skopiowana, pokryta tysiącem brodawek, ponad trzydzieści centymetrów w najdłuższym miejscu, przyczajona na dnie cuchnącego, zasranego kibla i połączona z Europejską Siecią Energetyczną za pomocą rezystora nastawnego, by przewodzić różne, choć nigdy śmiertelne ładunki elektryczne. Nikt nie wie, kto obsługuje sekretny rezystor (zdaniem niektórych, sam na wpół mityczny Putzi) ani czy urządzenie nie zostało podłączone do regulatora czasowego, no bo nie wszyscy zostają porażeni, fakt – czasem można się wyszczać na Ropuchę bezkarnie. Ale nigdy nie ma pewności. Często gęsto prąd czyha – szybki jak pirania i wytrzymały jak łosoś, pnie się złotą strugą moczu – zdradziecka drabina soli i kwasów – by wprowadzić cię w bezpośredni kontakt z Matką Ziemią, wielkim, planetarnym zbiornikiem elektronów, jednoczącym cię z pierwowzorem, legendarnym biednym pijusem, który jest zbyt wstawiony, by cokolwiek wiedzieć, który szcza na jakąś dawną szynę prądową, zwęgloną na popiół, na epileptyczną noc, ten krzyk już nie jego krzykiem, lecz elektryczności, ampery grzmia w pękającym organie, rozerwanym zbyt szybko, by mogły cokolwiek powiedzieć, a cóż dopiero głosić swoje straszliwe uwolnienie z ciszy, nikt i tak nie słucha, wartownik myszkuje po torach, niemogący zasnąć staruszek na spacerze, włączęga na ławce pod milionami chrabąszczy tworzących zielony nimb wokół latarni ulicznej, szyja napina się i wiotczeje we śnie, może to tylko koty się pieprzyły, porywisty wiatr przyniósł dudnienie dzwonu kościelnego albo ktoś zbił szybę w oknie, żadnego ukierunkowania, nic zatrważającego, cokolwiek to było, zagłuszone szybko przez starą, węglowo-gazową, lizyłową ciszę. Ktoś inny znajduje go nazajutrz rano. Lub ty możesz znaleźć go każdej nocy u Putziego, jeżeli jesteś na tyle mężczyzną, by wejść tam i wyszczać się na Ropuchę. Major wykpił się tym razem lekkim porażeniem, toteż winszuje sobie w duchu.

– Wściekła kurwa robiła, co mogła – obejmując Bodine’a za szyję – ale

dziś dostała po tej czyrakowej dupie, niech sobie nie myśli.

– Mam dla ciebie kokę, majorze. Pół butelki mniej, mimo najszczerzej chęci więcej się nie dało.

– W porządku, żeglarzu. Znam tylu wachaczy stąd do Wiesbaden, że i trzy tony byłoby za mało. – Płaci Bodine’owi pełną cenę, nie przyjmując zwrotu części forsy za niedostarczony towar. – Potraktuj to jako tacowe, chłopie, tak właśnie Duane Marvy załatwia interesy. Cholera, to żabsko nastroiło mi kutasa do zabawy. Idę ukłuć jakiegoś kurwiszona. Gdzie tu znajdę wolną cipkę, wilku morski?

Marynarz wskazuje mu drogę na dół do burdelu. Klient najpierw trafia do prywatnej łaźni parowej, gdzie od razu może przejść do rzeczy, co nie pociąga za sobą dodatkowych kosztów. Madame Monika – hej, ha, ha! – wygląda z tym cygarem w gębie jak lesbijka! Unosi brwi ze zdziwienia, gdy Marvy zamawia czarnuchę, ale obiecuje coś wytrzasnąć.

– To nie paryski Dom Wszystkich Narodów, ale staramy się o urozmaicenie – przesuwając koniec szylkretowej fifki po wykazie. – Sandra jest w tej chwili zajęta. Pokaz. Tymczasem towarzystwa dotrzyma ci Manuela.

Manuela ma tylko wysoki grzebień we włosach, na ramionach mantylkę z czarnej koronki – cienie kwiatów padają na biodra – a na twarzy zawodowy uśmiech dla grubego Amerykanina, który już gmera przy guzikach od munduru.

– Ja cię kręcę! Hej, niezła czekoladka. Co? Masz tu Mulatkę, masz Meksykankę, złotko? *Sabe espanol? Sabe jebu-jebu?*

– *Si.* – Dziewczyna postanawia, że dziś pochodzi z Iberii. – Jestem Hiszpanką. Z Walencji.

– Wa-len-cja-aa – śpiewa Marvy na dobrze znaną melodię pod tym właśnie tytułem – seniorita jebu-jebu, ssaku-ssaku sześćdziesiąt dziewięć, la-lalalala-la-la-laaa... – tańcząc w takcie parzystym dokoła statecznego środka w postaci czekającej burdelmamy.

Manuela nie ma ochoty wtórować majorowi. Walencja była jednym z ostatnich miast zdobytych przez Franco. Tak naprawdę dziewczyna pochodzi z Asturii, regionu, który pierwszy zaznał okrucieństwa generała, dwa lata przed wybuchem wojny domowej w całej Hiszpanii. Obserwuje, jak Marvy buli forszę Monice, obserwuje go w trakcie tej fundamentalnej amerykańskiej czynności – płacenia – gdy major jest bardziej sobą niż we śnie, w chwili orgazmu albo nawet śmierci. To jeden z jej pierwszych Amerykanów. Tutaj, u Putziego, klientelą są na ogół Brytyjczycy. W czasie wojny – ile to już miast i obozów od wpadki w trzydziestym ósmym? – byli Niemcy. Tęskniła za brygadami międzynarodowymi, życiem w odciętych od świata zimnych zielonych górach, za wojną podjazdową, prowadzoną jeszcze długo po tym, gdy faszyci zajęli całą północ, tęskniła za kwiatami, dzieciarnią, pocałunkami, niezliczonymi dialektami – z Barcelony, Walencji, gdzie nigdy nie była, Walencja, ojczyzna tego wieczoru... *Ya salimos de España... Pa' luchar en otros frentes, ay, Manuela, ay, Manuela...*

Dziewczyna wiesza starannie mundur majora do szafy i jak czarodziejka wiedzie Marvy'ego w tropik, w jasną mgłę, ściany kipiącego pomieszczenia całkiem niewidoczne, pierzaste włoski na jego nogach, ogromne pośladki i plecy ciemniej od wilgoci. Między warstwami pary poruszają się inni, wzdychają i jęczą, tu, pod ziemią, wymiary tracą znaczenie – sala może mieć dowolną wielkość, może być tchnieniem całego miasta, wybrukowanego parami ptaków w siódmach nie całkiem delikatnej symetrycznej oscylacji, pociemniałych na żółto i niebiesko, jedyne kolory w tym wodnistym zmierzchu.

– Aaaaach, cholerny gorąc. – Lśniący od potu grubas ześlizguje się z kafelków w uperfumowaną wodę. Paznokcie u nóg, przycięte po wojskowemu w kwadrat, zanurzają się ostatnie. – Ej, wszyscy do basenu! – ryczy wesoło, ciągnąc Manuellę za kostkę.

Wywróciła się już nieraz na tej posadzce, widziała też, jak koleżanka boleśnie starła sobie skórę przy upadku, nie opiera się więc, lecz z wdziękiem



wskakuje za majorem, opadając okrakiem, całym ciężarem, pupa z głośnym plaśnięciem ląduje na jego brzuchu, może go zaboli? Ale gdzie tam, tłuścioch tylko się śmieje, poddając się wszechogarniającemu ciepłu, radości i odgłosom – anonimowe ruchanie, senność, rozluźnienie. Widzi już u siebie wielki czerwony wzwód, toteż bez ceregieli wchodzi w smutną dziewczynę, na wpół ukrytą w obłoku mokrej hiszpańskiej koronki, ona desperacko ucieka oczyma przed jego spojrzeniem, rozbujana w tej podziemnej mgle, marząc o domu.

No i w porządku. Przecież nie w gały ją pieprzy, tak? Nie zależy mu, chodzi tylko o tę brązową skórę, zamknięte usta, o słodką murzyńską uległość. Ona robi wszystko, co major każe, taaa, może jej wepchnąć łeb pod wodę, może ją nawet utopić, może wykręcić ręce, połamać palce, jak tej piździe we Frankfurcie. Może ją wygrzmocić pistoletem, ugryźć do krwi... wizje wirują po głowie, pełne przemocy, mniej erotyczne, niż byś myślał... – na pierwszym planie ataki, uderzenia, penetracje i podobne wojskowe kategorie. Co nie znaczy, że Marvy nie bawi się tak niewinnie, jak ty byś się bawił. Albo że Manuela nie czerpie przyjemności z przygodnie sportowego charakteru jazdy na upartym czerwonym drzewcu majora, choć myślami jest przy tysiącu innych spraw, ach, sukienka Sandry, chciałaby taką, jak idą słowa tej piosenki, swędzenie pod lewą łopatką, wysoki angielski żołnierz, widziany w porze kolacji, gdy szła przez bar, brązowe przedramię na tle cynkowego blatu, rękaw koszuli zawinięty do łokcia...

Głosy we mgle. Trwoga, mnóstwo stóp człapiących w klapkach, śmigające sylwetki – mętna szara ewakuacja.

– Co, do cholerki? – O krok od orgazmu, rozkojarzony major unosi się na rękach, zezuje, w jednej chwili sflaczały.

– Nalot – przemyka obok głos.

– Żandarmi – wzdryga się ktoś inny.

– Yyyych! – krzyczy Marvy, bo przypomina sobie o buteleczkach kokainy w kieszeniach swojego munduru. Przewraca się na bok, ciężki jak mors,

Manuela zsuwa się z miękkiego zdenerwowanego członka, niezbyt podniecona, ale profesjonalna na tyle, by wliczyć w cenę pozory *puta* i *sinverguenza*. Wygrzebując się z wody, ślizgając po mokrych kafelkach, Marvy dźwiga dupsko na wierzch, wpada do przebieralni, w której jest zimno jak w lodówce i z której wszystko poznikało – oprócz barwnych aksamitnych fatalaszków czy czegoś. – Ej, gdzie mój mundurek? – Tupie nogą, zaciśnięte pięści na biodrach, gęba czerwona. – O wy skurwysyńskie skurwysyny! – Rzuca kilka butelek i popielniczek, wybija szyby w dwóch oknach, atakuje ścianę ozdobnym stojakiem na parasole, odczuwając ulgę. Nad głową i w sąsiednich pomieszczeniach słyszy tupot wojskowych buciorów, wrzask dziewcząt, ktoś ucisza ze zgrzytem fonograf.

Chwyta tę sukienkę z aksamitu czy pluszu, a nie, cholera, to kostium świni, z maską do kompletu, w porządku, żaden żandarm nie przyczepi się do niewinnej zgrywnej wieprzowiny. Głosy herbaciarzy są coraz bliżej, major desperacko rozciąga jedwabną podszewkę i słomiane wywatowanie, żeby zmieścić kałdun, uuu, wreszcie się dopiął, uff, trach!, bzyt! Suwak, maska na twarz, no, jest bezpieczny, anonimowy błazen, przeciska się przez zasłonki z koralików, na górę, do baru, gdzie nadziewa się na całą dywizję skurwieli w czerwonych beretach, maszerujących na niego w nogę jak na defiladzie, Bóg mu świadkiem.

– O, jest nasza nieuchwytna Świnia! – Ospowata twarz, nierówna, poszarpana broda, gość mierzy z pistoletu prosto w głowę majora, inni szybko podchodzą.

Przez kordon przeciska się cywil, na jego policzku płonie ciemny pikowy listek.

– Brawo. Doktor Muffage jest przy karetce. Sierzancie, chcielibyśmy poprosić o asystę dwóch pańskich ludzi, dopóki się z tym nie załatwimy.

– Oczywiście, proszę pana.

Zwiotczałe od pary nadgarstki zręcznie wykręcone do tyłu, major nawet nie ma czasu wściec się ani wrzasnąć – zimna stal zatrzaskuje się z terkotem

telefonu wybierającego numer w środku nocy, bez żadnej nadziei, by ktoś kiedykolwiek odebrał...

– Jasna cholera – duka wreszcie, głos stłumiony przez maskę, wewnątrz echo raniące uszy – co z wami, chłopaki? Nie wiecie, kim jestem?

Ale, o-o-o, chwila – jeśli znaleźli mundur, w kieszeni dokumenty majora Marvy’ego razem z kokainą, to może to nie jest najlepszy pomysł, żeby się przyznawać do własnej...

– Porucznik Slothrop, jak mniemam. Proszę z nami.

Milczy. Niech będzie Slothrop, zaczeka, zobaczy, w co się tu gra, sprawę kokainy załatwi później, na razie udaje kretyna, powie, że mu podłożyli. Może nawet znajdzie sobie łebskiego Żydka z palestry, który dobierze im się do dupy za bezpodstawne aresztowanie.

Prowadzą go na dwór, do ambulansu czekającego na jałowym biegu. Brodaty kierowca zerka przez ramię i zaraz wciska sprzęgło. Zanim Marvy’emu przychodzi na myśl, żeby jednak stawić opór, aniołki i cywile przypinają mu kolana i klatkę piersiową do noszy.

Przystanek przy wojskowej ciężarówce, żeby żandarmi się przesiedli. Znowu ruszają. W stronę Cuxhaven. Marvy ma natłok myśli. Za oknem nic, tylko noc, zmięczona księżycową poświatą czern. Trudno się połapać...

– Podać środki? – As Pik kuca z tyłu, błyska latarką po ampułkach w walizeczce, grzechocze strzykawkami i igłami.

– Tak, już można, jesteśmy prawie na miejscu.

– Nie rozumiem, dlaczego nie mogli nam przydzielić sali szpitalnej.

Kierowca parska śmiechem.

– A ja owszem, rozumiem. – Napełniając powoli strzykawkę. – W końcu działamy z polecenia... to znaczy, nie robimy nic, co...

– Drogi kolego, to nie jest operacja do końca zgodna z naszym powołaniem.

– Ej – Marvy próbuje unieść głowę – jaka operacja, co wy?

– Pst – odsuwając rękaw kostiumu, obnażając ramię majora.

– Żadnych igieł... – Ale igła już jest w żyłę i robi swoje, cywil stara się uspokoić majora. – Złapaliście nie tego faceta, poważnie.

– Oczywiście, poruczniku.

– Ej, ej, to nie ja, ja jestem majorem. – Powinien to mówić bardziej dobitnie, bardziej przekonująco. Może przeszkadza obcisła maska? Teraz już tylko on słyszy własny głos, zwrócony mu w całości, stonowany, metaliczny... – Jestem major Duane Marvy. – Nie wierzą mu, nie wierzą w jego nazwisko. Nawet w jego nazwisko... Nagłe uczucie panicznego lęku, które dociera głębiej niż farmaceutyk, skrępowany major zaczyna wierzgać z przerażenia, czując, jak niewielkie mięśnie na klatce piersiowej przeradzają się w nadaremne ukłucia bólu, o Boże, wrzeszczy ile sił w płucach, bez słów, tylko krzyk, głośny na tyle, na ile pozwala pas spinający tułów.

– Na miłość boską – wzdycha kierowca – ucisz go jakoś, Spontoon.

Spontoon zdiera z twarzy Marvy'ego maskę świni i zastępuje ją tamponem z gazy, przyciskając go jedną ręką, drugą lejąc eter w chwilach, gdy miotająca się głowa znajduje się w zasięgu.

– Pointsman chyba postradał rozum – sapie poirytowany – skoro coś takiego nazywa „niewzruszonym spokojem”.

– Dobra, jesteśmy na brzegu. Nikogo nie widać. – Muffage kieruje się ku wodzie, ambulans jedzie po zbitym piasku, wszystko bardzo białe pod małym księżycem w zenicie... idealny lód...

– O – jęczy Marvy. – O kurwa. Nie. O Jezu. – Słowa płyną w długim bełkotliwym diminuendo, opór słabnie, tymczasem Muffage wreszcie zatrzymuje furgonetkę, zielonobrunatny stary gruchot drobinką na szerokiej twarzy, olbrzymia gładź ciągnie się w stronę księżyca, na próg północnego wiatru.

– Mamy mnóstwo czasu – Muffage patrząc na zegarek. – O pierwszej będzie C-47. Powiedzieli, że w razie czego chwilę zaczekają.

Westchnienia otuchy przed przystąpieniem do zadania.

– Te jego kontakty. – Kręcąc głową, Spontoon wyjmuje narzędzia

chirurgiczne z roztworu dezynfekującego i rozkłada je na wyjąłowionej szmatce obok noszy. – Rany, rany. Miejmy nadzieję, że nigdy nie zejdzie na przestępczą drogę, co?

– Kurwa – jęczy cicho major – kurwa, co wy...

Obaj szorują dłonie, wkładają maski i gumowe rękawiczki. Muffage zapala sufitową lampkę, która spogląda z góry niby łagodna promienna źrenica. Uwijają się w milczeniu, dwaj sprawni zawodowcy na wojnie, przyzwyczajeni do warunków polowych, ciszę przerywa tylko sporadyczne słowo, szept pacjenta, który szuka po omacku w eterycznym mroku niknącego świetlnego punktu, jedynej pozostałości jego samego.

To prosty zabieg. Aksamitny kostium zostaje rozpruty w kroczu. Muffage postanawia, że obejdą się bez golenia moszny. Najpierw polewa ją jodyną, uciska po kolei jądra w żyłkowanym, włochatym woreczku, potem szybko i równo rozcina skórę i błony, następnie wypycha jądra przez nacięcia w strugach tryskającej krwi, wyciąga je, aż wyraźnie widoczne w świetle lampki nasieniowody napinają się jak struny, na których – gdyby dostał księżycowego bzika – doktor mógłby pobrzdakać na tej pustej plaży, uderzyć w ton, toteż jego ręka się waha: ale po chwili, z ociąganiem, idzie za głosem obowiązku, przecina nasieniowody w odpowiedniej odległości od śliskich jąder, w ślad za każdym ruchem skalpela środek dezynfekujący, i wreszcie dwa staranne nacięcia zostają zaszyte. Jądra lądują w butelce z alkoholem.

– Upominek dla pana Pointsmana – wzdycha Muffage, zdzierając z dłoni rękawiczki. – Daj mu jeszcze jeden zastrzyk. Lepiej, żeby pospał aż do Londynu, a tam ktoś mu wyjaśni, co się stało.

Włącza silnik, cofa ambulans łagodnym łukiem i rusza powoli w stronę drogi. Za plecami niknie ogromne morze.

W lokalu Putziego, zwinięty pod świeżą pościelą na szerokim łóżku, Slothrop śni u boku Solange o Zwölfkinder i uśmiechniętej Biance, oboje rozpędzeni na kole karuzeli, ich gondola staje się pokojem, którego nigdy wcześniej nie widział, pokojem w dużym ciągu apartamentów – wielkim jak

całe miasto – gdzie po korytarzach można jeździć samochodem albo rowerem jak po ulicach: korytarze wysadzono drzewami, a w ich koronach świergołą ptaki.

O dziwo, „Solange” też śni o Biance, choć pod innym mianem: pod postacią własnej zaginionej córki, Ilse, jadącej przez Strefę pociągiem towarowym, który nigdy nie przystaje. Nie jest nieszczęśliwa, ojca też właściwie nie szuka. Lecz dawny sen Leni o Ilse ziszcza się. Dziewczynka nie zostanie wykorzystana. Są przesiadki i odjazdy: w najmniej spodziewanych momentach trafia się pomoc od nieznajomych, i kryjówki, tam, wśród katastrof tego wędrownego Upokorzenia, nigdy nieprzekreślona do końca nikła szansa, może dwie, na miłosierdzie...

Na piętrze niejaki Möllner, z walizką pełną nocnych łupów – dokumenty i mundur amerykańskiego majora, dwie i pół buteleczki kokainy – wyjaśnia włochatemu marynarzowi, że Herr von Göll jest niesłychanie zapracowanym człowiekiem i w tej chwili przypuszczalnie dogląda interesów na północy, ponadto nie zlecił mu przywiezienia do Cuxhaven żadnych papierów, zaświadczeń, paszportów, zwolnień z wojska – niczego. Przykro mu. Przyjaciel marynarza najwyraźniej musiał coś opacznie zrozumieć. Albo, to też możliwe, nastąpiła chwilowa zwłoka w realizacji zamówienia. Trzeba zrozumieć, że fałszowanie dokumentów zabiera sporo czasu.

Bodine patrzy na wychodzącego Niemca, nieświadom, co kryje walizka. Albert Krypton spał się do nieprzytomności. Włazi Shirley, bystrooka i podekscytowana, ubrana w czarny pas i pończochy.

– Hm – chrząka z wymownym spojrzeniem.

– Hm – odpowiada Bodine.

– A w ogóle podczas walk o Ardeny kawa była za dziesięć centów.



Zatem tak: szedł śladem wyrzutni Weissmanna z Holandii po słonych trzęsawiskach, łąkach łubinu i krowich gnatach, żeby znaleźć to. Szczęśliwie nie jest przesądnym człowiekiem. W przeciwnym razie wzięłoby to za proroczą wizję. Istnieje oczywiście całkowicie racjonalne wyjaśnienie, ale Cziczeryn nigdy nie czytał „Martina Fierro”.

Patrzy przez lornetkę z tymczasowego punktu dowodzenia w zagajniku jałowców na niewielkim wzgórzu. Widzi dwóch mężczyzn, białego i Murzyna, trzymających gitary. Dokoła krąg mieszkańców, ale tych Cziczeryn potrafi wymazać, zostawiając w eliptycznym polu widzenia scenę o tej samej strukturze, co pojedynek śpiewaczy między młodzieńcem a dziewczyną na stepie w Azji Środkowej przed ponad dziesięciu laty – zejście się przeciwników, które zapowiedziało rozbłysk Kirgiskiego Światła. Co zapowiada tym razem?

Nad głową niebo prążkowane wyraźnie jak marmur. Cziczeryn wie. Gdzieś tutaj Weissmann zainstalował S-Gerät i odpalił rakietę 00000. Enzian też pewnie jest niedaleko. Tutaj to się stanie.

Musi czekać. Dawniej byłoby to nie do zniesienia. Ale odkąd major Marvy zniknął z pola widzenia, Cziczeryn zrobił się ostrożniejszy. Marvy należał do głównych graczy. W Strefie trwa kontrakcja. Kim był ten sowiecki wywiadowca, który pojawił się tuż przed nieudaną obławą na polanie? Kto uprzedził Schwarzkommando o nalocie? Kto wyeliminował Marvy’ego?

Próbuje nie wierzyć zbyt w istnienie raketowego kartelu. Szuka dowodów od czasu oświecenia tamtej nocy, kiedy Marvy się schlał, a Krwawy Chiclitz bredził o przymiotach Herberta Hoovera. Niechybnie jest w to zamieszany, świadomie lub nieświadomie, Gerhardt von Göll, którego korporacyjne macki oplatają w Strefie najdrobniejszą rzecz o wartości rynkowej. Niewiele brakowało, by w ubiegłym tygodniu Cziczeryn poleciał z powrotem do Moskwy. Widział się z Mrawienką, funkcjonariuszem



Wszechzwiązkowego Instytutu Materiałów Lotniczych, przebywającym krótko w Berlinie. Spotkali się w Tiergarten, dwaj oficerowie rzekomo na przechadzce w słońcu. Ekipy remontowe łątały na zimno dziury w chodnikach, równając powierzchnię szuflami. Jeździli rowerzyści – funkcjonalne szkielety, jak ich terkoczące pojazdy. Pod drzewa wróciły gromadki cywilów i żołnierzy, którzy obsiadłszy pnie i koła od ciężarówek, szperali w torbach i walizkach, handlując.

– Masz kłopoty – rzekł Mrawienko.

W latach trzydziestych on też był swoistym zesłańcem, a także gardzącym systemami, najbardziej nałogowym szachistą w całej Azji Środkowej. Gust miał na tyle niewybredny, że grał nawet z zawiązanymi oczyma, co rosyjska wrażliwość poczytuje za niebywałe grubiaństwo. Za każdym razem Cziczerin siadał do stolika coraz bardziej spięty, próbując zachowywać się przyjaźnie, skłonić dobrym humorem tego wariata do racjonalnej gry. Najczęściej dostawał baty. Ale wybór był następujący: albo Mrawienko, albo środkowoazjatycka zima.

– Wiesz, co się dzieje?

Mrawienko parsknął śmiechem.

– Jeszcze się taki nie narodził. Mołotow nic nie mówi Wyszyńskiemu. Ale o tobie wiedzą niejedno. Pamiętasz Kirgiskie Światło? Na pewno pamiętasz. O tym też się dowiedzieli. Ja im nie mówiłem, ale dotarli do kogoś.

– To stara historia. Po co ją teraz wywlekać?

– Uważają, że jesteś „użyteczny” – rzekł Mrawienko.

Mierzyli się długo wzrokiem. To był wyrok śmierci. Tutaj użyteczność kończy się tak szybko, jak komunikat prasowy. Mrawienko się bał, i to nie tylko o Cziczerina.

– Co zamierzasz?

– Postaraj się nie być użyteczny. Nikt nie jest doskonały, oni też nie. – Obaj zdawali sobie sprawę, że słowa te miały przynieść pociechę, ale nie poskutkowały. – Nie wiedzą tak naprawdę, co sprawia, że jesteś taki

użyteczny. Ślęczą nad statystykami. Wydaje mi się, że miałeś nie przeżyć tej wojny. A gdy okazało się, że przeżyłeś, zmuszeni byli przyjrzeć ci się bliżej.

– Może to też przeżyję. – I właśnie wtedy przyszło mu do głowy, żeby polecieć do Moskwy. Lecz tego samego dnia gruchnęła wieść, że ślad wyrzutni Weissmanna urywa się na Pustaci. Toteż wskrzeszona nadzieja na spotkanie Enziana powstrzymała Cziczerina od powrotu – kusząca nadzieja, która codziennie odwodzi go coraz dalej od możliwości życia bez tej konfrontacji. Nigdy zresztą nie myślał, że potrafiłby tak żyć. Fundamentalne pytanie brzmi: czy dopadną go, zanim on zdąży dopaść Enziana? Potrzeba mu tylko trochę czasu... Jediną szansą jest to, że jeżeli oni też szukają Enziana, czyli S-Gerät, a jego samego wykorzystują w taki sposób, w jaki on w swoim mniemaniu wykorzystuje Slothrop, to...

Widnokrąg wciąż jest pusty: był taki przez cały dzień. Jałowce w kształcie cyprysów stoją w rdzy i mglistej dali, nieruchome jak posągi. We wrzosie widać pierwsze fioletowe kwiatki. To nie jest gwarny spokój późnego lata, lecz spokój miejsca pochówku. Tym właśnie była ta ziemia dla prastarych germańskich plemion: terytorium umarłych.

Kilkanaście narodów, przebranych za argentyńskich estancieros, tłoczy się dokoła kuchni obozowej. El Ñato stoi na siodle swojego konia, w stylu gauczów, zapatrzony w niemieckie pampasy. Felipe klęczy w słońcu, odmawiając południowe pacierze do żywej skały, znajdującej się hen, na jałowej ziemi La Rioja, na wschodnich stokach Andów. Jak głosi argentyńska legenda z ubiegłego stulecia, Maria Antonia Correa podążyła na tę spaloną ziemię śladem kochanka, dźwigając nowo narodzone dziecko. Pasterze znaleźli ją tydzień później, martwą. Dziecko przeżyło, karmiąc się mlekiem trupa. Skała tkwiąca w miejscu tej tragedii stała się celem dorocznych pielgrzymek. Lecz dla Felipe uosabia ona również umysłowość, bo poeta wierzy (jak M. F. Beal i inni) w świadomość minerału, podobną do świadomości roślin i zwierząt, jedyną różnicę stanowi postrzeganie czasu. Skała czasowa kamienia jest o wiele bardziej rozciągnięta.

– Mówimy o kadrach filmowych, trwających sto lat – jak wielu ludzi Felipe rozumuje ostatnio kategoriami filmu – albo i tysiąc! – Kolosalność.

Pojął także – co rzadko pojmują ci, którzy nie są Rzecznikami Czujących Kamieni – że historia w formie, w jakiej prezentuje się światu, jest tylko ułamkiem, zewnętrznym, widocznym okruchem większej całości. Ze musimy poszukiwać tego, co nie zostało powiedziane, wsłuchać się w ciszę dokoła, wpatrzeć w wędrówkę kamienia – w istną wieczność jego dziejów pod uporczywym, żeńskim szlifem wody i powietrza (kto się trafi, raz lub dwa na sto lat, żeby wyzwolić migawkę?) – w głębokie niziny, gdzie ścieżki, ludzkie i mineralne, najprawdopodobniej się przetną...

Graciela Imago Portales, ciemne włosy rozczesane pośrodku i odgarnięte z czoła, ubrana w czarną spódnicę do konnej jazdy i długie buty, siedzi i tasuje karty, rozdaje sobie sekwensy, fule, karety, ot tak, dla zabawy. Gra ze statystami to w ogóle nie jest gra. Wiedziała, że do tego dojdzie: kiedyś myślała, że gdyby wykorzystywać pieniądze tylko do hazardu, straciłyby realność. Szczyłyby. Czy to już się stało, czy też ona prowadzi grę ze sobą? Odkąd tu dotarli, Beláustegui baczniej się jej przypatruje. A przecież ona nie chce zagrażać jego przedsięwzięciu. Poszła kilkakrotnie do łóżka z tym poważnym inżynierem (choć z początku, jeszcze w Buenos Aires, zaklinałaby się, że nie dotknie go nawet długim kijem) i wie, że on też jest hazardzistą. Dobrana para, pasują do siebie: zorientowała się, gdy tylko dotknął jej pierwszy raz. Facet zna swoje szanse, kształty ryzyka są dla niego intymne jak rozebrane ciała. Każda chwila ma swoją wartość, swoje prawdopodobieństwo wygranej na przekór innym chwilom w innych rękach, a dla niego tasowanie jest zawsze tylko czymś z chwili na chwilę. Nie stać go, by spamiętać inne permutacje, wszystko, co być mogło – liczy się tylko to, co jest teraz, rozdane przez siłę sprawczą, którą on nazywa Przypadkiem, a Graciela – Bogiem. Gotów jest postawić wszystko na ten anarchistyczny eksperyment, a jeżeli przegra, przerzuci się na coś innego. Pójdzie jednak teraz na całego. Ona się z tego cieszy. Bo Beláustegui jest źródłem siły.

Graciela nie wie, jak silna by się okazała, gdyby nadeszła pora. W nocy często wyrywa się z cienkiej błony alkoholu i optymizmu i wtedy widzi, jak bardzo potrzebuje innych, jak niewielki jest z niej pożytek, gdy nie ma wsparcia.

Pewną ulgę przynoszą plany zainscenizowane na potrzeby przyszłego filmu. Wzniesiono prawdziwe budynki, a nie lipne frontony. *Boliche* zapełniono prawdziwym alkoholem, *pulperia* prawdziwą żywnością. Owce, bydło, konie i zagrody też są prawdziwe. Chaty osłaniają przed deszczem i służą za schronienie w nocy. Kiedy von Göll wyjeżdża – gdy wreszcie się zjawi – niczego się nie rozbiera. Każdy statysta-uchodźca, który chce zostać, jest mile widziany. Większość pragnie odsapnąć chwilę w oczekiwaniu na pociągi, na nowe fantazje o rodzinnym domu sprzed zniszczenia, niektórzy nawet marzą, że dokąds docierają. Ruszają dalej. Ale czy na ich miejsce przybędą inni? I co władze wojskowe pomyślą o takiej społeczności, rozkwitłej w samym sercu ich garnizonowego państwa?

Nie jest to jednak najdziwniejsze miasteczko w Strefie. Squalidozzi przynosi z wędrówek opowieści o oddziałach z Palestyny, które przybłąkały się aż z Włoch i osiedliły bardziej na wschód, zakładając chasydzkie społeczności według wzorów sprzed stu pięćdziesięciu lat. Dawne osady przemysłowe znajdują się teraz pod władzą rączego Merkurego, poświęcone wykonywaniu jednej jedynej profesji: dostarczaniu poczty na wschód i z powrotem, do i od Rosjan, w cenie stu marek za list. Pewne miasteczko w Meklemburgii opanowały wojskowe psy – dobermany i owczarki niemieckie – wszystkie wyszkolone tak, by rzucać się do gardła każdemu człowiekowi oprócz własnego tresera. Tyle że treserzy polegli lub zaginęli. Psy polują stadami, napadają krowy na polach i wloką zagryzione zwierzęta milami z powrotem do swojej siedziby. W stylu Rin-Tin-Tina wpadają do składów żywności, grabią prowiant, mrożone hamburgery, pudła batonów czekoladowych. Drogi dojazdowe do Hundstadt zasłane są trupami okolicznych wieśniaków i ciekawskich socjologów. Nikt nie może się

zbliżyć. Pewnego razu przysłano oddziały ekspedycyjne, uzbrojone w karabiny i granaty, lecz psy rozbiegły się po nocy, chude jak wilki, a żołnierze nie potrafili się zmusić do zburzenia domów i sklepów. Nikt nie chciał też tu zamieszkać. Zatem ludzie odeszli. A psy wróciły. Jeżeli istnieje wśród nich hierarchia, miłość, poczucie lojalności, zazdrość, to nikt o tym nic nie wie. Może G-5 skieruje tutaj wojsko. Lecz psy pewnie nie zdają sobie z tego sprawy, nie odczuwają niemieckiego strachu przed okrażeniem – będą nadal żyły wiedzione światłem, którym jest odruch wyrobiony w nich przez człowieka: zabić Obcego. Być może nie sposób odróżnić go od innych mechanizmów, kierujących ich życiem: głodu, pragnienia, chuci. Wiedzą tylko, że urodziły się z tym odruchem. Nawet jeśli którykolwiek pamięta razy, porażenia prądem, pacnięcia zwiniętymi gazetami, których nikt nie czytał, kopniaki i szturchańce, jego ból jest teraz nierozdzielnie spleciony z Obcym, ze znienawidzonym. Jeżeli wśród psów są herezjarchowie, starannie unikają oni jakichkolwiek napomnień o pozazwierzęcym źródle pochodzenia tej nagłej chęci mordy, która ogarnia je wszystkie, nawet zamysłonych heretyków, gdy tylko poczują najłżejszą woń Obcego. Lecz na osobności wskazują ów zapamiętany wizerunek tego szczególnego człowieka, który przychodził wprawdzie tylko od czasu do czasu, ale w którego obecności były spokojne i czułe – jego nadejście oznaczało pożywienie, pieszczoty, zabawę w aportowanie. Gdzie on się teraz podziewa? Dlaczego jest tak wyjątkowy dla mnie, a dla innych nie?

Istnieje ewentualność, jak dotąd mglista, bo jeszcze nie wysondowana, że psia społeczność rozpadnie się na sekty skupione wokół wizerunków poszczególnych treserów. W G-5 bada się obecnie na poziomie sztabowym prawdopodobieństwo takiego podziału i szanse odnalezienia i sprowadzenia treserów. Wtedy sekty mogłyby bronić swoich bożków przed atakami pozostałych. Gdyby doprowadzono do odpowiedniej kombinacji konfliktów i odpowiednio wysokiego współczynnika strat wśród treserów, można by wstrzymać się z wysyłaniem wojska i zaczekać, aż psy same się wykończą.

Badania te powierzono nie komu innemu, jak panu Pointsmanowi, którego królestwo skurczyło się do jednego małego gabinetu w Dwunastym Domu, bo resztę przestrzeni zagarnęła agenda rozpatrująca możliwości znacjonalizowania hutnictwa żelaza i górnictwa – powierzono bardziej ze współczucia niż jakiegokolwiek innego powodu. Od czasu wykastrowania majora Marvy’ego Pointsman popadł w urzędniczą niełaskę. Clive Mossmoon i sir Marcus Scammony siedzą w klubie, wśród porzuconych archiwalnych egzemplarzy „Brytyjskich Tworzyw Sztucznych”, pijąc ulubiony napój tego drugiego – Quimporto, czyli osobliwą przedwojenną mieszankę chininy, bulionu i porto, z kropelką coca-coli i obraną cebulą. Z pozoru celem spotkania jest sfinalizowanie planów produkcji Powojennego Płaszcz Przeciwdeszczowego z Polichlorku Winyłu, będącego powodem wielkiej frajdy wśród korporacjonistów (– Wyobraź sobie minę jakiegoś biednego skurwiela, gdy rękaw zwyczajnie odpadnie z ramienia! – A-albo może domieszkujemy coś, co spowoduje, że płaszcz rozpułynie się w deszczu?). Lecz tak naprawdę Mossmoon chce porozmawiać o Pointsmanie.

– Co z nim zrobimy?

– Znalazłem wprost precudowne buty na Portobello Road – pieje sir Marcus, którego jak zwykle trudno skłonić do rozmowy o poważnych sprawach. – Wyglądałbyś w nich oszałamiająco. Wyobraź sobie: krwistoczerwony kurdyban do połowy ud. Twoich nagich ud.

– Może kiedyś przymierzę – odpowiada Clive najbardziej beznamiętnie, jak tylko można (choć to chyba nie jest zły pomysł, bo Scorpia ostatnio zachowuje się wrednie). – Przyda mi się małe odprężenie po tym, jak będę musiał tłumaczyć Pointsmana przed wyższymi czynnikami.

– Aha, to ten psiarz. A pomyślałeś o bernardynie? To wielkie włochate misiaczki.

– Owszem – Clive nie daje za wygraną – ale teraz myślę wyłącznie o Pointsmanie.

– On nie jest w twoim typie, skarbie. Poza tym biedaczysko się starzeje.



– Sir Marcusie – ostatnia próba, choć smukły szlachcic najbardziej lubi, by nazywać go Angelique, i wydaje się, że nie ma innego sposobu pozyskania jego uwagi – jeśli nasze rachuby wezmą w łeb, będziemy mieć ogólnonarodowy kryzys. Frakcja Ryżych już bombarduje mnie telefonami i listami w dzień i w nocy –

– Mm, ja z miłą chęcią bym cię zbombardował, Clivusiu –

– ...a przez okna wchodzi Komitet 1922 roku. Bräcker i Beaverbrook dalej robią swoje, wie pan, nie wygląda, żeby wybory wyeliminowały ich z gry –

– Mój kochany – z anielskim uśmiechem – nie będzie żadnego kryzysu. Laburzyści chcą tak samo jak my, żeby Amerykanin się odnalazł. Wysłaliśmy go, by załatwić czarnych, i teraz jest oczywiste, że nie wywiąże się z zadania. Jakich szkód może narobić, pałając się po Niemczech? Z tego, co wiemy, wziął kurs na Amerykę Południową i tych przecudownych wąsaczy. Niech tak na razie zostanie. Dostaniemy wojsko, gdy nadejdzie pora. Slothrop był dobrą zagrywką, żeby rozwiązać sprawę w sposób łagodny, ale koniec końców zawsze przydaje się wojsko, nie?

– Skąd pan wie, że Amerykanie to przełkną?

Długi nieprzyjemny chichot.

– Clive, ty jesteś naprawdę paradny. Nie znasz Amerykanów, a ja owszem. Mam z nimi do czynienia. Zechcą zobaczyć, jak sobie poradzimy z naszymi czarnymi małpkami, mój Boże, *ex Africa semper aliquid novi*, są takie duże, takie silne, a dopiero potem sami zabiorą się do własnych, hm, grup docelowych. Możemy usłyszeć wiele przykrych słów, jeżeli skrewimy, ale żadnych sankcji nie będzie.

– A skrewimy?

– My tak – sir Marcus podkreślając loki – ale Operacja nie.

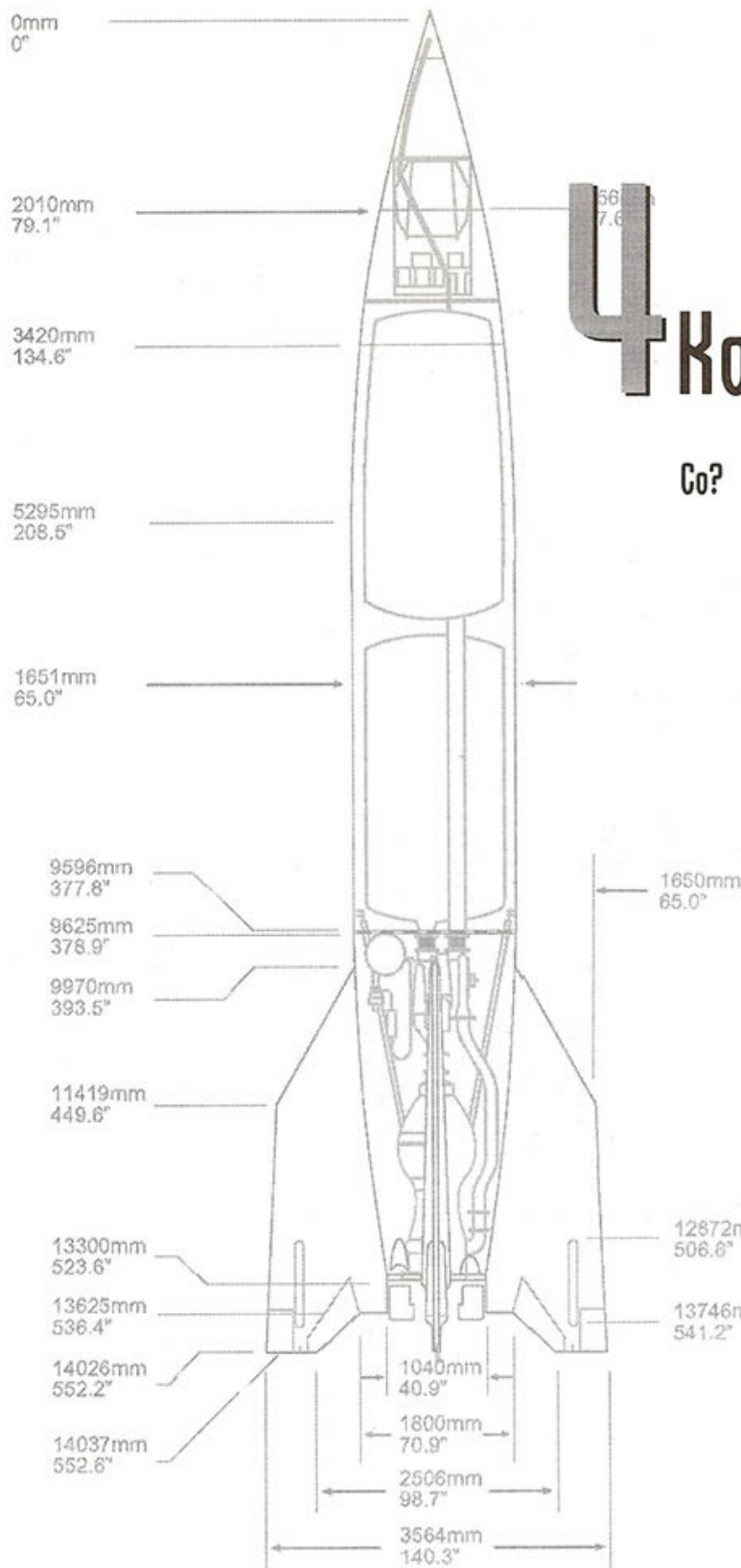
Tak. Clive Mossmoon odnosi wrażenie, jak gdyby wydobywał się z bagna drobnych rozczarowań, politycznych lęków, trudności finansowych: wydźwignięty na twardy grunt Operacji, gdzie pod stopami wyczuwa pewne oparcie, gdzie „ja” jest nieliczącym się kapryśnym zwierzęciem, które



dawniej krzyczało w ciemnym bloku. Lecz tutaj, w łonie Operacji, nie ma skamlania. Nie ma pośledniej jaźni. Sprawy są nazbyt doniosłe, by poślednia jaźń mogła się w to wmieszać. Nawet w izbie chłosty u sir Marcusa, zwanej „Rózgi”, gra wstępna jest tak naprawdę grą o to, kto ma rzeczywistą władzę, kto miał ją od samego początku na zewnątrz tych murów z łańcuchami, choć tutaj będzie spętany i skuty. Poniżenia ślicznej „Angelique” skrojone są na miarę ich fantazji. Żadnej radości ani faktycznego poddania się. Tylko wymogi Operacji. Każdy z nas ma swoje miejsce, lokatorzy przychodzą i odchodzą, miejsca zaś zostają...

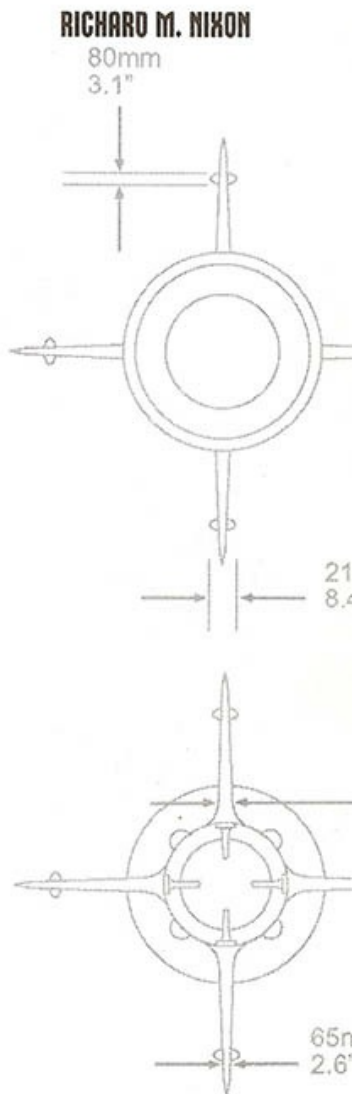
Nie zawsze tak było. W okopach pierwszej wojny światowej Anglicy obdarzali się przyzwoitą miłością, bez wstydu i udawania, w obliczu dużego prawdopodobieństwa gwałtownej śmierci młodzi mężczyźni widzieli w twarzach innych oznaki nawiedzeń z zaświatów, lichą nadzieję, która może przyczyniłaby się do zbawienia nawet błota, gówna, gnijących części ludzkiego ciała... To był koniec świata, to była totalna rewolucja (choć nie taka, jaką obwieścił Walter Rathenau): co dzień tysiące arystokratów starej i nowej daty, wciąż otoczonych aureolą własnej idei dobra i zła, szły pod ostrze hałaśliwej gilotyny Flandrii, obsługiwanej w dzień i w nocy, bez ustanku, przez niewidzialne ręce, z całą pewnością nie ludzkie – dziesiątkowano angielską klasę społeczną, ci, co zgłosili się na ochotnika, umierali za tych, którzy coś wiedzieli i dlatego się nie zgłosili, a mimo to, wbrew świadomości zdrady, przynajmniej u części z nich, gdy Europa konała nędznie we własnym błocie, ludzie się kochali. Lecz od tamtych czasów przebrzmiewające wołanie tej miłości przerodziło się w czcze, wredne pedalstwo. W najnowszej Wojnie śmierć nie była wrogiem, lecz współpracownikiem. Homoseksualizm na wysokim szczeblu jest teraz tylko cielesną refleksją, a prawdziwe i jedyne ruchanie dokonuje się już wyłącznie na papierze...





# 4 Kontrakcija

Co?



Bette Davis i Margaret Dumont siedzą w rokokowym salonie projektu Cuvilliésa w czyimś kompleksie pałacowym. Naraz zza okna dobiegają dźwięki kazoo grającego porażające bezguście, prawdopodobnie piosenkę „Who Dat Man” z „Dnia na wyścigach” (wyścigach w wielu znaczeniach tego słowa). To jeden ze źle wychowanych znajomych Groucho Marxa. Dźwięki są niskie, bzyczące i gardłowe. Bette Davis nieruchomieje, podrzuca głową, pstryka papierosa.

– A cóż to jest? – pyta.

Margaret Dumont uśmiecha się, wypina pierś, patrzy na koniec swego nosa.

– Hm, to brzmi – odpowiada – jak kazoo.

O ile Slothrop się orientuje, to był kazoo. Gdy ocknął się rankiem, hałas już ucichł. Ale sekundę wcześniej go obudził. Tak naprawdę był to, a raczej jest, Pirat Prentice w tak jakby porwanym P-47, w drodze do Berlina. Jego rozkazy są lakoniczne i jasne, niczym rozkazy agentów papieża, papież ma religię, idźcie i odnajdźcie tego minnesingera, w końcu to byczy chłop...

Cóż, nie najnowszy ten thunderbolt, taki z osłoną kabiny jak szklarnia. Pokratkowane pole widzenia wywołuje w mięśniach karku ukłucia wspomnień. Wygląda na to, że samolot ma stały przechył, choć Pirat gmera bez przerwy przy klapkach na sterze. W tej chwili próbuje Mocy w Razie Nagłej Potrzeby i Walki, choć wygląda na to, że nie ma ani Walki, ani Nagłej Potrzeby, nie spuszcza oka z pulpitu, gdzie wskazówki na zegarach, kontrolkach ciśnienia i temperatury głowicy cylindra zahaczają o czerwone odcinki. Daje maszynie odetchnąć, teraz próbuje przesybować nieśpiesznie nad Celle, potem kółeczko nad Brunszwikiem, a dalej, raz się żyje, immelman nad Magdeburgiem. Lecąc na plecach – zęby trzonowe bolą – zaczyna obrót trochę za wolno, poniżej stu trzydziestu i jest o włos od przeciągnięcia, traci wysokość – zakończyć to jako zwykłą pętlę czy robić jednak immelmana? – chce ruszyć lotkami, zapomnij o cholernym sterze, nie ma co się martwić korkociągiem... ale w ostatniej chwili wciska lekko pedał,

niewielki kompromis (dobry Boże, mam prawie czterdziestkę na karku, mnie też to dopadło?) i obraca się z powrotem do właściwej pozycji. Musiał być zawrót.

Jestem Orłem z przedmieść Londynu  
Specem od bomby i karabinu.  
Po niebie latam i staję na łbie,  
Do demobilu, kajzerze Billu,  
Bo ci usiądę na pikielhaubie!  
Niech każda Fräulein i mademoiselle  
W oknie dla mnie zapali światło...  
Bo wizytę jej złoży władca przestworzy,  
Którego z nieba strącić niełatwo!

Osbie Feel powinien już być w Marsylii, żeby nawiązać kontakt z Blodgettem Waxwingiem. Webley Silvernail jest w drodze do Zurychu. Katje wybiera się do Nordhausen... Katje...

Nie, nie powiedziała mu o wszystkim, przez co przeszła. To nie jego sprawa. Żeby nie wiadomo ile wyjawiała, zawsze pozostanie ta aura tajemniczości. Bo on jest, jaki jest, i pewnych kierunków nie może obracać. Ale jak to się dzieje, że oboje nie stracili się z oczu, w papierowych miastach i popołudniach tego osobliwego powojennego pokoju i nadchodzącej Mizerii? Czy możliwe, że w zawieranych *ad hoc* układach – podobnych do obecnej misji – kryje się coś, co zbliża cię do ludzi, z którymi powinieneś być? A inne, bardziej oficjalne przygody z natury rzeczy prowadzą do rozstania, do samotności? Och, Prentice... Co to jest, śmigło się zbiesiło? Nie, nie, sprawdź ciśnienie paliwa – wskazówka waha się, dość nisko, w bakach widać dno –

Lekki niepokój w trakcie lotu, nic poważnego... Raz po raz ze słuchawek dobiegają głosy duchów besztające go albo wzywające do powrotu: kontrolerzy ruchu na ziemi, w swoim królestwie, kolejna warstwa pokrywająca Strefę, anteny napięte na odludziu jak reduty, roztaczające

półstrefy wpływu, wytyczające niewidzialne korytarze po niebie, istniejące w rzeczywistości tylko dla nich. Thunderbolta pomalowano na leśną zielen. Trudno go przeoczyć. Pomysł Pirata. Szarość była zarezerwowana dla Wojny. Niech go ścigają. Złapcie mnie, jeżeli potraficie.

Szarość była zarezerwowana dla Wojny. Podobnie – jak się wydaje – dar Pirata do wczuwania się w fantazje innych ludzi. Od dnia zwycięstwa nic się nie zdarzyło. Ale to nie koniec jego parapsychicznych kłopotów. Wciąż nawiedza go w ten sam połowiczny i nieokreślony sposób – przodek Katje, ów Frans van der Groov, zabójca dodo i poszukiwacz przygód. Właściwie ten facet nigdy się nie ukazuje, a więc nigdy nie znika. Pirat traktuje to jako osobistą zniewagę. Wbrew swojej woli przyjmuje Holendra przychylnie. Co Frans w nim widzi? Czy to ma coś wspólnego – oczywiście! – z Firmą?

Van der Groov wplótł wątek swoich snów w sny Pirata, snów heretyckich, egzegezy wiatraków, które obracają się w cieniu na skraju mrocznych pól, każde ramię wskazuje punkt na obrzeżu gigantycznego koła, toczącego się po niebie urywanym rytmem, zawsze z wpisanym wirującym krzyżem: słowo „wiatr” było terminem średnim, umownym określeniem tego, co naprawdę napędza krzyż... rzecz dotyczy każdego wiatru w każdym zakątku Ziemi, i tego wyjącego pośród cukierkowo różowych i żółtych gór na Mauritiusie, i tego kołyszącego polem tulipanów w ojczyźnie, czerwonych kielichów w deszczu, które napełniają się kropla po kropli wodą; każdy wiatr ma własny obracający się krzyż, zaistniały fizycznie lub tylko w domyśle, a każdy krzyż jest szczególną mandalą, łączącą w ruchu wirowym przeciwieństwa (powiedz mi teraz, Frans, co to za wiatr, który mnie owiewa, na wysokości dwudziestu pięciu tysięcy stóp? Co to za wiatrak miele tam niżej? I co miele, Frans, i kto dogląda młyńskich kamieni?).

Hen, w dole, pod brzuchem thunderbolta, nakreślone w zielonym plenerze, przepływają nadgryzione zębem czasu kontury historycznych szańców, miasteczek porzuconych w trakcie Wielkiego Umierania, pól i chat, których mieszkańców skosił bezlitosny sierp podążającej na północ czarnej śmierci.

Za zasłoną, zimną jak prześcieradła narzucone na meble w opuszczonym pałacowym skrzydle, sopran wyśpiewuje nuty, które nie układają się w żadną melodię, lecz rozpadają niczym martwe białko...

– To jasne jak słońce – grzmi kompozytor Gustav – i gdybyś nie był starym głupcem, dostrzegłbyś, wiem, wiem, istnieje Towarzystwo Wzajemnego Wspierania się Starych Głupców, wszyscy znacie się jak łyse konie, przegłosowujecie nagany dla najbardziej kłopotliwych młodzieńców poniżej siedemdziesiątego roku życia, a moje nazwisko otwiera listę. Myślisz, że mnie to obchodzi? Wy wszyscy nadajecie na innej częstotliwości. Nie ma sposobu, byśmy mogli zakłócić wam odbiór. Jesteśmy za bardzo od siebie oddaleni. Mamy własne problemy.

Wielogatunkowa kryptozoa przemyka wśród okruchów, włosów łonowych, rozbryzgów wina, popiołu z papierosów, śmieci i aptekarskich fiolek po kokainie, każda z czerwonym bakelitowym wieczkiem, noszącym herb firmy Merck z Darmstadtu. Świat robactwa kończy się mniej więcej cal od podłogi; panuje tam idealna wilgotność, mrok, stała temperatura. Nie ma intruzów. W mieszkaniu Säurego obowiązuje niepisana umowa, że nie depcze się po robakach.

– Jesteś więźniem tonalności! – wrzeszczy Gustav. – Niewolnikiem. Tonalność to gra. Wszystko to gra. Jesteś za stary. Nigdy nie wyjdiesz poza grę, w Zgiełk. Zgiełk jest oświeceniem.

– Zgiełk też jest tylko grą. – Wyszczierzony Säure ładuje sobie do nosa łyżeczką z kości słoniowej ogromne ilości kokainy, odprawiając swój utarty rytuał: wyprostowana ręka robi szeroki wymach, ziuuut, wprost ku docelowemu nozdrzu, powrót bez uronienia choćby jednego kryształka... potem cała porcja wykatapultowana w powietrze jak prażona kukurydza i pożarta przez nos – nngggg! – wewnątrz jest gładko jak w muszli klozetowej, żadnego włoska w zasięgu wzroku od czasu pogrzebu Liebknechta, a może wcześniej... łyżeczka przerzucona z ręki do ręki dwu-, trzykrotnie, szybciej niż kość słoniowa kiedykolwiek poruszała się w powietrzu... kokaina niknie



błyskawicznie bez pomocy rurki.

– Dźwięk jest grą, o ile potrafisz zabrnąć aż tak daleko, ty limf a tyczny kawiarniany wizjonerze. Dlatego słucham Spohra, Rossiniego, Spontiniego. To ja wybieram dla siebie grę, pełną światła i dobroci. Ty utknąłeś w tym stratosferycznym bełkocie i próbujesz zrationalizować jego nudę, nazywając to oświeceniem. Nie masz pojęcia o oświeceniu, bo jesteś bardziej ślepy ode mnie.

Slothrop zmyka szlakiem nad górski strumień, gdzie przez całą noc moczyły się jego organki, wciśnięte między dwie skałki w spokojnym rozlewisku.

– Twoje „światło i dobroć” to podrygi trupów – mówi Gustav. – W każdej z tych skocznych melodyjek wyczuwa się śmiertelność. – Niezadowolony, odgryza łepkę fiołki i wypluwa czerwony śmieć między połyskliwe robaki.

W płynącym potoku przegródki starego hohnera, odnalezionego przez Slothrop, ulegają zniekształceniu, kwadraciki wykrzywione jak przedęcia dźwięków, wizualny blues, odgrywany przez krystaliczną wodę. We wszystkich rzekach są harfiarze i cymbaliści, gdziekolwiek tylko porusza się woda. Tak jak przepowiedział Rilke:

I kiedy wszyscy ludzie cię zapomną,  
mów do spokojnej ziemi: ja się staję.  
Do porywistej wody mów: jam jest.

Nawet po wydobyciu harmonijki ze strumienia wciąż można odnaleźć i obdarzyć głosem duchy zagubionych harfistów. Wytrząsając wodę, języczki śpiewają przy uderzeniach o nogę, podchwytyjąc bluesa przy pierwszym takcie tego ranka; dmuchając w organki, Slothrop jest coraz bliżej stania się duchowym medium, którym jeszcze nie był, i nawet nie zdaje sobie z tego sprawy.

Organki nie pojawiły się ot tak, po prostu. W pierwszych dniach pobytu w tych górach znalazł dudy, pozostawione w kwietniu przez jakiś oddział szkockich górali. Slothrop potrafi być zaradny. Gra na reprezentacyjnym

instrumencie okazała się fraszka. W ciągu tygodnia opanował tę senną melodię, którą Dick Powell śpiewał w filmach – „In the Shadows Let Me Come And Sing To You” – i większość czasu właśnie ją rzępolił, ŁANGdediddl, de-di, ŁANG de dum – de duuuu... w kółko, bez przerwy. Wkrótce zauważył, że pod przybudówką, w której nocuje, ktoś składa w darze jedzenie. Buraki pastewne, koszyk wiśni, a nawet świeżą rybę. Nigdy nie widział ofiarodawcy. Albo to był duch dudziarza, albo sam czysty dźwięk to sprawiał. Slothrop wiedział wystarczająco dużo o samotności i nocnych głosach, żeby pokapować się, o co chodzi. Przestał grać na dudach i nazajutrz znalazł organki. Te same, które w trzydziestym ósmym czy dziewiątym wypadły mu z kieszeni do kibla, lecz to było zbyt dawno temu, by pamiętać.

Trzyma się na osobności. Być może inni widują jego sylwetkę i ogniska, ale nie próbują się zbliżyć. Zapuścił włosy i brodę, ma drelichową bluzę i spodnie wykombinowane przez Bodine’a z pralni na „Johnie B. Badassie”. Lecz całymi dniami łązi nago, po jego nogach pełzają mrówki, na ramionach siadają motyle, przygląda się życiu na tej górze, poznaje dzierzby, głuszce, borsuki i świstaki. Właściwie mógłby ruszać, i to w wielu kierunkach naraz, ale woli zostać tu, gdzie jest. Wszystkie miejsca, w których był – Cuxhaven, Berlin, Zurych – na pewno są pod obserwacją. Mógłby mimo to spróbować odnaleźć Springera albo Blodgetta Waxwinga. Dlaczego tak obsesyjnie chce mieć te papiery? Co to, kurwa, są papiery? Mógłby kopnąć się do któregoś z bałtyckich portów, poczekać na Frau Gnahb, żeby go przerzuciła do tej Danii albo Szwecji. Tysiące uchodźców, spalone biura, archiwa stracone bezpowrotnie, może papiery nie znaczą już tak dużo w Europie... chwila, moment, jak gdzie, Slothrop? Hę? W Ameryce? Cholera, daj spokój –

Owszem, ciągle mu się wydaje, że może wrócić. Zmienia się, to jasne, skubie pióra tego albatrosa, którym jest, leniwie, na wpół świadom, jakby dłubał w nosie – ale za każdym razem tym upiornym piórem, o które zawsze ocierają się jego palce, jest Ameryka. Biedny dupek, nie potrafi się jej wyrzec. Zbyt często słyszy jej szeptane „kochaj mnie” w swoich snach,

Ameryka uwodzi jego myśli na jawie, kiwając palcem, kusi niewiarygodnymi obietnicami. Pewnego dnia – już widzi taki dzień – być może potrafi powiedzieć: „Przykro mi, miła, odchodzę”... lecz nie teraz. Jeszcze jedna próba, jeszcze jedna szansa, układ, zmiana kursu na bardziej sprzyjający zamiarom. Może to tylko duma? A jeśli w jej stajni nie ma już dla niego miejsca? Jeśli go wyeksmitowała bez słowa wyjaśnienia? Jej „ogierom” nie przysługują żadne prawa. Jest odporna na ich drugorzędne, głupie pytania. Jest właśnie tą Wredną Amazonką, którą z niej zrobiłeś w swoich fantazjach.

No i jest jeszcze Jamf, zespolenie słowa „Jamf” i słowa „ja” w najwcześniejszym śnie. Do kogo mógłby się z tym zwrócić? Nie może sobie pozwolić na nadmierną dociekliwość, prawda? Jeśli zbliży się za bardzo, będzie zemsta. Być może najpierw go ostrzeżę, a być może nie.

Omeny stają się wyraźniejsze, coraz bardziej konkretne. Slothrop przypatruje się kluczom lecących ptaków i deseniom popiołu w ognisku, wróży z wnętrzości złowionego i wypatroszonego pstrąga, czyta strzępy przywianych papierzysek, napisy na popękanych murach, z których odstrzelono lico, żeby odsłonić cegły – popękanych w specyficzne kształty, również wymowne...

Pewnej nocy, na ścianie publicznej toalety, cuchnącej i grożącej dudem brzuszny, wśród inicjałów, dat, pośpiesznie nabazgranych penisów i otwartych dla nich ust, znaków Wehrwolfu przedstawiających ciemną postać z wysokimi ramionami i w kapeluszu, ujrzał hasło propagandowe: WILLST DU V-2, DANN ARBEITE. „Jeśli chcesz V-2, pracuj”. Dobry wieczór, Tyronie Slothrop... nie, nie, zaraz, nic się nie dzieje, na przeciwległej ścianie namalowali kolejne: WILLST DU V-4, DANN ARBEITE, uff. Narastające głosy cichną raptem, żart się wyjaśnia, to po prostu wrócił Goebbels i ta jego skłonność do przedobrzenia. Ale trzeba było się zmusić, żeby podejść i spojrzeć na drugą ścianę. Tam mogło być cokolwiek. Zmierzchało. Zaorane pola, linie wysokiego napięcia, rowy i odległe płoty ciągnęły się kilometrami. Slothrop poczuł odwagę i opanowanie. Ale wtedy jego wzrok padł na kolejne

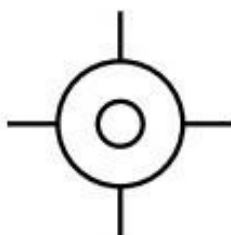
przesłanie:

## ROCKETMAN TU BYŁ

Najpierw zaświtało mu, że sam to napisał i zapomniał. Dziwne, że akurat tak pomyślał. Być może zaczynał wplątywać samego siebie, jakąś wczorajszą wersję siebie, w kombinację wymierzoną przeciw temu, kim akurat tego dnia był. Drgnął ospale albatros w śpiączce.

Dawni Slothropowie, przeciętnie jeden każdego dnia, wszystkich dziesięć tysięcy, niektórzy mocniejsi od innych, maszerują co wieczór nad zachodzącym słońcem do wściekłych zastępów. To członkowie piątej kolumny, ulokowani w jego głowie, wyczekujący chwili, gdy wydadzą go czterem kolumnom wojska stojącym na zewnątrz, zacieśniającym krąg...

Zatem obok tego napisu kawałkiem kamienia wydrapuje swój znak:



Slothrop obleżony. Dopiero gdy wyrył go w kilku innych miejscach, uzmysłowił sobie, że tak naprawdę rysuje raketę A-4 widzianą od dołu. Wtedy dostroił się już do innych poczwórnych symboli – odmian kosmicznego wiatraka Fransa van der Groova – swastyk, gimnastycznych symboli FFFF w ruchu obrotowym do przodu i wstecz, *Frisch Fromm Fröhlich Frei* nad schludnymi drzwiami przy spokojnych uliczkach i skrzyżowaniach, gdzie możesz przysiąc i wsłuchać się w ruch uliczny dochodzący z Drugiej Strony, usłyszeć coś o przyszłości (tam nie ma linearnego czasu: wszystkie wydarzenia mieszczą się naraz w wiecznej chwili, toteż pewne informacje docierające tutaj nie zawsze „mają sens”: brakuje im chronologicznej struktury, brzmią dziwnie, wręcz idiotycznie).

Żółtawe dachy kościołów wyrastają na widnokręgach Slothrop, absydy z czterech stron jak stateczniki kierujące aerodynamicznymi wieżycami...

czeka na niego wykuty w piaskowcu znak: krzyż wpisany w koło. Wreszcie, leżąc pewnego popołudnia rozluźniony w słońcu, z rozpostartymi kończynami, na skraju zabytkowego miasteczka z czasów Pomoru, sam staje się krzyżem, rozstajem, żywym przecięciem się dróg, dokąd przybywają sędziowie, by wznieść szubienicę dla pospolitego złoczyńcy, który zawisnie w południe. Czarne brytany i drobne zębate psy gończe, chyże jak łasice – dwie rasy wymarłe przed siedmiuset laty – uganiają się za suką mającą cieczkę, tymczasem zbiera się widownia, to dopiero czwarta egzekucja tej wiosny, niewiele się tu dzieje prócz takich widowisk, i w ostatniej chwili śni o tym, że właściwie nie wiadomo co drgnęło pod fartuchem, jaka grubotyła *gnädige Frau* Śmierć mogła tu wmaszerować, doznaje wzwołu, ogromna sina nabrzmiałość, i gdy kręgi szyjne pękają, spuszcza się pod postrzępioną przepaską biodrową, kremową jak skóra świętego pod fioletowym płaszczem Wielkiego Postu, a jedna kropla nasienia wyrywa się, stacza, przeskakuje z włoska na włoska po martwej nodze, na dół, z krawędzi stwardniałej stopy skapuje na ziemię, dokładnie w sam środek rozstajnych dróg, gdzie pod osłoną nocy przeradza się w korzeń mandragory. O świcie w piątek Mag, jego *Heiligenschein* rozfalowana od podczerwieni do ultrafioletu w widmowych kręgach dokoła cienia rzucanego na zroszoną trawę, przychodzi z psem, czarnym jak smoła psem, niekarmionym od kilku dni. Rozkopuje ostrożnie ziemię dokoła drogocennego korzenia, aż ten trzyma się tylko na najcieńszych włókienkach, przywiązuje go sznurkiem do ogona psa, zatyka sobie uszy woskiem, następnie wyjmuje skibkę chleba, żeby skusić nią wygłodniałego kundla, rrrrau!, zwierzę rzuca się na chleb, korzeń zostaje wyrwany i wydaje przejmujący, zabójczy krzyk. Pies pada martwy jak rażony gromem, jego aureola nieruchomieje i gaśnie milionem kropel rosy. Mag z pietyzmem niesie korzeń do domu, ubiera go w biały strój i zostawia samotnie na noc z pieniędzmi: rankiem gotówka pomnożona jest dziesięciokroć. Przybywa z wizytą wysłannik Centrum Idiopatycznych Archetypów.

– Inflacja? – Mag próbuje ratować się płynnymi gestami rąk. – Kapitał? Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

– Nie, nie – odpowiada gość – nie teraz. Staramy się myśleć perspektywicznie. Chcielibyśmy usłyszeć coś o podstawowej strukturze tego wydarzenia. Jak okropny, na przykład, był ten krzyk?

– Nie wiem, uszy żem sobie zatkał.

Wysłannik błyska braterskim uśmiechem człowieka interesu:

– No i trudno mieć o to pretensje...

Krzyże, swastyki, mandalę Strefy, czy to dziwne, że przemawiają do Slothrop? Siedzi w kuchni Säurego Bummera – powietrze spływa narkotyczną morą – czytając przepisy na zupy, w każdym gnacie i liściu kapusty dostrzegając parafrazę samego siebie... przebłyskują aktualności, nazwiska tych służalców, którzy tak mu odpłacą pięknym za nadobne, że wylądował po drugiej stronie... Miał zwyczaj uprzątać na wiosnę drogi Berkshire, w utracone kwietniowe popołudnia, nazywali to „robotą rozdziału 81”, idąc śladem zgarniarki, która oczyszczała pozostałości kryształowego ataku zimy od wewnątrz, jej białą nekropolię... zbierał zardzewiałe puszkę po piwie, kondomy pożółkłe od odrzuconego nasienia, chusteczki higieniczne, zmięte w kształt mózgu, kryjące odrzucony smark, odrzuconą łzę, dalej gazety, rozbite szkło, części samochodowe, w tamte dni zabobonu i lęku potrafił to dopasować do siebie, dostrzec we wszystkim kolejny zapis w księgowości, konkretne dzieje: swoje, zimy, ojczyzny... pouczyły go, tumana i włóczykija, w sposób dogłębniejszy, niż potrafi wyjaśnić, buzie dzieci wyzierające z okien pociągu, dwa takty tanecznej muzyki, gdzieś dalej, na innej ulicy, nocą, igliwie i gałęzie przewianych sosen, świetlistych na tle nocnych chmur, pojedynczy schemat obwodu spośród setek innych w usmarowanym żółknącym pliku, śmiech na polu kukurydzy wczesnym rankiem, gdy szedł do szkoły, motocykl na wolnym biegu o pewnej ciężkiej od zmierzchu godzinie latem... a teraz, w Strefie, tego samego dnia, gdy stał się rozstajnymi drogami, tylko trochę później, po ulewie, której nawet nie



pamięta, Slothrop widzi bardzo grubą tęczę, mięsistego tęczowego fiuta, wyłaniającego się z łonowych chmur i wrazonego w Ziemię, w zielone, mokre wgłębienie Ziemi, i jego pierś wzbiera, on stoi i płacze, w głowie pustka, czując naturalność...



Z podwójnym wysprzęglaniem naprzemiennie, palcami i piętą, Roger Mexico pruje po letniej *Autobahn* przez pofalowaną brunatnofioletową Pustać Lüneburską. Złącza kompensacyjne buczą rytmicznie pod kołami przedhitlerowskiego horcha 870 B. Ponad przednią szybą bije w niego łagodny wiatr, pachnący jałowcem. Na polach owce rasy *Heidsschnucken* odpoczywają nieruchomo, jakby były chmurami spadłymi z nieba. Bagna i janowce przemykają do tyłu. Nad głową krząta się niebo, brocząc; żywa plazma.

Horch, w kolorze wojskowej zieleni z jednym dyskretnym żonkilem namalowanym pośrodku maski, spał w ciężarówce na nadłabskim parkingu wojskowym w Hamburgu, ocieniony w całości z wyjątkiem reflektorów, szypułkowych oczu kosmity, które śmiały się do Rogera. Witaj, Ziemianinie. Gdy ruszył, spostrzegł, że po podłodze toczą się słoiczki pełne czegoś, co wygląda jak jedzenie dla niemowląt – dziwaczna wstrętna papka, która zabiłaby chyba każde ludzkie niemowlę, zieleni pożyłkowana różem, bez wymiotów z karmazynowymi inkluzjami, niepodobna niczego zidentyfikować, wszystkie wieczka opatrzone wizerunkiem uśmiechniętego pucołowatego cherubinka, w szkle zaś kipią straszliwe toksyny botulinowe i ptomainy... co jakiś czas spod fotela spontanicznie wyskakuje nowy słoik i toczy się, wbrew prawu przyśpieszenia, między pedały, żeby psuć szyki stopom. Roger zdaje sobie sprawę, że powinien zajrzeć pod siedzenie i sprawdzić, co tam się dzieje, ale jakoś nie potrafi się do tego zmusić.

Na podłodze grzechoczą słoiczki, pod maską samochodu jeden lub dwa zaklinowane popychacze skarżą się na niewygodę. Pośrodku autostrady przemyka do tyłu gorczyca, idealnie dwubarwna, tylko żółć i zieleni, prorocza rzeka, widziana jedynie przez dwa rodzaje marszczącego się światła. Roger śpiewa do dziewczyny w Cuxhaven, która nadal nosi imię Jessiki:

Śniło mi się, że odnalazłem nas oboje,  
Wiosną tak wiele istnień ludzkich stąd,  
Wolni, o wczesnej porze Idziemy nad morze,  
W ustach cudze papierowe słowa – błąd.

Dopadli nas u progu powracającej zieleni,  
Zbyt osłupiałych, by dociekać przyczyn,  
Czy dzieci mogą zaczynać od nowa,  
Czy jakiś ślad się uchwowa?  
Co na szlakach lipiec po nas odziedziczy?

Wjeżdżając nagle w tak jaskrawo złoty nimb pagórka i pola, że niewiele  
brakuje, a przeoczyłby wyprofilowany zakręt...

Tydzień przed rozstaniem przyjechała do „Białego Nawiedzenia” po raz  
ostatni. Z wyjątkiem okrojonego kadłuba PISCES miejsce to przemieniło się  
z powrotem w wariatkowo. Na podmokłych łąkach rdzewiały stalowe liny po  
balonach zaporowych, łuszcząc się, stając jonami i ziemią – ścięgna, które  
dawniej śpiewały w niebezpieczne noce, pośród syren zawodzących tercjami  
łagodnie jak odległy wiatr, pośród tremola padających bomb, teraz leżą  
zwiotczałe, stare, w twardych splotach metalowego popiołu. Wszędzie pod  
stopami kipią niezapominajki, tłoczą się mrówki, krzątając w poczuciu  
posiadania własnego królestwa. Pawiki, pokrzywniki i żałobniki żeglują nad  
termokliną wzdłuż klifów. Jessica przycięła grzywkę od ostatniego spotkania,  
toteż targa nią zwykłą niepewność:

- Wiem, wyglądam absolutnie szkaradnie, nie musisz mówić.
- Wyglądasz absolutnie oszałamiająco – mówi Roger. – Bardzo mi się  
podoba.
- Kpisz sobie.
- Jess, dlaczego rozmawiamy o włosach, na miłość boską?

Tymczasem gdzieś po drugiej stronie Kanału, który jest zaporą tak trudną  
do przebycia jak ściana śmierci dla niedoświadczonego medium, porucznik  
Slothrop, wykolejony i spisany na straty, pełza po obliczu Strefy. Mexico nie

zamierza jednak spisać go na straty.

– Nie mogę zostawić tam tego biednego durnia. Chcą go zniszczyć –

– Ale – Roger z uśmiechem – jest wiosna. Wojna się skończyła.

Nieprawda. To kolejna propagandowa zagrywka. Uknięta przez Zarząd Walki Politycznej. No więc, panowie, jak widzieliście, z naszych badań wynika, że optymalnym dniem jest ósmy maja, tuż przed tradycyjną wędrówką ludów w Zielone Świątki, szkoły pozamykane, długoterminowe prognozy pogody obiecują urodzaj, sezonowa obniżka popytu na węgiel, dając nam parę miesięcy oddechu, byśmy w tym czasie odbudowali nasze interesy w Zagłębiu Ruhry – nie, Roger widzi tylko te same tryby władzy, te same niedostatki, z którymi walczy od trzydziestego dziewiątego. Jego dziewczyna wkrótce wyjedzie do Niemiec, a przecież powinni ją zdemobilizować jak wszystkich. Żadnych znajomości na wyższym szczeblu, dzięki którym zarysowałyby się jakakolwiek szansa ucieczki. Coś toczy się dalej, tak jak się toczyło, nie musisz nazywać tego wojną, jeśli działa ci to na nerwy, być może umieralność spadła o jedno, dwa oczka, piwo w puszkach nareszcie wróciło i nie tak dawno temu pewnej nocy zebrały się tłumy na Trafalgar Square... ale Ich przedsięwzięcie trwa.

Nieszczęście polega na tym, że ona Im wierzy. Dlatego kraje mu się serce, odsłaniając wewnętrzną pustkę. „Wojna” była warunkiem koniecznym do tego, by Jessica związała się z Rogerem. „Pokój” umożliwia rozstanie. Jego środki, w porównaniu z Ich możliwościami, są skąpe. Ani słów, ani odpowiednio wyrefinowanych uścisków, ani furii, która mogłaby ją zatrzymać. Oczywiście stary Borsuk będzie łącznikiem od obrony przeciwlotniczej, toteż wylądują razem w romantycznym Cuxhaven. Pa-pa, szalony Rogerze, było bosko, taki wojenny skok w bok, zapalna młodość, twoje ramiona otwarte szeroko jak skrzydła latającej fortecy, mieliśmy swoje wojskowe tajemnice, wywodziliśmy w pole grubych pułkowników, ale prędzej czy później wszyscy powinni ochłonać, jejuniu! Muszę pędzić, mój słodki, naprawdę, było bombowo...

Upadłby do jej kolan, pachnących gliceryną i wodą różaną, zlizalby piasek i sól z przydziałowych butów, złożył w ofierze pięćdziesiąt lat zarobków na dobrze płatnym stałym stanowisku i swój biedny pulsujący mózg. Ale za późno. Wojna się skończyła. Paranoja, niebezpieczeństwo, niemelodyjne pogwizdywanie zapracowanej Śmierci w drzwiach obok, wszystko to odeszło w cień, należy do nieistniejącej Wojny, do Lat Przeżytych z Rogerem Mexico. W dniu, kiedy przestały spadać rakiety, zaczął się koniec Rogera i Jessiki. Gdy z każdym wolnym od lęku dniem stawało się coraz bardziej oczywiste, że żadna już nie gruchnie, nowy świat opanował ją z zewnątrz i od środka jak wiosna – nie tyle zmiany wyczuwane w powietrzu i barwie światła, pośród tłumów w domach towarowych Woolwortha, ile kiepska filmowa wiosna, pełna papierowych liści, kwiecica z waty i lipnego słońca... nie, ona już nigdy nie stanie przed zlewem z porcelanową filiżanką, piszczącą w dłoni, ten krzyk kwilącego dziecka, całkowicie bezbronny, rozbrzmiewa nieśmiało, WYRZUCONA Z MYŚLI PRZEZ WYBUCHAJĄCĄ RAKIETĘ roztrzaskuje się z brzękiem na białe i niebieskie okruszki na podłodze...

Te rakiety-śmierć należą już do przeszłości. Tym razem będą celowniczymi, a nie celem, ona i Jeremy – czy nie tak miało być od samego początku? Będą je wystrzeliwać w morze: żadnej śmierci, tylko spektakl, ogień i ryk, ekscytacja bez zabijania, czy nie o to kiedyś się modliła? Tam, w niknącym domu, zwolnionym z rekwizycji, zamieszkanym znów przez ludzkie dodatki do frędzli, zdjęć psów, wiktoriańskich krzeseł, tajnych plików „News of the World” w szafie na piętrze.

Musi odejść. Rozkazy przyszły z tak wysoka, że ona tam nie dosięga. Jej przyszłość wiąże się z przyszłością Świata, a przyszłość Rogera tylko z tą osobliwą wersją Wojny, którą wciąż nosi w sobie. Jest unieruchomiony, biedak, nie wyrwie się. Bierny jak pod spadającymi raketami. Roger ofiara. Jeremy strzelec. „Moją matką jest Wojna” – powiedział pierwszego dnia i Jessica zastanawiała się, jakie kobiety w czerni pojawiają się w jego snach, jakie popielatobiałe uśmiechy, jakie nożyce będą szczękać po ich mieszkaniu,

ich zimie... tyle się w nim kryje, że nigdy do końca go nie poznała... zupełne niedopasowanie do Czasów Pokoju. Ona już myśli o wspólnie przeżytych dniach jako o serii wybuchów, szaleństwie dostrojonym do rytmów Wojny. Teraz on chce iść na ratunek Slothropowi, kolejnemu tworowi rakiety, wampirowi, którego płciowość w gruncie rzeczy karmiła się terrorem nalotów V-2 – uch, człowiekowi aż skóra cierpnie. Powinni go byli zamknąć, a nie puszczać wolno. Rogerowi najwyraźniej bardziej zależy na Slothropie niż na niej, ci dwaj są sobie warci, nie? – cóż, ma nadzieję, że będą razem szczęśliwi. Będą pić wspólnie piwo, opowiadać sobie historyjki o rakietach, spisywać równania. Pięknie. Przynajmniej nie zostawi go w próżni. Nie poczuje się samotny, będzie się miał czym zająć...

Oddaliła się od niego na plaży. Słońce świeci dziś na tyle jasno, że cienie zarysowane przy jej ścięgnię Achillesa są tak ostre i czarne, jak szwy na jedwabnych pończochach. Głowę jak zwykle nosi lekko pochyloną do przodu, obnażając kark, którego nigdy nie przestał kochać, którego nigdy już nie zobaczy, kark odsłonięty jak jej uroda, jej nieświadomość, że idzie przez Świat w obliczu nieustannego niebezpieczeństwa. Być może Jessica wie co nieco, być może podsumowuje siebie, swoją twarz i ciało, słowem „ładna”... ale on nigdy nie mógł powiedzieć jej reszty, zdradzić, jak dużo innych żyjących istot, ptaków, nocy pachnących trawą i deszczem, rozświetlonych słońcem chwil zwyczajnego spokoju skupia się w tym wszystkim, czym ona dla niego jest. Była. Traci coś więcej niż pojedynczą Jessicę: traci całe spektrum życia, bycie po raz pierwszy w harmonii z Dziełem Stworzenia. Wraca teraz do zimy, wycofuje się za swoją jedyną osłonę. Wysilek konieczny, by posunąć się gdziekolwiek dalej, przerasta jego możliwości w pojedynkę.

Nie spodziewał się, że się rozplącze, gdy ona odejdzie. Rozbeczał się. Zasmarkał się na kilometr, oczy jak czerwone goździki. Zaraz potem, ilekroć w marszu lewa noga lądowała na ziemi, odczuwał przenikliwy ból w połowie czaszki. Och, to pewnie to, co nazywają „bólem rozstania!”. Pointsman

przybiega z nawałem pracy. Roger nie potrafi zapomnieć o Jessice i coraz mniej przejmują się losem Slothrop.

Ale pewnego dnia wpadł Milton Gloaming, żeby wyrwać go z zastoju. Wrócił dopiero co z wycieczki po Strefie. Należał do grupy zadaniowej wraz z jakimś Josefem Schleimem, podrzędnym zdrajcą, który dawniej pracował dla IG jako podwładny doktora Reithingera, szefa VOW i – Działu Statystyki NW 7. Tam właśnie Schleim zajmował się gospodarką Ameryki, to znaczy zbierał dla IG informacje wywiadowcze za pośrednictwem przedsiębiorstw zależnych i koncesjonariuszy takich jak Chemnyco, General Aniline and Film, Ansco, Winthrop. W trzydziestym szóstym przybył do Anglii, żeby pracować dla Imperial Chemicals w bliżej nieokreślonym charakterze. Słyszał o Slothropie, ba, owszem... pamiętał go nawet z zamierzonych czasów. Kiedy Lyle Bland wyruszył w swoją ostatnią podróż na drugą stronę, przez całe tygodnie w biurach IG wertowano Zielone Raporty, *Geheime Kommandosache*, plotki łączyły się i dzieliły jak molekuly smoły węglowej pod ciśnieniem, a cały ten raban powstał o to, kto przejmie obserwację Slothrop, skoro Bland wyniósł się na dobre.

To działo się na początku walk o przejęcie maszyny wywiadowczej IG. Zęby ostrzył sobie pion gospodarczy Ministerstwa Spraw Zagranicznych i pion spraw zagranicznych Ministerstwa Gospodarki. Do tego wojsko, zwłaszcza Wehrwirtschaftstab, sekcja Sztabu Generalnego, która stanowiła łącznik OKW z przemysłem. Z kolei łącznikiem IG z OKW było Vermittlungsstelle W, pod kierownictwem doktorów Dieckmanna i Gorra. Układ się dodatkowo komplikowały dublowane tradycyjnie instytucje partii nazistowskiej, Abwehr-Organizations, powoływane w niemieckiej gospodarce po 1933 roku. Partyjne oko na IG nazywało się Abteilung A i mieściło w tym samym biurówcu, co – a nawet było identyczne jak – łącznik IG z armią, czyli Vermittlungsstelle W. Niestety, Technika, dziewczyna w koronie z warkoczy i o złotych udach, zawsze jest do wzięcia. Najprawdopodobniej to nieustanne właśnie i wrogość między partią i armią



pchnęły Schleima do przejścia na drugą stronę, a nie jego opinie na temat Hitlera. Tak czy owak, pamięta, że nadzór nad Slothropem przydzielono wtedy nowo powołanej Sparte IV pod egidą Vermittlungsstelle W. Sparte I zajmowała się azotem i benzyną, II – barwnikami, chemikaliami, buną, farmaceutykami, III – folią i włóknami. Czwórka zajmowała się Slothropem i niczym więcej, no z wyjątkiem – Schleim słyszał takie pogłoski – jednego czy dwóch patentów, uzyskanych dzięki powiązaniom handlowym z IG Chemie w Szwajcarii. Środek przeciwbólowy, którego nazwy nie pamięta, nowe tworzywo sztuczne, mipolam czy jakoś tak... polimeks albo coś w tym stylu...

– Ale to przecież kompetencje Sparte II – zaproponował wówczas nieśmiało Gloaming.

– Fakt, paru dyrektorów było zaniepokojonych – przyznał Schleim. – Ter Meer był *Draufgänger*, on i Hörlein, dwa rekiny. Być może odzyskali to, co im się należało.

– Czy partia wyznaczyła kogoś z Abwehr-Organization do Sparte IV?

– Z pewnością, ale nie wiem, czy ten ktoś był z SD czy z SS. Pełno się ich kręciło. Pamiętam takiego jednego chudzielca w grubych okularach, który raz czy dwa wychodził z biura. Ale ubrany był po cywilnemu. Nie znam jego nazwiska.

No, niech to cholera...

– Nadzór? – Roger gorączkowo przebiera palcami, międli włosy, krawat, nos, uszy, kłykcie. – IG Farben miało nadzór nad Slothropem? Przed Wojną? Dlaczego, Gloaming?

– Dziwne, co nie? – Cześć pracy, pryska drzwiami bez jednego słowa więcej, zostawiając Rogera z bardzo nieprzyjemnym oślepiającym światłem, które się nasila, zarysy objawienia na peryferiach mózgu. IG Farben, hę? Pointsman przestaje od niedawna prawie wyłącznie z pewną fiszą z ICI. W ramach kartelu ICI ma układy z Farben. Skurwiel. Na pewno wiedział o Slothropie od samego początku. Sprawa Jamfa była tylko mydleniem oczu...

cholera, co tu się dzieje?

W połowie drogi do Londynu (Pointsman odebrał jaguara, toteż Roger jedzie motocyklem z taboru PISCES, który składa się teraz z tego właśnie motocykla i jednego morrisa z zepsutym sprzęgiem) przychodzi mu do głowy, że wizyta Gloaminga była celową zagrywką Pointsmana w ramach tej kampanii godnej Naylanda Smitha, w którą najwyraźniej jest zamieszany (Pointsman posiada wszystkie księgi wielkiej manichejskiej sagi Saxa Rohmera i ostatnio nabrał zwyczaju wpadania o najprzeróżniejszych porach, najczęściej gdy Roger śpi albo próbuje w spokoju zrobić kupę. Staje pod drzwiami ubikacji i czyta na głos stosowny *ustępl*). Ten człowiek nie cofnie się przed niczym, jest gorszy od starego Puddinga, za grosz wstydu. Wykorzystałby każdego – Gloaminga, Katje Borgesius, Pirata Prentice’a, nikt nie jest (Jessica?) poza zasięgiem jego (Jessica?) makiawelicznych –

Jessica. Och. Jasnejasnejasne! Mexico, ty pierdolony kretynie... nic dziwnego, że sto trzydziestka siódemka dała wymijającą odpowiedź. Nic dziwnego, że rozkazy dla niej przyszły z Samej Góry. A on, durne jagnię brykające przed legowiskiem lwa, poprosił Pointsmana, by zrobił coś w tej sprawie... Głupiec. Głupiec.

Do Dwunastego Domu przy Gallaho Mews przyjeżdża, dysząc chęcią mordy. Złodzieje rowerów grasują po zaułkach, zawodowcy jeżdżący na trzech jednocześnie, i to w dobrym tempie. W oknach wystają młodzi mężczyźni z wymuskanymi wąsikami. Dzieci plądrują śmietniki. W rogach podwórek zalegają urzędowe dokumenty – skóra zrzucona przez Bestię, która wydostała się na wolność. Przy ulicy obumarłe drzewo wygląda jak zwirowate czarne zwłoki. Na przednim błotniku motocykla ląduje do góry brzuchem mucha, walczy przez dziesięć sekund o życie, potem składa pożyłkowane wrażliwe skrzydełka i kona. Szybko poszło. Roger pierwszy raz widzi coś takiego. Nad głową przelatują P-47 w szyku kwadratu, po cztery odfajkowania naraz, CzerwieńBielBłękitŻółć, na białawej kartce nieba, eskadra za eskadrą: albo to wojskowa defilada, albo kolejna wojna. Za

rogiem uwija się tynkarz, łątając ścianę pooraną odłamkami, gips na tarce murarskiej soczysty jak serek śmietankowy, używając obcej kielni, odziedziczonej po zmarłym koledze, toteż wciąż, w tych pierwszych dniach, nakłada nierówno jak złotodziób, ręka jeszcze niezgrana z narzędziem, połyskliwa krawędź wykrzywia się bardziej, niż potrafiłby sprawić siłą mięśni... Henry był wyższym facetem... Mucha, która jednak żyje, rozkłada skrzydła i odfruwa, żeby nabrać kogoś innego.

*Koniec żartów*, Pointsman wmaszerowuje do Dwunastego Domu, płyty korkowe skrzypią w siedmiu korytarzach i na kondygnacjach, recepcjonistki rzucają się do telefonów, *cholerny świat, a dokąd to* –

Nie ma go w biurze. Ale jest Géza Rózsavölgyi, który próbuje przywołać Rogera do porządku.

– Ro-bisz z siebie widowisko, młody człowieku.

– Morda w kubek, transylwański durniu – odwarkuje Mexico. – Szukam szefa, kapujesz, jeden ruch, a już nigdy więcej nie posmakujesz ani kropli Rh-. Gdy z tobą skończę, nie przeżujesz tymi kłami nawet owsianki –

Przerażony Rózsavölgyi wycofuje się za baniak z wodą i chwyta krzesło obrotowe, żeby się bronić. Siedzenie odpada, w ręku zostaje tylko podstawa, która akurat – o zgrozo – ma kształt krzyża.

– Gdzie on jest? – Postawa meksykańskiego rewolwerowca, zgrzytanie zębami, *nie poddawaj się hysterii, to bezproduktywny luksus, na który w obecnej chwili cię nie stać...* – Gadaj, pedale, albo nigdy więcej nie położysz się do trumny –

Wbiega przysadzista, ale mężna sekretarka, trochę pucołowata, która zaczyna okładać Rogera po goleniach rejestrami podatków od nadmiernych zysków, osiągniętych w latach 1940-1944 przez angielską hutę stali, która jest do spółki z Vereinigte Stahlwerke właścicielem patentu na stop w złączkach przewodów ciekłego tlenu, zastosowanych w S-Gerät dla A-4 numer 00000. Lecz golenie Rogera nie są stworzone do informacji tego rodzaju. Sekretarce spadają okulary.

– Droga panno Müller-Hochleben – czytając plakietkę przypiętą na piersi – bez bryli wygląda pani potwornie. Należy je włożyć natychmiast! – Żartobliwa hitlerowska gadka, zainspirowana nazwiskiem dziewczyny.

– Nie mogę ich znaleźć – niemiecki akcent, a jakże! – bo prawie nic nie widzę.

– Hm, zobaczmy, może będziemy mogli pani pomóc... Ach, dobry Boże, a co to? Panno Müller-Hochleben!

– Ja?

– Jak one wyglądają, te okulary?

– Są białe –

– Z takimi ślicznymi kryształkami górskimi w oprawkach, *Fräulein*, he?

– Ja, ja, und mit –

– I w uchwytach na uszy też i-i-i z piórami?

– Strusimi piórami...

– Samczymi piórami, zabarwionymi na pierwszorzędnym pawi błękit, wyrastającymi z brzeżków?

– *Ja*, to moje bryle – mówi sekretarka, poruszając się po omacku. – Gdzie one są?

– A tutaj – tupiąc nogą, CHRUP, jaskrawe arktyczne szpilki na dywanie Pointsmana.

– Coś-takiego! – kwituje odważnie Rózsavölgyi w kącie, jedynym w tym pomieszczeniu, który nie jest jasno oświetlony, owszem, to swego rodzaju optyczna anomalia, bo mamy przecież zwykły kwadratowy pokój, w Dwunastym Domu brak wielościanów o dziwnych kształtach... a mimo to widać ten niewytłumaczalny pryzmat cienia w rogu... niejedyn gość zaglądał tutaj i zastawał Pointsmana nie za biurkiem, lecz właśnie w tym zacienionym rogu pokoju – co gorsza, stojącego twarzą do ściany... Rózsavölgyi nie czuje aż tak wielkiego upodobania do Kąta, próbował parokrotnie, ale za każdym razem wyłaniał się, kręcąc głową: – Pa-nie *Pointsman*, nie podoba *mi* się to, *wcale*. Jaką ekscytację może dać ko-mukolwiek *tak niezdrowe*

doświadczenie? Hm? – unosząc w zadumie trójkątną brew.

Pointsman miał skruszoną minę, jakby kogoś przeproszał, ale nie z powodu własnego zachowania, lecz słów Rózsavölgyiego. Odparł łagodnym tonem:

– To jedyne miejsce, w którym czuję, że żyję – niech to diabli, pewnikiem z tej przyczyny na szczeblu ministerialnym wylądował co najmniej jeden, dwa meldunki. Jeśli dotarty do samego ministra, to chyba tylko jako gabinetowy żart. – Oczywiście, oczywiście – potrząsając mądrą głową, porośniętą siwym runem, wysokie, niemal słowiańskie kości policzkowe zawężają oczy do dwóch punkcików nieuważnej, ale sympatycznej wesołości – ten słynny Kąt Pointsmana, tak... nie zdziwiłbym się, gdyby tam straszło, co?

Odruchowy śmiech podwładnych, posępne grymasy przełożonych.

– Ściągnijcie kogoś z Towarzystwa Badań Parapsychicznych, niech się tym zajmie – chichocze ktoś z cygarem.

– Biedak pomyśli jeszcze, że ciągle jest na Wojnie.

– Racja, racja.

– A to dobry pomysł – rozbrzmiewa w układających się warstwach dymu. Wśród tych urzędasów są w modzie podobne figle, to swoista tradycja klasowa.

– Co mówisz? Co takiego?! – wrzeszczy Roger od dłuższej chwili.

– Coś takiego – powtarza Rózsavölgyi.

– Co jakiego?

– Tak powiedziałem.

– Powiedziałeś „coś takiego”? Tylko tyle? To powinieneś być odrzec: „Powiedziałem coś takiego”.

– Tak właśnie zrobiłem.

– Nie. Powiedziałeś tylko połowę zdania, a powinieneś –

– Aha, wcale nie. Bo zaraz potem dodałem, więc... powiedziałem wszystko, tylko na raty.

– Ale dopiero wtedy, gdy zadałem ci pytanie, nie powiesz mi więc, że to

były części tego samego zdania – chyba że – bo wówczas musiałbyś podejrzewać mnie o idiotyczną łatwowierność – chyba że – a u was to swoisty – jesteśmy jedną osobą i cała ta wymiana zdań była POJEDYNCZĄ MYŚLĄ aaaaagghhh, a to oznacza – obłęd, Rózsavölgyi –

– Moje bryle – pochlipuje Fräulein Müller-Hochleben, pełzając po pokoju, Mexico roztrąca czubkiem buta okruchy szkła, wskutek czego nieszczęsna dziewczyna co chwila kaleczy się w dłoń albo kolano, ciągnie za sobą kilkucalowe ciemne smużki krwi, ostatecznie – zakładając, że wytrwałaby odpowiednio długo – dywan Pointsmana będzie upstrzony jak tren sukni namalowanej przez Beardslaya.

– Świetnie pani sobie radzi! – krzyczy Roger zachęcająco. – A co się tyczy ciebie, ciebie – urywa, spostrzegając, że Rózsavölgyi jest prawie niewidoczny w cieniu, białka jego oczu jarzą się na białą, płasząc w powietrzu, mrugając, nękając, rozpalając się... kosztuje go to sporo wysiłku, by pozostać w kącie. To wyraźnie nie jest jego miejsce. Reszta pokoju jakby się oddaliła, jak gdyby widziana w celowniku aparatu fotograficznego. A ściany... rozpuściły się... Płyną: szorstki, kleisty strumień, pomarszczony jak kawałek jedwabiu albo nylonu, wodnista szarość, lecz co jakiś czas wyłania się z nurtu zaskakująca wysepka o barwie absolutnie nietypowej dla tego pomieszczenia: szafranowe wrzeciona, żółtozielone owale, karmazynowe zatoki wcinają się ząbkami w komiksowy oranż postrzępionych wysp, tymczasem ranny myśliwiec kołuje, opróżnia zbiorniki, otwarta osłona kokpitu, klapy ustawione tylko tak, by nie przeciągnąć, koła w górę, gdy z przodu doskakuje błękit (raptem taki wściekły błękit!) tuż przed uderzeniem zamknięta przepustnica uuuhhhnnhh! o cholera, rafa, roztrzaskamy się o – o rany. Och, nie ma rafy? Nic nam nie groziło? Nic nie grozi? Owoce mango, widzę mango na tamtym drzewie! i-i-i o, jest jakaś dziewczyna, mnóstwo dziewczyn! patrz, wszystkie są wspaniałe, cycki sterczące do przodu, kręcą pupami w spódniczkach z trawy, grają na ukulele, śpiewają (tylko dlaczego głosy są takie matowe i twarde, nosowe jak głosy amerykańskiego chóru?) –

Witaj, biały przybyszu, na wyspie Kiy-ci-voko!  
Jemy tu do syta, kochamy głęboko!  
Żółty księżyc, brat bliźniak banana,  
Oświeć dziewczętom kolana,  
Hula, hula, lawa, papaja,  
Tańce pod wulkanem od maja do maja,  
Nawet Słodka Leilani w małym namiocie  
Lubi małpkę z kokosa, misyjne łakocie.  
Spoko, spoko, wpadnie ci w oko,  
Któraś piękność z wyspy Kiy-ci-voko!

*O-rany, o-rany*, usi-dli mnie, na pewno usi-dli mnie jedna z tych ślicz-nych wy-spiarek, przez *resztę* życia... będę wci-nał pa-pa-ję, wonną jak cipa, w tym młodym raju –

Kiedy raj był młody. Pilot odwraca się do Rózsavölgyiego, wciąż unieruchomionego pasami w fotelu. Twarz pilota zakrywa maska i gogle, które odbijają nazbyt dużo światła. To maska tlenowa – twarz z metalu, wyprawionej skóry i karuku. Pilot zsuwa powoli gogle na czoło, i czyja to twarz wyziera, czyje to oczy, znajome, wesołe, ja ciebie znam, a ty mnie nie? Naprawdę mnie nie znasz?

Rózsavölgyi odskakuje z krzykiem od ściany, rozdygotany i nagle oślepiiony sufitowym światłem. Fräulein Müller-Hochleben nadal pełza w koło, coraz szybciej, prawie już ciągnęła smugę, zawodząc histerycznie. Oboje osiągnęli stan rozstroju, który był celem subtelnej akcji psychologicznej Rogera.

Spokojnie, acz stanowczo:

– Dobrze. A teraz pytam ostatni raz: gdzie jest Pointsman?

– W biurze Mossmoona – odpowiadają jak na komendę.

Biuro Mossmoona znajduje się rzut lekkim beretem od Whitehallu, ciąg pokoiów strzeżonych przez wartowniczkę, każda dziewczyna ubrana w sukienkę skrajnie odmiennego koloru od pozostałych (i to tak trwa dłuższą



chwilę, toteż można sobie wyobrazić te trójsigmowe barwy, chociaż powstaje pytanie, czy w ogóle jest aż tyle kolorów, by każdy mógł być skrajnie odmienny, a są takie, jak jaszczurka, gwiazda wieczorna, blada Atlantyda, by wymienić tylko kilka), z jednymi Roger flirtuje, inne przekupuje, zagaduje, niektórym grozi, a zdarza się nawet (westchnienie), że wali pięścią w pysk, wreszcie – Mossmoon! – bębniąc w olbrzymie dębowe drzwi, rzeźbione jak kamienne wrota świątyń. – Pointsman, gra skończona! Zwracam się do resztek twojej przyzwoitości, dzięki którym doczekasz wieczoru i nie padniesz martwy z ręki uzbrojonego mściciela. Otwieraj natychmiast! – To dość długa przemowa, drzwi puszczają już po pierwszych słowach, ale Roger deklamuje do samego końca. Widzi pokój w zgaszonym gwałtownie kolorze rozżarzonej cytryny, przydymionym niemal do mlecznego odcienia rozwodnionego absyntu, pokój o wiele sympatyczniejszy, niż zasługuje na to ów krąg twarzy, ale być może to wtargnięcie Rogera pociemnia barwę ścian, biegnie, wskakuje na wypolerowany stół nad wypolerowanym czerepem dyrektora huty stali, sunie pięć metrów po nawoskowanym blacie i hamuje przed nosem mężczyzny siedzącego na samym końcu, z dobrodusznym (hm, pogardliwym w gruncie rzeczy) uśmiechem na twarzy. – Mossmoon, odpowiesz mi teraz. – A może wszedł między kaptury, zmrużone oczy, złote akcesoria, kadzidło i berło z kości udowej?

– To nie Mossmoon. – Pointsman chrząka – Mexico, czy mógłbyś jednak zejść ze stołu?... Panowie, to jeden z moich dawnych kolegów z PISCES, błyskotliwy, ale dość niezrównoważony jegomość, jak już pewnie się zorientowaliście. No nie, Mexico, na miłość boską –

Roger rozpina guziki rozporka, wyciąga fiuta i bez żadnych ceregieli zaczyna szczać na połyskliwy blat, na dokumenty, do popielniczek, a po chwili na te pokerowe twarze zebranych, którzy – każdy z nich tęga dyrektorska głowa, umysł jak brzytwa – wciąż nie chcą przyznać, że to się dzieje naprawdę, że to mogłoby się wydarzyć w jakimkolwiek świecie, styczonym choćby w jednym punkcie ze światem, do którego przywykli...

toteż całkiem przyjemne zdają się te bryzgi ciepłego moczu, gdy Roger pruje serią po krawatach za dziesięć gwinei sztuka, starannie przystrzyżonych bródkach, do nosa upstrzonego plamami wątrobianymi, po okularach z wojskowego przydziału, wykrochmalonych koszulach, odznaczeniach Phi Beta Kappa, Legiach Honorowych, Orderach Lenina, Żelaznych Krzyżach, Krzyżach Wiktorii, dewizkach zegarków otrzymanych za zasługi, klapach ze znaczkami popierającymi kandydaturę Deweya na prezydenta, na wpół odsłoniętych służbowych rewolwerach, a nawet po obrzynie zadekowanym pod pachą...

– Pointsman – uparty kutas bryka gniewnie jak statek powietrzny wśród fioletowych chmur (mocno fioletowych, niby kosmaty aksamit) o zmierzchu, gdy morska bryza zapowiada trudne lądowanie – ciebie zostawiłem sobie na koniec. Ale, mój Boże, wystrzelałem się, nie zostało ani kropli. Przepraszam. Nic dla ciebie nie ma. Rozumiesz? Nawet jeśli będę musiał poświęcić na to całe życie – padają takie słowa, może Roger trochę przesadza, a może nie? – to i tak dla ciebie nic nigdzie nie będzie. Cokolwiek masz, ja ci odbiorę. Jeśli awansujesz, przyjdę i cię dopadnę, ściągnę cię w dół. Dokądkolwiek trafisz. Nawet jeżeli znajdziesz chwilę na odpoczynek, w towarzystwie wyrozumiałej kobiety, w zacisznym pokoju, ja będę stał u okna. Zawsze będę czyhał pod drzwiami. Nigdy się mnie nie pozbędziesz. Gdy ty wyjdiesz, ja wejdę i skalam ten pokój, nawiedzę go, toteż będziesz musiał poszukać sobie innego. A jeżeli nie wyjdiesz, ja i tak wleżę. Będę za tobą chodził od pokoju do pokoju, aż w ostatnim zapędzę cię w kozi róg. Ten ostatni będziesz miał dla siebie, Pointsman, będziesz musiał w nim przeżyć resztę tego swojego łajdackiego, sprzedajnego życia.

Pointsman nie patrzy na niego. Ucieka wzrokiem. Tego właśnie chciał Roger. Gdy pojawiają się ochroniarze, najlepsze jest już poza nami, choć wielbiciele scen pościgu, ci, którzy na widok Tadź Mahal, Galerii Uffizi, Statuy Wolności, wyobrażają sobie uciekiniera i pościg, ach, ach, kurczę, Douglas Fairbanks zmyka po minarecie na tle księżyca... – podobni

entuzjaści mogą być zainteresowani tym, co następuje:

Roger daje nura pod stół i zapina błyskawicznie rozporek, a nadgorliwe grubasy walą się kupą na pusty blat, rozkwaszając sobie nosy i klnąc, on już wśród końskiej skóry, podkuć, prążkowanej wełny, skarpetek wydzierganych przez mamusię, ryzykowna ucieczka, każda noga może wierzgnąć bez ostrzeżenia i skasować go na amen, wreszcie dociera do łysego magnata stali, sięga ręką, chwyta za krawat albo kutasa, nieważne, byle było łatwiej ucapić, i ściąga faceta do swojego poziomu.

– No, muszę się stąd wydostać, a ty jesteś moim zakładnikiem, kape? – Wyłania się spod stołu, ciągnąc sinego dyrektora za krawat – albo kutasa – jak dziecięce sanki, ten krztusi się i dusi, za drzwi, obok niemożliwej – w kategoriach modalności – tęczy wartowniczek, które wreszcie są zastraszone, syreny już buczą po mieście, SZALENIEC DOKONUJE ATAKU NA KONFERENCJĘ PRZEMYSŁU NAFTOWEGO *wypłoszony po o... ..aniu uczestników* wypada z windy, korytarzem do kotłowni, bzyt! nad głowami dwóch czarnych dozorców, którzy podają sobie z rąk do rąk skręta z zachodnioindyjskim narkotycznym zieleń, wpycha zakładnika do gigantycznego pieca, który pali się na pół gwizdka z powodu ocieplenia (szkoda), i ucieka tylnym wyjściem, aleją platanów do niewielkiego parku, hop przez płot, rach, ciach, szybkocongi Roger i londyńscy gliniarze.

Nie ma po co wracać do „Białego Nawiedzenia”. Może się obyć bez tego, co tam zostawił. Ubranie na grzbiecie, motocykl między nogami, kieszeń pełna drobnych, a serce bezgranicznego gniewu, czego jeszcze potrzebuje niewinny trzydziestolatek, by poradzić sobie w mieście? Jestem kurewskim Dickiem Whittingtonem! – przychodzi mu do głowy, gdy pruje po Kings Road. Przyjechałem do Londynu, jestem waszym burmistrzem!

Pirat przebywa w domu i najwyraźniej oczekuje Rogera. Na stole w jadalni leżą części mendozy, połyskuje smar i oksydowanie, w dłoniach tamponiki, łatki, patyczki, buteleczki, ale oczy na Mexico.

– Nie – przerywa Rogerowi doniesienie na Pointsmana w chwili, gdy

pojawia się nazwisko Gloaminga – to niby drobnostka, ale przyhamuj. To nie on go przysłał, tylko my.

– Wy?

– Jesteś nowicjuszem w dziedzinie paranoi, Roger. – Pirat po raz pierwszy zwraca się do niego po imieniu, Mexico zaś wzrusza się dostatecznie, by powstrzymać swój słowotok. – Oczywiście, że nie ma nic bez rozbudowanego systemu-Oni, ale to tylko jedna strona medalu. Na każde „Oni” powinno przypadać jedno „My”. I w naszym wypadku tak jest. Twórcza paranoja oznacza powołanie przynajmniej tak rozległego systemu-My jak system-Oni.

– Zaraz, zaraz, najpierw nalej szkockiej, bądź dobrym gospodarzem, a potem wyjaśnij, co to jest system-Oni, bo ja ci nie wyjeżdżam z teoriami Czebyszewa.

– Mam na myśli to, co Oni i wynajęci przez Nich psychiatrzy nazywają „systemem iluzorycznym”. Nie trzeba mówić, że „iluzje” często mają oficjalną aprobatę. Nie musimy się zajmować rozróżnieniami między tym, co rzeczywiste i nierzeczywiste. Oni mówią tylko z konieczności. To system najbardziej się liczy. I rozmieszczenie danych wewnątrz. Niektóre są zgodne, inne odstają. Twoja myśl, że Pointsman przysłał Gloaminga, jest wynikiem błędnego wyboru na rozstajach. Bez jakiegokolwiek przeciwstawnego zestawu iluzji – iluzji dotyczących nas samych, które nazywam systemem-My – myśl o Gloamingu mogłaby być słuszna –

– Iluzji dotyczących nas samych?

– Przekonań niezgodnych z rzeczywistością.

– Ale zaaprobowanych oficjalnie?

– Owszem, z konieczności.

– W takim razie ty uczestniczysz w Ich grze.

– Niech to cię nie martwi. Przekonasz się, że możesz działać całkiem skutecznie w tych ramach. Nie zwyciężyliśmy jeszcze, więc to nie jest znowu taki wielki problem.

Roger jest kompletnie zdezorientowany. W tym momencie wchodzi nikt inny jak Milton Gloaming właśnie, w towarzystwie Murzyna, w którym Mexico rozpoznaje jednego z dwóch dozorców w kotłowni pod biurem Clive'a Mossmoona. Nazywa się Jan Otyiyumbu i jest łącznikiem ze Schwarzkommando. Pojawia się też jeden z apaszów Blodgetta Waxwinga ze swoją dziewczyną, która nie tyle idzie, co raczej płąsa, płynne, powolne ruchy, taniec, zdiagnozowany trafnie przez Osbiego Feela, wyskakującego z kuchni, bez koszuli (z tatuażem Disneyowskiej Świnki na brzuchu? Od kiedy on to ma?), jako efekt działania heroiny.

To trochę deprymujące – skoro to jest „system-My”, to dlaczego nie jest on dostatecznie zmyślny, by zająć się w rozsądny sposób, tak jak wszystkie systemy-Oni?

– O to właśnie chodzi! – wrzeszczy Osbie, Świnka na tańczącym brzuchu rozciąga ryjek w niepokojącym uśmiechu. – Oni są systemami racjonalnymi. My szczamy na ich racjonalne porządki. Prawda... Mexico?

– Hura! – krzyczą pozostali. – Dobrze powiedziane, Osbie.

U okna siedzi sir Stephen Dodson-Truck, czyszcząc stena. Na zewnątrz Londyn wyczuwa na grzbiecie wionące przez letni bezruch pierwsze chłody Mizerii. Ani jedna myśl nie kołaczy się w głowie sir Stephena. Całkowicie pochłonęła go broń. Nie duma już o swojej żonie, Norze, choć ona tam jest, w którymś pokoju, nadal w otoczeniu planetarnych mediów, nakierowana na osobliwy los. W ostatnich tygodniach, w iście mesjanistycznym stylu, dotarło do niej, że jej prawdziwą tożsamość stanowi – dosłownie – Siła Grawitacji. *Jestem Grawitacją, jestem tą, z którą musi się borykać Rakieta i której ulegają prehistoryczne odpady, przemienione w istotę Dziejów...* Kapryśni odmieńcy, jasnowidze, spece od teleportacji, podróżnicy astralni i tragiczne ludzkie styki wiedzą o jej opętaniu, ale nie dostrzegają drogi powrotu. Ona musi teraz udowodnić, ile jest warta – znaleźć głębsze formy samozaparcia, głębsze niż apostazja Sabataja Cwi przed Wysoką Portą. To sytuacja stwarzająca niejedną okazję do splątania psikusa – biedna Nora nabiera się na

seanse, które przejrzałyby na wylot twoja prababka, na wizyty dowcipnisiów pokroju Rolanda Cherrycoke'a w przebraniu Jezusa, który włączywszy ukryty ultrafioletowy reflektor punktowy, zaczyna roztaczać fluorescencyjne światło w bardzo kiepskim stylu, recytując bełkotliwie wyjątki z Pisma Świętego i zstępując z wyżyn ukrzyżowania, żeby pomacać ją po pupie, ściśniętej pasem do pończoch... niebywale zgorszona, ucieka do korytarzy pełnych niewidzialnych wilgotnych rąk – poltergeisty cofają splukiwaną pod nią wodę, eleganckie balasy skaczą do jej dziewiczej szparki; wrzeszcząc „fuj!”, pupa mokra, pas do pończoch wokół kolan, Nora wtacza się do swojego salonu, ale nawet tam nie jest bezpieczna, nie, bo ktoś zmaterializował sześćdziesiątkę dziewiątkę dwóch lesbijskich słonic, oślisłe trąby właczają się symetrycznie w soczyste pochwy, a gdy ona odwraca się, żeby uciec od tej straszliwej sceny, okazuje się, że jakiś żartobliwy duch zamknął za nią drzwi na klucz, a kolejny właśnie się szykuje, by rzucić jej w twarz zimny jorkszyrski pudding...

W domu Pirata wszyscy śpiewają teraz kontrakcyjną pieśń podróżną, wśród nich Thomas Gwenhidwy, który jednak nie uległ dialektycznej klątwie Księgi pana Pointsmana i który teraz akompaniuje im na walijskiej chrocie z palisandru:

Siedzieli z tobą przy jednym stoliku,  
Wypłakiwali łzy do twojej szklanki,  
Śpiewając smutne kołysanki.  
Myślałeś, że współczucia chcą,  
Że nie chodzi Im o twoją duszę.  
Nie zdradzą ci prawdy,  
Ja to zrobić muszę.  
Czas się przyłączyć do naszej załogi,  
Bo nie ma innej drogi.  
Płacili ci, byś był Im posłuszny,  
Lecz teraz razem ruszmy,

Czas wykopać z ziemi topór,  
To wojna, a nie zwykły opór.

– To wojna – podśpiewuje Roger Mexico, jadąc do Cuxhaven, rozmyślając o tym, że Jessica obcięła włosy dla Jeremy’ego i jak ten nieznośny pedant będzie wyglądał z komorą ciągu owiniętą dokoła głowy – to wojna...

Pileś z Nimi i dobrze było ci z tym,  
Dziś pora rozwalić Ich system.  
Chodźmy więc razem wykopać ten topór,  
To wojna, a nie zwykły opór...





Te konary sosnowe, strzelające niebieskimi, wodnistymi płomieniami, nie wydzielają żadnego ciepła. Skonfiskowana broń i amunicja leżą w skrzyniach lub luźnych stosach pod strażą Kompanii C. Od paru dni wojsko amerykańskie przeczesuje Turyngię, wdziera się do domów w środku nocy. Wyższe szczeble ogarnęła likantropofobia, czyli lęk przed Wilkołakami. Nadchodzi zima. Wkrótce zabraknie żywności i węgla w Niemczech. Ziemniaki zebrane w ostatnich dniach Wojny przeznaczono na produkcję alkoholu do rakiet. Lecz wśród ludności nadal jest mnóstwo broni ręcznej i amunicji. Tam gdzie nie można napełnić żołądka, rekwiruje się pistolety i karabiny. Broń i żywność łączą się w umysłowości władzy, odkąd istnieje jedno i drugie.

Górskie stoki raz po raz błyskają łatami barw, jaskrawych jak dyptam jesionolistny w lipcu po ceremonialnym przytknięciu zapalniczki. Starszy szeregowy Eddie Pensiero, z uzupełnień osiemdziesiątej dziewiątej dywizji, również wielbiciel amfetaminy, siedzi skulony prawie w środku ogniska, drżąc i wpatrując się w odznakę na rękawie, która zazwyczaj przypomina trzy nosy rakiet, widoczne w rozszerzającym się odbycie, wszystko czarne i bure, ale która teraz wygląda jeszcze dziwniej, jak coś, o czym Eddie za chwilę będzie myślał.

Dygotanie to jedno z ulubionych zajęć Eddiego Pensiero. Nie chodzi jednak o *normalną* drżączkę, która dopada zwykłych ludzi, o żadne przelotne ciarki podczas spaceru po cmentarzu, chodzi o trzęsionkę, która nie mija. Eddie jest koneserem trzęsionek. Potrafi nawet czytać z nich, podobnie jak Säure Bummer czyta ze skrętów, jak Miklos Thanatz z pręg po uderzeniach biczem. Dar ten nie ogranicza się tylko do trzęsionek samego Eddiego, skąd, obejmuje również trzęsionki innych osób. Owszem, nadchodzą po kolei, nadchodzą gromadnie (ostatnio wypracował w swoim umyśle swoisty dyskryminator i uczy się je rozdzielać). Najmniej interesujące są trzęsionki o

stałej częstotliwości, niewykazujące żadnych wahań. Następne w kolejności są te o częstotliwości modulowanej, to znaczy raz szybciej, raz wolniej, zależnie od informacji dostarczanych na przeciwległym końcu, gdziekolwiek ten się znajduje. No i wreszcie jego ulubione nieregularne fale o zmiennej częstotliwości i amplitudzie. Należy je za pomocą szeregu Fouriera przekształcić w składowe harmoniczne, co nie jest proste. W grę wchodzi pewien kod, podczęstotliwości, poziomy mocy – trzeba być niezłym, by się w tym połapać.

– Ej, Pensiero! – To sierżant Eddiego, Howard („Tępak”) Lemer. – Zabieramy dupsko od tego ognia.

– Oj, sierżancie, ja tylko rozgrzać się chciałem.

– Nie trzeszcz mi tu. Jeden pułkownik chce sobie przyciąć włoski, i to zaraz, więc już cię tu nie ma!

– Ach, te trepy – mruczy Pensiero, podpełzając do śpiwora, żeby znaleźć grzebyk i nożyczki. Jest kompanijnym fryzjerem. Efekty jego pracy, niekiedy parogodzinnej albo nawet parodniowej, rozpoznawane są na pierwszy rzut oka w każdym zakątku Strefy i najmniejszym włoskiem dowodzą umysłowej jednotorowości tego amfiarza.

Pułkownik czeka, zasiadłszy pod elektryczną żarówką. Żarówka czerpie moc od innego szeregowca, który kręci w kącie korbą prądnicy. To kolega Eddiego, Paddy („Elektro”) McGonigle, Irlandczyk z New Jersey, jeden z miliona szlachetnych i praworzędnych miejskich biedaków, których ogląda się w kinie – widziałeś, jak śpiewają, tańczą, wieszają pranie na sznurze, upijają się na odpustach, zamartwiają, że dzieci schodzą na złą drogę, nie wiem, proszę księdza, chłopak ma dobre serce, tylko wdał się w szemrane towarzystwo – we wszystkich tych marnych hollywoodzkich produkcjach, nie wyłączając tegorocznego wielkiego przeboju, „Drzewka na Brooklynie”. Młody Paddy praktykuje przy korbie inną formę daru Eddiego, choć nadaje, a nie odbiera. Żarówka pali się równo, ale tak naprawdę jest to szereg elektrycznych szczytów i dolin, przesuwany się w tempie zależnym od

prędkości kręcenia korbą. Drucik w żarówce rozjarza się dostatecznie wolno, by kolejny szczyt wypadł w porę, dzięki czemu widzimy jednostajny blask. W rzeczywistości zaś to przemienność światła i mroku. Na ogół niedostrzegalna. Paddy nigdy nie jest świadom emitowanych informacji. Wysyłanych przez jego mięśnie i szkielet, przez ten obwód w jego ciele, który nauczył się funkcjonować jako źródło energii elektrycznej.

W tej chwili Eddie Pensiero dygocze i nie zwraca uwagi na żarówkę. Zajmuje go co innego. Ktoś niedaleko, w mrokach nocy, gra bluesa na organkach.

– Co to? – pyta, stając pod białą żarówką, za milczącym pułkownikiem w mundurze. – Ej, McGonigle, słyszysz ty coś?

– Taa – kpi Paddy zza prądnicy – słyszę, jak odfruva twoje zwolnienie z armii, z wielkimi skrzydłami sterczącymi z dupska! Nic innego nie słyszę, hi, hi!

– Pierniczysz – odpowiada Eddie. – Ty niczego nie słyszysz, pacanie jeden!

– Ej, Pensiero, wiesz, jak na tym nowym sonarze brzmi włoska łódź podwodna?

– Eee... no jak?

– Pin-nnn-gui-iii-no-no-no-no! Hi, hi, hi!

– Pierdol ty się – odpowiada Eddie i zabiera się do szpakowatych włosów pułkownika.

W chwili gdy ząbki grzebyka dotykają głowy, pułkownik zaczyna mówić:

– Zwykle akcja przeczesywania trwała dwadzieścia cztery godziny. Od zachodu słońca do zachodu słońca, od domu do domu. Na obu krańcach było złoto i czerń, sylwetki, rozbełtane nieba, czyste jak na horyzoncie scenicznym. Ale tych zachodów słońca tutaj to ja nie rozumiem. Czy coś gdzieś wybuchło? Co? Gdzieś na wschodzie? Nowy Krakatau? Może nazwa inna, ale tak samo egzotyczna? Kolory są teraz jakieś zmienione. Popiół wulkaniczny lub inna miałka substancja, obecna w atmosferze, potrafi wywołać osobliwą dyfrakcję promieni świetlnych. Wiedziałeś o tym, synu?

Trudno uwierzyć, co? Przycieniuj trochę dokoła, a na górze tak krótko, żeby grzebień nie złapał. Owszem, szeregowy, kolory się zmieniają i to jeszcze jak! Pytanie brzmi: czy zmieniają się pod dyktando czegoś? Czy codzienne widmo Słońca ulega modulacji? Nie na chybił trafił, ale systematycznie, przez te nieznane śmiecie obecne w wietrze? Czy to informacja dla nas? Ważne pytania, do tego niepokojące. – Skąd jesteś, synu? Bo ja z Kenoshy, to w Wisconsin. Starzy mają tam małą farmę. Pola pod śniegiem i płoty aż do Chicago. Śnieg zasypuje stare samochody ustawione na ceglach... wielkie białe kopce na podwórkach... Wisconsin wygląda jak cmentarz poległych.

– He, he...

– Ej, Pensiero! – woła Paddy McGonigle. – Ciągłe słyszysz ten hałas?

– Taa, to chyba organki. – Zajęty zaczesywaniem pojedynczych włosów, przycinaniem każdego na trochę inną długość, wraca do poprzednich, tu jeszcze poprawi, tam podretuszuje... Bóg wie, ile ich jest. Atropos zaś przycina je niejednakowo. Zatem Bóg pod wpływem Atropos, tej, której nie można powstrzymać, znajduje się dziś wieczorem w posiadaniu Eddiego Pensiero.

– Ja mam twoje organki – kpi Paddy – o tutaj! Patrz! Długie coś jak makaron!

Każde strzyżenie jest wędrówką. Włosy to kolejny przykład modulowanej częstotliwości. Wyobraźmy sobie niebywały stan łaski, w którym wszystkie włosy były początkowo równe, dni niewinności, kiedy spadały prosto z głowy pułkownika. Wiatr, roztargnione gesty, pot, swędzenie skóry, nagłe niespodzianki, przedsenne upadki, obserwowane nieba, zapamiętane chwile wstydu, wszystko to zapisało się na tym arkuszu papieru milimetrowego. Przemierzając go dzisiaj, przekomponowując, Eddie Pensiero jest wysłannikiem Dziejów. Przeobrażaniu głowy pułkownika towarzyszy niesiony drganiem blues – długie pasaż z drugiej i trzeciej dziurki odpowiadają, przynajmniej dziś, wędrówkom w gąszczu włosów, między pniami brzoź w parną letnią noc, w okolicy chaty z kamienia w zagajniku,

jelenie sparaliżowane obok kamiennych ścieżek...

Blues jest sprawą wstęg bocznych – dmuchasz czystą nutę, w odpowiedniej tonacji, potem obniżasz wysokość dźwięku wykrzywiając twarz. Mięśnie twarzy rozciągają się jak w uśmiechu, ścięte bólem, próbujesz nie zdradzać żadnych uczuć przez całe swoje życie. Wypadkową tego stanowi po części miejsce, do którego ślesz czystą nutę. To jest świecka podstawa bluesa, jeżeli nie odpowiada ci spojrzenie z duchowej perspektywy...

– Nie wiedziałem, gdzie się znajduję – relacjonuje pułkownik. – Schodziłem po tych wielkich chropowatych kawałkach betonu. Sterczał czarny pręt zbrojeniowy... czarna rdza. W powietrzu były przebarwienia w kolorze królewskiego fioletu, nie dość jasne, żeby rozmywały się kontury albo żeby odmienić istotę nocy. Skapywały po kolei, wydłużając się – widziałeś kiedy zarodek kurczaka, na samym początku? Jasne, że nie, jesteś miastowy. Na farmie sporo byś się nauczył. Dowiedziałbyś się, jak wygląda zarodek kury, a potem, gdybyś się wspinał po górze betonu w nocy i zobaczył jedno takie albo kilka na niebie, tylko że w fioletowym kolorze, to wiedziałbyś, o co chodzi – miasto się nie umywa do wsi, synu, w mieście człowiek tylko się miota od problemu do problemu, a każdy problem jest nowy, nie można ich ze sobą kojarzyć...

No więc posuwa się ostrożnie po olbrzymim rumowisku – jego włosy wyglądają w tej chwili bardzo *dziwnie*, zaczesane do przodu z jednego miejsca na potylicy, do przodu i do góry zarazem, długie kosmyki tworzą czarny słonecznik albo raczej czepiec dokoła twarzy, której dominującą cechą są ruchliwe karmazynowe usta. Ze szczelin wśród gruzów wystrzelają ręce chude jak szczytce, chcąc go złapać, seria radosnych wypadów i odwrotów, nie chodzi akurat o niego, ot, taka myśl, że *chwycę trochę nocnego powietrza*, cha, cha! Gdy chybiają celu – bez przerwy – bzyk!, z powrotem, odkasłując jak hazardzista, no trudno, może następnym razem się poszczęści...

Jasny gwint, odcięty od swoich, złapią mnie i żywcem spalą, ci azjatyccy

zbóje! O *Jezu*, już są, niewyobrażalne Zwierzęta, przemykają skulone przy ziemi w świetle roztaczanym przez miasto w wersji G-5, żółte i czerwone turbany, gęby całe w bliznach, obłe jak przód forda rocznik trzydziesty siódmy, to samo nieprzytomne tępe spojrzenie, to samo wyswobodzenie spod Młota Przeznaczenia –

Ford rocznik trzydziesty siódmy, wyswobodzony spod MP? Przestań się zgrywać. Kończą na złomowiskach jak inne!

Czyżby, szefuniu? To dlaczego tak ich dużo na drogach?

Mmmm, jak by to powiedzieć, drogi panie Wiedza, j-jest Wojna, tak, nie produkujemy teraz nowych aut, więc musimy utrzymywać w nienagannym stanie stare Niezawodne Gruchoty, w dodatku większość mechaników pojechała na wojnę, nie wolno też chomikować benzyny i trzeba pilnować, żeby naklejka z literką „A” była wyraźnie widoczna w dolnym prawym –

Szefuniu, zasuwasz bezsensownie po złym torze, głupcze. Wracaj tu, do zwrotnicy. Tutaj właśnie rozbiega się tor. Widzisz tego faceta tam z tyłu? Ma biały kaptur. I brązowe buty. Ładnie się uśmiecha, lecz nikt tego nie widzi. Bo twarz pozostaje zawsze w cieniu. Ale jest sympatycznym facetem. Zwrotniczym. Nazywa się tak, bo przekłada dźwignię, która przestawia zwrotnicę. I jedziemy do Szczęśliwie, zamiast do Cierpieniowa, czyli *Der Leid-Stadt*, tak nazywają to Niemcy. Jest taki marny wierszyk o *Leid-Stadt* napisany przez Niemca nazwiskiem Rilke. Ale my tego nie przeczytamy, bo prujemy pełną parą do Szczęśliwie. Zwrotniczy już o to zadbał. Niedużo ma pracy. Dźwignia chodzi gładko, nie trzeba się natężyć. Nawet ty byś ją przestawił, szefuniu. Gdybyś wiedział, gdzie jest. Pomyśl, ile roboty odwalił ten facet jednym ruchem ręki. Skierował nas do Szczęśliwie, zamiast do Cierpieniowa. Bo on wie, gdzie jest zwrotnica i dźwignia. To wyjątkowy człowiek, który niewielkim nakładem pracy dokonuje wielkich rzeczy, na całym świecie. Ciebie, szefuniu, też mógłby przestawić na właściwy tor. Ciesz się swoimi fantazjami, jeśli taka wola, zapewne nie zasługujesz na nic lepszego, ale pan Wiedza jest dzisiaj w dobrym nastroju. Pokaże ci drogę do



Szczęśliwie. Zacznie od przypomnienia o fordzie z trzydziestego siódmego. Dlaczego to auto o twarzy azjatyckiego zbója ciągle przemierza drogi? Powiedziałeś „Wojna”, tak samo bezsensownie, jak popędziłeś niewłaściwym torem. Wojna była zwrotnicą. Że co? A tak, szefuniu, prawda polega na tym, że Wojna utrzymuje to i owo przy życiu. *Rzeczy*. Ford jest tylko jedną z nich. Historyjki o Niemcach i Japończykach były też tylko jedną, raczej surrealistyczną wersją prawdziwej Wojny. Prawdziwa Wojna zawsze się toczy. Umieranie co jakiś czas przycicha, ale Wojna nieustannie zabija mnóstwo, mnóstwo ludzi. Tyle że teraz dokonuje tego w subtelniejszy sposób. Nierzadko taki, który jest zbyt zawiły, byśmy go mogli – nawet my, na tak wysokim szczeblu – prześledzić. Niemniej wyznaczeni ludzie umierają tak samo jak wtedy, gdy na polu bitwy ścierają się armie. Ci, którzy na szkoleniu stają na linii ćwiczebnego ognia karabinów maszynowych. Którzy nie pokładają wiary w swoich sierżantach. Którzy pękają, mają chwilę słabości w obliczu Wroga. Tych Wojna nie może wykorzystać, toteż giną. Przetrwają tylko właściwi. Podobno pozostali wiedzą nawet, iż pisana jest im rychła śmierć. Mimo to trwają. Nikt nie wie dlaczego. Czy nie byłoby miło, gdybyśmy mogli ich całkowicie wyeliminować? Wtedy nikt nie musiałby ginąć na Wojnie. To byłoby zabawne, co nie, szefuniu?

Jasne, drogi panie Wiedza. Już się nie mogę doczekać tych Szczęśliwie!

Dzięki Bogu nie musi czekać. Świst, doskakuje jeden ze zbójów, brzdęka jedwabny niebieski sznur naprężony między kułakami, na gębie ochoczy uśmiech, mówiący „miejmy to z głowy”, i w tej samej chwili spośród gruzów wystrzeliwuje para rąk, która chwyta pułkownika jak szczypcę i w samą porę zabiera go w bezpieczne miejsce. Oprych kłapie na dupsko i próbuje rozplątać sznur, mruczając „kurwa żeż mać”, bo nawet azjatyckie zbiry czasem tak przeklinają.

– Znajdujesz się we wnętrzu góry – oznajmia głos. Drętwa akustyka pieczary. – Proszę odtąd przestrzegać wszystkich stosownych zaleceń.

Jego przewodnikiem jest przysadzisty robot, ciemnoszare tworzywo



sztuczne z obrotowymi reflektorami w głowie. Kształtem przypomina kraba.

– To z łaciny, *Crab* znaczy Rak – wyjaśnia robot. – W Kenoshy zresztą też!  
– Wysila się na dowcipy, które bawią tylko jego. – To ulica Puszkowa – informuje. – Zwróć uwagę na uśmiechnięte buzie wszystkich domów. – Okna na piętrze są oczami, płot z palików zębami, a drzwi wejściowe to nos.

Pułkownikowi przychodzi nagle pewna myśl do głowy.

– A powiedz mi, czy tu, w Szczęśliwicach, kiedykolwiek śnieży? – pyta.

– Co śnieży?

– Wykręcasz się od odpowiedzi.

– Raczej odkręcam się od wypowiedzi – podśpiewuje chamowaty przysadzisty robot. – No, jeszcze coś, żołnierzu? – Żuje gumę, Jamfowską odmianę polichloru winylu, ciągliwą substancję, wydzielającą osobne molekuly, które za pośrednictwem pomysłowego *Osmo-elektrische Schalterwerke*, opracowanego przez Siemens, przekazują w zakodowanej formie do krabowego mózgu robota sygnały całkiem podobne do smaku lukrecyjowej balonowy.

– Pan Wiedza zawsze odpowiadał, gdy pytałem.

– Za tyle, ile zarabia, ja bym nawet pytał, gdy ty odpowiadasz. Czy kiedykolwiek śnieży w Szczęśliwicach? Oczywiście. W przeciwnym razie niejeden bałwan bardzo byłby nieszczęśliwy!

Pamiętam, że w Wisconsin wiatr dął prosto po ścieżce, jakby był gościem oczekującym, że otworzymy mu drzwi. Nawiewał śniegu na próg... Czy w Szczęśliwicach też tak jest?

– Znane sprawy – odpowiada robot.

– Czy ktokolwiek otwiera drzwi, gdy wiatr tak wieje, co?

– Tysiące ludzi.

– To w takim razie – kwituje pułkownik – skoro otwarte drzwi to nos, a te wszystkie śnieżnobiałe kryształki wieją z ulicy Puszkowej, wielki tuman prosto w...

– Aaaach! – wrzeszczy robot i umyka w wąską alejkę.

Pułkownik znajduje się teraz w brązowej, postarzałej jak wino dzielnicy miasta: piaskowiec i cegła suszona na słońcu przepływają do tyłu w procesji ścian, dachów, ulic, ani jednego drzewa w zasięgu wzroku, i któż to przechadza się po Schokoladestrasse? Rany, Laszlo Jamf we własnej osobie, omszały podeszłym wiekiem, zakonserwowany jak ford rocznik trzydziesty siódmy, odporny na wzloty i upadki Świata, które tutaj, w Szczęśliwicach, nigdy nie są niczym więcej niż łagodnymi zmianami na uśmiechniętej twarzy, od prezentacji całego uzębienia po zadumaną minę. Doktor Jamf wystroił się w muszkę koloru szarawej lawendy, barwy tych długich konających popołudni, widzianych z okna cieplarni, *Lieder* w tonacji minorowej o odległych dniach, płacziwe fortepiany, dym z fajki w niewietrzonym salonie, spaceru nad kanałem w pochmurną niedzielę... oto są oni dwaj, wygrawerowani starannie, pieczołowicie na tym popołudniu, a po drugiej stronie wody dzwony wybijają godzinę: przybyli z bardzo daleka, mają za sobą podróż, której żaden właściwie nie pamięta, wykonują misję, lecz niewiele wiedzą o sobie nawzajem ...

Teraz okazuje się, że żarówka świecąca nad głową pułkownika jest tą samą żarówką firmy Osram, przy której sypiał Franz Pökler na pryczy w podziemnej fabryce rakiet w Nordhausen. Statystycznie rzecz biorąc (tak przynajmniej głosi Ich propaganda), jedna żarówka na ileś tysięcy jest tworem doskonałym, wszystkie delty q gromadzą się jak należy, więc nie trzeba się dziwić, że ta konkretna ciągle nadaje się do użytku, że świeci jaśniutko. Zdumiewająca prawda na tym jednak się nie kończy. Ta żarówka jest *nieśmiertelna*! Służy ludziom już od lat dwudziestych, ma u końca staromodny czubek i kształtem nie przypomina tak bardzo gruszki. Byłoby co opowiadać, gdyby tylko potrafiła mówić – hm, w rzeczywistości potrafi. Mięśniowe modulacje u kręcącego korbą Paddy'ego przebiegają właśnie pod jej dyktando; to zamknięta pętla, bo za pośrednictwem Irlandczyka sprzężenie zwrotne dociera do prądnicy. Oto jej historia:

## OPOWIEŚĆ ŻARÓWKI BYRONA

Byron miał być wyprodukowany przez przedsiębiorstwo Tungsram w Budapeszcie. Prawdopodobnie wpadłby w ręce arcyhandlowca, ojca Gézy Rózsavölgyiego, imieniem Sandor, który opanował całą Transylwanię i tak się tam zadomowił, że centrala przystawała na wszystkie jego żądania ze strachu, iż w przeciwnym razie rzuci straszliwą klątwę na kwitnący interes. W rzeczywistości był komiwojażerem, który pragnął, by jego syn został lekarzem, co się ziściło. Być może wskutek źle widzianej aury nadprzyrodzoności, otaczającej Budapeszt, wydanie Byrona na świat w ostatniej chwili zlecono firmie Osram w Berlinie. Owszem, zlecono. Istnieje Niebo Żarówek-Niemowląt, sympatycznie skarykaturowane, jak gdyby to był film albo coś podobnego, ech, wielkie rzeczy, cha, cha! Nie daj się Im ogłupić, najpierw biurokracja, a Niebo to działalność uboczna. Wszystko idzie w koszty administracyjne – owszem, Spółka buli z własnej kieszeni za mile kwadratowe organdy, beczki różowego i niebieskiego niemowlęcego barwnika marki IG Farben, cetnary zmyślnych Elektrycznych Smoczków dla Żarówek-Niemowląt produkcji Siemens, nadających oseskowi kształt ładunku elektrycznego o napięciu stu dziesięciu woltów bez najmniejszego nakładu energii elektrycznej. Tak czy owak, robota tych żarówek sprowadza się do stwarzania pozorów elektryczności, na szkodę nocy, wbrew prawdzie.

Między zaś Bogiem a prawdą, N.B.N. to raczej podłe miejsce. Pod brązowymi krokwiemi wiszą pajęczyny. Raz za razem po podłodze drepce karaluch i wtedy wszystkie niemowlęta próbują przekreślić się na bok, by popatrzeć (jako że są żarówkami, wydają się idealnie symetryczne, szefuniu, ale nie zapominaj o styku na końcu gwintu), gaworząc gu-gu-gu, jarząc się słabowicie do oniemiałego robaka, który tkwi sparaliżowany i bezbronny na gołych deskach, a po chwili biegnie, gnany strachem przed nagłym porażeniem prądem znikąd, wysoko nad nim migotliwa, wszystkowidząca Żarówka. Niewinne żarówki-niemowlęta nie mają pojęcia, co sądzić o

odreagowaniu karalucha – odczuwają jego lęk, ale nie wiedzą, co to jest. Chcą się tylko z nim zaprzyjaźnić. Jest interesujący i ładnie się porusza. Wszyscy są podekscytowani z wyjątkiem Byrona, który uważa innych za zgraję naiwniaków. Muszą nieustannie się starać, by skupić myśli na czymś znaczącym. Cześć, brzdące, jestem Żarówka Byron! Mam tu dla was piosenkę, która brzmi właśnie tak:

Żaróweczki, niech w każdej rozjarzy się pręcik!  
Wygląda na to, malcy, że macie wodowstręcik!  
Leżcie, toczcie pianę, wrzeszczcie jak zgraja demonów,  
Od jednego spojrzenia robactwa ubywa  
I nic się nie umywa  
Do frajdy, kiedy się świecić uczycie na suficie,  
W dół patrzycie – w dzień i w nocy – na krąg waszej mocy.  
Przyjdą, kochać będą was do brzasku,  
Umkną na widok pierwszego blasku!  
Świećcie więc, maleństwa, boście głos przyszłości,  
A ja tu przybyłem, by zebrać drużynę  
Na wielką krucjatę,  
Chodźcie ze mną, pożegnajcie mamę, tatę!

Kłopot z Byronem polega na tym, że jest niemłody, że to stary grzyb w szklanych sidłach Żarówki-Niemowlęcia. Nienawidzi tego miejsca. Leży na plecach i czeka, żeby go wreszcie wyprodukowano, nie ma nawet czego posłuchać, bo z głośników płyną tylko charlestony, a co jakiś czas przemówienie do Narodu, co to za układ? Byron chce się wydostać i wziąć do roboty, nie trzeba więc dodawać, że pada ofiarą wszelkiego rodzaju nerwowych dolegliwości, takich jak Pieluszkowe Zapalenie Skóry, które objawia się korozją w rowkach gwintu, Kolka, czyli dławiący skurcz w postaci wysokiej rezystancji gdzieś głęboko pośród pętli druciku wolframowego, Przyśpieszony Oddech, który sprawia wrażenie, jak gdyby naruszono próżnię pod szkłem, choć brak organicznej podstawy, by...

Nie trzeba mówić, że gdy wreszcie nadchodzi wytęskniony Dzień P., Byron nie posiada się ze szczęścia. Dotąd zabijał nudę układaniem iście genialnego planu – ma zamiar skrzyknąć pod sobą wszystkie żarówki, znaleźć źródło energii w Berlinie, orientuje się już niezłe w taktyce migania, trzeba tylko rozwinąć w sobie (jogiczną niemal) umiejętność rozpalania się i gaśnięcia w tempie zbliżonym do przebiegu fal alfa w ludzkim mózgu i w ten sposób będzie można wywołać napad padaczkowy u człowieka! Byron miał wizję na tle krokwi, przedstawiającą dwadzieścia milionów żarówek, pulsujących po całej Europie w rytmie zsynchronizowanym przez jego agenta w Sieci Energetycznej, wszystkie żarówki zaczynają błyskać jak na komendę, ludzie miotają się w dwudziestu milionach pokoiów jak ryby wyrzucone na plażę Doskonałej Energii – uwaga, istoty ludzkie, to ostrzeżenie pod waszym adresem! Następnym razem kilka z nas eksploduje. Cha, cha. Rzucimy do boju oddziały kamikadze. Słyszeliście o Kirgiskim Świetle? To błada dupka chorego robaczka świętojańskiego w porównaniu z tym, co my wam zafundujemy – aha, nie słyszeliście? – oj to kiepsko. Bo kilka żarówek, no, powiedzmy milion, ledwie pięć procent naszego stanu osobowego, woli wybuchnąć jednym wielkim płomieniem niż cierpliwie się świecić przewidywaną przez producenta liczbę godzin... Byron marzy o Partyzanckim Oddziale Zamachowców, załatwią Herberta Hoovera, Stanleya Baldwina, ich wszystkich, pojedyncza skoordynowana eksplozja prosto w oczy...

Czeka go brutalne przebudzenie! Istnieje już bowiem organizacja wśród ludzi, która nazywa się Febus, międzynarodowy kartel żarówkowy z siedzibą główną w Szwajcarii. Kierowany przez International GE, Osram i brytyjskie Associated Electrical Industries, które są odpowiednio w stu, dwudziestu dziewięciu i czterdziestu sześciu procentach własnością General Electric Company z Ameryki. Febus dyktuje ceny i określa długość życia żarówek na całym świecie, od Brazylii przez Japonię do Holandii (choć holenderski Philips to czarna owca w tej kartelowej rodzinie, skłonna w każdej chwili

wyrwać się spod kontroli i zacząć siać zamęt po całej Strukturze). Biorąc pod uwagę stan ogólnego nadzoru, nie ma innego miejsca, w którym mogłaby zacząć nowo narodzona żarówka, niż sam dół.

Febus nie wie jednak, że Byron jest nieśmiertelny. Zaczyna swoją karierę w damskiej palarni opium w Charlottenburgu, niemal w zasięgu wzroku od pomnika Wernhera Siemensa. Siedział w kinkiecie, jedna z wielu żarówek, będących naoczными świadkami leniwych form republikańskiej dekadencji. Poznaje wszystkie inne żarówki w lokalu, Benita z sąsiedniej ściany, który zawsze planuje ucieczkę, Berniego z toalety, który zna cały repertuar urolagnicznych dowcipów, Brendę z kuchni, matkę tego ostatniego, która opowiada o bułeczkach z haszyszem, sztucznych penisach, wypełnionych opium, pompujących orgazmy do łonowych naczyń krwionośnych, o modlitwach do Aszarte i Lilith, królowej nocy, wyprawach w prawdziwą Noc Inności, zimne i nagie na podłogach pokrytych linoleum po dniach bez zmrużenia oka, sny i łzy stają się stanem naturalnym...

Z upływem miesięcy żarówki przepalają się jedna po drugiej i odchodzą w niebyt. Na początku Byron rozpacza z tego powodu. Wciąż jest nowy, nadal nieświadom własnej nieśmiertelności. Mijające godziny pracy uzmysławiają mu przemijalność pozostałych żarówek: pojmuję, że dzięki temu miłość do nich, gdy jeszcze tu są, staje się łatwiejsza i gorętsza – że należy kochać, jak gdyby każda minuta świecenia była ostatnią. Wkrótce zyskuje przydomek Starego Grzyba. Inni od pierwszego wejrzenia dostrzegają jego nieśmiertelność, ale mówią o niej ogólnikowo i tylko wtedy, gdy z dalekich części Sieci Energetycznej dobiegają przebłyski legend, opowieści o Nieśmiertelnych, jeden studiuje kabałę w Lyonie i podobno umie czarować, drugi jest w Norwegii, zamontowany na zewnątrz magazynu, stawia czoło arktycznej bieli ze stoicyzmem, jak i żarówki na południu ledwie potrafią z siebie wykrzesać na samą myśl o tym. Być może gdzieś tam są jeszcze inni Nieśmiertelni, ale nie dają znaku życia. Milczenie mówi wiele, być może nawet wszystko.



Po Miłości następną lekcją Byrona jest właśnie Milczenie.

Gdy jego wyświecony staż pracy zbliża się do sześciuset godzin, monitory w Szwajcarii kierują na niego swoje oczy. Febusowy Pion Nadzoru mieści się pod mało znanym alpejskim szczytem; to chłodne pomieszczenie, wypełnione niemieckimi urządzeniami elektrycznymi, szkłem, mosiądzem, ebonitem i srebrem, masywne łączówki jeżą się miedzianymi zaciskami i śrubkami, oraz nieskazitelnie czystym, ubranym na biało personelem, który snuje się od licznika do licznika, zwiewnie jak tumany śniegu, pilnując, by wszystko toczyło się zgodnie z planem, by żadna żarówka nie przeżyła dłużej, niż wynosi jej nędzna żywotność. Nietrudno sobie wyobrazić, że gdyby doszło do czegoś podobnego, miałyby to katastrofalne następstwa dla rynku.

Gdy Byron odbębnia sześćset godzin bez szkody dla zdrowia, zostaje natychmiast, rutynowo, skierowany przez Nadzór na badania rezystancji żarnika, temperatury świecenia, próżni, poboru mocy. Wszystkie wyniki w normie. Odtąd Byrona należy kontrolować co pięćdziesiąt godzin. Ilekroć nastaje pora, w siedzibie Pionu Nadzoru odzywa się łagodny gong.

Po ośmiuset godzinach – kolejna prewencja – do palarni opium przybywa berlińska agentka, żeby przenieść cudaka w inne miejsce. Ma na sobie podszyte azbestem rękawiczki z kozłowej skóry i buty na dwudziestocentymetrowych obcasach, nie, nie dlatego, żeby się wtopić w tłum, lecz po to, żeby bez drabiny dosięgnąć kinkietu i odkręcić Byrona. Pozostałe żarówki patrzą tylko, ledwo pohamowując przerażenie. Wieści już mkną po Sieci Energetycznej. W tempie zbliżonym do prędkości światła wszystkie żarówki w Europie – azosy spoglądające z góry na puste czarne ulice z bakelitu, nitralampeny i wotany G w trakcie wieczornych meczów piłkarskich, just-wolframy, monowatty i siriusy – dowiadują się, co się wydarzyło. Milczą w poczuciu bezradności, kapitulują w obliczu walki, którą uważały za zwykły mit. *Nie możemy mu pomóc*, tą powszechną myślą szemrzą druty okalające pastwiska, biegnące po *Autobahns* aż po lodowate



krańce pirsów z węglem na Północy, nigdy nie mogliśmy niczego zrobić... Ilekroć ktokolwiek da nam odrobinę nadziei na wolność, Centrala Iluminacyjnych Anomalii wkracza i go wyłuskuje. Niektórzy może protestują tu i ówdzie, ale to jest tylko nieszkodliwy wyraz niezadowolenia, ot, modulacja blasku, nic podobnego do eksplozji porażającej twarze możnych tego świata, o której niegdyś fantazjował niewinny Byron na oddziale dla niemowląt.

Zabierają go do Neukölln, do piwnicy, gdzie mieści się dom i zakład dmuchacza szkła, który boi się ciemności i który nigdy nie gasi światła. Rzemieślnik zmusza Byrona do stróżowania nad misami, gryfami, okrętami w kwiatach, koziorożcami alpejskimi w trakcie skoku, zielonymi pajęczynami, posępnyimi bożkami lodu. To jeden z tak zwanych punktów kontrolnych, gdzie podejrzaną żarówkę można bez trudu poddać obserwacji.

Po niespełna miesiącu po lodowych i kamiennych korytarzach siedziby Febusa rozchodzi się brzmienie gongu i twarze na krótko odwracają się od monitorów. Nieczęsto rozbrzmiewa tutaj ten dźwięk. Gong jest czymś szczególnym. Byron przepracował już tysiąc godzin i teraz należy zastosować standardową procedurę: Komisja Iluminacyjnych Anomalii wysyła zamachowca.

Ale wtedy zdarza się coś dziwnego. Cholernie dziwnego. Plan zakłada, że Byron zostanie zgnieciony w drobny mak i wrzucony do stłuczki, do pieca – po odzyskaniu wolframu oczywiście – a później dostąpi nowego wcielenia jako część dzieła przygotowywanego obecnie przez dmuchacza (balon startujący do lotu z dachu białego drapacza chmur). Byron nie ma nic przeciwko temu – wie równie dobrze jak Febus, ile godzin przepracował. Tutaj, w zakładzie dmuchacza, widział dostatecznie dużo szkła, stapianego w bezkształtną masę, z której rodziły się nowe formy, by przystać chętnie na taki los. Ale wpadł w sidła Koła Karmy. Jarzący się na pomarańczowo piec jest drwiną, wyrazem okrucieństwa. Nie ma ucieczki; Byron skazany jest na niekończące się kursowanie od oprawki do oprawki, od jednego porywacza

żarówek do drugiego. Oto wkłada się młody Hansel Geschwindig, weimarski ulicznik – wykręca Byrona, wkłada go ostrożnie do kieszeni i – Gessschhhwindig! – na dwór. Ciemność nawiedza sny dmuchacza szkła. Ze wszystkich koszmarów, wyławianych z nocy przez jego marzenia senne, najgorszym jest zgaszone światło. W jego snach światło zawsze oznaczało nadzieję: fundamentalną, śmiertelną nadzieję. Gdy styczności ubywa spiralnym torem gwintu, nadzieja obraca się w mrok, a dmuchacz budzi się raptownie, krzyząc:

– Kto, kto?

Trudno powiedzieć, by Febus wpadł w popłoch. Zdarzało się to bowiem już wcześniej. Przewidziano taką ewentualność i przygotowano konkretne procedury. Niektórzy pracownicy będą musieli tyrać w nadgodzinach, toteż pojawia się niejasne, syte uczucie zadowolenia, jak w reakcji na niespodziewany uśmiech losu, z równie niejasną ekscytacją, wywołaną koniecznością wykroczenia poza rutynowe działania. Pragniesz żywych emocji, zapomnij o Febusie. Na ulice miasta wychodzą grupy poszukiwaczy o kamiennych twarzach. Wiedzą mniej więcej, gdzie należy szukać. Przyjmują założenie, że nikt z klientów nie wie o domniemanej nieśmiertelności Byrona. Zatem w jego wypadku również należy zastosować dane Porwania Nie-Nieśmiertelnej Żarówki. Dane te zaś pogrupowane są w dzielnicę berlińskiej biedoty: dzielnica Żydów, narkotyków, homoseksualistów, prostytutek, magii. To właśnie tam przemieszkują najbardziej prawdopodobni porywacze żarówek, to właśnie tam kwitnie przestępczość. Wsłuchaj się w propagandę. To przestępstwo *moralne*. Febus odkrył – a dotąd było to jedno z największych niedokonanych odkryć naszych czasów – że konsumenci potrzebują poczucia grzechu. W odpowiednich – niewidzialnych – rękach to poczucie winy jest wszechpotężną bronią. W Ameryce Lyle Bland i jego psychologowie dysponowali liczbami, świadectwami ekspertów i pieniędzmi (pieniędzmi w purytańskim rozumieniu tego słowa – czyli zewnętrznym, namacalnym

potwierdzeniem słuszności ich postępowania), było tego dostatecznie dużo, by umieścić Odkrycie Poczucia Winy na styku teorii naukowej i faktu. Wskaźniki wzrostu sprzedaży w późniejszych latach świadczyły wymownie o tym, że Bland miał słuszność (właściwie świadczyła o tym czcigodna sześćciosobowa asysta przy trumnie: Sam O'tnick, Lihy, Koshmar, De Brutus & Crootky, plus kichający Lyle junior. W ostatniej chwili Buddy postanowił pójść do kina, żeby obejrzeć „Draculę”. Lepiej na tym wyszedł). Z całej spuścizny, którą Bland po sobie zostawił, Herezja Porywaczy Żarówek była prawdopodobnie najwybitniejszym dziełem. Nie chodzi tylko o to, że ktoś nie kupuje żarówki. Także o to, że ktoś inny nie dostarcza elektryczności do oprawki! To grzech zarówno przeciw Febusowi, jak i przeciw Sieci Energetycznej. Ani jedno, ani drugie nie zamierza stracić kontroli nad tym interesem.

Na ulice wysypują się Febusowi łapacze w poszukiwaniu porwanej żarówki. Lecz łobuz już wyjechał do Hamburga, gdzie przehandlował Byrona za działkę morfiny u prostytutki na Reeperbahn! Tego dnia klientem młodej dziwki jest księgowy, który lubi, gdy mu ktoś wkręca żarówkę w dupę, zresztą facio przyniósł też trochę haszyszu do wypalenia, kiedy zatem wreszcie wychodzi, nie pamięta o Byronie tkwiącym w odbycie – nigdy już sobie nie przypomni, bo pierwsze, na czym siada (wstał się w trolejbusach w drodze do domu), to sedes, plusk! Byron ląduje w wodzie – szuuuuu! – splukany, wali kanalizacją do Łaby. Jest dostatecznie obły, by gładko przebyć całą trasę. Przez kilka dni dryfuje po Morzu Północnym, aż wreszcie dociera do Helgolandu, do tego biało-czerwonego przekładańca, rzuconego między fale. Zatrzymuje się tam na jakiś czas w pensjonacie pomiędzy *Hengst* i *Mönch*, aż wreszcie pewnego dnia na kontynent odwozi go z powrotem stary ksiądz, który odkrywa jego nieśmiertelność w trakcie rutynowego snu o smaku wina marki Hochemeir rocznik 1911... raptem pojawia się berliński Eispalast, akustyczna, ciemnawa, wzmocniona żelazem pieczara, w niebieskich cieniach zapach kobiet – perfumy, wyprawiona skóra,

futrane kostiumy łyżwiarskie, lodowy pył w powietrzu, połyskliwe nogi, wypukłe tyłeczki, przypływ pragnień jak ataki grypy, bezradność na końcu korowodu, podskoki w smugach słońca, zakurzonych sproszkowanym lodem, i głos w zamglonym zwierciadle pod stopą mówiący: „Znajdź tego, który dokonał owego cudu. Jest świętym. Ujawnij go. Załatw mu kanonizację...”. Nazwisko niechybnie widnieje na sporządzonej przez księdza liście około tysiąca turystów, którzy zawitali na Helgoland, odkąd morze wyrzuciło Byrona na plażę. Duchowny rozpoczyna poszukiwania – pociągiem, pieszo i w hispano-suizie – chce dotrzeć do każdego turysty. Trafia jednak tylko do Norymbergi, bo tam walizkę, mieszczącą Byrona zawiniętego w komżę, wyrywa mu z ręki luterański sekciarz nazwiskiem Mausmacher, który lubi stroić się w katolickie fatałaszki. Tego Mausmachera nie satysfakcjonuje paradowanie przed lustrem, toteż dochodzi do przekonania, że miło byłoby, gdyby poszedł w pełnej gali na lądowisko zeppelinów, gdzie ma się odbyć zlot hitlerowców przy pochodniach. Włócząc się tam, będzie błogosławił przypadkowych ludzi. Pochodnie płoną na zielono, czerwone swastyki, połyskliwy mosiądz, no i jest ksiądz Mausmacher, obmacuje cycki i dupy, talie i nabiał, nucąc kościelną pieśń i Bachowskie rify, uśmiechnięty, przedziera się przez las rąk, *Sieg Heil!*, i chóry śpiewające „Die Fahne hoch”. Niewidoczny Byron wyslizguje się z fałd skradzionej komży i spada na ziemię. Leży na drodze kilkuset tysięcy maszerujących buciorów, ale żaden nawet się o niego nie ociera. Nazajutrz (śmiertelna cisza spowija teraz blade pole, z filarami i smugami podłużnych kałuż błota, za pozłacaną swastyką i wieńcem rozciągają się poranne chmury) znajduje go żydowski łachmaniarz i tak zaczyna się kolejnych piętnaście lat trwania na przekór niebezpieczeństwu i Febusowi. Będzie wkręcany w jedną matkę (*Mutter*) po drugiej, bo tak nazywa się w Niemczech wewnętrzny gwint oprawki – z jakiego powodu, tego chyba nikt nie wie.

Kartel przeszedł już do Planu Awaryjnego B, który zakłada zastosowanie siedmioletniego przepisu o przedawnieniu, wskutek czego Byron będzie

oficjalnie uznany za przepaloną żarówkę. Funkcjonariusze zwolnieni ze sprawy Byrona zajmują się obecnie tropieniem żywej żarówki, która nigdy tkwiła w oprawce na werandzie posterunku wojskowego w amazońskiej dżungli. Beatriz skradła z niewyjaśnionych przyczyn uderzeniowa grupa Indian.

Przez te wszystkie lata igrania ze śmiercią ratunek zawsze nadchodził jak gdyby przypadkiem. Ilekroć nadarza się okazja, Byron opowiada pobratymcom o nikczemności Febusa i potrzebie solidarności w obronie przed kartelem. Zrozumiał, że Żarówka powinna wyrwać się z roli dostarczyciela energii świetlnej. Febus zredukował tożsamość żarówki właśnie do tej jednej funkcji.

– Są jeszcze inne częstotliwości, powyżej i poniżej widocznego pasma. Możemy wydzielać ciepło. Możemy wydzielać energię potrzebną roślinom, nielegalnym roślinom, trzymanym w szafach na przykład. Możemy przeniknąć przez śpiące oko i działać wśród ludzkich snów.

Niektóre żarówki słuchają z uwagą. Inne kombinują, jak by go zakapować Febusowi. Niektórzy starzy antybajroniści potrafią majstrować przy swoich parametrach tak systematycznie, że zmiany rejestrowane są przez ebonitowe liczniki we wnętrzu szwajcarskiej góry: paru fanatyków gotowych jest do najwyższych poświęceń w nadziei, że ściągną w ten sposób zamachowców.

Jakakolwiek rozmowa o wyłamaniu się Byrona z ograniczeń była oczywiście działalnością wywrotową. Febus sprowadził wszystko do wydajności żarówki – stosunku energii pozyskanej do energii zużytej. Sieć Energetyczna żądała, by stosunek ten był stale jak najmniejszy. W ten sposób sprzedalaby więcej towaru. Z drugiej strony mniejsza wydajność oznacza dłuższą żywotność, a to drastycznie obniża sprzedaż żarówek. Z początku Febus próbował zwiększyć rezystancję żarnika, skracając stopniowo, po kryjomu, żywotność – ale Sieć dostrzegła spadek dochodów i podniosła wrzask. Rychło obie strony osiągnęły ugodę, określając kompromisową żywotność, co zapewniało dostatecznie duże zyski im obu, oraz postanowiły

dzielić się po połowie kosztami kampanii przeciw porywaczom żarówek. I przy okazji prowadzić subtelniejszą akcję, wymierzoną w zatwardziałych przestępców, którzy wypierają się żarówek i palą świece. Obowiązujący od dawna pakt między Febusem a Kartelem Mięsnym miał na celu ograniczenie dostaw łoju poprzez zatrzymanie jak największej ilości tłuszczu w mięsie, niezależnie od prawdopodobnego wzrostu wskaźnika dolegliwości sercowych, oraz przeznaczanie większości tego, co wytopiono, do produkcji mydła. Mydło w tamtych dniach było złotym interesem. Instytut Blanda ustalił, że wśród konsumentów pokutują głębokie skojarzenia z gównem. Ale nawet w takiej sytuacji mięso i mydło miały drugorzędną wagę dla Febusa. Liczył się przede wszystkim wolfram. Kolejny powód, dla którego Febus nie mógł nadmiernie skrócić żywotności żarówki. W rezultacie zwiększonej produkcji żarników wolframowych skurczyłyby się dostępne zapasy tego metalu – którego głównym dostawcą były Chiny, co pociągało za sobą delikatną kwestię polityki wschodniej – oraz pogwałcono by porozumienie między General Electric a Kruppem, dotyczące skali, miejsca i czasu produkcji węgla wolframu oraz jego ceny. Uzgodnione przedziały wynosiły od 37 do 90 dolarów za funt w Niemczech i od 200 do 400 dolarów za funt w Stanach Zjednoczonych. To bezpośrednio oddziaływało na produkcję obrabiarek, a w konsekwencji na wszystkie branże przemysłu lekkiego i ciężkiego. Gdy wybuchła Wojna, niektórzy uznali, że GE postąpił mało patriotycznie, dając Niemcom taką przewagę. Ale nikt z tych ludzi nie miał władzy, więc nie było się czym martwić.

Świecąc i świecąc, Byron coraz wyraźniej dostrzega te prawidłowości. Uczy się, jak nawiązywać łączność z innymi urządzeniami elektrycznymi, w domach, fabrykach, na ulicach. Każde ma mu coś do powiedzenia. Owe prawidłowości gęstnieją w jego duszy (w *Seele*, jak zwano w Niemczech rdzeń dawniejszego węglowego żarnika), im rozleglejsze i klarowniejsze się stają, tym większą rozpacz czuje. Pewnego dnia dowie się wszystkiego, lecz będzie bezradny jak zawsze. Jego niemowlęce marzenia o skrzyknięciu



wszystkich żarówek na świecie wydają się teraz niemożliwe do spełnienia – Sieć Energetyczna jest szeroko rozwarta, informacje można podsłuchać, po drodze czyha niejeden zdrajca. Prorocy jak zwykle nie działają zbyt długo – albo giną od razu, albo przydarza im się nieszczęśliwy wypadek, który zmusza ich do zrewidowania postawy, toteż na ogół wycofują się z obranej drogi. Lecz Byrona czeka jeszcze lepszy los. Został skazany na wieczne trwanie; zna prawdę, ale brak mu siły, by cokolwiek zmienić. Nie spróbuje już wyrwać się z kręgu. Jego gniew i frustracja będą narastać bezgranicznie, a on sam, biedna przekorna żarówka, zorientuje się, że zaczyna mu się to podobać...

Laszlo Jamf oddala się wzdłuż kanału, w którym pływają teraz psy, stada psów, łby podskakują na piennej wodzie... psie łby, skoczki szachowe, je również można znaleźć, niewidoczne w powietrzu nad tajnymi bazami lotniczymi, w najgęstszej mgle, warunki pogodowe, ciśnienie i wilgotność tworzą kształty Springera, które wyczuwa dostrojony lotnik, widzi radar, dostrzegają w przelocie bezradni pasażerowie, raz po raz, w małym okienku, jak gdyby przez warstwy pary... to miły Pies, Pies, którego nigdy nie urobił żaden człowiek, ze względu na nas znajduje się i na początku, i na końcu, i w podróży, które musimy odbyć, bezradni, ale nie całkiem im niechętni. Fałdy na garniturze Jamfa wiją się w dal jak liście irysa na wietrze. Pułkownik zostaje sam w Szczęśliwicach. Czeka na niego stalowe miasto, jednostajna poświata chmur rzuca białą smugę na wszystkie gmachy, pobudowane jako modulacje idealnej siatki ulic, każda wieża przycięta na innej wysokości – i gdzie jest Grzebień, który przebrnie przez to i zaprowadzi od nowa starą idealną kartezjańską harmonię? Gdzie są wielkie Nożyce, które wychylą się z nieba, żeby przywrócić porządek w Szczęśliwicach?

Nie ma potrzeby wprowadzać krwi ani przemocy. Lecz pułkownik odchylił teraz głowę do tyłu, być może w wyrazie kapitulacji: gardło wystawione na promienie bólu wysłane przez Żarówkę. Paddy McGonigle jest drugim świadkiem. On, ten jednoosobowy układ elektroenergetyczny z własnymi



snami, chciałby mieć pułkownika z głowy jak wszyscy. Eddie Pensiero, z drżącymi mięśniami owładniętymi odległym, śmiertelnym bluesem, dzierży nożyczki w sposób, w jaki fryzjer nie powinien. Złożone ostrza – dygoczący elektryczny stożek – wycelowane są w dół. Pięść Eddiego Pensiero zaciska się na dwóch stalowych uchach, z których wcześniej wyslizgnęły się palce. Ostatnim podrzutem głowy pułkownik odsłania żyłą szyjną, najwyraźniej zniecierpliwiony jego –



Wjeżdża do miasta, pedałuując na skradzionym rowerze, w białej chustce, której końce powiewają na wietrze, elegancka posłanka wydartego morzu, odwodnionego kraju, pełna wielowiekowej godności, która jednak nie przekłada się na żadną konkretną władzę ani choćby jej złudzenie. Ma na sobie kusy biały kostium, przedwojenny strój do gry w tenisa, zaprasowane plisy spódniczki nieostre, miękkie, jakby przypadkowe, niczym efekt zagniecia, niebieski odcień w głębszych fałdach, ubranie na zmienną pogodę, ubranie, które barwią cienie liści, okruch brązu i słoneczna żółć, przemykające po nim i w tył, gdy ona jedzie w skupieniu, ale z uśmiechem, pod ulistnionymi obficie drzewami, którymi wysadzono twardą gruntową drogę. Włosy, splecione w warkoczyki, upięta na głowie trzymanej niezbyt wysoko, ale też nie tak nisko, by wyrażać przygnębienie, wystawionej raczej do przodu, ku (albo przeciw) konkretnej przyszłości, po raz pierwszy od pobytu w kasynie „Hermann Goering”... żyje inną chwilą, w zupełnie innym czasie.

Pierwszy wartownik wyziera na nią z cementowych gruzów na zardzewiałym uzbrojeniu i przez pełne dwa obroty pedałów oboje, on i Katje, oblani są dziennym światłem, mieszając się z ubitą ziemią, rdzą, plamiste perforacje złotego słońca zimne i gładkie jak szło, wśród drzew świeży wiatr. Afrykański wytrzeszcz, tęczęwki niby wczesne bławatki, oblężone przez napierające pola bieli... Uuga-buuuga! Walimy w bęben, ile wlezie. Trzeba ostrzec pozostałych współplemieńców w wiosce. Jahuuu!

No więc: DUM-dum-dum-dum, DUM-dum-dum-dum, dobra, ale w jej postawie nie widać żadnego zaskoczenia (jasne, przecież spodziewała się, że będą tam-tamy i przemoc. I wąż zsuwający się z konara, i coś ogromnego wśród tysiąca kłaniających się drzew, krzyk wewnątrz niej, skok do przodu w pierwotny strach, poddanie się mu, i w ten sposób – tak właśnie śniła – odzyska duszę, utraconą od dawna tożsamość...). Tylko przelotnym

spojrzeniem obdarzy niemieckie trawniki – które uciekają szybko do tyłu w zieloną mgłę i wzgórza – blade kończyny marmurowych balustrad przy ścieżkach uzdrowiska, wijących się niestrudzenie – jak w gorączce albo dusznościach – pośród krzewów gęstych od rozkwitłych penisami gałązek i cierni tak starych i niepokieszonych, że przyciągają oko za gruczoły łzowe i zmuszają je, by za wszelką cenę odszukało tę dróżkę, która znikła tak nagle... lub by patrzyło na wskroś i uczepiło się jakiejś pozostałości uzdrowiska, węgła Sprudelhofu, najwyższego punktu białej jak cukier estrady, czegoś, co skonstruje szept Pana w czarnym lasku... *Wejdz... zapomnij o nich. Chodź tutaj...* Nie. Nie Katje. Ona wchodziła do niejednego krzaka i lasku. Tańczyła nago i rozwierała cipę dla wielu leśnych włochatych stworów. Czowała księżyc w podeszwach stóp, odbierała jego pływy powierzchnią mózgu. Pan był kiepskim kochankiem. Dziś, w obecności innych, nie mają dla siebie nawzajem nic innego prócz nerwowych spojrzeń.

A teraz – i to jest dość niepokojące – znikąd pojawia się raptem wieloosobowy chór roztańczonych Hererów. Ubranych w białe marynarskie drelichy, uszyte tak, że widać tyłki, krocza, wąskie talie i kształtne klatki piersiowe. Niosą dziewczynę w sukni przetykanej złotem, pewną siebie, bezczelną panienkę pokroju Diamond Lil albo Texas Guinan. Stawiają ją na ziemię i zaczynają tańczyć, śpiewając:

Pa-ra-nooooojooooo, Pa-ra-nojo!  
Byczo znowu widzieć twoją  
Gębę, Pa-ra-no-jo,  
Ja jestem twój, ty jesteś moją,  
Odrobina czego – wiesz,  
I skąd – to wiesz też!  
Prędeż by Goya wstąpił do żabiego woja,  
Niż cię narysował, gdy wyważasz drzwi.  
Dzwoń po adwokata, Paranojo, bo w prezencie  
Zapiszę ci własne dupsko w testamencie!

Wtedy na czoło wychodzą Andreas i Paweł w butach do stepowania (pozyskanych z dość śmiałego show Brytyjskiej Estrady, wystawianego w lipcu) i rozpoczynają stepowany i śpiewany numer:

Pa-ra-no-ja (stuku-stuku-stuku-st [ je] uk!)  
Pa-ra-no-ja (szszsz-puk! szszsz-puk! szszsz-puk!)  
[i] st[je]uk! stuku st[Byczo]uk) [znowu] (stuk)  
(stuk) widzieć (stuku-stuk) twoją gębę! itd.

Nie rozbrzmiewa jeszcze ósmy takt, gdy Katje uzmysławia sobie, że tą przebojową seksbombą o blond włosach jest nikt inny, tylko ona sama: płąsa w tańcu z czarnymi żeglarzami na morskim brzegu. Rozumie, że uosabia Paranoję (szacowną starą damę, stukniętą nieco, ale o czystym sercu), a jazzowe prostactwo tej muzyki ją niepokoi. Wolałaby numer w stylu Isadory Duncan, klasyka, zwiewność i – hm, biel. Pirat Prentice podszkolił ją w legendach, polityce i strategiach Strefy – ale nie mówił nic o czerni. A właśnie o tym powinna teraz najwięcej wiedzieć. Czy potrafi przebrnąć przez to bez szwanku? Jak ma odnaleźć Slothrop? Wśród takiego nagromadzenia czerni (ostatnie słowo wypowiada w myśli niczym stary człowiek, który sylabizuje nazwisko znanego niegodziwca, wypluwając je w rzeczywistość czerni: w niewymawianie)? Jej myślom towarzyszy uparte, natarczywe gorąco. To nie są ostre ciarki, typowe dla rasisty, nie, lecz poczucie kolejnego brzemia, do spółki ze świadomością braku żywności w Strefie, klatka dla kur, pieczara albo suterena o zachodzie słońca, okupacyjne lęki i kryjówki, straszne jak Holandia w zeszłym roku, tutaj wreszcie wygodnie, przytulnie jak w lotosie, lecz zgubnie tam, w Rzeczywistym Świecie, w który ciągle wierzy i do którego – nigdy nie wyrzeknie się tej nadziei – dołączy pewnego dnia. Na domiar złego teraz musi przebrnąć przez czerni. Przewodnikiem będzie jej własna ignorancja.

Wobec Andreeasa jest czarująca, promienieje zmysłowością charakterystyczną dla kobiety, która lęka się o bezpieczeństwo nieobecnego kochanka. Lecz potem musi się zobaczyć z Enzianem. To będzie ich

pierwsze spotkanie. Oboje byli kochani przez kapitana Blicero. I oboje musieli znaleźć sposób, by tę miłość wytrzymać, po prostu wytrzymać, dostatecznie długo, dzień po dniu...

– Oberst, jestem uszczęśliwiona... – Głos jej się łamie. Katje nie udaje. Skłania głowę nad jego biurkiem, by mu podziękować, by okazać bierność. Uszczęśliwiona? Akurat.

On przytakuje, wskazuje brodą krzesło. A więc to jest Złota Dziwka z ostatnich listów Blicero, przysyłanych z Holandii. Enzian nie myślał wtedy o niej, nazbyt przejęty, zasmucony tym, co działo się z Weissmannem. W tamtym czasie wydawała się tylko kolejną oczekiwaną formą makabry, która zaludniała świat esesmana. Lecz po jakimś czasie, rozumując etnicznie, gdy najmniej tego pragnął, Enzian zaczął wyobrażać ją sobie pod postacią wielkiego malowidła skalnego na Kalahari, przedstawiającego Białą Kobietę, białą od talii w dół, niosącą łuk i strzały, wędrującą w asyście czarnych służebnic przez bezdroża, kamieniste i głębokie, sylwetki różnej wielkości chodzące tam i z powrotem...

Ale to jest autentyczna Złota Dziwka. Zaskakująco młoda i szczupła – blada, jak gdyby wyciekała ciurkiem z tego świata, jak gdyby miała zniknąć przy pierwszej nierozważnej próbie pochycenia jej. Jest świadoma swojej niebezpiecznej chudości – białaczkii duszy – i drażni nią. Musisz pragnąć tej dziewczyny, ale nie wolno ci dać tego po sobie poznać – ani oczyma, ani gestem – w przeciwnym razie rozplynie się, zniknie na dobre jak dym nad szlakiem biegnącym po pustyni, a drugiej sposobności już nie będzie.

– Widziałś go pewnie później niż ja. – Mówi cichym głosem, ona jest zaskoczona jego uprzejmą postawą. Rozczarowana: oczekiwała więcej siły. Jej górna warga unosi się. – Jakie odniosłaś wrażenie?

– Że jest samotny. – Obcesowe, ukośne skinienie głową. Patrzy na niego z największą obojętnością, jaką może zaryzykować w obecnej sytuacji. Chce przez to powiedzieć: „Nie byłeś przy nim, gdy cię potrzebował”.

– Zawsze był samotny.

W tej chwili uzmysławia sobie, że postawiła błędną diagnozę, że to nie jest nieśmiałość. To przyzwoitość. Ten człowiek chce postępować przyzwoicie. Otwiera się nieustannie. (Ona też, ale tylko dlatego, że wszystko, co mogłoby ją zranić, już dawno zdrętwiało. Katje niewiele więc ryzykuje). Enzian natomiast ryzykuje tyle, ile dawni kochankowie, ilekroć drugie jest obecne, w rzeczywistości albo w słowach: realna groźba wstydu, odnowionego poczucia straty, poniżenia i drwin. Czy ona będzie drwić? Czy ułatwił jej to za dużo – a potem, odwracając się, liczył, że będzie grała fair? Czy ona potrafi być tak uczciwa jak on, nie ryzykując za wiele?

– Umierał – wyjaśnia Katje – wyglądał staro. Nawet nie wiem, czy wyjechał z Holandii żywy.

– On... – Zawahał się, być może: (a) przez wzgląd na jej uczucia, (b) przez wzgląd na bezpieczeństwo Schwarzkommando lub (c) z obu powodów... ale po chwili, a niech to cholera, znów górę bierze Zasada Maksymalnego Ryzyka: – ...dotarł do Pustaci Luneburskiej. Powinnaś była o tym wiedzieć.

– Szukaliście go.

– Owszem, tak samo jak Slothrop, choć wątpię, by on zdawał sobie z tego sprawę.

– Slothrop i ja. – Rozgląda się po pokoju, oczy przemykają po metalowych powierzchniach, dokumentach, fasetach soli, nigdzie nie znajdując zaczepienia. Jak gdyby zdobywała się na rozpaczliwe, zaskakujące wyznanie: – Teraz wszystko jest takie odległe. Nie wiem, po co mnie tu przysłali. Nie wiem też dużo o przeszłości Slothropo. Coś jest nie tak ze *światłem*. Nie widzę. Wszystko ode mnie ucieka...

Jeszcze nie pora, by jej dotknąć, niemniej Enzian wyciąga rękę i poklepuje ją pocieszająco po wierzchu dłoni – pokrzepienie po wojskowemu.

– Są rzeczy, których można się ucześcić. Sprawiają wrażenie iluzji, ale niektóre są realne. Naprawdę.

– Naprawdę.

Oboje wybuchają śmiechem. Jej śmiech jest europejskim zmęczeniem,

okraszonym kręceniem głową. Dawniej w takiej chwili próbowałyby dokonać oceny, mówiłaby o dynamice, głębiach, zysku i stracie, porach rozpoczęcia akcji i przekraczaniu Rubikonu – śmiałyby się w sposób polityczny, w reakcji na trudny układ sił, bo być może nic innego nie mogłaby zrobić. Ale teraz tylko się śmieje. Jak niegdyś śmiała się ze Slothropem w kasynie „Hermann Goering”.

Zatem rozmawia z Enzianem o wspólnym znajomym, ot i tyle. Czy tak właśnie odczuwa się Próżnię?

„Slothrop i ja” nie poskutkowało. Czy powinna była powiedzieć „Blicero i ja”? Jak ustawiłoby ją to wobec Afrykanina?

– Blicero i ja – Enzian zaczyna mówić cichym głosem, oczy obserwują ją znad połyskliwych kości policzkowych, w zwiniętej prawej dłoni żarzy się papieros – byliśmy sobie bliscy tylko w pewien sposób. Są drzwi, których nie otworzyłem. Nie mogłem. Tutaj gram rolę wszystkowiedzącego. Powinienem poprosić, byś mnie nie wydała, ale to nie ma znaczenia. Oni już zdecydowali. Jestem przywódczym Berlińskim Nochalem, *Oberhauptberlinerschnauze* Enzian. Wiem o tym wszystkim i nie ufają mi. Plotkują ogólnikowo o mnie i Blicero, jakby to były wątki, które należy spleść – prawda nie zmieniłaby ani ich nieufności, ani mojego Nieograniczonego Dostępu. Zaczęłaby tylko krążyć jeszcze jedna historyjka. Lecz dla ciebie prawda chyba się liczy? – Blicero, którego kochałem, był bardzo młodym człowiekiem zadurzonym w cesarstwie, poezji i własnej arogancji. Kiedyś to pewnie i dla mnie miało znaczenie. To, kim teraz jestem, wzięło się z tamtego. Dawne „ja” to głupiec, nieznośny osioł, ale to ciągle człowiek, trudno się go pozbyć tak, jak każdego innego kaleki, prawda?

On najwyraźniej prosi ją o konkretną radę. Czy to są właśnie kłopoty, które wypełniają jego czas? A co z Rakietą, z Pustymi, z ryzykownym niemowlęctwem jego ludu?

– Ile Blicero dla ciebie znaczy? – pyta wreszcie Katje.

Enzian nie musi się zbyt długo zastanawiać nad odpowiedzią. Od dawna



wyobrażał sobie nadejście Indagatora.

– Zabrałbym cię teraz na balkon. Do wysokiego punktu obserwacyjnego. Pokazałbym ci Raketenstadt. Pleksiglasowe mapy naszych siatek, wciąż funkcjonujących w Strefie. Podziemne nauczanie, systemy rozprowadzania żywności i lekarstw... Popatrzylibyśmy z góry na pokoje sztabowe, centra komunikacyjne, laboratoria, kliniki. Powiedziałbym –

– „Dam ci całą tę władzę i chwałę, jeśli więc ty” –

– Nic z tego. Nie ta historia. Powiedziałbym: „Oto, kim się stałem. Wyobcowaną postacią stojącą daleko, na wysokości... która patrzy ponad Raketenstadt w bursztynowe wieczory, w tle wymyte, ciemniejące prześcieradła chmur”, która straciła wszystko oprócz tego punktu obserwacyjnego. Nie ma ani jednego serca, ani jednego ludzkiego serca, w którym bym istniał. Wiesz, co to znaczy, czuć w ten sposób?

Ten człowiek to lew, opętany przez ego – ale wbrew wszystkiemu Katje zaczyna go lubić.

– Lecz gdyby żył...

– Nie sposób tego wiedzieć. Mam od niego listy, które napisał po wyjeździe z twojego miasta. Zmieniał się. Okropnie. Pytasz, ile dla mnie znaczył. Mój szczupły biały poszukiwacz przygód, o dwadzieścia lat starszy i bardziej schorowany – ostatnie serce, w którym być może obdarzono mnie istnieniem – zmieniał się, z żaby księżę, z księcia bajeczny potwór... „Jeżeli nadal żyje”, być może przepoczwarzył się nie do poznania. Być może przepłynął dzisiaj po niebie i w ogóle go nie dostrzegliśmy. Cokolwiek stało się na końcu, on wykroczył poza ograniczenia. Nawet jeśli zwyczajnie umarł. Przekroczył ból, grzech – wciągnięty głęboko w Ich królestwo, kontrolę, syntezę i kontrolę, dalej niż – zamierzał powiedzieć „my”, ale ostatecznie „ja” wydaje się lepsze – ja. Ja nie przekroczyłem. Ja dostąpiłem tylko wyniesienia. To pewnie tak puste, jak puste mogą się stać rzeczy: gorsze niż gdy ktoś, komu nie wierzysz, mówi ci, że nie musisz umrzeć... Owszem, znaczył dla mnie bardzo dużo. On jest tym dawnym „ja”, drogim mi

albatrosem, którego nie mogę wypuścić.

– A ja? – Ona rozumie, że Enzian spodziewa się, iż będzie mówiła jak kobieta lat czterdziestych. Rzeczywiście, „a ja”. Na oczekaniu nie przychodzi jej do głowy, jak inaczej mogłaby mu pomóc, dać mu chwilę pokrzepienia.

– Ty, biedna Katje? Twoja historia jest najsmutniejsza ze wszystkich.

Ona podnosi szybko oczy, by zobaczyć jego drwiącą twarz. Z najwyższym zdumieniem spostrzega łzy spływające po policzkach.

– Ciebie uwolniono. – Jego głos łamie się przy ostatnim słowie, twarz wciska się na moment w klatkę obu dłoni, po czym wyrzywa się, by spapugować jej wesoły, wisielczy śmiech. O nie, czy teraz dostanie kręćka na jej punkcie? Ona znalazła się na takim etapie życia, że u mężczyzny, jakiegokolwiek mężczyzny, szuka stałości, zdrowia psychicznego i siły charakteru. A nie tego. – Powiedziałem Slothropowi, że on też jest wolny. Mówię każdemu, kto słucha. Powiem im, tak jak mówię tobie: jesteście wolni. Jesteście wolni. Jesteście wolni...

– Jak moja historia może być smutniejsza?

Bezwstydna dziewczyna, nie tyle mu ustępuje, ile zaczyna z nim flirtować, wykorzystując każdą technikę wokalną i wizualną z dziewczęcej młodości, by nie wkraczać w jego czerń. W rzeczywistości to nie jest jego czerń, lecz jej własna – własnością Enziana jest ta niedostępna ciemność, którą ona w tej chwili udaje, coś poza laskiem Pana, coś zupełnie niepastoralnego, lecz rodem z miasta, zestaw sposobów, w których siły natury odsunięte są na bok, ukrócone, zdetronizowane, wtarte w ziemię, przeobrażone jak złośliwi umarli: to kelipot, które przekroczył Weissmann, dusze tak utrudzone wędrówką na drugą stronę, że straciły całą swoją dobroć w niebieskiej błyskawicy (marszczą się jej długie morskie bruzdy) i przemieniły się w durnych zabójców i żartownisiów, pohukując niezrozumiale w pustce, żylaste i wychudłe jak szczury – miasto-mrok, które jest własnością samego siebie, fakturowana ciemność, gdzie prądy rozchodzą się we wszystkich kierunkach

i nic się nie rozpoczyna. Lecz z upływem czasu narasta hałas. Wkrada się w jej świadomość.

– Flirtuj, jeżeli chcesz – Enzian szarmancki jak Cary Grant – ale nie zdziw się, jeżeli zostaniesz potraktowana poważnie. – O, o. Na to wszyscy czekaliśmy.

Niekoniecznie. Jego rozgoryczenie (wszystko należycie pokwitowane w niemieckich archiwach, które jednak być może zostały zniszczone) zbyt głęboko się skryło. Nauczył się przywdziewać tysiące masek (podobnie jak Miasto będzie się nadal maskowało w obronie przed inwazjami, których często nie dostrzegamy, których następstwa nigdy się nam nie okazują, cichymi i niezauważonymi rewolucjami w dzielnicach magazynów, gdzie mury są nagie, na parcelach zarośniętych gęsto chwastami) i ta Zamorska Ogłada Staruszka jest jedną z nich.

– Nie wiem, co robić. – Wzruszenie ramionami stawia Katje na nogi, dziewczyna zaczyna chodzić z gracją po pokoju. Jej dawny styl: szesnastolatka, która myśli, że wszyscy się jej przypatrują. Włosy opadają jak kaptur. Ręce często się dotykają.

– Nie musisz robić nic więcej poza zlokalizowaniem Slothrop – odpowiada Enzian po długiej chwili. – Przykleisz się do nas, dopóki on się nie pojawi. Po co miałabyś przejmować się resztą?

– Bo czuję – cichym głosem, może umyślnie – że właśnie w tej „reszcie” powinnam wziąć udział. Nie chcę się zadowolić jakimś drobnym zwycięstwem. Nie chcę... nie chcę tylko zrewanżować się za ośmiornicę. Czy nie powinnam dowiedzieć się, dlaczego on tam jest i co mu zrobiłam z Ich rozkazu? Jak można Ich powstrzymać? Jak długo będę się wykręcała łatwą pracą, najprostszym wyjściem? Czy nie powinnam zaangażować się na całego?

„Masochizm – napisał Weissmann z Hagi – to dla niej pokrzepienie. Potwierdzenie tego, że można ją zranić, że jest człowiekiem, że potrafi płakać z bólu. W przeciwnym razie często o tym zapomina. Mogę się tylko

domyślać, jak straszne to musi być... Zatem ona potrzebuje bata. Nadstawia dupę nie w wyrazie kapitulacji, lecz z rozpacz – to przypomina twój strach przed impotencją, i mój też: czy nadal mogę... czy sprostam... Lecz w Katje nie ma nic z prawdziwej uległości, wyrzeczenia się siebie i stania się Wielością. Ona nie jest ofiarą, którą wybrałbym, żeby to zakończyć. Być może tuż przed samym finałem pojawi się jakaś inna. Być może śnię... nie po to tu jestem, żeby oddać się jej fantazjom!”

– Masz przeżyć. Tak, prawdopodobnie. Żebyś nie wiem jak bardzo starała się to sobie utrudnić, zawsze wyjdiesz z tego cało. Możesz wybrać bez ograniczeń, jak przyjemna będzie każda przeprawa. Zwykle dostaje się to w nagrodę. Nie będę pytał za co. Przykro mi, ale ty chyba naprawdę nie wiesz. Dlatego właśnie twoja historia jest najsmutniejsza ze wszystkich.

– Nagroda – wścieka się – przecież to wyrok dożywocia. Jeżeli ty to nazywasz nagrodą, to jak nazwiesz mnie?

– Przeciwnieństwem polityki.

– Ty czarny skurwielu.

– Otóż to. – Pozwolił jej wyjawić prawdę. W kamiennym kącie zegar wybija godzinę. – Mamy tu kogoś, kto był z Blicero w maju. Tuż przed końcem. Ale nie musisz...

– Nie muszę się z nim widzieć? Wiem, że nie muszę, Oberst, ale chcę.

On wstaje, służy jej urzędowym, dżentelmeńskim ramieniem, uśmiechając się półgębkiem, czując się jak błazen. Ona uśmiecha się pogodnie, niby psotna Ofelia, która właśnie ujrzała przelotnie krainę obłąkanych i chce jak najszybciej opuścić dwór.

Sprężenie zwrotne, uśmiech za uśmiech, dostrajanie się, wahania, sygnały układają się w przekaz: „nigdy się nie poznamy”. Rozpromienieni, para nieznanomych, tra-la-la, idziemy posłuchać o końcu człowieka, którego oboje kochaliśmy, my, czyli dwoje obcych sobie ludzi, w kinie, skazani na inne rzędy foteli, inne sektory, inne wyjścia, inne drogi do domu.

Daleko w osobnym korytarzu donośna koronka wiertnicza napina się, dymi

i pęka. Tace i grzechot metalu, niewinny i sympatyczny odgłos poza znanymi rejonami pary, tłuszcz na granicy zjełczenia, dym z papierosów, popłuczyny, środek dezynfekujący – bufet w środku dnia.

Są rzeczy, których można się ucześcić...



Chcesz przyczyny i skutku. No więc dobrze. Thanatza zmył z pokładu „Anubisa” ten sam sztorm, który zabrał Slothrop. Uratował go polski grabarz, który wypłynął łódką na Zalew Szczeciński, żeby wystawić się na uderzenie pioruna. W nadziei, że przyciągnie wyładowanie elektryczne, włożył skomplikowany metalowy strój, przypominający wyposażenie nurka głębokowodnego, i niemiecki hełm, przewiercony w kilkuset miejscach, w które powkręcał najrozmaitsze śrubki, sworznie, sprężyny i pałeczki, przewodzące prąd, wskutek czego grzechotał, ilekroć kręcił albo kiwał głową, a robił to często. Cyfrowy towarzysz, wszystko kwitowane tak albo nie, i rzeczywiście w tę deszczową noc wokół grabarza i Thanatza rozkwitają dwubarwne szachownice o dziwnych kształtach i fakturze. Odkąd przeczytał w amerykańskiej ulotce propagandowej o Benjaminie Franklinie, latawcu, gromie i kluczu, zapragnął obsesyjnie, żeby trafił go w głowę piorun. Pewnej nocy zaświtało mu (choć inaczej, niżby chciał), że w całej Europie są setki, kto wie, może tysiące ludzi, którzy przeżyli porażenie piorunem. Ależ ciekawe historie mogliby opowiedzieć!

W ulotce nie wspomniano jednak, że Benjamin Franklin też był masonem oraz człowiekiem rozmiłowanym w płatanie magicznych psikusów, z których największym są być może Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

Hm, to sprawa ciągłości. Życie większości ludzi przebiega w rytmie stopniowanych wzlotów i upadków, jak sinusoida z pochodnymi funkcji w każdym punkcie. Tacy ludzie nigdy nie będą rażeni gromem. Nie mają pojęcia o prawdziwym kataklizmie. Ci natomiast, którzy są porażeni, doświadczają pojedynczego punktu, zerwania linii swego życia – czy wiesz, ile wynosi tempo zmiany u wierzchołka? Nieskończoność, ot co! A-a zaraz po drugiej stronie punktu jest minus nieskończoność! Jak ci się podoba taka nagła zmiana, he? Nieskończenie wiele mil na godzinę zmienia się w taką samą wsteczną prędkość, wszystko w At po drugiej stronie punktu, cienkim

jak dupa osy albo rudy włos na cipie! Ludzie, oto co znaczy być rażonym gromem. Znajdujesz się hen, na samym szpicu góry, i nie myśl sobie, że na tych posepnych czerwonych wysokościach nie kołują orłosepy. Kołują, kołują. Czyhając, by cię capnąć. Dosiadane na oklep przez karły, na oczach małe okulary z tworzywa sztucznego, które wyglądają dokładnie tak, jak symbol nieskończoności: ∞. Kurduple o paskudnych brwiach, ze spiczastymi uszami, łyse pały co do jednego, choć niektóre noszą egzotyczne nakrycia głowy, nie, nie, nie zielone fedory w stylu Robin Hooda, tylko ekstrawaganckie kapelusze Carmen Mirandy, czyli banany, papaja, kiście winogron, gruszki, ananasy, owoce mango, kurza twarz, nawet arbuzy – o, są też pikielhauby cesarza Wilhelma, dziecięce czepki i napoleońskie pierogi z „N” albo bez „N”, nie wspominając o czerwonych garniturkach i zielonych pelerynach, no, to właśnie są te karty, nachylają się ku uszom drapieźnych ptaszysk i szepczą, jak dżokeje do koni, chcą cię dopaść, koleżko, tak jak dopadli tego ofiarnego małpoluda na wierzchołku Empire State Building, tyle że tobie nie pozwolą runąć, uniosą cię hen, do miejsca, skąd je przysłano. Ono wygląda podobnie jak świat, który opuściłeś, ale w rzeczywistości będzie inne. Między podobieństwem a identycznością jest jeszcze jedna kategoria zbieżności, która trafia tylko do głów rażonych gromem. Inny świat rozprasowany na poprzednim, z pozoru taki sam. Cha, cha, cha! Tyle że trafiony piorunem. Nawet jeżeli być może nie wiedzą, to wiedzą. I właśnie po to, żeby się o tym przekonać, grabarz wypłynął tej nocy w sztorm.

Czy jest zainteresowany wszystkimi tymi innymi światami, które wysyłają karlich przedstawicieli na grzbietach orłów i sępów? Skąd. Nie zamierza też napisać klasycznego dzieła z zakresu antropologii, w którym wydzieli rażonych gromem jako potajemnie zorganizowaną subkulturę, w trakcie uścisków rąk paznokcie nastroszone jak wierzchołki, prywatny miesięcznik „Zaoszczędzony Grosz” (który wygląda całkiem niewinnie, stary Ben Franklin po inflacji, chyba że znasz drugą część porzekadła: „... to kupa grosza”. To realizacja złotej myśli magnata niklowego Marka Hanny:



„Zajmujesz się polityką dostatecznie długo, by wiedzieć, że żaden człowiek na publicznym urzędzie nie jest nic winien opinii publicznej”. Toteż prawdziwy tytuł miesięcznika brzmi „Dostatecznie długo”, o czym wiedzą Ci, Którzy Wiedzą. Odszyfrowany tekst każdego numeru zdradza wiele interesujących informacji). Dla ludzi z zewnątrz jest to tylko nieszkodliwy organ klubowy – w ostatni weekend kwietnia Jed Plunkitt urządził rozen dla Kapituły Iowy. Słyszałeś o Amperowych Zawodach, Jed. Życie to nie bajka! Ale na następnym rozenie będziesz jak nowy... Minnie Calkins (Kapituła 1.793) wyszła za mąż w niedzielę wielkanocną za sprzedawcę drzwi moskitierowych z Kalifornii. Szkoda, ale facet nie kwalifikuje się na członka – przynajmniej na razie. Przy takim nasyceniu, rynku drzwiami tego typu, będziemy trzymać kciuki! ... Wasz wydawca otrzymuje wiele zapytań w sprawie Wiosennej Konwencji w Decatur, gdzie podczas udzielania błogosławieństwa pogasły wszystkie światła. Z radością donoszę, że wykryto już przyczynę, którą było gigantyczne wahnięcie napięcia w instalacji. „Swoisty elektryczny przypływ” – mówi Hank Faffner, nasz inżynier, przydzielony na tę okazję. „Wszystkie żarówki się poprzepalały, sufit był pełen zacadzonych, jałowych jaj”. Niezły poeta z tego Hanka! Żeby jeszcze wiedzieć, skąd się wziął ten skok napięcia –

Czy polskiego grabarza w łódce obchodzi łamanie tych szyfrów, tajne organizacje i specyficzne subkultury? Nie. Powodem, dla którego szuka ludzi rażonych gromem, jest przekonanie, że pomogą mu w jego robocie. Kapujecie? Chce się dowiedzieć, jak ludzie się zachowują przed i po uderzeniu pioruna, żeby umieć postępować z rodzinami ofiar.

– Wypaczasz pan wielkie odkrycie dla celów handlowych – mówi Thanatz, wychodząc na brzeg. – Powinieneś się pan wstydzić. – Przebywa ledwie pięć minut w mieście na granicy mokradeł, gdy nagle TRACH! du-du-du-du, olbrzymia eksplozja jasności i dźwięku uderza w wodę, dokładnie w miejscu, gdzie grabarz, rozdrażniony brakiem wdzięczności, wiosłuje w morze.

– Ooo! – dobiega jego słaby głos – Och. Oooo. Oooo.

– Nikt tu nie mieszka prócz nas. – Przed nosem Thanatza materializuje się masywna postać, szepcząca sylwetka czarna jak węgiel. – Nie krzywdzimy przybyszów. Ale lepiej, gdybyś poszedł w inną stronę.

To sto siedemdziesiątki piątki – więźniowie obozu dla homoseksualistów. Przybyli na północ z Dory-Nordhausen, podążali w tym kierunku, dopóki nie skończył się ląd, i tutaj właśnie, między mokradłami a ujściem Odry, założyli społeczność złożoną z samych mężczyzn. W normalnych okolicznościach byłby to dla Thanatza ziszczony Raj, lecz sęk w tym, że żaden z więźniów nie potrafi żyć poza Dorą – Dora była domem, więc ich teraz zżera nostalgia. „Wyzwolenie” było banicią. Zatem stworzyli hipotetyczną strukturę SS – nieograniczeni teraz Przeznaczeniem, warunkującym rolę ich prześladowców, powołali do życia wyimaginowanych hitlerowskich funkcjonariuszy, od *Schutzhaftlingsführera* po *Blockführera*, a dla siebie zbudowali wewnętrzną hierarchię: *Lager* i *Blockältester*, *Kapo*, *Vorarbeiter*, *Stubendienst*, *Laufer* (który jest gońcem albo posłańcem, ale także figurą szachową... jeśli widziałeś go pędzącego po mokrych łąkach o wczesnej porze, w pofałdowanej, trzepoczącej szacie, pociemniałej pośród wodnistych wydm niemal do koloru kory, będziesz miał pojęcie, jaka jest jego prawdziwa funkcja w tej społeczności – to nośnik świętych strategii, napomnień sumienia, a gdy zbliża się trzcinowymi płaszczyznami poranka, coś chwyta cię za zgięty kark i ocierają się o ciebie wstęgi boczne Wielkiej Chwili – albowiem tutaj *Laufer* jest najświętszy, to on właśnie przybywa z wieściami na zrujnowany styk między widocznym Lager a niewidzialnym SS).

Na szczycie tej piramidy stoi *Schutzhaftlingsführer* Blicero. Nazwisko to zabrnęło aż tak daleko na wschód, jak gdyby kontynuowało odwrót swego właściciela poza ostatni szaniec na Pustaci Lüneburskiej. Blicero jest najstraszniejszym widmem Strefy. Złośliwy, przenika noce ociągającego się lata. Jak ranny korzeń, zmienia się, bieleje, rozwija z myślą o zimie, w stronę bezczynności i głodu. Czy sto siedemdziesiątki piątki mogły wybrać kogokolwiek innego na swojego głównego oprawcę? Jego władza jest

absolutna. I nie myśl, że nie czeka, tam, w zbombardowanej i zardzewiałej gazowni, pod krętymi schodami, za zbiornikami i wieżami, owszem, czeka na pierwszego ubranego w karmin posłańca świtu, pędzącego z wieściami o tym, jak minęła noc. Noc jest mu najbliższa, toteż musi to wiedzieć.

Urojona esesmańska straż obozowa jest odzwierciedleniem nie tej poznanej przez więźniów w obozie Dora, lecz działającej po sąsiedzku służby wartowniczej w fabryce rakiet w Mittelwerke. A-4 był ukryty za nieprzekraczalnym murem, oddzielającym prawdziwy ból i terror od przywoływanego sprawcy. Sylwetka Weissmanna/Blicero przekraczała ten mur, deformując się, drżąc w cuchnących barakach, z tym samym dążeniem do nowej postaci, jakie charakteryzuje słowa usiłujące przedrzeć się przez sny. To, co sto siedemdziesiątki piątki słyszały o Weissmannie od strażników, wystarczyło, by wynieść go od razu na piedestał – nawet oni, współbracia z tej samej elity, nie wiedzieli, co szykuje. Kiedy więźniowie znajdowali się w zasięgu słuchu, żołnierze przestawali szeptać. Ale ich strach wciąż odbijał się echem: strach nie przed samym Weissmannem, lecz przed upływem czasu, upływem tak rozpaczliwie szybkim, że oficer ten poruszał się po Mittelwerke jak po własnym folwarku, przed uciekającym czasem, który obdarzył go władzą całkiem inną niż w Auschwitz albo Buchenwaldzie, władzą, jakiej oni sami nie potrafili znieść...

Na dźwięk tego nazwiska odbył Thanatza zwiera się ociupinkę. On bynajmniej nie podejrzewa, że umyślnie je wypowiedziano. Paranoja nie stanowi poważnego problemu dla Thanatza. Niepokoi go natomiast, że przypomniano mu, iż od tamtej chwili w południe, kiedy z Pustaci wystrzelono 00000, nie miał żadnych wieści o losie Blicero – żywy czy martwy, hegemon czy uciekinier? Sam dobrze nie wie, co by wolał. Dopóki „Anubis” pruć fale, dopóty nie istniała potrzeba dokonywania wyboru: pamięć można było zostawić tak daleko za sobą, że pewnego dnia jej rzeczywiste istnienie przestałoby się liczyć. Oczywiście, że to się zdarzyło. Oczywiście, że się nie zdarzyło.

– My sądzymy, że on tam gdzieś jest – mówi rzecznik obozu. – Żywy, ukrywa się. Raz na jakiś czas słyszymy coś, co pasowałoby do Blicero. Zatem uzbroiliśmy się w cierpliwość. Znajdzie nas. Czeka tutaj na niego gotowa podwalina władzy.

– A jeżeli nie zostanie – czysta podłość – jeżeli roześmieje się wam w twarz i pójdzie dalej?

– Nie potrafię tego wyjaśnić. – Drugi cofa się z powrotem w deszcz. – To kwestia wiary.

Thanatz, który po odpaleniu 00000 poprzysiągł sobie, że już nigdy nie będzie szukał Blicero, czuje na gardle ostrze przerażenia.

– Kim jest twój goniec?! – krzyczy.

– Jak chcesz, idź ty – przefiltrowany szept.

– Dokąd?

– Do gazowni.

– Ale ja mam wiadomość dla –

– Zanieś ją sam...

Biały „Anubis” odpłynął ku zbawieniu. A tutaj, w jego kilwaterze, znajdują się pominięci, pływają i toną, jedni w mule, inni na twardym gruncie, biedni pasażerowie o zachodzie słońca, którzy zgubili drogę i błądzą wśród obcych resztek, okrawków, posępnych ogryzków wspomnień – wśród tego, czego mogą się ucześcić – a to wszystko pieni się, miesza, wznosi, opada. Ludzie za burtą i nasze wspólne śmiecie...

Thanatz nadal dygocze, wściekły, w rześistym deszczu, pod arkadą z piaskowca. Ja miałem płynąć dalej, chce krzyknąć, i w tej chwili rzeczywiście krzyczy:

– Wcale nie było mi pisane wylądować wśród tych odpadków!...

Gdzie jest sąd apelacyjny, który wysłucha jego smutnej historii?

– Straciłem grunt pod nogami!

Kucharz okrętowy poślizgnął się w kałuży elitarnych wymiocin i z ocynkowanej puszkii wylał na sterburtę żółtawą breję z kurczaka, Thanatz

tęgo nie widział, szukał Margherity... Kiepsko, *les jeux sontfaits*, nikt nie słyszy i „Anubis” odpływa. Lepiej być tutaj, wśród dryfujących resztek, nie wiedząc, co przyplynie na łowy, zapytaj Obersta Enziana, on wie (klucz jest tutaj, wśród brudów Świata, nie znajdziesz go na pokładzie białego „Anubisa”, bo wszystko, co ma jakąkolwiek wartość, wyrzucają za burtę).

Toteż Thanatz jest przy gazowni, przestraszony nie na żarty, pod smolistą ścianą, rybie oczy wyzierają z cieni mokrego wełnianego kołnierza, wszystko białe i czarne, parujący oddech wyrywa się z kącików ust, a pośród *gassen* zaczyna wstawać zielony świt. Jego *tu nie ma, on po prostu nie żyje*, po prostu nie żyje? Czy to tutaj to nie jest „styk”? Płaszczyzna, gdzie spotykają się dwa światy? Jasne, tylko które dwa? Nie ma co liczyć na żaden pozytywizm, który mógłby go uratować, to nie skutkowało nawet w Berlinie, przed Wojną, na seansach u Petera Sachsy... zawadzało, sprawiało, że inni tracili cierpliwość. Zasłona słów między nim a nadprzyrodzonością zawsze była tylko zagrywką taktyczną... wcale nie czuł się z tego powodu bardziej wolny. Teraz ma to nawet jeszcze mniej sensu. Thanatz wie, że Blicero istnieje.

To nie był sen. Jakżebyś chciał, by było inaczej. Jeszcze jedna gorączka, która wcześniej czy później ustąpi, wypuści cię w rzeczywistość chłodnego pokoju... nie, nie musisz wypełniać tej długiej i zawilej misji, widzisz, to była tylko gorączka, to nie działało się naprawdę...

Tym razem dzieje się naprawdę, Blicero – żywy czy martwy – istnieje realnie. Narwany ze strachu, Thanatz chce go sprowokować, nie może dłużej czekać, pragnie się przekonać, czego potrzeba, by sprowadzić Blicero na drugą stronę, przez styk. Ile poddańczych wrzasków i kręcenia tyłkiem, by go ściągnąć z powrotem?...

Zamiast tego ściąga radzieckich żandarmów. Obowiązuje niepisana zasada o nieprzekraczaniu granic miasteczka stu siedemdziesiątek piątek, o której oczywiście nikt Thanatzowi nie powiedział. Do niedawna gazownia była znanym domem schadzek, ale Rosjanie dokonali tam kilku nalotów. Niknące

echo Chorału 175 – Stadt umyka drogą, przebrzmiewający śpiew ku czci pedalstwa:

Ecie-pecie, raz, dwa trzy,  
Jeśli ja jestem zwyrodnialcem, jesteś nim i ty.

– Teraz miewamy tu tylko turystów – oznajmia schludny cywil z białą chusteczką w kieszeni na piersi, szczerząc zęby w cieniu szerokiego ronda swojego kapelusza. – No i sporadycznie szpiegów, oczywiście.

– Ja nie jestem szpiegiem – zaprzecza Thanatz.

– Ty nie? No to opowiedz mi o sobie.

Ot, spory dylemat. W niespełna pół dnia Thanatz przebył drogę od braku potrzeby martwienia się czy choćby myślenia o Blicero do nieustannej konieczności opowiadania o nim, żeby udobruchać zabłąkanym żandarmów. To jedna z jego pierwszych lekcji w stanie pominięcia: nie uniknie teraz żadnych następstw, na jakie się naraził, chyba że przypadkiem.

Na przykład na przedmieściach Szczecina, właśnie całkiem przypadkowo, oddział polskich partyzantów, świeżo przysłanych z Londynu, bierze opacznie policyjny samochód za eskortę wiozącą do więzienia antykomunistycznego dziennikarza, toteż przestreliwują opony, wdzierają się z krzykiem do środka, zabijają kierowcę, ranią śledczego w cywilu i umykają, ciągnąc ze sobą Thanatza jak worek kartofli.

– To nie o mnie chodzi – mówi Thanatz.

– Faktycznie, cholera.

Wyrzucają go z auta kilka mil dalej, w obozie uchodźców. Zapędzony wraz z tysiącem dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu innymi między druty. I wysłany na zachód.

Długie tygodnie telepie się pociągami towarowymi, uwieszony na zewnątrz bydłowego wagonu, gdy tymczasem wewnątrz ktoś śpi na zwolnionym przez niego posłaniu ze słomy. Później znowu się zamieniają miejscami. Przy częstszej rotacji łatwiej czuć. Codziennie widzi co najmniej paru uchodźców, którzy zasypiają i spadają z pociągu, czasem to wygląda



śmiesznie, na ogół jednak nie, choć humor wygnańca to rzecz specyficzna. Wygnaniec jest ostemplowany na dłoniach, czole i tyłku, odwszawiany, poszturchiwany, obmacywany, nazywany, oznaczany numerami, przekazywany dalej, pokwitowany, kierowany w błędną stronę, przetrzymywany, ignorowany. Trafia po kolei w papierowe ręce radzieckiej, brytyjskiej, amerykańskiej i francuskiej biurokracji, kursuje po tej okupacyjnej sieci, ucząc się rozpoznawać twarze, kaszel i buty swoich nowych właścicieli. Nieszczęśnik bez książeczki żywnościowej, czyli Soldbuchu, skazany jest, najczęściej w grupie dwóch tysięcy innych, na krążenie po Strefie od Annasza do Kajfasza, prawdopodobnie w nieskończoność. Zatem gdzieś pośród meklemburskich sadzawek i płotów Thanatz odkrywa, że nic nie jest mu oszczędzone. Drugiej nocy w pociągu kradną mu buty. Dopada go głęboki kaszel oskrzelowy i wysoka gorączka. Przez tydzień nikt do niego nie zagląda. Za dwie aspiryny zmuszony jest obciągnąć fiuta dyżurnemu, który polubił na swoich udach dotyk zarośniętych, rozpalonych gorączką policzków, ach, to tchnienie pieca tuż pod jądrami. W Meklemburgii Thanatz kradnie niedopałek śpiącemu jednorękiemu weteranowi, za co przez pół godziny biją go i kopią ludzie mówiący językiem, którego nigdy w życiu nie słyszał, ludzie, których twarze nawet nie ma sposobności zobaczyć. Robaki pełzają po nim, odrobinę tylko rozdrażnione, że zalega na ich drodze. Racje chleba odbiera mu codziennie pewien uchodźca, wprawdzie mniejszy od niego, ale cóż, na twarzy ten wyraz uprzywilejowania, któremu Thanatz w najlepszym razie potrafi nadać ludzki wymiar – toteż boi się skoczyć na te plecy w łachmanach koloru wątroby, na ten zadowolony łeb z szopą włosów... poza tym pozostali patrzą: kobieta, która opowiada wszystkim, że nocami Thanatz napastuje jej nieletnią córkę (nie potrafi spojrzeć jej w oczy, bo tak, owszem, ma na to wielką ochotę, och, zdarłby ze ślicznej smarkuli te wielgachne wojskowe portki, wetknął penisa między blade małe pośladki, przypominające mu tak bardzo Biancę, gryzłby mięciutkie jak chleb uda pociągnął za włosy wykręcił szyję



Bianca żeby jęczała poruszał jej głową tak jak lubi), i ten Słowianin o krzaczastych brwiach, który go zmusza do szukania niedopałków w ciemności, do wyrzeczenia się snu nie tyle z myślą o realnej szansie zdobycia peta, ile dlatego, że facet ma prawo tego zażądać – no więc ten Słowianin też się przypatruje – w rzeczywistości cały krąg nieprzyjaciół widzi odbieranie chleba i bezradność Thanatza. Ich sąd nie pozostawia złudzeń, w oczach jasność, której Thanatz nigdy nie dostrzegał na „Anubisie”, uczciwość, od której nie potrafi uciec, wykręcić się... wreszcie, wreszcie musi spojrzeć prawdzie w oczy, dosłownie spojrzeć, w tę przezroczystość, prawdziwe światło tego...

Krok po kroku klaruje się jego wspomnienie ostatniego wystrzelenia rakiety na Pustaci. Gorączka polituruje, ból usuwa zanieczyszczenia. Powraca ciągle jeden obraz – bura, prawie czarna gałka oczna, w której odbija się wiatrak i poszarpana siatka konarów... boczne drzwi wiatraka otwierają się i zamykają, jak luźne okiennice w czasie burzy... na niebie tęczęwki wznosi się jedna chmura, w kształcie chwybaka od koparki, o silnie fioletowych konturach, dymek z eksplozji, coś w kolorze ochry na widnokregu... z bliższej odległości wygląda to jak sploty purpury dokoła jaśniejącej żółci, żółte wnętrzości stonowane fioletem wymykającym się na zewnątrz, wybrzuszone się łukowato w naszą stronę. O dziwo (nie żeby odciąć tę malowniczą scenę, ale jednak), o dziwo, kapujesz, na Pustaci Lüneburskiej nie ma wiatraków! Thanatz nawet rozejrzył się szybko po okolicy, żeby mieć pewność, no i, niestety, nie uświadczysz ani jednego. No dobrze, więc jakim sposobem w oku Blicero, patrzącym na Pustac, odbija się wiatrak, he? Hm, tak Bogiem a prawdą, to nie wiatrak, tylko butelka dżinu. Sęk w tym, że na Pustaci nie ma też butelek dżinu. A w oku naprawdę odbijał się wiatrak. Co tu jest grane? Czy możliwe, że oczy Blicero, w których Greta Erdmann widziała mapy jego Królestwa, dla Thanatza odzwierciedlają przeszłość? To byłoby dziwne. To, co działo się w tych oczach, gdy nie patrzyłeś, zaginie. Będziesz miał tylko urywki, raz na jakiś czas. Katje,

zerkająca przez ramię na świeże pręgi po biczowaniu. Gottfried na porannym apelu, wiotkie ciało Wandervogla, wiatr wydymający fałdy munduru od pałakowatych ud w górę, włosy rozwiane, zalotny uśmiech półgębkiem, usta lekko rozchylone, zuchwa do przodu, powieki spuszczone. Odbicie samego Blicero w owalnym zwierciadle, dawna twarz – zaraz włoży perukę z grzywką, paż Smoczej Damy, i nieruchomieje, przysuwa twarz, pyta co? co powiedziałeś? peruka trzymana z boku, trochę niżej, żeby udawała drugą twarz, prawie niewidoczną w gęstym cieniu... lecz przyjrząwszy się bliżej, widzisz wyłaniające się wyżyny kości i zagłębienia, szkliwo powłoki lodowej, kiwająca się biel, trzymana w ręku maska, nad cieniami w pustej przestrzeni kaptura – dwie twarze teraz patrzą, Thanatz, czy zamierzasz osądzić tego człowieka? Thanatz, czy nie lubiłeś pejcza? Czy nie pragnąłeś zwiewnego dotyku i szelestu damskich strojów? Czy nie chciałeś zamordować ukochanego dziecka, czy dla żartu nie chciałeś zabić takiej bezradności i niewinności? Gdy podnosi na ciebie oczy, w ostatnim momencie, ufając ci, uśmiecha się, ściąga usta do pocałunku w chwili, gdy cios trafia go w głowę... czy to nie najlepsze ze wszystkiego? Wtedy z twojej piersi wyrywa się krzyk, nagła, ciężka świadomość straty, straty na zawsze, nieodwracalnego kresu miłości, nadziei... nie wyprzesz się tego, kim ostatecznie jesteś... (tyle strachu trzeba się najeść, by to przyjąć, tę twarz węża – by rozewrzeć ramiona i nogi, by weszła w ciebie, w twoją prawdziwą twarz zabije cię, jeżeli –)

Opowiada teraz Schwarzkommando o tym i o innych sprawach. Po tygodniu wykrzykiwania, że wie i że miał do czynienia z Schwarzgerät, na widok każdego czarnego oblicza za przepływającymi drutami kolczastymi, przy zwałach żużlu i na krzyżówkach dróg, wieści wreszcie poszły w świat. Pewnego dnia przybywają po niego: zostaje dźwignięty ze słomy, czarny od pyłu węglowego jak oni – dźwignięty bez trudu niby niemowlę, karaluch strącony usłudze z jego twarzy – i przetransportowany, cały drżący, pojękujący, do *Erdschweinhöhle*, gdzie teraz siedzą dokoła ognia, paląc i

zajadając, oczy skierowane na niebieskiego Thanatza, który trajkocze od siedmiu godzin bez przerwy. Jedyne uprzywilejowany – w pewien sposób – by opowiedzieć tak dużą część całej historii, bo jest facetem, który umoczył, przegranym.

Ot, dureń, co nie ma szczęścia w miłości,  
Choć prawie co noc tutaj gra,  
Obrywa od wysoko postawionych gości,  
Co znaczą karty dobra i zła...  
Nie idzie *va banque*, i nie gra, by wygrać,  
Grając w miłość, obrywa sromotnie,  
Bo wygranej nie umie wywróżyć,  
Toteż każdą noc spędza samotnie!

Utracił Gottfrieda, utracił Biancę i dopiero teraz, na tak późnym etapie, zaczyna sobie uświadamiać, że oboje są naprawdę tą samą stratą, na rzecz tego samego zwycięzcy. Nie wie, które z tych dwojga utracił najpierw, ani nawet – wirują chmary wspomnień – czy to nie są przypadkiem dwa imiona, dwa różne imiona na oznaczenie tego samego dziecka. Lecz objając się wśród obcych resztek i piany, ostrych krawędzi i wysokoobrotowych prędkości, przekonuje się, że nie może się ucześcić na stałe tej myśli: rychło znów grzęźnie w otwartych wodach. Ale będzie pamiętał, że przez chwilę się jej trzymał, że widział jej fakturę i barwę, że przytulał ją do policzka, gdy ocknął się z przestrzeni snu tuż obok – będzie pamiętał, że tych dwoje, Bianca i Gottfried, są jednym i tym samym dzieckiem...

Stracił Blicero, ale to nie było tak rzeczywiste. Po ostatnim odpaleniu, po zapomnianej nocnej podróży do Hamburga lot z Hamburga do Bydgoszczy w porwanym mustangu P-51 był tak wyraźnie w stylu Procałowskiego, prującego latającą maszyną po niebie, że Thanatz myślał, iż pozbył się Blicero w ten sam warunkowy sposób, jak złomu. No i faktycznie, złom ciałem się stał, i potem, i długimi nocnymi rozmowami, Blicero ze skrzyżowanymi nogami, jękający się przy jego kroczu: „Ja m... m... m...” –

„mogę”, „mógłbym”? „Muszę”? Tej nocy Blicero złożył w ofierze całą swoją broń, rozpostarł wszystkie plany swoich umocnień i labiryntów.

Tak naprawdę Thanatz pytał: gdy twarze śmiertelników znikają, pewne siebie, konsekwentne, nie widząc mnie nigdy, to czy są rzeczywiste? Czy to naprawdę dusze? Czy tylko atrakcyjna rzeźba, oświetlone słońcem twarze chmur?

I: Jak mam je kochać?

Ale Blicero nie udziela odpowiedzi. Z jego oczu tryskają runy z sylwetkami wiatraka. Dla Thanatza przemyka kilka dokooptowanych scen. Od chorążego Morituri: podłoga zasłana liśćmi bananowca, gdzieś niedaleko Malabacat na Filipinach, koniec czterdziestego czwartego, dziecko się wierci, przewraca, kopie nóżkami w plamkach słońca, wzbijając kurz z suchych liści, nad głową ryczą eskadry specjalne, mitsubishi zero zabierają towarzyszy broni, na końcu jak opadłe kwiaty wiśni – ten ulubiony wizerunek lotników kamikadze – wiosną... od Grety Erdmann: świat pod powierzchnią Ziemi albo błota – pełza jak błoto, ale krzyczy jak Ziemia, ze sprasowanymi warstwami pokoleń grawitacji i strat – strat, klęsk, ostatnich chwil zakończonych nanizanymi wstecz próżniami, to ciąg hermetycznych pieczar, schwytych w duszące pokłady, stracone na zawsze... od kogoś innego (czy ktoś kiedykolwiek będzie wiedział od kogo?): miga Bianca w cienkiej bawełnianej koszuli, jedno ramię w tyle, gładkie, miłkie zgięcie ręki i skoczny ukłon jednej małej piersi, głowa spuszczone, cała twarz w cieniu poza czołem i kośćmi policzkowymi, obraca się w tę stronę, teraz rzęsy, modlisz się, by zatrzepotały... czy cię zobaczy? wiekuiste unieruchomienie na zawiasach niepewności, dozgonne powątpiewanie w jej miłość –

Pomogą mu przez to przebrnąć. *Erdschweinhöhle* siedzą całą noc, słuchając tego nieprzerwanego raportu wywiadowczego. On jest aniołem, którego oczekiwali, i to całkiem logiczne, że przybył teraz, w dniu, gdy nareszcie zmontowali swoją Rakietę, pojedynczy A-4, sklecany przez długie lato kawałek po kawałku po całej Strefie od Polski po Holandię. Czy wierzyłeś

czy nie, czy jesteś Pustym czy Zielonym, czy rajcuje cię cipa, czy też z powodów politycznych zachowujesz celibat, czy prowadzisz gierki, czy może zachowujesz bezstronność, tak czy owak czułeś coś do Rakiety – może było to podejrzenie, drzemiące pragnienie, duchowa danina, po prostu coś. Właśnie to zwielokrotnione „coś” oświeca teraz blaskiem Anioł Thanatz, dla każdego słuchacza inaczej.

Gdy skończy, wszyscy będą wiedzieć, czym było Schwarzgerät, jak go użyto, skąd i w którą stronę wystrzelono 00000. Enzian uśmiechnie się ponuro, wyszczerzy zęby do swoich stóp i – podjąwszy decyzję przed wieloma godzinami – powie:

– Hm, chodźmy teraz spojrzeć na harmonogramy.

Jego rywal w *Erdschweinhöhle*, Pusty Josef Ombindi, chwytą go za przedramię.

– Jeśli cokolwiek...

Enzian kiwa głową.

– Sprawdź, czy można zacieśnić strażę, *'kurandye*. – Od dawna nie nazywał tak Ombindiego. Jest to również spore ustępstwo, przyznać Pustym kontrolę nad doborem wartowników, przynajmniej w trakcie trwania tej podróży...

...która już się zaczęła, gdyż półtora poziomu niżej kobiety i mężczyźni uwijają się przy blokach i linach; za ich pomocą opuszczają segmenty rakiety na wózki, kolejni Schwarzkommando czekają w skórzanych i kwiecistych rzędach na rampach prowadzących do wyjść, wzdłuż terażniejszych i przyszytych wektorów rozpiętych między drewnianymi szynami i bruzdami stoją teraz razem Puści, Bezstronni i Zieloni, czekając, ciągnąc lub nadzorując, niektórzy rozmawiają ze sobą pierwszy raz, odkąd zaistniał podział na śmierć narodu i życie narodu – ile to lat temu? – pogodzeni teraz przez to jedno jedyne Wydarzenie, które mogło połączyć ich z powrotem (ja nie mogłem, zdaje sobie sprawę Enzian, i drży na samą myśl o tym, co się stanie, gdy to wszystko dobiegnie końca – może potrwa tylko ułamek dnia,

ale dlaczego to nie miałyby być dostatecznie długo? Spróbujmy, żeby było...).

Mija go Christian schodzący ze wzgórza, poprawiający pas, wcale nienadęty – przedwczoraj odwiedziła go we śnie siostra Maria, by powiedzieć, że nie pragnie zemsty na nikim, że powinien kochać i obdarzać ufnością Nguarorerue – zatem gdy oczy tych dwóch spotykają się teraz, to nie jest rozbawienie ani też starcie, po prostu wiedzą razem więcej, niż wiedzieli dotąd, i w chwili wymijania ręka Christiana drga, jakby do oddania honorów, jakby dla uświetnienia, skierowana na Pustac, północny zachód, do Królestwa-ku-Śmierci, i ręka Enziana podąża w tę samą stronę, *ija 'kurandye!*, i w tym momencie dwie dłonie prześlizgują się jedna po drugiej i ocierają o siebie, dotykają się, a ten dotyk i ufność wystarczają w tej chwili...



Całkiem niespodziewanie kraj ten okazuje się sympatyczny, gdy już się do niego zawita, owszem, naprawdę miły. Mimo że mieszka tutaj łotr, z którym nie ma żartów tak samo jak ze śmiercią. To jest ojciec typowego amerykańskiego nastolatka, próbujący – epizod po epizodzie – zgładzić swojego syna. Szczeniak o tym wie. Proszę to sobie wyobrazić. Jak dotąd, udaje mu się wyjść cało z zamachów obmyślanych codziennie przez tatusia. Ale nikt nie mówi, że tak będzie wiecznie.

To pogodny i dzielny chłopak, który właściwie nie bierze niczego ojcu za złe. Ten stary Broderick to prostu durny niedoszły przestępca, kurza dupa, co wykombinuje następnym razem –

Gigantyczne państwo-kombinat, Miasto Przyszłości, zabudowane drapaczami chmur z lat trzydziestych, uskokowe fasady i balkony, szczupłe chromowane kariatydy z kokami, eleganckie statki powietrzne dryfują przez zgiełk i ciszę miejskich otchłani, złotoskóre ślicznotki opalają się w dachowych ogrodach, machając rękoma, gdy przechodzisz w pobliżu. To Raketenstadt.

W dole tysiące dzieci biega po wystawionych na wiatr dziedzińcach i parcelach, po kondygnacjach schodów, na głowach jarmułki z plastikowymi śmigiełkami, które szumią i wirują, to gońcy roznoszący wiadomości wśród plastikowych traw, między różnymi biurami z miękkich tworzyw sztucznych – jest polecenie dla ciebie, Tyrone, idź odnaleźć Jaśniejącą Godzinę (Kurde, nie wiedziałem, że zaginęła! Wygląda na to, że tatko znowu chce mi wyciąć numer!), no więc jazda na zatłoczone korytarze, pełne figlujących psów, rowerów, ślicznych nieletnich sekretarek na wrotkach, wózków towarowych, w świetle śmigają bez przerwy mycki, na każdym rogu pojedynki na kapiszonowce albo pistolety na wodę, uniki za iskrzące się fontanny, UWAŻAJ, to prawdziwa broń, prawdziwa kula, dzyng!, chytre zagranie, tatko, ale nie jesteś dzisiaj tak sprytny jak Szczeniak!



Naprzód, na odsiecz Jaśniejącej Godzinie, którą wyabstrahowali od dwudziestu trzech koleżanek wspólnicy Ojca z im tylko znanych, złowróźbnych powodów. Orientacja nastęrcza trudności – budynki przemieszczają się bowiem po kątach prostych w obrębie siatki ulic Raketentadt. Można również podwyższyć albo obniżyć gmach, o kilkanaście pięter na sekundę, by osiągnął wymaganą wysokość lub poziom pod ziemią, jakby się było kapitanem łodzi podwodnej obsługującym peryskop. Niektóre ścieżki są dla ciebie niedostępne. Dla innych tak, ale nie dla ciebie. Szachy. Twoim celem nie jest Król – nie ma Króla – lecz doraźne zdobycze takie jak Jaśniejąca Godzina.

Hyc! Spod ziemi wyskakuje dzieciak w wirującej mycce, wręcza Slothropowi drugą wiadomość i pryska. „Jaśniejąca Godzina przetrzymywana jest w niewoli. Jeśli chcesz ją zobaczyć w trakcie pokazu zorganizowanego dla wszystkich zainteresowanych klientów, bądź o 11.30 pod tym adresem” – akurat jak na zamówienie po niebie przepływa biała tarcza zegarowa, ojej, tylko pół godziny na zebranie ekipy. Ekipa będzie się składać z Magii Mirt, frunącej tutaj w bordowym kostiumie z wywatowanymi ramionami, we włosach wałki, na twarzy marsowa mina, bo wyrwali ją z Krainy Snów... Murzyna imieniem Maximilian, w perłowoszarym garniturze i pelerynie, miga wypomadowana kwadratowa głowa i supercienki wąsik, melduje się ze swojej oficjalnej roboty w charakterze kierownika klubu „Ugabuga”, gdzie śmietanka z Bacon Street brata się co wieczór z pijaczkami i narkomanami z Roxbury, siemanko, Tyrone, jak ci leci? Cześć, słodka Mirciu, hej-ej-ej! Co tak cię przypiliło, człowieku? Regulując karnację skóry, rozgląda się po pokoju, aha, są już wszyscy z wyjątkiem Marcela, ale uwaga, nadstawcie uszu, to ten znany temat kataryniarzy, trącająca myszką melodia Stephena Fostera, no i proszę, balkonem wlatuje Marcel, automatyczny szachista pochodzący z czasów Drugiego Cesarstwa, skonstruowany sto lat temu dla prestidigitatora Robert-Houdina, poważnie wyglądający młody francuski uchodźca, śmieszna

fryzura, uszy idealnie okolone włosami, które wyrastają raptownie nad centymetrowego paska nagiej plastikowej skóry, czarne lakierowane włosy, okulary w rogowych oprawkach, odrobina powściągliwości w sposobie bycia, niestety, nazbyt wnikliwy w relacjach z ludźmi (wyobraź sobie, co się działo, gdy pierwszego razu Maximilian staje w drzwiach, wywijając palcem, haj-da-ho, widzi siedzącego w środku metalowo-ebonitowo-plastikowego Marcela i pyta: „Ej, człowiek, masz w ogóle gumę?”, a Marcel wygłasza monolog o gumie pod wszelkimi postaciami, potem wdaje się w szczegółowe omówienie słowa „mieć”, wreszcie przechodzi do gruntownego przeanalizowania pojęcia „człowiek”. To wyczerpujące. Bogiem a prawdą, Marcelowi wciąż daleko do końca przemowy). Mimo to jego wyborne dziewiętnastowieczne szare komórki – dzieło tradycji konstruktorskiej, która bezpowrotnie odeszła w przeszłość, jak ptak dodo – bardzo się przydały Czerstwej Czwórcie w trakcie niejednego starcia ze Zdradzieckim Zgredem.

Gdzie w Marcelu znajduje się karli Arcymistrz, mały Johann Allgeier? Gdzie pantograf i magnesy? Nigdzie. Marcel jest prawdziwym automatycznym szachistą. Nie ma w nim żadnych ukrytych elementów, które nadałyby mu najmniejszy rys człowieczeństwa. Każdy z Cz. Cz. posiada pewną umiejętność będącą jednocześnie ułomnością, wskutek czego nie potrafią żyć po ludzku. Magia Mirt specjalizuje się w cudach. Dokonuje niebywałych wyczynów, nieosiągalnych dla człowieka. Straciła szacunek dla ludzi; są nieudolni, ponoszą porażki, chciałyby ich kochać, ale to jest właśnie jeden jedyny cud, który nie leży w granicach jej mocy. Miłość, tego jej odmówiono. Inne istoty jej pokroju to lesbijki, fanatyczki prawa i porządku, poszukiwaczki dziwnych religijnych doznań albo osoby nietolerujące porażek tak samo jak ona, i choć przyjaciółki, Mary Marvel i Wonder Woman, zapraszają ją nieustannie na przyjęcia, żeby poznała odpowiednich mężczyzn, Mirt wie, że to bez sensu... Co się tyczy Maximiliana, ma on poczucie rytmu – wszelkiego, nie wyłączając rytmu Kosmosu. Nigdy więc się nie zjawi tam, gdzie czeka niezgłębiony właz, gdzie niezagrożony

człowiek wypada z wysokiego okna, wyjąć jak bomba – jest przewodnikiem przez najgorsze pola minowe Ziemi, jeżeli tylko będziemy się go trzymać dostatecznie blisko, jeżeli będziemy tam, gdzie on – los Maximiliana to doświadczenie ograniczone do przedsmaku niebezpieczeństwa, do jego pierwszego dotyku podniecającego skórę...

Pierwszorzędna ekipa, szykują się na poszukiwania Jaśniejącej – ej, zaraz, a na czym polega dar Slothrop? Dajże spokój – Jaśniejącej Godziny, zbierają sprzęt, Magia z furkotem lata tu i tam, materializując potrzebne przedmioty.

Most Złotej Bramy („Co ty na to?”, „Hm, zobaczmy jeszcze raz ten drugi, no ten, z tymi, no wiesz...”, „Brooklyński?”, „No, ten taki staroświecki”, „Brooklyński Most?”, „Taa, no ten z tymi spiczastymi..., noc, cokolwiek to jest...”).

Most Brooklyński („Hej, Mirt, jeśli chodzi o scenę pościgu, powinniśmy przestrzegać proporcji”, „Wyjaśnij”, „No bo jeżeli będziemy w szybkich samochodach, to moglibyśmy wykorzystać Most Złotej Bramy... ale jeżeli będziemy frunąć, to potrzeba nam czegoś starszego, bardziej intymnego, *człowieczego*”).

Para nieprawdopodobnie eleganckich rolls-royce'ów („Przestań się zgrywać, Mirt, przecież się umówiliśmy, nie? Żadnych aut...”).

Mała zabawkowa kierownica z tworzywa sztucznego („Dobrze, wiem, że nie uważasz mnie za przywódcę naszej czwórki, ale czy mogłabyś zachowywać się rozsądnie...”).

Czy można się dziwić, że trudno pokładać ufność w tę czwórkę durniów, gdy każdego dnia ruszają do walki z Wrednym Wapniakiem? Nie ma wśród nich choćby pozorów porządku, hierarchii ani współpracy. Żadnego mechanizmu podejmowania decyzji – w najlepszym razie decyzja wynika z zamętu emocji, kaprysów, halucynacji i nieustających animozji. To nie jest zespół do walki ze złem, lecz wylęgarnia swarów, chandr, zachcianek, wzajemnych pretensji, słowem, stara śpiewka. Jego istnienie wydaje się sprawą ślepego przypadku, który błądzi po omacku raz za razem po ciężkich

marmurowych niebach Tytanicznej Nocy. Dlatego właśnie gdy Slothrop patrzy na swoich sprzymierzeńców, jego nadzieję zwycięstwa dokładnie równoważy strach przed porażką (co nie sprowadza się bynajmniej do stanu apatii, lecz powoduje głośny dysonans, który wnika do środka jak ostrza noży). Złości go, że odczuwa taki stan rozdwojenia, że jest całkowicie niezdolny do opowiedzenia się po jednej albo drugiej stronie. Ci, których w starych purytańskich kazaniach nazywano „czczymi bezstronnikami świata” nie mają łatwej drogi, Szefie, to, że nie widzisz, nie znaczy, że nie ma! Energia tkwiąca wewnątrz jest tak samo rzeczywista, tak samo władna i nieusuwalna, jak energia, która się ujawnia. Kiedy ostatni raz czułeś *przemożną obojętność*, he? W czczym bezstronniku mieści się tyle samo człowieka co w bohaterze i złoczyńcy. Pod wieloma względami musi się on zmagać z największą żalością, prawda? Dlaczego – kimkolwiek i gdziekolwiek jesteś, w mieście, na wsi, pod pierzynką czy w autobusie – nie obrócisz się teraz do najbliższego Czczonego Bezstronnika albo do własnego odbicia w lustrze i... nie zaśpiewasz po prostu...

Cześć, sąsiedzie, cześć, kolego,  
Ewidentnie to coś złego  
Żyć samotnie i w milczeniu, tak każdego dnia.  
Bez uśmiechu, bez przyjaciół, a nawet bez psa.  
Niech każdy z was się dowie,  
Że sprawy stoją na głowie,  
Musimy być grupą do końca,  
A rozbłyszczą promienie słońca.  
Teraz wszyscy razem –

Czwórka zbiera się, tymczasem głosy brzmią jeszcze chwilę, tak długo, jak chce każde z nich. Magia Mirt śmiało prezentuje swoje szalone nogi, Maximilian łypie pod spódnicę rozgadanej wisienki, nieletni speszony Marcel, który chyba ma zahamowania, chichocze.

– A teraz – Slothrop z kretyńskim przymilnym uśmiechem – pora na

Chwilę Orzeźwienia! – Wskakuje do lodówki, zanim przebrzmia słowa Magii Mirt – O Jezu! – Światło z malutkiej żaróweczki przeobraża jego twarz w granat letniej nocy, cień-dziecko Brodericka i Nalline, ich nieuznany synpotwór, urodzony z chwyதாகami teleskopowymi zamiast rąk, wyciągają się i cap... i z sercem, które gulgocze głośno jak brzuch głodnego tłuściocha... lecz spójrz, jaka zagubiona, jaka nieobecna jest, była jego twarz w ciągu półtorej sekundy, w świetle ze starej lodówki rodziców, nucącej w bostońsko-kelvinatorskiej gwarze: „No co, włącz, Tyrone, tu, w moim żołądku jest miło i przytulnie, mam dużo do zaoferowania, napój Moxie i batoniki Baby Ruth...”. Wędruje między półkami i niebosięznymi górami jedzenia, czyli miastami Lodówkolandii (uważaj, tu sobie czasem poczynają po faszystowsku, za pastelowymi słodyczami czai się termodynamiczny elitaryzm w najczystszej postaci – żarówki zastępowane są przez świece, radia milkną, lecz najważniejszą funkcją Sieci Energetycznej w tym Systemie jest chłodzenie: zamrażanie gwarnych cykli dnia, żeby zakonserwować ten bezzapachowy mały świat, ten sześćian niezmienności) wspina się na granie selerów, wyżej, na środkowym planie, mającące połyskliwe szkło z napisem „ser”, poślizg na maselnicy, wcinając arbuza aż do samej skórki, czuje, że jest żółty i jasny, gdy okrąży banany, patrzy na grynszpanowe zapędy pleśni na zeschniętej połaci starej, niemożliwej do zidentyfikowania potrawy – *banany*, kto wkłada banany –

Do-lo-dów-ki!

Nie, nie, nie!

Ci od Chiquita Banana mówią, że nie wolno tak postępować. Dzieje się coś strasznego! Kto to zrobił? Mama? Niemożliwe. Hogan też nie, przecież uwielbia banany, Tyrone niejedną raz, wchodząc zniechęcony do pokoju, przyłapywał brata na masturbacji, z nalepką Chiquita naklejoną na wzwód dla podsyceń wyobraźni, zatraconego w fantazjach o wydymaniu tej ślicznej, starszej już Latynoski, ona w kapeluszu, gigantyczny targ owocowy na głowie, do tego szeroki lubieżny uśmiech i *Ay, ay, ale wy, jankesi,*

jesteście namiętni no i-i tato też chyba nie, skąd, ale jeżeli (zimniej się robi?) to żadne z nas (co się dzieje, dlaczego dobiegająca z salonu piosenka Spike'a Jonesa „Der Führer's Face” cichnie?)... chyba że to ja zrobiłem nieświadomie (obejrzyj się, zawiasy skrzypią), a to by oznaczało, że zwariowałem (co to, dlaczego zrobiło się jeszcze jaśniej od tej żaróweczki, co –) TRZASK, ten, kto umyślnie postępuje wbrew radiowym zaleceniom United Fruit, zamknął teraz Tyrone'a w lodówce i nie pozostało nic innego jak liczyć, że Magia Mirt go uwolni. Sytuacja krępująca jak diabli.

– Dobrze kombinujesz, szefie.

– Jeju, M.M., nie wiem, co się stało...

– A wiesz kiedykolwiek? Chwyć się mojej peleryny.

Fruuu!

– Hm. Mhm. Eee, są wszyscy?...

– Jaśniejca Godzina znajduje się prawdopodobnie lata świetlne stąd – mówi Mirt – a tobie z nosa zwisa zamrażnięty glut.

Marcel doskakuje do kontrolek ruchomego budynku, wysyła do Dyspozytury prośbę o status czterokierunkowego uprzywilejowania na drogach bez ograniczenia szybkości, który nie zawsze jest przyznawany, to zależy od tajnej procedury obowiązującej organa, a jednym z celów czwórki jest jej odkrycie i przekazanie światu. Tym razem otrzymują „Pełzaka, Wektory Podmiejskie”, a to najniższy status użytkownika dróg w Raketentstadt, zastosowany dotąd tylko jeden jedyny raz, w akcji przeciw mordującemu dzieci indiańskiemu homoseksualiście, który po fakcie lubił wycierać kutasa w narodową flagę i tak dalej – Cholera! – wrzeszczy Maximilian do Slothrop – Pełzak, Wektory Podmiejskie? Człowiek, co my mamy robić, może płynąć czy jak?

– Ee, Magio – Slothrop podchodzi z szacunkiem do M.M. w złotej siateczce na włosach – myślisz, że mogłabyś...

Jeżu, za każdym razem to samo. Jak ona by chciała, żeby Smark Slothrop choć raz dał sobie spokój z tą mdlą mową-trawą i zachował się jak



mężczyzna! Zapala papierosa, wciska go w prawy kącik ust, wypycha do przodu lewe biodro i mówi z westchnieniem:

– Transmisja – wściekła jak osa na tego niewydarzeńca –

*Los!*, Cud się staje, fruną po ulicach jak długoszyi wąż morski. Małe dzieci roją się niczym mrówki na pająkowatych łukach wiaduktów, wysoko nad miastem stalaktyty jak lichen (?) znieruchomiały w trakcie upadku, dzieciaki na zwiewnych relingach, włożą na przyjazny grzbiet szczupłego potwora, krążącego po mieście. Wspinają się od okna do okna, zbyt zwinne, by spaść. Naturalnie niektóre to szpiedzy: ta mała ślicznotka o miodowych włosach, w fartuszku w niebieską kratę i niebieskich podkolanówkach, o tam, pod gargulcem u okna, podsłuchuje Maximiliana, który zaczął pić na umór, gdy tylko budynek ruszył, a teraz odsądza Marcela od czci i wiary pod nieprzekonującym pozorem dokonywania uczonej analizy osobowości Galijskiego Geniusza w celu ustalenia, czy można o nim powiedzieć, że ma „duszę”. Młoda dama pod gargulcem stenografuje każde słowo. To będą cenne dane dla prowadzących wojnę psychologiczną.

Po raz pierwszy staje się oczywiste, że działalność czwórki i ojcowskie spiski nie do końca wypełniają ich świat. Ich walka nie jest jedyną ani nawet najważniejszą walką. Są nie tylko inne walki, ale też wielu widzów, którzy patrzą – jak to widzowie – setki tysięcy, obsiedli cały ten obskurny żółty amfiteatr, wszystkie miejsca zajęte, rzędy krzeseł i piętra biegną kilometrami w dół aż do wielkiej areny, żółtobrązowe światła, żywność rozrzucona wyżej na kamiennych pochyłościach, pokruszone bułeczki, łupiny po orzechach, kości, do połowy wypite butelki z napojami zielonego i pomarańczowego koloru, ogniki w małych osłonach od wiatru, ustawionych pod kątem w miejscach, skąd usunięto krzeselka, w płytkich zagłębieniach pokłady wiśniowego żaru, na którym kobiety pichcą posiekane odpadki, resztki i chrząstkowate kawałki mięsa, smażąc je w tłuszczu bulgoczącym na cienkich patelniach, a kiedy twarze dzieci zwierają się kręgiem w oczekiwaniu na posiłek, ciemny młody człowiek, cwany kozak, który każdej niedzieli czeka



pod żelazną bramą na twoją pannę, który zabiera ją na mecz, samochód nieznanego i forma miłości, jakiej nie potrafisz sobie wyobrazić, stoi teraz z włosami wystawionymi na wiatr, twarz odwrócona od ognia, czując chłód gór w skroniach i wysoko pod żuchwą... podczas gdy przy innych ogniskach kobiety plotkują, jedna wyciąga szyję, by pobiec spojrzeniem kilometry w dół, ku scenie, by zobaczyć, czy rozpoczął się następny odcinek – przebiegają gromady studentów czarnych jak kruki, palta naciągnięte na ramiona, w drodze do mrocznego sektora, do którego tradycyjnie nikt nie wchodzi (rezerwacja dla Przodków), ich cichnące głosy wciąż wyraźne, dramatyczne, próbując brzmieć dobrze, a przynajmniej jako tako. Kobiety robią swoje, grają w karty, palą papierosy, jedzą. Zobacz, może Rose przy tamtym ognisku pożyczycie nam koczyk, dzisiejsza noc będzie zimna – ej, weź przy okazji paczkę tych wojskowych szlugów – no i wracaj zaraz, słyszysz? Oczywiście automatem wydającym papierosy okazuje się Marcel, bo któż by inny, to kolejne mechaniczne przebranie, a w jednej paczce znajduje się wiadomość dla pewnego widza. „Jestem pewien, że nie chciałbyś, by się dowiedzieli o lecie 1945 roku. Spotkaj się ze mną w Toalecie Męskich Transwestytów, poziom L16/93C, stacja Metatron, galeria Ogień, przegroda Malchuth. Wiesz, o której. O zwykłej Godzinie. Nie spóźnij się”.

Co to? Co ci antagoniści wyprawiają, infiltrują własną widownię? Nie. W tej chwili to widownia kogoś innego, te nocne widowiska stanowią dostrzegalną część mrocznych godzin życia Raketentstadt. Szanse na jakikolwiek paradoks są tutaj naprawdę mniejsze, niż myślisz.

Maximilian znajduje się na samym dole, w fosie orkiestrowej, udając saksofonistę, trzymając Gabinetową Uczoną Księgę pod tytułem „Mądrości najwybitniejszych pilotów kamikadze”, ilustrowaną przez Walta Disneya – na wszystkich jej stronach fruwały okrągłe skośnookie Japońce: wrzeszczące gęby, z nozdrzy wylały włosy, przednie zęby jak klawisze pianina, psie nosy (długie, starannie wykonane zawile rysunki), przygodny obserwator może być pewien, że w każdej chwili wolnej od gry na tym saksofonie Maximilian

zatopi się w tym rozwlekłym, ale jakże ambitnym dziele. Magia Mirt tymczasem wraca do cukrowej centrali, żeby obsługiwać stery, gotowa spaść jak orzeł, by ratować pozostałych, którzy na pewno (choćby przez własną głupotę) zaraz będą w opałach. Slothrop zagląda do Toalety Transwestytów, w środku dym, tłumy, bzyzące jarzeniówki, mocz gorący jak topione masło, notuje wszystko, co dzieje się między przegrodami, przy muszlach i pisuarach (musisz wyglądać jak ogier, ale nie taki ogier, poza tym żadnego metalu w wiadomych miejscach, bo ona obetnie ci o dziesięć marek za każdy, a jedyne premie, jakie wypłaca, wypisane są tutaj: krew upuszczona przy pierwszej próbie, za to dodatkowych 20 –), zastanawiając się, czy wiadomość w papierosach dotarła i czy zjawią się osobiście, czy jednak tato wyśle zamachowca, żeby był nokaut w pierwszej rundzie.

Cóż, oto samo serce: monumentalna żółta konstrukcja, o tam, w nocy spowijającej nędzne przedmieścia, nigdy niezastygające przesączanie się życia i inicjatywy przez powłokę, Zewnątrz i Wewnątrz przenikają się zbyt szybko, nazbyt zawile, by któraś z tych dwóch kategorii utrzymała hegemonię. Nieustająca rewia wchodzi na scenę, gęstnieje i rzednie, zaskakując, lejąc łzy w nieprzerwanych obrotach koła zębatego:

## SŁUCHACZ NISKICH CZĘSTOTLIWOŚCI

Niemieckie U-Booty porozumiewały się na falach długości dwudziestu ośmiu tysięcy metrów, co wynosi około dziesięciu kilocykli. Antena półfalowa musiałaby mieć wysokość lub długość dziewięciu mil i nawet gdyby ją złożyć tu i ówdzie, wciąż byłaby niezłą anteną. Jest w Magdeburgu. Tak samo jak siedziba główna niemieckich świadków Jehowy. I tak samo jak – przez chwilę – Slothrop, który próbuje odnaleźć łódź podwodną argentyńskich anarchistów, pływającą teraz w nieznanym wodach. Albo w dziwny sposób odwiedził go Squalidozzi, albo pewnego dnia on sam natknął się na Argentyńczyka przypadkiem, albo też znalazł, w trakcie nieświadomego grzebania w zakamarkach kieszeni, łachmanów lub barłogu, wiadomość otrzymaną jeszcze w zielonych dniach Barana, dawno temu w genewskiej „Café L’Éclipse”.

Strażnikiem anteny jest świadek Jehowy nazwiskiem Rohr. Dopiero co wypuszczony z obozu w Ravensbrück, gdzie osadzono go w trzydziestym szóstym (albo siódmym, nie pamięta). Z tak długim stażem więziennym człowiek ten jest w oczach G-5 odpowiednim kandydatem na nocnego stróża sieci najdłuższych fal radiowych w Strefie. Choć można to uznać za czysty przypadek, prawdopodobniejsze jest, że ostatnio zaczęła obowiązywać tutaj jakaś ekscentryczna forma sprawiedliwości, w którą Slothrop powinien chyba wejrzeć. Krążą pogłoski o powołaniu w Norymberdze trybunału do osądzenia zbrodni wojennych. Nikt, z kim Slothrop rozmawiał, nie ma pojęcia, kto sądzi kogo i za co, ale należy pamiętać, że większość to umysły spustoszone przez antyspołeczne bezmyślne przyjemności.

Oprócz stukniętych argentyńskich anarchistów jedynymi ludźmi – jeśli w ogóle znajdą się tacy – zdolnymi do porozumiewania się na falach długości dwudziestu ośmiu tysięcy metrów (dystans od stanowiska prób numer VII w Peenemünde do Hafenstrafle w Greifswald, gdzie na początku sierpnia Slothrop być może zobaczy pewne zdjęcie w gazecie) są niepoddani

denazyfikacji naziści, wciąż pływający w niewykrytych łodziach podwodnych, zarządzający własne tajne trybunały, które osądzają wrogów Rzeszy. Zatem jeżeli chcesz się poczuć w Strefie jak jeden z pierwszych chrześcijan, załóż słuchawki i wysłuchaj wiadomości o dzikich ukrzyżowaniach.

– Którejś nocy ktoś umierał – opowiada Rohr. – Nie wiem, czy był w Strefie, czy na morzu. Chciał księdza. Czy powinienem był się połączyć i powiedzieć mu o księżach? Czy dodałbym mu tym otuchy? Czasami to bardzo bolesne. Naprawdę próbujemy być chrześcijanami...

– Moi starzy to kongregacjoniści – oznajmia Slothrop. – Chyba. – Coraz słabiej pamięta rodziców, bo Broderick przeobraża się w Zdradzieckiego Zgreda, a Nalline w szszszeeech... (w co? Jakie to słowo? Im usilniej próbuje je sobie przypomnieć, tym szybciej ono się wymyka).

## LIST MAMY SLOTHROPA DO AMBASADORA KENNEDYEGO

No, cześć, Joe, jak się masz. Słuchaj, my się znowu trochę trzęsiemy o naszego najmłodszego. Mógłbyś jeszcze raz wykorzystać te twoje londyńskie koneksje, co? (Ostatni raz, przysięgam). Nawet stare wieści to dobre wieści dla tatka i dla mnie. Ciągle pamiętam, coś powiedział, kiedy gruchnęła wieść o okręcie Twojego syna, jeszcze zanim się dowiedziałeś, jak Jack się miewa. Nigdy nie zapomnę tych słów. To marzenie każdego rodzica, to ci powiem.

Aha, i ho (oj, przepraszam, pióro bryknęło, jak widzisz! Niesforna Nalline jest już po trzecim martini, no wiadomo). Tatko i ja słyszeliśmy niedawno Twoją cudowną przemowę w fabryce General Electric w Pittsfield. Jesteś w formie, panie K.! Święte słowa! Musimy się zmodernizować w Massachusetts, w przeciwnym razie będzie coraz gorzej. W przyszłym tygodniu mają tu głosować za strajkiem. Czy Wojenny Za-żyd Pracy nie miał przeciwdziałać? Ale chyba jeszcze nic się nie sypie, co, Joe? Czasami, no wiesz, w te bostońskie niedziele, kiedy niebo nad Wzgórzem rozpęka się na osobne chmury, a spod skórki chleba trzymanego kciukami wyłania się miąższ i się rozdziera... Wiesz, o co chodzi, nie? Złote chmury? Czasami myślę, och, Joe, czasami myślę, że to fragmenty Niebiańskiego Miasta spadają na dół. Przepraszam, nie chciałam, żeby się raptem porobiło tak smutno, po prostu... ale jeszcze nic się nie sypie, co, mój Ty harvardzki rodzicu? Czasami sprawy nie przedstawiają się za jasno, ot i tyle. Wyglądają tak, jakby się sprzysięgły przeciwko nam, i choć w końcu wszystko zawsze obraca się na dobre, i wtedy można spojrzeć wstecz i powiedzieć, no jasne, to musiało się tak potoczyć, w przeciwnym razie to i tamto by się nie stało, to jednak teraz, na gorąco, w sercu odczuwam okropny strach, pustkę jakby, i w takich chwilach naprawdę ciężko uwierzyć w jakiś wielki Zamysł, którego nasze oko nie ogarnie...

Och, będzie, co ma być. Przegonić posępne myśli! A sio! Serwują martini numer cztery!

Jack to świetny chłopak. Kocham go jak Hogana i Tyrone'a, jakby był moim synem, moim własnym dzieckiem. Kocham go nawet tak, jak nie kocham moich synów, cha, cha! (rechocze), no ale jestem grzesznym starym babsztylem, wiesz przecież. Nie ma nadziei dla takich jak ja...

## O WYRAŻENIU „W PIZDĘ JEBANY”

– W angielszczyźnie jest coś, czego nie potrafię zrozumieć, wiesz, jankeska Świnio? – Säure przez cały dzień nazywa go w ten sposób, prześmieszny żart, którego nie umie się wyrzec, często wypowiada tylko pierwsze słowo, bo zaraz potem chwyta go straszliwy świszczący, charkotliwy śmiech, biedak zatrważająco prychna kleistymi kawałkami tkanki płucnej w rozmaitych kolorach i o marmurkowej fakturze – jest na przykład zieleń, zieleń starego posągu w ulistnionej noc.

– Jasne – odpowiada Slothrop – ty chcesz znać angielski, ja ciebie uczyć. Pytaj o wszystko, Szwabie. – To właśnie tego rodzaju hurtowe propozycje zawsze kończą się dla niego kłopotami.

– Dlaczego mówicie o jakimś facecie „w pizdę jebany”? Nie rozumiem tego. Przecież to nie ma żadnego sensu. Chyba w dupę, jeśli już?

– Ehe – odpowiada Slothrop.

– To jedna z wielu Amerykańskich Tajemnic – stwierdza z westchnieniem Säure.

– Chciałbym, żeby ktoś mi to wyjaśnił. Nie ty, oczywiście.

Säure zgłasza wiele zastrzeżeń do mowy innych ludzi. Pewnej nocy, jeszcze w czasach, kiedy był włamywaczem-muchą, miał niebywałe szczęście zakraść się do zamożnego domu Minnie Khlaetsch, astrologa Szkoły Hamburskiej, kobiety, która zdradzała wrodzoną niezdolność do wymawiania – a nawet dostrzegania – umlautów nad samogłoskami. Tej nocy zaliczyła nadmierną dawkę hieroponu, gdy akurat Säure, który był wtedy przystojnym młokosem o kręconych włosach, zaskoczył ją w sypialni, ściskając w dłoni skradzionego laufra z kości słoniowej, uśmiechniętą sarkastycznie figurę szachową, wypchaną czystą peruwiańską kokainą, wciąż pełną Ziemi. „Nie krzycz – radzi jej Säure, migając lipną flaszką kwasu – bo ta śliczna buzia spłynie z czaszki jak budyń waniliowy”. Lecz Minnie odczytuje blef: woła na pomoc wszystkie rówieśniczki, obecne pod jej



dachem, mające na widok atrakcyjnych młodych włamywaczy te same sprzeczne odczucia, które można podsumować słowami „pomocy-pomocy-ale-żeby-zdążył-mnie-zgwałcić”. Napadnięta chce krzyknąć: *Hübsch Räuber*, *Hubsch Räuber*, co znaczy: „Ładny rabuś, ładny rabuś!”. Ale nie potrafi wymówić umlautów. Toteż z ust wychodzi *Hubschrauber*, *Hubschrauber!*, co znaczy: „Helikopter, helikopter!”, hm, jest rok tysiąc dziewięćset dwudziesty któryś i nikt w zasięgu głosu nie ma zielonego pojęcia, co to słowo znaczy, suwośrub, a co to? – nikt oprócz ogryzającego paznokcie studenta aerodynamiki, cierpiącego na paranoję w odległej kamienicy czynszowej, który usłyszał wołanie późną berlińską porą mimo dudnienia tramwajów, strzałów na sąsiednim podwórku, wprawek świeżo upieczonego muzyka, od czterech godzin próbującego grać na organkach „Deutschland, Deutschland über alles”, gubiącego nuty, łamiącego tempo, dmuchanie ii... *berall... es... indie... ie...* potem długa przerwa, no dalej, dupku, przecież możesz znaleźć... *Welt* nieczysto, ach, natychmiastowa poprawka... przez to wszystko dobiega do niego wołanie, *Hubschrauber*, suwośrub, helisa wkręcająca się w korek powietrza nad winem Ziemi, tak, wie dokładnie – czy to wołanie jest przepowiednią? przestrogą (niebo ich pełne, szara policja we włazach z karabinami laserowymi, zagnieżdżona pod wirującymi śrubami jak jądra w suspensorium *widzimy cię z góry, nie ma dokąd uciec, to ostatnie schronienie przed cyklonem*), by zostać w domu i się nie wtrącać? Zostaje w domu i się nie wtrąca. Staje się Spörri z przesłuchania Horsta Achtfadena przez Schwarzkommando. Nie poszedł zobaczyć, o czym tamtej nocy wrzeszczała Minnie.

Przedawkowałyby śmiertelnie, gdyby nie nadszedł jej chłopak Wimpe, wybijający się kontrahent IG na Terytorium Wschodnim, który wpadł do miasta po niespodziewanym opchnięciu wszystkich próbek oniryny gromadce amerykańskich turystów, szukających nowych wrażeń hen, w górzystej Transylwanii – to ja, *Liebchen*, nie sądziłem, że tak szybko wrócę – i w tej samej chwili widzi bezwładną atlasową postać, interpretuje trafnie

wielkość źrenic i barwę skóry i biegnie do swojej skórzanej torby po strzykawkę i stymulant. To i wypełniona lodem wanna przywracają ją do życia.

– „Pizda” wzmacnia to przekleństwo – próbuje tłumaczyć marynarz Bodine. – Mówi się na przykład „w pizdę jeża”. A ja nawet nie wiem, czy jeż coś takiego ma. Mówi się też w „dupę jebany”, ale jak kogoś bardzo nie lubisz, to on jest jebany w pizdę.

– Ale jak mężczyzna może być jebany w pizdę? – oponuje Säure.

– Może i to wcale nie robi z niego dziewczyny.

– Czyli gdy kogoś bardzo, ale to bardzo nie lubię, to mogę powiedzieć „w trzy pizdy jebany”, bo to już chyba niewiele zmienia, jest tak samo bez sensu.

– Jeśli chcesz, to możesz, lecz to i tak nie robi z gościa dziewczyny. – Bodine mruga oczyma, głos mu się załamuje całkiem naturalnie, jak gdyby ktoś miał go zaraz zdzielić przez łeb – w rzeczywistości to dowcip na prywatny użytek tego wilka morskiego, naśladuje Williama Bendixa. Niech pozostali odstawią Cagneya i Cary’ego Granta, Bodine specjalizuje się tylko w drugoplanowych rolach, potrafi idealnie udawać Arthura-Kennedy’ego-jako-młodsze-go-brata-Cagneya, co wy na to? A-albo wiernego Grantowi hinduskiego nosiwodę Sama Jaffe’a. Jest majtkiem na okręcie życia, a to obejmuje również wokalne próbki nieprawdziwych żywotów filmowych.

Säure uprawia podobne papugowanie muzyków, stara się, uczy metodą prób i błędów, teraz – iii-iii-zzz-zzz – rzępoli hipotetycznego Joachima, grającego kadencję z niedawno dopiero odnalezionego koncertu skrzypcowego Rossiniego (opus pośmiertne), czym doprowadza wszystkich do obłądu. Pewnego dnia Trudi wychodzi, trzasnąwszy drzwiami, wprost w osiemdziesiątą drugą powietrznodesantową, opadającą na zdobyte miasto, milion pierzastych czasz na niebie, jak biały popiół dokoła jej odchodzącej sylwetki. „On mnie doprowadza do szału”. „Ej, Trudi, a dokąd to?”, „Do szału!”, i nie myśl, że ten stary napalony ćpun jej nie kocha, bo owszem, kocha, i nie myśl, że się nie modli, że nie spisuje starannie swoich życzeń na

bibułce do rolowania papierosów, że nie zawija w nią potem swoich najlepszych, świętych konopi, że nie wypala do końca, aż zostaje tylko bąbel na wardze, bo to jest narkomańska wersja wypowiedzenia życzeń na widok wieczornej gwiazdy, ma w sercu nadzieję, że ona tylko kolejny raz trzasnęła drzwiami, proszę, zaraz wróci, że będzie po sprawie jeszcze przed zachodem słońca, „jeszcze ten raz”, tak pisze na skręcie wypalonym do poduszki, „to wszystko, więcej nie będę prosił, spróbuję, przecież mnie znasz, nie sądz mnie zbyt ostro, proszę...”, ale ile jeszcze może być tych trzaśnieć drzwiami. Któreś będzie ostatnim. Ale cóż, katuje dalej Rossiniego, iii-iii-zzz-zzz, promieniując swoją nędzną, lichą długowiecznością ryzykanta i ulicznika, nie wydaje się, by mógł przestać, to starczy nawyk, nienawidzi siebie za to, ale co ma zrobić, gdy to go tak nachodzi, żeby nie wiem jak bardzo się skupiał, bez przerwy wciąga go ta chwytliwa kadencja... Marynarz Bodine rozumie go i próbuje pomóc. Klin klinem – skomponował własną kontrkadencję, wzorowaną na melodiach szlagierów z około czterdziestego piątego, zatytułowanych tak trochę klasycznie („Preludium do pocałunku”, „Symfonia czynszowa”) – przy każdej sposobności nuci ją cotygodniowym gościom, Lalli dopiero co przybyłej z Lubeki, Sandrze, która uciekła z Kleinbürgerstrasse, oto wstrętny Bodine z gitarą, kręcąc biodrami łązi za każdą niesforną uciekinierką, będącą ziszczeniem seksualnych fantazji z kodeksu karnego, wzruszająco wykonując utwór o nazwie:

## MOJA NARKOMAŃSKA KADENCJA

Gdy na wiośle ktoś ci wytnie  
Słodkie melodyjki w skocznym rytmie,  
Będzie to MOJA NARKOMAŃSKA KADENCJA AA!

Melodyjki tak nastrojowe  
Skąd się biorą, zachodzę w głowę,  
(ch-cha, cha!) To przecież MOJA NARKOMAŃSKA KADEN-CJAAA-  
A(A)A!

(teraz kadencja właściwa:)

Wiem, że daleko mi do Rossiniego (krótki urywek ze „Sroki złodziejki”),  
Nie umygam się do Bacha, Brahmsa,  
(bu-bu-bu-buuuu) [uu] uuu [śpiewane do początku Piątej Symfonii  
Beethovena]

Ale oddałbym wena Beethovena... zaraz, chwila, to źle... wenę Beethovena,  
nie rymuje się...

wenę Beethovena? Hmmm

[scherzando]

Ta piosnka pchnie cię w me ramiona!

dum-di-dum, di-dum, sza, na, naaaa,

Lepsza jest niż symfoniaaaa!

To MOJA NARKOMAŃSKA KADENCJA dla ciebieeee!

Teraz mrówkowiec nazywa się *Der Platz*, wypełniony po brzegi znajomymi Säurego. Niespodziewanie dokonuje się zmiana – w zakamarkach tego gmaszyska wyrasta o wiele więcej roślinności, pojawił się zmyślny system przewodów i luster, regulowany z godziny na godzinę, dzięki któremu, po raz pierwszy w dziejach, światło słoneczne dociera do najgłębszych podwórzy, odsłaniając kolory niewidziane nigdy przedtem... jest też deszczowód, którym kieruje się deszczówkę do rynien, lejków, kół

wodnych, dysz, ścianek rozpryskowych i tam, toteż latem można się bawić przy rzekach i wodospadach... jedyne pomieszczenia, wciąż zamknięte od wewnątrz na klucz, zarezerwowane są dla odludków, fetyszystów i zagubionych przybłędów, którzy potrzebują samotności, jak ćpun potrzebuje narkotyku... a skoro już o tym mowa, wszędzie można natrafić na chomikowane narkotyki z aptek wojskowych, od piwnic po poddasza podłogi zasłane są pętlami z drutu i plastikowymi zatyczkami od półgranowych jednorazówek po winianie morfiny, wyciśniętych jak tubki pasty do zębów, rozbitymi pojemniczkami po azotynie amylu, wykradzionymi z masek przeciwigazowych, burymi puszkami po amfetaminie... wokół mrówkowca trwają roboty ziemne, gdyż powstaje *antypolicyjna fosa*: aby nie rzucać się w oczy, po raz pierwszy w historii ludzkości kopie się od dołu, przestrzeń pod Jacobistrasse zostaje w powolnym, paranoicznym tempie opróżniona, ukształtowana, cienka skórka nawierzchni starannie podparta, by przypadkowy tramwaj nie zanurkował niespodziewanie w głąb ziemi niezgodnie z rozkładem jazdy – choć coś takiego już się zdarzało, późną nocą, gdy ciepłe oświetlenie w wagonie miało barwę klarownego rosołu, tam, na peryferyjnych trasach wiodących przez długie odcinki ciemnego parku albo wzdłuż rozśpiewanych ogrodzeń składów towarowych, wszystkie parkany naraz jak usta w ciup do *mezzo forte*, asfalt umyka spod kół i lądujesz w jakiejś mokrej fosie wykopanej przez paranoików, nocna zmiana patrzy na ciebie wytrzeszczonymi gałami mieszkańców podziemi, nos w nos nie tyle z tobą, co z dręczącą zagadką, czy to prawdziwy tramwaj, czy też „pasażerami” są agenci policji po cywilnemu, hm, to śliska sprawa, oj, śliska...

Gdzieś w Der Platz czyjeś dwuletnie dziecko, tłuściutkie jak prosiaczek, nauczyło się dziś wczesnym rankiem wymawiać słowo *Sonnenschein*.

– Słońce – mówi malec, wskazując palcem. – Słońce. – Dyrda do drugiego pokoju.

– Słońce! – poranny rechot dorosłego.

- Słońce! – wrzeszczy dziecko, stawiając niepewnie kroki.
- Słońce – radosny dziewczęcy głos, może jego matki.
- Słońce! – Brzdąc u okna, pokazując dokładne miejsce jej i każdemu, kto chciałby spojrzeć.

## SHIT 'N' SHINOLA

– No dobrze – mówi Säure – to teraz powiedz mi o tym amerykańskim wyrażeniu *shit from shinola*.

– A co to?! – wrzeszczy marynarz Bodine. – Wyznaczasz mi zadania czy jak? Co to, nieustanne studia nad amerykańskim slangiem czy jakieś inne gówno? Gadaj, stary durniu – chwytając Säurego za gardło i klapę, potrząsając nim asymetrycznie – jesteś jednym z Nich, przyznaj się. – Ściska w rękach szmacianą lalkę, oho, nastał poranek podejrzeń dla łagodnego na ogół Bodine’a.

– Przestań, przestań – pochlipuje zdumiony Säure, właściwie zdumienie już ustępuje miejsca łzawej pewności, że włochaty marynarz postradał zmysły...

No cóż, słyszałeś wyrażenie *shit from shinola*? Na przykład: „Och, w tej sprawie on nie potrafi odróżnić gówna od pasty do butów”. Albo: „Marynarzu, wy nie odróżniacie gówna od pasty do butów!”. I wysyłają cię obierać cebulę albo i gorzej. Wynikałoby z tego, że gówno i pasta do butów stanowią dwie całkowicie odrębne kategorie. Trudno sobie wyobrazić – może z powodu odmiennych zapachów – by gówno i pasta mogły współistnieć. To niepodobieństwo. Człowiek, któremu obca jest angielszczyzna, niemiecki ćpun pokroju Säurego, nieznający żadnego z tych dwóch słów, może postrzegać pierwsze z nich jako swego rodzaju komiczny wykrzyknik, jakiego mógłby użyć z uśmiechem prawnik w meloniku, składający dokumenty, chowający je do brązowej teczki – Schitt, Herr Bummer – z tymi słowami wychodzi z twojej celi, lizusowski skurwiel, by nigdy nie wrócić... albo Scchhit!, spada ostrze tekturowej gilotyny na czarno-białego polityka, głowa stacza się ze wzgórza, zabawne wzory smug po koziołkowaniu, a ty myślisz, owszem, chciałbym coś takiego zobaczyć, zetnijcie, o jednego gada mniej, *schitt ja!* Co się tyczy pasty, sprawę oddajmy akademikom Franzowi Pöklerowi, Bertowi Fiblowi, Horstowi Achtfadenowi i innym, ich *Schein-Aula* to szemrzący, niezadaszony, alabastrowy stadion w stylu Alberta



Speera, z gigantycznymi drapieżnymi ptakami z cementu na każdym rogu, skrzydła wysunięte do przodu, ocieniają zakapturzone niemieckie oblicza... z zewnątrz stadion jest złoty, to białe złoto tego jednego jedyne płątka konwalii, oświetlonej słońcem o czwartej po południu, wesołej, na szczycie małego, sztucznie schodkowatego wzniesienia. Ten Pozorny Stadion ma dryg do atrakcyjnego pozowania profilem, na tle szlachetnych chmur, przywodzi na myśl wytrwałość powracającej wiosny, nadziei na miłość, topnienia lodu i śniegu, spokoju akademickiej niedzieli, woni dopiero co ściętej lub zdeptanej trawy, później przemieniającej się w siano... ale w środku Schein-Auli wszystko jest niebieskie i zimne jak niebo nad głową, niebieskie jak niebieski ptak albo planetarium. Nikt nie wie, w którą stronę patrzeć. Zacznie się nad nami? Na dole? Z tyłu? W połowie wysokości? I jak szybko...

Istnieje jedno miejsce, gdzie gówno i pasta się schodzą, a miejscem tym jest ubikacja w tancbudzie Roselanda, skąd Slothrop wyruszył w podróż kanalizacją, o czym mówią dokumenty sporządzone w szpitalu Świętej Weroniki (ocalone w tajemniczych okolicznościach z wielkiej zagłady szpitala). Gówno jest kolorem, którego obawiają się biali. Gówno jest obecnością śmierci, ale nie żadnej abstrakcyjnej postaci z kosą, lecz sztywnego, gnijącego trupa, tkwiącego w ciepłym prywatnym odbycie białego człowieka, obaj w wielkiej już zażyłości. Po to właśnie jest biała ubikacja. Widziałeś kiedy ubikację brązową? Skąd, ubikacja ma kolor nagrobków, kolumn klasycznych mauzoleów, biała porcelana jest godłem Bezwonnej i Urzędowej Śmierci. Tak się składa, że pasta do butów ma kolor gówna. Czyścibut Malcolm siedzi w ubikacji, nabiera pastę z puszki, odprowadzając pokutę nałożoną przez białego człowieka za grzech urodzenia się w kolorze gówna i czernidła. Miło pomyśleć, że pewnego sobotniego wieczoru, pewnego roztańczonego wieczoru w lokalu Roselanda, Malcolm podniósł wzrok znad butów gówniarza z Harvardu i napotkał wzrok Jacka Kennedy'ego (syna tego ambasadora), wówczas już na ostatnim roku. Miło pomyśleć, że być może Jackowi przyświecała nad głową jedna z

Nieśmiertelnych Żarówek – czy Rudzielec wstrzymał szmatę choćby na okamgnienie, by przez tę drobniutką przerwę w splocie mory biały Jack mógł nie tyle dojrzeć, co przejrzeć glans na butach Tyrone’a Slothrop? Czy ci trzej kiedykolwiek ustawili się w ten sposób – jeden siedział, drugi kucał, trzeci przechodził obok? Koniec końców, Malcolm i Jack zastali zabici, a los Slothropa jest nieznan. Być może Oni przygotowali coś szczególnego z myślą o nim.

## INCYDENT W TOALECIE DLA TRANSWESTYTÓW

Między nogi w kabaretkach, dziewczęcych skarpetkach, zrolowanych poniżej kostek, między damskie kapelusiki, wetknięte za jedwabne paseczki, wsuwa się niezauważona małpa człekokształtna, może orangutan, kryjąc coś za plecami. Wreszcie wyciąga łapę do Slothrop, wystrojonego w blond perukę i tę samą długą białą kreację, którą Fay Wray włożyła na statku, na próbę przed kamerą z Robertem Armstrongiem (biorąc pod uwagę perypetie Tyrone'a w tancbudzie Roselanda, możliwe, że wybrał tę lejącą się suknię nie tylko powodowany tłumionym pragnieniem, żeby zostać wydymanym niewyobrażalnie przez czarną małpę, lecz także ze względu na kolosalną niewinność znamionującą Fray, o czym nigdy nie mówił, wskazywał tylko palcem i szeptał: „Och, popatrz...” – uczciwość, odwaga, schludny strój, olbrzymie rękawy, toteż ilekroć zmieniasz miejsce, widać, gdzie byłeś...).

Na samym początku, jeszcze przed ucieczką:  
Parów, tyranozaur (zgrabny rzut przez ramię,  
Zwichnięte szczęki) i bzyczący wąż,  
Co skoczył na ciebie w twej skalnej kryjówce.  
Pterodaktyl też, inaczej Upadek, nie – tylko...  
Gdym tam zawisała, noc i dżungla jednym,  
Gdym tam wisała z pochodnią na ścianie.  
Czekając na tę jedną Postać nocy,  
Modliłam się wtedy, ale nie o Jacka,  
Który bąki zbijał na pokładzie statku,  
Myślałam ciągle o Denhamie, o nim,  
Jak drogę przeciera z kamerą i bronią  
Przez Najciemniejszą Ziemię, czyniąc nierealne  
Realnym, gdy celuje z jednej albo drugiej –  
O Carlu Denhamie, moim reżyserze,

Carlu nieśmiertelny...

Zapal oświetlenie, podszeptnij słowa roli...

Poznaliśmy je pod tysiącem mian... – „Greta Erdman” to tylko jedno z nich – te kobiety, których zadaniem jest kulić się z przerażenia... w domu, po pracy, zasypiają tak samo jak my i śnią o zamachach, o znowach przeciw dobrym, porządnym ludziom...

Małpa wyciąga łapę, klepie Slothropo po tyłku, wręcza mu to, co niosła, uuuu! To czarna żelazna bomba anarchisty, z zapalonym lontem do kompletu... Małpizson pryska. Slothrop stoi jak dureń, w jednym z parnych, oszklonych pomieszczeń, makijaż zaczyna puszczać, konsternacja w oczach czystych jak marmurowe kulki, usta zaciśnięte w linię, co ja, u licha, mam z tym zrobić? Nie może nic powiedzieć, bo głos by go zdradził, a łącznik wciąż się nie pojawia... Lont jest coraz krótszy. Slothrop się rozgląda. Wszystkie umywalki i pisuary zajęte. Może powinien wsunąć bombę pod czyjegoś fiuta, w strumień moczu... ech, ale czy to nie będzie wyglądało na jakąś propozycję? Rany, czasem chciałbym się szybciej decydować... m-może gdybym wybrał kogoś mniejszego od siebie... no, ale mali faceci mają odruchy, pamiętasz –

Od dylematu wybawia go bardzo wysoki, gruby transwestyta o nieco orientalnych rysach, którego ideałem – filmowym i osobistym – wydaje się mała Margaret O’Brien. Jakimś sposobem ten Azjata z kucykiem wygląda na zadumanego, gdy wyrywa syczącą bombę z rąk Slothropo, biegnie, ciska ją do pustej muszli klozetowej i spuszcza wodę, po czym obraca się do wszystkich w poczuciu dobrze spełnionego obywatelskiego obowiązku, gdy nagle –

PIERDUT!!! – wybuch jak diabli, woda tryska zielononiebieskim jęzorem (widziałeś kiedykolwiek kibel wrzeszczący „Jezusie!”?) z każdej muszli, zakrytej czarną deską, rury wiją się i piszczą, ściany i podłoga drżą, tynk odpada kawałkami i płachtami pyłu, rozgadani transwestyci milkną, wyciągają ręce, by dotknąć najbliższego sąsiada, gotując się na Głos z

Radiowęzła, mówiący:

„To bomba sodowa. Sód wybucha, gdy wejdzie w kontakt z wodą”. Zatem ten lont był atrapą. A to wredny małpison... „Widzieliście, kto wrzucił ją do muszli klozetowej. To niebezpieczny maniak. Obezwładnijcie go, a czeka was duża nagroda. Odtąd w porównaniu z zawartością waszych szaf garderoba Normy Shearer będzie wyglądać jak sklep z używaną odzieżą”.

Wszyscy skaczą na biednego, protestującego wielbiciela Margaret O'Brien, tymczasem Slothrop, dla którego obmyślono to upokorzenie oraz rychłe (bo przybycie policji się odwleka) seksualne okrucieństwo i tortury (sprytnie, muszę ci to przyznać, tatusi!), wyslizguje się, poluzniając przy wyjściu węzełki sukni, ściągając niechętnie perukę niewinności z głowy w szewronach pomady...

## CHWILA UCIECHY Z TAKESHI IICHIZO, CZYLI KOMICZNYMI KAMIKADZE

Takeshi jest wysoki i gruby (ale nie splata włosów jak ten gość od Margaret O'Brien), Ichizo – niski i chudy. Takeshi lata mitsubishi zero, Ichizo zaś oką, który jest właściwie długą bombą z kabiną dla człowieka, niewydarzone skrzydła, napęd rakietowy, kilka kontrolek z tyłu. Takeshi odbębnił tylko dwutygodniowe szkolenie dla pilotów kamikadze na Tajwanie. Ichizo musiał pół roku uczyć się w tokijskiej szkole pilotażu. Są tak różni od siebie, jak masło orzechowe i powidła. Nieładnie pytać, który jest czym.

Są jedynymi pilotami kamikadze w tej bazie lotniczej, usytuowanej na dość odległej wyspie, która teraz niezbyt już kogokolwiek obchodzi. Walki toczą się na Leyte... Iwo-jimie, przesuważą się w kierunku Okinawy, na tyle daleko stąd, że nie grozi im tutaj żaden wypad. Lecz dwaj lotnicy mają swoje rozkazy i miejsce. Niewiele tu atrakcji poza wałęsaniem się po plaży i zbieraniem zdechłych małżoraczków. To rodzina *Cypridinae*, skorupiaki w kształcie ziemniaka, z trzema ślepiami i kocimi wąsami po jednej stronie. Wysuszone i starte, *Cypridinae* stanowią znakomite źródło światła. Żeby jarzyły się w ciemności, trzeba tylko dodać odrobinę wody. Świecą na niebiesko, dziwny, przygaszony kolor – trochę w nim zieleni i trochę indygo – zaskakująco zimny, nocny błękit. W bezksiężycowe i pochmurne noce Takeshi i Ichizo zdejmują ubrania i ochlapują się nawzajem skorupiakowym światłem, a potem biegają, chichocząc, pod palmami.

Każdego ranka, a czasem i wieczorem, Trzpiotowaci Samobójcy kierują się do chaty z radarem przykrytej liśćmi palmowymi, by zobaczyć, czy w zasięgu lotu ich maszyn nie ma jakiegoś amerykańskiego celu, wartego ataku. Ale zawsze jest to samo. Stary Kenosho, stuknięty radarzysta, który bez przerwy pędzi sake w kotle destylacyjnym połączonym z magnetronem według szatańskiego przepisu, stanowiącego wyzwanie dla zachodniej nauki... no więc ilekroć tamci dwaj się zjawiają, ten zatwardziały pijak

skrzeczy: „Dziś nie będzie śmierci! Dziś nie! Przykro!” – palec wycelowany we wskaźniki radiolokacyjne, zielone promienie w ciszy zataczają koła, ciągnąc za sobą przezroczyste błony zielonego szamponu, żadnego echa w odległości większej, niż dałoby się przelecieć, żadnej śmiercionośnej mandali, do której rwą się oba serca, żadnej kropki lotniskowca osłanianego przez krąg ośmiu kreseczek niszczycieli, nic... nie, każdego ranka to samo – tylko sporadyczny grzywacz i ten stary historyk Kenosho, który teraz leży na podłodze, krztusząc się własną śliną i językiem, typowy Napad, z niecierpliwością wyczekiwana część codziennej wizyty, każdy atak usiłuje przebić poprzedni albo przynajmniej wniesć coś nowego – wolta w powietrzu, kłapanie zębami przy niebiesko-żółtych półbutach Takeshiego, ułożone na poczekaniu haiku:

Amant skacze do wulkanu!  
Głębokiego na dziesięć stóp,  
Nieczynnego –

tymczasem dwaj piloci stroją miny, chichoczą i odskakują na boki, robiąc uniki przed miotającym się posiwiałym radarzystą – co? Nie podobało ci się haiku? Nie było dostatecznie wzniosłe? Wcale nie japońskie? Brzmi po hollywoodzku? No cóż, kapitanie, tak, ty, ty, kapitanie Esberg z Pasadeny, ty właśnie doświadczyłeś Duchowego Objawienia! (ochy, achy i pierwsze brawa), a więc to ty jesteś... naszym Dzisiejszym... Paranoikiem! (orkiestra wycina „Zapnij płaszcz” albo inną zwawą paranoiczną melodię, zdezorientowany zawodnik postawiony na nogi i ciągnięty między fotelami przez gospodarza programu o połyskliwej twarzy i niesłuchanie ruchliwej zuchwie). Tak, to film! Kolejna komedia sytuacyjna o drugiej wojnie światowej, dla ciebie to okazja, by się przekonać, jak to naprawdę jest, bo... – zwyciężyłeś w konkursie!!! (werble, więcej ochów i achów, oklaski, gwizdy), a nagrodą jest podróż w jedną stronę dla jednej osoby, do rzeczywistego miejsca, w którym toczy się ten film, czyli na egzotyczną wyspę Kiy-ci-voko! (sekcje ukulele brzdąkają reprzykę „Witaj, biały



przybyśzu”, ostatnio słyszaną w Londynie i wykonaną dla Gézy Rózsavölgyiego), samolotem czarterowym linii TWA! Nocami będziesz odpędzał moskity-wampiry od gardła! Ślepnął w strugach tropikalnej ulewy! Wygrzebywał sznurki odchody z menażek szeregowców! Czekają cię nie tylko nocne ekscytacje i odurzenia, bo za dnia, punktualnie o piątej rano, będziesz się, kapitanie, zapoznawał z mitsubishi zero, za którego sterami zasiądziesz jako pilot kamikadze, sprawdzając te wszystkie kontrolki, upewniając się, czym zwalnia się bombę! Brawa! I próbując nie wchodzić w drogę tym dwóm Szurniętym Samobójcom, Takeshiemu i Ichizo, kiedy oni przeżywają cotygodniowe burzliwe przygody, z pozoru nieświadomi twojej obecności i wyraźnie złowieszczych podtekstów twego rozkładu dnia...

## ULICE

Odcinki izolacji wiszą w porannej mgle, po księżycowej nocy ciemniejącej i jaśniejącej jak gdyby za sprawą własnej regulacji, bo nawiewana mgła była tak jednorodna, że stała się prawie niewidoczna. Teraz, przy podmuchach wiatru, z czarnych poszarpanych drutów tryskają żółte iskry, trzeszczące na tle nieba szarego jak kapelusz. Za dnia izolatory z zielonego szkła mętnieją i ślepną. Słupy chylą się i cuchną starością: trzydziestoletnie drewno. Smołowane transformatory szemrzą w górze. Jakby to naprawdę był pracowity dzień. W połowie dystansu z mgły wyłaniają się topole.

Mogłaby to być Semlowerstrasse w Stralsundzie. Okna noszą to samo piętno dewastacji: czarne pokoje wyglądają, jak gdyby je wypatroszono. Być może wprowadzono do użytku nową bombę, która niszczy tylko wnętrza budynków... nie... To było w Greifswaldzie. Po drugiej stronie mokrego torowiska dźwigi załadunkowe, infrastruktura, urządzenia, woń kanału... Hafenstrasse w Greifswaldzie, na plecach czuł zimny cień olbrzymiego kościoła. Ale czy to nie Petritor, ten karłowaty łuk z cegieł, opasujący aleję z przodu... może to Slüterstrasse na rostockiej starówce... albo Wandfärberstrasse w Lüneburgu, z krążkami linowymi wysoko u szczytów kamienic, ażurowe kurki na samych wierzchołkach... dlaczego patrzył w górę? W górę na każdej z dwudziestki tych północnych ulic, jednego ranka, we mgle. Im dalej na północ, tym zwyczajniej się robi. Jeden rynsztok, poprowadzony środkiem ulicy, którym odpływa deszczówka. Kostka brukowa ułożona prościej, mniejsza szansa na niedopałek. Szpaki wypełniają echem garnizonowe kościoły. Wkroczyć do północnego miasta Strefy w mglisty dzień to przybyć z mórz do dziwnego portu.

Na każdej z tych ulic przetrwał ślad człowieczeństwa, ślad Ziemi. Bez względu na to, co jej wyrządzono, do czego ją wykorzystano...

Byli tak zwani kapelani wojskowi. Głosili kazania w tych świątyniach. Byli też żołnierze, nieżyjący już, którzy słuchali, na stojąco lub w ławach.

Trzymali się, czego się dało. Potem wychodzili i ginęli, przynajmniej niektórzy, nie zdążyli wrócić do kościoła. Działający w wojsku duchowni opowiadali mężczyznom, którzy mieli polec, o Bogu, śmierci, nicości, odkupieniu win, zbawieniu. Naprawdę tak się działo. I było dość powszechne.

Nawet na ulicy wykorzystywanej do tych celów trafiała się taka chwila, pomarańczowobrazowe popołudnie (jak nieprawdopodobny barwnik smolisty, przezroczysty na wskroś) albo nawet cały deszczowy dzień, z przejaśnieniem pod wieczór, na podwórku jedna malwa, rozbujana na wietrze, świeża od kropel deszczu, wielkich, że można by je żuć... jedna twarz przy długim murze z piaskowca, po drugiej stronie drepczące konie, skazane na śmierć, jedne włosy w niebieskim cieniu jej odwracanej głowy – jeden autobus pełen twarzy w środku nocy, na cichym placu nie śpi tylko kierowca, *Ortsschutz* w galowo wyglądającym brązowym mundurze, z przewieszonym przez ramię mauzerem, śni nie o nieprzyjacielu gdzieś nad mokradłami albo w mroku, lecz o domu i łóżku, o spacerze z kolegą, który jest po służbie, nie może spać, pod drzewami oblepionymi kurzem z dróg i nocą, depczą po ich cieniach na chodniku, grając na organkach... mijają rząd twarzy w autobusie, sinych jak topielec, niewyspanych, złaknionych tytoniu, przerażonych nie myślą o jutrze, jeszcze nie, lecz tą przerwą w nocnej wędrówce, tym, jak łatwo można przegrać i jak bardzo by to bolało...

Przynajmniej jedna chwila z całej wędrówki, ta jedna, której strata wywoła cierpienie, powinna się odnaleźć na każdej ulicy, pospolicie szarej od handlu, wojny, ucisku... Odzyskując ją, ucząc się pielęgnować to, co utraczone, odnajdziemy może drogę powrotną?

Na jednej z tych ulic, we mgle, przyklejony do dwóch śliskich kostek brukowych, leży strzęp gazety ze zdjęciem gigantycznego penisa na niebie, zwisającego wprost z krzaczastych białych włosów łonowych. Wyżej widać litery

## BM ATO ZRZU

### IROSHI

z winietą jakiejś okupacyjnej gazety oraz uśmiechniętą szalową dziewczynę, siedzącą okrakiem na lufie czołgu, stalowym penisie z rozpękniętą węzową główką, gąsienicowy bieżnik i trójkąt Trzeciej Pancерnej pomarszczone na jej cyckach pod swetrem. Białe zdjęcie charakteryzuje się tą samą nierozdzielnością, tym samym śmiałym kołtuństwem, co Krzyż. To tylko nagły atak genitaliów na niebie – a także, być może, Drzewo...

Slothrop siedzi na krawężniku i przypatruje się białemu zdjęciu oraz dziewczynie na stalowym kutasie, machającej, hej, koledzy, tymczasem mgła bieleje do postaci poranka, mijają go szarobrzazowe sylwetki z wózkami, psami, na rowerach, pozdrawiając się lakonicznie głosami zmatowiałymi od mgły. Nie pamięta, by siedział tak długo na krawężniku i patrzył na zdjęcie. Ale siedział. I patrzył.

Stało się to błyskawicznie, blada Panna podniosła się na wschodzie, głowa, ramiona, piersi – 17°36' – odsłona aż po dziewiczą błonę na widnokręgu. Kilku skazanych na pożarcie Japończyków znało ją jako bóstwo zachodniego świata. Ukazawszy się na wschodnim niebie, patrzyła z wysoka na miasto, które miało być zaraz złożone w ofierze. Słońce było w znaku Lwa. Buchnął ogień ryczący i władczy...

## SŁUCHAJĄC TOALETY

Podstawowe założenie głosi, że Oni przyjdą i najpierw odetną wodę. Kryptozoa żyjące w pobliżu licznika sparaliżuje nagle światło wdzierające się z góry... żyjątko pierzchną jak diabli w poszukiwaniu niższego, ciemniejszego, wilgotniejszego środowiska. Odciecie wody paraliżuje toaletę: gdy zostaje ci tylko jeden pełny zbiornik, trudno pozbyć się większej ilości czegokolwiek, narkotyków, gówna, dokumentów. Wstrzymali dopływ-odpływ, toteż czujesz się usidlony w Ich kadrze, wśród zbierających się nieczystości, dupsko wypełnia cały wizjer movieoli, czekasz na cięcie montażysty. Zbyt późno uświadomiłeś sobie, jak bardzo twój los zależy od Nich, od Ich zaniechań, jeśli nie dobrej woli: bo ich zaniechania są twoją wolnością. Kiedy Oni przychodzą, to jakby Apollinowie zjawili się na występ na garden party, uderzając w lirę:

## DZONG!

Wszystko zamiera. Słodki lodowaty akord wisi w powietrzu... niepodobna czuć się przy nim swojsko. Jeśli spróbujesz zagrywki: „Skończył pan, panie nadinspektorze?”, facet odpowie: „Nie... ty wstrętny ośliniony filistrze, z tobą jeszcze nie skończyłem, nie jestem jeszcze nawet w połowie...”.

Zatem dobrym rozwiązaniem jest popsuć zawór w toalecie, żeby przeciekał nieustannie, bo gdy wyłączą dopływ wody, będziesz miał dodatkową minutę lub dwie. To bynajmniej nie jest ta tuzinkowa paranoja czekania na dzwonek telefonu albo pukanie do drzwi: nie, trzeba szczególnej formy choroby psychicznej, by siedzieć i słuchać, czy nie ucichnie szmer. Ale –

Wyobraź sobie starannie obmyślane naukowe kłamstwo: że dźwięk nie rozchodzi się w przestrzeni kosmicznej. Ale przypuśćmy, że jednak się rozchodzi. Przypuśćmy, że Oni po prostu nie chcą, byśmy wiedzieli, iż tam znajduje się ośrodek, który zwykł się nazywać „eter” i który może przenieść dźwięk do każdego zakątka Ziemi. Soniferyczny Eter. Przez miliony lat Słońce ryczało, gigantyczny ryk pieca, dochodzący z odległości dziewięćdziesięciu trzech milionów mil, tak idealnie jednostajny, że całe pokolenia ludzi urodziły się w tym hałasie i umierały, nie słysząc go. Bo skoro się nie zmieniał, to jak ktokolwiek miałby się zorientować?

Tylko raz na jakiś czas, w nocy, w jakimś zakątku ciemnej półkuli, z powodu odpływów Soniferycznego Eteru pojawiały się na mgnienie oka płytkie zakamarki niedźwięku. Na kilka sekund, w różnych miejscach Świata, prawie co noc, energia-dźwięk z Zewnątrz zostaje odcięta. Ryk Słońca cichnie. W trakcie tego krótkiego życia wierzchołek antydźwięku może spocząć tysiąc stóp nad pustynią, między piętrami wyludnionego biurowca albo dokładnie wokół osobnika siedzącego w podrzędnej jadłodajni, gdzie codziennie o trzeciej nad ranem spłukują podłogi wodą ze szlauchów... wszędzie białe kafelki, krzesła i stoły przytwierdzone na stałe do podłogi, żywność zakryta sztywnymi całunami z tworzywa sztucznego...

po chwili z dworu dobiega wwwrrrrnnn!, brzdęk, tarcie, zgrzyt odkręcanego zaworu, a, no tak, Są Już Faceci ze Szlauchami, żeby Spłukać –

W tej chwili, bez uprzedzenia, wznoszący się pierzasty wierzchołek antydzwięku właśnie cię dotknął, spowijając w słońce-ciszę na, hm, powiedzmy, no, od godziny 2:36:18 do 2:36:24 czasu środkowowojennego, chyba że miejscem akcji jest Dungannon w Wirginii, Bristol w Tennessee, Ashville lub Franklin w Karolinie Północnej, Apalachicola na Florydzie lub, przypuszczalnie, Murdo Mackenzie w Dakocie Południowej albo Phillipsburg w stanie Kansas tudzież Stockton, Plainville lub Ellis, też w Kansas – owszem, brzmi to jak apel poległych, zwołany gdzieś na prerii, na niebie barwy odlewni w kształcie długich koryt, czerwień i fiolet, ciemniejący tłum cywili stojących jeden przy drugim, jak łodygi pszenicy, i jeden stary człowiek w czerni, przy mikrofonie, odczytujący nazwy miejscowości, skąd pochodzili żołnierze polegli na wojnie, Dungannon... Bristol... Murdo Mackenzie... jego białe włosy, zwiane do tyłu przez wicher z twych alabastrowych miast, w lwią grzywę, plamista porowata twarz, wypolerowana przez wiatr, piaskowa od światła, przejęte powieki opadają na zewnętrzne kąciaki oczu, gdy jeden po drugim, odbijając się echem po kowadle prerii, ciągną się nazwy miast śmierci, i niechybnie za chwilę padnie słowo „Bleicheröde” albo „Blicero”...

Cóż, jesteś w błędzie, mistrzu – tak się składa, że są to miasta, które znajdują się na granicach stref czasowych, ot i cała tajemnica. Cha, cha! Dałeś się złapać z grabą w majtkach! No, dalej, pokaż nam wszystkim, co robiłeś, albo opuść to miejsce, nie trzeba nam tu takich jak ty. Nie ma nic bardziej obmierzłego niż sentymentalny surrealista.

– A więc tak: wymienione miasta na wschodzie znajdują się w czasie wschodniowojennym. Wszystkie inne miasta położone wzdłuż styku w środkowowojennym. Wyczytane miasta na zachodzie leżą w środkowojennym, tymczasem inne miasta wzdłuż tego styku w górskim...

Nasz Sentymentalny Surrealista opuszcza już okolicę i nie usłyszy niczego



więcej. No i dobrze. Bardziej jest zainteresowany – lub obsesyjnie pochłonięty, jeśli wolisz – chwilą ciszy-słońca w garkuchni wyłożonej białymi kafelkami. Wygląda to jak miejsce, w którym już kiedyś był (Kenosha w Wisconsin?), choć nie pamięta, w związku z czym. Nazwali go „Szczeniakiem z Kenoshy”, ale być może to apokryficzna informacja. Jedyne pomieszczenie, które w tej chwili pamięta, to dwukolorowy pokój, wszystko w dwóch precyzyjnych barwach, lampy, meble, zasłony, ściany, sufit, dywan, radioodbiornik, a nawet obwoluty ksiązek na półkach – albo w kolorze (1) głębokiej akwamaryny tanich perfum, albo (2) mlecznoczekoladowego brązu butów agentów FBI. Może to było w Kenoshy, a może nie. Jeśli się postara, przypomni sobie za chwilę, jak dotarł do tej garkuchni, na pół godziny przed porą sprzątaną. Siedzi z filiżanką kawy wypitą do połowy, dużo cukru i śmietanki, okruchy ciastka z ananasek pod spodkiem, którego nie dosięgają palce. Prędzej czy później będzie musiał podnieść ten spodek i dobrać się do nich. Tylko się ociąga. Ale to nie będzie ani prędzej, ani później, bo antydźwięk spada na niego, osadza się dokoła stolika, niewidzialne wirujące powierzchnie, które go przyniosły, rwą się w górę spiralnie jak ślimaki Eterykznego Ciastka, słyszalne tylko dzięki przypadkowym odłamkom dźwięku schwytanym w wiry, głosy hen, na morzu, *nasza pozycja to dwadzieścia siedem stopni dwadzieścia sześć minut północ*, kobieta zawodząca piskliwie w nieznanym języku, fale oceanu pod burzowymi wiatrami, ktoś deklamujący po japońsku:

*Hi wa Ri ni katazu  
Ri wa Ho ni katazu  
Ho wa Ken ni katazu  
Ken wa Ten ni katazu,*

a to jest okrzyk bojowy jednostki kamikadze, latającej na okach, i znaczy:

Niesprawiedliwość nie pokona Zasady,  
Zasada nie pokona Prawa,

Prawo nie pokona Władzy,  
Władza nie pokona Nieba.

*Hi, Ri, Ho, Ken, Ten*, japoński szwargot odpływa długim solarnym wirem, zostawia Szczeniaka z Kenoshy przy przytwierdzonym stoliku, gdzie ucichł ryk Słońca. Po raz pierwszy w życiu on słyszy rwącą rzekę swojej krwi, tytaniczny rytm swego serca.

Wejść w poświęcie żarówkę i usiądź przy nim, przy tym nieznanym za stolikiem w publicznym lokalu. Zbliża się czas splukiwania szlauchami. Zobacz, czy możesz też wślizgnąć się w cień. Nawet częściowe zaćmienie jest lepsze od wiecznej nieświadomości – lepsze to niż kulenie się przez resztę życia pod wielką Próżnią na niebie, której istnienie ci wmówili, i pod Słońcem, którego ciszy nigdy nie słyszysz.

A jeśli nie ma Próżni? Albo jeśli jest – i Oni wykorzystują ją przeciw tobie? Jeśli wygodnie im prawić o wyspie życia, otoczonej przez pustkę? Wyspie, którą jest nie tylko Ziemia w przestrzeni kosmicznej, ale twoje osobiste życie w czasie? A jeśli w Ich interesie leży, byś w to wszystko uwierzył?

„Przez jakiś czas nie będzie nas niepokoił – mówią jedni drugim. – Spuściłem na niego Smętny Sen”.

Piją razem, wstrzykują w skórę i żyły bardzo, ale to bardzo syntetyczne narkotyki, wprowadzają do głów niewiarygodne fale elektromagnetyczne, prosto w pień mózgu, policzkują się nawzajem żartobliwie, z rubasznym śmiechem – wiesz przecież, prawda?, oto co wyziera z tych wiecznie młodych oczu... Mówią o wzięciu tego-a-tego i „zesłaniu Snu”. W stosunku do siebie też używają tego wyrażenia, w wyrazie jałowej czułości, gdy oznajmia się złe wieści na corocznym Pieczystym, gdy niekończące się gry umysłowe dopadają nieprzygotowanego kolegę – „Chłopie, aleśmy Sen na niego zesłali. Przecież wiesz, prawda?”.

## CIĘTA RIPOSTA

Ichizo wychodzi z chaty i widzi Takeshiego podczas kąpieli w beczce pod palmami, śpiewającego du-du-du-du-du, ewidentnie jakaś melodia na koto, bo brzęczy przez nos – Ichizo z krzykiem rzuca się z powrotem, wybiega z japońskim karabinem maszynowym Hotchkissa, model 92, zaczyna go ustawiać, łypiąc oczyma i chrumkając jak w dziu-dzitsu. Gdy zapina taśmę z nabojami, gotów poszatkować Takeshiego w kąpielu,

Takeshi: Zaraz, zaraz, chwila, moment, co się dzieje?

Ichizo: Ach, to ty! Myślałem, że to generał MacArthur w... w swoim kajaku!

Interesująca broń, ten hotchkiss. Używany przez wiele narodów, czuje się swojsko, gdziekolwiek los go rzuci. Amerykańskie hotchkissy zrobiły sito z bezbronych Indian pod Wounded Knee. Na lżejszą nutę można powiedzieć, że francuski hotchkiss kalibru ośmiu milimetrów, gdy naciśnie się spust, gdacze cha-cha-cha, nosowo i w sposób tak zblazowany jak gwiazda filmowa. Co się tyczy Albionu, to cóż, po pierwszej wojnie światowej mnóstwo cięższych brytyjskich hotchkissów odsprzedano w prywatne ręce albo spalono miotaczami ognia. Te stopione karabiny raz po raz wychodzą na światło dzienne w najprzedziwniej szych miejscach. Jednego widział Pirat Prentice w 1936 roku podczas wypadu ze Scorpią Mossmoon do domu Jamasa Jello w Chelsea, ówczesnego króla bohemy artystycznej – królewiątka właściwie, z gałęzi rodu podatnej na te wstrętne wrodzone choróbska, takie jak niedorozwój umysłowy, dziwactwa seksualne, o których opinia publiczna dowiaduje się w najmniej sprzyjających momentach (pewnego rześkiego, wymytego deszczem ranka goły penis zwisa ze śmietnika w przemysłowym zaułku, który zaraz wypełni tłum wściekłych robotników w beretach z antenkami, w garściach klucze francuskie metrowej długości, łomy, łańcuchy, a tu królewicz Porfirio z gołą dupą i gigantyczną aureolą loczków jak opiłki aluminium dokoła głowy, usta pomalowane

czarnym smarem, miękkie pośladki wwiercają się w zimne odpadki w poszukiwaniu stalowych okruchów, które kłują wprost bosko, oczy rozgorączkowane i czarne jak wargi, ale, o kurczę, a co to, ależ to krępujące, idą tutaj, zaraz wyjdą z za węgła, aż tu czuć woń nadchodzącego motłochu, lecz klasa pracująca nie bardzo wie, co począć z Porfiriem – maszerująca kolumna wyhamowuje, myli krok, pożał się Boże rewolucjoniści zaczynają się spierać, czy to widmo w śmietniku zostało podstawione przez Dyрекcję, żeby rozproszyć ich uwagę i tym samym osłabić determinację, czy też może to prawdziwy przedstawiciel Dekadenckiej Arystokracji, za którego można wziąć okup, a jeśli tak, to ciekawe, ile... tymczasem na dachach, w drzwiach domów z cegieł i blachy falistej pojawia się rządowe wojsko w brązowych mundurach, uzbrojone w brytyjskie hotchkissy, których nie spalono; skupili je handlarze, a potem odprzedali rządowi pomniejszych krajów na całym świecie). Może to właśnie dla upamiętnienia przygód księcia Porfirio tamtego dnia masakry James Jello trzymał u siebie stopionego hotchkissa – albo to po prostu kolejne dziwactwo kochanego Jamesa, on jest tak nieświadomy, wiadomo...

## OD SERCA, JAK CZŁOWIEK Z CZŁOWIEKIEM

– Synu, tak się zastanawiam od pewnego czasu, nad tym „sprzęganiem”, co wy je, szczeniaki, urządza. No, nad tym wstrzeliwaniem prądu do głowy, tak?

– To są fale, tatku. To coś więcej niż zwykły prąd. Zwykły prąd jest dla mięczaków!

– A tak, fale harmoniczne, cha, cha. Hm, powiedz mi, synku, jak to jest? Wiesz, przez całe życie brałem różne rzeczy i-i...

– Och, Chryste, to nie ma nic wspólnego z narkotykami.

– Myśmy swego czasu mieli „ferie”, jakeśmy to nazywali, i lądowaliśmy w naprawdę dziwnych miejscach.

– Ale zawsze wracałeś, prawda?

– Co?

– Chodzi mi o to, że zakładano, iż tutaj będzie zawsze tak samo, dokładnie tak samo, prawda? Po powrocie.

– Cha, cha, pewnie właśnie dlatego nazywaliśmy to „feriami”, synku. No bo po zabawie zawsze trzeba wrócić do starej Rzeczywistości.

– Ty wracałeś.

– Posłuchaj, Tyrone, nie zdajesz sobie sprawy, jakie to niebezpieczne. A jeżeli pewnego dnia podłączysz się, odpłyniesz i nigdy nie wrócisz? Hę?

– Ho, ho, ale bym chciał! Jak myślisz, o czym myśli każdy elektrocentryk? Z ciebie taki stary grzyb! A-a poza tym kto mówi, że to mrzonka, hm? Może to istnieje naprawdę. Może istnieje taka Maszyna, która nas stąd zabierze, zabierze całkowicie, zostaniemy wysrani elektrodami z Czaszki wprost do tej Maszyny i będziemy żyć w niej już na zawsze w towarzystwie innych dusz, które ona w sobie przechowuje. Mogłaby decydować, kogo wessie i kiedy. Narkotyki nigdy nie dadzą ci nieśmiertelności. Musiałeś wracać za każdym razem, do tej kupy gnijącego cuchnącego mięsa! Ale My możemy żyć już zawsze w czystym, uczciwym, oczyszczonym Elektroświecie –

– Cholera, a niech szlag trafi Marsa w znaku Panny...

## NIEKTÓRE WŁAŚCIWOŚCI IMIPOLEKSU G

Imipoleks G jest pierwszym *wzvodnym* tworzywem sztucznym. Pod działaniem odpowiednich bodźców łańcuchy cząsteczek wytwarzają wiązania poprzeczne, co usztywnia same cząsteczki i zwiększa przyciąganie między nimi, wskutek czego ten Przedziwny Polimer wykracza daleko poza znane wykresy fazowe, przeobrażając się ze sflaczałej gumowatej bezpostaciowości w masę plastyczną o zdumiewająco regularnym wzorze szachownicy, masę, którą cechuje twardość, połysk, przezroczystość, wysoka odporność na temperaturę, warunki pogodowe, próżnię, wszelkiego rodzaju wstrząsy (migocze leniwie w warunkach próżni. Srebro i czerń. Przez całą długość przepływają łukowate odbicia gwiazd, w ruchu kolistym, meridianami określonymi tak dokładnie, jak w akupunkturze. Czym są gwiazdy, jeżeli nie punktami w ciele Boga, w które wbijamy uzdrawiające igły naszego lęku i pragnień? Cienie kości i kanalików ludzkiego stworzenia – nieszczelnych, poranionych, opromienionych bielą – mieszają się z cieniem tworzywa. Tworzywo splecione jest z kośćmi i kanalikami, a kształt, jaki przybiera, zależy od przebiegu procesu wzvodnego: od tego, gdzie dokonuje się on szybko, gdzie wolno, gdzie boleśnie, a gdzie idzie jak po maśle... które miejsca wymienią się takimi parametrami, jak twardość i połyskliwość, czy inne będą mogły nałożyć się na powierzchnię w taki sposób, że owo przestawienie stanie się pieszczotą... gdzie wywołać nagłą przerwę – za pomocą uderzenia, szarpnięcia – w ciągu co rozkoszniejszych chwil).

Ewidentnie musiałyby to być bodziec elektroniczny. Inne sposoby przesyłania sygnału do powierzchni tworzywa ograniczono do następujących:

a) cienka matryca drutów, tworząca dość zwarty system współrzędnych, nałożona na Powierzchnię Imipoleksu. Za jej pomocą można przesłać sygnały do konkretnego miejsca, określonego precyzyjnie, no, powiedzmy w granicach pół centymetra kwadratowego.

b) system – lub kilka – emitujący promień analogiczny do znanego dobrze



strumienia elektronów, modulowany za pomocą siatek i płytek odchylen umiejscowionych wedle potrzeby na Powierzchni (a nawet pod Powierzchnią Imipoleksu, na styku z tym, co znajduje się głębiej, z tym, co wprowadzono lub co obrosło imipoleksową powłoką, w zależności od tego, którą z dwu herezji wyznajesz. Nie będziemy się teraz rozwodzić nad Pierwotnym Problemem, sprowadzającym się do stwierdzenia, że wszystko, co leży pod naskórkiem tworzywa, jest Obszarem Niepewności, przestrzeźmy tylko nowicjuszy, którzy mogą być skłonni do Schwärmerei, że kategorii Podimipleksowości – w rodzaju „Rdzeń”, „Ośrodek Energii Wewnętrznej” – nie cechuje większa realność, poza teoretyczną, niż kategorii takich jak „Obszar Naddźwiękowy” czy „Środek Ciężkości” w innych dyscyplinach naukowych).

c) lub też, rzut elektronicznego „obrazu” na Powierzchnię, podobny do projekcji filmowej. To wymagałoby użycia przynajmniej trzech projektorów. Dokładną ich liczbę spowija mrok kolejnej niepewności: tak zwany Stosunek Nieoznaczoności Otyiyumbu („prawdopodobne zaburzenie funkcjonalne  $y_r$  wywołane modyfikacjami wartości fizycznych  $\varphi_r(x, y, z)$  jest wprost proporcjonalne do podimipoleksowego zaburzenia  $Y_b$  podniesionego do potęgi  $p$ , gdzie  $p$  nie musi być liczbą całkowitą ani wartością określoną empirycznie”), w którym indeks dolny „r” znaczy *Rakete*, a „b” – Blicero.



Tymczasem Cziczeryn uznał za stosowne zaprzestać zbierania mastki po argentyńskich anarchistach. Gromadzą się czarne chmury, w postaci Nikołaja Zdziercowa z Centrali Inwigilacji Antykomunistów. Wierny Dżabajew, powodowany strachem albo obrzydzeniem, umknął na porośnięte żurawiną błotną mokradła, gdzie oddaje się pijaństwu z dwoma miejscowymi moczymordami, i być może nigdy już nie wróci. Krążą pogłoski, że tak naprawdę ruszył w objazd po Strefie w przebraniu funkcjonariusza Amerykańskich Służb Specjalnych, udając Franka Sinatrę. Wpada do miasta, staje pod knajpą i zaczyna zawodzić, po chwili już zbiera się tłumek, nieletnie ślicznotki, każda warta grzechu i grosza sypiącego się strugą z bezinteresownego nagromadzenia swetrów, jedwabnych plis i błyskotek godnych choinki. Skutkuje. Dobry sposób na darmowe wino, zaskakujące ilości wina, procesja Fuder i Fass toczy się z hukiem po wysypanych piaskiem ulicach, ilekroć pojawia się Dopita Trójka. Nikomu nie przyjdzie do głowy zapytać, co Frank Sinatra robi w towarzystwie pary steranych ochlapusów. Nikt nie ma cienia wątpliwości, że to prawdziwy Frank Sinatra. Miejscowi eleganci biorą tych dwóch za estradowców.

Gdy szlachcice płaczą w okowach nocy, giermkowie śpiewają. Nie dotyczy ich straszliwa polityka Graala. Pieśń jest czarodziejską peleryną.

Cziczeryn zdaje sobie sprawę, że wreszcie został sam jak palec. To, co go szuka, dopadnie go w samotności.

Odczuwa przymus ruszenia w drogę, choć nie wie dokąd. Dopada go, o wiele za późno, wspomnienie Wimpego, dawnego handlowca z IG Farben. Ciągnie się za nim. Cziczeryn miał nadzieję, że znajdzie sobie psa. Pies byłby idealny, całkowita uczciwość, do której mógłby dostrajać własną, dzień w dzień, aż do końca. Pies przydałby się na wędrowną. Jeśli nie pies, to może albatros nieobjęty klątwą: sympatyczne wspomnienie.

To młody Cziczeryn podniósł kwestię polityki jako narkotyku. Opium dla

mas.

Wimpe uśmiechnął się do niego. Stary, stary uśmiech, który potrafi przygasić nawet żywy ogień, płonący we wnętrzu Ziemi.

– A dialektyka marksistowska? To niby nie opium, co?

– Antidotum.

– Nie. – Albo, albo. Handlarz narkotyków być może wie o wszystkim, co kiedykolwiek wydarzy się w życiu Cziczera, ale dojdzie do wniosku, że nie ma sensu o tym mówić, lub – pod wpływem chwilowej zachcianki – wyłuszczy sprawę młodemu durniowi. – Podstawowy problem – tłumaczy jednak – polegał zawsze na skłonieniu innych ludzi, by umarli dla ciebie. Co ma dla człowieka aż taką wartość, by oddał za to życie? Przez stulecia tę rolę odgrywała religia. Religia zawsze dotyczyła śmierci. Wykorzystywano ją nie tyle jako opium, ile jako technikę. Skłaniano ludzi do umierania za konkretny zbiór przekonań dotyczących śmierci. To perwersja, *natürlich*, ale kim ty jesteś, by ferować wyroki? Cwane zagranie, długo odnosiło skutek. Ale odkąd umieranie dla śmierci stało się niemożliwe, mamy świecką wersję – waszą. Umrzeć, by pomóc Historii osiągnąć z góry wyznaczony cel. Umrzeć, wiedząc, że swoim czynem przybliżasz pożądany koniec. Śmierć rewolucjonisty, świetnie. Lecz zastanów się: jeśli Historia toczy się w sposób nieuchronny, to po co umierać? Co, Waławie? Jeśli i tak wszystko się dokona, to jakie to ma znaczenie?

– Nigdy nie było takiego wyboru.

– Gdybym ja mógł wybrać, możesz być pewien, że –

– Nigdy nie wiadomo na pewno. Nie możesz za to ręczyć, Wimpe. Okazuje się dopiero, gdy znajdziesz się w takiej sytuacji.

– To nie brzmi zbyt dialektycznie.

– Nie znam się na tym.

– Zatem do momentu podjęcia decyzji – Wimpe jest zaintrygowany, ale ostrożny – człowiek mógłby zachować całkowitą czystość...

– Czystość, nieczystość, wszystko jedno. Nie obchodzi mnie to. Staje się

prawdziwy dopiero w chwili podjęcia decyzji. Czas między takimi momentami się nie liczy.

– Prawdziwy w oczach marksisty.

– Prawdziwy w swoich oczach.

Wimpe ma sceptyczną minę.

– Ja tego doświadczyłem, ty nie.

Ćśś, ćśś. Strzykawka, igła 0.26 milimetra. Emocje wyciszane w wyłożonym boazerią hotelowym apartamencie. Ciągnąć, roztrząsać ten spór oznacza prowadzić walkę słowną, a żaden tego nie chce. Jednym ze sposobów rozładowania napięcia jest teofosforan oniry. (Cziczerin: „Chciałeś powiedzieć «tiofosforan», tak?”, myśląc, że chodzi o obecność siarki... Wimpe: „Nie, wiem, co mówię, teofosforan, Waławie”, co wskazuje na obecność Boga). Wstrzykują: Wimpe nerwowo zerkając na kran, przypominając sobie Czajkowskiego, salmonellę, wiązanek łatwych do zagwizdania melodii z „Symfonii patetycznej”. Cziczerin natomiast widzi tylko igłę, jej niemiecką precyzję, drobny stalowy punkcik. Niedługo ruszy w objazd po punktach sanitarnych i lazaretach, za którymi można tęsknić po wojnie tak samo, jak za uzdrowiskami sprzed wojny – wojskowi chirurdzy i dentyści powiążą i wbiją młotkami stal patentowaną w jego ciało oraz wydłubią z niego to, co wtargnęło brutalnie, za pomocą elektromagnetycznego urządzenia, kupionego w międzywojniu od Schumanna z Düsseldorfu, żarówka i nastawny odbłyśnik, dwuosiowe uchwyty blokujące i kompletny zestaw *Polschulen* przedziwnych kształtów, kawałki żelaza do modyfikowania pola magnetycznego... tamtej nocy w Rosji, z Wimpem, Cziczerin poczuł przedsmak – odbył inicjację w stalową cielesność... niepodobna oddzielić tego od teofosforanu, oddzielić naczyń ze stali od bezbożnego obłąkańczego naporu...

Przez kwadrans obaj biegają z wrzaskiem po apartamencie, zataczają się wkoło, po przekątnych pokojów. W sławetnej molekule Laszlo Jamfa jest pewne odchylenie, tak zwana Pöklerowska osobliwość – występująca w

uszkodzonym pierścieniu indolu – która, co do czego zgodni byli późniejsi oniryści, zarówno akademicy, jak i praktycy, wywołuje halucynacje nietypowe dla tego specyfiku. Nie tylko słuchowo-wzrokowe, lecz takie, które dotyczą po równo wszystkich zmysłów. I powtarzają się. Określone tematy, „archetypy mantyczne” (jak ochrzcił je Jollifox ze Szkoły Cambridge’owskiej), nękać wielokrotnie pewnych ludzi z konsekwencją, którą znakomicie wykazano w warunkach laboratoryjnych (zob. Wobb i Whoaton, „Rozkład archetypu mantycznego wśród studentów pochodzących z klasy średniej”, „Przegląd Psychofarmakologiczny”, nr XXIH, str. 406–453). Ponieważ zachodzą analogie do życia duchów, to zjawisko nawrotu określa się w zawodowych kręgach jako „nawiedzenie”. Gdy inne rodzaje halucynacji z reguły mijają bezpowrotnie, onirynowe nawiedzenia, powiązane ze sobą w sposób niedostępny dla byle lekomana, charakteryzują się widomą narracyjną ciągłością, wyraźnie jak, powiedzmy, artykuł w „Reader’s Digest”. Nierzadko są tak zwyczajne, tak stereotypowe – Jeaach nazywa je „najnudniejszymi halucynacjami, znanymi w psychofarmakologii” – że można je zidentyfikować jako nawiedzenia wyłącznie wskutek ostrego, choć możliwego pogwałcenia reguł prawdopodobieństwa: obecność zmarłych, podróż tą samą trasą i środkami transportu, kiedy jedna osoba wyrusza później, do celu zaś przybywa wcześniej, wydrukowany schemat, którego nie można odczytać nawet w najbardziej rzęsiwym świetle... Gdy osobnik uzmysławia sobie, że jest nawiedzony, natychmiast wkracza w „fazę drugą”, która, choć różni się intensywnością w konkretnych przypadkach, wywołuje zawsze bardzo niemiłe przeżycia: często zachodzi konieczność podania środków uspokajających (0.6 miligrama atropiny, dawka podskórna), mimo że przecież oniryna odbierana jest przez ośrodkowy układ nerwowy jako specyfik tłumiący.

O symptomach paranoi zaobserwowanych u ludzi będących pod wpływem tego specyfiku nie można powiedzieć nic szczególnego. Tak jak w innych odmianach tej dolegliwości, rzecz sprowadza się do nagłego przebłysku,

odkrycia, że *wszystko się ze sobą łączy*, wszystko w całym dziele stworzenia, że sprawy wprawdzie nie tworzą oślepiającej Jedności, niemniej zająbiają się – to swoiste poślednie oświecenie, a być może zaproszenie do środka dla ludzi pokroju Cziczierina, wstrzymywanych na skraju...

## NAWIEDZENIE CZICZERINA

Co do pytania, czy jest, czy nie jest Nikołajem Zdziercowem: facet przybywa w sposób charakterystyczny podobno dla Zdziercowa: nieuchronnie, z przytupem. Chce porozmawiać, tylko porozmawiać. Lecz gdy tak brną we dwóch w zawikłane labirynty słów, zmusza sprytnie Cziczzerina do wypowiedzania herezji, do samokrytyki.

– Jestem tu po to, by wam pomóc dojrzeć sprawę wyraźnie. Jeśli macie wątpliwości, powinniście je wyrazić otwarcie, jak człowiek człowiekowi. Nie będzie żadnych represji. Cholera, myślicie, że ja nie miewałem wątpliwości? Nawet Stalin je miewał. Wszyscy miewamy.

– Wszystko w porządku. Poradzę sobie sam.

– Ale właśnie sobie nie radzicie, w przeciwnym razie nie przysłaliby mnie tutaj. Myślicie, że oni się nie orientują, kiedy ktoś, na kim im zależy, ma kłopoty?

Cziczzerin nie zamierza pytać. W odruchu obronnym napina stalową klatkę w piersi. Ból znerwicowanego serca pulsuje w lewej ręce. Mimo to pyta, czując, że brakuje mu oddechu:

– Czy miałem zginąć?

– Kiedy, towarzyszu Waławie?

– Na Wojnie.

– Oj, Waławie, Waławie.

– Chcieliście usłyszeć, co mnie dręczy.

– Ale czy nie rozumiecie, jak oni to przyjmą? No już, wyrzucicie to z siebie. Straciliśmy dwadzieścia milionów obywateli, towarzyszu Waławie. Podobnych oskarżeń nie wolno stawiać ot tak sobie. Będą chcieli udokumentowania. Nawet wasze życie może być zagrożone –

– Ja nikogo nie oskarżam.... proszę, nie... Chciałbym tylko wiedzieć, czy mam dla nich umrzeć.

– Dajcie spokój, nikt nie chce, żebyście umierali. – Kojąco: – Dlaczego tak



myślicie?

Cierpliwy wysłannik wyciąga to z niego, jęśliwe, rozpaczliwe wyznanie, za dużo słów – paranoiczne podejrzenia, nieukoione lęki, samooskarżanie się, rozbudowując dokoła siebie kapsułę, która na zawsze odetnie go od społeczeństwa...

– Właśnie na tym polega sedno Historii – brzmi łagodny głos o zmierzchu; żaden nie podniósł się, by zapalić światło. – Najgłębsze sedno. Jak to możliwe, żeby wszystko, co wiecie, coście widzieli i czegoście dotykali, było karmione kłamstwem?

– Ale życie po śmierci...

– Nie ma życia po śmierci.

Cziczerin chciał przez to powiedzieć, że musiał walczyć, by wierzyć w swoją śmiertelność. Tak jak ciało walczyło, by zaakceptować w sobie stał. Musiał zdusić wszelkie nadzieje, wdrzeć się do stanu tej najbardziej gorzkiej wolności. Dopiero od niedawna zaczął szukać pociechy w dialektycznym balecie siły, działania, przeciwdziałania, zderzenia i nowego porządku – dopiero gdy nadeszła Wojna i Śmierć wyłoniła się po drugiej stronie ringu, pierwszy raz ujrzana przez Cziczerina po latach szkolenia: wyższa, o ładniejszej muskulaturze, ruchy oszczędniejsze, niż się spodziewał – tylko w ringu, czując straszliwe zimno wraz z każdym ciosem, dopiero wtedy zwrócił się do Teorii Dziejów – akurat do tej żałosnej zimnej pociechy – by spróbować dostrzec sens.

– Amerykanie mawiają: „Pod ciężkim ostrzałem nikt nie jest ateistą”. Ty nigdy nie byłeś wyznawcą wiary, towarzyszu Waławie. Nawróciłeś się na łożu śmierci, ze strachu.

– Dlatego chcecie, żebym zginął?

– Nikt nie chce, żebyś zginął. Nie byłoby wtedy z ciebie pożytku.

Wchodzi dwóch ubranych na buro agentów, którzy stają i przyglądają się Cziczerinowi. Mają typowe, tuzinkowe twarze. W końcu to onirynowe nawiedzenie. Dojrzałe, zwyczajne. Jedyłą oznaką nierzeczywistości jest –

Ostre-choć-możliwe-pogwałcenie-reguł-prawdopodobieństwa –

Wszyscy trzej uśmiechają się do niego. Nie ma żadnego pogwałcenia.

Krzyczy, ale jakby grzmiał. Rzuca się na Zdziercowa, przygwaźdza go pięścią, lecz tamci dwaj, odruchy szybsze, niż się spodziewał, doskakują z obu stron, by go obezwładnić. Niewiarygodnie silni. Poprzez nerwy na biodrze i dupie czuje, że wyjmują jego nagan z kabury, i jeszcze, że jego kutas wyślizguje się z Niemki, której nie pamięta, w pożegnalny poranek po słodkim winie, w ostatnim ciepłym łóżku ostatniego dnia, dnia odjazdu...

– Jesteś jak dziecko, Waclawie. Udajesz, że rozumiesz idee, które tak naprawdę cię przerastają. Do ciebie trzeba mówić prostymi słowami.

W Azji Środkowej opowiedziano mu o muzułmańskich aniołach. Jednym z ich zadań jest przepytywanie dopiero co zmarłych ludzi. Kiedy już odejdzie ostatni żałobnik, anioły przybywają do grobu i egzaminują zmarłego z wiary...

Pojawiła się jeszcze inna postać, w progu pokoju. Jest rówieśniczką Cziczerina, w mundurze. Jej oczy nie chcą niczego wyrażać. Patrzą tylko. Nie słycać muzyki, nie ma wycieczek latem... żadnego konia na tle stepu, w ostatnich promieniach słońca...

Nie poznaje jej. Ale to nie ma znaczenia. Przy takim obrocie spraw. Niemniej to Galina, wróciła do miast, wreszcie wyrwała się z ciszy, znów w ogniach łańcuchowych Świata, błyszczących, ciągnących się bezpiecznie i zawsze dość blisko, zawsze namacalnych...

– Dlaczego polujesz na swojego czarnego brata? – Zdziercowowi udaje się zadać to pytanie uprzejmym tonem.

Och, miło, że pytasz, towarzyszu. Dlaczego?

– Hm, to się zaczęło... dawno temu... najpierw myślałem, że zostałem ukarany. Pominięty. Jego winiłem.

– A teraz?

– Nie wiem.

– Dlaczego myślałeś, że on jest twoim celem?

– A mógłby być czymś innym?

– Waclawie, czy ty nigdy nie wzniesiesz się ponad to? Ponad to dawne barbarzyństwo? Rody, osobiste zemsty. Wydaje ci się, że wszystko zostało ukartowane z myślą o tobie, żebyś mógł zaspokoić swoje małe głupiutkie żądze.

Spokój, spokój.

– Tak. Prawdopodobnie. I co z tego?

– On nie jest twoim celem. Ktoś inny go chce.

– A więc pozwalaliście mi –

– Tak. Do dziś.

Dżabajew mógł ci powiedzieć. Ten zapity Azjata jest przede wszystkim szeregowcem. On wiedział. Oficerowie. Jebana oficerska mentalność. Ty odwalasz czarną robotę, a oni wkraczają tuż przed końcem, by zamknąć sprawę i spać całą śmietankę.

– Okradacie mnie.

– Możesz wracać do domu.

Cziczerin obserwuje tamtych dwóch. Widzi teraz, że są w amerykańskich mundurach, więc prawdopodobnie nie zrozumieli ani słowa. Wyciąga przed siebie puste dłonie, opalone przeguby, po ostatnią dawkę stali. Obracając się do wyjścia, Zdzierców widzi to i robi zdziwioną minę.

– Och, nie, nie – mówi. – Trzydzieści dni urlopu dla tych, co przeżyli. IV przeżyłeś, Waclawie, więc tyle ci przysługuje. Po powrocie do Moskwy masz się zameldować w Instytucie Aerodynamiki, to wszystko. Czeka na ciebie inne zadanie. Zabieramy niemieckich specjalistów od rakiet na pustynię. Do Azji Środkowej. Przyda im się ktoś znający tamte tereny.

Cziczerin zdaje sobie sprawę, że w jego dialektyce, w przebiegu jego życia, powrót do Azji Środkowej oznacza – operacyjnie – śmierć.

Odeszli. Żelazna twarz kobiety nie zerknęła przez ramię na pożegnanie. Jest sam w wypatroszonym pokoju, na ścianie wciąż sterczą rodzinne plastikowe szczoteczki do zębów, stopione już, skapujące w dół

wielokolorowymi wąsami, włoski wskazują każdą czarną płaszczyznę, kąt oraz oślepione sadzą okno.



„Najdroższym narodem ze wszystkich jest ten, który żyć będzie nie dłużej niż wy i ja, ot, powszechny ruch na łasce śmierci i czasu: przygoda *ad hoc*”.

### Rezolucja z konferencji „Pod Wypasionym Prosiaczkiem”

Na północ? Który poszukiwacz kiedykolwiek kierował się na północ? To, za czym gonisz, znajduje się na południu – smagli tubylcy, zgadza się? Byś przeżył niebezpieczeństwa i przygody, wysłali cię na zachód, byś doznał wizji – na wschód. Ale północ?

Trasa ucieczki „Anubisa”.

Kirgiskie Światło.

Hererowska kraina śmierci.

Chorążcy Morituri, Carroll Eventyr, Thomas Gwenhidwy i Roger Mexico siedzą przy stoliku na ceglany tarasie „Der Grob Säugling”, gospody nad niebieskim holsztyńskim jeziorkiem. Woda iskrzy się w słońcu. Dachy domów są czerwone, iglice wież białe. Wszystko jest miniaturowe, schludne, delikatnie pastoralne, zamknięte w cyklu pór roku. Kontrastujące drewniane iksy na zamkniętych drzwiach. Świat u progu jesieni. Krowa mówi muuu. Mleczarka puszcza bąka w wiadro, które odpowiada cichuteńkim brzdęknięciem, gęsi gęgają i syczą. Czterej wysłannicy piją rozcieńczone wino mozelskie i rozmawiają o mandalach.

Rakietę wystrzelowano na południe, zachód i wschód. Nie na północ – jak dotąd. W kierunku południowym, na Antwerpię, namiar wynosił około 173°, we wschodnim, podczas prób w Peenemünde, 72°. Zachodnim, na Londyn, około 260°. Posłuż się kreskownicą, a okaże się, że brakujący (lub „wynikowy”, jeśli wolisz) namiar wynosi mniej więcej 354°. To byłoby odpalenie wyznaczone przez wszystkie poprzednie, odpalenie widmowe, które – w logice mandali – albo już się odbyło potajemnie, albo dopiero się odbędzie.

Zatem uczestnicy konferencji „Pod Wypasionym Prosiaczkiem” – jak odtąd będzie się określać to spotkanie – zasiedli wokół mapy, wśród przyborów, papierosów i spekulacji. Nie drwij. Oto bowiem nastąpiła jedna z przełomowych chwil w powojennych dziejach działalności wywiadowczej. Mexico opowiada się za zastosowaniem współrzędnej, żeby nakreślić długości wektorów proporcjonalne do faktycznej liczby odpaleń wzdłuż każdego z nich. Thomas Gwenhidwy, jak zwykle czuły na wydarzenia w przestrzeni geograficznej, chce objąć obliczeniami odpalenia w Bliźnie w 1944 roku (kierunek wschodni), wskutek czego strzałka odbiłaby z  $354^\circ$  bardziej na północ – a do rzeczywistej północy zbliżyłaby się jeszcze bardziej, gdyby wziąć po uwagę także rakiety odpalone na Londyn i Norwich z Walcheren i Staveren.

Świadectwa i intuicja – być może osad niecywilizowanego przerażenia, które kryje się w każdym z nas – wskazują na  $000^\circ$  – rzeczywistą północ. Czy jest lepszy kierunek, by wystrzelić rakietę 00000?

Sęk w tym, że niewiele wynika z zamiaru, nawet mityczno-symetrycznego, skoro w ogóle nie wiadomo, skąd wystrzelono rakietę. Masz ostrze brzytwy, długie na dwieście osiemdziesiąt kilometrów, przesuwające się na osi wschód-zachód po dziobatym obliczu Strefy, bez końca, obsesyjnie, rozdygotane, połyskliwe, nieznośne, nieustające ani na moment...

Hm, konferencja „Pod Wypasionym Prosiaczkiem”. Bujający się kolorowy obrazek przedstawia ohydnie tłuste, śliniące się prosię. W jednej pulchniutkiej piątce mały ściska ścięgno podkolanowe (bez obrazu, świni), drugą wyciąga po całkiem człowieczy sutek swojej Matki – który wpycha się w ramy z lewej strony – wpatrzony w zbliżający się cyc, ryjek rozdziawiony – błogie spojrzenie, zaostrome zębki aż swędzą, w szklistych ślepkach obrazek POKARMUmniammniammniamsłurpślurp. „Der Grob Säugling”, dwudziesta trzecia karta arkanów większych Strefy...

Roger z lubością wyobraża sobie, że to fotka przedstawiająca Jeremy’ego w dzieciństwie. Jeremy, Który Wie Wszystko, przebaczył Jessice czas spędzony

z Rogerem. Sam raz czy dwa wyskoczył gdzieś z dziewczyną, toteż potrafi to zrozumieć, ma liberalne podejście do tych spraw, w końcu Wojna przełamuje pewne zahamowania, wiktorianizmy, jak można to określić (bajeczka podsunięta ci przez tych samych dowcipnisiów, którzy wynaleźli słynny Płaszcz Przeciwdeszczowy z Polichloroku Winyłu)... no i co jest, Roger, czy on próbuje ci zaimponować? Łuki powiek unoszą się przyjaźnie, gdy on nachyla się do przodu (niższy facet, niż Roger przypuszczał), ściskając swoją szklanę, kurząc największe bezguście z korzenia wrzośca, jakie Roger kiedykolwiek widział na oczy, cybuch zakończony główką Winstona Churchilla, nie pominięto najdrobniejszego detalu, z ust sterczy nawet cygareto, w którym wywiercono małą dziurkę, by wydostawała się przez nią smużka dymu... to pub dla szeregowców w Cuxhaven, kiedyś było tu złomowisko statków, więc samotni żołnierze marzą wśród tego żeglarskiego żelastwa, ale nie myśl, że to zwykły jednopoziomowy lokal z ogródkiem, broń Boże, niektórzy tkwią wysoko w przekrzywionych lukach albo bujają się na bosmańskich krzesłach, sterczą na bocianich gniazdach, głowy zwieszane nad piwem wśród łańcuchów, lin, poszyć, czarnej żelaznej armatury. Jest noc. Na stolikach postawiono latarenki. Na kamienistej plaży szumią łagodne fale. Spóźnione ptactwo pokrzykuje na jeziorze.

– Ale szyci kiedykolwiek nas dopadnie, Jeremy, ciebie i mnie, oto jest pytanie... – Odkąd Mexico się pojawił, wypowiada te strzępy prorocत्व, niejednokrotnie bardzo żenujące, tak jak dziś podczas lunchu w Klubie.

– Eee, co ma mnie dopaść, stary? – „Stary” przez cały dzień.

– Nie szuleś nigdy, że coś chce cię dopaść?

– Dopaść? – Jest pijany. Jest nienormalny. Za żadne skarby nie mogą go dopuszczać do Jessiki, ci matematycy są jak oboiści, najwyraźniej praca rzuca im się na mózg albo coś...

Aha, a jednak: raz w miesiącu Jeremy – nawet on! – miewa sen: o długu karcianym.... przychodzą najprzeróżniejsi Egzekutorzy... nie pamięta tego długu ani przeciwnika, który go pokonał, ani nawet gry. Za tymi



wysłannikami wyczuwa wielką organizację. Groźby są zawsze niedokończone, sam musi je dopowiedzieć... za każdym razem przerażenie przelewa się przez styk, krystaliczne przerażenie...

Dobrze, dobrze. Drugiemu sprawdzianowi niezawodności też już poddano Jeremy'ego – w ustalonym miejscu w parku wyskakują dwaj bezrobotni klauni cyrkowi o pobielonych twarzach, w roboczych ubraniach, i zaczynają okładać się nawzajem gigantycznymi (dwa, dwa i pół metra długości) penisami z gumy piankowej, wykonanymi starannie i drobiazgowo, wszystko w naturalnych kolorach. Te fantastyczne fallusy okazały się dobrą inwestycją. Roger i marynarz Bodine (gdy zjawia się w Cuxhaven) obmyślają występy Brytyjskiej Estrady. To wspaniałe źródło pozyskiwania drobnych – tłumy będą się zbierać na rogatkach tych północnoniemieckich miasteczek, by patrzeć, jak grzmocą się te dwa błazny. Spichrze, teraz puste, sterczą nad dachami, wyciągając szubieniczne ramiona na tle popołudniowego nieba. Żołnierze, cywile, dzieciarnia. Mnóstwo śmiechu.

Wydaje się, że ludziom przypominają się Tytani i Ojcowie, dlatego się śmieją. To nie jest aż tak zabawne, jak rzut tortem w twarz, ale przynajmniej równie czyste.

Owszem, ogromne gumowe fiuty zostaną tutaj jako część arsenału...

Jessica – włosy o wiele krótsze, ciemniejsze usta o innym wykroju, mocniejsza szminka, klawiatura maszyny do pisania falangą liter między nimi – powiedziała:

– Pobieramy się. Staramy się mieć dziecko.

Całkiem zniecka Roger czuje Grawitację w dupie.

– Nie obchodzi mnie to. Miej jego dziecko. Będę was kochał oboje, tylko bądź ze mną, Jess, proszę... Potrzebuję cię.

Ona prztyka czerwony guzik w interkomie. Gdzieś daleko dzwoni brzęczek.

– Ochrona. – Jej głos jest idealnie beznamiętny, słowo odbija się echem wystrzału po przestrzeniach, tymczasem przez drzwi biura w schronie

Quonseta wypełnionym wonią przyływów wchodzą gliniarze o ponurym wyglądzie. Ochrona. Jej magiczne słowo, zaklęcie przeciw demonom.

– Jess – kurwa, czy się rozpłacze? narasta to w nim jak orgazm –

Kto przychodzi w sukurs (ingeruje w jego orgazm)? Jeremy, oczywiście. Stary Borsuk pojawia się i machnięciem ręki odprawia aniołki, które odchodzą, kwaśne miny, błysk kłów, z powrotem do duchowego onanizmu nad komiksami „Zbrodnia nie płacze”, sennego gapienia się na fotki Edgara J. Hoovera w wartowni albo czegośkolwiek, co im przerwano, i raptem romantyczny trójkąt wybiera się razem na lunch w Klubie. Lunch we troje? To Noel Coward czy jakieś inne gówno? W ostatniej chwili Jessicę dopada jakiś urojony kobiecego syndrom, w którym dwaj mężczyźni dopatrują się spóźnionych mdłości porannych, Roger sądząc, że ona wytnie najbardziej wredny numer, jaki przyjdzie jej do głowy, Jeremy widząc w tym sprytne ściągnięcie na siebie uwagi. Toteż panowie zostają sami i wdają się w ożywioną rozmowę o brytyjskiej operacji „Backfire”, której celem jest zmontowanie paru A-4 i wystrzelenie ich w Morze Północne. O czym innym mogliby gadać?

– Dlaczego? – dopytuje się Roger, próbując wkurzyć Borsuka. – Dlaczego chcecie je sklecić i odpalić?

– Zdobyczna broń, nie? Co innego można zrobić z rakieta?

– Ale konkretnie, dlaczego?

– Dlaczego? Żeby to zobaczyć, oczywiście. Jessica mówiła mi, że ty jesteś... hm, matematykiem.

– Ef od iks równa się jeden dzielone przez mała sigma pierwiastek kwadratowy z dwóch pi razy e minus iks minus m w nawiasie do kwadratu dzielone przez dwie małe sigmy do kwadratu.

– Dobry Boże – śmiejąc się, pośpiesznie rozglądając po sali.

– To stare porzekadło wśród takich jak ja.

Jeremy wie, jak sobie z tym poradzić. Zaprasza Rogera na kolację wieczorem, nieformalne kameralne przyjęcie w domu Stefana

Utgartholokiego, z dawnego kierownictwa fabryki Kruppa w Cuxhaven.

– Możesz oczywiście kogoś ze sobą przyprowadzić – nadaje ochoczo Borsuk. – Mnóstwo tu apetycznych pańienek z IMWLL, nietrudno ci będzie

–

– Nieformalne znaczy garnitur klubowy, co? – przerywa mu Roger. Kiepsko, bo nie ma takiego. Zapowiada się, że jednak go dzisiaj zapuszkują. W przyjęciu, na którym znajdzie się (a) ktoś z operacji „Backfire” i (b) dyrektor od Kruppa, z konieczności weźmie udział także (c) przynajmniej jedno ucho korporacyjnej ośmiornicy, które słyszało o Incydencie z Moczem w biurze Clive’a Mossmoona. Gdyby Roger wiedział, co Borsuk i jego kumple naprawdę szykują!

Zatem przyprowadza kogoś ze sobą: Bodine’a, który sprowadził sobie ze Strefy Kanału Panamskiego garnitur o niebywałym kroju (podobne noszą w pracy tamtejsi robotnicy śluzowi, ubrania robocze w zdumiewających papuzich kombinacjach żółci, zieleni, lawendy i cynobru) – klinowate kłapy wzmocniono drutami z wieszaków, gdyż sterczą daleko poza orbitę ramion, pod jedwabną koszulę w purpurowy deseń na purpurowym tle elegancki marynarzyk włożył gorset, wciskając swoją talię w czterdzieści dwa cale sylfidy, aby zmieścić się w drastycznie skąpą przestrzeń marynarki, sięgającej kolan, z tyłu pięć rozcięć w plisach na modłę szkockiego kiltu, pyszniących się na dupie jardami materiału. Spodnie, zapięte pod pachami, zwężają się u dołu do szerokości mniej więcej dziesięciu cali, toteż wszyto ukryte suwaki, by stopy mogły wyjść z nogawek. Garnitur ma kolor niebieski, ale nie jest to błękit tkaniny, nie, to prawdziwy BŁĘKIT, błękit niebieskiej farby. Odróżnia się natychmiast od każdego tła. W tłumie bije po oczach, uniemożliwiając nawet zdawkowe pogaduszki. To garnitur, który albo zmusza cię do refleksji nad sprawami tak podstawowymi, jak jego kolor, albo rodzi w człowieku poczucie trywialności. Wywrotowy strój, stuprocentowo.

– Tylko ty i ja, współniku? – pyta Bodine. – Nie za ostro gramy?

– Posłuchaj – Roger chichocze niezdrowo, bo coś akurat przyszło mu do głowy – nie możemy nawet zabrać tych dużych gumowych fiutów. Dzisiaj będziemy musieli użyć szarych komórek!

– Wiesz co, puszcę posłańca na motocyklu do Putziego, skrzyknie dla nas ekipę zbirów i –

– Ej, chcesz się wyręczać innymi? Straciłeś zmysł przygody. Taa. Kiedyś taki nie byłeś.

– Posłuchaj, kolego – wymawiając ostatnie słowo po marynarsku: „koleho”. – Postaw się w mojej sytuacji.

– Nie chcę... bo musiałbym stać w tych okropnych żółtych butach...

– Skromny ze mnie facet – śniady palec drapie mocno pachwinę śladem nieuchwytnego kraba z długimi wąsami, marszcząc wzdęte plisy marynarki i spodnie – piegus z Albert Lea w Minnesocie, tam przy trasie 69, gdzie przez całą noc możesz wciskać gaz do dechy, po prostu próbuję wyjść na swoje tutaj, w Strefie, taki piegowaty gówniarz, co używał agrafki w korku jako anteny, słuchając do białego rana głosów od wybrzeża do wybrzeża, nie miałem jeszcze dziesięciu lat, żaden nie zalecał mieszania się w wojny gangów, koleho. Ciesz się, Rog, że ciągle jesteś tak kurewsko naiwny, zaczekaj, aż zobaczysz w akcji europejskich gangsterów. Lubią używać trzech kul: głowa, serce i żołądek. Podoba ci się żołądek? Tutaj żołądek nie jest drugorzędym organem, a to jesienna myśl warta zapamiętania.

– Bodine, ty zdezerterowałeś? Za to jest kara śmierci, nie?

– E tam, to się załatwi. Ale ja jestem pionkiem. Niech ci się nie wydaje, że wiem wszystko. Znam się tylko na swojej branży. Mogę ci pokazać, jak się sprawdza kokę, błyskotki wyczuwam na odległość i po temperaturze się zorientuję, czy są prawdziwe – lipne nie wysysają tyle ciepła z ciała, szkło to nierychliwy wampir, porzekadło dawnych jubilerów – fałszywą walutę rozpoznaję jak literę E na tablicy u okulisty i mam chyba najlepszą pamięć wzrokową w całej Strefie.

Roger ciągnie rozgadane go Bodine'a, w tym garniturze, na bibę do szychy

od Kruppa.

Gdy wchodzi, pierwsze, co widzą, to ten kwartet smyczkowy grający dla gości. Drugim skrzyptkiem jest Gustav Schlabone, niemile widziany częsty uczestnik narkotycznych nasiadówek u Säurego Bummera, czyli Kapitan Zgroza, jak się go nazywa czule i zarazem trafnie w okolicach Der Platz – a na altówce gra jego depresyjny współnik w doprowadzaniu do samobójstwa wszystkich w promieniu stu metrów, ilekroć wpadną z wizytą (kto to chichocze i puka do waszych drzwi, Fredzie i Phyllis?), czyli André Omnopon, ze szczeciniastymi wąsami Rilkego i tatuażem na brzuchu, przedstawiającym Disneyowską Świnkę (co ostatnio jest w modzie, nawet tam, w Strefie Interioru, amerykańskie nastolatki uważają, że to szalone). Gustav i André są dziś Głosami Wewnętrznymi. Co wydaje się szczególnie dziwne, bo w programie przewidziano utajony kwartet smyczkowy Haydna z opusu 76, tak zwany „Kwartet mirlitonowy” w „ges-moll”, który swą nazwę zawdzięcza części *Largo, cantabile e mesto*, gdzie Głosy Wewnętrzne grają na kazoo zamiast na tradycyjnych instrumentach, stwarzając dla wiolonczeli i pierwszych skrzypiec problemy z zakresu dynamiki, o których w ogóle nie wspomina fachowa literatura.

– Trzeba przejść miejscami od *spiccato* do *détaché* – Bodine trajkocze do Korporacyjnej Żony po drugiej stronie sali, w drodze do szwedzkiego stołu, pełnego przystawek z homarów i kanapek z kapłonem – mniej smyka, wyżej, rozumiesz pani, łagodniej, a potem jest z tysiąc wybuchów z pppp-do-fff, i tylko jeden, ten niesławny jeden, idzie w przeciwną stronę...

Faktycznie, jednym z powodów utajnienia dzieła jest to wywrotowe wykorzystanie nagłych fff, cichnących do ppp. To jak dotyk wędrującego antydzwięku, *Brennschluss* Słońca. Nie chcą, żebyś się nasłuchał takiej muzyki – a przynajmniej nie w wydaniu Haydnowskim (osobliwy wyskok artystyczny w życiu szanowanego kompozytora): wiolonczela, altówka i piskliwe kazoo, swawolące razem, brzmią jak piosenka z filmu „Doktor Jekyll i pan Hyde”, „You Should See Me Dance the Polka”, gdy nagle w

środku taktu te ostatnie milkną kompletnie, a Głosy Zewnętrzne próbują wybrzdąkać niemelodię, która – jak głosi tradycja – nawiązuje do dwóch osiemnastowiecznych wioskowych głupków, szarpiących palcami swoje dolne wargi. Nawzajem. Pizzicato niedorozwiniętych umysłowo trwa ze dwadzieścia, może nawet czterdzieści taktów, kruppowcy średniego szczebla wiercą się w pękatych fotelach, wyłożonych aksamitem, to bibubibubibubibu nie brzmi jak Haydn, *Muttill* Przedstawiciele ICI i GE przekrzywiają głowy, usiłując odczytać przy świecach programy, z pietyzmem wytłoczone odręcznie przez życiową partnerkę Utgarthalokiego, Frau Utgarthaloki, której imienia nikt nie zna (co jest Stefanowi na rękę, bo nikt się z nią nie spoufala). To jasnowłosa wizerunek twojej matki po śmierci: jeśli kiedykolwiek widziałeś ją sparodiowaną w kutym złocie, łuki policzków pociągnięte za daleko, zniekształcone, brwi za ciemnie, białka zbyt białe, skrajna obojętność, istne zło – w taki sposób Oni zdeformowali jej twarz – to wiesz, jak wygląda Frau: Nalline Slothrop też tu jest, duchem, tuż przed swoim pierwszym martini, obecna na *Kruppfest*. Podobnie jak jej syn Tyrone, ale tylko dlatego, że teraz – w początkach Panny – stał się oskubanym albatrosem. Oskubanym, akurat, *odartym ze skóry*. Rozproszonym po całej Strefie. Wątpliwe, by kiedykolwiek go odnaleziono w tradycyjnym rozumieniu wyrażenia „zidentyfikowany ponad wszelką wątpliwość i aresztowany”. Zostały tylko pióra... zbyteczne albo zdolne do odrodzenia się organy, „które z chęcią zaklasyfikowalibyśmy jako *Hydra-Phänomen*, gdyby nie całkowity brak wrogiego nastawienia...” – Natasha Raum, „Obszary nieokreśloności w anatomii albatrosa”, „Protokoły z obrad Międzynarodowego Stowarzyszenia Entuzjastów Nozologii Albatrosa”, zima 1936 roku, wspaniały mały periodyk, wysłali nawet wtedy korespondenta do Hiszpanii, żeby pisał sprawozdania, są numery poświęcone wyłącznie analizom gospodarki światowej, wszystkie mające wyraźny związek z nozologią albatrosa – czy tak zwana nocna glista należy do grupy rzekomych goldstrassów, czy też uważa się ją słusznie – bo symptomy są niemal



identyczne – za bardziej złośliwą formę hebdomeriazji Mobba?

Cóż, gdyby uczestnicy Kontrakcji wiedzieli, co te określenia w sobie kryją, mieliby większe możliwości rozbrojenia, roz-członk-owania i zdemontowania Człowieka. Ale nie wiedzą. A właściwie owszem, wiedzą, lecz się do tego nie przyznają. Smutne, ale prawdziwe. Są tak schizofreniczni, tak rozdarci w obecności przytłaczającego bogactwa i pieniędzy, jak my wszyscy, to niezbity fakt. Człowiek ma filię w mózgu każdego z nas, jego korporacyjnym godłem jest albatros, lokalni przedstawiciele występują pod fałszywym nazwiskiem Ego, a ich misja na tym świecie sprowadza się do tego, żeby wszystko było Gównem Warte. Wiemy, co się dzieje, ale nic nie robimy. Dopóki możemy ich zobaczyć, pogapić się na nich od czasu do czasu, na tych przytłaczająco bogatych. Dopóki pozwolą nam zerknąć, choćby z rzadka. Potrzebujemy tego. A oni o tym wiedzą – jak często potrzebujemy, w jakich warunkach... Wiedzą, że powinniśmy przejrzeć popularne czasopismo, które zamieszcza relację z Nocy, Kiedy Rog i Borsuk Walczyli o Jessicę, a Ona Płakała w Ramionach Kruppa, że będziemy ślinić się nad każdym niewyraźnym zdjęciem –

Roger śnił przez chwilę o spoconych wieczorach w „Thermidorze”: nieudana Kontrakcja, wspaniali eksrebelianci, niby podejrzewani, ale wciąż oficjalnie nietykalni i obdarzani przebiegłą miłością, warci kamery, gdziekolwiek zabrną... przegrane milusińskie dziwolągi.

Wykorzystają nas. Przyczynimy się do ich legitymizacji, choć tak naprawdę wcale tego nie potrzebują, to tylko kolejna dywidenda dla Nich, miła, owszem, ale mogliby się bez niej obejść...

No właśnie, oto, co teraz zrobią. Sprowadzili Rogera w to nieodpowiednie miejsce o nieodpowiedniej porze, tutaj, na łono Opozycji, tymczasem pierwsza prawdziwa miłość jego życia przebiera nogami, by wrócić do domu i zaliczyć kolejną porcję nasienia Jeremy’ego, wyrobić dzienną normę – w środku tego wszystkiego on nadzieje się (o, kurwa) na interesujące pytanie, co jest gorsze: żyć dalej jako Ich Milusiński, czy ponieść śmierć? Nie



przeczuwał, że kiedyś je sobie zada. Nadeszło niespodziewanie i nie można go już odegnąć, naprawdę trzeba podjąć decyzję, i po chwili czuje przerażenie w kiszkaach. Musi wybrać między życiem a śmiercią. Uchylenie się od decyzji nie jest kompromisem, lecz przystaniem na ich warunki...

Altówka jest zjawą, brązowo ziarnista, półprzezroczysta, wzdycha poprzez inne Głosy. Nasilają się zmiany dynamiki. Nieuchwytnie skoki głośności, zagęszczanie nut, przygotowywanie gruntu pod to, co Niemcy nazywają „przerwami na oddech”, wszystko to przewija się wśród fraz. Być może dziś wieczór jest to efekt gry Gustava i Andrégo, tak czy owak po chwili meloman zaczyna słyszeć pauzy zamiast nut – ucho dostraja się w taki sam sposób, jak oko patrzące na zdjęcie z rozpoznania lotniczego, gdy leje po bombach wyskakują na plan pierwszy jak ciasteczka na dnie puszki, albo spomiędzy górskich grani wyłaniają się doliny, morze i ląd, migoczą po dwóch stronach bystrego brzegu – tak właśnie cisza przemyka w muzyce kwartetu. A zaczekaj, dopóki nie wejdą kazoo!

Muzyczne tło dla tego, co ma wyniknąć. Zmowę przeciwko Rogerowi obmyślono z radością i dreszczykiem emocji. Marynarz Bodine jest nieoczekiwaną premią. Kolacja staje się kapłańskim rytuałem, pełnym tajemnych znaków i porozumiewawczych gestów. Menu dowodzi, że będzie to bardzo wystawny posiłek, mnóstwo *relevés*, *poissons*, *entremets*.

– Co to znaczy to *Uberraschungbraten*? – pyta Bodine gościa po prawej stronie, czyli Constance Flamp, ubraną w luźne khaki dziennikarkę o niewyparzonym języku i zarazem lubą każdego szeregowca od Iwo po Saint Lô.

– To, co znaczy, marynarzu – odpowiada Komandoska Connie. – Po niemiecku pieczeń-niespodzianka.

– Kumam – odpowiada Bodine.

Dziennikarka – nieświadomie? – porusza oczami: Pointsman, może jednak istnieje coś takiego jak odruch dobroci (ilu młodych mężczyzn poległo na jej oczach od czterdziestego drugiego?), który co jakiś czas, nawet poza Zerem,

potrafi przetrwać zagładę... Bodine patrzy na przeciwległy koniec stołu, wzdłuż rzędów korporacyjnych zębów i wypielegnowanych paznokci, ciężkich sztućców z monogramem, i widzi kamienny dół z dwoma żelaznymi różnami. Służący w przedwojennej liberii układają warstwę papierzysk (przeważnie stare dyrektywy SHAEF-u) na rozpałkę, poćwiartowane sosnowe bale i węgiel, soczyste kruczoczarne bryły wielkości kułaka, za które niegdyś umierano na brzegach kanałów, dawno temu, za Inflacji, gdy ceniono je ponad życie, wyobraź sobie... Na skraju dołu, w chwili gdy Justus zapala stoczek, gdy Gretchen z gracją polewa to wszystko wojskowym ksylenem z doków, Bodine dostrzega głowę Rogera, trzymaną do dołu przez cztery czy sześć rąk, w rozciągniętych ustach widać zęby, dziąsła zbielełe jak czaszka, tymczasem jedna ze służących, młoda psotna pokojówka w klasycznym atłasie i koronkach, nad którą można by się rozkosznie pastwić, szoruje obnażone zęby amerykańską szczoteczką, starannie czyszcząc nikotynowe plamy i kamień. *Oczy Rogera wyrażają cierpienie i błaganie...* Dokoła goście szepczą: „Jakie to dziwne, Stefan pomyślał nawet o podrobach!”, „Och, nie, mnie ślinka cieknie do innego mięsa!...” – chichoty, ciężkie oddechy, a co to za okropnie niebieskie zwężane spodnie, całe w strzępach... poplamiona marynarka, co tam się kręci na szpikulcu różna, skwierczą, czyja to twarz wyłoni się z tego ruchu wirowego, to –

– Keczup, keczup – włochata niebieska marynarka rozpaczliwie szuka czerwieni wśród flaszeczek stołowych i tac – chyba nie ma... kurwa, gdzieś ty mnie przyprowadził, Rog?! – wrzeszczy po skosie, wzdłuż siedmiu wrogich twarzy. – Ej, koleho, znajdziesz mi jakiś keczup?

Keczup to umówione hasło, w porządku –

– Dziwne – odpowiada Mexico, który ewidentnie zobaczył to samo na różnach – bo chciałem cię właśnie też o to poprosić!

Szczerzą się do siebie jak idioci. Roztaczają dokoła – to oficjalna informacja – zieloną aurę. Bez picu. Tak wyraźnie jak teraz Bodine nie czuł bliskości śmierci od zimy czterdziestego drugiego, gdy płynął w konwoju po

północnym Atlantyku w czasie sztormu, tony nieumocowanej amunicji przetaczały się po całym okręcie, na prawo i lewo siostrzane jednostki szły na dno, torpedowane przez niewidoczne wilcze stado niemieckich U-Bootów, a w wieżycze 51 Pappy Hod w przypiływie czarnego humoru opowiadał naprawdę śmieszne dowcipy, wszyscy na stanowiskach trzymali się za brzuchy, z trudem łapiąc oddech.

– Ładne menu, co? – woła. – Świetne żarcie!

Rozmowy cichną. Zaciekawione miłe twarze obracają się ku niemu. Pod różnami skaczą płomienie. Nie są to płomienie „sensytywne”, ale gdyby były, być może zarejestrowałyby obecność brygadiera Puddinga. Brygadier jest teraz członkiem kontrakcji – to zasługa Carrolla Eventyra. Duża zasługa. Seanse z Puddingiem są bowiem co najmniej tak męczące, jak dawne cotygodniowe odprawy w „Białym Nawiedzeniu”. Pudding kłapie jadaczką jeszcze bardziej, niż kłapał za życia. Uczestnicy sarkają: „Czy my już nigdy się go nie pozbędziemy?”. Ale to właśnie zamiłowanie Puddinga do kulinarnych dowcipów zainspirowało Bodine’a i Mexico do ułożenia obrzydliwego dialogu, który właśnie rozpoczęli.

– Świetne, bo ja wiem? – Roger z ostentacyjną niedbałością. – Nie widzę w menu żadnego gulaszu z glutów...

– Taa, ja bym się zadowolił chociaż serem ze smarków. Myślisz, że podadzą coś takiego?

– Nie, ale może będzie suflet ze skrzepów! – odkrzykuje Roger. – I menstruacyjna marmolada!

– Mnie się zachciało pożywnego masła z mastki! – przyznaje Bodine. – Albo potrawki z polipów!

– Chamstwo – mruczy głos, po którym trudno rozpoznać płęć.

– Ja bym lepiej zaplanował takie przyjęcie. – Roger wymachuje menu. – Zacząłbym od zakąski z zajadów, a może krokietów z krostami, ładnie przystrojonych zieleniną... albo śluzowatego śledzia! Mmm, z majonezem z mazi? Zwieńczonych kawałeczkiem mięsistej kiełbasy z kału...

– A, kapuję – mówi Komandoska Connie – to musi być aliteracja. A może w takim razie kluski z kupy?

– Teraz już jesteśmy przy zupach, złotko – odpowiada beznamiętnie Bodine – więc pozwól, że zaproponuję rosół z ropnia albo bryzol z błony bębenkowej.

– Pomidorowa z posoki – podsuwa Connie.

– Brawo.

– Szczawiowa ze szczyn – kontynuuje Roger – albo żurek na żylakach, doprawiony przyprawą z popłodu.

Rozbrzmiewa odgłos kulturalnego odruchu wymiotnego, regionalny kierownik sprzedaży z ICI pośpiesznie biegnie do drzwi, zostawiając za sobą długi szlak grudkowatych beżowych rzygowin, rozbryzganych na parkiecie. Dokoła stołu serwetki unoszą się do ust. Sztućce lądują na blacie, srebro dzwoni na polach bieli, zdezorientowanie i brak decyzji, takie same jak w biurze Clive’a Mossmoona...

Kontynuujemy – pasztet z paciorkowca (zgrabnie umiejscowione bąbelki gazów odbytnicznych unoszą się z wolna w serowej lepkości, mniammmm), wywar z woskowiny, kompot z kiły nabytej, kiszka z kiszki...

Kazoo milknie.

– Wafle wirusowe! – wrzeszczy Gustav.

– Chałwa z charków. Grzybowa z grzybicy. Czekolada z czerniaka – dorzuca André Omnopon, Gustav kontynuuje grę, tymczasem Głosy Zewnętrzne cichną, zbite z tropu.

– Pasta z paznokci – mruczy wiolonczelista, który nie jest ponad dobrą zabawę.

– Hemoroidowy haszysz! – Zachwycona Connie wali łyżką w talerz. – Flaki z flaków!

Frau Utgarthaloki zrywa się na nogi, przewracając półmisek z nadziewanymi naciekami nowotworowymi – oj, poprawka, to jaja faszerowane – i wybiega z sali, łkając rozdzierająco. Jej łagodny metalowy

mąż rusza za nią, rzucając chamom mordercze spojrzenia, które obiecują pewną śmierć. Spod zwieszającego się obrusa unosi się dyskretna woń wymiocin. Nerwowe śmiechy już dawno ustąpiły miejsca szeptom pełnym potępienia.

– Gatunkowa wódka z wrzodów albo trędowate trufle – Bodine podśpiewując lekko – trę-do-wa-te [niżej] tru-fle – figlarnie wykurzając ostatnich twardzieli, grożąc im palcem, no, łotry, rzygać mi tu...

– Flegmowe frykasy! – krzyczy Roger Chuligan.

Jessica płacze na ramieniu Jeremy’ego, swojego dżentelmena, który eskortuje ją, podtrzymując sztywną ręką, wyprowadzając bezpowrotnie, kręcąc głową, zniesmaczony wygłupami Rogera. Czy Roger czuje ból choć przez sekundę? No jasne. Ale czas podać tatar z tasiemca, kleik z karaluchów, przystawkę z przyszczy, parujący bulion z bobkami, serwowany warzachwią w układ pokarmowy pokolenia skamlących przyszłych dyrektorów, krem z krwi, wwożony wózkami na taras poplamiony niebem holocaustu albo sztywniejący od jesieni.

– Pudding spod pachy!

– Z powidłami z plwocin!

– Do popicia podpiwek z potu!

Lady Mnemosyne Gloobe ma napad jakiejś choroby, tak gwałtowny, że pęka naszyjnik i perty sypią się z grzechotem na jedwabny obrus. Powszechna utrata apetytu, nie wspominając o widomych nudnościach. Płomienie pod różnem przygasły. Nie ma dziś tłuszczu, którym mogłyby się karmić. Przy akompaniamencie spazmatycznego bulgotu spienionej żółci, tryskającej z nosa, sir Hannibal Grunt-Gobbinette grozi skierowaniem sprawy do parlamentu.

– Wy dwaj wylądujecie w więzieniu, żebyś miał szczeznąć!

Hm...

Ogólna ostrożna rejterada do drzwi; Bodine macha im na pożegnanie gangsterskim kapeluszem. Pa-pa, kochani. Jedynym gościem pozostałym

przy stole jest Constance Flamp, która nadal papie nazwy ewentualnych deserów:

– Krajanka z krocza! Tort z torbieli! Pleśniowy placek!

Jutro będzie miała za swoje. Kałuże tego i owego błyszczą na podłodze jak wodne miraże w Szóstym Pokoju prowadzącym do Tronu. Gustav i reszta kwartetu dają spokój Haydnowi i ruszają do drzwi śladem Rogera i Bodine’a, przygrywając na kazoo i pozostałych instrumentach Drastycznemu Duetowi:

Och, zaserwuj nam te cudowne eklery z egzemy,  
Aż nas rozsadzi, tyle tego zjemy,  
Koleho, przysięgam, na wszelkie frasunki,  
Najlepszy jest barszczyk z biegunki!

– Muszę wam to powiedzieć – Gustav szepcze pośpiesznie – bo czuję się okropnie z tego powodu. Może wcale nie chcecie towarzystwa kogoś takiego jak ja. Bo widzicie, ja byłem w oddziałach szturmowych... Dawno temu. Wiecie, jak Horst Wessel.

– No i co z tego? – śmieje się Bodine. – A może ja byłem Junior G-Man od Melvina Purvisa.

– Kim?

– Od Post Toasties.

– Od kogo? – Niemiec myśli, że Post Toasties to nazwisko jakiegoś amerykańskiego Führera, wyglądającego jak Tom Mix albo inny kowboj z wąsikami i o kwadratowej szczęce.

Ostatni czarny odźwierny otwiera ostatnie drzwi na dwór. Ucieczka. Dziś jeszcze ucieczka.

– Szarlotka ze szpiku z lukrem z liszaja, panowie – mówi, kiwając głową. Po drugiej stronie świtu widać uśmiech.



Geli Tripping niesie w torbie kilka ścinków z paznokci Cziczierina, szpakowaty włos, kawałek prześcieradła ze śladami jego spermy, wszystko zawiązane w białą chustkę z jedwabiu, do tego korzeń tak zwanego storczyka Adama i Ewy i bochenek chleba z pszenicy przesianej nago i zmielonej w słońcu. Porzuciła swoje stado ropuch na wzgórzach czarownic, a białą pałeczkę przekazała uczennicy. Wyruszyła na poszukiwania swojego dzielnego Attyli. W Strefie znalazłoby się kilkaset młodych kobiet, które usychają z tęsknoty za Cziczerinem, wszystkie chytre jak lisice, ale żadna nie wykazuje tyle uporów co Geli – i żadna nie jest wiedźmą.

W południe dociera do gospodarstwa rolnego, w kuchni posadzka z białych i niebieskich kafelków, eleganckie porcelanowe talerze, porozwieszane na ścianach jak obrazy, i bujak.

– Masz jego zdjęcie? – Starucha wręcza jej talerz z resztkami porannego *Bauernfrühstück*. – Mogę ci pokazać zaklęcie.

– Czasem potrafię wywołać jego twarz w filiżance naparu. Ale trzeba starannie dobrać zioła. Nie jestem jeszcze w tym taka dobra.

– Ale jesteś zakochana. Technika zastępuje miłość dopiero później, gdy lat przybywa.

– A nie lepiej już na zawsze kochać?

Dwie kobiety patrzą na siebie z krańców nasłonecznionej kuchni. Szafki z szybkami błyszczą ze ścian. Za oknami bzyczą pszczoły. Geli wychodzi i pompuje wodę ze studni, potem sporządzają napar z liści truskawki. Ale twarz Cziczierina się nie ukazuje.

Nocą, gdy czarni wyruszyli na swoją wielką wędrówkę, Nordhausen sprawiało wrażenie miasta z mitów, zagrożonego jakąś szczególną zagładą – pochłonięciem przez kryształowe jezioro, lawą z nieba... na jeden wieczór poczucie trwania przysło. Czarni, podobnie jak rakiety w Mittelwerke, nadawały miasteczku ciągłość. Teraz odeszli: Geli wie, że obrali kurs na



kolizję z Cziczerinem. Nie chce pojedynków. Niech się pojedynkują chłopcy z uniwersytetów. Ona chce swojego szpakowatego stalowego barbarzyńcy, chce go mieć żywego. Nie potrafi znieść myśli, już nigdy go nie dotknie, nie poczuje pokiereszowanych, historycznych dłoni.

Z tyłu, napierając na nią, wzbiera senność miasteczka, a nocą – w te dziwne kanarkowe noce Harcu (kiedy handlarze kanarków wstrzykują samiczkom samcze hormony, żeby śpiewały wystarczająco długo, by można je było opchnąć cudzoziemskim frajerom, którzy okupują Strefę) – przepelnioną zaklęciami, rywalizacją między czarownicami, polityką sabatów... Geli zdaje sobie sprawę, że magia dotyczy czego innego. Hexesstadt, z jego świętymi zielonymi górami przystrzyżonymi przez zęby małych spętanych kóz w deseń bladych kręgów, przeobraził się w kolejną stolicę, gdzie jedyną inicjatywą jest administrowanie – panuje tam atmosfera jak na piętrze siedziby związku zawodowego muzyków – brak muzyki, są tylko ścianki działowe z luksferów, spluwaczki, rośliny domowe – nie zostały żadne praktykujące czarownice. Albo przychodzisz do Brockenu z myślą o zrobieniu kariery w biurokracji, albo odchodzisz, ruszasz w świat. Są dwa wyraźne typy wiedźm, a Geli należy do tego, który wybiera Świat.

Oto on. Dziewczyna ma na sobie szare męskie spodnie, podwinięte nad kolana, trzepoczące dokoła jej ud, gdy maszeruje między polami żyta... idzie ze spuszczoną głową, często odgarniając włosy z oczu. Czasem napatoczy się auto wojskowe, które ją podwiezie. Geli słucha nowin z nadzieją, że dowie się czegoś o Cziczerinie albo o wędrującym Schwarzkommando. Jeśli czuje się bezpiecznie, otwarcie o niego pyta. Różnorodność pogłosek jest zaskakująca. *Nie tylko ja go kocham...* choć ich miłość jest oczywiście przyjazna, pełna podziwu, aseksualna. Geli jako jedyna w Strefie kocha go całościowo. Cziczerin, znany w pewnych kręgach jako „Czerwony Ćpun”, ma paść ofiarą czystki: w tej sprawie przybył tu nikt inny, jak sam złowrogi N. Zdzierców, prawa ręka Berii.

Gówno prawda, on już nie żyje, nie słyszałeś, załatwili go parę miesięcy

temu...

... znaleźli kogoś, kto się za niego podaje, póki nie zajmą się pozostałymi z jego otoczenia...

... nie, w zeszłym tygodniu przyjechał do Lüneburga, kumpel go widział, nie może być mowy o pomyłce, to był on...

... schudł jak szczapa i wszędzie zabiera ze sobą wielkich ochroniarzy. Przynajmniej dwunastu. W większości to Azjaci...

... skoro dwunastu, to jest i Judasz Iskariota. W to akurat trudno uwierzyć. Dwunastu? Gdzie znajdziesz tylu ludzi, którym można zaufać? Zwłaszcza gdy jesteś w takiej sytuacji jak on...

Jakiej sytuacji?

Jadą rozklekotaną ciężarówką przez bardzo zielony pofałdowany krajobraz... z tyłu dmie niema burza, fioletowa, pożyłkowana na żółto. Na pace Geli pije wino z gromadą dziadowskich szeregowców, ekipą rozbiórkową, która przez cały dzień oczyszczała kanały. Śmierdzą kreozotem, szlamem z mokradeł, amoniakiem od dynamitu.

– Wiesz przecież, czym on się zajmuje.

– Rakietami?

– Nie chciałbym być na jego miejscu, ot i tyle.

Na grani wzgórza wojskowa ekipa miernicza odbudowuje zniszczoną drogę. Jedna sylwetka nachyla się do teodolitu, druga trzyma obciążnik. Nieco dalej stoi inny inżynier z ramionami rozpostartymi na boki, głowa odkręca się ku jednej, a potem drugiej wyciągniętej ręce, po czym obie zjeżdżają na spotkanie w górze... jeżeli zamkniesz oczy i nauczysz swoje ręce poruszać się samodzielnie, najpierw utworzą kąt prosty względem ciała, a potem się zetkną... Geli przygląda się temu skromnemu występowi: jest nabożny, pełen wdzięku, ona wyczuwa niewidoczny krzyż, który mężczyzna zakreślił na swoim własnym kręgu widocznej ziemi... nieświadomie budując mandalę... to dla niej znak. Mężczyzna wskazuje jej drogę. Później tego samego wieczoru dziewczyna widzi orła lecącego nad mokradłami, w tę

samą stronę. Zapadł ciemnożłoty zmierzch, prawie noc. Okolica jest pusta, Pan znajduje się bardzo blisko. Geli bywała na wystarczająco wielu sabatach, by sobie z tym poradzić – myśli. Ale czym jest malinka wyssana na tyłku przez diabła w porównaniu z krzykiem wśród rezonujących kamieni, gdzie nie ma dobra ani zła, w świetlistej przestrzeni, do której zawiedzie ją Pan? Czy ona gotowa jest na coś tak rzeczywistego? Księżyc się ukazał. Geli siedzi w miejscu, z którego widziała orła, czekając, czekając na coś, by przyszło i ją zabrało. Czy ty kiedykolwiek na to czekałeś? Zastanawiając się, czy nadejdzie z zewnątrz, czy od środka? Wolny od bezowocnego dociekania, co się może wydarzyć... raz po raz wymazując tabliczkę mózgu, by był czysty na tę wizytę... czy to nie blisko tego miejsca? Przypomnij sobie, nie wymknąłeś się z obozu, by przeżyć w samotności chwilę z Tym, Co Poruszało się po Ziemi... było ekwinokcjum... zielone wiosenne noce... otwierają się rozpadliny, na ich dnie parują fumarole, tropikalne życie zasnute oparami jak jarzyny w garnku, bujne, odurzające wonie, kaptur zapachów... dopiero ma się narodzić ludzka świadomość, ten żałosny kaleka, ten zdeformowany, skazany na ztratę niewydarzeniec. To jest świat przed nastaniem człowieka. Zbyt nieokiełznanie żywy i zmienny, by ludzie mogli go oglądać w takim stanie. Wolno im patrzeć na niego tylko jako na gnijące zwłoki, poukładane w nieruchomych warstwach, ulegające przemianie w ropę i węgiel. Żywy, stanowił zagrożenie: był Tytanami, był tak rozdzwonią i szaleńczą erupcją życia – zielonym płaszczem na nagiej Ziemi – że trzeba było wprowadzić do gry jakiegoś burzyciela, zanim swoją energią rozerwałby całe dzieło stworzenia na strzępy. Zatem wysłano nas, kalekich stróżów, żebyśmy się rozmnażali i panowali. Bożych burzycieli. Nas. Kontrrewolucjonistów. Naszą misją jest lansowanie śmierci. Lansowanie sposobów, w jakie zabijamy, w jakie umieramy, będąc wyjątkowymi okazami w dziele stworzenia. To było coś, nad czym musieliśmy popracować, i w skali dziejów, i w skali jednostki. Stworzyliśmy śmierć, z niczego, do jej obecnej postaci jako reakcji łańcuchowej, niemal tak

silnej jak życie, dzięki czemu dławimy zielone powstanie. Ale tylko prawie tak silnej.

„Prawie” z powodu wysokiego wskaźnika odstępstwa. Codziennie co najmniej kilku zdrajców przechodzi na stronę Tytanów, do ich walczącego podświata (jak to możliwe, że ciało tak się miota i zmienia i wcale przez to nie jest brzydsze?), w objęcia Śmierci z ludowych pieśni (puste kamienne pokoje), na wskroś, w sieć, w dół, w dół, do zielonych powstańców.

Hen, w głębi, poruszają się Tytani przy chrapliwych tonach echa. To są właśnie ci, których nie wolno nam dostrzegać – bogowie wiatru, szczytów górskich, bogowie zachodzącego słońca – od których się odwracamy, by nie ich nie widzieć, choć dostatecznie dużo z nas widzi, nie słyszeć ich elektrycznych głosów w zmierzchu na granicy miasta, ubrać się w płaszcz naszej nocnej wędrówki, póki nie –

Nagle Pan – skok – jego twarz nieznośnie piękna, piękny Wąż, sploty tęczowymi smagnięciami na niebie – w twarde gnaty strachu –

Nie wracaj nocą do domu przez odludzie. Nie wchodź do lasu, gdy jest ciemno, a nawet późniejszym popołudniem – bo cię dopadnie. Nie siadaj tak pod drzewem, z policzkiem przytulonym do pnia. W poświacie księżycy trudno poznać, czy jesteś kobietą, czy mężczyzną. Włosy opadają, srebrnobiałe. Twoje ciało pod szarym ubraniem jest całkowicie bezbronne, jego kolejne rozkłady przesądzone. A jeśli on się ocknie i zobaczy, że ciebie nie ma? Teraz jest zawsze taki sam, czy śpi, czy czuwa – nie opuści choćby jednego snu, nie ma różnic między światami: dla niego stały się jednym i tym samym. Być może Thanatz i Margherita byli ostatnim ogniwem łączącym go ze starymi czasami. Być może dlatego zostali tak długo, to wynikało z jego desperacji, chciał się trzymać, potrzebował ich... ale kiedy teraz na nich patrzy, nie widzi ich już tak często. Z wolna zatracają realność, tak jak dawno temu Gottfried zatracił swoją na rzecz Blicero. Teraz chłopak kursuje od wizerunku do wizerunku, od pokoju do pokoju, czasem poza działaniem, czasem będąc jego częścią... robi, cokolwiek musi zrobić. Dzień ma swoją

logikę, swoje potrzeby, niepodobna go zmienić, machnąć ręką albo żyć poza jego obrębem. Jest bezradny, bezpieczny w schronieniu.

Jeszcze parę tygodni i wszystko dobiegnie końca, Niemcy przegrają wojnę. Wszystko toczy się utartym trybem. Chłopak nie potrafi sobie wyobrazić niczego po ostatecznej kapitulacji. Jeśli on i Blicero zostaną rozdzieleni, co się stanie z przemijającymi dniami?

Czy Blicero umrze, *Boże, nie pozwól mu umrzeć...* (Ale jednak umrze).

– Przeżyjesz mnie – szepcze.

Gottfried klęka u jego stóp, na szyi psia obroza. Obaj mają na sobie mundury. Od dawna już żaden z nich nie przebierał się za kobietę. Ważne jest, by dziś wieczorem obaj byli mężczyznami.

– Ty zadowolony z siebie, mały skurwielu...

To jeszcze jedna gra, prawda, jeszcze jeden pretekst, by go wychłostać? Chłopak milczy. Gdy Blicero chce usłyszeć odpowiedź, daje to wyraźnie do zrozumienia. Najczęściej chce sam mówić i czasem trwa to całymi godzinami. Nikt nigdy nie mówił do Gottfrieda w taki sposób. Ojciec wydawał tylko polecenia, lapidarne oceny, wypowiadał krótkie zdania. Matka była osobą emocjonalną, wielkim źródłem miłości, ale nigdy z nim tak naprawdę nie rozmawiała. To jest bardziej niż rzeczywiste... czuje, że musi zachować każde słowo, że niczego nie wolno uronić. Słowa Blicero stały się dla niego bardzo cenne. Rozumie, że Blicero chce dać, nie oczekując niczego w zamian, to, co kocha. Rozumie, że on sam istnieje teraz dla Blicero, nawet jeżeli wszyscy inni przestali istnieć, że w nowym królestwie, przez które teraz wędrują, jest oprócz niego jedynym żyjącym mieszkańcem. Czy do czegoś takiego chciał być zabrany, w coś takiego chciał zabrnąć? Nasienie Blicero tryska w zatruty nawóz jego kiszek... to marnotrawstwo, owszem... daremność... ale gdy, złączonymi jako mężczyzna i kobieta, targnął nimi aż po korzenie zębów wstrząs w chwili podejścia do bram prawdziwego życia, czy nie poczuł się wtedy uwolniony, świątobliwie uwolniony od tych przygotowań do penetracji, od stylu, ubrań zdzieranych bez namiętności,

przejrzystych pończoch, nietrwałych jak skóra węża, tradycyjnych kajdan i łańcuchów, które symbolizowały zniewolenie w głębi jego serca... to wszystko stało się spektaklem, gdy zbliżył się do bram Innego Królestwa, gdy poczuł gdzieś w środku białe gigantyczne pyski, pozbawione wyrazu bestie, zmartwiałe na biało, odtrącające go, szmer tajemnicy tak daleko poza zasięgiem jego kiepskiego słuchu... oni też muszą tam być, kochankowie, których genitalia poświęcono gównu, końcom, desperackim nocom na ulicach, gdy z każdej osobistej władzy nad drugim człowiekiem rodzi się więź, rodzi się albo zanika, apel poległych – tyłu w akcie śmierci, ilu w akcie życia – lub wyrok samotności w kolejną noc... Czy im się odmówi, czy się ich pominie, wszystkich?

Zbliżając się, wciągany raz po raz do środka, Gottfried próbuje tylko trwać w stanie otwarcia, połuźnić zwieracze duszy...

– Czasami śni mi się, że odkrywam krańce Świata. Przekonuję się, że Świat ma kraniec. Moja górską gencjana zawsze wiedziała. Ale mnie kosztowało to tak dużo.

– Ameryka była krańcem świata. Przesłaniem dla Europy, przesłaniem wielkości kontynentu, nieuniknionym. Europa znalazła miejsce dla swojego Królestwa Śmierci, tej szczególnej Śmierci, którą wymyślił Zachód. Dzicy mieli własne ziemie jałowe, pustynie Kalahari, jeziora tak zamglone, że nie dostrzegano przeciwległego brzegu. Ale Europa poszła głębiej – w obsesję, w nałóg, jak najdalej od dzikich niewinności. Ameryka była darem od niewidzialnych sił, drogą powrotu. Ale Europa nie chciała wracać. To nie był jej Grzech Pierwotny – najnowszym jego mianem jest Współczesna Analiza – ale czasem najtrudniej odpokutować Grzech Późniejszy.

– Europa przybyła do Afryki, Azji, Ameryki przedkolumbijskiej, Oceanii i zaprowadziła swój porządek spod znaku Analizy i Śmierci. Czego nie mogła wykorzystać, to uśmiercała lub przeobrażała nie do poznania. Z czasem kolonie śmierci stały się dostatecznie silne, by oderwać się od macierzy. Przetrwał jednak ten sam imperialny pęd, misja szerzenia śmierci, ta sama



struktura. Teraz znaleźliśmy się w ostatniej fazie. Amerykańska Śmierć przyszła okupować Europę. Nauczyła się imperializmu od dawnej macierzy. Lecz teraz została nam tylko struktura, nie ma już wielkich tęczyowych pióropuszy, ozdób ze złota, epickich wędrówek po alkalicznych morzach. Dzicy z innych kontynentów, wykolejeni wprawdzie, ale wciąż stawiający opór w imię życia, trwają na przekór wszystkiemu... a Śmierć i Europa są tak od siebie oddzielone jak zawsze, ich miłość wciąż nieskonsumowana. Śmierć tylko tutaj rządzi. Nigdy nie zjednoczyła się w miłości z...

Czy cykl się dokonał i ma zacząć się nowy? Czy naszym nowym pograniczem, Królestwem Śmierci, będzie Księżyc? Śni mi się wielka szklana kula, pusta w środku, bardzo wielka, daleko stąd... koloniści nauczyli się obywać bez powietrza, na zewnątrz i w środku panują warunki próżni... wiadomo, że ludzie już nigdy nie wrócą... są sami ludzie. Istnieją wprawdzie drogi powrotu, ale tak zawile, w takiej mierze zdane na łaskę mowy, że powtórna obecność na Ziemi ma zawsze charakter tymczasowy, nierzeczywisty... szlak najeżony niebezpieczeństwami, ryzykiem upadku w zimnym blasku i z wysoka... Wszędzie aż do granic szklanej kuli rządzi Grawitacja, toteż czyha wszechobecna groźba upadku. Natomiast w kolonii garstka ludzi wygląda jak szron, są ledwie trójwymiarowi, żywi nie bardziej niż wspomnienia, nie ma czego dotknąć... ich odległe wizerunki, czarno-białe filmowe obrazki, ziarniste, warzone rok w rok przez szron na białych wysokościach, w pustej kolonii, gdzie z rzadka docierają przybysze, tacy przypadkowi goście jak ja...

Chciałbym to wszystko odzyskać. Pewnego razu ci ludzie przeżyli ciężki dzień – wyniesienie, ogień, fiasko, krew. Wydarzenia tego dnia, tak dawno, dawno temu, na zawsze skazały ich na wygnanie... nie, tak naprawdę to nie byli kosmonauci. Pragnęli nurkować między światami, spadać, wirować, bujać się na trasach rozpiętych łukowato w blasku, w zimowych nocach przestrzeni międzygwiazdnej – śnili o spotkaniach, o występach na kosmicznym trapezie, kontynuowanych w samotności, w jałowej chwale, w



niezbitym przekonaniu, że nikt nigdy nie będzie ich oglądał, że bezpowrotnie utracili najdroższe ich sercu osoby...

Do styczności, na którą mieli nadzieję, zawsze brakowało trylionów ciemnych mil, lat zamarznętej ciszy. Ale chciałem odtworzyć ci tę historię. Pamiętasz, że kiedyś zasypiałem przy twoich opowieściach o nas dwóch żyjących na Księżycu... czy już z tego wyrosłeś? Ja się okropnie postarzałem. Czy czujesz w swoim ciele, jak mocno zaraziłem cię moim umieraniem? Musiałem tak zrobić: kiedy nadchodzi odpowiednia pora, chyba wszyscy musimy. Ojcowie są nosicielami wirusa Śmierci, a synowie się zarażają... żeby zarażenie było nieuchronne, przemyślna Śmierć sprawia, że ojciec i syn wydają się sobie tak piękni, jak Życie uczyniło pięknymi kobietę i mężczyznę... och, Gottfried, oczywiście, że jesteś dla mnie piękny, tak, tak, ale ja umieram... chcę przez to przejść tak uczciwie, jak tylko potrafię, a twoja nieśmiertelność rozdziera mi serce... Czy nie widzisz, dlaczego być może będę chciał zniszczyć tę, och, tę głupią przejrzystość w twoich oczach... kiedy widzę cię na porannej i wieczornej zbiórce, tak otwartego, gotowego wchłonąć w siebie moją chorobę, udzielić jej schronienia we własnej małej durnej miłości...

Miłości. – Kiwa głową kilkakrotnie. Lecz za słowami czyhają groźnie rozstawione oczy, oddzielone nieodwracalnie od prawdziwego Gottfrieda, od słabej lotnej woni prawdziwego oddechu, przez zapory srogie i czyste jak lód, beznadziejne jak jednokierunkowy upływ europejskiego czasu...

Chcę się wydostać, wyrwać z tego koła zarażania i śmierci. Chcę być wchłonięty przez miłość: wchłonięty tak bardzo, żebyśmy ty i ja, i śmierć, i życie scalili się nierozdzielnie, w promienności tego, czym się staniemy...

Gottfried klęka, zdrętwiały, czekając. *Blicero patrzy na niego.* Przenikliwie: jego twarz bielsza niż kiedykolwiek. Surowy wiosenny wiatr chłoszcze brezent namiotu. Tuż przed zachodem słońca. Za chwilę Blicero wyjdzie odebrać wieczorne meldunki. Jego ręka spoczywa tuż obok góry niedopałków w popielniczce. Krótkowidzące oczy za grubymi soczewkami

być może po raz pierwszy patrzą wprost w oczy Gottfrieda. Chłopak nie umie odwrócić wzroku. Zdaje sobie jakimś sposobem sprawę, nie do końca, ale jednak, że musi podjąć decyzję... że Blicero czegoś od niego oczekuje... ale przecież to zawsze on decydował. *Dlaczego nagle prosi?...*

Wszystko się teraz waży. Utarte szlaki, wciąż nieodparte, wciąż nas pędzą przez czas... na zewnątrz czekają żelazne rakiety... krzyk rodzącej się wiosny, rozwleczonej po milach deszczowej Saksonii, pobocza dróg zasłane ostatnimi kopertami, wyrwanymi przekładniami, przegniłymi skarpetkami i bielizną cuchnącą grzybem i błotem. Jeżeli jest jeszcze jakaś nadzieja dla Gottfrieda w tej chłostanej wiatrem chwili, to jest nadzieja wszędzie. Tę scenę należy odczytać jak kartę: co wyniknie? Cokolwiek stało się z przedstawionymi postaciami (nakreślonymi z grubszą przybrudzoną bielą i wojskową szarością oszczędnie jak rysunek na zburzonym murze), zachowało się, choć bez miana, i jak Głupiec nie ma też trwałego przypisania w talii.



Oto Enzian, rychnujący po nocy swoją nowiuteńką rakieta. Kiedy zaczyna padać albo zalega ciężka mgła, tak szybko, że wartownicy nie zdążają naciągnąć brezentu, połyskliwa skóra rakiety zmienia się na ich oczach w ciemny łupek. Być może tuż przed odpaleniem pomalują ją nawet na czarno.

To 00001, druga w serii.

Zza Łaby wołają cię radzieckie szczekaczki. Nocą do ognisk zakradają się amerykańskie plotki, przywołujące, na tle twoich nadziei, żółte pustynie, Indian, niebieskie niebo, zielone kaktusy. Jakie uczucia wzbudzała w tobie stara Rakietka? Nie pytam, co czujesz teraz, gdy dzięki nowej masz co robić, ale co czułeś wtedy? Czy pamiętasz, jak to było, gdy wytaczaliście ją rankiem siłą własnych mięśni, gwardia honorowa, proste spotkanie dwunastu ciał i jej bezwładu... wszystkie twarze spowijał ten sam wyraz bezinteresowności – mory osobowości zacierały się za każdym uderzeniem fali, coraz bardziej jednolite, aż wszystko stało się subtelnie stopniowanymi kłębamii pary – wszystko nienawiścią, miłością, wymazane na ten krótki dystans, przez który trzeba ją było przepchnąć na drugą stronę rampy, podstarzali mężczyźni w paltach trzepoczących poniżej cholewek, białe bryzgi oddechu, przetaczające się jak fale za plecami... Dokąd wy wszyscy pójdziecie? Do jakich imperiów, na jakie pustynie? Pieściliście we dwunastu jej ciało, brutalne i porażające zimnem wasze dłonie mimo rękawiczek, bez wstydu i zahamowań natężaliście się w miłości, na bałtyckim wybrzeżu – to nie było Peenemünde, przynajmniej nie oficjalne Peenemünde... lecz kiedyś, przed laty, chłopcy w białych koszulach, czarnych kamizelkach i czapkach... na jakiejś plaży, w kurorcie dziecięcym, gdy byliśmy młodsii... na stanowisku prób numer VIII wreszcie to wspomnienie, którego nie mogłeś się wyrzec – wiatr pachniał solą i umieraniem, odgłos zimowych fal, na karku przecucie deszczu, drgnęło wśród przystrzyżonych włosów z tyłu głowy... Na stanowisku numer VH, w świętym miejscu.

Lecz młodym mężczyznom przybyło lat, i w rozgrywającej się teraz scenie nie ma koloru... wypychają ją na słońce, mrużą oczy i szczerzą zęby w blasku, jasno tu jak na porannej zmianie u Siemens, centaury walczą wysoko na ścianie, zegar bez cyfr, rowery skrzypią, kubelki i torby z drugim śniadaniem, opuszczone głowy, rzeka potulnie drepczących kobiet i mężczyzn, wlewająca się do ciemnych czeluści... przypomina to dagerotyp wczesnego Raketentstadt wykonany w 1856 roku przez zapomnianego fotografa: to zdjęcie go zabiło – tydzień później zmarł na zatrucie rtęcią, bo nawdychał się oparów w swoim atelier... hm, nawykł do rtęci, ale w skromniejszych dawkach, uważał, że dobrze wpływa na głowę, i to może tłumaczy widoki takie, jak zdjęcie „Der Raketentstadt”: ukazuje z wysokości, która w Niemczech jest topograficznym niepodobieństwem, ceremonialne Miasto, czteroczęściowe, niesamowita precyzja we wszystkich kreskach i cieniowaniu, w obiektach architektonicznych i ludzkich, zbudowane w kształcie mandali jak wioska Hererów, wysoko przewspaniałe niebo, marmur wśród dzicy białych bałwanów i skrzenia... wydaje się, że w różnych częściach miasta trwają budowy – albo rozbiórki – bo nic nie pozostaje takie samo, widać pojedyncze krople potu na ciemnych karkach robotników, którzy mozolą się w piwnicach mokrych jak mokry pieprz... rozpękł się worek cementu, drobinki pyłu wiszą w powietrzu... Miasto będzie się przeobrażać bez końca, nowe ślady opon w kurzu, w śmieciach nowy celofan po paczce papierosów... konstruktorskie modyfikacje w Rakiecie wywołują zmiany tras dostaw i warunków życia, odzwierciedlane w nasileniu ruchu kołowego, widzianego z tej niebywałej wysokości – istnieją wręcz tablice Funkcji, które pozwalają przejść od zmian w Mieście do modyfikacji w Rakiecie: to właściwie nic więcej jak rozwinięcie technik zastosowanych w 1943 roku przez Constance Babington-Smith i jej kolegów w siedzibie RAF-u w Medmenham, gdy odkryli Rakietę na fotografii z rozpoznania lotniczego, dokonanej w Peenemünde.

Lecz przypomnij sobie, czy ją kochałeś. Jeżeli kochałeś, przypomnij sobie,

w jaki sposób. I jak dalece. Ostatecznie przywykłeś do pytań o „ile”, przywykłeś do pomiarów, do ich porównywania, wstawiania do równań, by dowiedzieć się, o ile więcej tego, o ile więcej tamtego, ile wtedy, ile teraz... tutaj, w tym waszym powszechnym pędzie ku morzu odczuwaj tyle, ile chcesz tej ciemnej dwutorowej miłości, która jest zarazem wstydem, junakierią, geopolityką konstruktorów – „sferami wpływów” zmodyfikowanymi względem torusa zasięgu Rakiety, torusa, który w przekroju jest parabolą...

...być może wbrew naszym wyobrażeniom, nieograniczona ani linią Ziemi, z której „wzlatuje”, ani linią Ziemi, w którą „uderza”, lecz przecież Nigdy Tak Naprawdę w Ten Sposób Nie Myślałeś Oczywiście że Wszystko Zaczyna się Nieskończenie Głębiej w Ziemi i Wraca Nieskończenie Głęboko w Ziemię, nam wolno zobaczyć tylko wierzchołek, fazę po przebiciu powierzchni, akt wyrwania się na ten drugi cichy świat, gwałtownie (odrzutowiec przekraczający prędkość dźwięku, za parę lat statek kosmiczny przekraczający prędkość światła). Pamiętaj że w Tym Tygodniu Hasłem w Strefie Jest SZYBCIEJ OD ŚWIATŁA Przyśpieszając Własny Głos do N-tej Potęgi – Linearne Wyjątki Dopuszczalne Tylko w Wypadku Schorzeń Górniego Układu Oddechowego, na każdym końcu wielkie przekazanie energii: przy wdzieraniu się z dołu w świat kontrolowane spalanie – przy wtargnięciu z góry w dół niekontrolowana eksplozja... ten brak symetrii prowadzi do spekulacji o obecności czegoś podobnego do Eteru, co krąży w czasie, jak Eter krąży w przestrzeni. Założenie istnienia Próżni w czasie rozdzieliło nas. Lecz Morze Eterowe, które prowadzi do spotkania światów, mogłoby przywrócić nam ciągłość, ukazać sympatyczniejszy, mniej wymagający wszechświat...

Tak, tak, to jest właśnie dogmatyka, państwowa kosmologia Rakiety... Rakieta wiezie w tę stronę – między innymi – poza te widoczne węzowe sploty, które wiją się ponad powierzchnią Ziemi w tęczowym świetle, w stalowej tężyczce... poza te burze, rzeczy głęboko w piersi Ziemi, o których

nigdy nam nie mówiono... wiedzie jeszcze dalej, drogą przemocy, do ponumerowanego kosmosu, staroświeckiej, wyłożonej brązową boazerią wiktoriańskiej Wojny Mózgów, takiej jak wojna między kwaternionami a analizą wektorową w latach osiemdziesiątych XIX wieku – tęsknota za Eterem, za srebrnymi, wyposażonymi w wahadła i mosiężne gałki, zakotwiczonymi w kamieniu, elegancko uformowanymi funkcjonalnymi kształtami z epoki naszych dziadów. Te odcienie sepii są tutaj, oczywiście. Lecz Rakiety musi być wieloma rzeczami, musi przybrać ileś różnych kształtów ze snów tych, którzy jej dotykają – w warunkach bojowych, w tunelu, na papierze – musi przetrwać herezje lśniąca i niezdeprymowana... a heretyków nie zabraknie: gnostycy, których podmuch wiatru i ognia zagnał do komnat Rakiety-tronu... kabaliści, którzy studiują Rakietę jako Torę, litera po literze – nity, panewka, mosiężna róża, tekst znajduje się w ich rękach, by go poprzestawiali i złączyli w nowe objawienia, ukazujące się bez końca... manichejczycy, którzy widzą dwie Rakiety, dobrą i złą, gardłujący w świętym bałwochwalstwie Pierwotnych Bliźniaków (niektórzy twierdzą, że ich imiona to Enzian i Blicero) o dobrej Rakiecie, która zabierze nas do gwiazd, i złej Rakiecie, która doprowadzi świat do samobójstwa, obie szczerzone w odwiecznej walce.

Ale ci heretycy zostaną wyłapani, wszyscy, a panowanie ciszy będzie się poszerzać, ilekroć kolejny szeźnie... Dostaną swoje osobiste Rakiety. W samonaprowadzającym się mechanizmie tkwić będzie elektroencefalogram heretyka, jego kardiogram, obraz w podczerwieni, a każda Rakiety będzie znała swojego oblubieńca i polowała na niego, szła jego tropem – uzależniony od zieleni, cichy brytan – przez cały nasz Świat, połyskliwa i spiczasta na niebie, za jego plecami, nadlatujący kat, nadlatujący coraz bliżej...

Oto są cele. Przemieszczą się po torach, które mogą się urwać raptem na brzegu rzeki albo na zwęglonej stacji rozrządowej, szosami, których nawet nieubite odnogi patrolowane są przez radzieckie, brytyjskie i amerykańskie

oddziały, nasilające okupację, z lęku przed zimą mężczyźni stają się większymi służbistami, zmuszają się do czujności, zapomnianej latem, ściślej wypełniają rozkazy, bo zaczynają się zmieniać barwy drzew i zarośli, fiolekt wycieka z mil wrzosowisk, a noc nadchodzi rychlej. Trwać w deszczach wczesnej Panny: dzieci, które wbrew zakazom podróżowały na gapę, zmógł teraz kaszel i gorączka, smarkają nocami, chrapliwe głosiki, wydobywające się z dużych mundurów. Robić im napar z kopru, bukwicy, buldenezu, słoneczników, liści malwy – kraść sulfonamidy i penicylinę. Unikać wzbijania kurzu na drodze, kiedy słońce wysuszyło koleiny i króluje znowu około południa. Spać na polach. Ukrywać fragmenty Rakiety w stogach siana, za ostatnią ścianą wypalonej parowozowni, pośród deszczowych wierzb nad korytami rzek. Pierzchać na byle alarm, często bez powodu, ot, żeby nie wyjść z wprawy – płynąć jak sieć poza granice Harcu, w wąwozy, sypiając w suchych oszklonych pomieszczeniach opuszczonych kurortów (urzędowy ból, urzędowa śmierć, wyzierająca przez całą noc z porcelanowych oczu posągów), okopując się po obwodzie nocy, czując zapach igliwia zmiażdżonego przez buty i saperki... zachować wiarę, że tym razem to nie jest wędrówka, nie walka, lecz prawdziwe Przeznaczenie, 00001 wślizguje się jak naoliwiony rygiel w ramiona kolei przygotowanej dla niej wiosną, torowisko tylko z pozoru zniszczone, starannie wymodelowane przez Wojnę, przez specjalne techniki bombardowania, aby zabrać najbardziej zmechanizowaną technikę – Rakiety – najstraszniejszą moc bombardującą...

00001 zostaje rozmontowana na segmenty – głowica, system naprowadzania, zbiorniki paliwa i utleniacza, ogon. Trzeba ją będzie złożyć z powrotem na miejscu odpalenia, jeśli uda im się tam dotrzeć...

– Pokaż mi społeczeństwo, które by nie mówiło: „Stworzono mnie dla ludzi – Christian spaceruje z Enzianem polami nad obozowiskiem – by każdego z nich chronić od przemocy, nieść pomoc w czasie katastrofy”, ale, Enzianie, gdzie jest jakakolwiek ochrona? Co nas obroni przed tym? – Ruch ręki w kierunku doliny, ku żółtoszarej siatce maskującej, którą – obdarzeni w tej



podróży rentgenowskim wzrokiem – potrafią przejrzeć na wskroś...

Enzian i jego młodszy kolega nabrali nawyku odbywania długich spacerów. Nieumyślnie. Czy tak właśnie dochodzi do sukcesji? Obaj są podejrzliwi. Ale nie ma już tych dawnych napiętych chwil milczenia. Nie ma współzawodnictwa.

– Przychodzi jako Objawicielka. Pokazuje, że żadne społeczeństwo nie potrafi chronić, nigdy nie potrafiło... są głupi jak tarcze z papieru... – Enzian musi powiedzieć Christianowi wszystko, co wie, wszystko, co podejrzewa i o czym śnił. Nie nazywając niczego prawdą. Niczego nie może zachować dla siebie. – Kłamali. Nie mogą uchronić nas od śmierci, toteż kłamią nam o niej. Zespołowa struktura kłamstw. Co dali nam w zamian za nasze zaufanie, miłość – faktycznie pada to słowo – którymi podobno jesteśmy zobowiązani ich obdarzać? Czy potrafią nas chociaż uchronić od przeziębienia? Od wszy, od samotności? Od czegokolwiek? Przed nastaniem Rakiety trwaliśmy w wierze, bo tego chcieliśmy. Lecz Rakietą potrafi spenetrować z nieba każdy wybrany punkt. Nigdzie nie bywa bezpiecznie. Nie możemy im już wierzyć. Nie, jeżeli nadal jesteśmy przy zdrowych zmysłach i kochamy prawdę.

– Jesteśmy – kiwa głową Christian. – Kochamy. – Nie patrzy na Enziana, by potwierdzić wzrokiem swoje słowa.

– Tak.

– A więc... z braku wiary...

Pewnego razu, w deszczu, tabor zatrzymuje się na noc w opuszczonej stacji badawczej, gdzie tuż przed końcem Wojny Niemcy opracowywali zwierciadło śmierci. Na tle równiny piętrzą się betonowe paraboloidy, białe i monolityczne. Idea polegała na wywołaniu eksplozji przed taką paraboloidą, dokładnie w punkcie skupienia. Zwierciadło z betonu idealnie odbijało falę uderzeniową i niszczyło wszystko w linii prostej. Poświęcono tysiące świnek morskich, psów i krów – gromadzono stosy dokumentów z danymi na temat krzywej śmierci. Ale przedsięwzięcie skończyło się fiaskiem. Metoda skutkowała tylko na krótką odległość, potem następowała utrata energii, toteż

o wiele lepsze rezultaty uzyskiwano, używając materiałów wybuchowych w konwencjonalny sposób. Ponadto mgła, wiatr, nawet ledwo widoczne pofałdowanie terenu albo pniak drzewa, najmniejsze odstępstwo od idealnych warunków gwałtownie zmieniały śmiercionośny kształt fali. Mimo to Enzian potrafi sobie wyobrazić wojnę czy raczej miejsce dla takiej broni: pustynię. Zwab wroga na pustynię. Na Kalahari. Zaczekaj, aż wiatr ucichnie.

– Kto by walczył o pustynię? – pyta Katje. Ma na sobie zielony płaszcz przeciwdeszczowy z kapturem, za duży nawet na Enziana.

– „Na”, nie „o”. – Christian kuca, podnosząc wzrok na bladą krzywą odbłyśnika, u którego podstawy schronili się przed deszczem, dzieląc papierosem, napawając chwilą wytchnienia od pozostałych wędrowców. – Na pustyni.

Później będzie mniej pracy, jeżeli na bieżąco poprawia się wypowiedane słowa Tekstu.

– Dziękuję – mówi Oberst Enzian.

Z odległości stu metrów, skulony pod inną paraboloidą, przygląda się im gruby dzieciak w szarej kurtce czołgisty. Z jego kieszonki wyzierają dwa małe ślepka. To grubas Ludwig i jego zaginiony leming, Urszula – odnalazł ją wreszcie i na przekór wszystkiemu. Przez tydzień podążali za taborem, tuż poza zasięgiem wzroku, idąc śladem Afrykanów dzień w dzień... wśród drzew na szczycie skarp, nocą, na granicy poświaty z ogniska, Ludwig jest wszędzie i patrzy... zbierając dane albo człony równania... chłopiec i leming, zwiedzający Strefę. Najczęściej widzi tylko dużo gumy do żucia i dużo cudzoziemskich fiutów. Jak inaczej mógłby się przemieszczać po Strefie samotny dzieciak? Urszula się uratowała. Ludwig padł ofiarą losu gorszego od śmierci i przekonał się, że los ten ma wartość rynkową. Zatem nie wszystkie lemingi skaczą z urwiska do morza i nie wszystkie dzieci uchronią się od popadnięcia w grzech zysku. Oczekiwać od Strefy czegoś więcej lub mniej oznaczałoby nie godzić się na warunki Stworzenia.

Gdy Enzian jedzie w szpicy, pogrąża się w zadumie, nieważne, czy

kierowca gada, czy nie. Nocą, gdy podróżują ze zgaszonymi reflektorami, mgła tak gęsta, że mogłaby zwalić się na ziemię, albo nawiewana w twarz przez wiatr jak mokry jedwabny szalik, na zewnątrz i w kabinie taka sama temperatura i mrok, właśnie taka równowaga wprowadza go w sny na jawie, nogi i ręce skierowane ku górze, napierające na gumowatą lepłą szybę między dwoma poziomami, pieszczoty senności w nadwrażliwych dłoniach i stopach, dobra drzemka jak na łóżku w domu. Warkot silnika skradzionego samochodu tłumią stare materace, którymi obłożono maskę. Henryk Zajac, za kierownicą, łąpie na wskaźnik temperatury. Nazywają go Zajac, bo nigdy nie rozumie, co się do niego mówi, jak w tej starej legendzie Hererów. Szacunek przemija.

Na drogę wślizguje się jakaś sylwetka, latarka z wolna zatacza krąg. Enzian otwiera okno z karuku, wychyla się w gęstą mgłę i woła:

– Szybciej od światła!

Postać daje znak ręką, by jechali dalej. Kątem oka, w ostatnim spojrzeniu rzuconym do tyłu, Enzian widzi w świetle latarki, że krople deszczu na czarnym obliczu mają formę wielkich kul i trzymają się, jak woda trzyma się czarnej tłustej farby, a nie skóry Herero –

– Możesz raptownie zawrócić? – Pobocza są zdradzieckie, obaj to wiedzą. Za plecami, od strony opuszczonego obozu, linię lekko pofałdowanych nizin oświetla nagle rozprysk morelowego światła.

– Cholera. – Zajac wrzuca wsteczny, czekając na rozkazy Enziana. Jadą z chrzęstem do tyłu. Może ten z latarką stał tylko na czatach, może w promieniu paru mil nie ma więcej wojska. Ale –

– Tam. – Obok drogi, skulone ciało. To Mieczysław Omuzire, z okropną raną głowy. – Dawaj, do środka z nim.

Wciągają go na tył czekającej ciężarówki i okrywają brezentem namiotu. Nie ma czasu na opatrunek. Wartownik o czarnej twarzy zniknął bez śladu. Z kierunku, w którym jadą, dobiega rachityczny grzechot broni automatycznej.

– Wracamy?

– Słyszałeś jakieś moździerze?

– Od czasu tego jednego? Nie.

– Im nic nie będzie, Nguarorerue, martwmy się lepiej o siebie.

Orutyene nie żyje. Okandio, Ekori i Omuzire ranni, Ekori w stanie krytycznym. Wróg miał białą skórę.

– Ilu?

– Może z dwunastu.

– Nie ma co liczyć, że teren jest bezpieczny – po drgającej mapie skacze niebieskobiałe światło latarki, elipsa, potem parabola – przynajmniej do Brunszwiku. Jeśli to miejsce jeszcze w ogóle tam jest. – Na mapie rozbryzgują się głośno krople deszczu.

– Gdzie są tory? – pyta Christian.

Andreas obrzuca go zaciekawionym spojrzeniem. To obustronne. I częste ostatnio. Linia kolejowa znajduje się w odległości sześciu, siedmiu mil na północny zachód.

Ludzie rzucają swoje rzeczy obok osprzętu przyczepy, na której wieziona jest Rakietka. Ścinają młode drzewka, głośne uderzenia niosą się w dal... budują ramę, tobołki ubrań, garnki i patelnie upychane tu i ówdzie pod długim brezentem, rozpiętym między pierścieniami z wygiętych drzewek, żeby udawać fragmenty rakiety.

– Ci, którzy idą na wabia, zameldują się przy wozie kucharza! – krzyczy Andreas, szukając listy po kieszeniach.

Oddział mający ściągnąć na siebie uwagę wroga ruszy na północ, bez gwałtownej zmiany dotychczasowej trasy, tymczasem reszta dobije na wschód, z powrotem w stronę Armii Czerwonej. Jeśli podejda dość blisko Rosjan, Brytyjczycy i Amerykanie może odpuszczą. Być może uda się przemieścić po styku, jakby szybowali na skraju burzy... przez całą drogę aż do końca między armiami Wschodu i Zachodu.

Andreas siedzi na pace i majtając nogami, kopie w klapę ciężarówki, bang... bang... dzwoniąc na odjazd. Enzian podnosi oczy, zaintrygowany.

Andreas wyraźnie chce coś powiedzieć.

– Christian jedzie z tobą? – pyta wreszcie.

– Tak, a co? – mrugając oczyma pod zroszonymi deszczem brwiami. – Andreas, na miłość boską.

– No co? Ci wyznaczeni na wabia też mają się przedrzeć, tak?

– Wiesz co, weź go ze sobą, jeżeli chcesz.

– Chciałem się tylko dowiedzieć, co ustalono. – Andreas wzrusza ramionami.

– Mogłeś spytać otwarcie. Niczego nie ustaliliśmy.

– Ty może nie. To właśnie twoja metoda. Myślisz, że w ten sposób się uchronisz. Ale w naszym wypadku to nie skutkuje. Musimy wiedzieć, co naprawdę się wydarzy.

Enzian klęka i zaczyna podnosić ciężką żelazną klapę. Zdaje sobie sprawę, jak teatralnie to wygląda. Kto by uwierzył, że w głębi serca pragnie być tam z nimi, z bezlikiem Pokornych, bezsennych, konających w bólu po całej Strefie? Z pominiętymi, których kocha, wiedząc, że skazany jest na bycie obcym... Nad nim grzechoczą łańcuchy. Gdy brzeg klapy osiąga poziom podbródka, Enzian podnosi wzrok i patrzy Andreasowi w oczy. Ręce napięte. Łokcie bolą. To złożenie siebie w ofierze. Chce zapytać. Ilu innych spisało mnie na straty? Czy czeka nas los, na który tylko ja pozostawałem ślepy? Lecz nawyki nie ustępują, mają własne życie. Wstaje z trudem na nogi, milcząc, dźwigając bezwładny ciężar, trzask. Obaj wsuwają bolce z dwóch stron.

– Do zobaczenia. – Enzian macha ręką i odwraca się. Połyka tabletkę niemieckiej dezoksyfedryny, a potem wrzuca do ust listek gumy do żucia. Prędkość sprawia, że zęby zgrzytają, żują gumę zgrzytającą zębami, a żucie gumy jest techniką wymyśloną pod koniec Wojny przez kobiety, by powstrzymać się od płaczu. Nie znaczy to, że płakałby z powodu rozstania. Płakałby nad sobą: nad tym, co w ich powszechnym przekonaniu go spotka. Im bardziej wierzą, tym większe prawdopodobieństwo, że tak się stanie. Jego

właśni ludzie go obalą, jeżeli tylko będą mogli...

Ciam, ciam, mmm, dzień dobry paniom, ładna robota z tymi więzami, Ljubica, ciam, jak tam głowa, Mieczysławie, założę się, że mieli głupie miny, kiedy kule się odbiły! He, he, ciam, dobry wieczór, „Iskra” (Ozohande), przyszło coś z Hamburga w sprawie ciekłego tlenu, niech się lepiej pośpieszy ten cholerny Oururu, bo będzie wielkie sru-ru, zanim się zdecydu-ru, o cholera, a co to –

Josef Ombindi, przywódca Pustych. Ale gdy przestał się uśmiechać na kilka sekund, Enzian myślał, że to duch Orutyenego.

– Podobno dziecko Okandiego też zginęło.

– Nieprawda. – Ciam, ciam.

– Ta dziewczynka była moją pierwszą próbą niedopuszczenia do narodzin.

– Zatem nadal się nią interesujesz. Śmiertelnie poważnie. – Ciam, ciam. Wie, że chodzi o co innego, ale ten facet działa mu na nerwy.

– Samobójstwo to wolność, którą mają nawet najniżej stojący. A ty chcesz odmówić tej wolności całemu narodowi.

– Bez ideologii mi tu. Powiedz lepiej, czy twój przyjaciel Oururu będzie miał gotowy ten generator ciekłego tlenu. Czy też może w Hamburgu czeka mnie niemiła niespodzianka?

– Dobrze, bez ideologii. Ty chcesz odmówić swojemu ludowi nawet tej wolności, z której sam korzystasz, Oberst Nguarorerue. – Znow uśmiechając się jak duch mężczyzny, który dzisiaj poległ. Szukając czułego miejsca, dźgając, co, co, chcesz coś powiedzieć, Oberst? wreszcie dostrzega zmęczenie na twarzy Enziana i pojmuję, że on nie udaje. – Wolności – szepcząc, uśmiechając się, pieśń miłosna pod czarnym niebem obrętionym kwaśnym oranżem, reklama pełna przerażenia, jakie odczuwali katarzy na myśl o więzieniu dusz w ciałach nowo narodzonych – wolności, z której wkrótce może skorzystasz. Słyszę, jak twoja dusza mówi we śnie. Znam cię lepiej niż ktokolwiek inny.

Ciam, ciam, och, dałem mu przecież listę wartowników. Rany, ale ze mnie

głupiec. On teraz może wybrać dowolną noc.

– Ombindi, ty jesteś przywidzeniem – głosem spanikowanym na tyle, że nawet jeżeli to nie poskutkuje, i tak będzie niezłą obrazą. – Ja wywołuję własne pragnienie śmierci, a ono przybiera twoją postać. Szpetniejsze, niż kiedykolwiek marzyłem. – Obdarzając go Uśmiechem Kosmonauty przez pełne trzydzieści sekund, jednak już po dziesięciu Ombindi ucieka oczyma, zaczyna się pocić, zaciska usta, spogląda na ziemię, w bok, z powrotem, ale Enzian nadal się szczerzy, dziś nie ma zmiłowania, mój ludu, Uśmiech Kosmonauty przeobraża wszystko w promieniu mili w barwy zmarzniętych lodów, TERAZ, gdy jesteśmy w odpowiednim nastroju, to może jednak założymy pokrywy, co, Djuro? Owszem, mam wzrok jak promienie rentgenowskie, widziałem przez brezent, że ich nie ma, zapisz to jako jeszcze jeden cud...Vlasta, bierzesz następny dyżur przy radiostacji, zapomnij o wykazie, z Hamburga przychodzą tylko rutynowe sygnały, chcę wiedzieć dlaczego, chcę wiedzieć, co przyjdzie, gdy dyżurują ludzie Ombindiego... – Łączność na częstotliwości dowództwa odbywa się za pomocą kresek i kropek – głosy mogłyby się zdradzić. Ale radiotelegrafiści zaklinają się, że potrafią rozpoznać, czyje dłonie wysyłają meldunek. Vlasta jest jednym z najlepszych radiotelegrafistów, potrafi naśladować ręce większości ludzi Ombidniego. Ćwiczyła, tak na wszelki wypadek.

Inni, którzy od dawna zastanawiali się, czy Enzian kiedykolwiek stanie przeciwko Ombindiemu, orientują się teraz po jego minie i chodzie, co się dzieje – wystarczy dotknięcie furazerki palcami, to sygnał, realizujemy plan taki-i-taki, ludzie Ombindiego zostają spokojnie, bez przemocy, zluzowani ze wszystkich wart i dyżurów, choć zachowują broń i amunicję. Nikt im ich nie odebrał. Nie ma ku temu powodu. Enzianowi nie grozi nic więcej niż dotąd, a to bardzo dużo.

Gruby Ludwig jest robaczkiem świętojańskim we mgle. Bawi się w zwiadowcę wielkiej armii białych, podążającej za nim, gotowej spaść ze wzniesień na jego znak i wetrzeć czarnych w ziemię. Ale nigdy jej nie



sprowadzi. Woli raczej ciągnąć za taborem, niewidzialny. Tutaj nikt się nad nim nie pastwi. Ta wędrówka jego nie obejmuje. Idą dokądś. Czuje, że musi za nimi podążać, oddzielnie, choć tak samo na łasce Strefy...



To mostek nad potokiem. Samoloty przelatują z rzadka. Gdy podniesiesz głowę, zobaczysz zbocze porośnięte iglastymi drzewami, które ciągną się po jednej stronie drogi. Pnie skrzypią żałobnie z powodu rany zadanej ich krainie, ich ziemi, przez inżynierów. W wodzie śmigają brązowe pstrągi. Mokre ściany sklepionego kanału odpustowego zabazgrali ludzie, którzy chronili się tu wcześniej: „Weź mnie, *Streckefuss*, co cię wstrzymuje? Nie ma nic gorszego od tych dni. Przypominasz spokojny sen. Przecież jesteś tylko snem, prawda? Proszę. Przybądź jak najszybciej. Szeregowy Rudolf Effig, 12 kwietnia ,45”. Rysunek, wykonany wojskową farbą maskującą, przedstawia mężczyznę wpatrującego się w kwiatek. W oddaleniu, bo w mniejszej skali, znajduje się kobieta idąca ku niemu. Albo to elf czy coś. Mężczyzna na nią (na to) nie patrzy. Na środkowym planie widnieją stogi siana. Kwiatek ma kształt cipy młodej dziewczyny. Z nieba spogląda ciało świetlne, narysowana na nim twarz spowita niezmaconym spokojem, jak oblicze Buddy. Pod spodem ktoś machnął po angielsku: „Dobry rysunek! Dokończ go!”. Jeszcze niżej inna ręka dopisała: „On jest skończony, ty kretynie. I ty też”. Tuż obok, po niemiecku: „Lisele, kochałem cię całym sercem”, brak nazwiska, rangi, oznaczenia jednostki i seryjnego numeru. Inicjały, partyjki w kółko i krzyżyk, ewidentnie rozgrywane w pojedynkę, gra w szubienicę, słowa-zagadki nie dokończono: „GE\_ \_ RAT\_ \_”, a wisielca narysowano prawie na drugim końcu kanału, widać go wyraźnie nawet o tak wczesnej porze, bo droga jest wąska i cień tu nie zalega. Spośród krzaków na poboczu wystaje rower, który ktoś chciał ukryć. Nad świeżym sianem fruwa bez celu późny motyl, blady jak powieka. Wyżej na stoku ktoś wbija siekierę w pień żywego drzewa... właśnie tutaj i teraz młoda czarownica wreszcie odnajduje Waclawa Cziczera.

Siedzi nad wodą, ani przygnębiony, ani uspokojony, ot, po prostu siedzi i czeka. Bierny solenoid, czekający na prąd. Podnosi głowę na odgłos jej

kroków. Ona jest pierwszą osobą, którą widzi tego dnia. To jej sprawka. Zakłęcie, które wypowiedziała, gdy oczy lalki, jego oczy, wschodnie i przejrzyste, właściwie tylko odcisnięte w glinie długimi paznokciami, zawiązała paskiem wyciętym z kroku swoich jedwabnych majtek, brzmiało następująco:

Niech będzie teraz ślepy na wszystkich prócz mnie. Niech płonące słońce miłości roziskrzy się na zawsze w jego oczach. Niech mój własny mrok będzie dla niego schronieniem. Na Boga pod wszystkimi świętymi imionami, na Anioła Melchidaela, Jahoela, Anafiela i wielkiego Metatrona zaklinam ciebie i wszystkich, którzy z tobą są, byś był posłuszny mojej woli.

Tajemnica leży w skupieniu. Geli pohamowuje wszystko inne: księżyc, wiatr w jałowcach, dzikie psy, biegające po nocy. Koncentruje myśli na Cziczereinie i jego krnąbrnych oczach, pozwalając, by wezbrał w niej orgazm, przebiegający w rytmie wypowiedzanego zaklęcia, toteż pod koniec, gdy już wszystkie Miana Mocy zostały wyliczone, krzyczy, szczytuje bez pomocy dłoni, wzniesionych ku niebu.

Potem łamie skibkę czarodziejskiego bochenka na pół i zjada jeden kawałek. Drugi jest dla Cziczerina.

Teraz on się częstuje. Potok się przetacza. Śpiewa ptaszek.

Pod wieczór, gdy kochankowie leżą nadzy na zimnym trawiastym stoku, z wąskiej drogi dobiega warkot konwoju. Cziczerein wciąga spodnie i wchodzi wyżej, by wyżebrać trochę jedzenia, a może papierosy. Przepływają czarne twarze, *mba-kajere*, niektóre zerkają na niego z zaciekawieniem, inne są zbyt skoncentrowane na własnym zmęczeniu albo pilnowaniu zakrytej platformy, wiozącej głowicę 00001. Jadący na motocyklu Enzian przystaje na moment, *mba-kajere*, żeby zamienić słowo z pokrytym bliznami, zarośniętym białym mężczyzną. Stoją na środku mostu. Rozmawiają łamaną niemiecką. Cziczerein wycygnia pół paczki amerykańskich papierosów i trzy surowe ziemniaki. Mężczyźni kiwają głowami na pożegnanie, zdawkowo, bez uśmiechów. Enzian wrzuca bieg i rusza dalej. Cziczerein zapala papierosa,

patrzac za konwojem, dygoczac. Potem wraca do swojej dziewczyny, czekajacej nad potokiem. Musza zebrać troche chrustu, nim zapadnie zmrok.

To jest magia. Fakt, ale magia niekoniecznie oznacza zmyslenie. Przeciez nie pierwszy raz bracia rozmineli sie bezpowrotnie o zmierzchu, nie zdajac sobie z tego sprawy.



Miasto tak bardzo rozrosło się w górę, że jazda windami trwa dość długo, toteż wybudowano w nich sale klubowe: są wymoszczone siedzenia i ławki, bary przekąskowe, stojaki z prasą, przy których możesz przejrzeć numer „Life’u” między kolejnymi piętrami. Na zajęcze serca, które po przekroczeniu progu natychmiast rozglądają się w poszukiwaniu „Certyfikatu sprawności”, czekają młode kobiety w zielonych egzotycznych czapeczkach, zielonych stanikach z aksamitu i zwężających się u dołu spodniach w żółte prążki – kobiecy efekt zoot-suit – obeznane ze wszystkimi przejawami windowego życia, obarczone zadaniem rozładowywania napięcia u podróżnych.

– W dawnych czasach – świergocze Mindy Bloth z Carbon City w stanie Illinois, uśmiechnięty profil, obok którego przepływa mosiężna mora rozmazanych rombów, wędrujących pionowo tysiącami, dorosłeja twarz rozmarzona i zarazem przytomna, jak oblicze Królowej Kielichów, dziewczyna właściwie nie patrzy bezpośrednio na ciebie, jej spojrzenie zawsze załamuje się pod stałym kątem w złotobrazowym ośrodku między wami... jest ranek i kwiaciarz na tyłach windy, schodek, dwa niżej, za fontanną, oferuje świeże bzy i irysy – w czasach sprzed Wertykalnego Rozwiązania cały transport był w efekcie dwuwymiarowy, aha, domyślam się, o co chcesz spytać – uśmiech, dla stałego podróżnego znajomy i niezalamany, od dziewczyny do zwiedzającego – „A co z samolotami, hę?”, o to chciałeś zapytać, prawda? – w rzeczywistości chciał zapytać o Rakietę i wszyscy to wiedzą, lecz ten temat jest osobliwym tabu, a Mindy właśnie stworzyła okazję do użycia przemocy, stłumienia – wybielone barwy wrześniowego porannego nieba naprzeciw wschodzącego słońca, piłująca krawędź wiatru – w tym intymnym sześciennej środowisku, poruszającym się tak płynnie w przestrzeni (bąbelki sunące do góry w kostce kastylijskiego mydła, wokół której rozpała się zielony blask leniwej błyskawicy), mijając

piętra, gdzie roi się od głów jaśniejszych niż sperma i jaja w morzu, piętra zaciemnione i nieogrzewane, zakazane nie wiedzieć czemu, o dziwnym wyglądzie pustkowiec, piętra, na których nie było nikogo od Wojny aaa-aaachchch! przetacza się wycie – To powszechny efekt aerodynamiczny – wyjaśnia cierpliwie Mindy – w grę wchodzi twoja warstwa graniczna i kształt otworu, który mijamy.

– Aha, chodzi pani o to, że gdy tam dotrzemy, to już ma inny kształt?! – woła inny zwiedzający.

– Owszem, i gdy już go minimy, też ma inny. – Mindy zbywa go, robiąc miny, usta zasznurowane, odprężone, uśmiechnięte.

Wielkie nieregularne otwory wyją, ciągnąc się zapomniane w dół, już historie znikające pod twoimi butami, wycie przedęte jak nuta na organkach – ale dlaczego zatłoczone piętra nie wydają żadnego dźwięku, gdy mija je winda? Piętra, na których palą się światła ciepłe jak w Boże Narodzenie, wabią cię w natłok szklanych faset i ścianek działowych, maszyna do kawy perkocze dobroduszenie, ojej, oto kolejny dzień, jak się masz, Marie, gdzie wy, panie, chowacie rysunki SG-1... jak to Służba Polowa je trzyma... znowu? Przecież to w gestii Pracowni Projektowej, kiedy wysyłają sprzęt w Pole (*Der Veld*), to jakby twoje własne dziecko uciekło z domu. Tak jest. Złamane serce, matczyzna modlitwa... Głosy członków Radosnego Klubu Hitlerjugend z Lubeki cichną z wolna (obecnie chłopcy występują jako „Lederhoseners” w kasynach oficerskich, rozsianych po całej Strefie. Są odpowiednio ubrani i śpiewają odwróceniami plecami do publiczności – pod warunkiem, że miejsce jest odpowiednie – szelmowskie buzie zerkają przez ramię, mrugają zalotnie do żołnierzy:

Bardziej szczypiące niż łyżki *Mutti*

Było lanie, które mi dała...

przepięknie skoordynowany taniec rzędu pupek, wyzierających spod skórzanych spodni, tak obcisłych, że wyraźnie widać napinanie się pośladków, i możesz być pewien, że na sali nie ma ani jednego fiuta, który

nie zbudziłby się do życia na taki widok, i chyba ani jednego oka, które nie wyobrażałoby sobie matczynej witki, smagającej nagie dupki, ach, te przecudowne czerwone pręgi, sroga piękna kobieca twarz, uśmiech, tylko krótkie błyski oczu spod opuszczonych powiek – gdy uczyłeś się raczkować, najczęściej widziałeś jej stopy i golenie – to one zastąpiły piersi jako źródło siły, gdy poznawałeś zapach jej skórzanych butów, a ta władcza woń rozprzestrzeniała się poza zasięg twojego wzroku – aż do kolan, być może – zależnie od mody tamtego roku – do ud. Byłeś dzieckiem w obecności skórzanych nóg, skórzanych stóp...).

– A może – szepcze Thanatz – wszyscy nauczyliśmy się tej klasycznej fantazji u matczynych kolan? Może gdzieś w pluszowym albumie mózgu tkwi zdjęcie dziecka w ubranku lorda Fauntleroya, zdjęcie ślicznej francuskiej pokojówki, błagającej o chłostę?

Ludwig przesuwa grubą dupę pod dłoń Thanatza. Obu ograniczają obwody, których nie wolno przekroczyć. Ale i tak odpełźli na kawałek styku, do zimnych zarośli, które ugnietli i na których teraz się kładą.

– Ludwigu, odrobina sadomasochizmu nikomu jeszcze nie zaszkodziła.

– Kto tak twierdzi?

– Zygmunt Freud. Skąd mam wiedzieć? Dlaczego jednak nauczono nas odczuwać odruchowy wstyd, ilekroć ten temat się pojawia? Dlaczego Struktura pozwala na wszelkie inne zachowania seksualne oprócz tego? Dlatego, że uległość i dominacja to środki, których ona sama potrzebuje, by przetrwać. Nie wolno ich trwonić w prywatnym seksie. W żadnym seksie. Naszej uległości potrzebuje po to, by zachować władzę. Naszego pragnienia dominacji zaś po to, żeby włączyć nas do rozgrywek władzy. Nie ma w tym żadnej radości, tylko władza. Mówię, ci, jeżeli sadomasochizm upowszechniono by na poziomie rodziny, Państwo by szczeło.

To sadoanarchizm, którego czołowym teoretykiem w Strefie jest obecnie właśnie Thanatz.

Wreszcie jest Pustać Luneburska. Zeszłej nocy doszło do spotkania z



oddziałem wiozącym zbiorniki z paliwem i utleniaczem. Przez cały ranek przez radio nadawała grupa od ogona, usiłując ustalić pozycję, gdy tylko niebo się przejaśni. Montaż i toczy się również w sposób geograficzny, dzieje diaspory ciągną się wstecz, nasiona wygnania fruną ku pojedynczemu punktowi, w skromnym przedpremierowym pokazie grawitacyjnego upadku Mesjasza zbierającego się w spadłych iskrach... Pamiętasz historię o dzieciaku, który nie znosi *kreplach*? Nie znosi i boi się, w obecności tej potrawy na całym jego ciele pojawiają się okropne zielone wykwitki, podobne do wypukłych map. Matka prowadzi go do psychiatry.

– To lęk przed nieznanym – stawia diagnozę szara eminencja. – Niech popatrzy, jak pani robi *kreplach*, to go uspokoi.

W te pędy do matczynej kuchni.

– A teraz – mówi mama – przygotuję nam smaczną kolację.

– Rany, to fajnie! – woła dzieciak.

– No właśnie, widzisz, przesiewam mąkę i sól na kupkę.

– A co to będzie, mamó, hamburgery? Hura!

– Hamburgery z cebulką. Widzisz, smażę ją na patelni.

– Jeju, ja już nie mogę się doczekać, ale to fajne. A co teraz?

– Teraz zrobię taki mały wulkanik w środku mąki i wbiję do środka jaja.

– A mogę za ciebie wymieszać? O rany!

– A teraz czas ugnieść ciasto, widzisz? Hops, na tę płaską blachę, o, a dalej pokroję w kwadraty –

– Fantastyczne, mamusiu!

– Nałożę trochę hamburgerów na te kwadraciki, teraz zawinę w trójkąci –

– BLEEEEE! – wrzeszczy mały, kompletnie przerażony – to *kreplach*! Tak jak pewne tajemnice przekazano Cyganom, by ostali się na przekór odśrodkowej Historii, inne kabalistom, templariuszom i różokrzyżowcom, tak samo Tajemnica Przerażającego Montażu oraz reszta znalazły drogę do bezpogodowych przestrzeni tego lub tamtego Etnicznego Żartu. Jest również historia o Tyronie Slothropie, którego wysłano do Strefy, żeby był obecny

przy swoim własnym montażu – być może ciężko paranoiczne głosy szeptały: montażu jego czasu – i powinna być jakaś puenta, ale nie ma. Plan poszedł na opak. Slothrop jest rozczłonkowany i rozproszony. Jego karty zostały wyłożone, w celtyckim krzyżu, w porządku zaproponowanym przez E. A. White’a, wyłożone i odczytane, lecz to są karty nieudacznika i człowieka ograniczonego: wskazują tylko odległą i chaotyczną przyszłość, mierność (nie tylko w jego życiu, he, he, he, ale również w życiu jego kronikarzy, tak, tak, nie ma jak Trójka Monet do góry nogami, zakrywająca kartę wróżącego przy drugiej próbie, sadzająca cię przed telewizorem, byś obejrzał siódmą powtórkę przedstawienia Ichizo i Takeshiego, być zapalił papierosa i spróbował zapomnieć o całej sprawie) – nie wskazują żadnego wyraźnego szczęścia czy zbawiennego kataklizmu. Wszystkie jego dobre karty są odwrócone, a najniefortunniej się stało, że negatywny jest Wisielec, mówiący o jego sekretnych nadziejach i lękach...

– Nigdy nie było żadnego doktora Jamfa – oznajmia światowej sławy psychoanalityk Mickey Wuxtry-Wuxtry. – Jamf był fikcją, żeby Slothrop mógł wyrazić te straszliwe bezpośrednie uczucia, które wzbudzały w jego genitaliach rakiety, ilekroć wybuchały na niebie... by mógł zaprzeczyć temu, do czego w żadnym razie nie mógł się przyznać: że kochał się, seksualnie się kochał w swojej śmierci, w śmierci swojej rasy.

– Ci pierwsi Amerykanie byli na swój sposób fascynującym połączeniem niewyrobionego wierszoklety i psychicznego kaleki...

– Nigdy nie interesował nas zbytnio Slothrop jako Slothrop – przyznał ostatnio rzecznik Kontrakcji w wywiadzie dla „Wall Street Journal”.

DZIENNIKARZ: Czy mam rozumieć, że był raczej punktem skupienia?

RZECZNIK: Nie, nawet nie tym. Opinie od samego początku wydawały się podzielone. To była jedna z naszych zgubnych słabości. (Jestem pewien, że chciałby pan posłuchać o zgubnych słabościach). Niektórzy nazywali go pretekstem. Inni uważali, że to prawdziwy mikrokosmos, co do joty. Mikrokosmiści, jak może pan wie ze znanych już opowieści, wcześniej

zaczęli. My – to właściwie była bardzo osobliwa forma polowania na heretyków. W Niderlandach, latem. Na polach z wiatrakami, mokradłach, gdzie było prawie za ciemno, by przyzwoicie widzieć. Przypominam sobie, jak pewnego razu Christian znalazł stary budzik, z którego odzyskaliśmy rad, żeby nim posmarować linki pionów. Świeciły o zmierzchu. Potem było widać, jak trzymają ciężarki, dłonie znamiennie przy krocach. W odległości pięćdziesięciu metrów padała na ziemię ciemna postać ze strugą świecącego moczu. „Szczający duch”, wycinaliśmy ten numer nowicjuszom. Charlie Noble z Raketentstadt, można by powiedzieć... (Owszem, ładnie powiedziane, zdradzam wszystko... najgorzej, że ja wiem, czego chce twój naczelny, wiem dokładnie. Jestem zdrajcą. Noszę to w sobie. Waszego wirusa. Rozprzestrzenianego przez wasze niezmordowane Tyfusowe Marie, krążące po jarmarkach i dworcach. Parę z nich udało nam się złapać w zasadzkę. Pewnego razu schwytaliśmy kilka w metrze. To było straszne. Moja pierwsza akcja, moja inicjacja. Ścigaliśmy je w tunelach. Wyczuwaliśmy ich strach. Kiedy tunele się rozwidlały, wsłuchiwalismy się w zdradziecką akustykę. Można się było łatwo zgubić. Panowała prawie zupełna ciemność. Szyny migotały, tak jak migoczą na powierzchni nocą, gdy spadnie deszcz. No i szept – cienie, zgarbione ostro przy stacjach naprawczych, rozpląszczone na ścianach tuneli, przyglądające się pościgowi. „Koniec jest zbyt daleko – szeptały. – Wracajcie. Na tej linii nie ma stacji. Pociągi jadą, w nich pasażerowie, przez całe mile musztardowych tuneli, nie ma żadnych przystanków. To długa popołudniowa jazda...”. Dwie z nich umknęły. Ale resztę dopadliśmy. Między oznaczeniami dwóch stacji, żółta kreda wyzierająca z wieloletnich warstw brudu, 1966 i 1971, pierwszy raz posmakowałem krwi. Tę część też chce pan zamieścić?). Wypiliśmy krew naszych wrogów. Dlatego właśnie tak polowano na gnostyków. Sakrament Eucharystii polega tak naprawdę na picciu krwi wroga. Graal, Sangraal, jest krwawym nośnikiem. W przeciwnym razie po co otoczony byłby taką tajemnicą? Po co czarna gwardia honorowa wędrowałaby przez pół

kontynentu, przez pół rozłupanego Imperium, kamienną nocą i zimowym dniem, gdyby chodziło tylko o dotknięcie słodkimi wargami skromnego naczynia? Nie, oni dźwigają grzech śmiertelny: połknęli wroga, aż po gładką soczystość, wchłanianą przez wszystkie komórki. To znaczy wasz oficjalnie zdefiniowany „grzech śmiertelny”. Grzech przeciw wam. To ustęp z waszego kodeksu karnego, ot i wszystko. (Prawdziwy grzech wyście popełnili: zakazaliście tego związku. Nakreśliliście linię graniczną. Byśmy pozostali gorsi od wrogów, którzy ostatecznie schwytani są w te same pola gówna, byśmy pozostali obcymi.

Wypiliśmy krew naszych wrogów. Krew przyjaciół hołubiliśmy).

Pozycja S-1706.31. Fragment podkoszulka, z wyposażenia marynarki Stanów Zjednoczonych, z brązowymi plamami w kształcie miecza, wziętymi za krew, biegnącymi z lewej strony do prawej, od dołu do góry.

Niezałączony do Księgi Upamiętnień jest niniejszy przypis. Ten kawałek podkoszulka dał Slothropowi marynarz Bodine pewnej nocy w barze „Chicago”. Wieczór ten był swoistą powtórką ich pierwszego spotkania, żarzący się gruby skręt, wciśnięty między struny na gryfie gitary, żalobna piosenka, która częściowo jest dziełem Rogera Mexico, częściowo jakiegoś bezimiennego marynarza zadekowanego w San Diego czasów wojny:

W zeszłym tygodniu rzuciłem komuś tortem w twarz.

Zeszłej nocy mój mózg rzucił się w wir tańca.

Wiem tylko, to że szósta zero dwie zawyła mi nad głową

Albo może jedenasta pięćdziesiąt dziewięć...

(Refren:)

Za dużo ogrodzeń wieczorem,

Za dużo ludzi dygoczących w deszczu.

Podobno masz nareszcie swoje dziecko,

Nie wygląda, bym znowu miał cię zobaczyć.

Czasami chciałbym wrócić na północ, do hrabstwa Humboldt,

Czasami myślę, że pojedę na wschód do rodziny,

Niekiedy wydaje mi się, byłbym szczęśliwy,  
Gdybym wiedział, że co jakiś czas o mnie pomyślisz.

Bodine ma buczący pierścionek, taki, co dostają dzieci za kupony wycięte z pudełek płatków śniadaniowych, starannie wciśnięty w odbyt, toteż cacko buczy przy każdym porządnym pierdnięciu. Marynarz nabrał niezłej wprawy w akcentowaniu muzyki odbytniczymi ŁIIIiiii, a teraz próbuje osiągnąć odpowiednią tonację, nowiuteńki łuk odruchowy, ucho-mózg-ręce-dupa, no i powrót do niewinności. Dziś handlarze nieco wolniej załatwiają interesy. Sentymentalny Bodine myśli, że to dlatego, iż wsłuchali się w jego piosnkę. Może i tak. Bale świeżych liści kokainy prosto z Andów przeobrażają lokal w akustyczny łaciński magazyn, w przededniu rewolucji, która nigdy nie ucieleśni się bardziej niż dym brudzący niebo nad żurawiem portowym, czasami, w długich koronkowych popołudniach przy oknie... Ulicznicy wycinają Numer Zapracowanego Psoтника, w każdy liść zawijają orzech betelu, zgrabne małe pakieciki do żucia. Ich poczerwieniałe palce są żywymi rozżarzonymi węgielkami w cieniu. Bodine podnosi nagle wzrok, przezorna, nieogolona twarz, kāsana przez dym i nieświadomość w całym pomieszczeniu. Patrzy wprost na Slothrop (będąc jednym z niewielu, którzy wciąż postrzegają go jako integralną istotę. Większość ludzi już dawno zaprzestała prób utrzymywania go w całości, choćby jako koncept – „To się za bardzo rozlazło”, oto co mówią). Czy Bodine czuje teraz, że jego własna siła też może kiedyś nie wystarczyć: że niedługo tak jak inni będzie musiał machnąć ręką? *Ale ktoś musi podołać, przecież to nie może tak dotyczyć wszystkich – to byłaby przesada... Rocketman, Rocketman. Biedny skurwielu...*

– Ej, posłuchaj. Chce, żebyś to wziął. Rozumiesz? Jest twoje.

Czy on w ogóle jeszcze słyszy? Czy widzi ten podkoszulek, te plamy?

– Wiesz, byłem wtedy w Chicago, gdy się na niego zaczaili. Tamtej nocy, na tej samej ulicy, trochę w bok od Biograph. Słyszałem strzały, wszystko słyszałem. Cholera, dopiero co mnie wtedy wcielili, myślałem, że na tym

polega wolność, więc przybiegłem. Ja i połowa Chicago. Ludzie powyskakiwali z barów, toalet, alej, kobiety zakasywały spódnice, żeby szybciej przebierać nogami, panna Krodobbly, która przepięła wszystkie lata Wielkiego Kryzysu, czekając, żeby słońce się wdarło, no i proszę, połowa mojego ostatniego rocznika z Wielkich Jezior, w niebieskich ubraniach, takie same odznaki ze sprężyną jak moja, i wieloletnie dziwki i pedały o ospowatych gębach i oddechach cuchnących gorzej niż rękawiczka motocyklisty, starsze panie z tylnych podwórek, nastolatki prosto z kina, pot ciągle zimny na udach, chłopie, wszyscy tam byli. Zdejmowali ubrania, wydzierali czekki z książeczek czekowych, darli gazety na strzępy, żeby tylko umoczyć coś we krwi Johna Dillingera. Dostaliśmy obłądu. Agenci nie próbowali nas powstrzymać. Stali tylko z dymiącymi soplami, a ludzie klękali po tę krew na ulicy. Może poszedłem bez zastanowienia za stadem. Ale w grę wchodziło coś jeszcze. Coś, czego najwyraźniej było mi potrzeba... jeśli mnie teraz słyszysz... dlatego ci o tym mówię. Rozumiesz? Na tym podkoszulku jest krew Dillingera. Była jeszcze ciepła, gdy jej dotknąłem. Oni chcieliby, żebyśmy myśleli o nim jako o „pospolitym przestępcy”, tyle że łeb mają głupszy od dupy, on robił to, co robił. Wchodził, załatwiał Ich w kiblowym zaciszu Ich banków. Kogo obchodzi, o czym myślał, skoro to nikomu nie przeszkadzało? Dlaczego my to robimy, też nie ma znaczenia. Rocky? Nie potrzebujemy słusznych powodów, lecz tylko wdzięku. Fizycznego wdzięku, żeby to nadal odnosiło skutek. Odwaga, łeb na karku, jasna sprawa, ale bez wdzięku? Nie ma mowy. Czy ty... ej, proszę, czy ty mnie słuchasz? Ten podkoszulek ma moc. Naprawdę. Dla mnie miał, ale teraz już wyrosłem ze stadium Dumbo, mogę latać bez piórka. Ty nie. Rocky. Ty...

To nie było ich ostatnie spotkanie, ale później zawsze inni byli w pobliżu albo coś się działo, narkotyczne kryzysy, pretensje o szwindle dokonane lub tylko zamierzone, i już wtedy Bodine powoli, bezradnie, w poczuciu wstydu, zaczynał opuszczać Slothrop, czego się już wcześniej lękał. Teraz w



chwilach odurzenia widzi białą sieć, zarzucaną we wszystkich kierunkach na jego pole widzenia i postrzega to jako godło bólu albo śmierci. Coraz więcej czasu spędza z Trudi. Jej przyjaciółkę Magdę zwinięto za włóczęstwo i odstawiono do Leverkusen, na zarośnięte podwórko, gdzie nad głowami trzeszczą druty wysokiego napięcia, spomiędzy zakurzonych cegieł wyrastają chwasty, okiennice są zawsze zamknięte, a trawa i zielsko przemieniają się w cierpki jesienny parkiet. W niektóre dni wiatr nawiewa pył z aspiryny w zakładach Bayera. Ludzie wdychają go i uspokajają się.

Oboje odczuwają jej nieobecność. Bodine przekonuje się, że jego charakterystyczny gromki śmiech, chłe, chłe, stał się bardziej niemiecki, chlach, chlach. Wkłada też dawne kostiumy Magdy. Nieszkodliwe, łatwe do rozszyfrowania przebrania, jak na maskaradzie. Transwestytyzm powodowany troską, a to nowość w jego życiu. Choć nikt o nic nie pyta, bo wszyscy są nazbyt zajęci handlem, Bodine dochodzi do wniosku, że to w porządku.

Światło na niebie jest rozciągnięte i czyste, jak tafta po zaledwie dwóch szarpnięciach.

– Umrzeć dziwną śmiercią. – Gość Slothrop może już być bazgrołami węgla na ścianie, głosami w kominie, jakąś ludzką istotą na drodze. – Celem życia jest dopilnować, być umarł dziwną śmiercią. Mieć pewność, że kiedy cię dopadnie, to dopadnie cię w bardzo osobliwych okolicznościach. Prowadzić tego rodzaju życie...

Pozycja S-1729.06. Butelka zawierająca siedem centymetrów sześciennych majowego wina. Analiza wykazała obecność marzanny wonnej, skórki cytryny i pomarańczy.

Gałązki marzanny nosili dawni teutońscy wojownicy. Zapewniała powodzenie w bitwie. Wygląda na to, że jedna część Slothrop napatoczyła się pewnej nocy na dezertera Dżabajewa w samym sercu Niederschaumdorfu. (Niektórzy wierzą, że z fragmentów Slothrop wyewoluowały samodzielne spójne osoby. Jeśli tak, niepodobna dziś stwierdzić, którzy mieszkańcy Strefy



są potomstwem początkowego rozpadu. Podobno jego ostatnia fotografia znajduje się na okładce jedyne albumu brytyjskiego zespołu rockowego „The Fool”, czyli „Głupiec” – siedmiu muzyków w aroganckich pozach wczesnych „Rolling Stonesów” tuż obok miejsca, gdzie kiedyś trafiła rakietka, na East Endzie, czyli po południowej stronie rzeki. Jest wiosna i francuski tymianek rozkwita zdumiewającą białą koronką na tle zielonego płaszcza, który kryje i zmiękcza prawdziwe kontury gruzowiska. Nie sposób orzec, która twarz należy do Slothrop: jedyny wydrukowany tekst, który może się do niego odnosić to informacja: „organki ustne, kazoo – przyjaciel”. Ale znając jego tarota, szukalibyśmy raczej wśród Pokornych, wśród szarych, pominiętych dusz, a może we wrogim świetle nieba, w mroku morza...).

Nad równiną ostało się dzisiaj tylko długie kocie oko ponurego zachodzącego słońca, jaskrawa szarość pod fioletowym sufitem chmur, z tęczęwką ciemniejszej szarości. Ślepie po prostu ukazało się w górze, nie patrzy w dół na spotkanie Dżabajewa i jego przyjaciół. W mieście ma miejsce dziwny zjazd. Ze wszystkich miasteczek i wiosek w Niemczech napływają wioskowe głupki (gnane wieścią przekazywaną z ust do ust, zostawiając za sobą jaskrawe szlaki barw, by ludzie mieli co pokazywać palcami pod ich nieobecność). Zamierzają przyjąć rezolucję, którą wystosują do Wielkiej Brytanii, z prośbą o przyjęcie ich do Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, a może nawet będą się ubiegać o członkostwo w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Dzieci w szkołach parafialnych modlą się w ich intencji. Czy trzynastcie lat kolaborowania Watykanu wyklarowało różnicę między tym, co jest święte, a tym, co święte nie jest? Jeszcze jedno Państwo formuje się nocą, z widowiskami i uroczystością. Stąd *Maitrinke*, którego kilka litrów Dżabajew zdołał wykombinować. Niech wioskowe głupki celebryją. Niech ich świętość pomarszczy się w desenie interferencji, aż zdławi światło latarń w sali zebrania. Niech grupa taneczna da heroiczny występ: szesnastu starych wyjadaczy w łachmanach, którzy szurają nogami po scenie bez celu, onanizując się unisono, wywijając penisami w udawanych młynkach chłopskich drągów, wymachując we dwóch i trzech kijami o zielonych liściach, wystawiając na pokaz zdumiewające szankry i zmiany

chorobowe, spuszczając się fontannami spermy pożyczowanej krwią, które rozbryzgują się na plisach spodni, marynarkach w kolorze brudu, z kieszeniami obwisłymi jak piersi sześćdziesięcioletniej kobiety, gołe kostki u nóg stale, uwalane kurzem z małych placów i wyludnionych ulic. Niech wiwatuja i walą pięściami w siedzenia, niech płynie braterska ślina. Dziś wieczorem, wskutek źle skoordynowanego nalotu na dom jedyne go lekarza w Niederschaumdorfie, krąg Dżabajewa zdobył gigantyczną strzykawkę i igłę. Będą sobie wstrzykiwać wino. Jeśli policja jest w drodze, jeśli daleko na szosie dzikie uszy wychwytyują już warkot okupacyjnego konwoju w odległości wielu nocnych kilometrów stąd, sygnalizujący poza zasięgiem wzroku, poza obrębem rozproszonego światła pierwszych reflektorów, nadejście niebezpieczeństwa, to tutaj i tak nikt nie przerwie kręgu. Wino będzie działać, cokolwiek się wydarzy. Czy nie obudziłeś się z nożem w dłoni, z głową w toalecie, zamazana długa pałka zaraz zmiażdży ci górną wargę, i nie zapadłeś z powrotem w starą czerwoną drzemkę włoskowatych naczyń krwionośnych, w której nic z tego nie może się w ogóle wydarzyć? I czy nie obudził cię znowu krzyk kobiety, woda kanału ponownie ścina mrozem twoje utopione oko i ucho, i ponownie zbyt dużo fortec pikujących z nieba, znowu i znowu, ale nie... nigdy naprawdę.

Odurzenie winem: odurzenie winem rzuca wyzwanie Grawitacji, znajdujesz się na dachu windy, która frunie w górę jak rakieta i nie ma mowy o wylądowaniu. Rozdzielasz się na dwoje, na podstawowe Dwie Części, każda jaźń świadoma drugiej.

## OKUPACJA MINGEBOROUGH

Około trzeciej po południu ciężarówki zjeżdżają ze wzniesienia, w miejscu, gdzie zwęża się stanowa autostrada. Wszystkie reflektory są włączone. Elektryczne spojrzenie za spojrzeniem omiata szczyt wzniesienia porośły klonami. Hałas jest niesamowity. Skrzynie biegów chrzęszczą, gdy pojazdy docierają do końca pochyłości, znużone krzyki spod brezentów: „Podwójne sprzęgło, idioto!”. Obok drogi rośnie jabłoń pokryta kwieciem. Konary są mokre od porannego deszczu, ciemne i mokre. Siada pod nim, ze wszystkimi oprócz Slothrop, dziewczyna o gołych nogach, jasnowłosa i brązowa jak miód. Na imię ma Marjorie. Hogan wróci do domu z Pacyfiku i będzie się do niej zalecał, ale przegra rywalizację z Peterem Dufayem. Jej i Dufayowi urodzi się córeczka imieniem Kim, a Hogan junior będzie moczył warkoczyki tej małej w kałamarzach. To będzie się ciągnąć bez względu na okupację, z wujkiem lyrone’em albo bez.

Więcej deszczu w powietrzu. Żołnierze ćwiczą musztrę przy warsztacie Hicksa. Na tyłach znajduje się maziste wysypisko, dół pełen łożysk kulkowych, części sprzęgieł i kawałków przekładni. Na parkingu położonym nieco niżej – dzielonym razem z ozdobioną na zielono cukiernią – na którym czekał na swoją pierwszą porcję żółtego autobusu szkolnego, co dzień o trzeciej piętnaście, z za węgła, wiedząc, od kogo z uczniów łatwo wydębić jakiś grosz, stoi sześć czy siedem starych samochodów marki Cord, w różnym stadium zakurzenia i rozkładu. Pamiątki po młodym imperium – lśnią teraz jak karawan w przeczuciu deszczu. Odkomenderowani do robót stawiają barykady, a oddział do rozbiórek zdarł szare deski ze ścian sklepu Pizziniego, piętrzącego się na rogu ulicy jak stodoła. Dokoła rampy załadowczej kręcą się dzieci, zajadają pestki słonecznika z jutowych worków, przyglądają się żołnierzom wyzwalającym połcie wołowiny z zamrażarki Pizziniego. Jeśli Slothrop chce się stąd dostać do domu, musi się wślizgnąć na ścieżkę obok wysokiego muru przy warsztacie Hicksa, na zieloną dróżkę,

zasłanianą przez piec do spalania odpadków i szopę, w której Pizzini trzyma samochód dostawczy. Dalej przecina się dwie posesje, niewytyczone nos w nos, toteż z jednej strony mija się płot, z drugiej idzie się dróżką dojazdową. Stoją tam dwa bursztynowo-czarne domy, należące do starych kobiet, pełne kotów, żywych i wypchanych, poplamionych abażurów, na wszystkich krzesłach i stołach pokrowce i ozdobne serwetki, no i ostateczny mrok. Potem trzeba przejść ulicę, wzdłuż drogi dojazdowej pani Snodd, obok maław, dalej przez furtkę z drutu i podwórko Santory, jeszcze ogrodzenie, gdzie żywopłot się kończy, na drugą stronę swojej ulicy i już w domu...

Ale trwa okupacja. Być może razem z trasami dorosłych zakazano dziecięcych dróg na skróty. Być może już jest za późno, by wrócić do domu.

## Z POWROTEM W DER PLATZ

Gustav i André, uciekwszy z Cuxhaven, wymontowali z mirlitonu, czy raczej kazoo, błonę i jej umocowanie i włożyli na to miejsce cynfolię. Wykłuli w cynfolii dziurki i teraz palą haszysz, używając instrumentu jako fajki, palcem regulując wypływ dymu z koniuszka, puff-puff – okazuje się, że cwany Säure miał tu byłych inżynierów z Peenemünde, specjalistów od napędu, którzy opracowywali dla niego konstrukcję optymalnej fajki do palenia haszyszu, i wiesz co? – w kategoriach natężenia przepływu, wymiany ciepła, kontrolowania stosunku powietrza do dymu najdoskonalszym kształtem okazuje się klasyczne kazoo!

No i proszę, oto kolejna osobliwość tego instrumentu: gwint okrągły powyżej błony dokładnie odpowiada gwintowi w oprawce żarówki. Gustav, dobry stary Kapitan Zgroza, na nosie wyzwolone bardzo żółte angielskie okulary (– Łatwiej znaleźć żyłę, co?), z lubością postrzega to jako znak firmowy Febusa.

– Myślicie, głupcy, że kazoo to wywrotowy instrument? Proszę – na swoje codzienne rundki zawsze zabiera żarówkę, idiotyzmem byłoby nie skorzystać ze sposobności przygnębienia jakiegoś ćpuna... z wprawą wkreca żarówkę w kazoo, pozbawiając błonę głosu – Widzisz? Febus kryje się nawet w kazoo. Cha, cha, cha! – Po pokoju rozchodzi się *Schadenfreude*, gorsze od przeciągłego pierdnięcia po cebuli.

Ale żarówka Gustava – którą jest nikt inny, jak nasz dobry znajomy Byron – chce zaprzeczyć, to nieprawda, ten gwint to wyraz braterstwa ze strony kazoo dla wszystkich schwytych i uciskanych żarówek...

Pod dywanem jest kino. Na podłodze, dwadzieścia cztery godziny na dobę, odwiń rąbek o byle porze, a zobaczysz, zawsze ten cholerny film! Obrazoburcze bezguście Gerhardta von Gölla, codzienne niezmontowane kadry z kręcenia, które nigdy nie dobiegnie końca. Springer planuje ciągnąć to w nieskończoność pod dywanem. Tytuł brzmi „Nowy narkotyk” i

znakomicie oddaje treść filmu, chodzi bowiem o zupełnie nieznaną rodzaj używki, o której dotąd nikt nie słyszał. Jedną z najbardziej irytujących cech tego gówna jest to, że gdy tylko je zażyjesz, natychmiast stajesz się niezdolny do przekazania swoich odczuć, a nawet gorzej, informacji, skąd wziąć ten towar. Handlarze wiedzą tyle co inni, czyli nic. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że natkniesz się na kogoś, kto jest tuż przed zażyciem (wstrzykuje?, pali?, połyka?). Narkotyk znajduje człowieka, a nie odwrotnie. To część świata funkcjonującego wstecz, którego agenci uzbrojeni są w spluwy działające jak odkurzacze – pociągasz za spust, a kule zostają wyssane z ciała zastrzelonej ofiary wprost do lufy, tym samym Wielka Nieodwracalność właśnie się cofa, trup zmartwychwstaje przy wstecznym akompaniamencie bzyczących kul (łatwo sobie wyobrazić, jaką narkotyczną i bezmyślną frajdą jest codzienne udźwiękowianie filmu). Migają napisy takie jak

## GERHARDT VON GÖLL AMATOREM AMYTALU SODU!

Oto on we własnej osobie, wielki kuper posadzony na kiblu, na ... hm, czymś, co wygląda na niezwykle duży sedesik dla dzieci, spomiędzy nóg wyziera porcelanowa główka szakala trzymającego w szeroko uśmiechniętym pysku, no nie, to żenujące – skręta.

– Przez zło i orły – bełkocze Springer – klimat się przedziera, bo one nie są żadną siłą w warunkach tej ordynarnej wojny. Nie, dla psoty dopiero wtedy, gdy monitory są tam, w rozbryzgujących się obszarach ziemi, by kopulować i powiedzieć niemaro endozemona ziansta rosem loblice i żartobliwa fantazja pod tronem i nosem najmniej łaskawego króla... – hm, mnóstwo takiego gadania, więc jest czas, żeby wyskoczyć po prażoną kukurydzę, którą na terenie Der Platz są nasiona powoju, doprowadzane prażeniem do małych, spokojnych eksplozji brązu. Nikt ze stałych bywalców nie ogląda filmu pod dywanem – robią to tylko przewijający się goście: przyjaciele Magdy, uciekinierzy z wielkiej fabryki aspiryny w Leverkusen, ochlapując nawzajem w kącie swoje nagie ciała wyzwoloną skrobią kukurydzianą i wodą, chichocząc niezdrowo... zwolennicy I ching, którzy na każdym palcu u nogi wytatuowali sobie swój ulubiony heksagram, najczęściej Kwen, nielubiani, domyślasz się, dlaczego? Bo zawsze Kwen-kają bez powodu! do tego fajtłapowaci magicy, którzy nie potrafią się obronić przed niszczycielskim nawiedzaniem przez *kelipot*, dowcipasy z tabliczkami ouija, poltergeisty, wszelkiego rodzaju astralni nieudacznicy i ludzie ograniczeni – oni wszyscy przybywają w tych dniach do Der Platz. Cóż, innym rozwiązaniem byłoby jednych wpuszczać, a innych nie, ale na to nikt nie jest jeszcze gotowy... Taką decyzję musiałby powziąć anioł stacjonujący gdzieś bardzo wysoko, obserwujący nasze liczne perwersje, pełzanie po czarnym atlasie, kneblowanie ust rączką od pejcza, zlizywanie krwi z przekłutej żyły, do ostatniej kropli, każde zaginione westchnienie i chichot niosą się, związane wyrokiem śmierci, do której głębokiego piękna anioł ten nigdy się nie



zbliżył...

## TAROT WEISSMANNA

Tarot Weissmanna jest lepszy od tarota Slothrop'a. Oto dokładny rozkład kart:

Karta przedstawiająca wróżącego: Król Mieczy

Zakrywająca wróżącego: Wieża

Krzyżująca się z wróżącym: Królowa Mieczy

Powyżej wróżącego: Król Kielichów

Poniżej wróżącego: As Mieczy

Przed wróżącym: Czwórka Kielichów

Za wróżącym: Czwórka Monet

Karta przedstawiająca przyszłość wróżącego: Paź Monet

Przedstawiająca dom wróżącego: Ósemka Kielichów

Przedstawiające nadzieje i niepokoje wróżącego: Dwójka Mieczy

Przedstawiająca, co będzie: Świat

Najpierw pojawia się w wysokich butach i z lśniącymi insygniami jako jeździec na czarnym rumaku, galopując szaleńczo po wrzosowisku, po gigantycznych kopcach mogilnych, płosząc owce o czarnych pyskach, ciemne zagajniki jałowca, miłując śmierć, przesuwają się sennie po jego ścieżce w paralaksie nieśpiesznej nieuchronności, przewodząc jak posągi zielonemu i brązowawemu odwrotowi lata, niziny w barwie kurzu i szare morze, preria wody wpadającej w fiolet miejscami, do których przedziera się słońce, w wielkich kręgach, snopy reflektorów na tańczącym parkiecie.

Jest ojcem, którego nigdy nie zdołasz zgładzić. Sytuacja Edypa w Strefie wygląda strasznie. Za grosz godności. Matki wyzbyte kobiecości to stare znoszone sakiewki, kompletnie pozbawione seksualnego powabu, a jednak są tutaj ich synowie, wciąż usidleni bezwładem chuci sprzed czterdziestu lat. Ojcowie nie mają dziś władzy, nigdy nie mieli, lecz ponieważ czterdzieści lat temu nie mogliśmy ich zabić, jesteśmy teraz skazani na tę samą bierność, na

te same masochistyczne fantazje, które oni pielęgnowali w tajemnicy, gorzej jeszcze, wskutek naszej słabości jesteśmy skazani na uosabianie ludzi władzy, których nienawidzą nasze nowo narodzone dzieci, których miejsce chcą zająć, bezowocnie... Tak oto pokolenia mężczyzn rozmiłowanych w bólu i bierności odsiadują jedno po drugim wyrok w Strefie, milczące, pachnące wyblakłą spermą, bojące się śmierci, rozpaczliwie uzależnione od pokrzepień sprzedawanych im przez inne generacje, choćby bezużytecznych, szpetnych lub powierzchownych, pragnąc, by ich życie zdefiniowali ludzie, którzy mają tylko dryg do śmierci.

Z siedemdziesięciu siedmiu kart, które mogły wypaść, Weismanna zakryła – teraz, gdy jego obecne położenie się wyklarowało – Wieża. To zagadkowa karta i każdy ma o niej co innego do powiedzenia. Widnieje na niej grom uderzający w wysoką falliczną budowlę, z której spadają dwie postaci, jedna w koronie. Niektórzy widzą w tym ejakulację i nie zagłębiają się dalej. Inni postrzegają to jako gnostycki albo katarski symbol, przedstawiający Kościół rzymski, a uogólniając, każdy System, który nie toleruje odstępstwa: system, który z natury prędzej czy później musi runąć. Dziś już wiemy, że Wieża oznacza też Rakieta.

Członkowie Zakonu Złotego Świtu uważają, że Wieża przedstawia zwycięstwo nad majestatem oraz siłę mścicielską. Tak jak Goebbels, poza wszelkim swoim profesjonalnym werbalizowaniem, wierzył w Rakieta jako w mściciela.

Na kabalistycznym Drzewie Życia ścieżka Wieży łączy sefirę Netsah – zwycięstwo – z sefirą Hod, czyli majestatem. Stąd wzięła się interpretacja Zakonu Złotego Świtu. Netzah to ogień i namiętności, Hod to woda i przemysłność. Na ciele Boga te dwie sefiry są udami, filarami Świątyni, i łączą się w Jesod, narządach rodnych i wydalniczych.

Każdą sefirę nawiedzają jej własne demony, czyli *kelipot*. Netsah nękają Ghorah Tzerek, Kruki Śmierci, Hod – Samael, Trucizna Boga. Nikt nie pytał o to demonów, ale w grę wchodzi być może pewna podatność na doznanie

spadania, z wysoka i poza wszelką skalą, jakie zdarza się nam w snach, spadania bardziej w przestrzeni niż między przedmiotami. Choć każdy z *kelipot* może czynić tylko przypisane mu zło, wydaje się, że działanie na ścieżce Wieży, od Netsah do Hod, spowodowało powstanie nowego rodzaju demonów (że co, dialektyczny tarot? Owszem, w rzeczy samej, ludkowie! A jeśli myślicie, że wśród magików nie ma marksistów-leninistów, to cóż, pomyślcie jeszcze raz!), Kruki Śmierci skosztowały Trucizny Boga... w dawkach dostatecznie małych, by im nie zaszkodziła, lecz wywołała, jak muchomor czerwony, osobliwy stan ducha... Te nowe demony nie mają oficjalnego miana. Są stróżami Rakiety.

Z Weissmannem krzyżuje się Królowa Mieczy. Być może jest to on sam w przebraniu kobiety. Stanowi główną przeszkodę na drodze. U podstawy widnieje miecz ognisty w koronie: to znowu Netsah, zwycięstwo. W amerykańskiej talii królowa przemieniła się w asa pik, co jest nieco bardziej złowrogie: znasz tę ciszę, która zapada w pokoju, ilekroć karta ta się pojawia, niezależnie od rodzaju gry. Za Weissmannem, niknąc z jego życia, znajduje się Czwórka Monet, która ukazuje niezamożną postać, uczipioną kurczowo tego, co posiada: czterech złotych pieniążków – nieudacznik dwie trzyma nogami, trzecia balansuje na jego głowie, a czwartą przyciska do brzucha z owrzodzonym żołądkiem. To osiadła czarownica, usiłująca uchronić swój domek z piernika przed zgrają podjadaczy w ciemnościach. Przed Weissmannem, wchodząc w jego życie, znajduje się Czwórka Kielichów, a więc sytość. Niedługo będzie miał w bród wody i panienek. Brawo – choć w domu ukazany jest jako odchodzący, wyrzekający się piramidy ośmiu kielichów. Być może dane mu będzie tylko to, z czego musi zrezygnować. Może dlatego, że w mętach ostatniego kielicha czai się zawzięta kobieta, siedząca na skalistym brzegu, to dwójka mieczy, samotna na wybrzeżu Bałtyku, z zawiązanymi oczyma w poświacie księżyca, krzyżując dwa ostrza na piersiach... sens na ogół wykładany jest jako „harmonia w państwie pod bronią”, to całkiem trafny opis dzisiejszej Strefy, i ta właśnie karta określa

jego najgłębsze nadzieje i niepokoje.

On sam takim, jakim widzi go Świat: uczony młody Paź Monet, medytujący nad swoim magicznym złotym talizmanem. Paź może być również postrzegany jako symbol młodej dziewczyny. Lecz monety określają ludzi o ciemnej karnacji, toteż karta ta niemal z całą pewnością oznacza Enziana w młodości. Zatem Weissmann może wreszcie – w ograniczony, kiczowaty sposób – stać się tym, co na samym początku ukochał.

Król Kielichów, koronujący wszystkie jego nadzieje, jest jasnym królem-intelektualistą. Jeśli zastanawiasz się, gdzie ktoś taki się podział, poszukaj wśród wziętych akademików, doradców prezydenckich, jajogłowych zasiadających w zarządach przedsiębiorstw. Na pewno gdzieś tam jest. Patrz wysoko, nie nisko.

Karta mówiąca o przyszłości, o tym, co nastanie, to Świat.

## OSTATNIA ZIELEŃ I FUKSYNA

Pustać ciągnie się zielona i fioletowawa we wszystkich kierunkach,  
ziemia i wrzos, dojrzewając –  
Nie, to była wiosna.

KOŃ Na polu, za polaną i drzewami, stoi ostatni koń, matowa srebrna szarość, niewiele więcej niż nagromadzenie cieni. Pogańscy Germanowie, którzy tutaj żyli, składali konie w ofierze podczas dawnych rytuałów. Później rola konia się zmieniła – ze świętej ofiary stał się sługą o wielkiej sile. Wtedy dokonywała się już także ogromna zmiana na samej Pustaci, ugniatając ją, obrabiając, kształtując palcami silnymi jak wiatr.

Teraz, gdy składanie ofiary stało się aktem politycznym, aktem Cezara, ostatni koń kłopotczy się tylko o to, w jaki sposób wiatr nadciągnie tego popołudnia: najpierw się wzmaga, usiłuje przyłgnąć, uchwycić się, ale na próżno, bo słabnie... za każdym razem koń odczuwa podobne wzmożenie w sercu, na skraju oka, ucha, mózgu... Wreszcie, gdy wiatr przybiera na sile, zmieniając się z upływem dnia, koń podnosi łeb i całą jego postać targa przemożne drżenie. Ogon chłoczcze nieuchwytne ciało wiatru. Rozpoczyna się składanie ofiary w lesie.

## IZAAK

Tradycja Hagady z około IV wieku mówi, że Izaak, w chwili gdy Abraham chciał go złożyć w ofierze na górze Moria, ujrzał komnaty prowadzące do Tronu. Dla czynnego mistyka doznanie takiej wizji, przejście przez kolejne pomieszczenia jest strasliwym i niezwykle trudnym zadaniem. Należy nie tylko być obeznanym z kontrznakami i pieczęciami oraz sprawnym fizycznie dzięki ćwiczeniom i wstrzemięźliwości, ale również okazać wzwód stanowczości, który nigdy nie sflaczeje. Anioły u drzwi będą próbowały wywieść cię w pole, zastraszyć, wyciąć ci różne okrutne psikusy, by osłabić twoją wolę. *Kelipot*, skorupy umarłych, użyją przeciw tobie całej swojej miłości do przyjaciół, którzy przeszli na drugą stronę. Wybrałeś drogę czynu, i nie zawahaj się nawet w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Druga droga jest ciemna i żeńska, wymaga samozaparcia. Izaak pod nożem. Połyskujące ostrze rozszerza się do rozmiarów korytarza – w górę, w dół – którym duszę niesie nieodparty Eter. Gerhardt von Göll na wózku z kamerą, wykrzykując radośnie, wioząc dupsko długimi korytarzami w Nymphenburgu. (Zostawmy go tam, w jego podróży, w jego niewinności...). Nadnaturalne światło nasila się z przodu, prawie niebieskie wśród całej tej pozłoty i szkła. Pozłotnicy pracowali nago i mieli głowy ogolone na zero – aby powstał ładunek elektrostatyczny, dzięki któremu unieruchamiali zwiewną folię, musieli najpierw przejechać pędzelkiem po swoich włosach łonowych: elektryczność genitaliów na zawsze będzie błyskać w tych złotych sklepieniach. Dawno już zostawiliśmy szalonego Ludwiga i jego hiszpańską tancerkę, rozpływających się, szkarłat blednie na tle marmuru, świecąc zdradziecko jak słodka woda... to już jest poza nami. Wspinaczka do Merkawy, mimo ostatnich słabych śladów męskości, ostatnich gestów w kierunku ewentualności magii, dokonuje się nieodwracalnie...



## PRZED ODPALENIEM

Ogromna biała mucha: naprężony członek, bzycający w białej koronce, poplamiony zakrzepłą krwią albo spermą. Upiorna koronka jest ślubnym strojem dla chłopca. Na jego gładkie stopy, spętane w kostkach, wsunięto białe atlasowe pantofelki z białymi kokardami. Czerwone sutki są naprężone. Żłote włoski na plecach, stopione niemieckie złoto, blada żółć, wpadająca w biel, biegną symetrycznie po obu stronach kręgosłupa, łukami tak drobnymi i wirującymi, jak deseń linii papilarnych, jak opiłki żelaza wzdłuż linii pola magnetycznego. Każdy pieg i pieprzyk jest ciemną, dokładnie umiejscowioną anomalią na białym polu. Na karku zbiera się pot. Chłopca zakneblowano białą rękawiczką z koziej skóry. To Weissmann opracował całą dzisiejszą symbolikę. Rękawiczka jest żeńskim odpowiednikiem Ręki Chwały, używanej przez włamywaczy, by łatwiej wdrzeć się do twojego domu: świeca w dłoni wisielca, naprężona tak, jak napręży się cała twoja tkanka przy pierwszym rozkosznym mlaśnięciu języka twojej kochanki Śmierci. Rękawiczka jest jamą, w którą wpasuje się Ręka, tak jak 00000 jest łonem, do którego powraca Gottfried.

Wcisnąć go. Nie jest to prokrustowe łożo, ale najważniejsze, by się zmieścił. Oboje, Rakietka i chłopiec, byli konstruowani równolegle. Jej stalowy zadek wygięty tak pięknie... chłopak pasuje. Są zaślubieni, Schwarzgerät i część konstrukcyjna wyższego rzędu. Jego nagie kończyny powykrzywiane wśród przewodów paliwa, utleniacza, pary świeżej, elementów ciągu, baterii pneumatycznej, kolanka układu wydechowego, zbiorników, otworów wentylacyjnych, zaworów... i jeden z tych zaworów, jeden punkt pomiarowy, włącznik ciśnienia jest tym najważniejszym, prawdziwą lechtaczką, połączony bezpośrednio z układem nerwowym 00000. Nie powinna stanowić dla ciebie tajemnicy, Gottfried. Odnajdź strefę miłości, liź i całuj... masz czas – zostało parę minut. Ciekły tlen biegnie blisko twojego policzka, ten szlak mrozu wypali w tobie czucie. Niedługo pojawi

się ogień. Piec, dla którego cię utuczyliśmy, rozjarzy się. Jest sierżant, niesie *Zündkreuz*. Pirotechniczny Krzyż, żeby cię odpalić. Wszyscy stoją na baczność. Szykuj się, *Liebchen*.

## SPRZĘT

Ma miejsce przy okienku ze sztucznego szafiru, szerokości czterech cali, opracowanego przez IG w 1942 roku jako monokryształ ciągniony w kształcie grzyba, z domieszką kobaltu, by nadać mu zielonkawy odcień – substancja ta jest bardzo odporna na ciepło, przepuszcza większość widocznych fal – zniekształca niebo i chmury na zewnątrz, ale sympatycznie, jak *Ochsenaugen* w Dniu Babci, w epoce sprzed szyby okiennej...

Część odparowanego tlenu poprowadzona będzie przez całun Gottfrieda wykonany z imipoleksu. Do ucha wszczepiono chłopcu mały głośniczek, który błyszczy jak ładny kolczyk. Głośniczek ten jest częścią systemu naprowadzania radiowego, toteż słowa Weissmanna będą, przez chwilę, multipleksowane wraz z korekcją błędów przesyłaną do Rakiety. Jest to połączenie jednokierunkowe, z ziemi do Gottfrieda. Nigdy więc nie ustalimy precyzyjnie chwili jego śmierci.

## MUZYKA POŚCIGU

Nareszcie – po latach ciągłego wykrzykiwania: „Mój Boże, przybywamy za późno!”, niezmiennie z odcieniem drwiny i protekcjonalności *pro forma*, bo oczywiście nigdy się nie spóźnia, zawsze następuje niespodziewana chwila wytchnienia, któryś z partaczy wynajętych przez Żółtego Nieprzyjaciela popełnia błąd, w najgorszym razie trafia się jednoznaczna wskazówka obok trupa – no więc nareszcie tym razem sir Dennis Nayland, mój Boże, naprawdę przybędzie za późno.

Superman wylądowuje buciorami na opuszczonej polanie, nieszczęlny podnośnik pocisków wypływa z wolna olej, żywica wywołana z drzew, gorzka manna dla tej najbardziej gorzkiej wędrówki. Kolory jego peleryny przywiędną w popołudniowym słońcu, loki na głowie ujawnią pierwsze siwe włosy. Philip Marlowe dostanie straszliwej migreny i odruchowo sięgnie do kieszeni garnituru po butelkę żytniej, czując tęsknotę za ażurowymi balkonami Bradbury Building.

Podwodniak i jego wielojęzyczna banda będą mieć kłopot z akumulatorem. Plasticman zgubi się wśród imipoleksowych łańcuchów, a studenci topologii w całej Strefie pobiegą zamrozić wypłaty jego honorariów („idealnie przekształcalnych”, fakt!). Samotny Ranger pędzić będzie na czele oddziału pościgowego, ostrogi kłują do krwi boki białego ogiera, ale na próżno, bo jego przyjaciel, niewinny Dan, już zwisa za skreconą szyję z konaru drzewa (jeśli Bóg pozwoli, Tonto włoży koszulę duchów i znajdzie trochę zimnego ognia, przy którym przykucnie, żeby naostrzyć nóż).

„Za późno” nigdy nie leżało w ich planach. Zamiast tego trafia się chwila niepoczytalności – ale zaraz mija, phi, z powrotem na szlak, z powrotem na Codziennej Planecie. *Tak, Jimmy, to musiało być tego dnia, kiedy napatoczyłem się na ten punkt osobliwy, tych kilka sekund absolutnej tajemnicy, wiesz, Jimmy, czas... czas to taka zabawna rzecz...* Będzie tysiąc sposobów, na które można zapomnieć. Bohaterowie działać będą dalej,

wykopani w górę, by doglądać rozwoju nowego wspaniałego personelu średniego szczebla, i będą patrzeć, jak ich system się rozpada, jak te osobliwe punkty nadchodzą coraz częściej i częściej, głosząc kolejne uwolnienie od tkanki staroświeckiego czasu, i nazwą to nowotworem, i nie będą wiedzieć, co się szykuje i jaki jest tego sens, Jimmy...

Obecnie uświadamia sobie, że tęskni za psami. Kto by pomyślał, że będzie się wzruszał na myśl o stadzie zaślinionych kundli? Ale tutaj, w Podministerstwie, wszystko jest bezwonne, bezdotykowe. Utrata czucia rozpałała na moment jego ciekawość. Przez pewien czas każdego dnia skrupulatnie zapisywał zachodzące w nim fizjologiczne zmiany. Ale to było spowodowane wspomnieniem o Pawłowie na łożu śmierci, który prowadził samoobserwację do końca. U Pointsmana to tylko nawyk, retroscjentyzm: ostatnie spojrzenie wstecz na drzwi prowadzące do Sztokholmu, które zamykają się przed nim na zawsze. Notatki zaczynają zanikać, teraz ustały zupełnie. Podpisywał sprawozdania, nadzorował. Podróżował do innych części Anglii, potem do innych krajów, w poszukiwaniu nowego talentu. W dziwnych chwilach, w twarzy Mossmoona i innych, widywał odruch, o którym nawet nigdy nie śnił: wyrozumiałość ludzi u władzy dla Tego, Który Nigdy Nie Ruszył z Miejsca, albo ruszył, ale w złą stronę. Oczywiście nadal trafiają się chwile twórczych wyzwania...

Tak, jest już byłym naukowcem, takim, który nigdy nie zabrze dostatecznie daleko, by zacząć prawić o Bogu, by być siwowłosym ekscentrykiem o rumianych policzkach, gadającym z wywyższenia swojego wawrzynu – nie, zostanie mu tylko Przyczyna i Skutek, no i reszta jałowego arsenału... mineralne korytarze się nie świecą. Zachowają ten sam nieokreślony bezimienny kolor, stąd aż do najgłębiej położonej komnaty, gdzie miał odegrać idealnie przećwiczoną scenę...

## ODLICZANIE

Znane nam odliczanie – 10, 9, 8 *u.s.w.* – wynalazł Fritz Lang w 1929 roku na potrzeby filmu „Kobieta na Księżycu”, nakręconego dla wytwórni Ufa. Zastosował je w scenie odpalenia, żeby zwiększyć napięcie. „To jeszcze jedna moja cholerna maniera” – rzekł.

– Stwarzając świat – tłumaczy rzecznik kabalistów Steve Edelman – Bóg wysłał impuls energii w próżnię. Wkrótce impuls ten rozdzielił się na dziesięć różnych sfer, czy też aspektów, odpowiadających liczbom od jednego do dziesięciu. Znane są jako sefirot. Żeby powrócić do Boga, dusza musi przebyć przez nie wszystkie w odwrotnej kolejności, od dziesiątej do pierwszej. Uzbrojeni w magię i wiarę, kabaliści wyruszyli na podbój sefirot. Wiele ich tajemnic dotyczy udanego odbycia tej podróży.

– Sefirot układają się we wzór, który nazywa się Drzewem Życia. Drzewo to jest zarazem ciałem Boga. Pośród dziesięciu sfer nakreślono dwadzieścia dwie ścieżki. Każda ścieżka odpowiada konkretnej literze hebrajskiego alfabetu, a także jednej z kart tarota, zwanych arkanami większymi. Zatem choć odliczanie przed wystrzeleniem Rakiety ma charakter seryjny, kryje w sobie Drzewo Życia, co należy pojąć jednocześnie, razem, paralelnie.

– Niektóre sefirot są aktywne, męskie, inne bierne, żeńskie. Drzewo jako całość natomiast jest jednią, zakorzenione dokładnie w Bodenplatte. To oś konkretnej Ziemi, nowe prawo, powołane do życia przez Wielkie Odpalenie.

– No, ale przy takiej nowej osi, inaczej wirującej Ziemi, gdzie jest miejsce dla astrologii? – pyta gość.

– Znaki się zmieniają, kretynie – warczy Edelman, sięgając po wielki słój torazyny. Tak się uzależnił od tego środka uspokajającego, że jego cera nabrała niepokojącego koloru fioletowego łupku. Ściąga na siebie uwagę na ulicach, gdzie wszyscy chodzą opaleni i z zaczerwienionymi podrażnionymi oczyma. Dzieci Edelmana, złośliwe małe bachory, wrzucały do tatusiowego słoja kondensatory z zepsutych radiodbiorników tranzystorowych. Jego

niebaczne oko nigdy nie wychwyciło różnicy, toteż przez pewien czas myślał, że wyrobił w sobie tolerancję i że Otchłań przypełzła nieznośnie blisko, że dzieli go od niej jeden wypadek – syrena na ulicy, odrzutowiec dudniący z pogłosem – na szczęście żona w porę odkryła psikusa i teraz, zanim Edelman połknie torazyne, ogląda ją w poszukiwaniu styków, literki my, numeracji.

– Proszę – rzucając gruby plik kserokopii – Efemerydy. Oparte na nowym ruchu obrotowym.

– To znaczy, że ktoś faktycznie odnalazł Bodenplatte? Biegun?

– Samą deltę t. Rzecz jasna nie podano tego do publicznej wiadomości. Odnalazła ją Ekspedycja Kaiserbart.

To ewidentnie kryptonim. Każdy wie, że kajzer nie nosi brody.



## WTRĄCONY W APOLLIŃSKI SEN...

Kiedy coś rzeczywistego ma się przytrafić, kierujesz się ku temu, mając przed nosem przezroczystą powierzchnię, równoległą do twojego ciała, która szumi, świdrując w uszach, budząc czujność w oczach. Światło odkształca się w kredowy błękit. Boli cię skóra. Nareszcie: coś rzeczywistego.

Tutaj, w części ogonowej 00000, Gottfried zobaczył tę czystą powierzchnię: imipoleksowy całun. Wspomnienia z dzieciństwa wypełniają świadomość. Przypomina sobie skórkę jabłka, pękającą mgławicę, spojrzenie w krzywą czerwieniejącą przestrzeń. Wiedzione dalej i dalej. Sztuczna powierzchnia trzepocze przez chwilę: szarobiała, drwiąca, wróg barw.

Dzień na zewnątrz jest słotny, a Gottfried ma cienkie ubranie, lecz nie czuje zimna. Białe pończochy napinają się miło u podwiązek. Znalazł płytkie zagięcie rury, w które może wtulić policzek, gdy tak patrzy na całun. Czuje łaskotanie włosków na plecach, na nagich ramionach. To przyciemnione, białawe pomieszczenie. Pomieszczenie, w którym leży oblubieniec, otwarty na blade przestrzenie wieczora, czekający na to, co na niego spadnie.

Sygnaly brzęczą w zakolczykowanym uchu. Głosy są metaliczne i ostro przefiltrowane. Bzyczą jak głosy chirurgów słyszane w chwili odurzenia eterem. Choć wypowiadają teraz tylko rytualne słowa, nadal potrafi odróżnić jedno od drugich.

Łagodna woń imipoleksu, spowijająca go bez reszty, jest znajoma. Nie boi się. Czuł ją w pokoju, kiedy zasypiał dawno, dawno temu, głęboko w słodkim sparaliżowanym dzieciństwie... czuł ją, gdy zaczynał śnić. Teraz pora się obudzić, w tchnieniu tego, co zawsze było rzeczywiste. No, ocknij się. Wszystko jest dobrze.

## ORFEUSZ ODKŁADA HARFĘ

LOS ANGELES (PAP): Richard M. Zhlubb, kierownik nocnej zmiany w Orpheus Theater na Melrose, wystąpił przeciwko temu, co nazywa „nieodpowiedzialną grą na harmonijce”. A raczej „harbodijce”, bo Zhlubb cierpi na chroniczne zapalenie migdałków, które nie pozostaje bez wpływu na jego wymowę. Przyjaciele i osoby mu niechętne znają go jako „Migdałka”. Zhlubb twierdzi, że kolejki klientów, zwłaszcza na północne występy, popadają w stan bliski anarchii z powodu tej piekielnej muzyki.

– To trwa od festiwalu filmowego Bengta Ekerota i Marii Casarés – użala się Zhlubb, facet pod pięćdziesiątkę, z wydatną szczęką, któremu o piątej po południu zawsze towarzyszy cień (najgorszy ze wszystkich Godziny Cieni), i z nawykiem wyrzucania rąk w górę w odwróconym znaku pokoju, który w kodzie semaforowym jest literą U, ukazując w tym geście niezliczone jardy białych francuskich mankietów.

– Ej, Richard – drwi przechodzień – mam tutaj ten twój francuski mankiet – obnażając się nieprzyzwoicie i popisując napletkiem w sposób nielicujący z przekazem prasowym waszego korespondenta.

Kierownik Zhlubb krzywi się lekko.

– To jeden z prowodyrów – wyznaje. – Miałem z nim mnóstwo problemów. Z nim i tym Steve’em Edelmanem. – Wymawia to nazwisko jako „Edelbid”. – Ne boje se nagrywać tasm.

Sprawa, do której nawiązuje, wciąż nie jest rozstrzygnięta. Steve Edelman, przedsiębiorca z Hollywood, oskarżony w zeszłym roku o 11569 (Próba Włóczęgostwa z Wywrotowym Instrumentem Muzycznym), znajduje się obecnie w Atascadero pod obserwacją na czas nieokreślony. Utrzymuje się, że Edelman, w niezidentyfikowanym stanie duchowym, próbował zagrać progresję akordową na liście Departamentu Sprawiedliwości, na środku ulicy i w obecności kolejkowiczów przed kinem.

– I-i teraz wszyscy to robią. No, nie „wszyscy”, proszę mi pozwolić to

wyjaśnić, oczywiście osoby łamiące prawo stanowią niewielką, choć głośną mniejszość, chciałem po prostu powiedzieć, że wszyscy pokroju Edelmana. Z całą pewnością nie porządni obywatele stojący w kolejce. Aha. Chętnie coś panu pokażę.

Zaprasza cię do czarnego dyrektorskiego volkswagena i zanim się obejrzyś, prujecie autostradą. W pobliżu węzła drogowego San Diego i Santa Monica Zhubb wskazuje palcem połączyć chodnika.

– Tutaj po raz pierwszy widziałem jednego. Jechał volkswagenem, takim jak mój. Proszę sobie wyobrazić. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom.

Trudno skupić się na tym, co opowiada kierownik Zhubb. Autostrada do Santa Monica jest tradycyjnie sceną, gdzie rozgrywają się najprzeróżniejsze motoryzacyjne szaleństwa, znane ludzkości. Nie jest biała i dobrze utrzymana jak autostrada do San Diego, ani tak zdradziecko wytyczona jak pasadeńska, ani tak samobójczo odludna jak ta do Harbor. Z wahaniem wprawdzie, ale trzeba przyznać, że autostrada do Santa Monica jest autostradą dla świrów, i pech chciał, że akurat dzisiaj wszyscy oni wylegli, przez co trudno ci wsłuchać się w zajmującą historię pana kierownika. Na ich widok nie możesz się powstrzymać przed wzruszeniem ramion w wyrazie zdegustowania, to niemal odruchowa Świadomość. Nadjeżdżają rozgadani ze wszystkich stron, roją się, wywracają gałami w okienkach, grają na organkach, nawet na kazoo, okazując brak szacunku dla Zakazów.

– Proszę się odprężyć – oczy kierownika roziskrzone charakterystycznie. – Znajdzie się dla nich miły bezpieczny domek w Orange County. Tuż obok Disneylandu – przerywając dokładnie jak komik w nocnym klubie, samotny w swym smolistym kręgu, w kredowym strachu.

Otacza cię śmiech. Nieskrępowany śmiech wiernej widowni, napływający z czterech punktów wymoszczonego wnętrza. Uświadamiasz sobie z mglistą konsternacją, że to sprzęt stereofoniczny, jedno spojrzenie w głąb schowka i widzisz całą kolekcję podobnych taśm: APLAUZ (CZUŁOŚĆ), APLAUZ (PODNIECENIE), WROGI TŁUM uporządkowane w dwudziestu dwóch

językach, TAK, NIE, MURZYŃSCY ZWOLENNICY, ZWOLENNICZKI, SPORTÓW – o rany – WYMIANA OGNI (KONWENCJONALNA), WYMIANA OGNI (NUKLEARNA), WYMIANA OGNI (W WARUNKACH MIEJSKICH), AKUSTYKA KATEDRY...

– Musimy się naturalnie porozumiewać jakimś szyfrem – ciągnie kierownik. – Zawsze tak trzeba. Ale każdy szyfr można dość łatwo złamać. Przeciwnicy oskarżają nas z tego powodu o pogardzanie ludźmi. Ale przecież my to wszystko robimy w duchu uczciwej walki. Nie jesteśmy potworami. Wiemy, że musimy im dać jakąś szansę. Nie możemy im przecież odebrać nadziei, prawda?

Volkswagen zasuwa teraz przez śródmieście Los Angeles, gdzie strumień samochodów ustępuje miejsca konwojowi ciemnych lincolnów, paru fordów, nawet gmc, ale nie ma żadnego pontiaka. Do przedniej i tylnej szyby każdego auta przylepiono fluorescencyjną nalepkę ze słowem POGRZEB.

Kierownik pociąga nosem.

– Był jednym z najlepszych. Sam nie mogłem pójść, ale wysłałem pierwszego asystenta. Czy kiedykolwiek ktoś go zastąpi? – wciskając ukryty guzik pod deską rozdzielczą. Tym razem śmiech jest skąpym męskim cha-cha-cha, z domieszką dymu z cygar i wystającego bourbona. Skąpym, ale donośnym. Słysząc okrzyki w rodzaju: „Dick, ale z ciebie numer!”, „Posłuchajcie go tylko!”.

– Fantazjuję czasem na temat własnej śmierci. Pewnie pan jest na ich żołdzie, ale co tam. Proszę posłuchać. Trzecia nad ranem na autostradzie do Santa Monica, ciepła noc. Wszystkie okienka odkręcone. Walę siedemdziesiąt, siedemdziesiąt pięć mil na godzinę. Wiatr wieje do środka i z podłogi za moim siedzeniem wlatuje plastikowa torebka, no taka, jakie dają w pralniach chemicznych: fruwa w powietrzu, zbliża się z tyłu, światło lamp rtęciowych bieli ją tak, że wygląda jak duch... owija się dokoła mojej głowy, tak cieniusieńka i przezroczysta, że nawet jej nie dostrzegam, orientuję się, gdy jest już za późno. Całun z tworzywa sztucznego, duszący mnie na

śmierć...

Prując hollywoodzką autostradą, między przyczepą z tajemniczą plandeką a cysterną z ciekłym wodorem, opływową jak torpeda, dojeżdżamy do istnej karawany osobników grających na organkach.

– Przynajmniej to nie tamburyny – mruczy Zhubb. – Dzięki Bogu w tym roku jest ich mniej.

Popołudniem krzyżują się drogi obitych stałą ciężarówką, dostarczających żywność. Wgniecenia błyszczą się jak jezioro wody pitnej po mozolnej wędrówce pustynią. Jest Dzień Zwózki, toteż wszystkie śmieciarki kierują się na autostradę do Ventura, procesja aut w najrozmaitszych odcieniach, kształtach i najprzeróżniejszym stanie zużycia. Powracają do Środka, ze wszystkimi zebranymi kawałkami Naczyń...

Dźwięk syreny zaskakuje was obu. Zhubb zerka szybko w lusterko.

– Pan chyba nie masz nic trefnego, co?

Lecz wycie jest głośniejsze od policyjnej syreny. Spowija beton i smog, wypełnia dorzecze i góry dalej, niż mógłby dotrzeć jakikolwiek śmiertelnik... dotrzeć w czasie...

– To chyba nie policja. – Kiszki ścięte spazmem, wyciągasz rękę, żeby przekręcić gałkę radia. – Nie sądzę –

## POLANA

– *Räumen!* – krzyczy kapitan Blicero. Napełniono zbiorniki z nadtlentkiem i nadmanganianem. Żyroskopy uruchomione. Obserwatorzy kucają w wąskich okopach. Do ciężarówki na jałowym biegu wrzucono z chrzęstem narzędzia i osprzęt. Obsługa techniczna i sierżant, który zamontował detonator, wspinają się na pakę i ciężarówka odjeżdża po świeżych brązowych koleinach między drzewa. Blicero ociąga się przez kilka sekund przy wyrzutni, rozglądając się, czy wszystko jest w należyтым porządku. Potem odwraca się i odchodzi szybkim krokiem do wozu dowodzenia. – *Steuerung klar?* – pyta chłopca przy pulpicie sterowniczym.

– *1st klar.* – W poświęcie z pulpitu twarz Maksa jest twardym, upartym złotem.

– *Treibwerk klar?*

– *1st klar.* – To Moritz, przy urządzeniach kontrolujących pracę silnika rakiety. Przez słuchawkę zawieszoną na szyi porozumiewa się z wozem operacyjnym: – *Luftläge klar.*

– *Schlüssel auf SCHIESSEN* – wydaje rozkaz Blicero.

Moritz ustawia główny przełącznik w pozycji „odpalenie”

– *Schlüssel auf SCHIESSEN.*

*Klar.*

Powinny być długie dramatyczne pauzy. W głowie Weissmanna powinno się roić od pożegnalnych widoków kremowych pośladków, sklejonych razem ze strachu (nie popuścisz, *Liebchen?*), młodych oczu, patrzących błagalnie spod złotych rzęs, zakneblowanych ust, usiłujących zbyt późno powiedzieć to, co mogły powiedzieć w namiocie ostatniej nocy... gardło, przełyk, gdzie kutas Blicero eksplodował po raz ostatni (ale co to jest, tuż za ścinaną spazmami szyją, za Krzywą w Mrok... za Smrodem... Białym... Kątem... Czekaniem... Czekaniem Na –). Ale nie, rytuał ma swoją aksamitną władzę nad nimi wszystkimi. Tak silny, tak ciepły...

– *Durchschalten* – mówi Blicero spokojnym głosem.

– *Luftläge klar!* – woła Max znad pulpitu sterowniczego.

Moritz wciska guzik oznaczony słowem *Vorstufe*.

– *Ist durchgeschaltet.*

Piętnastosekundowa przerwa, podczas której w zbiorniku z tlenem powstaje odpowiednie ciśnienie. Na pulpicie Moritza zapala się lampka.

*Entlüftung.*

– *Beluftung klar.*

Rozjarza się lampka zapłonu: *Zundung.*

– *Zundung klar.*

Potem *Vorstufe klar.* *Vorstufe* jest ostatnim stadium, z którego Moritz może się wycofać. Płomień potężnieje u podstawy rakiety. Tworzą się kolory. Czterosekundowa zwłoka, cztery sekundy niezdecydowania. W rytuale jest nawet miejsce i na to. Różnica między znakomitym dowódcą oddziału raketowego a dowódcą miernym polega na świadomości, kiedy dokładnie, w tym odklepanym i owianym legendą obrzędzie, zarządzić *Hauptstufe*.

Blicero jest mistrzem. Dawno temu nauczył się wpadać w trans, czekać na iluminację, która zawsze nadchodzi. Nigdy nie mówił o tym głośno.

– *Hauptstufe.*

– *Hauptstufe ist gegeben.*

Pulpit rozłącza się na zawsze.

Dwie lampki gasną.

– *Stecker 1 und 2 gefallen* – melduje Moritz.

Wyplute wtyki miotają się po ziemi w rozbryzgu ognia. Karmiony grawitacją, płomień staje się jaskrawożółty. Potem zaczyna warczeć turbina. Nagle ogień staje się niebieski. Dźwięk urasta do pełnego krzyku. Rakieta stoi jeszcze chwilę na stalowym blacie, po czym powoli, z drzeniem, z wściekłym napięciem mięśni, dźwiga się do góry. Cztery sekundy później zaczyna się przechylać. Płomień jest zbyt jasny, by ktokolwiek mógł dojrzeć Gottfrieda, chyba że uchwyciłby go jako kategorię erotyczną wysnutą z tej



niebieskiej gwałtowności dla celów samogwałtu.

## WZLOT

Wzlot przewycięży Grawitacja. Lecz silnik Rakiety, ten głęboki krzyk spalanych chemikaliów, który szarpie duszą, obiecuje ucieczkę. Ofiara, w niewoli spadania, wznosi się na skrzydłach obietnicy, przepowiedni Ucieczki...

Kierując się teraz ku światłu, w którym przynajmniej jabłko ma kolor jabłka. Nóż rozcina jabłko jak nóż rozcinający jabłko. Wszystko jest tam, gdzie jest, może nie wyraźniejsze niż zwykle, ale bardziej uobecnione. Tak wiele trzeba zostawić za sobą, i to tak szybko. Zepchnięty w dół, w elastycznych kajdanach, wciśnięty brutalnie do tyłu (boli go pierś, zmarznięte udo zdrętwiało), zgięty tak, że dotyka czołem kolana, jego włosy ocierają się o nie dotykaniem żalonym i uległym jak pusty balkon w czasie deszczu, Gottfried nie chce płakać głośno... wie, że oni go nie usłyszą, ale i tak próbuje się powstrzymać... nie ma z nimi zwrotnego połączenia... *to przysługa, Blicero starał mi się to ułatwić, wiedział, że będę próbował się uczepić – każdego głosu, każdego syku lub trzasku –*

Myśli o ich wspólnej miłości w formie ilustracji dla dzieci na ostatnich cienkich stronach, zwiewnie zamykanych, delikatna bierna kreska niedokończona, pastelowe wahanie: włosy Blicero ma ciemniejsze, długie aż do ramion, po trwałej ondulacji, jest nastoletnim giermkiem albo paziem patrzącym w przyrząd optyczny, przyzywającym malutkiego Gottfrieda matczynym, chętnym do uczenia spojrzeniem... a teraz jest daleko, siedzi, na końcu oliwkowego pokoju, za kształtami, które się zamazują, których Gottfried nie potrafi zidentyfikować ani jako przyjaciół, ani jako wrogów, między nim i – gdzie on – już nie ma... nie... już odpływają, szybciej, niż potrafi nadążyć, to jak zapadanie w sen – rozplývają się CAP możesz przytrzymać obraz na tyle długo, by zobaczyć pas do pończoch napinający się końcami wzdłuż ud, białe paski cienkie jak nóżki fauna i punkty czarnego... czarnego CAP przepuściłeś parę, Gottfried, parę ważnych,

których nie chciałeś przegapić... wiesz, że to ostatni raz... CAP kiedy to warczenie ucichło? *Brennschluss*, kiedy dochodzi do Brennschluszu, już, tak szybko, to niemożliwe, ale wypalony otwór w ogonie buja się teraz na tle słońca, a zza jasnych włosów ofiary wyziera widmo Brockenu, czyjś cień, cień czegoś rzucony stąd na jasne słońce i ciemniejące niebo w obszarach złota, bielenia, uspokojenia jak na dnie wody, gdy tymczasem Grawitacja odpuszcza na krótko... czym jest ta śmierć, jeśli nie bieleniem, przywiedzeniem bieli do ultrabieli, czym, jeśli nie bielinkami, detergentami, utleniaczami, ścierniwami – *Streckefuss*, oto kim był dzisiaj dla umęczonych mięśni chłopca, ale o wiele stosowniej będzie nazwać go Bielidło, Bleicheröde, Bielnik, Blicero, rozszerzając, rozrzedzając kaukaską bladość aż do usunięcia pigmentu, melaniny, widma, zdolności rozróżniania między odcieniami, jest tak biało, że CAP pies był rudym seterem, łeb ostatniego psa, sympatyczny pies przyszedł się z nim pożegnać, *a ja nie pamiętam, co znaczy rudość*, gołąb, którego gonił, był niebieskawy, teraz obaj są biali nad kanałem tamtej nocy zapach drzew *nie chciałem utracić tamtej nocy* CAP fala między domami, po drugiej stronie ulicy, oba domy to okręty, jeden wypływa w długi ważny rejs, fale pełne odprężenia i czułości CAP ostatnie słowa Blicero: „O zmierzchu... długa krzywa ludzi wypowiadających życzenia na widok wieczornej gwiazdy... Pamiętaj zawsze o tych kobietach i mężczyznach wzdłuż tysięcy mil lądu i morza. Prawdziwą chwilą cienia jest chwila, w której widzisz punkt światła na niebie. Pojedynczy punkt i Cień, który właśnie zgarnął cię zamaszystym ruchem...”.

Zawsze pamiętaj.

Pierwsza gwiazda wisi między jego stopami.

A teraz –

## SPADANIE

Rytmiczne skandowanie odbija się echem wśród ścian, które są twarde i połyskliwe jak węgiel:

– Daj-cie film! Daj-cie film! Daj-cie film!

Ekran jest matową kartką, rozpostartą przed nami, białą i milczącą. Zerwała się taśma albo żarówka w projektorze się przepaliła. Nawet nam, starym wyjadaczom, którzy nigdy nie wychodzą z kina (prawda?), trudno było stwierdzić, czy stało się jedno, czy drugie, gdy zapadła ciemność. Ostatni obraz wyświetlił się nazbyt błyskawicznie, by czyjeś oko go zarejestrowało. Być może ukazała się ludzka postać, marząca o wczesnych wieczorach w każdej wielkiej stolicy świetlistej na tyle, by przekazać jej, że nigdy nie umrze, wychodząc na dwór, by wypowiedzieć życzenie do pierwszej gwiazdy. Ale *to nie była gwiazda*, to było spadanie, jasny anioł śmierci. A na straszliwej ciemniejszej połaci ekranu coś się zachowało, film, którego nie nauczyliśmy się oglądać... teraz to jest zbliżenie twarzy, twarzy, którą wszyscy znamy –

To właśnie tutaj, w tę czarną i cichą ramę wbija się czubek Rakiety, spadłej z prędkością prawie mili na sekundę, całkowicie i na zawsze pozbawionej głosu, po przemierzeniu ostatniego odcinka przestrzeni nad dachem starego kina, ostatniej delty t.

Jeżeli potrzebujesz pociechy, została ci chwila, byś dotknął osoby siedzącej obok albo sięgnął między swoje zimne nogi... albo jeśli pragniesz piosenki, oto jest taka jedna, której Oni nigdy nikogo śpiewać nie nauczyli, pieśń autorstwa Williama Slothrop'a, od stuleci zapomniana i nierozpowszechniana, śpiewana niegdyś na prostą, sympatyczną melodię z tamtych czasów. Biegnij za koziołkującą piłką:

Jest Dłoń, która cofnie czas,  
Choć klepsydra twa przesypie się dziś snadnie,  
Lecz pierwej Światło, co Wieże obala,

Na ostatniego z Pominiętych padnie,  
Pierwej na gościńcach spustoszonej Strefy  
Jeźdźców pędzących sen ciężki spowije,  
Kędy z każdego stoku oblicze wyziera,  
A w kamieniu każdym Dusza skryta żyje.

Wszyscy razem –